



This is a digital copy of a book that was preserved for generations on library shelves before it was carefully scanned by Google as part of a project to make the world's books discoverable online.

It has survived long enough for the copyright to expire and the book to enter the public domain. A public domain book is one that was never subject to copyright or whose legal copyright term has expired. Whether a book is in the public domain may vary country to country. Public domain books are our gateways to the past, representing a wealth of history, culture and knowledge that's often difficult to discover.

Marks, notations and other marginalia present in the original volume will appear in this file - a reminder of this book's long journey from the publisher to a library and finally to you.

### **Usage guidelines**

Google is proud to partner with libraries to digitize public domain materials and make them widely accessible. Public domain books belong to the public and we are merely their custodians. Nevertheless, this work is expensive, so in order to keep providing this resource, we have taken steps to prevent abuse by commercial parties, including placing technical restrictions on automated querying.

We also ask that you:

- + *Make non-commercial use of the files* We designed Google Book Search for use by individuals, and we request that you use these files for personal, non-commercial purposes.
- + *Refrain from automated querying* Do not send automated queries of any sort to Google's system: If you are conducting research on machine translation, optical character recognition or other areas where access to a large amount of text is helpful, please contact us. We encourage the use of public domain materials for these purposes and may be able to help.
- + *Maintain attribution* The Google "watermark" you see on each file is essential for informing people about this project and helping them find additional materials through Google Book Search. Please do not remove it.
- + *Keep it legal* Whatever your use, remember that you are responsible for ensuring that what you are doing is legal. Do not assume that just because we believe a book is in the public domain for users in the United States, that the work is also in the public domain for users in other countries. Whether a book is still in copyright varies from country to country, and we can't offer guidance on whether any specific use of any specific book is allowed. Please do not assume that a book's appearance in Google Book Search means it can be used in any manner anywhere in the world. Copyright infringement liability can be quite severe.

### **About Google Book Search**

Google's mission is to organize the world's information and to make it universally accessible and useful. Google Book Search helps readers discover the world's books while helping authors and publishers reach new audiences. You can search through the full text of this book on the web at <http://books.google.com/>



Jest to cyfrowa wersja książki, która przez pokolenia przechowywana była na bibliotecznych półkach, zanim została troskliwie zeskanowana przez Google w ramach projektu światowej biblioteki sieciowej.

Prawa autorskie do niej zdały już wygasnąć i książka stała się częścią powszechnego dziedzictwa. Książka należąca do powszechnego dziedzictwa to książka nigdy nie objęta prawami autorskimi lub do której prawa te wygasły. Zaliczenie książki do powszechnego dziedzictwa zależy od kraju. Książki należące do powszechnego dziedzictwa to nasze wrota do przeszłości. Stanowią nieoceniony dorobek historyczny i kulturowy oraz źródło cennej wiedzy.

Uwagi, notatki i inne zapisy na marginesach, obecne w oryginalnym wolumenie, znajdują się również w tym pliku – przypominając długą podróż tej książki od wydawcy do biblioteki, a wreszcie do Ciebie.

### **Zasady użytkowania**

Google szczeni się współpracą z bibliotekami w ramach projektu digitalizacji materiałów będących powszechnym dziedzictwem oraz ich upubliczniania. Książki będące takim dziedzictwem stanowią własność publiczną, a my po prostu staramy się je zachować dla przyszłych pokoleń. Niemniej jednak, prace takie są kosztowne. W związku z tym, aby nadal móc dostarczać te materiały, podjęliśmy środki, takie jak np. ograniczenia techniczne zapobiegające automatyzacji zapytań po to, aby zapobiegać nadużyciom ze strony podmiotów komercyjnych.

Prosimy również o:

- Wykorzystywanie tych plików jedynie w celach niekomercyjnych  
Google Book Search to usługa przeznaczona dla osób prywatnych, prosimy o korzystanie z tych plików jedynie w niekomercyjnych celach prywatnych.
- Nieautomatyzowanie zapytań  
Prosimy o niewysyłanie zautomatyzowanych zapytań jakiegokolwiek rodzaju do systemu Google. W przypadku prowadzenia badań nad tłumaczeniami maszynowymi, optycznym rozpoznawaniem znaków lub innymi dziedzinami, w których przydatny jest dostęp do dużych ilości tekstu, prosimy o kontakt z nami. Zachęcamy do korzystania z materiałów będących powszechnym dziedzictwem do takich celów. Możemy być w tym pomocni.
- Zachowywanie przypisań  
Znak wodny "Google" w każdym pliku jest niezbędny do informowania o tym projekcie i ułatwiania znajdowania dodatkowych materiałów za pośrednictwem Google Book Search. Prosimy go nie usuwać.
- Przestrzeganie prawa  
W każdym przypadku użytkownik ponosi odpowiedzialność za zgodność swoich działań z prawem. Nie wolno przyjmować, że skoro dana książka została uznana za część powszechnego dziedzictwa w Stanach Zjednoczonych, to dzieło to jest w ten sam sposób traktowane w innych krajach. Ochrona praw autorskich do danej książki zależy od przepisów poszczególnych krajów, a my nie możemy ręczyć, czy dany sposób użytkowania którejkolwiek książki jest dozwolony. Prosimy nie przyjmować, że dostępność jakiegokolwiek książki w Google Book Search oznacza, że można jej używać w dowolny sposób, w każdym miejscu świata. Kary za naruszenie praw autorskich mogą być bardzo dotkliwe.

### **Informacje o usłudze Google Book Search**

Misją Google jest uporządkowanie światowych zasobów informacji, aby stały się powszechnie dostępne i użyteczne. Google Book Search ułatwia czytelnikom znajdowanie książek z całego świata, a autorom i wydawcom dotarcie do nowych czytelników. Cały tekst tej książki można przeszukiwać w internecie pod adresem <http://books.google.com/>

3 2044 023 623 606

WIDENER



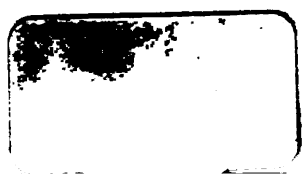

HN ZKK4 X

HARVARD COLLEGE LIBRARY

Bought with the income of  
**THE KELLER FUND**

---

Bequeathed in Memory of  
JASPER NEWTON KELLER  
BETTY SCOTT HENSHAW KELLER  
MARIAN MANDELL KELLER  
RALPH HENSHAW KELLER  
CARL TILDEN KELLER

















Handwritten text, possibly a list or notes, mostly illegible due to fading.

... in particolare di questa, la quale

B<sup>na</sup> Francesca 32



PAMIĘTNIKI  
FLORYANA  
ZIEMIAŁKOWSKIEGO

CZEŚĆ PIERWSZA

*Panu Piotrowi Henrykowi Nowoludzie  
na pamiątkę przesłam te Pamiętniki  
z Heliem Piotrowie Palezi - 1 marca 1904*

KRAKÓW  
CZCIONKAMI DRUKARNI A. KOZIAŃSKIEGO  
1904

*Helena z Piotrowie Towar Dyrkarka, Koscieszka  
B. 1074 Ziemiełkowska 35*

Slav 5687.70 (1-4)  
✓

HARVARD  
UNIVERSITY  
LIBRARY  
10-6-64

Keller

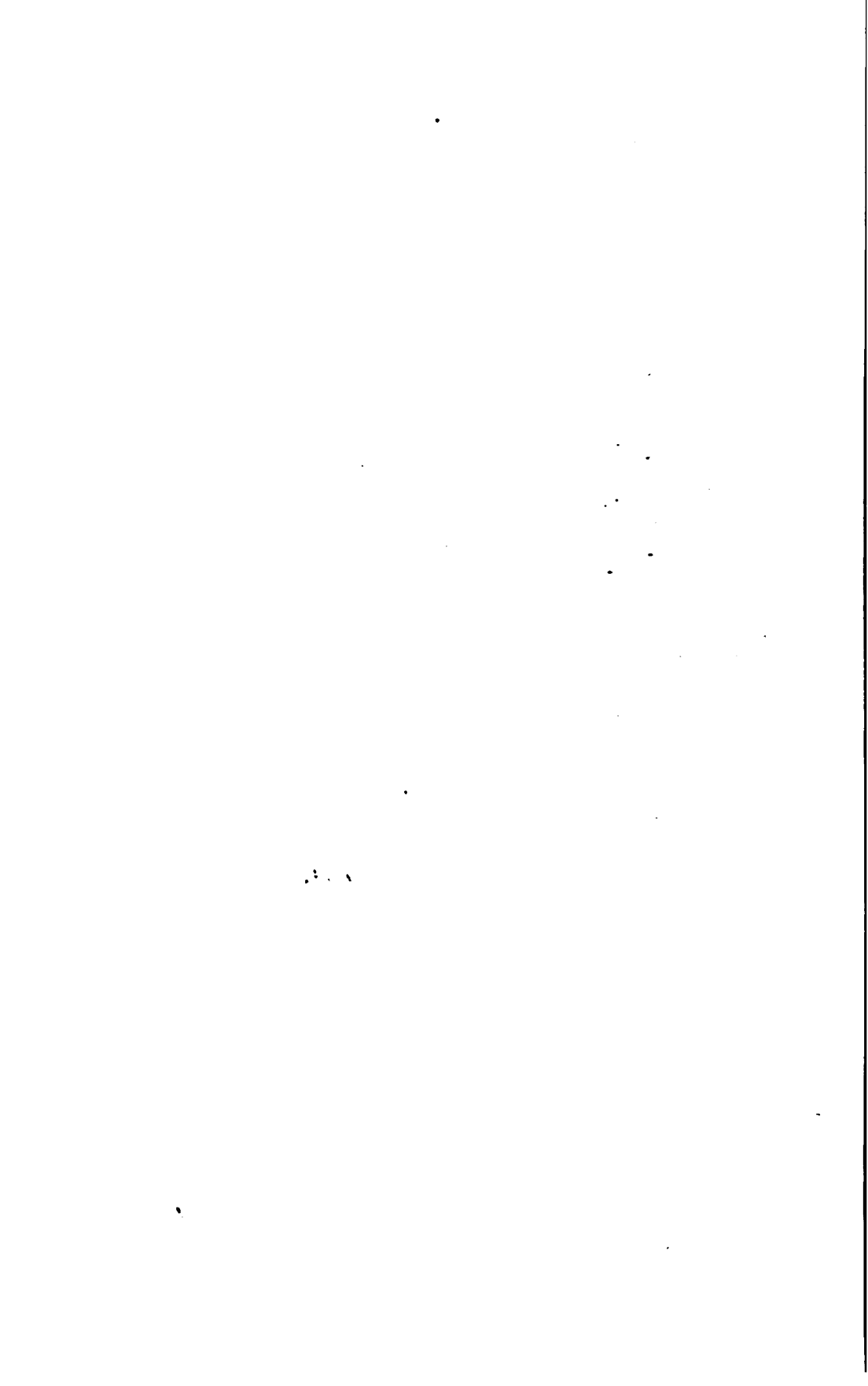


Znalazłszy w papierach po ś. p. moim mężu pamiętniki odnoszące się do Jego działalności publicznej, poczytałam za swój obowiązek zająć się ich uporządkowaniem i ogłoszeniem.

Wypadki skreślone w tych pamiętnikach tak wielkie mają znaczenie dla historii naszego narodu, że przedstawienie ich przez męża, który brał w nich udział bardzo wybitny, zajmie zapewne szersze koła czytelników a w niejednym punkcie, zupełnie nowe przyniesie szczegóły dla badacza i historyka epoki 1848—1873.

Dochód ze sprzedaży, przeznaczam na fundusz „Domu polskiego, imienia Floryana Ziemiałkowskiego w Wiedniu“.

*Helena ~~Baranowska~~ Dylewskich ~~Łankowa~~  
Ziemiałkowska.*







Urodziłem się 28. grudnia 1817 r. w Berezowicy małej w dawnym cyrkule Tarnopolskim, z ojca Michała i Anny Łotockich.

1817

Pierwsze nauki pobierałem w domu od starszych sióstr, tudzież w domu Moszczańskiego, poborcy przy komorze cłowej w Sieniawie, razem z jego synem Karolem, późniejszym Drem med. Moszczańskim, a kolegą więziennym w r. 1841.

W r. 1825 oddano mię do szkół do Tarnopola, gdzie razem z starszym bratem Janem mieszkalem u Pani Menger, wdowy po urzędniku. W rok potem sprowadzili się rodzice do Tarnopola, u których już mieszkalem aż do ukończonego 1-go roku filozofii 1833.

1825

Jan Menger

Będąc w Syntaksymie, t. j. 4-tym roku gimnazjum, zaprzyjaźniłem się z Andrzejem Zawadzkiem, uczniem 6-tej klasy gimnazjalnej, który dostarczając mi książek „zakazanych“ t. j. nieszkolnych, wzbudził we mnie zamiłowanie do czytania. Wkroczenie zaś oddziału Dwernickiego na wiosnę 1831, i zaznajomienie się z oficerami tego oddziału przybyłymi do Tarnopola, rozgrzało uczucia polskie. Z jakąż radością a oraz z jakim uczuciem dumy wdziewałem pierwszą czamarkę granatową, białą jedwabną materyą podszytą! Otrzymawszy stypendyum akedemickie, udałem się w październiku 1833 r. do Lwowa, gdzie ukończyłem 2-gi rok filozofii i wydział prawniczy (1838) z celującym postępem.

1833

maj 21/1833

1836  
W r. 1836 przyjął mię Andrzej Zawadzki do tajnego Towarzystwa „Lud polski“, do którego przyjąwszy z mej strony Ludwika Reichenberga, Aleksandra Morgenbessera i Kniazioluckiego, zostałem „Wójtem gminy“, mając nad sobą Henryka Bogdańskiego przełożonym.

1837  
1839  
W maju 1837 pojechałem do Wiednia, a stamtąd do Vöslau, gdzie przepędziłem lato w domu PP. Kriegshaberów, których synów byłem nauczycielem. Powróciwszy do Lwowa, zdałem w r. 1839 pierwsze dwa rygoroza prawnicze, poczem pojechałem z PP. Kriegshaberami do Wiednia, gdzie zostałem do maja 1840, poznawszy tu spiskowców, (choć do tego nieprzyznających się, gdyż to było statutami zabronionem), Dra Midowicza, Ksawerego d'Abancourt, Hiczowskiego Ludwika. W tymże roku, zdałem ostatnie dwa rygoroza, otrzymałem dyplom Doktora praw i wstąpiłem na praktykę do Prokuratury skarbowej, czyli jak wówczas mówiono do Fiskusa.

1841  
W marcu 1841 zostałem zamianowany adjunktem wydziału prawno-politycznego przy Uniwersytecie lwowskim, jako taki zastępowałem czas jakiś profesora Napadiewicza, wykładając kodeks karny; słuchaczami tych wykładów byli Euzebiusz Czerkawski i Marceł Madeyski; — wykładałem w zastępstwie Tomasza Ekonomie polityczną, a przez całe trzy miesiące w zastępstwie Grasla, kodeks cywilny, między słuchaczami tych wykładów znajdował się Julian Dunajewski.

24  
A  
36.5  
W czerwcu tegoż roku odpisałem konkurs na profesora prawa rzymskiego i kanonicznego, lecz nim nadszedł spodziewany dekret na profesora, — uwieziono mnie (16. sierpnia 1841) i zamknięto u tak zwanych Karmelitów, gdzie przesiedzialem lat trzy i miesiecy pięć, z początku, a to prawie dwa lat w samotnej celi, potem po skonczonem śledztwie, w towarzystwie jednego, lub dwóch kolegów — i tak ze Smolką, Marcinem Reichenbergiem, księdzem Wojtą Dominikanem; tak też korespondując przez pukanie, a później przez dziurkę wywierconą gwoździem w murze, poznałem Roberta Heferna. Moja kaźnia miała Nr. 44, Heferna 43.

1845  
W styczniu 1845 odczytano mi wyrok śmierci, poczem dodano, że Najj. Pan raczył mi darować tę karę i puścić

\* 16/8 1841 - 3, 1845 uwieziony

na wolność. Wypocząwszy przez dwa miesiące w Podosilnej u brata Teodora, wybrałem się do Lwowa w kwietniu i zgłosiwszy się u dyrektora policji Sachera, przyjechałem bowiem bez pozwolenia starosty Brzeżańskiego, którego pieczy podczas pobytu w Podosilnej byłem powierzony, — wstąpiłem do kancelaryi adwokata Maurycego Kabata, jako koncypient adwokacki.

*Teodor Lemański*

*27 lutni*

W grudniu 1845 wyjechałem do Medowy, do hr. Ludwika Dzieduszyckiego, w celu powzięcia informacji w jego procesie o złożenie rachunków z administracji majątku, małoletnich Zawadzkich i Bielskich. Ukończywszy tę czynność, pojechałem do rodziców do Tarnopola, na święta B. N. Chcąc po świętach wrócić do Lwowa, udałem się na pocztę, aby wziąć miejsce w szybkowozie, — tu zażądano okazania paszportu, którego nie miałem, gdyż gdym przed miesiącem wyjeżdżał ze Lwowa, paszportu do jazdy pocztą nie wymagano. Sądząc, że to jakaś sekatura, udałem się do samego poczmistrza Mandla, byłego kolegi szkolnego. Tenże, po dawnej znajomości, zwierzył mi się, że zanoszą się na coś w kraju, więc nakazana ścisła kontrola osób przejeżdżających, radził mi tedy, bym się udał do starosty i uzyskał pozwolenie jazdy pocztą, gdyż surowy ma nakaz nie przewożenia pocztą osób nie mających paszportu. Poszedłem więc do starosty, a był nim Sacher, brat dyrektora policji, znany mi trochę z czasów pobytu mego w domu Kriegshaberów. Pan starosta przyjął mnie bardzo grzecznie, raczył sobie mnie przypomnieć, lecz wysłuchawszy o co mi idzie, odmówił również grzecznie mej prośbie i dopiero po krótkim namyśle, wzięwszy mnie pod ramię i podszedłszy do framugi okna, rzekł półgłosem: „Ot, wiesz Pan co, tak po dawnej znajomości, radzę Panu wziąć żydka, a przed rogatką we Lwowie wysiąść i przejść piechotą przez rogatkę, — inaczej Pan się nie dostaniesz do Lwowa“. Podziękowałem za przyjacielską radę, lecz nie usłuchałem jej, bo właśnie ona przekonywała mnie, że chcąc się dostać bezpiecznie do Lwowa, trzeba jechać c. k. pocztą. Wróciłem więc na pocztę, i z udaniem oburzeniem oświadczyłem Mandlowi, że starosta dziwił się, jak można mi odmawiać przyjęcia na szybkowóz, skoro tutaj jestem znany; paszportu należy żądać od osób nieznanich. Mandel przeprosił i przyjął mnie na szybkowóz, który

wkrótce ruszył w drogę. Na roгатce Łyczakowskiej nie zatrzymywano nas i tak szczęśliwie dostałem się do Lwowa, gdzie się wkrótce przekonałem, że rada starosty Sachera, przekradania się przez roгатkę lwowską, była łapką na mnie zastawioną; na wszystkich bowiem roгатkach przytrzymiano podejrzane osoby, — a człowiek ubrany w szopy, brnący w śniegu, przechodząc pieszo roгатkę, musiałby się wydać podejrzanym.

1848

18. marca 1848 nadeszła do Lwowa wiadomość o zajściach 13. i 14. marca w Wiedniu. 18. marca z Hefernem i Smolką postanowiliśmy ulożyć adres do tronu z żądaniem uznania narodowości naszej i nadania swobód konstytucyjnych i dać go do podpisu zaufanym mieszczanom, liczyliśmy na 40 kilka podpisów. Zasiadliśmy tedy wieczorem w mieszkanju Smolki do zredagowania adresu, podczas gdy Hubrich w przedpokoju został na czatach, by nas nie naszła policja. Zgodzono się na adres przezemnie zredagowany i gdym go w nocy na czysto przepisał. oddano go krawcowi Kulczyckiemu, redaktorowi „Mód“, do zbierania podpisów, w dzień św. Józefa 19. marca.

Nad wszelkie spodziewanie zaczęto się cisnąć do podpisu. Dobrzański, współpracownik „Mód“, z balkonu zaczął odczytywać adres, mieszkanie Kulczyckiego nie mogło pomieścić zgłaszających się, poustawiano więc stoliki na ulicy, policja nie przeszkadzała. — Około 4-tej po południu, chcąc zrobić dywersyą, kazano za roгатkami zapalić jakąś pustą budkę, uderzono w dzwon alarmowy, — szwadron huzarów stanął koło Żorza, naprzeciw kamienicy Kulczyckiego, przyjęty okrzykiem „Elien“! W przyjaznem widocznie usposobieniu, przypatrywał się tłumowi zgromadzonemu koło kamienicy Kulczyckiego.

Nareszcie gdy się zbliżał wieczór, udał się Dobrzański z adresem zaopatrzonem w 12 przeszło tysięcy podpisów do Namiestnictwa, eskortowany przez niezliczone tłumy, i wręczył go hr. Stadionowi, ówczesnemu namiestnikowi. — Przed gmachem Namiestnictwa, stał batalion grenadierów pod bronią, a gdy od ulicy Sobieskiego, coraz więcej ludzi nadciągało, którzy stojących na przodzie, coraz bardziej na grenadierów pchali, postąpiłem więc ku majorowi, dowodzącemu grenadierami i prosiłem, by ich szeregom kazał cofnąć się o parę kroków ku gmachowi, co

też major uczynił, ja zaś za harangowanie (!) wojska zostałem z 22. na 23. uwieczony i do „małych koszar“ pod eskortą dwóch gwardzistów z milicyi lwowskiej, a więc pod strażą obywatelską, odstawiony; po kilku godzinach wszakże uwolniony i przez akademików, którzy dwoma fiakrami po mnie do koszar przyjechali, do Auli, na dowód żem wolny, odwieziony. Ponieważ Stadionowi nie ufano, iż wręczony mu adres cesarzowi przedłoży, więc zwołano na ratusz zgromadzenie ludowe, któremu przewodniczył Dzierzkowski, i postanowiono wysłać do Wiednia deputacyę, złożoną z przedstawicieli wszystkich stanów i wyznań. Deputowani miasta, do których i ja należałem, a na której czele stanął ks. Jerzy Lubomirski, wyjechali 26. marca. Po drodze przyłączali się deputowani z prowincyi i tak w Przemyślu ks. biskup Wierzchlejski, w Tarnowie książe Władysław Sanguszkó z kilku włościaninami, w Krakowie ks. Stanisław Jabłonowski, Kazimierz Wodzicki, Rabin Meisels, i wielu innych — tak, że deputacya ta liczyła przeszło sto osób. Z Rusinów byli ks. kanonik Krynicki, Samuel Żeligdowicz, urzędnik gub., Cyryl Wienkowski, adjunkt Prokuratury skarbu. Akademików zastępował adjunkt Uniw. Piotr Gross. Deputacya ta zajęła się ułożeniem adresu, który wypowiedziane w adresie z 19. marca, dezyderyę miał rozwinąć i bliżej oznaczyć.

Wtem przyjechali do Wiednia: książe Leon Sapieha, Maurycy Kraiński, Jan Czaykowski i Floryan Singer, wioząc z sobą adres, który przez Kółko obywateli (tak zwany Bajrat), przez Stadiona zproszonych (w liczbie których i Smolka się znajdował), ułożony i przez Stadiona aprobowany został. Zaproszono ich na posiedzenie deputacyi i gorącemi, przez usta Lubomirskiego i Dzierzkowskiego wypowiedzianemi słowy zawezwano, by przystąpili do deputacyi i przedłożeniem osobnego adresu, nie osłabiali dezyderatów przez tysiące podpisów we Lwowie zadokumentowanych — a przez przystąpienie obywateli ze wszystkich stron kraju, życzenia kraju całego przedstawiających. Książę Leon, zasłaniał się mandatem obywateli (Bajratu), którzy go wysłali a gdy z towarzyszymi swymi salę opuszczał, rabin Meisels zawołał: wnoszę, by ks. Sapiehę ogłosić zdrajcą Ojczyzny.

1848

!!!

Po długich debatach, zgodzono się nareszcie na adres zredagowany przez Leszka Borkowskiego, i zaproszeni zostaliśmy na audiencyę, którą minister Pillersdorf wyznaczył, „der hohen galizischen Deputation“ — na dzień 6. kwietnia. 1848

6/4/1848  
Główna kwatera Deputacyi była w hotelu „zur Kaiserin von Oesterreich“, na Weihburggasse, przed którym legia akademicka trzymała straż honorową. Z tego hotelu dnia 6. kwietnia, wyruszyła in corpore, pieszo przez Kärtner Strasse, Graben-Kohlmarkt do Burgu, między legią akademicką, tworzącą szpaler. Jako sekretarz Deputacyi, niosłem adres na poduszce; niezliczona ilość wiedeńczyków przypatrywała się tej niezwyklej procesyi. Do audyencyi przypuszczono tylko Lubomirskiego, z którego ręk cesarz Ferdynand przyjął adres i odczytał z kartki, którą miał w ręku, iż rozważy żądania w adresie zawarte z ojcowską życzliwością — i da przez Swój Rząd odpowiedź.

Gdy Deputacya opuszczała Burg, wręczono jej na placu Michała chorągiew polską z okrzykiem: „Hoch Polen“! Chorągiew tę niosłem na czele Deputacyi, witanej przez Kohlmarkt okrzykami i powiewaniem chustek ze wszystkich balkonów i okien i eskortowany przez legionistów, aż do Auli, gdzie przy okrzykach licznie zebranych akademików, została umieszczoną na krążanku pomiędzy znajdującymi się już chorągiewami, niemiecką i węgierską. Gdy przyrzeczona odpowiedź na adres nie nadchodziła, gdyż mając adres Deputacyi i odmienny adres Bajratowski, rząd obydwu te adresy posłał do gubernatora Stadiona do sprawdzenia, a ten się niespieszył, więc członkowie Deputacyi, zostawiwszy w Wiedniu komitet wykonawczy, wrócili po większej części do domu.

19/5 1848  
Tymczasem zbierał się Sejm rzeski frankfurcki, do którego rozpisano wybory także z księstwa zatorskiego i oświęcimskiego, jako należących wedle traktatu wiedeńskiego, do Rzeszy niemieckiej. W celu założenia protestu przeciw przynależności tych Księstw do Rzeszy niemieckiej, wysłał Komitet w porozumieniu z Radą narodową lwowską, mnie i Adolfa hr. Ponińskiego, dnia 19. maja do Frankfurty, zaopatrzwszy w pełnomocnictwo z pieczęcią Orła i Pogoni, przez Radę narodową wystawione. W Frankfurcie przedstawił nas prezydent parlamentu Gagern Izbie, na pełnem posiedzeniu jako pełnomocników „des polnischen Natio-

nalrathe's" i odebrał od nas memoriał w sprawie rzeczonych Księstw.

Memoriał ten przezemnie ułożony, wydrukowany został w formie broszury i rozdany członkom Parlamentu. (Jeden egzemplarz dałem bibliotece Ossolińskich).

Równocześnie wyjechali „na ochotników“, ks. Lubomirski, Dobrzański i Malisz do Pragi, na kongres słowiański, dokąd ze Lwowa udali się hr. Juliusz Dzieduszycki, Pogłódowski Zenon i Jan Borysikiewicz, jako przedstawiciel Rusinów galicyjskich. Jako kwiatek mowy ruskiej owego czasu, przytaczano z przemówienia Borysikiewicza, syna księdza ruskiego, frazes: „kuźda ricz maje swoju szatenzajtu“ (Schattenseite).

Przeciw odezwie „do ludów Europejskich“, ułożonej za zgodą Czechów, Morawian, Słowenców i Kroatów, a tchnącej duchem panslawizmu przez słowackiego pastora Kolara inaugurowanym, obok namiętnej nienawiści przeciw niesłowiańskim narodom, Austryę zamieszkującym, oświadczyli się Polacy i ułożyli odezwę w duchu wolności i braterstwa ludów. Nim zaś zdołano odezwy te przesłać „ludom Europy“, zarządził komenderujący książę Windisch-Grätz bombardowanie Pragi. Ponieważ ja i Poniński otrzymaliśmy od bawiących w Pradze Polaków wezwanie przystąpienia do odezwy, przez nich ułożonej, wybrałem się do Pragi, by po zetknięciu się osobistem w Pradze z bawiącymi tam Polakami, komitetowi naszemu w Wiedniu zdać sprawę i zaciągnąć informacji co do naszego, względem Pruskiego kongresu zachowania się.

Przybyłem wszakże do Pragi nazajutrz po bombardowaniu; ulice główne wojskiem pozamykane, gdziegdzie barykady, w jednej ulicy trup koński jeszcze nie uprzątnięty, na ulicach żywej duszy. Przedostawszy się z wielką trudnością do hotelu, w którym mieszkał Lubomirski, dowiedziałem się, że został arestowany — i że wszyscy obcy, mają natychmiast Pragę opuścić, że mnie przeto w hotelu przyjąć nie mogą.

Nic więc nie pozostawało, jak udać się wprost na dworzec i jechać do Wiednia, nie widziawszy się z nikim z naszych. Na dworcu otoczonym wojskiem, już wsiadano do pociągu odchodzącego do Wiednia; o bilety nikt nie pytał. Wsiadłem więc do

pierwszego lepszego wagonu i odbyłem podróż do Wiednia, wprawdzie o głodzie, gdyż od poprzedniego dnia nic w ustach nie miałem, lecz za darmo. Prawie wszyscy towarzysze tej podróży byli akademicy wiedeńscy, którzy przyjechali do Pragi, by Prażanom pokazać, jak się buduje barykady. — Gdy po rozbitym kongresie słowiańskim, nie miałem już co robić w Wiedniu, zaraz na drugi dzień udałem się do Frankfurtu, gdzie na poczcie leżał do mnie list, donoszący, iż wybrany zostałem we Lwowie posłem do Sejmu rzeskiego w Wiedniu i wzywający, bym co rychlej przybywał do Lwowa, celem odebrania karty legitymacyjnej, ile że Sejm ma się zaraz rozpocząć.

Tak tedy zostałem posłem z miasta Lwowa, prócz mnie wybrał Lwów hr. Leszka Borkowskiego i Maryana Dylewskiego. Polscy posłowie, z wyjątkiem biskupa Wierzchlejskiego, księcia Lubomirskiego, Jaruntowskiego, Edwarda Kraińskiego, Zdzisława Zamoyskiego, Adama Potockiego, Dylewskiego i ks. Bileckiego, zasiedli na lewicy; odbywały się zaś posiedzenia w ujeżdżalni nadwornej.

Przy wyborze do komisji, mającej ułożyć konstytucję, uchwalono, iż z każdej prowincji reprezentowanej w Sejmie, ma być wybranych trzech posłów. Z Galicji wybrano mnie, Smolke i księdza biskupa Jachimowicza. W komisji tej, gdy Czechy (Palacky, Pinkas, Rieger) uczynili wniosek podziału Galicji na dwie prowincje: polską i ruską, którego to wniosku chwycił się naturalnie Jachimowicz, podając jako argument odwieczną śmiertelną nienawiść między Polakami nienawiść; — musiałem sam jeden bronić całości kraju, odpierać etnograficzne argumenta Palackiego i pełne jadu insynuacje Jachimowicza. A gdzie był Smolka? — grał preferansą u Podlewskiego! Jak wywiązałem się z trudnego zadania, opisał Leszek Borkowski, w broszurze o Sejmie rakuskim, ja tylko powiem, iż poparty przez Brestla, wyszedłem zwycięzko; na 30 członków komisji, otrzymał wniosek Czechów pięć głosów: trzech Czechów, Jachimowicz i Ratz z Vorarlbergu, który pragnął utworzenia z Vorarlbergu osobnej prowincji.

19 1843  
Gdy w nocy z 6. na 7. października, wiedeńscy szturmowali arsenał, przy Renngasse położony, a Sejm chcąc położyć



koniec rozlewowi krwi, polecił posłowi Stobnickiemu, by się udał jako parlamentarzysta, towarzyszyłem mu jako ochotnik, i z wielką tylko biedą wyszedłem cało z tej wycieczki. Gdyśmy się bowiem zbliżyli do arsenału, żołnierze broniący go, niezważając na białą chorągiew, którą niósł jakiś poczciwy robotnik i mimo doniosłych, po danym przez naszego trębacza znaku, słów Stobnickiego, dali do nas ognia z dwóch stron okien: ten co niósł chorągiew, został zabity, ten co niósł latarnię, ciężko został zraniony, mnie porwał Stobnicki i pociągnął pod ścianę z której okien strzelano i tym sposobem ocaleliśmy. Później żołnierze przebiwszy ścianę do sąsiedniej kamienicy, tylną ulicą uszli, lud zaś nad ranem wtargnął do arsenału i zabrał nie tylko karabiny, które niebawem wyprawiono do Węgier, albo w mieście sprzedawano po 2 lub 3 złr., ale i dużo starodawnej kosztownej broni.

48 Gdy po kapitulacji Wiednia zamknięto Sejm i odroczone go do 14. listopada, do Kromieryża, wyjechałem 4. z Wiednia do Lwowa, który zastałem zbombardowany, odwiedziwszy więc tylko gubernatora Zaleskiego, by się dowiedzieć bliższych o tem co zaszło szczegółów, odjechałem do Krakowa, gdzie znaczna część posłów polskich bawiła, z kądem udałem się do Kromieryża. Tam urządzono salę posiedzeń w pałacu biskupim.

Gdy zaraz jakoś na początku sesji, zażądał minister finansów Krauss, kredytu 80-ciu milionów, zabrałem głos, oświadczając, że kto chce wolności, nie powinien szczędzić ofiar, że wszelako zanim się żąda ofiar, trzeba gwarancji wolności t. j. konstytucję nadać. — Kredyt rządowy został uchwalony, ja zaś za moje przewinienie otrzymałem pocztą następujący wierszyk:

„Ziemialkowski der Weise spricht,  
Die 80 milionen gieb ich nicht.  
Ich aber sag' er soll zu seinem Frommen  
Fünf und zwanzig auf den H... bekommen.“

1848 Tam oznajmiono nam 2. grudnia, że cesarz Ferdynand abdykował na rzecz najstarszego syna brata swego Franciszka-Karola, i że nam panuje Franciszek Józef I., co wszakże nie zmieniło usposobienia Sejmu, który też 7. marca 1849 zamknięty został w ten sposób, iż pałac biskupi sprowadzonym w nocy wojskiem otoczono, a plakatami ogłoszono, że Sejm

Kromieryż

//

•

2

rozwiązany. Gdy równocześnie kilku posłów uwięziono i o dalszych uwięzieniach dość głośno mówiono, niektórzy posłowie powynosili się czempredzej, między innymi Kudlich, Seweryn Biliński, późniejszy Nidhat Pasza; ja nie chcąc się narażać, aby mnie gdzie w drodze do Lwowa aresztowano, udałem się do Wiednia, nie kryjąc się bynajmniej, i nietylko, że nie zostałem aresztowany, ale szczególnego doznałem odznaczenia: Stadion zaprosił mnie, bym dał „jako znawca języka ruskiego“ opinię o tłumaczeniach na język ruski, dekretów cesarskich z dnia 4. marca, przez X. Szaskiewiczza sporządzonych! Spotkał mnie ten zaszczyt prawdopodobnie dlatego, że kilkakrotnie występując przeciw księżom ruskim, uzurpującym przedstawicielstwo Rusi, windykowałem to prawo także dla siebie, jako poseł ze Lwowa, a więc poseł ruski.

Po czterotygodniowym pobycie w Wiedniu, przedłożywszy Stadionowi opinię o tłumaczeniach X. Szaskiewiczza tej treści: „że ich lud ruski nie zrozumie“, odjechałem 8. kwietnia 1849 do Lwowa. Podczas pobytu mego w Kromieryżu, doręczono mi urzędowe zawiadomienie, iż wskutek amnestyi, przywróconą mi została godność doktora praw, że przeto mogę podnieść w kancelaryi akademickiej odebrany mi dyplom doktorski. Otóż idąc 30. lipca po ten dyplom, zostałem na ulicy Krakowskiej aresztowany i do „małych koszar“ odprowadzonym, zkąd nie pozwoliwszy mi wziąć cokolwiek z mych rzeczy, wywieziono mnie ekstra pocztą, pod eskortą kapitana placu Szachtackiego i trzech grenadierów do Wiednia. W Przemyślu, — we Lwowie bowiem o tem nie pamiętano, — wyasygnował starosta Saar kapitanowi cwanycygera dziennie na moje utrzymanie. Jechaliśmy ciągle pocztą, chociaż od Krakowa szła już kolej żelazna, deszcz padał bez ustanku, noce były chłodne, a ja miałem na sobie tylko czamarę, białe letnie pantaloney i segiel Tuchowe buciki, przemoczone podczas wysiadania na obiady i gdyby mój kapitan nie był mi pożyczył peleryny, którą od swego płaszczu odpiął, nie wiem, jakbym był dojechał do Wiednia. Odwdzieczyłem mu się też za to, gdy w Neutyczaju gwardya tamtejsza narodowa chciała mnie odbić, ponieważ Szachtacki nie chciał się legitymować przed komendantem placu, (po odejściu wojska do Węgier, zastępowała

8/4 1849

30/7 3<sup>o</sup> mar  
wraz z 210:ny

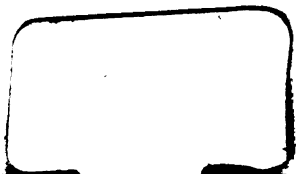
je gwardya narodowa). Zastosowałem się bez oporu do jego żądania, wsiałem co prędzej do pocztowej karety, która galopem ruszyła z miasta, podczas gdy na strażnicy uderzono w bęben.

W Wiedniu, władza wojskowa nie wiedziała co ze mną począć, kazano mi więc odstawić do aresztów policyjnych, gdzie miałem „als Gast“ pozostać aż do dalszych rozkazów. W policyi odebrano mi kapelusz i laseczkę; pieniądze moje a miałem przy- padkiem blisko 100 reńskich, zostawiono mi i pozwolono „za moje pieniądze“ jeść i pić co chcę, byle tego ostatniego nie nadużywać.

nie pozwolono mi z nikim widzieć się, nie pozwolono oporządzić się; czwartego zaś dnia o godz. 5-tej obudzono i kazano udać się do kancelaryi, tam mi oddano kapelusz i laseczkę, i zapytano czy chcę jechać, czy też iść piechotą do statku parowego, którym mam odpłynąć. Oświadczyłem się naturalnie za jazdą, wtedy, kazano mi zapłacić za 8 miejsc w ambulansie, miałem bowiem podróżować pod eskortą siedmiu żołnierzy, oraz oświadczone, że jako aresztant wojskowy będę pobierał dziennie „vier kreutzer und eine Brodration“.

Dokąd mnie miano eskortować, nie powiedziano mi naturalnie, lecz gdy omnibus zdążył ku Klosterneuburg, wywnioskowałem, że popłynę pod górę Dunaju, a więc nie do Węgier, gdzie się odbywały sądy doraźne, lecz prawdopodobnie do Kufsteinu. Na statku umieszczono mnie z moją eskortą — w osobnej kajucie; byli to żołnierze z pułku Deutschmeister, składającego się po większej części z wiedeńczyków i sympatyzującego podczas dni marcowych z ruchem ówczesnym. Odstąpiłem im nie tylko moje aresztanckie dyety, lecz za zezwoleniem feldwebła, poczęstowałem ich piwem — a gdy południowe słońce jednego po drugim w Morfeusza oddało ramiona i tylko feldwebel zapaliwszy cygaro, które mu ofiarowałem, trzymał się na nogach, wdąłem się z nim w rozmowę najpierw obojętną, a później przeszedłem na wypadki przeszłoroczne wiedeńskie, a gdym zaczął opowiadać o wymarszu jego pułku z Wiednia 6. października, zapytał zdziwiony skąd ja o tem wszystkim wiem? Wtedy wyjmując z kieszeni wspomniane powyżej urzędowe wezwania,

dotyczące mego dyplomu doktorskiego, adresowane an den Reichstagabgeordneten Dr. Florian Ziemiałkowski i pokazując je feldweblowi odrzekłem, że będąc posłem, patrzyłem na to wszystko własnymi oczami. Jakto zawołał, oglądając nie wiem poraz który podane mu pismo, więc pan byłeś posłem — a kiedyż dostałeś się do wojska, gdyż eskortują pana jako aresztanta wojskowego. Odpowiedziałem tedy, że nie jestem i że będąc doktorem praw, nie byłem nigdy wojskowym, lecz że mnie przed tygodniem przyaresztowano we Lwowie na ulicy i tak jak byłem odstawiono pod eskortą wojskową do Wiednia, żądał mnie Pan wziąć w swoją opiekę. — A nie byłby Pan tak dobrym, zakończyłem, powiedzieć mi dokąd mnie wieziecie? To mi nie wolno, odrzekł — i przeszedłszy się parę razy po kajucie wyszedł na pokład, żądał wróciwszy po chwili zapytał, czylibym nie chciał odetchnąć lepszym powietrzem na pokładzie — i czy mnie to nie będzie żenować, że on mi będzie towarzyszył? Przystałem jak najchętniej na tę propozycję, gdyż w kajucie powietrze było okropne. Znalazłszy się ze mną na pokładzie w miejscu odosobnionem, rzekł do mnie pan feldwebel: Jako były poseł, musisz być człowiekiem honorowym, więc mogę mu się bez obawy zwierzyć: mam Pana odstawić do Innsbruku. Bardzo dziękuję, rzekłem — lecz statek płynie tylko do Linzu, a jakże stamtąd podróż odbywać będziemy, zapewne ekstrakcją, jak ze Lwowa do Wiednia. — O nie, odrzekł, forszpanami! Na myśl, że mam co parę mil przebywać w aresztach, przeznaczonych dla szupaśników, krew mi zawrzała, to też bez namysłu powiedziałem mu, że w takim razie ucieknę mu w drodze, co mi przyjdzie z łatwością mając w okolicy znajomych, byłych jak ja posłów. Z początku niedowierzał, lecz widząc mą seryo minę zaczął perswadować, potem błagać bym go nie robił nieszczęśliwym, ma bowiem obiecany awans na podporucznika, jeżeli się dobrze wywiąże z danego mu polecenia odstawienia mnie do Innsbruku. Żał mi się zrobiło poczciwca, więc przyrzekłem nie uciekać, jeżeli wyrobi mi w Lincu audyencyę u komendanta placu; chciałem bowiem uzyskać odpowiedniejszy sposób transportu, tudzież pozwolenie kupienia sobie świeżej bielizny i innego obuwia.



W Lincu wywiązał się mój feldwebel (o którego dalszej karyerze nie mogłem się potem dowiedzieć) z danego mi przyrzeczenia. Zostałem zawezwany przed oblicze komendanta placu. Słuszny, już dobrze szpakowaty, ogorzały pułkownik, stał naprzeciw dwi wchodowych, trzymając jakieś papiery w rękę. Oddawszy mi lekkie skinienie głowy za mój ukłon, zapytał: „Sie sind der Militär - Arestant F. Z.?...” Arestant bin ich, aber nicht Militär - Arestant denn wie diese Urkunde beweist, (tu wręczyłem mu wiadome pismo) war ich nie beim Militär. Oglądnał je wewnątrz, zewnątrz, a ruszywszy ramionami, rzekł: in dem Rapport heisst es aber dass Sie Militär-Arestant sind, nun was wünschen Sie? Powiedziałem mu tedy że chcę się widzieć z namiestnikiem (był nim Dr. Fischer, były kolega z Reichstagu), by więc był tak dobrym posłać kogo do niego z prośbą odemnie, by się tu pofatygował, gdyż jako aresztant, do niego pójść nie mogę. Ja, dass geht doch nicht, — zauważył pan pułkownik, gdy m go zaś upewnił — dass es gehen wird, ponieważ pan namiestnik jest moim dobrym znajomym, i kolega z Reichstagu, rzekł: „No to już sam pójde do namiestnika, a pan kaź sobie tymczasem w areszcie oficerskim przynieść obiad, zaraz wydam rozkaz“; jakoż na dany znak dzwonkiem jawił się oficer, który rozmówiwszy się z pułkownikiem zaprowadził mię do bardzo schludnego pokoju i oddał w opiekę profosowi, poleciwszy mu by był na moje usługi.

Właśnie kończyłem obiad, gdy wszedł pułkownik z oznajmieniem, że namiestnik wyjechał na parę dni, że zaś widział się z komenderującym, który wysłuchawszy pańską sprawę uznał, że nie może pana trzymać pod aresztem wojskowym, ponieważ w wyższej Austrii niema stanu obłążenia, a ponieważ władze cywilne nie mają względem pana żadnej wskazówki, więc musi pan aż do nadejścia z Wiednia dyrektywy zaczekać tu w Dyrekcyi policyi, — gdzie pan zresztą traktowanym będziesz ze wszystkimi względami. Lecz oto właśnie pan komisarz policyi Czaslawsky. Żegnam pana. — Wielki Boże, pomyślałem, więc nie tylko we Lwowie, ale i w Lincu policyę sprawują Czechy; co to za sprawny naród! Pan Czaslawsky umieścił mię w gmachu Dyrekcyi policyi w dwóch schludnych pokoikach, pozwolił zaopatrzyć się w niezbędną garderobę, przychodził od czasu do

czasu na pogadankę; drugiego dnia przyniósł nawet karty i grał ze mną w pikietę; nareszcie trzeciego dnia pod wieczór oznajmił, że nadszedł z Wiednia rozkaz odstawienia mię ekstrapocztą „ohne Aufsehen“ do Meranu, gdzie mam być internowanym. Nazajutrz wyjechałem w towarzystwie p. Czaslawskiego i ubranego po cywilnemu ajenta policyjnego, który siedział na koźle, w podróż do Tyrolu. W Innsbruku zajechaliśmy do hotelu „zur Sonne“, a gdy Czaslawsky miał mię konwojować tylko do Innsbruku, gdzie miałem dostać inną eskortę, — przeto zostawiwszy mię pod strażą „ohne Aufsehen“ ajenta, udał się z raportem do Namiestnictwa, z kąd po chwili wrócił z uwiadomieniem, że namiestnik życzy sobie mnie widzieć

Stanąwszy przed namiestnikiem spostrzegłem, że był to hrabia Bissingen, którego poznałem przed rokiem w Frankfurcie. Przywitawszy się ze mną, prosił, bym mu opowiedział moją odyseę, gdyż to, co mu opowiadał Czaslawsky, zdaje mu się nieprawdopodobnem. Powtarzając od czasu do czasu „unglaublich!“, spytał mię gdym skończył, czy jestem kontent z Czaslawskiego, gdyż on prosił, by mię mógł eskortować do Meranu i to bez ajenta, jako całkiem niepotrzebnego, przez co oszczędziłby koszta jego utrzymania. Oddawszy p. Czaslawskiemu całkowite uznanie, pożegnałem namiestnika i powróciłem z moim aniołem stróżem, który otrzymawszy pozwolenie eskortowania dalej do Meranu nie posiadał się z radości. — Do hotelu, gdzie pan Czaslawsky postanowił przenoćować, zameldowawszy siebie jako graf Czaslawsky, a mnie jako Dr. Z. Leibarzt — oczywiście: „um kein aufsehen zu machen.“ Pan Czaslawsky miał carte blanche co do kosztów mego utrzymania, piliśmy tedy przy kolacyi szampana, na drugi dzień w drodze spożyliśmy dobry obiad, a pod wieczór stanęliśmy w Meran, gdzie udaliśmy się zaraz do Starostwa (Bezirkshauptmanschaft). Gdy miałem zostawać pod dozorem policyjnym, zapytał mnie pan Bezirks-hauptman gdzie będę mieszkał? a gdy odpowiedziałem że jeszcze nie wiem, poradził mi zamieszkać w hotelu „zur Sonne“ (znowu zur Sonne) niedaleko Starostwa położonym, gdzie można mieć dobre a nie-drogie mieszkanie z table d'hotem, miesięcznie. Poleciwszy mi, bym się z obrębu Meran nie wydałał, przydał

mi jakiegoś sługusa, by mnie w hotelu „zur Sonne“ dobrze umieścił.

Pan Czaslawsky czule mię pożegnał a ja udałem się do wskazanego hotelu, w którym dano mi na 1. piętrze ładny narożny pokój za 5 fl. miesięcznie z usługą!

Nota bene 5 fl. waluty bawarskiej, wedle której austriacki reński monetą konwencyjną wart był 1 fl. 12 kr.

1849  
Tak tedy 16. sierpnia przestałem być aresztantem, a zostałem internowanym. Objąwszy w posiadanie mój pokój, kazałem sobie podać rekwizyta do pisania. Napisałem list do Lwowa do Kabata, by mi przysłał moje suknie i bieliznę; drugi list napisałem do ministra sprawiedliwości Bacha z zażaleniem na bezprawia, których na mej osobie się dopuszczano, pozbawiając mnie wolności przez 16 dni i wywoząc bez orzeczenia sądowego do innej prowincyi. Rzeczy moje otrzymałem za 20 dni, pocztą bowiem z Meranu do Lwowa szła 9 dni; oddano je w Starostwie, gdzie zażądano odemnie kilkanaście reńskich należności pocztowej. Odmówiłem przytaczając za powód, że przewóz tych rzeczy nicby nie był kosztował, gdyby mi byli pozwolili wziąć je z sobą, gdy mię ze Lwowa wywieziono. Pan Bezirkshauptman zapytał tedy w Innsbruku co ma robić? i otrzymał odpowiedź, by należność pocztową zapłacił na rachunek skarbu, a mnie wypłacał 1.30 kr. M. k. dziennie na utrzymanie.

Co się zaś tyczy zażalenia mego do ministra Bacha, na to nie otrzymałem dotąd odpowiedzi. Nie urgowałem, bo mi w Meran było dobrze. Po jakimś czasie przybył tam Garnysz, kapitan w. p. z r. 1831, później przyjechało kilka familii polskich z Kongresówki (gubernatorowa Rądowska, pani Białoskórska ze szwagrem i panią Stańską, pani Walewska, pan Lebowski z córką) w miłym ich towarzystwie spędziłem tam jesień i zimę, nareszcie w maju 1850r. otrzymałem z Namiestnictwa tyrolskiego paszport do powrotu do Lwowa i 100 fl. na koszt podróży, a w pierwszych dniach czerwca stanąłem we Lwowie, gdzie zaraz wstąpiłem do kancelaryi Smolki jako koncypient.

Po jakimś czasie dowiedziałem się tu o losie mego zażalenia do Bacha z Meran <sup>17/8</sup> 1849 wysłanego. Bach zażądał wyjaśnienia od komenderującego Hammersteina, ówczesnego

Gewaltigera w Galicyi. Ten zażądał ze swej strony wyjaśnienia od policji, potem od sądu karnego, nareszcie od gubernatora, a gdy znikąd wyjaśnienia, dlaczego mnie wywieziono i w Tyrolu internowano nie otrzymał, przed Bachem zaś przyznać, iż nie wie, dlaczego to się stało, nie śmiał, więc nic nie odpowiedział, a ja byłbym Bóg wie jak długo jeszcze siedział w Meran, gdyby nie przypadek, że Hammerstein otrzymał inne przeznaczenie, a następca jego przeglądając niezafatwione „kawałki“ natrafił na odezwę Bacha mej osoby tyczącej się, a od 10. miesięcy na załatwienie czekającą. Załatwił ją też radykalnie, posyłając mi na ręce namiestnika Tyrolu paszport do powrotu do Lwowa.

1851

1852

W r. 1851 straciłem w jednym tygodniu matkę i ojca. W r. 1852 stawiono mnie z powodu znalezionej u panny Różyckiej przy jej aresztowaniu za sprawę Goslara, mej korespondencyi z nią, tyczącej się kupna Bilcza przez ks. Leona Sapiehę, przed sąd wojenny. Zostałem, wyrokiem ogłoszonym uroczyście przy odgłosie bębna, uznany za niewinnego; pozwolono mi zaraz odejść do domu, zabranych wszakże przy aresztowaniu papierów, między którymi znajdowały się akta Deputacyi z r. 1848, nie oddano mi, — przepadły! Ponieważ całej tej awantury powodem chociaż tylko pośrednim, była sprzedaż Bilcza, wspomnę tu o niej, i bez tego jest dość ciekawą.

Dobra Bilcze, majątek niegdyś Potockich, należący do Teodora i Juliusza Potockich, tudzież dwóch ich sióstr Nakwawskiej i Różyckiej, mieszkających z mężami na emigracyi, sprzedane zostały przyjacielowi, byłemu plenipotentowi ich domu, panu Kozickiemu. Teodor i Juliusz Potoccy odebrawszy swe schedy, przenieśli się do zabranych krajów, schedy pań Nakwawskiej i Różyckiej po 3000 dukatów zostały przy kupicielu, który zobowiązał się kwoty te na kupionych dobrach zahipotekować.

Nie uczynił tego wszakże. W r. 1850 pojawiła się choroba na kartofle, wskutek czego nabywca Bilcza niemogąc odstawić sprzedanych naprzód 80.000 garcy okowity, przyznał kupcowi tytułem odszkodowania po 1 fl. za garniec i wydał mu na to dokument, który tenże na Bilczy zaprenotował. Wtedy dopiero panie Nakwawska i Różycka powiadomione przez kogoś znajo-



mego postarały się od siebie o zahipotekowanie swych sched, a gdy zaraza ziemniaków powtórzyła się i w następnym roku, przez co właściciel Bilcza stał się niewypłacalnym, przyszło do przymusowej sprzedaży tych dóbr, przy której kupił je ks. Leon Sapieha za bezcen, bo za sto kilkanaście tysięcy. Przy rozprawie z wierzycielami, egzekut K.... (Kozicki) przyznał płynność wyż wspomnianej pretensyi wódczanej 80.000 fl. (złe języki mówiły że pod warunkiem, iż jakąś część tej sumy od wierzyciela otrzymał) przez co schedy owych pań nie znalazły pokrycia w cenie kupna. Zdaje się, że te panie udawały się do księcia Leona, lecz bezskutecznie. Otrzymałem bowiem od pani Nakwawskiej, którą znałem tylko z nazwiska, list ze Szwajcaryi z prośbą, bym załączony, niezapieczętowany do ks. Leona adresowany list przeczytał, potem zapieczętowany oddał księciu, a o rezultacie doniósł panie Różyckiej w Krakowie. W liście do ks. Leona, znajdował się po wytknięciu, że kupił Bilcze za bezcen, ze szkodą żony emigranta i sieroty po emigrancie, ten straszny frazes: „postępujesz jak owi żydzi z Tarnowa, którzy zrabowane podczas rzezi kosztowności za bezcen kupowali.”

List ten wręczyłem księciu, a po niejakim czasie zawiadomił mnie jego adwokat, iż pani Nakwawskiej ma polecenie posłać 3000 fl. banknotami. O tem doniósłem panie Różyckiej, a na zapytanie, czy i ona nie mogłaby coś otrzymać, dałem jej jakieś wskazówki: list ten mój, gdy tymczasem pannę Różycką areztowano, został przejęty i stał się powodem rewizyi w mojem mieszkaniu i stawiono mnie przed sąd wojenny. !!!

Wojna wschodnia 1854, mimo że Austria stała po stronie państw prowadzących wojnę z Rosyą, nie wywołała żadnego ruchu powstańczego dzięki dwuznaczności polityki mocarstw zachodnich i brakowi stanowczości ich zamiarów względem Rosyi. Od emigracji mającej bezpośrednio styczność z rządem Napoleoną nadchodziły do kraju wprost sprzeczne rady, i wskazówki; stronnictwo Czartoryskiego przekonane, że odbudowanie Polski nastąpić musi w drodze dyplomatycznej, potępiało wszelki ruch zbrojny, podczas gdy stronnictwo demokratyczne, którego przewodzcami byli Mierosławski i Wysocki, uważając zbrojne powstanie za jedyny środek wskrzeszenia Polski nie-

podległej, usiłowało wywołać w Polsce ruch zbrojny. Rząd zaś austriacki zachowaniem się swoim względem nas, zadawał kłam krążącym od czasu do czasu wieściom, jakoby sprzyjał sprawie polskiej. By więc z naszej strony postawić rzecz jasno, udali się Aleksander Dzieduszycki i Włodzimierz Młocki do Paryża z pisemną instrukcją, do której ułożenia i ja się przyczyniłem, oświadczenia komu należy, że się kraj nie ruszy, chyba że zobaczy na ziemi polskiej kilkadziesiąttysięczną armię francuską, pod której skrzydłami powstanie zbrojne organizować by się mogło. Armia taka niepokazała się i Polska pozostała spokojną przez cały czas wojny Krymskiej, za którą zresztą biedna Galicja zapłaciła znacznym przyczynkiem do tak zwanej dobrowolnej pożyczki 5set milionowej, na którą każda gmina czy chciała, czy nie chciała subskrybować musiała.

Inaczej stało się w zabranych krajach. Tam, a szczególnie między liczną młodzieżą polską uniwersytecką w Kijowie, wojna ta rozbudziła uczucie patryotyczne — zwłaszcza, gdy ruch chłopów na Ukrainie, skierowany wyłącznie przeciw rządowi rosyjskiemu i trwający kilka miesięcy, dał dowód, że lud ukraiński nienawidzi tego rządu i że przy zręcznem z nim postępowaniu możnaby go pociągnąć do zbrojnej akcji przeciw Rosyi. — Ruch patryotyczny, który między tą młodzieżą powstał, nie miał pierwiastkowo cechy rewolucyjnej, był on raczej reakcją przeciw apatii, która po rozchwianej nadziei odzyskania niepodległości przez mocarstwa zachodnie, ogarnęła była część inteligencji polskiej, rodząc nawet w niektórych myśl  pogodzenia się z Rosyą. Tendencją młodzieży uniwersyteckiej było kształcenie się w kierunku narodowym i utrzymanie ducha patryotycznego, wiary w ślusznosc i ostateczne zwycięstwo sprawy naszej.

Po dwóch latach wpływ młodzieży tej był tak wielki, że społeczeństwo polskie w zabranych krajach już się z nim liczyć musiało, a mianowicie przy rozwiązaniu kwestyi włościańskiej, do której rząd rosyjski wówczas przystąpił wskutek inicjatywy szlachty polskiej na Litwie, która to w r. 1856, podała do cara Aleksandra II prośbę o uwolnienie włościan od poddaństwa. Wpływ ten młodzieży rósł potem ciągle, zaczął moralnie terory-

zować wszystkich i popchnął nareszcie do powstania nieobmyślanego i nieprzygotowanego.

Ruch młodzieży w zabrzanych krajach zaczął się w r. 1859 przenosić do Warszawy przez młodzież wracającą z Uniwersytetów rosyjskich. Warszawa bowiem nie miała Wszechnicy. Zawiązały się zaś zaraz dwa koła: jedno, pod przewodnictwem Jurgena i Gołemberskiego postawiło sobie za zadanie zachęcać młodzież do pracy i przez szerzenie oświaty w narodzie działać na jego odrodzenie. Drugie, pod przewodnictwem Jankowskiego, dymisyonowanego oficera rosyjskiego i malarza Nowakowskiego przyjęło od razu cechę konspiracji politycznej. Wpływ ten kół był z początku bardzo mały, zwłaszcza, gdy Towarzystwo rolnicze jednoczyło w sobie całą szlachtę. Wojna wszakże włoska 1859 r. i zainaugurowana zasada jednoczenia narodowego we Włoszech, wywołując ogromny zapal w Polsce, zwiększyły znaczenie i wpływ ludzi stojących po stronie Jankowskiego, który wnet wszedł w stosunki ze stronnictwem rewolucyjnym na Emigracji. Stronnictwo Jankowskiego czyli stronnictwo ruchu postanowiło popchnąć ludność warszawską do patryotycznych manifestacji. Pierwsza taka manifestacja odbyła się podczas pogrzebu wdowy po generale Sowińskim. Niezliczona ilość ludu towarzyszyła temu pogrzebowi zachowując się jak można najspokojniej, co było tak imponującym, iż Moskale stracili głowę tak, że ani przeszkadzali tej manifestacji, ani uczestników nie pociągali do odpowiedzialności, co aranżerów manifestacji uczyniło tem śmielszymi. Wiec gdy w miesiąc potem ziechali się w Warszawie car, cesarz austriacki i król pruski, urządono manifestację ostrzejszego charakteru i monarchów gdzie się pokazali, przyjmowano ponurem milczeniem, gdzieniegdzie ubliżającym wykrzyknikiem; w teatrze przed rozpoczęciem przedstawienia galowego wylano kilka flaszek assafetidy, a paniom jadącym do teatru oblewano suknie kwasem siarczanym. Zjazd ten cesarza i króla pruskiego, mający jak twierdzono na celu porozumienie się, jak stłumiać ducha polskiego, nie doprowadził podobno do żadnych dodatnich rezultatów, miał wszelako ten niezawodnie niezamierzony wynik, iż wpływ stronnictwa ruchu w Polsce spotężniał. Rząd francuski bowiem lękając się zawiązania przy tym zjeździe na nowo ś. p. świętego przymierza, wszedł ostentacyjnie przez księcia Płon - Płon z rewolucyjną

1859

1859

partyą emigracyi w stosunki, co kraj, gdy się o tem dowiedział, wziął za wskazówkę, iż Rząd francuski sprzyja ruchowi w Polsce; — naturalnem tego następstwem było wzmocnienie wpływu stronnictwa ruchu, a upadek stronnictwa pracy organicznej Jurgensa.

1860  
W tym samym miesiącu ogłoszono w Austrii t. z. dyplom październikowy z r. 1860., uchwalony przy współdziałaniu zwolonej po ukończeniu wojny włoskiej t. z. wzmocnionej Rady Państwa i przedłożony cesarzowi do sankcyi, przez Ministerstwo, na którego czele stał Agenor Gołuchowski. Dyplom ten zapowiadał ukonstytuowanie Austrii, na podstawie praw historycznych, więc gdy po ustąpieniu Gołuchowskiego i powołaniu na jego miejsce Schmerlinga, rząd zajął się ułożeniem konstytucyi, postanowiono wysłać do Wiednia deputacyę, celem przedłożenia rządowi życzeń i uprawnień kraju. Ze Lwowa wyjechali między innymi Smolka i Adam Sapieha, a w Krakowie miał się przyłączyć Adam Potocki i kilku tamtejszych obywateli. Sapieha pierwszy przybył do Krakowa, a ponieważ Koło obywateli, którzy wysyłali deputatów lwowskich, uchwaliło nie dopuszczać do jakichbądź manifestacyi, by nie dać władzom powodu przeszkodzenia deputacyi w udaniu się do Wiednia, Sapieha trzymając się tej uchwały wyprosił się od owacyi, które mu w Krakowie chciano urządzać i jak najsilniej perswadował, by deputacyi żadnych nie urządzone owacyi; na drugi dzień przybył do Krakowa Smolka i bez ceremonii przyjmował wyprawiane mu owacye i dziękował za nie, co w warstwach demokratycznych fałszywe rzuciło światło na Sapiehę, posądzano go bowiem, że tylko dlatego odradzał od demonstracyi, by Smolce nie urządzone owacyi. Powstały ztąd naturalnie kwasy w deputacyi, spór o to kto jej w Wiedniu ma przewodniczyć; ostatecznie wróciła deputacya z niczem, został w Wiedniu tylko Smolka, by ze Stratimirowiczem, ex-jenerałem Jelacziczowskim, układać plan federacyi austriackiej, podczas gdy w kraju zaczęto spuszczać szarawary w cholewy, zastępywać cylindry konfederatkami i przyodziewać się czamarkami.

Tymczasem agitacya rewolucyjna, ograniczająca się z początku na młodzieży z klasy średniej, rozszerzyła się w Warszawie pomiędzy masą robotniczą. Moskwa widząc, że szlachta stoi

51  
całkiem na uboczu, a przytem starając się wówczas zbliżyć do Francyi, nie stawiała żadnych stanowczych przeszkód rozwojowi tej agitacyi. Dopiero przy końcu lutego 1861. połała się krew na bruku warszawskim.

Stronnictwo ruchu postanowiło obchodzić demonstracyjnie 25. lutego rocznicę bitwy pod Grochowem. W przeddzień już gromadził się lud na rynku w znacznej ilości, śpiewając pieśni patryotyczne. — Żandarmerya rozpędzała tłumy bez rozlewu krwi. Na drugi dzień odprawiono żałobne nabożeństwo w katedrze za poległych pod Grochowem. Tłumy niezliczone napełniały kościół, plac przed katedrą i przyległe ulice. Wojsko stojące w szyku bojowym przed katedrą, zachowywało się biernie, lecz gdy po ukończonem nabożeństwie wyszła z kościoła procesya z krzyżem i chorągwiami, śpiewając pieśni patryotyczne, dowódca kazał zabębnić i wezwał lud do rozejścia się. Lud ukląkł i śpiewał dalej, modląc się. Po powtórnem, daremnem wezwaniu do rozejścia się, dano ognia do zbitej masy ludu i puszczono nań kozaków i czerkiesów; lud oporu nie stawiał, śpiewał dalej i modlił się, — był to więc mord bezbronnych, oburzający nawet niektórych moskali, do tego stopnia, iż rotmistrz gwardyi baron Korf przed frontem szwadronu, któremu kazano iść do szarży, wystrzałem z pistoletu odebrał sobie życie, nie chcąc być uczestnikiem w mordowaniu kobiet i dzieci modlących się. !!!

Podczas, gdy to się działo przed katedrą, Towarzystwo rolnicze nie biorące udziału w manifestacyi, obradowało nad jakimiś sprawami gospodarskimi; wtem wnoszą do sali obrad ciężko rannego Narzymkiego, członka Towarzystwa, który z wysiłkiem ledwie mógł zawołać: Panowie! wy tu obradujecie nad gnójem, a tam się leje krew bezbronnych. Zelektryzowane temi słowy zgromadzenie, zawoławszy jednogłośnie: „Idźmy dzielić los rodaków“, wyszło in corpore na ulicę. Gdy o tem dano znać namiestnikowi ks. Gorczakowowi, kazał tenże wojsku opuścić miasto i skoncentrować się w cytadeli.

Ustąpieniem tem, dajacem się tłumaczyć chyba zgrzybiałością (miał bowiem 85 lat) i niedołęstwem ks. Gorczakowa, dodali moskale ludowi warszawskiemu otuchy, i rozbudzili zapał nawet w tych, którzy dotąd stronili od wszelkich manifestacyj.

Prawie równocześnie z wieścią o tem krwawem zajściu w Warszawie, ogłoszoną została Konstytucya Lutowa czyli Schmerlingowska. Na wieść o mordach warszawskich przywdział cały kraj żałobę, a panie nasze przez dwa lata w czarnych chodzify strojach. Konstytucya też Lutowa nie wzbudzała żadnych uczuć, o prawach historycznych narodów Austryę składających, o których wspominał dyplom październikowy, nie było w niej śladu. W duchu centralistycznym ułożona, krajom zostawiła, jak powiedział Leszek Borkowski, łatanie dziur w mostach i zaopatrywanie chorych po szpitalach.

1860

1861

Po tej wycieczce na pole spraw ogólnych, wracam do mojej osoby. Nie mogąc mimo powtórnego podania o posadę adwokata uzyskać takowej, gdyż mnie władza polityczna ciągle kwalifikowała „politisch verdächtig“, wstąpiłem w r. 1860 do założonej właśnie we Lwowie Filii c. k. uprzywilejowanego austr. Zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu, jako doradca prawniczy (Rechts-Consulent); dzięki protekcji 1-go dyrektora tego zakładu Hornbostla, byłego ministra finansów w r. 1848 i jeneralnego sekretarza Dra Brestla, posła z 1848 a późniejszego ministra finansów w r. 1867. W r. 1861, prowadziłem pierwszą agitację przedwyborczą we Lwowie, przemawiając na strzelnicy, w sali teatru Skarbka, gdzie udaremnił zgromadzenie przedwyborcze urzędnicze pod przewodnictwem prezydenta apelacji Strojnowskiego, w ratuszu, w pałacu ogrodu Jezuickiego, w temple żydowskim i w cyrku — i zostałem wybrany posłem na sejm wraz z Leszkiem Borkowskim, Smolką i Dubsem. Na tym sejmie wybrano mnie z kuryi miast członkiem Wydziału krajowego, do którego weszli wówczas prócz mnie: Krzczunowicz, Krański Maurycy, Pietruski, Smarzewski i Ławrowski. Z prac moich z owego czasu znajduje się (?) w aktach Wydziału kraj. projekt zmiany statutu kraj. i ordynacyi wyborczej — nie obradowano nad nim w Wydziale, a może go dawno już Bojkom sprzedano...

W październiku 1861 założyłem z Hefernem, Dolańskim i Hubickim, Dzieduszyckim Aleksandrem, Smolką i innymi przyjaciółmi politycznymi „Dziennik polski“ i byłem jego współ-

1862

pracownikiem aż do jego zawieszenia we wrześniu 1862. Aban-court jako redaktor odpowiedzialny, Kostecki Platon, Błotnicki, Lam, Rewakowicz należeli do składu redakcji. Smolka, Hefern i ja stanowiliśmy dyrektve. (7).

W sierpniu tegoż roku jeździłem za wezwaniem Jurgensa warszawiaka, do Wiednia, gdzie miał przybyć także książę Adam Sapieha, Chrzanowski i Smolka, celem porozumienia się co do postępowania wobec wzmagającego się ruchu w Warszawie i co do jednostajności prac organicznych, lecz Smolka nie przybył „przeszkodzony“ drenowaniem Morszyna, a Jurgens nie mógł przybyć, bo go uwięziono. Zamierzona więc konferencya nie przysłała do skutku. Natomiast zebraliśmy się we Lwowie w jesieni tegoż roku, ja, Smolka, Adam Sapieha i Aleksander Dzieduszycki, celem umówienia wspólnego działania „w kwestyach ogół obchodzących“ i zobowiązaliśmy się słowem honoru iż żaden z nas na własną rękę działać nie będzie. Zastrzeżenie to uczyniono z powodu znanej nieufności księcia Adama, który zamiarkowawszy to, dodał od siebie: „a, ktoby niedotrzymał słowa, ma ustąpić raz na zawsze z areny politycznej, lub poderznąć sobie gardło w tranzejcie.“ Po wybuchu powstania styczniowego 1863, ja, Smolka, Adam Sapieha i Aleksander Dzieduszycki, zawiązaliśmy komitet w celu niesienia pomocy powstaniu, z zastrzeżeniem niedopuszczenia żadnych ruchów w Galicyi i nieuznania w Galicyi warszawskiego Rządu narodowego.

!!!

1863

Po usunięciu Aleksandra Dzieduszyckiego z komitetu, przybrano w jego miejsce Artura hr. Gołuchowskiego. Tymczasem zawiązał się w Krakowie komitet z ramienia warszawskiego Rządu narodowego. (Benoë, Baum, Haller Cezar, Tarnowski Stanisław, Rogawski), we Lwowie też p. p. Kaczkowski, Radakowski Zygmunt, zawiązali komitet stojący pod rozkazami warszawskiego Rządu, a względnie komisarzy przez ów Rząd wysyłanych do Galicyi; jednym z takich komisarzy był Maryan Sokołowski. Nasz komitet poustanawiawszy w obwodach wschodniej Galicyi delegatów, wybierał przez nich podatek narodowy od właścicieli dóbr ziemskich (3% od podatku gruntowego) i zaopatrywał

na granicy, formujące się oddziały ochotnicze w broń i odzież; oddając oddziały do rozporządzenia Rządowi narodowemu.

Po wstąpieniu oddziału Langiewicza do Galicji, wystąpił Smolka z komitetu, ponieważ — jak utrzymywał, — powstanie nie ma widoku udania się, a więc komitet nie ma nadal racji bytu. W miejsce jego powołano do komitetu Antoniego hr. Golejewskiego; Smolka zaś, sprosił kilkunastu wybitnych ludzi, tak z prowincyi jako też z miasta do swego mieszkania i przedstawiwszy, że dotychczasowy komitet był „samozwańczym,” zaproponował, by każdy z obwodów „wybrał” delegata, a ciby „wybrali” komitet wykonawczy. Propozycja ta napotkała na opozycję i zgromadzeni rozeszli się nic nie postanowiwszy.

Na wiosnę przybył do Lwowa generał Wysocki i poruszył myśl rzucenia paru oddziałów na Wołyń i Podole rosyjskie. Komitet sprowadził kilkaset karabinów z Belgii i ukrył je nad granicą w lasach łopatyńskich, oddziały zaczęły się formować (po większej części z uciekinierów z pod Jeziorańskiego, Lelewela etc) jeden w żółkiewskim, który miał prowadzić hr. Komorowski, drugi koło Brodów, który miał prowadzić sam generał Wysocki, trzeci koło Radziechowa, pod Barytowem, miał prowadzić Miniewski, czwarty w czortkowskim, którym się zajmował Artur Gołuchowski. Oddziały te miały przejść granicę równocześnie, tymczasem oddział czortkowski, który miał wkroczyć na Podole rosyjskie, nawet się nie zebrał; oddział Komorowskiego na granicy, spotkawszy ją obsadzoną przez uprzedzone wojsko rosyjskie, rozsypał się; oddział barytowski, otoczony przez wojsko austriackie złożył broń i poszedł w rozsypkę; oddział Wysockiego przekroczył granicę i wpadł do Radziwiłłowa, gdzie straciwszy w utarczkach ulicznych sporo ludzi, cofnął się do Galicji i poszedł w rozsypkę porzuciwszy broń.

Chcąc widzieć jak wygląda obóz powstańczy, pojechałem gdy się zbliżał dzień przejścia granicy przez oddziały przeznaczone na Wołyń, do Tadeusza Wasilewskiego, którego majątek Sieńków graniczy z Borytowem, gdzie oddział Miniewskiego miał się zebrać. Wasilewski był komisarzem wojennym tego oddziału, z nim tedy, dnia, w którym oddział miał się zebrać



w lesie borytowskim, rano puściliśmy się bryczką do Borytowa, atoli nimeśmy tam dojechali, zatrzymał nas patrol wojskowy; oficer dowodzący zapytał, dokąd jedziemy i jak się nazywamy? Jedziemy, odrzekł Wasilewski, do domu w Borytówce w odwiedziny i wymienił swe nazwisko, ja będąc ciągle od r. 1850, gdy wrócił z Meran pod dozorem policyjnym, wziętem jadąc do Sięnkowa przepustkę od dyrekcyi policyi, wylegitymowałem się tedy jako członek Wydziału krajowego. Nie było tedy wątpliwości, że ani Wasilewski ani ja nie jesteśmy powstańcami, lecz mogliśmy mieć broń dla powstańców, poprosił nas tedy pan oficer, byśmy pozwolili zrewidować bryczkę; broni nie znaleziono, lecz znaleziono kilka szynek, kilkanaście bochenków chleba, co pan oficer uznał za kontrabandę wojenną; kazano nam więc jechać do karczmy, gdzie była kwatera jego główna, tam pod strażą czekaliśmy z godzinę, aż przybył pan oficer (był to kroat jak się później dowiedziałem), który skonfiskowawszy „kontrabandę wojenną“ i przytrzymałszy jadącego z nami lokaja Wasilewskiego, aż do sprawdzenia tożsamości jego osoby, pozwolił nam odjechać. Udaliśmy się do Borytowa i tam we dworze dowiedzieliśmy się, że oddział powstańczy spostrzegłszy zbliżające się wojsko austr. umknął w kierunku północnym ku Leszniowu, a gdy nam pod wieczór dano znać, że się tam rozszedł, oddawszy część broni austryakom, wróciłem do Lwowa.

Gdy tam po niejakiem czasie przybył Wasilewski jako komisarz wojenny oddziału Miniewskiego, zaczął układać raport o dziejach tego oddziału, wpadła doń rewizya i zaprowadzono go, zabrawszy wszystkie papiery, do więzienia. Wkrótce potem uwięziono księcia Adama i zaczęły chodzić wieści, że ja także mam być uwięzionym, jakoż w pierwszych dniach lipca zjawił się u mnie radca kryminalny, czech — nazwiska zapomniałem — z aktuaryszem i okazawszy rozkaz sądowy zrobienia u mnie rewizyi domowej, dokonawszy ją i spisawszy protokół, poprosił mnie ze sobą, chociaż nic kompromitującego nie znalazł. Dostałem się więc znowu do Karmelitów i dziwnym przypadkiem zamknięto mnie w tej samej co r. 1841. kaziencie, pod Nr. 44. Ze śledztwa okazało się, że pan oficer zaraportował, iż mnie arestował jadącego do Borytowa; to przyznałem; w papierach zaś Wasilewskiego znaleziono wzmiankę o dowożącym oddzia-

*lipca 1853*

*4 mar*

*1853 - 11 1855 rewizyjny*

łowi broń Z., z czego sędzia śledczy konkludował, że tym Z. byłem ja, i że byłem komisarzem wojennym przy oddziale Miniewskiego, i mimo zaprzeczenia z mej strony, chcąc po ucieczce Sapielhy z więzienia i po zaprowadzeniu sądów wojennych, zasądzić jakąś „większą rybę“, zasądzono mnie w czerwcu 1864 na 3 lat więzienia na fortecy, motywując wyrok z biegiem okoliczności, że byłem w miejscu zbierania się oddziału powstańczego, że w mojej (?) bryczce znaleziono żywności „widocznie“ do powstania przeznaczone, że byłem za zbrodnię stanu na śmierć skazany, że mimo ułaskawienia trwałem przy „ultra polnischen Gesinnungen“, jak to świadczy moje wywiezienie do Meranu w r. 1849 i stawanie przed sądem wojennym w r. 1852 a więc i teraz „niewątpliwie brałem udział w ruchu powstańczym, a gdy w kraju zajmowałem wybitne stanowiska, więc i udział ten musiał być wybitnym“.

W parę miesięcy po mojem uwięzieniu poderznał sobie Smolka gardło — i tylko przypadek, że właśnie w tej chwili synowiec jego Stanisław Smolka, przybyły ze wsi zaczął go szukać po pokojach a nie znalazłszy go, dowiedział się w kuchni, że poszedł do tranzetu, tamtędy przechodząc, usłyszał charczenie, uratował go od śmierci samobójczej. Powodem targnięcia się na życie, była fiksjacya, iż zostanie żebrakiem.

Przyszedłszy po kilku miesiącach do zdrowia i odebrawszy z depozytu sądowego sumę 40000 fl. z ceny sprzedaży dóbr Szwajkowce nań przypadłą, zaczął grać na giełdzie i wygrał w krótkim czasie przeszło 60000 fl. Nazajutrz po odczytaniu mi wyroku, dowiedziawszy się od Kabata, iż zamyslałem odwołać się do wyższego Sądu wojskowego, odwiedził mnie w więzieniu (poraz pierwszy i ostatni w czasie mego uwięzienia). Zapewnił mnie, iż odwołanie się moje będzie bezskutecznem i zwróciwszy moją uwagę, że ze względu iż zostaliśmy skazani na niepodzielne ponoszenie kosztów, mogą mój depozyt przeszło 15000 fl. wynoszący w Filii zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu skonfiskować, zaproponował bym do Filii napisał, aby ten depozyt jemu wydali, od którego on będzie mi płacił 8%, co mu zresztą nie robi żadnej różnicy, gdyż on winien Filii pieniądze od których płaci 8%, moim więc depozytem, spłaci odpowiednią

sumę swego długu. Przystałem na propozycję i napisałem do Fillii, by mój depozyt wydano Smolce, który przegrawszy potem swoje pieniądze i obce depozyta, blisko 300.000 fl. wynoszące, dopiero po przeprowadzonym procesie polubownym i po przymusowej sprzedaży majątków ziemskich, w r. 1876, za opustem części przyznanych mi procentów 5%, zwrócił mi pieniądze powierzone mu na jego żądanie, bez świstka papieru z jego strony.

Mimo zapewnień Smolki, że odwołanie się do wyższej instancyi nie odniesie skutku, wniosłem takowe i aczkolwiek rzeczywiście skutku nie odniosło, miało przynajmniej tę korzyść, że mnie za kaucyą 10.000 fl., którą poczciwy Hefern złożył, puszczono na wolność, aż do nadejścia decyzji wyższego Sądu.

Po sześciu tygodniach zatwierdzono w Wiedniu wyrok sądu lwowskiego, a gdy mnie objęły napowrót mury Karmelickie, Helenka nic mi nie mówiąc, pojechała do Wiednia i uzyskawszy audyencyę u cesarza, przywiozła mi zamianę więzienia fortecznego, na więzienie w Brygitykach we Lwowie, gdzie mi z powodu ciężkich cierpień reumatycznych, wyznaczono osobny pokój w szpitalu.

W listopadzie 1865. wypuszczono mnie z więzienia, a gdy dyrekcya Zakładu kredytowego nie obsadzała mego miejsca podczas trwania mego więzienia, objąłem je na nowo.

Na wiosnę 1866, zamierzili Ludwik Wodzicki i Stanisław Tarnowski wydawać miesięcznik „Przegląd Polski“, na wzór Revue de deux Mondes i wezwali mię, bym napisał jaki artykuł do mającego wychodzić „Przeglądu“. Uczyniłem zadość ich życzeniu, a oni raczyli umieścić moją pracę pod tytułem „Nasze zadanie w obecnem położeniu“, na czele owego wydawnictwa.

Wkrótce potem rozegrały się losy austriackiej supremacyi w Rzeszy niemieckiej, bitwą pod Sadową. Roboty dyplomatyczne odnoszące się do wojny 1866, wyjaśnia poniekąd „Ricasolis Briefwechsel“.

Po zawartym w Wiedniu pokoju, opuszczono mi za wstawieniem się Kazimierza hr. Starzyńskiego, prawne następstwa kary, poczem wkrótce wybrany zostałem przez miasto Stanisławów posłem na Sejm krajowy. Przy nowych wyborach do

po 57 r. 01.

1865

1866

!

1867

Sejmu 1867, wybrany zostałem posłem z miasta Lwowa, a przez kurę wiejskich posiadłości, członkiem Wydziału krajowego. A gdy po wyjściu ces. patentu, zwołującego Radę Państwa, celem rewizji lutowej (Schmerlingowskiej) konstytucji, rozeszła się wieść, iż niektórzy panowie krakowscy, porozumieli się z Czechami obiecawszy im, iż Sejm nie wysle delegacyi do Rady Państwa, tak samo jak to Czechy postanowiły, wysłał mnie Wydział krajowy do Krakowa a względnie do Wiednia, gdzie się mieli zebrać owi panowie krakowscy z wysłannikami Czech, Morawy, Tyrolu i południowych Słowian — i polecił mi oświadczyć tamże, że Sejm galicyjski z pewnością wybierze delegacyę do Rady Państwa.

Gdy przybyłem do Krakowa, wysłannik Czech, Zeithammer, odjechał był właśnie do Wiednia z zapowiedzią panów krakowskich, iż tam z pewnością na zapowiedziane zgromadzenie przybędą. Wywiązawszy się wobec tych panów z danego mi przez Wydział krajowy zlecenia, by zdanie moje, a raczej przekonanie tem silniej utwierdzić, zawezwałem do Krakowa telegraficznie Grocholskiego, który z Krakowem w przyjaźniejszych niż ja stał stosunkach, a gdy tenże zdanie moje potwierdził, zapadła uchwała, iż panowie krakowscy razem ze mną, Grocholskim udadzą się na zjazd do Wiednia, lecz że tam wszyscy zgodnie oświadczymy że sejm galicyjski do projektu nieobesłania Rady Państwa przystąpić nie może, — tak się też stało. Wtedy hr. Henryk Clam Martinitz odczytał projekt adresu, który sejm czeski uchwalił zamierzał, a w którym znajdował się ustęp odmawiający mającej się zebrać w Radzie Państwa kompetencyę, uchwalenia czego bądź z mocą obowiązującą, wezwał nas abyśmy przynajmniej adres w podobnym duchu przeprowadzić w sejmie naszym starali się. Nie dawszy żadnego pod tym względem przyrzeczenia, wróciliśmy do kraju.

W sejmie naszym, wobec stworzonej reskryptem zwołującym Radę państwa nowej sytuacji politycznej, bez adresu do korony obejść się nie mogło; wybrano też komisję ad hoc, w skład której weszli między innymi Adam Potocki, Krzeczułowicz, Smarzewski i ja; komisya wybrała referentem Krzeczułowicza, który przedłożył wniosek składający się z dwóch punktów: 1. sejm uchwali adres do korony, 2. wybierze delegatów

do Rady państwa W projekcie adresu obok wyliczenia dezyderatów kraju, umieścił wnioskodawca zastrzeżenie, że uchwały Rady państwa nie mają mieć mocy obowiązującej. Przy dyskusji nad tym projektem adresu, obstawałem za opuszczeniem tego zastrzeżenia jako sprzecznego z resztą treści adresu, bo po cóż stawiać dezyderata, jeżeli odnośne uchwały nie mają mieć mocy obowiązującej? Zostałem w mniejszości, lecz gdy z rana dnia, w którym wniosek komisji adresowej stanął na porządku dziennym, Krzeczunowicz prezesowi komisji Potockiemu listownie oświadczył, iż zachorowawszy nie może przyjść na posiedzenie Izby, — komisya w ostatniej chwili poleciła mnie referat. Trudne, to było dla mnie zdanie, dlatego wstąpiwszy na trybunę, zaraz zaznaczyłem, że referować będę elaborat cudzy, a gdy przyszedł do ustępu zawierającego zastrzeżenie co do mocy obowiązującej uchwał Rady państwa, oświadczyłem, że osobiście jestem przeciwnym temu ustępowi, lecz jako referent komisji przeciw niemu występować nie mogę, przeto rozwazde Izby zostawiam czy zechce go uchwalić lub odrzucić. O późnej godzinie wieczornej skończono dyskusję jeneralną nad adresem.

Na drugi dzień 2. marca, miała się rozpocząć dyskusya specyjalna. Gdy wszedł do Izby, spostrzegłem po minach posłów, że zaszło coś nadzwyczajnego, i nim mi zdołano odpowiedzieć na moje pytanie, zawezwano mię na posiedzenie komisji adresowej, gdzie z niecierpliwością oczekiwano na mnie. Tu się dowiedziałem, że namiestnik otrzymał z Wiednia rozkaz rozwiązania Sejmu, gdyby wiadome zastrzeżenie, co do mocy obowiązującej uchwał Rady Państwa uchwalili, oraz zawiadomienie, że Sejmy czeski i morawski za podobne uchwalenia zostały rozwiązane. Krzeczunowicz był także obecny. Bez dyskusji zgodzono się, że nie można narażać Sejmu na rozwiązanie, lecz co robić? Zaproponowałem, by jak w latach poprzednich, uchwalić protest przeciw centralistycznemu ustrojowi Państwa. Wniosek ten odrzucono; wtem Smarzewski odczytał oświadczenie, iż komisya ze względów politycznych cofa wniosek Adresu; nikt z komisji nie sprzeciwił się, więc dano znać marszałkowi, iż może otworzyć posiedzenie. Gdy po załatwieniu zwykłych formalności dano mi głos, odczytałem z trybuny powyższe oświadczenie komisji, iż cofa

2/3 1874

swój wniosek co do Adresu. Nikt z posłów, wniosku tego nie podniósł. Przystąpiono więc do dyskusji nad projektem Adresu przez Rusinów wniesionym. Po krótkiej z mej strony krytyce, tego w duchu centralistycznym ułożonego adresu, Sejm go odrzucił. Przystąpiłem więc do drugiego ustępu wniosku, t. j. wysłania delegacji do Rady Państwa, polecając go do przyjęcia Sejmowi. Lecz jakież było moje zdziwienie, gdy kilku posłów, o których najmniej tego można się było spodziewać, zgłosiło się do przemawiania przeciw wysłaniu. Jeden tylko Zybliekiewicz poparł mnie, członkowie komisji adresowej milczeli. Po odprawie z mej strony, przystąpiono do głosowania, wniosek wysłania delegacji został przyjęty znaczną większością, gdyż tylko 34 posłów głosowało przeciw, między tymi panowie krakowscy i ich adheranci z zachodniej Galicyi, ze wschodniej zaś Krzczunowicz, Trocholski, Smolka, Janko, Borkowski Leszek, Smarzewski.

Tych, którzy głosowali za wysłaniem delegacji, przewano Mamelukami, Sejm obwiniono że abdykował, mnie nazwano zdrajcą ojczyzny, co wszakże nie przeszkodziło, że pp. Potocki Adam, Wodziccy, Krzczunowicz ubiegali się ostentacyjnie, by ich wybrano do Rady Państwa i zostawszy wybranymi, wybór przyjęli, niby dlatego, by kontrolować w Wiedniu czynności Mameluków.

Przy tych wyborach zostałem także wybranym do Rady Państwa, a na zaczepki Szujskiego w „Przeglądzie Polskim“, odpowiedziałem dwoma listami otwartymi.

Przy zebraniu się Rady Państwa, mianował mnie cesarz drugim wiceprezydentem Izby poselskiej, przy której otwarciu zasiadłem w stroju polskim, obok prezydenta Izby Dra Giskry.

Koło polskie wybrało mnie swym prezesem. Gdy się zbliżał dzień koronacji w Peszcie, panowie krakowscy nie chcieli uczestniczyć w tej uroczystości, uważając ugodę z Węgrami zawartą, tak samo jak „bracia Słowianie“, za szkodliwą. Pojechaliśmy więc, nie jako reprezentanci Koła polskiego, lecz jako posłowie polscy, ja, Czajkowski Jan (wiceprezes Koła) i Zybliekiewicz do Pesztu, gdzie nas z wielkiem odszczególnieniem przyjmowano,

tak dalece, że nas wprowadzono podczas aktu koronacyjnego na trybunę poselską, — a trzeba wiedzieć, że podczas aktu na placu koronacyjnym nikt prócz członków parlamentu węgierskiego znajdować się nie może. Podczas tego pobytu zrobiłem znajomość z ówczesnym ministrem węgierskim Andrassym, co mi się później w interesie spraw krajowych bardzo przydało.

Za czasów ministerstwa Belcrediego uchwalił był nasz Sejm ustawę szkolną, warującą język polski jako wykładowy i ustawę organizującą Radę szkolną krajową. Ustawy te nie były sankcyonowane, aby zas uzyskać sankcye, postanowiło Koło polskie uczynić zawisłem głosowanie nasze za Adresem przez Izbę uchwalić się mającym, od sankcyi tych ustaw, tudzież od uzyskania niektórych koncesyi dla kraju, jako to: języka polskiego jako urzędowego w urzędach i sądach, senatu Najwyższego sądu z siedzibą w kraju. Do traktowania z Beustem w tej sprawie wybrało Koło polskie Krzeczunowicza, Adama Potockiego i mnie; napotykaliliśmy na niemało trudności, ile że ówczesna Rada stanu (Staatsrath) sprzeciwiała się sankcyonowaniu wymienionych wyżej uchwał sejmowych. Lecz Beustowi, który kokietował z Francją — wtedy nam jeszcze przychylną, zależało na tem, aby za wnieść się mającym Adresem głosowali także Polacy. Gdy więc po rozpoczęciu dyskusyi nad Adresem Polacy opuścili salę obrad, Beust poleciwszy ministrowi Hye, by starał się przeciągnąć dyskusyę dopokąd on nie powróci, zawezwał nas trzech do siebie i po długich targach w przytomności Taaffego (ministra spraw wewnętrznych) i namiestnika Gołuchowskiego przyrzekł, wyrobić sankcye uchwał co do szkół i Rady szkolnej natychmiast, — a co do języka urzędowego i Senatu Najw. Trybunału sprawiedliwości popierać przy bliższem rozpatrywaniu tych spraw, nasze żądania. Wróciwszy do parlamentu i oznajmiwszy czekającym na kurytarzu kolegom o wyniku konferencyi, zapytaliśmy czy wobec tego wyniku Koło polskie ma głosować za Adresem, czy też trwać przy abstynencyi. Wszyscy, prócz Krzeczunowicza oświadczyli się za głosowaniem, weszliśmy więc do sali obrad in gremio, poczem Hye, który, jak się dowiedzieliśmy, już przeszło godzinę chwalił Adres, zaraz zakonkludował swój panegyrik i przystąpiono do głosowania

Po wniesieniu przez Rząd projektu zmiany konstytucji lutowej i wniosku o deputacyi regnikolarnej dla ułożenia Ugody z Wegrami, wybrany zostałem przez Izbę do deputacyi ugodowej, w której także ks. Leon Sapieha, wybrany przez Izbę Panów zasiadał. Z Polaków nikogo więcej w tej deputacyi nie było. Do komisji konstytucyjnej wybrała Izba z posłów polskich Krzyszczunowicza, Zyblikiewicza, Czajkowskiego, Zbyszewskiego i mnie; szóstym był ksiądz Guszałewicz, jedyny poseł z Galicji nienależący do Koła polskiego. Do przedłożenia wniosku o projekcie rządowym wybrała komisya Brestla na referenta, a mnie na koreferenta; Brestel zajęty urzędową pracą w Zakładzie kredytowym dla handlu i przemysłu, którego był sekretarzem jeneralnym, chętnie przystał na moją propozycyę, iż ja ułożę ten wniosek. W jakim duchu wniosek mój ułożyłem, powziąć można z artykułu Gazety Narodowej Nr. 228 z 1867. Brestel zgodził się prawie na wszystko i objął referat w komisyi, tu większość pouchwalała dodatki w duchu centralistycznym; uratowano wszakże na korzyść autonomii Sejmów krajowych niektóre postanowienia w pełnej Izbie, głównie za wstawieniem się Beusta. Z tem wszystkim projekt konstytucyi przez komisyę uchwalony był tak centralistycznym, iż trudno nam było za nim głosować. Na mój tedy wniosek uchwaliło Koło polskie głosować przeciw temu projektowi; z polecenia też Koła przemawiałem w dyskusyi jeneralnej przeciw niemu.

Gdy po uchwaleniu konstytucyi grudniowej przystąpiono do składu nowego ministryum, ofiarował mi Giskra tekę ministra handlu; odmówiłem, przytaczając jako powód, iż głosowałem przeciw konstytucyi, nie mogę więc należeć do składu Rządu, który ma konstytucyę tę w życie wprowadzić. Ponieważ zaś życzone sobie mieć Polaka w gronie nowego Rządu, polecono mi, bym Alfredowi Potockiemu zaproponował tekę rolnictwa, a gdy Potocki oświadczył gotowość przyjęcia jej, jeśli Koło nie będzie miało nic przeciw temu, wniosłem na Kole tę sprawę; po gorącym przez Adama Potockiego poparciu Koło się zgodziło i pan Alfred Potocki wszedł w skład des Bürger - Ministeriums. (Książę Carlos Auersperg minister-prezydent, Giskra spraw wewnętrznych, Brestel finansów, Plener handlu, Hasner oświaty,



Taaffe policyi i obrony krajowej, Potocki rolnictwa, Hye sprawiedliwości, Berger bez teki)

1868

W sierpniu 1868 przy zebraniu się Sejmu, zawiązało się „Koło polskie seimowe“. Program przezemnie ułożony i na zebraniu Koła odczytany, a przez któregoś z członków Gazecie Narodowej udzielony, uległ w tej gazecie złośliwej krytyce; gdy zaś potem postowie do Koła polskiego nienależący: Grocholski, Czerkawski, Zyblikiewicz, Adam Potocki, Krzczunowicz, z programu tego skleili tak zwaną „Rezolucyę“, stała się Gazeta Narodowa najzapaleńszą jej obronicielką.

Uchwalenie tej rezolucyi 24 września 1868 r. spowodowało cofniecie obceanego i przygotowanego już przyjazdu cesarza do Galicyi, wskutek czego Gołuchowski ustąpił z Namiestnictwa, a Grocholski „ojciec Rezolucyi“ przyjawszy mandat do Rady Państwa, pojechał do Wiednia, gdzie na pierwszym zaraz zebraniu Koła, złożyłem godność prezesa z wnioskiem, by godność tę Grocholskiemu, który ją przed zawieszeniem konstytucyi piastował ofiarowano, co się też stało.

Zaraz na początku sesyi wniósł Rząd ustawę o ogólnym obowiązku do służby wojskowej. Lewica „ultra liberalna“, której przewodcy, między nimi szczególnie Rechbauer marzyli o Milicyi jak w Szwajcaryi, była przeciwna tej ustawie; koło nasze uchwaliło głosować za ustawą a mnie poruczono przemówienie w ogólnej dyskusyi. Chcąc dosadnie zaznaczyć stanowisko nasze w tej kwestyi użyłem zwrotu, że aczkolwiek mamy tu do załatwienia żywotną, kraj nasz obchodzącą sprawę, do której sejm tak wielką przywiązywał wagę, iż nie wahał się uchwalenia jej okupić utratą spodziewanej łaski najwyższych odwiedzin monarszej pary, odstępujemy pierwszeństwo sprawie dążącej do zabezpieczenia monarchii przeciw „najsierdeczniejszym“ jej sąsiadom na północy i wschodzie, będąc bowiem nieprzyjaciółmi tak pangermanizmu, jak panslawizmu, nie wahamy się podporządkować sprawę naszą krajową sprawie całość Austryi obchodzącej. Obecnie, gdy to pisze, kraj cały jest tego zdania, i niejednokrotnie dał temu wyraz, że w interesie naszym jest dbać o wzmocnienie Austryi, zawsze też delegacya nasza głosowała za wzmocnieniem siły zbrojnej, i temu zawdzięczamy

poważne nasze terażniejsze stanowisko w monarchii i przychyłność dla nas monarchy. Ale ileż to gromów Gazeta Narodowa rzucała na mnie, który pierwszy wypowiedziałem to zdanie! Klub Rezolucjonistów, który się po uchwaleniu rezolucyi zawiązał (Grocholski, Badeni Władysław, Krzeczunowicz, Starkel i Gazetę Narodową wziął w arendę, głosił za jej pośrednictwem, że ja sprzedałem rezolucyę, że dostałem 100.000 za moje przemówienie. A „Dziennik lwowski“ organ Towarzystwa demokratyczno-federalistycznego, którego prezesem był Smolka, wtórował rezolucjonistom, dowodząc że to są skutki wysyłania delegacyi do Rady państwa, gdzie posłowie zaprzędają kraj za koncesye na banki i koleje... „taj tyle“!

Gdy po uchwaleniu ustawy wojskowej Rząd ociągał się z wniesieniem do Rady państwa naszej rezolucyi, a na interpelacyę naszą: kiedy Rząd uczynić to zamierza? — minister Giskra odpowiedział, że rezolucyi tej Izbie nie przedłoży, gdyż do tego obowiązany nie jest, a listonoszem sejmu galicyjskiego być nie chce; niektórzy posłowie a w szczególności Zyblikiewicz i Grocholski żądali w Kole, by rezolucyę wniesiono do Izby jako „wniosek posłów galicyjskich.“ Temu stanowczo oparłem się, motywując tem, że dla „wniosku sejmu“ Rada państwa musi mieć więcej względów, niż dla „wniosku posłów“, nad którym bez ceremonii może przejść do porządku dziennego. Stało też na tem, że mi Koło przychylając się do mego wniosku poruczyło, abym w Izbie uczynił wniosek wzywający Rząd do przedłożenia Izbie tak zwanej rezolucyi galicyjskiej. Izba uchwaliła prawie jednomyślnie ten wniosek i przekazała go komisyi ad hoc wybranej do zdania sprawy. Z pomiędzy ministrów był Berger zdania, że Rząd obowiązany przedłożyć rezolucyę Radzie państwa i oświadczył mi to bez ogródek po mojem przemówieniu, dodając, że przy sposobności powie cesarzowi iż z argumentami, które na radzie ministrów na poparcie zdania swego przytoczył, nie stoi odosobnionym, gdyż ja także, chociaż ze mną o tem nie mówił, tych samych użyłem argumentów. W niejaki czas potem, na balu dworskim przystąpił do mnie cesarz, i rzekł: „Beruhigen Sie Ihre Landsleute, die Resolution wird vorgelegt werden.“ Jakoteż rzeczywiście Giskra

przedłożył rezolucję komisji wysadzonej do zdania sprawy o moim wniosku, — wskutek tego komisja donosząc o tem Izbie zażądała upoważnienia do roztrząsania tej rezolucji i zdania sprawy, względnie przedłożenie wniosku.

Było to już w roku 1869. Obrady w komisji rezolucyjnej postępowały bardzo powoli, bo prawdę powiedziawszy, rezolucja była trochę bałamutną, a wyjaśnienia, jakie „ojciec rezolucji“ dawał np. jak pogodzić odpowiedzialność namiestnika przed sejmem z odpowiedzialnością przed swoim ministrem? — mianowaniem dwóch namiestników, jednego z odpowiedzialnością przed sejmem, a drugiego, który był odpowiedzialny ministrowi, nie przyczyniały się do jej wyjaśnienia. A tu się zbliżał termin zamknięcia sesji, więc by salwować honor, wnoszą adherenci Grocholskiego, t. j. panowie krakowscy, że delegacja ma opuścić Radę państwa. Radzono kilka razy nad tym wnioskiem, lecz prezes Grocholski nie zarządzał głosowania, bo był pewnym, że wniosek upadnie. Czujętem wszakże i ja, że dla uspokojenia drażnionej ciągle korespondencyami rezolucjonistów między posłami, opinii coś trzeba będzie przywieść do kraju; przedstawiłem Beustowi, by przynajmniej te żądania rezolucyjne, które mogą być załatwione w drodze administracyjnej, krajowi tymczasem przyznano. Prócz tego wiedząc jaki wpływ na cesarza wówczas wywierał Andrassy, a licząc na jego dla Polaków życzliwość i moją z nim zażyłość, postanowiłem zainteresować go tą sprawą. Zwierzywszy się więc tylko Bocheńskiemu, Polanowskiemu i Horodyskiemu pojechałem do Pesztu, a opowiedziawszy Andrassemu jak rzeczy stoją i napisawszy mu na kartce co może krajowi nie czekając na załatwienie rezolucji przez Radę państwa być danem, a między innymi język polski w sądach i urzędach, odjechałem otrzymawszy przyrzeczenie, że z cesarzem, bawiacym właśnie w Peszcie, przy pierwszej sposobności pomówi. Z powrotem do Wiednia otrzymałem list od ks. Władysława Czartoryskiego donoszący z polecenia Andrassego,  iż kartkę moją oddał cesarzowi na gonitwach i że cesarz obiecał rzecz ta zająć się zaraz za przybyciem do Wiednia. Jakoteż rzeczywiście zwoławszy radę ministrów wniósł, aby się zajęto zaprowadzeniem języka polskiego w sądach i urzędach i w tym celu zawezwano do

1869! Wiednia ówczesnego kierownika namiestnictwa Possingera. Co gdy się stało, zapadła na radzie ministrów pod prezydencją cesarza, mimo oporu Giskry, Herbsta i Hasnera i mimo odradzania Possingera, większością głosów, która zdecydował poczwiny Bręstfel, uchwała, której następstwem jest najwyższe postanowienie z 4 czerwca 1869 o języku polskim jako urzędowym w sądach i urzędach. *Sam mi to minister opowiadat.*

Kaiserfeld  
Gdy to się działo, odnawiano w Kole od czasu do czasu dyskusję nad opuszczeniem Rady Państwa, lecz do głosowania nie przystępowano, aż zawiadomiono Izbę, że za kilka dni zostanie odroczone. Wtedy Grocholski oświadczył w Kole, że opuszczenie Rady Państwa w przeddzień jej odroczenia nie miałoby sensu, niema więc o tem już co mówić. Ale — odezwał się Zybliekiewicz, możemy zmanifestować nasze niezadowolenie składając mandaty i uczynił wnioszek, iż wszyscy mamy poskładać nasze mandaty. Poparli go Jabłonowski, Wodzicki H., Wyrobek, Szujski, Sawczyński, Potocki, Rogawski, Hubicki i jeszcze dwóch czy trzech. Wtedy zabrałem głos i zaprotestowałem przeciw poddawaniu tego wniosku pod głosowanie, gdyż orzeczenie, czy poseł ma złożyć mandat lub nie, przechodzi kompetencję Koła. Nie przyszło więc do głosowania; złożyli wszakże, wróciwszy do kraju, niektórzy swe mandaty, ale Sejm żadnego z nich powtórnie nie wybrał, śnać Potocki i Zybliekiewicz to przeczuwali, bo aczkolwiek tak gorąco w Kole za złożeniem mandatów przemawiali, złożenia takowych zaniechali. Żegnając Izbę przy jej odroczeniu wspomniał Kaiserfeld, jej prezydent „z ubolewaniem“, iż niektóre ważne sprawy, między niemi Rezolucya Sejmu galicyjskiego dla braku czasu ostatecznie nie mogły być już podczas tej sesyi załatwione.

Tak stały rzeczy, gdyśmy się rozjechali do domu. Rezolucyoniści (Grocholski, Krzczunowicz, Badeni Władysław) połączwszy się z federalistycznymi (Smolka, Gromann, Widmann, Żak) postanowili zwołać zgromadzenie ludowe i mnie, dla usprawiedliwienia moich czynności w Radzie Państwa przed „ludem“ do stawienia się zawezwać. Wiedząc jak będzie wyglądał „lud“ przez Smolkę et C-ie zwołany, oświadczyłem, że na zgroma-

dzenie ludowe nie przybędę. Wtedy namówiono poczciwego Kaspra Boczkowskiego, by zwołał zgromadzenie wyborców miasta Lwowa i wszystkich czterech lwowskich posłów na Sejm krajowy do zdania sprawy zawezwano. Co też odezwą z 22 czerwca zwołującą wyborców na 27 czerwca do dziedzińca ratuszowego, uskuteczniło. Jawiliśmy się tedy Gołuchowski, Dubs, Smolka i ja na dziedzińcu Ratusza. Zgromadzona tam publiczność wyglądała trochę podejrzaną, przeważna bowiem część nie miała jeszcze zarostu, więc nie mogli to być wyborcy; później okazało się, że to była czeladź rzemieślnicza, przez Żaaka wprowadzona. Boczkowski się nie jawił, posiedzenie zagał Żaak i przez akłamację obrany został przewodniczącym. Na sekretarzy powołał Żaak, Gromana i Widmana. Prezydium więc dostało się w ręce federalistów demokratycznych; stańczyki, którzy tegoż dnia rano rozesłali do Lwowa gratis kilkaset egzemplarzy „Kraju“, zawierającego pamflet przeciw mnie wymierzony, reprezentowani byli przez Zyblikiewicza, który stał ostentacyjnie przed samą trybuną dla mówców przeznaczoną, chociaż nie należał do wyborców lwowskich i również ostentacyjnie przyłączał do oznak niezadowolnienia, które zaczęły się okazywać przeciw posłom lwowskim w miarę, jak przybywało na dziedzińcu studentów szkoły realnej, znajdującej się w Ratuszu, wpuszczanych na dziedzińiec przez okna z korytarzy ratuszowych.

Wskutek uchwały zapadłej nibyto większością tego zgromadzenia nibyto wyborców, gdyż zaledwo dziesiąta część zgromadzonych była wyborcami, złożyli posłowie Gołuchowski i Dubs razem ze mną mandaty poselskie, a gdy przyszło w jesieni do wyboru uzupełniającego, żaden z nas nie został na powrót wybranym, a chociaż — zastanowienia godnem — wybrano w nasze miejsce tylko jednego federalistę Czemczyńskiego, a dwóch, Wilda i Młockiego, którzy wyraźnie oświadczyli, że są za obesłaniem Rady Państwa, zwolennicy federacji i zasady Smolki „nieobsyłania Rady Państwa“, głosili zwycięstwo tej zasady i obchodzili je owacyami z pochodniami przed mieszkaniem Smolki i wybijaniem okien w mieszkaniach tych wyborców, którzy oddali swe głosy na mnie, lub nie iluminowali swych domów; szczególnie zaś żydowskich, ponieważ po zapadłej na zgromadzeniu 27. czerwca

uchwale, polecającej posłom lwowskim głosowanie w Sejmie za odwołaniem danych do Rady Państwa mandatów, wyborcy żydowscy Lwowa przesłali mi adres zaufania, podpisany przez tysiąc przeszło wyborców, protestujących przeciw owej przez niewyborców powziętej uchwale.

Zresztą ciekawe to były wybory. Rozpisano je w październiku podczas Sejmu. Głównym agitorem był Smolka, a chociaż jako właściciel dóbr ziemskich, nie miał prawa wyborcy w mieście, zabierał głos na zgromadzeniach przedwyborczych, urządzanych przez Towarzystwo demokratyczne i prawie wyłącznie ze zwolenników tego Towarzystwa składających się.

Poważniejsi mieszczenie, a z inteligencji prawie wszyscy adwokaci i urzędnicy sądowi, uchylali się od uczestniczenia w tych zgromadzeniach teroryzowanych przez „Dziennik Lwowski”. Natomiast członkowie klubu Rezolucjonistów, połączyli się do wspólnej akcji wyborczej, ze wstrętnem im zresztą towarzystwem demokratycznym. Szli więc książę Adam ze swymi adherentami (Badeni, Białoskórski, Gross, Starkel) i Krzeczunowicz ze swoją kliką (Dobrzański, Pfeifer, Sawczyński, Wolski) ręką w rękę ze Smolką, Gromanem, Widmanem i Żaakiem. Lżono mnie na zgromadzeniach, oblepiano mury plakatami, wymierzonymi przeciw mej sławie, przyjaciele Smolki głosili po przedmieściach, że sprzedał Niemcom, że dostał 100.000 złr. za podniesienie podatków, 200.000 złr. za pomnożenie rekruta, że skasowałem małżeństwo i Bóg wie co. Aby zaś zarzuty te uczynić niezbitymi, namówiono Alfreda Młockiego, o którym miasto wiedziało, że jest moim przyjacielem i do pewnego stopnia do wdzięczności zobowiązanym, by wystąpił jako mój kontrkandydat. Poczciwy starowina nazwawszy mnie w swej mowie kandydackiej nowym Wielopolskim, rozplakał się nad moim upadkiem i poszedł do domu, nie powiedziawszy czy jest za wysłaniem, czy przeciw wysłaniu do Rady Państwa. Po jego odejściu powstał ktoś z demokratów przeciwko jego kandydaturze, zarzucając mu, iż jest zwolennikiem obesłania Rady Państwa, a gdy Smolka oświadczył, że Młocki jest za niewysłaniem, postanowiono posłać do Młockiego i żądać, by dał wyraźne w tej mierze oświadczenie. Oświad-

czenie to brzmi: „jestem za wysłaniem“, zgromadzenie przyjmuje to oświadczenie z najzimniejszą krwią.

Wstępuje na mównicę drugi kandydat Wild i wygłasza mój program polityczny; zgromadzeni zaczynają się niecierpliwić, odgrażać, lecz uspakaja ich Smolka zapewnieniem, że on już zrobi Wilda, gdy tenże zostanie wybranym.

I wybrani zostali, jak już nadmieniałem, Młocki i Wild! Rezolucyoniści upiekłszy pieczeń przy ogniu demokratów, zacierali sobie ręce pozbywszy się mnie i Gołuchowskiego z Sejmu, w którym zaczął rej wodzić Grocholski, tajny sprzymierzeniec rezolucyonistów. A Sejm, mimo „zwycięstwa zasady niewysyłania“ wysłał delegację do Wiednia pod przewodnictwem Grocholskiego, wybierając w moje miejsce Wilda, a w miejsce tych, którzy poskładali byli mandaty, zwolenników Grocholskiego przezeń wskazanych.

Był więc Grocholski pewnym większości Koła w Wiedniu, a pewność siebie była tak wielką, iż zapowiadał, że za parę tygodni przywiezie z Wiednia aprobatę rezolucyi, lub opuści z delegacją Radę Państwa. Ja tymczasem ustępując z Wydziału krajowego, wręczyłem księciu marszałkowi memoriał wykazujący, jak według mego zdania myśl w rezolucyi zawarta, — litera bowiem zdawała mi się niewykonalną, — mogłaby i powinnaby być w życie wprowadzoną. Memoriał ten przedstawiający szkie całej organizacyi kraju, dostał się nie wiem jakim sposobem do Krakowa, zkąd mutatis mutandis w parę lat potem pojawił się jako tak zwany „projekt Dunajewskiego“ do organizacyi politycznej kraju.

Po wyjeździe delegacyi do Wiednia mijały tygodnie, mijał miesiąc po miesiącu, delegacya uchwaliła budżet rekruta i siedziała w Wiedniu; mimo zwyż wyrażonej zapowiedzi, pozostała nawet w Radzie Państwa po ustąpieniu przychylnych sprawie naszej ministrów: Bergera, Potockiego i Taafego i siedziałyby była mimo powziętej w komisji rezolucyjnej, której wniesiony przez Grocholskiego i towarzyszy wniosek tej, co rezolucya z r. 1868 treści przekazany został, uchwały przejścia nad tym wnioskiem do porządku dziennego, gdyby się nie był zlitował Beust

i nie dał einen Wink delegacyi, że powinna się wynieść z Rady Państwa. Jak się potem okazało, chciał Beust pozbyć się i pozostałych u steru pod kierownictwem Hasnera ministrów aus dem Bürger-Ministerium i Sejmu galicyjskiego, do czego wyjście naszej delegacyi miało służyć za pretekst.

Wrócili tedy nasi delegaci z próżnemi rękami: klein und mild, jak ich zdefiniował trafnie Lam. Mimo to rezolucyoniści chcieli obchodzić powrót delegacyi oświetleniem Lwowa; demokraci zaś uważali ten powrót bez niczego jako zwycięstwo Smolki, który przepowiedział, że delegacya wróci z kwitkiem, to też kilkadziesiąt pauprów krzychało: Wiwat Smolka! przed jego mieszkaniem, a Smolka „dziękował“ ulicznikom za tę owacye i za „zaufanie“. Trudno to pojąć, a jednak tak było. Iluminowano miasto z radości, że kraj nic nie uzyskał! Smolce wyprawiono owacyę za to, że Niemcy przeszli do porządku dziennego nad żądaniami kraju.

Po wystąpieniu naszej delegacyi z Rady Państwa, zażądało ministerjum Hasnera, rozwiązania Sejmu galicyjskiego. Cesarz odmawia, ministerstwo Hasnera demisyonuje. Potocki Alfred zostaje ministrem prezydentem, powołując do ministerium między innymi br. Petrino i br. Wiedmana.

1870  
W kwietniu 1870, zostawszy ministrem prezydentem, zwołuje Potocki notablów galicyjskich do Wiednia, (Leon Sapieha, Gołuchowski, Grochowski, Smolka, Smarzewski, Czerkawski, Krzczunowicz, Wodziński Henryk, Zyplikiewicz i ja), celem naradzenia się nad t. z. rezolucyą.

Gołuchowski i ja najdalej szliśmy w żądaniach, a Gołuchowski, gdyśmy z jednego takiego posiedzenia razem wracali do domu, ostrzegł mnie, bym się nie wywnętrzał za nadto, gdyż nas dwóch nienależących do ich obozu, na to tylko zaproszono, by nam móż szkodzić. Jakoż pojawia się w „Gazecie Narodowej“ korespondencya z Wiednia, donosząca, że ja i Gołuchowski odstąpiliśmy od rezolucyi.

Notable nie powzięli żadnej uchwały i powrócili do domu, wioząc tylko zapewnienie Potockiego, że Sejm galicyjski nie będzie rozwiązany.



Smolka pojechał do Pragi, by ułatwić Potockiemu ugodę z Czechami, poczem i Potocki pojechał do Czech, gdzie go spotkało ogromne fiasko. Smolka potem publicznie głosił, że Potocki nieudolnością swą popsuł wszystko, co on (Smolka) był przygotował.

Grocholski zaś powróciwszy do Lwowa, chociaż Potocki zapewnił, że Sejm nie będzie rozwiązany, zawezwał w porozumieniu z ks. Leonem i pod jego jako marszałka krajowego egidą, marszałków powiatowych na zjazd do Lwowa w celu narady co do przyszłych wyborów do Sejmu! Książę Leon wypierał się wszelkiego w tem zwołaniu udziału, co też twierdzi Grocholski w liście do mnie pisanym, lecz czyliż marszałkowie byliby usłuchali Grocholskiego, gdyby za nim nie stał ks. Leon? Owocem tego zjazdu był komitet tak zwany marszałkowski. Komitet ten na żądanie Grocholskiego wykluczył mnie od kandydatury poselskiej, doniósł mi o tem Wesołowski, a gdy go zapytałem, czy mogę z tego uczynić użytek, odelegrafował, że mogę, gdyż wie to z ust wiarogodnych. W czerwcu rozwiązano Sejm, a gdy komitet marszałków (dla Galicyi wschodniej, Czerkawski Euzeby, Grocholski, Gross Piotr, Smarzewski, Krzczunowicz, Bałutowski, Smolka, Frenkel), odstąpił dotychczasową tajemniczość, postanowili obywatele nienależący do żadnych stronnictw przyprowadzić zgodę pomiędzy mojem stronnictwem, a stronnictwem Smolki, przyszedłszy do przekonania, że ze sporów między nami korzystali tylko dotąd rezolucyoniści. Zjazd stronnictw spełzył na niczem dzięki głównie nielojalnemu postępowaniu Towarzystwa demokratycznego, które dopiąwszy celu swego, wybrało 10. czerwca centralny komitet przedwyborczy, złożony z 18-tu członków. Przewodniczącym był Smolka. Chcąc sobie zapewnić głosy rezolucyonistów i żydów, wszedł ten komitet w rokowania z Dąbrowskim, mieszczaninem poważnym i wpływowym, należącym do klubu rezolucyonistów i z Frenklem starozakonnym, należącym do komitetu marszałków i pozyskawszy ich, postawił ich jako kandydatów poselskich z miasta Lwowa. Postawił jeden z członków komitetu także moją kandydaturę, przy głosowaniu otrzymałem 9 głosów na 17 głosujących, wtedy Smolka, który jako przewodniczący nie głosował, zażądał ponownego głosowania, przy którym i on mógłby wziąć udział, do-

czego miał niezawodnie prawo. Przy tem ponownem głosowaniu, Smolka głosował przeciw mej kandydaturze, rezultat był więc 9, przeciw 9 za, a więc równość głosów, którą pan przewodniczący robiąc znowu użytek z przysługującego przewodniczącemu prawa rozstrzygnął, przystępując do głosów, przeciw mej kandydaturze oddanych.

Gdy przyszło do głosowania nad kandydaturą Dra Frenkla, w świecie politycznym wcale nieznanego i patriotyzmem bynajmniej nie grzeszącego, chyba, że kto przeprowadzenie sprzedaży dóbr koronnych galicyjskich, jako doradca Simunta i zarobienie przy tej grabieży kraju paruset tysięcy złr., zechce uważać za czyn patriotyczny, znalazł się ktoś w komitecie, który zapytał: jak można stawiać kandydaturę Frenkla, który nietylko nie jest zwolennikiem opozycji prawno-politycznej, ale należy do komitetu marszałków, wrogięgo komitetowi demokratycznemu; lecz gdy Smolka zapewnił, że to nic nie szkodzi, przyjęto tę kandydaturę.

Było więc dwa komitety przedwyborcze, a żaden nie stawił mej kandydatury; w marszałkowskim wykluczył moją kandydaturę Grocholski, w demokratycznym Smolka. Lecz obok zwolenników Tow. dem. i klubu rezolucjonistów recte Sapieżynców, byli we Lwowie obywatele nie należący do żadnego z tych stronnictw. Ci pod przewodnictwem Wieczyńskiego, poważanego przez mieszczaństwo, a zgorzonego do najwyższego stopnia postępowaniem Smolki podczas zjazdu stronnictw, przeto przeciwnego jego wpływom na wybory posłów, zwołali na strzelnicę zgromadzenie wyborców niezależnych i zaprosili mię bym tam wystąpił jako kandydat. Po wygłoszonej krótkiej mowie kandydackiej i danej odpowiedzi na interpelację: dlaczego jestem przeciwnym prawno-państwowej opozycji i federacyjnej demokracji, postawiło mnie „zgromadzenie niezawisłych“ jednomyślnie swym kandydatem, i zostałem mimo intryg rezolucjonistów i użytego przez Tow. demokratyczne w dniu wyborów terrorizmu na wyborców, wybrany posłem, obok Smolki, Dąbrowskiego i Frenkla.

Był to czwartek, a gdy późno w nocy ogłoszono rezultat wyborów, rozeszły się w gawiedzi przed ratuszem zgromadzonej okrzyki: Hej na żydów! i wnet pociągnęła zgraja na krakowskie, wybijając żydowskie i nie żydowskie okna, przy okrzyku: „niech

żyje Smolka“! Nahulawszy się na krakowskiem udali się przed mieszkanie Smolki i wyprawili mu owacyę. Nie skończyło się na tem. Na drugi dzień w piątek, gdy żydzi wieczorem udali się do bożnic, zorganizowana już doskonale gawiedź powybiiała najpierw okna w głównej synagodze, potem przeciągając wszystkie ulice miasta z okrzykiem: „niech żyje Smolka“! — wybijała tym, których podejrzowano, iż głosowali na mnie, mimochodem zaś rozbito i zrabowano kilka trafik. Owacye te dla Smolki powtórzyły się i w sobotę, przyczem wyłamano mur okopiska żydowskiego i powywracano lub połamano grobowce.

Podczas tych trzydniowych orgii policya nie pokazała się nawet na ulicy, a kierownik namiestnictwa, Possinger, skarżącym się obywatelom odpowiadał, że „walka przedwyborcza nie może być zabronioną“. Dziwna to była walka przedwyborcza, odbywająca się po dokonanych wyborach a do tego wybijaniem okien, rabowaniem trafik i świętokradztwem na grobach popelnionem! Dopiero w niedzielę, gdy na telegraficzne skargi do ministeryum nadeszło z Wiednia polecenie powstrzymania tych wybryków, pojawiły się porozlepiane plakaty urzędowe, zabraniające wszelkiego naruszenia spokoju publicznego, a obok urzędowych tych zawezwań do porządku, jaśniało „ogłoszenie“ Smolki, zawierające prośbę do publiczności o zaniechanie wszelkich „owacyi“ dla jego osoby. Ustały też natychmiast te sui generis owacye.

Prócz Dąbrowskiego i Frenkla, których kandydaturę Smolka stawiał i popierał, przeprowadził nadto w stryjskiem wybór Ławrowskiego, kandydata św. Jura i komitetu marszałkowskiego, spowodowawszy Popiela członka Tow. dem., który tam kandydaturę swoją zgłosił, do cofnięcia takowej. By pojąć dlaczego Smolka, ten apostoł nieobsyłania Rady państwa, popierał kandydatów hołdujących przeciwnej zasadzie, nadmieniam tu, że po rozwiązaniu się sejmu czeskiego przez Potockiego, Smolka powziął myśl jechania do Rady państwa, dlatego szukał poparcia u rezolucjonistów, marszałkiewiczów i Ś. Jurców, a nawet Dziennik lwowski zaczął trąbić na odwrót od abstynencyjnej ewangelii.

Gdy we wrześniu sejm się zebrał, wniósł Kabat, by sejm odnowił uchwaloną w r. 1868 rezolucję; i wniosek ten upadł, a uwagi godnem jest, że przeciw temu wnioskowi głosowali rezolucyoniści „z ojcem rezolucyi“ na czele. Smolka zachował się odpowiednio do powziętego zamiaru jechania do Rady państwa, to też uczynił wprawdzie wniosek, by sejm uchwalił, że tylko na ten raz wysyła delegację lecz przy wniosku tym nie stał twardo, owszem cofnął go nawet indirecte oświadczeniem, że będzie głosował za adresem, który wniosku jego bynajmniej nie uwzględnił; zdziwionym zaś zwolennikom swoim tłumaczył tę zmianę polityki swej zapewnieniem, że Czesi przyrzekli mu przybyć tym razem do Rady państwa, skutkiem czego będzie ukonstytuowanie się Austrii federacyjnej na zasadzie narodowo demokratycznej.

Kraj nie był kontent z Wydziału krajowego, a to głównie dlatego, że członkowie jego bądź to w Radzie państwa, bądź przy kolejach żelaznych lub bankach zajęci, zanadto mało czasu poświęcali czynnościom w Wydziale. Chcąc temu w części przynajmniej, o ile to od sejmu zależeć będzie, zapobiedz, wniósł poseł Baum na kole poselskiem, aby wybrani członkowie Wydziału krajowego, nie mogli być posłami do Rady państwa, chyba że złożą mandat do Wydziału krajowego. Wniosek ten przez Koło poselskie uchwalonym został jednomyślnie, a było obecnych 75 posłów. Przy próbnem głosowaniu na członków Wydziału otrzymał Smolka zaledwo kilkanaście głosów, bo jeszcze zanadto świeże w pamięci były jego spekulacje giełdowe. Na drugi dzień zebrali się posłowie z kuryi miejskiej, celem porozumienia się do wyboru członka Wydziału z kuryi miejskiej. W kuryi miejskiej miał Smolka najwięcej zwolenników i przyjaciół osobistych, których smutny ówczesny materyalny stan Smolki spowodował, iż zamierzali wybrać go do Wydziału, by mu pomóźdz w ten sposób. Wobec wspomnianych wyżej narzekań kraju na zaniedbywanie czynności Wydziału przez jego członków, zapytał poseł Wolski Smolkę, czy będzie przy swych zajęciach miał dość czasu do pełnienia obowiązków w Wydziale krajowym? Smolka odpowiadając, że będzie miał na to czas, bo i dotąd pełnił tam pilnie swój obowiązek, dał tem do zrozumienia, że chce być wybranym, wskutek czego na posiedzeniu sejmowem

wybrany został, dawszy poprzednio słowo, że mandatu do Rady państwa, gdyby mu go dać chciano, nie przyjmie.

W kilka dni później, gdy sejm przystąpił do wyboru posłów do Rady państwa, przy wyborze z pomiędzy czterech posłów m. Lwowa rozstrzeliły się głosy między mną, Smolką i Dąbrowskim, a gdy żaden nie miał absolutnej większości, przystąpiono do ściślejszego między mną i Smolką i stała się rzecz zabawna, Stańczycy, którzy przy pierwszym głosowaniu nie chcąc ani mnie ani Smolki, głosowali na Dąbrowskiego, gdy przyszło do wyboru między mną a Smolką oddali głosy swe Smolce, apostołowi opozycji, której przeciwnikami zasadniczymi byli właśnie Stańczycy. Tym sposobem otrzymał Smolka głosów 70, podczas gdy na mnie oddano tylko 55. Smolka więc został wybrany i wyбір przyjął, mimo danego słowa, że mandatu do Rady państwa nie przyjmie, jeśli będzie wybrany do Wydziału krajowego, ani też mandatu do Wydziału krajowego nie złożył, mimo uchwały całego koła poselskiego zabraniającej kumulację tych dwóch mandatów. Pytającym zaś po padłym nań wyborze do Rady państwa, czy wybór ten przyjmie? odpowiedział: muszę skoro sobie sejm życzy!\*)

W tym roku (1870) został zatwierdzony statut dla miasta Lwowa; wybrano tedy w myśl tego statutu na początku r. 1871 stu radnych, między którymi i ja się znajdowałem, gdy nowa Rada miejska przystąpiła do wyboru prezydenta miasta, otrzymałem wprawdzie znaczną większość (około 30 głosów padło na dotychczasowego przez namiestnictwo nominowanego burmistrza Szemelowskiego) lecz nie życząc sobie rozpoczynać autonomicznych rządów miasta z tak liczną opozycją, oświadczyłem, iż wyboru przyjąć nie mogę, skoro tak znaczna liczba radnych wyborowi memu jest przeciwną. Po przemówieniu X. Upryjewicza, przeora Dominikanów, by Rada nie przyjęła mej rezygnacji, zarządzono nad tem głosowanie, przy którym prócz Dobrzańskiego i Dr. Wol-

1871

\*) Szczegółowy opis gestorum koła polskiego w Radzie państwa w 1867 1868 i 1869, tudzież tego, co stronnictwa polityczne w kraju działały, niemniej jakie były tego następstwa w r. 1870 i 1872 znaleźć można w broszurach: „Listy delegacji galicyjskiej Tadeusza Czapli w Krakowie“ z r. 1869 i „z teki Mameluka galicyjskiego“ przez Kulika z nad Wisły z r. 1871.

skiego wszyscy radni oświadczyli się za nieprzyjęciem mej rezygnacji, wskutek czego gdy mnóstwo radnych i sam Szemelowski obścąpili mnie, nalegając bym wybór przyjął, oświadczyłem nareszcie, że wybór przyjmuje.

Na zatwierdzenie cesarskie długo czekać musiałem; ministra Potockiego bowiem upadło, a do ministra Hohenthwartha wszedł Grocholski jako minister bez teki wprawdzie, lecz z wyraźnie zastrzeżonym wpływem na sprawy galicyjskie; że zaś Grocholski przeciwnym był zajmowaniu przezemnie ważniejszych stanowisk, więc głośzono nawet, że wybór mój nie będzie przez cesarza zatwierdzony. Nareszcie zatwierdzenie przecieży nadeszło, Possinger wyznaczył dzień 6 maja na odebranie odemnie przepisanej statutu przysięgi, z wezwaniem, bym się w tym celu o wyznaczonej godzinie jawił w namiestnictwie. Oświadczyłem na to, że statut dla miasta Lwowa przepisuje, iż wybrany prezydent miasta składać ma przysięgę na radzie miejskiej a nie w namiestnictwie; przybył więc pan Possinger do sali radnej w ratuszu i tu odebrał odemnie przysięgę, lecz widocznie był zagniewany, to też na ucztę, którą dałem miastu z okazji objęcia urzędu mego, a na którą prócz radnych zaproszeni byli dostojnicy duchowni, rządowi i autonomiczni, Possinger przybył dopiero w godzinę może po rozpoczętej uczcie, i zabawił tylko chwilkę, tłumacząc się ciężką migreną.

Gdy radni nawzajem dla mnie ucztę wyprawić chcieli, prosiłem, by natomiast jaki cel dobroczynny obmyśleli, złożyli tedy 1000 fl. jako fundacyę stypendyjną mego imienia dla ucznia pochodzącego z miasta Lwowa.

*Slypan*  
*inw. i. Lwi*  
*z. i. Horkuj*

Urzędowanie moje rozpocząłem od ułożenia nowego regulaminu obrad rady miejskiej i reorganizacji magistratu, które to czynności przy dobrych chęciach rady miejskiej szybko przeprowadzone zostały, zwłaszcza gdy Gołuchowski został namiestnikiem i przychylności swej dla mnie nie szczędził oznak, a także komenderujący hr. Neiperg, którego względy wkrótce pozyskać potrafiłem, w sposób dotąd niebywały odznaczał nowo wybranego naczelnika miasta.

W sierpniu odwiedziłem na parę dni żonę moją bawiącą

w Szczawnicy, gdzie Koroniarze dali dla mnie obiad, na przekor ks. Leonowi, i zaprosili go oczywiście na ten obiad; odmówić nie śmiał, więc przyszedł na obiad, lecz widocznie nie smakował mu ten a szczególnie mowy chwalonej skuteczną mą działalność polityczną.

Sejm październikowy podziękował cesarzowi adresem za powołanie Grocholskiego do Rady korony, lecz w listopadzie upadło ministeryum, którego Grocholski był członkiem, a nastąpiło ministeryum Auersperg-Lasser.

W lutym 1872 powstał wielki pożar na dworcu czerniowieckim, przy silnym mrozie; będąc tam obecnym od 5. z rana przeziębiam się, a gdy tego samego dnia popołudniu zapalił się dom przytykający do gmachu, w którym znajdował się Wydział krajowy, udałem się tam także mimo perswazyi kilku radnych. Skutkiem tego był wybuch krwi przy zapaleniu płuc tak silnym, iż przez kilka dni byłem w niebezpieczeństwie życia szczególnie 24. w którym to dniu, gdy się rozeszła wieść o mej śmierci, zacna księżna Leonowa dbała o zbawienie mej duszy, kazała odprawić mszę za mą duszę. Bóg tymczasem był łaskaw i zostawił mnie na dalszą jej zmartwienie przy życiu, do czego się przyczynili poczciwi lekarze Dr. Ziembicki sen., Dr. Janda i Dr. Witz. Dla rekonwalescencyi udałem się w połowie maja do Jaworza (Ernsdorf) na Szląsku austr., gdzie po 3 miesięcznym pobycie przyszedłem do zdrowia. Zastępował mnie przez ten czas w zarządzie miasta poczciwy Aleksander, który też w rok później po mojem ustąpieniu, wybrany został prezydentem miasta.

Podczas mego w Jaworzu pobytu odwiedził mnie książę Stanisław Jabłonowski z Krakowa, towarzysz deputacyi galicyjskiej z r. 1848 i ofiarował dwie, a gdyby trzeba było trzy kamienice krakowskie gminie Lwowa, za postawienie pomnika hetmanowi Jabłonowskiemu, na wałach hetmańskich we Lwowie. Wszczęte po moim powrocie do Lwowa rokowania, nie doprowadzone za mej prezydentury do końca, gdym z niej odszedł zaniechane zostały, ponieważ jak utrzymywano, wartość ofiarowanych kamienic nie byłaby w stanie pokryć kosztów pomnika. Stoi więc dotąd biedny posązek hetmana na wałach hetmańskich..

1872

Na sejmie we wrześniu uczyniłem wniosek reorganizacji gmin przez zaprowadzenie „okręgów gminnych“, które miały się składać z kilku gmin (mniej więcej 5000 dusz) i być reprezentowane przez wydział złożony z przełożonych obszarów dworskich i wójtów, a załatwiać czynności zakresu przekazanego, tudzież policji sanitarnej i t. p., siły pojedynczych gmin i inteligencję ich wójtów przechodzącą, przez naczelników okręgowych, wybieranych przez Wydział powiatowy i zaprzysiężonych przez starostę. Wniosek ten nie doczekał się w komisji załatwienia, ponieważ tam przeważała myśl krakowskiej partii, iż należy od razu zreorganizować cały autonomiczny ustrój, zaczawszy od gminy aż do Wydziału krajowego. Czeką też dotąd biedna nasza ustawa gminna na zmianę, uznaną przez wszystkich za niezbędną, i górą zasada Grocholskiego: „niechaj bude jak buwało!“

Uchwalony w r. 1871 regulamin rady miejskiej zniósł sekcyę, które służyć tylko ambicyjkom panów radnych, tworzyły anarchię w zarządzie miasta. Chcąc się przypodobać radnym wzdychającym do owych czasów, kiedy to w sekcyach a nie w prezydyum rządono miastem, zaczął Dobrzański wicherzyć w radzie miejskiej za wprowadzeniem napowrót sekcyi — i powróciły sekcyę po mojem ustąpieniu, a z niemi wszystkie ich istnienia niedogodności, a mianowicie spory o kompetencję, wędrowanie spraw od jednej sekcyi do drugiej, a nareszcie walki sekcyi między sobą odbywające się na pełnej radzie.

Podczas zapust odbył się u mnie raut, na którym prócz wybitniejszych członków rady miejskiej i obywatelstwa, obecni byli: arcyksiążę Jan Salvator, namiestnik, komenderujący i arcybiskup. A że trudno było wszystkich stu radnych zaprosić, powstały gniewy ze strony mieszczan, „co to on sobie myśli? zaprasza grafów, a dla nas nie ma miejsca w naszym ratuszu?“ tak i podobnie rezonujących.

1873  
W kwietniu 1873 wysłała rada miejska, z powodu zaślubin arcyksiężniczki Gizeli z ks. bawarskim Leopoldem, deputację do stóp tronu, wybrawszy do niej: mnie, Wieczyńskiego i Madeyskiego Marcelego. Zaledwo przybyliśmy do Wiednia



wezwał mnie Lasser, bym go odwiedził. Zastałem u niego ks. Auersperga, ministra prezydenta i ministra Ungra. Po przywitaniu się, oznajmił mi Lasser, iż deputację naszą przyjmie cesarz nazajutrz, potem niby od niechcienia dodał, że cesarz zamierza powołać Polaka na ministra bez teki z atrybucjami, jakie miał Grocholski w ministerstwie Hohenwartha, i że możliwym jest, iż cesarz przy sposobności przyjęcia naszej deputacji, zechce o tem ze mną pomówić. Odpowiedziałem, że kraj z wdzięcznością powitałby powołanie ziomka do rady korony, lecz do objęcia takiego stanowiska trzeba człowieka posiadającego zaufanie kraju, człowieka popularnego a wątpię, by który z takich ludzi, wobec tak niepopularnego w kraju kroku, jakim jest zaprowadzenie bezpośrednich wyborów do Rady państwa, chciał zaryzykować swą popularność przez wstąpienie do ministerstwa, które ów krok spowodowało. Na to moje powiedzenie wziął ze stołu arkusz papieru i zaczął czytać atrybucye, jakie z najw. rozporządzenia miał Grocholski, a dodawszy, że atrybucye te mogłyby być rozszerzone, zapytał mnie czy sądzę, że Polak zasiadający w Radzie korony, mógłby być korzyścią dla kraju? A gdy odrzekłem potwierdzająco, wstał i położywszy rękę na mojem ramieniu zawołał: „So haben wir schon den Minister“! Gdy w r. 1867 cesarz zawezwał sejmy by wybrały posłów do Rady państwa, było w Galicyi arcy niepopularnem wysyłanie posłów do Rady państwa i znalazł się poseł w sejmie lwowskim, jeden z najpopularniejszych, który na posiedzeniu 2. marca, w przekonaniu, że niewysłanie posłów do Rady państwa zaszkodziłoby krajowi, zaryzykował swą popularność i przemówieniem swem nakłonił sejm do wyboru posłów do Rady państwa. Czy popularność tego posła przez to ucierpiała, nie wiem; zdaje się na wszelki wypadek że nie wiele, skoro został wybrany burmistrzem — przepraszam, prezydentem stolicy kraju; że zaś kraj odniósł korzyści, to podobno nie podlega wątpliwości; wymienię tu tylko „waszą“ rade szkolną, i język polski w sądach i urzędach. Otóż jestem pewny, że kto 2. marca nie wahał się narazić swą popularność, by odwrócić od swego kraju mogące dotknąć go szkody, ten nie zawaha się zaryzykować swą popularność, przyjmując miejsce w Radzie korony, skoro uznaje, że toby było z korzyścią dla kraju.

1873

Idąc do Lassera, czy mogłem przypuścić, że mi będzie ofiarował posadę ministra! Szło o rzecz nie małego dla kraju znaczenia, nie mogłem więc wprost odmówić, lecz z drugiej strony zaskoczony zniechęca, nie wiedząc, jak się miarodajne czynniki w kraju zapatrują na posadę ministra, rodaka, bez teki, podziękowawszy za pochlebne o mnie mniemanie, prosiłem, by mi wolno było odpowiedzieć aż po powrocie do kraju.

Na drugi dzień przyjętą została nasza deputacya przez cesarza, potem przez cesarżowę, a na koniec przez arcyksiężniczkę Gizelę, która aczkolwiek dopiero 17 lat skończyła, bardzo swobodnie z każdym z nas rozmawiała, przypatrując się naszym strojom narodowym, które po raz pierwszy zbliżka widziała; najwięcej zdaje się zaimponował jej pocziwy Wieczyński, miał bo strój przepyszny, a przytem i postawę nielada...

Gdyśmy od cesarza wyszli, przystąpił do mnie adjutant dyżurny i oznajmił, że cesarz życzy sobie ze mną mówić po audyencji u arc. Gizeli. Odszedłszy tedy od arcyksiężniczki, Wieczyński i Madeyski pojechali do naszego hotelu „König von Ungarn,“ a ja udałem się do komnat cesarza, któremu mnie adjutant zaraz zameldował. Cesarz już wiedział o konferencji u Lassera odbytej, i jej rezultacie. Przystąpił więc zaraz do rzeczy, dodał na zakończenie: „Es würde mich sehr freuen Sie im Ministerrath zu sehen. Gołuchowski wird es Ihnen bestätigen.“

Po powrocie do hotelu obsypali mnie towarzysze pytaniami, czego cesarz chciał, co cesarz mówił? Nie powiedziawszy im co było przedmiotem konferencji u Lassera, nie powiedziałem naturalnie, o czem cesarz zemną mówił i zbyłem ich odpowiedzią, że wypytywał mnie o stosunki miasta.

Wróciwszy do Lwowa, a czując się ostatniemi słowy cesarza upoważnionym do zwierzenia się Gołuchowskiemu, udałem się do niego i opowiedziałem o konferencji u Lassera, i osobnej u cesarza audyencji. Gołuchowski jak najusilniej doradzał przyjęcia ofiarowanej mi posady, przyrzekając ze swej strony poparcie w kraju i ułatwienie mego stanowiska w Wiedniu: ale „sza!“ dodał.

19. kwietnia przysłał mi Gołuchowski list Lassera na jego ręce przysłany, wzywający mnie, bym „in einer wichtigen Ange-

legenheit“ niezwłocznie do Wiednia przyjechał, co też uczyniłem. Po niektórych targach o atrybucyę ministra Polaka bez teki, oświadczyłem, że posadę tę przyjmuję, co gdy wezwany do cesarza na audyencyę i jemu oświadczyłem, otrzymałem 23 kwietnia 1873 własnoręczne pismo Naj. Pana mianujące mnie swoim ministrem bez teki, poczem złożyłem przysięgę, w stroju narodowym, lecz bez karabeli, bo tą kazano mi odpasać przed wnijsiem do sali, w której przysięgę składałem. Był to ostatni raz że jako minister strój polski nosiłem, zaraz potem bowiem oświadczył mi Auersperg, iż cesarz byłby bardzo kontent, gdybym nosił mundur ministra, zwłaszcza gdy przy zbliżającej się powszechnej wystawie, przybywającym monarchom będą przedstawiani ministrowie, mój odrębny strój mógłby się stać przedmiotem rozmaitych... komentarzy. Znam ja ludzi w kontuszach, z których matka Ojczyzna nie bardzo zadowolona; mogę więc służyć wiernie, nie nosząc karabeli, Jej, której służyłem nosząc kajdany, Jej bowiem nie stroju narodowego, lecz oddanego szczerze serca potrzeba. Kazałem sobie tedy robić mundur ministra, lecz zanim ten był gotów, musieli ministrowie in corpore wystąpić przy salwowaniu sesyi parlamentu; z kłopotu wybawił mnie Lasser, dowiedział się że Plener ma jeszcze swój mundur, z czasów „des Bürgerministeriums“, a że jest mego wzrostu i mej tuszy, pożyczył dla mnie mundur od Plenera i w jego mundurze, po raz pierwszy jako minister publicznie występując, paradowałem. Nie jestże to zabawnem? Pierwszy raz występując w izbie poselskiej jako mowca, zwalczałem zasady wypowiedziane przez mowę Plenera, a występując w sześć lat po raz pierwszy publicznie jako minister, ubrany byłem w mundur tego samego Plenera, ministra a. d.

23/4 1873.

Zanim objąłem urzędowanie jako minister, pojechałem do Lwowa, by złożyć urząd prezydenta. Pożegnałem się tedy z radą miejską i z magistratem, zostawiwszy rządy miasta w rękach wiceprezydenta Jasińskiego. Przed wyjazdem zegnało mnie gremium oficerów załogi lwowskiej z komenderującym hr. Neipergiem na czele, rada miejska pożegnała mnie ucztą na cześć moją wyprawioną, przy której radni powręczali mi swe fotografie na pamiątkę, postanawiając umieścić mój portret

w biurze prezydenta, i dotrzymali słowa: znajduje się tam mój portret pendzla ś. p. Raczyńskiego. Za poradą Gołuchowskiego wezwałem Filipa Zaleskiego, by przyjął w mojem biurze posadę radcy ministeryalnego, radcę zaś magistratu Lidla namówiłem, by przyjął u mnie posadę sekretarza, a koncypistę Seferowicza, by przeniósł się do ministerstwa handlu, gdzie żadnego Polaka nie było, na koncypistę ministeryalnego. Wymówiłem bowiem sobie wobec nadanego mi przez Naj. Pana zakresu działania przydzielenie mi hofratha i sekretarza, a przytem żądałem, by przy każdym ministerstwie pomianowano Polaków. Dziś, gdy to piszę, Zaleski jest namiestnikiem w Galicyi, Lidl wiceprezydentem namiestnictwa, a Seferowicz hofrathem: dyrektorem poczt galicyjskich. Ja zaś chwala Bogu „minister a d.“

Na oficyała polecił mi Zaleski jakiegoś kancelistę z namiestnictwa lwowskiego, którego nazwiska zapomniałem, a który wkrótce wrócił do kraju na sekretarza powiatowego. Po nim przyszedł ze Lwowa Mikiewicz, zacyjny, cichy, pracowity, dotąd jest przy ministerstwie galicyjskiem. Na woźnego polecił mi hofrath Strański, będący jako spuścizna po Potockim w prezydium rady ministrów, tamtejszego woźnego Lewkowa, rusina, ale pocziwego i wdzięcznego. Tak ukonstytuowawszy biuro, zająłem w czerwcu przeznaczone mi na Bankgasse urzędowe umieszczenie.

Przedtem wszakże, byłem z arcyks. Karolem Ludwikiem, protektorem akademii umiejętności w Krakowie, na uroczystości otwarcia akademii. Zwiedzałem z nim potem kopiec Kościuszki i klasztor Kamedułów, gdzie przeor, in gratiam bytności tak wysokiego gościa, pozwolił zakonnikom rozmawiać. Potraktował nas biskoptami, dobrym węgryzmem i doskonałemi cygarami — cygara u Kamedułów! I cóż dziwnego? przecież palenie tytoniu nie jest rozmową, a służy do kontemplacji, głównego zajęcia Kamedułów. Po tej wycieczce był obiad u delegata Bobowskiego; a gdy po obiedzie arcyksiążę, jak to jest zwyczajem, robił cercele, ks. biskup Galecki, ówczesny administrator dyecezyi krakowskiej, nie czekając aż arcyksiążę nas pożegna, przystąpił doń i rzekłszy: „Ich habe die Ehre mich aller untertänigst zu empfehlen“, wyszedł z salonu. Biedny delegat podskoczył do

arcyksięcia, by przeprosić za ten brak formy, lecz arcyksiążę roześmiał się i rzekł: „Der alte Herr wird wohl eine dringende Ursache zum weggehen gehabt haben.“

Miał ja potem przez parę lat do czynienia z tym ks. Gałęckim. Stolica biskupia krakowska była od bardzo dawna osieroconą. Po usunięciu ostatniego biskupa krakowskiego, z powodu niekryjącego się jego patryotyzmu, był administratorem dyecezyi krakowskiej ks. biskup in p. infid. Łętowski, po nim nastąpił Gałęcki, rubacha, i rozwiązłego życia; w skutek tego jako też z powodu, że nie troszczył się o obsadzenie opróżnionych przez śmierć miejsc w kapitule, tak, że ta zesłała na czterech niedołącznych starców, rozluźniła się moralność księży w całej dyecezyi. Jeden z kanoników podał zażalenie do stolicy apostolskiej, ten sam kanonik przeszło 70-letni starzec, ogólnie szanowany, udał się i do mnie jako ministra, Polaka, z prośbą bym postarał się o usunięcie ks. Gałęckiego od administracji tej biednej dyecezyi krakowskiej, przytoczywszy jego niegodny kapłana sposób życia; w ślad za tem nadeszła prośba przez znanych mi z zacności kilkunastu wybitniejszych obywateli krakowskich, potwierdzająca co się tyczy rozwiązłego i gorszącego życia ks. Gałęckiego, wszystko, co mi już wiadomem było z pisma, o którym właśnie wspomniałem, a nadto prócz usunięcia Gałęckiego, żądająca, by już raz zamianowano biskupa krakowskiego. Poruszyłem więc tę sprawę w ministerstwie oświaty i wyznań, mówiłem przy sposobności z cesarzem, lecz ks. Gałęckiego protegowały panie krakowskie, wzniosły lament że usunięcie ks. Gałęckiego sprawi zgorzenie, że ucierpi na tem powaga kościoła! Dziwne te pobożne panie krakowskie! więc jawnie rozwiązłe życie biskupa nie szkodzi powadze kościoła, a usunięcie takiego biskupa od administracji dyecezyi, wywoła zgorzenie między wiernymi?

Ciągnęła się więc ta sprawa mimo, że obywatele krakowscy (rozumie się nie należący do towarzystwa) wysłali deputację do cesarza, mimo, że ks. Gałęckiego zawezwano do Rzymu do tłumaczenia się z poczynionych mu przez ks. Chełmeckiego różnych zarzutów, z których się podobno oczyścić nie mógł, ciągnęła się, dzięki wstawieniu się księżnej Odescatchi za ks. Gałęckim, przez

dwa przeszło lata, aż nareszcie rząd nasz kategorycznie zażądał usunięcia ks. Gałęckiego, na co też ostatecznie Rzym się zgodził. Ks. Gałęcki, który z gremium kapituły tarnowskiej powołany został na administratora diecezji krakowskiej, otrzymał prócz pensyi, którą mu przy ustąpieniu z administracyi wyznaczono, także płacę jaką pobierał jako kanonik tarnowski, mógł więc żyć przyzwoicie. Tymczasem zamieszkał tu w Wiedniu w jakimś trzeciorzędnym hotelu, z nikim nie żył i zapomniany przez wszystkich w tym hotelu umarł.

Lecz wracam do mej bytności w Krakowie. Po odjeździe arcyksięcia, dało miasto dla mnie obiad. Panowie z towarzystwa nie chcieli przyjąć zaprosin, i dopiero za perswazyą Gołuchowskiego i namową księcia Stanisława Jabłonowskiego, który ostentacyjnie złożył mi wizytę w hotelu Saskim, gdzie mieszkałem, kilku z nich przybyło na obiad. Odpowiadając na toast przez Zyblikiewicza wniesiony, wiedząc jak niechętnie patrzyło tamtejsze towarzystwo na moje wyniesienie do godności ministra dla Galicyi, powiedziałem, że posadę moją uważam za placówkę straconą i przyjąłem ją tylko, by trzymać miejsce dla godniejszego.

Podczas ówczesnej mej bytności w Krakowie odwiedziła mnie deputacya kapituły i wręczyła memoriał dotyczący rozmaitych sum należących bądź to do kapituły, bądź do tamtejszych klasztorów i bractw, a przez rząd rosyjski zabranych i dotąd niezwróconych. Sprawę tę zaraz po powrocie do Wiednia poruszyłem w ministerstwie oświaty i wyznań, a dowiedziawszy się, że tą sprawą zajmuje się ministerstwo spraw zagranicznych, uzyskałem od Andrassego przyrzeczenie, iż ją każe odgrzebać (spoczywała tam bowiem lat kilkanaście w zapomnieniu), jakoż zniósłszy się z rządem rosyjskim, uzyskał iż tenże rząd przystał na rozpatrzenie tej sprawy przez wspólną komisją w Warszawie zebrać się mającą. Ze strony austr. mianowany został komisarzem Dr. Stanisław Szlachtowski, adjunkt prokuratury skarbowej we Lwowie, i po dwu letnich targach, wypłacił rząd rosyjski tutejszemu rządowi przeszło trzy miliony złr., który je „pro rata“ porozdzielał między korporacye do odszkodowania uprawnione.

Drugą sprawą, którą się niezwłocznie zająłem, było tutejsze ruskie seminaryum ad S<sup>tam</sup> Barbaram. Seminaryum to założone przez Maryę Teresę dla kształcenia alumnów unickich z Galicyi i Węgier, nie miało już teraz racyi bytu szczególnie dla Galicyi, która posiada obok Wsztechnicy lwowskiej, seminaryum unickie, mogące alumnom dać należyte wykształcenie; był zaś ten zakład wielce szkodliwym nietylko dla Galicyi, lecz i dla Państwa, dostawszy się bowiem od bardzo już dawna pod wpływ kapełanów ambasady rosyjskiej, wysyłał do kraju księży zakazanych schyzmą prawosławia i oddanych Rosyi. Z seminaryum tego wyszli tacy Jachimowicze, Litwinowicze, Popiele, krzewiący między duchowieństwem unickim dążności rosyjskie i schyzmatyckie, w najnowszych zaś czasach alumni tu kształceni wprost udawali się w lubelskie i chełmskie, by zwabionym tam z Galicyi przez rząd rosyjski księżom unickim, pomagać w nawracaniu tamtejszych unitów na prawosławie. Wyłożywszy te powody przedstawiłem Stremayrowi, ministrowi oświecenia i wyznań, wniosek zniesienia tego seminaryum jako niepotrzebnego a szkodliwego, i obrócenia pieniędzy, które rocznie kosztowało (do 700 fl. na każdego alumna), na lepszą dotacyę seminaryum lwowskiego, któremu po sto kilkadziesiąt złr. (!) na alumna wyznaczano.

Ponieważ seminaryum ad S<sup>tam</sup> Barbaram, służące do kształcenia alumnów unickich z Galicyi i Węgier, utrzymywane było pro rata kosztem austriackim i węgierskim, więc Stremayer odniósł się z moim wnioskiem do węgierskiego ministra wyznań. Ten zapytawszy swoich biskupów o zdanie odpowiedział, że się na zwinięcie owego seminaryum zgadza: „weil dort unsere Alumnen von den galizischen mit russischen und schismatischen Ideen angesteckt werden,“ że zresztą nie chce przesądzać, co rząd austr. postanowi, węgierski rząd od najbliższego roku szkolnego poczynawszy swoich alumnów do seminaryum ad S<sup>tam</sup> Barbaram posyłać nie będzie. Otrzymaawszy taką odpowiedź, zapytał Stremayer naszych biskupów unickich t. j. ks. metropolite, a był nim wówczas ks. Józef Sembratowicz, i ks. Stupnickiego, biskupa przemyskiego. Obydwaj byli za utrzymaniem rzeczonego seminaryum utrzymując, że w Wiedniu mogą się prędzej kształcić na Drów teologii niż we Lwowie (?) a ks. metropolita ad captan-

dam benevolentiam ministra dodał: że w Wiedniu mogą nauczyć się dobrze niemieckiego języka.

Zasłaniając się tą opinią biskupów, utrzymał Stremayer seminaryum ad Stam Barbaram, chociaż teraz stało się jeszcze kosztowniejszem, gdyż rząd węgierski natychmiast przestał doń posyłać swoich alumnów, a więc i subsidia płacić. Na przytoczony zaś w moim memorandum przeciw temu zakładowi zarzut, że w nim wychowują się moskalofile i schyzmatycy pod wpływem ambasady rosyjskiej, wcale nie zważano, minister Stremayer bowiem był przekonany, że Polacy uprzedzeni są przeciw rusinom, i pomawiają ich o skłanianie się ku Rosyi i schyzmie całkiem niesłusznie. Dopiero gdy w parę lat później, przy sprawdzaniu rachunków tego zakładu spostrzeżono jakimś przypadkiem, że liczono więcej porcyi niż było alumnów, przedsięwzięto rewizyę i znaleziono w seminaryum ośmiu moskali, sluchaczów medycyny i chemii, usunięto rektora ks. Ciepanowskiego, i zabroniono dawać w zakładzie przytułek obcym. Rektorem zamianowano na rekomendacyę ks. Stupnickiego, księdza Pełesza, terażniejszego biskupa przemyskiego; ten zaprowadził trochę porządku, zakazał alumnom wychodzić pojedynczo na miasto, zachęcał by brali udział w uroczystościach obrz. łac. i t. p., całkiem wszakże usunąć zakorzenionych tam tendencyi nie potrafił. Dopiero terażniejszy metropolita ks. Sylwester Sembratowicz, gdy i biskupi łacińscy zażądali mieć swoich alumnów przy swym boku, zażądał zniesienia zakładu ad Stam Barbaram, i nie ma go już chwała Bogu.

Wystawa powszechna sprowadzała do Wiednia mnóstwo książąt panujących. Cesarzowi niemieckiemu i rosyjskiemu przedstawił ministrów sam cesarz w Burgu. Cesarz niemiecki, olbrzymiej postawy, o rysach regularnych, lecz bez szlachetniejszego wyrazu, „ein Profossengesicht“ przemówił parę słów do ks. Auersperga, resztę ministrów lekkim zbył skinieniem głowy; tuż za nim jakby stróż, szedł również olbrzymi Bismark, istny buldog. Car zaś żadnego z ministrów nie zaszczycił choćby słówkiem; przeszedł obok nas spoglądając wzrokiem tak dziwnym, iż można było zeń wyczytać pogardę, strach i początek obłąkania. Przedstawił nas potem wielki ochmistrz następcom tronu

to maby



niemieckiemu i rosyjskiemu. Niemiecki Fryderyk, późniejszy przez 99 dni panujący cesarz, piękny i nadzwyczaj sympatyczny, rozmawiał z każdym z ministrów, o przedmiotach ich ministerstwa i to z wielką znajomością rzeczy; ze mną o przedmiotach mego ministerstwa, rozmawiać nie mógł, byłem bowiem ministrem bez teki, więc aby przecież coś powiedzieć, zapytał, jak długo już jestem ministrem. Odpowiedziałem, że urzędowanie moje rozpocząłem z dniem otwarcia wystawy i zaraz zmkłem, (podczas otwarcia wystawy lał potężny deszcz, i nim się po ukończeniu ceremonii dostałem do powozu, zmkłem porządnie). „Das ist ja gut, odrzekł z uśmiechem, Mairegen bringt Segen, und den wünsche ich Ihnen vom Herzen“.

Rosyjskiemu następcy tronu, terażniejszemu carowi, towarzyszyła przy naszym przedstawieniu jego żona, terażniejsza carowa. Carewicz, słuszny, przystojny blondyn, już wówczas ostentacyjnie unikał języka niemieckiego, chociaż nim włada doskonale; rozmawiał z nami po francusku; mnie zapytał z których stron Galicyi pochodzę, a gdy mu powiedziałem, że z tarnopolskiego z nad samej granicy rosyjskiej, ukłonił się i już nic dalej nie pytał. Carewiczówna, młoda, ładna, rozmawiała z nami po niemiecku.

Król Belgów, który nas przyjmował w pałacu ministerstwa finansów na Himmelpfortgasse, gdzie go dla braku miejsca w Burgu ulokowano, mimo że miał mundur wojskowy, wcale nie miał miny wojskowego. Słuszny, chudy, z długą brodą i poczciwym wyrazem, wygląda raczej na niemieckiego uczonego. Wypytywał mnie z wielkiem zajęciem o atrybucyach sejmu galicyjskiego i autonomicznej naszej organizacji.

Nasi cesarstwo chcąc gości poumieszczać ile możności w Burgu, przenieśli się wcześniej niż to zwykli czynić, do Schönbrunu. W tamtejszym też teatrze pałacowym dano, na cześć cesarza niemieckiego, przedstawienie galowe. I proszę zgadnąć jaką grano sztukę? Nos intimes! — Unsere lieben freunde! — Niepodobna dopuścić że chciano zażartować z cesarza Wilhema, chociaż cały Wiedeń tak sobie tłumaczył ten niesłychany brak taktu intendatury teatrów cesarskich. *Tu si pu Florian myh t.*<sup>2</sup>

W połowie lipca, nie dla własnego wycieczki, lecz dla rozerwania żony, która w maju straciła ojca, wziąłem sześcio-

1843

tygodniowy urlop, w zamiarze przepędzenia tego czasu razem z żoną w Szwajcaryi. Podziwiałem sławny wodospad w Szafhuzie; napawałem się w Interlaken (interlacos) położonym między jeziorami Tun i Brienz; widokiem Jungfrau, kokietującej z sąsiednim Mnichem, w dzień strojnej w białą jak niewinna dziewczica suknię, po zapadłym zaś zmroku zapalającej się namiętym ogniem, (Bergglühn); zwiedzałem ztamtąd lodowiec Gründelwald i przepysznym, szczególnie przy bengalskim oświetleniu, wodospad Giessbach, nad jeziorem Brienzkiem; kołysałem się na falach jeziora Czterech kantonów i patrzałem ze szczytu Rigi Kulm na leżące u stóp jego rozliczne jeziora i na cały łańcuch o wiele wyższych od niego śniegiem pokrytych Alp Berneńskich. Ach, gdyby nie ta zgraja turystów, jakby tu można rozkoszować się! lecz wszędzie ich spotkasz, a ich jednostajne: how beautiful! comne c'est pitoresque! Jott! ist das schön! ich banalne z Bedekera zaczerpnięte uwagi, psują ci najpiękniejsze widoki i krajobrazy. Szwajcaryca gdyby ją pokryto dachem, przedstawiałaby jedną wielką oberżę, tu tyle przejezdnych, że trudno spotkać się ze Szwajcarem, to też chociaż pięć tygodni tam bawiłem, nie wiele o Szwajcarach mógłbym powiedzieć, a szczególną zaś dowiedziałem się tam rzecz, a to, że w kilku najstarszych kantonach istnieją tak zwane Allmende, t. j. że gmina, grunta swe co kilka lat rozdziela losem, między swych członków, a mimo że używający wie, iż za parę lat grunt ten opuści, nie tylko go wzorowo uprawia do ostatka, lecz sadi drzewa, których owoce kto inny sprzedawać będzie i jest w tem wyrachowanie, bo skoro wszyscy tak postępują, to przy nowem losowaniu, każdy otrzyma grunt dobrze zagospodarowany.

W Interlaken, poznałem Spasowicza, który przejeżdżając tamtędy, a spotkawszy w spisie obcych moje nazwisko, odwiedził mnie w hotelu „zum Jungferblick“, gdzie mieszkałem. Z Lucerny, dokąd się przenieśli z Interlaken, wygnała nas cholera, a gdy i w innych miejscach Szwajcaryi zaczęła grasować, wróciłem pod koniec sierpnia do Wiednia i rozpocząłem na seryo już urzędować.

A smutne były początki mojego ministerstwa. Z kraju nitylko żadnego poparcia, żadnej zachęty, lecz albo zupełne ignorowanie, jak w „Czasie“ krakowskim, albo naigrawanie się

jak w „Gazecie Narodowej“. W kole polskiem, któremu przewodniczył Grocholski, szarpali mnie Krzeczunowicz i Kozłowski, a gdy znaczna część nowo wybranych posłów mnie znała, a prócz Bauma nikt w mej obronie nie stawał, oparcia szukać nie mogłem. Z kolegów ministrów znali mnie tylko Lasser i Unger, dla reszty byłem obcym, a według zdania niektórych, intruzem. Po niejakiś wszakże czasie i ci się ze mną oswoili; tylko ks. Auersperg i br. Pretis zawsze mi byli krzywi, obaj nie lubili Polaków wogóle, a przepadali za rusinami, przeciw którym ja znowu występować musiałem, więc antagonizm między nami nie przestawał. Ponieważ zaś owo ministerium, słusznie nazywało się ministerium Lasser genannt Auersperg a Lasser, chociaż tego jawnie nie okazywał, był mi przychylny Unger zaś otwarcie przyjaznym, nie doznawałem w mojem urzędowaniu przykrości; zwłaszcza wkrótce potrafiłem sobie zjednać także przychylność poczciwego Horsta i ugrzecznionego a nieuprzedzonego przeciw nam Chlumeckiego; Banhans przypominający swoim: bitte gehorsamst, dawnych naszych z Czech sprowadzonych strzelców, był mi chętny, sprowadził Bańkowskiego do swego ministerium na wyższą pocztową posadę, udzielił trzem słusarzom ze Świątnik stypendya dla kształcenia się w tutejszych fabrykach i urządził szkołę koszykarską pod Krakowem kosztem rządu. Z powodu udziału w jednym ze skrachowanych w r. 1873 towarzystw musiał się biedak podać do dymisyi. Ministerstwo handlu, objął po nim Chlumecky, a ministrem rolnictwa, w miejsce Chlumeckiego, został hr. Mannsfeld, szwagier ks. Auersperga, „durch und durch Cavalier“, i pod każdym względem gentleman, o administracyi nie miał wyobrażenia, służył bowiem we wojsku, a potem gospodarował, lecz inteligentny i bez nawyczek biurokratycznych, urzędował objektywnie i bez uprzedzeń narodowościowych.

Stremayer nudnawo grzeczny, wszystko obiecujący a nic nie dotrzymujący, w gruncie Polaków nie lubiący, najwięcej ze wszystkich ministrów dawał memu biuru do czynienia, duczając gdzie mógł naszej radzie szkolnej. W jednym wypadku, gdy opinia moja o jego zarządzeniu na radzie ministrów nie utrzymała się, cesarz po przeczytaniu protokołu zawezwał mnie do siebie, a wyrozumiawszy dlaczego się rozporządzeniu Stremayera sprzeciwiałem, kazał sprawę tę jeszcze raz wziąć na

*bravo!*

radę ministrów, z dodatkiem że referować ją ma Lasser i tym razem opinia moja utrzymała się. Stremayer zaś ubliżające to zarządzenie cesarza schował do kieszeni, lecz mi go nie zapomniał. Co się nareszcie tyczy Gläsera, ten aczkolwiek mnie osobiście dość przychylny, dla spraw naszych krajowych był głuchym, a wiadomości o kraju naszym czerpał z korespondencji, które „Nowej presie“ dostarczali St. Jurcy lub galicyjscy żydkowie à la Jolles.

Przy wyborach do Rady państwa, na podstawie nowej ustawy wyborczej, wybrany zostałem w wiejskim okręgu wyborczym żywieckim i we Lwowie; ponieważ zaś Lwów równocześnie ze mną wybrał Smolkę, przeto nie mogłem zrozumieć, jaką właściwie polityką wyborcy lwowscy się kierowali, ile że zasady polityczne moje i Smolki były wręcz sobie przeciwne; aby więc nie wejść w kolizję z wyborcami, przyjąłem wybór żywiecki i okręg ten wyborczy zastępowałem aż do chwili, gdy zostałem członkiem Izby panów. Między posłami, którzy z bezpośrednich wyborów r. 1873 przyszedli do Rady państwa, był także Julian Dunajewski. Jemu, jako znakomitemu mówcy i władającemu po mistrzowsku językiem niemieckim, poruczyło Koło, aby zaraz na wstępie, a więc przy dyskusji adresowej, zaznaczył stanowisko posłów polskich, z którego to zadania świetnie się wywiązał. Między winszującymi mu był także Unger, a że Dunajewski mówiąc, miał nawyknięcie kiwać się jak żyd przy modlitwie, Unger zaś bez uszczypliwego dowcipu żyć nie mógł, więc wróciwszy na swe miejsce zawołał: „das ist ohne Widerrede ein gewiegter Redner“. Dunajewski nie należał do mych przyjaciół, przeciwnie, szył mi buty w Krakowie, i w Kole; mimo to, a właśnie dlatego, postarałem się przy pierwszej zdarzającej się sposobności, by cesarz wyraził mu swe zadowolenie z powodu jego mowy. Sposobność taka zdarzyła się na pierwszym balu dworskim w r. 1874, na który byli proszeni wszyscy [posłowie; był więc i Dunajewski, a jako profesor w mundurze, a gdy cesarz zaczął robić cercle, wzięłem Dunajewskiego pod ramię i stanąłem zarazem z nim tak, aby cesarz obróciwszy się mógł nas zobaczyć; Andrassemu, który się kręcił koło cesarza, szepnąłem, że ten pan w mundurze obok mnie stojący jest poseł Duna-

jewski, który podczas dyskusji adresowej wygłosił w imieniu Polaków tak znakomitą mowę; możeby cesarz raczył go zaszczyścić przemówieniem. Andrassy zbliżył się do cesarza i jak tenże tylko skończył rozmowę, uczynił o com go prosił; cesarz się obróciwszy i spostrzegłszy mnie, zaczął kroczyć wprost ku nam, a gdy już stanął przed Dunajewskim i zwyczajem swoim lekko się uklonił, biednemu Dunajewskiemu wypadł z rąk stosowany kapelusz, wprost przed nogi cesarza, schylając się po kapelusz musiał cesarzowi oddać najniższy jak tylko można ukłon, nie stracił wszakże kontenansu, i rozmawiał z całą swobodą z cesarzem. To było pierwsze Dunajewskiego z cesarzem zetknięcie się!

Od czasu, gdy Wydział krajowy obejmując na mocy konstytucji Lutowej czynności autonomiczne, do których wedle tej konstytucji należał także zarząd funduszu indemnizacyjnego, zarządu tego objąć nie chciał, ponieważ namiestnictwo zarządzające dotąd tym funduszem powoływało się na najw. rozporządzenie z r. 1857, wedle którego skarż miał dostarczać temu funduszowi tytułem zaliczek przez kraj zwrotnych, rocznie 2,500.000 R. m. konw., resztę zaś do oprocentowania i umorzenia kapitału indemnizacyjnego potrzebnej rocznej kwoty około 2,800.000 złr. miał kraj dodatkami do podatków bezpośrednich wówczas 33 kr. od złr. m. k. wynoszącymi pokrywać, Wydział krajowy zaś nie przyznawał owemu najw. rozporządzeniu, jako nieogłoszonemu w zbiorze. ustaw, mocy obowiązującej, kwestya indemnizacyjna nie schodziła z porządku dziennego. Już w r. 1868 przy uchwaleniu budżetu, poruszono tę sprawę w Radzie państwa z powodu znajdującej się pod rubryką „subwencya dla funduszu indemn. galicyjskiego“ kwoty 2,500.000 Złr. i wezwano rząd do uregulowania tej sprawy. Ówczesny minister skarbu Dr. Brestel, mąż prawy w całym słowa tego znaczeniu, zbadawszy sprawę uznał, że ściśle rzecz biorąc, Galicya jako kraj, nawet tego, co do rządowego zasiłku dopłaca, płacić nie powinna, że zaś o obowiązku zwrotu owego zasiłku wcale mowy być nie może, gdyż rząd uwolnił w Galicyi ze względów państwowych, byłych poddanych od opłat indemnizacyjnych, które w innych prowincjach wynoszą połowę sumy do umorzenia i oprocentowania kapitału ind. potrzebnej, tę więc

połowę w Galicyi na 2,500.000 zfr. obliczona państwo ponosić winno. Uczynił tedy w r. 1870 na radzie ministrów wniosek zawarcia z sejmem galicyjskim ugody, tej treści, że zasiłki rządowe do funduszu ind. począwszy od r. 1867 będą z rachunku długu wymazane, i w dotychczasowej kwocie aż do zupełnego umorzenia kapitału ind. funduszowi gal. indemn. jako zasiłki niezwrotne rocznie wypłacane, z drugiej zaś strony kraj będzie obowiązany resztę potrzebnej do umorzenia i oprocentowania kapitału kwoty, dodatkami do podatków stałych dostarczać. Co się zaś tyczy zasiłków rządowych aż do r. 1867 zapłaconych, to o nich dopiero po przeprowadzonych rokowaniach z rządem węgierskim o wspólnych funduszach orzec będzie można. Uzyskawszy pozwolenie od rady ministrów, przedłożył Brestel w r. 1870 sejmowi gal. projekt powyższej ugody. Sejm, szczególnie po przemówieniu Zybliekiewicza, dowodzącemu (co było ściśle biorąc loicznym, lecz niepraktycznym) że rząd nie tylko co od r. 1867 dawał, lecz wszystko co kraj dotąd na indemnizację płacił, krajowi zwrócić powinien, ile że patentem z r. 1848 znoszącym pańszczyznę, cesarz wynagrodzenie uprawnionym, ze skarbu państwa dać przyrzekł, odrzucił projekt rządowy.

W r. 1873 ponowiono w Radzie państwa wezwanie do rządu, by sprawę indemnizacji gal. uregulował. Zadość czyniąc temu wezwaniu wniósł tę sprawę w r. 1874 minister Pretis na radę ministrów, i zaproponował nie ugodę z sejmem gal. zawrzeć się mającą, lecz wprost projekt ustawy do Rady państwa, orzekający, że Galicya winna jest skarbowi tytułem zwrotu dawanych zasiłków 35 do 37 milionów zfr. płatnych w rocznych ratach po umorzeniu kapitału ind., że od roku 1874 zasiłki rządowe w dotychczasowej kwocie dawane będą funduszowi ind. bezzwrotnie; że nareszcie kraj ma płacić dodatkami do podatków 52 ct. od 1 zfr. aż do umorzenia kapitału ind. i długu z tytułu zwrotu dotychczasowych zasiłków rządowych powstałego.

Przeciw temu wnioskowi powstałem jak najsilniej, przytaczając, że patent z 17 kwietnia 1848 nie został wcale zniesionym, ile że najw. rozporządzenie z r. 1857 nie zostało ogłoszonym w zbiorze ustaw, że przeto nie ma mocy obowiązującej, że wymaganie, by kraj płacił 52 ct. od reńskiego, nawet temu najw. rozporządzeniu sprzeciwia się, gdyż rozporządzenie to wymaga

tylko, aby kraj. płacił to, co do zasiłku rządowego 2,500.000 fl. m. r. potrzebnem będzie do uzupełnienia kwoty przypadającej na umorzenie i oprocentowanie kapitału indem.; na to zaś nie potrzeba więcej jak 42 — 43 ctów od 1 złr. Nareszcie dodałem, że w razie, gdyby projektowana ustawa uchwaloną została, kraj i tak pokrzywdzony, gdyż podczas gdy inne kraje płacą tylko połowę potrzebnej kwoty do umorzenia kapitału indem., on dodając resztę do zasiłku rządowego płaci o parę kroć sto tysięcy więcej niż połowę, uda się ze skargą do trybunału państwowego, a wtedy ja będąc jego członkiem podam się do dymisji i wyjaśnię sprawę tę trybunałowi i pewny jestem że tam Galicya sprawę wygra.

Po mem przemówieniu zabrał głos Unger wnosząc, że według tego, co rada ministrów właśnie słyszała, stać by się mogło, iż zamiast dostać od Galicyi, jak to zamierza minister finansów, trzydzieści kilka milionów, c. k. skarb musiałby zapłacić Galicyi czterdzieści milionów, powinniśmy poprosić pana preopinanta, aby opinię swoją opisał i kopię hektografowaną każdemu z nas udzielił, abyśmy ważną tę sprawę dokładnie rozpatrzyć mogli, zanim do jej rozstrzygnięcia przystąpimy.

Gdy Rada ministrów na to się zgodziła, udałem się do ministerstwa spraw wewnętrznych, o udzielenie mi do przejrzania aktów tyczących się indemnizacji galicyjskiej, chciałem bowiem dokładnie zamierzone memorandum ułożyć. Lasser z największą usłużnością przysłał mi te akta i z nich się dowiedziałem rzeczy, o których ani Zyblikiewiczowi, który wydał podobno obszerną broszurę, ani moim kolegom w Radzie ministrów, z wyjątkiem Lassera, który podczas moich wywodów bardzo znacząco się uśmiechał, nawet się nie śniło.

I tak gdy cesarz wróciwszy z Galicyi, gdzie się skarżono na bardzo powolny postęp przy regulacji wynagrodzenia za pańszczyznę, wydał w r. 1853. reskrypt do ministra spraw wewnętrznych, by regulację tę przyspieszyć i w tym celu odłączyć ją od regulacji wynagrodzenia za serwituty, minister do rozkazu nie łączenie nadal tych dwóch czynności dodał, że obowiązek byłych poddanych płacenia od funduszu ind. należytości za serwituty ustaje!

Gdy w r. 1857 po skończonych czynnościach indemniza-

cyjnych trzeba było przystąpić do wydawania obligów indemnizacyjnych, wystosował Bach, minister spraw wewnętrznych, do Brucka, ministra finansów pismo, w którym wykazawszy, że Galicya, chociaż właśnie wobec ces. patentu z 17. kwietnia nic nie powinna płacić, płaci już teraz 33 kr. m. k. od reńskiego, i nie chcąc ją całkiem zrujnować, niepodobna jej większego ciężaru nakładać, te 33 kr. zaś wynoszą zaledwie połowę tego co potrzeba na umorzenie i oprocentowanie wylikwidowanego kapitału, wzywa ministra finansów, by się zgodził na dodawanie drugiej połowy w kwocie 2.500.000 złr. m. k. ze skarbu. Na to Bruck odpowiedział, że nie wchodzi w to, czy Galicya winna płacić lub nie, lecz przy terażniejszym stanie finansów, nie może skarbu obciążać tak znacznym rocznym wydatkiem. Co najwięcej, mógłby się zgodzić na dawanie funduszowi indemn. zasiłków zwrotnych, któreby się zapisały na konto długu funduszu, a później, gdy stan finansów na to pozwoli, będzie można zaprojektować cesarzowi całkowite lub częściowe skreślenie tego, rozumie się, bezprocentowego długu. Zresztą mógłbym się na proponowane mi subwencyonowanie zgodzić, gdyby ministerium spraw wewnętrznych zgodziło się na zaprowadzenie nowych podatków, które mu są wiadome.

Ponieważ Bach na te jemu wiadome podatki zgodzić się nie chciał, a pieniędzy, na opłacenie kuponów od wydać się mających obligów indemnizacyjnych bądź co bądź mieć musiał, więc zgodził się na udzielanie funduszowi indemnizacyjnemu zasiłków zwrotnych i w tym duchu wraz z planem amortyzacyjnym obligacyi, przedłożył cesarzowi do sankcyi znane najw. rozporządzenie z r. 1857. Cesarz udzielił swej sankcyi, a równocześnie zapytał, jak stoi sprawa des Serwituten Entgeltes. Ten Serwituten Entgelt, które obliczono mniej więcej na połowę wynagrodzenia za zniesioną pańszczyznę, miał wpływać do funduszu indemnizacyjnego, widocznie więc zapytując się o stan tego Entgelt, równocześnie z zezwoleniem na zwrotne zasiłki skarbowe do funduszu indemnizacyjnego, był zdania, że zwroty te nie nastąpią kosztem kraju, lecz z opłat przez byłych poddanych za używanie serwitutów uiszczać się mających, nie wiedział bowiem, że minister opłaty te już w r. 1853. byłym poddanym opuścił. Minister, odpowiadając na owe zapytanie cesarskie, przyznał się. Na to cesarz rezolwując den allerunterthänigsten Vor-



trag z wyrażeniem „des Missfallens“, że minister nie zapytawszy go rozporządził coś, co nie było jego zamiarem, gdy wydał reskrypt z r. 1853., polecił ministrowi, by rozważono na Radzie ministrów, czyliby przecież nie można zażądać od byłych poddanych opłaty serwitutowej. Wtedy minister in einem Vortrag odpowiedział, że wprawdzie możnaby to uczynić, lecz że są ważne politische und wirtschaftliche Bedenken; bo włościanie pamiętają, że im w r. 1848 głośzono, iż wynagrodzenie za zniszczoną pańszczyznę skarb, czyli jak im mówiono cesarz, zapłaci, i sarkają, że im mimo to każą płacić dodatki do podatków do funduszu indemnizacyjnego; cóżby to było, gdyby od nich teraz zażądano uiszczenia opłat serwitutowych, które im w r. 1853 opuszczono, a przytem zrujnowanoby włościan doszczętnie, gdyby od nich teraz zażądano dziesięcioletnich zaległości.

Argumenta te przekonały cesarza i wydał najw. rozporządzenie, uwalniające włościan od opłat serwitutowych, które też w r. 1858 należycie ogłoszonym zostało. Z tego wynika, że najw. rozporządzenie z r. 1857 podstępem od cesarza uzyskano; nie publikowano też z niego, tylko tabelę amortyzacyjną, część zaś dotyczącą się zasiłków zwrotnych i ilości dodatków do podatków przez kraj do uzupełnienia kwoty na umorzenie i oprocentowanie kapitału indemnizacyjnego potrzebnej, poufnie tylko namiestnikowi udzielono, a nawet gdy Wydział krajowy w roku 1861 dowiedziawszy się, że takie najw. rozporządzenie istnieje, publikowania onegoż zażądał, gdyż bez tego Sejm dodatków do podatków na fundusz indemnizacyjny uchwalałby nie mógł, ministerstwo odmówiło żądaniu Sejmu, tak, że rozporządzenie owe jako nie ogłoszone w zbiorze ustaw, nie ma mocy obowiązującej. Ułożony na podstawie tych dat urzędowych memoriał, kazawszy w 10 egzemplarzach wylitografować, rozesłałem panom kolegom, a skutek był ten, że wniosek Pretisa już się więcej nie pojawił na Radzie ministrów. Miał ten memoriał jeszcze inny dla kraju korzystny skutek, bo przy najbliższym budżecie krajowym, w którym na dodatek indemnizacyjny zażądało Namiestnictwo (Wydział krajowy bowiem nie objął funduszu indemnizacyjnego i zarządzało nim Namiestnictwo aż do r. 1893) 42 czy 43 centów, Rada ministrów odrzuciła wniosek Pretisa, domagającego się dodatku 50-ciu centów, godząc się

ze mną, że kraj ma tylko tyle płacić, ile prócz zasiłku rządowego potrzeba do uzupełnienia przypadającej na amortyzację i oprocentowanie kapitału, indemnizacyjnej kwoty.

Gdy bawiłem podczas sejmku we Lwowie, odwiedził mnie ks. Bojarski z drugim jeszcze księdzem; obydwaj byli dziekanami gr.-kat. w diecezji chełmskiej, szukający u nas schronienia przed prześladowaniem rosyjskim, a opowiedziawszy, iż księża unicki tamtejsi najwięcej mają do znoszenia od gr.-kat., księża tam z Galicyi przybyłych i obrzędy schyzmatyczne między Unitami szerzących, żalił się, że ks. metropolita (Józef Sembratowicz) nie chce żadnego Chełmczyka przyjąć do swej diecezji, że ich w konsystorzu traktują jak gdyby zbrodnię popełnili, przez to, że się szerzonym przez galicyjskich odstępców schyzmatykiem praktykom sprzeciwiali, a nareszcie, że większa część przybyłych do Galicyi księży z chełmskiego nie mają poprostu z czego żyć.

Wróciwszy do Wiednia, poszedłem do Andrassego, jedynego z ówczesnych austriackich mężów stanu, który sprawę ruską w Galicyi należycie oceniał i przed którym jak dobrym znajomym mogłem się wywnętrzyć. Pojął natychmiast sytuację, a rzekłszy: tym ludziom trzeba pomódz, bo oni będą najlepszymi antimoskiewskimi agitatorami między Rusinami w Galicyi, wręczył mi 4000 fl. z funduszu dyspozycyjnego dla unickich księży wychodźców, którą to kwotę Gołuchowskiemu przesałem z prośbą, aby stosownie do wyrażonego przez Andrassego życzenia, w pokwitowaniu mnie nadesłać się mającem, nie wyrażał od kogo i na co te pieniądze otrzymał. Ostrożność ta Andrassego małuje najlepiej ówczesne zapatrywanie się biurokracyi austriackiej na sprawę ruską.

W krótkim czasie potem, na balu u Andrassego, przystąpił do mnie cesarz i zapytał, co słyhać w Galicyi. Korzystając z tej sposobności opowiedziałem mu, że kilkudziesiąt księży ruskich, poporzucawszy duszpasterskie posady w Galicyi, udało się w lubelskie i chełmskie, by tamtejszych Unitów nawracać na schyzmę, natomiast zaś tamtejszych księży unickich, obstających przy katolicyzmie i za to pozbawionych parafii i zagrożonych deportacją do wschodnich gubernii rosyjskich, przybyło

kilkudziesięciu do Galicyi. — „To nie do uwierzenia“ — wtrącił cesarz — „ale to się dzieje, jestem pewny, bez wiedzy cara“. Na tę ostatnią uwagę nic nie odpowiedziałem, udając że jej nie słyszał, lecz wracając do wychodźców chełmskich, opowiadałem, że ich metropolita nie chce przyjąć do swej dyecezyi, że więc nie mogąc zająć się duszpasterstwem, nie mają z czego żyć, a przecież tyle miejsc jest opróżnionych przez naszych do Rosyi wychodźców. — „Do tego — rzekł cesarz — mięszać się nie mogę, lecz możeby ich w inny sposób zatrudnić można“. — I owszem — odrzekłem, — księża ruscy nieraz przez cały rok nie pokażą się w szkole na naukę religii, możnaby zdolnych do tego Chełmczyków zamianować katechetami, lecz cóż, kiedy nie mają wymaganego u nas egzaminu. — „Ich hab' ja das Recht veniam studiorum zu ertheilen“ — zakonkludował śmiejąc się, a na drugi dzień dał ministrowi oświecenia polecenie zajęcia się tą sprawą i mianowania, gdyby inaczej być nie mogło, chociażby prowizorycznie katechetami Chełmczyków, których mu wskaże Rada szkolna krajowa.

Biedni, poczciwi Chełmczyki zasługiwali, by się nimi opiekować, lecz gdy się w kraju dowiedziano, że ja proteguję księży ruskich, zaczęli się do mnie udawać i tacy, którzy nie byli biednymi. Primo loco wysunął się ksiądz metropolita Józef, by mu wyrobić bezprocentową, ratami spłacać się mającą pożyczkę 15.000 fl. dla zagospodarowania Lerchińskiego. Pożyczkę dostał, lecz następca jego, ksiądz metropolita Sylwester Sembratowicz odebrał Lerchińsko w najgorszym stanie i musi spłacać ową pożyczkę ze swych dochodów, zmniejszonych o 12.000 fl. rocznie, które dożywotnie płacić musi księdzu metropolicie Józefowi, gdyż ten tylko pod tym warunkiem do ustąpienia dał się namówić. Po księdzu metropolicie zgłosił się ks. Stupnicki, biskup gr.-kat. przemyski. Dawny obwód żółkiewski, to gniazdo prawosławia i moskalofilstwa, od 30 lat nie widział swego biskupa, nalegano więc na ks. Stupnickiego, by odbył wizytę kanoniczną w owych stronach. Ksiądz biskup wymawiał się, że nie ma za co(?) kupić koni i w tym sensie napisał do mnie list. Poszedłem do cesarza, przedłożyłem mu konieczność wizyty kanonicznej w tamtych stronach i tłumaczenia się ks. biskupa,

dłaczego dotąd tej wizyty nie odbył. Cesarz kazał mi wydać ze swej szkatuły 1000 fl., które odesłałem ks. biskupowi. Ten, nie mogąc się tłumaczyć dalej brakiem pieniędzy na konie, kupił czwórkę i puścił się w drogę do zwiedzania swych owieczek żółkiewskich. Licho chciało, że parę tygodni przedtem umarł nagle munkacki biskup r. g., a wieść się rozeszła że został otruty, ponieważ sprzyjał madiarom; otóż moskalofilskie „Słowo“, które często napastowało księdza Stupnickiego, szlachcica polskiego, z powodu rzekomego wysługiwania się Lachom, wydrukowało, że „perekinczyka Stupnickoho“ może spotkać podobna śmierć, jako kara boska. Tłumaczyć to było można: śmierć „nagła“, gdyż dzienniki pisały tylko, iż umarł nagle; lecz fama niosła, że został „otruty“ i tak sobie tłumaczył ks. biskup ową groźbę „Słowa“. W takim usposobieniu wyjechał w żółkiewskie; do dworów nie chciał zajeżdzać, by nań nie krakali ruscy, u ruskich księży do których zajeżdżał, bał się wziąć cokolwiek do ust z bojaźni, by go nie struto; żył więc herbatą przez siebie sporządzoną i jajami na swoim bulwarku gotowanymi, za parę dni zaś rozchorował się i odjechał do Przemyśla, nie zwiedziwszy nawet czwartej części żółkiewskiego. Co z czwórką zrobił nie wiem.

Exempla trahunt; więc i ks. Pełesz, objąwszy nowo kreowaną stolicę biskupią w Stanisławowie, zgłosił się do mnie z żalem, że zapłaciwszy podatek nie ma już z czego urządzić swej rezydencji, na co potrzeba choć 5.000 fl. Idę znowu do cesarza. Der Mensch ist ja unersättlich, wykrzyknął, ich hab ihm ja unlängst einige Tausend gegeben. Pełesz dostał te 5.000 fl; a ja swoją drogą skorzystałem ze złego humoru cesarza. Wyczytałem w „Neue freie Presse“ iż „Dnewnyk warszawskij“ ogłosił odręczne pismo cara, nakazując wyrazić monarsze swe uznanie biskupowi Popielowi za gorliwe nawracanie unitów na prawosławie, oraz oznajmić mu, iż wolno mu sprowadzić jeszcze więcej księży ruskich z Galicyi, jeśli tego potrzebę uzna. Przypomniawszy sobie iż cesarz, gdym mu wspomniał o prześladowaniu unitów w Rosyi, powiedział, iż jest pewnym, że to się dzieje bez wiedzy cara, wyciąłem owo doniesienie „Nowej Pressy“ i nosiłem przy sobie w pularesie, z zamiarem pokazania go przy

dobrej sposobności cesarzowi. Za taką sposobność uważałem niezadowolenie jego z natrętności ks. Pełesza, i przypomniawszy mu jego słowa o carze, co do prześladowania unitów, podałem wyżej wzmiankowany wycinek z nowej Pressy. „Der Dnewnyk ist ja ein Regierungsblatt“, zapytał po przeczytaniu, a gdym to potwierdził, dodał: dann mus das autentisch sein; ich danke Ihnen. I na tem się skończyła audyencya, ale das Eis war gebrochen, cesarz przestał wierzyć „w lojalność“ der Ruthenen“, czy i cara — o tem ostatniem nie wiem; co zaś do rutenów, przekonałem się potem niejednokrotnie, że patrzy na nich tak jak na to zasłużyli.

Wspomniałem, iż w r. 1869 przez stańczyków i rezolucjonistów, rzucono w kraju hasło składania mandatów do Rady państwa. Hasła tego usłuchało kilkunastu posłów, a książę marszałek czy to z własnego natchnienia, czy namówiony przez syna lub przez Krzczunowicza, mającego nań wielki wpływ, uczuł, że mu „sumienie nie pozwala“ dźwżyć dalej laskę marszałkowską, skoro rząd nie uwzględnia tak gorących żądań sejmu, jakie wyrażone zostały w rezolucyi z r. 1868, kazał sobie więc napisać rezygnacyę z marszałkowstwa i wyjednawszy audyencyę u najj. Pana, prosił go o uwolnienie od urzędu marszałka krajowego, wręczając mu pismo zawierające tę samę prośbę. Cesarz położywszy pismo na stoliku, zaczął księciu Leonowi perswadować, by dalej przewodniczył sejmowi, gdyż tego dobro kraju wymaga itd. Nareszcie książę rzekłszy: Ha, jeżeli Wasza ces. mość tego wymaga! — zaszczycony uściśnieniem ręki cesarskiej wyszedł z gabinetu cesarskiego, zapomniawszy wziąć leżącą na stoliku rezygnacyę. (Mam te szczegóły od ks. Karola Jabłonowskiego, któremu je ktoś z najbliższej cesarza stojących opowiadał, a że zgodne są z prawdą, dowodem, że książę Leon jeszcze przez pięć lat marszałkował). Wracającego z Wiednia ks. Leona witały po drodze deputacye powiatów, wręczano mu adresy z podziękowaniem za ten czyn patryotyczny, jakim jest jego rezygnacya z marszałkostwa z powodu poniewierania przez rząd życzeń kraju przez sejm wypowiedzianych; ks. Leon dziękował za owa-cyę i adresy, twierdząc że rezygnując z godności marszałka, wypełnił tylko obowiązek względem kraju i t. d. Tak adresy

jakoteż podziękowania na nie księcia Leona drukowały „Czas“ i „Gazeta Narodowa“, a potem? No nic! Książę Leon zagał w jesieni sejm, i marszałkował dalej, bo od czegoż jesteśmy, my Galicya z Lodomeryą i W. ks. Krakowskiem? Lecz cóż z tego, kiedy my Galicya itd. nie jesteśmy sami na kuli ziemskiej. Istniał także niejaki Offenheim chevalier du Pont-Euxin, jeneralny dyrektor kolei lwowsko-czerniowieckiej, której prezesem był na nieszczęście ks. Leon. Otóż ten nieszczęsny Offenheim, dostał się w r. 1874 w ręce sędziego śledczego, za rozmaite nieczyste sprawki przy rekonstrukcyach i dostawach kolejowych, i tłumaczył się, że robił z wiedzą rady nadzorczej, której prezesem, jak to nadmienilem, był ks. Leon. Wątpię by to było prawdą, lecz powtarzano to sobie w mieście i w kraju, a rząd, który za podobne przy innem przedsięwzięciu plotki pozbył się był ministra handlu Banhansa, sądził, że książę Leon powinienby podać się do dymisyi, by uniknąć możliwej ewentualności, iż jako marszałek krajowy stanąć będzie musiał przed sądem karnym. Polecono więc Gołuchowskiemu, aby w sposób delikatny dał ks. Leonowi do zrozumienia, iż powinienby podać się do dymisyi. Hr. Gołuchowski spełnił tę cierpką misję, lecz ks. Leon o dymisyi nie chciał słyszeć, przytaczając, że wobec toczącego się procesu Offenheima rezygnować z marszałkostwa znaczyłoby tyle, co przyznanie się do winy. Może ks. Leon miał słuszość, ale dlaczegoż zapomniał w r. 1869 rezygnacyę swoją wziąć ze sobą, gdy wychodził z gabinetu cesarskiego? Dlaczego wracając do kraju przyjmował owacye za to, że zrezygnował? Dlaczego za podane mu w uznaniu za ten czyn patryotyczny adresy, dziękował w dziennikach przyznając się, że zrezygnował? Otóż teraz z tego wszystkiego wnoszono, i to zdaniem mojem słusnie, iż książę Leon wniesionej w r. 1869 rezygnacyi nie cofnął, wyszukano ją i przedłożono cesarzowi z wnioskiem przyjęcia takowej, co też najj. Pan uczynił, i finita la Comedia.

Marszałkiem krajowym został hr. Alfred Potocki.







# PAMIĘTNIKI

FLORYANA

ZIEMIAŁKOWSKIEGO

—————

CZEŚĆ DRUGA

ROK 1848.

—————

KRAKÓW  
CZCIONKAMI DRUKARNI A. KOZIAŃSKIEGO  
1904



Część druga pamiętników powstała z zapisków ś. p. Ziemiałkowskiego, których nie miał później sposobności przygotować do druku. Tem też tłumaczy się bardzo nieraz niezrozumiała budowa zdań, której wydawca nie zmienił, aby żadną poprawką mimowoli nie wpłynąć na treść oryginału. Wychodzi zatem ta część w tej postaci, w jakiej znaleziono ją w pozostałych papierach, w wielu miejscach bardzo uszkodzonych i nieczytelnych.



**D**nia 17 marca 1848 rozeszła się wiadomość o powstaniu wiedeńskim. Obywatele pod wrażeniem rewolucyi francuskiej lutowej zostający, w oczekiwaniu czegoś, o czem sobie sami sprawy zdać nie byli w stanie, — udali się do Jana Dobrzańskiego, redaktora „Dziennika mód Paryskich“ z propozycją, aby im napisał adres do cesarza. Dobrzański nie mogąc z nich wydobyć, czego właściwie tym adresem od cesarza żądać chcą, a nie wiedząc sam, czego by żądać trzeba, zwierzył się z tem Hefernowi, prosząc go, by on ten adres napisał. Tegoż samego dnia kilku obywateli ziemskich, a było ich podówczas wielu we Lwowie, częścią dla pory roku, częścią dla nowin o wypadkach europejskich, zgłosiło się było także do Smolki i Heferna, by im adres napisali. Wówczas cały świat pisał adresy, chciano więc i we Lwowie mieć adres; lecz czego żądać, tego nie wiadano. Po tem podwójnem wezwaniu Hefern i Smolka, rachując na kilkadziesiąt podpisów obywateli miejskich i tyleż ze strony obywateli ziemskich, zniósł się ze Ziemiańkowskim 18 marca, i ułożono przy zamkniętych drzwiach adres tak zwany „19-go marca“, w którym oświadczone gotowość do zniesienia pańszczyzny i nadania poddanym własności bez wynagrodzenia, i żądano reorganizacyi narodowej dla Galicyi. W nocy przepisano ten adres na czysto, przetłomaczono także na niemieckie, a na drugi dzień, w niedzielę 19 marca, złożono go w biurze redakcyi „Dziennika mód“, dokąd wezwano obywateli, co tego adresu żądali, aby go podpisali. Miasto kilkudziesięciu podpisów spodziewanych, pokryło adres ten kilkanaście tysięcy; mie-

szczenie, szlachta, żydzi — cisnęli się do podpisu, a że nie było miejsca w biurze, podpisywano więc na ulicach. Władze rządowe, przestraszone wypadkami wiedeńskimi, nie przeszkadzały, — gdy zaś około 5-tej po południu biura rzeczzonego dziennika, plac Ferdynanda i ulice przyległe tysiącami się napełniły, co chciały towarzyszyć deputacyi, mającej adres ten o 6-tej wręczyć Stadionowi, gubernatorowi ówczesnemu, — zapaliła policya jakąś szopę na przedmieściu, uderzono na gwałt i gdy Lwów od czasu rzezi tarnowskiej zostawał jeszcze ciągle pod sądem doraźnym, wyruszyła prawie cała załoga, wytoczono działa, wszystko to niby z powodu ognia, właściwie zaś by lud zgromadzony przerazić i od zamierzonego kroku wstrzymać, kazano nawet, by to tempredzej dokonać, szwadronowi huzarów galopem wjechać na plac Ferdynanda i przez to rozpedzić lud na tym placu tłumnie zgromadzony; — atoli huzarzy przywitani przez lud okrzykami: „Elyen Magyar!“ zatrzymali w pędzie swe konie i stanęli na drodze obok tego placu wiodącej, a dowodzący nimi rotmistrz, salutując lud pałaszem, oświadczył, iż może być spokojny i huzarów niech się nie lęka.

Odczytano więc wśród bicia dzwonu alarmowego i bębnowojskowych, w obliczu dział o kilkadziesiąt tylko kroków od biura rzeczzonego dziennika i kilkunastu tysięcy wojska, nabijającego broń w obliczu ludzi, — z balkonu zgromadzonemu ludowi adres, i w trzech oddziałach: (jeden przez Nową ulicę drugi przez Wałową, a trzeci koło Bramy halickiej i kościoła Bernardynów), wzdłuż wyciągnionych szeregów wojska, udano się do pałacu gubernatora. Kilku z obywateli, między nimi także majątny żyd Rachmiel Mieses, ponieśli adres do gubernatora, — reszta została na placu gubernatorskim, zapelniając nietylko ten plac i przyległe plantacye, ale i całą ulicę Nową, aż w głąb miasta. Czekano w milczeniu odpowiedzi, nareszcie wyszedł Stadion na balkon w towarzystwie obywateli, którzy mu adres oddali i kilku innych, których niecierpliwość z ulicy do komnat gubernatorskich zagnała, i drżącym głosem oświadczył, że adres przedłoży cesarzowi i przyrzekł wypuścić więźniów politycznych (których było przeszło 200 we Lwowie) na drugi dzień. Uradowany tem ostatniem oświadczeniem lud, wołał „niech żyje Stadion“, a inni wołali „do czasu“, —

chciał jeszcze coś mówić Stadion, lecz mu lud nie dał, wołając „gwardyi“ i „broni dla gwardyi“. Przelekniony Stadion widokiem ludu w przeszło 20 tysięcy zgromadzonego i uporczywym domaganiem się broni, znikł z balkonu i zaczął radzić i układać się z przytomnymi tam obywatelami względem gwardyi, — tymczasem lud się niecierpliwił; pokazał się więc Stadion, lecz nie mógł wydobyć głosu z piersi, w jego więc imieniu oświadczył adwokat Romanowicz, że gubernator na gwardyę zezwała i akademikom zaraz jutro broń wydać każe, a do sformowania i uzbrojenia reszty gwardyi komisję utworzy. — Wołano więc znowu „Niech żyje Stadion“, a gdy już zmrok zapadać zaczął, rozeszedł się lud, wracając oświetlonemi rzęsiście ulicami, jedni do domu, drudzy do więzień z wieścią, że jutro wolni będą. Wojsko też rozeszło się do koszar, policya znikła, jakby pod ziemią, a lud do północy w cichej radości, używając swobody dotąd nieznaney, przechadzał się spokojnie po oświetlonem mieście.

20-ty marca zeszedł do południa na wypuszczaniu więźniów politycznych, wnoszono ich na rękach, obrzucano kwiatami, żydzi całowali im nogi, — był to dzień ogólnego rozrzewnienia, znikła nawet niechęć do Niemców, — wszyscy przypinali białe kokardy, ściskali się i całowali. Rozdano też sto kilkadziesiąt karabinów, po większej części niezdatnych, dla Akademi i uformowano jeszcze tego dnia legię akademicką. Z broni wszakże, jaką Akademii wydano, z okoliczności, iż najprzód uzbrojono młodzież gorącą, niecierpliwą — a z mianowaniem przyrzeczonej komisji do organizacyi ociągano się z agitacyi ruskiej, wszczętej podczas gdy adres klerykom ruskim do podpisania przedłożono przez protestacye Cyryla Wienkowskiego, adjunkta fiskalnego, przeciw żądanemu adresem językowi polskiemu w szkole i urzędach, a prowadzonej dalej w seminarjum ruskim przez przełożonych księży ruskich, w mieście zaś przez urzędników austriackich, którzy raptownie przedzierzgnęli się w Rusinów, z pieśni rewolucyjnych, tu i ówdzie przez oczywistych prowokatorów policyjnych śpiewanych, z skonsygnowania wojska do koszar i zniknięcia straży bezpieczeństwa widać było, że Stadion, stary ćwik biurokratyczny, jakąś knuje zdradę. Noc wszelako z 20 na 21 minęła spokojnie, mimo, że miasto było

znów oświetlone, a lud tłumami po ulicach aż w późną noc się przechadzał.

Na 21-go zapowiedziane było nabożeństwo za poległych wiedeńczyków, na które to nabożeństwo Ziemiałkowski zaprosił był także Deutschmeistrów, w Wiedniu prawie wyłącznie rekrutowanych, a od 1844 we Lwowie garnizujących. Przynękli przyjsć na to nabożeństwo, przybyło też, z dwoma oficerami, kilkadziesiąt żołnierzy; po nabożeństwie, które się odbyło w kościele Dominikanów, nastąpiło bratanie się naszej młodzieży z tymi żołnierzami, którzy wołali: „Hoch den Polen!“

Tymczasem lud zgromadzony przed ratuszem, a szczególnie czeladź rzemieślnicza, czekał od rana na chwilę, kiedy zaczął wpisywać do gwardyi, a dowiedziawszy się, że nawet jeszcze nie ustanowiono komisji do organizacyi gwardyi, zaczął się burzyć i wołać: „broni, albo sami sobie ją weźmiemy“. Arsenał był otwarty, wyszukiwano starą broń dla Akademii, lud łapczym okiem patrzył na skarby, które z głębi korytarza arsenalowego błyszcząły. Trzeba było co zrobić, by odprowadzić lud od pokusy. Uradzono więc na prędce złożyć komitet w celu kierowania organizacją gwardyi. Festenburg, burmistrz miasta, niecierpiący ogólnie, złożył był jeszcze 20-go swój urząd, Gołuchowski, podówczas radca gubernialny, został mianowany przez Stadiona tymczasowym burmistrzem, — udano się więc do niego i żądano kluczy od sali ratuszowej; chcąc nie chcąc dał je, — otworzono więc salę do której tłoczył się lud; stara gwardya miejska i nowo uformowana legia akademicka zajęła dziedzińce i korytarze ratusza; przez zebrany raz w sali lud, obrano na propozycję to przez tego, to przez owego robioną, przez akłamację 40 członków, jako komitet mający się zająć natychmiast organizacją gwardyi. Był to komitet dziwnego składu. Znani z poświęcenia patryoci zasiedli obok ludzi dwuznacznego charakteru, Rusini otwarci obok zapalonych Polaków, żydzi obok księży katolickich, dawni żołnierze polscy obok dwóch oficerów z pułku „Deutschmeister“, czeladnicy obok znanych arystokratów, jak Sapięha, Czacki, Cielecki, Antoniewicz; słowem był to chaos, a chaosowi temu pręzesował Dzierzkowski z ogromnym pałaszem przy boku, który mu służył zamiast dzwonka, pukając bowiem nim o podłogę napominał do spokoju, ile razy wrzawa



zanadto się wznagała. Komitet ten, wierny pierwiastkowemu swemu powołaniu, zajął się natychmiast organizacją gwardyi i obrał z ułożonej listy komisję organizującą, i wyznaczył jej 3-cią godzinę po południu do rozpoczęcia swych czynności; ledwo zaś ukończył to dzieło, wniósł ktoś, iż właściwie niema nikogo, coby życzenia ludu przedstawiał Stadionowi, ztąd zaś mogą powstać nieporozumienia, dlatego komitet powinien przyjąć na siebie misję takiego pośrednika, między ludem a rządem; podczas gdy nad tym wnioskiem radzono, dają znać, że Dobrzański, który był wysłany z komitetu na rynek, by oznajmić Ludowi, że komitet już obrał komisję organizującą, która o trzeciej rozpocznie swoje czynności i wezwać aby lud się rozszedł spokojnie do domu, haranguje lud w przeciwnym duchu; prezydujący posyła Dobrzańskiemu rozkaz wrócenia do sali, lecz Dobrzański odpowiada, że prezydujący może rozkazywać w sali, a nie na ulicy; tymczasem przyjęto nadmieniony wniosek, a gdy dano znać, że Dobrzański niesiony na barkach (jak się później okazało szpiegów), ciągnie z całym tłumem do gubernatora, by żądać broni, komitet, — chcąc ratować powagę, uchwała wysłać deputacyę z swego koła z oznajmieniem Stadionowi, iż się ukonstytuował, jako ciało mające służyć za tłumacza życzeń ludu, i że pełniąc to posłannictwo, żąda dla ludu broni. Deputacya ta w kilka minut po Dobrzańskim przybywa do pałacu gubernatorskiego, robi sobie z chustek białe przepaski na ramionach, by się przecisnąć przez tłum otaczający pałac i po wielu trudach dostaje się nareszcie do pałacu, gdzie na miejscu grenadierów pełniło 4 młodych ludzi z pałaszem wartę honorową.

W pałacu gubernatorskim, jakby wszyscy wymarli, — drzwi wszystkie pozamykane, nigdzie żywej duszy. Po takim rekonesansie wraca deputacya na dół i gdy sama nie wie co robić, Ziemiałkowski udaje się jeszcze raz sam jeden na górę, szczęśliwszy tym razem napotyka jakiegoś służalca, pyta o Stadioną: „wyszedł“, pyta co się stało z młodym człowiekiem (opisując Dobrzańskiego), co wszedł przed chwilą tu na górę i nie wrócił, na to zapytanie zadumał się trochę pan kamerdyner, potem wezwawszy by poszedł za nim, prowadzi Ziemiałkowskiego przez długi szereg pokoi, nareszcie stanąwszy przed drzwiami zapukał trzy razy i odszedł. Po chwili odsunięto wewnątrz zasówkę;

Ziemiałkowski, uważając to za znak pozwalający wnijsć, otwiera drzwi i zastaje — Dobrzańskiego z Sacherem, dyrektorem policy, siedzących obok siebie na kanapie. Zdziwiony tym tête á tête przy zamkniętych drzwiach, pyta Dobrzańskiego: czy jest uwięzionym? Nie, odpowiada ten, nieruszając się z kanapy. — Cóż tu robisz? — pyta Ziemiałkowski. — Czekam na Stadion. — Gdzież Stadion? pyta dalej. — Wyszedł i wkrótce ma wrócić. — Dlaczegoż czekasz przy zamkniętych drzwiach? — Stadion nie chcąc, by się do niego cisnęli, zamykać każe ten pokój, w którym przyjmuje, kamerdyner wpuścił mię bym tu czekał, a zastawszy tu p. konsyliarza, czekam z nim razem. — Dlaczegoż nie dasz znać na dół co się z tobą dzieje, od kwadransa Ciebie niema, lud już wie, że Stadion niema, będzie niespokojny o Ciebie, czy nie zejdiesz na dół? — Dobrze, zaraz, ale nie wiem gdzie kamerdyner podział moją łaskę i kapelus. Zniecierpliwiony Ziemiałkowski tonem, jakim te odpowiedzi dawane były, a bardziej jeszcze niespokojny o to, co się dzieje na ulicy, wyszedł, a dowiedziawszy się od kamerdynera zamiatającego niby prochy, że Stadion jest w tej części pałacu, gdzie się znajduje biuro prezydyalne, schodzi na dół i zastaje swych kolegów w matni, wyjąwszy Miezesę, który pismo nosem zwąchawszy, wyniósł się cichaczem. Podczas gdy Ziemiałkowski rozmowę powyższą toczył z Dobrzańskim, przemaszerował batalion grenadyerów i rzuciwszy na dziedziniec pałacu jedną kompanię, ustawił się potrójnym szeregiem przed pałacem gubernatorskim frontem do ludu; kiepska sprawa, rzekł Ziemiałkowski do zadumanych kolegów, złapaniśmy, Dobrzański siedzi z Sacherem przy zamkniętych drzwiach, zdaje się że go jako wiceprezesa komitetu usadowili na górze, my plebs zostaniemy na bruku; ale czy próbowaliście wyjść na ulicę? — Nie, wszak widzisz, że brama zapełniona grenadyerami. — „Kupić nie kupić, potargować wolno“ — odrzekł Ziemiałkowski, a na słowa „proszę pozwolić“ rozsunęli się grenadyerzy, co widząc koledzy Ziemiałkowskiego, wysunęli się za nim na ulicę. Odetchnęła deputacya i nabrała odwagi do szukania dalej Stadionu. Idąc gęsiego wzdłuż pałacu, przed którym stali grenadyerzy z najeżonymi bagnietami, dostała się deputacya do bramy prowadzącej do biura prezydyalnego, w którym miał się Stadion znajdować, lecz

brama była zamknięta; — po natarczym dzwonienu odchylił ją trochę odzwierny, a zapytany o Stadiona odrzekł, że go tu nie ma; a gdy zauważono że kłamie, ponieważ kamerdyner powiedział, że gubernator w biurze prezydyalnym, — dodał, że przed kwadransem poszedł do Uniwersytetu i zamknął bramę.

Nie było więc co robić, trzeba było wracać do komitetu i zdać sprawę, lecz by się dostać do komitetu, trzeba się było wprzód przedrzeć przez potrójny mur grenadyerów; a że to się uda, nie było wątplenia, bo kiedy grenadyerzy byli grzeczni w pałacu, dla czegóżby mieli być niegrzeczni przed pałacem, więc wzięto się do dzieła i dokonano go dość śmiało bez żadnego z ich strony kweresu. Teraz dopiero spostrzegła deputacya, jak wygląda przed pałacem gubernatorskim, — tłumy ludzi z Wałowej, Nowej i Ruskiej ulicy, cisnęły naprzód tych, co stali przed pałacem; grenadyerzy stali z odwiedzionymi kurkami, których lud prawie dotykał swemi piersiami, a tu wciąż lud płynął jak fala, prąc szczególnie Nową ulicą tych co stali na przodzie. Lękając się jakiego nieszczęścia, udał się Ziemiałkowski do komendującego oficera Trautenberg'a i przedstawiając mu, że ci co stoją pierwsi niewinni, że ich prą ciągle naprzód, prosił, żeby nakazał grenadyerom uwzględnić to położenie w wypadku, gdyby który został traconym. Zaspokoił go pod tym względem rzeczony oficer, lecz prosił ze swej strony by napomnieć lud, aby trochę odstąpił. Było to żądanie prawie niepodobne do wykonania; wszelako by okazać wojsku, że lud niema złego zamiaru, wziął się pierwszy szereg za poleceniem Ziemiałkowskiego za ręce i pchnął stojących za sobą; ruch ten wsteczny udzielił się wkrótce całemu tłumowi, i na chwilę lud się oddzielił od wojska, — w tem pokazał się Dobrzański, podniesiony w okamgnieniu na barki, zawołał: „do Akademii!“ — ruszył więc lud od pałacu gubernatorskiego dążąc ku Wszechnicy, a Dobrzański krzyczał: „będziecie mieli dziś broń, chybabym zginął.“

Gdy natfók pierwszy przemiął, puściła się i deputacya w pochód; wracała z niczem, lecz lud pocziwy, prowadząc ją między uformowanym szpalerem, wołał bez ustanku: „Niech żyje deputacya!“ W rynku opuściła deputacya tłum ludzi ciągnący do Akademii i udała się do sali gdzie obradował komitet. Właśnie prezydujący odczytawszy powziętą uchwałę: iż

komitet ma także czuwać nad porządkiem i bezpieczeństwem miasta, wydawał rozkaz, aby uchwałę tę zaniesiono do drukarni i w formie akatów wytłoczono.

Po wysłuchaniu sprawozdania deputacyi wracającej, uchwała komitet wysłać nową deputacyę; wybiera członków, a między niemi ponownie Messenhausera, który jako reprezentant armii austriackiej siedział w komitecie i zaleca, by Stadionowi zdali sprawę z tego co komitet dotąd uchwalił i oświadczyli, iż komitet uznany jest przez lud za potrzebny, przeto istnieć będzie.

Ledwie ta deputacya wyszła, wpada ktoś do sali i prosi o głos mając coś ważnego do udzielenia, a otrzymawszy pozwolenie od prezydującego, opowiada, jak sam słyszał, jak Stadion, noszony na rękach przez akademików, wołał niech żyje Polska, wskutek czego Dobrzański obwołuje po ulicach niepodległość Polski w dawnych granicach. Na to doniesienie cały komitet podnosi się i woła: „Niech żyje Polska!“ Nastąpiło milczenie, aż się nareszcie ktoś odezwał, że to co ten jegomość opowiada może być fałszem, że trzebaby, by się nie kompromitować, przekonać się, czy to wszystko prawda. Druga deputacya rozminęła się ze Stadionem i wróciła podczas burzy, z powodu obwołania Polski; Messenhauser był już wrócił i powstawał na okrzyczenie. Posłano więc jeszcze jedną deputacyę, która miała Stadioną zapytać, czy wolno wołać: „Niech żyje Polska!“ — i postanowiono nie obradować nad niczem, aż do powrotu deputacyi; wysyłanie to ciągłych deputacyi i wieść, że na ulicach obwołuje się Polska niepodległa, przerzedziło szeregi komitetu, tak że gdy Messenhauser wrócił z odpowiedzią od Stadioną brzmiącą: „że komitet zawiązał się niekonstytucyjnym sposobem, że przeto rozejść się musi, a jeśli się istnienie komitetu potrzebnem okaże, to go Stadion utworzy stosownie do zasad konstytucyjnych“, — już ledwie połowa członków siedziała na swoim miejscu. Ta garstka uchwaliła jednogłośnie, iż się nie rozejdzie i siedząc niegdyś jak Senat rzymski, oczekiwała bagnetów austriackich. Lecz inne czasy, inne obyczaje; zamiast bagnetów pokazał się w sali Gołuchowski, jako parlamentarz ze strony Stadioną i weswał pozostałych członków komitetu, by się rozeszli, oznajmiając oraz, iż sam Stadion wkrótce przybędzie. Dobrze, odrzekł prezydujący, zastanie nas w sali wszystkich, — a chcąc

swego dokazać wydał po odejściu Gołuchowskiego rozkaz, aby akademicy odbywający wartę we drzwiach sali, nikogo z niej nie wypuszczali, spostrzegł bowiem, że czterech członków wraz z Gołuchowskim z sali się wyniosło. W tem wszedł Stadion, blady jak ściana i stojąc koło drzwi oświadczył drżącym głosem, iż komitetu, który istnieje sposobem niekonstytucyjnym cierpieć nie może, wezwał więc komitet w imieniu konstytucyi, by się rozwiązał. Na to prezydujący, który podczas mowy Stadiona nieznacznie odpasywał olbrzymi swój pałasz, odrzekł: że komitet już się sam rozwiązał; co członkowie potwierdzali zrzucając z kapeluszy białe wstążki, które przyjęli byli jako oznakę — i opuszczając, czempredzej tem lepiej, miejsca na których zginać przyrzekli.

Podczas gdy to się działo w komitecie, wojsko zajęło place alarmowe, i wraz z tłumami ludu, zapełniło rynek. Była to chwila krytyczna; przed głównym odwachem lud odłączył kanonierów od dział i miał je w swej mocy, — naprzeciw stało wojsko z odwiedzionymi kurkami, czekając rozkazu do dania ognia, lecz niepewne co robić w razie danego rozkazu, było bowiem otoczone tysiącami ludu, który mógł je rozbroić w każdym momencie, i dawał się słyszeć z tem, iż tak postąpi na pierwszy nieprzyjacielski krok ze strony wojska. Jeden strzał, — a załoga lwowska byłaby bez broni. Spostrzegł to Stadion wracając z Uniwersytetu, gdzie go za to, iż od Akademików odbierał przysięgę na wierność cesarzowi Ferdynandowi, królowi polskiemu, na rękach noszono, i dlatego wtedy wyraził się, iż na pierwszy strzał 60.000 chłopów wpadnie do Lwowa. R...\*) nie chciał podpisać rewersu na wierność cesarzowi austryackiemu, — to oświadczenie zmieszało Stadiona do tego stopnia, że zaproponował króla Polski, (co Dobrzański wziął za obwołanie niepodległości Polski). Odnowione groźbą tą wspomnienia rzezi Tarnowskiej, pogłoska, iż Dobrzański, który właśnie co ogłaszał niepodległość Polski, leży w malignie, rozwiązanie się komitetu, i deszcz, który zaczął lać strumieniami, ostudziły zapał ludu, który około godziny 5-tej zaczął rozchodzić się do domu. O wpół do szóstej nie było nikogo już na rynku, kanonierzy tylko stali z lontami przy odzyskanych działach, a naprzeciw nich piechota z odwiedzionymi

---

\*) Manuskrypt nieczytelny.

kurkami, — ulice też były próżne i ciche, czasami tylko odzywał się tentent przechodzącego patrolu. Tak też przeszła noc z 21-go na 22-go, w której nic nie zaszło, prócz że w imieniu cesarza konstytucyjnego aresztowano Ziemiałkowskiego, Drurbzowskiego i Dymnickiego, czeladnika krawieckiego, mającego wzięcie u czeladzi rzemieślniczej, — uwolniono ich wszakże za kilka godzin, na żądanie dość kategoryczne młodzieży akademickiej.

22-go wyglądało miasto jak gdyby nic nie było zaszło; znikły krakuski czerwone i konfederatki, które wczoraj tak buńczucznie nie na jednym siedziały uchu, — i pałasze już nie brzękały, co dzień przedtem tak wesoło stukwały po bruku; — krakowskim, jak zwykle kucharki wracały z mięsem i warzywem, policjanci jak dawniej stali po rogach ulic, nibyto obojętnie patrząc na wszystko, w rzeczy zaś samej pilnując plakatów poprzyklepianych, wielkimi literami w imieniu cesarza konstytucyjnego. zakazujących zgromadzenia ludu. — W tem rozchodzi się wieść, że na ratuszu Gołuchowski wpisuje do gwardyi i w oka mgnieniu zapełnia się rynek, ciśnie się lud do ratusza, każdy chce być pierwszy wpisany. Jakoś istotnie Stadion chcąc zabawić ludność lwowską, wyznaczył komisję do organizowania gwardyi, złożoną z jenerała Bordole, burmistrza Gołuchowskiego i kilku obywateli miejskich i ziemskich — i zaraz 22-go zorganizowano 1-szą kompanię, która obrawszy sobie szarżę, dostała broń i złożyła w ręce Gołuchowskiego przysięgę na wierność konstytucyjnemu cesarzowi i królowi, — po którym akcie kazano jej broń złożyć na ratuszu i pójść do domu, aż do dalszych dyspozycji. Przytomni temu żołnierze z pułku „Deutschmeister“ szeptali niejednemu do ucha: „gebens die Waffen nicht zurück, es steckt Verrath dahinter,“ — ale P. Gołuchowski tak pięknie prosił, a prosił po polsku, że 1-sza kompania gwardyi pobawiwszy się karabinami przez Kwandrańs, złożyła je na ratuszu i poszła do domu, — Na drugi dzień miała się organizować druga kompania i tak dalej.

Lecz nie o samej tylko gwardyi myślano we Lwowie, — postanowiono wydawać dziennik odpowiedni czasowi, a Korecki, który od lat dziesięciu prawił o konieczności dziennika polskiego obok „Gazety Lwowskiej“, podjął się redakcyi zapowiedziawszy z góry, iż dziennik jego będzie opozycyjnym. Roze-

śmiał się na to Stadion i zażądał kaucyi, — którą podobno złożono, — a co do cenzury oświadczył, iż on sam cenzorem będzie, ponieważ niebezpieczną byłoby rzeczą dawać dziecku miecz do ręki; zarzut, że cenzura przez cesarza zniesioną zbił odpowiedzialnością, iż on posłuszny jest cesarzowi konstytucyjnemu, jak dawniej był posłusznym absolutnemu, że wszakże jako gubernator jest odpowiedzialnym, a przeto gdy nie pojmuje co do swej osoby, jak w państwie konstytucyjnem spokój i porządek panować może, na wolność druku nie zezwoli.

Miał więc Lwów 22-go Marca pierwsze konstytucyjne aresztowanie, pierwsze konstytucyjne plakaty, pierwszą kompanię gwardyi i pierwszy numer dziennika opozycyjnego „Dziennik Narodowy“ — jako próbki okrzyczanych wiedeńskich „Errungenschaften:“ wolność osobista, wolność zgromadzeń, gwardyi narodowej, i wolności druku. Tego samego dnia rzecznicy lwowscy, zgromadziwszy się w sali procesów ustnych sądu szlacheckiego, postanowili na podstawie wyrzeczonej przez cesarza równoprawności narodów, nie pisać do sądów jak tylko po polsku, — czego się też, wyrzec trzeba na ich pochwałę, dotąd trzymają, — wyjąwszy kilku adwokatów żydów, którzy nie umieją po polsku i dwóch czy trzech, którzy dla podlizania się sądowi piszą po niemiecku.

23. Komitet lwowski chociaż tak haniebnie ustąpił z placu, nie uważał się wszelako za zwyciężonego. Ponieważ nie mógł radzić we Lwowie, postanowił przenieść się do Wiednia, a doprowadził ten pomysł do skutku w następujący sposób:

Widoczną było rzeczą, że Stadion nie myśli popierać adresu 19 Marca. Zaczęto więc agitować w celu wysłania deputacyi do Wiednia, aby tam u samego cesarza popierała życzenia wyrażone w adresie z 19 Marca. Myśl ta znalazła echo; szło tylko o to, kogo posłać. Proponowano najpierw 4 potem dziesięciu obywateli, lecz gdy się zebrano u Chwaliboga, w celu wybrania tej deputacyi, obrano prawie wszystkich członków komitetu na przekór Stadionowi, wyłączając tylko tych, których wybór był zanadto niepopularnym. Dano o tem znać Stadionowi, który chcąc się pozbyć tego niespokojnego żywiołu, najchętniej na to przystał. Zaczęła się wybierać deputacya w drogę, — a gdy właśnie Jerzy Lubomirski przyjechał był z Rosyi, obrano go jako zna-

nego patryotę, a najbardziej dla dania deputacyi blasku, prezesem deputacyi, na miejsce Sapiehy, który ofiarowanej mu tej godności przyjąć nie chciał.

25-go zgromadzili się członkowie przyszłej tej Deputacyi w gmachu Ossolińskiego, ułożono się względem dnia wyjazdu, przybrano kilku nowych członków, by ile możności nietylko wszystkie interesa, ale i wszystkie obwody reprezentowane były — a 26 — ruszono w drogę wśród licznie zebranego ludu, życzącego deputacyi dobrych sukcesów w Wiedniu.

**Komitet Krakowski.** 28 maja przybyła deputacya do Krakowa, zabrawszy po drodze Biskupa Przemyskiego z kanonikiem Czajkowskim i porozumiewszy się względem wspólnego działania z deputacją, która się w Tarnowie pod dowództwem Księcia Sanguszki wybierała.

W Krakowie już istniał komitet i rozprawiano także nad adresem i deputacją, lecz że Kraków jako świeżo zabrany kraj, więcej pragnął niż było wyrażono w adresie z 19 marca, który deputacya galicyjska popierać miała, niechcieli krakowianie łączyć się z deputacją galicyjską; dopiero gdy im oświadczone, że deputacya zamysła całkiem nowy adres w Wiedniu ułożyć, na który także Krakowianie wpływać będą, przyrzekli, że nie będą odrębnie działać, chyba by deputacya gal. odrębnego ich interesu uwzględnić nie chciała.

30. Uchwalono posłać Hubickiego i Leligowicza do Poznania na zwiady, gdzie jak się w Krakowie dowiedziała deputacya, istniał komitet narodowy, z władzą nietylko przez naród, ale prawie nawet przez rząd pruski uznaną. Chciała bowiem deputacya działać w sposób podobny, jak ta część Polski, aby zgodnem postępowaniem zaimponować ciemierzcom usprawiedliwiającyom każdy gwałt popełniany na Polsce, wyrzutem niezgody i niejedności Polaków.

Przybywszy deputacya ta do Wiednia i rozpoznawszy stan rzeczy, oraz dowiedziawszy się od Hub. i Legidowicza o przyrzeczonej Księstwu Poznańskiemu reorg., zażądała wspólnie z Deputacją krakowską podobnej organizacyi dla Galicyi, (adres z 6 kwietnia) oraz wybrała wydział ściśły dla kierownictwa sprawami krajowymi, składający się z Lubomirskiego, Dolińskiego, Sękow-



wskiego, Ziemiałkowskiego, Biesiadeckiego, Borkowskiego, Hubickiego, Dzierżkowskiego i Dylewskiego. Przez ten wydział deputacya wchodziła w układy z rządem austryackim i zawiązywała stosunki z komitetem Poznańskim, rządem węgierskim, deputacyą kroacko-serbską, czeską, posłała w imieniu Galicyi wysłanników do Frankfurtu i Paryża, słowem była tem, czem miał się stać komitet zawiązany 21 marca we Lwowie, aż się w końcu przedzierzgnęła w Radę narodową Lwowską.

**Komitet Poznański** powstał zaraz po rewolucyi berlińskiej a wyszedł z zasady, iż Prusy oświadczeniem, że wcielając się do Niemiec, a pozostawiając wolność wyłączenia się pojedynczym prowincjom, tem samem zezwoliły na niepodległość Księstwa Poznańskiego, odstąpiły od traktatu wiedeńskiego i stanęły na stopie nieprzyjacielskiej wobec Rosyi. Rewolucya wiedeńska w połączeniu z ruchami w Węgrzech i wojna we Włoszech zdawała się tak dalece łamać podstawę potęgi austryackiej, że nie trzeba się było lękać, aby Austria potrafiła kłaść jeszcze jakikolwiek hamulec podźwignieniu się Polski. Ustanowienie rzeczypospolitej we Francyi i głosy śmiałe po Niemczech zapowiadające i w tym kraju ogromną zmianę, utwierdzały mocno widoki na wojnę europejską i to przeciw despotyzmowi moskiewskiemu.

Komitet Poznański rozpoczął jawnie i z samowiedzą, działania ku odzyskaniu niepodległości Polski; — a gdy mu jako mającemu poniekąd zatwierdzenie Rządu, bardziej cisnęła się w ręce władza, jak tego oczekiwał, gdy mu codziennie adresy od emigracyi z różnych krajów Polskich kazały występować w imieniu podnoszącego się do niepodległości całego narodu, gdy wreszcie miał nadzieję, że w tym celu przyjdzie do ruchów w Galicyi, Królestwie Polskiem, Litwie, i na Wołyniu, — z początku uważał się za reprezentanta całej dawnej Rzeczypospolitej. Tymczasem utworzyła się we Lwowie „Rada narodowa“ obok zawiązanego komitetu w Krakowie, musiał więc komitet Poznański odstąpić od przedstawiania władzy pełnomocniczej wszystkich krajów dawnej Polski, a zajmować się jedynie Księstwem; prztem zawiązał stosunki z komitetem krakowskim przez przejeżdżających emigrantów, z Galicyą zaś, a mianowicie z deputacyą

wiedeńską przez Hubickiego, a później z Radą narodową przez Jana Dobrzańskiego, którzy w tym celu zjechali byli do Poznania.

W tem pokazali się Antoni Helzel i Maurycy Potocki z Krakowa, obydwaj stojący tylko na boku władz rewolucyjnych polskich i ruchów ówczesnych, z projektem dla komitetu Poznańskiego. Wydział jego, mający stosunki postronne w mocy, składający się z Libelta, Moraczewskiego i Słomczewskiego, wysłuchał ich przedstawienia, że potrzebna jest władza ogólna, któraby w imieniu Polski po różnych ministerstwach państw zagranicznych działała, przedłożył je komitetowi poznańskiemu i ten się na to zgodził.

W pierwszej połowie kwietnia doniósł Helzel, że wielu członków deputacyi wiedeńskiej należących do Rady narodowej znajdzie się w Wrocławiu dla porozumienia się względem naczelnego komitetu dla całej Polski.

Komitet Poznański wysłał jako pełnomocników swoich Barwińskiego, Chostowskiego i Rogiera Raczyńskiego. Ci, zastawszy we Wrocławiu samego tylko Helzla, a odebrawszy doniesienia od pozostałego jeszcze w Wiedniu wydziału deputacyi polskiej, że Rada narodowa lwowska przez rząd austriacki zawieszoną została i tylko potajemnie działa, że przeto zjazd we Wrocławiu stał się niepodobnym, dojechali do Wiednia. Na przedstawienie wydziału deputacyi rzeczoney, mającej, jak się wyżej rzekło, kierownictwo stosunków postronnych, zgodziła się deputacya, przy której wówczas jeszcze do kilkudziesięciu członków znajdowało się, że komitet centralny polski jest niezbędnie potrzebny i wtedy tylko znajdzie posłuszeństwo w narodzie, a znaczenie za granicą, jeśli wypłynie z komitetu poznańskiego, krakowskiego i podnoszącej się na nowo i to z większą siłą, niż przedtem Rady narodowej lwowskiej.

Tymczasem Helzel i inni antagoniści komitetu krakowskiego, również jak Piotr Romanowicz, który w imieniu stronnictwa nieprzychylnego Radzie narodowej, ze Lwowa do Wrocławia przybył, udawszy się pod skrzydła generała Dembińskiego, co z Francyi przybył do Wrocławia pełen planów dla ratunku Polski, ale wstecz od celu wiodących, bo monarchiczno-arystokratycznych, postanowili opatrzeć Polskę we władzę naczelną na swoje ko-

pyto. (Barwińskiego pismo: „Zjazd w Wrocławiu“, zamieszczone w „Gazecie Polskiej“ z r. 1849 Nr. 74 i dalsze). Już nie komitety krakowski i poznański z Radą narodową lwowską, ale Dembiński ze znakomitymi Polakami, tak przez majątek, ród, zasługi, jakoteż inteligencję mieli na zjeździe walnym staropolskim, średniowiekowym, zamianować radę naczelną. Listy przez Dembińskiego na wszystkie strony rozpisane, zapowiadały zjazd ten na dzień 5-go maja do Wrocławia. Komitet poznański uważał, iż już inaczej wszystko przygotowane i że komitet centralny Polski, gdy nie może z całego narodu, powinien wychodzić przynajmniej z komitetów prowincjonalnych, a nie od prywatnych, lubo znakomitych ludzi. Domagał się też tego i ksiądz Księżarski, który jako przysłany reprezentant komitetu krakowskiego miał prawo zasiadać na wszelkich posiedzeniach komitetu poznańskiego i widział jasno, że rzecz wyszła z Krakowa dla zwaleniamecznego komitetu, który rozciągał swą władzę nie tylko na okręg krakowski, ale i na przyległe obwody Galicyi. Wysłano więc natychmiast zawiadomienie do Lwowa i Krakowa, że komitet poznański wyprawi trzech delegowanych na 5 maja do Wrocławia; tym dał już nieograniczone pełnomocnictwo do ustanowienia i wybrania komitetu centralnego, lub zasiadania w komitecie centralnym z delegowanymi od komitetu krakowskiego, Rady narodowej lwowskiej, a nareszcie innych komitetów prowincjonalnych, gdyby się jacy zgłosili.

Tymczasem zbombardowanie Krakowa przez Austryaków dnia 26 kwietnia i niewątpliwie umówione z nimi uderzenie Prusaków na Książ i Miłosław 29 i 30 tegoż miesiąca, nadały całkiem inną i smutną postać rzeczom.

Delegowani poznańscy Libelt, Moraczewski i Rogier Rarczyński przedarli się do Wrocławia, gdzie zastali wielką liczbę wypędzonej z Krakowa emigracyi i połowę krakowskiego komitetu z prezesem Krzyżanowskim, ze Lwowa zaś Hubjckiego, Darowskiego i innych obywateli, z Poznańskiego niemało takich, co szukali schronienia przed srogością wojska pruskiego w Poznańskiem. Emigracya obrała sobie także komitet.

Delegowani poznańscy, którzy wyjechali z domu już po bitwie pod Wrześnią, znieśli się naprzód z prezesami i członkami komitetu krakowskiego, lecz ci oświadczyli, że sprawę

u siebie uważają także za skończoną i są tylko prywatnie we Wrocławiu. Za Galicyę nie chciał nikt dawać odpowiedzi, a Hubicki tylko objaśniał, iż rozpedzona Rada narodowa, nie odebrawszy ani z Poznania, ani z Krakowa żadnego wezwania, nikogo delegować, ani upoważniać nie mogła.

W takim stanie rzeczy byłoby śmieszną rzeczą tworzyć jakąś malowaną władzę dla Polski, a to jeszcze za granicą kraju, więc delegowani poznańscy uchwalili, że sam czas i okoliczności zmały pełnomoc, daną im od komitetu poznańskiego, który wreszcie już też i sam od tygodnia nie istniał. Helzel, połączwszy się z Kraszewskim z Poznańskiego i wielu innymi obywatelami, odbywali narady u generała Dembińskiego, gdzie jednakże uznali, że już czas przeminął do budowania jakiejś władzy ogólnej nad krajem, kiedy ponikły władze szczegółowe, prowincjonalne, a wróg osadził się znów silnie na łupie już tyle razy rozbieranym i znowu przeznaczonym na targanie przez nowy rozbiór Księstwa Poznańskiego.

## **W roku 1848.**

### **Polacy w Frankfurcie.**

Po ustanowieniu Rzeczypospolitej francuskiej w r. 1848 patryoci niemieccy, zwłaszcza ci co czuli, że mają popularność od Renu do Odry, zjechali się w liczbie 51 (Austryaków było tylko dwóch, dr. Adolf Wiesner z Wiednia i hr. Bissingen, późniejszy namiestnik Tyrolu) do Heidelbergu, a oświadczywszy, iż ich sprowadziło tylko przedsięwzięcie działania w tym celu, aby wolność, jedność, samoistność i honor niemieckiego narodu przez wspólne działanie wszystkich niemieckich plemion z ich rządami uzyskano, uchwalili więc zawezwać dotyczące rządy, aby jak najspieszniej do zebrania się ogólnie niemieckiego sejmum przyczyniły się; umówili się działać w tym celu, aby zupełniejsze zgromadzenie mężów zaufania wszystkich szczepów niemieckich do skutku doszło, któreby ważną tę sprawę dalej prowadziło.

30-go marca 1848 zebrali się ci mężowie zaufania w Frankfurcie nad Menem. Był to tak zwany przedparlament niemiecki

(das deutsche Vorparlament), a miał on los Niemiec, szczególnie książąt niemieckich w ręku, mimo to był tak lojalnym, że nawet nie zniósł władzy związku (Bundesversammlung), lecz wybranemu wydziałowi 50, który pod przewodnictwem Soirona 4 kwietnia swoje czynności rozpoczął, polecił aby do zejścia się właściwego parlamentu, sprawami ojczyzny niemieckiej wspólnie z tą władzą związkową kierował.

Tak więc obok władzy rewolucyjnej ludowej, stała jeszcze nad Niemcami ustanowiona po Kongresie wiedeńskim z r. 1815 Rada Związku (Bundestag). Składała się ona z posłów pojedynczych monarchów niemieckich, a rzeczywiście wypełniała tylko rozkazy Austrii i Prus, które znowu słuchały tylko tajemnych zleceń Rosyi. Rada Związku na wezwanie króla pruskiego zatwierdziła wcielenie części W. Księstwa Poznańskiego do Rzeszy, rozkazem gabinetowym z dnia 24 kwietnia, a to wskutek protestacyi mniejszości sejmowej i rozmaitych petycyi niemieckich i żydowskich i w skutek oświadczenia króla z 14 kwietnia, iż się zgadza, aby reorganizacya Księstwa nie sięgała powiatów, w których przeważa narodowość niemiecka, i że się będzie starał, aby te powiaty zostały natychmiast przyłączone do Rzeszy. Stało się to mimo oświadczenia króla pruskiego z 18 marca, iż prowincyom, które do Rzeszy niemieckiej należeć nie zechcą, oddzielnie pozostać będzie wolno, — również mimo oświadczenia deputacyi poznańskiej w Berlinie, iż W. Ks. Poznańskie po wniknięciu Prus do Rzeszy niemieckiej chce oddzielnie pozostać i mimo uzyskanego od króla na piśmie przyrzeczenia reorganizacyi narodowej w Księstwie, oraz uchwały (26 głosów przeciw 17) posłów poznańskich na ówczesnym Sejmie w Berlinie zgromadzonych, że Księstwo do Rzeszy należeć nie chce.

Sądził świat, że ta rada związkowa lada dzień obaloną zostanie. Chodziło więc tylko o to, co powie względem części polskich ów Zjazd mężów zaufania. Atoli i od niego, albo raczej zaraz w jego akcie zwołania, całe Prusy zachodnie, t. j. dawne polskie województwo pomorskie, malborskie i chełmińskie, uznano za część Rzeszy niemieckiej. To oburzyło Polaków rzeczonych województw i wysłano do Frankfurtu Ignacego Łyskowskiego z protestacyą o wcielenie do Rzeszy. Komitet poznański uważał potrzebę poparcia i ze swojej strony teje

protestacyi, a wskutek tego dał polecenie podobne Władysławowi Niegolewskiemu. Za nimi atoli pojechali z Poznańskiego zaraz i Niemcy, opatrzeni w liczne podpisy, że są ludźmi zaufania, tak od deputowanych Niemców na wyż nadmienionym Sejmie, jak innych swych braci i zasiedli w zgromadzeniu frankfurckiem.

Łyskowskiego i Niegolewskiego protestacye i wnioski na zjeździe mężów zaufania we Frankfurcie o tyle przyniosły skutek, że co do wcielenia całych Prus zachodnich odłożono wyrok do zupełnego Sejmu, który z wybranych deputowanych wkrótce miał się zjechać, a co do całej Polski uchwalono, „że honor Niemiec stawia się w rekojmi, iż hańba ciężąca na Niemczech przez rozbiory Polski, zmazana być musi wskrzeszeniem niepodległości Polski“.

W myśl uchwał wydanych przez mężów zaufania, rządy niemieckie kazały wybierać deputowanych na sejm Rzeszy niemieckiej. Niemcy i Żydzi poznańscy domagali się udziału w tymże Sejmie. Komitet polski, poznański wyprawił do Frankfurtu za Niegolewskim Jana Wilhelma Kassyusza, znanego z obszernych nauk, z poświęcenia dla Ojczyzny i zdatności politycznych pastora kalwińskiego, a nareszcie Libelta.

Po ukończeniu bojów w Księstwie przyjechali jeszcze do Frankfurtu Mioduszewski, prawnik z Poznania i Chostowski dr. praw, członek komitetu. Znosili się z Niegolewskim, Kassyuszem, Libeltem, i tak jedni z upoważnieniem, drudzy bez niego podawali noty, pracowali pomiędzy członkami parlamentu niemieckiego, który otwarto 18 maja (z których Ruge, Vendey, Reh, Wiesner, Schuselka, Rösler z Öls, Schafrath, byli Polakom najprzychylniejsi),—aby wytrwano przy uchwale mężów zaufania wyrzeczonej w słowach: że honor niemiecki ma być rękojmią przywrócenia niepodległości Polski, aby nie przyjmowano do sejmu Niemców poznańskich, aby pamiętali, że chciwi zaborcy nie mogą już nic innego zyskać, prócz złego wspomnienia w potomności. Lecz i Niemcy poznańscy nie próżnowali; napętliali oni gazety niemieckie kłamstwami o srogościach, dokonywanych przez Polaków, okrzykiwali po klubach i zgromadzeniach ludu, Polaków, jako naród krwi łaknący i drapieżny, okrucieństwa, popełniane przez Niemców i Żydów na Polakach, przekrećali, kładąc je na

karb Polaków, i znajdowali między swoimi wiare, podczas gdy Polaków słuchano z obojętnością lub nienawiścią, a za umieszczenie swych odpowiedzi w dziennikach niemieckich, niby to republikańskich i słuszności dla całego świata pragnących, oprócz „Reformy“ Rugiego i „Dziennika sejmowego“ (Reichstagsblatt) Bluma, drogo płacić musieli. Sejm ten niemiecki nie miał już swego usposobienia mężów zaufania; składał się z tłumy radców nadwornych austriackich i pruskich, skostniałych niemieckich profesorów i przedpotopowych liberałów, jak na przykład Jahn, Arndt, Eisenmann, którzy jakby się chcieli pomścić na wolności, za którą po lat kilka i kilkanaście więzieni byli, stali się jej zaciętymi wrogami; nareszcie z dawnych członków rozmaitych izb niemieckich, o których można śmiało powiedzieć: Und der Rinder breitgestirnte Scharen kommen brüllend, die gewohnten Ställe füllend.

Lubo więc Sejm nie wydawał żadnej jeszcze uchwały, ale przyjął tymczasowo deputowanych Niemców poznańskich i było widać, że chce nie tylko Poznańskie ale i Czechy, Morawy, Śląsk, tę część Polski, co w XV. w. od Czech do Polski napowrót odpadła, to jest Księstwa Zatorskie i Oświęcimskie zagarnąć i marzy nawet o Kroacji, Istrii z Tryestem, o Włochach tyrolskich, Siedmiogrodzie, — o połowie Europy i zgoła zdawało się, że tylko Pan Bóg wszechmocny i Niemiec, ślepe narzędzie despotyzmu, powinni do spółki rządzić światem. — Na jednego tylko Mikołaja nie targnęli się, o Księstwach bowiem Kurlandzkim i Estońskim, chociaż przez Niemców zamieszkałych, milczano; dla braci Niemców, mieszkających w Poznańskim pod batem niemieckiego monarchy, zebrano o pomoc przeciw Polakom; Siedmiogrodzkich Sasów, z którymi się nawet już porozumieć nie mogli, chcieli przycisnąć do bratniego łona, biednych Kurlandzkich i Estońskich Niemców chcieli zostawić dyskrecyi cara...

Z protestacyami co do dawnych Księstw Zatorskiego i Oświęcimskiego zjechali od komitetu krakowskiego Jan Ledóchowski, dawniejszy poseł polski, Bronisław Trentowski i Kazimierz Wodzicki, z Galicyi Floryan Ziemiałkowski i Adolf Poniński. Wszystkie te deputacje połączyły się w jedno ciało. Deputacja galicyjska przystąpiła osobnym aktem do adresu, podanego przez

deputację poznańską i krakowską, do zgromadzenia narodowego, porozumiała się z deputacją węgierską, składającą się z posłów Pazmandy i Lany i zaczęto pracować z nową otuchą nad posłami frankfurckimi. Przyjechał też Chrystowski, wysłany od Centralizacji Wersailskiej, zbierano daty tyżące się W. Ks. Poznańskiego w celu przedłożenia sejmowi memoriału, podano krótki memoriał, tyżący się Księstw Zatorskiego i Oświęcimskiego, wypracowany przez Ziemiałkowskiego, porozumiano się z posłem francuskim, jadącym do Berlina p. Arage, sparalizowano zabiegi partji Czartoryskiego, która przez Władysława Platera i Biernackiego przysłała także adres do Sejmu, adres, tchnący ideami postarzałemi, a Niemców republikanów tem bardziej rażącemi, ile że z bardzo małemi wyjątkami nawet Niemcy republikanie przeciw Polakom uprzedzeni byli i we wszystkich naszych zabiegach widzieli tylko chęć przywrócenia dawnej Polski z patryarchalnym batogiem dla chłopa. Tymczasem w Pradze zebrał się Sejm słowiański, przedrukowano program tego sejmu i rozdawano go w kościele św. Pawła pomiędzy posłów; wściekali się Niemcy, węgierska deputacja zerwała z deputacją galicyjską, zarzucano Polakom zdradę za to, że pojechali na Sejm praski. Libelt jeszcze przed przybyciem deputacji galicyjskiej do Frankfurtu udał się był do Pragi, a że tam byli także inni wysłannicy komitetu poznańskiego, tudzież Rady narodowej lwowskiej, wysłano więc z Frankfurtu Ziemiałkowskiego do Pragi, by się dowiedział jak tam rzeczy stoją. Lecz Ziemiałkowski wjechał do Pragi palając się i w kilka godzin opuścić musiał Pragę wraz z Sejmem, przez Windischgrätz rozpędzonym. Zjazd ten praski wpłynął niezawodnie niekorzystnie na sprawę polską w Frankfurcie; nowiny poznańskie zaczęły były już nudzić publiczność niemiecką. Zjazd praski i następne powstanie młodzieży czeskiej, mające na celu, jak mówili Niemcy, wytępienie wszystkich Niemców w Austrii, podały Niemcom nowy przedmiot do potwarzania i hańbienia po gazetach Słowian w ogólności, a że Polacy byli na sejmie praskim, więc i o nich nie zapomniano w artykułach przepelnionych, jak zwykle, kłamstwami najobrzydliwszemi, a tchnącemi nienawiścią przeciw Słowianom. Nie chciano słuchać sprostowań, jakie deputacja po powrocie Ziemiałkowskiego z Pragi



przedkładała, nie wierzono, a właściwie nie chciano wierzyć, że Polacy w Pradze byli stróżami wolności, cieszą się, że zgnieciono w zarodzie rewolucję słowiańską i błogosławiono Windischgrätza, że spalił miasto, w którym Słowianie śmieli pomyśleć o wolności.

Podczas przygotowań Słowian austriackich do zjazdu praskiego, Austria cichaczem odsunęła sprawę Galicyi od sejmku frankfurckiego, a to z powodu, że potrzebowała Czechów przeciw Węgrom, gotującym się do powstania; Czechowie zaś do Rzeszy na żaden sposób należeć nie chcieli, a cały Śląsk, nie wyjmując Zatorskiego i Oświęcimskiego, tylko jako prowincya niegdyś czeska, należał do Rzeszy. Rzeczony zaś księstwa już przed czterystu laty przypadły do Polski i w żadnym stosunku do Rzeszy nie pozostawały. Na żądanie Austrii i na jej skinięcie sejm frankfurcki spuścił z oka Zatorskie i Oświęcimskie, a stał niby przy wcieleniu całych Prus zachodnich i tylko ze samem wyrzeczeniem co do grabieży ziem poznańskich jeszcze się ociągał.

Podczas gdy to się dzieje, kazano w Poznańskim nawet na powiatach czysto polskich, lecz do Niemiec na mapie, a nie w rzeczywistości oddemarykowanych, do Frankfurtu wybierać deputowanych. Lubo Polacy miasta Poznania odsunęli cię całkiem od wyborów, przecież Polacy powiatu szamotulskiego byli tego zdania, że potrzebny jeden rodak, któryby Niemcom prawdę powiedział a protestacyę złożył, i wybrano ks. Janiszewskiego. Po jego przybyciu do Frankfurtu podano memoryał, tyczący się, sprawy poznańskiej, wykazujący prawa, — nietylko ruchem 1848 któremu sam parlament istnienie zawdzięczał, ale słowem świeżem króla pruskiego, ba nawet kongresem wiedeńskim zagwarantowane, — dowodzący fałszu podań statystycznych co do ludności niemieckiej w Księstwie przez Niemców głoszonych, przedkładający protestacye od miast i powiatów do Rzeszy oddemarykowanych i protestujący w imieniu całej Polski przeciw temu nowemu rozbirowi onej. Memoryał ten podpisany przez wysłanników poznańskich, krakowskich i galicyjskich, złożony został na stół wydziału trudniącego się sprawami zagranicznymi, a chociaż tak mało było dla sprawy polskiej sympatyj w parlamencie, przecież wydział ten obawiając się aby memoryał ten,

który rozdano także między celniejszych posłów, prawdą w wystawieniu rzeczy i słusznością żądań nie nawrócił którego z uprzedzonych przeciw Polakom posłów, — postanowił sprawę poznańską zaraz na drugi dzień wnieść do sejmu, by nie zostawić posłom czasu nawet do przeczytania rzeczonygo memoriału.

Bronił ks. Janiszewski z wielką wymową ziemi i odwiecznych granic polskich, ale bezskutecznie, przemawiało też kilku Niemców za sprawą polską, a najserdeczniej Wiesner, ostatecznie wyrzeczono stanowczo, że część Poznańskiego powinna być wcieloną do Rzeszy, przez wzgląd na liczbę Niemców, których bez opieki między Polakami zostawić nie chciano, a zwłaszcza przez uwagę na ich zasługi pod względem oświaty i przez wzgląd na dobro Niemiec, które wymaga wcielenia forticy poznańskiej.

W ciągu obrad sejmowych nad tym przedmiotem deputowani niemieccy dopuszczali się nawet obelg przeciw narodowi polskiemu, jakby na stwierdzenie przysłowia, że „dopóki świat światem, nie będzie Niemiec Polakowi bratem“. Janiszewski wkrótce złożył swój mandat i powiat szamotulski wysłał do Frankfurtu Libelta, który zaczął pracować koło wzięcia jeszcze raz całej sprawy pod rozwagę, lecz doznawszy najnieznośniejszych przykrości, skończył także na powrocie do domu. Deputacya poznańska, krakowska i galicyjska już przedtem opuściły były Frankfurt, przekonawszy się, że parlament frankfurcki, co zdradzał wolność własnego narodu, nie uzna świętych praw Polski. Ledóchowski, arystokrata wychowaniem a nawet i w życiu z demokratycznymi w ustach frazesami, dumny, obrotny w zdaniach.

Poniński, luterskiego wyznania, typ Ślązaka, z wychowaniem czysto niemieckim, nieumiejący nawet po polsku, lecz z duszą i uczuciem polskim, które w starcu z młodzieńczą odezwało się siłą.

Trentowski, któż go nie zna, wcielona sprzeczność; niemiecka filozofia na polskim urodzona gruncie.

Wodzicki, z wychowaniem francuskim, typ młodzieży naszej szlacheckiej, — mnóstwo słów, myśli mało, demokrata z mody.

Libelt, zaszczyt narodu polskiego, uczony jak rzadko kto w Polsce, wymowny jak nikt w Polsce, kochający Polskę nad życie, demokrata duszą i ciałem; namiętna wszakże nienawiść Niemców czyniła go stronnikiem względem ówczesnego postępowania Słowian.

Kassyusz, duchowny kalwiński, obraz pasterza prawdziwie chrześcijańskiego, skromny mimo obszernych nauk, pobłażający, miły, pełen poświęcenia dla ojczyzny.

Janiszewski, kapłan katolicki, pełen zdolności i zapału dla sprawy polskiej, którą identyfikował z katolicyzmem, podczas gdy nienawiść ku Niemcom czerpał w niemałej części z nienawiści dla protestantyzmu.

Łyskowski, piękny młodzieniec z wyrazem melancholijnym, niemiecki doktor filozofii, któremu mistycyzm ówczesny niemiecki zawrócił trochę głowę i tak obdarzaną z natury bujną imaginacją.

Chostowski przedstawiał nową demokrację polską, jako prawnik przywykły do konsekwencji, przyjąwszy raz ideę demokratyczną, jako wpływ rozumu ludzkiego, a wolność jako najwyższą praw ludzkości zasadę, przeprowadzał ją bezwzględnie na narodowości, a nietylko wierząc, lecz przekonany będąc o idei tej zwycięstwie, popierał ją, chociaż wiedział, że teraz jeszcze nie wybiła godzina zwycięstwa.

Niegolewski, syn szlachcica polskiego, wychowany w wszechnicach niemieckich, wołający nawet Moskwę niż Niemca, a przecież lubiący towarzystwo Niemców, z którymi lubiał dysputować, de lana caprina; on też najwięcej wpływał na posłów niemieckich przy kuflu.

### Missya paryska.

Od czasu rewolucyi lutowej, lud francuski, od dawien dawna przychylny Polakom okazywał niesłychane dla Polski sympatye, gromadził się krociami około chorągwi polskiej, uroczystymi pochodami do władz rządowych robił demonstracye i domagał się wojny przeciw ciemieżcom narodu polskiego.

Lamartine, członek rządu tymczasowego, mający w swej ręce wydział spraw zagranicznych, głównie podówczas kiero-

wał Francją. Nieprzyjaciel Polaków, pochlebiał im wszakże we Francyi, lękając się opinii publicznej tak silnie za Polakami przemawiającej, atoli przez rozesłanych agentów do Rosyi, Prus i Austryi zaręczył, iż potrafi tak sprawami pokierować, że Francya o Polskę wcale się kłopotać nie będzie. Na koniec w celu pozbycia się nie miłych gości, oświadczył, że wskutek wybuchłych rewolucyi w Wiedniu i Berlinie, otworem stoi droga do krajów Polskich, posiadanych przez Austryę i Prusy. Ruszyli więc do Ojczyzny emigranci, porzucając po wielkiej części posady, zapewnione dochody; spieszył i Czartoryski z Chrzanowskim, by uprzędzić demokrację w kierowaniu krajem. Mierosławski mając już w ręku kierunek formującego się wojska polskiego we Wrześni, Środzie i innych miejscach, tylko część drobną emigracyi wojskowej do Poznańskiego wzywał, — resztę kazał delegacyi komitetu, zamianowanej w Berlinie do przyjmowania emigrantów, skierować na Kraków i Lwów.

Kraków był stekiem Emigracyi, mniej jej było we Lwowie, rada bowiem narodowa zaopatrując potrzebnych, ze składek pieniężną pomocą, starała się ile możności porozdzielać emigrantów po całym kraju pomiędzy obywateli ziemskich. — Niejeden z tych może patrzył krzywo na emigrantów, jako na głównie do zapalenia rewolucyi, ale musiał to kryć w duszy głęboko, bo byłby haniebnej pogardy z pewnością nie uszedł, — przyjmował więc emigranta w domu, dając mu jeść i gdy było można, jakieś zatrudnienie w gospodarstwie, a przeto sposób do życia.

Tymczasem czekano, co Francya zrobi dla Polski. Po rewolucyi 1848, Francya miała w Berlinie pełniącego obowiązki poselskie agenta, Circourta, niejako pełnomocnika dla sprawy polskiej, ale to tak dobrze wyszukanego przez Lamartina, że stosunkami familijnymi był przez żonę ściśle połączony z Rosją. Delegacya komitetu poznańskiego, mając przekonanie, że Francya republikańska ściśle połączy swój interes z interesem Polski, komunikowały się z Circurtem. Objeżdżał też kraje polskie Charles Dudier, agent francuski, który w Wiedniu u dworu dobrze był widziany i wchodził w styczność z Polakami; we Lwowie pierwszą oddawszy wizytę Stadionowi, porozumiewał się ze stronnictwem tak zwanego ziemiaństwa, nieprzychylnem ruchowi

rewolucyjnemu, do Poznania zjechał z Wilisenem, a fatygował się do Jarosławia dla asystowania Polakom do konwencji.

Z wyboru tych agentów widać było, że Lamartine w spisku z dworami europejskimi o sprawę ludową się nie troszczył, a o Polskę nie tylko nie dbał, lecz przez swych agentów jej tylko szkodził.

Po 20 kwietnia, kiedy rząd pruski zaczął w Księstwie już na dobre chwycać za oręż przeciw powstaniu Polaków, zachęcanemu przez tenże sam rząd, Circourt tak dalece nie taił swoich zasad, iż członkom komitetu poznańskiego, z którymi mówił w Berlinie, nie wahał się oświadczyć, że Paryż jest haniebnym gniazdem rewolucyi, że przyprawia o szkody i upadek Francyę i Europę, że przeto lud od południa Francyi niegodziwe to miasto z ziemią zrówna.

Komitet widząc to, wyprawił do Paryża Adama Żółtowskiego, aby przynajmniej, jeśli nie więcej, wyjednał protestacyę przeciw grabieży, jaką miał dokonać sejm frankfurcki. Wysłał też pozostały w Wiedniu wydział deputacyi galicyjskiej w imieniu Galicyi Dzierzkowskiego w tym samym celu, a w szczególności spowodowania rządu francuskiego, aby się przyczynił do wyjednania od cesarza austriackiego żądanej organizacyi Galicyi.

Zabiegi Żółtowskiego żadnych nie odniosły owoców; czy Dzierzkowski, (którego wydział większością tylko jednego głosu wybrał, Dolański, Ziemiałkowski i Biesiadecki bowiem protestowali przeciw temu wyborowi) zajmował się w Paryżu sprawą polską, dotąd niewiadomo, nie zdał bowiem po powrocie sprawy z swej misyi, a ci co go podczas jego misyi w Paryżu widzieli, nie najpochlebniejsze o jego tam postępowaniu dają świadectwo. Dość, że misya ta żadnego nie miała skutku, a Lamartine, by zniszczyć kredyt Polaków, przedłożył Izbie doniesienie Circourta, którego główną osnową było, że Polacy kłócą się między sobą i nigdy do zgody przyjść nie mogą, że szlachta chce Polski, aby chłop mógł gniebić, ale chłop jest do rządu pruskiego przywiązany sercem i duszą. Kłamstwa te urzędowe i wypadki 15 maja posłużyły rządowi francuskiemu za powód do wyrzeknięcia się sprawy polskiej, a później nawet do prześladowania emigrantów polskich, szukających po wypędzeniu z Austrii

i Poznańskiego przytułku we Francji, która się ich tak przebiegle na wiosnę 1848 pozbyła, wysyłając ich do Austrii i Prus, gdzie ich po zbombardowaniu Krakowa i rozbiciu powstańców poznańskich, chyba wydanie Rosji czekało.

### **Missya londyńska.**

Polacy nigdy wiele sympaty w Anglii nie mieli; niewiele też i w r. 1848 na Anglię rachowali, zwłaszcza gdy ruchy tego roku Anglii nie dotykały bezpośrednio. Gdy jednak i w Anglii polska sprawa swych miała obrońców, przeto deputacya galicyjska, więcej dla oświecenia publiczności angielskiej, niż w celu szukania jakiejś pomocy, porozumiała się z Zaleskim, współnikiem bankiera Hule w Londynie, posyłając mu adres z 6 kwietnia, o którym też w „Daily News“ chlubnie wspomniano.

Komitet posłał do Londynu Koźmiana; ten po rozmowie z Palmerstonem, naówczas pierwszym ministrem, przejrawszy miejscowe pole polityczne, dostrzegł samą tylko życzliwość dla Prus i północnych mocarstw, dla Polski zaś obojętność, a dla wszystkich ruchów rewolucyjnych w Europie zupełną nienawiść. Z tego powodu zawiadomił komitet poznański, że w Anglii nie widzi żadnego zatrudnienia dla siebie; komitet atoli nim się zdobył na odpowiedź, wyrzekł w manifeście z dnia 30 kwietnia swoje rozwiązanie i tem samem przestał istnieć.

### **Polacy na Zjeździe słowiańskim w Pradze.**

Jeszcze przed wybuchem rewolucyi wiedeńskiej, uchwalono na sejmie stanowym czeskim, wówczas właśnie w Pradze zbranym, posłać do cesarza deputacyę z prośbą o zaprowadzenie niektórych zmian nakazanych okolicznościami. Udała się też do Wiednia deputacya czeska z adresem z dnia 12 marca i uzyskała znany reskrypt z dnia 8 kwietnia 1848, którym Czechy, jak wilkołakiem straszili podczas sejmu rakuskiego ministeryum, ile razy takowe zapomnieć chciało, iż Czechom po większej części istnienie swe zawdzięcza.

Deputacya galicyjska zastała w Wiedniu Czechów czekających na odpowiedź i mimo wstretu, jaki każdy Polak ma dla Czecha, mimo niedowierzania oświadczeniom czeskiemu, we-

szła z nimi w stosunki za namową Lubomirskiego, który wychowany w Pradze, marzył o Słowiańszczyźnie, jak dziecko, co nasłuchawszy się bajek, marzy o kryształowych pałacach. Przybyła też wkrótce po Polakach deputacja kroacko-serbska z żądaniami do tronu, z którą się deputacja znieśli za pośrednictwem Lubomirskiego, mającego jako Słowianofil sympatyę dla ich sprawy, a z podróży po owych krajach, znajomych w deputacji. Zabiegi deputacji polskiej, by odwieść Kroatów od rozbratu z Madziarami, rozbiły się o namiętną nienawiść dla Madziarów, jaką znalazła u starych szczególnie członków tej deputacji, namiętności, jak się później okazało, roznieconej i utrzymywanej złotem austriackim.

Wówczas to ułożyli Czesi ze Słowianami południowymi, tudzież przywódcami Czecho-Słowaków, zjazd w Pradze. Deputacja polska, spostrzegając między Słowianami zanadto wiele sympatyj dla Austrii, a niepohamowaną nienawiść ku Madziarom, gotującym się widocznie do powstania, uchwaliła nie posyłać wysłanników na zjazd, mimo namów i próśb Malisza, któremu Słowiańszczyzna tak była zawróciła głowę, iż mimo zwykłej bystrości rozumu, w Jelaczycu, Palackiego i...\*) wierzył jak w trójcę świętą. Mimo tej uchwały, Malisz postanowił jako osoba prywatna jechać na zjazd, a Lubomirski przyjął wezwanie z zastrzeżeniem, aby i reprezentantów madziarskich zaproszono.

Widząc Czesi, że deputacja polska nie sprzyja zjazdowi, udali się wprost do kraju, szczególnie do braci Rusinów, których Stadion dla paraliżowania Rady narodowej, wzmagającej się przez przystąpienie doń członków Sejmu stanowego, związał w sobór główny ruteński, znany ogólnie pod nazwą rady Sto-Jurskiej, pod przewodnictwem hofratha Emingera. Widząc rada narodowa gotowość Sto-Jurców do udania się na zjazd praski, postanowiła wysłać także ze swej strony reprezentantów do Pragi, lecz bez szczególnego upoważnienia i tylko jako prywatnych, by nie zostawić Ruteńcom wolnego pola do popisywania się z kłamstwami, jakimi się odznaczali od samego początku swego istnienia. Posłano zaś szczególnie Rusinów prawdziwych, wiernych wspólnej matce polskiej, by zdradę Sto-Jurców w tem jaśniejszem wykazać świetle. Pojechali więc Cięglewicz,

\*) Manuskrypt nieczytelny.

Eunarowicz, Dobrzański, Chojecki Edmund, Siemiński, Sawczyński, Puzyna, Stecki, Lubomirski i inni, podczas gdy Śto-Jurcy wysłali Zaklińskiego, Borysiekiewicza i ks. Giliniewicza. Z Krakowa byli Zaleski Józef, Ant. Helzel i Małecki, samie intryganty.

Komitet poznański więcej wagi przywiązywał do tych ruchów austriacko-słowiańskich. Poznańczenie nie znając Czechów, a oburzeni chęciami zaborczemi parlamentu frankfurckiego, poklaskiwali oświadczeniu Czechów, iż nie chcą należeć do Rzeszy niemieckiej, upatrując w tem oświadczeniu obudzenie się czucia słowiańskiego, objawienie się dążności do niepodległości, podczas gdy ono było wypływem intryg dworu austriackiego, usiłującego za pomocą słowiańszczyzny z jednej strony zdusić w Węgrzech wolność podnoszącą już śmiało głowę, a z drugiej osłabić parlament frankfurcki, co, mimo swej nędzoty, przecież jako władza ludowa, był solą w oku kamaryli rakuskiej.

Myśl zjazdu słowiańskiego, któryby mając przynajmniej pozór parlamentu, śmiał się ważyć z parlamentem niemieckim, przypadła do smaku Poznańczanom, a Moraczewski na zlecenie komitetu poznańskiego, zniósł się w tym względzie z Franciszkiem Braunerem, uchodzącym za patryotę czeskiego, który wraz z Palackim około zjazdu praskiego najbardziej się krzątał, za co też rząd austriacki mimo płam, jakie na nim pozostały z dawniejszych procesów kryminalnych o przekroczenia, hańbiące prywatny jego charakter, po rozwiązaniu Sejmu rakuskiego posadą adwokata, do której wedle przepisów istniejących nawet kwalifikowanym nie był, wynagrodził.

Ministryum austriackie potrzebujące, jak wyżej powiedziałem, demokracji słowiańskiej, zezwoliło na zjazd do Pragi. I nagromadziło się tam mnóstwo Kroatów, Serbów z tak zwanej wojewodziny, która pod przewodnictwem zaprzedanego Rosyi metropolity Rajaczyca i austriackiego pułkownika Magerhoffer'a, wystąpiła jako nowy, od Madziarów niezawisły kraj, Słowaków z północnych Węgier, Polaków i Rusinów obojga wyznań, t. j. polskiego i austriackiego. Z Poznańskiego przybyli członkowie byłego komitetu Barwiński, Janiszewski, Libelt, Moraczewski i prof. Opolski; Litwa, Wołyń, Podole z przyczyn łatwych do pojęcia, nie były reprezentowane. Rosyę przedstawiał Bakunin Michał, który pod zasłoną ruchów ówczesnych



opuściwszy Europę zachodnią, zbliżał się ile możności do granic Carstwa.

Dla większego porządku podzielił się zjazd na trzy wydziały: czeski, polski i południowo słowiański. Starostą zjazdu obrano Pałackiego, a zastępcami jego z Polaków Lubomirskiego, a z Kroatów Stanka Vraža. Stosownie do programu wydanego, wnosili autorowie dla pojęty Słowian rozmaite projekta, mające na celu zbratanie wszystkich pokoleń, a tymczasem szyli Polakom buty podburzając na nich Ruteńców, a z drugiej strony przez Czechomana Kolara podkopywali u Słowaków węgierskich wzięcie Stura, pragnącego Słowaczyny niepodległej nietylko od Madziarów, ale i Czechów. Dla zrobienia zaś cesarzowi usługi, żądali od wszystkich Słowian austriackich zobowiązania się, że całości państwa i domu rakuskiego bronić będą i dowodzili w tym celu, że tylko przez zrobienie Austrii potężną, staną się Słowianie potężnymi. Kroaci obstawali za posłaniem do cesarza deputacy z prośbą, aby wszczął wojnę przeciw Madziarom, a Czechowie popierali te żądania. Lecz Polacy przeszkodzili, ofiarując się do pośrednictwa między uciemiężonymi Słowianami, a ciemiężącymi na Węgrzech Madziarami, a wskazując lubo z ostrożnością, niebezpieczeństwo za wielkiej ufności w rzetelność dworu wiedeńskiego, wnieśli projekt odwołania się do ludów europejskich. Zaczęto też zajmować się przygotowaniem manifestu do ludów; żądanie Polaków, aby w nim przynajmniej wspomniano o przyszłej niepodległości Polski, szczególnie u Czechów na wielkie napotykać trudności, zwyciężyło także i przystąpiono do tej pracy, którą poruczono Libeltowi, a która miała na celu oświadczenie ludom europejskim, że Słowiańszczyzna niezawisła od Rosyi, zaczyna się łączyć w jedną całość dla ustalenia w Europie wolności i sprawiedliwości. Drugi manifest, upragniony głównie przez Czechów, a wymierzony do cesarza, miał Mu oświadczyć, że Słowianie jego państwa pozostają Mu mimo projektowanego połączenia się w jedną całość, wierni i gotowi są wyginąć za całość i potęgę Austrii. Pierwszy więc manifest był niejako wypowiedzeniem Austrii posłuszeństwa, spiskiem na utrzymanie budzącej się wolności, podczas gdy drugi był przysięgą na wierność Austrii, rękojmią za dalsze trwanie niewoli. I obadwa miały być podpisane przez jednych i tych sa-

mych ludzi! Kto po tem mógł się trzymać polityki czeskiej, ten zaiste, albo oszustem jak oni, albo człowiekiem słabej głowy, niewartej chyba oprawy w ramki;—a przecież są między nami ludzie, dla których polityka czeska była wyrocznią, kompasem podczas żeglugi ich politycznej,—i ludzie ci uchodzą i za uczciwych i za mężów stanu. Słowiańszczyzna austriacka, a była ona znacznie przeważającą, nie widziała tej sprzeczności lub nie chciała jej widzieć, więc Polacy zwątpiwszy o podobieństwie przekonania jej teraz, ustąpili z postanowieniem odnowienia tego przedmiotu po wygotowaniu manifestów. Mieli zaś Polacy oprócz walki przeciw namiętnym niechęciom ku Madziarom i podłemu czołganiu się przed dworem, objawiającem się u Słowiańszczyzny austriackiej, jeszcze i rodzimą walkę. Borysikiewicz, Zakliński i Giliniewicz, wysłannicy rady Śto-Ńurskiej, reprezentanci Ruteńców, powstawali na Polaków jako na ciemieżców narodu ruskiego, wielbiąc ojcowski rząd austriacki, pod którym ruski naród ma jedyną nadzieję odzyskania dawno utraconej wolności. Zakliński porównywał Polskę z trupem zbutwiałym, a Austryę z dębem zieleniejącym nadzieją i poklaskiwali im Czechowie, podczas gdy zmiennikami przezywali członków polskiego wydziału, którzy oświadczywszy, iż są Rusinami z przodków i uczucia, wykazywali niesłuszność zarzutów robionych Polakom, i dowodzili, że przy przewrotności rakuskiej, żyjącej oszustwem rządowem, poduszczaniem krwawych mordów, wolność Rusinom może tylko zakwitnąć w bratniej jedności z Polakami. Udało się nareszcie Polakom udobruchać Ruteńców, którym bez dochodzenia dalszego, czyli w Galicyi jest oddzielny duch ruski, na wypadek gdyby był istotnie i chciał oddzielnego piętna, przyrzekli takowy uszanować. Wykończono też manifest do ludów Europy; wtem rewolucya przez młodzież czeską na przekór czeskim politykom przygotowana, wybuchła w Pradze. Koniec jej znany. Wypędzeni przez Windischgrätza, Polacy opuścili Pragę z tem mocniejszym przekonaniem, że kto na cudzą targa się wolność, własną wolność traci.

---

### Polacy w Peszcie.

Wpływ, jaki Lubomirski wywierał na znaczną część deputacyi wiedeńskiej i ciągłe nadszkakiwanie Czechów prawiących bez ustanku o braciach Polakach, nareszcie przychylność, jaką nie którzy znakomici emigranci, tudzież Poznańczanie dla sprawy słowiańskiej okazywali, były powodem, iż deputacya odwlekała porozumienie się z rządem węgierskim z dnia na dzień, a nawet unikała zawarcia stosunków z Węgrami, bawiącymi w Wiedniu. Okoliczność ta w związku z nieustającym kokietowaniem z Czechami i Kroatami obudziła u Węgrów bardzo naturalne podejrzenie, że Polacy jako Słowianie sprzyjają więcej Słowianom, niżli Madziarom. Dlatego też ministerjum węgierskie, które na wieść o adresie z 6 kwietnia żądania deputacyi polskiej w tym adresie wyrażone popierać zaczęło, ostygło w swych dobrych chęciach i patrzyło podejrzliwem okiem na Polaków.

Nareszcie zwyciężyła w deputacyi opinia, że Polakom na wszelki wypadek z Węgrami porozumieć się trzeba, gdyby nawet tylko w celu pośredniczenia między nimi a Słowianami i zapobieżenia wojnie, którą Kroaci jawnie grozili, a która gdyby wybuchła dla sprawy wolności tylko zgubną być by musiała, — zwłaszcza gdy Kroaci oświadczyli, iż dla wybicia się z pod jarzma węgierskiego, w razie gdyby im Austria pomocy odmówiła, są nawet gotowi poddać się Rosyi. Proponowano wysłać świetną deputacyę do Pesztu, jako udającą się do Rządu; większość wszakże była zdania, że toby zraziło Czechów i Kroatów, z którymi zrywać nie można; posłano więc Dylewskiego tylko i Leligdowicza, którzy aczkolwiek upoważnieni od deputacyi do zniesienia się z rządem węgierskim, pro foro ceterum, uchodzić mieli za ludzi prywatnych. Udali się więc rzeczeni ajenci do Pesztu, dokąd ich ex propria diligentia wyprzedzili byli Szwajkowski i żyd tarnowski Rosner. Przyjęci w Peszcie serdecznie a nawet wspaniale, mimo niekorzystnego wrażenia, jakie zrobiło niezgrabne Rosnera wyznanie publiczne, iż jest żydem, — na ofiarowane przez Dyl. w mowie łacińskiej braterstwo wieczne, otrzymali w odpowiedzi zapewnienie niezmiennej przyjaźni i zapewnienie, iż się rząd węgierski wstawi u rządu austr. za ko-

rzystną dla Polaków odpowiedzią na adres z 6 kwietnia. Co do przyjęcia Emigracyi, wahał się rząd węg. dać stanowczą odpowiedź, dawał do zrozumienia, iż się obawia ich agitacyi między Słowakami, nie odmawiał wszakże stanowczo. Po powrocie rzezczonych agentów z Pesztu miał wydział deputacyi konferencyę z Szarvaudym, sekretarzem Kossutha względem emigracyi, za którą także Adam Potocki jeździł do Pesztu, z czym upoważnieniem niewiadomo, nie dowiedziała się też deputacya czego żądał i jaką otrzymał odpowiedź, A. Potocki nie należał bowiem do deputacyi. Był też i Libelt w Peszcie, po rozwiązaniu komitetu poznańskiego, jakiego rodzaju misya jego była i jakie skutki odniosła, niewiadomo, tem mniej znany jest cel podróży Dobrzańskiego przez Słowacyznę, którą tenże przedsięwziął zaraz po podaniu adresu z 6. kwietnia, mimo wiedzy deputacyi, która go wysłała była do Lwowa.

Skutkiem tych wszystkich przejażdżek do Węgier było, że rząd przyrzekł przyjąć emigracyę pod warunkiem, jeśli wstąpi do wojska i żadną propagandą trudnić się nie będzie.

Po nieszczęsnych wypadkach czerwcowych w Paryżu, gdy cała Europa na drogę reakcyi wstąpiła, nie pozostały dla Polaków inne nadzieje, jak te, że z rewolucyi węgierskiej wyrodzi się ogólna walka o wolność w Europie. Podczas gdy inni Słowianie nie pojmując znaczenia ruchu węgierskiego, po stronie rządu austriackiego przeciw rewolucyi węgierskiej stawali, — Polacy, widząc w niej początek zbratania się ludów przeciw austriackiej zasadzie: divide et impera, nie wahali się stanąć na stronie węgierskiej. Po wypędzeniu emigracyi z Krakowa, ułatwiło kilku znakomitych obywateli krakowskich, znacznej części emigracyi bawiącej jeszcze we Wrocławiu, przejście do Węgier. Młodzież zaś lwowska wysłała deputacyę do węgierskiego rządu z propozycyą utworzenia w Węgrzech legionu polskiego. Deputacya ta wróciła z odpowiedzią, iż rząd węgierski zezwala na organizacyę polskiego legionu w Węgrzech, który wszakże liczby 1200 przekroczyć nie powinien. Nowy ten dowód niedowierzania Polakom usprawiedliwił po części zjazd praski, na który Polacy przyjechali. Czynności tego zjazdu, którego pierwszy program tchnął nienawiścią dla Madziarów, nie dostały się do wiadomości publicznej, a chociaż pojedynczy

Madziarzy przekonali się wkrótce, że Polacy w Pradze nie tylko nie występowali przeciw Madziarom, ale nawet za nimi obstawali, — co spowodowało, iż jeden ze znakomitych Madziarów, szczególnie Polakom sprzyjający, oświadczył: „Habe ich doch immer gesagt, dass die Polen keine Slaven sind“, — przecież ogół Madziarów nie wierzył Polakom, a rząd węgierski podzielał opinię publiczną.

By więc to słuszne poniekąd niedowierzanie znieść, wysłano ze Lwowa, w porozumieniu z patryotami krakowskimi, nową deputację do Kossutha. Wysocki znajdował się w tej deputacji, zaopatrzone pełnomocnictwem do zawarcia z rządem węgierskim układu względem utworzenia legionu polskiego, oraz zawiązania z Węgrami stosunków, mających na celu wspólne Polakom i Węgom działanie ku oswobodzeniu Węgier i wskrzeszeniu niepodległej Polski. Deputacja ta miała się udać z końcem października ku Preszburgowi, gdzie bawił Kossuth. Mimo wieści w drodze odebranych, iż Madziarzy pod Schwechat zostali pobici, zdążyła ona dalej, ufna w przyszłość Madziarów. Przybywszy do Preszburga, żądała natychmiast posłuchania u Kossutha, — po dwukrotnej z nim konferencji zdawało się, iż wszystko pójdzie jak najlepiej. Postępowanie posłów polskich w Sejmie wiedeńskim w kwestyach dotyczących się Madziarów, ich ścisłe złączenie się z rewolucją, podczas gdy inni Słowianie razem z dworem z Wiednia uciekli, przekonały Kossutha, że Polacy nie myślą popierać ówczesnej słowiańskiej polityki, dążącej do ustalenia absolutyzmu, a temsamym nieprzychylniej Madziarom, dobijającym się wolności i niepodległości. Jakoż Kossuth pozwolił ustnie na utworzenie legionu polskiego z 15 do 20.000 i zapewniał jego przyszłość, brakowało tylko jeszcze podpisu, który miał nastąpić po zgodzeniu się na niektóre drobniejsze i podrzędne warunki.

Wtem zjawił się Bem uchodząc z Wiednia zdobytego przez Austryaków. Z jego przybyciem do Preszburga wszystko się zmieniło. Kossuth zaczął deputację pięknymi słówkami zbywać, nareszcie oświadczył, iż ustnie zawartego układu bez poprzedniego narządzenia się z ministrami w Peszcie podpisać nie może. W drodze do Pesztu był Kossuth względem deputacji zimny i unikał starannie spotkania się z nią. Przybywszy do Pesztu, zwlekał z dnia na dzień odpowiedź, wynajdywał ciągle

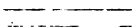
nowe trudności, nareszcie po energicznem zażądaniu stanowczego postanowienia otrzymała deputacya odpowiedź, że generał Bem sprzeciwia się zawarciu będących w toku układów, a to dlatego, że pełnomocnictwo deputacyi nie uważa za ważne, gdyż nie jest wysłana przez władzę jakąś krajową; przyczyna ta była tylko pozorną. Bem sprzeciwiał się tworzeniu legionu polskiego i proponował rządowi węgierskiemu, aby Polaków przybywających do Węgier wcielać do węgierskich batalionów i kto wie czy nie miał słuszności, — koniec wojny węgierskiej zdaje się przynajmniej usprawiedliwiać tę myśl Bema. (Obudzał też nieufność u Bema demokratyczny związek legii). Młodzież polska, która tymczasem gromadziła się w Węgrzech, napróżno prosiła Bema, by od swego zdania odstąpił; widząc więc w nim najgłówniejszą przeszkodę, iż plany deputacyi pełzną na niczem, kilku zapaleńców postanowiło zabić Bema; uszedł Bem śmierci, kula bowiem Kołodziejskiego twarz tylko jego zadrasnęła, lecz czyn ten obudził w Bemie niechęć ku rodakom, których posądzał, iż są\*) ....., której przez cały czas wojny pozbyć się nie mógł.

Został więc przy układzie zawartym z deputacyą młodzieży lwowskiej, na podstawie której rząd węgierski mianował Wysockiego komandorem mającego się utworzyć z 1200 ludzi legionu polskiego, który wszelako był przez cały czas wojny porzucany po całych Węgrzech i dopiero w Turcyi razem się zebrał.

Tak więc rok wolności, rok 1848 był dla nas okropną nauką; do zrad rządowych byliśmy już przywykli, ale mieliśmy wiarę w ludy. W r. 1848 zdradziły nas ludy, Francya wołała sojusz z książętami, niż wdzięczność narodu oswobodzonego, co jej\*)... ciągle był bratem. Niemcy zbrodni na Polsce przez książąt popełnionej, ludową nadali sankcyę i pokazało się, że liberalni pisarze w swojej sympatyi dla Polski tylko afektowali, aby sobie tym sposobem zyskać oklaski; że ludów nawet entuzjazm dla Polski był tylko przechodnim szaleem, w którym szukał rozrywki w nudnej ospałości leniwego czasu. Raz przyszedłszy do władzy, ludy tak samo jak rządy odwróciły się od Polski, — lecz wkrótce nastąpiła kara; gdzież wolność tych ludów, co w czasie

\*) Manuskrypt nieczytelny.

szczęścia, które im zabłysło, Polski się zaparli? Niewolni sami, czy czują teraz, jak mocno zgrzeszyli? Oby to czuli! Polska zdradzona nawet przez ludy, rozpoczęła walkę rozpacz, we wszystkich sprzysiężeniach, we wszystkich bitwach walczy przeciw istniejącemu porządkowi, który jej grozi zagładą. — Być może, że Polska zginie!



## **Rewolucya wiedeńska.**



## **Dziennik podróży prowadzony zacząwszy od 26 marca 1848.**

**26 marca.** Wyjechała deputacya ze Lwowa. O 3-ciej po południu odjechali: Lubomirski, Sekowski, Zbyszewski, ja, Dymnicki, Sławkowski, Smągłowski, Nowakowski, Dobrzański, Leli-gdowicz i Alsztz. 11

Nasz Bartalowski pocztylion grał na trąbce poloneza.

W Gródku rozdano kilka egzemplarzy adresu zgromadzonym przy poczcie żydom i mieszczanom, kilku z mieszczan chciało nam ręce ucałować za to, żeśmy pamiętali o nich biednych w adresie, życzyli szczęśliwej podróży, oświadczając, że się będą modlić do Boga i o szczęśliwy skutek deputacyi prosić, gdyż tylko tym sposobem sprawę dobrą wesprzeć mogą.

W Przemysłu dowiedzieliśmy się, że Tobiaszek i.....\*) (komisarze), starają się włościan podburzyć; — entuzjazm na pierwsze wiadomości wypadków wiedeńskich był wielki, oświetlono miasto i przypinano kokardy, które wszelako już na drugi dzień rewizor policyi zdzierał, toż samo pozwalali sobie żołnierze. Mieszkańcy wysłali deputacyę do Lwowa. My wezwaliśmy bawiącego tam obywatela ziemskiego, — który się z nami na poczcie widział, — ks. biskupa Wierzchlejskiego i ks. kanonika Czajkowskiego, by się z deputacyą złączyli. Adresu kilka egzemplarzy zostawiono na poczcie i poruczono, by podpisy zbierano i do redakcyi „Dziennika narodowego“ odsyłano. Zostawiliśmy także kilka egzemplarzy „Co się stało“.

**27 kwietnia.** W Jarosławiu panuje najlepszy duch, oficer który kazał przed ludem prezentować broń, jest to porucznik Krep;

\*) Manuskrypt nieczytelny.



kokardy tu noszą, wojsko nie jest nieprzyjazne. Wezwaliśmy mieszkańców do podpisania adresu. Przez dalsze miasteczka przejeżdżając, po których prawie nic nie wiedzano co się dzieje, rozdawano adres, tłumaczono i wzywano do podpisu.

W Rzeszowie kokardy narodowe noszą, zawiązał się komitet w celu radzenia co robić, szczególnie obawiają się tu włościan, których podburzają niechętni nam i postępowi, urzędnicy.

W Sedziszowie, gdzie dowiedziano się, że deputacya jedzie, przywitały nas wivatem dzieci szkółki, z profesorem na czele. Tu także skargi na urzędników, żandarmów, i finansowych strażników, że wieśniakom postępowanie we Lwowie i w kraju fałszywie tłumaczą i nazywają to buntem przeciw cesarzowi. Zresztą wszędzie wieśniak dotąd spokojny, choć niedowierzający.

W Dembicy, przejechawszy przez most, na którym tamtejszy oberżysta Lauzner zamordować kazał Reja, zobaczyliśmy hurmę żydów strwożonych; przyszedł do nas jakiś młody człowiek z kokardą narodową, i skarżył się, że Lauzner pomiędzy żydami wieści rozsiewa, że Polacy żydów w okolicy mordują i wskazał nam stojącego między żydami Lauznera. Wysiedliśmy, zbliżyli do nas kilku żydów, podaliśmy im adres, wskazali na punkt dotyczący się żydów, opowiedzieli, że żydzi lwowscy jadą z nami, a między nimi także rabin; na te słowa zmieniła się ich trwoga w radość, zaczęli się wypytywać o dalsze szczegóły, daliśmy im więc; „Co się stało“ i wytłumaczyli w krótkości treść adresu, potem podali nam dłoń i uradowani, odprowadzali do powozów życząc szczęśliwej drogi.

W Tarnowie zastaliśmy jeszcze, komitet zgromadzony, tu dowiedzieliśmy się dokładnie o wyjeździe deputacyi tarnowskiej, o powodach, celach i składzie onejże. Komitet odbywa posiedzenia w hotelu krakowskim; gdy się zawiązali, chciał ich Czecz wojskiem rozpędzić, lecz będący tam generał nie dopuścił do tego. Celu pewnego komitet ten nie ma, radzi szlachta co robić z pańszczyzną i rozprawiają o możliwości powstania włościan przeciw szlachcie, — ta obawa wstrzymuje po większej części szlachtę od darowania pańszczyzny, chociaż nie zbywa na ochocie uczynienia tego natychmiast.

**28 marca.** W Bochni szlachta także radzi co do pańszczyzny, w oberży za szkłem znaleźliśmy odezwę do szlachty, która

przepisałem, — chcą czekać z darowaniem pańszczyzny, aż się zgodzą na sposób.

W Gdowie powitał nas jeden człowiek, a tym był żyd, brat zamordowanego za sprawę polską na polu gdowskim, żyda, — daliśmy mu adres i „Co się stało“. Nędza w tym miasteczku musi być ogromna, opadła nas bowiem hurma dzieci nędznych, piszczących i proszących o jałmużnę.

W Wieliczce także szlachta radzi o pańszczyźnie i tu boją się darować natychmiast, — kto wie czy to tylko nie jest wymówką, — kokard narodowych pełno.

W Krakowie kokard żadnych nie widać, pokazywali na nas palcami gdyśmy do poczty jechali, widzieli bowiem na naszych czapkach kokardy. Na poczcie przyjęło nas wojsko pod bronią we dwóch szeregach stojące, pomiędzy którymi przejeżdżały nasze powozy, — śliczne przywitanie, nieprawdaż?! Miasto na pozór spokojne, tylko w Akademii ruch. Akademicy sami noszą kokardy i to narodowe, odbywają zgromadzenia w amfiteatrze, radzą o uzbrojeniu gwardyi i w tym celu obrany komitet przedłożył rządowi statuta organizacyi; jutro komisya ta, przez rząd potwierdzona podług statutów przedłożonych rządowi, rozpocznie swoje czynności. Hrabia Deym wyjechał, rządzi więc Krieg, cenzury żadnej niema; „Gazeta Polska“ i „Jutrzenka“ zawierają piękne, wolno pisane artykuły.

**29 marca.** W amfiteatrze obrano komitet prowizoryczny, w celu uformowania komitetu narodowego, którego zadaniem będzie rozwiązanie kwestyi usamowolnienia włościan.

Akademia posłała deputacyę do Akademii wiedeńskiej, w celu podziękowania za udział.

Z nami wysyłać nie chcieli z początku deputacyi, ponieważ punkta adresu dla nich nie są stosowne; nakoniec uradzili deputacyę za nami posłać, która jeśli przekona się, iż adres nowy, który deputacya ma ułożyć, odpowiednim do ich potrzeb będzie, połączy się z nami.

Dnia tego u Knotza zgromadzili się członkowie deputacyi, ci którzy wcześniej przyjechali zresztą, co wieczór do Krakowa przybyła, w celu ułożenia planu postępowania. (o czem protokół obrad deputacyi w Krakowie).

**30 marca.** Rano przybył ks. biskup przemyski wraz z ks. Czajkowskim. Ks. kanonik Król, którego na nasze wezwanie kapituła tarnowska wysłała, 29 wieczór przybył do Krakowa.

Po przywitaniu ks. biskupa, udała się deputacya na kolej żelazną, w drogę do Wiednia.

Dodać tu należy, iż więźniów powracających z Berna, w Krakowie z największym entuzjazmem przyjmowano. Widzieliśmy kilku znajomych: Siedmiogrodzkiego, Chrząstowskiego, Dunajewskiego i między innymi bawił jeszcze w Krakowie młody Gorąt, piękny chłopak, jeden z Chochołowskich. Więźnie wracający wszyscy wyglądają jak księża, golono im wasy i brody ex offo.

W Prusach wszędzie wielki dla nas udział, ważnych też dowiedzieliśmy się rzeczy; Poznań prawie niepodległy.

**31 marca.** Przybyliśmy do Wiednia, na dworcu przyjęła nas młodzież polska bawiąca w Wiedniu z inną młodzieżą i mieszkańcami Wiednia. Gwardya narodowa akademicka pod bronią stanęła, a dr. Rudyński przywitał mową polską, na którą książę Lubomirski odpowiedział kilku dobranemi słowy, dziękując tak Połakom, jakoteż słowiańskim braciom, tudzież Madziarom i Niemcom za miłe ich przyjęcie.

Potem Malisz, odpowiadając na mowę Rudyńskiego, witającego deputacyę naszą jako tę, która domagać się ma wskreszenia Polski niepodległej, odezwał się w języku niemieckim do sympatyi wszystkich narodów, a skreśliwszy cierpienia Polski deptanej nogami despotów, wezwał wszystkie narody dobijające się wolności, by nam pomoc niosły przeciw wspólnemu wrogowi wolności. Mowa ta wydrukowaną zostanie. Łzy stanęły w oczach słuchaczy, głośna przysięga pomocy i braterstwa i okrzyki: „Ja, wir wollen alle nach Polen, gleich heute wenns noth thut — lieber heute mit dem Despotismus ein Ende zu machen“, — usłyszano okrzyki: Niech żyje Polska, es lebe Polen! — na co my odpowiedzieli okrzykami: „Hoch den Deutschen, hoch den Wienern, hoch unseren slavischen Brüdern, hoch den Ungarn!“

Potem udaliśmy się do naszych pomieszczeń, przygotowanych przez przysłanych z Krakowa przed nami Sękowskiego i Zbyszewskiego. Część do „Kaiserin von Oesterreich“, część

do „miasta Frankfurt“, reszta do „Erzherzog Karl“, wszędzie młodzież polska bawiąca w Wiedniu pozaclagała wartość honorową.

Po południu zebrała się deputacya i uchwaliła wcielić do siebie deputacyę tarnowską z prawem głosowania, oraz uchwalono w wydziale, aby Borkowski ułożył adres, który gdy zostanie potwierdzony przez wydział i deputacyę całą, zostanie przetłomaczony na wszystkie narzecza słowiańskie, oraz na język niemiecki i madziarski, nakoniec gdy będzie podanym, rozdzieli się go między publiczność wiedeńską.

Odwiedzili nas także Serbowie bawiący tu w Deputacyi, na ich czele hrabia Nagent i wręczyli nam ich drukowany adres.

Zresztą dowiedzieliśmy się, że rewolucyę we Wiedniu zrobiła li tylko młodzież akademicka, że mała tylko część mieszczan wie o co idzie; rewolucya wiedeńska prawdziwą jest farsą, a że rząd farsy tej zląkł się, dowodzi tylko nadzwyczajną słabość rządu; kto teraz w Wiedniu rządzi, trudno powiedzieć, najbardziej się zbliżę do prawdy, gdy powiem, że rządzi młodzież akademicka; ta nie mając z początku jasnego pojęcia tego co trzeba żądać, przez ścieranie się opinii w klubie zawiązanym, co raz jaśniej widzi stan rzeczy i dalej pójdzie. Polska młodzież i tu pojęła najwięcej rewolucyę, ona się najwięcej do wypadków przyczyniła, ona zagrzewa do dalszych czynów, — Rudyński i Howart przewodniczą poniekąd młodzieży polskiej, Burian Wiedeńczykom.

Rząd wydał odezwę do mieszkańców, aby się zaciągali na ochotników przeciw Włochom; hurmami się wpisują, — nowy dowód, jak tu rozumieją rewolucyę.

Właśnie nas dochodzi wieść, że podano adres nowy, żądają mieszkańcy tutejsi, (t. j. młodzież i część postępową, która nosi kokardy niemieckie i chce połączenia się z Niemcami), oddalenia Ludwika, rozwiązania „Staatsrathu“, a adres ten wydrukowany zakomunikowano nam.

**1 kwietnia.** Zaprosiła nas młodzież polska do kościoła świętego Ruprechta, dokąd udała się deputacya; po mowie tamtejszego księdza polskiego, wygłoszonej zupełnie w tym duchu jak nas przyjął Rudyński, wezwano Ducha świętego; podczas mszy śpiewano polskie pieśni. Tymczasem deputacya krakow-

skiej Akademii, oddała tutejszej swój adres, z eutuzyazmem przyjęta i z okrzykami odprowadzona, złączyła się z naszą deputacją, wracającą z kościoła i przyszła przy ciągłych okrzykach do „Kaiserin v. Oesterreich“. Przed domem Sękowski podziękował im za ich udział, poczem z okrzykami „Hoch den Polen — Niech żyje Polska“ rozeszli się.

Gdyby przed miesiącem kto był powiedział, że my w polskich strojach z kokardami narodowymi w Wiedniu krzyczyć będziemy: „Niech żyje Polska!“, byłby uznany za waryata. Dziwny postęp czasu; iskra rzucona zapaliła materiały palne, wszędzie nagromadzone. Świat cały powstał, jak jeden mąż, a instytucje istniejące runęły, jak tylko została wyrzeczona nowa idea.

Drukują i Pressgesetz. Poseł sardyński dostał paszport i opuszcza Wiedeń, — wojna Sardynii wypowiedziana, Węgrom wszystko pozwolono czego żądali; Serbowie toż samo mają przyrzeczenie. — NB. przyrzeczenie.

Po południu Szwajkowski imieniem deputacyi tarnowskiej wyraził urazę, że głosowano czy ich przyjąć, czyli nie; oświadczenie to przyjęto przez deputację galicyjską z oburzeniem, jeśli mówił z upoważnienia Tarnowianów, nie wielki zaszczyt robi mu taka nie wczesna próżność. Między nami Bogu dzięki najwyższa dotąd zgoda.

Dowiadujemy się, że „Pressgesetz“ w Akademii spalono, podano projekt nowy; radzą nad tem Szuselka i Kuranda w radzie Stanu! — O cuda! Rada stanu dawno rozwiązana, — Ludwik oddalony.

Wieczorem deputacja tarnowska szeroko rozwodziła się w wydziale o formie adresu. Sanguszko proponował, by żądano kongresu europejskiego, dla rozstrzygnięcia kwestyi niepodległości. Szwajkowski wyraził się, by żądać jakiego arcyksięcia na króla polskiego; zdecydowano zostać przy planie w wydziale uradzonym, jak to okazuje adres, który już prawie gotów na czysto się przepisuje.

O wpół do 11-tej wieczór dostaliśmy pierwszy numer „Oesterr. Zeitung“, która zamiast „Beobachtera“ wychodzić będzie; — dziwy nad dziwami! Podług urzędowej tej gazety, Austria nam ofiaruje niepodległość całkowitą lub federację, jak nam się podoba.

Na posiedzeniu klubu tutejszego, bez ogródek o niepodległości polskiej mówiono, a przytomni Niemcy wspomnieli także o arcyksięciu, jako królu polskim.

My równocześnie protestujemy przeciw wszelkim podobnym zobowiązaniom. Zdaje się, że deputacya tarnowska działa podług jakiegoś natchnienia rządowego, bo skądżeby zgodność ich projektu, z myślą wyrażoną w gazecie wiedeńskiej.

**2 kwietnia.** Gazeta wiedeńska mówi o konieczności zrzczenia się Galicyi, utworzenia Polski niepodległej z królem z domu austryackiego; kto wie, czy rząd austriacki potrwa dni cztery, na wieży św. Szczepana powiewa chorągiew czerwono-czarno-zółta, t. j. niemiecka. Posłannictwo nasze ważne bardzo, przyjechał dziś Dobrzański i Leligdowicz z Poznania, dokąd z Krakowa udali się zaraz po przyjeździe naszym do Krakowa. Adres nasz ułożony stosownie do Poznańskiego, — musimy wspólnie działać i dlatego dla porozumienia się dalszego pojechał Tetmajer, — który się z nami w Kozel połączył, — do Wrocławia, gdzie będą reprezentanci poznańscy i polscy.

Deputacyi naszej chciała Akademia tutejsza wyświadczyć zaszczyt powitania nas, czego żadnej jeszcze nie czyniono, odmówiliśmy, nie chcąc występować jako deputacya, aż czyny nasze imię to usankcyonują, to jest aż nie uzyskamy czego żądamy i tym sposobem uprawnimy deputacyę naszą.

Deputacya nasza najwięcej tu wzbudza sympatyj i uszanowania, wiedzą bowiem, że my lada czego żądać i lada czem się kontentować nie będziemy. Chociaż tak jak rzeczy stoją, któkolwiek odważnie żądać będzie, wszystko otrzyma.

Deputacya praska wygwizdana w Pradze przy swym powrocie, wróciła do Wiednia by żądać większych koncesyj, chce się porozumieć z nami.

Przed hotelem „zum wilden Mann“, gdzie deputacya czeska stoi, zaciągnęli Czesi wartę honorową, salutują broń przed nami, — odznaczamy się czamarami, czapkami i kokardami.

Dzień dzisiejszy powiększył deputacyę naszą kilku członkami. Akademicy Polacy prosili, by trzech z ich grona przypuszczono do obrad; Rudyński, Hovard i Świątkiewicz przyjęci zostali do grona deputacyi naszej.

Przybył Czerkawski, jako deputowany Akademi lwowskiej, także Szeliski Kazimierz.

Po obiedzie zaczęto na posiedzeniu trutynować adres i dopiero późno w nocy odroczone posiedzenie. Poznałem co to być sekretarzem. By pochwycić myśl, w zamęcie słów wielkiej części naszych pp. deputowanych, do tego trzeba innej głowy jak moja. Mój Boże, gdyby obrady te były potrwały dłużej, byłby mi się mózg w głowie przewrócił. Co za gadatliwość, a szczególnie u Mazurów! Nieraz mi Pipetunio przyszedł na myśl. Odnaczał się przedewszystkiem rozwlekłą, nudną, do niczego nie prowadzącą myślą. Książę Władysław, pocziwa to dusza, ale nudziarz, jakiego nie widziałem. Boże mię zachowaj od podobnych długich obrad. Najlepiej zaś podobał mi się p. Machalski, szumny orator, co mówi tylko to, na co się przygotował, — przyszedł z gotowymi projektami i oracyami i rznął swoje, nie pytając czy to do rzeczy prowadzi lub nie. Na samym początku obrad napomniał zaś poważnie, byśmy rącho do dzieła przystąpili, bo czas drogi. Ślicznie się tej zasady trzymał. Boże miej litość nademną.

Znużony idę spać bez kolacyi.

**3 kwietnia.** O godzinie dziewiątej po krótkiej naradzie w wydziale deputacyi, gdzie Lubomirski oświadczył, że może zdać godność prezesa na kogo innego, z powodu że w adresie żądamy komitetu narodowego w Wiedniu wybrać się i rządowi do potwierdzenia podać się mającego, udałem się do hotelu „Erzherzog Karl“, gdzie obrady nasze odbywamy.

Obradowano nad dalszymi punktami adresu. Borkowski odnacza się co raz bardziej; jeśli będziemy mieli zgromadzenie narodowe, znajdziemy w nim doskonałego mowcę. Socialis odnacza się także mową spokojną i zawsze trafiającą do przekonania.

Ciekawe to były obrady; mimowolnie przebijały się dawne przesady, w zwykłym spokojnym życiu zachowane, wychodziła na jaw duma ukryta, mściwość lub chęć rządzenia. Odpowiedzi grubiańskich także nie mało było, jak gdyby człowiek wolny nie mógł być grzecznym, jak gdyby prawda grzecznie powiedziana przestała być prawdą.

**4 kwietnia.** Przybyła deputacja krakowska, składa się z 16 osób, na czele książę Stanisław Jabłonowski. Langie i Bochenek obrani mowcami, oraz członkami wydziału. Przeczytawszy adres oświadczył Langie, że do niego przystępuje imieniem całej deputacji i żądał tylko dwóch małych poprawek, przez wzgląd na lokalny stan Krakowa, które to poprawki, przyjęto większością głosów.

Pan Stadnicki Aleksander, który wczoraj przeciw legalności naszej deputacji powstawał i coś o dyktaturze przebąkiwał, dziś wcale już nie przyszedł, mówią nawet że odjechał, by połączyć się z Targowicą.

O godzinie 5-tej zeszła się komisya wybrana do przejrzania tłumaczenia niemieckiego, tymczasem tłumaczenie było tak haniebne, że trzeba było na nowo rozpocząć pracę. Wziąłem się z Kohnem, rabinem lwowskim i Sekowskim do pracy, którą skończyliśmy po północy. Podczas tego tłumaczenia zbadałem zdaje mi się Kohna dość głęboko, jest to człowiek fałszywy, który się łączył z nami lub z bojaźni, byśmy nie wyrzneli żydów, lub w nadziei korzyści jakichś wyłącznych. Nami i dążeniami naszymi człowiek ten pogardza, tak dalece, że mimo przebiegłości nie zawsze jest w stanie zamaskować się.

**5 kwietnia.** Dzień ten przeszedł na przepisywaniu adresu, poprawianiu pojedynczych słów, kłótni, wynurzaniu podejrzeń słusznych i niesłusznych. Jedni znużeni pracą kilkuniedniową obojętnie słuchali, drudzy rozdrażnieni do najwyższego stopnia w każdym błędzie druku widzieli zdradę. Dzień to był gorączki lub przesilenia. Powodem do tego stanu gorączkowego była poprawka, którą sobie L. samowładnie pozwolił, poprawka jednego słowa, ale w taki sposób, że słuszne podejrzenie wzbudziła, iż między nami są ludzie, którzyby chcieli ratować stary szlendryan stanowy.

Siedziałem do 12 w nocy przy pisarzu przepisującym adres już na czysto; wracając do domu, słyszę gwizd, pisk i krzyk straszliwy, zbliżam się ku niemu, najhaniebniejsza „Katzenmusik“, kilka tysięcy ludzi po większej części młodych, chociaż nie brakowało i na poważnych, stoją na placu Szczepana, koło pałacu arcybiskupa, czcząc go serenadą za to, że nie chciał poświęcić insygniów cesarstwa niemieckiego, które Szuselka do Frankfurtu powiózł, tudzież protestował przeciw zawieszeniu chorągwi nie-



mieckiej na wieży Szczepana. Gwardya narodowa przypatrywała się protestując tylko przeciw wybijaniu okien, mówiąc: „Nur Ordnung meine Herren, Katzenmusik ohne Fenstergeklirr“.

Koło 1-szej godziny rozeszły się tłumy; skorzystałem to, że wiem jak się robi szarivari, oraz dowiedziałem się, że tu można wszystko zrobić, gdyby ludzie tylko wiedzieli czego oni chcą; lecz niestety dotąd nie wiedzą. Ci sami co robili „Katzenmusik“ arcybiskupowi za to, że nie sprzyja przyłączeniu się Austrii do Niemiec, zrobiliby pewnie taką samą serenadę temu, ktoby się poważał powiedzieć, „dass er kein Oesterreicher bleiben, sondern ein Deutsche werden wolle“. Zasmakowali w krawalach i robią krawale dla krawalów.

**6 kwietnia.** Nadszedł nareszcie dzień oczekiwany, dziś o 12-tej mamy audyencyę u cesarza, pisarze kończą adres, wszyscy czekają, by już raz podpisać można. Otóż i skończyli, spieszą do podpisów, wszyscy podpisali z deputacyi galicyjskiej i krakowskiej, tudzież dodani do deputacyi członkowie mieszkających tu Polaków, tylko Stadnicki Aleksander, chociaż w Wiedniu przytomny, nie podpisał.

Po podpisaniu wyszliśmy na dziedziniec hotelu arcyksięcia Karola, aby się udać do cesarza, — większa część w strojach polskich. Przywitano nas okrzykami: „Es leben die Polen, es lebe die polnische Deputation“. Na ulicy stał oddział gwardyi akademickiej, która sprezentowawszy broń, uszykowała się w szpaler, między którym postępowaliśmy zwolna przez Graben i Kohlmarkt, pośród tłumów ludzi towarzyszących nam z okrzykami: „Es leben die Polen“, my dziękowali na wszystkie strony, a pięknym twarzyczkom z okien chustkami nas witającym, odpowiadaliśmy powiewając czapkami naszemi.

W Burgu gwardya została na podworcu, my zaś pomiędzy kłaniającą się nam służbą dworską szliśmy na pokoje cesarskie. W sali tronowej, gdzie gwardya węgierska, włoska i niemiecka tworzyła szpaler, aż do sali audyencyonalnej, zatrzymaliśmy się, a weszli tylko obrani do oddania petycyi: Lubomirski, Sanguuszko, Jabłonowski, Jabłoński, Hossakowski, Krynicky, Bierkowski, Kazimierz Wodziński, Meizels, rabin z Krakowa i dwóch wieśniaków, Zbroja z Krakowa i Bonior z Tarnowskiego. Ja jako sekretarz, niosłem petycyę wstążką narodową związaną a od-

dawszy ją mowcy Lubomirskiemu, zostałem wraz z resztą deputacyi w sali tronowej.

Przy cesarzu był Zeremonienmeister Mitrow\*)..... z innymi nam nieznanymi. Cesarz w portkach czarnych ze złotym galonem, frak miał swój generalny, kilka gwiazd na piersi a na szyi złote runo, faworyty siwe, peruka gładko zaczesana, oczy siwe, twarz nabrzmiała. Po ukłonach z obu stron, Lubomirski oświadczywszy, że deputacya z Galicyi i z Krakowa chce podziękować za wyświadczone już koncesye i przedłożyć swoje życzenia, zaczął czytać tłumaczenie niemieckie naszej petycyi, — a gdy już prawie połowę przeczytał, — zapytał mistrz ceremonii cesarza czy nie jest sfatygowany, i czy nie życzy sobie, by mu resztę później przeczytano. Lubomirski nie czekając odpowiedzi cesarza, odezwał się z prośbą, by cesarz zechciał wysłuchać go do końca, dawszy ludom swoim prawo mówienia otwarcie, — na co cesarz głową skinął, czytał więc do końca adresu. Poczem cesarz wziął kartkę od Pillersdorfa i przeczytał co następuje:

„Ich nehme wohlgefälligst das Bitten der Abgeordneten aus meinem Königreiche Galizien auf, — und befehle alle ihre Wünsche sogleich in Erwägung zu nehmen, und insofer sie das Wohl des Landes bezwecken, sie baldigst zu erledigen.“ Po tych słowach Lubomirski prosił o spieszna odpowiedź ze względu na niebezpieczne skutki, — mogące wyniknąć z powodu zwłoki. Poczem cesarz trzy razy się ukłonił, a deputowani pokłoniwszy się jemu nawzajem, wyszli z sali audyencyonanej i złączyli się z nami, którzy przez ten czas, z jakimś „Staatsrathem“ czy jakimś djabelem i jakimś oficerem gwardyi niemieckiej rozmawialiśmy o naszym położeniu w stosunku do Rosyi, o niebezpieczeństwach dla nas i dla Austryi wyniknąć mogących, jeśli nam nie pozwolą wzmocnić siły nasze.

Z Burgu udaliśmy się znowu przez Graben idąc do Wszecnicy, znowu wiwaty i „Hoch den Polen, es lebe Polen!“ na Grabenie wyszło kilku akademików naprzeciw nas i wręczyło nam chorągiew naszą narodową uwieńczoną laurami. — Wziąłem ją i niosłem idąc między Czerkawskim i Howartem ubranych w czarnych czamarach, błękitnych czapkach, obydwaj przy

\*) Manuskryp nieczytelny.

pałaszach. — Gwardya tworzyła jak przedtem szpaler, a przed nami postępowało czterech akademików pod bronią, idących w szeregu. Przy Leseverein zatrzymaliśmy się, członkowie tego towarzystwa wywiesili chorągiew niemiecką z balkonu, witając nas okrzykami; „Es leben die Polen“. Postąpiłem ku balkonowi, a podniósłszy chorągiew dotknąłem się chorągwi niemieckiej wołając: „Es lebe die freie deutsche Nation“, na co odpowiedziano grzmiącym okrzykiem: „Es lebe das freie Polen“.

Następnie udaliśmy się do auli wszechnicy, gdzie licznie zgromadzoną zastaliśmy młodzież akademicką, udało się z nami także kilka dam polskich, między innymi Sapieżyna. Lubomirski wszedł na mównicę, — chorągiew nasza powiewała nad jego głową, — kilku energicznymi słowami podziękował za udział młodzieży akademickiej wiedeńskiej i za sympatye dla sprawy polskiej, wzywając by dalej na drodze do wolności postępowała, a nas jako sprzymierzeńców swych uważać chciała. Głośne okrzyki odpowiedziały na te słowa.

Wtem bierze jeden akademik Polak chorągiew naszą i niesie ją na balkon wewnętrzny, na którym powiewała chorągiew niemiecka; przez chwilę panowała cisza, nie wiadomo bowiem, dokąd niesie chorągiew, lecz skoro okazał się na galerii, odezwały się okrzyki: „Hoch den edlen Polen, es lebe Polen — hier wird Euere Fahne gut verteidigt werden“. Czy przypadek czy namysł sprawił, że w tej chwili niemiecka i polska chorągiew zetknęły się; korzystając z tego, chwytając Pollmann, oficer gwardyi akademickiej za obie chorągwie, a powiewając niemi woła: „Dies ist der Kuss der Freundschaft, jetzt sind wir erst stark“. Sceny która nastąpiła trudno opisać, znajomi i nieznanymi całowali, ściskali się, przysięgali sobie wierność i przyjaźń, a przytem grzmiąły okrzyki: „Es lebe Polen, — es lebe das freie Deutschland“.

Po krótkiej odpowiedzi jakiegoś wiedeńskiego akademika wyszliśmy z auli. Chorągiew nasza i niemiecka nas wyprzedzały, w ten sposób, że Skolimowski, który niósł chorągiew naszą, trzymał koniec chorągwi niemieckiej, a Pollmann naszej w swym ręku.

Tak idąc między szpalerem gwardyi przy nowych okrzykach, udaliśmy się do Techniki, gdzie przemówił Słabkowski

w imieniu młodzieży lwowskiej, a Malisz powtórzył mowę, którą miał na dworcu. Łzy z ocz nie jednego płynęły, nie jeden pałasz wyleciał z pochwy, a wszystkich ręce wzniosły się do przysięgi, że nas nie dadzą na pastwę wroga wolności europejskiej.

Z Techniki odprowadzono nas w tym samym porządku do naszej głównej kwatery, t. j. do hotelu arcyksięcia Karola, we drzwiach Lubomirski podziękował gwardyi za ich attencyą, a na okrzyk nasz: „Es lebe die Nationalgarde“, odpowiedziano „Hoch den Polen, es lebe Polen“.

Po tej ceremonii po raz pierwszy od przyjazdu do Wiednia odetchnąłem wolniej.

Spełniliśmy część missyi naszej, nie wiem czy ważniejszą, czy mniej ważną. Pewną zaś jest, że to cośmy dopieśli, wywalczyliśmy, a walczyć musieliśmy tak przeciw złej chęci i tajnym intrygom, jak niewczesnej podejrzliwości i nieumiarkowanej żarliwości dobrze myślących. Niejedno imię pod surową poddano krytykę, niejedną obelgę na najczystsze rzucano dusze, niejedną urazę połknąć trzeba było, by tylko rozdwojenia rodzić się poczynającego nie powiększać przed podpisem adresu. Niejednen też człowiek okazał się czem jest. Buldog, człowiek gwałtowny, człowiek namiętny, mściwy prywatnych uraz, mógłby się stać Dantonem, gdyby się sposobność ku temu pokazała, a Jaś poczciwy, przy chęciach najlepszych i sercu najczystszym, od drogi wytkniętej co chwila zbacza, czy przez brak jasnego o celu wyobrażenia, czy też brak charakteru, — sądę, że ostatnie, bo widziałem jak często wyrzeczonim przez się zdaniom zupełnie przeciwne głosił zasady, jak uniesiony gorączkowym zapalem deptał tych ludzi lub te opinie, którym po chwili sypał kadzidło. Mocny w piórze, słaby w zasadach, może odegrać rolę Camila Dermoullin, wszyscy go lubimy oraz lękamy się, nie jego zasad, nie jego złej chęci, bo serce jego czyste jak złoto, lecz wpływu innych osób, więcej od niego energii mających, jego świętego zapalu do swych celów nadużywających, lękamy się łatwości, z jaką pozwala na siebie wpływać.

Wieczorem na placu św. Szczepana licznie zgromadzone tłumy chciały powtórzyć Katzenmusik arcybiskupowi; wywieszona z okna chorągiew niemiecka i napomnienia gwardyi narodowej ochroniły go od powtórzenia serenady. My tymczasem,

jako ludzie prywatni, staraliśmy się skierować chęć odegrania serenady w inne miejsca; nie udało się nam, bośmy nie wiedzieli, gdzie mieszkają krwiożercze Krausy, Sachery, Haimbergery, Milbachery uzyskaliśmy tylko to, że sobie ponótowano imiona tych bohaterów z r. 1846.

Szkoda że nam się nie udało zrobić Katzenmusik Krausowi, do którego Festenburger zajechał, co za scena, gdyby ci poczciwcy byli usłyszeli tak miłą muzykę, sądzę, że byłoby między nimi mogło przyjść do pojedynku z powodu certowania się oto, komu się należy ten zaszczyt.

**7 kwietnia.** Dowiadujemy się, że Kraus dostał list, w którym go bardzo grzecznie proszą Wiedeńczycy, by swą obecnością nie kalał dziewiczej wolności tego miasta. Niezawodny skutek naszej wczorajszej agitacji o Katzenmusik. Zdaje się, że i inni podobne dostali wezwania.

W wydziale Tetmajer wniósł swoje sprawozdanie z misyi do Wrocławia, którą jako wolontaryusz był przedsięwziął. Pachnie zwolennikiem Czartoryskiego, choć rogi schował. Tegoż samego dnia posłaliśmy Sękowskiego o 12-tej, by Stanom austriackim oświadczył, iż deputacja nasza chce im złożyć uszanowanie. Celem naszym było zachęcić ich do energicznego postępowania, otworzyć oczy, że konstytucya dopiero przyrzeczona, że jej urzeczywistnienie będzie tak długo obiecanką cacanką, jak długo stoją na czele ulubieniec Mikołaja i uczeń Metternicha.

Urządник stanowy zaprosił nas na 1-szą. Udaliśmy się do Landständisches Haus, — wszystko w największym porządku, okna całe, — najmniejszego śladu walki, która się tu stoczyła o wolność niemiecką w Wiedniu. W sali przyjął nas Hojos jeszcze z jakimś drugim przepraszając, że nie zgromadzili się liczniej, gdyż niepodobieństwem było zwołać członków stanowych w tak krótkim czasie. Przyjeliśmy ekskuzę oświadczając, że chcieliśmy tylko nasze uszanowanie złożyć Stanom i podziękować za inicjatywę, którą wzięły w domaganiu się swobód krajowych, prosiliśmy by to oświadczył reszcie członkom i powróciliśmy do domu.

Nuż krzyk, nuż hałas, że nas zdradzają, że to umyślnie posłano tylko jednego, by tem łatwiej nas na śmiech wystawić; wniesiono więc i uchwalono, by nigdy jednego nie posyłać w misjach oficjalnych, lecz kilku członków, by nie było zdrady.

Po uśmierzeniu się tych krzyków, całkiem bezzasadnych, gdy krzykacze Dob., Siem i Hub. ucichli, przysła zimniejsza rozwaga i uznano, że właściwie lepiej się stało, żeśmy nie zastali Stanów in gremio, nie byliśmy bowiem w konieczności robienia im komplementów nieszczerých i wynurzania naszych zamiarów, którym oni może nie bardzo będąc przychylni, mogliby stawiać zapory.

O godzinie 4 udali się wybrani członkowie: Lubomirski, Wienkowski i ja do kroacko-ilirsko-słowackiego komitetu, w celu porozumienia się. Zastaliśmy tam Gaja, dwóch Kroatów i dwóch Słowaków. Wiedzieliśmy, że za złe nam mają nasze kokietowanie z Węgrami, chociaż od czasu przybycia do Wiednia, z Węgrami nie znosiliśmy się i wszelkich oświadczeń przyjaźni dla Węgrów ile możności na publicznych miejscach wystrzegaliśmy się. Tłumaczyliśmy się, że sympatyje nasze są dawnej daty, sympatyje zastarzałe, które teraz nie mają żadnej podstawy, stały się tylko kokieteryą. Polska i Węgry miały rząd podobny, t. j. arystokratyczny, ztąd sympatyje rządów. Między Madziarami a Słowakami w Węgrzech mieszkającymi nikt dawniej nie robił różnicy; sympatyzowaliśmy poprostu z Węgrami. Teraz, gdy żywioł słowiański w Węgrzech ocknął się, a objawił życie do naszego podobne, demokratyczne, sympatyzujemy z dwóch przyczyn ze Słowianami, ale z Madziarami otwarcie rozbratu brać nie możemy, bo wojna z Rosyą jest nieodzowną, więc o przychylnego sąsiada starać się trzeba.

Przystali na to tłumaczenie Kroaci i Słowacy, chociaż oni najwięcej przyczyny mają do nienawidzenia Madziarów. Gaj tylko mruczał i kiwał głową, zacięta sztuka; wejrzenie ponure, twarz surowa, wygląda jak chmura czarna, z której piorun ma uderzyć; groźba po groźbie wysuwa się z ust jego, lecz nie widzisz tam namiętności, mówi spokojnie, półgębkiem: jabym mu nie ufał, a coś mi szepcze, że Gaj Polaków nie cierpi.

Rozmawialiśmy także o naszych Rusinach, Wienkowski zapewnił, że Rusini nasi nie mając żadnych dla Rosyi sympatyj, straszili ją tylko Niemców i Polaków, by wytargować trochę swobód i jaką taką gwarancję swej narodowości. Teraz, kiedy Polacy pierwszy i szczerzy uczynili krok publiczny co do pobratania się z Rusinami, nietylko nie ma niebezpieczeństwa, by się

z Rosyą łączyli, ale owszem jest nadzieja, że Rusini moskiewscy do nas przylgną.

Gaj słuchał poważnie, lecz słowa nie odpowiedział.

Stur, Słowak węgierski z Karpat, prawdziwy reprezentant tych poczciwych sąsiadów naszych, szczerzy, naiwny jak dziecko, przyznał niemoc wywalczenia sobie bytu niepodległego, wyrzekł to samo co do swych braci Ilirów, a wskazując Ilirom Kroatów i Słoweńców, z którymi się łączyć mają, napomniał, by sobie nie narządzali ani Niemców, ani Madziarów. Pochwalił roztropność naszą, oświadczając zarazem że dla karpackich Słowaków my Polacy i zwyczajami i mową najbliżsi, najnaturalniejszymi jesteśmy sprzymierzeńcami. Silna wiara, iż wkrótce Polska istnieć będzie, zgięta jego, chociaż zresztą olbrzymią postać, wyprostowała, a smutną jego twarz tak rozpromieniła, że mimowolnie rzuciłem się w jego objęcia. Jak gdyby na hasło wszyscy powstali, wszystkich prawice w jedno złączyły się uściśnienie i poprzy siegliśmy niedopuszczyć, by jakikolwiek szczep słowiański, miał być pochłonięty przez obcy naród „sfornost slovenska!“ jedność braci Słowian! — i sojusz zawarty.

Po chwili milczenia mówiliśmy jeszcze o potrzebie założenia w stolicach słowiańskich katedr języków słowiańskich, o zaprowadzeniu czcionków łacińskich etc.

Nareszcie powstaliśmy, a rozmowa przeszła na przedmioty potoczne. Gaj opowiadał jak ban nowy kroacki Gelenciss, stawiony przed cesarzem w celu złożenia przysięgi, odmówił jej gdy mu powiedziano, że musi ją złożyć w ręce kanclerza węgierskiego, jak tym krokiem oderwanie się od Węgier wypowiedziano, o prawdopodobieństwie bliskiej walki i t. p.

Podczas tej rozmowy wpadła mu w oczy karabela Lubomirskiego. Zaczął się jej przypatrywać, a zobaczywszy na rękocyści popiersie Jana III., zaczął ją na głos chwalić. Wtedy Lubomirski wyciągnął ją z pochwy i pokazał mu napis: „Hoc gladio Joannes vicit ad Viennam 1683“, a z drugiej strony herb Sobieskiego..... To Leliwa, wyrzekł Gaj, a wyciągnąwszy pulares, wyjął z niego monetę ilirską, bitą za Augusta Cesara; patrzcie, oto herb Ilirski, ten sam, którym wasz król bohater błyskał Turczynom pod murami Wiednia. Gdy wrócę do domu, herb nasz starodawny wejdzie w swe prawa.

Po tej scenie prosili Kroaci, by Lubomirski pozwolił swą karabelę pokazać banowi.

Po czułem uściśnieniu rozeszliśmy się, zapisawszy sobie wspólnie nasze imiona w pularesach. Czy się zejdziemy kiedy? Bóg to wie, ale gdybyśmy się nigdy więcej nie zesзли, pamięć tych godzin wspólnie spędzonych nigdy nie zagaśnie!

Zresztą sens moralny naszej rozmowy jest ten: Kroaci od Węgier oderwą się później czy prędzej, idzie tylko o to, czy będą mieli tyle cierpliwości poczekać, aż się w domu wzmocnią.

Równocześnie Dobrzański, Biesiadecki, Wołański i ks. kanonik Czajkowski macali Czechów. Podług sprawozdania Dobrzańskiego uradowało Czechów, że nie chcemy natychmiast oderwać się od Austrii; są bowiem zdania, że przez odłączenie się nasze element słowiański, który pozostałby przy Austrii, ciężką poniósłby klęskę, podczas gdy przy istnieniu związku Galicyi z Austryą, rozwinięcie każdego szczepu słowiańskiego pod berłem Austrii pozostałego łatwem się staje. Ecce!

Co do stosunków swych domowych opowiadali, że chłopci czescy i niemieccy w Czechach są w największej niezgodzie ze szlachtą wyłącznie prawie niemiecką, obstającą uporczywie przy swych przywilejach. Z partją liberalną, podnoszącą chłopca do praw obywatelskich, chłopci jak najmocniej sympatyzują, przeto jej zwycięstwo niechybne, gdyż w przyszłym sejmie chłopci silnie reprezentowanymi będą.

Oburzenie chłopów przeciw szlachcie jest tak wielkie, że obawiają się powrotu czasów husyckich, idea tylko będzie inna, ściśle socyalna a nie religijna.

Tegoż dnia nadszedł adres akademików lwowskich do Wszechnicy tutejszej. Stabowski i Czerkawski oddali ją w ręce Buriana, który nas dziś odwiedził i towarzyszył nam do Wszechnicy; kilku słowy Czerkawski po odczytaniu adresu wytłumaczył znaczenie tego adresu, na co odpowiedział Burian w guście czysto wiedeńskim, kończąc mit: „es lebe Kaiser Ferdinand“.

Dziwny to człowiek ten p. Burian, nic w niem niema polskiego, nawet po polsku źle mówi; rozmawiał z nami przez godzinę i nie mogliśmy wydobyć z niego, czego on dalej chce i do czego myśli użyć siły moralnej, jaką na młodzież niemiecką



od dnia 13 marca wywiera. Być może, że go krzywdzę, ale zdaje mi się, że zrobił krawal dla uzyskania wolności druku, że uzyskał więcej niż pragnie, a teraz nie wie co z tem począć. Sądzę, że skończy karierę na jakimś wybitnem stanowisku urzędowem. Wzywaliśmy go, by też działał na rozwinięcie ducha politycznego w Wiedniu, którego tutaj brakuje. Odpowiedział nam, że jako kapitan gwardyi ma tyle do czynienia, iż nie ma czasu, że wszelako zawiązał się komitet we Wszechnicy dla popierania spraw żywotnych.

Na wieczornej sesyi uradzono wysłać Dobrzańskiego do Lwowa, co też uczyniono, dawszy mu instrukcyę jak się ma zachować i napomniawszy go, by się miarkował. Przyrzekł, lecz czy dotrzyma, to inne pytanie. I tu zawadza wichrzeniem swoim i podejrzliwością chorobliwą i do Lwowa odesłać boją się go. Ponieważ zaś z pism czasowych lwowskich widzimy, że we Lwowie stagnacya, że wszystko śpi jak gdyby po zwycięstwie, chętnie przystaliśmy, by pojechał zgalwanizować trochę trupa lwowskiego swemi artykułami.

Członkowie deputacyi do wydziału nienależący, pod przewodnictwem Siemińskiego, wyrznęli wydziałowi kapitułę, że nie siedzi cały dzień w sali, sądzi bowiem Siemiński, że wydział powinien pracować a reszta bruk zbijać; nazwali ten akt krawalem przeciw wydziałowi. Za tę sztukę Siemińskiego mianowano komisarzem porządku, przymuszono go siedzieć w sali prawie cały dzień, wydział zaś uznał za słuszne oznaczyć pewne godziny o 9, 12 i 5 codziennie do swych narad, by każdy członek wiedział kiedy się udać do wydziału, gdy ma jaką zrobić propozycyę.

**8 kwietnia.** Odczytał Smagłowski odezwę Boczmira i Mielaka, obecnych tu włościan do swych braci w Galicyi, w myśl tychże włościan mową gminną napisaną. Uchwalono wydrukować ją i po kraju rozesać.

Dnia tegoż akademicy tutejsi Polacy i Niemcy pojechali do Węgier z adresem dziękczynnym za udział młodzieży węgierskiej okazany dla sprawy wolności.

Dylęwski odczytał sprawozdanie z audyencyi u arcyksięcia Jana jak następuje: Gdy Lubomirski będący na czele członków

deputacyi do arcyksięcia Jana wysłanej, oświadczył mu, iż przychodzą prosić go o wstawienie się za nami, odrzekł: Bądźmy otwartymi. Moja babka i król Fryderyk dzieląc Polskę popełnili grzech. Podział ten jest największem nieszczęściem Europy, od owej chwili spokój i rzetelność w Europie ustały, a handlowanie narodami ze szkodą rządów się rozpoczęło. To nieszczęście nie pierwszej ustanie, aż Polska nazad byt swój odzyska. Ten byt Polski jest rzeczą konieczną i naturalną, dlatego nawet niema co mówić o sposobach jej przywrócenia, ponieważ rzecz konieczna i naturalna nie pytając o sposoby, sama do skutku przychodzi. Roztropniej więc jest dzisiaj o sposobach odbudowania Polski jeszcze nie mówić, lecz do tego odbudowania się przygotowywać.

Na nasze przedstawienie niebezpieczeństwa, jakie Galicyi i Austryi od Rosyi i Panslawizmu grozi, odpowiedział: że mu te niebezpieczeństwa są znane, że zatem i dlatego przezorność potrzebna, gdy Rosya w pierwszej chwili Galicyę i Polskę wojskiem do 200.000 (poprawił się: do 150.000) liczącym zalać może.

Na przedłożenie nasze, iż dla utworzenia u nas siły, koniecznie nas od rządu urzędników uwolnić trzeba, odrzekł: że on sam wie bardzo dobrze, ile szkody urzędnicy rządowi przynoszą i że ich uważa za zgubę Austryi.

Na oświadczenie nasze, iż przy takim jego usposobieniu spodziewamy się pomyślnego skutku prośb naszych i mamy ufność, że jako Niemiec lubiący Niemcy, oceni u nas miłość narodowości naszej, odrzekł: Ja jestem więcej jak Niemcem, jestem człowiekiem, i przyznaję się najszczerzej do wszystkich zasad, jakie ludzkość dyktuje. Jestem Niemcem, bo mnie stosunki w Niemczech umieściły, lecz byłbym Włochem, gdybym był we Włoszech. Przyrzekać wam nie będę, dużo wam już przyrzekano; zresztą moje urzędowanie nie jest stałe, bo mnie rząd w różne strony wysyła. Lecz bądźcie pewni, że teraz gdy mam usta rozwiązane, mówić będę i zapytany w waszej sprawie od rządu, zawsze się oświadczę podług tych zasad, które wam tu objawiłem.

Na prośbę względem wstrzymania rozkazu wywiezienia za granicę Mazurkiewicza Leona, Wiśniewskiego Ludwika, Witkowskiego i Borzęckiego Karola do Tryestu posłanych, radził nam podać osobną prośbę do ministeryum w tym względzie.

W całym postępowaniu Jana była otwartość i szczerłość, lecz Boże, czego człowiek z siebie zrobić nie może, jeśli nad sobą pracuje. Nie zapominajmy, że Sz wajkowski nam proponował prosić o króla dla Polski z domu Habsburgów, nie zapominajmy, że podobną myśl gazety wiedeńskie na drugi dzień po tem oświadczeniu Sz wajkowskiego wyraziły. Czy Pan Jan przypadkiem nie był pretendentem do korony polskiej, jeśli mu się nie uda otrzymać niemieckiej, do której kokietuje, chociaż nie wyjawia się z tem i tylko inni za niego pracują?

### **Towarzystwo „der Volksfreund“.**

Zaraz przy wstępie do hotelu „Kaiserin v. Oesterreich“ przyczepił się do nas jakiś jegomość z brodą i niemiecką kokardą. Zaczął się pytać w niemieckim języku co w Galicyi słychać, z drugiej strony opowiadać, iż tu na naszą deputację z niecierpliwością czekali. Dalej pytał nas, czy znamy majora Żurakowskiego i Szałwskiego, gorliwych Polaków, sprawę naszą tu w Wiedniu żarliwie popierających. Ponieważ o Żurakowskim nie najlepiej mówiono a o Szałwskim wiedziałem iż jest po prostu szpiegiem, powiedziałem tedy wręcz brodatemu nieznanemu, że protektorowie nasi niewiele nam muszą robić zaszczytu, są bowiem ludźmi podejrzanych zasad politycznych, co powiedziawszy, zdumiałego zostawiłem brodacza.

Wieczorem poszliśmy na kolację do tego samego hotelu, gdzieśmy zajechali, a potrzebując sali do naszych obrad, pytaliśmy czyli w tymże hotelu nie ma jakiej sali do najęcia. Tu dowiedzieliśmy się, że sala już wynajęta przez towarzystwo „der Volksfreund“. Pytamy tedy co to jest za towarzystwo? Mówią nam, że jest to towarzystwo polityczne, wcielające w siebie członków wszystkich narodów na znak braterstwa, mające na celu ustalenie wolności we wszystkich narodach. Dowiadujemy się dalej, że i nasz naród jest tam reprezentowany przez 4 członków, założycieli właściwych tego towarzystwa, że członkami tymi są Zarboni, Żurakowski, Szałwski, Nowina i dr. Chassé. Zdumienie nas ogarnęło na to wyliczanie reprezentantów narodu,

kelner zaś dodał, że towarzystwo to zejdzie się tu wkrótce na kolację i sessję. Przez ciekawość zostaliśmy w sali, która w istocie zaczęła wypełniać się ludźmi siadającymi przy długim szeregu stołów. Wtem ....\*) zwraca nam uwagę, że przyszedł Zerboni i Żurakowski. Obstupui, brodaty nieznamy, to był Zerboni, byliśmy więc zdradzeni. Nie czekając dłużej, wyszliśmy z sali. Na drugi dzień dowiedzieliśmy się, że Nowiną jest pan Smągłowski, sławny szuler i oszust, braciszek Wincentego Smągłowskiego, członka naszej deputacji, a dr. Chassé balbierz żydowski ze Lwowa.

Jakie o towarzystwie przyjaciół ludu powzięliśmy mniemania, łatwo da się pojąć. Tymczasem zajęci ułożeniem adresu, nie mieliśmy dość czasu o niem myśleć, chociaż nas kilka razy dochodziły wieści, że na nas sarka to towarzystwo, że jak ślimaki zaskorupieliśmy się i nie udzielamy się im. W wilią wreszcie oddania adresu przypadkiem zapomniawszy o tem towarzystwie, poszliśmy późną godziną na kolację do hotelu gdzieśmy mieszkali, t. j. „Kaiserin v. Oesterreich“. Zastaliśmy zgromadzonych już licznie członków tego towarzystwa. Cofnąć się było zapóźno, usiedliśmy więc w kącie ciemnym, by nas nie spostrzeżono, lecz napróżno. Spostrzeżono nas i wnet dr Schütte przywitał nas szumną mową, w której dużo było o braterstwie narodów, sympatyi Niemców i niepodległości Polski. Dobrzański odpowiedział krótko, dziękując za powitanie, a p. Schütte wezwał nas, byśmy energicznie praw naszych domagali się. Skusił djabeł szlachcica, co musi zawsze konceptem ruszyć jak ciele ogonem. Poczciwy Chwalibóg, nie mogąc przytłumić w sobie chęci pokazania swego pacifikatorstwa (zawsze bowiem pacifikuje), rznie na to Schüttemu, że nam nie wypada domagać się czegokolwiek, że my tylko prosić możemy i potośmy przyjechali, na co p. Schütte głośno odpowiedział, że czasy niewolnictwa i niewolnego postępowania minęły, ja zaś ściskając zęby pocziwemu szlachcicowi patent na błazna dawszy, głośno: „zahlen“ zwołałem.

Usiedliśmy, ogniste na szlachcica rzucając wejrzenia, wtem dr. Chassé wyciąga mowę już dawno dla nas przygotowaną i zaczyna żydowskim akcentem, przypominającym naszą Zarwa-

---

\*) Manuskrypt nieczytelny.

nice, rznąc nam napomnienia, że my chcieliśmy się łączyć z Moskalam; tu mi już cierpliwości nie stało, powstałem z hałasem, a zatrzasnąwszy drzwi z jeszcze większym hałasem, wyszedłem, życząc szlachcicowi kolek pół kopy, a Volksfreudom złamania karków.

Dnia następującego czy trzeciego po tem zdarzeniu widziałem Smągłowskiego u Pieniązka, mieszkającego z naszym Smągłowskim, który nam doniósł, że Volksfreundy użalają się, że od nich stronimy i zapraszają nas do siebie. Nie chcąc otwarcie przeciw nim występować, posłaliśmy do nich sodalisa, by rekognoskował. Relacye jego nie polepszyły naszej opinii o Volksfreudach powziętej, chyba o tyle, że nie mogliśmy wszystkich potępić, widocznem bowiem jest, że wielka część dobroduszych wiedeńczyków w dobrej wierze przystąpiła do tego towarzystwa.

W dzień podania adresu żądało kilku Volksfreudów przez W. Smągłowskiego, byśmy ich wysłuchali, utrzymując, że mają nam dobrą radę udzielić względem tego, co mamy żądać, oraz ofiarując nam protekcyę swoją i gwarantując za dobre skutki, jeśli ich rady posłuchamy. Odpowiedział im wydział, że adres już napisany, więc rady ich są za późne.

Dziś przybyli deputowani Volksfreudów Böhm i Bauer, żądając posłuchania od Wydziału. Przypuszczeni, zapytali o Splawskiego, Żurakowskiego, Nowinę i dra Chassé, użalając się, że ci ludzie, założyciele klubu, przez nieroztropne mowy podburzają umysły i ściągają na całe towarzystwo opinię nie zbyt korzystną. Odpowiedzieliśmy im, że Nowina jest imię przybrane Smągłowskiego, znanego nam z profesyi gracza, że dra Chassé nie znamy bliżej, wiemy tylko że się inaczej nazywa, że Żurakowski dwuznacznej barwy politycznej, a Splawski szpiegiem. Zdziwieni i widocznie zawstydzeni po krótkim namyśle odpowiedzieli, że członków tych wykluczać nie mogą, by nie dać powodu do jakichś zajęć, lecz że wystąpią wraz z poczciwymi członkami z tego towarzystwa i zawiążą inny klub, do których nie przypuszczają podejrzanych sobie indywiduów.

To oświadczywszy odeszli, być może że to była tylko komedia, — sądzę wszelako, że ci dwaj młodzi ludzie szczerze postępowali. Cokolwiek bądź, od dnia tego Volksfreundy dali nam spokój.

Dnia tego zaczęli się rozjeżdżać członkowie deputacy, niektórzy do domu, niektórzy zaś w misyach. Do tych należał Dymnicki, który pojechał do Pesztu.

Dowiadujemy się, że pożyczka rosyjska nie przyszła do skutku; ci co mieli traktować o nią, po zajęciach marcowych wyjechali z Wiednia, poseł rosyjski, którego nie było od kilku tygodni w Wiedniu, jadąc z urlopu dowiedział się w Lundenburgu o tem co tu zaszło 15 marca i powrócił do Rosyi, niema więc teraz pełnomocnika rosyjskiego we Wiedniu.

Dziś ważny krok dyplomatyczny przedsięwzięty został. Uchwalono w wydziale napisać list do Waclawiczka z wezwaniem, aby nie narażał religii na zgorszenie, a swej osóbkii na nieprzyjemności, przeto by rezygnował z godności arcybiskupa lwowskiego i nie przyjeżdżał do nas. List ten przez wydział podpisany, oddany został czeskiej deputacy, by go Waclawiczkowi wręczyć chciała, czego się chętnie podjęła.

Po południu Hubicki zdał sprawę z missyi, którą wraz z Skalą do Poznania przedsięwziął.

Podług zdania Libelta, Galicya wspólnie z Krakowem działać powinna, przeto uformować należy komitet krakowsko-galicyjski. Delegować 2 członków z komitetu do reprezentowania interesów krakowsko-galicyjskich w komitecie poznańskim et viceversa. Nim się komitet ułoży, mieć tymczasowego reprezentanta w Poznaniu. Część funduszów z Krakowa i Galicyi oddać pod dyspozycję wysłanemu do Poznania reprezentantowi, z upoważnieniem asygnowania ich na potrzeby wspólne. Zawiązać związek z Węgrami, działać na Słowiańszczyznę przez wysłanników, by się Rosyi nie oddała. Gdyby Księstwo musiało wkroczyć do Kongresówki, przetrzucić choć mały korpus Galicyan na flankę Rosyi, albo ją od tyłu zaczepić. Spowodować zjazd do Wrocławia, dla naradzenia się nad wspólnymi interesami. W Słowiańszczyźnie promulgować myśl republikańskiej federacyi.

Co do stanu rzeczy w Poznaniu, wnosi Hub., że z tego co widział, wkrótce do wojny z Rosyą przyjdzie, że wojsko narodowe szybko postępuje, że rząd pruski szczerze postępuje...

Skala inaczej trochę rzecz widzi, sądzi, że reakcyja ze strony rządu bliska, że wojska pruskie, urzędnicy i Niemcy w Poznaniu patrzą krzywem okiem na to co się dzieje w Poznaniu.

We Wrocławiu najlepszy duch panuje, na co się obydwaj zgadzają.

O Tetmajerze coś nie najlepiej słyhać; opowiadali ludzie, że we Wrocławiu udawał, iż jest wysłannikiem deputacyi naszej. Hubicki wnosi, by z nim wszelkie stosunki zerwać, nikt bowiem w centralizacyi nawet go nie zna, tem mniej z nim mówił. Zresztą mówił, iż centralizacya bynajmniej nie chce sobie uzurpować rządu, jak to Tetmajer mówił (przyznam się, że nie całkiem temu wierzę, o ile znam centralizację z pism, sądzę, że ona zechce uzurpować rząd i że to szkodliwem będzie dla kraju, którego stosunków Centr. dążąca tylko do reform jaknajprędzych, nie zna i przez to samo coś niewczesnego wywołać może.) Utrzymuje dalej Hubicki, że Centralizacya żąda tylko udziału w rządzie, i to tylko dlatego, by powściągnąć burzliwą emigrację przez swą powagę i swój wpływ.

**9 kwietnia.** Przybyli wieźnie z Kufszteinu; Zalewski, Białkowski, Cieglewicz, Kmietowicz, Stadnicki, Mutkowski, Kropielnicki, Marynowski, Gersza, Kępiński. Jakie uczucia wzbudziły w naszych sercach ich do nas przybycie, trudno opisać, — tży radości błyszczały w oczach naszych, lecz oraz gorzka mięszała się boleść na widok tych ludzi przed czasem zestarzałych. Zalewski utracił pamięć, czasami sobie tylko przypomina dawne zdarzenia, wraca do Francyi, gdzie żona i dzieci na niego czekają. Chcieli go bestye stąd do Krakowa wlec, ledwie nam się udało, że mu pozwolono wprost stąd do Francyi udać się. Cieglewicz na umyśle jędrny, podupadał tylko na ciele, szczególnie ciężkie kajdany nogi mu w kolanach pozrywały.

Przysłano nam 1000 przeszło podpisów na adres z 18 Marca z obwodu przemyskiego, postanowiono przy audyencyach pokazać je, tak jak adresy żydów i chrześcian z różnych miast nam ponadsyłane, domagające się zrównania wyznań.

Przed południem przyszli do nas Terebelsky z Morawy, Anton Globocnik, Krańczyk i Martin Semrajé jurysta III r. Krańczyk. Zaprosili nas byśmy jako deputacya podpisali adres Słowian do Krainców, by się łączyli z innymi szczepami słowiańskimi dla dopięcia wspólnego celu, niepodległości. Z naszej strony przytomni byli Dylewski, Hubicki, Skolimowski i ja. Sko-

limowski za gorąco wystąpił, tłumacząc mi, że Kraincy niczem nie są, że nie są narodem i t. p., a że to na przytomnych Kraincach nie bardzo przyjemne wrażenie zrobiło, łatwo odgadnąć, — przerwałem tedy Skolimowskiemu, który zapomniał o przyjętym przez nas systemie łączenia się po bratersku z wszystkimi Słowianami, a przecież w taki sposób, aby ani Madziarów, ani Niemców, ani żadnego szczepu Słowiańskiego nie narażać sobie; wytłumaczyłem im, że pansławizm jest wilkołakiem dla Niemców i Madziarów, że krokiem publicznym wzywającym Słowian do połączenia się, przestraszyliśmy Niemców i Madziarów, że tego czynić nam graniczącym z Madjarami, im zaś mieszkającym między Niemcami, czynić nie wypada. Że powinniśmy starać się najpierw przyjść do dostatecznej siły, co przedewszystkiem nam których narodowość najsilniejsza, najprędzej uda się. Uzyskawszy siłę i byt niepodległy, my jako silny naród podobną odezwę do słabszych szczepów słowiańskich wydamy, a odezwa nasza wtedy będzie skuteczniejsza jak teraz, kiedy i my dopiero o byt dobijamy się.

Nareszcie gdy i Dylewski zdanie moje poparł, a Skolimowski już się nie odzywał, uznali nasze uwagi za słuszne i przyrzekli adres, zresztą tchnący trochę serwilizmem, odmienić i napisać go w duchu jak my pojmujemy rzeczy.

Po południu Biesiadecki zdał sprawę z audyencyi u Fiquelmonta. Minister ten, uczeń Metternicha, z początku z gniewem przemawiać zaczął, wytykając nam dążności podobne jak we Francyi, nazywając rząd francuski anarchią i nam grożącą, pytał się czy pamiętamy rok 1846, wywołany przez naszą nieroztropność. Udało się nareszcie przyjść Lubomirskiemu do słowa. Powiedział tedy ministrowi, że żądania nasze bynajmniej nie są nieroztropnemi, gdyż głównie żądamy narodowości, którą konstytucya z 15 marca już zagwarantowała. Tu z uniesiem p. Fiquelmont odrzekł, że on o narodowości ma odrębne zdanie, że gdyby chciano ludy w Europie dzielić na szczepy narodowe, germańskie, romańskie i słowiańskie, wypadłoby wrócić do Sema, Chama i Jafeta.

Owóż to minister państwa konstytucyjnego! — czyż to zdanie nie jest zasadą kongresu wiedeńskiego, krającego narody a nawet dusze (<sup>1</sup>/<sub>2</sub> Seele) na kawałki. Biedni Wiedeńczycy, co



chcecie już spoczywać na wawrzynach tak łatwo zdobytych! Biedni Wiedeńczycy, co mając taką siłę fizyczną, możecie tylko jedną godzinę znieść ministerium, na którego czele stoi wierny uczeń Metternicha i przyjaciel poufały Mikołaja! Toż wy sądzicie, że to Metternich był tyranem waszym? Toż wy nie pojmujecie, że nie ludzi, lecz systematu Metternichowskiego, czartowskiego, trzeba się pozbyć? Biada wam jeśli zostanieecie przy tem coście wydarli tej stugłowej hydrze biurokracyi!

Dopiero przy końcu audyencyi, gdy mu oświadczone, że rozwinięcie silne narodowości naszej nietylko dla nas jest potrzebne, ale i dla Austrii, bo gdy powstaną w Galicyi rozruchy bardzo prawdopodobne, Galicya przez rząd austriacki osłabiona upadnie, ale i Austria upadnie pod knutem Moskala, chcącego się mścić za sprzeniewierzenie się popełnione ogłoszeniem konstytucyi, troszeczkę zmiękł p. Fiquelmont i odrzekł głosem łagodniejszym: My się nie boimy wojny z Rosyą, zresztą sejm uradzi co czynić w tej krytycznej chwili.

Ależ, odpowiedział mu Lubomirski, sejm składa się ze szlachty, która przez 70-letnie panowanie austriackie wszelkiej powagi pozbawiona, sama czuje swą nieudolność zrozumienia stanu kraju. Szlachta galicyjska jest szlachtą polską, chce się łączyć z ludem także polskim, chce jedności. A że rząd nawet terazniejszy nie chce tego, dowodzą medale świeżo udzielone w nagrodę za patryotyzm w r. 1846 dowiedziony.

— Nie bierzcie tego tak ostro moi panowie, — odrzekł minister. To krok niezgrabny dawnej biurokracyi, był rozkaz dawniej wydany, a kancelarya teraz dopiero go wykonała.

Zresztą sądzę, mówił dalej, że wy szlachta, (wszak ze szlachtą mówię) powinniście wziąć na siebie uporządkowanie ruchu, który się wszczął.

Na to odrzekł Jabłonowski: myli się W. Ekscelecyja, tu szlachty niema, są tylko Polacy, ja książę Jabłonowski reprezentuję tu miasto Kraków.

Fiquelmont: Moi Panowie, żądacie narodowości, wszak ja wiem, że Polacy najlepiej potrafią rządzić w Polsce, tak jak Węgrzy w Węgrzech, a Czesi w Czechach, ale dlaczegoż szlachta polska nie chciała iść do urzędów i przysposabiać się do rządzenia krajem?

Lubomirski: Bo nie mieliśmy instytucyj narodowych, teraz szlachta łączy się z ludem, chce być narodem.

Fiquelmont: Zgoda, szlachta będzie umieszczoną tam gdzie chce, zresztą idźcie panowie do ministra spraw wewnętrznych, to do niego należy.

Zaprawdę, mamy konstytucję, — gdzie taki premier minister — tam można spać bezpiecznie. Mnie się zdaje, że p. Fiquelmont gdyby mógł, wymazałby słowo konstytucja ze wszystkich słowników, by go nikt nie czytał, powydzierałby wszystkim języki by wymówione nie było i poucinał wszystkim ręce, by nikt nie był w stanie słowa tego napisać, — a on ministrem państwa konstytucyjnego!

Poszli tedy nasi do Pillersdorfa, a oto sprawozdanie z audyencji, która się odbyła.

**10 kwietnia.** Pillersdorf, człowiek bardzo ukladny, łagodny, oczy do góry wznoszący, cierpliwie słuchający, nigdy wprost nie odpowiada, na prośbę by nam dał spieszną odpowiedź, odrzekł, że za dużo żądań zawiera adres i że jest za ostro napisany. Odpowiedziano mu, że żądanie mamy tylko jedno, t. j. zaprowadzenie instytucyj narodowych, a ostrość stylu spowodowaną została nagłością stosunków naszych. Grozi bowiem niebezpieczeństwo zaburzeń, tym bardziej prawdopodobne, że w kraju mamy urzędników, co wywołali rok 1846.

Odrzekł minister, że teraz od tego wszystko zależy, aby utrzymać spokój w kraju, trzeba więc zachować istniejący porządek rzeczy. (Zdradził się biedak, wszak to znaczy utrzymać status quo, ulubione dziecko Metternicha, aleć któżby mu tego zapomnienia się nie darował).

Odrzekł mu na to Lubomirski, że w całej Galicyi nie znajdzie człowieka, któryby chciał bronić istniejącego porządku.

Zapytał więc tonem bardzo łagodnym: Cóż tu robić?

Odrzekł mu Bochenek: Zaprowadzić rząd narodowy, bo tylko rząd narodowy może mieć zaufanie, a przez to samo siłę.

Ależ z Polaków mało kto służył w urzędach. Czyliż niema żadnego urzędnika w kraju, któryby posiadał zaufanie?

Dzierzkowski zrozumiawszy, że to o Stadioną pyta, odrzekł: Stadion jest zapewne człowiekiem honorowym, ale zaufania nie

ma dlatego, bo twierdzi, że żadnych instrukcyj niema, a starostowie przecież tak zgodnie działają, iż widocznem jest, że od Stadiona mają instrukcje.

Tu się zaczął minister użalać na ten brak zaufania do rządu, na co naturalnie mu się odrzekło, że trudno mieć do urzędników zaufanie, po tem co zaszło w r. 1846. Niech rząd zrobi inicjatywę, a okazując zaufanie do nas, wywoła wzajemne zaufanie. Niech pozwoli na komitet, któryby się stał pośrednikiem między ludem i rządem.

Tu rzekł minister, że komitetowi takiemu nie byłby przeciwny i że Stadion takiego komitetu bronićby nie powinien.

To wyrzekłszy zaczął spoglądać na zegar i zrobił minę żałopotaną; w tej chwili wszedł lokaj oznajmiając, że powóz czeka. Dlatego położono koniec dalszym debatom, wszelako powiedziano mu, że prosimy o odpowiedź pisemną, a mianowicie o sankcję komitetu.

Odrzekł p. Pillersdorf, że porozumie się ze Stadionem i zaciągnie objaśnień od niego, a gdy mu powiedziano, że Stadion już nam oświadczył, iż pytania tego rodzaju jakie tu zachodzą nie należą do jego sfery, że przeto odwoływanie się do Stadiona do niczego nie doprowadzi, ruszył ramionami i nic nie odrzekł, — zaczynając się kłaniać. Tu Lubomirski prosił o wyznaczenie nowej audyencji dla dokończenia przerwanych dziś rozpraw, a Pillersdorf po dwakroć odpowiedział, że jest na nasze usługi codziennie, wyjąwszy godzin na konferencye ministerjalne wyznaczonych.

Niewieleśmy się przeto dowiedzieli. Lecz sapienti pauca, a chociaż ja sobie nie chcę arogować przymiotnika sapiens, sądzę wszelako, że p. Pillersdorf nie wie jeszcze, co nam na nasz adres odpowiadać i dlatego kręci nami, oświadcza że przeciwnikom komitetowi nic niema, by nas nie zrazić odrazu; a przecież pod pozorem że Stadion musi pytać, stanowczo nic nie odpowiada. I cóż mu Stadion może powiedzieć; żądać komitetu takiego jak my, znaczy żądać rządu narodowego; czyliż wypada ministrowi pytać urzędnika podwładnego, czy ma pozwolić na to, aby my otrzymali rząd własny. Sądzę że to nonsens, z czego wnoszę że p. Pillersdorf zwleka tylko, by się dowiedzieć od Stadiona, jaki duch panuje w kraju, czyli komitet

przyjdzie do skutku w kraju, chociaż go cesarz nie sankcjonuje, czyli nie, powtórę chce zwlekać, bo ma jeszcze nadzieję, że reakcja się uda.

Że odpowiedź taka nie zadowolili głębiej myślących, nie trzeba dowodzić, postanowiono więc w wydziale, zaraz jutro pójść do Pillersdorfa i żądać ultimatum, żądać ostro odpowiedzi stanowczej, wchodzącej w szczegóły adresu, oraz umówiono się, by mu powiedzieć, iż odsyłanie nas, cośmy przyszli żalić się na Stadion, do tegoż Stadion, uważamy za naigrzanie się z nas. Dla powiększenia elementu jurnego dodano Borkowskiego do członków, mających pójść do Pillersdorfa.

Gdy to uchwalono, postawiłem wniosek, by posłać kogo z nas do Frankfurtu, dla wyrozumienia co tam myślą o Polsce. Uchwalono w istocie posłać z ramienia naszego kogo do Frankfurtu, aby wytłumaczyć obecnym tam reprezentantom Niemiec ścisły związek kwestyi polskiej z niemiecką.

Uchwalono dalej wskutek sprawozdania Hubickiego i Skolimowskiego wysłać 2 członków do Poznania, z których jeden ma z członkami komitetu tamtejszego na oznaczony dzień przyjechać do Wrocławia, dokąd inni potem się udadzą, dla naradzenia się względem komitetu centralnego. Drugi członek pozostanie w Poznaniu dla komunikacyi.

Tegoż samego dnia Meizels, rabin z Krakowa, zapytał wydział, w jakim stosunku będzie istniejący już w Krakowie komitet, do komitetu mającego się zawiązać we Lwowie. Odwołując się do znaczenia Krakowa, jako gniazda Polski, do interesów ściśle lokalnych, żądał by był niepodległym lwowskiemu. Oczywiście potwierdzono to.

Miłe to zjawisko słyszeć żyda tak już gorliwego Polaka; — z jakim czuciem on opisywał urok, jaki wywiera samo imię Krakowa na każdego Polaka, z jaką dumą wyrzekał, że Kraków to stolica Polski. Nie! Meizels nie udaje! Kto z takim zapalem mówi jak on, ten nie udaje; rumieniec, który na jego piękne rysy występował, gdy o Krakowie, tej siedzibie Królów polskich mówił, te drgania konwulsyjne z jakimi ścisnął mnie za rękę, gdy mówił: ja jestem Polakiem, odwołuję się do was, które miasto może dla was być świętsze nad Kraków? Jeszcze raz nie, — Meizels jest prawdziwym Polakiem. Niestety o naszych żydach,

my tego powiedzieć nie możemy. Meizels do upadłego bronił komitetu, gdy trutynowano adres. Kohn i Horowitz byli mu przeciwni i żądali, by ich veta zapisać wyraźnie w protokole, nawet Meises, który z nich najszczerzy, odwołał swoje votum i przystąpił do zdania Kohna. Czwarty był Lubomirski co nie chciał komitetu. Zaiste śliczne towarzystwo.

Owóż uważam że i żyd może zostać Polakiem, i to Polakiem zagorzałym, jeśli będzie pod rządem polskim i używał swobód, równych innym obywatelom. A że takiej równości Meizels w r. 1845 zasmakował, dlatego jest tak radykalnym, że go żaden z nas w żądaniach i zdaniach nie przesadził.

Kohn, Kohn! ten tak podobny do Meizelsa jak albinos do murzyna. Przystąpił do nas, bo mu ofiarujemy uczestnictwo swobód; nie chce zaś zrywać z rządem, by na wypadek jeśli nie otrzymamy żadnych swobód, nie naraził sobie rządu. Meizels żądałby więcej nawet, niż my żądać teraz chcemy, — on nie uznaje rządu austriackiego, on nie prosić, nie żądać radzi, ale wprost powiedzieć: zniszczyłeś naszą niepodległość i narodowe instytucje, — oddaj!

Pojawiło się na horyzoncie literatury galicyjsko-wiedeńskiej piśmko „Bürokratie in Galizien“, — pociupaliśmy go trochę. Niemcy rwą się za tem, postanowiliśmy rozdać gratis kilkaset egzemplarzy pomiędzy baby sprzedające pamflety. Oto miło jak wrzeszczą po ulicach: „das Pirokratie in Galizien“, już rozrywali, sprzedawano po 3 kr., przy końcu po 8 kr., a gdyśmy spostrzegli że już rozkupiono, (bo już nie krzyczano), posłaliśmy znów paręset egzemplarzy, trzeba się było patrzeć jak się baby darły, niezły dla nich kąsek, a dla nas jeszcze lepsza satysfakcja!

### **Biesiada wszechsłowiańska.**

Zamówiono u Szperla na 12-go biesiadę wszechsłowiańską i zaproszono nas także. Pójdziemy *privatim*.

Trudne nasze strasznie położenie wobec Słowian. Szczerze mówiąc, trudno bardzo z nimi sympatyzować; którenże szczep słowiański sympatyje swe dla nas objawił? Madziarzy nigdy się z niemi nie kryli, Madziarzy za naszymi więźniami prosili, my oddawna z Węgrami sympatyzujemy, czyż mamy taić

że ich kochamy, by Czechy się na nas nie gniewali za to, Czechy którzy nam dawali Breników, Swiecenich i tylu innych drabów? Gdy się bliżej zastanowię nad naszym postępowaniem, zdaje mi się, że lepszy wróbel w ręce, jak bażant na dachu. Węgrów pewni jesteśmy, trzymajmy się ich, a Słowianie czy będą za nami, jeszcze nie wiemy, zresztą gdyby i chcieli być za nami, cóż nam po ich chęciach, oni sami są niczem i my niczem, piękny więc sprzymierzeniec pp. Czesi, Iliry etc.

Zresztą nie widzę tu jasno, być może dlatego, że już druga po północy dochodzi, bądźcie więc zdrowi Słowianie.

**11 kwietnia.** Przed południem udali się wyznaczeni do tego członkowie deputacyi do Pillersdorfa. Na samym wstępie oddał mu Lubomirski prośbę naszą względem wywiezionych w celu wydalenia z państw austriackich Mazurkiewicza, Wiszniewskiego, Wiktorowskiego i Borzęckiego. Przyrzekł, że da rozkaz gubernatorowi Tryestu, aby ich do dalszych rozkazów nie wywożono, tymczasem radził nam napisać do nich, aby ze swej strony podali prośbę, że chcą w kraju pozostać i przyrzekł wstawić się za nimi.

Potem prosił Lubomirski o jak najspieszniejszą odpowiedź z powodu zniecierpliwienia narodu; Borkowski zaś wymawiał mu jego naigrzanie się z nas przez odesłanie adresu naszego do Stadionu, dodając, że my przyjechaliśmy do Wiednia, by wstrzymać zaburzenie w kraju, zwłoka w odpowiedzi może go mimo naszych usiłowań, by nie przyszło do zaburzenia, wywołać.

Odrzekł Pillersdorf, że to jest formalnością, której ominąć nie mógł, a której dochował także co do Czechów etc., że zresztą petycja nasza zawiera w sobie także skargę na biurokracyę, którą wysłuchać trzeba.

Tu mu odpowiedział Borkowski: Opinia wyrzekła już sąd na biurokracyę, wysłuchanie jej nie usprawiedliwi.

Spytał więc Pillersdorf, co rozumiemy pod biurokracyą?

Odrzekł Borkowski: urzędników galicyjskich, którzy nie mają i nie mogą mieć zaufania, bo są naszymi wrogami.

Ależ, mówił Pillersdorf, czytałem akta sejmowe, niema tam skarg na urzędników żadnych; skargi te datują się od r. 1846, skarżycie się, że urzędnicy wywołali owe klęski, a przecież mó-

wiono mi, że właśnie urzędnicy powściągali rozruchy chłopów w r. 1846.

Borkowski: Nie urzędnicy, ale wojsko powściągnęło rozruchy, gdybyśmy byli mieli kilka batalionów wojska pod naszymi rozkazami, bylibyśmy nie dopuścili nawet do zaburzeń, a pewnie wstrzymali je bez rozlewu krwi.

Tu Bochenek zwrócił uwagę Pillersdorfowi, że właśnie rok 1846 wykazuje nieudolność dotychczasowej administracji w Galicyi, popierając to porównaniem z krakowskim, gdzie rozruchów między chłopami nie było, bo administracja była polska.

Przyznał to minister, że w Polsce administracja powinna być polską, mówiąc dalej, że rząd w tym duchu już działać począł, mianując Gołuchowskiego wiceprezesem guberni.

Poczem Bochenek zwrócił jeszcze raz mowę na niestosowność odesłania adresu naszego do Stadioną, z powodu iż idzie głównie o nadanie nam instytucji narodowych, pod którym to względem Stadion żadnego już głosu mieć nie może, bo konstytucya nam narodowość już zagwarantowała. Mówił dalej, że narodowość polska wymaga administracji polskiej, a więc i urzędników polskich.

Zgodził się na to określenie narodowości p. Pillersdorf, mówił tylko, że niepodobna odrazu wszystkich urzędników oddalić, zresztą zapewniał, że gwarancya narodowości objęta będzie konstytucją tak ogólną, jakoteż konstytucją specjalną.

A gdy Bochenek powiedział, że konstytucya dla Polski, jeśli ma być stosowną, nie w Wiedniu, lecz w kraju przez Polaków utworzoną być musi, oświadczył Pillersdorf, że projekt konstytucji będzie wyrobiony przez Sejm galicyjski, wzmocniony elementami części narodu teraz nie reprezentowanej.

Poczem przedstawił mu Bochenek potrzebę uzbrojenia kraju przez uformowanie gwardyi narodowej.

Odrzekł Pillersdorf, że właśnie uchwalono w radzie ministerjalnej prawo tymczasowe dla gwardyi narodowej; każde miejsce liczące nad 1000 dusz będzie mogło mieć gwardyę.

Widocznem jest, że Pillersdorf starał się ogólnemi obietnicami zbywać, przyznając słuszość żądań w zasadzie, lecz utrzymując niepodobieństwo ich wykonania.

Dlatego Borkowski zniecierpliwiony tą pogadanką do niczego nie prowadzącą, nadał rozmowie inny kierunek, mówiąc: że z tego co słyszał widzi, iż rząd nie chce poprostu nic dla nas zrobić. Co nam pomoże, — mówił, — przyznanie zasady, kiedy nim nastąpi jej wykonanie, mogą przyjść zaburzenia w kraju. Rząd zostawia nas na łasce losu. Jesteśmy bezbronni, jeśli Rosya korzystając z zamieszek nastąpić muszących, wkroczy do Galicyi, jeśli rząd prędko koncesyi nie zrobi, będziemy zmuszeni rzucić się w ręce Rosyi.

Co się zaś tyczy sejmów dawnych, mówił dalej Borkowski, te były komedia, sejmami niewolniczymi, którym wolno tylko było podchlebiać, a prawdy mówić było zabroniono. Zresztą któżby był odważył się wystąpić na sejmie przeciw urzędnikom, jeśli prezydentem sejmku był szef urzędników, mający prawo więzić za wyrzeczone słowo prawdy.

Nakoniec, — mówił dalej Borkowski, — czasy od r. 1846 zmieniły się, jeśli przyjdzie do zaburzeń, to będą inne jak 1846: szlachta teraz nie da się wypędzić z miast, by ją pojedynczo wyrznięto po wsiach, zostanie we Lwowie, tam zaburzenie decydować będzie, a jeśli ma być szlachta wyrznięta, to będzie wyrznięta razem.

Po tych słowach minister słodziutko powiedział, że mu bardzo przykro, że jego odpowiedzi nie mogły nas zadowolnić, że innych teraz nie jest możen dać, bo żądania nasze są wielkiej wagi, że musi się naradzić z ministrami drugimi, a potem nam da odpowiedź.

A gdy Lubomirski zapytał, czy dziś jeszcze dostaniemy odpowiedź, odrzekł: To niepodobna, ale jutro dostaniecie Państwo odpowiedź na piśmie.

Hej ho! parlamentujemy, a tu czas uchodzi. Ciekaw jestem jaką my jutro odpowiedź otrzymamy. Opinia publiczna za nami, w dziennikach tutejszych przyznają słuszność żądań naszych, pokątnie wszelako szepczą sobie, że nasze żądania nie są ganz geheuer; dass dahinter etwas mehr steckt, als wir gesagt haben, und das wir uns auf eine Art ausgesprochen haben, dass man uns Recht geben muss und dennoch sich ernst bedenken muss, ob man uns auch geben soll, was wir verlangen. Powąchali



pismo nosem. Zreszta my nie taimy, że nie chcemy długo przy Austrii zostać i żądamy tylko jako wynagrodzenia za klęski, które rząd na nas sprowadził, by nam się pozwolił pod swą opieką spokojnie zreorganizować, — und dann adieu! Widzą to Niemcy i przyznać nam muszą słusność, ale nie mogą się oswoić z tą myślą, że stracą tak wielką perłę korony austriackiej, ukrywając to pod pozorną obawą, abyśmy przez porywczność naszą nie sprowadzili wojny rosyjskiej na Austryę. :

Udają wszelako zuchów, przyrzekają, że hurmami do nas pójdą, jeśli przyjdzie do wojny, była nawet poprzylepiana odezwa do Wiedeńczyków, napisana przez jakiegoś Potulaka, w której przypomina Wiedeńczykom co winni są Polakom i jako w r. 1683 przyrekli: „wir werden's nicht vergessen“.

Po prawdzie zaś powiedziawszy niewiele by oni nam pomogli w razie wojny, a ten Niemiec co nam w Technice na mowę Słabkowskiego odpowiedział: „wir werden Euch den Rücken decken, und auch Zuflucht geben, solltet ihr unterliegen“, nie chcąc może, przez zapomnienie się, szczerą wyrzekł prawdę. Tak jest: „die Wiener werden zuschauen, wenn wir uns schlagen, werden Champagner trinken und Kriegslieder dichten, (wie das bereits ein gewisser Beiser gethan) wenn wir siegen, und Elegien schreiben, wenn wir unterliegen“.

### Targowica.

Dowiedzieliśmy się dziś rano, że przyjechali wysłannicy frakcyi szlacheckiej i miejskiej w osobach: Sapięhy, Kraińskiego, Czajkowskiego, Andz. i Singera Floryana. Już list uprzedził nas przeciw nim; obrani bowiem zostali przez kilkudziesięciu szlachty u Stadionia zebranej i wydział stary miasta Lwowa, by z tutejszymi Stanami obradować nad przyszłą konstytucją.

Zebrawszy się po południu w sali radnej hotelu arcyksięcia Karola, debatowaliśmy jak tych panów przyjąć. Jedni byli zdania, by im powiedzieć jedźcie sobie do domu, my podaliśmy adres, w którym żądamy, komitetu któryby wypracował projekt konstytucyi, nie macie więc prawa radzić o niej, a tem mniej ze Stanami austriackimi, oświadczyliśmy bowiem, że chcemy mieć sejm odrębny i administrację własną. Inni radzili, aby ich

nakłonić kiedy już przyjechali, by poszli do Stanów i oświadczyli im, że nie mają kompetencji radzić, inni nakoniec utrzymywali, by z tymi panami wcale się nie wdawać, zdradzili bowiem Ojczyznę, wyjeżdżając ze Lwowa z missyą, jako szlacheczką i miejską.

Tymczasem pojedyncze osoby obrabiały Kraińskiego, Sapię i Czajkowskiego. Nareszcie koło 5-tej przybyli do sali i zaczęto in pleno obradować.

Lubomirski wniósł, żeby zapytać tych panów, czyli zechcą oświadczyć Stanom tutejszym swą inkompetencyę. Malisz nie czekając odpowiedzi wyrznął im kapitułę, co dało powód do burzliwych obrad, trwających do godziny 9-tej.

Lubomirski bronił ich o tyle, że starał się udowodnić, że przyjazd ich nie jest niczem złem, owszem pomoże naszej sprawie, jeśli oświadczą inkompetencyę, poprą bowiem temsamem sprawę naszą. Kraiński zaczął się tłumaczyć, że oni nie są deputacyą, że się uważają za osoby prywatne i przedłożył „Gazetę Lwowską“, w której opisany sposób ich wyboru i cel missyi, a że w tej samej gazecie także było powiedziano, że Tytus Dzeduszycki został także wybrany, wszelako nie przyjął, odwołując się na adres, wsiedliśmy znowu na tych panów.

Dzierzkowski, by skrócić kłótnię, wniósł, że cała rzecz zostanie rozwiązana, jeśli panowie ci do adresu z 6-go kwietnia przystąpią.

To odkryło maskę tym panom, jeden Czajkowski oświadczył bez namysłu że przystępuje, Singer odrzekł, że pierwszego adresu nie podpisał, nie może więc i do drugiego przystąpić, a to z powodu pańszczyzny. Oczywiście oburzyło to wszystkich, że przysłano do naradzenia się nad konstytucyą człowieka, który nie podziela nawet życzeń całego niemal narodu.

Kraiński oświadczył, że nie zgadza się całkiem z adresem z 6-go kwietnia, szczególnie co do komitetu i wyrażenia chęci utworzenia niepodległej Polski, że wszelako przystąpi do niego jako indywiduum, w imieniu zaś komitetu przystąpić nie może.

Sapię także oświadczył, że tylko za siebie przystąpić jest gotów, protestując wszelako, że przystępując do adresu nie myśli poddać się postanowieniom deputacy, lecz myśli wykonać wolę komitentów.

Znowu hałas, — a któż to są ci komitenci? Wszak oświadczyliście, że przyjeżdżacie jako osoby prywatne, więc macie misję? Powiedzieliście, że przyjechaliście jako reprezentanci Stanów, bo mówicie, że Stany nie istnieją, więc jesteście wysłannikami Stadiona?

Dylewski widząc, że się zanosi na grubo, przemówił do tych panów, zaklinając ich na dobro Ojczyzny, by nie występowali osobno, nie paraliżowali skutków adresu naszego, przez oderwanie się od nas. Żadne prośby, żadne zaklęcia nie pomogły. Przyrzekli tylko tyle, że do odpowiedzi nic nie będą robić. Zapytaliśmy ich co będą robić, gdy odpowiedź otrzymamy. Odrzekli, że jeśli pozwolony będzie komitet, nie będą nic robić, lecz jeśli odmowną otrzymamy odpowiedź, postąpią jak okoliczności wymagać będą.

Znowu im Dylewski perswadował, że jeśli odmowną otrzymamy odpowiedź, nie powinni z rządem nic traktować, wywołaliby w kraju scysę między tymi, których oni reprezentują, a częścią narodu, którą deputacja przedstawia.

Nic nie pomogło, uchwalono więc przez aklamację rzecz tę za skończoną uważać.

Poczem Lubomirski poprosił Kraińskiego i Sapiechę (Singer wyniósł się był już dawniej), aby salę opuścili, gdyż myślimy radzić nad naszymi sprawami, wynieśli się jak zmyci, a Czajkowski oświadczając, że pójdzie ich do zgody namawiać, wyszedł za nimi.

Oślupieliśmy wszyscy, gdy wyszli. Otóż macie Targowicę, wyrzekli wszyscy, a Meizels, rabin z Krakowa wniósł, aby tych panów ogłoszono zdrajcami Ojczyzny, że śmiać rozkazy Stadiona, czy polecenia szlacheckiej partii wyżej cenić, niż wolę narodu i dobro kraju.

Ledwie wyszli, nie minął kwadrans, gdy strzelec Lubomirskiego wniósł list zapieczętowany pod adresem dra Henryka Lubomirskiego. Ponieważ oczywista była myłka w imieniu, oderwał Lubomirski pieczęć i zbladły oddał w ręce nasze odpowiedź Pillersdorfa, którą jutro dopiero otrzymać mieliśmy.

Ciekawy ten dokument zamieszczam dosłownie:

<sup>564</sup>  
M. J. Durchlauchtig Hochgeborener Fürst! Ich gebe mir die Ehre dem Wunsche E. F. Gnaden durch die Mitteilung zu ent-

sprechen, das die Bitten, welche eine Anzahl Abgeordneter des Königreichs Galizien S. M. überreicht haben, mir mit dem ah. Auftrage zugekommen sind, den H. Bittstellern durch den H. Gouverneur in Galizien zu erklären, dass der Kaiser die sorgfältige Prüfung und Erwägung dieser Bitte angeordnet habe, in welcher Hinsicht ist das erforderliche an den genannten Se Landesgouverneur erlassen, u. so zugleich aufgefordert habe, die einzelnen Punkte derselben einer sorgfältigen Prüfung und Beleuchtung zu unterziehen. Dass die Rücksicht für die Bewahrung der Nationalität der Einwohner v. Galizien, und für die ausgedehnteste Entwicklung derselben, durch die Pflege der Sprache, des Unterrichtes, und der auf das Land bezüglichen Geschäfts:andlungen in den besonderen Absichten S. M. liegen und ein Gegenstand der vorzüglichen Sorgfalt sege wird, sollte zwar keiner ausdrücklichen Erklärung von meiner Seite bedürfen; indessen nehme ich nach dem Wunsche E. F. Gnaden keinen Anstand, dieselbe frei beizufügen.

Genehmigen E. F. Gnaden den Ausdruck meiner vorzüglichen Hochachtung, mit welcher ich verharre EF. Gnaden gehorsammer Diener.

Wien den 10 April 1848.

Pillersdorf.

A więc odpowiedź ta była wczoraj gotowa, dziś rano, gdyśmy byli u Pillersdorfa, nie śmiał nam jej dać, dopiero gdy Targowica przyjechała i swą atencję Montekukulemu złożyła, pan Pillersdorf nabrał odwagi i przysłał nam ten list. Rozumiemy dlaczego panowie Sapieha i Kraiński tak śmiało przyrzekli aż do odpowiedzi nic nie robić, wiedzieli więc, że ją tak prędko otrzymamy, wiedzieli także jak opiewać będzie. To ładna historia!

Po odczytaniu tej odpowiedzi odroczone posiedzenie.

Tylko wydział pozostał, by postanowić co czynić.

Jednogłośnie uznano, że należy protestować drukiem przeciw takiej odpowiedzi i odwołać się do opinii publicznej, by osądziła jak ministrowie z nami postępują. Polecono Borkowskiemu ułożyć protest.

Poszliśmy na kolację, by myśli trochę rozerwać, lecz Targowica i odpowiedź Pillersdorfa ciągle nam po głowie tańczyły. Na dobitek gdyśmy przyszli koło północy do domu, wi-

dzimy na warcie gwardzystę miejskiego, a na dziedzińcu karabiny w kozioł złożone. Zdziwiła nas trochę ta straż honorowa; przyzwyczajeni byliśmy miewać tylko straż honorową młodzieży polskiej. Pytamy gwardzisty, odpowiada nam, że otrzymali rozkaz zaciągnąć tu wartę, lecz nie wiedział przyczyny. Nuż w domysły. Czy to deputację polską strzegą, by po takiej odpowiedzi nie zrobiła burdy, czy przeciw Volksfreundom kroki ostrożności przedsięwzięto, których zgromadzenia stawały się co raz bardziej burzliwymi. Nareszcie późno w noc dowiadujemy się, że kelnerzy chcą krawal zrobić, by zmusić traktyerów i oberżystów, aby ci kelnerom, a nie kelnerzy im płacili. Istotnie śmieszny stosunek, kelner usługuje gościom i musi jeszcze płacić temu, który z gości ma zysk. Ostrożności przedsięwzięte nie dopuściły krawalu kelnerowskiego.

**12 kwietnia.** Gdy na posiedzeniu przeczytano protest napisany przez Borkowskiego, wniósł Poniński (który w deputacji bocheńskiej z Topolnickim, Nałhorskim, Skarzyńskim i Żelińskim przyjechał i wraz z całą deputacją do nas przystąpił), aby jeszcze raz pójść do Pillersdorfa.

Dzierzkowski poparł ten wniosek, argumentując, że wydrukowawszy manifest, nic nam nie pozostanie jak odjechać, a nam nie idzie o to, by okazać brawurę, lecz by uzyskać co.

Przystaliśmy na to, żeby nam tylko na złe nie wyszło. Z kraju dochodzą nas rozmaite wieści. Deputacja bocheńska przyjechała głównie, by się skarżyć na buntowanie chłopów. Emigracja do kraju ciągnie, w Poznańskim wojsko narodowe w obozach. Sądzę, że my w kraju więcej dobrego mogliśmy zrobić, niżli tu antyszambując u panów ministrów. Kiedy on nas odsyła do Stadiona, to widać że nam nie da odpowiedzi, aż mu Stadion doniesie co robić, tak prędko to nastąpić nie może. Lepiejby więc było pojechać do kraju i tam działać na umysły i Stadiona, aby taką dał Pillersdorfowi relację, któraby dla nas korzystną odpowiedź rokować mogła. Im spokojniej w kraju, tem mniej tutaj dla nas nadziei. Poczciwy „Dziennik Narodowy“ nie może pojąć, że wolność druku mamy, wszak ci ludzie piszą, jak gdyby cenzura jeszcze istniała; ależ zapominam że to piękna kompania Pohl i Leonek.

Okolo 11 przybyli wysłańcy z komitetu tutejszej Wszechnicy z zapytaniem czy to prawda, że otrzymaliśmy już odpowiedź i to niekorzystną. Odpowiedziałem im wskutek uchwały wydziału, że to tylko było prywatne doniesienie Pillersdorfa do Lubomirskiego, że więc tego za odpowiedź nie przyjmujemy, że żądać będziemy jeszcze raz odpowiedzi stanowczej.

Z podobnem zapytaniem przybyli od komitetu Techniki; ponieważ Technice nie oddaliśmy jeszcze naszej chorągwi, więc powiedzieliśmy, że oddając im ją, odpowiemy na to zapytanie. Udaliśmy się więc Biesiadecki, Czerkawski i ja do Techniki, oddaliśmy chorągiew na zakład zawartego z Niemcami braterstwa i na ich zapytanie w odpowiedzi, daliśmy tę sama odpowiedź co komitetowi Wszechnicy.

Gdy to się działo, poszła część naszej deputacyi do Pillersdorfa, lecz nie było go w domu; snać radzi z posłem rosyjskim, który miał przyjechać; powiedział sekretarz, że dziś niepodobieństwo z nim mówić.

Reszta dnia zeszła na obradach, co powiedzieć u Pillersdorfa, opatrywano wzory karabinów i tym podobne rzeczy.

Minął znowu dzień daremnie.

**13 kwietnia.** Przybyli tu od komitetu poznańskiego wysłani: Raczyński, Barwiński i Hostowski, którzy nie mogąc się nas doczekać w Wrocławiu, tu się dla porozumienia z nami udali.

Była mowa o radzie centralnej w Wrocławiu, o istniejących już komitetach obwodowych i konieczności zawiązania komitetu centralnego we Lwowie.

Komitet poznański nie jest sankcyonowany, rząd go jako fakt istniejący toleruje. Komisya reorganizująca jest usankcyonowana, większość w niej mają Polacy; Niemców przypuszczono do niej, by zapobiedz reakcyi niemieckiej, której się obawiają. Niemcy bowiem, do których także żydów rachować trzeba, ochłonawszy z pierwszego strachu, zaczynają pokazywać rogi. Ministerium pruskie szczerze myśli o Poznaniu. Familia królewska i wojsko czyha na moment do reakcyi stosowny.

Poznańskie liczy już do 20.000 ochotników, stoją obozami, rząd niespokojny chciał ich rozbroić, na przedstawienie Mierosławskiego, że mogłoby przyjść do rozlewu krwi, Wilisen po

długich targach z Mierosławskim obrał średnią drogę, rozwiązał obozy bez rozbrojenia; wydał odezwę, aby ci co nie są obowiązani do służby, poszli sobie z bronią do domu; obowiązani do służby landwerów mają wrócić do sztabów swoich, z nich mają się uzupełniać pułki Księstwa Poznańskiego. Komenda ma być polska lub niemiecka, podług żądania kompanii. Obowiązani do służby czynnej zostają natychmiast wcieleni do wojska narodowego.



Taki jest stan w Poznańskim; ciekawa rzecz, czyli obozy rozejdą się spokojnie; dałby Bóg, żeby nie przyszło do starcia się z wojskiem pruskim, toby wznieciło wojnę domową między Polakami i Niemcami, a tych jest znaczna liczba w Poznańskim.

Co do zniesienia pańszczyzny, są tego jak my zdania, że trzeba to jak najprędzej ogłosić. I któżby nie był tego zdania. Gdyby szlachta 19 marca nie była wytargowała sobie tego słówka „chcemy“ darować, byłaby się odcięła droga od wszystkich zwłok. Teraz widzimy jak szlachta się kryje za te słówka; chcą czekać na sejm. Sejm nas zgubi, jeśli się zjedzie, nim kwestya pańszczyzniana rozstrzygniętą zostanie. Czekać, to jest to samo co zginać, albo trzeba natychmiast ogłosić zniesienie pańszczyzny, albo wystawić się na wszelkie urzędników poduszczania, a dałby Bóg, by im chłopci nie uwierzyli.

Radzą nam Poznańczanie, aby wezwać wszystkich, by jednego dnia w całym kraju ogłosić zniesienie pańszczyzny i to z jak największą solennością, w cyrkule wobec deputowanych wsi i księży. Bardzo piękna rada, ale czy chłop pójdzie do cyrkułu gdy go się wezwie, to inne pytanie.



W tej chwili donoszą nam, że Stadion ogłosił cyrkularzem, iż ten tylko może darować pańszczyznę, kto się wywiedzie dokumentami, że ma dobrą czyste. Otóż macie! Pięknie panie gubernatorze! a rząd darowując  $\frac{1}{2}$ , a gdzieniegdzie nawet  $\frac{9}{10}$  pańszczyzny, czy uważał na wierzycieli?



Po tym nie bardzo pocieszającym epizodzie, Poznańczycy dalej nam tłumaczyli stan rzeczy w Poznaniu. Tam komitet opiera się o lud; urzędników nie wydała uchwałami, tylko cichą propagandą między ludem, lud wygania urzędników i obiera narodowców i punktum. Nie może się więc rząd chwycić komitetu.

U nas niestety tak być nie może. Gdyby nasz komitet mógł się być utrzymać, bylibyśmy niezawodnie dalej postąpili. Lecz trudno było utrzymać się, kiedy podczas, gdy komitet siedział na Ratuszu, ani jeden głos nie krzychał do uszów Stadiona, by potwierdził komitet. Pocziwy Dobrzański stracił głowę, na ulicy zaczął krzyżeć, to o broń, to wykrzykiwać niech żyje Polska w dawnych granicach, to też lud za nim krzychał. Gdyby Stadion był słyszał zamiast tych krzyków, krzyki: komitetu! komitetu nam trzeba, nie byłby on śmiał rozwiązywać komitetu, a gdyby był nawet dał rozkaz do rozejścia się, komitet pewno widząc za sobą lud na ulicy, nie byłby się rozwiązał; opuszczony, bez podpory wszelkiej na ulicy, cóż miał robić. Jasiu! Jasiu! wielkiś błąd popełnił. Tobie siedzieć przy stoliku i pisać artykuły do gazety, masz talent piękny i serce dobre, ale jednej rzeczy ci brakuje; może ją nabędziesz, daj Boże, inaczej wielkaby Cię była szkoda.

Rozbieraliśmy dalej kwestyę węgierską i słowiańską. I Poznającanie są tego zdania, że Słowianie nie powinni występować przeciw Madziarom, krok taki bowiem, zmuszając wiązać się z Austryą i Madziarów i Słowian by zgubił. Ale jakaż nasza rola, że tak powiem, głupia! Rola intermediatora, zawsze niebezpieczna. Madziarzy będą wątpić o naszej szczerości, a Słowianie niecierpliwi, gotowi powiedzieć, że braci naszych zostawiamy na łaskę ich wrogów. Jak was Niemcy wieszali, mówią nam, tak nas Węgrzy wieszają; czy możecie wchodzić w związki z Węgrami? Hic Rodus, — hic salta.

Kwestyę ruską nie uważają za załatwioną, są wszelako zdania, iż jeśli księża szczerze się z nami połączą, wszystko będzie dobrze. I my to wiemy, ale jak tu sobie pozyskać zaufanie księży ruskich; uczyniliśmy cośmy mogli, to co brakowało w pierwszym adresie, dodaliśmy w drugim, zagwarantowaliśmy im narodowość, księży dopuściliśmy do równości dostojenstw. Cóż mogą więcej żądać? Imperyałów nie mamy, jeśli to ich tylko może zrobić przychylnymi, tośmy przepadli, bo kopalni złota nie mamy.

Kwestyę żydowską uważają za bardzo ważną i cieszą się z postępowania naszego. Miły Boże! my możemy mieć czyste sumienie; tym razem nikt nam nie może zarzucić, żeśmy nie



użyli wszelkich sprężyn w kraju do wskrzeszenia Ojczyzny. Słowa równość, braterstwo, mają się stać ciałem. Ale czy żydzi nasi szczerze przylgną do nas? Jeśli im rząd choć trochę swobód udzieli, gotowi nas odstąpić, lepszy wróbel w rękę, jak gołąb na dachu. Ale i wtedy nie nasza będzie wina. My przypuściwszy żydów do równości praw, ryzykujemy; ileż to miasteczek, nawet większych miast, gdzie żydzi opanują rząd gminy, jeśli ustawy gminne przyjdą do skutku, a wiemy jacy są nasi żydzi. Lecz wyrzekłszy zasadę równości, trudno było żydów wykluczyć, zresztą udobruchaliśmy ich trochę teraz, jeśli będziemy mieli instytucje narodowe, szkodliwy wpływ, jaki mogą wyrzucić żydzi po niektórych miastach, może być zmniejszony, a po kilkunastu latach, kto wie czy się żydzi nie spolszczą, — ot Meizels.

Jacy my dzieci we wszystkim! Boże, czy jest kara dość dotkliwa, któraby wystarczyła na ukaranie tyranów, co nas zakuli w więzy cielesne i moralne? Teraz, gdy się wstąpiło w życie polityczne, gdy się tysiąc kwestyi nasuwa, poznają całą okropność ciemnoty w jakiej my pozostawiali. Przytem ta niepewność, ten brak odwagi, bo cóż do katar, trzeba brak wiadomości łątać czasem brawurą, to rzecz daremna; ale nasze języki strętwiały przez długą niewolę, myśl straciła skrzydła, a nawet czucie swą jędrność. Widzieć nas zimnych, gdy się żalimy na wspólne nasze prześladowanie, to dreszcz przejmuje; czyż u nas i myśl i czucie już wytępiły? Niemców dlatego tak gnębiono, bo są z natury zimni. Pod jednym względem nas zgermanizowano, odebrano nam zapał, uczucie stępiono, zaszczepiono stoicyzm niemiecki.

O godzinie pierwszej udała się część deputacyi na Wszechnicę. Akademyści węgierscy przywieźli swą chorągiew w upominku dla tutejszej Wszechnicy. W narodowych po większej części strojach, wszyscy zaś z ogromną szarfą kolorów węgierskich przy pałaszach, w kołpakach z piórami lub kapeluszach węgierskich, szli z muzyką przy okrzykach Eljen, nota bene, węgierskie Eljen jest en vogue. Przed Wszechnicą miał mowę Zahorski (Węgier-Słowian) i Fagaras, na które tysiączne odzywały się okrzyki. Co mówili, nie słyszeliśmy, byliśmy bowiem w auli, dokąd nas zaproszono. Nareszcie weszli do auli, obnoszono węg-

gierskim sposobem naprzód Zahorskiego, potem Fagarasa na ramionach na około auli. Potem Zahorski, śliczny mężczyzna, silnym donośnym głosem przemówił do młodzieży tutejszej, wskazując, że jedne mają dążności, — wolność. Po nim przemówił Fagaras, dziarski młodzieniec, typ węgierskiej rasy. „Ich bin ein Mann des Volkes“ — mówił — „ich gehöre zur äussersten Linken, und werde dort bleiben, so lange noch ein Fetzen des verfluchten alten Systems existiert“. Potem obróciwszy się do nas rzekł: „Meinen Gruss, hochherzige Polen! Unsere Sympathien sind nicht von heute, unser Blut hat schon zusammen geflossen. Rechnet auf uns, thut's Noth, so sind wir in den ersten Reihen. Ja, Polen muss erstehen, ein grosses, freies Polen, und unser ganzes Recht auf Galizien gründet sich bloss darauf, es mit den anderen Theilen Polens zu einem grossen Ganzen vereinigen zu helfen, — es lebe Polen, — es lebe Deutschland“.

„Eljen“, odpowiedzieliśmy — „Eljen“ powtórzyli przytomni, aż ściany zdrzały. Wzruszony wystąpił Biesiadecki, by mu odpowiedzieć. „Ja, Polen wird bestehen, dieser Riese, zerstückelt in Fessel geschlagen, in den Sarg gelegt, hat seine Ketten so lange gerüttelt, dass es ihm endlich gelang die Decke seines Sarges emporzuheben. Polen ist schwach an Kräften, es hat ein 70-jähriges Märtyrerthum auszustehen gehabt, aber Polen ist unüberwindlich, denn es liebt die Freiheit über alles, es liebt sie so sehr, dass es selbst im Grabe, ob dieser Liebe seinem Herzen fruchtbar war“ — tu mu tchu zabrakło. Hoch den Polen, zagrzmiało w auli, aż się duch Sobieskiego pewnie uradował.

Potem na żądanie obecnych kleryków i reszty tu bawiącej młodzieży węgierskiej, jakiś z deputacyi węgierskiej przemówił po węgiersku, co wywołało takie okrzyki, jakie chyba słyszały uszy wojowników Atylli. Przecież Węgry, to jeszcze straszna dzicz. Obnieśli na barkach mówcę i wyszli z sali.

Po chwili wprowadził Neuwall, tutejszy stanowy, jakiegoś bladego, ogolonego, we fraczku ubranego jegomościa, który wylazł na ambonę i oświadczył, że przyjeżdża z Lubawy, by wręczyć adres tamtejszych akademików tutejszej Wszechnicy, który też odczytał. Słaby, ten adres, jak słaby szczep słowiański z Iliryi; dużo było tam o najjaśniejszym Panu, a mało o na-

rodowości, małe też zrobił wrażenie. Dopiero, gdy zaczęto rozdawać wiersze tamtejszym dyalektem napisane, my Polacy krzyknęliśmy: Żywio! — Żywio! — odpowiedzieli nam przytomni Ilirowie, poczem wyszliśmy nie czekając końca mowy pana Neuwalla, który zaczął coś prawić von der Freiheit und dem Kaiser Ferdinand.

Po południu przyszli na zgromadzenie chłopci z Przeworskiego Państwa, między niemi Szoldra, chłopak dziarski, odebrał chrzest w r. 1846, a bierzmowanie w kozie rzeszowskiej. Oby tylko więcej takich było, — lecz nadzieja niewielka. Sam Szoldra prosił, aby z nim nigdy sam na sam nie mówić, gdyż u towarzyszy swych wpadłby w podejrzenie.

Wydrukowaliśmy adres z 6 kwietnia w „Wiedeńskiej Gazecie“, jako dodatek nadzwyczajny. Mówią, że na poczcie nie załączono go do gazety, — byłoby to wielkie łajdactwo. Lecz mniejsza o to; my się zwinęli, rozesłaliśmy go na wszystkie cztery strony, do Poznania, Pragi, Berlina, Frankfurtu, Londynu, Paryża, Szwajcaryi, Genui, Florencyi, Rzymu, Pesztu; choćby go więc nie załączyli do „Gazety Wiedeńskiej“, świat już o tem wie.

Lubomirski pojechał do Preszburga na zwiady, jutro ma wrócić; ciekawy jestem co nam przywiezie.

To nie do uwierzenia jak czas prędko uchodzi, prawie trzy tygodnie jak wyjechałem ze Lwowa, a zdaje się mi, że ledwie trzy dni. Hej ho! co tam robi moja akcja, którą zostawiłem, kto wie czy ją już kiedy ukończę? Jeśli rzeczy dobrze pójdą to nie!

**14 kwietnia.** Więc dziś dowiemy się, czego się mamy spodziewać, — między 11 i 12 idą nasi do Pillersdorfa. Djabli mi nadali ten sekretaryat. Przy obradach pisz, nieraz bzdurstwa, za obradami wyrabiaj sprawozdania i pisz i pisz. Już mnie zaczyna ta historia trochę niecierpliwić, gdyby przynajmniej wszyscy podług zdolności swych i sił przyczyniali się, ale nie, wielka część sądzi, że tu przyjechali bawić się, siedzą po kawiarniach, spędzają czas na gawędkach, zresztą, gdyby to tylko było, mniejsza o to, trudno kogo zmusić. Ale mamy tu ziółka, co nic nie robią, a jeśli się kiedy pokażą, to jeszcze narzekają, że wydział

nic nie robi, jak gdyby wydział miał tysiąc rąk. Siemiński, to mi ziółeczko, kto on jest, skąd on się wziął, rezonuje o wszystkim, a sam nic nie robi. Ależ bo nie dziw, jak tę biedną deputację wybierano! A drugi Pieniążek, a to szlachcic rębajło: „Co to wydział, kto wydział, dlaczego wydział nie zdaje sprawy z czynności swoich, co to wy będziecie ministrami, a ja co majątek mój na szwank wystawiam, ja nawet nie mam wiedzieć co wydział robi?” Myślałem, że mnie porąbie. Z najzimniejszą wszelako krwią zapytałem, czy nie myśli przypadkiem wywieszać wydział. Poleciał jak dzik raniony, a mszcząc się żem mu się nie raczył usprawiedliwić, zaczął głosić, że ja odezwałem się, iż trza wieśzać. Tfu, bodajesz pękł! A jużci, jak żyję takiego typu szlachcica nie widziałem. Wiele ma podobieństwa do Pipetunia, krzyczy, huczy, a ręczę że tchórz. Mówią, że w tamtych stronach dużo takich.

O godzinie 10-tej udała się deputacya bocheńska do Pillersdorfa, później członkowie naszej deputacyi z Ponińskim poszli naglić go o odpowiedź stanowczą.

Bocheńskim, skarżącym się na podżeganie chłopów przez urzędników, oraz żalącym się, że Stadion nie chciał pozwolić na komitet w Bochni, odrzekł minister, że da im odpowiedź, gdy otrzyma relację od Stadionu. Immer die alte Leyer! powiedział mu Poniński, wszak Pan możesz wiedzieć, co Stadion powie, da odmowną odpowiedź, którą nam dał. Począł ją minister czytać, a gdy przyszedł w miejsce, w którym Stadion uważa taki komitet za niebezpieczny z powodu, że zwraca uwagę chłopów, zrobił uwagę, że podziela zupełnie zdanie Stadionu. Tu mu Poniński wynurzył zdziwienie, że więcej wierzy urzędnikom, co podburzali do mordów i za głowy płacili, niż obywatelom wiarygodnym.

Minister przerwał mu prędko, mówiąc: czytaj pan dalej swoją prośbę; czytał więc Poniński dalej zażalenie obywateli bocheńskich. Mimo dowodów przytoczonych przeciw urzędnikom; mimo scen okropnych opisanych w prośbie, pozostał minister obojętnym i tylko odrzekł: „to niepodobna, aby urzędnicy śmieli tak wbrew rozkazom wyższym postępować“, a gdy mu powiedziano, że o tem nawet Stadion nie wątpi, gdyż nawet kilku starostów za to transferować kazał, odrzekł: „Czegoż chcecie Pa-

nowie, wszak wam p. Stadion wymierza sprawiedliwość. A gdy mu powiedziano, że takie transferowanie wyższych urzędników do innych cyrkulów lub do gubernium nie jest środkiem skutecznym, gdyż ci panowie i nadal pozostawszy przy swych posadach tak samo postępują, a urzędnicy niżsi związawszy się w ligę systematycznie działają, ruszał tylko ramionami sądząc, że my nikomu nie ufamy i że nas zaspokoić trudno.

Gdy deputacya bocheńska odeszła, weszli członkowie naszej deputacyi, przybrawszy sobie Ponińskiego. Oświadczył zaraz Lubomirski, że przyszedł po odpowiedź, gdyż listu prywatnego za odpowiedź uważać nie możemy. Odrzekł minister, że list ten był adresowany do członka deputacyi, przeto powinien być uważany jako odpowiedź dana deputacyi. Że w tej odpowiedzi przyznane są punkta zawierające główną zasadę, t. j. narodowość, że więc tylko idzie o punkta szczegółowe, na które nam odpowiedzi dać nie może, nie otrzymawszy objaśnienia od Stadionia.

A gdy mu odpowiedział Poniński, że może objaśnienia te otrzymać od Zaleskiego, znającego kraj lepiej jak Stadion, odrzekł Pillersdorf, że nie może jako minister odpowiedzialny zboczyć z drogi legalnej, dodając, że tym sposobem także z Czechami postępował. Gdy mu na to oświadczył Lubomirski, że myślimy czekać na odpowiedź, odrzekł: a więc dobrze, gdy otrzymam relacyę od Stadionia, będę prosił panów do siebie i wspólnie się nad każdym punktem naradzimy.

Zresztą dodał, niepotrzebnie panowie niepokoicie się, jakoby zwłoka odpowiedzi mogła wywołać zaburzenia, mam z Galicyi całkiem zaspakajające relacye.

Tu zaczęto mu mówić, że na relacye urzędników spuszczać się nie można, że oni rząd zawsze w błąd wprowadzali.

Pan Pillersdorf obstawał za urzędnikami, twierdził, że nigdy się nie skarżono na urzędników, że mówił o tem z Potockim tu mieszkającym, a nawet z Sanguszką o Brandlu, nic złego od nich nie słyszał.

Tu mu Lubomirski odrzekł, że Potocki mieszkając w Wiedniu nie w Galicyi, nie może wiedzieć co robią urzędnicy. P. Sanguszko zaś mimo prześladowań, które od urzędników doznał, rzeczy inaczej widzi. Zaś Biesiadecki dodał: Mówić prze-

ciw urzędnikom dawniej nie było wolno, brano to za zbrodnię stanu, dlatego dawniej panu nie śmiano prawdy powiedzieć, nawet nam nie pozwolono jechać do Wiednia.

Tu Lubomirski wpadł mu w słowo mówiąc, że nawet teraz niechciano dać chłopom jego paszportu. Minister utrzymywał, że pewnie nie chciano dać chłopom paszportów dlatego, by zapobiedz skargom, po większej części bezzasadnym.

Biesiadecki: Co do tego, to u nas inny system, panowie komisarze exponowani wzywali wyraźnie chłopów, by się skarżyli, u nas nie tamowano skarg przeciw panom, tamowano tylko i przeszkadzano, by się na urzędników nikt nie skarżył.

Minister: To widzę, panowie chcecie się pozbyć urzędników; zapewnijcież nas, że utrzymacie spokój bez urzędników. Zresztą cóż zrobić z urzędnikami, między którymi są także Polacy.

Lubomirski: My nie żądamy oddalenia urzędników jako Niemców, lecz jako urzędników.

Poniński: My ich chcemy zrobić nieszkodliwymi, chcemy ich kontrolować, aby nie podburzali chłopów przeciw nam.

Dzierzkowski: Mamy zamiary najlepsze, staramy się powstrzymać masy, lecz gdy ich urzędnicy ciągle podburzać będą, najlepsze chęci nasze nic nie pomogą, tylko nas narażają jeszcze bardziej.

Pillersdorf: Masy raz poruszone nie szanują nikogo, a moja głowa może tak dobrze paść jak wasza. Ja to wiem i dlatego wiedząc, że urzędnicy przyczynili się do uspokojenia mas w r. 1846, nie radziłbym odbierać im teraz władzy.

Lubomirski: Powstanie chłopów uśmierzono wojskiem, nie powagą urzędników.

Pillersdorf: Mnie mówiono, że jedno słówko urzędnika hamowało chłopów.

Biesiadecki: Prawda, jeśli to słowo wyrzeczone było przez urzędnika, który dzień przedtem do mordów namawiał lub prowadził.

— Ależ, odrzekł minister, urzędnicy w Tarnowie byli blokowani, cóż mogli tak dalece zrobić.

Biesiadecki: To chyba 40 powstańców w lochach Tarnowa zamkniętych blokowało Tarnów.

Minister: Wszak kilkuset powstańców zabito, musiała ich przeto być znaczna liczba.

Biesiadecki: To nie powstańców mordowano, ale starców niewinnych w łóżku.

Pan Pillersdorf załamał ręce, oczy wzniosł w górę, westchnął i zamilkł, — istny Jezuita! I ten człowiek stoi na czele rządu, ma wyrobić plan konstytucyi, ma nam dać na naszą petycję odpowiedź zadowalniającą?! Boże miej litość nad nami.

Ponieważ pan minister wlepiwszy oczy w sufit trwał w ciągłym milczeniu, zapytał się Lubomirski, co mamy sądzić o urzędnikach, jeśli teraz, gdyśmy postanowili znieść pańszczyznę, Stadion ogłaszać każe okólnik, w którym wyraźnie powiedziano, iż kto nie ma wolnych od długów dóbr, pańszczyzny darować nie może.

Pan minister sądził że to jest sprawiedliwie, że trzeba mieć wzgląd na wierzycieli.

Tu Biesiadecki zauważył, że rząd darowując  $\frac{1}{2}$ , a miejscami nawet  $\frac{9}{10}$  pańszczyzny, na wierzycieli nie bardzo uważał, a Poniński dodał: urzędnicy chcą, aby pańszczyzna została, bo to jest środek najskuteczniejszy dla nich do podburzania chłopów. Zabij pana, a nie będziesz robił pańszczyzny, — mówią im.

Minister: Przecież teraz nie robią tego, Stadion by na to nie zezwolił.

Biesiadecki: Stadion ma sobie po większej części przeciwnych urzędników, oni rozkazy jego tłumaczą jak im się podoba.

Minister: Być może, ale nieprawdaż, Stadion ostro z nimi postępuje, gdy się o tem dowie.

Biesiadecki: O prawda, kazał kilku transferować.

Minister: To nieszczęście, że panowie nie ufacie rządowi. Rząd ma najlepsze chęci, tylko komunikacja z Galicyą trudna, nie można tak prędko działać.

Dzierzkowski: Przyjchawszy tu daliśmy dowód, że ufamy rządowi. Ale wypadki naglą, kraj spokojny bo czeka, jeśli wrócimy z próżnemi rękami, nie możemy za nic ręczyć — i pokłoniwszy się wyszli.

A deputacya której schlebiało przyrzeczenie, że minister będzie wspólnie z nią radził, uradowana była ze skutku tej audyencyi. Daj Boże, żeby oczekiwania nasze nie spełzły na niczem.

Pillersdorf to zatwardziały Jezuita, wie on dobrze, że gdyby nam zaraz powiedział, iż nam nic nie da, rozgniewani wrócilibyśmy do kraju i gotowi burdę zrobić, któraby może dla nas była szkodliwą, ale na każdy wypadek dla urzędników i dla Austrii zgubną. Uwodzi nas przeto słodziutkiemi słówkami, usypia, a tymczasem Bóg wie co knuje.

W Wiedniu dążenia reakcyjne są widoczne, byle trochę odwagi. Wiedeń zawsze Wiedniem, dawniej bawił się mit... Wurstelprafer, teraz bawi się w gwardyę narodową i niemieckie kolory.

Nie chcę ubliżać mężom głębiej rzeczy widzącym, jest ich tu nie mało, ale większość i to taka większość, że mniejszość staje się tylko wyjątkiem, nie pojmuje o co idzie, kontenta że jej wolno gadać i psy wieszać na ministrach, których już niema.

Pocziwa deputacya uchwaliła, by niedrukować protestu, lecz czekać, aż nas Pillersdorf do konferencyi zawoła. Bravissimo!

Gdy konferencya trwała z Pillersdorfem, członkowie komitetu poznańskiego rozprawiali z wydziałem deputacyi o sprawie wspólnej.

Raczyński opisywał stan rzeczy na Wołyniu, utrzymuje, że szlachta tamtejsza darowaniu pańszczyzny, jeśli przyjdzie do czego, nie będzie się sprzeciwiała.

Co do Wielopolskiego Poznańczanie oświadczyli, że się z komitetem ich nie znosił, zresztą mają go w podejrzeniu, iż jest Czartoryjczykiem.

Co do funduszów Czartoryskiego, o których Tetmajer wspomniał, utrzymują, iż Czartoryski takich funduszów mieć nie może, a jeśli ma, niech oświadczy, że je składa na ołtarz Ojczyzny.

Przekonani wszelako są, że gdyby Warszawa powstała, w Anglii pożyczkę zaciągnąćby można, tak jak rzeczy teraz stoją, rzecz trudniejsza. Anglik bowiem pod Polską rozumie Kongresówkę.

Przy tych posiedzeniach Hoskowski prawie nic nie mówił, obserwował tylko; jest to człowiek jeszcze młody, z okiem dużem, czarnem, przenikliwym. Najwięcej mówił Raczyński i wi-



dać, że się lubi popisywać ze swemi wiadomościami, których ma nie mało; bład, chorowity, z wyrazem twarzy niepospolitym nie posiedzi chwili spokojnie, jest jak żywe srebro. Barwiński poważny, znający kraj swój doskonale, ale ile mi się zdaje, za- nadto ufający w dobrą sprawę naszą. Naprzód! — to jego hasło, chociaż go nie wymawia, — otwartej wojny z Rosją nie lęka się, zdaje się że nawet sobie życzy, by jak najprędzej wybuchła, dróg legalnych nie lubi, ani żadnego juste milien.

Na sesyi wieczornej uchwalono część deputacyi wysłać do kraju, część zaś zostawić dla popierania adresu u ministra i przez pisma publiczne. Postanowiono zostawić tutaj: Borkowskiego, Jabłońskiego, mnie, Borowskiego, Horowitza, Lubomirskiego, Pohoreckiego, Biesiadeckiego, Zbyszewskiego, Dylewskiego, Wolańskiego, Skolinowskiego, Ponińskiego i Bocheńskiego, lecz ostatni miał pojechać do Krakowa, wszelako za dwa dni wrócić, a ztąd ze mną udać się do Frankfurtu. Wydział tej części deputacyi mieli stanowić: Borkowski, Borowski, Dylewski, Wolański, Lubomirski, ja i Bochenek.

Poczem uchwalono wybrać kilku członków do wypracowania formularza dokumentu darowizny pańszczyzny, w celu rozesłania go po kraju z odezwą, aby obywatele podług tego formularza zniesienie pańszczyzny uskuteczniłi.

Inną komisję, do której i mnie przeznaczono, wybrano do wyświetlenia stosunku komitetu do rządu, w celu wyjaśnienia go gdyby Pillersdorf o to zapytał.

Co do pańszczyzny sądził Barwiński, abyśmy po prostu wydali rozkaz do obywateli, żeby darowali pańszczyznę. Czemu wszelako sprzeciwiłiśmy się, nie chcąc sobie przywłaszczać władzy, której nam nikt nie dał.

Gdy debaty skończono, zdał sprawę Lubomirski z swej podróży do Preszburga. Ministerjum węgierskie nie znając jeszcze naszego adresu, żądało od tutejszego ministerjum dla nas narodowych instytucyj. Węgrzy przyrzekli, gdybyśmy nie odebrawszy odpowiedzi, lub otrzymawszy złą odpowiedź, wnieśli protest do opinii publicznej, wesprzeć go ze swej strony. Żądają byśmy Słowian nakłaniali do zgody, aby się teraz jeszcze nie odrywali od Węgier. Żądają tylko kilku miesięcy czasu, aby się mogli trochę uporządkować. W razie wojny z Rosją,

ofiarują nam wojska kilkadziesiąt tysięcy! Mimo tego Lubomirski nie radzi łączyć się szczerze i jawnie z Węgrami. Prawda, że Węgrzy gnębili Słowian, ale Słowianie węgierscy są to w stosunku do Węgrów to samo, co chłopci nasi w stosunku do nas. W Węgrzech Węgrzy są partią postępową, Węgrzy rządzą, polityka zdrowa każe z nimi się wiązać, ale pan Jerzy jest małym Panslawistą.

Dziś wieczór był Monstre-Meeting w Odeonie; do 12000 po większej części młodzieży, literatów i czeladzi radzili nad adresem do cesarza względem oddalenia Fiquelmonta, Taffego i Hojosa, względem zwołania Sejmu przez cały naród, a nie stany reprezentujące, nareszcie względem wyboru posłów do Frankfurtu.

Odnaczył się ze wszystkich mowców najwięcej dr. Schütte, oklaskami obdarzon, a projekt adresu przez niego podany przyjęto. A przecież ten człowiek wstawiał się w pierwszych dniach tutejszej rewolucji za Albrechtem! Jak tu ludzie opinię zmieniają, jak tutejsza publiczność mało dba o taką zmianę, -- byleś jej trafił do gustu, — przyjmie myśl podaną, chociażby był niewiedzieć kto.

Jutro mają zbierać podpisy, a pojutrze odnieść adres.

**15 kwietnia.** Na sesji rannej, po ogłoszeniu uchwały względem podzielenia się deputacyi, dyskutowano jeszcze kwestye, czy posłać deputację do Węgier, z powodu doniesień, które udzielił Dymnicki powróciwszy z Pesztu. Węgrzy czekają na nas, są gotowi wszystko dla nas zrobić, Słowacy po większej części są zwolennikami cara. Nareszcie po długich dyskusjach uchwalono zostawić rozstrzygnięcie tej kwestyi wydziałowi deputacyi, mającemu tu pozostać.

Potem na wniosek Siemieńskiego wybrano wydział z pośród deputacyi wracającej do kraju, sprzeciwiałem się by to tu czyniono, z przyczyn żeby taki wybór nie zrobił rozdwojenia i proponowałem, aby członkowie wydziału wracający do kraju funkcye swoje odbywali, aż do nowego wyboru we Lwowie, gdzie się już większa część deputacyi znajduje.

Uchwalono dalej, aby wydział wracającej deputacyi stanowił poniekąd komitet centralny dla Galicyi, by się zniósł z ko-

mitetami obwodowymi i w ciągłej był z nami korespondencyi, w którym to celu wydano z tutejszego wydziału deputacyi dla nich informacye.

Śmiech mię zbierał podczas tych debat, czyż ci ludzie tak ślepi, że nie mogli z twarzy Dzierzkowskiego, Hubickiego i Siemińskiego wyczytać, że oni tych informacyi trzymać się nie będą, że odjeżdżają, by działać w kraju, nie pytając o wydział deputacyi mającej tu pozostać? Może mają słuszość, i ja byłbym zdania, że nam trzeba wszystkim wracać do domu, — sądziłbym tylko, że powinniśmy otwarcie postępować, wszak jeśli oni chcą w kraju działać bez znoszenia się z nami, mogą nasze tutejsze kroki kompromitować. — Zobaczmy.

Odszukaliśmy Małczeskiego, — jest w domu obłąkanych, — niezawodnie katusze Presena pociągnęły pomieszanie zmysłów za sobą, jest nader trwożliwy, ciągle powtarza jakieś słowa niemieckie używane przy śledztwach. Lekarze sądzą, że jeśli pobędzie na wsi między swojemi przez parę tygodni, pozbędzie się tej manii, nie radzą go brać na kolej żelazną, by go huk i zgiełk ludzi nie straszyl, zostawiliśmy go więc w domu obłąkanych, aż do przybycia jego rodziny.

Była tu deputacya tyrolska po broń, — chcą kraju swego bronić od cudzej napaści, — wszelako w kościele Szczepana przysięgli, że na wolnych ludzi strzelać nie będą, rozumieli pewno pod tem ludzi dobijających się o wolność. Gdy odjeżdżali koleją żelazną, wołali między innemi: „Noch ist Polen nicht verloren, es lebe Polen“.

**16 kwietnia.** Smutna nowina, — Dymnicki paraliżem tknięty dogorywa, — niemasz nadziei, — rozmaite krążą wieści. Miły Boże! czyli wszędzie dokąd się tylko udamy, trupami ziemię słać musimy. Kto zastąpi tego człowieka, człowieka z takim sercem, charakterem, rozsądkiem, poświęceniem się i nadzwyczajnym taktem, kto go zastąpi we Lwowie? Kto zajmie miejsce jego pomiędzy czeladzią?

Dowiadujemy się z „Gazety Lwowskiej“, że Stadion zwołał Sejm na 26-go. Jednogłośnie uchwalono zaprotestować przeciw temu. Dzierzkowski napisał protest, który przyjęto i wydrukować

kazano wraz z uchwałą deputacyi względem rozdzielenia się deputacyi i powodów do tego.

Uchwalono także podać do gazety artykuł Ponińskiego, napisany w duchu właśnie rzeczonyj uchwały.

Siemieński wnosi, aby do uchwały włożyć jeszcze to, że deputacya nie rozwiąże się w razie odmownej odpowiedzi, lecz działać będzie póki władza narodowa nie będzie zorganizowaną. Dzierzkowski sprzeciwia się temu jak najmocniej, Siemieński więc cofa swój wniosek oświadczając, że go do tego wniosku sam Dzierzkowski wezwał. Quid hoc? — pomyślał niejeden. — A przecież to jasne, że w naszym gronie jest grono działające wspólnie, — Dzierzkowski wniosków prawie nigdy nie robi, — każe je robić przez Siemieńskiego lub Hubickiego i wspiera je lub sprzeciwia się im podług tego, jakie widzi usposobienie w deputacyi.

Potem Hubicki wniósł, by względem zniesienia pańszczyzny tu zaraz co uchwalono, i wykonanie tej uchwały poruczyć wracającej do kraju deputacyi. Po długich debatach zgodzono się, by deputacya wracająca działała moralnie na przyspieszenie zniesienia pańszczyzny.

Hej, ho! — radzimy i radzimy, — dziwna pasya gadać i tysiąc razy to samo gadać. Ile to razy odgrzywano już kwestyę względem deputacyi do Węgier, do Frankfurtu, względem pańszczyzny. Mimo uchwały, która stanęła jednego dnia, ktoś na drugi dzień znów zrobił swój dawny wniosek i znów ta sama debata i uchwała, i znów odnawiano wniosek i debaty, „że aż wnętrzości przewracają się na wniątrz“, jak mówi sławny Pipetes. Ale darmo, natura ciągnie wilka do lasu. Co za niesforność, jaki brak wyrozumienia, co za upór pochodzący li tylko z próżności, jaka chęć wścibienia nosa wszędzie, chociaż się nie rozumie rzeczy, to aż strach. I my działać mamy, my co trawimy po kilkanaście dni na jałowych obradach, nim się zdecydujemy, czy jaki artykuł do gazety napisać! Biedna ty Polsko! Niech was Bóg ukaże wrogi, coście z nas takie niedorzeczne stworzenia porobiły! Bo juści trudno zaprzeczać, że brak głębszych wiadomości, nieprzyzwyczajenie do rozmowy o rzeczach ważniejszych, przyczyną jest tych gadań, a że nic nie umiemy i nie przywykliśmy myśleć i mówić o sprawach publicznych,

któż winien jeśli nie rząd? A może my także nie całkiem niewinni.

Dymnicki żyć przestał, — może i lepiej dla niego, — nie będzie się patrzył na nieszczęście, które na nas koniecznie, sprowadzą złe chęci i przewrotność wrogów i nasza własna niedołężność.

Dziś część deputacyi wyjechała do kraju. Wieczorem reszta deputacyi zebrała się, by naradzić się nad tem, czy mamy pójść do Pillersdorfa w celu żądania od niego wyjaśnienia względem zwołania Sejmu na 26-go. Po długiej dyskusyi kwestya upadła.

Znowu prawie dwie godziny spędziły na jałowych gadaninach. Będąc sekretarzem, ledwo kiedy niekiedy mogę wtrącić moje trzy grosze do obrad, trudno bowiem zebrać myśli, pisząc naprędce to co inni mówią. Myślę, że gdy zostanie tylko wydział deputacyi w Wiedniu, zostawię zatrudnienie sekretarza Zbyszewskiemu, niech się trochę pobawi. Ja myślę wziąć się do gadania. Kiedy deputacya nasza ma się skończyć na gadaniu, niechże i ja coś użyję, — milczałem długo, chcę się wygadać.

Co nagle, to po djable. Zdecydowano wydrukować wyciąg z protokołu, tyjący się rozdzielenia deputacyi. Protokołował wtedy Zbyszewski, ja wyrabiałem sprawozdanie z audyencyi z 14-go. Nie chcąc uchybiać p. Wiktorowi, w pierwszym zapale powiedziano: „wydrukować“, nie wchodząc więc jak ten wyciąg napisany, posłano go do druku. Dopiero gdy nam przyniesiono korektę okazało się, że wydrukowaliśmy coś niby niedorzeczność, — nuż więc poprawiać, — nie zostało z dawnego wyciągu tylko kilka wierszy. Trza więc iść do drukarni, by inaczej ułożyć, — kosztowała nas ta sztuczka kilkanaście reńskich, — nie źle idzie.

Ledwie się to skończyło, przynoszą artykuł napisany przez Ponińskiego, tyjący się rozdzielenia deputacyi, który jako odezwę wydrukowano w 2 czy 3000 egzemplarzy. Czytamy, — sam już początek sensu nie ma, — czytamy dalej, — słowa arcyksięcia Jana całkiem zmylone. Nie można więc odezwę puszczać w obieg. Przepadły pieniądze, ale za to deputacya ma pod dostatkiem miękiego papieru.

Poprawiaj więc i drukuj na nowo.

Nie dość na tem, przynoszą kartki pośmiertne po Dymnickim. Po polsku napisał Leszek, na niemieckie przetłumaczył Biesiadecki wyrażając się: „I. D. polnischer Deputierter entschieden zum ewigen Leben“, — tu odmiana była już niepodobna, kartki już były poprzylepiane. Kochany Władysławie, przepraszam Cię, po raz pierwszy gniewałem się na Ciebie, ale nie długo. Żart Borkowskiego, że właśnie to dowcipne jest „der Deputierte hat entschieden gestorben“ przemienił gniew w wesołość.

Jeśli kiedy to będziesz czytał, spodziewam się, że nie będziesz się gniewał, iż o tem wspominam, — piszę o wszystkim napisałem i o tem.

Zresztą i Ty Wiktorze nie miej mi za złe, żem Twój wyciąg zgañił; że nie był dobrym, dowód że go musiałem odmienić. Aber darum keine Feindschaft nicht, — każdy robi jak umie, byle chęci były dobre. A ja nie ręczę czy byłbym lepszy zrobił; nie piszę nawet zrobionego zarzutu w innej myśli, jak tylko na dowód, że co nagle to po djabie. Serviat notitue et tibi mihi. Tyś chybił, żeś źle napisał, a my chybili, żeśmy nie przeczytawszy z krwią spokojną na druk zezwolili, — więc kwita byka za indyka.

A teraz idę spać. Ja piszę co myślę. Kto wie co w tej chwili moi towarzysze o mnie piszą, — aber drum keine Feindschaft nicht.

**17 kwietnia.** Odczytano list Załuskiego do deputacyi naszej, tyczący się uformowania gwardyi, oraz adres mieszkańców lwowskich. Adres ten już dostał odpowiedź statutem, właśnie co ogłoszonym. Postanowiliśmy odpisać panu gubernatorowi i podziękować mu za jego gorliwość.

Dziwna rzecz, skąd Załuski do takiej popularności przechodzi, jak ją zdaje się posiadać? Daj Boże, byśmy się na nim nie zawiedli. Bądź co bądź dobrze, że władza jego rozciąga się na cały kraj. Dowódca gwardyi narodowej galicyjskiej, gdyby miał chęci i rozum, mógłby stać się bardzo użytecznym sprawie naszej, — byłaby jedna władza centralna narodowa.

Poczem uchwalono napisać list do Palackiego i do Sztura, by nam dali wyjaśnienie co do stosunków pruskich, czy chcą

należać do Rzeszy niemieckiej, czy będą obstawać przy odrębnej administracji etc.

Przyjechał Rousseau, agent z Jass, był u nas; Multany i Wołoszczyzna mają chęć złączenia się z Austryą, poddać się właściwie pod protektorat austriacki. Zdaje mi się jest to bitwa przegrana dla Moskali, a dla nas wygrana. Moskał traci wpływ, a Austrya może łatwiej strawi nasze odłączenie się. Tymczasem nie róbmy sobie przedwczesnych nadziei.

**18 kwietnia.** Dziś więc pogrzeb Dymnickiego o godzinie 4-tej. Biesiadecki będzie miał mowę polską, Malisz niemiecką. Podczas gdy ci przygotowywali się, inni zatrudniali się pogrzebem, Wolański, Dylewski, Poniński i Lubomirski radzili nad formularzem tyjącym się zniesienia pańszczyzny. Ja, Borkowski, Borowski i inni radziliśmy nad określeniem stosunku komitetu do Rządu.

Zrzekłem się urzędu sekretarza, sądząc, że radząc wraz z innymi mogę się stać pożyteczniejszym, niż pisząc co inni mówią. Po długich dość debatach w naszej komisji przyjęto wniosek mój co do stosunku komitetu i jego składu i poruczono wypracowanie onego.

Przystąpiliśmy potem do wyświetlenia innych punktów adresu i po krótkiej naradzie ułożono program objaśnień, gdyby się Pillersdorf o nie domagał.

Tymczasem w komisji pańszczyźnianej zgodzono się, aby Lubomirski i Dylewski napisali formularze i takowe pod dyskusję ogólną deputacyi podali.

O wpół do 4-tej udaliśmy się do szpitala ogólnego na Alser Vorstadt. Na drugim dziedzińcu leżał nieboszyk odkryty, twarz niezmieniona, roztropność i dobroć malowała się na niej, lecz i cierpień dużo. Czy też duch jego żyje? Czy zginęła z ciałem swem i dusza? — Dusza tak szlachetna!

Licznie zgromadziła się Akademia, Węgrzy w strojach narodowych i mnóstwo ludu.

Nareszcie przyszli księży, ks. kanonik Birzkowski na czele. Pokropił zwłoki, odmówił pacierze i wzięliśmy trumnę na ramiona; w pierwszej parze Słabkowski i Topolnicki, w drugiej ja i młody Sapieha (książę niósł czeladnika do grobu, jabym wolał, żeby czeladnik chował księcia), w trzeciej Homolacz (który

tu z Siedmiogrodzkiego właśnie przybył z missą do Węgier i Waigart. Wszyscy w czarnych czamarkach. Przodem szła gwardya narodowa pod bronią, za nimi 16 małych dziewczątek w bieli, jedno z nich niosło poduszkę z wieńcami, na ich czele szła dziewczynka w żałobie, długim czarnym welonem od stóp do głowy zakryta, geniusz żałoby. Jakiś poczciwy Niemiec trzymający pensjonat, zrobił nam tę surpryzę. Obszedłszy dziedziniec, większy jak nasz rynek, wysadzony drzewami już zielonemi, udaliśmy się na inny dziedziniec do kaplicy, tam odśpiewano Requiem, poczem w tym samym porządku pochód udał się przez drugi i pierwszy dziedziniec na ulicę, gdzie czekał karawan. Włożono nań trumnę. Tu podziękowaliśmy dziewczątkom, nie chcąc ich dalej fatygować, lecz aniołeczki nalegały, by mogły pójść aż na cmentarz Währing, odległy dobrą  $\frac{1}{4}$  milę.

W solennym pochodzie postępowaliśmy dalej przez miasto, nareszcie przekroczywszy linię miasta, byliśmy w otwartem polu, cmentarz bowiem jest na wsi Währing, pieśni łańskie przerywały czasami pieśni ruskie, był bowiem także ksiądz ruski, czasami odzywał się smutnie bęben.

Nareszcie przybyliśmy na cmentarz. Przed bramą zdjęliśmy trumnę z karawanu i zanieśliśmy na barkach do dołu wykopanego. Po zwykłych modlitwach Zbyszewski odczytał mowę Biesiadeckiego, który dla chrypki wygłosić jej nie mógł, — łyzy ciekły nie jednemu z oka, a dwóch czy trzech Nużanów przytomnych, szlochało głośno. Potem wysłowił Malisz mowę niemiecką, malując jak Go rząd prześladował, jak moralnie chciał zniszczyć, poruszył przytomnych Niemców do łez, a gdy im przypomniał o r. 1683, łyzy się i w naszych zakrepiły oczach. Nie zapomniał on i o Węgrach i o braciach Słowianach, a nad grobem ziomka naszego wezwał wszystkich do braterstwa i walki przeciw tyranii.

Potem ukląkłszy zmówiliśmy pacierz — i smutni poszliśmy do domu, podziękowawszy księżom, którzy za swą fatygę nic nie żądali. Poznaliśmy tu księdza Słowaka z księstwa Austrii, parę mil od Wiednia w słowiańskiej wsi urodzonego i doskonale po słowacku mówiącego. Dziwzę się, że Czechy zamyślają z cesarstwa austriackiego zrobić cesarstwo słowiańskie!



Późno już przyszliśmy do domu.

Dowiadujemy się, że aresztowano dra Schütte i natychmiast z kraju wywieziono. Nie wchodząc w to, kto był pan Schütte, zawsze postępowanie to pachnie dawnym absolutyzmem. Występował z Rzecząpospolitą, a na cóż się zdała wolność mowy. Jeśli przekroczył granicę tej wolności, gdzież bezpieczeństwo osobiste. Dobrze mówią Wiedeńczycy: „Wir haben den alten Zopf noch nicht abgeschnitten“.

Oburzenie w mieście wielkie, grożą Bóg wie czem, ale na tem się skończy. Świętość sprawy traci przez nieczystość ofiary.

Z powodów tych samych, dla których dra Schütte aresztowano, rozwiązano klub „der Volksfreund“, — o tych mniejsza.

W nocy mimowolnie podsłuchałem rozmowę sąsiadów swoich. Ledwo co usnąłem, przebudził mię krzyk w pokoju przyległym. Sławski, Chassée et Comp. wściekali się, że klub zamknięto. Ich heisse Chassée, wrzeszczał właściciel, czyli raczej przywłaszczyciel tego imienia, bin also kein Pole; du heisst Nowina, kannst ein Böhlm sein, du heisst Zerboni, bist ein Italiener und dem Sławski finden wir einen Namen, der nicht polnisch klingt. Sie wollen das polnische Element ausmetzen. Wir wollen sie zuvorkommen, wir gründen gleich morgen einen Klub, wo wir aufhören wollen, als Polen zu figurieren. Tu zaczął dyktować imiona członków przyszłych, między innymi Sznajdera, jurystę z III-go roku, młodzieńca pełnego poświęcenia i posiadającego zaufanie młodzieży, który właśnie wrócił z Frankfurtu, dokąd jako wysłannik akademików jeździł. Ogromne brawo uwieńczyło ten szczęśliwy pomysł. Wtem wszedł ktoś i zaraz odezwał się głos gruby niemiecczyzną, tchnącą Węgrem: Ich komme von der Universität, man beschuldigt die Volksfreunde, dass sie an der Verhaftung Schüttes Schuld sind. Gib acht Chassée, wenn dort dein Name ausgesprochen wird, so kannst du in einer Stunde verhaftet sein.

Was, — krzyczał ktoś, — wegen dem lumpigen Schütte den dr. Chassée arretieren. Lasst gehen, ozwał się głos gruby, Schütte ist ein Mordskerl, freylich hat er zu viel getrieben, er sagte dort etwas von Mitfüssentreten des Crucifix, deshalb ist er auch verhaftet worden. Was fällt dir ein, — ozwał się ktoś, — dieser Piätist hätte so was gesagt?

Sag lieber Jesuit, — wrzasnął Chassée, — Schütte ist ein Jesuit, ein hartgesottener Jesuit.

Tu wszczął się okropny wrzask, — nakryłem głowę poduszka, by więcej nie słyszeć i szczęśliwie zasnąłem, — zdawało się mi raz tylko jeszcze we śnie, że ktoś na ulicy hałasuje.

Schöne Volksfreunde. Dziarskich reprezentantów miał nasz naród w tym klubie świętej pamięci.

Ha! cóż robić, oni grzeszą na nasz karb, inni na ich i tak się dzieje w świecie wszędzie.

Jako Polacy spodziewali się znaleźć sympatyę i znaczenie, byli więc Polakami, — zdemaskowano ich, zostaną czemś innym. Czyż tylko w klubie Volksfreundów tak się dzieje. Ileż to teraz u nas wąsów nowych, ile Polaków, o których przedtem nikt nie słyszał, ile patryotów, którzy przedtem byli chyba „geheime Patrioten“. Jeśliby się czasy zmieniły, co Boże uchowaj, zobaczylibyśmy tych samych patryotów golących wąsy i szwargoczących po niemiecku, a na Polaków wieszających psy.

**19 kwietnia.** Roztrząsano in pleno mój wniosek, względem stosunku komitetu do rządu.

Pocziwy Malisz, przed chwilą przeczytał swój wniosek w tym samym przedmiocie, — oponowałem, on mnie zbijał, nareszcie reasumując debatę powtórzyłem wniosek Malisza, oraz mój wniosek, jako rezultat mych argumentów, którymi zbijałem Malisza. Ledwie mój wniosek skończyłem, gdy Malisz broniący przez  $\frac{1}{2}$  swój projekt, wstaje mówiąc: „Zgadzam się zupełnie z panem kolegą“.

Nie pierwszy to raz. Twierdzi coś, wtem kto inny wnosi coś zupełnie przeciwnego, Malisz zaś woła: „Zgadzam się zupełnie, — ja to chciałem powiedzieć, tylko mi gadać nie dajecie“. Biedny! — chwilami błysnie iskra geniuszu, bo to człowiek genialny, zaprzeczyć nie można, lecz wnet gaśnie; w chwili uniesienia tryskają myśli szczytne, lecz w zwykłej rozprawie, gdzie zimnej potrzeba rozważki, a nie poetycznego zapału, zbywa mu całkiem na zdrowym rozsądku, — bez konsekwencji, nieznośny gaduła, dziecinny dziad. U niego komitet był codzielną czemś innym.

A Chwałibóg, cóż to za krzykacz nieznośny, istny ekonom na pańszczyźnie, a wszędzie nos wściubi, a nigdy spokojnie

słowa nie powie, głos jego chrypliwo-piskliwy jest dla mnie torturą. Wszystkich alteruje, a ciągle ma na ustach słowa; „ja pewnie pacyfikator, ale wytrzymać nie mogę, muszę powiedzieć bobym się udusił, ale podług mnie komitet jest prawodawczy“.

W gronku naszym ~~mniej~~ liczniejszym, lepiej się cechują charaktery, niż gdy nas było tak dużo. Nietylko przy dyskusjach częściej każdy mówi, więcej przeto daje się do poznania, lecz można każdego obserwować, w chodzeniu, w jedzeniu, w potocznej rozmowie, żyjemy bowiem teraz więcej razem z sobą, niż przedtem.

Pohorecki, deputat, o Boże cóż to za fafuła, nim ci słowo wycedzi, zjadłbyś całego kapłona, a nim ci zje rosół, to ty już przy leguminie, a kroku z nami nigdy nie dotrzyma. Najpierwej wychodzi, ostatni przychodzi. „Bo to już nie trzeba się spieszyć, to szkodzi, — nie trza prędko jeść, bo człowiek nawet nie wie, co jadł“. Potrawka ważniejsza u niego kwestya, niż los Polski, a gdyby przypadkiem rano nie miał stołeczka, toby ze zgryzoty umarł. Biedny kraju, kiedy tacy ludzie praw twoich bronili. Zresztą ma zdrowy rozsądek, raz na miesiąc urodzi nawet zdrowe zdanie. I wierzę, że za dawnych czasów mógł uchodzić za luminarza, mógł na rok urodzić 12 zdrowych zdań, a zatem na Sejmie mieć przewagę nad innymi, co w życiu na jedno rozsądne słowo zdobyć się nie mogli. Dziś objawił nareszcie zdanie swoje: komitet powinien być taki Staatsrath.

Poniński, człowiek nadzwyczaj ugrzeczniony, dość wykształcony, mimo siwych włosów pełen zapału, mimo że nie mówi po polsku, pełen uczuć polskich; pomysły ma często bardzo dobre, szkoda tylko, że nadzwyczaj wiele mówi, a mówiąc zapomina o przedmiocie mowy. Pisze daleko lepiej, a pisze jędrnie i śmiało; zawdzięczamy mu kilka artykułów bardzo dobrych.

Dylas strasznie się zapalił; dzielny chwyt, bo i w głowie jasno i w sercu nie lód. Takich nam dajcie!

A Biesiadecki! codzień bardziej tego człowieka poważać i kochać zaczynam, — pełen umiarkowania, a przecież swem umiarkowaniem do zapału innych pobudza, słowa jego są to jak wiaterek co iskrę tlejącą rozbudzi, silniejszy podmuch niezawodnie by ją zgasił. Często tylko staje się sarkastycznym mimo

woli, serce jego bowiem nikogo pewnie urazić nie chce, — znać dużo cierpiał i zapomnieć tego nie może, — sarkazm jego zdaje się być skutkiem doznanych złudzeń. Wątpię, by się mógł pozbyć tego cienia charakteru, zresztą jak iza czystego; chyba że nam rzeczy dobrze pójdą, wtedy pan Władysław innym się stanie.

Lecz dość już tego, gotowi mnie powiesić moi towarzysze, jeśli ten dziennik kiedy dostanie się w ich ręce. Jestem rozdrażniony, czasami wszystkich wytrułbym, a potem siebie samego. Trudno przy takim usposobieniu nie uchybić czasem jednemu lub drugiemu, dlatego lepiej dać spokój.

**20. kwietnia.** Będziemy mieli pojedynek. Malisz w jakimś gronie wykrył łotrowstwa Zerboniego. — Zerboni wyzywa Malisza na pojedynek. — Śliczna historia! — Deputacya, chcąc oszczędzić szanowne życie swego członka, kazała mu wynieść się jak najprędzej.

Znów długa dyskusya o kwestyi pańszczyźnianej, — która po przeczytaniu rozmaitych projektów spełzła na niczem. Stanoło na tem, by każdy ogłaszał darowanie pańszczyzny, jak mu się podoba; — kochany nasz książę zaczyna mieć muchy w nosie, trzeba się trochę wziąć do niego, — od niejakiego czasu jak się upsze, to ani rusz; a przytem wcale nie po pańsku, lecz á la démocrate grubiaństwa swym przeciwnikom daje. Dobrze wiedzieć, będziem odtąd demokratami.

Lubomirski porzuca nas i wyprowadza się do swego pałacu: Mölkerbasthei Nr. 1165 — Wzywa mię, bym się do niego sprowadził. Nie głupim.

Przybyła tu deputacya węgierska, która przywiozła swą chorągiew dla tutejszych mieszczan. Dziś w ubiorach swych malowniczych, w kilku szeregach postępując między szpalerem gwardyi miejskiej, nieśli chorągiew do arsenału miejskiego. Tam Węgier miał przemowę, w której często powtarzał słowo „Tyrano“. Hojos, naczelny wódz gwardyi zgorszony tem, napomniał go, żeby się przyzwoiciej wyrażał. Na co inny Węgier tłumaczył pierwszego, iż to słowo nie ściąga się na cesarza, któremu Węgry dały niedawno dowód miłości, lecz na Metternicha i jego zwolenników, a gdy Hojos obstawał przy swoim, wszczął się

ogromny hałas, a młody jakiś Słowak grożąc mu pięścią wrzeszczał: „Du bist ein Aristokrat, du nim dich in Acht. Herunter mit Hojos“, akompaniowały tysiące głosów. Zdaje się, że panowanie Hojosa niedługo potrwa.

Wieczorem było wielkie zgromadzenie inteligencji tutejszej; szło o to, czy Niemcy mają być Bundesstaatem czy Staatenbund. Filistry były za Staatenbund, gdyż tym sposobem ratować by się dała Austria jako państwo. Cały Gewerbsverein był za Staatenbund, a nawet w Leseverein była mniejszość groźna. Widać cuius spiritus sunt tutaj ludzie, — dziś wieczór powywieszano zaraz gdzieniegdzie obok niemieckiej chorągwi, chorągiew austriacką, t. j. czarno-żółtą i podobne przypinano kokardy.

**21 kwietnia.** Przyszedł jakiś młody literat cieszyński z manuskryptem pisanym po polsku. Dowiedzieliśmy się, że w Szląsku graniczącym z Galicyą, inteligencja jest za przyłączeniem do Polski. Daj Boże! W Cieszynie wywieszono chorągiew polską na ratuszu. Opowiadał nam, jak młodzież szkolna cieszyńska skupowała książki polskie, jak je konfiskowano, — miły Boże, a my o tem nic nie wiedzieli. Manuskrypt będzie drukowany w zakładzie biblioteki Ossolińskich.

Przyszedłszy do domu, po sesyi, na której debatowano o odezwie do tutejszych stanów, również o skomunikowaniu się z posłem francuskim, belgijskim i angielskim, jakoteż o deputacyach do Pesztu, Belgradu i Pragi, otrzymałem od odzwiernego list od Aleksandra Sękowskiego, w którym mi donosi o zawiązaniu Rady narodowej. Ożyłem i zapomniałem o nieszczęsnych naszych dyskusjach, kończących się zwykle na niczem. Bogu dzięki będzie więc organ jakiś narodowy. Piękna myśl, dzięki temu .kto ją począł i do skutku przyprowadził. Miałbym przeciw niektórym członkom wiele do zarzucenia, lecz spodziewam się, że się oczyści. Co tam robi Darowski, Menkes i tym podobni, — chyba chciano świata oczy zamydlić. Dziwna rzecz, że Dzierzkowskiego i Hubickiego nie ma dotąd we Lwowie.

Dziś tak byłem kontent, że się po południu nawet na Chwaliboga nie gniewałem, protestującego przeciw deputacyi do Belgradu, jako grożącej zgubą Ojczyźnie. Wyrzekł się dziś imienia pacyfikatora.

Serdecznie też pożegnałem się ze Smągłowskim, tym mistykiem zarozumiałym, który powstając przeciw przesądom, trzyma się form skamieniałych i nadskakuje jak lokaj księciu Jerzemu. Piękny komplement powiedział mi przy odjeździe ten człowiek, zawsze pełen tajemniczości i przeczuć. Powiedział mi, że poznał we mnie geniusz podobny do Pola, że tylko dwa zna geniusze: Pola i mnie. Pol się sprzeniewierzył, mimo że Smągłowski tyle pracował nad nim, mnie napominał, bym pozostał wierny sprawie ojczystej. Otóż macie! dowiedziałem się że jestem geniuszem, dowiedziałem się od człowieka, któremu dałem do poznania, że go nie bardzo lubię, dowiedziałem się nad to, że mój geniusz jest tego samego rodzaju, jak geniusz Pola... — niech mię Bóg ma w swej opiece. Już mi raz ktoś powiedział, że m z twarzy podobny do Pola, co mnie niebardzo ucieszyło, doczekałem się tego, że mi przypisują geniusz Pola!

**22 kwietnia.** Deputacya chodzi odwiedzać groby Pańskie, — dobrej podróży.

**23 kwietnia.** Wielkanoc, więc ferye. Jadłem jajko święcone. Pocziwy kapitan Zbyszewski zrobił nam tę surpryzę. Jest to dzieciństwo, ale wspomnienia świąt tych odbytych w gronie krewnych, rozrzewnia mimo wszelkiego rozumowania. I mnie się łzy w oczach zakręciły, gdym pod „rothen Igel“ jadł święcone jajko, daleko od krewnych, daleko od rodzinnej ziemi.

Podczas gdy deputacya nabożna odwiedzała groby, mniej nabożni starali się nawiązać bliższe stosunki z tutejszymi literatami i znakomitszymi liberałami.

Saphir, Kern, Schwarzer, redaktor „der allg. öst. Zeitung“, Messenhauser i inni przyjęli nasze odwiedziny, wszyscy bardzo grzeczni, wszyscy sprzyjający sprawie naszej, a wszelako trzymający artykuły nasze po tygodniu, nim je wciągnęli w kolumny.

Celem naszych wizyt było wywołać deputacyę Wiedeńców dla poparcia naszej sprawy. Otwarcie nie wygadywaliśmy się z tem, nie chcieliśmy bowiem żebrać wsparcia, a zrozumieć nikt nas nie chciał.

A ponieważ Burian, ziomek nasz tak wielki miał wpływ w rewolucyi marcowej, a teraz u mieszczan, jak mówią jest lu-

biany, udaliśmy się ja i Dylas do pana Buriana. Godzinę blisko rozmawialiśmy, po większej części po niemiecku, ziomek bowiem nasz źle się wyraża po polsku. Trzy razy zaczepialiśmy kwestyę Staatenbundu i Bundesstaat, jako najstosowniejszą do sprowadzenia naszej kwestyi na pole rozmowy, kto bowiem jest za Bundesstaat, musi chcieć niepodległości Polski, a staraliśmy się wszystkim perswadować, że nie powinni być za Staatesbunden, wtedy bowiem Austria, pozostając państwem silnem niemieckim, musiałaby najszkodliwszy wpływ wywierać na Niemcy. Ale cóż, pan Burian tak zajęta ma głowę czakami i uniformami swej kompanii, że zdaje się nawet nie wiedzieć, iż agituje się we Wiedniu kwestya: Staatenbund, — Bundesstaat, — ciągle nam prawił o gwardyi narodowej.

Albo bardzo wielki polityk, nie chciał wdawać się z nami w tę kwestyę, by się nie wygadał może przedwcześnie, co przy jego młodym wieku nie jest prawdopodobnem, — albo go Niemcy, dawszy mu kompanię gwardyi tak zabili, że istotnie skończył już swą karyerę, jako kapitan gwardyi narodowej. Ta ostatnia suppozycja jest prawdopodobniejszą, chociaż faktem bardzo smutnym.

Czytam właśnie gazetę angielską „Express“, adres nasz z 6-go kwietnia w całej objętości umieszczony, z ogromnymi pochwałami. Bogu dzięki, jeśli w kraju na nas będą psy wieszac, a tego trzeba się spodziewać, dla jednych bowiem jest za mało, dla drugich za dużo, — to przynajmniej za granicą nam oddają sprawiedliwość.

Niemcy mówią: dass wir keine Staatsmänner sind, być może, a przecież ci sami Niemcy mówią, że nasz adres tak filuternie ułożony, że nibyto bardzo mało żądamy i tylko to co słuszne, a przecież jest w tym adresie coś, co daje do zrozumienia, że my bardzo wiele, bo właściwie żądamy oderwania się Galicji.

Inni znów mówią, dass wir zu naiv sind, — wie kann man sagen: wir wollen unter deinem Schutz so lange bleiben, bis wir stark genug sind, um uns trennen zu können. Niema co mówić, to jest najwinnie, ale trudno było zamilczeć tego, że chcemy stać się niepodległymi.

Bądź co bądź, den Philistern schmeckt unsere Lust nach Unabhängigkeit nicht; — Galizien ist doch eine schöne Perle in

der Krone Oesterreich gewesen. Wenn Oesterreich, Italien und Galizien verliert, und Ungarn fast unabhängig erklärt, was bleibt da für Oesterreich? Was wird dann aus Wien? Hier steckt der Teufel!

Niema co spodziewać się od sympatyi Wiedeńczyków, jeśli sami się nie wybawimy, to Wiedeńczycy nam pewnie do niepodległości naszej nie pomogą — trotz des Bundesstaat und den vergossenen Thränen für das arme, für das heldenmüthige Polen!

Otrzymujemy list od jakiegoś pana Gąsiorowskiego, — przestrzega nas, abyśmy nie wpuszczali się za daleko z Madziarami, bo godzina dla Madziarów wybiła. Kto jest p. Gąsiorowski, nikt go z nas nie zna, — skąd on nas zna. Czy się poznał z Lubomirskim, gdy ten był w Preszburgu, czy w istocie sprawa madziarska tak źle stoi? Czy to tylko manewr, wywołany przez naszego pana prezesa, chorującego troszeczkę na panslawizm?

Okaze się później — zresztą odjeżdżają jutro Dylewski, Skal., Leligidowicz, Homolacz i Siedmiogrodzki do Węgier, odzyskują tego nieznanego protektora naszego.

Pocziwy Aleksander, jeden o nas nie zapomina. Przysłał mi 1-szy nr. rady narodowej.

Nadesłano nam sprawę Cmyłowską. — O zgrozo! więc system Kryga występuje już jawnie. Miejcie się na ostrożności panowie urzędnicy, żeby wam na złe nie wyszło. Rok 1848 nie jest rokiem 1846. Teraz wam mordy nie ujdą bezkarnie. Krew w r. 1846 przez was przelana, może być pomszczoną w r. 1848 na was i dzieciach waszych. Napisałem artykuł do gazety, wyświecający postępowanie naszych konstytucyjnych urzędników, zaczawszy od Stadiona aż do żandarma, nie szczędziłem pana Pillersdorfa, a na dowód przetłumaczyłem sprawę Cmyłowską (Neueste Ereignisse in Galizien). Niema innej rady, trzeba pisać, to broń nasza jedyna, będę nią walczył, chociaż jeszcze nie wćwiczony, ale gdy człowiek od serca pisze, nie może źle pisać.

**24 kwietnia.** Wziąłem się do pisania artykułów, będę więc pisał. Podąłem dziś artykuł: „Einige Worte über die Art, wie man die allh. Verordnungen in Galizien auslegt“, tyczy się cyrkularza względem organizacyi gwardyi narodowej we Lwowie i w miastach cyrkularnych.



Co to za łajdak ten Stadion, co za głupia bestya, — poczekaj, będziesz ty ministrem. Zjesz djabła, już my ci uszyjemy buty.

Grzmi muzyka, hałas na ulicy niesłychany, otwieram okno, tysiące ludu ciśnie się ulicą. Czeladź murarska z chorągwią cechu i chorągwią niemiecką w szeregach, z kijami w rękach, ciągnie do kościoła. Widoczna demonstracya, jaki cel niewiadomo. Mieszczanie się trwożą.

Do południa zaczynają coś przebąkiwać o powstaniu. Zimmerkellner mówi, że czeladź wszystkich cechów weszła pod pozorem nabożeństwa do miasta, że ma być w nocy powstanie, powstanie nie studentów w rękawiczkach, lecz powstanie czeladzi w bluzach.

Czego my się tu doczekamy!

Wojsko dostało rozkaz udać się statkiem parowym do Pesztu, mówią że powstanie w Peszcie wybuchło, w jakim celu, nikt nie wie. Zdaje się, że to bąk puszczoney by zastraszyć Wiedeń. Albo istotnie tu przygotowują powstanie, albo rząd chce zrobić coup d'état. Zobaczymy.

Co za dzień, zewsząd okropne wieści. Jakiś p. Brzozowski przylatuje do mnie, by się dowiedzieć, czy nie mamy wiadomości z Krakowa. Właśnie co przyjechał ztamtąd, na kolei żelaznej słyszał, jak dwóch oficerów austriackich rozmawiało między sobą, że Moskale na Wielkanoc mają wkroczyć do Krakowa. Am 23. wird das Loos Krakau entschieden, — die Russen stehen an der Grenze mit Kanonen, Infanterie und Kavalerie; wir werden uns zum Schein ein bishen vertheidigen, u. ziehen uns nach Podgórze zurück. Zobaczymy.

Spać trudno, — czekam rewolucyi. Pohorecki radzi, by pójść spać i świece pogasić, że to najlepiej. Dalibóg nieźle radzi deputat kochany, ale ja nie deputat, chciałbym widzieć jak to wygląda walka barykadowa.

Jedynasta godzina, przyszedłem właśnie z Placu Szczepana, głucho i cicho, na ulicach próżno.

Zapaliłem fajkę. Bam-bam-bam.

Aha! — skoczyłem jak ukropem zlany, jest już hasło, biją na gwałt — i szust na ulicę! Cicho i pusto!

Ktoś umarł, to sygnaturka dzwoni za duszę zmarłego.

Jak zmyty wróciłem i już nie myślę o rewolucyi, rozebrałem się i kładę się spać.

Jeśli będzie rewolucya, to mnie zbudzą armaty.

**25 kwietnia.** Dzień urodzin cesarza. Na Josephstädter Glacis stoi gwardya narodowa, mówią 16.000. Wojsko ją otacza po skrzydłach, tyłem stoi konnica, z baszt jeżą się armaty, zdaje się że ją chcą złowić w matnię.

Krążyły nawet wieści, że chcą ją rozbroić. Akademia ostro nabiła broń.

Lecz nie rozbiją jej, to podła gwardya, wrzeszczy wiwat za przyjazdem każdego generała, każdego pieczeniarza dworskiego. Dają znać, że jedzie arcyksiążę Karol, już wieją chustki białe, już odzywają się okrzyki, objeżdża szeregi gwardyi narodowej i wojska liniowego (13.000), pierwsza silniej nawet wrzeszczy, jak to ostatnie. Nadjechała i arcyksiężna Zofia ze świtą w parokonnnych koczach. Nowe okrzyki.

Macie za co krzyżeć, obwieszczono dziś konstytucyę, którzy murzyni pogrążeni w niewoli pogardzili, a wy wiwat krzyzcicie, — o hańbo!

Do południa trwała parada, defilowano w Burgu przed cesarzem, witano go radosnymi okrzykami, dziękowan o za farsę konstytucyjną.

Po objedzie zdecydowaliśmy założyć protest przeciw wcieleniu Galicyi do sejmu wiedeńskiego. Śliczna gwarancya narodowości, kiedy o prawach naszych mają decydować Niemcy w Wiedniu. To lepsze, niż Traktat wiedeński.

Wieczorem poczciwy Leseverein zrobił Fackelzug cesarzowi na cześć konstytucyi. Niesiono emblemata rozmaite, między innymi pozłożoną głowę cesarza na kiju.... Śpiewano pieśni patryotyczne, miasto było niby to oświetlone.

Przekonałem się żeś niesłuszność zrobił wiedeńczykom sądząc ich po okrzykach gwardyi narodowej. Przy Fackelzugu tak mało było udziału, że Niemcy sami mówili: man begräbt die Constitution, — właściwie powinni ją spalić jak Pressgesetz. Lecz niestety akademię opanował duch reakcyi, — biedna młodzież szarpie się, jak mucha osnuta przez pająka.

Syn Franciszka Karola, pojechał wczoraj do Włoch mścić się na buntownikach, widać nie chciał być przy ogłoszeniu nawet tego cienia konstytucyi. Piękne widoki, wszak to przyszły następca tronu.

Przyszedłszy do domu przetłumaczyłem protest nasz przeciw zwołaniu sejmu lwowskiego, — trzeba go teraz podać do gazet tutejszych, niech wiedzą co sądzi Galicya o Prowinzielstände, które konstytucya zdaje się potwierdzać.

Słychać że w Preszburgu żydów wyrznięto. Niemcy się wściekają, wszak mieszkańcy Preszburga to Niemcy, dowodzili rzezi, „angesehene Bürger“, trudno więc zrzucić ten haniebny czyn na Madziarów. Posłali tutejsi patryoci komisję, by naoznie się przekonać o tem, co tam zaszło.

**26 kwietnia** Poznałem Choińskiego, emigranta osiadłego w Paryżu, współpracownika Constitutionell'a. Bardzo dorzeczny człowiek, w przeciągu kilkugodzinnej z nami rozmowy, sądził o naszych rzeczach tak, jak gdyby ciągle bawił w Galicyi. Takich nam dajcie emigrantów!

Sztur odpisał nam na zapytanie uczynione względem stosunków czeskich. A więc Czesi chcą Wiedeń zczesyć istotnie, Szczęść Boże! — Komitet praski zagarnął prawie wszystkie władze krajowe; arystokracya zdaje się w opozycyi i niedziw, wszak szlachta czeska jest niemiecką, — deutsch Bömaki, wybierają deputowanych do Frankfurtu. — Czesi o rzeszy niemieckiej nic nie chcą wiedzieć, oni chcą Austrii, którą spodziewają się zmienić w carstwo czeskie, — Słowiańsko Illirskie. Jeszcze raz: Szczęść Boże!

Poznałem także pana Dąbskiego, — totumfackiego Czartoryskiego. Śliczna lalunia, — śmierdzi Czartoryjczykiem na 100 kroków. Byliśmy ostrożni, on nie bardzo powierzający się, rozeszliśmy się więc z niczem.

Po południu czeladź z rozmaitych cechów, najwięcej zaś piekarska z rozmaitemi chorągwiemi, a wszystko kolorów niemieckich, szła procesją przez plac św. Szczepana do Burgu, — mówią, by podziękować za konstytucję. Nieśli także chorągiew z napisem: Türken.....\*) 1683, jest własnością cechu piekarskiego.

Czy sądzą że konstytucya oswobodziła Wiedeń od nowych Turków (biurokratów), jak niegdyś Sobieski od prawdziwych Turków. Mylą się biedacy; będą oni płakać nie długo na tę konstytucję, — o biednej czeladzi ani słowem nie zrobiono tam wzmianki. — O cieszcie się biedaki, macie z czego!

---

\*) Manuskrypt nieczytelny.

**Dnia 27 kwietnia.** Aha, zaczynają się ruszać Niemcy.

Die neu Zeit rozbiera nową konstytucję — i dziwna rzecz te same robi komenta, które ja wczoraj robiłem zasiadłszy z Biesiadeckim.

Oddrukowali referat Stanów austriackich i porównują go z konstytucją, która niczem nie jest nawet w porównaniu z tym referatem.

Wyprzedzają nas tym sposobem z protestem; — i oni protestują przeciw wcieleniu Galicyi.

My też także wypracowaliśmy protest, po długich kłótniach po kilkakrotnem przerobieniu, przyjęliśmy go dla świętej zgody więcej niż z przekonania, że jest dobry; zresztą uderza przynajmniej w nim punkt najgłówniejszy — o resztę mniejsza.

Borkowski napisał piorunujący protest. Deputacya go uważała za ostry, — drukuje go więc od siebie.

Nasz podaliśmy także do druku.

**Dnia 28 kwietnia.** Boże co za dzień, ile sprzecznych uczuć, więcej takich dni, a możnaby zmysły stracić.

O 10-tej mieliśmy się zejść u Lubomirskiego, by ostatni raz jeszcze przejść projekt protestu, oraz ułożyć prośbę dla deputacyi z Krakowa przybyłej względem emigracyi.

Ledwieśmy odczytali projekt protestu, wlatuje Luczkiewicz akademik krakowski, z doniesieniem, że Kraków Austriacy po okropnej rzezi zburzyli. Co? jak? kiedy? pytamy się. Wyjechałem, mówi, o 10-tej z rana 26-go wszystko było spokojnie, — 25-go Kriega zmuszono w komitecie, iż podpisał uwolnienie 60 emigrantów, których przytrzymano na komorze, oraz przyrzekł rozdać broń dla gwardyi w następny dzień t. j. 26-go. Tymczasem o 4-tej po popołudniu po moim odjeździe, wojsko rzuciło się na lud, zaczęła się walka, wojsko widząc że nie żarty, utraciwszy do 30 ludzi udało się na zamek, zabarykadowało się i zaczęło bombardować miasto, rzucając nań bomby i rakiety kongrewskie. Trzech świadków naocznych przybyło, właśnie widziałem ich na dworcu, pospieszyłem tutaj, oni zaraz przybędą.

Można sobie wyobrazić jakie to na nas zrobiło wrażenie. Wieść piorunem rozbiegła się po mieście tak dalece, że komitet Akademii tutejszej wysłał do deputacyi jednego z członków, by zasięgnąć rady co mają czynić.

W tym wchodzi jakiś młody człowiek z podrapanym nosem i stłuczonym czołem, przy pałaszu, prowadząc ze sobą drugiego z miną kwaśną, wzrokiem w dół spuszczone, prawą rękę trzymającym za zanadrzem. Oto są bracia, zawołał akademik krakowski, walczyli na barykadach, niech wam opowiedzą. Z miną zuchwałą wystąpił więc ów z pałaszem, a głosem ochrypłym wskazując na swe blizny, zaczął opowiadać mową urywaną, że lud broniąc się przed wściekłością żołnierzy zabarykadował się, że on z najsmielszymi wyszedł przed barykadę, że trzy karabiny odebrał żołnierzom i byłby więcej jeszcze odebrał, lecz czwarty żołnierz uderzył go kolbą w głowę, — tymi trzema karabinami lud rozbroił cały pluton, — na okrzyk hura, pierzchnęła kawalerya, wojsko znikło do zamku strzelając w ucieczkę, przy której to okazji kilkunastu z Krakowian padło. Uciekający na zamek zaczęło wojsko strzelać na miasto, okropne nastąpiło zniszczenie, oni udali się na kolej żelazną, by szukać zemsty w Wiedniu, za gwałt popełniony na Krakowie.

Opowiadanie to bez związku, nienajlepsze na nas zrobiło wrażenie, pytamy akademika krakowskiego, kto jest ten człowiek, mówi nam, że go niezna, lecz że Rudyński go zna, pytamy tego, odpowiada, że go istotnie zna, że był oficerem w wojsku austriackim, że jest dobrym chłopak.

Pytamy dalej jegomości z kwaśną miną, czy także był przy tej aferze. — Jestem, mówi nam po niemiecku, — z polskiej familii, nazywam się Czyński, przybyłem z Emigracji, byłem podczas tej afery, oto dowód i wyciągnął rękę z fraka, pokazując zadraśnięty palec, — wszystko się stało jak opowiada obywatel Żuławski (jegomość z szablą). Postać jego, akcent żydowski, buchający odór wina, takie na mnie zrobiły wrażenie, że nie mogłem oczu oderwać od tego człowieka i gdy wszyscy się rozstąpili, ja sam z oczyma wlepionemi w pana Czyńskiego, zostałem przed nim. Spostrzegłszy niegrzeczność moją, oddaliłem się zostawiwszy pana Czyńskiego samego koło drzwi. — W tej chwili nowe koło utworzyło się w koło Żuławskiego, który opowiadał po niemiecku akademikowi tutejszemu, co się stało w Krakowie; das ist schrecklich, powtarzał pocziwy chłopak, das ist ja unerhört, Krakau soll gerächt werden.

Myśli w głowie zebrać nie mogłem, coś mi szeptało: strzeż się, lecz widziałem wszystkich wzruszonych, milczałem.

Gdzież jest ten trzeci jegomość, zapytano? Pan Ostrowski, odpowiedział Żuławski, jest w oberży zur Nordbahn miał tu za nami pospieszyć. Kto zna pana Ostrowskiego, zapytałem. Ja go znam, odrzekł Lubomirski, zaraz jadę do niego — i wyszedł.

Głuche nastąpiło milczenie, — jak gdyby jedną wiedzeni myślą, udaliśmy się ja i Biesiadecki do wiedeńczyka, dumającego w oknie: Herr, rzekłem mu, übereilen sie nichts, wir kennen die Herren nicht, warten wir was der dritte, der uns bekannt ist, sagen wird.

I poszliśmy z Dolańskim radzić nad protestem. Po kwadransie wraca Lubomirski, — niezastałem Ostrowskiego, pojechał do kąpieli. Za chwilę jadę znów.

Dobrze! pomyślałem sobie, dobra chwila iść do łaźni. I radziliśmy dalej nad protestem, chociaż mi w głowie szumiało, jak 10 wiatraków, a myśli koziołka wywraçały, że trudno było spoić jedną z drugą.

Jeżeli protest ten będzie lichy, to temu winna nowina krakowska. A skończyć trzeba było i podać natychmiast, bo potem co zaszło, stało się koniecznym.

Odjechał znów Lubomirski a ja z Dolańskim wzięliśmy się znów do protestu, reszta bujała z pokoju do pokoju, jak gdyby ich czarci gnali, każdy czuł, że trzeba coś robić, a nikt nie wiedział co. — W tem wchodzi Rottermund, a dowiedziawszy się co się dzieje wpada na nas, krew płynie, bierz dyabli protest, tu o ważniejsze rzeczy idzie i poleciał, — a ja poszedłem do drugiego pokoju, by przerabiać protest.

Nie obojętność to była, bo mi się kolana trzęsły, a co chwila wstawałem od stolika i wychodziłem do salonu w którym zgromadzeni rozprawiali, — o czym — nie słyszałem, kto był, nie widziałem, a przecież pomiędzy nimi przechadzałem się. Podać protest jak najprędzej i wracać do kraju, — ta myśl nie opuszczała mej głowy, innej powziąć nie byłem w stanie. Narzeczcie przyjeżdża pan Ostrowski. Ten miał nam dopiero zdać sprawę z tego co się stało. Po krótkim przywitaniu, salonowiec ten spostrzegłszy wiedeńczyka, zwrócił się do niego i łamaną niemczyzną wzywał do zemsty za krew krakowską i wanda-

liczne zburzenie. Na prośby nasze, by nam opowiedział rzecz całą, odrzekł: Zaraz panowie tylko Ks. Lubomirski nadjedzie, opowiem wtedy wszystko. Czekamy więc przybycia Ks. Jerzego a P. Ostrowski tymczasem peroruje, że trzeba podać adres do cesarza wołając o zemstę, a jeśli tej natychmiast nie otrzymamy, trzeba nam się rozjechać natychmiast po kraju, uzbrajać się w noże, sztylety, kije i co kto może i nieważąc sił naszych na szali zwyczajnej, rzucić się na Austryaków a po ich trupach z bronią im odebraną pójść na Moskali.

Dozwoliliśmy sobie zapytać go, dlaczego mamy to wszystko robić, cóż takiego zaszło w Krakowie, jeszcze nie wiemy dokładnie co spowodowało rzeź krakowską. Zaraz Panowie, tylko Ks. Lubomirski przyjdzie, — musiałbym inaczej dwa razy opowiadać a jestem zmęczony.

I poszedłem, z większym jeszcze jak przedtem nieładem w głowie, przerabiać protest. Co to się znaczy, pytałem się ciągle, a niezadając nawet pracy odpowiedzieć sobie pisałem dalej protest.

Nareszcie przyjechał Lubomirski, zgromadziliśmy się w salonie, a P. Ostrowski usiadłszy na sofie, zaczął ułożoną widocznie ciąć perorę. Siadłem tuż obok niego, nie wiem dlaczego wpatrywałem się w tego człowieka, wzrok jego to prawie obłąkany, to znów bez życia często, na mnie spoczywał, a niedoznane dotąd na mnie robił wrażenie, tak dalece, że nawet nie wiem co z początku mówił, zostało mi tylko wrażenie niesmaku, jakie się czuje na scenie, gdy aktor źle odgrywa swą rolę. Potem przystąpił do rzeczy. 24-go dowiedzieliśmy się, że 60 emigrantów uzbrojonych jedzie do Krakowa, że ich na komorze zatrzymano i broń odebrano. Na tę wiadomość udała się deputacya z komitetu, do której się lud przyłączył, do Kriega, by wydał rozkaz wypuszczenia emigrantów i oddania im broni. Tu Żuławski zauważył, że to się działo 25-go, tak jest, prawda, poprawił Ostrowski. Kriega nie chciał zezwolić, lud zniecierpliwiony wszedł do Kriega i zaprowadził go do komitetu, gdzie ten podpisał rozkaz wypuszczenia emigrantów, nie chciał dać wszelako rozkazu wydania im broni, oraz przyrzekł na domaganie się ludu o broń dla gwardyi narodowej, że nazajutrz wydać rozkaże, co tylko się znajduje w Krakowie, poczem członkowie komitetu uformowali

szpaler i wzięwszy Kriega między ten szpaler, odprowadzili go do domu. Przechodząc koło mieszkania Castilioneego, który już wiedział co zaszło, rzekł Krieg: tous ce que je promis, je le tiendrais. Na co Castilione rzekł po cichu: Cependant c'était forcé — a Krieg odrzekł: c'est vrai, me ja le tiendrais — odprowadzono Kriega do domu, a lud się rozszedł w największym porządku.

Na drugi dzień, tj. 26-go zgromadził się lud koło Sukiennic, żądając przyrzeczonej broni. Neiperg tłumaczył, że jeszcze nie zebrano. Żądał więc lud, by rozdać kosy, które rząd u kupców skonfiskował. Neiperg protestował, mówiąc że da karabiny, lecz trzeba je pozbierać. Zniecierpliwiony lud zaczął nacierać na Sukiennice, gdzie kosy były złożone, wtem wystąpił batalion i bez wszelkiego napomnienia dał ognia do ludu. Tu Ostrowski wyjął chustkę mocno naperfumowaną, potarł sobie nos i zaczął dalej opowiadać tonem deklamującym prawie jednotonnym, zimnym, jak gdyby student z retoryki deklamujący lekcję, — pokazało się więcej piechoty na rynku i mnóstwo konnicy. Przybyła piechota dała ognia w ulicę Grodzką, lud się zaczął rozpierzchać, wojsko za nim w ulicę, tu zaczęto lać gorącą wodę, rzucać meble i co kto miał, padło do 30 żołnierzy, lud zaczął się barykadować, wszczęła się walka przy barykadach, która wszelako niedługo trwała, wojsko przerażone, zaczęło uciekać do zamku, a kawalerya na okrzyk hurra, przez naszych wydany, umknęła.

Mieliśmy tedy miasto wolne, wojsko udało się do zamku i zabarykadowało się. Tu dopiero zaczyna się okrucieństwo niesłychane. Zaczęto rzucać bomby i kongrewskie rakiety; bomba jedna wpadła do domu mojej ciotki Pani Morsztynowej, kobiety która o niczem nie wiedziała i dopiero gdy bomba padła, dowiedziała się, że toczy się bój. Rakiet zapaliła barykadę, zniszczenie groziło całemu miastu, Sukiennice zaczęły się już palić. Tu trzeba było się poświęcić; znaleźli się ludzie, cni obywatele, którzy to na siebie wzięli. Adam Potocki, którego imię odtąd tylko z uszanowaniem nam wymawiać trzeba i Stanisław Jabłonowski, mój towarzysz broni, udali się wśród gradu kul na zamek, by żądać zaprzestania tego wandalizmu. Przypuszczeni do Castilioneego otrzymują odpowiedź, że przestanie bombardować miasto, jeśli emigracja wyjdzie z Krakowa i komitet się wydałi. Wracają, — lud odrzuca te punkta, — idą napowrót do Casti-



lonego, który dyktuje miastu następujące punkta: wyjście emigracyi, rozwiązanie i wyjście komitetu, zniszczenie barykad. Emigracya nie chce się stać powodem zniszczenia Krakowa, komitet rozwiązuje się i postanawia iść w emigracyą, — następuje zawieszenie broni.

A teraz obywatele — ułożyć adres do cesarza, by pomścił Kraków za rzeź, którą Krieg spowodował jako kontynuację rzezi Galicyjskiej — a jeśli nie otrzymamy satysfakcyi, nie macie co siedzieć, — kiedy krew płynie, dyplomacya ustaje, — do kraju, na wasze stanowiska, każdy w swój cyrkuł, zorganizować powstanie, nie rachować sił zwykłą szalą, lecz szalą rozpaczcy, uderzyć na Austryaków, rozbroić, wygnać, wytepić i z bronią im odebraną uderzyć na Moskali. Oto wasza powinność. Ja z kulą armatnią i szczątkami granatu jadę do Francyi, — powiem Francuzom: mówiliście, „niech się Polska ocknie, a jeśli jedna tylko kula upadnie, pójdziemy wam na pomoc“, otóż spełniły się wasze życzenia, spełnijcie teraz wasz obowiązek.

Skończył i powstał, a my siedzieli. Nie wiem czy mowa ta na wszystkich takie zrobiła wrażenie, jak na mnie. Co się zaś mnie tyczy, przyznaję chociaż pojąć nie mogę, prawie żadnego nie czułem współczucia dla Krakowa. Sposób opowiadania Ostrowskiego, sprzeczności w oczy wpadające, mina męczennika Czyńskiego, zuchwało-głupkowata twarz Żuławskiego, który co chwila stawał przed lustrem i sam do siebie się uśmiechał, jak gdyby się cieszył ze zdartej na czole i nosie skóry znamionującej bardziej bójkę karczemną, niż bliznę na barykadach odniesioną, zbieg tych okoliczności wywołały tylko oburzenie przeciw tym trzem oznajmicielom nieszczęść jakie dotknęły Kraków, żadnego zaś przeciw Austryakom.

Po chwili milczenia, Borkowski w największym uniesieniu przystąpił do Ostrowskiego wołając: „To wam żal było domów? Niechby byli zniszczyli Kraków, a gruzy Krakowa inne byłyby wywołały sympatyę jak konwencya haniebna, którąście zawarli. Jak śmiał komitet w takiej chwili rozwiązywać się, jak śmiał Kraków przystawać na wydanie emigrantów, których lada chwila mogą pojmać. Wy mówicie o adresie, o zemście? Poco skarżyć się, jeśliście konwencyę zawarli, a o zemście niech nie gada, kto się bał by mu domu nie uszkodzono, taki bowiem życia nie poświęci“.

„Mój Boże! rzekł Ostrowski, cóż mieliśmy robić, nie mieliśmy broni, rzecz niespodziewanie się stała, nikt nie był przygotowany“. A Żuławski: „Trzema karabinami rozbiliśmy cały pluton, gdybyśmy byli mieli więcej, byłibyśmy wszystkich wypędzili“.

Borkowski: „Przyznaję, że do zamku bez broni szturmować nie można było, ale po co szturmować go, niechby strzelali na miasto, niechby zniszczyli byli cały Kraków, waszym obowiązkiem było siedzieć w domu i dać się zagrzebać w gruzach, a nie kapitulować haniebnie. Parlamentarze, których pan jako bohaterów wystawiasz, są w moich oczach zdrajcami i niczem innym“.

Ostrowski: „Ja ich nie bronię, kiedy pan tak rzeczy widzisz, ale oni działali z poświęceniem własnego życia dla uratowania Krakowa od zagłady“.

Dłużej słuchać nie mogłem, wyszedłem na baszty, by odechnąć trochę, lecz ciągnęło mię napowrót do domu. Gdy wszedłem zastałem Ostrowskiego piszącego, resztę rozprószoną po różnych pokojach. Słabkowski odprowadzał akademika tutejszego mówiąc mu, że o trzeciej da mu opisane całe to zdarzenie.

Przyszedł w tem Louis, a dowiedziawszy się, że i do jego domu bomba wleciała, wyleciał jak strzała i jak się później dowiedzieliśmy, gnany niepokojem o żonę i dzieci pojechał dziś wieczór z powrotem do Krakowa.

Tymczasem zaczęliśmy sobie udzielać nasze spostrzeżenia, niedowierzanie było prawie ogólne, jeden tylko Borkowski nie chciał więcej objaśnień ani dalszych wiadomości, utrzymując, że to cośmy się dowiedzieli od tych Panów jest dostatecznem.

Poniński, który podczas opowiadania tych panów wpadł był w zapał, zaczął wszelako zimniejszą krwią zapatrywać się na te rzeczy i przyznać musiał, że doniesienia te nie mogą nas zaspokoić, że nie powinniśmy nic przedsiębrać nie otrzymawszy lepszych wiadomości.

Było wpół do pierwszej, — wniosłem, — opanowany manią wniesienia jeszcze dziś protestu, aby tę rzecz raz ukończyć. Przeczytano projekt, zgodzili się wszyscy, siadłem więc i zacząłem go pisać na czysto nie troszcząc się niby o to co się dzieje w drugich pokojach, a przecież wychodziłem co kilka minut, fukałem

się na wszystkich, winnych i nie winnych. Przepisawszy go na czysto, wezwąłem przytomnych by podpisali, co też uczyniono. Lubomirskiego tymczasem nie było, pojechał do Didiera, by mu donieść o tem cośmy się dowiedzieli o Krakowie. Żuławski i Czyński znikli, Ostrowski pisał w osobnym pokoju.

My chodziliśmy z jednego pokoju do drugiego, każdy jakby na węglach, każdy czując, że coś się stało co się nie powinno było stać. Wytłumaczył nam to wkrótce Rottermund. Deputacya nie powinna przyjmować nikogo, kogo nie zna i nie słuchać in gremio każdej nowiny, jeśli nie chce być skompromitowaną. Trafił w jądro, — przyznaliśmy wszyscy żeśmy fryce, — ale stało się. Nadszedł półkownik Broniewski, a dowiedziawszy się o tem co się stało zaczął kiwać siwą głową; Ostrowski jest to człowiek nader exaltowany, siedział nawet w domu obłąkanych, tamtych dwóch panów nawet Ostrowski nie zna, poznali się na kolei żelaznej.

Masz babo redutę!

Szczęście, żeśmy się nie zagalopowali, gdybyśmy byli jak żądano poszli z tymi panami do Akademii i zrobili jaką burdę, byłaby woda na młyn dla naszych wrogów, dla których jesteśmy solą w oku. Die Polen sind gekommen um die wiener Jugend aufzuwiegeln, a nużby się pokazało, że historia nam opowiadana fałszywa! Bądź zdrowa wtedy deputacyo! Bądź zdrowa sympatyo w Wiedniu, a głosy przeciw nam dotąd nie śmiejące powstawać, zagłuszyłyby swym złośliwym wrzaskiem wszelkie dotąd za nami przemawiające słowa, wszelkie usprawiedliwienia; kto wie czy i tak już co złego ztąd dla nas nie wyniknie.

Nareszcie nadszedł Lubomirski, nie zastał Didiera, — tymczasem było już wpół do trzeciej, — do Pillersdorffa iść było już zapóźno, postanowiono więc posłać tylko do niego po obiedzie z prośbą, by nam na jutro wyznaczył godzinę do audyencyi.

Poszedłem na obiad, — jeść nie mogłem za to więcej piłem — pojmuję dopiero, że czasem jest potrzeba więcej pić niż zwykle, po raz pierwszy czułem tę potrzebę.

Przyszedłszy do domu, siadłem i spisałem ot to. Idę do Lubomirskiego, ciekawym co się tam dzieje.

Zastałem zgromadzonych już prawie wszystkich. Poniński czytał artykuł przeznaczony do gazety pod tytułem: „Unerhörter

Gewaltstreich“, wyśmiewający łajdackie postępowanie rządu, co do pańszczyzny, którą niedawno jeszcze nam darować nie pozwalał, a teraz sam ją darowuje.

Wtem wszedł Zbyszewski z Rudyńskim i przynieśli „Abendbeilage zur Öster Zeitung“, z krótkim doniesieniem o zajściach krakowskich, które przez nadzwyczajną grzeczność redaktora, natychmiast w drukarni ułożono i w gazecie umieszczono, chociaż kolumny były już zapełnione, tak że jeden artykuł zecer wyrzucić musiał.

Przyniósł nam także korektę protestu.

Rudyński zaś opowiedział o tem co się stało w auli.

W południe już przylepiano po ulicach odezwę do młodzieży, by się zgromadziła w celu naradzenia się o wypadkach krwawych krakowskich i lwowskich.

Licznie też zebrała się młodzież w auli. Colloredo, dowódzca gwardyi akademickiej wystąpił i wzywał młodzież, by nie wierzyła pogłoskom szerzącym się, — es können Aufwiegler sein, die euch zu Unruhen verleiten wollen. Herunter mit ihm, wrzeszczano, wir haben Augenzeugen gesehen an deren Kopfe noch das Blut klebt.

Tu wystąpił Rudyński, a protestując jakoby to były fałszywe wiadomości, oświadczył, że to co tu odczyta, ma od ludzi wiarygodnych i zacnych, którzy byli naoczniemi świadkami tych scen. Potem odczytał historję krakowskich zajść podług tego co Ostrowski był napisał.

Chciał Tomaszek refutować, lecz Rudyński zekpał go, mówiąc, że on jest reakcyonistą, który sławę straciwszy, nie wie co to znaczy, jeśli kto odważa się ręczyć za wiarygodność tego co mówi, sławę swoją.

Brawo Rudyński, brawo, krzyczeli — a Żuławski, który przy końcu tego opowiadania wszedł był do salonu, uściskał Rudyńskiego uśmiechając się tak nienaturalnym i odrażającym uśmiechem, że mi się źle zrobiło.

Oświadczył potem Rudyński, że akademicy przyjdą tu wnet pytać co mają robić. — Coś się nie podobało to naszym donosicielom scen krakowskich, znikli bowiem raptownie — tak, że gdy przepisano tłumaczone na niemiecki język opisanie awantury krakowskiej, przez Ostrowskiego ułożone, a na mój wniosek, by

bez podpisów panów Ostrowskiego, Żuławskiego i Czyńskiego, nie dawać artykułu tego do gazet, żadnego z nich nie było, by mogli podpisem stwierdzić swe doniesienia.

Gdy się to dzieje, przychodzi p. Mikoski, rodem Poznańczyk, jadący ze Stambułu do Poznania po kilkuletnim w Tureczczyźnie pobycie. Mina diabła, twarz opalona, broda gęsta, czarna, nadaje mu typ turecki, — gdyby był w stroju tureckim, przysiągłbym że to Turek. Chce się widzieć z Didierem, mówi że Turcy nadzwyczajnie z nami sympatyzują, — gotowi równocześnie z nami wydać wojnę Moskałowi. — Cependant nikt z nas tego pana nie zna. Zdaje się musi mieć listy rekomandacyjne do Didiera, od tego więc będziemy mogli się dowiedzieć, kto on jest. Dukatów tureckich po 100 piasstrów, pełną ma sakwę, pyta o wexlarza.

I proszę, czy można tu zimną krew zatrzymać. Na dobitkę przychodzi pan Maurycy Potocki z wiadomością, że Stadion na domaganie się Rady narodowej, wydał cyrkularz ogłaszający zniesienie pańszczyzny, w którym stoi, iż to się dzieje za wstawieniem się Panów.

Pytają po tej wieści, czy wypada artykuł Ponińskiego drukować, odzywają się głosy, że teraz nie wypada. — Czy to nie łapka pomyślałem, zdaje się toż samo i Dolański myśleć musiał, — obydwu bowiem zaczęliśmy dowodzić, że wiadomość ta, choćby prawdziwa, nie przeszkadza wydrukowaniu artykułu Ponińskiego, — pewną bowiem jest rzeczą, iż Stadion wydał okólnik, którym ogłasza zniesienie pańszczyzny jako darowiznę cesarza; artykuł więc Ponińskiego, jedynie napisany w tym celu, by okazać lajdactwo rządu tym cyrkularzem udowodnione, zaszkozić nie może. — Co się stanie, nie wiem.

Wyszedłem od Lubomirskiego i udałem się do kawiarni polskiej, by przestrzedz młodzież naszą, aby z powodu tego co zaszło w Krakowie, żadnych kroków nie przedsiębrała, póki nie otrzymamy pewnych wiadomości. Pan Czyński siedział przy stoliku otoczony tłumem słuchaczy, Polaków i Niemców i plótt smalone duby. Wziąłem jednego z chłopców naszych, Tepego malarza, który jak uważałem już rano, bardzo był zajęty panem Żuławskim, a który teraz wtórował w kawiarni panu Czyńskiemu — i powiedziałem mu by uważał co robi, że tego człowieka

nikt nie zna, że nawet nie wiemy czy to co oni mówią jest istotną prawdą (że krew płynęła w Krakowie, to rzecz pewna, są już doniesienia urzędowe). W tym przystąpił jakiś młody Polak i z oburzeniem odezwał się: Panowie, tego człowieka trzeba wyprowadzić stąd, on plecie rzeczy, które nas hańbią, że powinniśmy Niemców wyróżnić i Bóg wie co. — Ruszywszy ramionami i powtórzywszy Tepie, — „widzisz bratku, przestrzeż braci“, poszedłem do stołu, przy którym siedział Czyński i zapytałem, gdzie koledzy jego. Odpowiedział, że pewnie w domu, w hotelu „zur Eisenbahn“, poprosiłem go, by jutro przyszli do nas i podpisali artykuł wzmiankowany dla większego efektu, — co uczynić przyrzekł.

Pożegnawszy go, siadłem do stolika i kazałem sobie dać kawę. Wnet przysiadł się do tego stolika młody jakiś Niemczyk, z twarzą czerstwą, poczciwą, ale niewiele obiecującą. Sie sind vielleicht auch einer von der Krakauer Deputation, zapytał mnie. — Nein ich habe nicht die Ehre dahin zu gehören, odpowiedziałem. — Ach so, sie sind von der polnischen Deputation! Schrecklich, schrecklich, was der Herr dort erzählt von Krakau. Na, powiedziałem, diese Nachrichten sind unverbürgt, wir können diesen Herrn gar nicht, können folglich für das was er erzählt nicht bürgen, — aber es muss doch was wahres dran sein, es steht ja in der Zeitung. — Und was hört man von Lemberg. Es muss schlimm zugehen, krieg eben einen Brief von meinem Bruder, war Staatsbeamter in Lemberg, der schreibt mir von Brünn (er ist bereits auf der Reise nach Wien) tu wyjął list, — dass die Polen nur Eingeborene zu Beamten haben wollen, und da ist er weggereist.

Tu wytłumaczyłem mu, że to tylko nadal żądaliśmy, że teraz tylko wydalenie tych żądamy, co podburzają chłopów.

Ja ich habe gehört, die lumpige Bureaukrazie, aber sagen sie mir, kömnen sie nicht den jungen Hudetz, der ist mein Verwandter, geschieht dem nichts? — Glaubends denn, dass wir Lausbuben sind? — Na, aber von den Bauern meine ich? Vor den Bauern haben sich blos die Polen und die ehrlichen Leute zu fürchten. — Na, der ist ein guter Kerl, — aber sein Vater ist ein Bauernschinder. So kann er sicher sein, dass ihm nichts geschieht, die Beamten sind Freunde von Bauernschindern! Wypiwszy kawę, pożegnałem Niemczyka.

**29. kwietnia.** Przyjechał Dobrzański z Bobeckim ze skargą na Stadioną. Wiele uzyska — i przed kimże to chce się skarżyć? Kruk krukowi oka nie wydzióbie.

Zeszło się nas kilku, by się dowiedzieć, co się we Lwowie święci — trudno; zajęty jedną myślą jakąś, czy skargą na Stadioną, o wypadkach krakowskich, oderwane daje nam odpowiedzi, nikogo nie zaspakajające. W tem wchodzi Rudyński donosząc, że akademia na auli się zebrała i radzi o Krakowie. Dobrzański idzie do auli i tam opowiada co widział przejeżdżając. Akademia kipi. Po wszystkich szynkach i warsztatach, po mieście i przedmieściach rozleciała się młodzież, klnąc na system Metternichowski, jeszcze nie wytępiony.

Widzą to przewodnicy opinii tutejszej, a bojąc się, by młodzież nie wywołała czego we Wiedniu, postanawiają wdać się w tę sprawę. Komitet wszechnicy wysłał Dra Bacha, Dra Goldmarka i jurystę Valentina do deputacy, by się od nas dowiedzieć, co się stało w Krakowie, oraz co my zamyślamy robić. Uwiadamiamy ich, że wiadomości bliższych z Krakowa nie mamy, że wszelako to co Ostrowski opowiadał nam, a Rudyński w auli, sprawdzonem zostało przez naszego członka Dobrzańskiego. Oświadczamy im, że sprawę krakowską, musimy uważać o tyle za sprawę ogólną, ile że w Galicyi toż samo w każdej chwili może nastąpić, jeśli system dawny nie ustąpi, a żądaniom naszym zadość się nie uczyni.

Po czem deputowani wszechnicy oświadczyli nawzajem, iż wszystkie tutejsze komitety zgromadzą się w komitet centralny by naradzić się, co zrobić dla Krakowa i jak poprzeć nasz adres. Żądają przeto byśmy im przygotowali spisane zdarzenia krakowskie ile o nich wiemy, oraz wygotowali memorandum, co się tyczy sprawy Galicyi.

Po ich odejściu Ostrowski zajął się zaraz napisaniem dokładnem wypadków krakowskich. My zaś po krótkiej naradzie co do memorandum, poruczyliśmy napisanie onego Borkowskiemu.

Nieźle rzeczy idą, — staraliśmy się działać pośrednio Deputacyę ze strony wiedeńczyków, — będziemy ją mieli, a tem lepiej dla nas, że nie my się natrącili im, lecz oni do nas przyszli i od nas informować się chcą.

Historia krakowska dyabło Wiedeń zagrzała, wszędzie się

pytają: „Wenn man so in Krakau verfährt, was haben wir zu erwarten?“ — „Was ihr zu erwarten habt?, odpowiadamy, dass man euch niedermetzelt, wenn ihr nicht tüchtig verwärts arbeitet.

Katastrofa po katastrofie, — wlatuje Chwalibóg z listem, w którym donoszą, że we Lwowie 26-go rano Stadion rozgonił Radę narodową, mnóstwo powieził i papiery zabrał.

Oburzenie ogromne, przekleństwa na głowę Stadiona. Do domu jedźmy, do domu, zawołało kilku, nas tu uwodzą, a tam chcą mordować braci naszych.

Hola! zawołał ktoś, wszak dziś 29-go, Rada miała zostać rozwiązana 26-go, niepodobna by wiadomość o tem już doszła do Wiednia; zresztą pokaż list. Patrzymy, — bez podpisu. Skąd dostałeś go, pytamy Chwaliboga. Jakaś pani przyniosła go dziś do wszechnicy. — Rozumiemy, to łapka na nas, chcą nas zatrwożyć, lub pobudzić do jakiegoś kroku nieroztropnego.

Gdzie tam, gdzie tam! — woła Dobrzański, to prawda, ja wiem jak rzeczy stały, gdy wyjeżdżałem. Stadion był mocno rozgniewany na Radę narodową; niezawodnie wiadomość ta jest pewna.

Dziwna rzecz, dlaczego tak broni listu bezimiennego, noszącego cechę fałszu i podstępu. Cokolwiekbądź, być może, że Stadion rozwiązał Radę, jeśli jej tak nie cierpiał, — ale nie może być, aby list ten pochodził ze Lwowa.

Łamiąc sobie głowę różnymi domysłami, poszedłem z Biesiadeckim do francuskiej kawiarni. Nic mu o tem, co się we mnie działo, nie mówiłem, byłem małowównym, roztargnionym, nie pamiętam o czem mi gadał Biesiadecki, gdyśmy usiedli do stolika. Wtem odzywa się głos męski: „Sind sie von der Krakauer Deputation?“ Obejrzałem się, jakiś Niemiec z wąsem dwutygodniowym, z twarzą pocziwą, stał koło mnie. — Nein, odpowiedziałem. — Oh, sie sind von der polnischen Deputation — i usiadł przy nas i zaczął nam opowiadać, że był 18 lat w Jarosławiu przy komisji mundurowej, że nas pokochał i jeśli dostanie pensję, (nazywa się Hauptmann Hicke) wróci do nas. — „Schauts, ich hab euch gern, ihr seids gar so brav, nur eins fehlt euch, ihr seits zu hitzig — bitt' euch, machts keinen dum-



men Streich. Nur Geduld und ihr kriegt alles, aber noch einmal Geduld.

I słusznie mówi, Geduld! ale łatwo Niemcowi mówić o Geduld, — kto przeżył rok 1846 i widzi odradzający się ten rok w Krakowie pod rządem konstytucyjnym, ten nie łatwo znajdzie Geduld. Geduld und ihr kriegt alles? Ja nach etlichen Jahren und das vielleicht, a tymczasem nas mordują.

**30 kwietnia.** Przyjechała deputacya ruska ze Lwowa z protestem przeciw adresowi naszej. Ręka moskiewska widoczna, a z nią połączona austryacka; chcą nas dzielić, czy nie dość już jesteśmy podzieleni. Panie Jachimowicz, przyjdzie nam się kiedyś sprawić, — biada tobie, my przeciw wam nigdyśmy ręki nie podnosili; spiski wasze tłumaczyliśmy jako wpływ dawnych żalów na niesprawiedliwość naszych ojców, ale teraz, kiedyśmy szczerze i przed światem wyrzekli, że chcemy pozostać braćmi, teraz wystąpienie z waszej strony jest zdradą, — jeśli nas nie potraficie zgubić, zginięcie sami, biada wam i nam.

Dobrzański chce napisać adres dla Rusinów nam przychylnych, aby znów protestowali przeciw adresowi tych co tu przyjechali. Nie wiem czyto się na co przyda; chyba by Pillersdorffowi dać jeden dowód więcej, że nasz kraj na tysiąc podzielony frakcyi.

Ad vocem Pillersdorf. Byli u niego dziś akademicy tu-tejsi w lokalnym interesie, jeden z nich Polak; nie wiedział o tem Pillersdorf, — po wysłuchaniu więc zaczął chwalić tutejszą młodzież i tak im powiedział: Ihr seid die Leuchter, mit Verstand sollt ihr voranleuchten, lasst euch daher nicht von euren Gefühlen zu sehr hinreissen. Ich höre es ist da eine Deputation aus Krakau, die sich an auch gewendet hat. Mein Gott, diese polnische Deputationen, jeden Augenblick kommt eine! Aber das sind alles von einer und derselben Partei, die halt von Österreich sich losreissen möchte, und diese Partei zählt kaum 1/10; während 9/10 Österreich mit Leib und Seele ergeben sind und die Trennung von Österreich für ihr grösstes Unglück halten würde. Übrigens meine Herren, es schadet nicht zu wissen, dass das Land Galizien keine Deputation nach Wien geschickt hat, die sich Deputation nennenden Personen, möchten halt ihre Sympatien ausbeuten zu ihren Parteizwecken nicht zum Wohle Galiziens.

Aber, odezwał się jeden z akademików (Polak milczał a był to Pepłowski), Galizien hat gewiss von den Beamten viel erduldet, und das ist es worüber die hier anwesenden Polen klagen.

Sehen sie meine Herren, das heisse ich, sich vom Gefühl hinreissen lassen. Ich versichere sie, die galizischen Beamten sind die Elite und jedes Land würden sich glücklich schätzen, solche Beamten zu besitzen. Aber diese Partei, von der ich rede, kann man mit nichts befriedigen.

A jezuito! z nami grzecznutki, słodziutki — poczekaj, użyjemy my tej rozmowy, by cię zdemaskować, jeśli jeszcze są ludzie, którzy cię nie znają nawskróś.

Otrzymujemy list ze Lwowa, sprawdzają się wiadomości wczorajsze o tyle, że salę radną wyłamano i papiery zabrano.

Dziwna rzecz, więc równocześnie z Krakowem oczywiście i we Lwowie powstanie wywołać chciano. Bo to zaczepka widoczna. Daj Boże, by tylko tyle zimnej krwi młodzież nasza posiadała i nie dała się złapać w sidła stadionowskie. Nur Geduld und ihr bekommt alles! Ja odmieniłbym tylko frazes ten o tyle — Nur Geduld und ihr werdet euch alles noch nehmen! Jestem przekonany, że zimną krwią pokonamy ich, — oni sami chcą zaburzeń, to widoczna, bo widzą że zwyciężyliby w walce materalnej, — niedopuszczajmy więc by przyszło do starcia jakiego, a zwyciężymy — co się spodziewam wkrótce nastąpi. Rzecz na pozór smutna. Wypadki w Krakowie, gwałt we Lwowie a dawno nie byłem tak szczęśliwym. Wypadki krakowskie już zbawienne wywołały dla naszej sprawy kroki, otworzyły się Niemcom oczy, muszą naszą sprawę popierać z własnego interesu, a poparcie z interesu skuteczniejsze, niż poparcie z sympatii. Gwałt popełniony we Lwowie splamił do reszty Stadion a zimna krew, którą nasi zachowali, da przykład dla całego kraju, — oto już przybyli na Sejm, połączyli się z Radą, chociaż przez Stadion rozwiązana. — Stadion pełniąc ten gwałt dał sankcją Radzie narodowej, dał jej powagę jakiejby nawet przez sankcję nie była uzyskała.

Hosanna in excelsis! Kiedy człowiek wesół, figle się czepiają. Idąc z Leszkiem na Basztach, zobaczyliśmy damulkę dzi-

wnej piękności — w czarnej sukni, branzoletka naszych polskich kolorów, prowadziła dwoje małych dzieci. — Czy to matka tych dzieci? Za młoda, za figlarna, bo biegła jak gazela, więc guwernantka. Poszliśmy więc za nią, a widząc, że idzie na Glacis, postanowiliśmy zaczepić ją. Długo wahaliśmy się, nareszcie odważyłem się. Odprowadziliśmy ją do domu: Josefstadt, Hennegasse Nr. 341 Polka, a nie umie po polsku tylko dwa słowa i nie rozumie. Wdowa, a dziatki mówią, że ojciec w mieście. Cudna, młoda, rozkoszna — zrobiliśmy jej jeszcze dziś wizytę. Sapientii! — Piszę artykuł do gazety, o gwałcie na Radzie narodowej popełnionym.

**1 maja.** Udali się członkowie deputacyi do komitetu Wszechnicy, — Dobrzański był naprzód już poszedł. W komitecie serdecznie przywitano nas — i wnet na wniosek Dra Goldmarka, udaliśmy się do komitetu centralnego wiedeńskiego. Kończono właśnie jakąś dyskusję; oświadczono im, że przyszła deputacya nasza; zapytano w jakiej kwestyi przyszła? Oświadczono im, że przyszła, by naradzić się w sprawie Polski, mianowicie Galicyi i Krakowa. Odczytał Poniński memorandum nasze; po krótkich debatach, uchwalono wyznaczyć dla tej kwestyi komisję osobną, która ją ma przygotować i pod ogólną dyskusję poddać 5 t. m., na który to dzień zgromadzi się komitet centralny i udecyduje wraz z nami jakie środki przedsiębrać. Memorandum nasze kończy się tym sposobem, że kwestya krakowska jest wynikiem systematu istniejącego w Galicyi, że konieczną wprawdzie jest rzeczą wyświecić wypadki krakowskie, etc., lecz żeby zapobiedz wypadkom podobnym nadal w Galicyi, trzeba zadość uczynić adresom naszym. Zresztą proszono, byśmy do niektórych allegatów, których złośliwości nie pojmują, nie znając stosunków naszych, dali objaśnienia. Memorandum, allegata i objaśnienia do tych, uchwalono wydrukować.

Gdyśmy powrócili, dowiedzieliśmy się, że Stadion Radę narodową potwierdził i sam prosił, by go do niej przyjąć. Obstupi! Czy ten człowiek zwaryował? Czy to nowa łapka? Zdaje się, że chciał postępowaniem swoim wywołać powstanie, — nie udało mu się, zwinął więc chorągiewkę i robi dobrą minę do złej gry.

Deputacya robi postępy. Babecki dostał od jakiejś nieznanym piękności bilet, nr. domu, nr. pokoju i godzina. Bardzo dobrze, gdyby tylko deputacya w czem innem tak szczęśliwą była.

Bądź cobądź, nie traćmy nadziei — rzeczy nie tak źle stoją. **2 maja.** Dobrzański pojechał z Babeckim do Pesztu z listem rekomandującym od Szarvadego. Szarvady, sekretarz Kosuta, chłopiec młody, niskiego wzrostu z pięknem, pełnem ognia czarnem okiem, brodą szeroką, twarzą miłą, nadzwyczajnie mnie zajął. Był wczoraj u nas, żalił się na partyę słowacko-kroacką, która i Austrii i Rosyi służąc, chce w odmet i przepaść rzucić kraj cały. Szeroko się nad tem rozwodził i trudno mu nie przyznać słuszności.

Szło tu o to, by wyrobić pozwolenie w Ministeryum węgierskim pobytu dla emigracyi. Przyrzekł imieniem narodu węgierskiego, że uzyska emigracya to pozwolenie.

Robił tylko uwagę, że mogliby się ultra Madziarzy obawiać w emigracyi elementu panslawistycznego.

Zrobiłem go uważnym, że emigracya zawsze protestowała przeciw dążnościom panslawistycznym z powodu,  iż panslawizm grozi zniszczeniem niepodległości Polski. ?

Tu Chwalibóg, który nie może wytrzymać, gdy kto mówi, chcąc poprzeć moje zdanie, ruszył konceptem, jak ciele ogonem; zaczął coś bąkać o niepodobieństwie połączenia się Polski z Czechami i Słowianami, ponieważ żądając dla siebie bytu niepodległego, musi się go żądać przez konsekwencyę dla Czechów i Kroatów.— Szarvady wytrzeszczył oczy, — co sobie pomyślał nie wiem, widziałem tylko, że przez kilka jeszcze sekund, gdy już Chwalibóg na wyraźne moje mrugania zamilkł, obcierając ślinę z brody, jeszcze na niego patrzył. I dopiero Chowski wyrwał go z tej kontemplacyi, pytając go, czy to on mu do Paryża nadsyłał artykuły, tyczące się stanu Węgier.

W istocie czułe było przywitanie tych dwóch ludzi, którzy znając się z korespondencyi od paru lat, teraz niespodzianie osobiście się poznali.

Z epizodu tego korzystając, wziąłem Chwaliboga do drugiego pokoju i uciąłem mu kapitułę. Nie pierwsza to, niestety nie będzie ostatnia.

Mimo tego nie gniewamy się z p. Janem, poczciwa dusza, tylko lubi dużo, niezmiernie dużo gadać — a kto dużo mówi, często głupstwo powie, — dawne przysłowie.

Surpryza: Idziemy z Biesiadeckim jak zwykle do kawiarni francuskiej przez plac Szczepana. „30 polnische Deputierte gehenkt!“ wrzasła baba w ucho, — zimno mi się zrobiło, patrzę na Biesiadeckiego, czy on przypadkiem nie upada i sam się za szyję złapałem. Dreisig polnische Deputierte gehenkt in Petersburg — nur 6 kr. — odżyłem, a podziękowawszy przekupce, że nie sprzedaje historii von in Wien gehenkten polnischen Deputierten, dałem 6 kr. a 30 powieszonych deputowanych schowawszy do kieszeni, poszliśmy dalej. Przy kawie przeczytaliśmy sobie tę straszłą awanturę. 30 kwietnia powiesili tedy 30 deputowanych polskich w Petersburgu, a 2 maja już baby wiedeńskie wykrzykują o tem. Jest to spekulacja, ale oraz pamflet, — sens moralny dla nas: widzicie, nie udawajcie się o pomoc do Moskale, on was powieszać każe.

U Lubomirskiego zastaliśmy Tretera i Nikorowicza, wysłanych przez akademię lwowską do tutejszej, dla zawiązania ściślejszych związków. Dałby Bóg, żeby to się na co przydało. Wpływ akademii mocno tu upadł. Partya konserwatywna, jakoto: Leseverein, Gewerbeverein i inne Vereiny wzięły górę nad Akademią i prawie tylko przez grzeczność bez naradzenia się z Akademią żadnych nie robią kroków, wkrótce zdaje się nawet ich do rady przypuszczać nie będą.

Przyszedł także akademik krakowski w mundurze gwardyi akademickiej krakowskiej. Biała krakuska, spodnie dreliszkowe w buty i czapka krakuska z białym orłem i pawiem piórem, — cały mundur kosztuje 36 złp. Jak stosowny! Naszą gwardyę całkiem chcą zwojaczyć mundurami na wojskowość zakrawającymi, a do tego drogimi. Przywiózł w upominku dla akademii tutejszej granatu kawałek i wypaloną racę kongrewską.

Z gazety, którą nam Treter przywiózł, z radością dowiedzieliśmy się o cessyi przyrzeczonego wynagrodzenia za ubytek pańszczyzny na rzecz włościan. Jeśli kiedy wyrządzono figla rządowi, to przez ten krok. Znać my nie takie fryce, za jakich nas mają. Ucieszyła nas niemniej protestacya, którą szlachta podała przeciw Sejmowi na dawnych zasadach zwołanemu. Bogu dzięki! Otwierają im się oczy! Ale czyż trzeba było, by strach im aż w pięty poszedł. Adres z 18 marca podpisała ze strachu i protestacyę podpisała ze strachu, widząc, że demokracja zaczyna brać górę.

Po obiedzie przyprowadził mi Solański medycyniera tutejszego nazwiskiem Acht, którego już dawniej poznałem, lecz tylko powierzchownie. Boże, — co tam za chaos w tej rudej głowie, co za wściekłość w sercu. Wydał już wyrok na Madziarów i Niemców, a nawet zmartwychwstanie Polski zaprzeczył. Słowianie pochłoną Europę, Polska istnieć nie będzie, bo Polacy nie byli narodem — a państwo, co nie było narodem, gdy raz upadnie, nigdy więcej nie powstanie; dlatego nie powstałi Rzymianie, bo nie byli narodem — Grecy powstałi, bo oni jedni prócz Słowian byli narodem. Niemcy nie są narodem, przeto zginą, — Francuzi zaczynają się wyrabiać na naród, lecz nie wiedzieć czy im się to uda.

Oto są słowa ewangelii świętej pana Achta, podług zdania którego filozofia niemiecka tchnie materyalizmem, a kraje słowiańskie mogą być szczęśliwe pod komunizmem. Amen, Amen dico vobis.

Człowiek ten, w gronie ludzi, jakie takie wykształcenie mających, li tylko za to czem jest uważanym być może, t. j. za głowę exaltowaną, słabą, za człowieka, co tyle niestrawnych zjadł potraw, że je wraz z żólcia i sokami pożywnymi wyrzucić musi. Ale między młodzieżą, między czeladzią, a często między niemi bywa, może stać się niebezpiecznym.

On sam uważa się za proroka, którego ludzie zwykli, w przesądach wyrosłi, pojąć nie są zdolni.

Mamy już i Marata in embrione!

Wczorsem u Lubomirskiego dowiedzieliśmy się, że Esterhazy, węgierski minister spraw zagranicznych, dostał rozkaz żądania spieszego zadośćuczynienia żądaniom naszym z powodu, że inaczej do zaburzeń u nas przyjść musi, które i do Węgiei przejść musiałyby, gdyż stosunek Węgrów do Słowaków jest prawie ten sam, co nas tak nazwanych Polaków do naszych chłopów.

Oto już jeden skutek naszego poselstwa do Pesztu! Żądają dalej od rządu tutejszego, aby jak najspieszniej wojska węgierskie im oddał, inaczej ministeryum węgierskie da rozkaz do pułków za granicą stojących, by wróciły do domu. Do Włoch, klub patyotyczny węgierski wysłać miał odezwę do pułków węgierskich, w której za zdracę każdego Włocha uważają, który przeciw Włochom walczyć będzie.

Bravissimo! Co raz lepiej. Ale cóż, kiedy Kroaci i Słowacy wściekają się; przyszedł właśnie horwacki kleryk, zapaleniec w najwyższym stopniu, nie myślący o niczem, jak tylko o wyćpieniu Madziarów, jeśli mu nie pozwolą mówić na Sejmie po słowiańsku. Prawda, że trudno im odmówić prawa używania języka swego w sprawach publicznych, — ale cóżby to był za sejm. Perswadowaliśmy jak mogli, żeby w dobrej drodze praw swych się dopominali i nie żądali rzeczy prawie niepodobnych na teraz. — Nie! — odpowiedział, węgierska ziemia, to nasza ziemia, Madziary to najeźdźcy, Mangoły, ich 3,000.000, a nas trzy razy tyle, — niech oni uczą się po słowiańsku, albo zginąć muszą. Piękne pojęcie wolności! — ale dobrze tak Węgrom, choć dla nas z zajęć mogących zatargów między Madziarami i Słowakami nic dobrego nie wyniknie. Na głowę Sztura mieli, jak mi opowiadał ten kleryk położyć Madziary 200 fl. Sztur jest zagorzały Słowak karpacki bawi teraz w Pradze; niedawno był w Wiedniu, rozmawiałem z nim i polubiłem mocno; sercem i duszą zdawał się być przychylnym sprawie polskiej, tylko w niej zbawienie dla Słowian węgierskich widział.

Teraz jest w Pradze i marzy wraz z innymi o zczeszeniu Austrii i zrobienia z Wiednia miasta czeskiego podrzędnego.

Madjary utrzymują, że agituje w duchu moskiewskim.

Wydobądźże prawdę!

Rozchodzi się wieść, że Pillersdorf abdykuje. Montekukuli ma go zastąpić.

Stadion miał być powołany na jego miejsce, aleśmy mu buty uszyli.

Mówią także, że Stadion wpadł całkiem w niełaskę, że zostanie odwołanym, — mamy dostać Krausa, — bravissimo, — der wird auch geben! To znaczy, ponieważ Stadion zły, trzeba dać Krausa, jeszcze gorszego.

Piękne widoki dla nas. Ha! cóż robić, zdaje się chcą koniecznie rozlewu krwi, — swojej zguby pewnie, — a może i naszej.

Północ bije.

Kocia serenada jakiej jeszcze Wiedeń nie słyszał, z bębniami, piszczałkami, trąbami rżnie przed arcybiskupem, za to że wstawił się za Ligurianami, oskarżył akademią i żądał powrotu Ligurianów.

Pocziwy Pillersdorf, deputacyi Akademików, która dowiedziawszy się o tem podaniu arcybiskupa (Milde) udała się do Pillersdorfa, oddał to podanie akademikom grzecznie się uśmiechając. Co za jezuitizm: Was soll ich thun, man hat's mir zur Amtshandlung zugewiesen. Akademicy wiedzieli was sie zu thun haben, zrobili kocią muzykę arcybiskupowi, potem Fiquelmontowi, który miał tę bezczelność, że otworzył okno i przypatrywał się tłumowi ludu z kilku tysięcy składającego się i dopiero gdy mu pięściami zagrożono, zrejterował.

**3 maja.** Dziś baby już wołają: die Ligurianer schon wieder da! Guten abend! — Ministryum węgierskie zażądało powrotu wojsk!! Dla uczczenia dnia dzisiejszego jedziemy do Hitzingu na obiad. Wczoraj Sapieha oświadczył deputacyi przez usta Lubomirskiego, że się stawia na usługi narodowej rady.

Ma więc dziś nastąpić pojednanie, zaprosiliśmy na obiad Sapiechę, oraz dwóch Potockich, Adama i Maurycygo, — ciekawy jestem czy będziemy mieli dość siły nad nami, by nie nastąpił jaki nowy wybóch przeciw Sapieże.

Przyjechali do Hitzingu: X. Baczkowski, Bętkowski, Lange, Zamoyski Zdzisław, Sapieha z synem, Potocki Maurycy, Ostrowski Krystyn, Rottermund, kapitan Zbyszewski i deputacya nasza. — Wnoszono różne toasty, pierwszy za emigracyę, potem za zgodę i jedność, potem Ostrowski wznosił zdrowie rzeczypospolitej polskiej, — ja próżnym kielichem spełniłem ten wiwat, — wezwany do tłumaczenia powiedziałem, że pod rzeczpospolitą polską rozumiem dawną Polskę, a tej nie chce, — jeśli chcą pić zdrowie Rzeczypospolitej „w Polsce“ to dobrze, — na co Ostrowski ułożone naprzód wygłosił wiersze, nibyto z okazji mego oświadczenia, wszelako do niego jak pięść do oka zastosowane; potem wniesiono zdrowie duchowieństwa naszego, czemu się znów sprzeciwił Potocki, utrzymując, że tylko duchowieństwo mazowieckie jest warte, by pić jego zdrowie, za co odemnie dostał reprimendę. — Nareszcie Lubomirski wniósł toast za izraelitów naszych, czemu znów oponował Ostrowski, przekonany jednakże przezemnie spełnił puchar. Zakończyło „Kochajmy się“ i rozjechaliśmy się, śpiewając w bramie Schönbrunu „Jeszcze Polska nie zginęła“.

Gotują serenadę kocią dla Fiquelmonta, — daj Boże szczęścia. Hojos miał abdykować.



Dowiedzieliśmy się, że wkrótce otrzymamy odpowiedź na adres, — ciekawym jaką będzie; więc nie będziemy się rozjeżdzać, trzeba czekać na odpowiedź.

**Dnia 4 maja.** Szkoda, że nie byłem na kocie muzyce. Onegdajsza miała być niczem, w porównaniu z wczorajsza. Obchodził więc i Fiquelmont 3. Maja. Przed rozpoczęciem wzywano go by abdykował,\*) . . . . co trzy razy powtarzano. Mówią, iż istotnie przyrzekł, że będzie abdykował. — Arcybiskupowi także oberwało się, poczem muzykanci udali się na Leopoldplatz, by przywitać Kriega, bohatera krakowskiego. Arystokracja wiedeńska mówi, dass polnisches Geld im Spiele war! Dziwna rzecz!

Czy prawda, czy nieprawda, pomścili się dziś na nas wydrukowaniem haniebnego artykułu w Gazecie wiedeńskiej: *Verhältniss der Grundherren zu ihren Bauern*. Te same koncepta, które z głów Sachera, Krausa i Lewińskiego w 1846 kalały dziennikarstwo niemieckie. Widoczna jest złość biurokraty, a podobno Krausa samego, nie wiem czy warto nawet odpowiadać.

W Stanisławowie kocie muzyki nie są uważane jak tu „für gemüthliche Demonstrationen“, mówią że krew płynęła. Boże widzisz, że cierpliwość nasza wielka! Chcą krwi łajdaki — być może, że się jej napiją, ale że w niej utoną, to pewna, chyba że Polacy wynarodowieni do szczytu i spodleni już jak psy!

**Dnia 5 maja.** Wczoraj chciano matce cesarzowej wyprawić kocią muzykę za Ligurianów, — wyperswadowano muzykantom.

Fiquelmont ustąpił swe miejsce Lebzelternowi, — jeden lepszy jak drugi. Mówią, że Pillersdorf jezuickimi manewrami wysunął z gabinetu Fiquelmonta, chcąc tym sposobem zostać prezydentem. I istotnie nim został. Tymczasem wykryto kabałę i dziś się wścieka publiczność na Pillersdorfa.

Akademia całą noc radziła nad konstytucją. Dziś rano wydrukowali swoją petycję, jako rezultat tych obrad: *Herabsetzung des Wahlzensus für die 2-te Kammer, 1-te Kammer wählbar durch das Volk, es wird daher der Kaiser ersucht keine Glieder für die 1-te Kammer zu ernennen.*

---

\*) Manuskrypt nieczytelny.

W Monachium partya republikańska rośnie, chcą rozwiązać kwestyę tę zgodnym sposobem, — głosowaniem. W jednym miejscu wpisują się za rzeczą pospolitą, w drugim za monarchią, większość ma decydować, — nie zły sposób; nie wiem tylko czy mniejszość zechce słuchać spokojnie większości.

Austryaki w skórę wzięli okropnie w Lombardyi, — Szczęść im Boże. Rozpisują rekrutacyę, w Wiedniu kazano się stawić młodzieży na plac asenterunku. Akademia odpisała, że się nie będzie stawiać, ponieważ sejm ma decydować, czy ma być nowa rekrutacya, — bardzo dobrze. Ale cóż biedna Austrya pocznie? We Włoszech w skórę biją, Kroaci żądają swych rabusiów do domu, Węgrzy wrzeszczą całym gardłem, by im wojsko wrócić, grożąc że inaczej sami roześlą rozkazy do powrotu; Bathyani przyjechał tu do Wiednia z okropnem teremtete.

W Poznańskim niestety co raz to gorzej. Stefan Potocki przywiózł nowinę, że Mirosławski pod Miłosławiem pobił 2000 Prusaków; ale cóż z tego, już ciż lepiej że on ich pobił, niż gdyby się stało przeciwnie, — ale zawsze źle, że aż do tego przyszło, że się biją. Ależ bo prawdę powiedziawszy, to łajdaki te Prusaki. Uderzmy się w piersi, a jeśli zechcemy prawdę powiedzieć, to powiemy: każdy Niemiec to łajdak, — udajemy i my i oni jakieś niby to sympaty, ale to nieszczerze, lada głupstwo, a porwiemy się za czuby. Taki sam stosunek i nasz do Wiedeńczyków; niechbyśmy tylko paru Beamtenów powiesili, których oni sami niby to za psów uważają, a znikłaby tak zwana sympatya Wiedeńczyków do nas, jak bańka z mydła, — a jak w Berlinie przeciw Poznańczanom, tak w Wiedniu przeciw nam, formowałyby się Freischaren um die deutschen Brüder zu rächen. — Podłe plemie! Pfui!

Przyjechali nasi posłowie z Węgier, Dylas i Leligdowicz. — Coś bardzo źle z Madziarami, — Kroaci odłączą się; z tą myślą i najzapaleńszy Węgier oswoił się, ale idzie teraz o komitaty południowe węgierskie, które chcą się odłączyć, — idzie o Słowaczną, która wprawdzie nie powstała otwarcie, jak południowe komitaty, ale organizuje się spokojnie, całkiem po słowacku. Tego sobie Madjarzy nie dadzą wyrwać. Jeśli trzeba się będzie bić, mówią, będziemy się bić, zwyciężym lub postawimy z naszych trupów pomnik, że był naród Madziarów,

co zginąć wolał broniąc narodowości, niż dać się przelać w obcy naród.

Tymczasem dawni urzędnicy, księza, nawet magnaci trzymają z Austryą; partya, co stoi u steru dziśby się całkiem oderwała od Austryi, gdyby tylko więcej miała siły. — 1800 wojska, na tak wielki kraj jak Węgry, — to djabło mało, — kto ma walczyć przeciw wrogowi zewnętrznemu i wewnętrznemu. Biedni Madziarzy! Ich położenie, bodaj czy nie smutniejsze niż nasze, — my się wprawdzie dopiero dobijamy wolności i bytu, ale nasza przyszłość pewna; oni niby to mają byt i wolność, lecz widzą przed sobą konieczny upadek.

Czują to Madziarzy, i ztąd ta ich zaciekłość i uporczywość, z którą przyspieszają godzinę, która ma rozstrzygnąć, czy Madziarzy zostaną panami, czy Słowianie pognębią Madziarów.

Czechy inaczej sobie postępują, — Czech to Ulisses słowiański, fałszem żyje. Bronią całości Austryi, jak najzagorzalsi przyjaciele systematu Metternichowskiego, — lecz bronią jej dlatego, by potem ją opanować.

Tymczasem nie tają się z dążeniami Słowiańskimi, na 31 Maja zwołują do Pragi Sejm słowiański na kształt Frankfurckiego.

Nasz komornik Malisz podpisał imieniem deputacyi naszej akt zwołania tego sejmku. Ciekawy jestem co my Polacy na tym sejmie robić będziemy, na którym Czesi, Morawcy i Iliry najgłówniejszą będą odgrywać rolę, wszyscy chcący ginać für die Integrität Österreichs. Radzi nam Malisz, abyśmy się z Czechami łączyli jako z najsilniejszą na teraz prowincją, pisze nam dalej, że o rzeszy niemieckiej nie chcą nic wiedzieć; że jeszcze nie wiedzą czy poszłą na Sejm wiedeński, że żądają ciała prawodawczego czeskiego i osobnego Ministeryum i że zwołują constituantę. Tego wszystkiego, pisze Malisz, radzą nam się domagać, ale nie więcej.

Nie źle radzą, my też na teraz więcej nie żądamy, wszelako nie chcemy pod żadnym warunkiem, aby Wiedeń był naszą stolicą.

Dziś byliśmy znowu w komitecie centralnym. — Dwie kwestye były na dziś przeznaczone i Wahlgesetz für den Reichstag und die polnische Frage. Wiedeńczyki wrzeszczeli: Zuerst die polnische Frage, Lubomirski zaś deprekował, mówiąc, że jeśli

nie wezmą wprzód *Wahlgesetz*, tedy cofniemy naszą sprawą, — a więc aplauzy. Poczem oświadczył Lubomirski, że prawo nasze mówić bardziej będzie za nami, niż przytomność nasza, zostawił więc naszą sprawę ich decyzji i opuściliśmy aulę.

Emigrantów kilku przybyło, — nie chcą ich wpuścić do Poznania, nawet we Wrocławiu nie wolno pozostać. Biedacy, niektórzy porzucili zyskowe posady, by spieszyć w szeregi (jak sądzili) bojowników polskich, a nam się nie śni o boju. Jedni więc wracają do Francji, inni udają się do Węgier.

Lubomirski odjeżdża do Wrocławia, dokąd się ojciec jego udał. — Udecydowano zostawić tu tylko trzech do pilnowania sprawy naszej, zanim Rada nie postanowi czego w tym względzie, — *missya* nasza skończona.

Napisałem prośbę do ministra Latoura, prośbę, by ukarano wojsko dopuszczające się excesów, — jutro pójdzie do gazety.

Słychać, że Bach i Andryani mają zostać ministrami na miejsce Pillersdorfa i Lebzelterna, — czasby już był pozbyć się kreatur Metternichowskich, — ale zawsze zostanie jeszcze Kraus poczciwy.

Jutro mają coś głosić bardzo niespodziewanego, pomyślnego, może powrót Metternicha.

9-ta godzina wieczór, alarm biją, gwardya spieszy na miejsce alarmowe. *Fünfhaus*, mówią, ciągnie na Wiedeń. — 10-ta godzina, wojsko patroluje. — Ma być rewolucya. Mnie się zdaje, że cały ten hałas dlatego, by Pillersdorf nie dostał *Katzenmusik*.

Biedny Biesiadecki, także nie miał kiedy chorować, to teraz Kączkowski pociesza, że to tylko grypa, sądziliśmy że co niebezpieczniejszego.

Robi nadzieję, że wkrótce będzie zdrow, — daj Boże jak najprędzej.

11<sup>1</sup>/<sub>2</sub>, niema rewolucyi, idę spać.

**6-go maja.** Biesiadecki ma się trochę lepiej, dałby Bóg, aby wyzdrowiał jak najprędzej.

Podaliśmy nareszcie skargę na postępowanie wojska w Galicyi, oraz podanie to wydrukować kazaliśmy w gazetach. Ja formalnie zaczynam się kierować na żurnalistę, — idzie oporem, ale przecież już teraz trochę łżej, — bo śmielej, — czyż to koniecznie ma być arcydzieło, co się podaje do druku? Podanie do

Latoura napisałem piorunem, ciekawy jestem jak mi się wyda, gdy będzie wydrukowane; bo to na drugi dzień rzeczy się inaczej wydają, — ale daremna rzecz, tu nie ma czasu piłować artykułów.

Poniński podaje odpowiedź na artykuł onegdajszy gazety wiedeńskiej a la Waidele napisany; nie jest on napisany tak jak być powinien, ale zawsze jest odpowiedni. —

Przyniesiono z druku ustawione w porządku rozporządzenia i protesty dotyczące się sejmu lwowskiego, — daliśmy 200 egzemplarzy do komitetu centralnego — niech pozna, że to nie  $\frac{1}{10}$  część kraju, nie frakcja żąda osobnego prawodawstwa, jak to p. Kraus wperswadował Pillersdorfowi, a nawet p. Gluck czy Huk, referent naszej sprawy w komitecie raczył utrzymywać, za co mu referat odebrano, — jutro ma być nasza kwestya w Komitecie rozstrzygnięta.

Zaczynają, zdaje się, pigułki nasze folgować. Zapewniają, że Pillersdorf posłał rozporządzenie do Galicyi, nakazujące aby poprzestać chłopów urzędownie podburzać.

Mówią dalej, że wskutek naszego pamfletu: unerhörter Gewaltstreich, — tudzież naszych objaśnień do cyrkularzy, tyczących się zakazu darowania pańszczyzny, potem przepisujących głoszenie zniesienia pańszczyzny, nakoniec objaśnień do przemowy przypisanej, któreśmy wydrukowali i po mieście rozsiali, — pan Pillersdorf zmiękł i wydał rozkaz, aby w Galicyi ogłosić chłopom: że cesarz darował pańszczyznę na prośby Panów i że tylko tym chłopom za to wdzięczni być powinni.

Co więcej, powstawania nasze na urzędników i gębą i piórem, zaczynają także działać. Pan Pillersdorf wydaje rozkaz, by wszystkich urzędników, którzy się dopuszczali podburzeń, ściśle śledzono i surowo ukarano.

Na dobitkę przylatują z wiadomością, że Latour już jutro na naszą skargę da odpowiedź zadawalającą, że rozkaże śledzić i ukarać winnych, oraz wyda rozkaz do wojska w Galicyi, by się konstytucyjnie zachowywało.

Są to wieści tylko, ale nam rogi rosna dyabło. Więc pan Pillersdorf zaczynałby się bać tego „klubu“, co chce wicherzyć Wiedeń? (tak nas bowiem nazwał). Nieźleby to było, — gdyby tylko prawda. Bądź co bądź, nam miny przybywa.

Pocziwy Pieniążek znów się pojawił, nie rezonuje wprawdzie, ale za to działa. Przywiózł ze sobą Pana Kohna, doktora i pana Mizerskiego, jakiegoś fanfarona z plenipotencją od rady obwodowej Rzeszowskiej — skażenia kogo im się podoba, jechania do Frankfurtu, Paryża i gdzie za dobre uznają. Śliczne poselstwo. Przymówiłem się do nich wczoraj, ubolewając nad tem, że u nas każdy chce grać rolę posła a przytoczywszy jak się Sz wajbowski, Dzwonkowski i Rosner zbłąznili w Peszcze, dokąd byli się wyrwali, jak Filip z konopi (a zbłąznili się istotnie, jak nam Dylewski i Leligdowicz opowiadają), wykrzyknąłem: Zobaczycie, że my się jeszcze w Frankfurcie zbłąznimy. Nakoniec powiedziałem Pieniążkowi otwarcie, że powinni byli czekać wyborów posła do Frankfurtu z grona Rady narodowej lwowskiej, inaczej bowiem, gdyby każdy cyrkuł dla siebie działał, zjechałoby się do Frankfurtu więcej posłów polskich, niż niemieckich. Na to mi odpowiedział: My nie należymy do Rady lwowskiej, póki był Komitet krakowski, słuchaliśmy go, teraz go nie ma, więc musimy sami sobie radzić. Ależ, mówię mu, Komitet krakowski już posłał do Frankfurtu Trentowskiego, Ledóchowskiego i Bochenka. Eh, co tam, odpowiedział, ale z Galicyi nie ma nikogo — i odszedł. Boże! — i to luminarz całego cyrkułu!

Druga znów deputacya ze Stanisławowa. Dość, że szlachta kontenta, że ma pretekst do przejażdżki. Pan Dąbrowski, jakiś studencina, ciągle o poświęceniu się mówiący i krzywym pałaszem pobrzękujący, którego nigdy już nie złoży, ponieważ ojcowie jego mieli prawo z karabelą chodzić, — ten młodzik mówię, odgrywa tu rolę wysłannika stanisławowskiego. — Czy oszaleli! Taż to znaczy błąźnić się w oczach świata, to już nie mieli kogo innego wysłać. Przywiózł zażalenie się przeciw postępowaniu wojska przy kociej serenadzie; prośba do nas stylizowana, kończy tem, że nas robią odpowiedzialnymi za każdą kroplę krwi, która popłynie w Galicyi. Dalibóg, to za wielki zaszczyt, czy ci ludzie myślą, że my wszechmocni? Gdyby przynajmniej wysłali człowieka, który umie mówić lub pisać, ale nie, przyszłą jakiegoś mazgaja, który nam tylko czas zabiera; my i między sobą dość mamy mazgajów.

Istotnie sprawa sama traci przez to, że ją blązen popiera. I tak zajścia stanisławowskie, hańbiące wojsko nasze i o pomstę

wołające, jakąż mogą wzbudzić sympaty, jeśli je P. Dąbrowski przedstawi.

Wzięliśmy rzecz na siebie, — napisaliśmy prośbę do Latoura, połączyli świeże te wypadki z zajściami w Cucyłowiu i Hostowie i podaliśmy cały ten paszтет Latourowi.

Gdy ta część missyi P. Dąbrowskiego załatwioną została, zrobił P. Dąbrowski wniosek, że wypadaloby aby pojechał do Belgii i zakupił kilka tysięcy karabinów. — Ile masz pieniędzy, pytamy? Podobno w Stanisławowie parę tysięcy zebrano. Dobrze, pomyślałem. Czy masz Pan kredyt w Belgii? — Nie, nie znam tam nikogo, — jeszcze lepiej. — Jakże pan wprowadzisz broń do kraju, gdybyś potrafił ją nabyć w Belgii? — Oto sęk, odpowiada, — ale jaby'm się już temu poświęcił. Otóż mój panie, odpowiedziałem mu, kiedy pan nie masz, ani pieniędzy, ani kredytu, i nie znasz dróg jakimi sprowadzać broń do kraju, niech pan zamiast do Belgii wróci do domu a zostanie tu paręset reńskich, któreby pan na podróż wyekspensował; a znajdują się w Stanisławowie pieniądze, tedy powierczcie tę rzecz jakiemu kupcowi lub człowiekowi mającemu związki za granicą.

Ochłonął trochę młodzieniec i ma pojutrze jechać do Stanisławowa, by się chwalić, że u Latoura uzyskał co chciał, a o sprowadzeniu broni później pomyśli.

Quot capita tot sensus.

Przyjechali Dobrzański, Skolimowski. Dobrzański utrzymuje, że sprawa węgierska jak najlepiej stoi, że Krocacy wprawdzie się chce oderwać i Węgrzy ją tak tylko na wędce trzymają, chcąc ją puścić dopiero wtedy, gdy sami zechcą się oderwać od Austrii, o czem szczerze myślą. Mówią dalej, że Słowacy karpaccy, t. j. lud, przyłgnał do terazniejszego rządu węgierskiego; z powodu zniesionej pańszczyzny, tak że i za 10 lat nie powstaną przeciw Węgom. Węgrzy, jak utrzymuje Dobrzański, widzą i pojmują, że z nami trzymać muszą, jeśli nie chcą zginąć, — jeśli wy staniecie, mówią, jako naród niepodległy, my się pańszawizmu nie boimy. — Polska, Węgry z Wołoszą i Państwo słowiańskie południowe z Serbią i Bułgarią, utworzymy nowy święty alians przeciw Niemcom i Moskalom, a gdzie jest siła, która nas przewycięży wtedy? — Wtedy!

Był u Deaka, głowy ruchu i rządu terazniejszego, ministra sprawiedliwości, w sprawie emigrantów, — teoretycznie kwestya przyjęta, emigracyę przyjmą Węgrzy, choćby mieli na ich utrzymanie podatek nałożyć, — idzie więc tylko o przeprowadzenie tej kwestyi. Teleki i Sekeli, dziennikarze przewodniczący opinii publicznej z duszą, z sercem są za nami i za sprawą emigracyi — daj Boże, aby tylko emigracya tak się sprawowała, aby nam hańby nie zrobiła.

Arystokracya nasza wyprzedziła nas, szukała już przed nami sympatyi u Węgrów, ale że Madziary sami walczą z arystokracyą, nie bardzo ich sprawę popierano. Teraz im się oczy otworzyły, poznali, że tak, jak oni i my walczymy z arystokracyą, przedsięwzięli więc zaraz stosowne kroki; Esterhazemu, którego nasza arystokracya obłęgała i który w jej duchu tutaj miał działać, dodają Rulskiego jako sekretarza (później ma go zastąpić). Rulski rodem Polak, człowiek należący do lewej strony, gorąco się zajmuje sprawą naszą. Jeśli tak jest, wtedy wierzę, że Węgrom gorąco trochę; niezawodną jest rzeczą, że Polska niepodległa ratuje Węgrów, — słusznie więc popierać chcą naszą sprawę. A że wpływ mają u dworu, zdaje się być pewną, jeśli prawdą jest, że nie dali jeszcze odpowiedzi ile długów przyjmą, — ciągle Austryę straszą tem, że żadnych długów nie przyjmą i tym sposobem targują na Austryi co chcą.

Daj Boże, by i dla nas co utargowali.

Wspominali także przybyli z Pesztu o Wańskim, którego nieboszczyk Dymnicki tak zachwalił, — ma to być awanturnik, wyjadacz, łgarz i punktum. Węgrzy wszelako nie mogą mu nic zarzucić, owszem chwalą go, że on jeden z emigracyi pracuje i sam się utrzymuje. Piękna zaleta dla emigracyi — i pociecha dla Ministerjum, że będzie miało 5000 emigrantów, — do karmienia.

Dziś czynni byliśmy jak rzadko prócz tego, że słuchaliśmy sprawozdania Dylewskiego i Dobrzańskiego i projektów Dąbrowskiego, uchwaliliśmy donieść Radzie lwowskiej, że z wyjątkiem 6 członków, którzy do 15 zostaną, reszta odjeżdża (Stąbkowski z tym doniesieniem odjechał).

Stanisławowskiej Radzie odpowiedzieliśmy na jej prośbę, żeśmy do Latoura skargę zanieśli.



Zaś kasynowi sanockiemu w Sanoku,—nie śmieli się nazwać radą, tylko kasynem — i to kasyno przysłało nam plenipotencję, by oskarżyć Pillersdorfa za zniesienie pańszczyzny imieniem rządu, oraz nadesłało nam jakiś długi protest przeciw rozwiązaniu komitetu tamtejszego, abyśmy go wydrukowali (pieniędzy nie przysłali, sądzą, że nasza deputacja tu skarby posiada, a my niezadługo żebrać będziemy, pocziwa nasza Rada lwowska rozrzuciła 20.000 na portki dla potrzebujących i niepotrzebujących wsparcia emigrantów i więźni, z których n. p. p. Wiesiołowski dostał 700 fl. na portki, — nawet grosza nie przysłała nam na opędzenie kosztów druku, które dotąd 1119 fl. wynoszą). Owóż kasynowi temu, tytułując go radą obwodową, napisaliśmy, że skargi ich już za późno przysły, gdyż już ogłoszono po cyrkulach, że pańszczyznę na prośbę Panów zniesiono, a co do komitetu, odesłaliśmy ich do pisma ministeryalnego w gazecie wiedeńskiej z 5 maja ogłoszonego, pozwalającego wyraźnie assocjacye w celach politycznych.

**7 maja.** Komitet centralny oddał swój adres, tyčzący się naszej sprawy, załączając nasze memorandum cum alleg. — Żądają komisji dla Galicyi, żądali od ministra, aby im wolno nawet tajne papiery przezierać.

Ciekawy jestem, czy pozwoli rząd na taką komisję. Zdaje się, że nie, — tem lepiej, będą się Niemcy wściekać, a oraz otworzą się im oczy, poznają co to p. Pillersdorf.

Latour już posłał do Galicyi rozporządzenie, by śledzić sprawę cuchyłowską i stanisławowską, oraz by nakazać wojsku konstytucyjne postępowanie.

W Abendbeilage zur öster. allg. Zeitung, przypisuję naszemu protestowi upadek Fiquelmonta. My tu gotowi do wielkich honorów dojsć — i tak już nas nie nazywają: polnische Deputation, lecz „polnische Agitation“.

Pisze mi Robert, że klasztor Dominikanów na koszary obrócono. Pięknie, Rada narodowa wkrótce na rynku obradować będzie, — tem lepiej. Napisałem zaraz artykuł do gazet tutejszych o tem pięknem postępowaniu.

Przywiózł tu Dobrzański skargę na Stadiona ze strony Rady narodowej — słaba, bardzo słaba; uznał to sam, że trzeba do

niej załączyć konkomitacyę i w tej zastąpić to, czego w samej skardze nie ma. — Wziął to na siebie i pojechał do Schönbunu.

Pisałem do 10<sup>3/4</sup>, ową konkomitacyę za Dobrzańskiego, — teraz wkrótce zebrawszy wrażenia dnia dzisiejszego, trzeba iść spać. — Błogosławieni lekkomyślni! Błogosławieni krzykacze!

**8 maja.** Mówią z pewnością, że Pillersdorf nas do konferencyi zawoła lada dzień — aha — idzie koza do woza! Przecież my nie takie osły, — przewidzieliśmy to naprzód.

Rzeczy teraz się trochę zmieniły; żądaliśmy komitetu bośmy myśleli, że rzeczy w Poznaniu inaczej pójdą. Teraz trzeba siedzieć cicho, a więc przyjmujemy ministeryum krajowe, byle zaraz, przed sejmem nawet krajowym. Ministeryum takie krajowe może poniekąd zastąpić komitet. Wszelako, jeśli nas zawoła, będziemy obstawać przy adresie, a nie zechce dać komitetu (co rzecz pewna), spytamy co nam da? Słowem, będzie się targować, weźmiemy co dadzą. — Długo i szeroko radziliśmy nad tem. Dobrzański coś dyabło spuszcza, on co taki był zajadły, gdyśmy tu przybyli, on największym jest konserwatystą, a nawet reakcyonistą, bo on cofa nasz adres, utrzymuje, że to polityka. Zresztą niech mi daruje, on jest poetą. Śliczne ma pomysły, ale bardzo kiepski polityk, już dlatego, że najmniejszej nie ma konsekwencyi i tak krótką pamięć, że nie wie, co przed kwadransem mówił; skąd często gmatwanie się przy dyskusyi, skąd błędy przez niego nieraz popełniane, które potem musi łątać.

Na wypadek, gdyby nas wezwał Pillersdorf, ma pójść Borowski, Dylewski i ja do konferencyi.

Bogu dzięki, to com wczoraj pisał przez 4 godzin, mogę dzisiaj wrzucić do tranzetu. Dobrzański chce, by deputacya skarżyła od siebie Stadiona. Trzeba więc skargę ułożyć, — do kogo? Pisz Florku. — Zgoda, będę pisał, — tak uchwalono.

I napisałem skargę trzyarkuszową, chociaż przeciwny jestem temu i wotowałem przeciw oskarżeniu. Najpierw nie mamy takich dowodów, jakich od nas żądają, szczególnie pod względem, że to Stadion agitował, te różne deputacye mieszczan, żydów, rusinów wysyłać chciał, lub wysyłał.

Ale chcą, dobrze, napisałem skargę.

Austryaki w skórę biorą, odcięli im drogę od Tyrolu, — chwyt Radetzky der beste österreichische General! — podobno nikt z nich nie wyjdzie.

Westerberg miał zostać ministrem spraw zewnętrznych, dyabło prędko się zużywają panowie ministrowie; żeby to tylko Pillersdorfowi kark skrócić, ale to jezuita!

Ad vocem jezuita! mówią, że jezuita z całego państwa austryackiego wypędzeni.

Niemcy tutejsi w okropnym strachu. Rozchodzą się różne wieści, że Mikołaj Polskę proklamował w dawnych granicach, że wezwał Austryę, by oddała Galicyę i Prusy względem Poznania. Te rządy miały odmówić, więc Moskal bez nich proklamował Polskę. — Baśnie! chociaż, gdyby Mikołaj miał rozum, dawno by już powinien to być zrobić. Bądź, cobądź, Niemcy wściekli.

Aha! Pan Pillersdorf nie zezwolił na komisję żadaną przez komitet centralny. Może im się otworzą oczy, że to nie Stadion, ale Pillersdorf wszystko to robi, co się w Galicyi dzieje. Dałby Bóg, by to poznali! Wielka część Wiedeńczyków nie zna jeszcze co to Pillersdorf.

**9 maja.** Ledwieśmy się zeszli u Lubomirskiego i zasiedli, by jeszcze raz odczytać skargę na Stadioną, przezemnie ułożoną, wchodzi p. Kleye, człowiek przystojny z wąsem (ale nie dopiero po ogłoszeniu ustawy konstytucyjnej zapuszczonym), mający około lat 36.

Zapowiedział był Poniński, że do nas przyjdzie, ale że pan Kleye jak nam wiadomo było, był tylko członkiem stanów austryackich, sądziliśmy, że to będzie zwykła wizyta.

Jakże nas zdziwiło, gdy nam oświadczył, że dziś rano wstąpił do ministryum spraw wewnętrznych i że przychodzi od Pillersdorfa, by zacząć z nami traktować.

Nie byliśmy na to przygotowani, szła więc pierwsza konferencya nie po formie, gadał kto w Boga wierzył, miało to wszelako tę korzyść, że p. Kleye właściwie nic się nie dowiedział, czego chcemy.

Zrobił nam na wstępie zapytanie, czy istotnie myślimyjechać na sejm pruski, narzekając przytem na Czechów, którzy chcą Niemców przydusić.

Mniejwięcej odpowiedziało mu się, że jeśli austryackie ministerium zadość nie uczyni życzeniom naszym, nic nam nie pozostanie, jak szukać pomocy w Pradze.

Bronił się tem, że po obwieszczonej konstytucyi ministerium adresowi naszemu w najgłówniejszym punkcie, t. j. krajowej reprezentacyi, zadość uczynić nie jest w stanie, tłumacząc wszelako, iż zlanie reprezentacyi naszej z Reichstagiem tylko dlatego stało się, że nikt ze stanów galicyjskich nie przyjechał i nie wyrzekł, że tego sobie Galicyi życzy, nareszcie zrobił nadzieję, że na Reichstagu to pewnie otrzymamy, gdyż Niemcy sami nie chcą nas tu mieć na Reichstagu.

Odrzekliśmy mu, że ministerium mogło poznać życzenia kraju z adresu, że to więc tylko wybieg ministra, jeśli się powołuje na niewiadość życzeń narodu. Co się zaś tyczy nadziei, że na Reichstagu otrzymamy osobną reprezentacyę, nadzieja taka dla nas niedostateczną, — jaka bowiem gwarancya, że to przyjdzie do skutku? Jeśli urzędnicy nie zostaną oddaleni i przez to usunięci od wpływu na wybory, przeto samych urzędników poszła na Reichstag, a ci pewnie nie będą żądali reprezentacyi krajowej.

Pytał nas, jakiej gwarancyi więc żądamy? Odpowiedzieliśmy mu, że rząd powinien nam dać koncesyę, których się słusznie domagamy, powinien u nas rozbudzić zaufanie, zbywając go ogólnikami i wieszając psy na urzędnikach nie excypując Stadiona.

Przyznał, że powinniśmy mieć urzędników krajowców, a nawet gubernatora Polaka.

Poczem oświadczywszy, że właśnie przyszła relacya żądana od Stadiona na nasz adres, że przeto przejrzy tę relacyę, przeczyta adres i memorandum (o które prosił), i potem przyjdzie do nas.

Przy odchodzie wspomnieliśmy mu, że mamy wygotowaną skargę na Stadiona, — prosił by się z nią wstrzymać i odszedł z oświadczeniem, że zrobił ze swej strony ministrowi propozycyę dla nas jak najkorzystniejszą.

Więc istotnie sejm Praski i nasze przystąpienie do odezwy Prażanów, napędziło panu ministrowi Piotra?

Tylko wyszedł, zasiedliśmy do stołu, by się przygotować, co żądać przy najbliższej konferencji, wychodząc z tego punktu, iż nic konstytucyi przeciwnego żądać nie wypada, gdyż istotnie ministerium zmienić konstytucyi nie może.

Debaty trwały do 3-ej godziny. Przekonałem się, że poczciwy Dobrzański stracił głowę, plół jak gdyby na mękach, plany jego i twierdzenia zbijały jeden drugi, to tylko widocznem było, że z Ultra stał się konserwatystą, tak dalece, że Chwalibóg urażony, iż mu odbiera urząd pacyfikatora, okrutnie go zbeszał, za co Dobrzański zemścił się, łajac go że chodzi potajemnie do wyższych urzędników (Wacława z Oleska) i z nimi potajemnie jakieś konszachty knuje, — gdy ochłonął z gniewu zaczął nam opowiadać co mu wczoraj wieczór ten sam pan Wacław gadał. — A więc on w konszachty wdaje się, bez wiedzy bowiem był u pana Wacława, a biednego Pacyfikatora burczy za to samo przekroczenie karności.

Poszliśmy na obiad, — rozgadał się pan Jan, jako to on we Lwowie w Radzie narodowej i całym mieście po dyktatorsku postępuje, jak Stadion pytał się raz kto jest gubernatorem, czy on czy Dobrzański, — jak każde słowo jego oklaskami przyjmują.

Miły Boże, może grzeszę, ale z bólem serca wyznaję, że bardzo żałuję tę biedną publiczność uczęszczającą do Rady narodowej, jeśli słowom Dobrzańskiego poklaskuje. — Biedny ten Lwów, jeśli Dobrzański może być dyktatorem, — biedna ta gwardya, jeśli jedno słowo przez niego wyrzeczone nadaje kierunek jej postępowaniu.

Zresztą dałby przynajmniej Bóg, aby pan dyktator powolną na jego rozkazy trzodę, nie wpędził w błoto!

O godzinie 4-tej zeszliśmy się znowu i radziliśmy dalej. Dobrzański widząc, że nie we Lwowie, że tu jego mowy nietylko nie są oklaskiwane, ale wprost nedorzecznosciami nazwane, wyniósł się, by jak później dowiedzieliśmy się pójść tam, gdzie Chwalibogowi chodzić zakazał.

Ciekawy jestem, dlaczego wolno Dobrzańskiemu, co nie wolno Chwalibogowi, ale prawda, Dobrzański ma plenipotencję od Rady narodowej, — przepraszam.

Wieczorem, po skończonej sessyi, poszliśmy wszyscy do Homolaczów na herbatę, — pierwszy wieczór deputacyi nie spędzony w kawiarni lub traktyerni.

Wyniosłem się prędko, by spisać czynności dzienne. Przyszedszy do domu zastałem list od Kriegshabera. — Ciekawy tak byłem, że nie mogłem dojść do mej stancyi, — rozpieczętowałem go u Dylewskiego. „Przyjeżdżaj jeśli możesz jak najspieszniej, czekam na ciebie w Bernie, idzie o członka familii i zapobieżenie możnowładztwu antykonstytucyjnemu, — rzecz bardzo ważna“.

Cóż u dyabła, czy pod członkiem familii nie rozumie przypadkiem kogo z deputacyi. Po krótkiej naradzie wziąłem paszport Dylewskiego wizowany do Lwowa, miał bowiem wyjechać jutro, i poprosiwszy o sekret postanowiłem odjechać.

Zacząłem myśleć, czy przypadkiem istotnie jakie niebezpieczeństwo nie grozi, — mówił nam bowiem, że się boi zamachu na życie swoje i dlatego wziął sobie Rubeckiego olbrzyma za towarzysza nieodstępnego.

Północ blisko, — trzeba iść spać, chociaż miałbym dużo jeszcze do pisania. Wspomnieć jeszcze tylko muszę, że Kleyle mówił o katzenmuzyce wyprawionej Fiquelmontowi i mały nam zrobił wyrzut, iż to my sprawcami jesteśmy. Okazaliśmy mu absurdum tego, a on nam przyrzekł dać spis imion Polaków przewodniczących katzenmuzyce i deputacyi, która podczas katzenmuzyki udała się do pomieszkania Fiquelmonta i żądała abdykacyi.

**Berno 10 maja.** Otóż w Bernie „zum schwarzen Adler“ Nr. 11 kontynuje mój dziennik. Parturniut montes. — Wszelako wielkie nieszczęście na biedną głowę poczciwego rotmistrza. 30.000 fl. długów w przeciągu 10 miesięcy, — oto skutki dawania paniczów do wojska, oto skutki pobłażania dzieciom. Przed 10 miesiącami zapłacił 7000 fl., przed rokiem 6000 fl., dawniej po parę tysięcy co rok, a teraz 30.000 fl.

Po herbacie odprowadził mnie stary do mego pokoiku i rozplakał się, dał mi list do Jessera, agenta prowadzącego jego interesa, prosząc bym mu oświadczył, że oficerom płacić nie myśli. — Sam postanowił kwitować, nie chcąc należeć do wojska,

które się składa z oszustów i łotrów. Mądry Polak po szkodzie! I ja się z nim rozplakał, a naszlochawszy się pospołem, pożegnałem biedaka, przyrzekając, że odwiedzę synalka.

Nie mogę ominąć zjawiska jakie widziałem jadąc do Berna. Czterech akademików Słowian jechało w jednym wozie. Po imionach, któremi krzycząca ta gawiedź na siebie wołała, dowiedziałem się, że są Słowianie. Zapytuję więc siedzącego naprzeciw mnie czy jest Czechem. Odpowiada mi, że jest Szlązakiem (Blahy), lecz z pochodzenia Niemcem; a zapytany dokąd jadą, odrzekł że jadę do Ołomuńca dyrygować wyborami do Frankfurtu!

Słowianie apostołami niemieckimi!

My jesteśmy Niemcy, odrzekł — jesteśmy akademicy wiedęscy, myśmy wyrzekli, że Austria musi wcielić się do Rzeszy niemieckiej, — jedziemy między naszymi rodakami popierać zasadę wyrzeczoną przez akademię.

Piękne ma zasady akademia! Szczęśliwej drogi!

**Wiedeń 11 maja.** Jestem więc znów w Wiedniu. Mogę sobie zdać sprawę z spostrzeżeń zrobionych w Bernie. Berno jest Philisterstadt par excellence. Kontenci z Łażanskiego, nie lubią Czechów, exercerują się gwardziści, jak rekruci — a ponieważ pana Łażanskiego razi krzyk pałaszy, więc nie nosi gwardya pałaszy tylko w służbie. Kolory morawskie, czerwono-złote, gdzie-niegdzie powywieszane, zresztą noszone przez gwardyę, której jest przeszło 1000. Oto Berno!

Tymczasem Morawianie pojęli interes własny lepiej jak stołeczne miasto, chcą się złączyć z Czechami a protestują przeciw wcieleniu do Rzeszy niemieckiej. Szlachta morawska, tj. słowiańska, zaczyna przychyłać się trochę do ludu.

Trenem dzisiejszym przyjechało 50 Hanaków, pod dowództwem deputacyi do nich z Czech wysłanej, do Wiednia, by zaprotestować przeciw wcieleniu do Rzeszy niemieckiej. Dziarski to lud ten Hanacki — otwarty, wykształcenia mający więcej niż się spodziewałem, — mówią po niemiecku, nie którzy nawet trochę po łacinie, w tym bowiem języku witali nie którzy Księżdz z Pragi, należącego do deputacyi. — Hanak nie zostanie Niemcem, ale też nie chce być sługą Czechów, chce być postawiony na równi z Czechami. Dla nas Polaków z największymi afek-

tami i sentymentami. Pytają czy przyjedziemy do Pragi, przyrzekają popierać nasze żądania na Reichsstagu itd.

Podczas mej niebytności był u nas Libelt, żałuję mocno, że go nie poznałem, — odjechał dziś do Węgier. Czy ten człowiek oszalał, — chce żebyśmy zrobili w Galicyi powstanie i pojechał w tym celu negocyować w Węgrzech. Zapowiedział nam, że Mierosławski rzuci oddział zbrojny do Galicyi. Szczęść Boże! Czy ci ludzie oślepli! My wszelkimi sposobami staramy się spokój utrzymać, a oni nam przysyłają oddział zbrojny z korpusu rozbitego przez Prusaków. Czy chcą, żeby Galicya pokutowała za błąd popełniony przez Poznańczanów, — a to piękna będzie historia. Więc ci ludzie nie chcą nam wierzyć, że u nas nie pora do powstania. Niechże idą do Galicyi i przekonają się. — To szaleńcy.

Wpadłem w największą dyskusję. — Radzono, by posłać do Węgier, protestować z naszej strony przeciw wszelkim oświadczeniom Libelta, lub kogokolwiek od deputacyi nieupoważnionego; dowiadujemy się bowiem, że tam także p. Adam Potocki był.

Wysłano Ponińskiego i Homolacza.

Z drugiej strony daliśmy Siedmiogrodzkiemu, jadącemu do Wrocławia zlecenie, by jeśli będzie można dostać się do Mierosławskiego wyperswadować mu, że my nie chcemy jego wojska, nie chcemy powstania w Galicyi.

Posiedzenie było burzliwe, — obstawali niektórzy przy tem, by nie dać zaginać Poznańczanom, — przemogła wszelako zimna rozważa, że powstając w Galicyi i Poznańczanów nie zbawimy i siebie zgubimy.

Szkoda że Dobrzański wczoraj odjechał, co by on był na to powiedział?

**12 maja.** Dobre wieści. Ministeryum węgierskie przyrzekło nie wdawać się w naszą sprawę, jeśli cesarz zdesawouje bana kroackiego Jelačica i wyrzeknie zasadę nierozdzielności korony węgierskiej. Ha! — jeśli tak, to wtedy i my możemy mieć wolne ręce co do Słowian. Lubomirski podpisał odezwę Czechów zwołującą na Sejm słowiański jako prezes deputacyi, pod tem wyraźnem zastrzeżeniem, aby i węgierskich deputowanych wezwano,



wszedłszy raz w stosunki z Węgrami, chcieliśmy postępować jak ich przyjaciele, a oni nam buty szyją.

Przyjechał Dzierzkowski z Wrocławia. Opowiada nam dziwa. Dembińskiego klub myśli o rządzie prowizorycznym z Sejmu 1831 roku. Emigracya psy na sobie wiesza, najpoczcwiwi wyjeżdżają. — Poznański komitet coś nie myśli wracać do Poznania, lud widocznie go oskrzydlił, nie ma więc żadnego wpływu w kraju. — Komitet krakowski rozstrzelił się i sam nie wie co chce. — Galicyanie, jako to Komarnicki i Romanowicz wszędzie zacierają, Komarnicki u Dębińskiego przesiaduje a pan Piotr na Radę narodową sroży się, Dzierzkowski zaś oświadczył wszystkim, że nie chce powstania, ani rządu prowizorycznego i zostawiwszy Hubickiego na straży przy Lubomirskim, żeby się nie zdembińszczył, wrócił wieszając psy na wszystkich, a szczególnie na Zienkowiczu i Libelcie; otóż to nasza zgoda.

Opowiada dziwne rzeczy o Lwowie i dyktaturze Dobrzańskiego. Biedny Jaś, — wysłali go ze Lwowa, by się go poprostu pozbyć — poznali się na nim, gdy mówi w Radzie narodowej, słuchacze patrzą jeden na drugiego i łokciem się szturkają, o oklaskach nikt nie myśli — a wpływ? 26-go bał się pójść do akademików, u których żadnego kredytu już nie ma, wysłała więc Rada narodowa Dzierzkowskiego.

Dziwna rzecz! Więc to taka dyktatura? Dziękuję.

Dostałem list od Smolki, chwala Bogu we Lwowie spokój. Przesłał mi artykuł przeciw biurokracyi, — jaki wodnisty! Czy ci ludzie nie mogą się wydobyć z pod obucha? Taki artykuł do dziennika narodowego, ale nie do gazet wiedeńskich.

Biesiadecki zaczyna już wychodzić, ale za to położył się biedny Pacyfikator i Hovard poczcwiwy chory, leży już kilka dni i cierpi brak we wszystkim — przez skromność nawet nie dał nam znać, — przypadkiem dowiedzieliśmy się, — zrobiłem małą składkę i odniosłem poczcwiwcowi co my chudeusze złożyć mogli.

Po obiedzie znowu debaty o konferencyi z Kleylem. Jak my mało umiemy, — a przecież postępujemy widocznie i obrady porządniej idą, i to co się mówi ma więcej sensu. Prawda, że Pacyfikatora nie ma przy debatach i tylko kilku głos zabiera, dla szlachty za transcendentalne są debaty, — tylko Pieniążek

czasem się odezwie zapytaniem: „A jak będzie z dziesięcinami?” — a nie otrzymawszy odpowiedzi zapali fajkę i milczy aż ją wypali, by znów zapytanie swoje powtórzyć.

Przyjazd Dzierzkowskiego ożywił trochę dyskusję, wkrótce jednak przystał na wszystkie nasze uchwały poprzednie, — człowieka tego pojąć jeszcze nie mogę — jakie jego zamiary, jakie cele? Wyjechał był ze Lwowa z rodziną, teraz napowrót jedzie.

Czy to komedia? Zdaje się nie. A więc istotnie nie dowierzał wpływowi Rady narodowej na umysły zapaleńców i obawiał się jakiego nieszczęścia we Lwowie? Emigracja już ma plan gotowy do barykad. — Zacharyasiewicz zagrzewa umysły młodzieży, poczekaj paniczku, trzeba bliżej zajrzeć w oczy; nie musisz ty być bardzo czysty, kiedy tobą Sacher tak się opiekował; czas okaże!

**13 maja.** Po tygodniowej niebytności pokazał się nareszcie Horowitz — wiedząc, że on przychodzi tylko wtedy, gdy dobre ma wieści, zaraz go obsiedliśmy, — co nowego? Nic, — Pereira mówił, że nam dadzą wszystko co się tyczy interesów prowincjonalnych, że gadał o tem z Kleylem i pewny jest, że minister do tego zdania przystąpi.

Dobrze! — a więc rozbieraj co jest ściśle prowincjonalne, by być przygotowanymi. Na tem zeszedł ranek.

Po objęciu debatowano nad listem do Rady narodowej względem wyborów do Reichstagu; — protestować i przygotować do tych wyborów trzeba, rzecz bowiem jasna, że wyborów nie wstrzymamy, trzeba więc przynajmniej zachowując powierchownie godność starać się cichaczem wpłynąć na te wybory, których przeszkodzić nie będziemy wstanie.

Odczytano nareszcie list do Rady, ułożony w tym duchu przez Borkowskiego i uchwalono go posłać Radzie narodowej. Uchwalono nareszcie pójść nazajutrz do Pereiry, zapoznać się z nim (Horowitz dał Borkowskiemu list rekomendacyjny) a potem pójść do Kleylego z zapytaniem, czyli i jak długo mamy czekać na stanowczą odpowiedź.

Radząc przez kilka dni, prawie zapomnieliśmy o tem co się w Wiedniu dzieje. Protestują przeciw Wahlgesetz, akademie wre, zapowiadają eine Sturmpetition. Filistry drżą ze strachu i narzekają na Studentenregiment. Chce rząd akademię rozpuścić na

wakacye, — lepsi mieszczenie ofiarowali studentom nie tutejszym stancye i wikt przez wakacye, byle tylko nie rozjeżdżali się, boją się bowiem, aby po rozjechaniu się studentów pp. ministrowie jakiego figła nie wypłatali.

Puszczają pogłoski, że cesarz z dworem odjedzie do Linzu. Odpowiedzieli na to studenci, że założą wtedy we Wiedniu rząd prowizoryczny.

Nawet nie czekając czy się sprawdzi wieść o odjeździe cesarza, zaczynają pisma publiczne przebąkiwać o konieczności komitetu, mniej więcej takiego jak my żądamy w Galicyi.

Rząd w kłopotcie niesłychanym, nie chce odstąpić od dawnego szlendrianu i nie ma odwagi wystąpić otwarcie przeciw partyi postępowej.

Ciągle projekta ministrów, Doblhof dla handlu, Baumgarten do publicznych robót, Westenberga do spraw zewnętrznych, ale to są wszystko ludzie barwy szarej. Opinia widocznie nie jest kontenta z tych imion, dlatego trwa ciągle stare ministerium.

A tu pieniędzy nie ma, bankierzy nie chcą negocjować. Chwylił się rząd ostateczności, wzywa do składki, potrzebuje 20 milionów, — nie bagatela. Dziś plakatami odpowiedziano rządowi, — zapytują, dlaczego się rząd nie udaje do cesarzowej matki, która posiada 200 milionów w gotowiznie, dlaczego nie konfiskują dóbr Metternicha, który 60 milionów skradł i złożył do banków angielskich, dlaczego się nie udaje do bogatych klasztorów austriackich, — lecz właśnie do ogółu, który i tak biedny, ledwie że żyć może?

Plakaty w tym guście pisane zabijają rząd do reszty. Biedne położenie Austrii, z rzeszą niemiecką na bakier, prowincye pojedyncze większe w otwartej opozycji, — Wiedeń krzyczący i hałasujący. — Do kogo się ma ta biedna Austrija udać? Sprzeda Rosyi Galicyę!

**14 maja.** Ponieważ zdaje się, że konferencye czas niejakiś potrwają, a ja nieszczęsny do konferencyi przeznaczony jestem, nająłem z Dolańskim i jego bratem stancyę prywatną na miesiąc, — cóż robić, — w oberży 10 dni więcej kosztuje, jak tu miesiąc. —

O jedynastej niespodzianie nadszedł Kleyle. Zdziwiło nas to niemało, — ministerium teraz nas szturmuje.

Przeznaczeni do konferencji Borkowski, Dyl. i ja, wzięwszy Dzierzkowskiego, udaliśmy się do osobnego pokoju, by nie było scen, jak przy pierwszej z nami konferencji.

Wyjął, gdyśmy usiedli, pismo do Lubomirskiego, jako prezesa stylizowane, rozbierające petycję naszą. Po odczytaniu zebranej w krótkości petycji, przystąpił do tych punktów, które ustawą konstytucyi i późniejszymi rozporządzeniami załatwione.

Nakoniec przystąpił do tych, których nam dać nie może, komitet, wojsko narodowe i administracja narodowa.

Zamiast komitetu ofiaruje nam minister sejm, podług prawideł wyborowych w kraju ułożonych z władzą czuwania nad wypełnieniem konstytucyi przez urzędy. Urzędników oddalić przyrzeka tych, którym udowodnione zostanie zarzucone im postępowanie haniebne, choćby nie dowodami stricte do ich skazania potrzebnymi.

Zaczęliśmy się targować najbardziej o urzędników, mianowicie o wyrzeczenie zasady, że w Galicyi urzędnicy będą li Polacy, — nie chciał przystać na to na żaden sposób utrzymując, że to tchnie separatyzmem, że dozwoliwszy nam to, musiałyby każdej prowincyi to samo dozwolnić.

Myśmy obstawali przy swoim twierdząc, że jeśli urzędnicy zostaną ci sami, my dziękujemy za konstytucyę. Nareszcie oddawszy nam do strutynowania rzeczne pismo i zapaliwszy cygaro, zaczął jako prywatny rozmawiać z nami. Powiedział, że Stadion rezygnuje i pytał kogo chcemy na gubernatora. — Borkowski odrzekł: „Wszystko jedno, byle Polak, dajcie nam Zaleskiego“ — my reszta zaczęliśmy mrużyć, na co Kleyle rzekł: „Aber ich glaube Zaleski ist ein redlicher Mensch“ — ja zaś odpowiedziałem: „Ja, aber das Ministerium muss ihm ausdrücklich sagen, dass er auch als Gouverneur ehrlich bleiben müsse, sonst wird er zum Bureaukraten, wie die anderen.“

Na co Kleyle dawne lamenta na niedowierzenie nasze powtarzać zaczął, a my mu zwykłemi formułkami odpowiedzieli, że mamy doświadczenie 70 letnie, trudno więc żebyśmy byli ufniejszymi.

Była też mowa o wojsku. Ja żądałem oficerów Polaków, by zapobiedz tem wiecznem prowokacyom ze strony tych pań, które jak poświadczył Dzierkowski do nieznośnego posunięte są stopnia.

Nareszcie gdy chciał odchodzić, powiedział mu Borkowski, że my żądamy gwarancji narodowości, jeśli nam minister nie da urzędników narodowych, wtedy pod narodowością chyba czamarkę rozumieć będziemy. Odrzekł na to: „Definicja narodowości, to formułka ogólna, niech panowie punktami spiszą, czego żądacie jako gwarancję narodowości, a nie wątpię, że ministeryum na to zezwoli, o ile się nie będzie sprzeciwiać konstytucyi i urządzeniom ogólnem monarchii.

Już przy wyjściu Dzieżkowski przemówił się, że w tem nawet piśmie, które nam wręczył, deputacyę uważają jako wypływ jakiejś frakcyi, podczas gdy cały naród, a mianowicie legalny organ, dawne stany, deputacyę naszą uznały. Ściągnął ramiona, ja meine Herren, wir können uns von der alten Form noch nicht lossagen, — uns hängt noch ein bischen der Zopf. — i uklonił się.

Bija na alarm gwardya spieszy na swe stanowiska.

**15 maja.** Powrócił Libelt z Węgier, z nim emigrant Mańkowski, który był pod Miłosławiem, — co wskórali nie wiedzieć. Libelt z nami szczerze nie postępuje; jest to teoretyk pełen zapалу, mimo, że już nie młody. Barczysty, wzrostu średniego, twarzy wydatnej, robiącej nie bardzo przyjemne wrażenie, mówi z namietnością. Galicyanów uważa za doktrynerów, samolubów lub tchórzów. Ha! to daremna, ja w tem nie widzę odwagi ani szlachetności, jeśli kto widząc brata swego umierającego sam sobie w łeb pali.

Przyjechał też Lubomirski, coś milczy o Wrocławiu. Wy-mówił mi się tylko z tem, że w klubie Dembińskiego przesiadywał, bardzo naturalne, tego nie potrzebował nawet mówić. Narzeka na emigracyą, właściwie centralizacyę i to bardzo naturalne, chociaż Lubomirski pewnie z innego względu na nią narzeka jak inni.

Opowiada dalej, że Mirosławski widząc, że się nie utrzyma rozwiązał wojsko, które poszło w rozsypkę. Sam zaś jadąc incognito został poznany i w niewolę wzięty. Co też z nim Prusacy robią.

Polska część Poznania reorganizuje się ciągle, Pfuel w miejsce Wilisena do tego przez rząd przeznaczony. We Wrocławiu

sympatya dla Polaków widocznie stygnie. Buge najsilniej w klubie między Niemcami sprawę polską popiera, Bakanin toż samo, co się zaś tyczy Moskwy, utrzymuje tenże: jeśli nam chcecie przysługę zrobić, bijcie się z Moskalami, — połączenie się Polaków z Moskalami, byłoby dla tych ostatnich największem nieszczęściem, wtedy bowiem znikłaby ostatnia nadzieja wyswobodzenia się z pod jarzma despotyzmu.

Zawiazuje się we Wrocławiu asocjacya narodów wolnych, dla wsparcia solidarnego każdego z przystępujących narodów przeciw ciemnicy, — ma to być na kształt asocjacyi angielskich, — niezła myśl w istocie.

2-ga godzina po obiedzie, — biją na alarm. Akademicy zgromadzają się do auli, tysiące ich już stoją na ulicy, nabijają kompaniami karabiny. Co chwila przybywają nowe oddziały, witają ich okrzykami i chustkami, kobiety szlochają. Technika złączyła się z wszechnicą, radość okropna.

Tymczasem milicya zgromadza się na swych stanowiskach, równie nowa gwardya miejska.

Przez bastiony ciągną bataliony grenadyerów do Burgu. Ruch nadzwyczajny. Co to się znaczy? — niejeden się pyta. Wczoraj pan Pillersdorf rozwiązał komitet centralny gwardyi norowej, ponieważ się wdawał w kwestye polityczne (Nb. ostatnie wdanie się było w sprawę polską, kiedy komitet ten żądał komisji na urzędników galicyjskich), a ponieważ się bał z tego powodu rozruchów, kazał uderzyć na alarm wczoraj wieczór i wprowadzono mnóstwo wojska do miasta.

Akademia rozjuszona rozwiązaniem komitetu, gwardya urażona wprowadzeniem wojska do miasta, połączyły się dzisiaj i oto wszystko rusza pod bronią mit einer Sturmpetition, o trzeciej mają zająć wszystkie place i wysłać deputacyę do cesarza.

3<sup>1</sup>/<sub>4</sub> bramy wszystkie zamknięto, wojskiem i gwardyą obsadzono, nikogo nie wpuszczają, boją się robotników, pewną bowiem rzeczą, że byli dziś w auli przed południem deputowani od robotników, jeden akademik ma być na wieży Szczepana i dawać im znaki do poruszeń po przedmieściach.

Technicy całą kompanię uzbroili w żelazne łopaty i motyki, przed aulą próbują czy łatwo bruk podważyć; będziemy mieli

barykady. Młodzież wre, jakiś ksiądz przy pałacu, z krzyżem w ręku, ognistą w auli ma mowę, młodzież odpowiada okrzykami, a biedne kobiety płaczą bo — kto wie czy dziś krew nie popłynie.

Wróciłem właśnie z miasta, na Glacis dwa pułki kawalerji stanęły w szyku bojowym, hurmy ludu biegają od bramy do bramy, szukają wstępu do miasta, wytaczają armaty na Glacis, — koło Burgu i w Burgu pełno wojska.

Trudno wysiedzieć. Deputacya poszła do Burgu, — parlamentują, — na placu Józefa (konstytucyi) frateronizowała milicya z akademią, czule uściski, okrzyki, oficerowie zostali w tyle, die alten Spiessbürger.

Trwoga i niepewność w mieście, gwardya po większej części (wyjąwszy Kärnthnerthorviertel) jednego jest ducha z akademią, jeśli trzeba będzie poprą bronią petycyę swoję. Już trzy godziny targują się, Pillersdorf chce abdykować, deputacya nie pozwala na to, żąda pierwszej potwierdzenia żądanych punktów, *Aufhebung des Wahlgesetzes, eine Kammer, der Kaiser soll keine Mitglieder ernennen, die Prinzen ausgeschlossen, Wiederufung der gestrigen Ordonanz wegen Auflösung des Centralcomité, Abberufung des Militär aus der Stadt, Befehlung der Wachposten in den Stadthoren gemenischäftlich durch Militär und Nationalgarde, Rechtfertigung wegen der gestrigen Allarmierung.* — Jest się o co targować.

Zaczęło się ciemno robić, iluminują okna, sami nie wiedzą dlaczego, chyba żeby gwardyi weselej było stać. Na „Hof“ akademicy pokładli się na bruku, — stoją biedacy od drugiej pod bronią, — na Freyung kawalerzyści karmią swe konie, — miasto podobne do obozu, przy sztandarach huczne grzmią pieśni — a wszędzie tłumy ludu, a najwięcej przy oddziałach akademii. Ludzie silni, barczyści, w czapkach, w koszulach z łopatami i motykami, próbują tu i owdzie bruk, wznoszą od czasu do czasu swą broń wołając: „Das ist die eiserne Nothwendigkeit, der weicht alles“.

Z dotychczasowego zachowania się wojska i gwardyi tudzież robotników, których mimo że zamknięto bramy znaczna liczba weszła, wnosić można, że nie przyjdzie do bójk.

Wybiegam co godzina na miasto i wracam. Po objedzie mieliśmy radzić nad odpowiedzią, którą mamy dać Kleylemu.

Polonia deliberante — Austria perit. — Nie sposób wszelako było zatrzymać Polonią w kupie. — Teraz właśnie słyszę okrzyki, — czy to wiwaty, czy hurra bojowe?

Pillersdorf odwołał zniesienie komitetu centralnego gwardyi narodowej, gratuliere, ale wiedz panie ministrze, że komitet centralny gwardyi narodowej dowiedział się, że my żądamy w adresie komitetu narodowego, a dziś młodzież pod bronią stojąca nie rozumi już innego komitetu jak narodowy i debatuja tylko, czy ten komitet ma się zająć sprawami całej monarchii, czy tylko księstwa austriackiego. A koło młodzieży kupi się lud, a młodzież propaguje że aż miło, a lud powtarza: „Es muss so sein, die Herren Studenten sagens ja so“, — a gdzie niedzie przesunie się ktoś, co akcentem nie wiedeńskim pyta akademików, dlaczego nie żądali zrzucenia całego ministerium, gdyż tylko wtedy mogliby spokojnie pójść spać, gdyby wszystkich ministrów wygoniono.

Nareszcie o 10-tej Pillersdorf na wszystko przystał, Burian i Goldmark gloszą ludowi, — lud krzyczy: Es lebe Kaiser Ferdinand!“, a gdzieniegdzie robotnicy wstrząsając żelaznymi drągami wtórują: „Es lebe die eiserne Nothwendigkeit!“

I zaczęli się rozchodzić — i poszli spać, — a Pillersdorf ich oszukał. I ja poszedłem do domu dumając nad nienaruszalnością ustawy konstytucyjnej. Rozumiem, konstytucję może odmienić Reichstag, oder die eiserne Nothwendigkeit.

I cóż, więc ustawa konstytucyi z 25-go kwietnia zniesiona, kiedy wyrzekł cesarz, że pierwszy sejm będzie constituantą? Bez wszelkiego cenzus obierać się będą posłannicy — i prawa wyborowe zniesione — i pierwsza izba, — a więc wszystko zniesione, — a przecież w ustawie konstytucyjnej powiedziano, że tylko Reichstag może ją odmienić.

To naszej sprawie inny nadaje kierunek, — teraz p. Kleyle nie zbędzie nas formułką: „die Verfassungs-Urkunde kann der Kaiser nicht ändern. Hat er sie für die Wiener geändert, so kann er sie auch für die Galizien ändern.

Zobaczymy. — Jutro zaraz trzeba się wziąć do p. Kleyego.

**16 maja.** Poprzylepiano wszędzie obwieszczenia podpisane przez Pillersdorfa. Komitet centralny pozwolony, — Constituante, — jedna izba, — prawa wyborowe zwalone.



Wszystko jak sparzone, wszystko pyta co to będzie, jeśli gwardya z bronią w ręku rządzić będzie; w istocie perspektywa nie bardzo piękna, zwłaszcza, że robotnicy nie dadzą się zawsze za ślepe i powolne narzędzie używać.

Filistry krzyczą: Fremde Aufwiegler. — Coś mówią w mieście, że cesarz chce wyjechać potajemnie, słychać, że ministrowie podziękowali, lecz cesarz nie przyjął.

Po południu przylepiano proklamacyę podpisaną przez Cesarza i ministrów; prócz koncesyi w obwieszczeniu objętych, są także postanowienia, że wojsko musi opuścić miasto i tylko na wezwanie gwardyi działać.

W mieście popłoch, wszystko co lubi spokój boi się. — Ci co robili wczorajszą rewolucyą, nie wiedzą co dalej robić. — Komitet centralny zasiadł w Musikverein i radzi.

**17 maja.** Pan Kleyle, którego wczoraj nie zastaliśmy, przyszedł do nas, Ministeryum podziękowało, fungować będzie do złożenia nowego. Kleyle w desperacyi, Austria zginęła — *saue qui peut*, — radzi nam byśmy o sobie pamiętali, bo Austriacy o sobie radzić muszą. Konferował przeciw z nami. Na zasadę, żeby urzędnicy byli nadal tylko Polacy przystał, — opierał się tylko, żeby wszystkich starostów teraz nie oddalać. Nie radził żądać zniesienia koszernego, mówiąc: „pamiętajcie panowie, że będziecie potrzebowali pieniędzy“.

Szkoda, że nie wygotowali naszej odpowiedzi, — dzisiaj byłaby rzecz rozstrzygnięta, zdaje się bez trudności, ale dyabli wiedzą, dlaczego Borkowski i inni sprzeciwiali się, żeby odpowiedzi nie pisać, teraz ją Kleyle zażądał, trzeba ją pisać na łeb, na szyję.

Żalił się Kleyle na nas, że my się wiele przyczynili do tego nieszczęścia Austrii, — poczciwy! Dlaczego nam nie dali, co się nam słusznie należało? Memorandum nasze do komitetu tutejszego wywołało niezawodnie rewolucyę onegdajszą, komitet poznał, że może być czemś i spróbował.

Podobno tu się skończy na rządzie prowizorycznym. — Pan Kleyle z liberała stał się reakcyonistą, — z desperacyi, — dziękuję za taki liberalizm.

Przyjechała deputacya ze Slawonii. Pan Kantics z jakimś kanonikiem i Księdzem Berliczem byli u nas, pytają po prostu,

czy się połączymy z Rosją. Zmyliłmy ich jak pudłów, zhańbili jak sztubaków, wystawili, że idea wolności nie powinna się plamić sojuszem z despotyzmem, wskazaliśmy dłaczego Madjarzy mają więcej sympatyj dla swej sprawy jak Słowacy, ponieważ ci zawsze z rządem trzymali i odgrażali się Moskalami, — radzieliśmy im wystąpić z prawdziwym liberalizmem, połączyć się z partją demokratyczną węgierską i drogą legalnej opozycji, nie zaś wojną domową i sojuszem z rządem austriackim i Moskałem dobijać się swobód. Szczególnie skarciliśmy ich za postępowanie w pograniczu, gdzie głoszą ich emisaryusze, że cesarz w niewoli przez Madziarów trzymany, przymuszony podpisał terazniejszą konstytucję Węgier.

Zawstydzeni poszli, — nie wiem czy się poprawią, — my się zaś przekonali, że ci ludzie nie wiedzą co prawdziwa wolność, że chcą tylko ślepej zemsty, choćby mieli się stać Moskałami lub Turkami. — Dziękujemy za takich sprzymierzeńców.

Kleyle przysłała po odpowiedź, bo rada ministeryalna zasiada. Gehorsammer Diener, — milion set dyabłów, głupi nasz upór, gotów nas zgubić, — my jeszcze nie mamy odpowiedzi gotowej, — najkorzystniejszy czas uchodzi, — oj Panowie z waszem zrozumieniem!

Poniński i Homolacz wrócili. Dobre interesa porobili w Węgrzech. Poznali ci nareszcie, że interes Madziarów wymaga, by w Galicyi był spokój. Tutejszy minister węgierski spraw zewnętrznych, dostał już rozkaz wstawienia się energicznie za naszym adresem; jest więc nadzieja, że wszystko otrzymamy. Piszemy odpowiedź na łeb na szyję, by jeszcze ją dziś posłać.

Kleyle przysłała drugi raz. Lubomirski i Biesiadecki poszli do niego. — Wrócili z niczem. — Dzisiejszy więc dzień przepadł. Jutro o 4-tej zbiera się rada ministeryalna. Jutro rozstrzygną się losy nasze. Pytał się Kleyle, co myślimy robić z Zatorem i Bukowiną? Odrzekliśmy, że co do Zatora, nie myślimy prowadzić wojny, niech Zator rozstrzyga, czy chce należeć do rzeszy. Tu pan Kleyle zaczął płakać i narzekać na dobrodusność Niemców, którzy ze wspaniałomyślności ofiarę czynią nawet ze swych krajowców (czy oszalał? Jak gdyby w Zatorze byli Niemcy!) Co do Bukowiny, powiedziano mu, że właściwie nie jest

częścią Galicyi, Bukowina niech więc decyduje sama, czy chce przy Galicyi zostać.

Zdaje się więc, że seryo myślą o tem, by Galicyę ukonstytuować jak Węgry.

Szkoda i jeszcze raz szkoda, że dziś się rzeczy nie skończą.

Tutejsze towarzystwo muzyczne zapytuje nas, czy pozwalamy Dwernickiemu zrobić serenadę — i owszem! Jeszcze tego tylko brakowało; a będą Niemcy błogosławić Polaków.

Zobaczmy!

**Dnia 18 maja.** Cesarz wyjechał do Preszburga. Popłoch w Wiedniu niezmierny. Wywołało go samo ministeryum, ogłaszając, iż bez wiedzy ministeryum nie wiedzieć dokąd wyjechał. Udał się figiel partyi reakcyjnej, rachowała na przywiązanie Wiedeńczyków do cesarza. Akademia i gwardya narodowa przeleżała się. Oświadczyła proklamacyą, że się poddaje pod rozkazy ministeryum i z nim dla utrzymania porządku wspólnie działać chce. O 11-ej Lubomirski i Borkowski poszli z odpowiedzią do Kleylego, otrzymali odpowiedź: „Es ist kein Kaiser da und kein Ministerium, sie müssen halt warten, aber ich werde thun was meine Möglichkeit ist. Śpiewa już z innej beczki, urosły mu już rożki.

Gwardya narodowa wyruszyła, patrole wojskowe przeciągają po mieście. Gwardya narodowa poddała się pod rozkazy komenderującego Auersperga, — wojsko wyruszyło na Glacis, przez bramę zamkową nie wpuszczają nikogo do miasta.

Aresztują ciągle, kilku za to, że mówili o rzeczy pospolitej: Aufhängen, aufhängen! krzyczy lud. Aresztowano babę za sprzedawanie pism, jakąś baronową rozdającą pieniądze pomiędzy lud.

Uwięzili, w domu Lubomirskiego mieszkającego, jakiegoś Anglika, na ulicy, — nie wiadomo za co. Nasz bohater stchórzył, prosi byśmy u niego nie schodzili się więcej.

Zesłiśmy się więc u Dzierzkowskiego, — uchwalono tam, wysłać mnie i Ponińskiego do Frankfurtu, oraz pojechać w licznym poselstwie na sejm Praski.

Montekukuli wydał rozporządzenie, żeby po 10-ej nie wychodzić, nie kupić się po mieście w ogólności i nie harangować ludu.

Uwięziono do 70 akademików. Niechętni nam krzyczą, że to my burzymy i nie dziw, kiedy sam pan Kleyle podziela to

zdanie. By więc przypadkiem jakiemu Polenfresserowi nie wpaść w szpony, wdziałem surdut, a czamarkę zamknąłem do kufra.

Wysłano za cesarzem deputacyę — słyhać, że dogoniła go w St. Pölten, że dziś jeszcze ma wrócić do Wiednia.

Wojsko stojące na Glacis śpiewa wesoło, nasi huzarzy nucą pieśni ruskie, mnóstwo ludzi z niższych klas pomieszanych z wojskiem rozmawia i chichocze z temże. — Co to znaczy — oficerowie, którzy wczoraj wieczór jak mówią podali dymisyę en masse, żądając, aby im ją natychmiast dać, albo pozwolić działać na własny rachunek, patrzą na to obojętnie. Któż są ci ludzie? Czy mają wojsku pomagać, gdyby przypadkiem przyszło do plondrowania? Tuworę i Hoffnera uwięziono. Pressfreiheit! — Co zamyśla ministeryum? Dlaczego gazety zapowiadały powstanie w Galicyi na 15-go, czy takowe było przygotowane w całej monarchii? W Pradze ma być ogłoszony rząd prowizoryczny, — nam Kleyle wczoraj dał radę, byśmy sami o sobie myśleli.

Bóg to raczy wiedzieć, czas wykryje — to wszelako widoczne, że reakcyja w Wiedniu nie śpi.

**19 maja.** Duch Stadionu panuje w Wiedniu.

Ministeryum objęło władzę wykonawczą i uwiadomiło o tem posłów, — Montekukuli w swoim imieniu wydaje rozporządzenia, zagraża sądem doraźnym, cudzoziemców poddaje pod władzę jakiegoś komitetu bezpieczeństwa.

Amen! Amen! dico vobis. Jadę jutro do Frankfurtu.

**20 maja.** Ogłoszono prowizoryczne prawa przeciw przekroczeniu druku. Ministeryum samo takowe podpisało i to jako ministeryum tymczasowe.

Cesarz ma być chory w Gmunden i to ciężko.

Niebezpieczną grę ci grają, którzy go do wyjazdu namówili. Wiedeńczycy ochłonęli z pierwszego przestachu, oswajają się z myślą, że cesarz nie tak prędko powróci, przekonali się, że spokój podczas niebytności Cesarza naruszonym nie został i zaczynają mówić: „Wir haben uns etwas übernommen, aber es war nicht möglich auf eine andere Art etwas zu erlangen, — übrigens mag geschehen was da will, wir müssen haben, was uns gebührt“.

Zresztą obwiniają jawnie i bez ogródek arystokrację, że cesarza wywiozła; „die Umgebung des Kaisers, ja die saubere

Umgebung hat es gethan“. Mówią, że po wyjeździe cesarza do 40 rodzin arystokratycznych opuściło Wiedeń. Hojos wysłany za cesarzem w pierwszej chwili, nie wrócił dotąd. Gwardya więc narodowa i liga akademicka ze swego grona wysłała poselstwo do cesarza, by go nakłonić do powrotu.

Nasza sprawa w zawieszeniu, postanawiamy wysłać Stobnickiego i Dzierzkowskiego do Paryża. Zatrważające ztamtąd krążą tu wieści, — Lamartin miał zginąć, — proletaryat wziął górę, a obrońcy jego objęli rząd prowizoryczny.

Serbowie mieli wkroczyć do Węgier, Nugent pobity. Rozruchy w Paryżu miały powstać z powodu kwestyi polskiej, nie sądzę, żeby istotnie tak było, ale niechętni nam, którzy i wypadki tutejsze z 15-go maja nam przypisują, wszystkoby radzi zwalić na nas. Lubomirski mówi, że odgrażano się tutaj 18-go zdemolować pałac jego, jako gniazdo burzycieli. Nikt tego nie słyszał prócz odźwiernego i strzelca Lubomirskiego, niewielką mam przeto chęć dać temu wiarę. Zdaje się, że poczciwy nasz prezes stchórzył i pokrywa swe tchórzostwo takimi baśniami. Zresztą być może, że szpiegi ciągle nas otaczające, (Żurakowski często chodzi od niejakiegoś czasu do pałacu Lubomirskiego, kazaliśmy go szpiegować, chodzi do jakiegoś Anglika tam mieszkającego, którego 18-go, jak się dowiadujemy na ulicy uwięziono) na nasz karb broją; Volksfreundy nie mogą nam darować żeśmy się z nimi nie chcieli wdawać, ale nawet odślonili ich maskę. Pan Loewe, który nam 14-go chciał odkryć jakieś niebezpieczeństwo nam grożące i z kwitkiem odesłany został, był także członkiem Volksfreundów i tego samego dnia kiedy nas chciał przestrzedz, widziano go kwadrans później u Splawskiego. Wiedział niezawodnie o mającej nastąpić petycji, chciał nam o tem donieść, by nas uczynić współwiedzącymi i tym sposobem potem przeciw nam świadczyć. Nie udał się ten figiel, wyplątano nam innego, 18-go, kiedy największe było oburzenie przeciw wicherzycielom spokoju, wydrukował ktoś odezwę do Wiedeńczyków od braci niby to z Galicyi. Nam przysłano 12 egzemplarzy — struchleliśmy, gdyśmy ją zobaczyli zszedłszy się z Lubomirskim. Chciano protestować przeciw temu w imieniu deputacyi, — sens przecież zdrowy większej części przemógł i zaniechano kroku, który właśnie byłby rzucił na nas podejrzenie, iż wicherzyliśmy umysły.

Poszły czapki polskie i czamarki do kufrów!!

Odjeżdżamy dziś z Wiednia, przyznam się, że nie wielką mam ochotę, ale każą, trzeba słuchać, zwłaszcza, że i Rada narodowa mnie, również jak Ponińskiego do tej misji przeznaczyła. Spakowałem się więc i pożegnałem. Do Kozła przynajmniej w liczniejszym pojadę towarzystwie. Dylewski, Leligdowicz, Pieniążek, Dr. Kohn i Biesiadecki odjeżdżają do kraju.

**21 maja.** Otóż jestem we Wrocławiu w hotelu pani Burakowskiej. Piękne to miasto, widać że nie za dzisiejszych budowane czasów, — kościoły starożytne gotyckie, czarne, dodają powagi, a piękne w nowym guście stawiane pałace, powabu. Niedziela, lud na promenadach, chociaż nie bardzo licznie z powodu nieprzyjemnego powietrza. Sympatya dla Polaków ostygła, słyszeliśmy o tem już w Wiedniu, a wzmocnił mnie w tem, jadący wraz ze mną z Oderbergu, jakiś oficer pruski. Człowiek do rzeczy, wesołego humoru i ile się z rozmowy dało wyrozumieć przyjaźny polskiej sprawie, o ile oficer pruski i do tego Niemiec może sprzyjać Polakom. Chwalił nadzwyczajnie Mirosławskiego, którego osobiście zna, a który, podług jego zapewnień, złożywszy z 500 swych ludzi broń, otrzymał paszport do Francyi i tam się już znajduje. Zresztą żałował wypadków poznańskich, nietylko przypisuje oderwanie się obwodów niemieckich i twierdzi, że Mirosławski był przeciwny tej nieszczęsnej wojnie, lecz że zmuszony został do tego. Odgrażał się na Krotoskiego (Krauthoffer) ma to być podług niego człowiek bez charakteru, nawet szanbiony czynami podłymi, schytano go z bronią w rękę i pod sąd wojenny oddano. Mnóstwo oficerów pruskich poginęło, przyznaje się, że nasi dobrze bili, — prócz oddziału strzelców, który się już przy końcu kampanii uformował, nie mieli nasi broni palnej, walczyli kosami. Teraz już ma być spokój, tylko pojedyncze oddziały maroderują, wojska pruskie opuszczają księstwo Poznańskie. Rząd pruski zakupił przeszło 2000 koni, — koncentruje wojska w Szląsku przeciw komu?

Obok mnie mieszka generał Sznajde; posłałem dowiedzieć się gdzie mieszka Raczyński, chciałbym kogo znajomego znaleźć, poczciwy Poniński wczoraj skrewił, nie wyjechał ze mną, nie wiem co to znaczy. Mamże chodzić jak błędna owca do jutra, do 5-tej po obiedzie?

Ha! — cóż robić! Raczyńskiego nie ma we Wrocławiu, do Sznajdego nie mając żadnej rekomendacji iść samemu nie wypada, nic więc nie pozostaje, jak jeszcze raz po Wrocławiu przejść się. Może kogo znajomego zobacze!

Chodziłem przez całą godzinę, same nieznajome twarze. Płacze się samo wojsko; śmieszne te szerokie czapki, ale najzabawniejsze kirasiery w swych białych kubrakach, czarnymi sznurkami wyszywanymi.

Ani jednej ładnej twarzy, — a co dziwna nawet wąsów nie widać. Żołnierze sami młokosy, cywilni nie noszą wąsów, — w Wiedniu z konstytucją i wąsy wyrosły; nie masz filistra, którymby kilkutygodniowa szczotka nie sterczała pod nosem; tu inaczej wolność rozumieją.

Policyi nie ma, pełno tylko po cywilnemu ubranych z literą W na lewym ramieniu i długim białym kijem z gałką w ręku, jest to straż bezpieczeństwa.

Gwardya narodowa mundurów nie ma, na czapce lub kapeluszu wielka kartka drukowana z Nrem kompanii, zresztą surduł, frak lub bluza. Oficerowie szeroką szarfę białą ponsową, podoficerowie z takiej samej wstążki naramiennik noszą; kokardy niemieckie.

Zniechęcony wracałem do domu i dopiero spostrzegłem jak plugawy jest Wrocław, — wszędzie z obydwu stron ulicy rynsztok otwarty, do którego wpływają niechlujstwa rynnymi prowadzającymi z domów; a niechże ich kaczkę kopną, w Zbarażu lub Zborowie coś podobnego darować można, ale we Wrocławiu nie do darowania, a przecież zdaje się to niechlujstwo tutejszych mieszkańców nie razić.

Myślę położyć się do łóżka i przeczytać ogłoszone wczoraj prawo druku.

Bebechów w łóżku prawie pod sufit, — nie zmarzę!

**22 Maja.** Przyjechał nareszcie Poniński, spóźnił się w Wiedniu. Dowiedział się w drodze od Langiego, że deputacya otrzymała odpowiedź stanowczą na adres, opiewa tak samo jak pismo ministerjalne przez Kleylego nam zakomunikowane i tyle tylko wytargowaliśmy, iż stylizowano odpowiedź do deputacyi, — dyabła koncesya! Ha! — trzeba sobie radzić jak można. Wieczorem

byliśmy u Krzyżanowskiego, miły nadzwyczajnie człowiek narzekał na Dębińskiego i Romanowicza.

**23 Maja.** Otrzymałszy bez wszelkich trudności *viso* do Frankfurtu, wzięliśmy miejsce do Lipska. Przybyliśmy do Grelic, gdzie tram się dzieli; odpoczywa się 20 minut; siedliśmy więc do stołu i zjadamy smacznie z jakimś Anglikiem, towarzyszem podróży, wracającym z Wiednia z 3,000.000 szterlingów w akcyach kolei żelaznej. Właśnie nam opowiadał, jak się w Wiedniu odgrażał, gdy mu powiedziano że nie wolno więcej jak 100 fl. w brzęczącej monecie wywieść, że jeśli straci na akcyach, zostanie mu zawsze tyle by kupić okręt i w adryatyckim morzu na kupcach austriackich poszukiwać straty; — gdy zadzwoniono wołamy kelnera by płacić; odpowiada: *Sie haben noch Zeit*, niebardzo się więc spieszymy, płacimy gawędząc i śmiejąc się z Anglikiem, w tem słycać świst, patrzymy przez okno a nasz pociąg poleciał do Drezna jak dyabeł. Ha, cóż robić! Zostaliśmy więc i słuchali przez 4 godzin awantur morskich, które nam Anglik, były kapitan (?) okrętu kupieckiego prawił. Nareszcie przybył wieczorny tren wrocławski, pojechaliśmy więc do Drezna, gdzie nocować musieliśmy.

W drodze zrobiliśmy znajomość z p. Wille, Rittergutsbesitzerem ze Szląska pruskiego. Biedak żyje jeszcze wyobrazeniami z roku 1813, *Alles für König u. Preussen*, aber meine Laudemien gib ich nicht her. Na demokratów powstawał jak na Jakobinów, a radykalni u niego to samo co zwierzęta, „Schwerenothskerls“ nazywał ich. Kłóciliśmy się z nim do upadłego, nareszcie biedak tylko już wzdychał za laudemiami.

Z nim razem jechał jakiś Bar. Kich z Berlina. Staremu Wille nie tyleśmy się dziwili, ale ten w kwiecie młodości, wychowany w Heidelbergu, powstający na terażniejsze ruchy, powtarzający „Canaille“, broniący postępowania prusaków w Poznaniu a nawet pochwalający sposób obchodzenia się z więźniami, tak nas oburzył, żeśmy mu powiedzieli, aby przynajmniej nie mówił, że jest Prusakiem, gdyż sposób jego myślenia hańbi Prusaków, — zaczerwienił się i nic już więcej nie mówił; w Dreźnie zostawiliśmy go nie pożegnawszy się z nim, — ein konstitutioneller preussischer Soldat. Dowiedzieliśmy się bowiem od p. Wille, że ten młody człowiek jest wojskowym.



Przybywszy do Drezna wieczorem, a otrzepawszy się trochę z prochu, poszliśmy nad Elbę, by zobaczyć przynajmniej sławną terasę Brühla; istotnie prześliczna.

Dowiadujemy się, że tu mnóstwo Polaków ze wszystkich części Polski, Adam I. także tu bawi.

**24 Maja.** Udaliśmy się na kolej żelazną. Pan Wille z nami. Wsiedliśmy do powozu, w którym znajdował się jakiś panicz ze Szląska, jadący do Halle na wszechnicę. Rozsądny chłopak, ale z wyobrazeniami Dahlwanna. Sarkał na szlachtę pruską, że staje á part, że odciąga się od ruchów i zostawia „den obskuren Agitatoren“ wolne pole do działania, szczególnie narzekał na hr. Reichenbacha na Szląsku i przepowiadał szlachcie zupełny upadek, jeśli nie stanie na czele agitacyi. Nasz p. Wille, widząc i z tej strony poniekąd przeciwnika, zamilkł już zupełnie i jeszcze częściej wdychać zaczął.

W Lipsku tylko  $\frac{1}{4}$  godziny zatrzymaliśmy się, odebraliśmy nasze rzeczy, które nas uprzedziły i wzięliśmy bilety do Halle.

W Halle siedząc przy stole, usłyszałem słowa: „napijmy się kawy“, — obracam się i spostrzegam staruszka spoczywającego na ramieniu jakiegoś chwata, któremu ułan z twarzy patrzył. Bez wszelkich więc ceremonii podszedłem i przedstawiłem się im jako ziomek. Staruszek, o którym wspomniałem jest to poseł Malinowski, wracający z Drezna do Frankfurtu, gdzie go oczekuje Czartoryski, — nie należy do żadnej partyi w emigracyi, miły staruszek z wyobrazeniami umiarkowanemi. Młody człowiek zaś prowadzący Malinowskiego był Miroszewski z Poznańskiego, idący na wygnanie. Bić się! — to jego hasło — wesół, swobodny, o politykę nie dbający. Po dość długiej pogadance, wsiedliśmy do wozu na drugiej stacyi. Przybył nam towarzysz nowy, Niemiec wracający z Berlina do swej ojczyzny, (Prus nadreńskich), zapalony republikanin, przepowiadający burzę w Berlinie i wygnanie dynastyi. — Rozmawialiśmy przez drogę o stosunkach polskich a szczególnie Galicyi, zarzucał nam że chcemy Polski z pańszczyzną, przekonaliśmy go dokumentnie o fałszywości wyobrażeń jego, czem mocno został uradowany.

W Eisenach rozstaliśmy się z naszym republikaninem, pojechał bowiem omnibusem, my zaś szybkowozem. Podróż z Eise-

nach do Frankfurtu strasznie nas zmęczyła, 6 osób w wozie, przytem dwie kobiety, z których jedna chora. Nasz bohater z Poznania bawił się najlepiej, — smażył cholewki do jednej z tych dam, jak mówił z potrzeby.

**25 Maja.** Nudy piekielne, dzień cały jechaliśmy, — pod wieczór przybyliśmy nareszcie do Frankfurtu; zum Weichenbusch zajechaliśmy, hotelu leżącego w środku miasta. Na poczcie powitali nas ziomkowie, Libelt, Hostowski i kilku innych. Przebrawszy się poszliśmy do Pasmondego, deputowanego węgierskiego, lecz go nie zastaliśmy. Potem ja przeszedłem się z Malinowskim po mieście, Poniński zaś poszedł do Niegolewskiego z Poznania.

Bardziej jeszcze pokochałem Malinowskiego, mimo że pachnie Czartoryskim, którego wszelako tylko jako prywatnego chwali, potępiając ostro pretensye jego do tronu, które całkiem na karb Zamoyskiego kładzie.

Dowiedzieliśmy się, że ziomkowie nasi podali adres do parlamentu w sprawie naszej ogólnej, a Poznańczycy w szczególności o Poznaniu. Obiecano nam zakomunikować ten adres, do którego zdaje się całkiem przystąpimy, tak że nam tylko sprawa o Oświęcimiu i Zatorze do wyświecenia zostanie.

**26 Maja.** Piszemy do deputacyi i Rady narodowej, oświadczając się przeciw protestowi założonemu w Wiedniu i zachęcając do korzystania z danych koncesyi.

Był u nas Libelt, jedzie do Pragi, trudno tego człowieka zbadać. Tymi dniami w klubie robotników uchwalono adres za Polską, z którego to powodu naczelników tego klubu, 3 Niemców nie tutejszych, wydalono z Frankfurtu, udali się więc o  $\frac{1}{4}$  mili stąd do Ks. Hesskiego, a za nimi czeladnicy.

Libelt i Trentowski mieli mowy na zgromadzeniu, odpowiadając na zarzuty kilku mowców występujących przeciw Polakom, gdy przyszło do głosowania, czy podać adres, ani jeden głos nie powstał przeciw adresowi, tak że jednogłośnie został uchwalonym.

Odwiędził nas Trentowski — twarz wyrazista, choć wzrok jakiś niepewny, — bez wąsów, bez faworytów, w białej chustce i czamarcie kościuszkowskiej, wielomówny, przystępny, przyrzekł nam bilety wstępu na posiedzenie parlamentu (als Ehrengäste).

Biletów takich dla Polaków 12 wydali, chociaż posłom zagranicznym tylko po 4 dano. Sympatya dla Polaków jest szczególnie u republikanów, ale Parlament musi naprzód przewyciężyć tendencje separatystyczne Prus, Austrii i Bawaryi, nim będzie mógł decydować o kwestyi niemieckiej, tem bardziej kwestyi polskiej. — Zobaczmy.

Odwiedziliśmy Niegolewskiego, mieszkającego razem z Cassiusem, Chostowskim i Łyskowskim. Cassius poczciwy staruszek, pochylony, z głosem tak cichym że go ledwo przez pokój usłyszysz, powitał nas, zaczęła się gawędka do której przystąpił Niegolewski (Łyskowskiego i Chostowskiego nie było). Niegolewski, młodzieniec z wielkimi wiadomościami, ale pedant, nie ma w nim tego co to oznacza Polaka, on Poznańczyk a nie Polak, Poznańczyk przesiąkły szkołą niemiecką, ale serce dobre i w głowie bardzo dobrze. Nie siedział też za piecem dotąd, wiadomości posiada dużo i to gruntownych — jest szperaczem, znajdziesz przeto u niego nagromadzonych aktów i faktów, jak w spichlerzu.

Nadszedł Chostowski, ten sam który był u nas w Wiedniu, milczał, czasami tylko odzywał się, a w zdaniach jego objawiał się wielki rozum, podczas gdy na pięknej jego twarzy malował się smutek, smutek którego on sam nie taił. Nieszczęścia Poznańskie zatręły i serce i myśl jego. — „Zemsty za krew naszą! Nie wierzę Niemcom, Słowianie to sprzymierzeńcy nasi — porzucę Frankfurt, pojadę do Pragi, zobaczę czy tam tak, jak ja pojmują Słowiańszczyznę t. j. jako ideę mającą odtąd przewodniczyć polityce europejskiej, ideę prawdziwej wolności, prawdziwego braterstwa z narodami, które chcą być wolnymi. Niemcy to plemię niewolnicze, nie pojmie nigdy prawdziwej wolności, ściślejszy z nimi związek shańbiły Polaków“.

Inaczej rezonuje Niegolewski. Zimny, u samego dyabła szukałby pomocy, — ma pociąg do Niemców; podług jego zdania Poznań i Galicya powinny tymczasem, nim się będą mogły połączyć z innymi częściami Polski, stanąć pod opieką rzeszy niemieckiej, — nie Prusaków lub Austryaków, — ale ludu niemieckiego.

Przybył nareszcie i Łyskowski z Mieroszewskim, (Wilczyńskim). Przypatrywałem mu się bliżej, gdzieś widziałem twarz taką, z tym wyrazem melancholijnym, z tą twarzą melancholika! Prze-

mówił, a głos jego śpiewny, całkiem odpowiedni wyrazowi twarzy, tak mnie zajął, że przez cały czas gdy mówił, oka nie spuścił. Wyrzucał Niegolewskiemu, że on tylko o Poznaniu mówi, a o Polakach w Prusach zachodnich zapomina. Tu dopiero odgadnąłem gdzie tę twarz widziałem, z wysokimi, wilgotnymi ustami, na pół otwartymi, ocienionymi dziewczym wąsikami, — widziałem go na wizerunkach Chrystusa. Mówiłem, gdyśmy odwiedzili, wyszedłszy od Poznańczańczanów Trentowskiego, o tem podobieństwie z Trentowskim. Masz słuszność, odrzekł, znam go od lat dwóch, poznałem go w Fryburgu, dokąd podczas feży przybył z Heidelbergu. Uderzyła mnie jego twarz poetyczna i to samo zrobiłem porównanie, które z ust twoich słyszę.

U Trentowskiego bardzo krótko bawiliśmy, wychodził bowiem z domu do Ledóchowskiego, — poszliśmy z nim.

Co za powaga! Co za szczerść staropolska. Słuszny, pięknej twarzy z brodą długą, siwą, Ledóchowski przeniósł mnie w wieki dawnych bohaterów polskich. Maniery republikańskie, bez żadnej wszelako szorstkości u naszych republikanów zwyczajnej, demokrata czujący znaczenie tego słowa i dlatego dumniejszy od króla! — Objawił mu Trentowski wezwany przeze mnie, że zamyślamy działać wspólnie, aby czynności nasze stały się jednolitemi, skoncentrowanymi. Przystąpił do wniosku i ofiarował swoje pomieszkание, byśmy się wszyscy zeszli i pomówili o tem. Pożegnaliśmy Nestora demokratów polskich i poszliśmy do ogrodu „zur Mainlust“ na obiad. Właśnie skończyło się było posiedzenie w parlamencie, członkowie prawie wszyscy zgromadzeni byli w tym ogrodzie przy dwóch długich stołach; usiedliśmy także, lecz na nieszczęście między samymi filistrami, jak się wnet przekonaliśmy.

Zaczęto mówić o wypadkach w Moguncyi, gdzie sobie Prusacy postąpili jak w kraju nieprzyjacielskim. Moguncya podała skargę do Parlamentu, dziś o tem debatowano i stanęła uchwała: Zur Tagesordnung überzugehen. — Powstawaliśmy przeciw tej uchwale, a gdy ten wypadek naprowadził nas na myśl, że i naszą sprawę ten sam los podobno trafi, skierowaliśmy mowę na Poznań, wystawiając Niemcom, że jak w Moguncyi tak i w Poznaniu żołdactwo wszystkiemu winno. Och, das nicht, odrzekł jakiś młody Bawarczyk, ich lese immer die Augs-

burger Zeitung, bin daher sehr gut von der Sache unterrichtet. In Posen waren's die Polen, die die Veranlassung gaben indem sie die Koncessionen von Seite der preussischen Regierung missbrauchend, das preussische Militär meuchlings überfielen. Otóż to poseł do parlamentu ludów niemieckich, który wierzy w gazetę augsburską, jak w pismo święte i nie wie nieborak, że ta wszetecznicza jak niegdyś Moskalowi i Austryakowi, tak teraz Prusakowi służy. Piękne dla nas nadzieje! Po objedzie siadłem, by napisać do Wiednia, przeszkodził mi Malinowski. Jest to człowiek, który do żadnej partyi w emigracyi nie należy, ale do Czartoryskiego wielki ma pociąg. Zdała zaczął mnie badać, ale żem w drodze już zauważył iż wielbi Ks. Adama, chociaż potępia jego pretensye do tronu, przeto miałem się na ostrożności. Widząc pan poseł sejmu 1831, że nie idą na lep, wyjechał że Czartoryski zwołał dawny sejm do Paryża i że on tam jedzie z Drezna, pokazał mi list własnoręczny Ks. Adama i pytał o zdanie. Powiedziałem mu otwarcie, że w Galicyi ani Ks. Adam, ani sejm dawny nie ma sympatyi, że przeto jeśliby ten sejm chciał sobie jakieś prawa arogować, my protestować będziemy. Uznał poniekąd, że sejm dawny nie może mieć żadnego prawa do rządu i że Ks. Adam powinienby jawnie zrzec się prawa (?) do tronu, ale że sejm powinienby się zjechać w celu wybrania reprezentantów Litwy, Wołynia etc. do parlamentu tutejszego, gdyż te części Polski nie są tutaj zastąpione. A gdy mu mówiłem: I to nie koniecznie potrzebne, ponieważ my nie jako Galicyanie, Krakowianie lub Poznańczanie, lecz jako Polacy tu występujemy i nie usamowolnienia Galicyi i Poznania, lecz całej Polski domagamy się, odrzekł, że my nie mamy mandatu od całej Polski i t. p. brednie. Pan Malinowski, którego zdania zresztą są bardzo trafne, w tym punkcie zagwożdżoną ma głowę. Rozeszliśmy się więc bez żadnego rezultatu, ja obsypany pochlebstwami od p. Malinowskiego a nawet insynuacją, że Ks. gdyby mu ktoś tak jak ja n. p. i w taki sposób jak ja te rzeczy wyłuszczał, wystawił konieczność zrzeczenia się swoich stosunków i praw do tronu, niezawodnie dałby się do tego nakłonić; — pan Malinowski zaś z tym przekonaniem, że ja wpadł w jego sidła. Niech się cieszy!

Po tej rozmowie, która trwała aż do ciemnego wieczora przyszedł Romanowicz z bardzo poważną tajemniczą miną, a oświadczwszy, że ma nam powierzyć tajemnicę, zaczął opowiadać, iż poznał się w Wrocławiu z Mildem, który teraz niezawodnie zostanie ministrem, że Milde bardzo był zachwycony jego sposobem myślenia i że mu się zwierzył z tem, że do reorganizacji w Poznaniu trzeba człowieka nie z Ks. ponieważ w Ks. nie masz człowieka, któryby posiadał zaufanie kraju i rządu, że dobrze by było gdyby my Galicyanie posłali jakiego reorganizatora i pytał, ktoby do tego mógł być przydatny, na co pan Romanowicz zarekomandował Tytusa Dzieduszyckiego.

Słuchałem ziewając i nic nie odpowiadając, sądząc że tym sposobem pozbędę się natrętnego gościa, ale on właśnie tego chciał. Zaczął mi opowiadać, o swoich czynach bohaterskich we Lwowie, o swem poświęceniu dla ojczyzny i tym podobnych rzeczach, a skończył zapytaniem, czylibym mu nie mógł 30 f. pożyczyć, gdyż nie ma tylko banknoty, na których tu zgoła traci się. Odrzekłem mu, że sam tylko 100 fl. mam, że mu przeto służyć nie mogę i tą odpowiedzią pozbyłem się komornika kochanego, który dyabli wiedzą jaką właściwie miał missyę.

Dyabli nadali, — z jednej strony ten stary intrygant Malinowski, z drugiej Romanowicz, Bóg wie jakim futrem podszyty, z trzeciej p. Wilczyński, konferujący z tutejszymi republikanami, szepczący z p. Malinowskim i o barykadach lub d... mówiący. Szczęście, że wkrótce wszyscy trzej mają stąd wyjechać.

Gdym się pozbył natrętnej wizyty, poszedłem do Ponińskiego a z nim do knajpy, by trochę poznać fizyonomię tutejszej populacyi. Idąc spotkaliśmy kolumnę czeladników z chorągwią niemiecką w szeregach po 4 maszerującą. Było ich najmniej 600, — była to demonstracya przeciw wydaleniu naczelników ich klubu, przespacerowali się spokojnie przez miasto i na tem się rzecz skończyła.

W kawiarni zaczęliśmy czytać gazety. Pięknych rzeczy dowiedzieliśmy się, — patent o banknotach i protestacya cesarza przeciw zadanemu mu w dniu 15-go gwałtowi. — Glück auf! Gdyśmy z Ponińskim zaczęli rozmawiać umyślnie po niemiecku, by zaczepić konwersacyę z Niemcami, przybliżył się jakiś brodac, w kapeluszu podobnym do naszych huculskich i po krótkim

wstępie zarekomendował się jako Moguńczyk. Z widocznym zadowolaniem opowiadał nam, jak Prusacy uciekali przed takimi kapeluszymi jaki on nosi, „das sind die Hüte unserer Sensenmänner“, śmiał się z parlamentu i przepowiadał mu bliski skon. My z naszej strony wsiedliśmy także na Prusaków i zaczęliśmy opowiadać o naszych kosynierach. — Vielleicht machen die deutschen Sensenmänner bald mit der polnischen Beamtenschaft, — ich empfehle mich — i poszedł, co my także zrobili zapłaciwszy za kawę, jeśli kawą nazwać można dekokt niemiecki z cykoryi, który tu za drogie pieniądze żłopać trzeba.

**27 maja.** Wstawszy, ubraliśmy się w czamarki i poszliśmy z wizytą do deputowanych węgierskich. Zastaliśmy ich tj. pana Pasmandy i Szally w czarnych frakach. — Po szczerem powitaniu przeprosił nas p. Pasmandy, że nam jeszcze nie oddali wizyty (Poniński był u nich wczoraj rano, a nie zastawszy tylko bilet zostawił), poczem wprost przechodząc do rzeczy oświadczył, że będą się wstawiać za wskrzeszeniem Polski, że to, gdyby nawet instrukcyi nie miał, jako przyjaciel Polaków czyniłby, — zrobił nas zresztą uważnymi, że Galicya nie powinna się porywać, lecz żądać teraz tylko ministerjum osobnego i tym sposobem, biorąc sobie Węgry na wzór, którzy także czekali cierpliwie, aż przysła korzystna chwila, wzmacniać się i oczekiwać, aż przyjdzie pora. Oświadczyliśmy mu, że nasze zdanie zupełnie się z jego zdaniem zgadza, — a widząc że się gdzieś wybierają wstaliśmy z krzesel. Przeprosił więc nas, że musi odejść do Gagera, który ich dziś ma wprowadzić na posiedzenie jako członków honorowych, oświadczając iż chciałby z nami dłużej pomówić, na co Poniński wezwał go, by wyznaczył do tego czas dla niego najdogodniejszy, oraz pozwolił aby deputowani z innych części Polski mogli być przypuszczeni do naszych konferencyi, na co przystał przyrzekając nas wkrótce odwiedzić.

Ztamtąd udaliśmy się za biletami Niegolewskiego i Trentowskiego na salę parlamentu; zastaliśmy już izbę pełną, a nawet miejsca honorowe do których przystęp mieliśmy, prawie całkiem zajęte, — sero venientibus ossa, — dostaliśmy więc haniebne miejsca, z których ledwie 10-te słowo mówiących zrozumieć można było. Czytano właśnie wniosek Marka, deputowanego ze Styryi,

żąda aby parlament wydał proklamację do szczepów słowiańskich zostających w związku z rzeszą niemiecką, iż zapewnia im narodowość. Mówił po nim jakiś członek sejmu, ale nie wiem co, — potem mówił Dr. Neuwald, ten sam który w Wszechnicy w Wiedniu do nas przemawiał, lecz także nie rozumiałem nic, potem wystąpił Giskra w obronie wniosku Marka, a na ostatek Hlubek z Gracu z konstytucją z 25-go kwietnia w rękę, żądając zabezpieczenia narodowości słowiańskiej i powołując się na rzezoną konstytucję.

Uchwalono wyrzec zasadę żadaną i zaczęto debatować nad dalszym wnioskiem Marka, by natychmiast wyznaczyć komisję do tego. Marek jeszcze raz coś przemawiał, po czym uchwalono, by komisya konstytucyjna (Verfassungs-Kommission) zajęła się tą proklamacją.

Po tem odczytał sekretarz kilka wniosków dotyczących się kwestyi, czyli konstytucya przez parlament uchwalona ma obalić konstytucje w pojedynczych państwach do rzeszy niemieckiej należących, lub nie. A że pytanie to już poprzednio komisji osobnej do referatu oddane było, przystąpiono do odczytania tego referatu. Zgody nie było; część jako to Winka, Lumaruger, Beckerath byli zdania, że konstytucya przez parlament uchwalona ma tylko zobowiązać pojedyncze rządy, aby swoje konstytucje odmieniły stosownie do ogólnej konstytucyi; Weiner sądził, że powinno się orzeknąć, że przez konstytucję ogólną wszystkie partykularne zniesione zostaną, — tegoż zdania był także Schafrath z Saxonii, z małymi jeszcze dodatkami. Występowali więc członkowie tej komisji, każdy swoje zdanie broniąc, mówił Beckerath, Welker i jeszcze ktoś z Hamburga przeciw zniesieniu pojedynczych konstytucyi w Austrii. Prusacy siedzący na stronie prawej poklaskiwali im, szczególnie Welkerowi, który wybornie mówi, przeplatając wolnomyślnemi okruszynami konserwatywne swoje zasady. Otóż to co znaczy wolnomyślny Niemiec dawnej szkoły. Zdanie przeciwne bronił najprzód Raveau z nad Renu, który właściwie ten wniosek zrobił pierwiastkowo, — Schafrath i Werner popierali go. „Wollen wir Oesterreicher, Preussen und Lichtensteiner oder Deutsche sein? Hat das Parlament die Macht eine Konstitution für Deutschland zu machen oder nicht? Bravo tu bili a cała strona lewa, pół środka zbliżającego się do lewej



strony i cała trybuna obsypywała oklaskami mowców, szczególnie Schafratha, który mówił namiętnie jak prawdziwy apostoł wolności.

O 2<sup>3</sup>/<sub>3</sub> prezydujący zaproponował, czyliby nie odroczyć posiedzenie. Nein, nein, zawołały liczne głosy, zrobił więc zapytanie takie, czy odroczyć do jutra, czy tylko na dwie godziny, ci co chcą na 2 godziny tylko, niech wstaną. Lewa strona i większa część środka powstała, — Austryaki i Prusaki siedzieli, przewidywali bowiem, że kwestya ta niekorzystnie dla nich rozstrzygniętą zostanie, tem bardziej że miał jeszcze mówić Blum (republikanin) i innych kilku mowców z partyi postępowej.

Odroczono więc posiedzenie, posłowie poszli na obiad, a my także. Przy obiedzie zrobiliśmy znajomość z Rugiem, piękny mężczyzna z wyrazem łagodnym na pozór, lecz czasami chmura powleka czoło a oczy iskrzą się tak, że nawet okulary które nosi, pokryć tego nie mogą. Zdaje się całkiem obojętnym być przy obradach, widoczne że się menażuje, jak wogóle partya republikańska, nie chcąc się zużyć w samym początku, gdzie idzie o rzeczy mniejszej wagi, — i słusznie robi.

Po południu zeszliśmy się u Ledóchowskiego, gdzieśmy także zastali Trzecińskiego, emigranta. Stary żołnierz, rubaszny, przyjaciel od serca Ledóchowskiego. Gdy przyszli Poznańczanie, określiliśmy stosunek nasz do Węgrów, Czechów i Słowaków, by ustanowić sposób w jaki mamy konferować z deputowanymi węgierskimi. Poczem Trentowski zrobił wniosek, abyśmy mieli regularne posiedzenia dla naradzenia się nad tem co czynić trzeba i działali tylko za uchwałą większości — dalej, żeby tylko umocowani przy obradach prawo radzenia i głosowania mieli. Ostatni ten wniosek zrobiony był wyraźnie przeciw Malinowskiemu i Wilczyńskiemu, którzy także przyszli byli do Ledóchowskiego i swoje trzy grosze do naszych rozpraw mieszali. Wniosek ten przyjęto a Ledóchowski prezesem obrany został, — poczem rozeszliśmy się.

Uważałem że Trentowski nie bardzo kocha Niegolewskiego, przeciw któremu nawet bardzo grubijańsko powstawał. „Wy jesteście przede wszystkim Poznańczykami, ciągle tylko o powstaniu mówicie a o Polsce zapominacie, nasze dotychczasowe rozprawy były babskie, niektórzy gadają ciągle (ci niektórzy to

znaczy Niegolewski, który mówi dużo i rozwlekle) i nie dadzą innym przyjść do słowa, etc. etc.“ Pan Malinowski, obrażony wnioskiem Trentowskiego, załił się gdyśmy wyszli i z tej okazji powstawał na pisma Trentowskiego w ogóle, w których obraża grubjańskimi wyrazami. Tłumaczyłem Trentowskiego jak mogłem, biorąc część winy na siebie, gdyż istotnie Trentowski na moje przedstawienia prywatnie mu zrobione, wniosek powyższy uczynił.

Wieczór spędziliśmy na pogadance z Malinowskim i Wilczyńskim, mieszkającymi w jednym z nami hotelu.

**28 Maja.** Odpisałem plenipotencję naszą i posłałem do notaryusza do zawidymowania; napisałem akt przystąpienia do adresu i protestu podanego przez Krakowiaków, Poznańczanów i Łysakowskiego w imieniu Polaków z Prus zachodnich i ubrałem się we frak, mieliśmy bowiem pójść do Gagera, by mu wręczyć akt przystąpienia i plenipotencję. Wtem wraca Lohndiener z kwitkiem, niedziela, urząd stemplowy zamknięty a bez zastępowania nie może notaryusz widymować.


Zrzuciłem więc jak niepyszny frak i zasiadłem do pisania listu do Wiednia, by im donieść co robimy i posłać adres i protest do którego przystąpiliśmy.

Odwiedził nas Ledóchowski i Trzcziński; ledwie wyszli wlaź Romanowicz, którego kłamstwem, że mamy iść do Möhrwiga (deputowany z Wiednia, do którego mam list rekomendacyjny) zbyliśmy się.

Było już dość późno, poszliśmy więc z Wilczyńskim, dla którego jeszcze na prędce napisał Poniński wstęp do usprawiedliwienia Krotowskiego, przeznaczonego do pism publicznych, na obiad do Mainlust. Zastaliśmy tam Trentowskiego i Łyskowskiego, z którymi po obiedzie poszliśmy na miasto, do Felsenkeller na piwko.

Przez drogę Trentowski rozprawiał o mitologii, z wielką głębokością porównywał rozmaite mitusy i tłumaczył je z niepospolitą bystrością, widać wszelako w jego mowie dużo pedantyzmu, a co szczególna ma tego tyle, czasem nawet niepotrzebnego zapału, że się dziwił jak o mitologii z takim ogniem mówić można. Była to formalna prolekcya i żałowałem mocno, że Felsenkeller nie leży przynajmniej o milę od Frankfurtu, —

gdyśmy bowiem przyszli do Felsenkellern (knajpa), wzięła konwersacya inny ton.

Gdyśmy wracali, zapraszałem go do Galicyi, do Lwowa mianowicie, gdzie niezawodnie wiele znalazłby słuchaczy. Tu zaczął opowiadać o swoich nieprzyjaciolach, którzy mu wszędzie stawiają zapory, w szczególności o postępowaniu Męciszewskiego, przy której to sposobności pan filozof trochę zanadto siebie chwalił. — Zarzucał nam Galicyanom następnie niemoralność w najwyższym stopniu, tak dalece, że kobiety które trochę jeszcze mają cnoty opuszczają Lwów, tę Sodomę, — prawił mi o wieczorkach rajskich we Lwowie w modzie będących, na których mężczyźni i kobiety nago występują. Dziękuję! Pięknie nas zarekomandował ktoś. Broniełem biedny Lwów jak mogłem, — powoływał się na jakąś jejmość z Krakowa, która uciekła ze Lwowa dla zgorzenia i która mu to wszystko opowiadała. Pytałem o imię tej cnotliwej damy, — nie chciał, mi jej nazwać, powiedział tylko że kobieta z najpierwszych familii. Teraz pojmuję, odrzekłem. — Żyła z Krasicką, Kownacką et consortibus, — w tej warstwie towarzystwa lwowskiego jest zepsucie, salony pani Krasickiej są Sodomą, ale Lwów je dawno potępił i na przęgierz wystawił. 

Nie wiem czyli przekonałem kochanego filozofa, który w życiu nie tknął kobiety, prócz swej żony, — jakkolwiekbyż zasmuciło mnie już samo to przypuszczenie, że Lwów tak głęboko zagrzął w niemoralności i zepsuciu.

Rozstaliśmy się koło poczty. Wilczyński poszedł zamówić miejsce dla siebie i Malinowskiego, Trentowski z Łyskowskim do domu, a my z Ponińskim rozprawiając o tem, że żadnych wiadomości z Wiednia nie mamy, powoli wracaliśmy do naszej oberży.

**29 Maja.** Mamy już kopię widymowaną, ale cóż, sesya się o 9-tej zaczęła, zapóźno więc pójść do Gagerna. Jakieś nieszczeście nas przesładuje. Pasmandy także dotąd nie był u nas, i to nie bardzo pocieszające.

Był u nas Trentowski. Była mowa o Pohlu, żałował żeśmy go niesłusznie potępił, — musiałem się tłumaczyć i po części przekonałem go, że zasłużył być potępionym. Nie przestawał

wszelako twierdzić, że Pohl jeszcze się opamięta i stanie użytecznym krajowi. *Credat Indaus Apello!*

Arage wracający z Berlina przyjechał do Frankfurtu. Poznańczanie piszą memorandum w sprawie poznańskiej, — Poniński poszedł do Bluma z Wilczyńskim.

A ja siadłem i spisałem wczorajsze zdarzenia i spostrzeżenia. Czy też mój dziennik będę kiedy czytał? Coś mi się zdaje horyzont nasz czarnymi zachodzi chmurami. Partya republikańska chce wojny, by wyjść na górę, — chcąc zaś wojny, nie mogą być za przywróceniem Polski w sposób zgodny. Partya konserwacyjna chce utrzymać pojedyncze państwa, a więc nie chce przywrócenia Polski, partya postępową, konstytucyjną nazywaną, jest za słabą. A więc republikanie w kwestyi polskiej połączą się z konserwatystami i odeszlą nas z kwitkiem, a jak ministerium wiedeńskie Kroatom, tak republikanie nam powiedzą: „Nehmts euch!“ Tego też Niegolewski i Chostowski zdaje się chcą. Jeden Cassius, co z Poznańczanów zdanie nasze podziela, — Trentowski jest także tego zdania, — Ledóchowski go jeszcze nie objawił, a więc nawet między sobą nie porozumieliśmy się jeszcze.

---

## Protest

der polnischen Abgeordneten gegen die Theilung und theilweise  
Einverleibung des Grossherzogthums Posen in das Deutsche Reich.

An die hohe deutsche National-Versammlung.

Der am 27. d. M. in h. deutschen Parlamente gefasste Beschluss, welcher durch die Einverleibung eines Theiles des Grossherzogthums Posen in das Deutsche Reich eine neue Theilung Polens dekretiert, verletzt nicht nur das bisher von den Fürsten anerkannte Völkerrecht, sondern auch die, durch die Revolution im J. 1848 sanktionierten Rechte der Nationalitäten; er widerstreitet dem vom Vorparlamente ausgesprochenem Urtheile: „dass die Theilung Polens eine Schmach für Deutschland ist“ und spricht Hohn der „im Namen deutschen Ehre“ gethanen Forderung des Fünfzöger Ausschusses: „das den Polen gegebene Wort zu halten!“

Wir erfüllen eine heilige Pflicht, indem wir gegen diesen Beschluss im Namen unseres gesammten Vaterlandes Protest einlegen und an alle freisinnigen Männer, zunächst Deutschlands appellieren.

Pflicht ist es auch für uns, unseren warmen Dank den vielen deutschen Männern auszudrücken die mit einiger . . . .\*) liebe unsere heilige Sache verfochten und durch ihre feierliche Erklärung sich der Abstimmung über den willkürlichen Spruch zu enthalten, sich an dieser neuen an Polen verübten Gewaltthat nicht beteiligten um unsere Rechte zu wahren.

Frankfurt a./M., den 28. Juli 1848.

---

\*) Manuskrypt nieczytelny.

*Johann, Ledóchowski*, ehemals Landbote des polnischen Landtages-Abgeordneter in Krakau.

*Adolf Poniński*, Mitglied und Abgeordneter des polnischen National-Comité von Galizien.

*Johann Wilhelm Cassius*, Professor u. reform. Prediger, Mitglied und Abgeordneter des polnischen National-Comité in Posen.

*Wladislaus Niegolewski*, Dr. der Rechte, Mitglied und Abgeordneter des poln. National-Comité in Posen.

*Ignatz Łyskowski*, deputierte des National-Comité für die poln. districte West-Preussens.

Die hier noch fehlenden 3 Unterzeichner des pro memoria vom 17. d. M. Dr. *Trentowski*, Dr. *Ziemiałkowski* und Dr. *Góra* sind bereits abgereist.

### **Koncesye przez deputacye uzyskane.**

1. Język polski w sądach.
3. Wolność nauczania w języku polskim (Lehrfreiheit).
3. Sankcya zniesienia pańszczyzny.
4. Odwołanie fałszywego ogłoszenia zniesienia pańszczyzny.
5. Nakaz komisji śledczej wojskowej z powodu wypadków w Stanisławowie, Cuciłowie i Hossowie.
6. Zniesienie podatku urbarialnego;
  - „ dodatku na utrzymanie żandarmów,
  - „ zapomogi i części oktawy,
  - „ kosztów obrony poddanych,
  - „ „ rekrutacyi, leków etc.,
  - „ odpowiedzialności za podatki,
  - „ patentu ogłoszonego gazetą wiedeńską z dnia 12. maja antydatowanego o dwa tygodnie i sztukowanego podług Stadionowskiej instrukcyi.
7. Wyjednanie komisji na urzędników — przez komitet centralny gwardyi narodowej wiedeńskiej.
8. Amnestya dla wojskowych.
9. Zniesienie kondyktów i sekwestru dóbr Księcia Adama.

## Załatwiono przez ustawę konstytucyjną punkta petycji.

1. Gwardya narodowa.
2. Prawo assocyacji.
3. Sądy przysięgłych.
4. Zrównanie stanów i wyznań w obliczu prawa, wyjąwszy niektórych ograniczeń tyczących się starozakonnych.
5. Habeas corpus.

Uzyskaliśmy prócz tego:

- a) Przyznanie ze strony rodziny cesarskiej, — nawet ministrów — niesprawiedliwości wyrządzonej Polsce przez Maryę Teresę i uznanie potrzeby restauracji Polski.
- b) Przyznanie szkodliwości biurokracyi w Galicyi.

Członkowie mający oddać adres do Najjaśniejszego Pana.

1. X. *Franciszek Ksawery Wierzchlejski*, biskup przemyski obrz. łać.
2. *Książę Jerzy Lubomirski*.
3. > *Władysław Sanguszko*.
4. > *Stanisław Jabłonowski*.
5. *Marcin Jabłoński*, Künstler.
6. *Józef Hossakowski*, Bürger aus Tarnów.
7. X. *Onufry Krynicki*, kanonik przemyski, Dr. teologii, prof. uniwer. lwowskiego.
8. *Kazimierz hr. Wodzicki*, właściciel ziemski.
9. *Ludwik Bierkowski*, Dr. medycyny, prof. uniw. jagiellońskiego.
10. *Berl Meizels*, rabin izraelitów krakowskich.
11. *Grzegorz Zbroja*, włościanin z cyrkułu krakowskiego.
12. *Wojciech Bonior*, włościanin z cyrkułu tarnowskiego.





# PAMIĘTNIKI

FLORYANA

ZIEMIAŁKOWSKIEGO

CZEŚĆ TRZECIA

ROK 1863.

KRAKÓW  
CZCIONKAMI DRUKARNI A. KOZIAŃSKIEGO  
1904



I.



Mimo nalegań przyjaciół i znajomych, bym opisał ostatnie ruchy nasze, wahałem się długo, czując jak trudno uchwycić nić wypadków, która wijąc się w ciemności, co chwila inną zdaje się trzymana ręką, to się rwie, to znów zawiązuje, a czasem w przeciwnym pokazuje się obrazie.

Co się przez długie lata w cichości przygotowywało, a w r. 1860 pojedynczymi drobnymi wybuchami objawiało, to 27. lutego 1861 wystąpiło otwarcie i jakby płyn duchowy szybkością błyskawicy zaelektryzowało wszystkie części Polski, aż przy nie małej rządu rosyjskiego pomocy, w powstanie się przekształciło.

Nie brak między nami ludzi, ludzi nawet wykształconych, którzy z śmieszłą zarozumiałością wywołanie powstania sobie przypisują, również jak i takich, którzy z zupełną niezajomością dziejów ludzkości, powstanie to na karb tych lub owych ludzi kładą. Powstania narodowe nie są dziełem pojedynczych ludzi, lecz wynikiem długiego szeregu przyczyn, mającym swój punkt wyjścia w niesprawiedliwości obcego najazdu. Nauczającym jest w tym względzie ruch od 27. lutego aż do 22. stycznia 1863; dlatego odważyłem się skreślić takowy, o ile mi wiadomy, a to tem bardziej, że ruch ten pod okiem tyrańskiego rządu odbywający się, jedynem w swym rodzaju jest zjawiskiem.

W kwestyi polskiej dwie należy rozróżnić strony: 1. dążność do odzyskania niepodległości i zjednoczenia rozerwanych części polskich, 2. dążność do wolności obywatelskiej i równoprawnienie stanów i wyznań. Obie te strony stanowią treść ruchu od r. 1861 począwszy. Że zaś w kwestyi polskiej punktem

1861

1863

środkowym jest Kongresówka jako ta część Polski, która aż do r. 1831 zawsze przynajmniej cień samoistności posiadając, żywi w sobie najświeższe tradycje o niepodległości naszej, więc rzeczą naturalną, że ruch narodowy rozpoczął się w Kongresówce.

Po upadku powstania w r. 1830, postanowił Mikołaj zniszczyć Polskę demoralizacją. Zniósł Wszechnicę, z 15-tu gimnazjów zostawił tylko sześć i to ledwo zasługujących na tę nazwę; ogłupiał w szkołach, demoralizował w życiu, a zabijając moralność, przytłumiał uczucie narodowości, bo to idzie w parze z tamtą. Temu to jedynie przypisać należy, że mimo zupełnego ogołocenia z wojska i mimo przyjaznych nader stosunków zewnętrznych, podczas wojny krymskiej Polska się nie porwała do broni — zdemoralizowana leżała w letargu moralnym.

Po śmierci Mikołaja nic się w Polsce nie zmieniło; nawet gdy po zgonie Paszkowicza, Gorczakow objął rządy, krótko tylko trwała nadzieja zmiany na lepsze; Muchanów opanowawszy Gorczakowa, rządził samowładnie w Polsce, powtarzając nie raz: „tu ja carem“. Jedno się tylko zmieniło: nie rządono strachem. Dźwigała więc Polska zawsze te same kajdany, ale zaczęła już podnosić głowę mimo słów Aleksandra II. w Warszawie wyrzeczonych: point de rêveries!

Ludzie myślący poznali, że ożywienie polskiego organizmu może być tylko dziełem żmudnych i systematycznie prowadzonych prac organicznych. Szlachta rozmiłowana w zabawach i protegowanej przez Moskali hulatyce, zaczęła się oswajać z Moskalami. Lud wiejski ciemny i pijaństwem demoralizowany — (Paszkiewicz bowiem zakazał księżom występować przeciw pijaństwu, a szkółki wiejskie po r. 1831 prawie wszystkie poupadały) — był masą bierną. Żydzi jako element całkiem obcy, a liczny, bogactwem silny i przeważną część mieszkańców miast stanowiący, na szczególną zasługiwali uwagę, byli zaś po wsze czasy ruchom narodowym jeśli nie wyraźnie przeciwni, to przynajmniej obcy. — Trzeba więc było szlachtę do zajęć poważniejszych zachęcić; lud wiejski oświecić, o polepszeniu jego bytu materyalnego pomyśleć i na drogę prowadzącą do obywatelstwa skierować; żydów nakoniec trzeba było dla sprawy narodowej pozyskać, co tem łatwiej dokonaniem być mogło, ile że Moskwa i żydów prześladowała.

Pierwsza z prac przygotowawczych, podjętych na niwie odrodzenia Polski, było zakupienie „Gazety Codziennej“ przez Kronnenberga i powołanie na redaktora, zasłużonego i szacownie w całym kraju znanego Józefa Kraszewskiego. Dzięki tej gazecie, która się „Gazetą polską“ nazwała, naród zwrócił się do poważniejszych kwestyi; poczęto zarzucać zbytki, karmiona dotąd nieważnością ku żydom ustawała; wskutek poruszonych w „Gazecie polskiej“ kwestyi narodowo-ekonomicznych, Towarzystwo rolnicze zaczęło zakładać domy rolniczo-komisowe, którym jako pozornie przeciw spekulacji żydowskiej skierowanym, rząd rosyjski nie przeszkadzał, a które w krótkim czasie pokryły całą Polskę uorganizowaną siecią korespondentów. W roku 1860 zaczęły się podnosić w Towarzystwie rolniczym głosy za zniesieniem pańszczyzny, lecz obywatelstwu ziemskiemu brakowało jeszcze dojrzałości politycznej, a może i ochoty do ofiar, zresztą zamilczeć i tego nie godzi się, że od r. 1846 wszelkie zmiany w stosunkach poddańczych wymagały zatwierdzenia rządu, a rząd się w danych razach z potwierdzeniem nie spieszył. Pod względem oświaty zaczęto tu i owdzie zakładać szkoły wiejskie cichaczem, by podejrzliwego nie spłoszyć rządu; dla młodzieży zaś wyższych stanów przybył utworzony na nowo fakultet medyczny w Warszawie, do którego jako jedyne w kraju rzuciła się cała młodzież polska, nawet i tacy, którzy nie mieli powołania do tego zawodu, lecz gdy raz poruszono potrzebę kształcenia się, młodzież chciała okazać, że chce się kształcić.

Podczas gdy ludzie światli, kraj miłujący, na drogę prac organicznych sprowadzać naród zaczęli, by go odrodziwszy i pokrzepiwszy zdolnym uczynić do zdobycia sobie swobód politycznych i niepodległości — ludzie inni, tak zwani ludzie ruchu, zaczęli się także krzątać w kraju. Gdy po śmierci Mikołaja ułatwionym zostało podróżowanie po Europie, rzuciła się młodzież majątniejsza za granicę; tam przez zręcznych agentów Mierosławskiego z jednej, a Hercena z drugiej strony w sieć łowioną, skrajno-rewolucyjnymi zasadami nadziana, wracała do kraju szercząc zbawienie Polski w imię zasad społeczno-rewulucyjnych i bezwłocznego powstania zbrojnego, które przygotowana w Rosyi socyalna rewolucya ułatwić miała.

1860

Niestety! od r. 1831 niczego prawie nie nauczyliśmy się; powodem tego było, żeśmy z dnia na dzień wyglądali jakiejś rewolucyi europejskiej, przed którąby runąć musiała potęga Rosyi, żeśmy ufność odbudowania Polski pokładali wyłącznie tylko w jakiejś, gdzieś i kiedyś wybuchnąć mającej wojnie, której z założonemi oczekiwaliśmy rękami, puszczając wszystko odłogiem w tem mniemaniu, iż nie warto cokolwiek rozpocząć, skoro lada dzień chwycić przyjdzie za oręż. To wyłączne zapatrywanie się na oręż, to przekonanie, że powinność patrioty na nim się tylko ogranicza, sprawiły w znacznej części iż dotąd z zaburzeń europejskich i wojen, które w tych czasach prowadzono z naszymi ciemiężcami, nie odnieśliśmy żadnej korzyści, w tem podobno była także przyczyna, iż w chwilach rozejmu po nieudaniu się naszych podrywów, ustawały funkcje nasze patriotyczne, w przekonaniu, że w czasie spokoju i pod jarzmem obcem nic dla Ojczyzny zrobić nie można, z tego na koniec poszło, iż główny pierwiastek życia narodowego, wychowanie polityczne i wszelkie ku temu usposobienia, że kierunek opinii narodowej, zostawszy na łasce przypadku, wiatru zagranicznego, i pierwszego lepszego, który kierunek pochwycił. Abyśmy przecież pojęli, że opinia narodu, to siła moralna w której największe nasze nadzieje spoczywają, potrzebuje nieustannej energicznej, śmiałej dyrekcyi, tak w chwilach działania, jak w chwilach spoczynku, że jeśli ci którzy pomiędzy nami celują położeniem, zasługami, doświadczonym charakterem i narodową wziętością nie przystąpią odważnie do dzieła, nie staną u steru narodu dla zbawienia rzeczy publicznej — znajdą się inni ochotnicy, którzy pospieszą do zajęcia opróżnionego stanowiska: płochość, namiętność, chęć figurowania, wreszcie ciemiężcy nasi dostarczą kandydatów — ale zapewno nie dla dobra naszego.

Drugim, niebezpieczniejszym szkopułem dla opinii, dla polityki naszej narodowej, było i jest naśladownictwo bezmyślne obcego tak zwanego liberalizmu. Niebaczni! bierzem plany, cele, taktykę, nawet sofizmata opozycyi liberalnej w państwach niepodległych, za czyste i pożywne źródło nauki politycznej a nawet społecznej, nie widzimy, że to po większej części jest tylko taktyka pewnych stronnictw lub indywiduów dążących do władzy;

zapominamy, że co jest, że tak powiem gimnastykę polityczną dla narodów niepodległych, ukonstytuowanych, wolnych, co jest zbytkiem swobodnego życia, to dla narodu ujarzmionego za machinę wydobycia się z niewoli, do odzyskania bytu służyć nie może.

Nagromadzenie młodzieży w Warszawie, młodzieży jak się już powiedziało w znacznej części bez właściwego powołania do nauk, było najzdolniejszym polem do agitacji politycznych; udało się też tam (głównie za pośrednictwem Kurzyny, który w r. 1859 jako uczeń medycyny z kraju się wyniósł) stronnictwu Mierosławskiego zawiązać organizację rewolucyjną, która między uczniami medycyny, a głównie sztuk pięknych powstała i owładnęła wkrótce czeladź rzemieślniczą, korzystając zdawniej już przez pewnego księdza powziętego i kilkakrotnie rządowi bez skutku przedkładanego planu resursy rzemieślniczej. Tu nawiasem tylko wspomnę, że i w Galicyi pojawiali się ajenci Mierosławskiego n. p. Gaszyński a później sam Kurzyna, lecz nie znaleźli tu pola dla siebie, pierwszy aczkolwiek równocześnie także jako wysłannik generała Wysockiego figurował i jego upoważnieniem się legitymując — gdzie to za dobre uznał, gorąco przeciw Mierosławskiemu występował — nic nie wskórał, kraj nasz bowiem dzięki Bogu i nabytem doświadczeniem postanowił już był kierować się swojskim, a nie emigranckim rozumem. Kurzyna, który wysławszy naprzód Leszka Wiśniowskiego, aby mu jak Św. Jan Chrystusowi drogę utorował, przez podkopanie ludzi w kraju poważanych i wyzwolenie klasy rzemieślniczej z pod wpływu krajowej inteligencji, przybył nareszcie do kraju, potrafił wprawdzie zawiązać komitet rewolucyjny pod prezydencją Czarneckiego, lecz żywioły z których się ten komitet składał, najlepiej dowodzą, że stronnictwo to nas tylko do ludzi dwuznacznej reputacji i do rozwiązłej młodzieży trafić zdołało.

Zbratanie się młodzieży szkolnej z klasą rzemieślniczą w Warszawie było oczywiście tajemem, lecz warstwy nieoświecone rzemieślnicze nie zdolne utrzymać, a nawet pojąć konieczności tajemnicy, skoro pojęły rzecz, chciały ją zaraz i objawić, a że gdzieindziej jak w kościele i na polu religijnem objaw ludowy był niemożliwym, więc kierownicy ruchu porozumiewawszy się z niższem duchowieństwem, zaprowadzili demon-

1860  
stracye religijno-narodowe. Pierwszą taką demonstracją był pogrzeb jenerałowej Sowińskiej w sierpniu 1860, na którym zaśpiewano po raz pierwszy „Boże coś Polskę“ w kościółku, w którym Sowiński r. 1831 bohaterską poniósł śmierć. Potem ucichło wszystko — dopiero przy bytności cara w Warszawie pojawiły się innego rodzaju demonstracye w teatrze i przy iluminacyi w Łazienkach, lecz te przypisano niepopularności ówczesnej konferencyi z cesarzem austr. i królem pruskim. W zimie z r. 1860 na 1861 skierowały się demonstracye przeciw wykwintnym strojom dam i przeciw cylindrom, podczas gdy rocznicę 29 listop. obchodzono nabożeństwem w kościele.

Przy wszystkich tych demonstracyach brały udział głównie niższe warstwy społeczeństwa pod przewodnictwem młodzieży szkolnej; wyższe warstwy patrzyły na to z pewnym niepokojem, jak przed burzą.

Policya nie pojmowała tego ruchu, uwięziła kilka osób i sądziła, że rzecz całą zabije milczeniem. Tymczasem ruch innego rodzaju wywołany w Galicyi Dyplomem październikowym, przywdzianie stroju narodowego, śmiały język ukonstytuowanego na nowo pod protekcyą najpopularniejszych mężów „Przeglądu powszechnego“, deputacya wysłana do Wiednia i jej adres upominający się o narodowe instytucye od cesarza, lecz nie zrzekając się nadziei niepodległości Polski, bratanie się inteligencyi z mieszczaństwem i z żydami, rozprawy Towarzystwa agron. więcej polityczne niż gospodarskie, słowem cały ówczesny objaw życia narodowego w Galicyi odbił się w Kongresówce. Indyferentnie na życie narodowe wyższe klasy obudziły się za przykładem szlachty galicyjskiej, a pogardzające żydami mieszczaństwo Warszawy zaczęło się na seryo bratać ze starozakonnymi współobywatelami.

Na 25 lutego, jako rocznicę bitwy pod Grochowem, była już od dawna zapowiedziana demonstracya; korzystając z wiatru wiejącego z Galicyi, postanowili agitatorowie uwidocznić tego dnia zbratanie się różnych stanów. Towarzystwo rolnicze było właśnie zebrane — to miało ułatwić demonstracyę, i istotnie ułatwiło. Po nabożeństwie w kościele Paulinów odprawionem wyszła procesya udając się do miasta, rozwinięto chorągiew z orłem polskim. Trepow, dowiedziawszy się o tem, wpadł z policyą



i rozpędził procesyę, uwięziwszy kilku młodych ludzi, przyczem lud był pomocny policyi, tak mało jeszcze był świadom celu tej demonstracyi, dopiero go objaśniła proklamacya policyi z powodu tej procesyi na drugi dzień wydana. To też zarządzona z 27 lutego powtórna procesya lepiej się udała. Brali w niej już i żydzi udział, a gdy ciągnąc koło pałacu namiestnika spotkano się przypadkiem z jakimś pogrzebem, co zwiększyło tłum, żołdactwo rozdrażnione połamało krzyż przed trumną niesiony i znieważyło księdza. Lud zaczął rzucać kamieniami na żołnierzy, ci dali ognia wskutek czego pięć ofiar padło. Lud nie ustępował, wojsko jakby przerażone tem co uczyniło, stało spokojnie i nie przeszkadzało, że zabitych podniesiono i obnoszono w procesyi koło konsulatu angielskiego i francuskiego, jak gdyby chciano przed tymi najoświecześniejszymi narodami zachodu złożyć dowód barbarzyństwa rządu rosyjskiego. Zresztą ludność Warszawy potem rzekomem zwycięstwem zachowała się tego dnia spokojnie, młodzież zaś która tą demonstracyą kierowała, złożyła dalszy kierunek ludności warszawskiej w ręce ludzi dojrzałych inteligencyą i wiekiem.

Naturalnymi przedstawicielami kraju były wówczas: Resursa kupiecka i Towarzystwo rolnicze; członkowie pierwszej wyobrażali miasto Warszawę i interesy miejskie, członkowie drugiego przedstawiali ziemiaństwo. Tamci mieli przedewszystkiem wyrobić u rządu zabezpieczenie życia i wolności osobistej w stolicy, oraz starać się o utrzymanie porządku przez ludność tejże stolicy, drudzy mieli przedłożyć rządowi życzenia kraju i potrzeby onegoż. Resursa więc kupiecka wybrała z pomiędzy siebie Delegacyę miejską, Towarzystwo rolnicze miało już swego przedstawiciela w komitecie, którego prezesem był Andrzej Zamojski. Tym sposobem zasada równouprawnienia szlachty i mieszczan weszła w życie, a dwie pomienione właśnie władze: Delegacya miejska (kupcy, duchowieństwo, rzemieślnicy, dziennikarze) i komitet Towarzystwa rolniczego, kierowały odtąd aż do kwietnia 1862 ludem, starając się na wyścigi utrzymać rozpoczęty ruch na drodze legalności. Towarzystwo rolnicze zważywszy doniosłość wypadków zaszłych w Galicyi, a względnie w Austryi, zajęło się gorliwie sprawą włościańską, nad którą rząd tego roku po raz pierwszy obradować pozwolił. Tymczasem zajścia 25 lu-

tego wywołały nazajutrz przemówienie się o konieczności adresu do cara. Lecz podawanie adresów surowo było zabronione, Zamojski też nadaremnie starał się o pozwolenie do tego, a gdy 27 lutego po krwawych zajściach ludu z wojskiem, które przed pałacem, w którym Towarzystwo obradowało, miały miejsce, Zamojski z wiceprezesem Ostrowskim udał się znów do namiestnika z prośbą o pozwolenie na adres, namiestnik odmówił powtórnie. A tu rosło rozjątrzenie — oznaki żałoby zaczęły się mnożyć, lud i wojsko stały naprzeciw siebie, obawa nowego krwawego zajścia była wielka. W takim stanie rzeczy wybrano późno wieczorem w Resursie kupieckiej wspomnianą już Delegacyę przez aklamacyę, która udała się natychmiast do namiestnika i uzyskała: oddalenie oberpolicmajstra Trepowa, ściąganie policyi i wojska, pozwolenie na solenny pogrzeb pięciu zabitych, poruczenie delegacyi czuwania nad spokojem w mieście. Tym ostatnim zajęła się delegacya natychmiast, a młodzież akademicka objęła dobrowolnie pełnienie funkcji policyjnych. Tego samego wieczora około północy przyjął namiestnik Gorczaków, Andrzeja Zamojskiego i Ostrowskiego, przybyłych z ponownem żądaniem zezwolenia na adres i przyrzekł, że adres przyjmie i Aleksandrowi przedłoży. Przystąpiono więc nazajutrz do wygotowania adresu. Towarzystwo rolnicze miało dwa projekta sobie przedłożone: jeden Wielopolskiego żądający przywrócenia konstytucyi z r. 1815, drugi przez niejakiego Sawickiego ułożony, w wyrazach gorących kreślący krzywdy kraju, lecz nie stawiający wyraźnie żadnych żądań i tak elastyczny, że go można było tłumaczyć jak kto chciał. Ten drugi projekt został przyjęty, czy dla pięknych słów i frazesów którymi był napelniony, a które naszą szlachtę nielubiącą rzeczy zgłębiać zawsze jeszcze zachwycają, czy też może dla tego, że nie wyraził żadnych pewnych żądań. 28 lutego oddano namiestnikowi adres podpisany przez biskupów i najznakomitszych obywateli, zarządziwszy przez organizacyę Towarzystwa rolniczego zbieranie nań podpisów w całym kraju.

Podczas gdy Towarzystwo rolnicze zajęte było adresem, Delegacya miejska robiła przygotowanie do solennego pogrzebu 5-ciu poległych 27. lutego ofiar. Postanowiono pogrzeb ten odbyć w największym porządku, by pokazać Moskalom, że stróżem

porządku nie jest siła brutalna. Jakoż 2-go marca odbył się pogrzeb z wielką ostentacją, przy udziale duchowieństwa wszystkich obrządków, nawet mojżeszowego, podczas gdy obywatele miejscy z białymi przepaskami na ramieniu pełnili służbę policyjną i porządku przestrzegali.

Nad trumnami tych pięciu ofiar zbratały się wszystkie stany i wyznania; odtąd w kościołach, templach i synagogach proklamowano w całym kraju braterstwo i równouprawnienie.

Lud wiejski wszakże słuchał tego obojętnie, chociaż mu duchowieństwo tłumaczyło znaczenie tego co się dzieje; lud albo nie pojmował, albo nie dowierzał.

Pierwiastkowa ta postawa narodu polskiego, to panowanie nad sobą, ten porządek w tak trudnych okolicznościach, ta zadziwiająca zgoda, wywołały w całej Europie uszanowanie i podziw dla narodu znanego z burzliwości i porywczwości. Dopiero gdy mimo ogłoszonych przez rząd reform, demonstracje nie ustawały, owszem mnożąc się, zaczęły się stawać burzliwymi i na demonstracje dla demonstracji zakrawywać, zaczęła nas prasa zagraniczna uważać za wichrzycieli, których nic nie może zaspokoić. Prawda że robiono nadużycia z demonstracji, lecz z drugiej strony trudno narodom, które mając co koniecznie potrzeba, lada przybytek wolności witają radośnie, sądzić postępowanie narodu, któremu wydarto wszystko i w zamian za to chcą dać okruszynę. Czy demonstracje te były już wówczas wywoływane wedle planu, czy były one wynikiem niepokoju jaki wówczas opanował niższe warstwy ludności warszawskiej w skutek różnych pogłosek o wypadkach w Austrii i o nastąpić mających reformach w Kongresówce? — trudno to orzec; tyle jest pewnem, że Mierosławski, który z niezaprzeczoną talentem tworzenia spisków łączy znakomitszą jeszcze lekkomyślność w prowadzeniu wybuchu, gdy do takiego przyjdzie, już przed lutym 1861 organizował powstanie na wszystkich częściach Polski, a jeśli szlachta, która w ogólności nie sprzyjała planom Mierosławskiego i inne warstwy, którym proklamacja Mierosławskiego, głosząca traktat zaczepno-odporny między nim a Garybaldim zawarty nie najlepsze o nim dała wyobrażenie, głuchymi byli na podszepty jego agentów, to udało mu się przecież między młodzieżą akademicką warszawską, a mianowicie między uczniami

sztuk pięknych i czeladzią rzemieślniczą zawiązać organizację dążącą do wywołania bądź co bądź powstania. Można więc śmiało twierdzić, że naczelnicy tej organizacji, co najmniej korzystali z rozgorączkowania ludności warszawskiej, by ją do otwartego zmusić powstania. Planu tego, aczkolwiek nawet przed młodzieżą akademicką tajonego i tylko przewodcom organizacji wiadomego, nie podobna było nie odkryć ludziom myślącym, a na wypadki własnymi oczyma patrzącym; dopatrzywszy się tych szalonych zachcianek, Delegacya miejska i komitet Towarzystwa roln. użyły wszelkich starań, by ludność warszawską uspokoić i tym sposobem z pod wpływu owych agitacji usunąć; a jeśli im się to ostatecznie nie udało, jeśli młodzież gorętsza posądzając ich o brak patriotyzmu, postanowiła na własną rękę działać i cały kierunek sprawy narodowej w swoje wziąć ręce: to należy to przypisać nie tyle zabiegom agentów Mierosławskiego, którym to byłoby się może nie udało, ile prowokatorom przez Muchanowa uorganizowanym, którzy ręką w rękę z tamtymi idąc, jako tacy nie równie śmieiej a tem samem i skuteczniej działać mogli, niżeli drżący o swą skórę spiskowcy.

Wiemy tedy czego chciał Mierosławski i Muchanow, możemy to śmiało twierdzić wnosząc z tutejszych demonstracji, że ci, którzy robili demonstracje, niczego innego nie chcieli jak tylko demonstracji. Zachodzi jeszcze pytanie: czegoż w owym czasie chciała, czego żądała Polska? Żądania Kongresówki w początkach ruchu były bardzo skromne; nawet o przyłączeniu Litwy i zabranych krajów nie było mowy, świadczą o tem zebrania w Resursie kupieckiej, która zamieniła się w klub, na którym mówiono bez wszelkich ogródek, a o przyłączeniu owem przecież nawet nie wspomiano. Żądano jedynie, aby car pozwolił mieszkańcom Kongresówki być Polakami, by przyznał Polakom narodowość i zezwolił na swobodny jej rozwój; to też Moskale nazywali ówczesne ruchy w Polsce rewolucją moralną. Ztąd też taka radość w narodzie, ile razy rząd zdawał się chcieć to żądanie zaspokoić, n. p. gdy w marcu 1861 r. ustanowiono dla Polski niepodległe Petersburgowi ministerstwo wyznań i oświecenia, mimo że ministrem został nielubiony ogólnie Wielopolski, lub gdy w proklamacyi z 2-go kwietnia tegoż roku Górczaków

odzywał się do „Polaków“ i przemawiał o „polskiej narodowości“, o „polskich interesach“.

Przy tak skromnych życzeniach łatwo było rządowi kraj zadowolnić, a tem samem uspokoić. Lecz Aleksander II. nie darmo podczas bytności swej w Warszawie oświadczył, że wszystko jest dobrem cokolwiek Mikołaj uczynił. W Petersburgu wszelka inicjatywa od narodu wychodząca, choćby najbardziej uprawniona i najskromniej wyrażona, uważaną zawsze jeszcze była za bunt. To też odpowiedź cara na adres szlachty, nadeszła 13 marca, była szorstką, nazywa życzenia szlachty niewczesnemi, przesadnemi żądaniami i oburza się, że kilka indywidualów przywłaszczyło sobie prawo krytykowania czynności rządowych. Sam nawet Gorczaków był zdekoncertowany tonem tej cesarskiej odpowiedzi; zawezwął do siebie na poufną konferencyę Arcybiskupa Fiałkowskiego, Andrzeja Zamojskiego i kilku członków Delegacyi miejskiej, a odczytawszy im odpowiedź carską, zaprosił Zamojskiego i Szlenkera do swego gabinetu i powierzył im w zaufaniu, że za 12 dni nadejdą z Petersburga koncesye, które w zarysie im przedłożył, prosząc ich, aby aż do nadejścia tych koncesyi starali się uspakajać umysły. Zamojski i Szlenker oświadczyli mu na to, że za spokój ręczyć nie mogą, jeśli odpowiedź carka ogłoszoną zostanie, a Gorczaków przyrzekł wstrzymać publikacyę, aż do nadejścia spodziewanych koncesyi.

Nazajutrz wieczorem Delegacya miejska zawiadomiła zgromadzonych w Resursie obywateli o audyencyi u Gorczakowa; zamilczając drażliwe ustępy odpowiedzi carskiej, a podnosząc zapowiedziane przez Gorczakowa koncesye. Tymczasem na drugi dzień rząd zapublikował odpowiedź carską, czyto się stało z wiedzą Gorczakowa, czy bez jego wiedzy z zarządzenia Muchanowa, nie wiadomo, to zaś pewna, że delegacya miejska przez to stanęła w bardzo fałszywem świetle vis-à-vis ludności i więtość jej skompromitowaną została.

Delegacya też miejska złożyła swój urząd, na żądanie obywateli przyjęła go wprawdzie napowrót i spokój odpowiedzią tą carską naruszony nie został — lecz pozostało w ludności niedowierzenie; na rządzie zaś najmniejszego nie zrobiło wrażenia, gdy z przedłożonych przez Zamojskiego 6.000 podpisów na adres, okazało się, że to nie „kilka indywidualów“, jak się car wyraził,

lecz całe ziemskie obywatelstwo podziela zdanie w adresie wyrażone.

Podczas gdy to się dzieje w Warszawie, Muchanów prawa ręką Gorczakowa, przypomniawszy sobie postępowanie Metternicha w Galicyi, postanowił pójść za jego przykładem, jakoż wydał tajną instrukcję, wedle której oddano właścicieli ziemskich, jako ludzi niebezpiecznych, coś przeciw carowi i ludowi knującym, pod dozór policyjny chłopów. Instrukcja ta przez niedyskrecję jednego urzędnika z prowincyi posłana do Warszawy, zapaliła tu na nowo uspione nieco staraniem Delegacyi miejskiej namietności. Oburzenie na Muchanowa, nawet u wysokich urzędników było tak wielkiem, że dyrektorowie wszystkich komisyi rządowych (ministrowie) zażądali oddalenia Muchanowa, lub swej demisyi. Gorczakow usunął Muchanowa „na własne żądanie“ a nieszczęsną instrukcję co do policyi chłopskiej cofnął, lecz rzucony przezeń zaród podejrzliwości u ludu wiejskiego pozostał, która pielegnowana przez innych w urzędzie pozostałych doradców namiestnika zniweczyła staranie Towarzystwa rol. rozwiązania sprawy włościańskiej drogą dobrowolnej między właścicielami a włościanami ugody.

27/3 861

Tymczasem radca stanu Kaśnicki, generał Plutonów i sekretarz stanu dla spraw polskich Tymowski, wypracowali w Petersburgu koncesyę dla Polski. Koncesye te były po prostu przyrzadzonym do okoliczności Mikołajewskim statutem organicznym, który po zniesionej konstytucyi z r. 1815 dla Polski był przeznaczony, lecz w życie nie wszedł, a teraz pozbawiony najważniejszego punktu tj. reprezentancyi krajowej, miał być jako koncesya rządu dla Polski zaprowadzony. — 27 marca 1861 wiadomiony Gorczaków o treści tej koncesyi, podał ją do wiadomości publicznej. Że naród spostrzegłszy, że liberalny Aleksander II. mniej nawet daje, niżeli srogi Mikołaj, nie mógł być z tego ogłoszenia zadowolonym, łatwo pojąć, zwłaszcza gdy się zauważa, że właśnie w owym czasie odbywały się w Galicyi wybory posłów na Sejm, a śmiało podnoszone na lwowskich przedwyborczych zebraniach głosy dolatywały za pomocą przyrmyczanych dzienników do Polski i rozbudzały tam żywsze żądanie reprezentacyi krajowej, im szersze pole działania, głosy przedwyborcze teje w Galicyi zakreślać zdawały się.

Był to Wielki tydzień; wzburzenie ludności warszawskiej rosło przez sam ruch nabożeństwowy, lecz jeszcze Delegacya miejska zdołała utrzymywać spokój. Dnia 31 marca, w dzień Zmartwychwstania, ogłoszono nadesłane z Petersburga koncesye, których ton, a zwłaszcza ustęp przypisujący cały ruch w Polsce garstce wicherzycieli, oburzył ludność do najwyższego stopnia, tak że na żądanie Wielopolskiego, bez którego wiedzy owe plakaty ogłoszono, rząd widział się spowodowanym wydać 28. kwietnia proklamacyą, która zaczynając się od słów „Polacy!” i przemawiając tonem serdecznym o narodowości i interesach polskich, uspokoiła umysły.

Teraz zwróciły się wszystkich oczy na Wielopolskiego. On to objąwszy ministerstwo oświecenia rozwiązał radę szkolną, co uprawniało do nadziei, że nastąpi organizacya szkół na gruncie narodowym. On dalej zniósł sławne czernidło co do dzienników zagranicznych, krajowym zaś pozwolił pisać swobodniej, co pozwalało wnosić, że cenzura zniesioną zostanie. Lecz absolutny duch Wielopolskiego zacierał wnet dobre wrażenia, które niekiedy wywoływało w narodzie liberalniejsze jakieś rozporządzenie. Przyjmując duchowieństwo obraził je bez wszelkiego danego powodu i odprawił ze zwykłą sobie szorstkością oświadczeniem: iż nie ścierpi państwa w państwie, przez co zapędził duchowieństwo do obozu stronnictwa ruchu i tak już od czasu ogłoszenia koncesyi carskich, nikogo zaspokoić nie mogących, szybko wzrastającego.

Czuła wprawdzie światlejsza część narodu, że wszedłszy raz na drogę postępu, koniecznem następstwem coraz dalej iść się musi, jeśli tylko duch narodu nad postępek czuwać będzie i dla tego wołano na naród: „przyjąć co dają, lecz nie kwitować z tego co się jeszcze należy!” Gdy wszakże znanymi byli zwyczaj biurokracyi rosyjskiej zabijania w samym zarodzie wszelkich narodowi pożytecznych rozporządzeń, a prasa zostawiona w okowach nad czynnościami teje biurokracyi czuwać nie mogła — więc aby rząd zmusić do postępowania na rozpozczętej drodze reform, uważano za konieczne utrzymywać dalej ruch w narodzie przez manifestacye żaloby, śpiewów narodowych itp. i tem samem zostawiono niestety kierunek opinii młodzieży akademickiej i rzemieślniczej!

31/3 861

Ze swej strony rząd od czasu do czasu, gdy w łono jego wszedł Wielopolski, zaczął postępować z większą niż dotąd konsekwencyą. Rozwiązano delegacyę miejską, przeczco ustały także funkcyje policji obywatelskiej, która dotąd utrzymywała porządek w mieście, a gdy natomiast nie zaprowadzono innej odpowiedniej władzy, widocznem było, że rząd chce się oprzeć na sile wojskowej. Wydano dalej do duchowieństwa okólnik, w którym Wielopolski wzywa księży, aby wytłumaczyli chłopom, że zamiana dobrowolna pańszczyzny na czynsz jest wprawdzie dozwoloną, lecz że wykupno czynszu za pomocą projektowanych przez Towarzystwo roln., kas zaliczkowych, dopiero wtenczas będzie mogło nastąpić, gdy rząd zezwolenie na to udzielić uzna za dobre. Okólnik ten był podyktowany przez znaną Wielopolskiego do Towarzystwa rolniczego i wszystkich jego planów niechęć, lecz w skutkach swych równie zgubnym był jak instrukcyja Muchanowa. Zamiast poczynione przez Towarzystwo roln. przygotowania do ugodnego rozwiązania kwestyi uwłaszczenia pochwyć w swe ręce i dawszy wyraźne dementi agitacyom Muchanowa, dobrowolne załatwienie tej sprawy, także ze strony rządu zalecić, przezcooby podkopane przez Muchanowa zaufanie włościan do układów z dziedzicami było wróciło, Wielopolski okólnikiem swoim i tak już podejrzliwych włościan do reszty bałamucił. Ajenci Muchanowa szerzyli pomiędzy ludem wiejskim, że panowie podali adres do cara o przywrócenie pańszczyzny, którą car zniósł w całym Imperium ros., że po kościołach śpiewają „pańszczyznę, wolność wróć nam Panie!“. By temu bałamuceniu zapobiedz, duchowieństwo, tudzież żydzi wezwani do tego tajemnym cyrkularzem rabinów warszawskich, głosili chłopom właściwe zamiary szlachty i znaczenie właściwe pieśni narodowo-religijnych. Gdy się wśród tych agitacyi chwał lud wiejski, cyrkularz Wielopolskiego powiedział im właściwie: że nikomu ufać nie można.

Lecz nie dość na tem, Wielopolski któremu Towarzystwo rolnicze było cierniem w oku, przyszedłszy do władzy postanowił pomścić się i zdziałał, że rozporządzeniem z 6 kwietnia 1861 rozwiązano to Towarzystwo. Czyn ten wywołał demonstracyę jakiej dotąd w Warszawie nie było. Niezliczone tłumy udały się przed pałac, w którym Towarzystwo roln. posiedzenia



swe odbywało, a uwieńczywszy go chorągwiami i kwiatami, przykryto rosyjskiego orła, przygotowanym na ten cel orłem polskim przy odgłosie pieśni: „Jeszcze Polska nie zginęła“ Gdy generał Paniutyn przybył na miejsce, by się naocznie przekonać o tem co się dzieje, przyjęto go głośnymi wiwaty. Jeszcze młodzież akademicka trzymała w ręku cugle ruchu. Lud udał się do mieszkania Zamojskiego by mu wręczyć wieniec. Zamojski wzywał do spokoju. Ustąpił tłum, lecz ustępując zwiększał się co krok nowymi przybywającymi; noc zapadała a z ciemnością rósł zapach. Udano się przed pałac namiestnika. Gorczaków chcąc zebrany lud łagodnym sposobem nakłonić do rozejścia się, wyszedł osobiście i łamaną polszczyzną zaczął powtarzać: „idźcie do domu, idźcie spać“. Ktoś z tłumu wzięwszy te słowa w innym znaczeniu niżeli były wymówione, odezwał się: „iść do domu? my tu w domu, wy jesteście tu przybyszami“, a ktoś inny zawołał: „iść spać? — spaliśmy 30 lat, terazemy się przebudzili“. Na to cofnął się Gorczaków, lecz wkrótce pokazał się na koniu i ze śmiesznym gniewem wywijając rajpajczem zaczął grozić, że każe strzelać. Tłum odpowiedział na tę groźbę gwizdaniem, które zmusiło Gorczakowa do powtórnego cofnięcia się. Dopiero inni generałowie zaczęli perswadować i prosić by się tłumy rozeszły. Lud obiecywał, że się spokojnie rozejdzie, jeśli wojsko zostanie cofnięte. Cofnięto wojsko, a lud spokojnie poszedł do domu.

Działo to się 7-go kwietnia. Nazajutrz 8-go kwietnia zwołał Gorczakow radę wojenną; wojskowość żądała satysfakcyi za obelgę wyrządzoną namiestnikowi, wojsku całemu. Satysfakcyę tą jeszcze tego wieczora otrzymało wojsko. 8-go kwietnia, było to święto, wyprawiali przewodcy ruchu demonstracyę na katolickim a potem na żydowskim cmentarzu. Wracając pod wieczór, usłyszał lud strzały w okolicy zamku, tam więc pospieszono i tam się odbyła owa pamiętna scena mordercza, za pomocą której rząd chciał przywrócić zachwianą swą powagę. — Na odgłos zburzonego tłumu i tentent nadbiegającego zewsząd wojska, kapucyni z krzyżem i pieśnią wyszli na plac sądząc, że godło to zbawienia, ten śpiew religijny powstrzyma bezdusznych żołdatów. Biały dym pierwszych wystrzałów unosił się już nad tem dziwnego rodzaju pobojuwiskiem, w którym z jednej strony było pijane wojsko

z bagnetami i szablami, z drugiej lud na klęczkach, kobiety i dzieci zapłakane, księża i krzyże. Zaraz po pierwszym wystrzale, na którego skutki spoglądał z okien zamkowych Gorczaków ze świtą, żołnierze rzucili się z szeregów chwytając zabitych i rannych. Straszniejsze może jeszcze od strzałów było to zwierzęce rzuwanie się na tłum, który nie chciał się bronić. Pijani żołnierze chwyтали żywych jeszcze, wlekli ich za nogi po bruku, rozbijając im czaszki. Do niejednego rannego czepiali się żołnierze razem i broniący go bracia; naówczas kolbami odtrącano obrońców, a przeraźliwy krzyk zwiastował, że rannego katowska dobila ręka. W mgnieniu oka chciwi łupieży obdzierali trupy i nagie ciała znikaly za szeregami Moskali, zkąd potem powrzucone zostały do Wisły. Ileż to scen okropnych, ile bohaterskich czynów pokrył mrok tego wieczora! Ileż serc gorących przestało bić na zawsze!

Był to straszny wieczór! czeladź rzemieślnicza kipiała i rwała się do czynu; najwymowniejsze słowa duchowieństwa ledwie mogły powstrzymać ją obietnicami, że nie zostanie zawsze bierną, że przyjdzie dlań chwila walki... Oprócz ludzi, którzy zagranicą siedząc wyrabiali sobie teorye powstania na bulwarach paryskich, nikt sumienny nie mógł się w tym boju spodziewać zwycięstwa. Czuli wszyscy, że krocie bagnetów i dział zmódz nas w końcu muszą, zwłaszcza nieprzygotowanych do boju. Ale śmierć i upadek zrozpaczonemu, a uczciwych i rozumnych przewodzców pozbawionemu ludowi warszawskiemu, wydawały się znośniejsze nad nieustające znęcanie się nieprzyjaciół... Jak z ogniem bezkarnie igrać nie można, tak też demonstracyi politycznych dla samego tylko demonstrowania wyprawiać nie wolno bezkarnie. Kto nie chce powstania, ten niech nie zaprowadza demonstracyi, bo te rozgorączkowując lud i wyzywając władzę do kroków gwałtownych, muszą się skończyć starciem krwawem. Wiedzieli o tem dobrze ci, którzy chcieli bądź co bądź powstania, dla tego nie można im się dziwić, że zachęcali do demonstracyi; ale czem uniewinnić tych, którzy nie chcieli powstania a urządzali demonstracje?...

Skupionych około krzyża w fantastycznej jakiejś rezygnacyi mordowali Moskale bez różnicy płci i wieku — lud nie stawiał najmniejszego oporu, zdawał się szukać śmierci. Ile tego dnia padło ofiar? któż to wie! Trudno też powiedzieć kto dał powód do

pierwszych strzałów, które zwabiły do zamku tłum bezbronny i wywołały następną rzeź. Z zeznań osób na początku przed pałacem uwięzionych okazało się tylko, że ich jacyś ludzie traktowali i pijanych przed zamek zaprowadziwszy, tam zostawili. Kto byli ci ludzie? — niewiadomo.

Podczas gdy przed zamkiem lud bezbronny mordowali Moskale, Wielopolski, którego nikt o sentymentalność nie posądzi, przerażony tym krzyczącym gwałtem, udał się wśród gradu kul do pałacu namiestnika i tam ułożył owo prawo o zbiegowiskach, o którym zagraniczne gazety pisały, że było czytane ludowi przed rozpoczęciem ognia, podczas gdy faktem jest, że prawo to podczas salw karabinowych dopiero układano i dopiero 9 kwiet. ogłoszono.

Otrzymała więc wojskowość straszną satysfakcję — Warszawa przerażona zaumarła, a rządowi zdawało się, że pogrzebał ducha ludu. Lecz nie długo został w tem złudzeniu. Lud warszawski w ośm dni przyszedł już do siebie i dalej ciągnął religijno-narodowe demonstracje. Napróżno rząd prześladował wszelkie oznaki rozbudzonej narodowości; zakazano jedną oznakę, lud obierał sobie inną, zmuszając rząd do wydawania najśmieszniejszych rozporządzeń. Przeciw tego rodzaju buntowi bez broni, używać siłę zbrojną było niepodobnem, gdyż to byłoby sprowadzało co dzień nową, nie walkę, lecz rzeź; przeciw takiemu całemu narodu sprzysiężeniu jawnemu, używać zwykłych środków policyjnych, jak to: poszukiwań domowych, aresztować na chybił trafił było niebezpiecznem, bo nie zaradzając złemu, jątrzyłoby tylko bardziej jeszcze lud. Jedynym środkiem było zaprowadzenie rządu prawa, któryby również lud jak biurokracyę i wojskowość trzymał na wodzy; lecz na to Moskale się zdobyć nie potrafili. Górczaków, chwiejnego charakteru i obcym uległy wpływom, jak dawniej słuchał Muchanowa, tak teraz dał się powodować przysłanym mu z Petersburga dowódcom, Platonowowi, Chrulewowi i innym wojskowym. Za ich to poradą oktrojowano atrybucyę, zwołanej po rozwiązaniu Delegacyi z rozkazu cara Rady miejskiej do tego stopnia, że Rada ta widząc się w niemożności działania czegokolwiek dobrego, podała się do dymisyi, przez co Warszawa została na łasce wojskowości.

Nareszcie 30-go maja 1861 umarł Górczakow. Na jego miejsce przysłano Suchozaneta, o którego uzdatnieniu do piastowania

30/5 561

urzędu namiestnika podczas takiego rozgorączkowania ducha narodowego, jakie wtedy w Polsce panowało, dość powiedzieć, że przyjechawszy do Warszawy, zaczął sam nakazywać, by przed nim głowę odkrywano, że przyjmując deputacyę kupiecką, gdy jeden z członków tejże wysunął jedną nogę naprzód, zgromił go za to, jak się gromi żołdata, który przed oficerem stojąc nie trzyma rąk na szwach spodeń, nareszcie że do tej deputacyi odezwał się w te słowa: gdzie spokój tam idą dobrze interesa, gdzie dobrze idą interesa, tam są pieniądze, a gdzie są pieniądze, tam jest wolność! Jego też rządy odznaczają się coraz większą bezprawnością w postępowaniu, a śmiesznością w rozporządzeniach.

Wielopolski, który po wypadkach 8-go kwietnia, objął tekę sprawiedliwości, zżymał się na te bezprawia Suchozaneta, lecz nie dla zasady, bo jako minister wyznań i oświecenia takich samych dopuszczał się nielegalności — jeno dla tego, że Suchozanet wdzierał się w jego atrybucye. Powstała więc scysya pomiędzy nim a Suchozanetem, co tegoż do coraz nowszych prowokacyi ludu popychało, które nareszcie do tego doprowadzono, że gdy stronnictwo ruchu ośmieliło się jakoś w lipcu w tajnem swem piśmie „Strażnica“ zachęcać do organizacyi w małych kółkach wskazując w dali powstanie, odradzając wszakże prowokowania rządu, myśl ta przez ludność przyjętą została wcale nie źle i zaczęły się tworzyć kółka między młodzieżą szkolną i rzemieślniczą nie tylko w Warszawie i w większych miastach Kongresówki, ale i po za jej granicami, a mianowicie u nas, gdzie od wypadków kwietniowych zaczęto przywdziewać także żałobe, a kobiety nosić czarne krzyże na piersiach. Zaczęto też i u nas śpiewać „Boże coś Polskę“, a 31-go lipca postanowiono obchodzić rocznicę śmierci Teofila Wiśniowskiego na górze, na której został stracony; przybycie namiestnika Mensdorffa na miejsce, gdzie miało wyprawic demonstracyę i wczesne tej góry przez policyę obsadzenie, przeszkodziło wprawdzie demonstracyi, lecz młodzież zebrawszy się przed kościołem św. Anny odśpiewała „Boże coś Polskę“ za co uwięziono dwóch studentów, pierwszych męczenników demonstracyjnych.

Na 12-ty sierpnia zalecono na pamiętkę połączenia Litwy z Polską demonstracyę, która miała być obchodzoną przez obydwa narody i wyobrażać życzenia narodu, połączenia napo-

wrót Litwy z Polską. Chociaż demonstrację tę przygotowywano przez dłuższy czas nie tylko przez tajne piśmka, ale i plakaty, rząd zachowywał się spokojnie, jak gdyby o niczem nie wiedział, dopiero 11-go sierpnia wydał rozporządzenie zabraniające tą demonstrację pod surową karą. Mimo tego zakazu demonstracja odbyła się nie tylko w Warszawie, ale i w całej Kongresówce i w większych miastach Litwy, przez co i ta ostatnia w wir demonstracji wciągnięta została; było bowiem coś zarażającego w powietrzu — skoro gdzie zrobiono demonstrację, już im nie było końca, chociaż ci, którzy je wyprawiali nie umieli sobie zdać rachunku z celu tych demonstracji — robiono demonstracje dla demonstracji. Tymczasem gdy zagrożonych rozporządzeniem Suchozanetą kar niepodobna było wykonać, Suchozanetowi skompromitowanemu, nic nie pozostało jak ustąpić.

Nastał po nim Lambert; zobaczmy jaką on zastał Polskę. Przyłączenie Litwy stało się hasłem stronnictwa ruchu; lud aczkolwiek o powstaniu nie myślał, pochwycił tę popularną myśl, nie zastanowiwszy się, że hasło to przedwczesne, ile że Kongresówka sama nie miała jeszcze żadnych organicznych urządzeń. Ludzie jaśniej rzecz widzący nie śmieli głosu podnieść z bojaźni by ich nie posądzono, że stają poniekąd po stronie rządu, rządu, który wszystko co narodowi świętem było nogami deptał; tak więc lud szedł pod przewodnictwem młodzieży patriotycznej, lecz nierozważnej i niedouczonej.

Towarzystwo rolnicze, chociaż rozwiązane, zatrzymało całą swą organizację i za pomocą niej wpływało, o ile przy drażniących ciągłymi bezprawiami rządu umysłach działać się mogło, do wspierania rządu na drodze zapowiedzianych reform, ponieważ zaś Wielopolski od czasu wypadków 8-go kwietnia uchodził za współnika Moskali, więc robotą organizacji Towarzystwa roln. zostawała nieraz bez skutku; i tak gdy Wielopolski na próżno wzywał najznakomitszych ludzi kraju, by wstąpili do ministerium, nikt nie mógł się odważyć służyć w jednym urzędzie z Wielopolskim — pozostał więc sam w rządzie, a chcąc się tam utrzymać, robił coraz większe koncesje żywiolowi rosyjskiemu i wpadł tym sposobem w łapkę, z której nie było wyjścia jak przez gwałtowne przytłumienie ruchu narodowego.

Tymczasem ruch rozpoczęty przez Towarzystwo rolnicze w Kongresówce, a rozwiązaniem jego powstrzymany, zapragnął X. Adam Sapieha przenieść do Galicyi. X. Adam Sapieha był w Warszawie podczas zebrania Towarzystwa roln. na wiosnę 1861, a rozpatrzywszy się w tamtejszej organizacyi, postanowił zabawić się w spisek, przeprowadzając potajemnie ową organizacyę w naszym Towarzystwie agr.; zwoławszy więc jako referent komitetowy zaprowadzonej przed rokiem instytucyi korespondentów, tychże na prywatne posiedzenie, umówił się z nimi co do zaprowadzenia seniorów, zjazdów i bezpośrednich z nim jako referentem korespondencyi i wydrukowawszy ten statut, rozesał go po kraju, zapowiadając, że go jako projekt wniesie na posiedzeniu Towarzystwa, tymczasem zaś seniorów powybierać i zjazdy odbywać polecił, co się też stało. Gdy się Towarzystwo agr. na ogólne posiedzenie zebrało, Wasilewski Piotr, członek komitetu, zdając sprawę z czynności onegoż, wspomniawszy także o weszłej w życie organizacyi seniorów, zapomniawszy, że przedmiot ten nigdy nie był uchwalony przez Towarzystwo i per nefas wszedł w życie. Byłoby to może uszło baczności rządu, gdyby nie nieszczęsne, wystąpienie tegoż, X. Sapiehy i Zygmunta Kozłowskiego z protestem przeciw pogwałceniu statutów przez wybór Dobrzańskiego na członka Towarzystwa agr. Jeszcze przed Dyplomem październikowym zaczęto się u nas garnać do Towarzystwa agr. widząc w niem jedyną reprezentacyę kraju; weszli więc do Towarzystwa prawie wszyscy literaci, wogóle ludzie chcący pracować na niwie narodowej, chociaż nie byli agronomami. Dobrzańskiego wybalotowano; otóż chcąc go na wiosnę 1861 przepchać, zmieniono sposób wyboru komisji balotującej, mianowicie uznawszy miasto Lwów jako obwód, wprowadzono do tej komisji znaczną część członków lwowskich, ile że miasto Lwów bardzo licznie w poprzednich latach do Towarzystwa przystąpiło było, tym sposobem stało się, że w komisji tej była większość nieposiadaczy, którzy upatrując w poprzednim wybalotowaniu Dobrzańskiego tendycyjną demonstracyę przeciw inteligencji, przyjęli go tym razem na członka. Pozostali w mniejszości posiadacze, a mianowicie X. Adam rozgniewany tym postępkom komisji, wniósł protest na publicznem posiedzeniu, co dało powód komisarzowi rządowemu do odczytania uważnego proto-

kołów rozpraw, a przy tej sposobności odkryto, że instytucja seniorów etc. wcale nie była uchwaloną przez Towarzystwo, że więc istniała tajnie; przedsięwzięto u niektórych seniorów rewizye domowe, znaleziono korespondencje od referenta z Numczem, którego w protokole komitetu nie było, nakazano więc śledztwo przeciw komitetowi i Sapieże i zabroniono publiczne zebrania Towarzystwa.

Oto skutki książęcych ambicyek!

Wracając do Kongresówki zapisać należy, że chociaż koncesye carskie w marcu nadeszły, rząd dopiero 18-go maja podał do wiadomości, iż ukończono przygotowawcze prace do wprowadzenia przyrzeczonych reform i że prace te wiozą do Petersburga Platonow i Kaźnicki. Nie spieszo się więc w Warszawie z zaprowadzaniem reform. Tem mniej spieszo się w Petersburgu z zatwierdzeniem owych przygotowawczych prac. A tymczasem kwestya włościańska stawała się coraz bardziej piekącą.

Chłopi zaczęli odmawiać pańszczyzny, miejscami stawali groźno przeciw dworom, trzeba było koniecznie coś zrobić w tym względzie; wydano więc w maju pro wizoryczne prawo włościańskie, które zatrzymując pańszczyznę do 18-go października przepisało normę do oczynszowania od tegoż dnia; prawo to przez zbałamuconych poprzednio chłopów niechętnie przyjęte, wywołało w wielu miejscach surowe wojskowe egzekucje, co oczywiście nie mogło wpłynąć na dobrze usposobienie ludu dla zamierzonego powstania — a przecież stronnictwo ruchu na lud liczyło!

Nareszcie 18-go czerwca ogłoszono w dzienniku urzędowym potwierdzone przez cara projekta reform, jako to: zaprowadzenie rad miejskich, powiatowych i gubernjalnych na podstawie wyborów, tudzież ustanowienie Rady stanu złożonej z członków przez cara dożywotnie lub na rok mianować się mających, nareszcie atrybucje tych ciał, między którymi atrybucjami wszakże napróżno szukano prawa inicjatywy.

Chociaż reformy te nie zadowalały narodu, jednakowoż tak silny jeszcze był w nim wstręt do gwałtownych środków, że mimo najsilniejszych agitacyi stronnictwa ruchu przeciw wyborom do rad, postanowiono w całym kraju, a nawet w Warszawie, brać udział w tych wyborach i przyjmować nominacje do Rady

stanu. Popierała to zdanie „Gazeta polska“ przypominając przysłowie „tylko idąc można dojść“. Gdyby przy ówczesnem usposobieniu kraju rząd był zaraz przystąpił do rozpisania wyborów, kto wie czy naród nie byłby się uspokoił. Lecz Suchozanet, tak samo jak stronnictwo ruchu, przeciwnym był wprowadzeniu w życie zapowiedzianych reform; nie spieszył się więc z rozpisaniem wyborów i dopiero gdy syn Wielopolskiego wyrobił w Petersburgu odwołanie Suchozaneta i następcą jego Lambert był już wdrodze do Warszawy, wydano urzędnikom dotyczącym instrukcyę w celu ułożenia list wyborczych na 27-go sierpnia. W ciągu więc pięciu miesięcy rząd rosyjski wydał prawo o zbiegowiskach, pro wizoryczne prawo włościańskie wywołujące wojskową egzekucyę i wyznaczył termin wyborów do rad. Stronnictwo ruchu tymczasem było czynniejsze, naród nie widział owoców zapowiadanych ciągle, a nie przychodzących do skutku reform, przejmował się więc coraz łatwiej myślą, że jedyny ratunek w powstaniu, zwłaszcza że wybitniejsi ludzie trzymali się na boku, a arbitralność i swawola rządowa coraz bardziej dokuczwała — korzystając z tego, stronnictwo ruchu nie tylko co było gorętszego w Kongresówce zagarnęło pod swój sztandar, ale sieć swej organizacji po za granice Kongresówki, na Litwę i zabrane Prowincye zarzucić zdołało.

Taki był stan rzeczy, gdy hr. Lambert objął tymczasowo namiestnictwo. Lambert, ugrzeczniony, uprzejmy, przytem katolik, zjednał sobie z początku takie zaufanie, że stronnictwo ruchu zdekoncertowało się, sądząc że jego plany już przepadły. Carski reskrypt do Lamberta, zastępujący poniekąd miejsce manifestu do narodu, obiecywał rozszerzenie praw narodowych, wzywał namiestnika by od mężów publicznego zaufania zasiągnął rady co do potrzeb i życzeń narodu; a Lambert jak z jego obejścia się z niektórymi suplikantami widać, zamierzał wprowadzone przez Suchozaneta weksacye policyjne poznosić, i na miejsce dotychczasowej samowoli wprowadzić panowanie prawa. Lecz Lambert nie był panem Polski, dodano mu w Petersburgu jako ministra spraw wewnętrznych gubernatora wojennego generała Gerstenzweig, zwolennika zasad mikołajowskich; gdy tym sposobem sprawy wewnętrzne spoczęły w ręku gubernatora wojennego, więc mimo Lamberta panował dalej dawniejszy



system wojskowy. Nadto przydano mu jako adjutanta, generała Krzyżanowskiego znanego z chytryści, pozostał też w urzędzie Chrulew sprawca rzezi 8-go kwietnia i Płatonów twórca pierwiastkowych koncessyi carskich, a tem samym nieprzyjaciel wszelkiego ich rozszerzania. — Ludzie ci utworzyli wnet koalicje przeciw Lambertowi i Wielopolskiemu. Czuli oni, że jeśli przez rzetelne zaprowadzenie reform, umysły się uspokoją i zapowiedziany przez te reformy organizm fungować zacznie, panowanie wojskowe ustanie; dlatego robili co mogli, by system samowoli dalej utrzymać, a tym samym współdziałanie kraju z Lambertem niemożliwym uczynić. Zadziwiająca zgodność tego stronnictwa ze stronnictwem ruchu! Godziłoby się abyśmy już raz pojęli, że nie powinniśmy tego chcieć, co nasi wrogowie chcą; czyliż stronnictwo ruchu nie widziało jak partya wojskowa rosyjska podczas rzezi 8-go kwietnia dającemu się bezbrinnie mordować ludowi rozdawała nabite rewolwery, zachęcając do zbrojnego oporu, jak też sama partya wszelkie możliwe przeszkody wprowadzenia zapowiedzianych reform stawiała? Dla czegoż stronnictwo ruchu mimo to przeszkadzało także reformom i do zbrojnego dążyło powstania? Co za okropne zaślepienie!!

Mimo koalicji, o której wspomniałem, zdaje się przecież, że gdyby Wielopolski był miał jakie takie poparcie w kraju, mógłby być w początku rządów Lamberta zapobiedz nieszczęściom, które potem kraj spotkały, car bowiem nakazał był Lambertowi postępować w duchu pojednawczym; otwarcie więc przeciw takiemu postępowaniu nie mogłaby była wystąpić liga wojskowa. Gdyby Wielopolski mógł być liczyć na dziennikarstwo, tedy znosząc cenzurę byłby w niem znalazł silną podporę, tak przeciw nadużyciom żołdactwa, jak przeciw knowaniom stronnictwa ruchu; tymczasem Wielopolski ledwie się mógł zdobyć na to, że pozwolił patrzeć przez palce na konfederatki i nabożeństwa, co naturalnie prowadziło tylko do coraz niebezpieczniejszych demonstracji, ile że po usunięciu się pierwiastkowych przewodców ludu, kierunek tegoż spoczywał w ręku zagorzałej młodzieży, która coraz lepiej szła na lep prowokatorów rosyjskich, wywołujących kocie muzyki, wybijanie okien, pobicie niemitych lub podejrzanym osób itp. Że zaś do tego prowokowała policya rosyjska, ofiarował się w wytoczonym w 1862 r.

procesie o spisek, udowodnić jeden z obrońców, czego wszakże przewodniczący śledztwu generał nie dopuścił, oświadczając na-  
iwnie, że minister policji Fedorow jest już w inne miejsce prze-  
niesiony. Zastanowienia także godnym jest, że zaraz po eksces-  
sach warszawskich pojawiły się i we Lwowie kocie muzyki, wy-  
bijanie okien itp. zajścia jak na przykład z Kunertem, Odylgie-  
wiczem. — Byłóż to li małpowanie, czy ułożony plan?

W owym czasie nastąpiło z powodu nadmienionych właśnie  
ekscesów rozdwojenie w stronnictwie ruchu. Młodzież rozważniejsza,  
mianowicie medecyniery, spostrzegłszy, że szalone te demonstracje  
muszą prowadzić lada dzień do wybuchu powstania, do którego  
naród nie był przygotowany, zaczęli nie wyrzekając się powstania,  
poskramiać wybryki ludu i przedstawiać, że chcąc powstać, trzeba  
się zająć wprzód przygotowaniem, a nie lecieć na oślep. Uczniowie  
zaś szkoły sztuk pięknych i niższa czeladź rzemieślnicza, pod kie-  
rownictwem kilku agentów Mierosławskiego, nie chcieli o żadnych  
przygotowaniach nic słyszeć i przezwawszy tamtych „Szarymi“,  
siebie zaś nazwawszy „Czerwonymi“, dążyli dalej do bezwzględ-  
nego powstania, idąc ręką w rękę z policją rosyjską.

Po owym to rozdziale stronnictwa ruchu, przybył do Lwowa  
młody dr med. Ignacy Baranowski z Warszawy; wykształcony,  
rozsądny, zyskał tu sobie szacunek u wszystkich, z którymi się  
zetknął. Wskutek wspólnej z Robertem H. i mną narady, postanowili-  
śmy założyć dziennik, który zachęcając do prac organicznych  
w narodzie, miał skupiać około siebie wszystko, co w kraju naszym  
było zacnego i poczciwego i stać się ogniskiem, z którego się  
miały rozchodzić na kraj promienie zamięłowania pracy, ładu orga-  
nizacyi narodowej. Trudno wówczas było o koncesję na dziennik;  
miał ją Xawery d'Abancourt, zawezwawszy więc po odjeździe  
Baranowskiego, kilku przyjaciół, jakoto: Pawlikowskiego, Rylskiego,  
E. Dolańskiego, zawarliśmy z Abancourtem umowę względem za-  
łożyć się mającego „Dziennika polskiego“, którego głównym kie-  
rownikiem miałem zostać ja — Smolka, Hefern, Kabath, Dolański,  
Hubicki, Pawlikowski, Sekowski, stanowić dyrekcję, Abancourt być  
odpowiedzialnym dyrektorem, współpracownikami zaś dawniejsi  
współpracownicy „Przeglądu powszechnego“: Rapacki, Błotnicki,  
Kostecki, Rewakowicz i Gromann, którym dodany został celem  
zawiązania stosunku z młodzieżą akademicką, Ludwik Łubiński.

Pieniądzy na założenie dziennika nie mieliśmy, lecz spodziewaliśmy się, że się zbiorą potrzebne fundusze drogą subskrypcyi; odezwaliśmy się z Hefernem do znajomych, lecz nie wpłynęło tylko 4000 fl., a tu sama kaucya wynosiła 10500 fl., prócz tego przyjęliśmy długi „Przeglądu“, które wynosiły do 12000 fl. Mimo tego zawodu nie traciliśmy nadziei; Hefern i Dolański złożyli kaucyę i 1 października wyszedł pierwszy numer „Dziennika polskiego“. Zaraz z pojawieniem się onegoż zawiązała się przeciw niemu koalicya; z jednej strony ajenci Mierosławskiego, jak: Leszek Wiszniewski i dr. Lunda z zasady, Dobrzański ponieważ go nie przypuszczono do składu redakcyi, Schmit z ducha przeciwnieństwa, a bardziej jeszcze ponieważ redakcyja nie chciała w odcinku umieszczać za drogie pieniądze nudnych a przytem niepotrzebnie Rusinów drażniących artykułów jego, nareszcie księgarz Jabłoński i staromieszczańska partya z Boczkowskim Kasprem na czele, bałamucona przez Wiszniewskiego, który wszelkimi sposobami starał się mieszczaństwo nasze wyswobodzić z „poddaństwa“ inteligencyi. Klika ta psuła jak mogła reputacyę dziennika, szkalując nań po kawiarniach i restauracyach, jako na pismo reakcyjne, zwłaszcza, gdy Dziennik powstał przeciw mnozącym się coraz bardziej, a naturą swą wyzywającym rząd demonstracyom, jako n. p. była urządzona przez Dobrzańskiego demonstracyja ustawienia na cmentarzu Łyczakowskim olbrzymiego dębowego krzyża, przy której sposobności wywieszono chorągiew i orłem polskim, lecz skoro się policya pokazała, schowano ją do kieszeni. Była to ostatnia demonstracyja, potem już tylko młodzież chodziła o pewnych godzinach do kościoła Bernardynów śpiewać „Boże coś Polskę“ i inne pieśni religijno-narodowe, w którym to celu pod przewodnictwem X. Bulsiewicza Bernardyna, zawiązało się nawet bractwo między młodzieżą płci obojej. Były więc wielkie hałasy przeciw Dziennikowi; Wiszniewski nawet otrzymawszy od Boczkowskiego i Jabłońskiego pieniądze na kaucyę, założył „Gazetę narodową“, której współpracownikiem był Karol Widmann, były współpracownik „Głosu“, tudzież nauczyciel języka polskiego Dymel, mefistofelesem zaś Dobrzański. Gazeta ta odzywając się prawie wyłącznie do mieszczan, rzemieślników i oficyalistów prywatnych, występowała w każdym numerze nie przeciw „Dziennikowi polskiemu“, lecz przeciw

mojej osobie i to z namietnością, którą sobie trudno było wytłumaczyć, zwłaszcza, że Wiszniewskiemu nietylko nic złego nigdy nie wyrządziłem, lecz przeciwnie, gdy wróciwszy z emigracji, jako dezterter z wojska austr. stawił się w Wiedniu pod sąd wojenny, udawałem się za nim do X. Leona Sapiehy, by przez swoje konexye w Wiedniu wstawił się za nim, a gdy uwolniony przybył przez Warszawę do Lwowa, poleciłem go jako inżyniera zawiązującemu się wówczas Towarzystwu kolei żelaznej brodzkiej. Później dopiero wykryło się, że Wiszniewski występował przeciwko mnie z planu nakreślonego mu przez stronnictwo Mierosławskiego, dążącego do podkopania wpływu, jaki sobie w kraju zyskać zdołałem, wpływu tym niebezpieczniejszego temu stronnictwu, ile że rozciągał się na młodzież szkolną, mieszczaństwo, klasę oficyalistów prywatnych i wogóle na stronnictwo demokratyczne w kraju, przez co agitacye Mierosławskiego na tem właśnie polu, najobfitsze gdzieindziej plony zbierającego, w Galicyi korzenia zapuścić nie mogły.

Mimo tych wszystkich trudności, mimo niezgody w łonie samej redakcyi (okazało się bowiem później, że Gromann i Łubiński należeli do komitetu rewolucyjnego przez Kurzynę tu zawiązanego, a Błotnicki na dwóch a właściwie na trzech siedział stołkach, to jest: był współpracownikiem Dziennika za pieniądze, adherentem Mierosławczyków z przekonania, mimowiednym poplecznikiem Wielopolskiego przez przyjaźń do Rapackiego, który nibyto Abancourtowi na złość podkopywał Dziennik, podczas, gdy sam Abancourt nadskakując stronnictwu gorętszemu, dosadzał ognia Dziennikowi, aż doprowadził siebie do więzienia, a Dziennik do upadku), mimo tych mówię trudności, nasienie zasiane przez Dziennik zaczęło wschodzić: młodzież akademicka zaczęła myśleć o zawiązaniu Towarzystwa wzajemnej pomocy, za nią poszła młodzież Techniki, potem czeladź rzemieślnicza, schadzano się, radzono, umawiano, układano statuta, a u mnie na wtorkowych wieczorach, które w jesieni 1861 r. głównie dla zwabienia młodzieży otwarłem, a które i przez zimę 1862 r. bardzo licznie uczęszczane były, schodziły się nici tych agitacyi organicznych. Organizacyą młodzieży akademickiej zajmowali się Łubiński, Wł. Smółka, Matkowski i starozakonny Zucker; czeladzią kierował Niemczanowski, krawiecki czeladnik i technika

1861  
1862

Grzebiński. Nareszcie za staraniem Sokółowskiego i starego Garwolińskiego dojrzała myśl stowarzyszenia wzajemnej pomocy między prywatnymi ofycyalistami obwodu tarnopolskiego. Wszystkimi temi pracami zajmował się Dziennik, zachęcał, radził, podawał projekta statutów, ja zaś tak z młodzieżą, jakoteż z delegatami ofycyalistów wypracowywałem te statuta, które nareszcie przedłożono rządowi do zatwierdzenia. Wypadki r. 1863 zwichnęły wszystkie te prace, również jak projekt domu rolniczo-komissowego, który za staraniem Dziennika i mojem osobistem był już w zawiązaniu się pod firmą: Głowacki, Gregorowicz i Młocki. Daj Boże, by prace te znowu podjęte i do lepszego skutku doprowadzone były. Dzisiaj kiedy umysły ochłonęły, nawet ci, którzy wówczas powstawali na te organiczne prace, zachęcają do nich, oby tylko wytrwali na tej drodze! — bo na tej drodze pewniejsze odrodzenie ojczyzny naszej, niż na drodze denerwujących naród demonstracyi i tylko do upadku prowadzących powstań, jeśli bez siły potrzebnej przedsięwzięte są. Lecz wróćmy do Warszawy. Właściwa inteligencya i cała klasa posiadająca, a w ostatnich czasach jak to powiedziałem nawet młodzież akademicka, była przeciwna powstaniu i byłaby, mimo wszelkich przeciwnych zachcianek stronnictwa czerwonego, utrzymała spokój, gdyby w gabinecie Lamberta nie była przemogła koalicya wojskowa. „Z czerwonymi damy sobie radę“, powiedział jeden z generałów ros., „ale ta kanalia umiarkowanych jest niebezpieczną“. I miał słuszność ten generał, bo umiarkowani postanowili byli nie dać rządowi powodu do cofnięcia zapowiedzianych reform, a rząd właśnie nie chciał wprowadzić tych reform, które okolicznościami wymuszone na carze, wydrzeć miały z rąk wojskowości zarząd kraju.

1863

Na 23-ci września wyznaczone były wybory do rad miejscowych. Większość narodu postanowiła prowadzić z rządem walkę na drodze legalnej, a więc przystąpić do wyboru rad, przeciw czemu intrygowała z jednej strony wojskowość rosyjska, z drugiej zaś strony agitowało stronnictwo czerwone, potępiając za pomocą tajnej prasy przystąpienie do wyborów. Jak dotąd stronnictwo szare, które Kongresówkę za pomocą wewnętrznej organizacyi za punkt środkowy wszystkich ku niepodległości Polski zmierzających usiłowań postawić zamierzało, tylko przez

tajne pisma naród przed dezorganizującymi ulicznymi demonstracjami przestrzegać mogło, tak teraz stronnictwo dążące do reform na drodze legalnej nazwane „białem“, chcąc walczyć przeciw stronnictwu bezwarunkowego powstania czyli czerwonem, do tajnych pism uciekać się musiano.

Ciekawy to zaiste stan rzeczy, że obywatele chcąc wykonać to co rząd nakazał, musieli się uciekać do środków, które gdyby zostały odkryte, poprowadziłyby ich na Cytadelę, a ztamąd na Sybir! Przygotowania do wyborów czyniono także pokryjomu: w Warszawie kierowała nimi dawna straż obywatelska, na prowincyi zaś dawni korespondenci Towarzystwa roln. Nareszcie przystąpiono do wyborów, które w Warszawie udały się z zadziwiającą zgodnością, na 835 głosujących, wybierano członków rady większością 816 nawet 821 głosów. Szczęśliwy ten rezultat wlał otuchę w obywatelstwo warszawskie, postanowiono na seryo sprzeciwić się ulicznym demonstracjom, w którym to celu dawniejsza straż obywatelska połączyła się z młodzieżą akademicką.

Tymczasem rząd, jak to sam później przyznał, uchwalił był przy pierwszej sposobności zaprowadzić stan wojenny; przygotowania były poczynione cichaczem, czekano tylko na sposobność, tę mu dostarczył obchód unii z Litwą i Rusią oddawna na 10 października 1861 zapowiedziany; odbył on się w Horodle przy napływie ogromnej liczby ludu jak najspokojniej, a zakończył odczytaniem protestu przeciw podziałowi Polski. Tego samego dnia obchodzono w Warszawie pogrzeb arcybiskupa Fiałkowskiego, na którym ponowiono zbratanie się wszystkich stanów, mianowicie także z włościanami, którzy licznie na ten pogrzeb przybyli — chorągwie cechów ozdobione były orłem i pogonią — po pogrzebie uraczono suto włościan. Prócz tej demonstracyi miała być tylko jedna jeszcze, 15-go października na cześć Kościuszki. Lud zaczął się być już przesycać tem do niczego nie prowadzącym wyteżeniem sił. „Strażnica“ redagowana przez „szarych“ zaczęła wzywać naród do zakładania szkółek, do zjednoczenia się i organizowania celem podniesienia dobrobytu włościan i wprowadzenia w życie równouprawnienia wszystkich stanów i wyznań. To też nie czekając aż rząd zreformuje system szkolny, pokryła się Polska w okamgnieniu szkółkami wiejskimi za wspólnem szlachty i duchowieństwa staraniem. Po miastach

10/ 861  
/10

zakładano czytelnie, oświecano się, zabierano się na seryo do prac mających odrodzić Polskę, chciano pracą i oświatą doprowadzić kraj do stanu dojrzałości, w którymby odpadł od Rosyi, jak odpada od drzewa owoc dojrzały.

Wśród takiego usposobienia kraju, wśród zwrotu opinii od gorączkowych demonstracyi do zbawiennej pracy, rząd ogłosił 14-go października zaprowadzenie stanu wojennego! Czerwoni, którzy ogłosili „szarych“ zdrajcami ojczyzny, zaczęli już byli powątpiewać o udaniu się powstania, odżyli. — Mam to od świadka naczynego, że ajenci Mierosławskiego nie posiadali się z radości, gdy się o tem dowiedzieli, a gdy kraj zadrzał z przerażenia, oni wołali: „Jeszcze Polska nie zginęła, kiedy Chrulew żyje“!

Z zaprowadzeniem stanu wojennego przeszły właściwe rządy kraju na Gerstenzweiga, jako gubernatora wojennego. Posypały się rozporządzenia o latarkach, laskach, czapkach, sukniach etc. przypominające czasy mikołajowskie i wnet się napełniły więzienia. Mimo stanu wojennego, nabożeństwo na cześć Kościuszki nie zostało odwołanem; lud cisnął się do kościołów, wojsko nie przeszkadzało — lecz ledwo się kościoły napełniły, wojsko otoczyło je, a przybywających do kościołów zaczęto okładać nahajkami, bić kolbami, wpadać za uciekającymi do domów i znieważać kto tylko wpadł w ręce. Otoczony w kościołach lud bał się wyjść, wojsko zaś nie oddalało się od kościołów; oblężenie to trwało cały dzień. W nocy z 15-go na 16-ty października żołdactwo, pod osobistem Chrulewa dowództwem, wyłamało drzwi kościoła farnego i Bernardynów i wpadłszy jak dzicz mongolska, bijąc nielitościwie dzieci i kobiety, do 1000 mężczyzn odprowadziło na Cytadelę. Po tem zbezczeszczeniu kościołów, Białobrzeski administrator dyecezyi nakazał zamknąć kościoły i zawiadomił namiestnika, że ich nie każe otworzyć, dopóki im nie będzie zapewnione poszanowanie. Za przykładem Białobrzeskiego pozamykali żydzi synagogi; protestanci ulegli namowom jednego z jenerałów rosyjskich, ich więc świątynia została otwartą. Przerażony tem Lambert, po bezskutecznych targach z duchowieństwem względem otwarcia kościołów, opuścił w nocy z 23-go na 24-ty październik kraj; jego następca Gerstenzweig zachorował śmiertelnie i w parę dni umarł w skutek kuli, która mu w głowie utkwiała; czy

w pojedynku Lambert lub Chrylew tam wpakował, czy sam się zastrzelił, dotąd nie docieczono.

Była więc Polska oficjalnie przez kilka dni bez naczelnika rządu, aż nareszcie dziennik urzędowy ogłosił, że Suchozanet objął namiestnictwo. Zdziwiono się nie mało, jak ten człowiek, który przed kilku miesiącami postępowaniem swoim, rząd do tego stopnia był skompromitował, że go musiano spiesznie odwołać, mógł znów objąć rządy — lecz pod rządem rosyjskim niczemu się dziwić nie można. Suchozanet upokorzony przez Wielopolskiego, upokorzony wobec Polski, postanowił pomścić się i na Wielopolskim i na Polsce. Oskarżył więc Wielopolskiego w Petersburgu, jakoby tenże wskazując krajowi coraz rozleglejsze reformy, podsycał niepokój; Wielopolski ze swej strony, widząc reformatorskie swe plany zagrożone rządami wojskowymi namiestnika, chciał ratować się przynajmniej w opinii i ogłosił w swym dzienniku wypracowany już, lecz jeszcze nie zatwierdzony przez cara projekt reformy włościańskiej; celem zbadania opinii i obmówienia onegoż przez dzienniki, zanimby się stał prawem. Ponieważ zaś projekt ten, jak każdy projekt do prawa, przemawiał w imieniu cara, przeto Suchozanet upatrując w tem ogłoszeniu nadużycie imienia cara, skonfiskował urzędowy dziennik, w którym projekt był wydrukowany, innym dziennikom drukować go zakazał, redaktora zaś dziennika urzędowego zamknął do kozy. Czy mogą się podobne rzeczy dziać gdzieindziej jak pod rosyjskimi rządami? Wielopolski prowokując dalej namiestnika, odwiedził z największą ostentacją biednego redaktora w kozie, a wiedząc, że go Suchozanet oskarżył w Petersburgu, wysłał tam swego syna dla forytowania swej sprawy — lecz Suchozanet zakazuje pocztom dać mu koni, a gdy tenże koleją żelazną przez Prusy udać się tam zamierza, nie każe go puścić z miasta — dopiero gdy wysłanniki Suchozaneta sprawili się w Petersburgu, znosi z młodego Wielopolskiego internę. Rusza więc czempredzej młody Wielopolski do Petersburga, lecz nim jeszcze tam stanął, już ojciec został tamże powołany.

Podczas gdy Suchozanet z Wielopolskim podjazdową tę prowadził wojnę, rozpoczęła się przeciw wzburzonemu krajowi formalna kampania. Nocne przetrząsania domów, aresztowania zaczęły być na porządku dziennym, ku wielkiej radości stron-



nictwa Mierosławskiego, czyli „czerwonych“, które w piśmie tajnem „Pobudka“ zaczęło ironicznie opisywać, jak to Moskale więżą przyjaciół porządku a jak legalnie sobie postępują ze stronnikami legalnego postępu. Jakoż w istocie ci ludzie, którym „czerwoni“ dziś jeszcze zarzucają, że przeszkadzali wybuchowi powstania w r. 1861, stawali się codziennie ofiarą moskiewskiej samowoli: członkowie delegacji miejskiej, obywatele, którzy przeszkadzali demonstracyom wymierzonom przeciw wyborom, jako to: Szlenker, szewc Hiszpański, kanonicy Stecki i Wyszyński, rabin Meisels i t. p. siedzieli na Cytadeli za to, że bronili porządku, że szli drogą legalną! Gdyby „czerwoni“ byli objęli rządy, nie byłiby zrobili innego wyboru na swe ofiary—jest to jeden dowód więcej, że bezwzględni rewolucyoniści z nikim się tak nie zgadzają, jak z rządami despotycznymi.

Po przybyciu Wielopolskiego do Petersburga rozpoczęła się tam walka o reformy dla Polski. Powołano tam także Suchozaneta, Krzyżanowskiego i Platonowa. Ten ostatni wszedł w skład utworzonego tam komitetu dla spraw polskich; Krzyżanowski z rozległemi pełnomocnictwami wrócił do Polski, by ją wspólnie z zamianowanym na namiestnika Lüdersem uspokoić. Z Petersburga wiał dla Polski wiatr raz łagodny, drugi raz mroźny, wedle tego czy właśnie Wielopolski, lub który z jego przeciwników wychodził z apartamentów carskich, stosownie więc do tych podmuchów i Lüders raz był łagodny, drugi raz srogi—tylko Krzyżanowski zawsze sobie wiernym pozostał. Należąc do stronnictwa niemiecko-rosyjskiego, wiedział on, że punkt ciężkości narodu polskiego spoczywa w klasie wykształconej, kazał więc karę wymierzać nie w miarę przewinienia, lecz w miarę społecznego stanowiska obżałowanego. Krzyżanowski zrozumiał też, jak niebezpiecznem dla rządu było zbratanie się wyznań, przy śledztwach więc kazał najdokładniej dochodzić, co mogło żydów pobudzić do pojednania się z chrześcijanami? Obżałowanych żydów kazał szczególnie o to badać i przedkładać im, że chrześcijanie ich przez tyle wieków prześladowali, niedawno jeszcze nimi gardzili; również protestantów wybadywał dlaczego się łączą z katolikami, którzy są tak nietolerantnymi? Widać, że był to człowiek sprytny, lecz jako Moskal nie świadom tegoczesnych dążeń ludzkości nie miał nawet wyobrażenia o tem,

że w naszych czasach każdy ruch narodowy poczyna się od uznania właśnie tych dążeń i wymagań ludzkości: równouprawnienia stanów i wyznań, sprawiedliwości; nie wiedział, że pewne idee postępowe, jeśli przesiąkły wykształcześniejsze warstwy społeczeństwa, choćby najsrożej ciemzonego narodu, przy pierwszej ku temu sposobności objawiają się i objawiać się muszą. W skutek tego niepojmowania objawów narodowych w Polsce, śledztwa były dziwnymi, nawet śmiesznymi; co do wyroków zaś, te płynąc z powziętej z góry zasady mszczenia się na narodzie polskim, były zawsze okrutne; i tak Białobrzeski za to, że zhańbione przez żołdactwo kościoły kazał zamknąć, osądzony został na śmierć; kanonik Wyszyński na wygnanie na Sybir, Szlenkera bez wyroku deportowano w głąb Rosyi. Później zaczęto karać bez poprzedniego śledztwa i tym sposobem kilkuset księży i obywateli porwanych w nocy z domów wywieziono na wygnanie.

Srogości te dopięły w pewnym względzie celu — demonstracye ustały, kraj zdawał się być spokojny — sądzono więc w Petersburgu, że droga do zaprowadzenia reform już usłana. Nowo mianowany Arcybiskup Feliński, biorąc słowa cara za dobrą monetę, pootwieriał kościoły, a choć Krzyżanowski starał się wywołać nowe demonstracye, by tym sposobem przeciwnąć swe panowanie, do demonstracyi nie przyszło, bo się naród nareszcie spostrzegł, że demonstracye dotychczasowe za dużo krwi kosztowały, a nic w zysku nie przyniosły. Nareszcie z końcem marca 1862 przybył Wielopolski do Warszawy, a przedyskutowawszy tu w radzie stanu rozmaite projekta, które car przedłożyć sobie polecił, pojechał z nimi sam do Petersburga, by je tam przeciw niemiecko-rosyjskiemu stronnictwu, wszelkim reformom w Polsce przeciwnemu, popierać. Opór, jaki w tem stronnictwie tam zastał, był tak wielkim, że już miał wszystko za stracone, i wybierał się do wyjazdu za granicę, gdy W. Książę Konstanty stanawszy po jego stronie, uzyskał nietylko podpis carski na owe projekta, ale i nominację na namiestnika dla siebie, z Wielopolskim jako naczelnikiem rządów cywilnych. W czerwcu 1862 powrócił Wielopolski do Warszawy, by wywalczone z takim trudem reformy nareszcie w życie wprowadzić.

Ustawy organiczne są ziarnem, a lud gruntem; od natury i usposobienia tego gruntu zawisło przyjęcie się owego ziarna

i wydanie owocu. Jakim-że był ten grunt, który pługiem stanu wojennego do siejby przysposobiono. Warstwy tego gruntu, czyli mówiąc bez przenośni, stronnictwa ówczesne w Polsce znane nam są; stan wojenny nie zmienił ich, tylko do skoncentrowania się w sobie zmusił. Stronnictwo umiarkowanych, mimo stanu oblężenia, zakładało szkółki wiejskie, szkółki niedzielne, rozszerzało książki ludowe, zawiązywało potajemnie towarzystwa dla podniesienia dobra ludu wiejskiego, tudzież rzemieślników — i na tem polu ogromne poczyniło postępy. Przy tych pracach nie zapomniało to stronnictwo o wymaganiach narodowych, a nie mogąc im nadać legalnego wyrazu, wyraziło je przez zaprowadzenie żałoby narodowej.

Żałoba ta przekraczając granice Kongresówki rozpowszechniła się na całej przestrzeni ziem niegdyś polskich, wszyscy Polacy przywdziali ją, nawet Niemcy unikali jaskrawych kolorów; zabawy publiczne, tańce, nawet po domach prywatnych ustały, naród cały spoważniał, co nawet wrogom naszym imponowało; we Lwowie podczas zapust 1862 r. Niemcy i wojskowi szanowali to usposobienie narodowe; jedni tylko świętojurcy, jakby na urągawisko wyprawiali publiczne bale, na których klerycy i duchowni rej wodzili. Żałoba stała się symbolem uczuć narodu polskiego, oznaką, że czuje, iż Ojczyzna w grobie leży; nie złożono jej więc w Warszawie nawet na przyjazd Konstantego, co stało się pierwszym powodem drażliwości jego rządów; Moskale i wielu między nami nie pojmowali właściwego znaczenia tej żałoby; uważano ją za manifestację z powodu tylu poległych lub katowanych w cytadeli ofiar. Sądono więc, że kiedy car przysłał swego brata na namiestnika, a pozwoliwszy na zaprowadzenie reform, przeprowadzenie ich powierzył Polakowi, czas już był zapomnieć o tem co Suchozanety i Lüdersy nabroili. Tymczasem żałoba narodowa nie była tylko żałobą za pomordowanymi lub uwięzionymi, była ona jak powiedziałem oznaką niewoli narodu, a nadto środkiem dla przeprowadzenia rozpoczętych prac organicznych, ile że nie dopuszczając zabaw tak zakorzenionych w Warszawie i całej Kongresówce, jak rzadko gdzie na kuli ziemskiej, nie pozwalała narodowi odrywania się od prac, które dla odrodzenia się owego za potrzebne uznał.

Była to najszczytniejsza manifestacja owych czasów, ale niestety także demonstracja!

Skoro W. Książę zamierzał regenerować organizm Polski, to zdawało się być logicznym wnioskiem, że mu stronnictwo umiarkowanych powinno być być pożądanem; tak też z drugiej strony stronnictwo to zamierzając także odrodzenie narodu polskiego, choć w szerszych rozmiarach, powinno iść zgodnie z Konstantym. Tego też najbardziej lękało się stronnictwo czynu, czyli czerwonych. Stronnictwo to podczas rządów wojskowych wzmocniło się już przez to, że najdzielniejsi ludzie ze stronnictwa umiarkowanych byli w Cytadeli lub na Sybirze; nadto wzmocniło się ono także wewnętrzną swą organizacją. Stan bowiem wojenny zmuszał nawet przy czynnościach legalnych używać dróg tajemnych, co zręcznym w tym względzie agentom Mierosławskiego ułatwiało łowienie w swe sidła wszystkich tych, którzy do podziemnych działań uciekać się musieli, tak, że mnóstwo ludzi przeciwnych teoryom tego stronnictwa, bezwiednie przez to stronnictwo kierowanymi byli. Stan rzemieślniczy, dla podniesienia którego stronnictwo prac organicznych tyle trudów poniosło, tyle ofiar poczyniło, wpadł pierwszy na lep konspiracji, która na wzór „Maryanny“ na dziesiątki i setki się zorganizowała, a na czele swem „komitet centralny narodowy“ postawiła, któremu się wnet poddała cała ta część młodzieży, która się była od czerwonych odłączyła, t. j. stronnictwo szarych. Że konspiracja ta przez agentów Mierosławskiego związana została, to zdaje się nie podlegać wątpliwości, zważywszy że Frankowski, który był jednym z najczynniejszych założycieli komitetu centralnego, zostawał w najściślejszych stosunkach z młodą emigracją, a mianowicie młodzieżą ze szkoły Cuneo pod wpływem Mierosławskiego zostającą. Zaprzeczyć się zaś w żaden sposób nie da, że największa część nie tylko ludzi słuchających komitetu centralnego, ale nawet sami członkowie komitetu centralnego, nie byli zwolennikami Mierosławskiego; dowodzą tego nie tylko pisma tego komitetu i jego odezwy zachęcające do organizowania się, ganiące wszelkie do przedwczesnego powstania prowadzić mogące kroki, a wystrzegające się nawet wzmianki o rewolucyi socyalnej, podczas gdy Mierosławskiego stronnictwo wyraźnie do powstania za pomocą

rewolucyi socyalnej dążyło, ale dowodzą to nadto pisma stronnictwa Mierosławskiego, występujące z najsurowszą krytyką przeciwko komitetowi centr. narod., podające komitet ten w śmieszność, a jakto w „Baczności“ wyczytać można, zapamiętała namiętność ku komitetowi do tego stopnia posuwające, że Jürgensa, najzdolniejszego członka komitetu i głowę jego, przez nazwanie tego komitetu „Jürgensowiczami“ rządowi rosyjskiemu zdenucyowano. Był więc Mierosławski pośrednio organizatorem tego spisku, lecz duchowną polityczną głową nie był. Jego stronnictwo związane było pod osobnym komitetem, zwanym „komitet rewolucyjny“, który nawet po zawiązaniu komitetu centralnego narodowego dalej istniał w Warszawie i filie swe w innych także częściach Polski, obok organizacyi komitetu centralnego istniejące posiadał — i tak np. we Lwowie istniała ława główna, jako filia komitetu centralnego, obok komitetu rewol. pod prezydencją Czarneckiego, i z komitetem tym otwarcie walczyła. Pewną zaś jest rzeczą, co też później na jaw wyszło, że ajenci Mierosławskiego od samego początku zawiązania się komitetu narodowego, do składu komitetu tego weszli, że w niższych stopniach organizacyi, jako to w ławach, między setnikami i dziesiętnikami swych ludzi z planu umieszczali starali się, i że z tego wszystkiego aż do wybuchu powstania tajemnicę robili, i dopiero w ostatniej chwili maskę zdjęli. Była więc jak widać, taktyka Mierosławskiego następująca: ponieważ nawet młodzież nie dała mu się ująć, więc agentom swoim kazał się maskować, udawać, że potępiają plany Mierosławskiego (tak postępowali jego ajenci także w Galicyi n. p. Gaszyński) tymczasem zaś zawiązać konspirację cōute-que-cōute między młodzieżą akademicką i rzemieślniczą; a mając raz konspirację spodziewał się, że już ją przez swoich w niej znajdujących się ludzi owładnie, a gdyby to się nie powiodło, tak skompromituje, że jej nic innego prócz powstania nie zostanie. Nienawiść ku ciemnościom, bezprawiami Krzyżanowskiego i Pilzuckiego, tudzież policyi wojskowej i sądów wojennych podsycana, była najczynniejszym werbownikiem konspiracyi; czuło to stronnictwo czynu, że skoroby ustały prześladowania i jego wpływ by ustał; dlatego postanowiono namiętności ludu nowego dostarczyć zarzewia. 27 czerwca strzelono w ogrodzie saskim na Lüdersa i strzaskano mu szczękę,

kto był sprawcą tego zamachu, niewiadomo. Lüders nie zasługuje na współczucie, nikt go też nie żałował i nie żałuje, lecz zawsze pożałowania godnym jest sam czyn, był bowiem pierwszy przykład politycznego morderczego zamachu a naród, który dotąd prowadził moralną walkę z ciemieźcami swymi zadrzał z przerażenia, odparł od siebie nawet podejrzenie tej zbrodni, którą przypisał zemście rosyjskich oficerów, z których Lüders trzech niedawno kazał być stracić, za rozpowszechnienie Kotokoła. Zamach ten przyspieszył przyjazd Konstantego, który już 2 lipca stanął w Warszawie. Przybył mimo świeżego zamachu na Lüdersa, dając przez to narodowi dowód, że wierzy w jego lojalność. Przyjęto go bez wszelkich oznak sympatii; na to mógł i powinien być być przygotowanym; lecz pewnie nie spodziewał się, że już na dworcu kolei czekał na niego skrytobójca, który tylko dla tego nie spełnił zamachu, ponieważ go rozbroił widok W. Księżnej będącej w wysokim stanie ciążności, na drugi wszakże dzień, gdy W. Książę wychodził z teatru, przystąpił doń Jaroszyński jakby chciał wręczyć prośbę i strzelił do niego. Nie był to już czyn zemsty, jakim mógł być zamach na Lüdersa, bo W. Książę dotąd jak nic dobrego, tak też nic złego nie zrobił Polsce. Był to zamach czysto polityczny, zimno obrachowany i dlatego wywołał w kraju ogólne oburzenie, a Warszawa chcąc dać poznać, że nie podziela tego czynu, iluminowała się, po raz pierwszy od 1860 roku dobrowolnie, na uczczenie imienin W. Księcia, które 8 lipca przypadają. Wielki Książę przyjmując deputację składającą mu życzenia, oświadczył, że zamach nań wymierzony nie zmieni w niczem jego dla Polski zamiarów, szkoda tylko, że nie posunął tych zamiarów jeśli były szczerze, aż do wielkoduszności i nie darował Jaroszyńskiemu życia, co tem więcej powinien był uczynić, iż nie kto inny, lecz on zamachem był zagrożony. Od chwili, gdy pierwszym wystrzałem i pierwszym sztyletem rewolucya nowy niezwyčajny u nas nadała sobie charakter, ludzie głębiej nasz naród znający odgadnęli zaraz jaki wpływ wlał w nią tę fałszywą ideę: że zabójstwem i terroryzmem, że napaścią na bezbronnych można działać w sprawie kraju. Idea ta nie była polska, przynieśli ją z sobą z uniwersytetów moskiewskich młodzi zapaleńcy, przynieśli ją z zachodu uczniowie tamtejszej rewolucyjnej szkoły. Naród z razu odpychał tą

ideę i niezmierna tylko boleść była w jego oczach jej wymówką. W dziejach całej Polski, w najstraszliwszych jej przetworach nigdzie nie znajdziem śladów podobnych czynów, ani przekonania, że one istotnie sprawie na cokolwiek się przydadzą. Naród wolny brzydził się zawsze teroryzmem, wzdygał na pokątne zamachy. Byliśmy niezwalczonymi w boju, aleśmy się nigdy na bezbronnych nie rzucali. To też gdy do W. Księcia strzelono, utrzymywało się dość długo mniemanie, że do W. Księcia strzelił jakiś Moskal i że cały ten przypadek nie polskie ręce osnuły i wykonały. Nie jestże to charakterystyczny objaw instynktu narodu brzydzącego się skrytobójstwem?

My rewolucję pojmowaliśmy jako porwanie się narodu do broni przeciwko ciemierzcom, ale strzelanie do bezbronnych, ale sztyletowanie, ale teroryzowanie wszelkiego rodzaju uważaliśmy za niezgodne szlachetnego celu naszych wysiłeni. I słusznie: bo czy to idzie, jak nam, o wydobycie się z obcego jarzma, czy o wywrot rządu własnego, który posłannictwo swe zapoznaje, środki hańbiące na nic się sprawie nie przydadzą, a nieprzyjaciółom dają tylko broń potężną do wojowania przeciwko nam. Zresztą rewolucya jest wystąpieniem w imieniu przyszłości, w imię wyższych potrzeb wieku, więc jako ideał powinna być czystą, wielką, poważną, świętą. Że wrogowie nasi używają przeciw nam środków niegodziwych, to nam nie daje prawa do chwywania się podobnych środków, to nie jest powodem byśmy byli nikczemnymi, jak oni, byśmy się kalali dla tego, że oni się kalają. Okrucieństwa zresztą wrogi sowicie nam odpłacić mogą, stokroć bowiem są dziksi od najdzikszych między nami, tem nas zwyciężą niezawodnie; czystością czynów, zacnością tylko ich zwyciężyć możemy, bo tego im braknie... Ależ zemsta? zemsta za wszystkich naszych męczenników, za porwane polskie dzieci, za spoddlenia, któremi nas chłostano, za żółć, łyzy i piołuny, któreśmy wypili? I zemsta, gdy idzie o pomszczenie narodu powinna być godną narodu, by nie skalala jego imienia.

To co ma zwyciężyć musi mieć w sobie siłę, przede-wszystkiem siłę ducha czystego, wielkiego, musi mieć w sobie świętość. Tylko w imię idei potężnych zyskuje się potęgą — użycie mordy, trucizny, sztyletu, zdrady, fałszu, zatrucia jadem całą pracę, sieje w niej nasiona zguby, spodla ją aż do wstrętu

i ohydy. Za krzyżem, za modlitwą śpiewaną pośród strzałów nieprzyjacielskich szły niezliczone tłumy ludu warszawskiego, byłby poszedł cały lud polski; od sztyletników odwrócił się ze zgrozą!

Ze zamach ten wywołał w kołach rządowych rozdrażnienie, to łatwo pojąć, a rozdrażnienie to rosnąć w skutek następnych atentatów na Wielopolskiego, zniweczyło możliwość porozumienia się rządu z narodem i pchnęło tenże ostatecznie do powstania. Zachodzi pytanie: kto zarządzał owe zamachy? Ludzie, którzy stali w bliskich stosunkach z komitetem centralnym narodowym zaprzeczają stanowczo wszelką w tym względzie inicjatywę ze strony tegoż komitetu i utrzymują, że komitet przyjmował tylko te zamachy jako fakt dokonany, a chcąc utrzymać władzę nad roznamiętnionym i zfanatyzowanym ludem, nie zaprzeczał wyraźnie, zamachów tych, ojcostwa. Znając niektórych członków komitetu tego, jak Jürgensa, Ruprechta, nie mogę żadną miarą przypuścić, by zamachy te z ich rozkazu, lub nawet tylko z ich wiedzą wykonane były; zresztą sam program komitetu centralnego: przygotowanie narodu do powstania, nie dopuszcza mniemania, że komitet rozporządzał owe zamachy do bezwzględnego powstania prowadzące, a więc programowi komitetu przeciwnie, bo przygotowań do powstania nie było prawie żadnych. Winą jego jest, że gdy zamachy te jemu przypisywano, nie zaprzeczył tego otwarcie; komitet bowiem centralny reprezentował konspirację narodową, wina więc przezeń nie odparta spadła na naród. Przeciwnie gdyby komitet centralny był się stanowczo wyparł tych zamachów, wina takowych byłaby ciążyła na pojedynczych indywiduach, lub na spisku jakimś sekciarskim. Kto był motorem tych i późniejszych morderczych zamachów? na pytanie to trudno odpowiedzieć, zwłaszcza gdy się sumienie wzdryga, zbrodnie takie komukolwiek bez dostatecznego dowodu przypisywać; to tylko pewna, że wszyscy zwolennicy Mierosławskiego, z którymi zetknąć się miałem sposobność, morderstwo polityczne jako zasadę wyznawali; wszak stronnictwo to w roku 1862 w Galicyi kilka wyroków śmierci wydało było, być więc może, że pojedynczy zwolennicy powyższej zasady, występowali przy tych zamachach z własnego natchnienia.

W owym to czasie wracając z zagranicy, spotkałem się (15 lipca) w Krakowie z Jurgensem. Zamyślał on wszystkie trzy



wówczas w Kongresówce istniejące organizacje, to jest: Organizację byłego towarzystwa rolniczego, nazywaną białą, organizację czerwonych, między którymi wielki wtedy wpływ wywierał Majewski i organizację komitetu centralnego, któremu on wtedy przewodniczył złąć w jedną organizację narodu polskiego, by tym sposobem rozłączone i częstokroć siebie tylko wzajemnie hamujące siły w jedno skupić ognisko i zjednoczonymi odtąd siłami do wspólnego dążyć celu, to jest odzyskania niepodległego bytu przez powstanie, po należytych do tego przygotowaniach, a mianowicie po przeprowadzeniu uwłaszczenia chłopów i równouprawnienia żydów. Napotykał on nie mało trudności, tak ze strony białych jak czerwonych; tamci bowiem o powstaniu nawet myśleć nie śmieli, ci o organicznych jakichś przygotowaniach słyszeć nie chcieli. Nie tracił wszelako nadziei, że mu się uda zamierzone dzieło przyprowadzić do skutku, a to wpływawszy na białych przez szlachtę galicyjską, o której sądził, że się słowa: „powstanie“ nie zleknie, na czerwonych zaś przez Majewskiego, którego wysoki rozum i zacność charakteru był poznał.

Otóż przyjechał był Jürgens do Krakowa, by za pomocą Leona Chrzanowskiego, z którym od dawna był w stosunkach, poznać teren galicyjski. Przypadkiem ja także nadjechałem. Poznawszy stosunki Galicyi, mianowicie, że tu istnieją wyrobione i dość uorganizowane stronnictwa demokratyczne i arystokratyczne, że pierwsze idzie za Smolką, drugie za księciem Adamem Sapiehą, że wpływ ich rozciąga się tylko na wschodnią Galicyę podczas gdy zachodnia niema wyłącznych uznanych przywódców i omówiwszy w ogólnych zarysach plan, wedle którego Galicya powinna się pod przewodnictwem uznanych przez kraj mężów zorganizować, zachowując zupełną autonomią co do środków przeprowadzenia organizacji i co do formy onejże zaproponował, abyśmy Chrzanowski, ja, Smolka i X. Adam przyjechali na dzień, który miał później wyznaczyć, do ułożenia się ostatecznego do Wiednia, dokąd on wraz z delegatami z poznańskiego również jak Galicya zorganizować się mającego, mianowicie Łączyńskim, Betkowskim i Gutrym przybyć miał.

Przyjechawszy do Lwowa napisałem do X. Adama, który u siebie na wsi bawił, że mam z nim w sprawach politycznych do pomówienia, żeby więc na jeden dzień do Lwowa przyjechał.

Smolkę zastałem na wyjeździe na wieś, opowiedziałem mu o co idzie, i otrzymałem odpowiedź że na umówione rendez-vous pojedzie, żebym go więc tylko o dniu, gdy zostanie wyznaczony, zawiadomił. Od ks. Adama dostałem odpowiedź listowną, że skoro się z łóżka zwlecze, natychmiast do Lwowa przybędzie; jakoż istotnie w parę dni potem przybył. Plan organizacyi przez Jürgensa nakreślony przypadł mu do smaku; trudności na jakie organizacya projektowana napotkać mogła z powodu zaprowadzonej organizacyi korespondentów Towarzystwa agr. miał nadzieję usunąć, ile że on sam był twórcą tej organizacyi i większością seniorów i korespondentów rozrządzał; lecz zachodziła inna, według mniemania Sapiehy nierównie większa trudność, a tą była osobistość Smolki. Miał on do Smolki urazę, również jak Smolka do niego, a to z powodu Deputacyi z r. 1860. Gdy antagonizm ten niemały miał wpływ na późniejsze losy organizacyi, więc źródło jego tu wykryję. Po ogłoszeniu Dyplomu październikowego przybywały różne deputacje do Wiednia, dla złożenia cesarzowi podziękowania za ogłoszone owym dyplomem swobody.

Galicya przyjęła ten dyplom najobojętniej w świecie; nauczeni doświadczeniem nie wierzyliśmy w papierowe konstytucye. W Krakowie wszakże zaczęto myśleć o wysłaniu deputacy z Galicyi, i wysłano w celu wysondowania umysłów Zybliekiewicza do Lwowa. Zybliekiewicz był wówczas gorącym stronnikiem Adama hr. Potockiego et Cie, chcąc zaś zachęcić mieszkańców Rusi do deputacyi, proponował jako biegły polityk ks. Adama Sapiehę na przewodnika deputacyi. Misya ta udała mu się tylko w części. Lwów zapalił się do deputacyi, by zaprezentować nowo posprawiane kontusze, pasy i karabele, lecz o księciu Adamie słyszeć nie chciał. Redakcyja Przeglądu powszechnego chcąc na przewodnika deputacyi wy kierować Smolkę, zaimprovizowała mu fabelzug, który aczkolwiek przez wojsko rozpedzony, zebrał się przeciw przed mieszkaniem Smolki i zaprosił go na przewodnika, udać się mającej do Wiednia deputacyi. Smolka przyjął niby pod warunkiem, jeśli także Metropolita Jachimowicz pojedzie, i posłał w tym celu fabelzug do św. Jura, gdzie przed nim bramę zamknęto. Oczywiście, że nie można już było myśleć o ks. Adamie, który też przyznać mu trzeba, najmniejszego nie okazał złą

nieukontentowania, owszem na drugi dzień wraz ze ~~mną~~, Rajskim, Sękowskim i jeszcze kimś udał się do Smolki, by się naradzić nad dalszym planem. Uchwalono pojechać jak najspieszniej do Krakowa zlamtąd bez sejmikowania i demonstracyi wszelkich, któreby mogły zatrzymanie deputacyi przez policję spowodować, zabrać Mazurów do Wiednia i w Wiedniu dopiero ułożyć krótki adres odwołujący się do życzeń wyrażonych w adresie z 6 kwietnia 1848. Aby plan ten ułatwić w Krakowie miał ks. Adam na-  
zajutrz rano tamże się udać, a gdy się żegnał ze Smolką, tenże kilkakrotnie mu polecał, by tylko żadnych nie było owacyi dla niego (Smolki), gdy tam za parę dni przyjedzie. Książę Adam przybywszy do Krakowa starał się to ostatnie polecenie jak najściślej wykonać, prawdopodobnie i dla tego, że mu do smaku przypadało, mimoto gdy Smolka przyjechał do Krakowa młodzież tamtejsza agitowana przez Pawlikowskiego, który o owem poleceniu Smolki nic nie wiedział, chciała koniecznie wyprawić jakąś demonstracyę na cześć Smolki; Sapieha temu się sprzeciwiał, przyszło do ostrych przemówek, młodzież udała się z zapytaniem do Smolki, a gdy tenże na owacyę przystał, nie wytłumaczywszy sprzeciwiania się Sapiehy danem mu wyrażnem na to poleceniem, padło na Sapiehę podejrzenie, jakoby on przez zadrość nie chciał dopuścić na publiczną dla Smolki owacyę, za co mszcząc się Sapieha odgrażał się, że Smolce końca dojedzie.

Otóż z powodu tych obopólnych uraz wątpił Sapieha, że Smolka razem z nim pójsć zechce, a chociażem go zapewniał, że Smolka wiedząc, iż do konferencyi powołanym jest także ks. Adam, przybyć przyrzekł, powątpiewań to jego nie zmniejszało. Chcąc rzecz tę postawić jasno, a nie mogąc się udać do Smolki na wieś, zawezwałem do Lwowa Alex. Dzieduszyckiego, którego wpływ na Smolkę i dobre wzięcie u Sapiehy były mi znane. Dzieduszycki stawiał się natychmiast, a dowiedziawszy się o co idzie, udał się do Smolki raz i drugi raz i uzyskał nareszcie po długich perswazyach przyrzeczenie Smolki, że gdyby w skutek odbyć się mającej konferencyi przyszło mu razem ks. Adamem Sapiehą stanąć na czele organizacyi, to uczyni to ale pod warunkiem, że i on (Dzieduszycki) wejdzie w skład władzy kierującej organizacyą. Gdy rzeczy dzięki staraniom Dzie-

duszyckiego do tego doszły rezultatu, otrzymuję od Chrzanowskiego doniesienie, że zjazd ma się odbyć 1-go września. Donoszę o tem Sapięze, który odpisuje, że 31-go sierpnia stanie w Krakowie i tamby chciał się poprzednio rozmówić ze mną, ze Smolką i Chrzanowskim. Piszę równocześnie do Smolki, list jeden i drugi i dopiero 29-go sierpnia odbieram od niego odpowiedź, że nie może się udać do Wiednia, ponieważ rozpoczął dreny, których nieskończonych zostawić nie może. Nie było czasu do dalszych z nim korespondencyi, siadłem więc na kolej i 31-go stanąłem rano w Krakowie.

Zawiadomiwszy Chrzanowskiego, że Smolka skrewił, udałem się z nim do pałacu Lubomirskiego, gdzie Sapięha miał stanąć i gdzie go też czekającego na nasze przybycie zastaliśmy. Zgodziliśmy się na następujący program: organizacja prac organicznych celem przygotowania Polski do odzyskania niepodległości; autonomia Galicyi co do mianowania kierowników organizacyi i nadania jej odpowiedniej położeniu krajowemu formy; połączenie tej organizacyi z organizacją całej Polski przez zasiadanie w komitecie delegata z Galicyi, z wyłączeniem wszelkich bezpośrednich wpływów tegoż komitetu na Galicyę; pojechaliśmy do Wiednia, gdzie przeczekawszy na próżno cały dzień, rozjechaliśmy się nazajutrz to jest 2-go września, umówiwszy się, iż ktokolwiek z nas o nowym zjeździe zostanie zawiadomionym, innych na wyznaczony dzień zawezwie. Później dopiero dowiedzieliśmy się, że Jürgens z powodu, że za nim policya szukała, stawić się nie mógł. Po powrocie Sapięhy z winogronowej kuracyi, zajął się tenże zawiązaniem organizacyi Towarzystwa agr. i na ten cel zawezwał seniorów w jesieni do Lwowa; Smolka mimo prośby, by także przyjechał do Lwowa, nie tylko nie przybył, ale żadnej nawet odpowiedzi nie dał. Rokowania o zwinięcie organizacyi agronomicznej spełzły prawie na niczem, kraj bowiem pragnął koniecznie jakiej takiej organizacyi, a gdy bez porozumienia się ze Smolką, nie można było jeszcze programatu, który we trójkę z Chrzanowskim i Sapięhą ułożyliśmy ogłaszać, zaprojektowano nowy zjazd seniorów na koniec listopada, w nadziei że Smolka w tej porze wróci ze wsi do miasta. Na ten powtórny zjazd przybyli także wolontaryusze tak z Galicyi wschodniej, jako też zachodniej (Szujski, Paszkow-

ski etc.), dowiedziano się bowiem w kraju, że się na coś zanosi. Konferowano, radzono, szeptano, agitowano, nikt prawie nie wiedział czego chce, to tylko czuli wszyscy, że organizacya Towarzystwa agr. nie wystarcza, że trzeba inną zaprowadzić. Przy takim usposobieniu umysłów udało się rozwiązać instytucję seniorów i korespondentów, lecz nic nowego nie zawiązano. Wtem ogłoszono reskrypt cesarski zwołujący Sejm galicyjski na 10-go grudnia; to dopiero sprowadziło Smolkę do Lwowa, gdzie po przedwstępnych konferencyach, 18-go grudnia stanęła między mną, Dzieduszyckim Alex., Smolką i ks. Adamem Sapięhą umowa, iż dobrawszy sobie piątego staniemy na czele organizacyi Galicyi wschodniej wedle programatu w Krakowie ułożonego, zostawiając Galicyi zachodniej, by się zorganizowała sama, a z organizacyą Galicyi wschodniej zostając w ciągłych stosunkach, co do wspólnych kwestyi naradzała się na wspólnych zebraniach obudwóch komitetów. Co do wyboru piątego członka komitetu wschodniej Galicyi, zamianowania naczelników obwodów i ułożenia bliższego programatu organizacyi, postanowiliśmy się wstrzymać aż do zjechania się posłów na Sejm, który na 12-go stycznia odroczoneym został.

Podczas tego szukania się, dyplomatygowania i rozpręgnięcia dawniejszej organizacyi, utworzoną została (jak to się stało, nie mogłem dotąd dowiedzieć się) przez agentów komitetu centr. Rada galicyjska w Krakowie, która przesławszy komitetowi centr. akt submisyi, zaczęła przeprowadzać organizacyę swą w kraju. Wiadomą jest rzeczą, że komitet centr. składający się z młodzieży, z największem niedowierzaniem poruczał czynności organizacyjne ludziom starszym; tem trudniej pojąć jak mógł organizacyę Galicyi powierzyć ludziom takim jak Demidowicz, Mułkowski i Aleksandrowicz, oni bowiem składali Radę galicyjską. Demidowicz, hulaka emeryt, znany z dobrego apetytu, z nieuznawania Napoleona cesarzem, i ślepej wiary w piszące stoliki; Mułkowski stary spiskowiec i koziarz, na pół już zdziecinniały; Aleksandrowicz, aptekarz, przesiadujący chętniej w winiarniach niż w laboratorium — oto trójca, której poruczono przeprowadzenie organizacyi w kraju i kierowania tymże! Rada ta wzięła się do dzieła i ustanowiwszy główną Ławę w Krakowie i Lwowie z akademików, poleciła tym Ławom dalszą organizacyę,

która się po za Akademię i czeladź rzemieślniczą nie rozszerzyła, wogóle tak słabo się krzewiła, że Ława główna lwowska w chwili wybuchu powstania liczyła w całym kraju sto kilkadziesiąt adeptów i 104 złr. w kasie. I w tę organizację wcisnęli się natychmiast Mierosławczyki, którzy za przybyciem Kurzyny do Lwowa zawiązali się w osobny komitet, rewolucyjnym znany, a pod prezydencją Czarneckiego z Gromana, Łubńskiego, kulawego Niedzwieckiego, Grochowalskiego i podobno Ruckiego składający się. W Ławie głównej krakowskiej wodził rej akademik Szczepański, Mierosławczyk, lecz z tem kryjący się; Ławy lwowskiej pisarzem i naczelnikiem był poczciwy Mieczysław Romanowski z członkami: technik Wodyński, ukryty Mierosławczyk, Topolnicki, Kuczendyk i znany tu ze swego wścibstwa Niziniecki.

Gdy po rozwiązaniu organizacji towarzystwa agr. głucha wieść o utworzyć się mającej nowej organizacji, po mieście krążyć zaczęła, Romanowski zagadnął mię o to, a gdy znając go dobrze i ufając mu, powiedziałem co zamierzamy, on uradowany odkrył mi istnienie Ławy głównej i kilka Ław na prowincyi w zarodku będących i prosił o radę co ma dalej robić, gdyż od Rady galicyjskiej zupełnie prawie jest opuszczony. Powiedziałam mu więc, aby organizacji ławowej nie rozszerzał po za krańce młodzieży akademickiej i rzemieślniczej, potem zaś gdy stanie zamierzona organizacja kraju, wcielił się do niej z całą młodzieżą, na co Romanowski najchętniej zgodził się. Nie wiem jakim sposobem, lecz zdaje mi się, że wskutek raportu Wodyńskiego, któremu Romanowski opowiedział swoją ze mną rozmowę, przyniósł mi wkrótce Wodyński nominację ze strony „Rady galicyjskiej“ na naczelnika Ławy głównej lwowskiej, wraz z umocowaniem nieograniczonym. Nominację tę, wyciąwszy z niej moje nazwisko, by się nie dostała w niepotrzebne ręce, oddałem napowrót Wodyńskiemu z oświadczeniem: że z wyższych powodów nominacji tej przyjąć nie mogę, że wszelako Ławą i całą jej organizacją jak najszczerzej chcę i będę się zajmował, radziłem wszelako by się z Ławy pozbyli Nizinieckiego, co też wkrótce nastąpiło. Równocześnie prawie ze zwierzeniem Romanowskiego zapytało mię kilku znajomych z prowincyi, niemniej kilku znajomych akademików, co to ma znaczyć to werbowanie do jakichś dziesiątek? Z opowiadań spostrzegłem, że razem z Ławnikami

zarzucali na młodzież wedke Mierosławszczyki, podszywający się pod Ławę; objaśniłem pytających się, tłumacząc im organizację Ław jako tymczasową mającą się połączyć z zamierzoną organizacją krajową, wyłuszczając cel tej organizacji, oraz przestrzegając przed Mierosławszczykami, którzy za to na mnie, na Romanowskiego, na Pawlikowskiego wydali wyroki śmierci; pocziwy Romanowski zginął śmiercią bohatera od kuli rosyjskiej pod Lelewelem; ja z Pawlikowskim żyjemy dotąd Bogu dzięki, a może dzięki murom więziennym, które nas strzegą.

Zboczyłem może zanadto od głównego przedmiotu, lecz musiałem o tem nadmienić, gdyż wszystko to wpłynęło także potrosze jeśli nie na wybuch, to na trwanie powstania. Teraz wracam do głównego teatru, do Kongresówki.

Wielopolski przywiózł z Petersburga trzy organiczne prawa, 1-o prawo o zamianie pańszczyzny na czynsz, po którym później miała wyjść ustawa o spłacie czynszów i uwłaszczeniu chłopów. 2-o prawo o równouprawnieniu żydów. 3-o prawo o reorganizacji szkół ludowych i urzędzeniu uniwersytetu. Że dwa pierwsze prawa miały głównie polityczne cele, to nie ulega wątpliwości; rząd chciał chłopów i żydów sobie ująć, lecz nawet trzecie prawo kryło zdaje się w sobie plany pansławistyczne, a więc polityczne, jak to zdradza utworzenie katedry czeskiej na Wszechnicy warszawskiej.

Rząd rosyjski nie przestał być uważać się za nieomylny, nie cierpiał żadnych krytyk, nawet uwag od pojedynczych urzędników wychodzących, a wszelkie wyjawienie zdania w czynnościach rządowych uważał za bunt. Systemu tego trzymał się także i Wielopolski, jako odpowiadającego jego charakterowi. Było więc upokorzącym z jednej, a niebezpiecznym z drugiej strony, wspierać rząd przy urzędzeniu wszechnicy, mimo to nie ociągali się z ofiarą znani z nauk ludzie, a sędziwy Mjanowski porzucił zacisze domowe, by objąć urząd rektora; uczeni ze wszystkich części Polski zgłosili się do objęcia posad profesorских, a dzienniki warszawskie, narażając się nawet na niepopularność, zaczęły zalecać prawo o reorganizacji szkół, byle tylko nie zrazić rządu i nie dać mu pochopu do cofnięcia tego prawa, które acz niedostateczne, zawsze do rozszerzenia oświaty w kraju pod tym względem od lat trzydziestu zupełnie zaniedbanym, po-

służyć mogło; na tem więc polu choć leniwo, postępował jednak rząd, przynajmniej bez utajonych zdrożnych myśli. Inaczej działa się z oczynszowaniem włościan i równouprawieniem żydów. Tu widocznie rząd starał się pozyskać przeciwwagę, przeciw innym żywiołom, wiejskim i miejskim, t. j. szlachcie i mieszczaństwu. W ogłoszeniu prawa włościańskiego kładł rząd zanadto nacisk na łaskę cara i wdzięczność jaką mu chłopci za tę łaskę winni, a nie wspominając ani słowem o zabiegach, jakie szlachta celem wyjednania tego prawa czyniła, przeciwstawiał panu chłopca zwracając przy tem uwagę tegoż ostatniego na obronę, jakiej się od rządu spodziewać może. Co do żydów, zniósł Wielopolski natychmiast dotychczasowy podatek żydowski i zastąpił wyrastający ztąd ubytek, przez podwyższenie podatku od wódki, a więc przez nałożenie większego podatku na Chrześcian, co między tymi naturalnie wywołało nieukontentowanie, żydowskiej zaś deputacyi wyraźnie dał do zrozumienia, że teraz ustał z ich strony wszelki powód mieszania się do „pewnych rzeczy“. W. Książę zaś jakby demonstracyjnie zaczął przejeżdżać się po częściach miasta głównie przez żydów zamieszkałych, wywołując tam pojawieniem się swojem hołdy, których w innej części miasta, nawet przy najusilniejszej pomocy policyi uzyskać nie mógł. Widocznie więc dążył rząd do oparcia się na proletaryacie duchowym i materyalnym, przez co naturalnie wypędził do przeciwnego obozu, tak inteligencyą, jako też i klasę posiadającą.

Czy Wielopolski działał z wyraźnego polecenia rządu? czy szedł tylko za popędem despotycznego swego charakteru? trudno odgadnąć; dał on od roku 1831 nie jeden dowód swej niepodległości, usuwając się od wszelkiego zetknięcia się z rządem; lecz znaną też jest niepohamowana jego duma, a ta obrażona przez szlachtę, gnała go do pomszczenia się na teje szlachcie; dumę tę obrazili również mieszczenie, nie odpowiedziawszy przy wjeździe W. Księcia życzeniom Wielopolskiego, miał więc powód pomszczenia się i na mieszczaństwie, można więc postępowanie Wielopolskiego przy ogłoszeniu powyższych praw tłumaczyć obrażoną jego dumą i chęcią zemsty.

Jakie było znaczenie żałoby narodowej, wyżej już powiedziałem. Wielopolski uważał ją jako dzieło czysto rewolucyjnej agitacyi, dlatego postanowił znieść ją bądź co bądź, a gdy ani



objawienie swego w tym względzie życzenia przed radą miejską, ani perswazyje „Dziennika powszechnego“ nie skutkowały, wydał rozkaz zabraniający wszystkim urzędnikom noszenia oznak żałoby, do których należały także czapki, a kładąc żałobę narodową na równi z popełnionymi zamachami morderczymi, oburzył cały naród.

Wiedzano o tem, że Wielopolski uważał przyłączenie Litwy do Polski za utopię, że przeciwnie hołdował panslawistycznej zasadzie złączenia się Polski z Rosyą, w nadziei wywalczenia dla Polski hegemonii w rosyjskiem carstwie; wiedzano, że umizgał się do Czechów a na Galicyę jako na dojrzewiający owoc, mający wkrótce odpaść do Rosyi, spoglądał; lecz nie przypuszczano, by mógł dążności narodu polskiego, których symbolem była żałoba narodowa, postawić na równi z prostą zbrodnią. Czy sądził że hańbiąc uczucie narodowe zniewoli naród do zaniechania tego uczucia? przypuszczenie to nie zgadza się ze sławionym jego rozumem; niech zresztą ten, ktoby tu chciał uniewinnić Wielopolskiego, wytłumaczy, dlaczego ten drażliwy i oburzający zakaz wydano w chwili, gdy ludność Warszawy po zamachu na W. Księcia zabierała się na seryo do stawienia energicznego oporu rozzuchwalonemu dotychczasową pobłażliwością stronnictwu Czerwonych. Nie dość na tem; tegoż samego dnia t. j. 18-go sierpnia otrzymała opinia publiczna drugi policzek przez dymisyowanie prezydenta miasta Warszawy, z powodu relacji sumiennej, przedłożonej rządowi o przerażającym stanie więzień i nadużyciach policyjnych, z prośbą o usunięcie tych nadużyć. Prezydent Woیدا był urzędnikiem lojalnym, relacja jego w zamiarze usunięcia od rządu słusznych zarzutów samowoli i okrucieństwa przedstawioną była; oddalając więc Wojdę z urzędowania za ten lojalny krok, Wielopolski albo tak samo jak Moskale, wszelki objaw opinii o rzeczach rządu uważał za bunt, albo też, czego nie chcę przypuścić, przez ukaranie tego, który się za ludnością warszawską ujął, oburzenie w tej ludności wywołać i ciąglem deptaniem do powstania zmusić chciał.

Nie lepiej postępował sobie Wielopolski z prasą a karcąc ją za każdy objaw opinii o rzeczach krajowych, zniweczył nadzieję, że i Polsce przynajmniej tak jak Rosyi choć o potrzebach krajowych wolno będzie pisać. Umilkły więc dzienniki, lecz to

milczenie grobowe gniewało także Wielopolskiego; aby więc nie sam „Dziennik powszechny“ przemawiał, dodał mu kolegę w „Komunalach“ przez Miniszewskiego redagowanych; stało się więc wedle życzenia Wielopolskiego trochę głośniej w świecie dziennikarskim. Miniszewski zaczął dzwonić na gwałt przeciw „podziemnemu rządowi“ wydrwiwając tych co go słuchają, wyszydząc narodowe usiłowania, a to z tem większym cynizmem, im większą była pogarda ludności warszawskiej dla „komunalów“. Tym sposobem sprawił Wielopolski to, że żaden poczciwy dziennik nie śmiał powstać na agitacye podziemne, bo się wzdrygał na samą myśl współnictwa z Miniszewskim, z czego w dal- szem poszło następstwie, że tajemne pisma tem bardziej szerzyć się i tem namiętniej występować poczęły.

Z przyjazdem Konstantego spodziewano się ogólnej amnestyi. Nadzieja ta spełzła na niczem; natomiast rząd przez osoby bliżej wielkiego ołtarza stojące kazał zapowiedzieć, że nastąpi rewizya wszystkich podczas stanu wojennego zapadłych wyroków i słusność wszystkim wymierzoną będzie. Wysadzono też do tego dzieła osobną komisję, lecz środek ten uznano wkrótce za nadto radykalny, obrano więc drogę ulaskawienia dla pojedynczych osób i zrobiono na tej drodze początek 8-go sierpnia, w dzień urodzin cara i chrztu syna W. Księcia. Ponieważ zaś łaskę rozdzielano w sposób taki, iż zamiast łagodzić rozjątrzenie narodu, mnożono tylko gniew przeciw rządowi, który uznając sam niesłusność wyroków wojennych, nie chciał dotkniętym tymi wyrokami wymierzyć sprawiedliwości, lecz obdarzał ich niby łaską, przeto ulaskawieni popadli u gorętszych w jakieś podejrzenie i tym sposobem tracili wszelki wpływ jakiby na nich wywierać mogli byli w celu powstrzymania niejednego nierozważnego kroku. Największy zaś cios zadały sobie rządy W. Księcia postępowaniem swem w sprawie ucznia sztuk pięknych Nowakowskiego, który 8-go kwietnia 1861 r. uwięziony, po całorocznem uwięzieniu na cytadeli, przez wszystkie instancye sądów cywilnych za niewinnego uznany, w maju 1862 r. przez władze wojskowe na Sybir został wysłany. Brat jego podał o uwolnienie z wygnania prośbę do W. Księcia, a ten prośbie tej odmówił. Zresztą aresztowania nocne na prostą bezimienną denuncyacyę odbywały się i po przybyciu Konstantego; tak

1561

1862

samo też jak przedtem łapano przechodniów po ulicach; więzienia były napełnione jak dawniej. Wprawdzie Wielopolski wynalazł jakieś rosyjskie prawo, wedle którego zbrodniarze stanu publicznie mają być sądzeni i dlatego tak obwinionych o zamach na W. Księcia i Wielopolskiego, jakoteż o udział w tajnej rewolucyjnej organizacyi publicznie sądzić postanowiono, co dało trochę otuchy narodowi sądzącemu z tego postanowienia, że przecież zacznie się stan prawny; lecz sądy te publiczne wykrywające tylko najzupełniejszy brak poczucia prawa w sędziach instrukcyjnych i odśnającą tylko okrucieństwa jakich używano, by obżałowanych do zeznania zmusić, rozwiały i tę nadzieję i tylko większą jeszcze ku rządowi nienawiść zaszczepiły.

Podczas gdy tym sposobem tak władze wojskowe jak cywilne wszelkie zaufania narodu do rządu niszczyły i wszelkie publiczne organa do milczenia zmuszały, postanowiła dawna organizacya Towarzystwa rolniczego, jeszcze raz spróbować, czy się jej nie uda, przez uzyskanie niezbędnych dla uspokojenia umysłów koncesyi narodowych, grożącą zażegnać burzę. Proklamacją z dnia 27-go sierpnia wezwał W. Książę „Polaków“ aby w „imię Ojczyzny“ uwolnili się od wpływu stronnictwa burzycieli, które już trzech morderców dostarczyło. Otóż z tej proklamacyi postanowiła szlachta korzystać i wręczyć W. Księciu Adres. Andrzej Zamoyski wyrobił sobie audyencyę, przy której podczas poufnej z W. Księciem rozmowy o opłakanym stanie kraju, napomknął, że naradzi się z równomyślącymi o środkach uspokojenia kraju; W. Książę nic na to nie rzekł, a więc myśl Zamoyskiego milczeniem pochwalił. Wskutek tego, zebrane licznie w Warszawie obywatelstwo ziemskie, ułożyło 9-go września wezwanie pisemne do Zamoyskiego, aby chciał być wobec Księcia reprezentantem ducha narodu i oświadczyć mu, że dotychczasowe rządy rzuciły kraj na drogę równie dla rządu, jak dla kraju zgubną, że zaufanie narodu do rządu wtedy dopiero wróci, jeśli rząd Polski będzie narodowym i jeśli wszystkie dawniej polskie kraje pod berłem cara zostające, przez konstytucyę wspólną i liberalne instytucye w jednościi połączone zostaną. Lecz jeszcze pismo to nie było przez wszystkich podpisane, gdy Zamoyski został pozwany i pod eskortą do Petersburga odesłany. Tam go grzecznie przyjęto i jeszcze grzeczniej za granicę wyprawiono,

aby imię jego nie było w kraju do demonstracji nadużywanem. Trudno zaprzeczyć, że adres ten był krokiem wielce niepolitycznym i że nie może być uważany jako dążący do uspokojenia umysłów. Przeciwnie nastroił jeszcze więcej wymagania ludności. Lecz równie niepolitycznym był artykuł w „Dzienniku powszechnym“ o żałobie narodowej, szydzący z niej i donoszący, jakoby chłopci nazywali to żałobą panów za utraconą pańszczyzną, a żydzi zaś żałobą za upadłym przywilejem poniewierania nimi; kończył się zaś artykuł ten, reminiscencyą o Kazimierzu W., królu chłopów i uwagą, że rząd terażniejszy idąc w ślady owego króla, bierze w szczególniejszą swą opiekę chłopów i żydów; artykuł przypominający politykę galicyjską Metternicha, przeciw której ten sam Wielopolski powstał w znanym pod tytułem „lettre d'un gentilhomme polonais“ liście, z powodu wypadków 1846 r. do ich sprawcy Metternicha wystosowanym. Składali się więc wszyscy na pchanie do powstania: czerwoni, szlachta i rząd.

Po wydaleniu Zamojskiego i po tej groźbie rzuconej szlachcie, członkowie dawnego Towarzystwa roln. zawiązali się w ścisłą organizację pod kierownictwem dyrekcji, złożonej z delegatów każdej guberni. Organizacya ta szerząc się szybko, nawet po za granice Kongresówki, wywołała adresy szlachty litewskiej, podolskiej, wołyńskiej, żądające to samo, czego domagać się szlachta Kongresówki Zamojskiemu poleciła była. Od tej to organizacyi wyszła proklamacya do rzemieślników, ostrzegająca ich przed zagorzałymi agitatorami, a wzywająca ich, aby z pomiędzy siebie powybierali ludzi zaufania godnych i ich radami się kierowali. Że proklamacya ta wobec powyższych demonstracji szlachty nie mogła skutkować, pojąć łatwo; zresztą dzięki ówczesnemu dziennikarstwu lud każdego, kto do jego rozumu przemawiał, miał już w podejrzeniu. Kto patrzył na te harce piór, prowadzone od 1861 r. przez tak znane stronnictwo czynu, na „Gazetę narodową“ pod kierownictwem Leszka Wiśniowskiego, na „Baczność“ redagowaną przez Kurzyne, na „Pobudkę“ wydawaną tajemnie w Warszawie przez stronnictwo Mierosławskiego, a przytem zważy, jak systematycznie dążył do drażnienia i roznamiętnienia rząd rosyjski w Polsce — ten łatwo pojmie i zapanowanie namiętności nad ludem i ten zupełny zamęt wyobrażeń, jaki go ówczas owładnął. Co tylko było w kraju wytyczniejszego, czy to talentem, czy zastugą, czy wię-

ciem u narodu, to wystawionem zostało na natarczywą napaść przez owe pisma, a bardzo często równocześnie przez rząd prześladowanem i wszelkiego pozbawianem wpływu. Był to jakby wichur miejący kurzem, piaskiem, jaki zwykle poprzedza burzę z gradem. Trzeba było zasypać oczy, żeby naród nie widział na co się zanosiło; trzeba było przede wszystkim podkopać wszelkie powagi, aby roznamiętniony i oślepiiony naród nie wierzył nikomu, tylko tym, którzy jego namiętności łechtali. Gdzieś wówczas nastawił ucho, wszędzie jedną słyszał piosnkę, wojna frakcyi lub fakcyi wydana całemu społeczeństwu, wojna młodych przeciw starszym, podwładnych przeciw zwierzchnikom, ubogich przeciw bogatym, niedouczone przeciw uczonym, obłudy przeciw prawości, kłamstwa przeciw prawdzie — a wszystko to pod uroczym i zawsze nam świętym sztandarem Polski! Ci, którzyby mogli i chcieli podnieść głos reflektujący lub karcący, zamilkli i w cichości musieli polykać gorycz na widok niemocy słowa, tkniętego paraliżem; żadne przewidywanie smutnych następstw choćby najwymowniej wyłożone, nie miało wartości, owszem uważane było jako karygodny plód reakcyi, wymierzony na zepsucie ducha, i nie chroniły przed tym zarzutem ani wypróbowany patryotyzm, ani udowodniona gotowość służenia sprawie ojczyстей, ani żadna dla kraju położona zasługa, ani nawet uderzająca ta okoliczność, że wrogi rząd właśnie tych, którzy reflekto wali, karał surowo. Czuli oni potrzebę prawdy, ale ich prawda nie była zdawkową monetą lichego stempla, która miała kurs, do której lud przywykł, więc jej nikt nie brał, a oni nareszcie zamilkli w rozpacz.

W takim rozpaczliwym stanie umysłów znajdowała się Warszawa, gdy na nią najcięższą próbę zesłać postanowiono. Po ukończeniu wojny krymskiej, zastanowiono w Polsce rekrutację na lat trzy, to jest do r. 1859, a gdy ten rok nadszedł, na dalsze 3 lata. Każda rekrutacja wywoływała w Polsce przestrasz, bo rekruta polskiego systematycznie pędzono na takie stanowisko, na którym od klimatu lub kuli ginąć musiał. W r. 1859 wydano nowe łagodniejsze prawo rekrutacyjne, które skrócało lata służby, uwalniało uczniów wyższych szkół, praktykantów, je-dynaków i t. p. od służby, a nawet innym dozwalało złożeniem 200 rubli wykupić się od służby wojskowej. Prawo to miało po

1859

1862  
raz pierwszy wejść w wykonanie z końcem r. 1862. Jeżeli ludność z trwogą patrzyła na zbliżanie się tego terminu, to jak opisać przeżenie, które wywołało w tej ludności rozporządzenie 25-go października 1862, znoszące co do Polski wszelkie ulgi ukazem z r. 1859 zaprowadzone, a nadto pozwalające władzy administracyjnej postępować przy poborze, jak za dobre uzna. Nawet liczby kontyngentu nie oznaczono, tak, że i to dowolności władz adm. zostawiono. Nikt też już wówczas nie wątpił, że zamierzono proskrypcye a nie rekrutacyjne, jakoż później pod dniem 6-go grudnia wydano do władz policyjnych i wojskowych tajną instrukcyę, polecającą pozbyć się przy rekrutacyi tej części ludności, która zachowaniem się swoim spokój publiczny narusza.

Po ogłoszeniu rozporządzenia z 5-go października, zaprotestowały wszystkie rady powiatów przeciw legalności tegoż, na co rząd odpowiedział rozwiązaniem tych, których język był energiczniejszy, podczas gdy dzienniki Wielopolskiego, środek ten jako zbawienne oczyszczenie ludności zachwalały, co wskazuje, że Wielopolski, jeśli nie był twórcą owego rozporządzenia, to się z niem zgadzał przynajmniej.

Wzburzenie między ludnością Warszawy było nie do opisania, chociaż komitet centralny narodowy wzywał do spokoju i odradzał wszelki gwałtowny opór. Parę dni przed rozpoczęciem poboru naradzano się u W. Księcia nad sposobem przeprowadzenia onego; generał R.\*) był zdania, że powołanych do wojska należy pisemnie zaważać do stawienia się, lecz Wielopolski sprzeciwiał się temu, il était plus Russe, qu'un général russe; uchwalono więc przedsięwziąć pobór przez niespodziane napadanie na domy i łapanie konskrybowanych czyli raczej proskrybowanych i zrobiono próbę takiego poboru w nocy z 14-go na 15-go stycznia 1863. Porywano dzieci, kaleki, często brata zamiast brata, ojca zamiast syna. Dzień 15-go stycznia był prawdziwym dniem sądnym, matki, żony, ojcowie szukali z płaczem swoich po różnych urzędach, dowiadując się, gdzie są, co się stało z porwanymi, a nie mogąc się nic stanowczego dowiedzieć, wracali do domów załamując ręce. Następných nocy powtarzano te nocne napady i porywano wskazane przez po-

\*) Manuskrypt nieczytelny.

lice o ofiary, które pędzono to na cytadelę, to do innych bezpiecznych miejsc, pakując je tam jak śledzie na kupe, tak że ani usiąść, ani położyć się nie było miejsca — o daniu im pokarmu, lub nawet tylko wody, nie myślano wcale.

Mimo tego bezprawia rząd nie dopiął swego celu; komitet centr. dowiedziawszy się o dniu poboru, przestrzegł skompromitowanych i wyprawił ich z Warszawy w lasy serockie. Lecz cóż było dalej począć? Ze wszystkich stron kraju, gdzie lada noc spodziewano się podobnego jak w Warszawie poboru, donoszono komitetowi, że młodzież ucieka do lasów. 17-go stycznia zebrała się młodzież akademicka na naradę: jeden z członków komitetu, zrzuciwszy incognito i po raz pierwszy jako członek komitetu stawając, zaklinał młodzież by wysłała na prowincję delegatów z poleceniem powstrzymania powstania; zacna ta młodzież usłuchała i rozleciała się po kraju. Wtem ukazuje się urzędowe sprawozdanie o dokonaniem poborze. Znany jest ton tegoż sprawozdania, urągający najświętszym uczuciom narodem, urągający godności człowieczej. Sprawozdanie to przepełniło miarę cierpliwości ludu — przeklinano przewódców, którzy odradzali gwałtowny opór, wołano: zdrada! Korzystając z tego usposobienia ludu, ajenci Mierosławskiego, wiedząc przez swoich, którzy w komitecie centralnym zasiadali, o miejscu, gdzie się tenże zgromadzał i o godzinie na zgromadzenie przeznaczonej, nasłi komitet centr. zbrojno, a rozpędziwszy członków sobie niemiłych, ukonstytuowali ze swoich zwolenników nowy komitet, który okólnikiem na wszystkie strony pod pieczęcią komitetu centr. narodowego rozesłanym, nakazał powstanie ogólne z 22 na 23 stycznia, które też w 11-tu miejscach w oznaczonym dniu wybuchło. Gdy o tem Wielopolskiemu doniesiono, rzekł: „wrzód dojrzał, teraz jest rzeczą żołnierzy wyciąć go“.

Kto miał słuszość? czy ci co odradzali wówczas powstanie, czy ci którzy do powstania poszli bez względu? — skutek powstania okazał; wszakże wszystko na świecie ma tyle rozlicznych stron, że każdy stanowczy sąd jest jednostronną brednią. Mierosławski chciał powstania w skutek umów ze stronnictwem rewolucyjnym europejskim, a w szczególności z Garibaldim zawartych, liczył na rewolucję w Rosyi, która podług twierdzeń Herzena, Bakunina i Ski czekała tylko hasła by powstać,

i runąć jak olbrzymia lawina na caryzm i istniejące pod jego skrzydłami instytucje polityczne, społeczne i religijne; liczył dalej na to, że Garibaldi z jednej a Tür z drugiej strony wpadną do posiadłości austriackich i ubezwładnią to mocarstwo tak, że nie będzie mogło myśleć o niesieniu pomocy Rosji. Uorganizował więc spisek w ziemiach polskich w celu wywołania jak najrychlej ogólnego we wszystkich tych ziemiach powstania. Lecz nie każdy spisek dojrzewa aż do powstania; przeciwnie uczy doświadczenie, że to najrzadziej się dzieje, gdyż w ostatniej chwili zwykle albo przewodzców, albo sprzysiężonych odwaga opuszcza. Wątpić więc można, czy Mierosławskiemu byłoby się udało wywołać tak spieszenie powstanie, zwłaszcza, że cała młodzież wykształceńsza, a nawet znaczna część młodzieży rzemieślniczej, nie mówiąc już o właściwej inteligencji i o klasie posiadaczy ziemskich, bezwzględnemu powstaniu była przeciwna. Pomógł więc Mierosławskiemu rząd rosyjski, obydwom należy się palma, chociaż temu ostatniemu niezaprzeczenie w daleko wyższym stopniu. Czy wszakże mimo usiłowań Mierosławskiego i rządu rosyjskiego do powstania byłoby przyszło, bez tego ludności warszawskiej usposobienia, w jakie go trzydziestoletni despotyzm wprowadził, wolno każdemu wątpić, kto nie przestał wierzyć, że człowiek jest obdarzony rozumem. Powstanie wybuchło bez najmniejszego przygotowania do prowadzenia walki, nie sprowadzono ani jednego karabina, nie przyrządzono jednego naboju, nie pomyślano o dowódcach, ani o żadnej rzeczy niezbędnie potrzebnej do rozpoczęcia walki orężnej i mimo to nakazano ogólne powstanie. Coś podobnego tylko młodzież warszawska zdziałać mogła, i gdybym się jej nie był przypatrzył w więzieniu, nakazanie powstania na 23-go stycznia byłoby zostało dla mnie wieczną zagadką. Osobliwsza to też była ta warszawska młodzież! „Z twarzą okwitłą, zwiędłą przedwcześnie, zmęczona; w oczach płonie reszta ognia niedogorzałego w piersi, z czoła nie patrzą sny młodzieńcze, z ust nie uśmiecha się nadzieja, w mowie i w obejściu niema tej szczeroci jaka znamienuje młodość, a szczególnie młodość Polaka. Na sfałdowanym czole ucisk napisał zemstę, despotyzm wyrzył wyrok śmierci, niewola nagięła do chytryści i niedowierzania. Jest tam bohaterstwo, ale niespokojne, namiętne, dopraszające się oręża, walki i zgonu.



Gdy się do ciebie zbliżają, czujesz, że wieje od nich chłodem konania i bucha gorączką męczeństwa. Jest tam egzaltacya, ale egzaltacya zemsty. Męczarnie zagłuszyły w nich poczucie prawdy, są szaleni boleścią. Płomienia tam dojść, ale tylko płomienia, rzucić nań garść słomy, buchnie ogień wielki i spłonie.

Żelazny despotyzm rządów zламаł całe pokolenie, a trucizna demoralizacyi, którą systematycznie szerzył, wsiąkła powoli w jego żyły. Jest więc gorączka, niema hartu — jest płochość i zarozumiałość olbrzymia — są talenta ale w pieluchach, bo ich nie rozwinęło wychowanie, bo je zdusiła ciemnota; pół-oskrobani, niedouczeni samouki, gorączkę biorą za energię, szaloną chęć zemsty za patryotyzm. Do ołtarza ofiary trzeba iść ludziom czystym, świętym, obłeczonym w szaty białe i obmytym w wodzie życiodawczej zaparcia się; do ofiarnictwa za ojczyznę potrzeba kapłanów, a pokolenie to co najwięcej mogło wydać chłopców do trybularza. Szał jest doskonały do roboty trwającej 24 godzin, ale gdzie się na dłuższą zanosi pracę, tam trzeba czegoś więcej — rozumu, a tego im wychowanie moskiewskie dać nie mogło. Na polskiej płonące wychowanie Muchanowa zaszczerpiło moskiewską latorośl rewolucyjną. Młodzież z Kongresówki, a szczególnie z Warszawy jest moskiewską, nie wiedząc o tem. Mówią i czynią przez nią Herceny, Bakuniny. Ucisk wywołał oburzenie, a tchórzliwe, nędzne wychowanie zrodziło ślepotę. Dzieci żałoby, potomkowie ucisku i grzechu, przeznaczeni byli na zgon, bo rozjątrzeni a ślepi“.

Trzeba było takiej młodzieży, by teorye Mierosławskiego przyjąć się i plon wydać mogły. Moskal dostarczał sztucznego ciepła, by plon dojrzał, i Moskal też plon zebrał! Niwa po zbiorze wygląda pusto i smutno, żniwiarze bankrutują, a gdzieś siewacze? — po większej części uciekli zawczasu, by z bezpiecznej kryjówki sycząc „obryzgiwać jadem tych, którzy nieszczęsnej tej siebie przeszkodzić chcieli“.

Na tem kończę. Samego powstania opisać nie mam odwagi. Nie tak to też łatwe zadanie. Tam w jednej organizacyi, w jednych szeregach stali ludzie z krzyżem na piersi i ludzie ze sztyletem w zanadrzu, pobożni i niedowiarki, rewolucyoniści i feudałiści, katolicy i żydzi, prawosławni i ultramontani, demokraci i arystokraci. Dopóki gorączka trwała, łączyły się wszystkie dło-

nie, wszystkie serca we wspólnej miłości ojczyzny. Gdy gorączka ustała, a straszna rzeczywistość przed oczy stanęła, zaczęły się kłótnie, w których jedni drugim winę złego prowadzenia się przypisywali, kłótnie tem smutniejsze, że nie zaradzając złemu które się stało, powaśniły tylko dawnych przyjaciół i pojedyncze części społeczności, a nawet między pojedyncze prowincje polskie niesmak rzuciły. Pomnąc na to, myśli cisną się tłumnie i goręją jak owe płomyki nocne w obłęd ciągnące podróżnych, ale gdy przyjdzie ująć je, oblec myśl ciałem, świat, boleść, gniew, zniechęcenie, odciągają. Napróżno postanawiasz ludzi brać takimi jak są, zawsze jeszcze chce się mieć w nich swe ideały, a serce ściska się od bólu, ile razy anioły zmieniają się w kościotrupy. Szyderstwo wybiega na usta, a łzy mimo to cisną się do oczu i — rzucasz pióro.

*W więzieniu dnia 25. maja 1865 r.*

## II.

Tyle fałszów rozsiano o zachowaniu się Galicyi podczas ostatniego powstania, że mimo postanowienia nieruszania tej nieszczęsnej sprawy, widzę się zmuszonym w interesie prawdy, zapoznanej przez jednych, a skrzywionej przez drugich, opisać odnoszące się do powstania czynności w tej części Galicyi, którą nazywają wschodnią, o ile biorąc tu udział w tych czynnościach, mogę o nich mieć wiadomość.

Pierwsza wieść o wybuchnąć mającem powstaniu nadeszła do Lwowa 22-go stycznia 1863 r., a więc w ten sam dzień na który wybuch był naznaczony. Wieść tę otrzymała „**Główna Ława**“ tutejsza od „**Rady galicyjskiej**“ w Krakowie z rozkazem wysłania swych ludzi natychmiast do Kongresówki. Gdy Ławie głównej powstanie przedstawiano dotąd tylko w oddaleniu, a nawet dwa dni przed tem polecono jej, aby się wstrzymała od wszelkich czynności do powstania prowadzących, łatwo więc pojąć, że rozkaz ów Rady galicyjskiej sprawił w Ławie nie małe zdumienie, tembardziej, gdy Radzie galicyjskiej wiadomem było, że Ława zacząwszy się dopiero organizować, nie tylko nie miała żadnych zapasów wojennych, ale nawet pieniędzy do kupienia choćby kilku karabinów nie posiadała, a więc wysłać spiskowych do powstania w tej chwili, jak było żądano, nie mogła. Zaczęto

nawet podejrywać, czy ów rozkaz Rady galicyjskiej nie jest sfałszowanym, wiedzano bowiem, że istnieje organizacja bezwarunkowo rewolucyjna, nie było też nikomu tajemem, że stronnictwo Mierosławskiego w środkach nie przebiera.

W niepewności co począć, zapytał mię Romanowski, pisarz tutejszej głównej Ławy o radę, co nie naruszając złożonej przysięgi mógł uczynić, wiedząc, że mi Rada galicyjska ufa, skoro mi pełnomocnictwo do nieograniczonego zarządu organizacją Ławy ofiarowała. Wyrozumiawszy jak rzeczy stoją, radziłem Romanowskiemu, aby nie udzielając tego rozkazu podwładnym, udał się natychmiast do Krakowa, celem dowiedzenia się prawdy u samego źródła, co też Romanowski uczynił, otrzymawszy odemnie fundusz na drogę, gdyż w kasie Ławy nawet na to pieniędzy nie było.

Na drugi dzień wrócił Romanowski z Krakowa i wprost z dworca kolei przyszedł do mnie. Był oburzonym do najwyższego stopnia, bowiem zamiast mężów, jakich sobie wyobrażał w Radzie galicyjskiej, przyjęły go jakieś dziwnie egzaltowane kobiety, ściskające go ze łzami, a widzące już zwycięstwo, ponieważ duchy im to objawiły; a gdy oszołomiony tem przyjęciem, stanął przed właściwą Radą galicyjską, tak jej widokiem i mową został rozczarowany, że złożwszy na stół otrzymany rozkaz, oświadczył: iż go nie usłucha, i na widoczną zgubę kolegów swych nie poprowadzi. Z tem postanowieniem wrócił do Lwowa, a dowiedziawszy się odemnie, że wysłano umyślnego na granicę lubelską, aby dostać języka, tudzież, że się zawiązał komitet celem wspierania powstania, jeśli powstanie istotnie wybuchło, z postanowieniem wstrzymania młodzieży aż do nadejścia bliższych wiadomości o powstaniu i niewyprawianiu jej do boju, póki nie zostanie zaopatrzoną w broń i odpowiednie odzienie.

Tymczasem Wodyński, słuchacz techniki, członek Ławy głównej, a skryty zwolennik stronnictwa Mierosławskiego, korzystając z nieobecności Romanowskiego, który odjeżdżając zdał był na niego rządy Ławy, ogłosił setnikom rozkaz Rady gal. i polecił im, aby z ludźmi swymi gotowali się do wymarszu. Wodza naczelnego tej ekspedycyi, którym z nominacyi Mierosławskiego jako dyktatora, miał być Czarnecki, jako wojewoda ziem ruskich, nie wymieniano młodzieży, w słusznej obawie, że nie pójdzie pod

Czarneckim, o którym tyle tylko wiadano, że służył przez kilka lat jako kadet przy huzarach austr., a potem, gdy z kurateli wypuszczony, z wojska wystąpił, ożenił się z kobietą takiej przesiłości, iż nawet młodzież nie bardzo ścisłych obyczajów, lecz dbająca o jaką taką reputacyę, domu jego unikała.

Zakipiła między pocziwą młodzieżą tak akademicką, jako też rzemieślniczą; z grona sprzysiężonych wionął zapał na resztę młodzieży, tem łacniej, gdy ludzie starsi jak Niedźwiecki, Grochowalski, Rucki, Brzozowski, Dobrzański dosadzali ognia, a ten ostatni w Gazecie narod. o powstaniu mas i kilkudziesięciu tysięcy oddziałach włościan pod Tomaszowem etc. donosić zaczął.

Przy takim usposobieniu młodzieży, perswazye Romanowskiego nie mogły skutkować; a chociaż wiadomości z nad granicy lubelskiej nadeszły, nie potwierdzały szerzonych przez Dobrzańskiego baśni, których mu niejaki Krzycki, miosrosławszczyk, zbankrutowany szlachcic z Lubelskiego, kryjący się od roku w Żółkiewskim, dostarczał, chociaż wysłanej do koła posłów polskich deputacyi młodzieży, zgromadzeni w mieszkaniu Alex. Dzied. posłowie i inni obywatele (między którymi znajdował się także b. Wojsk pols. major Żurakowski, ceniony przez młodzież weteran) oświadczyli: że skoro się wieść o powstaniu potwierdzi, oni młodzież uzbroją i wyślą; nic to nie pomogło: przysięgliście, powiedziano im, powinniście słuchać gdy władza rozkazuje; gdy o broń pytali, odpowiedziano im: znajdziecie ją na granicy. Zdecydowano więc słuchać, a tymczasem setnik Pawłowicz zaczął w kawiarni Józia a potem w oberzy „pod Tygrysem“ werbować dalszych ochotników do przedsięwzięć się mającej wyprawy. Główną kwaterą Czarneckiego była kawiarnia Józia (Müllera), a w niej rej wodzili Dobrzański i Brzozowski. Dobrzańskiemu, Czarnecki pożyczył był pieniądze na kaucyę Gazety narodowej pod warunkiem, że mu będzie służył; już przed wybuchem powstania groził mu Czarnecki kilka razy zaskarżeniem wekslu, ile razy Gazeta narodowa odważyła się choćby półsłówkiem przeciw planom stronnictwa miosrosławskiego wystąpić; z wybuchem powstania Gazeta narodowa, jako jedyny podówczas dziennik polityczny, spodziewała się nadto złotego żniwa; Dobrzański więc chcąc zebrać to żniwo, musiał

nie tylko unikać niezadowolenia Czarneckiego, mogącego nadzieje te zniszczyć pozwem wekslowym, lecz nawet uprzedzać życzenia swego wierzyciela, tem bardziej, gdy temuż i najwyższa władza rewolucyjna w udziale przypadła. Co się zaś tyczy Brzozowskiego, był to zdzięcinniały starzec-fanatyk, który we wszystkich dotychczasowych demonstracjach najgorętszy brał udział, i właśnie dla tego, że wzrostem okazały a siwiuteńki jak gołąb, dużą, białą jak śnieg brodą z daleka już znaczny, cierpiała go policya chociaż był wychodźcą z Rosyi: czem jest wielka szynkownia dla pijaka, tem był Brzozowski dla agentów policyi; gdzie był Brzozowski, tam pewnie młodzież coś knuła, tam było żniwo dla szpiegów. Brzozowski ten, imieniem Baltazar, ożeniwszy się po powstaniu 1830 r. z majątną osobą na Wołyniu, żył sobie jak żyje tysiąc innych ludzi, aż mu na starość pukające stoliki zawróciły głowę. Panna Batharyn, rozmawiająca z duchami za pomocą stolika, objawiła mu podczas wojny krymskiej, że przeznaczonym jest do wprowadzenia w zabranę kraje wojsk nam sprzymierzonych; posłuszny Brzozowski, porzuca żonę, dzieci, majątek i przybywa do Galicyi, aby austryackiem wojskom służyć jako przewodnik, gdy będą wkraczać do krajów zabranych. Po zawarciu pokoju paryskiego, austryackie władze, które dotąd cierpiały Brzozowskiego w Tarnopolu, zaczęły go pędzić na miejsce urodzenia, gdzie tenże nie miał już co robić, gdyż Nowiki, miejsce urodzenia i własność niegdyś rodziców jego, dawno już były sprzedane; chciał więc wrócić do kraju, — w tem trudnem położeniu znalazł schronienie w domu Jaźwińskiego i tamże, mimo że policya ciągle go niby wypędzała, doczekał się epoki naszych demonstracyi i następnego powstania, w której odegrał swą rolę, siedzi sobie teraz spokojnie w kraju, narzekając na „białych“.

Kiedym się już rozpisał o Brzozowskim, muszę nie chcąc, nikomu ubliżyć, wspomnieć nieco więcej także o Grochowalskim, Niedźwieckim i Ruckim. Grochowalski był w akademii inżynierów w Wiedniu, w owym czasie, kiedy to Skolimowskiego Sylwerego i innych Polaków, z powodu wykrytego jakiegoś spisku z akademii wypędzono i zesłano za karę do wojska na szeregowców. Wieść niosła, że spiskowych owych zdradził Grochowalski. Co się potem z nim działo, nie wiem, podczas wojny

węgierskiej, służył pod Wysockim, który jego zdolności strategiczne wysoko cenił; co robił po obaleniu powstania węgierskiego także nie wiadomo; w ostatnich latach przed powstaniem styczniowym, osiadł we Lwowie jako budowniczy i inżynier prywatny. — Zagrzewając drugich do powstania i sarkając na innych, że nie dość energicznie wspierają powstanie, sam, chociaż wojskowy i w sile wieku, do powstania nie poszedł...

Niedźwiecki, vulgo Kulas, posiadał jakąś część w Złoczowskim. Przehulawszy ją, siedział w Złoczowie, bawiąc się pieczeniactwem, plotkami i od czasu do czasu lichymi korespondencyami do „Przeglądu powszechnego“, a potem do „Gazety Narodowej“. Wydał on także powieść „obrazy Holbeina“, a przeniósłszy się w ostatnich czasach przed wybuchem powstania styczniowego do Lwowa, przyłączył do Czarneckiego i stał się nieodłącznym jego towarzyszem. Do powstania, jako ułomny, nie poszedł, lecz układał materiały do historii tego powstania, za które to pismo, u niego przez policję znalezione, oddany został w ręce sądu, jako posądzony o zbrodnię zdrady stanu, a chociaż prócz tego poszlaku wskazującego, że był wtajemniczony w knowanie stronnictwa Mierosławskiego przeciw Austrii, znalazło się jego imię także między papierami Kurzyny wymienione, jako jednego z członków komitetu tutejszego rewolucyjnego, sąd karny uwolnił go z braku istoty czynu! — ~~Do Ruckim~~ z dawniejszych czasów tyle wiadomo, że po wypadkach r. 1846 przyszedł do jednego dworu w stryjskim, jako głuchoniemy, prześladowany z powodu owych wypadków i znalazłszy tam przytułek, przetrwawszy najrozmaitsze próby, na jakie go (nie dowierając jego ułomności) wystawiono, przebywał jako głuchoniemy przez lat dwa. W r. 1849 nareszcie zażądał, by go wyprawiono do Węgier, gdyż chciał walczyć w formującym się legionie polskim; dano mu bryczkę i odwieziono go na granicę węgierską, na miejsce, na które żądał; tam wysiadłszy z bryczki i zabrawszy swe manatki, przemówił do woźnicy: „Kłaniaj się panu Pietruskiemu“. Woźnica przestraszony, że niemy przemówił, otworzył usta, a gdy Rucki znikł w zaroślach, przeżegnawszy się, wrócił do domu i opowiedział ten wypadek, któremu wszakże nikt wierzyć nie chciał. Podczas kampanii węgierskiej służył Rucki pod Bemem, potem był czas jakiś zagranicą (gdzie? nie wiedzieć),

nareszcie wrócił podobno w r. 1860 do kraju i zaczął wydawać pamiętniki kampanii w Siedmiogrodzie. Z Czarnieckim nie poszedł, wybierał się potem do oddziału Czechowskiego i dostawszy pieniądze na wyekwipowanie się, jakoś się spóźnił — później utworzył oddział osobny, który unikając Moskali, jak djabeł święconej wody i odmawiając pomocy wszelkiej innym oddziałom, zagrożonym przez Moskali, dość długo się trzymał, aż nareszcie Rucki z powodu słabości wrócił do Galicji, rozpuściwszy oddział.

Podczas gdy to stronnictwo Miosroszewskiego, nie przebiegając w środkach, przez młodzież do powstania, inni ludzie nie należący do tego stronnictwa, lecz jedni chcąc pozorem gorącego patriotyzmu nadszarpaną połatać sławę, inni zapoznaną wedle ich zdania własną wielkość, na przynależny wynieść piedestał, inni goniąc po prostu za popularnością między kawiarnianą gawiedzią — układają adres do sejmu z żądaniem manifestu do Europy za powstającą Polską. Autorami tego adresu mieli być Pol i Kaczkowski, wiadomość zaś o gotującym się adresie przyniósł do koła posłów polskich pan Rogawski, radząc by nie czekać adresu, któryby sejmowi powinnośc jego przypomniat, lecz z własnej inicjatywy „coś“ wznieść do sejmu i „coś“ na na sejmie uchwalić. Krew gorzała we wszystkich — każdy radby był widziać, by Sejm coś uczynił dla sprawy narodowej — ale cóż ten biedny sejm, złożony w większej połowie z elementów albo nie pojmujących sprawy polskiej, jak wieśniacy mazurscy, albo wręcz przeciwnych, jak księża unicycy i wieśniacy ruscy — cóż ten sejm mógł uczynić dla sprawy polskiej? Na pierwszy głos przemawiający za sprawą polską, Rusini byliby zanegowali Polskę. Nie byłoby to większą klęską dla sprawy polskiej, niż zupełne o tej sprawie milczenie Sejmu? Cóż zresztą sejm ten miał postanowić? czy miał prosić cesarza austriackiego, aby wsparł powstanie polskie? Ależ cesarz austriacki jako jedna z potęg, co Polskę rozszarpały, tegoby nie uczynił, a sejm od wroga sprawy polskiej, pomocy dla tej sprawy zebrać nie mógł bez uwłaszczenia i swojej godności i teje sprawie. Czy miał nakazać pospolite ruszenie? ależ takiemu uchwaleniu rząd nie dałby sankcyi; a bez sankcyi, uchwały sejmu niktby nie posłuchał. Nakoniec i ta zachodziła trudność, że marszałkowi służy

wedle statutu krajowego prawo, a nawet włożono nań obowiązek, niedopuszczania rozpraw nad przedmiotem nie należącym do zakresu czynności sejmowych; sprawa zaś powstania polskiego nie należy do tego zakresu; na nic by się więc nie przydał ani adres, ani żaden w tej sprawie wniosek, bo marszałek nie dopuściłby nawet ich odczytania, a tem mniej rozprawy i uchwały nad jednym lub drugim. Po zimniejszym przeto zastanowieniu się, przemogło zdanie, że zupełne o tej sprawie milczenie w sejmie, najlepiej odpowie godności narodowej; gdy nie można uczynić tego, coby wypadało, milczenie nie kompromitując sprawy, jest jedynem wyjściem.

Było wszakże kilku posłów, których uwagi te nie przekonywały. Rogawski, ongi sekretarz dyrektora Tysowskiego, nadmienając coś, że „patryoci“ postanowili powybić okna w sali obrad sejmowych i insultować posłów, gdyby sprawę powstania milczeniem puszczono, starał się strachem wpłynąć na zapatrujących się na tę rzecz inaczej kolegów; Lipczyński, nowo wybrany pod wpływem Mierosławczyków i austr. rządu przeciw Chrzanowskiemu Leonowi, poseł krakowski, chcąc jako nieznanzy dotąd w kraju, zmyć z siebie zarzut, że musi być figurą rządową, skoro rząd na jego wybór wpływał, bronił uporczywie, że Sejm coś zrobić powinien; nareszcie Leszek Borkowski, przez zbyteczny nałóg do oryginalności oświadczył, iż cokolwiekby postanowiło koło posłów polskich, on wzniesie na najbliższem posiedzeniu sejmowem projekt adresu do najjaśniejszego Pana z prośbą o zwołanie kongresu ludów europejskich celem załatwienia sprawy polskiej, a gdyby się ten wniosek nie utrzymał, zażąda by sejm uchwalił uzbrojenie i wysłanie do Kongresówki 50.000-cznej armii. Zważywszy, że w r. 1848, gdy po wypadkach marcowych deputacya galicyjska radziła nad tem, coby w adresie żądać od cesarza, znany z excentryczności adwokat Malisz, przezwany przez Wiedeńczyków „das auf Kreutz geschlagene Polen“ (ukrzyżowana Polska) domagał się także, i to na klęczkach, umieszczenia w adresie prośby o zwołanie Kongresu ludów; zważywszy dalej, że uzbrojenie 50.000 armii przez sejm było rzeczą czysto niemożliwą, każdy spostrzeże, że Borkowski sobie żartował z tych panów, którzy się domagali, by Sejm coś uczynił. Mimo to książę Leon Sapieha, marszałek sejmu, dowiedziawszy się, że w kole posłów



polskich radzono o jakichś adresach i wnioskach, dotyczących powstania, odroczył sejm na trzy dni, podczas których jak się zdaje, doniesiono o tem co się święci do Wiednia, skąd nadeszło natychmiast odroczenie sejm, o czem posłów każdego z osobna zawiadomiono, aby się tem bezpieczniej od obawianej „bomby“ ochronić.

Tymczasem nadeszły bliższe trochę wiadomości z Kongresówki. Młodzież, która się obawiała rekrutacji a raczej proskrypcji przez Wielopolskiego zarządzonej, uciekła z Warszawy i innych miast Kongresówki w lasy, i zajęła kilka miasteczek, w których prócz objeszczyków, nie było załogi. Oto wszystko cośmy wiedzieli. Czy do tej młodzieży inna się łączy ludność, lub nie? jak się zachowuje lud wiejski? o tem najsprzeczniejse były doniesienia. Z Sandomierskiego i Lubelskiego nadeszły wieści, że chłopci łapią i odstawiają do urzędu, jeśli kogo podejrzanego spotkają; z pod Józefowa, jednego z miejsc zbornych, przybył ktoś z wiadomością, że tam ledwie kilkunastu młodych ludzi na wyznaczony dzień stanęło, a nie zastawszy ani dowódczy, ani broni, rozeszli się; z Tomaszowa znów przybył jakiś starozakonny z paszportem wizowanym przez naczelnika narodowego de Valois. W Warszawie było spokojnie. Przewidzieć coś z jakim takim prawdopodobieństwem było niepodobnem. Jeśli młodzież, która poszła w lasy znajdzie tam broń i dowódców, a współdział u reszty ludności, to będzie powstanie; w przeciwnym razie bezbronni będą pochwyceni albo schronią się do Galicyi. Jeśli to będzie powstanie, to trzeba je wspierać, jeśli tylko emigracya uciekającej przed proskrypcją młodzieży, to trzeba ją żałować.

Już 18 grudnia 1862 r. nastąpiło było pojednanie między Smolką i Sapiehą, i postanowiono zawiązać organizacyę, na podstawach z Jürgensem umówionych; a gdy 12 stycznia 1863 r. miał się sejm zebrać, uradzono za przyjazdem posłów ukonstytuować tę organizacyę. Jakoż zaraz po przybyciu posłów na sejm, zeszlśmy się: ja, Smółka, Sapieha, Dzieduszycki i ukonstytuowaliśmy się w komitet, dawszy sobie nawzajem słowo, że ktoby z nas w sprawie narodowej poważył się iść odtąd samopas, lub działać pokątnie na własną rękę, nie wystąpiwszy wprzód z komitetu, ten skoroby mu to zostało udowodnionem, ma na zawsze rzec się wszelkiego w sprawach publicznych

udziału i stać się politycznie zmarłym, lub też gdyby wołał,  
życie sobie odebrać.

Teraz szło o przybranie piątego członka, aby ostatecznie ułożyć program i wziąć się do czynu. Wysondowawszy posłów z Galicyi zachodniej, przekonaliśmy się, że tam nie ma ani jednego człowieka, który opierając się na opinii publicznej, mógłby stać na czele i znaleźć posłuch; uradziliśmy więc z Baumem, Benoem i T. Skrzyńskim, których w plan nasz wtajemniczyliśmy, aby na podstawie, tamże dość popularnej organizacji Towarzystwa rolniczego, wybrano trzech ludzi zaufania ogólnego, którzyby w sprawach miejscowych byli komitetem dla Galicyi zachodniej, tak jak my, z przybrać się mającym piątym członkiem z tutejszych stron, komitetem dla Galicyi wschodniej; w sprawach zaś ogólnych, obydwa te komitety miały stanowić jedno ciało i wspólnie się naradzać. Uradziliśmy dalej, że komitet — aby zapobiedz niedogodnościom, jakie wyniknąć muszą, jeśliby do ciała tajnie działać mającego, członkowie przez wybory wchodzili — będzie się sam uzupełniał i podwładnych z góry mianował, nadając tymże moc dobierania sobie pomocników. Postanowiliśmy bowiem ustanowić w każdym obwodzie naczelnika, który wedle potrzeby miał sobie ustanowić pomocników czy powiatami, czy innym jakim trybem.

Gdy skutek tych postanowień zaczęliśmy się znośić z ludźmi wpływowymi celem skompletowania komitetu i wybrania naczelników na obwody, zaskoczyła nas wieść o wybuchu powstania w Kongresówce. Sprawdziwszy, o ile się to dało, stan tego powstania, postanowiliśmy na wszelki wypadek zawiesić na teraz prace organiczne, a wziąć się natychmiast do zebrania pieniędzy, które wedle okoliczności nastąpić mogących, miały być użyte na popieranie powstania, lub na wsparcie emigracyi. Zamianowawszy więc naczelnikami obwodowymi: Skolimowskiego Tadeusza na lwowski, Jankę Henryka na samborski, Polanowskiego Stanisława na żółkiewski, Hubickiego Karola na złoczowski, Bocheńskiego Alojzego na brzeżański, Kunaszowskiego Macieja na stryjski, Bawarowskiego Włodzimierza na tarnopolski, Dzeduszyckiego Władysława na stanisławowski, Wybranowskiego Leoncyusza na czortkowski, Golejewskiego Antoniego na kolomyjski, Sapięże zaś obwody przemyjski i sa-

nocki zostawiwszy, ile że w obwodach tych na prędcę nikogo zdolnego na naczelnika znaleźć nie mogliśmy, podzieliliśmy między siebie obwody w ten sposób, że Sapięha miał zawiadywać przemyskim, sanockim i żółkiewskim, Smolka lwowskim, stryjskim i tarnopolskim, Dzieduszycki czortkowskim, kołomyjskim, i stanisławowskim, ja zaś samborskim, brzeżańskim i złoczowskim. Każdy z nas zawiadomił dotyczących naczelników o zawiązaniu się komitetu i o celu organizacji i ofiarowanych im urzędach. Przyjęli wszyscy, wyjąwszy Golejewskiego, który nazwawszy całą tę zamyśloną organizację grupstwem, oświadczył, że w kołomyjskim i w stanisławowskim bez niego nic nie zdziałamy, on planom naszym zupełnie jest przeciwnym.

Gdy to się dzieje, nadszedł reskrypt cesarski odraczający sejm, z czego prawdę mówiąc, byliśmy kontenci, chcąc bowiem, by cel przez nas zamierzony o ile możności jak najlepiej był osiągnięty, pomianowaliśmy naczelnikami prawie samych posłów tychże obwodów, jako ludzi niewątpliwego zaufania i publicznej powagi, tak więc wskutek odroczenia sejmu, mogli zamianowani naczelnicy zająć się organizacją swoich obwodów i zbieraniem ofiary, którą na teraz na 10% istniejących podatków rządowych wyznaczono, i jak najspieszniej wybrać i do komitetu odesłać polecono.

Tym sposobem upłynął tydzień od chwili, gdyśmy się o powstaniu dowiedzieli. 29-go stycznia nakazano młodzieży zwerbowanej gotowość do wymarszu. Broni nikt nie miał; tę wedle zapewnienia starszyny mieli dostać na granicy, lecz i odzieży odpowiedniej nikt prawie nie posiadał. Złota nasza młodzież nie myślała o tem, że to styczeń, że idzie w lasy na partyzantkę, że miejskie buciki pierwszego dnia się rozleca, a wiatrem podszyte czamarki od śniegawiny nie ochronią, powiedziano jej, że znajdzie broń na Moskała, to dla niej wystarczyło. Przeworniejsi wszakże pomyśleli także o potrzebie grubszych butów i cieplejszej odzieży; lecz skąd wziąć? W kasie Ławy było wszystkiego 104 zr., które postanowiono użyć na najęcie fur; sprzedawali biedacy co mogli, by kupić parę juchtowych butów, lub jaką burczynę; lecz byli i tacy, którzy nawet sprzedać nic nie mogli. Dowiedziawszy się o tem, wysłałem żonę z kwestą po znajomych nam domach, uzbierała 197 złr., z tych dałem czeladnikowi

10%

1873!

1 /  
6 9  
!!  
! ?

krawieckiemu Niemczanowskiemu 100 zł., resztę zaś przez Stanisława Matkowskiego, Cieszewskiemu, aby najpotrzebniejszych zaopatrzyli przynajmniej w buty. Wówczas to ktoś z młodzieży był u Smolki, wystawiając mu smutny stan tych, którzy wyruszać mają, że z zimna poginą, nim do granicy dojdą — a Smolka miał powiedzieć: „Wolę niech z zimna zgina, niż żebym się miał czemkolwiek przyczynić do ich wyprawienia”. Przytaczam tę okoliczność li dlatego, ponieważ z tej odpowiedzi Smolki urósł zarzut czyniony całemu komitetowi, jakoby nie tylko nie wspierał powstania, ale wszelkimi sposobami, mianowicie wykupywaniem po bajecznych cenach prochu etc. powstaniu przeszkadzał. Prawda, że komitet nieraz bajeczne ceny płacił za proch, bo pan August Łoś zapłacił w Wiedniu 200 złr. za proch, który gdy nadszedł ważył 10 funtów, a pan Bałutowski, który gwałtem komitetowi nastęrczał się do kupna prochu, dostawił za czterysta kilkadziesiąt złr., kilka beczulek prochu; Piotr Gross zaś wysłany do Pragi za bronią i prochem, złożył tamtejszemu komitetowi ku wsparcia powstania polskiego 10.000 złr., za które otrzymaliśmy 70 sztuk rozmaitej starej strzelby i jeden czy dwa centnary prochu. Prawda więc, że komitet z początku, nim się utarła droga, przepłacał proch, lecz nie dlatego, by go wykupić, ale w goracej chęci dostarczenia go powstaniu, choćby z największymi ofiarami.

30/1 1863

30-go stycznia wyprawiano roгатką Żółkiewską pierwszą setnię ku granicy Lubelskiej; miasto stu ludzi, odjechało czterdziestu kilku, udając się ku Tomaszowowi. 31 stycznia odszedł w tym samym kierunku oddziałek składający się z 30tu czy 40tu ludzi miasto stu. 1-go lutego pan Czarnecki w białej konfederacji z czarnym barankiem, w białej czamarze i czerwonych, szerokich szarawarach, z adjutantem Zubińskim, wsiedli w biały dzień na wyladowaną bryczkę, zaprzężoną trzema końmi, z których jeden okulbaczony i udali się ku Żółkwi; wieczorem tegoż dnia, miał wyjść trzeci i ostatni oddziałek pod dowództwem Romanowskiego, który aczkolwiek był przeciwny tej wyprawie, szedł dzielić los z kolegami, od których jako ławników, odebrał był przysięgę posłuszeństwa władzy spiskowej. Około 6-tej wieczorem powstał przed oberżą „pod Tygrysem“, gdzie Pawlewicz przy otwartych drzwiach jeszcze werbował, zgiełk między werbującymi się; nadszedł patrol z policją i uwięził Pawlewicza

na gorącym uczynku, którego nawiasem powiedziawszy wkrótce wolno puszczono, chociaż Pawłowski gimnazysta, który później także za werbunek uwięziony został, 28 miesięcy w więzieniu wojskowym wysiedział. Aresztowanie Pawlewicza, dziś jawnego już Ś-to Jurcy, było pierwszym wdaniem się władzy w jawne agitacye stronnictwa Czarneckiego, którym dotąd najmniejszej przeszkody nie stawiano. W nocy przeszedł oddziałik Romanowskiego, składający się z 40 do 50 ludzi, szczęśliwie rogiatkę Żółkiewską i udał się na przygotowanych furach do Artasowa. Lecz w trop za oddziałem pojechał komisarz policyi z poleceniem przyaresztowania tego oddziału; dało mi o tem znać po północy dwóch jakichś nieznanomych młodych ludzi, z których jeden zaprezentował się jako Reinberger, kuzyn Zarzyckiego, prosząc bym ratował Romanowskiego; dałem im pieniądze, polecając, by nie szczedząc takowych, najęli koni i lecieli do Artasowa, starając się wyprzedzić komisarza policyi. Uczynili co mogli, lecz nim stanęli w Artasowie, już cały oddziałik Romanowskiego i on z nim pod eskortą, jako więźnie wracali do Lwowa. Gdy przyjechali, Hr. Mensdorff posłał dla nich 50 złr na cygara, po czteru tygodniach wypuszczono ich wszystkich na wolność...

Uwięzienie tego oddziałiku ostudziło chętkę dalszego wycieczki; nikt już więcej nie udał się za Czarneckim pod Tomaszów. Zawsze jednak zgromadził pan Wojewoda ruski na granicy stu kilkunastu ochotników, którym rozdawszy trochę zakopanej tam strzelby i kos, notabene: nie tylko nie osadzonych, ale nawet do osadzenia nie urządzonych, przeszedł granicę i stanął niedaleko Tomaszowa, w głównej swej kwaterze przez Krzyckiego w lesie, w jakiejś karczmie przygotowanej, rozlokowawszy biedną, przemokłą i zziębniętą młodzież naokoło karczmy, na lutowej szarudze. Zabawiając się ze sztabem karteczkami, a ogrzewając czajem, podczas gdy młodzież pod kierunkiem pijanego Trylowskiego, ex porucznika austr. na rozmokłem od deszczu śniegu, w ruchach wojennych się ćwiczyła. Pan Wojewoda posłał jednego z adjutantów na zwiady do Tomaszowa. Tam stał w kilkadziesiąt bezbronnych powstańców pan de Valois, naczelnik siły zbrojnej województwa Lubelskiego, przez komitet centralny na tę godność powołany. Dowiedziawszy się o przybyciu oddziału na ziemię Lubelską, pan naczelnik żądał, by się oddział

ten stawiał pod jego rozkazy; Czarnecki na to odpowiedział, że jako Wojewoda ziem ruskich, do których także Lubelskie należy, dzierżący tę władzę od Dyktatora, ma pierwszeństwo przed naczelnikiem de Valois i nie pójdzie pod jego rozkazy. Podczas tych układów, na których dwa dni spelzło, napadł oddział rosyjskich obeszczyków na Tomaszów, spędził powstańców, a Tomaszów spalił i zrabował, czemu wszystkiemu pan Wojewoda przypatrywał się najspokojniej, chociaż nieliczne, a po rabunku pijane, zataczające się żoldactwo rosyjskie, przy pomocy kilkunastu ludzi mógł być rozbroić i zabrać do nogi. Na drugi dzień po rabunku Tomaszowa, dał ktoś znać do głównej kwatery pana Wojewody, że Moskale ciągną: zwołano radę wojenną i uchwalono wrócić do Galicyi, co też nastąpiło...

Tak się skończyła wyprawa pana Czarneckiego, która dając jakby hasło do późniejszych sporów rywalizacji dowódców, a przykład uciekinierstwa, zdemoralizował młodzież i kraj cały na samym zaraz wstępie. W powstaniu bowiem od udania się, lub nie udania pierwszego przedsięwzięcia prawie wszystko zależy. Z wracających z tej ekspedycyi, niektórzy zostali uwięzieni i potem razem z oddziałem Romanowskiego, na wolność puszczeni; większa zaś część przyszła nie nagabywana do domu rząd bowiem nikogo, kto mu sam nie włożył w ręce, za udział w tej ekspedycyi nie aresztował. Sam pan Czarnecki udał się do Krakowa i tam chociaż potem kilkanaście oddziałów wyszło do Kongresówki, przesiedział obok pana Dyktatora Mierostawskiego, aż go w czerwcu z powodu znalezionych przy śpiącym w fotelu Kurzynie papierów, aresztowano i po całorocznem śledztwie, za zbrodnię zdrady stanu, na 10 lat więzienia skazano. Pan de Valois schronił się także do Galicyi i tu dostał się do więzienia, w którym z panem Wojewodą nareszcie się pogodził. Pan de Valois, był to Szczęsny Piasecki, zwany w więzieniu Hetmanem, poczciwy szlachcic z Hrubieszowskiego, dobry, łagodny, potulny, lecz na naczelnika sił zbrojnych tak zdatny, jak ślepy na malarza; kto go poznał ten łatwo pojmie, dlaczego wybuch powstania się nie udał: jeżeli komitet centralny w Województwie lubelskiem nie mógł zdolniejszego znaleźć naczelnika sił zbrojnych, to jest to dowodem: że albo wszyscy zdolniejsi i śmiałojsi ludzie przeciwni byli wybuchowi powstania, albo, że zdol-

nych ludzi wcale nie było, w jednym i drugim przypadku nie należało podobno rozpoczynać powstania.

W czasie owej wyprawy Czarneckiego zgłosił się do Smoki jakiś jegomość, który nazwał się Bieleckim, i mienił się być księdzem obrządku ruskiego z Węgier, gdzie ojciec jego, rodem z Galicyi, osiadł i po śmierci swojej dwie kamienice w Preszowie zostawił. Ksiądz Bielecki był Honwedem w r. 1849, potem wstąpiwszy do seminaryum, został księdzem i był teraz profesorem w Preszburgu. Na wieść o powstaniu polskim sprzedał odziedziczone po ojcu kamienice i wysztyftował dwa szwadrony huzarów, które chciałyby do Tomaszowa przeprowadzić. Gdy nam to Smolka zaraportował, nie wątpiliśmy ani na chwilę, że to szpieg, lecz Smolka jak najmocniej przeciw tej supozycyi powstawał, zapewniając nas, że ma zanadto pocziwą fizyonomię na szpiega i że zanadto ograniczonym mu się wydaje, aby go policya użyć mogła. Poleciliśmy więc Smolce, aby temu nieoszacowanemu księdzu poradził, by szwadrony swoje, zamiast prowadzić do Tomaszowa, do czegoiby kilka dni marszu przez Galicyę potrzebował, raczej górami, węgierską granicą prowadził ku zachodowi, skąd najkrótsza od węgierskiej granicy ku Krakowu droga. Gdy mu to Smolka oświadczył i zaproponował, by w tym celu, udał się do Krakowa i tam się względem przeprawy swych szwadronów z Leonem Chrzanowskim porozumiał, księżuniu przystał na projekt, lecz zażądał kilkadziesiąt reńskich na drogę, zapytał więc Smolka, czy można mu dać pieniędzy? Dziwnem to się zdawało, że człowiek, który wysztyftował dwa szwadrony, nie ma nawet tyle, ile podróż do Krakowa kosztuje, znowu więc dawniejsze odżyło w nas podejrzenie, lecz na perswazye Smolki, zezwoliliśmy wreszcie, by mu dać 40 reńskich, wyraźnie wszakże jako wsparcie dla biednego, podróżującego księdza, co też Smolka skuteczniał w hotelu Georgea, dokąd tego księdza był obstalował i gdzie tenże przyszedłszy przed Smolką, zastał księcia Sanguszkę. Na drugi dzień dowiedział się Smolka, sztafetą od posła Juśkiewicza wysłaną, że ksiądz Bielecki jadąc pociągiem kolei żelaznej, opowiadał księdzu Ruczcze, postłowi wracającemu do domu, że jest pełnomocnikiem Wydziału narodowego do zbierania podatku narodowego, a nawet do zaciąga-

nia pożyczek na dobra księcia Sapiehy, na cel powstania umocowanym—że pokazywał mu uwierzytelnienie przez Adama Sapięę podpisane—że Ruczka tą nieogłębnością zrażony, zaczął go podejrzyc i w Jarosławiu sprowadził do wagonu, w którym z owym księdzem jechał, księcia Sanguszkę, by ten sprawdził, czy to istotnie podpis księcia Sapiehy — że książę Sanguszko obaczywszy pismo oświadczył, że to falsyfikat i zabierał się właśnie do przywołania żandarmeryi, gdy nadszedł urzędnik policyjny, który już czatował na ptaszka i zabrał go z sobą — że to był znany oszust Kurkowicz, który we Lwowie rozmaitych dopuścił się oszustw, a między innymi udawał ruskiego księdza i w cerkwi, tak zwanej Wołoskiej, odprawiał mszę i celebrował przy asystencyi X. Pawlikowa jakiejś procesyi i że z tego powodu policya go ścigała; nareszcie, że przy wstępnem śledztwie utrzymywał, iż jest agentem policyjnym, który wytropiwszy we Lwowie komitet narodowy, składający się z księcia Sapiehy, Smolki i księcia Sanguszki, jechał za tym ostatnim, by go dalej śledzić.

Kurkowicz ten, którego książę Sanguszko, słuchany w jego procesie jako świadek, dał opis charakterystyczny: „twarz małpia, obrzydliwie szkaradna, z zębami naprzód sterczącymi, z szatańskim wyrazem“, skazany został tego roku na półtora lat więzienia lekkiego i znajduje się obecnie pod jedną ziemną dachem w szpitalu więziennym. O szwadronach huzarskich nie wspominał ten poczciwiec ani razu podczas swego śledztwa.

Po rozjechaniu się naczelników obwodowych, postanowił komitet miastu Lwowu osobną nadać organizację. Naczelnik bowiem obwodu Lwowskiego, był we Lwowie prawie nieznanym, zresztą stosunki Lwowa odmiennego wymagały postępowania. Zamierzano więc uważać Lwów jakoby osobny obwód, i oddać go w zarząd naczelnika miasta, z wydziałem miejskim do pomocy. Udaliśmy się w tej mierze do jednego i drugiego z wpływowych obywateli lwowskich, lecz wnet dowiedzieliśmy się, że we Lwowie już istnieje „komitet miejski“, ustanowiony z ramienia komitetu centralnego i aspirujący nie tylko do władzy we Lwowie, lecz we wszystkich miastach i miasteczkach galicyjskich. Składał się ów komitet z prezesa Rodakowskiego i członków: Armatysa kusnierza, Bałutowskiego krawca,



Piątkowskiego blacharza i Kaczkowskiego Zygmunta. Jakim sposobem panowie ci dostali nominację, nie wiem, to tylko pewna, że zaraz po nadejściu wieści o wybuchu powstania, gdy się w kole poselskiem dowiedziano o komitecie i zawiązującej się organizacji, panowie Rogawski, Zyblikiewicz, którym żadnego urzędu w organizacji nie ofiarowano, agitowali z Polem i Kaczkowskim w celu zawiązania komitetu „demokratycznego“. Przez Kaczkowskiego wszedł w ten plan przyjaciel jego Rodakowski, a ten znając z czasów wyborów ambycję Armatysa i Piątkowskiego, wciągnął prawdopodobnie tych panów, a ci Bałutowskiego przyjaciela swego. Wiadomo także, że Rada galicyjska w Krakowie submitowała się zaraz nowemu komitetowi centr. warszawskiemu, prawdopodobnie więc pewne upoważnienia co do Galicyi otrzymać musiała; a gdy w owym czasie Armatys jeździł do Krakowa, więc zdaje się, że komitet miejski przez ową Radę galicyjską, z którą Rogawski stał w blizkich stosunkach, na polecenie tegoż Rogawskiego, utworzonym został. Bądź co bądź, komitet ten istniał, a gdy nam głównie o to szło, aby miasto było zorganizowane, zostawiliśmy Lwów komitetowi miejskiemu, nie mieszając się wcale do jego czynności, miast atoli i miasteczek prowincjonalnych, kierunkowi tego komitetu zostawić było niepodobnem, tam bowiem członkowie tego komitetu byli nieznani i bez wpływu, działać przeto skutecznie nie mogli. Polecono zatem naczelnikom obwodowym, aby zawiązywaniu się odrębnej jakiejś organizacji po miastach i miasteczkach przeszkadzali, co też wszędzie udało się, wszelako nie bez strat materyalnych i moralnych, komitet bowiem miejski porożyłał swych agentów po miastach prowincjonalnych, znaleźli się więc tacy, którzy tłumacząc się, że należą do innej organizacji, naszych organów nie słuchali, a przed agentami komitetu miejskiego należeniem do krajowej organizacji wymawiali się. Gorszą zaś, niż ten ubytek środków materyalnych, rzeczą było rozdwojenie pomiędzy mieszkańcami miast, które wkrótce zrodziło niechęć jednych ku drugim i dwa przeciwne sobie obozy: miejski, niby demokratyczny i krajowy, niby szlachecki.

Jakby niedosyć było tego zamętu w chwili, w której cały naród zgodnie postępować był winien, zawiązał się ze szczątków rozbitej przez ekspedycję Czarneckiego „Ławy głównej“, ko-

mitet „bratniej pomocy“, i uzyskawszy od komitetu centralnego warszawskiego, za pomocą Rady galicyjskiej, pieczęć i upoważnienie do działania w całej Galicyi wschodniej, werbować zaczął pod swój sztandar po wsiach i po miastach, szczególnie młodzież szkolną i rzemieślników, oficyalistów prywatnych, młodszych księży i urzędników. Komitet ten, składający się z Niewiadomskiego, Dobrzańskiego, Ujejskiego Kornela, Starkla i Cjeszewskiego, ani po wsiach, ani po miastach z jakim takim skutkiem działać nie mógł, i nosząc aż do rozwiązania swego ostatecznego, przez generała Wysockiego w kwietniu, program swej organizacji „w głowie“, istotnie nic nie zdziałał, prócz zamięszania i ułatwienia usunięcia się od wszelkich ofiar na rzecz powstania, przybyła bowiem, prócz wymówki ze strony mieszczan, że należą do organizacji miejskiej, jeszcze i ta wymówka dla niechętnych tak w miastach jak po wsiach, że należą do organizacji, „Bratniej pomocy“. Ileż to ludzi tym sposobem uwalniało się od datków, od wszelkich usług na rzecz powstania! Przyszło nawet do tego, że komitet bratniej pomocy nie chciał dać „swych ludzi“ do oddziału przez komitet krajowy zorganizowanego, że komitet miejski „swoją broń“ sprzedał komitetowi krajowemu, za cenę wtrójnasób wartość tej broni przenoszącą; że ludzie należący do komitetu miejskiego lub bratniej pomocy, gdy im komitet krajowy dawał proch celem wyrabiania ładunków, pobierali 20% do swoich arsenałów, że obywatele należący do bratniej pomocy, gdy do nich przywieziono broń lub ochotników do odstawienia, odmawiali fur, jeśli broń lub ochotnicy przybywali od organizacji „białej“, tak bowiem potem przezwano organizację komitetu Galicyi wschodniej.

A kiedy już mówię o tych rozmaitych komitetach, wspomnę odrazu i o „komitecie dam“, chociaż tenże dopiero w marcu przez komisarza R. N. Sokółowskiego zawiązanym został. Komitet ten, mający właściwie na celu starania się o umieszczenie i pielęgnowanie rannych, przedzierzgnął się wkrótce w komitet popierania powstania — a gdy relewował bezpośrednio od Rządu narodowego czyli komisarza R. N., komisarze zaś R. N. zwykle się tulili do tych dam, więc niepodobna było skierować ten komitet do właściwego celu. Wybierały więc damy podatek

w całym kraju i kupowały za to broń, przybory wojenne i takowe pewnym tylko protegowanym oddziałom oddawały; jeśli dowódzca oddziału nie był w łaskach u tych dam, to choćby nie wiem jak gwałtownie potrzebował amunicyi, płaszczów lub innych jakich przyborów w schowku dam znajdujących się, nie otrzymał nic, i tak n. p. marzli powstańcy w zimie z 1863 na 1864 w Lubelskiem, chociaż na samej granicy leżało 100 płaszczów komitetu damskiego, od kilku miesięcy zakopanych bezużytecznie. W komitecie tym rej. wodziły pp. Wildowa, Żerdzińska, Torosiewiczowa, Orzechowiczowa — a organizacja jego rozciągała się na całą Galicyę; obwody miały swe naczelniczki, poborczynie podatków etc.; komitet ten dostarczał także kuryerek, między którymi odznaczały się panna Topolnicka, pani Zaluska, pani Pruszyńska; kuryerki te, zwane „powstańczyce“ jeździły od oddziału do oddziału, woziły rozkazy komisarzy R. N. do dowódców, rozkazy dowódców do podwładnych, i były dla obywatelstwa plagą w całym tego słowa znaczenia, a demoralizacją dla obozów i powstańców.

Że przy takim rozstrzeleniu sił, działanie organizacji komitetu Galicyi wschodniej stało się trudnem, łatwo pojąć. Na domiar złego zaś w samym komitecie, na początku nie było tej zgodności zdań, któraby owe rozstrzelone żywioły patryotyczne skupić w jedno ognisko była wstanie.

Na pierwszą wieść o zająciach w Kongresówce, nie mogąc przewidzieć jaki one wezmą obrót, postanowił był komitet zebrać pieniądze, aby wedle okoliczności, takowych użyć na popieranie powstania, gdyby wybuchły ruchy w takowe się przedzierzgnęły, lub też na wsparcie emigracyi, gdyby rzecz na wyjściu z kraju biednych proskrybowanych skończyła się. Nie dano więc z początku naczelnikom obwodowym innej instrukcyi, prócz zebrania jak najspieszniej wyznaczonej ofiary. Chcąc wszakże bliżej się przekonać o tem co się w Kongresówce dzieje, wysłaliśmy Włodz. Cieleckiego na zwiady, który mając majątek w Kongresówce, posiadał paszport do Warszawy. Tymczasem Gazeta Narodowa głosiła zwycięstwa po zwycięstwie, odnoszone przez hufce powstańcze nad Moskalami, o zdobytych miastach, wziętych działach, o łączeniu się ludu z powstaniem. Nic więc dziwnego, że się w młodych głowach paliło co raz bardziej.

Rozeszły się wieści, że komitet ma ogromne sumy, lecz takowe na powstanie dać nie chce, trzymając je wyłącznie dla tych, którzyby po upadku powstania kraj opuścić musieli. Ztąd oburzenie nie małe między młodzieżą, której imieniem Kornel Ujejski udał się do Smolki z zapytaniem: co też komitet zamierza? Komitet chcąc uśmierzyć młodzież, wysłał też Dzieduszyckiego do „Bratniej pomocy“ z poleceniem, by jej oświadczył, że komitet dopiero zbiera pieniądze, że wysłał do Kongresówki człowieka zaufanego, by sprawdzić tamtejszy stan rzeczy i że pieniądze zebrać się mające użyje na powstanie, jeśli powstanie rzeczywiście istnieje. Tymczasem Dzieduszycki zamiast to oświadczyć, zburczał „Bratnią pomoc“, od młodzieży żądał bezwarunkowego posłuszeństwa, a nie wspomniawszy nic o tem, że komitet ma chęć wspierania powstania, odszedł zapewniając, że o nieszczęśliwych, którzy wskutek tych ruchów, lada dzień do Galicyi schronić się będą musieli, komitet dbać będzie. Dowiedziawszy się o tem od Niewiadomskiego, którego spodziewałem się znaleźć w naszej organizacyi, a raptem znalazłem w komitecie „Bratniej pomocy“, użyłem wszelkich starań, by rzecz sprostować i właściwe zamiary naszego komitetu wyłuszczyć, lecz nadaremnie; to co mówiłem, brano za osobiste moje zdanie, komitet zaś sądzono podług oficjalnych słów Dzieduszyckiego.

Tymczasem wrócił Cielecki, z komitetem centralnym zetknąć się nie mógł, bo ludzie, do których był adresowany, a którzy przed powstaniem ruchom w Kongresówce przewodniczyli, stali teraz na boku, lub jak Jürgens, zdenuncyowany Moskwie przez „Baczość“, kryć się musieli; przywiózł atoli Cielecki wiadomość, że hufce powstańcze, po całej zwijają się Kongresówce, że Moskale opuszczają mniejsze miasteczka, za ukazaniem się powstańców, że lud nie jest im nieprzyjnym i nawetby się łączył, gdyby tylko broń była, tej zaś powstańcy wcale nie posiadają; nareszcie przywiózł wieść o wzięciu przez powstańców Sosnowca i o zdobyciu trochę broni na objeszykach, tudzież 60.000 rs., na co własnemi patrzył oczyma; przywiózł też manifest komitetu centralnego, w którym ogłoszono powstanie przeciw Moskwie, we wszystkich pod jej zaborem zostających ziemiach, celem odzyskania niepodległości Polski w granicach 1772 — równouprawnienie stanów i wyznań, uwłaszczenie chłopów — ziemiom zaś

pod zaborem pruskim i austriackim będącym, polecono niesienie pomocy powstaniu, w ludziach i broni.

Po tem sprawdzeniu Cieleckiego nie podlegało wątpieniu, że powstanie jest i że mu pomoc nieść należy. Ponieważ zaś w Kongresówce, na powstańcach nie zbywało, ale broni im brakowało, postanowiliśmy zająć się natychmiast zakupnem broni i amunicyi, sądząc, jak mi się zdaje słusznie, że nim pomyślimy o wysłaniu stąd ludzi do powstania, należy przedewszystkiem tych, którzy już powstali, zaopatrzyć w broń, której wcale nie posiadają. Skutkiem tego postanowienia, które nie bez żywej uchwalono opozycji ze strony Dzieduszyckiego, a nawet Smolki, nie wierzących w udanie się powstania, a więc wszelkie onegoż zasilenia, za zwiększenie tylko niechybnego nieszczęścia uważających, posłano Cieleckiego do Wiednia, by tam obejrzał się za bronią, a w razie możności nabycia, kredytu swego nam użyzył, pieniędzy bowiem nie mieliśmy jeszcze ani szeląga; równocześnie zaś polecono naczelnikom obwodów, by wszelką strzelbę zdolną dla powstania, bądź drogą ofiary, bądź przez zakupno zbierali i w bagnety zaopatrywali.

Postanowiwszy wspierać powstanie, trzeba nam było w Komitecie człowieka wojskowo wykształconego, wezwaliśmy więc Konstantego Matczyńskiego, majora z kampanii węgierskiej, sławionego z energii i zdolności wojskowych. Gdy się Matczyński wymówił interesami gospodarczymi, posłaliśmy Puchalskiego, b. oficera wojsk polskich, do Krakowa, by jenerała Kruszewskiego, z którym z dawniejszych jeszcze czasów zostawał w zażyłości, wybadał i gdyby go znalazł gotowym do wspólnego z nami działania, do Lwowa zaprosił.

Podczas gdy to się dzieje, nadesłał pocziwy Janko pierwsze ofiary na powstanie, od siebie i Edwarda Weismana, na moje ręce, z wyraźnem zastrzeżeniem, że pieniądze te, użyte mają być na broń.

Złożył też i jeden z obywateli miejskich, którzy wybierających podatek powstańczy, członków komitetu miejskiego po największej części z niczem odprawiali, na moje ręce swoją ofiarę, także wyraźnie na broń. Chcąc tedy młodzieży namacalny dać dowód, że komitet nasz szczerze myśli o wspieraniu powstania, odałem te pieniądze przez Niewiadomskiego „Bratniej pomocy”,

która zamierzała dawniejszego Ławnika, Jana Topolnickiego, wysłać po broń do Wiednia; oprócz tego skłoniłem Alfreda Młockiego do zaofiarowania tejże „Bratniej pomocy“ tysiąca i coś reńskich na kupno 50-ciu sztuków.

Zacząła się przez to młodzież jakoś uspokajać, zaczęto nawet w komitecie „Bratniej pomocy“ mówić, to o poddaniu się pod komitet Galicyi wschodniej, to o wybranie mnie na prezesa „Bratniej pomocy“, nie zostało bowiem tajemnicą, żeśmy zaprosili generała Kruszewskiego na członka komitetu, co było dowodem, że komitet zamyśla czynnie popierać powstanie. Z drugiej strony nadchodziły z prowincyi doniesienia, że obywatelstwo garnie się ochoczo do organizacji, a pieniądze wkrótce nadejdą.

Podczas tak przyjaźnego dla naszego komitetu usposobienia, przybył generał Kruszewski. Od niego dowiedzieliśmy się, że w Krakowie zawiązał się komitet powstały z wyborów seniorów Towarzystwa agr., a składający się z Bauma, Benoego, Hallera, Cesarego i Chrzanowskiego. Znalazwszy w jenerale wiare w udanie się powstania, jeśli tylko będzie umiejętnie kierowaniem i w broń zaopatrzonem zostanie, znalazłszy młodzieńcy jeszcze zapał i chęć służenia sprawie swem doświadczeniem i swemi wojskowemi wiadomościami, zaprosiliśmy go na członka komitetu naszego, na członka mającego nas oświecać, we wszystkim co się tyczy wojskowości, a jako mieszkającego w Krakowie, mającego służyć za ogniwo łączni, między naszym a krakowskim komitetem. Przyjął generał propozycję pod warunkiem, że się nie ograniczymy na posyłaniu broni, amunicyi i innych przyborów wojennych do Kongresówki, lecz że wysłemy oddział uzbrojony w lubelskie; tam bowiem skutkiem nieszczęsnej wyprawy Czarneckiego i rabunku przez Moskali na Tomaszowie popełnionego, duch upadł i oddziału powstańczego nie było żadnego, Moskali zaś tam konsystujących koniecznie zatrudnić wypadało, aby oddziały w Sandomierskim i Płockim powstałe tam łatwiej zorganizować i wzmocnić się mogły. Wyśłaniu oddziałów zbrojnych sprzeciwiał się do ostatka Dzieduszycki, wszelako przegłosowany, oświadczył, iż większości poddaje się. Mimo to odprowadzając tegoż dnia generała na dworzec kolei, tak mocno protestował przeciw wysłaniu oddziałów, że generał z Tarnowa

napisał do nas, iż zamyślając wspierać powstanie i sądząc, że my toż samo zamierzamy, przystąpił do naszego komitetu, przekonawszy się zaś z rozmowy później z Dzieduszyckim, że rzecz się tak nie ma, posyła nam swą dymisyę. Bolesny ten wypadek, o którym nie wiem jakim sposobem wieść rozeszła się po mieście, a który nietaktownem postępowaniem Dzieduszyckiego był spowodowanym, stał się przyczyną, że Dzieduszycki wynurzając żal, że już dwa razy dał powód do nieporozumienia, w następstwach swych nader szkodliwego, bo wiarę w dobre chęci naszego komitetu podkopującego, wyznając, że czuje się niezdolnym do kierownictwa, wystąpił z komitetu, oświadczając, że w obwodzie służyć mu będzie z całą gorliwością — co też dotrzymał.

Nim przystąpię do opowiadania dziejów komitetu Galicyi wsehodniej, nadmienić mi tu wypada o niektórych zajściach, które miały miejsce jeszcze przed wystąpieniem Dzieduszyckiego z komitetu. Ludzie od samego początku komitetowi temu nieprzychylni, zarzucali mu, że nie ogłosił żadnego programu. Program komitetu był bardzo prosty: zbierać w kraju co się tylko przydać może powstaniu i oddawać mu do użytku. O tym programie wiedzieli naczelnicy obwodowi, przez nich naczelnicy powiatowi (wszędzie bowiem obwodowi do pomocy pomiano wali powiatowych) a przez tych cała ludność. Odezwy jakiejś do mieszkańców wydawać nie chcieliśmy, już dlatego, że wskutek związanej organizacyi była niepotrzebna, powtóre, że zdawało nam się, iż działając na rzecz powstania, więcej mu pomożemy, niż publikując odezwy, a nareszcie ponieważ chcąc, aby odezwa jakiś odniosła skutek, trzeba było albo na niej podpisać się, coby nas było natychmiast oddało w ręce sądów austr. i temsamem położyło koniec zamierzonym przez nas działaniom, albo też użyć pieczęci zamiast podpisów, czego uczynić nie chcieliśmy, gdyż nic łatwiejszego, jak kazać zrobić z odcisku pieczętkę i wydawać Bóg wie co pod tą pieczęcią. Że ostrożność ta nie była zbyt dobrą, dowiodły później pieczętkowe rządy warszawskie.

Z tejże samej strony zarzucono komitetowi, że mogąc nabyć we Lwowie tysiąc karabinów, nie czyni tego i posyła ni byto do Wiednia po broń, marnując pieniądze na drogę i czas

droższy niż pieniądze, gdyż najzapaleńsi nawet stronnicy zarządzonego wybuchu powstania, zaprzeczyć już nie mogli, że wybuch nakazany został bez poprzedniego przygotowania broni i że hufce powstańcze z gołemi po lasach snują się rękami. Djabeł nie spi, pomyśleliśmy sobie, może też i są karabiny we Lwowie. Jeśli są to i owszem, kupimy natychmiast, a chociaż pieniędzy jeszcze nie mamy, założymy nasze weksle; prosimy tylko o wskazanie miejsca, gdzie te karabiny są. Tak przyparcsi „bratnicy“, donoszą nam, że w arsenale rządowym można dostać karabinów, ile kto chce po 8 złr. za sztukę i że rusznikarz, już nie pamiętam który, ma z arsenałem stosunki. Udajemy się czem prędzej do wskazanego rusznikarza i dowiadujemy się, że ongi w arsenale sprzedawano stare lufki i że on kupił 20 takich lufek, które długi czas walały się u niego, aż po wybuchu powstania, gdy się do niego zgłoszono o karabiny, on lufki owe poosadzał na prędze i sprzedał Czarneckiemu; z arsenałem zresztą nie miał innych stosunków i teraz żadnych nie ma. Pokazało się więc, że owe tysiąc karabinów są taką samą bajką Dobrzańskiego jak te 60.000 chłopów, które powstały w okolicy Tomaszowa. Mimo to nieustawały krzyki na komitet, że nie chce broni kupować, chociaż jej jest we Lwowie podostatkiem; z podobnym żalem zjawił się także Pawlikowski Mieczysław, który chociaż mianowany naczelnikiem powiatu Przemyskiego, a więc mając na miejscu tyle zatrudnienia, bo organizowanie Przemysła, wolał myszkować koło bratników. Doniósł on komitetowi, że we Lwowie można 2000 karabinów dostać, wyrzucając przy tem temuż komitetowi, że nic nie robi, o nic się nie troszczy etc. Chociaż pewni prawie byliśmy, że te 2000 karabinów są tak samo bakiem, jak owe arsenałowe, pragnąc wszelako przekonać Pawlikowskiego i jemu podobnych krytyków, że komitetowi nie zbywa na gotowości służenia powstaniu, ile razy zdarzy się na to sposobność, pouczyliśmy Pawlikowskiego, aby te karabiny zaraz dla komitetu kupił, ofiarując solidarny weksel na zaspokojenie ceny kupna. Około piątej po południu zjawił się Pawlikowski w komitecie i oświadczywszy, że dla ważnych interesów odjechać musi zaraz do domu, wskazał nam rusznikarza Wiśniowieckiego, do którego się o te karabiny udać należy, wymawiając przed nim umówione hasło: „mój pistolet zepsuł się“.



Mimo nalegań, by się zatrzymał do następnego dnia i sam to kupno przeprowadził, Pawlikowski wymawiając się bardzo ważnym interesem, odjechał. Na drugi dzień, dowiedziawszy się, że Szeliski Kazimierz jest w dobrych stosunkach z Wiszniowieckim, posłaliśmy go do niego, celem nabycia owych karabinów. Szeliski przyszedłszy do Wiszniowieckiego, po zwykłym przywitaniu się, bierze go na stronę i wymawia owe sakramentalne słowa: „mój pistolet zepsuł się“. Na to Wiszniowiecki pyta, co za pistolet. Tu Szeliski powtórza owe słowa, dodając: „cóż zapomniałeś pan?“ Ale nic nie wiem, rzecze Wiszniowiecki. Zniecierpliwiony Szeliski, mówi na to: przecież to hasło umówione. Jakie hasło? pyta Wiszniowiecki, ja nie rozumiem pana. No, wybaknął skonfundowany tem Szeliski, to panu powiem wyraźnie, że był u mnie ktoś i powiedział mi, że pan masz 2000 karabinów, a na dowód, że pan możesz traktować z osobą, która się do pana zgłosi, umówiono hasło, którem panu powtórzył. „Panie łaskawy! rzecze na to Wiszniowiecki, co bym ja dał, gdybym miał 2000 karabinów! ot widzi pan, przecież my się znamy od kilkudziesięciu lat, przed panem tajemnicy robić nie będę; tu w alkierzu mam 16 lufek starych, nie karabinowe one wprawdzie, ale mocne i dużego kalibru, jeśli pan zechce to je oprawie, dorobię bagnety i ujdą za karabiny. A co do owych 2000 karabinów, to ja kiedyś tu, gdy będąc na miodzie zgadało się, że dla powstania trzeba gwałtem ze 2000 karabinów, powiedziałem, że gdybym był w Wiedniu, to jabym tam znalazł karabiny. Tak się miała owa rzecz karabinowa; mimo to nie tylko inni, ale sam Pawlikowski ciągle utrzymywali, że komitet chociaż we Lwowie była broń, umyślnie jej nie kupował, by powstanie nie dostało broni; w dwa lat później będąc w więzieniu, czytałem w zapiskach Lasockiego (Morawskiego), przeznaczonych ad usum Delphini, prócz innych przeciw mej osobie spisanych zarzutów, także i ten: że wykupiłem owe tysiące karabinów znajdujących się we Lwowie, aby się nie dostały w ręce powstańców! Z aktów tych będą kiedyś może układać historię powstania Styczniowego!...

Lecz wróćmy do komitetu wschodniej Galicyi.

W chwili wystąpienia Dzeduszyckiego z komitetu, rozdrażnienie przeciw komitetowi było ogromnem. Podsycali je:

członkowie komitetu miejskiego, bo jego istnieniu przypisywali brak wpływu własnego w mieście; członkowie zaś komitetu „Bratniej Pomocy“, bo czuli, że do żadnego nie dojdą znaczenia, jak długo ów komitet istnieje, nareszcie wszyscy ambitni, a w organizacyi nie umieszczeni, albo nie tak wysoko umieszczeni, jak ich ambicya sięgała. Do liczby tych ostatnich policzam bez wahania się Antoniego Golejewskiego, który nie przyjąwszy urzędu naczelnika obwodu kołomyjskiego i całą organizanicę potępiając, siedział we Lwowie, umizgując się do Dobrzańskiego, i na nieudolność komitetu wschodniej Galicyi wygadując. Prawda, że postępowanie Dzieduszyckiego dawało wszelkie pozory przeciw komitetowi, którego był członkiem, lecz to nie tłumaczy bynajmniej postępowania Golejewskiego. Golejewski nie wiedząc jeszcze jak komitet będzie postępował, w którym prócz Dzieduszyckiego zasiadali inni członkowie ściśle z dawniejszych czasów z Golejewskim złączeni, całą organizację ogłosił za „głupstwo“, a przecież, gdy parę tygodni potem zaproponowano mu, by na miejsce Dzieduszyckiego wstąpił do komitetu, propozycję przyjął bez targów, bez namysłu, idąc wprost z posiedzenia Bratników, na posiedzenie komitetu. Zaangażowano zaś Golejewskiego do komitetu, raz ażeby nie bruździł w mieście, a powtórę ponieważ po wystąpieniu Dzieduszyckiego z komitetu, natychmiast i Władysław Dzieduszycki urząd naczelnika obwodu stanisławowskiego złożył, w którym to obwodzie Golejewski istotnie wielki wpływ wywierał. Organizacya przez przystąpienie Golejewskiego, zyskiwała dwa obwody: stanisławowski i kołomyjski. Za poradą Golejewskiego zamianowano obwodowymi w stanisławowskim Borkowskiego Stanisława, w kołomyjskim zaś Koziobrodzkiego; na jego też rekomendację wezwaliśmy na piątego do komitetu, jako wojskowego, wykształconego i z zacności charakteru w swej okolicy znanego, Artura Gołuchowskiego, które to wezwanie tenże przyjął.

Po przybyciu Gołuchowskiego, na pierwszym zaraz posiedzeniu komitetu, uchwalono zająć się uzbrajaniem oddziałów. W tym celu oddano Gołuchowskiemu dochody wszelkie w pieniądzach i naturaliach z cyrkułów tarnopolskiego, stryjskiego, czortkowskiego, stanisławowskiego i kołomyjskiego, na rzecz organizacyi uiszczać się mające, z umocowaniem uorganizowania

i uzbrojenia oddziału podolskiego. We Lwowie zaś ustanowiono komisję expedycyjną złożoną z ludzi wojskowych i cywilnych, której zadaniem miało być starać się o broń, amunicję, ludzi, konie, przybory wszelkie; o rozlokowanie ludzi, dostawienie broni i przyborów za granicę. Naczelnikiem tej komisji mianowanym został młody Aleksander Fredro, głównie także dlatego, by dawszy mu zajęcie, zamknąć usta zięjące ciągłe jakieś krytyki przeciw komitetowi, którego został najuniżejszym służką, skoro mu dano urząd. Niestety! podobnych jemu trudno by policzyć; komitet starał się ile możności spożytkować takich ludzi dla sprawy powstania, lecz nie było tyle urzędników ile kandydatów, a zresztą byli tacy kandydaci, których przy najlepszej chęci do niczego nie było można użyć: ci do końca zostali wrogami organizacji. Fredrze dodano do pomocy Karola Lewakowskiego, Grzybińskiego technika, a gdy Leszek Wiszniewski zobaczył, że się istotnie zanosi na formowanie oddziału, przystąpił także i szczególnie w dostarczaniu naboju znakomite komisji świadczył usługi.

Zaczęły wpływać pieniądze, a komisya zaczęła się zajmować przysposobieniem ładunków, które kupowano albo gotowe u żołnierzy, albo wyrabiano pięknymi rączkami naszych panien, z prochu kupowanego funtami, — przygotowaniem butów, burek, ładownic, manierek. Broń spodziewano się dostać z Wiednia, dokąd jak wspomniałem, wysłany był Cielecki, a gdy ten nie wracał, posłano Grosa Piotra do Pragi, dawszy mu 10.000 złr. jako zadatek. Nareszcie dano znać z Wiednia, że broń wysłaną będzie, skoro wskażemy adres, dodano wszakże, że broni jawnie posyłać nie można, że fabrykanci bojąc się konfiskaty na stacyach kolei żelaznej, nie chcą brać ryzyka dostawy, że broń przeto pod fałszywymi deklaracyami będzie wysłaną i na stacyi kolei wykradaną być musi. Można sobie pomyśleć radość naszą, gdyśmy tę wiadomość otrzymali. Jest broń! krzyknęliśmy, lecz gdy pierwszy minął zapał, pojęliśmy, że najtrudniejsza jeszcze rzecz jest do zrobienia: sprowadzenie broni na miejsce bezpieczne. Podług myśli jenerała Kruszewskiego, z którą się i Gołuchowski zgadzał, mieliśmy pierwszy oddział, który się da uzbroić, wysłać w Lubelskie, a po zasiągniętych wiadomościach o miejscowościach tamtejszych, zdawał się najlepszem do zebrania oddziału i do

przejścia granicy miejscem być Cywków, majątność hrabiny Zamojskiej, matki Stefana Zamojskiego z Wysocka, leżąca na pograniczu Przemyskiego i Żółkiewskiego, zarządzana przez poczciwego Muczkowski, mająca duże lasy, ciągnące się ku samej granicy i przypierające z tamtej strony także do lasów bardzo rozległych, do ordynacyi zamojskiej należących. Trzeba więc było broń z Wiednia nadejść mającą, przesłać gdzie w okolicę Przemyśla, a gdy Medyka ma stację kolei i należy do Pawlikowskiego a on tam mieszka, sądziliśmy, że zrobimy terno, jeśli broń zaadresujemy do jakiego N. na stację medycką, z którejby ją Pawlikowski jako miejscowy, a więc stosunki albo przynajmniej znajomości z urzędnikami tejże stacji mający, z łatwością uprząłnął. Pełni otuchy, że przesyłka się uda, zawiadamiamy Pawlikowskiego — i dostajemy odpowiedź: „że on czuje w sobie zdolność do czegoś wyższego, niż do wożenia broni, że zresztą wyjeżdża na dłuższy czas do Krakowa“. Trudna rada, gdy kto nie chce; zaadresowano broń w inne miejsce i szczęśliwie z dworca kolei uprząłnięto; było to wprawdzie tylko 25 sztuków belgijskich, ale cieszyliśmy się jak dzieci; potem przyszła znowu podobna paczka, i trzecia, i czwarta; 100 sztuków! Ledwo na jedną kompanię, a ile to trudności, ile strachu! pierwszą broń wywiózł z Wiednia najmłodszy syn księcia Władysława Sanguszki, używszy do tego pomocy jakiejś damy, która pakę do swego przyjęła powozu. Pierwszą paczkę z dworca kolei uwiozła także dama. Stefan Zamojski był jednym z najczynniejszych w ukrywaniu i dowożeniu broni na przeznaczone miejsca; Drohojewski z Balic także się nie wymawiał, chociaż znany był jako lekkoduch, sprawą polską wcale się nie interesujący — nawet Wilhelm Siemieński musiał przyjąć jedną paczkę, zaadresowaną do jego zarządu dóbr — zżymał się wprawdzie, że śmiano go tak narażać, ale paczkę odebrano. Nadeszło także z Pragi 70 sztuk różnej starej broni, nie wiele wartającej, ale zawsze lepszej niż kij lub kosa, w które uzbrojeni byli powstańcy z Kongresówki. Zamierzaliśmy wysłać oddział z 450 pieszych i 50 jeźdźców, a mieliśmy dopiero 170 sztuk broni! liczyliśmy, że ze 40 chłopców własną broń będą mieli, od komitetu miejskiego kupiliśmy czterdzieści pięć sztuk strzelb i starych strzeleckich sztucerów, między mieszczanstwem uzbieranych, a nam za 1600 złr. przez

P. Kaczkowskiego sprzedanych; do trzydziestu sztuk karabinów pozbieraliśmy po różnych rusznikarzach, resztę, gdyby z Wiednia lub Pragi więcej na czas nie nadeszło, miały dostarczyć obwody, którym zbieranie broni nakazane było. Polecono też obwodom dostarczanie pewnej liczby butów, (pan Bałutowski bowiem, który podjął się liwerunku butów i burek, kazał sobie za parę butów po 10 złr., a za burkę po kolana bez kaptura, po 18 złr. z patriotyzmu płacić) onuczek i bielizny. Zdawało się więc, że strzelb będzie poddostatkiem na wszelki wypadek, inne przybory także się przygotowywało, koni 30-ci zobowiązały się dać obwody żółkiewski i przemyski, 20 jeźdźców miało iść na własnych koniach. Największa bieda była z prochem; kupować go trzeba było garściami po 5 po 10 ładunków, obiecany z Pragi nie nadchodził, — kupione we Wiedniu dwa centnary, po rozpakowaniu na miejscu, nie okazały tylko 10 funtów. W tym kłopotcie zgłasza się do nas jakiś jegomość z dworu Włodz. Dzieduszyckiego, ofiarując się, że za pomocą znanego sobie oficera od artylerii, może dostać 12 centnarów prochu, po 40 złr. za centnar. O cenę nie było targu, chciano się dowiedzieć coś bliższego o tym jegomościu, a gdy rzecz ta traktowała się w komisji ekspedycyjnej, z którą Bałutowski jako liwerant był w stosunkach, dowiaduje się o tem Bałutowski, i chcąc się popisać, że podczas gdy my napróżno rozbijamy się za prochem, komitet miejski dostaje go ile chce, udaje się do owego jegomości i płacąc 480 złr., przywozi z arsenału 12 centnarów piasku, — oto był proch, który wynalazł Bałutowski! Ale, że kupił dla nas, więc żądał zwrotu wydanych pieniędzy, chociaż interes ten robił nieproszony, chociaż to człowiek majątny, bo na wiosnę 1863 kupił kamienicę przy Wałowej ulicy, wartości najmniej 50.000 złr. Przy tej okazji wspomnę o innej usłudze, wyrządzonej komitetowi przez jednego z miejskich, bogatych patriotów. Mówiłem już, że komitet miejski sprzedał nam zebrane między mieszczanami strzelby za grube pieniądze; strzelby te zawiózł na granicę o 12 mil stąd dwoma furami p. Boczkowskiego, za ugodzoną cenę 200 złr., mówię dwiestu złr. w. a., a gdy fury musiały zanocować, ponieważ Muczkowskiego, do którego były adresowane, nie było w domu gdy przybyły, więc żądał jeszcze 30 złr. dodatku! Nikt mię nie posądzi o szlachtomanie, ale za

krocie fur, które szlachta podczas powstania dostarczyła pod transport broni, amunicji, przyborów, żywności, powstańców, komisarzy, kuryerów i kuryerek, nie żądano nigdy zapłaty; nigdzie też nie żądano zapłaty ani za broń, ani za żywność, ani za płótno lub inne naturalia po obywatelstwie zbierane, chociaż niejedyn szlachetka lub mały dzierżawca wszystkie bryczki połamał, wszystkie konie pozajeżdżał przy transportach i wszystkie krowy pozarzywał na karmienie powstańców, nie mając i dziesiątej części majątku p. Bałutowskiego lub Boczkowskiego. -- Boli mię to, bo ja pierwszy w czasach przedwyborczych stanąłem w obronie mieszczaństwa, pokazując mu miszę, jaką ma do spełnienia na drodze patriotyzmu — nie dopisali! Nie chcę ja przeto powiedzieć, że we Lwowie nie było prawdziwych, poświęcających się patriotów między mieszczaństwem, ale co prawda, to nie grzech, wogóle przemagała chęć zysku nad patriotyzmem, i to do tego stopnia, żeśmy potem żydów używać musieli do liwerunków płaszczy, butów, uniformów etc., i dostarczali nam prawie za połowę cen chrześcianom płaconym; do furmanek zaś używaliśmy już potem albo szlacheckich, umyślnie tu zamówionych bryczek, albo Niemca Erbena, który nam amunicję woził, gdzieśmy chcieli, biorąc po 20 złr. za dobę.

Podczas tych przygotowań do wyprawy w Lubelskie, za jaśniało na horyzoncie powstańczego teatru imię Langiewicza. Sokół, Mucha, Padlewski, Sierakowski, Kurowski i inni dowódcy znikali z horyzontu ledwie się ukazawszy; sam nawet Mierosławski, którego Dyktaturę komitet centralny po obaleniu dawniejszego komitetu w dzień 19-go stycznia zatwierdził był, ledwo się ukazał od granicy poznańskiej pobity na głowę, pod Kurozwękami, schronił się do Krakowa. Jeden Langiewicz trzymał się od samego początku powstania, uorganizował jako tako swój hufiec, zarywając Moskałom to tu, to ówdzie po troszę broni, uwijał się po kraju, a od chwili, gdy się pod jego dowództwo poddał Jeziorański ze swoim oddziałem, stał się najpopularniejszym człowiekiem w powstaniu. Komitet centralny zamianował go generałem, a w całym kraju nie mówiono jak tylko o Langiewiczzu.

Gdy, jak to wspominałem, przez Cieleckiego nie potrafiliśmy się znieść z komitetem centralnym, gdy i drugi nasz wy-

ślannik Adam Miłaszewski, mimo stosunków jakie miał w Warszawie i znajomości osobistej z Ruprechtem, Sybirczykiem ogólnie szanowanym w Warszawie, wrócił nie widziawszy się z komitetem centralnym, postanowiliśmy znieść się z Langiewiczem, jako najwybitniejszą osobistością powstania. Wysłaliśmy więc jednego z obywateli do obozu Langiewicza, by mu oznajmić, że organizacja nasza czeka na wskazówkę, w jaki sposób ma nieść pomoc powstaniu. Dotarliśmy do obozu Langiewicza i zabawiwszy tam dzień cały, wysłannik nasz wrócił z pismem od Langiewicza, w którym donosząc nam, że ludzi ma więcej, niż użyć może, lecz broni, amunicyi i siodłał mu brakuje zupełnie, prosił, byśmy mu ludzi nie nasyłali, wyjąwszy dobrych oficerów, ale broni, amunicyi jak najwięcej, którą gdyby posiadał mógłby i chłopków przyciągnąć do powstania, - zgłaszają się bowiem z każdej okolicy, ale nie widząc broni odchodzą. Równocześnie z naszym wysłannikiem, przysłał nam Langiewicz od siebie niejakiego Maciejowskiego, który miał służyć za pośrednika między nami, a Langiewiczem. Zresztą dodał, że jeśli chcemy koniecznie wysłać oddział uzbrojony do Kongresówki, to powinniśmy go wysłać niebawem, z poleceniem, aby manewrując wzdłuż prawego brzegu Wisły w Lubelskiem, starał się być w komunikacyi z jęgo oddziałem dążącym w Sandomierskie ku Wiśle.

Skorośmy się dowiedzieli o tych życzeniach Langiewicza, poleciliśmy komisji ekspedycyjnej, aby przygotowania dla oddziału przyspieszyła, ochotników spisała i o oficerów się postarała. Sapieha zaś, który głównie zajmował się zakupnem broni i amunicyi, pojechał do Krakowa, aby osobiście ułożyć się względem dostawy broni na większe, niż dotąd rozmiary. Tam poznał się z niejakim Funkestonem, żydem angielskim, wojażującym komisantem, który podjął się dostarczyć nam w jaknajkrótszym czasie, i to na którekolwiek miejsce w Galicyi, 3000 karabinów, a to z taką pewnością, że nie tylko nie żądał za datku, lecz kaucyę za dotrzymanie umowy, w wekslach złożył. Zresztą Anglik ten właśnie był przyjechał z Kongresówki i okazał podobny układ o dostawę broni z Langiewiczem zawarty. Zdawało się więc, że mu ufać można i gdy Sapieha z Krakowa wrócił, byliśmy o broń spokojni. Tysiąc z tych zakontraktowanych karabinów przeznaczaliśmy dla Langiewicza i o tem do-

nieśliśmy Maciejowskiemu z dodatkiem, że wprost z Krakowa odesłane będą Langiewiczowi. Resztę mieliśmy sprowadzić częścią w Przemyskie i Żółkiewskie, dla oddziałów lubelskich, częścią zaś na Podole dla Gołuchowskiego, aby je zabrał z sobą, gdy będzie wychodził.

Mając tak zapewnioną broń, odwołaliśmy Cieleckiego z Wiednia, zwłaszcza gdy tam tyle rozmaitych kupców na broń pojawiło się i z taką postępowano nieostrożnością, że prawie niepodobieństwem było cośkolwiek działać. Prócz Cieleckiego bowiem był Topolnicki szukając 50 sztuk dla Bratniej Pomocy, był jakiś wysłaniec z Hrubieszowskiego; inny od komitetu centralnego i Bóg wie jeszcze od kogo. Wysławszy tedy jeszcze 50 sztuk dla nas, również jak i pod adresem przez nas wskazanym, sztuki przez Topolnickiego zakupione, wrócił Cielecki do domu. Odebraliśmy 50 sztuk i te odesłano do Cywkowa, drugie 50 Bratnia Pomoc do państwa Zarzyckiego, gdzie też złożone, a potem niejakiemu Wolfowi, który od Lelewela za bronią przybył, za gotowe pieniądze przez Bratników sprzedane zostały!

Nadszedł także z Krakowa umówiony telegram od Funkenstona donoszący, że partya broni zamówionej nadeszła. Wnet Sapiaha posłał Kirchmayerowi asygnację pieniężną, która miała służyć na wypłacenie należności Anglikowi, lecz jeszcze nie odjechał był nasz wysłannik, który miał broń odebrać i dowiedziawszy się, gdzie ją Langiewicz mieć pragnie, odesłaniem takowej zająć się, gdy nadjechał kuryer z Krakowa z doniesieniem, że broń skonfiskowano; nadeszła ona jako wino w antałach – na dworcu zaświdrowano antał i tym sposobem rzecz została zdradzona. Wystawić sobie łatwo nasze zmartwienie; lecz zapewniono nas, że tam najwięcej 500 sztuk mogło być, że dano znać o tym wypadku komu należy i względem reszty broni możemy być spokojni. Jakoż w parę dni dowiadujemy się znowu przez telegram, że broń nadeszła i z dworca szczęśliwie do pewnego magazynu usuniętą została. Ponieważ już na wypadek nadejścia dalszej przysyłki, przez kuryera krakowskiego ułożyliśmy się byli, by nie odnosząc się już do nas, 1000 karabinów posłano Langiewiczowi, więc nie zajmowaliśmy się już bliżej ową do Krakowa nadesłaną bronią, ile że całą naszą czujność zwrócić należało na gotujący się oddział, młodzież bowiem nie chciała już



dłużej czekać, zwłaszcza, że ją podzegli jacyś ludzie to z Węgier, to z Wołoszczyzny przybyli. Pojawił się jakiś Niary w Stryjskiem u Jaźwińskiego, o którym mówiono, że przybył z 40 towarzyszami, z bronią, końmi, wozami etc. Prosililiśmy, by pozostał na miejscu, aż nadejdzie chwila wymarszu oddziału, a wtedy da mu się znać i będzie mógł z tym oddziałem połączyć się na granicy. Lecz donoszono nam ciągle, że Niary czekać nie chce, co rozchodząc się po mieście irytowało młodzież i wywoływało wykrzykiwania, że komitet nie tylko sam nie wysyła oddziału, ale nawet zabrania oddziałowi już zorganizowanemu i niepotrzebującemu nic od komitetu, udania się do powstania. Potem pokazało się, że ten oddział Niarego, składał się z niego i jego służącego; kto był ten Niary? — nie wiem; protegował go Jaźwiński, o którym później dowiedzieliśmy się, że należy do innej organizacji — naszej i ofiary i wszelkich usług odmawiał. Niary ten nie czekając aż mu znać damy, pojechał sobie w Żółkiewskie i tam znów ludzi bałamucił baśnią o swym oddziale, który z powodu, że go komitet zawodził tak długo, stopniał do kilku ludzi i jednego wózka węgierskiego; lecz ani z oddziałem Czechowskiego ani Lelewela, ani Jeziorańskiego, ani Zapałowicza, ani Wysockiego nie połączył się, dopiero gdy najzapaleńsi, (a ci mieli słabość do ludzi, których nikt nie znał) zaczęli krzywo nań patrzeć, poszedł w sierpniu z oddziałem Lelewela i zginął; zdaje się więc, że to był człowiek poczciwy, a grzechem jego była tylko fanfaronada i chęć uchodzenia za coś wielkiego.

Prócz oddziału Niarego pojawił się także oddział wołoski pod dowództwem Matejki; oddział ten składający się z emigrantów bawiących na Wołoszczyźnie, przerznął się od granicy multańskiej, aż w obwód brzeżański, i nic nie słuchając tutejszej organizacji, szedł sobie wytkniętą przez kogo innego drogą, a choć mu powiedziano, że za parę dni wyjdzie oddział w Lubelskie, ruszył, rekwirując po dworach podwoły, przez Samborskie, Sanockie ku Krakowowi.

Podczas tych zawichrzeń dochodzą nas wieści, że w tem wszystkim ma swe ręce Maciejowski, że Maciejowski dla nas tak wylany, tak na wszystko co postanawiamy zgadzający się, psy na nas wieszają poza plecami naszymi i w najściślejszych zostaje stosunkach z pozostałkami komitetu rewolucyjnego, że

jest agentem Mierosławskiego. Gdy więc raz zaczął coś mówić, że odjedzie do obozu Langiewicza, my niedowierzając mu, ile, że dowiedzieliśmy się, że podczas bytności swej we Lwowie, potajemnie jeździł do Sambora i Stryja i tam miewał konszachty z ludźmi, którzy jawnie przeciw naszej organizacyi oświadczyli się, dodaliśmy mu z naszej strony Fabiana Netrebskiego, byłego oficera inżynierów, poczciwego, zdolnego i odważnego chłopca, jako kuryera do Langiewicza, polecając mu, aby Maciejowskiego nie opuszczał z oka, i nie dawczy mu się znieść w Krakowie z Mierosławskim, wprost do obozu Langiewicza odstawił, co też Netrebski spełnił jak najsumienniejsz, używając parę razy, gdy po przekroczeniu granicy Maciejowski chciał dać kominka, argumentu rewolwerowego. W obozie Langiewicza przyjęcie Maciejowskiego było jak najserdeczniejsze, Langiewicz go uściskał, nazwał przyjacielem, widać więc, że Maciejowski potrafił być zyskać sobie i zaufanie i przyjaźń Langiewicza, który z postępowania Netrebskiego śmiał się do rozpuku, chwalać wszelako jego żołnierską służbistość. Netrebski wrócił z prośbą od Langiewicza o przysłanie broni i o wysłanie oddziału w Lubelskie, celem zatrudnienia Moskali na prawym brzegu Wisły, podczas gdy on będzie manewrował na lewym. Zgłupieliśmy, usłyszawszy relacyę Netrebskiego o przyjęciu Maciejowskiego przez Langiewicza, a niektórzy między nami zaczęli nawet żałować, że mogli go podejrywać o dwuznaczność; później wszakże dowiedzieliśmy się, że Maciejowski przy najpierwszej sposobności opuścił hufiec Langiewicza i udał się do Krakowa, gdzie jako otwarty zwolennik Mierosławskiego, nie mało się przyczynił do intryg przeciw Langiewiczowi.

W owym czasie przybył do Lwowa generał Wysocki i stanął na kwaterze u Kaczkowskiego, nie znosząc się bynajmniej z nami. Chwile wielkie w życiu narodów, wielkich wymagają poświęceń, do wielkich zaś poświęceń prowadzi tylko myśl wielka, a myślą wielką może być tylko prawda. Gdzież była ta prawda przy wybuchu powstania? Komitet centralny wydał proklamacyę, w której ogłosił tę wielką myśl, za którą powołany do broni naród miał walczyć; równouprawnienie stanów i wyznań, nadanie chłopom własności i obywatelskich praw. Myśl zaiste wielka! ale gdzież była choćby najmniejsza gwarancya,

że ludzie co tę myśl powstaniu dali za hasło, są sami myślą tą przejęci, myśl tę, a nie inną, przeprowadzić przez powstanie zamierzają? Jedyłą gwarancją była pieczęć z orłem i pogonią, ale pieczętkę taką pierwszy lepszy, nawet wróg nasz, mógł posiadać, a tajemem nie było, że Moskwa chciała i dążyła do wywołania powstania. Jak długo spiskowano, przygotowywano powstanie, władza tajna była na swoim miejscu, ale powstania jawnego fikcyja, pieczęcią, prowadzić nie można. Powstanie, które się nie zdobędzie na rząd jawny, zginąć musi w peryodzie niemowlęstwa. Historia przedstawia wiele przykładów wielkich konspiracji przygotowujących w tajemnicy idee i środki do zbrojnej walki, ale nie znamy ani rewolucyi, ani powstania, posiadających warunki zwycięstwa, pod kierunkiem tajnego rządu. Stronnictwo czerwonych, które chciało powstania i które obaliwszy napadem komitet centralny (szary), hasło do powstania wydało, nie miało nawet pojęcia o potrzebach powstania; stronnictwo zaś szarych i białych odpychało lub na teraz, lub wogólności myśl powstania i marnowało swe zasoby i siły w intrygach przeciw czerwonym. Rząd zaś rosyjski skorzystał z zarozumiałości czerwonych i zmusił ich do powstania, aby raz przecież skończyć z niebezpieczną agitacją i to było powodem, że powstanie Styczniowe nie zdopyło się na rząd jawny i pozostało przy rządzie tajnym, fikcyjnym, pieczętkowym, nieujętem ani w dobrem, ani w złem, nieodpowiedzialnym, bo niewidomym, a tem samem nie dającym żadnej gwarancyi ani narodowi, ani zagranicy. Tak dalej zostać nie mogło; teraz szło o prowadzenie wojny, a nikt nie zaprzeczy, że pomyślność jej od jedności ducha, od jedrności komendy, a nawet od entuzjazmu narodu nie mało zależy; tego zaś nie można się było spodziewać od rządu niewidomego, a co chwila zmieniającego się w swym składzie. Bo czyż można się było spodziewać, że naród da potrzebne do prowadzenia wojny pieniądze, jeśli nie będzie wiedział komu je daje i nie będzie miał gwarancyi, że pieniądze istotnie na ten cel obrócone będą? Czy nie należało się obawiać, że indywidualności zdalniejsze, w któreśmy niestety byli bardzo ubodzy, zamiast kupienia się około siebie będą aggregować ekscentryczne kupy i tworzyć rozliczne partye, a wszystkie dla dodania sobie większej wagi, podsywać pod rząd, co przy tajności tegoż było możliwem, a w następ-

stwach swych stać się musiało jak najszkodliwszem dla sprawy. Nareszcie sprawa nasza wzbudziła sympatyę narodów, na której budować wprawdzie nie należało, lecz której lekceważyć nie godziło się. Dotąd bronili proskrybowani swą wolność i swe życie, trzeba było ruchom tym nadać charakter powstania narodowego, przez postawienie rządu narodowego, a robiąc go jawnym, dać mu możliwość wejścia w związki z innymi narodami; bowiem narody przez rządy tylko swoje wchodzą w związki wzajemne i działają — i nie można się było spodziewać, że którykolwiek rząd, zechce z fikcją wchodzić w związki — a rząd tajny, reprezentowany li przez pieczętkę, był istotnie tylko fikcją rządu. Tego wszystkiego nie pojmowali ludzie, którzy rozbiwszy dawniejszy komitet centralny, jego miejsce zajęli i urzędowanie swoje nakazaniem powstania rozpoczęli.

Powstanie wybuchło, a nowy komitet nie wiedząc co dalej począć, powołał do swego grona tych sanych ludzi, których niedawno jako mniemanych zdrajców napędzono. Pod wpływem tedy tych nowo przybranych, a dalej widzących członków, zdecydował komitet centralny, by naradziwszy się z komitetem poznańskim, krakowskim czyli Galicyi zachodniej i lwowskim czyli Galicyi wschodniej, ustanowić rząd jawny, i z tą to propozycją przyjechał Bętkowski do nas do Lwowa. Byliśmy jednogłośnie za tem, a gdy ktoś zrobił zapytanie: co się stanie z dyktaturą Mierosławskiego, która wprawdzie nie była dotąd ogłoszoną, lecz o której ustanowienie przez komitet centralny słyszeliśmy, wyjaśnił nam Bętkowski, że dyktatura była nadana warunkowo, a warunku tego Mierosławski nie wypełnił, więc władza jego ustała. Przyrzekliśmy więc, że dla ostatecznego ukonstytuowania rządu narodowego poszliśmy naszego delegata do Krakowa, dokąd miał przyjechać delegat komitetu centralnego i delegat poznański, — uradzono także by tamże na ten cel zaprosić Wysockiego, jako powagę stronnictwa ruchu, czyli tak zwanego czerwonego, co też nastąpiło za pośrednictwem Bętkowskiego; Wysocki przyjął zaprosiny, a my z naszej strony przeznaczyliliśmy na delegata Sapięgę Adama.

Tymczasem przygotowania do wysłania oddziału w Lubelskie zostały ukończone i postanowiono 10-go marca zacząć wyprowadzać ludzi do Cywkowa, dokąd już broń, amunicję i przy-

bory zawieziono. Parę dni przedtem zwołaliśmy oficerów, którzy się byli do oddziałów zgłosili, mianowicie Dunajewskiego, oficera z kampanii węgierskiej, którego sobie młodzież na dowódcę życzyła, Czyżewicza, rotmistrza z pułku kozaków tureckich i Zaplachtę, będącego jeszcze w służbie oficera artylerii austr. gotowego każdej chwili mundur austr. zamienić na burkę powstańcza. Dobrzański i Zaborowski (pseudonim), oficerowie w służbie austr., nie byli jeszcze do Lwowa przybyli. Gdy zgromadzonych oficerów zapytaliśmy, który z nich podejmie się objąć tymczasowe dowództwo nad wyprawę się mającym oddziałem, zanim coś postanowi Langiewicz, pod którego komendę oddział ten oddać zamierzaliśmy, (byliśmy bowiem tego zdania, że my mając tylko przeznaczenie wspierania powstania, nie mamy prawa i nie powinniśmy ustanawiać w oddziałach, któreśmy mieli za granicę wysyłać, żadnej władzy, któraby działać miała tam, gdzie rządził komitet centralny; ponieważ zaś z komitetem centralnym znieść się nie mogliśmy, więc chcieliśmy nasz oddział oddać do dyspozycji generała, przez tenże komitet mianowanego), Czyżewicz, któremu jako najstarszemu rangą, pierwszy głos dano, oświadczył, że będąc oficerem kawaleryi, nie może się podjąć dowódzwa oddziału składającego się głównie z piechoty, — Zaplachta ze swej strony odpowiedział znów, że chociaż zna musztrę infanterii, wszelako jako nie mający dość doświadczenia, dowódzwa się nie podejmuje. Dunajewski zaś z całą siebie pewnością oświadczył, że dowódzwo przyjmuje, gdy mu takowe komitet nada. Gdy Dunajewskiego powierzchowność i sposób wyrażania się zdradzająca płytkość głowy, jakoś się nam nie bardzo podobały, więc chociaż nie było naszej wojskowej powagi Gołuchowskiego, zapytał ktoś z nas Dunajewskiego, jaką też on miał szarżę w wojsku. Szarżę — niejedną robiłem podczas kampanii węgierskiej, odrzekł Dunajewski. Spojrzeliśmy po sobie, a Golejewski gryząc się w usta, by nie wybuchnąć śmiechem, zapytał go: ale jaki stopień pan miałeś? Jaki stopień miałem? odrzekł na to, byłem najprzód szeregowcem, potem podoficerem, a potem zostałem oficerem. Po tem wyjaśnieniu co do szarży, zapytał go ktoś: jakże pan myślisz ten oddział prowadzić, jaki pan masz plan? A cóż za plan, rzekł na to Dunajewski, pójdę za granicę i będę

się bił. — Był to w rzeczy samej nie zły plan, ale jakoś pan Dunajewski coraz mniej w nas rozbudzał zaufania; nie chcąc tedy przez zamianowanie go dowódcą brać na się odpowiedzialności za skutki jego dowództwa, gdy ani Zaplachta ani Czyżewicz dowodzić nie podejmowali się, Dobrzańskiego zaś i Zaborowskiego nie było, a tu czas naglił, postanowiliśmy posłać tych trzech panów do generała Wysockiego, aby zbadawszy, jako znawca, ich zdolności, wybrał z pomiędzy nich dowódcę. Chętnie na to wszyscy trzej przystali, i tegoż dnia jeszcze generałowi Wysockiemu przedstawili się, który dowiedziawszy się o co idzie, Zaplachtę zamianował majorem, Czyżewicza komendantem kawaleryi, na dowódcę zaś przeznaczył byłego w. p. kapitana Czechowskiego, mianując go pułkownikiem. Czechowski, znany tu z r. 1848 organizator gwardyi narodowej, przybył był z Wysockim do kraju i wedle twierdzenia tegoż, gotów był przyjąć dowództwo oddziału. Usłyszawszy to, a sądząc, że Czechowski jako stary żołnierz, przytem i rangą starszy od wszystkich oficerów, którzy się zgłosili byli, a do tego przez Wysockiego wybrany, najlepiej zadaniu dowódcy odpowie, kazaliśmy prosić Wysockiego, by nam tego nieocenionego dowódcę sprowadził.

W tem pojawia się w mieszkaniu Golejewskiego, gdzie się wówczas komitet zwykł był zbierać, jakiś jegomość dwadzieścia kilka lat liczyć mogący, nizki, krępy, ruchów dość pospolitych, w ciemno szafirowych okularach na nosie, (takie okulary nosili jak się potem przekonałem ludzie, którzy nie życzyli sobie, aby inni zobaczyć mogli, co im z oczu patrzy) i okazując nominację na komisarza wojennego przy oddziałach powstańczych w Lubelskiem, opiewającą na imię Nikeforow, a opatrzoną pieczęcią komitetu centralnego, — pyta nas, kiedy oddział odchodzi? z wielu ludzi się składa? w którym miejscu broń się znajduje? czyli i któredy powyznaczone etapy etc. etc.? gdyż on jako komisarz wojenny musi o tem wiedzieć, mając polecenie prowadzenia tego oddziału. Było to pierwsze nasze zetknięcie się z urzędnikiem narodowym, żądającym od nas wyjaśnienia tajemnicy, od której zachowania zawisł los oddziału, a nie dającym nam żadnej gwarancyi swej uczciwości, prócz kawałka papieru z pieczęcią, którą tu pierwszy lepszy pieczętkarz za dwa złote

dostarczyłby zdołał. Oczywiście żeśmy mu na te wszystkie pytania, jednym oddechem zadane, odpowiedzieli, że o żadnym oddziale i żadnej broni nic nie wiemy, a gdy pan Nikeforow na to rzekł, że przecież znajduje się w komitecie, który zajmuje się wysyłaniem oddziałów, oświadczyliśmy mu, że się myli, ale gdyby nawet i tak było, to panu Nikeforowi, którego nie mamy zaszczytu znać, na pytanie jego nie mogliśmy odpowiedzieć. Przecież panom okazałem moją nominację, zawołał Nikeforow, a gdy mu Golejewski na to rzekł, że nominację mógł sobie sam wystawić albo ją komuś innemu, dla kogo była wystawiona, jakimś sposobem odebrać, Nikeforow oburzony, nie zważając, że okno otwarte i każde głośniejsze wymówione słowo na ulicy słyszaniem być może, zaczął nam wyrzucać, że nie szanujemy rozkazów rządu narodowego, że urzędnika tegoż rządu obrażamy i że zażąda satysfakcji.

Na to Golejewski, nie mogąc się powstrzymać, zamknął okno i podniósłszy głos jeszcze wyżej niż p. Nikeforow, zląkał go, nazywając go po prostu smarkaczem i oświadczył, że wachawszy już proch wówczas, gdy pana Nikeforowa na świecie jeszcze nie było, satysfakcję mu wszelką dać gotów. Zmiękł jakoś p. Nikeforow, a wzięwszy z pomiędzy leżących na stoliku cygar jedno i zapaliwszy je zaczął przeproszać, że się uniósł, że mamy może słuszość, iż mu nie chcemy ufać, powołał się więc na generała Wysockiego, z którym wczoraj widział się w Krakowie. Nie było już wątplenia, że to oszust, powiedziawszy mu więc, że to jest kłamstwem, ponieważ Generał Wysocki bawi tu od tygodnia, a nawet wczoraj wieczór mieliśmy z nim interes, wyprosililiśmy pana Nikeforowa za drzwi. Działo się to przedpołudniem; po obiedzie dowiadujemy się, że pan Nikeforow w hotelu Dreznera werbuje ochotników do oddziałów, że wysłał kuryera do Sambora z poleceniem, aby tamtejsi ochotnicy, którzy otrzymali byli od nas rozkaz udania się wprost do Cykwowa, przybywali do Lwowa; po przybyciu zaś pociągu dowiadujemy się przez kuryera z Rzeszowa, że oddział Matejki, który już w tamte strony był przybył, przez przejeżdżającego jakiegoś pana Nikeforowa dostał polecenie wracania do Lwowa, i żąda furmanek. Posyłamy do Wysockiego, ponieważ na niego ów Nikeforów powoływał się i każemy go się pytać: czy zna Nikeforowa i co to za człowiek. Po opisanii

osoby Nikeforowa, rzekł Wysocki: „a to ten hultaj Dąbrowski, który miał z niedobitków Kurowskiego oddział 200 ludzi prowadzić do Langiewicza, i pod pozorem, że chce rekognoskować okolicę, zostawił ludzi w lesie, a sam drapnął do Krakowa; bądźcie spokojni, ja go każę zaraz zawołać;” jakoż posłał po niego do hotelu Drezdnera, a gdy się stawił, zburczał go, odebrał i zniszczył nominację, pozwalając mu wszakże iść jako szeregowiec do powstania, i walecznością zmazać plamę dawniejszego postępowania.

Pozbyliśmy się tym sposobem komisarza wojennego, lecz nie mogliśmy przeszkodzić, że kilkunastu ochotników z Sambora przybyło na jego wezwanie do Lwowa po części z bronią, po części tylko ubrani jako powstańcy, co zwróciło na nich natychmiast oczy policyi i spowodowało ich aresztowanie. To był pierwszy skutek rządzenia we Lwowie z Warszawy!

Dotąd jak nadmienilem nie byliśmy z Wysockim w żadnych stosunkach. Wskutek tego, że oficerów naszego oddziału do niego posłaliśmy i na niego nominację dowódcy zdaliśmy, Wysocki zażądał widzenia się z nami, na co jak najchętniej przystaliśmy. Nie wiedzieliśmy także czy i jaki urząd Wysocki piastuje, chociaż nam tu pewność, z jaką Zaplachę zamianował majorem, a Czechowskiego pułkownikiem i dowódcą, z jaką nareszcie Nikeforowi odebrał nominację od komitetu centralnego pochodząca, a pozwolił mu służyć w oddziale, kazała się domyślać, że był wielką figurą. Gdyśmy się zeszli u Sapiehy z Wysockim, usłyszeliśmy najpierw z ust jego, że chociaż Smolke i mnie znał osobiście i wysoko nas cenił, wszelako przybywszy tu nie znosi się z nami i dowiedziawszy się, żeśmy się zmienili, że podczas gdy mieszczaństwo Kongresówki chwyciło za broń, my „ongi demokraci“ połączyliśmy się ze szlachtą, by wszelkimi siłami przeszkadzać wszelkiej z Galicyi pomocy dla powstania, lecz przekonawszy się, że my chcemy jakiś oddział wysłać, przyszedł do nas, by z nami pomówić. Uśmiechnęliśmy się na tę przedmowę, ja zaś, który do niedawna odbierałem od Wysockiego przez rozmaitych z Francyi wracających ludzi najserdeczniejsze pozdrowienia, zapytałem go, jak znając mnie od dawna mógł na pierwszą lepszą insynuację uznać mnie za zmiennika? Tak, tak, odrzekł Wysocki, mój panie Ziemiałkowski,



byłeś czerwonym, ale opinia publiczna mówi żeś się połączył ze szlachta, żeś został białym. Mój panie Wysocki, rzekłem na to: opinia publiczna od dawna mówi żeś si wy, a ja nie wierzyłem temu. — Nastąpiła cisza, a gdy Wysocki zdawał się nie chcieć rozumieć dwuznaczności tego słowa, zaczęto mówić o czemś innym. Nareszcie Wysocki wyjął z zanadza jakieś pisma i kładąc je na stół, oświadczył, że to jest legitymacya władzy, jaką tu dzierży z ramienia komitetu centralnego. Był to dekret zaopatrzoney pieczęcią, mianujący Mierosławskiego naczelnym wodzem wszystkich hucłów powstańczych na prawym brzegu Wisły, a Wysockiego takim samym naczelnikiem na lewym brzegu Wisły. Gdy Wysocki okazując nam ten dekret, nazwał go legitymacją władzy, jaką tu dzierży, tu zaś jest prawy brzeg Wisły, zwróciliśmy na to uwagę jego, Wysocki, przetańszy zażawione oczy, zaczął czytać dotyczące miejsce dekretu, a przekonawszy się naocznie, że istotnie jest naczelnikiem lewego, nie zaś prawego brzegu, oświadczył, że to myłka. Mówiliśmy jeszcze to o tem to o owem, a gdy Wysocki odszedł, staliśmy przez kilka minut patrząc jeden na drugiego, a nie śmiejąc słowa przemówić: jakto w dekrecie komitetu centr. nadającym naczelnictwo wojskowe, myłka tego rodzaju? Jakto, generał Wysocki, który od tak dawna dekret ten miał w kieszeni i tu na mocy tego dekretu różne przedsiębrał czynności, nie wiedział dotąd, że taka myłka w nim się znajduje? Rozeszliśmy się późno w nocy pod wrażeniem tego cośmy widzieli i słyszeli, rozmaite, wszelako bynajmniej nie pocieszające rojąc myśli i domysły.

Zbliżał się termin wyprawy oddziału. Zawezwaliśmy Puchalskiego, wiarusa z roku 1830 zamieszkałego w przemyskiem i znajdującego wszystkie dwory w okolicy, w której oddział miał się koncentrować. Poleciliśmy mu, by wytknął dwie lub trzy ruty stosowne do Cywkowa i zawiadomił dwory, by miały gotowe furmanki i żywność. Gdy czynność ta została załatwioną, polecono komisji ekspedycyjnej, aby 10-go marca zaczęła wysyłać ochotników wszystkiemi trzema rutami; posłano kurjera w żólkiewskie, by tam czekających ochotników zawezwano do wymarszu, nareszcie zamianowano Maśłowskiego, mieszkającego w sąsiedztwie Cywkowa, komisarzem granicznym, poleciwszy mu przeprowadzenie przybywających do Cywkowa ochotników na miejsce w lesie na obóz wyznaczone i za-

opatrzenie onego w żywność dla ludzi i koni. Gdy już pierwsze oddziały wyruszyły, zgłasza się Juliusz Starkel, okazując nominację na komisarza wojennego tegoż oddziału, podpisaną przez Wysokiego; Juliusz Starkel, pocziwy redaktor „Dzwonka”, poeta, literat, nie znający nikogo i nieznany osobiście przez nikogo w okolicy, przez którą ochotnicy przechodzić mieli, nie mający wyobrażenia ani o wojskowości, ani o administracji jakiej takiej, Juliusz Starkel komisarzem wojennym — to przechodziło nasze pojęcie.

Znałem tę pocziwą duszę, ale wiedziałem z doświadczenia, że najmniejszego praktycznego zmysłu niema, że w najdrobniejszych rzeczach poradzić sobie nie umie; zapytałem go więc z rodzajem wyrzutu: a czy znasz pan obowiązki komisarza rządowego? A gdy zarumieniwszy się nie odpowiedział, zapytałem go dalej: czy znasz pan kogo w okolicy, przez którą oddziały maszerują, by w razie potrzeby zażądać pomocy? Nie znam nikogo, odrzekł i nie wiem właściwie jaka moja funkcya — dano mi tę nominację i kazano mi iść z oddziałem.

Czegoż pan żadasz od nas? my jednemu z obywateli poruczyliśmy już przygotowanie wszystkiego, co potrzebnem jest do przeprowadzenia ochotników do Cywkowa, a innemu znowu obmyślenie miejsca na obóz nad granicą, idź pan więc z którymkolwiek oddziałkiem, to się pan dostaniesz do obozu i tam pan przedstaw się dowódcy Czechowskiemu, który będzie wiedział co z panem począć. Lecz ja muszę naszych ludzi prowadzić, rzecze mi na to Sztarkel. Co to znaczy „naszych“ ludzi zapytałem, wiedząc, że Sztarkel jest członkiem komitetu Bratniej pomocy i domyślając się, że przez to oznacza zwolenników tego komitetu; my przygotowaliśmy broń, amunicję, przybory i środki transportu dla wszystkich, którzy chcą iść walczyć za naszą ojczyznę, każdy więc, który chce iść z oddziałem to „nasz“. Ależto, wycedził pan Sztarkel, my się umówili, że pójdziemy osobno. Ha, zawołałem, to idźcie w imię Boże! czegoż wiec pan chcesz? My nie mamy pieniędzy na drogę odrzekł Sztarkel.

Chcąc położyć koniec tym rozróżnianiom: „nasze, wasze“ i dać Bratniej pomocy namacalny dowód, że nie tworzymy i nie chcemy tworzyć jakiegoś stronnictwa, że nam jedynie idzie o wspieranie powstania, daliśmy mu tysiąc złotych w. a., gdyż tyle żądał, na transport stu ludzi ze Lwowa do Cywkowa.

11-go, 12-go, 13-go marca odchodzili ochotnicy; broni było w Cywkowie tylko 300, spisano więc tylko tyle ochotniów i tyle tylko wyprawiać miano, lecz gdy się dowiedziała młodzież, że oddział ma odchodzić, nie podobnabyło nikogo powstrzymać, pieszo, koleją żelazną, furmankami dążono do Przemyśla lub Jarosławia, a ztamtąd do Cywkowa, gdzie w lesie nad samą granicą powstał formalny obóz, czyszczono broń, pasowano przybory, palono ogień, gotowano jeść kompaniami; prócz Zaplachty i Czyżewicza znajdowali się już tam Dąbcański, Zaborowski, obydwaj zamianowani majorami i major Eckert z emigracyi, jako dowódzcy kompanii piechoty, strzelców i szwadronu jazdy; okoliczna szlachta zwoziła jadło i napoje, chłopci sprzedawali mleko i jaja, żandarmi pytających o drogę do obozu, przyprowadzali na miejsce i uraczeni wracali na swe stacye — tak to trwało aż do 15-go, którego to dnia raniutęko przekroczono granicę. Oddział ten składał się z 400 do 450 ludzi. jazdy było 30 koni, piesi wszyscy uzbrojeni byli częścią w sztucce belgijskie, częścią w inną broń palną. Szefem był Zaborowski, adjutantem sztabu zaś Bobowski, były oficer austriacki.

*moj dobry m.*

Co się działo za granicą, tego opisywać nie będę, bo tam nie byłem, a różni różnie opowiadają. Na drugi dzień po przejściu granicy, było w Cywkowie nowych przybyszów do dwustu, między tymi „nasi“ Sztarkla. Broni innej prócz kos nie było, nie było też nikogo, kogoby słuchać byli chcieli. Junga, były oficer austriacki, utrzymywał jak mógł jaki taki porządek, Ruckiego, którego Sztarkel, czy ktoś inny na dowódcę przedstawił, nie chciano akceptować; Masłowski radził, by szli za Czechowskim i starali się z nim połączyć, uzbroiwszy się w pozostałe kosy, posłał nawet zagranicę, by się dowiedzieć, gdzie Czechowski się znajduje; lecz nim Czechowskiego odszukano, nim wysłany przez niego adjutant Karol Lewakowski zdążył do granicy, by ich zabrać z sobą, już Moskale rozbili oddział Czechowskiego a biedny „komisarz wojenny“, straciwszy na tę wieść głowę, nie troszcząc się, co się dalej stanie z wracającymi do Galicyi powstańcami, przybył do Lwowa z wiadomością — że Czechowski rozbity.

Tu muszę o dni kilka wstecz się cofnąć. Nim jeszcze pierwsi ochotnicy oddziału Czechowskiego ze Lwowa wyruszyli, zawezwano naszego delegata do Krakowa na zjazd przez Bętkowskiego zapowiedziany.

Delegatem z naszej strony był Sapieha, udał się on natychmiast do Krakowa, dokąd także Wysocki podążył. Na drugi czy trzeci dzień po przybyciu do Krakowa zawiadomił nas Sapieha kuryerem, że pełnomocnik komitetu centralnego Grabowski proponuje, by Langiewicza zamianować dyktatorem, przydając mu Wysockiego jako ministra wojny, Bętkowskiego jako szefa sztabu i sekretarza dyplomatycznego i dwóch jeszcze obywateli, których się wybierze, jednego jako ministra administracji, drugiego jako finansów. Ministrowie mają stanowić razem z dyktatorem rząd narodowy a każde rozporządzenie rządu ma być kontrasygnowane przez Bętkowskiego; reszta członków rządu, prócz sekretarza, ma być tajną. Na zapytanie co ma robić, wysłaliśmy do niego Golejewskiego z poleceniem, aby, jeśli delegat Poznański zgodzi się na dyktaturę Langiewicza, z naszej strony na to przystać.

Tym sposobem powstała dyktatura Langiewicza. Wszystko co Mierosławszczycy o jej powstaniu głoszą, mianowicie jakoby ją arystokracja galicyjska dla zgubienia powstania stworzyła, jest kłamstwem poczciwych ludzi niegodnem. Dowodzą oni, że sama myśl dyktatury była zgubną, nie wchodzą w to, ależ oni pierwsi dyktaturę ustanowili, a Mierosławski nie dla tego przeciw dyktaturze Langiewicza protestował, że dyktaturę uważał za zgubną dla powstania, lecz że ją dla siebie windykował.

Delegaci w Krakowie zebrani, przybyli tam z postanowieniem utworzenia rządu widomego, bo fikcją jakąś rządu, prowadzić powstania nie można było dalej; przyjęli dyktaturę jako formę rządu, bo tę formę w chwili wybuchu postanowiono; odjęto jej tylko absolutność, przez dodanie ministrów i sekretarza, że zaś wybór padł na Langiewicza, to się tłumaczy po prostu tem, że był najpopularniejszym z dowódców, a ci co go znali osobiście, za uczciwość i zacność charakteru ręczyli. Prawda, że dyktatura Langiewicza długo nie trwała, że się skończyła rozproszeniem oddziału przeszło cztery tysiące ludzi wynoszącego, i dostaniem się do niewoli austr. samego Langiewicza, z półtora tysiącem powstańców, którzy pod Smiechowskim granicę austr. przeszli. Ale czyż to był konieczny skutek dyktatury? czy nie przyczynił się do tego Bobrowski Stefan, który uzyskawszy podczas niebytności Grabowskiego, od komitetu centralnego nieograniczone pełnomocnictwo, kazał w obozie Langiewicza głosić,

że Grabowski nie miał pełnomocnictwa, że nominacja Langiewicza jest sprawką arystokracji i reakcyi? czy nie przyczynił się do tego mierośławszczyk Czapski, dowódzca kawalerji Langiewicza z 400 koni składającej się, który podczas bitwy z całą kawalerją zniknął i ściganie pobitych Moskali niemożliwem uczynił? czy nie przyczyniła się do tej katastrofy nieszczęsnej, demoralizacja jaką Mierośławski przez swych z Krakowa wysłanych agentów w wojsku Langiewicza szerzyć nie przestawał? Jeśli, jak utrzymują, nie każda prawda może być powiedzianą, dlaczego każde kłamstwo może być powtarzanem? Zadekretowaliście powstanie, nic nie przygotowawszy, straciliście głowę, gdyście spostrzegli, że powstanie, to walka, a tu nie było ani kim, ani czem walczyć; pochowaliście się potem w bezpieczne miejsca, zamtąd obśliniając jadem wszystko co nie jest z wami. Zamiast uderzyć się w piersi, potępiacie drugich, którzy, by nierozważny wasz krok naprawić, — wolność i życie swe narażali, potępiacie wyrojonemi w waszych przewrotnych głowach kłamstwami, które głupia gawiedz za wami powtarza.

Jakie to tam były intrygi, nie wiem dokładnie; Bobrowski, który oskarżył Grabowskiego o nadużycie pełnomocnictwa i dyktaturę Langiewicza imieniem komitetu centralnego za nieważną ogłosił, został wysłany przez Grabowskiego na tamten świat; Wysocki, który zna niezawodnie prawdziwy stan rzeczy, milczy uporczywie i ma słuszość; kto zaś wówczas prócz Bobrowskiego zasiadał w komitecie centralnym, niewiadomo. Tyle pewna, że komitet centralny, dyktaturę Langiewicza uznał, i w „Ruchu“ ustanie swej władzy ogłosił; z czego wynika, że komitet centralny w postępowaniu swego pełnomocnika Grabowskiego nie widział nadużycia zaufania. Z drugiej strony znany jest światu czysty charakter Władysława Bętkowskiego, jego liberalny sposób myślenia, jego gorąca miłość ojczyzny, — a Bętkowski właśnie nas zawezwał do przybycia na zjazd celem ustanowienia rządu widomego, on po ogłoszeniu dyktatury Langiewicza, przyjął przy nim posadę szefa sztabu i sekretarza dyplomatycznego. Przy jego boku pozostał aż do chwili, w której Langiewicz zdradzony szyderyczym okrzykiem kilku uciekających mierośławszczyków „Niech żyje Dyktator“, przez austryaków został ujętym; to dla mnie gwarancją, że wybór Langiewicza na dyktatora nie był sprawką arystokracji galicyjskiej i nie był w celach reakcyjnych,

dla zabicia powstania, przeprowadzony. Wypada tu także nadmienić, jak się przy tej sposobności zachował generał Wysocki. Powiedziałem że pojechał do Krakowa na zjazd delegatów; tam z innymi zgodził się na dyktaturę Langiewicza i zezwolił, aby celem nadania tej dyktaturze miru u swego stronnictwa, w proklamacyi wydać się mającej, wyrażone było, że dyktatura ta, „ustanowioną została za zgodą generała Wysockiego“. Otóż gdy ta proklamacya już była pod prasą, zażądał Wysocki opuszczenia tych słów, a pytany o przyczynę, tłumaczył się, że mu się pełnomocnictwo Grabowskiego nie zdaje być całkiem w porządku; opuszczono więc owe słowa, a postępowanie Wysockiego tłumaczono sobie jego zmiennością w stosunkach z Mierosławskim i przypuszczano, że musiał się gdzieś z tymże ostatnim zejść i jego perswazyom uleść. Ale dla czegoż generał Wysocki, mimo powątpiewania o dostateczności pełnomocnictwa Grabowskiego, a więc o legalności wyboru Langiewicza, przyjął od tegoż nominację na ministra wojny i takową aż do ogłoszenia, że zgłosiła dyktatura Langiewicza, przez biorący napowrót władzę komitet centralny, zatrzymał? Do wytłumaczenia tego trzeba lepiej niż ja znać zasady sekty, do której pewna część emigracyi naszej należy; Wysocki wielokrotnie szedł zgodnie z tymi ludźmi, to znowu się od nich odłączał i przeciw nim działał. W historii Jezuitów spotykamy się często z najwierniejszymi ich adeptami podobnie postępującymi; wtedy gdy przeciw Jezuitom występowali, najlepiej zakonowi służyli... Wszak Maciejowski był powiernikiem generała Langiewicza; wszak Czapski przyjął od dyktatora Langiewicza nominację na generała kawaleryi, dla czegoż Wysocki nie miał przyjąć nominacyi na ministra wojny?

Jeden z towarzyszy więzienia, który czas jakiś w Krakowie razem z Wład. Bętkowskim siedział w więzieniu, udzielił mi następujących o dyktaturze Langiewicza szczegółów, które ma od Bętkowskiego.

W owym czasie, gdy w Krakowie Łubieński, jako reprezentant Poznańskiego, Leon Chrzanowski jako reprezentant Galicyi zachodniej, Adam Sapiaha jako reprezentant Galicyi wschodniej, a Grabowski, komisarz wojenny województwa krakowskiego i sandomierskiego, nakoniec Władysław Siemieński, szwagier późniejszego komisarza Jacka Siemieńskiego, jako naczelnik woje-

wództwa krakowskiego, nad ustanowieniem rządu jawnego rozdali — w Warszawie nie było wcale komitetu centralnego, pozostał tylko sekretarz komitetu, Królikowski, po nim najwyższym urzędnikiem Stefan Bobrowski, naczelnik miasta Warszawy. Grabowski więc nie miał żadnego pełnomocnictwa od komitetu centralnego, bo komitetu nie było. Za dyktaturą Langiewicza przemawiał najgoręcej Wł. Siemieński, a to z powodu, że był zdania, iż skoro Mierosławski ogłosi swą dyktaturę, (a dowiedziawszy się, że w tej chwili nie ma komitetu centralnego, łatwo by to uczynić mógł) obywatelstwo od powstańca odsunie się i o niczem wiedzieć nie zechce. Grabowski podzielał to zdanie, do którego i reszta delegatów przystąpiła; działał zaś Grabowski w dobrej wierze — rzad jakiś był koniecznie potrzebnym, komitetu centralnego nie było, więc ustanowieniem dyktatury Langiewicza nie sprzeniewierzał się żadnej władzy, a zapobiegł ogłoszeniu się Mierosławskiego dyktatorem, coby dla powstania, podług mniemania ich, było zgubnem.

W naradach nad dyktaturą Langiewicza, Bętkowski nie brał żadnego udziału i dowiedział się o tem, gdy rzecz już była skończoną. Tymczasem utworzył się nowy komitet centralny w Warszawie, który dowiedziawszy się z manifestu Langiewicza o przyjęciu przez niego dyktatury, abdykował i dyktaturę Langiewicza uznał.

Bobrowski wtedy przybył do Krakowa, i wytoczył tam sprawę Grabowskiemu o nadużycie władzy; pełnomocnictwa do tego od komitetu centr. Bobrowski nie miał żadnego; nie powstawał on wprost przeciw dyktaturze Langiewicza, lecz zaprzeczając Grabowskiemu wszelkiej kompetencji a zarzucając mu intrygowanie dał powód, że samą dyktaturę Langiewicza zaczęto uważać za plód intryg szlacheckich, reakcyjnych.

Czapski po pierwszych strzałach pod Grochowskimi z całą kawalerją uciekł do Krakowa. Gdy po bitwie pod Grochowskimi na radzie wojennej uchwalono podzielić korpus Langiewicza na trzy oddziały, pod dowództwem Smiechowskiego, Czechowskiego i jeszcze kogoś i ruszyć w różne strony, podczas gdy Langiewicz z Bętkowskim i Jeziorańskim mieli się udać do Krakowa, by tam połatwiać różne sprawy administracyjne, a potem udać się w Lubelskie, aby tam zwrócić główne siły moskiewskie, a tym sposobem oddziałom na lewym brzegu Wisły dać chwilę odetchnienia, Czechowski cichaczem wyniósł się

z kilkaset ludzi w góry świętokrzyskie, nie czekając rezultatu rady wojennej; a gdy Langiewicz z Bętkowskim i Jeziorańskim pod eskortą kilkunastu jeźdźców przybył na prom, przez który miał się do Galicyi przeprawić, już go był wyprzedził oddział Smiechowskiemu oddany i przeprawił się do Galicyi. Wtedy Langiewicz porzucając plan udania się do Krakowa, chciał przeprawiwszy się razem z innymi, wprost udać się w Lubelskie, lecz zdradzony wołaniem i odkazywaniem powstańców, został przez Austryaków przytrzymany. Bętkowski nie będąc nagabywanym dostał się do Krakowa.

Smutna to była chwila, gdyśmy się dowiedzieli o katastrofie oddziału Langiewicza! Czuł to każdy instynktowo, że jeśli Langiewicz przy pierwszym z Moskwą spotkaniu się, nie pobije jej, dyktatura jego zachwiać się może; lecz siły Langiewicza liczone najmniej na 4000 piechoty i 400 jazdy, opisywano entuzjazm z jakim oddział przyjął jego nominację na dyktatora; nie przypuszczano więc, aby w kilka dni później, cały ten oddział poszedł w rozsypkę, i to po wygranej bitwie; aby do półtora tysiąca ludzi uciekło do Galicyi, by Langiewicz sam dostał się do niewoli austr. Można powiedzieć, że tego dnia upadła wiara w pomyślny skutek powstania. W gronie komitetu Smolka, który jeszcze niedawno sam do Langiewicza się wybierał, bynajmniej teraz nie taił, a nawet przed młodzieżą zdanie swe objawiał, że już po powstaniu. Z prowincyi zaś kilku naczelników doniosło, że zaczynają się obywatela pytać: czy mają dalej broń zbierać i amunicję wyrabiać?

Katastrofą Langiewicza przerażony kraj, przyjął dość obojętnie wiadomość o rozbiciu Czechowskiego i powrocie rozbitków do kraju. Zginęło w tym oddziale kilku walecznych, między innemi młodszy Dąbcański, przepadła wszystka broń, z takimi mozołami zebrana, poporzucano ją po drodze lub na granicy Austryakom oddano; przepadły wszelkie przybory i wszystkie prawie konie zniszczono podczas tej 7 dni trwającej kampanii tak, że te, które wróciły, nie były już do użytku. Czechowski ukrył się w Przemyskiem, Bobrowski zdał w jego imieniu sprawę z tej wyprawy komitetowi naszemu i rachunek z pieniędzy, któreśmy Czechowskiemu byli dali na żołd dla oddziału i pierwsze nieprzewidziane potrzeby.

W wojnie, to tak jak w wojnie; raz się jest na wozie, drugi raz pod wozem.



Pobili naszych, wypadło więc starać się, by nasi pobili Moskwę; nie poddając się przeto smutkowi, wziął się komitet z tem większą energią do pracy. Posłano w Przemyskie osobnego człowieka z pieniędzmi, by od wieśniaków, którzy porozrzucaną broń i poporzucane konie podobywali, odkupić ile się da, polecono także by nawąłem cisnącą się młodzież tak z oddziału Langiewicza, jako też Czechowskiego, porozdzielać po dworach, tak, aby ich przytomność nie raziła władz, które już zaczęły chwycać powstańców i tutejszych odsyłać do domu, zagranicznych zaś wywozić do Morawy; głównem zaś zadaniem było postarać się o pieniądze. Nałożona bowiem ofiara 10%-towa, z której tylko część wpłynęła do komitetu, ile że najzamożniejsze obwody przeznaczono Gołuchowskiemu, została całkiem wyczerpana na wyprawę Czechowskiego. Rozpisano więc nową ofiarę 15%, polecono przygotowanie bielizny, wiktuałów i zarekwirowa-15%no po kilkadziesiąt koni wierzchowych z każdego obwodu. O bronii też pomyśleć należało. Z Pragi, gdzie Gross ulokował 10.000 złr., jakieś zawile nadchodziły przyrzeczenia, na które trudno było budować; pan Funkestone skrewił kompletnie, drugi bowiem transport, o którym nam donoszono z Krakowa, był czystą bajką, a on sam schwycony i zbity przez Moskali, czy nie mógł, czy nie chciał już myśleć o dotrzymaniu umowy. Poleciliśmy Topolnickiemu rozpatrzenie się za bronią w Wiedniu, mianując go stałym naszym agentem bronii, a poznawszy się z Jeziorańskim, postanowiliśmy z rozbitków Langiewicza i Czechowskiego uzbroić i wysłać w Lubelskie oddział pod dowództwem Jeziorańskiego, a równocześnie z tutejszej młodzieży drugi oddział pod Zapałowiczem (Zaplachtą).

Jeszcze przed wyjściem oddziału Czechowskiego schronił się był do Galicyi Leleweł z rozbitkami z pod Krasnostawu. Miał on tu przydziać trochę i podkarmić swych ludzi i zaopatrzywszy się w broń, amunicję, wyruszyć napowrót w Lubelskie. Gdy Leleweł do nas się nie udawał, lecz przez swoich agentów starał się o broń i amunicję, więc poleciwszy tylko organizacyi naszej, by o jego ludziach staranie miano, o broń i amunicję dla niego nie troszczyliśmy się i tylko 50 sztuków, które Wolf kupił był od Bratniej Pomocy, przyrzekliśmy przystawić drogą organizacyi, na miejsce nam wskazać się mające.

Po rozbiciu dopiero Czechowskiego, zgłosił się do nas Lelewel z wyrzutami, że o nim wcale nie pamiętamy etc. Wy tłumaczywszy mu, że nie wiedzieliśmy czyli czego potrzebuje, ile że pan Domherr, agent jego, do nas wcale się nie zgłaszał, lecz bezpośrednio sam działał, oświadczyliśmy, iż dla jego oddziału damy, co tylko będziemy mogli. Wyzaczył nam więc niejakiego p. Leliwę jako pełnomocnego i prosił, abyśmy trochę płaszców, butów, bielizny, broni i amunicji dostarczyli na miejsce, które Leliwa nam wskaże; przeprawę tych efektów przez granicę (Lelewel bowiem postanowił przeprowadzić najpierw efekta, a potem dopiero z ludźmi swymi granicę przekroczyć) miał uskutecznić Leliwa. Wskutek tego dostarczyliśmy panu Leliwie 100 płaszców, coś butów i bielizny, wszelką broń, którą po Czechowskim odkupić zdołaliśmy, prócz tego zaś 80 sztuków i do dwóch centnarów prochu, po większej części na ładunki wyrobionego. Wyruszył Lelewel, a z nim Mieczysław Romanowski, którego właśnie z więzienia wypuszczono. Drugiego czy trzeciego dnia napadli nań Moskale i rozbiwszy oddział, wpędzili do Galicji, gdzie prawie wszyscy Kongresowiaci dostali się w ręce Austryaków i do Ihlawy wywiezieni zostali. Romanowski zginął pierwszy, ugodzony kulą w czoło. Szedł z przecuciem, że zginie, mówił o tem gdy się zemną żegnał i tak tego był pewny, że nie chciał nawet matki, staruszki, pożegnać, by się nie wymówić przed nią z tem przecuciem i nie uprzedzać zmartwienia, które i tak nastąpić miało. Strata to wielka dla młodzieży, której był czołem, dla kraju, bo był niepospolitych zdolności i najgorętszej miłości ojczyzny, przy wielkiej zacności duszy; strata dla mnie, bo go kochałem jak brata. Niestety! najszlachetniejsi z pomiędzy młodzieży naszej tak poginęli; Tarnowski Julek, Jabłonowski, Wędrychowski Franio, Kozieradzki, Dąbczański, Rozwadowski — czy ich kule moskiewskie wybierały? nie! oni tylko nie unikali kul moskiewskich; gdyby wszyscy byli mieli ich odwagę, nie mielibyśmy byli uciekinierów, historia nasza byłaby o jedną kartkę uboższą, lecz sława narodu byłaby jaśniejszą. Podczas tej wyprawy kazał Lelewel powiesić Nikeforowa, złapawszy jego korespondencyę z dowódczą rosyjskim.

Wyparcie Lelewela przyczyniło nam roboty, bo chociaż Lelewel uchodząc do Galicji zakopał był broń, trzeba było zająć

się ulokowaniem ludzi, z oddziału jego pozostałych, lub świeżo do oddziału tego w Żółkiewskie nadciągających; trzeba było pomyśleć o amunicji i innych przyborach. Lecz mniejszą by to było rzeczą, gdyby nie narzekania Lelewela i jego stronników, a tych zyskiwał wszędzie, gdzie tylko pocziwą swoją duszę mógł wynętrzyć. — Narzekał zaś na komitet, że go zawiódł, że mu ani broni, ani amunicji, ani płaszczów przyrzeczonych nie dał. Skargi te dochodziły nas nie wprost od Lelewela, tylko z innych stron; sądziliśmy z początku, że to niechętni komitetowi głoszą, jak głosili, że komitet Czechowskiemu nie dał ani jednej sztuki broni i że broń, którą miał, pochodziła częścią od komitetu miejskiego, (który tenże nam sprzedał) częścią od Bratniej Pomocy, (która kupiwszy za pieniądze odemnie i od Młockiego otrzymane 50 sztuków, takowe Wolfowi sprzedała dla Lelewela, któremuśmy je dostawili) z początku więc nie zważaliśmy na te gadaniny, lecz gdy nam ludzie wiarogodni z Żółkiewskiego powiedzieli, iż zarzuty owe z własnych ust pana Marcina słyszeli, wskazaliśmy obywatela na granicy mieszkającego, który te efekta Leliwie oddał i zażądaliśmy konfrontacji Leliwy z tym obywatelem; lecz Leliwy gdzieś nie było, jeździł on, jak się pan Marcin wyrażał, po kraju, aby wyżebrać coś dla demokracji, którego komitet szlachecki ignoruje. Połknęliśmy tę gorzką pigułkę, a swoje dalej robiliśmy.

Jeszcze dla Czechowskiego szukając broni udawaliśmy się do tutejszych kupców. Sztillerowi ofiarowaliśmy po 5 fl. premii za każdy dostawiony karabin, lecz nie chciał się podjąć; Schwarz podjął się i wziął nawet zadatek, lecz osadził nas na lodzie, przyrzekał bowiem przez dwa tygodnie, że lada dzień nadejdzie trzysta karabinów, nareszcie w przeddzień wyjścia oddziału Czechowskiego zawiadomił, że broń przyszła do Gródka — posłano tam furi i odebrano paczkę, w której się znajdował pałasz, dwa pistolety i kiras! Po tym żarcie odebraliśmy zadatek i jak powiedziałem, wysłaliśmy do Wiednia Topolnickiego jako stałego ajenta. Nie poprzestaliśmy wszakże na tej jednej drodze. Smolka wskutek mowy swej w Radzie Państwa, za Węgrami powiedzianej, wszedł z nimi w bliższe stosunki, był się nawet z jednym z przewodzców liberalnego stronnictwa umówił o sposób porozumienia się, gdyby tego była potrzeba. Zdawało się, że z Wę-

gier przez Karpaty będzie można dostać broni, amunicji i terlic, których przyrządzenie u nas i wiele czasu wymagało i niebezpiecznym było, terlice bowiem jako nie używane w kraju, zwracały uwagę policyi. Postanowiliśmy więc spożytkować na rzecz powstania zawiązany z Węgrami przez Smolkę stosunek, a gdy Smolka doniósł komu należało w sposób umówiony, iż z jego strony ktoś chciałby w ważnym interesie z braćmi Madyarami rozmówić się, wyznaczono nam miejsce i dzień na konferencyę, i opisano znak, po którym osobę z ich strony delegowaną poznać będzie można. W skutek tego wysłaliśmy z naszej strony Zyg. Kozłowskiego do Węgier, gdzie też opisanego delegata węgierskiego spotkawszy, oświadczył mu, że potrzebujemy za gotowe pieniądze broni, amunicji i terlic; przyrzeczono wszystko ze strony węgierskiej, ułożono rutę przesyłek przez obwód sarnocki i rozjechano się. — Czekamy dotąd na spełnienie tej przyjacielskiej usługi ze strony braci Madiarów!

Podczas tych rokowań z Węgrami, przybył do Lwowa pan Sokołowski, młodzieniec dobrze ułożony i dobrze wystawiający się, przytem czerstwy i zbudowany tak, że mógłby być śmiało stać w pierwszym szeregu śp. grenadierów austriackich. Młodzieniec ten tymczasem miał urząd cywilny i chociaż w Kongresówce młodzież szła do obozów, on z Kongresówki przyjechał do Galicyi, jako komisarz rządu narodowego, (tak bowiem teraz komitet centralny warszawski tytułował się) dla ziem ruskich. Po kilkudniowym we Lwowie pobyciu i zapoznaniu się z Bratnią Pomocą, przedstawił się nam przez jednego z naszych paniczów, który go znał z zagranicy. Wrażenie, jakie na nas zrobił, da się chyba porównać z tem, jakiego się doznaje, widząc chłopczyka, któremu matka z pominięciem starszych braci, powierzyła jakiś sprawunek. Na samym wstępie palnął nam dobrze wystudowaną oracyą o potrzebie silnego i jednego rządu, o konieczności jednolitego działania, o szkodliwości organizacyi, która nie\*) od rządu stanowić chce państwo w państwie, nareszcie — przyznawszy nasze dobre chęci, przyznawszy, że tylko my możemy coś dla powstania zrobić, zakonkludował: byśmy naszą organizacyę rozwiązali, gdyż istnieje w Galicyi komitet inny

---

\*) Manuskrypt nieczytelny.

przez Rząd narodowy ustanowiony i „wyłącznie“ upoważniony do pobierania podatku na rzecz powstania i przygotowania wszelkiej innej pomocy.

Oddawna zyczyliśmy sobie zetknąć się z komitetem centralnym, następnie rządem narodowym; nareszcieśmy się z nimi zetknęli za pomocą jego umocowanego komisarza; przyznać trzeba, że na tak szorstkie zetknięcie się nie byliśmy przygotowani. Czy w tem była wina Rządu narodowego, czy wysłanych do nas komisarzy? dość, że nie na samym tylko Sokołowskim zrobiliśmy doświadczenie, iż panowie komisarze Rządu narodowego, jakby opętani byli austryacką urzędomością usiłującą wszystkie przekonania podgarnąć pod jeden i wyłączny kierunek, że przyjeżdżali tu z gotowemi formułkami, których przeprowadzenie bez względu czy do tutejszych stosunków licują lub nie, było ich głównem zadaniem i bardziej leżało na sercu, niż skuteczne popieranie powstania, że okazywali taką wyłączność, taki egoizm opinii, jaki się tylko w sektach wyradza, a który do tego posuwali stopnia, iż nie tylko nie używali do swej pomocy osób choćby najzdolniejszych i najskuteczniej sprawie służyć mogących, jeśli osoby te nie wchodziły w pierwiastkowy skład organizacji powstańczej, ale co więcej zabraniali nawet w ogólności takim osobom służyć powstaniu w inny sposób, jak pod postacią „*miseræ plebis contribuentis*“.

Widząc przed sobą próżnego studenta, chcącego exploatować patriotyzm naszej prowincyi na własne wyniesienie się i w tym celu formującego sobie jakieś stronnictwo, a to w chwili, w której wspólne wszystkich ojczyznę kochających Polaków działanie było tak potrzebnem, w chwili gdy przez wciągnięcie do wspólnej pracy członków komitetu miejskiego i bratniej pomocy, rozstrzelone z początku powstania siły w jedno łączyć zaczęliśmy ognisko, słuszną nas ogarnęła obawa, aby dwumiesięczne nasze w tym kierunku prace i usiłowania, przez niezajomość tutejszych stosunków i próżność pana komisarza nie zostały zniszczone; — zaczęliśmy mu więc objaśniać, w jaki sposób nasz komitet powstał, jakie znaczenie osoby składające go mają w kraju — zaczęliśmy przedkładać, że kraj nasz nie będąc w powstaniu i nie mając powstawać, lecz tylko powstaniu nieść pomoc, nie może być rządzony przez nieznanne mu osoby, bo ta-

kie rządu wymagają siły wykonawczej, której tu nie ma, lecz musi być kierowany przez ludzi krajowi znanych i zaufanie w kraju posiadających, a właśnie ta część Galicyi, którą komitet nasz kieruje, osoby komitet ten składające do kierunku tego powołała i zaufaniem swem obdarzyła, że więc wielkie jest prawdopodobieństwo, iż komitetowi, któryby jej chciano narzucić i to przez człowieka, którego wcale nie zna, odmówi pieniędzy i wszelkiej pomocy. Na wszystkie i tym podobne przedstawienia miał p. Sokołowski jedną i tę samą, chociaż do Galicyi, gdzie powstania nie było, wcale niestosującą się odpowiedź: „że w powstaniu musi być jeden rząd;“ nareszcie oświadczył nam, że wie o tem, iż my najwięcej środków mamy i najwięcej środków powstaniu udzielić możemy, jakoż przekonany prawie jest, że utworzony komitet niewiele zdoła zdziałać dla powstania, lecz „Rząd narodowy woli nie mieć żadnej pomocy z Galicyi, niż mieć ją od osób, które go za jedyny uznać nie chcą, zasada więcej znaczy, niż parę tysięcy karabinów“.

Po tem oświadczeniu nie było co mówić z p. Sokołowskim, jako już więcej z nim nie znosiliśmy się, nie przestając wszakże jak najskrzętniej chodzić około uekwipowania i zaopatrzenia w broń oddziału leziorańskiego i Zapłowicza. W komisji ekspedycyjnej działał teraz głównie Alfred Lewakowski, który zajął miejsce brata swego Karola. Prezesem komisji na miejsce Fredry, który przekonawszy się, że łatwiej krytykować niż robić, po wyprawieniu oddziału Czechowskiego złożył ten urząd przyznawszy, że przechodzi jego zdolność, zamianowaliśmy byli Tadeusza Niewiadomskiego, celem zupełnego zlania się bratniej pomocy z naszym komitetem, nareszcie przybraliśmy w podobnie pojednawczym celu do komisji tej, dwóch członków komitetu miejskiego, t. j. Bałutowskiego i Kaczkowskiego, pierwszego jako liweranta płaszczów, burek, butów i t. p. potrzeb, Kaczkowskiego zaś na usilne żądanie Golejewskiego, by tym sposobem i Kaczkowskiemu i jego przyjacielowi Zygm. Rodakowskiemu wszelki do pokątnych agitacyi odjąć pretekst. Gdy zaś Niewiadomski zamiast kierować komisją ekspedycyjną, zaczął jeździć za interesami Lelewela, a nawet do komitetu bratniej pomocy, który teraz pod powagą komisarza rządowego na nowo odżył, napowrót wstąpił, oddaliśmy przewodnictwo ko-

misyi ekspedycyjnej Sewerynowi Borkowskiemu, który urząd ten aż do uwięzienia swego na początku czerwca, pełnił poczciwie, przezornie i z całym poświęceniem na jakie szlachetna, polska dusza zdobyć się może.

Tymczasem p. Sokołowski przekonawszy się, że ani Szarkel, ani Kornel Ujejski, ani Ciszewski, ani Sylwery Skolimowski, nic powstaniu nie przyniosą, prócz słów i deklamacji, udał się do płci pięknej, licząc na to, że mając kobiety po swej stronie, zagarnie kraj cały pod swe komisarские stopy. Temu to adonisowi w postaci komisarza rządu narodowego zawdzięcza Galicya wschodnia tę plagę, która się nazywała „komitetem niewiast ku wsparciu powstania“. „U nas kobieta stoi na straży arki ojczyznej nieśmiertelności; ona pchnie męża do czynu i dzieci wyśle na pole bitwy i nad poległymi zapłacze i więźniom przez kratę błysnie promieniem nadziei“. Lecz i zły duch przed upadkiem swym był aniołem, upadł zaś przez pychę. Otóż szepnięto kobietom naszym, że ich ojcowie, że ich mężowie niezdolni pojąć obowiązków jakich okoliczności wymagają, że one zawstydić powinny ojców swych i mężów, poddając się jedynie legalnej władzy rządu narodowego — i posłuchały niektóre kusiciela co ich próżność łechtał i bez wiedzy ojców i mężów, często wbrew ich woli, stały się narzędziami polityki komisarza rządu narodowego, potem ich kochankami, potem kochankami pierwszego lepszego zdrowego i przystojnego powstańca, a jedna z nich dla ukoronowania dzieła, metresą prezesa sądu wojennego, dla pastwienia się nad polskimi patriotami ustanowionego; i doprowadziły do tego, że cnotliwe kobiety lękały się jawnie pełnić obowiązki niewiast polskich podczas walki narodowej, by ich nie policzono do jednej z tamtych kategorii... — Na chlubę kobiet naszych stwierdzić tu muszę, że grono „patentowanych“ patriotek, było tu bardzo szczupłe. Ogół kobiet naszych nie potrzebował patentu na patriotyzm. Czyliż są gdzie na świecie, nie mówię już bardziej patryotyczne, ale równie patryotyczne kobiety, jak Polki? przypomnijmy tylko ostatnie lata narodowego naszego męczeństwa. Kiedy nie jeden mężczyzna zawahał się na chwilę i rachował z niebezpieczeństwem, niewiasty się nie wahały; matka, żona, dziewica, stawały śmiało. „Otom jest! Niech róże kwitną, niech wiek miłości przechodzi!

o wiosnie roku, o wiosnie życia zapomina, aby wdziac na się żalobę ojczyzny. A gdy przyjdzie tragiczna godzina, niewiasta polska z czołem pogodnem przeciw niej spieszy do wrót kościoła, jakby na uroczysty ślub patriotyzmu... Ona dała przykład wojny nowej, wojny na kolanach, modlącej się... Zbójca ze szlifami nakazuje dać ognia, ona odsłania pierś i czeka kuli w milczeniu". Tak niewiastę polską opisał tymi czasy E. Pelletan. Nie dodał obrazu tych tysięcy niewiast, które w kajdanach powlokły się w sybirskie mrozy, za ojcami, mężami, dziećmi... tych, które na siebie winę przyjęły za mnogich i ofiarowały się za nich pokutować. Ale któż zliczy te poświęcenia bezprzykładne, któreby najdzikszymi rozbroiły naród! Bóg je policzy... Tak Bóg je policzy... żadna iza nie zginie... O, szanujmyż cnotę naszych kobiet, bo brudząc ją, jesteśmy większymi Polski wrogami, niż zbiry, co piersi Polek krwią broczyli; nie ściągajcież tych stróżów miłości ojczyzny do kałuży intryg, w zepsucie koszar i obozów, bo to stokroć zgubniejszem niż mrozy Sybiru, niż bagna zgniłe, niż febry i gorączki, na które Moskal naraża polskie wygnanki.

Otóż przyszedłszy raz do pewnej mnie znajomej damy, o której należeniu do owego komitetu nie wiedziałem, zostałem z pewną ironią zagadnięty w ten sposób: „Pan, jako komitetowy, powinieś o wszystkim wiedzieć, powiedzże mi, kto jest panna Aniela? Panna Aniela, odrzekłem, jest to dama z za kordonu, dla której żądano od nas paszportu do Warszawy, dokąd w pilnym udać się musi interesie. Istotnie Leliwa podczas ostatniej swej bytności prosił nas, byśmy pannie Anieli, którą, się Lelewel opiekuje, wystarali się o paszport do Warszawy, co też uskuteczniłszy. Wówczas żądał także Leliwa, byśmy kazali zrobić pieczęć dla Lelewela jako dowódcy siły zbrojnej narodowej w Lubelskiem i postarali się o odlitografowanie różnych kwitów, rozkazów etc. dla oddziału Lelewela potrzebnych, co wszystko uskuteczniwszy Leliwie oddaliśmy. Dama, która, jak to właśnie co nadmienilem, zapytała mnie, czy znam pannę Aniele, nie kontentując się powyższą moją na to pytanie odpowiedzią, zaczęła dalej pytać: A wiesz pan po co pojechała panna Aniela do Warszawy? Nie wiem, odpowiedziałem. A widzi pan, rzekła tryumfująco owa dama, że i my czasem coś wiemy, czego panowie nie wiecie, ale my nie jesteśmy egoistami jak



panowie, co tylko dla siebie wszystkie wiadomości chowacie, więc powiem panu, że panna Aniela powiozła do Warszawy pieczęć oddziału Lelewela i mnóstwo druków czy litografii do użytku tegoż oddziału przeznaczonych. Uderzony tem, że pieczęć i litografie przeznaczone dla Lelewela znajdującego się wówczas w Żółkiewskim, powędrowały umyślnym kuryerem do Warszawy, rzekłem do tej damy: kiedy pani już tak jesteś dla mnie łaskawą, zechciej że mi powiedzieć, jak panna Aniela do tej pieczęci i do tych litografii przyszła? I owszem, otrzymała je od tego samego jegomości, który ją tu przywiózł z Brodów a nazywa się Michał Krajewski. Zapuściwszy się już na drogę badań, chciałem tę mozaikę fałszu i prawdy zanatomizować, fałszem bowiem było, że panna Aniela z Brodów przybyła i że ją przywiózł jakiś Krajewski. Nie namyślając się więc długo, zaoponowałem mej damie, że co do ostatnich dwóch okoliczności źle jest zainformowana, gdyż panna Aniela przybyła od Lelewela z jego pełnomocnikiem Leliwą. Ale co też pan mówisz, zawołała dama, przecież panna Aniela przez trzy dni u mnie mieszkała, polubiłyśmy się, bo też to prawdziwy anioł i od niej to wiem zkąd i z kim przyjechała, a dokąd i z czem odjechała.

Na takie kategoryczne oświadczenie zamilkłem, lecz wracając do domu, ciągle jakoś o tej pannie Anieli myślałem. Przyszedszy do domu, zastałem tam czekającego na mnie Władka Smolkę, z listem doń od kolegi z Brodów (Zukra) pisany, w którym mu donosi, że niejaki Michał Krajewski, syn tamtejszego urzędnika akcyzowego, wielki nicpotem, który uszedłszy z Brodów z powodu podrobienia weksli, gdzieś się kręcił po świecie od dwóch lat, był niedawno pod zmyślołem jakimś nazwiskiem w Brodach, jeździł parę razy do Radziwiłłowa i potem z jakąś młodą kobietą odjechał; przestrzega więc Zucker, by się tego Krajewskiego, który się wydaje za jakiegoś wysokiego urzędnika Rządu narodowego, strzedz a nawet, jeśli by można było, Rząd narodowy przestrzedz. — Przyszedszy do siebie z przerażenia, które, jak to łatwo pojąć, list ten we mnie wywołał, prosiłem W. Smolki, by zaraz koledze swemu odpisał zażądał dokładniejszego wywiedzenia się o charakterze Michała Krajewskiego i przysłał nam dokładny opis jego osoby. Od-

wrotną pocztą odpisał Zucker, że daty co do charakteru Krajewskiego są skonstatowane, że jest średniego wzrostu, około 25 lat mający, odznaczający się białym od urodzenia kosmykiem włosów nad czołem, zresztą dołączył fotografię, którą od ojca wyprosił. Nie znałem Leliwy osobiście, lecz wiedziałem, że Alfred Lewakowski z nim się znosił w przedmiocie owej pieczęci i litografii; przywołałem więc Lewakowskiego i pokazawszy przysłaną z Brodów fotografię, zapytałem, czy nie wie, czyj to jest portret, a gdy nie mógł poznać, zapytałem; a gdyby tu nad czołem był biały kosmyk włosów? Prawda, — zawołał Lewakowski, to Leliwa! Wtedy powiedziałem mu, że to jest fotografia Michała Krajewskiego, że Leliwa może być tym Krajewskim, a może tylko być do niego podobnym, a że potrzebnem jest mieć pod tym względem pewność, więc poleciłem mu, by z należytą ostrożnością postępując, wybadał Leliwę, gdyby się tu pojawił. A jest właśnie tu, rzekł na to Lewakowski, widziałem się nawet z nim, mówił mi, że za nim tropią, więc się przebrał całkiem inaczej, a nawet brodę podgolił, dla tego go na fotografii od razu nie poznałem. W parę godzin potem, zaraportował Lewakowski, że mu Leliwa sam powiedział, iż właściwie nazywa się Michał Krajewski, a Leliwa to tylko bojowe jego nazwisko. Nie było więc wątpliwości co do tożsamości osoby Leliwy, agent Lelewela znosił się z Moskalami w Radziwiłłowie, powierzył jakiejś damie, którą mu może Moskale nastęrczyli, pieczęć i druki dla Lelewela przeznaczone i wysłał ją z tem do Warszawy, oczywiście do policji rosyjskiej; ten sam człowiek fałszerzem weksli i awanturnikiem; wszystko to razem spowodowało nas, żeśmy o tem donieśli Lelewelowi; nie chciał wierzyć, aby zacny pan Leliwa (który wedle twierdzenia Lelewela był synem jakiegoś bardzo bogatego pana, bo miał dużo złota, gdy do jego oddziału w Lubelskiem przybył) miał być tak złym człowiekiem, przyrzekł wszakże, że go zbada, skoro doń wróci, a na wszelki wypadek będzie ostrożnym, „bo to lichy nie śpi z tymi paniczami“. Leliwa po widzeniu się z Lewakowskim, znikł ze Lwowa i u Lelewela się już nie pokazał; gdzie się podział? nie wiem; lecz odgadnąć mogę, dlaczego oddział Lelewela nie odebrał ani broni, ani amunicyi, ani płaszców, któreśmy mu na ręce Leliwy dostarczyli.

Słuszne, jak mi się zdaje, żale nasze na postępowanie Sokołowskiego, doszły jakimś sposobem przez komitet krakowski i rezydującego tam komisarza pełnomocnego do Rządu narodowego; a czy to zmiana zaszła w łonie Rządu narodowego, czy też okoliczność, że pan Sokołowski właściwie miał pełnomocnictwo do działania na Rusi pod zaborem rosyjskim zostającej, nie zaś w Galicyi, dość, że przysłano do Lwowa innego komisarza, szanowanego w wojewodztwie krakowskiem obywatela, Jacka Siemińskiego. Był to zaiste człowiek wielkiej pocziwości, najlepszych chęci, pełen wyrozumiałości na stanowisko, jakie zajmowała Galicya, i już sądziliśmy, że przy pomocy takiego komisarza znikną wszelkie stronnictwa, które jątrząc jednych na drugich, tamowały wszelki energiczniejszy rozwój sił krajowych ku niesieniu pomocy powstaniu, gdy raptem przysłano Siemińskiemu z Krakowa pomocnika w osobie Mieczysława Pawlikowskiego. Siemiński był pocziwy, lecz zanadto miękki, dał się więc zaraz za przyjazdem Pawlikowskiego temuż opanować.

Pawlikowski jeszcze w lutym opuściwszy Medykę i stanowisko jakie przyjął był w organizacyi naszej nie oświadczywszy, że z organizacyi występuje, jako wskutek danego słowa honoru uczynić był obowiązany, przesiadywał ciągle w Krakowie, agitując przeciw naszej organizacyi łasił się tam rezydującemu pełnomocnikowi R. N. Elżanowskiemu, aż nareszcie dopiął celu do którego dążył, uzyskał nominację, na mocy której Jacka Siemińskiego okiełzać i krajowi rozkazywać zamyślał. Kilka razy przed wybuchem powstania, gdy się zanosilo na zorganizowanie kraju i głuche o tem zaczęły chodzić wieści, Pawlikowski trapiąc mnie wyrzutami czemu się nic nie robi? gdy odbierał odemnie odpowiedź, by był trochę cierpliwym, że się istotnie coś robi i on wkrótce do czynnego działania powołanym zostanie, odpowiadał mi zawsze: ja rządzić nie umiem i nie chcę, ale słuchać umiem, chcę i będę; rozkazujcie tylko, a prędko. Otóż gdy wkrótce po zawiązaniu się organizacyi, panu Pawlikowskiemu pierwszy dano rozkaz załatwienia kupna jakoby istniejących tu 2000 sztuk karabinów, Pawlikowski wymówił się interesem prywatnym, a gdy mu dano polecenie odebrania z dworca medycznego i ukrycia nadejść mającej broni, wyjechał do Krakowa z oświadczeniem, że w sobie czuje wyższe zdolności niż

na furmana są potrzebne i nie wrócił z Krakowa, aż z nominacją na komisarskiego pełnomocnika, której nominacji, mówiąc nawiasem, jako człowiek honorowy nie powinien był przyjąć, nie zawiadomiwszy wprzód komitetu — gdy go bowiem nominowano naczelnikiem powiatu przemyskiego, odebrano od niego, jak od wszystkich innych naczelników słowo honoru, że do żadnej innej organizacyi należeć nie będzie, nie wystąpiwszy pierwiej z naszej organizacyi i nie zawiadomiwszy o tem swego przełożonego naczelnika obwodowego.

Zaraz po przybyciu do Lwowa, zniósłszy się z przyjaciółmi Bratniej Pomocy i z Sokołowskim, który mimo obecności prawdziwego komisarza rolę komisarską w komitecie damskim i Bratniej Pomocy odgrywał i zaczerpnąwszy z tych źródeł zarzutów przeciw naszemu komitetowi: jako Czechowskiemu ani jednej sztuki broni nie udzielił, ogromne fundusze, które z kraju wpłynęły zmarnował i władzy Rządu narodowego resp. jego komisarzy uznać nie chce, przyszedł z Siemińskim do mnie dowiedziawszy się, że tego dnia u mnie komitet zebrać się ma. Przypadek chciał, że Sapięha i Smolka dali znać, że przyjść nie mogą, był więc u mnie tylko Golejewski, który przyszedł na posiedzenie a dowiedziawszy się, że go nie będzie, został na gawędę.

Po zwykłym powitaniu zapytany, gdzie tak długo bawił, pan Pawlikowski, o którego urzędzie nowym jeszcze ani Golejewski ani ja nie wiedzieliśmy, wybuchnął nawałnicą zarzutów przeciw komitetowi, mianowicie: że nie dał dotąd ani jednego karabina do powstania, a przytem tak ogromne sumy zmarnował, że więc przybył, by tu od komitetu zażądać rachunku z tego co dotąd uczynił i co czynić nadal zamierza, ile ma broni, ile pieniędzy i ile rządowi narodow. broni i pieniędzy dostarczać będzie? Nie wiedząc nic o tem, że Pawlikowski jest pomocnikiem komisarza rządu, myślałem po prostu, że siksował; nie odpowiadając mu więc nic, wyszedłem do przedpokoju i kazałem przynieść wody. Gdy zaś Pawlikowski napiwszy się wody, zapytał znowu: no mówcie, coście zrobili z funduszami, które kraj wam powierzył? nie stało mi cierpliwości i odrzekłem mu: przykro mi, że przy panu Siemińskim sprawę jaką z tobą mamy do załatwiania poruszyć muszę, lecz sam mnie do tego naglisz;

zresztą my przed p. Siemińskim nie mamy tajemnic. Otóż zapytuję Cię naprzód jakim prawem ty, podwładny urzędnik organizacyi, śmiesz w taki sposób przemawiać do komitetu, ty, który uciekłszy z powierzonej ci posady powinieneś się najprzód przed sądem obywatelskim, który na ciebie złożony jest, usprawiedliwić z twego wcale nie obywatelskiego postępku, zanim ci wolno będzie w ogólności z uczciwymi obywatelami obcować? mianowicie: jakim prawem możesz żądać od komitetu rachunku powierzonych mu pieniędzy, kiedyś komitetowi ani szeląga dotąd nie dał, wątpię zaś byś od tych, którzy komitetowi dali pieniądze, miał jakiekolwiek upoważnienie do żądania rachunku z tych pieniędzy, zresztą muszę cię wyprowadzić z błędu, w którym zdajesz się znajdować: ty nie jesteś w komitecie, lecz u mnie, u którego znajduje się na wieczornej pogadance p. Antoni Golejewski, mój przyjaciel i kolega z Sejmu. Na te słowa rzucił się Pawlikowski z wyrzutem, że takiego przyjęcia w domu moim wedle prawa gościnności nie spodziewał się i za takowe w swym czasie zażąda zadośćuczynienia. Skłoniłem mu się i nastąpiła cisza, którą Siemiński przerwał, przedstawiając nam Pawlikowskiego, jako swego pomocnika, a wkrótce prawdopodobnie zastępcę, gdyż niezadługo Lwów opuści.

Bardzo żałuję, rzekłem na to, że pan nam tego zaraz na wstępie niepowiedział, byłbyś pan nam oszczędził nieprzyjemnego zajścia, któregoś pan był świadkiem, a które nie byłoby miało miejsca, gdybym był o urzędzie pana Pawlikowskiego na wstępie wiedział. Sądziłem, że rozmawiam z Mieczysławem Pawlikowskim, naczelnikiem powiatu przemyskiego i zdawało mi się, że mam słuszność, tak do niego przemówić, jak to uczyniłem. Panu Pawlikowskiemu zaś, pomocnikowi komisarza Rządu narodowego, mam honor oświadczyć, by z tem co ma powiedzieć komitetowi, udał się do komitetu. Jakto, zawołał Pawlikowski? a gdzie jest komitet? Tego panu nie powiem, rzekłem. A więc nie ma żadnego komitetu, słyszałem bowiem, że się rozwiązał (Smolka wówczas gadał znajomym, że z komitetu wystąpi, i tylko Hefern go wstrzymał od skutecznienia tego zamiaru). I tego panu nie powiem, rzekłem znowu. Cóż to ma wszystko znaczyć? zapytał, prawdziwie nie rozumiem. To ma znaczyć odpowiedziałem, że istnienie komitetu jest tajemnicą, a tajemnicy nie powierza się

ludziom, którzy dane słowo honoru złamali. Przyznam się, zawołał wtedy, że zaczynam wątpić o chwalonej taktowności pańskiej, skoro pan w własnym domu gościa tak przyjmujesz. — Musiałeś pan, odrzekłem, z bardzo fałszywego zagrać tonu, skoro pan tak taktownego człowieka jak ja, z taktu wyrzuciłeś. Pawlikowski podczas tych słów wziął za czapkę i wyszedł. To była ostatnia moja z nim rozmowa. Opisałem ją zaś szczegółowo, ponieważ Pawlikowski bolesne to dla mnie z wielu powodów zajście inaczej opowiadał, odnosząc poróżnienie się ze mną do zasady uznania Rządu narodowego, przeciw której ja miałem stanowczo występować. Powtarzam, iż zajście to było dla mnie bardzo bolesnem. Znałem Pawlikowskiego od lat kilku, kochałem go szczerze i ufałem jak sobie samemu; dlatego gdy w r. 1860 czy 1861 Miłkowski przybył tu z projektem wtargnięcia do Galicyi z Wołoszczyzny i zrobienia tu powstania i gdy po konferencji z nim postanowiono Aleksandra Dzieduszyckiego wysłać do Paryża na zwiady, czyli i o ile wyprawa ta zaprojektowaną została przez Rząd francuski? — nie dałem spokoju, aż wysłano tam także Pawlikowskiego; dlatego skoro powzięliśmy myśl zawiązania organizacyi i w tym celu Smolka, Dzieduszycki Aleksander i ja zawiązaliśmy pierwsze organiczne kółka, Pawlikowski został jako czwarty przezemnie wciągnięty; dla tego gdy organizacya zaczęła się stawać ciałem, żądałem, aby Pawlikowskiemu dano w obwodzie, w którym mieszkał, najbardziej wpływowy i jego gorącym chęciom odpowiadający urząd, jako powiatowy przemyski bowiem, miał szerokie pole do działania: miasto Przemyśl, seminaryum łacińskie i ruskie, młodzież szkolną. Widać, że mu to wszystko było zamało i że ambicya, której śladu w nim nigdy dostrzedz nie mogłem, obudzona z letargu, silniejszą była, niż przyjaźń dla mnie i zaufanie, o których tylekrotnie mnie zapewniał — silniejszą niż honor, który zdawał się tak wysoko cenić...

Po odejściu Pawlikowskiego oznajmił nam Siemiński gdyśmy mu wyrzucali, jak mógł sobie takiego pomocnika dobrać, że nie żądał żadnego pomocnika, że uważa przysłanie Pawlikowskiego na ten urząd za votum nieufności ze strony Elżanowskiego i że z tego powodu, zwłaszcza po takim rozpoczęciu urzędowania pana Pawlikowskiego, urząd komisarza złożył. Pro-

siliśmy, zaklinali na dobro sprawy, by tego nie czynił, nic nie pomogło, został jeszcze czas jakiś, lecz już się z nami nie znośił. Zostaliśmy więc znowu bez związku z Rządem narodowym, a wpadliśmy w gorsze niż kiedykolwiek przedtem obroty, przybył bowiem Sokołowskiemu, walczącemu przeciw nam z swoją falangą niewiast, sprzymierzeniec w osobie obrażonego Pawlikowskiego, który całą szajkę Dobrzańsko-Sztarkło-Szmittowską przeciw komitetowi poruszył.

Podczas samego zenitu tych agitacji, przyjechał do Lwowa generał Wysocki, jako naczelny wódz oddziałów w Lubelskie i do zabranych krajów wyprawiać się mających, oraz jako pełnomocny Rządu narodowego. Oddział podolski był przez Gołuchowskiego już prawie zupełnie zorganizowany i uzbrojony; miał on się składać z 500 koni, które dostarczyły przydzielone mu obwody, ochotnicy zaś oddziału jego, byli to młodzi ludzie z tamtych okolic: synowie właścicieli ziemskich i dzierżawców, oficjaliści prywatni, słudzy dworscy, wszyscy do jazdy zdolni; ubrani mieli być o ile możności jednakowo, majątniejsi sami się ekwipowali, biedniejszym szyto mundury po obwodach; uzbrojenie miało się składać z lancy, pałasza i pistoletów, a w części z karabinów kawaleryjskich, które z Wiednia sprowadziliśmy. Jazda ta miała zebraną w obwodach tamtejszych strzelbę i amunicję, po części przez wysłanego do Jass Karola Lewakowskiego ztamtąd nadeslaną, wziąć z sobą, by ludność graniczną przy wkroczeniu oddziału zaopatrzyć w broń, na której zabranym krajom zupełnie zbywało.

Podług zdania wojskowych należało równocześnie z oddziałem Gołuchowskiego, który miał wkroczyć na Podole, wysłać oddział na Wołyń, by oddział Gołuchowskiego połączyć niejako z oddziałami Jeziórańskiego i Zapałowicza w Lubelskiem działającymi. Oddział wołyński chciano poruczyć Jordanowi, zdolnemu, jak nas zapewniano, pułkownikowi wojsk tureckich. Od samego początku powstania zjawiali się rozmaici wysłańcy z zabranych krajów, jedni utrzymując, że skoro oddziały wkroczą z Galicyi, ruszy się Wołyń, Podole i Ukraina, co najmniej 4000 ludzi już spisanych i zaprzysiężonych w pole wysyłając; inni utrzymywali, że wszelki ruch w owych prowincjach jest niemożliwy i zaklinali, by z Galicyi żadnych oddziałów nie

wysłać, gdyż te tylko rzeź i nieszczęście na tamte kraje sprowadzą; niejaki Mysłowski przywiózł nawet z Podola ros. 15.000 rubli, lecz z warunkiem, by za to kupiono broń i schowano ją w Galicyi na granicy, aż do zażądania jej przez komitet podolski; gdy nam wykonanie żądania tego zdawało się niemożliwem, wzięliśmy owe pieniądze w prosty depozyt, a potem za poleceniem tegoż Mysłowskiego oddaliśmy Wysockiemu. Między wysłannikami tamtejszymi znajdował się także niejaki Jastrzębski, który przybył z propozycją, by mu dać kilkunastu zbrojnych ludzi, a on wykradnie kasę w Dubnie, gdzie wcale wojska nie było; plan ten swanturniczy spełził na niczem, bo pokazało się, że Dubno wojskiem naszpikowane; pan Jastrzębski zaś włóczył się po obywatelskich domach wzdłuż granicy i ściągnął przez swoje nocne schadзки z parobkami dworskimi i wieśniakami nawet podejrzenie, które niemiłe dla niego byłoby miało skutki, gdyby z danego nam opisu osoby, Sapieha nie był poznał w owym pogranicznym agitatorze, pana Jastrzębskiego; ten Jastrzębski dostał się później jako „Twerdy“ do więzienia, gdzie odznaczał się szerzeniem najniedorzeczniejszych teorii między powstańcami, a dostawszy się do Brygidek, nawet między prostymi zbrodniażami, którym apostołował rusko-chołopomańskie prawdy. Inny wołyński emisaryusz, pan Bietkiewicz, męczył nas projektem zrobienia w zabranych krajach powstania bezkrwawego, za pomocą owładnięcia równoczesnego, we wszystkich trzech guberniach, wszystkich urzędów. — Bogiem a prawdą, nie wiedzieliśmy właściwie jak rzeczy stoją w zabranych krajach, sprzeczne bowiem i bałamutne tylko odbieraliśmy ztamtąd doniesienia. Zdawało nam się, że jeśli to ma być powstanie narodowe, to powinny w niem wziąć udział wszystkie do Polski niegdyś należące kraje. W Kongresówce były się oddziały z Moskałami, na Litwie tworzyły się już oddziały partyzantów, Poznańskie i Galicya wysłały zbrojne hufce, było więc zdaniem niektórych z pomiędzy nas, że Wołyń, Podole i Ukraina powinny także dać znak życia, zadokumentować, że są ziemiami polskimi; a gdy przy zupełnem braku broni w owych ziemiach samodzielne podniesienie się było trudnem, należało wysłać z Galicyi oddziały zbrojne i z bronią zapasną, aby się do nich mogła przyłączyć ludność tamtejsza, udział w powstaniu brać chcąca.



Na radzie komitetu, Sapiaha i ja zważywszy, że oddział Gołuchowskiego, przeznaczony do wkroczenia na Podole, był już prawie gotowy i że dalsze zwlekanie wyprawy narażało go na rozbitcie przez Austryę, byliśmy zdania, że trzeba już najspieszniej uzbroić oddział wołyński i takowy równocześnie z oddziałem Gołuchowskiego wyprawić za granicę, najdalej z końcem kwietnia. Smolka i Golejewski byli przeciwni wysyłaniu tamże oddziałów, chyba, że tam powstanie wybuchnie, a gdy to ostatnie wedle doniesień wszelkich stronnictw było niemożliwem, chyba za wkroczeniem oddziałów z Galicyi, więc byli poprostu przeciwni wysłaniu stąd oddziału do krajów zabranych. Zastawali się oni z początku tem, że przy równości głosów, nie ma właściwie konkluzyi i rzecz trzeba dalszemu biegowi okoliczności zostawić, lecz gdy im przedkładano, że Gołuchowski jest także za wysłaniem oddziału, skoro żądał rozkazu do wymarszu, że przeto za wysłaniem oddziału jest większość głosów, tak Smolka jak Golejewski oświadczyli, że występują z komitetu. Na uwagę Sapiahy, że to jest rodzaj teroryzowania, oświadczył Smolka, że i tak już chciał wystąpić z komitetu i do żadnego komitetu, jakkolwiekby był jego skład i program, nie będzie należał. Golejewski zaś porwawszy za czapkę rzekł: no, kiedy nie ma już komitetu, to nie mamy tu co robić, dobranoc. Na to zauważył Sapiaha, że komitet jest, ponieważ w nim większość członków pozostała; stąd powstała sprzeczka, w której Golejewski użył wyrazów tak nieprzyzwoitych a insynuujących nam, pozostającym w komitecie, tak dziecinne ambicje, że i ja i Sapiaha oświadczyliśmy, iż także występujemy. Przyznam się, że po tem zajściu w pierwszej chwili, wielce byłem kontent z uwolnienia się od tych czynności, które zabierając mi pozostałe do spoczynku po innych zatrudnieniach godziny, rujnowały zdrowie, narażały mnie nadto w razie wykrycia na więzienie i utratę całej egzystencji, a przytem wszystkim sarkania i kalumnie niechętnych, zmuszały do stykania się z ludźmi zarozumiałymi a często nawet podejrzanymi. — Lecz zastanowiwszy się nad tem, że broń, którą się zajmował Sapiaha, była w drodze, że z mojego polecenia (miałem bowiem wydział ekspedycyi) pozamawiano mnóstwo przyborów, a gotowe poukrywano w rozmaitych miejscach, że więc wszystko, gdybyśmy z Sapiahą natychmiast ustąpili,

wpadłoby w zakłamanie, narażające na utratę broni i efektów — postanowiliśmy prowadzić czynności komitetowe prowizorycznie dalej, aż do ustanowienia nowego komitetu w którym to celu w porozumieniu z Sapielą, zredagowałem tego samego wieczora pismo, wyświecające co zaszło i wzywające do spiesznego przyjazdu wszystkich 12-tu naczelników obwodowych i Artura Gołuchowskiego. Prawo uzupełnienia komitetu służyło wedle zasady naszej organizacji pozostałym członkom komitu, a więc Gołuchowskiemu, właściwie więc nie potrzebowaliśmy zwoływać naczelników; ponieważ zaś w obecnym wypadku występował Smolka, szanowany w całym kraju i Golejewski, mający niepośledni wpływ w kołomyjskim i stanisławowskim, a nadto szło tu o zasadę: czy wysłać, lub nie wysłać oddziały dla krajów zabranych? — sądziliśmy, że należy sprawę tę poddać pod decyzję kraju — i dla tego zwołaliśmy naczelników.

Podczas gdyśmy z Sapielą rozpisywali ową odezwę, Golejewski głosił w kasynie, że komitet rozbity, powtarzając, co który z członków komitetu mówił etc. To wszystko natychmiast hr. Bakowski, znający się od dawna z panią Mensdorff i bywający u niej jako dobry znajomy bez wszelkich ceremonii zraportował jej jako nowinę, co też ona mężowi swemu, panu namiestnikowi, powtórzyć nie omieszkała. Tym sposobem władze austriackie dowiedziały się nareszcie autentycznie o istnieniu komitetu i jego zamiarach, dotąd bowiem policja miała tylko bałamutne o komitecie wyobrażenie, a to z powodu, że był komitet miejski, damski, bratniej pomocy, a naszą komisję ekspedycyjną także często za komitet uważano. Przy tej sposobności muszę niestety skonstatować, że policja austriacka o wszystkim co wiedziała przez czas trwania powstania o tutejszych przygotowawczych czynnościach, dowiadywała się nie przez swoich szpiegów, lecz przez naszą lekkomyślną długojęzyczność.

Rozprawiano po kawiarniach i traktyerniach bez wszelkiej zenady o punktach zbornych oddziałów, o dniu przejścia granicy, o miejscu gdzie broń przechowana, zwierzano się z najtajniejszych czynności damom komitetowym, które kumoszkom swoim znowu pod sekretem zwierzały się, aż nareszcie całe miasto o sekrecie wiedziało; na koniec używano do załatwienia ważnych nieraz czynności, tak zwanych kuryerek, które policji tak były

znane, że sama ich bytność w jakiejś wsi, zdradzała już policyjną sprawę.

Na drugi dzień po wystąpieniu Smolki i Golejewskiego z komitetu rozeszła się wieść, że Smolka z Golejewskim odezwali się do obwodów i zaprosili naczelników do wyboru nowego komitetu. Nie wierzyłem temu, bo Smolka oświadczył występując z komitetu, że wcale się do niczego mięszać nie będzie. Lecz jeszcze jegomość, który mi był tę wiadomość przyniósł, nie odszedł, gdy mię zawezwano do Smolki na jakąś konferencję. Zastałem tam prócz Smolki, Golejewskiego, Wodzińskiego Kaźmierza i Grocholskiego. Grocholski zagaił posiedzenie przemówieniem o nieporozumieniach, jakie wczoraj zaszły i o konieczności pogodzenia się. Odrzekłem, że żałuję mocno, iż do nieporozumienia przyszło, a co się tyczy pogodzenia się, to już zapóźno, gdyż ja z Sapiehą o naszym, tudzież Golejewskiego i Smolki wystąpieniu z komitetu donieśliśmy już naczelnikom obwodów i zwołaliśmy ich, aby ustanowili nową władzę organizacyi. Zresztą, dodałem, podobno Smolka z Golejewskim także zawezwali naczelników, by nowy komitet wybrali, więc czekajmy aż naczelnicy się zjadą, a tymczasem ja i Sapieha będziemy prowizorycznie załatwiać czynności niezbędne. Na to Golejewski wybuchnął z narzekaniem na Sapiehę, że on starał się umyślnie wywołać wczorajsze zajście, aby wyrzucić z komitetu Smolkę, który mu w jego planach à la Mierostawski przeszkadza, że jest zdrajcą skoro wczoraj wystąpił z komitetu, a dziś jako komitetowy zwołuje naczelników, że czas już pozbyć się tego intryganta i dlatego on ze Smolką zamyślają zwołać obwody, by wybrały komitet i położyły koniec tym samozwańczym rządóm. Prawdę powiedziawszy, nie byłem i ja całkiem kontent z dotychczasowego postępowania Sapiehy, pracował szczerze, tego mu nie można było zaprzeczyć, ale bawił się w jakieś pokątne intryżki, to z panem Rodakowskim, prezesem komitetu miejskiego, to z Leszkiem Wiszniowskim, trzymając to wszystko w tajemnicy przed nami; prowadził zresztą czynności jemu poruczone w taki sposób, jak gdyby on właściwie był wszystkim i starał się tak kierować rzeczy, aby wszystko dobre, co komitet zdziałał, jemu przypisywano, a wszystko, co się źle stało, wyłącznie na nasz kładziono rachunek. Nieraz o tem dochodziły mię

wieści, puszczałem je mimo uszu, bo przekonany byłem, że znacznie większa część posiadaczy ziemskich, a niestety tylko na nich powstanie liczyć mogło, wspierała organizację dlatego, że w komitecie był Sapieha; dla bojaźliwych szczególnie, a i tych nie mało jest u nas, była bytność Sapiehy w komitecie pewnością, że za ich czynności nie będą pociągani do odpowiedzialności, bo juści mawiali, Sapieha musi dobrze wiedzieć jak rzeczy stoją i nie narażałby się, gdyby za to mogli brać do kozy. A zresztą mnie chodziło o to, aby wspierano powstanie, czy wspieranie to przypisywano temu, czy owemu, to mi było obojętnem. Nie miałem więc osobistych pobudek do wystąpienia w obronie nieobecnego Sapiehy, lecz nazwanie zdradą odezwę do naczelników, dotyczyło i mnie, gdyż odezwa ta w moim i Sapiehy imieniu była rozesłaną, musiałem więc bronić tego kroku, by bronić siebie, a powtórę zdawało mi się niesłusznem nazywać Sapiehę zdrajcą za taki sam czyn, jaki oskarżający wspólnie ze Smolką popełnił. Zażądawszy więc głosu, oświadczyłem, że nie chcę wchodzić w to, ażali Sapieha starał się wyrugować Smolkę lub nie, gdyż tego nie wiem, winienem wszakże dla miłości prawdy powiedzieć, że Smolka zaraz po upadku Langiewicza powziął myśl wystąpienia z komitetu i od wykonania tej myśli, wstrzymywanym był tylko przez Heferna, przedstawiającego mu, że krok taki z jego strony sparaliżuje zabiegi znacznej części kraju w niesieniu powstaniu pomocy, która właśnie po upadku Langiewicza była potrzebniejszą niż przedtem. Co się zaś tyczy wyrzutu zdrady, rzekłem dalej, ten stanowczo odeprzeć muszę, inaczej bowiem i Smolka, który to samo uczynił co Sapieha, byłby zdrajcą, a tego przecież nikt twierdzić nie będzie. Bóg mi świadkiem, że nie chciałem ubliżyć Smolce, chciałem tylko przez zestawienie faktów tem dobitniej wykazać niedorzeczność zarzutu Golejewskiego. Smolka wszakże zbladłszy, zwracając się do mnie — rzekł na to: „Dziękuję Ci“. Franciszku, — zawołałem, — na miły Bóg przecież nie podobna słów moich tłumaczyć w sposób, który by Cię mógł obrazić. Golejewski nazwał zdrajcą Sapiehę, a tem samem i mnie za to, że wystąpiwszy z komitetu, wystosowaliśmy odezwę do naczelników obwodowych, aby się zjechali i nowy komitet wybrali, a przecież wy to samo uczyniliście, ty i Golejewski. Na to Golejewski: Za po-

zwoleniem, ja wprawdzie powiedziałem w gniewie, że wystąpię, ale potem namyślałem się i zostaję w komitecie. Niech i tak będzie, rzekłem ale Smolka całkiem kategorycznie oświadczył, że do żadnego komitetu należeć nie będzie więcej.

Gdy Smolka nie odpowiadał na tę prowokację, zwróciłem się wprost do niego z temi słowy: Franciszku! powiedz, bo mi tu kłam zadają, czy nie powtórzyłeś słów przezemnie właśnie przytoczonych, parę razy przy wczorajszym zajściu? Smolka nic nie odpowiadał. Powtórzyłem więc dobitniej wezwanie; wtedy Smolka nie odpowiadając wprost na pytanie, rzekł zwróciwszy się do mnie: przebaczam ci, a ponieważ chcecie się mnie pozbyć, więc przysięgam, (i podniósł rękę do góry) że ani do komitetu ani wogóle do organizacji należeć nie będę. Nie mogąc pojąć co się stało, zwróciłem się do Wodzickiego i Grocholskiego, wzywając ich na świadków, że nic takiego nie powiedziałem, coby mogło tak obrazić Smolkę; jakoż Grocholski reasumując tok rozmowy, zakonkludował, że tu ani obrazy, ani chęci obrazy z mej strony nie było i prosił Smolkę, by wyrzeczony w porywczosci słowa cofnął. Smolka oświadczył na to, że się na mnie nie gniewa, lecz przysięgłszy, słowa cofnąć nie może. Gdy to piszę, minęło od owej chwili lat półtrzecia; nie-raz o tej scenie myślałem, i nigdy jej sobie wytłumaczyć nie mógł. Że nie było to porywczoscia ze strony Smolki, na to najlepszym dowodem, że podczas mego dwuletniego więzienia dwa razy mię tylko odwiedził, i to w czysto pieniężnym interesie, musi więc mieć żal do mnie bardzo głęboki, bo dawniejszy mój stosunek do Smolki był tego rodzaju, że gdy mię spotkało tak ciężkie nieszczęście, byłby powinien zapomnieć o rzeczywistej nawet urazie. Czemuż Golejewski, skoro się tylko dowiedział, że zostałem towarzyszem jego w więzieniu karmelickim przybiegł i zapomniawszy o wszystkim co zaszło, chociaż ja Golejewskiego istotnie wówczas, z namysłu obraziłem, uściskał mię jak brata? a przecież przyjaźń nasza nie była tak dawną i tak wypróbowaną jak moja ze Smolką. W rzedzie smutnych rozczarowań, gorzkich doświadczeń i bolesnych prób, w które rok 1863 dla mnie był tak obfitym, uczucie, że stosunek mój do Smolki w taki sposób zerwał się, należy do najboleśniejszych. Lecz nie powinien bliźnić, jemu bowiem na

dobrze to wyszło. Zamiast siedzieć w kozie, jak ja, coby było niezawodnie nastąpiło, gdyby się nie był Bóg wie czego pogniwał i w komitecie pozostał — on wygrał na giełdzie znaczne sumy, kupił trzy piękne wsie, i gra dalej szczęśliwie: Szczęść mu Boże!! Aby zaś smutne to zajście wyczerpać, dodać tu muszę, że Golejewski, znajdując się w więzieniu równocześnie ze mną i z Sapieha, ułożył był projekt, abyśmy we trzech ukonstytuowali się w komitet i sprowadziwszy sobie pieczęć do kozy, kierowali organizacją z więzienia. Projekt ten nie przyszedł do skutku, bo Golejewski w pierwszych dniach sierpnia 1863 został uwolniony, dowodzi on wszakże, że Golejewski nie myślał tak źle o Sapieże, jak się o nim na opisaney właśnie konferencyi u Smolki wyrażał — inaczej bowiem nie byłby w parę miesięcy później chciał tworzyć razem z nim władzę, która będąc tajną w całym słowa znaczeniu, nierównie szersze pole dla intryg otwierała, niż nasz dawniejszy komitet, który tylko pro forma był tajnym, rzeczywiście zaś stał pod kontrolą naczelników obwodowych, którzy nas osobiście znali i wiedzieli ile nam pieniędzy dali, podczas gdy misya ekspedycyjna, przez której ręce przechodziło wszystko cośmy oddziałom dostarczyli, wiedziała znów co komitet dał i komu dał. Byliśmy więc pod podwójną kontrolą. 2

W ośm czy dziesięć dni po owej konferencyi u Smolki, podczas których ja i Sapieha prowadziliśmy nieprzerwanie czynności komitetu, zjechali się naczelnicy obwodowi, mianowicie prócz wymienionych już poprzednio dziesięciu, także Zygmunt Dąbrowski, naczelnik przemyski i Urbański, naczelnik sanocki. Przybył także Gołuchowski. Zebraliśmy się w pomieszkaniu Lubomirskiego nad Szkarpami i po zdaniu sprawy przez Sapiechę o tem co zaszło, przedłożono naczelnikom najpierw do decyzji kwestyę: czy wysłać oddziały na Wołyń i Podole, lub nie? Prócz Koziobrodzkiego, naczelnika kołomyjskiego, szwagra Golejewskiego, przemawiali wszyscy za wysłaniem, nareszcie uchwalono jednogłośnie, iż trzeba tak na Wołyń, jak na Podole oddział zbrojny jak najspieszniej wysłać. Potem interpelowano mię i Sapiechę co do stosunku komitetu do rządu narodowego, przyczem wszyscy naczelnicy jak najwyraźniej i jak najdobitniej oświadczyli, iż polecono im przez obwody, żądać od nowo usta-

nowić się mającego komitetu solennego przyrzeczenia, że dotychczasowym trybem rozwiązanego komitetu starać się będzie o utrzymanie autonomii organizacji Galicyi wschodniej i że bez wyraźnego przyzwolenia obwodów nie podda się bezwzględnie rządowi narodowemu, gdyż inaczej obwody komitetowi posłuszeństwo wypowiedzieć byłyby zmuszone. Gdy tak Sapieha i Gołuchowski jakoteż ja objawiliśmy zdanie nasze, że Galicya tylko wówczas skuteczną pomoc powstaniu nieść potrafi, jeśli będzie pod tym względem kierowaną przez ludzi zaufania i w kraju znanych i że największym nieszczęściem byłoby, gdyby Galicyą wprost z Warszawy przez komisarzy rządono, zaproszono nas trzech do dalszego kierownictwa organizacją, przypominając jeszcze raz, że wolą obwodów jest, abyśmy się rządowi narodowemu na ślepo nie poddawali. Pozostawała jeszcze do załatwienia kwestya uzupełnienia komitetu. Kilku naczelników, a między nimi także Hubicki, byli zdania, że brakujących dwóch członków komitetu mają wybrać naczelnicy, lecz nareszcie zgodzono się na pierwiastkową zasadę, t. j., że członkowie komitetu przybierają sobie brakujących członków i o tem obwody zawiadamiają. Wiedząc jak ambitnym jest Hubicki i pragnąc jego pozakomitetową opozycję zamienić w szczerą komitetu popieranie, zaproponowałem go na czwartego, na co się Sapieha i Gołuchowski zgodzili. Ogłosiwszy ten wybór naczelnikom, poszliśmy już we czterech na bok, i na mój wniosek wybrano na piątego Alfreda Młockiego; proponowałem go zaś 1-o dlatego, że finansowość, która dotąd była zawiadywaną przez Sapiehę, potrzebowała większego zajęcia się, niż jej Sapieha, zatrudniony sprowadzaniem broni, mógł poświęcić, Młocki zaś dawał krajowi gwarancję, że grosz nie zginie, a powtóre dla tego, że zdawało mi się, iż przez Młockiego, który tyle świadczył bratniej pomocy, będzie ją można do stanowczego ustąpienia i zlania się z ogólną organizacją nakłonić.

Nowy ten komitet polecił Gołuchowskiemu pokończyć przygotowania do wymarszu swego oddziału i pozostawiwszy jak dawniej przy nim obwody kołomyjski, stanisławowski, czortkowski, tarnopolski i stryjski, rozłożył pomiędzy resztę członków czynności komitetu w następujący sposób: Młockiemu oddano zarząd finansów, Sapieże zakupno i sprowadzanie do kraju

broni i amunicji, mnie ekspedycję broni, amunicji i przyborów, Hubickiemu korespondencję z obwodami, czuwanie nad nimi i utrzymanie jednolitości postępowania. Zresztą korzystając z dotychczasowego doświadczenia, uzupełniono organizację przez zaprowadzenie komisarzy wojennych po obwodach, których obowiązkiem było pod powagą naczelnika obwodu kierować czynnościami wojskowymi, jako to: lokowaniem powstańców, zbieraniem broni i przyborów, tudzież rozlokowaniem takich, niemniej koni i żywności. W obwodach granicznych, których obowiązkiem było przygotowywać dogodnie na obozy miejsca, czuwać nad ruchami wojsk ros. tuż za granicą, znosić się z obywatelstwem zagranicznym, w razie wyparcia oddziału mieć pieczę o powstańcach chroniących się etc. W większych obwodach, lub takich gdzie stronnictwa w żaden sposób pogodzić się nie mogły, pomianowano po dwóch naczelników obwodowych i tak w żółkiewskim, z którego najwięcej wychodziło oddziałów, zamianowano drugim naczelnikiem Jana Komarnickiego z Magierowa, mając przytem wzgląd na jego wziętość w obozie demokratycznym. W tarnopolskim, gdzie biedny Włodz. Bawarowski, mimo najlepszych chęci, nie mógł dać sobie rady, bywając kulbaczoną przez pierwszego lepszego awanturnika, dodano mu do pomocy na żądanie szlachty demokratycznej Erazma Rozwadowskiego, poczciwego ale ograniczonego szlachcica, który wyręczając się swoim jeszcze ograniczeńszym synalkiem, w krótkim czasie tyle nastrzelał byków, iż niepodobieństwem było zatrzymać go na urzędzie, wisiał wszakże ponieważ miał po swej stronie krzykaczów (którzy pod jego firmą robili co chcieli, a raczej nic z tego nie robili co było nakazano). Później dopiero usunięto go, a zastąpiono Koziobrodzkim, drugim szwagrem Golejewskiego, osiadłym koło Grzymałowa, człowiekiem skromnym lecz pełnym energii i poświęcenia dla sprawy. W obwodzie lwowskim musieliśmy także zmienić naczelnika, pan Skolimowski Tadeusz bowiem przez cały czas urzędowania ani razu nie stawiał się przed swoim przełożonym Smolką i żadnych z obwodu tego nie złożył podatków; zapewne tak samo jak bracia jego pan Sylwestry i pan Julian, pierwszy członek Bratniej Pomocy, drugi zapalony i ślepy Lelwela adherent, nie sprzyjał komitetowi. Wolno mu to było,



lecz nie godziło się zatrzymywać urząd poręczony mu od komitetu, tem mniej, że gdy siedziba komitetu była we Lwowie, i ztąd na wszelkie strony wychodziły wysyłki, zupełna i pod względem uorganizowania poczt obywatelskich w obwodzie lwowskim nieczynność Skolimowskiego, nie mało komitetowi trudności przysparzała. Na miejsce jego zamianowano naczelnikiem Edwarda Weissmana, zacnego i gorliwego obywatela, który po długim wymawianiu się, że jako młody i pochodzący z rodu żydowskiego nie będzie miał w obwodzie powagi, przyjął ten urząd zachęcony przez sąsiada swego Henryka Janke, który go swą radą i powagą wspierał. Dano nareszcie rozporządzenie, aby w obwodach, z których miały wyjść oddziały, mianowicie w przemyskim, w żółkiewskim i złoczowskim poczyniono przygotowania do urządzenia w danym wypadku lazaretów dla rannych.

Po tych rozporządzeniach, komitet wzmocniony świeżo objawionem zaufaniem dwunastu obwodów, którym pierwiastkowo był się narzucił na kierownika, przystąpił z całą energią do wyprawienia Jeziorańskiego i Zapałowicza, których oddziały mniej więcej były już gotowe. Wtedy to i Wysocki raczył się do nas zbliżyć za pośrednictwem swego sekretarza pana Małuji, który przysłany do niego od komitetu wołyńskiego czy podolskiego, wolał tu odgrywać bezpieczną rolę kanclerza pana jenerała en chef, niż wracać do kraju i zająć się niebezpieczną pracą przygotowania tam powstania. Pan Wysocki przekonawszy się, jak nam to oświadczył, że Bratnia pomoc przez czas swego istnienia nic nie zrobiła, prócz „plańu organizacyi Galicyi“, rozwiązał biednych bratników; pana Pawlikowskiego, by mu dać zajęcie i usunąć od intrygowania we Lwowie, wysłał po amunicję do Multan, gdzie nawiasem powiedziawszy intrygował przeciw naszemu ajentowi i przysłał nareszcie jenerałowi 80.000 ładunków od największego do najmniejszego kalibru, tak zmieszanych, że tyle tylko mogły się na coś przydać, o ile poczciwy Domagalski, chcąc próżnujących powstańców po dworach czemś zatrudnić, potrafił, przetopiwszy przysłane kule i rozsortowawszy proch nabojoy, nowych wyrobić ładunków. Pana Miłkowskiego Zygmunta, który z poręki Wysockiego kręcił się po tutejszym Podolu i mięszał szyki Gołuchowskiemu,

wysłał generał do Turcji, do formowania tam oddziału, jak się później dowiedzieliśmy; pana Sokołowskiego zaś przyłączył do swego boku, do szczególnych poruczeń. Z miejskim tylko komitetem nie chciał się rozstać Wysocki, owszem przyznawszy nam, że my jedni coś robimy i coś zrobić możemy, żądał, byśmy dla dobra ojczyzny zniknęli w komitecie miejskim, podając jako przyczynę, „że powstanie, które przez żywioł miejski zostało wywołanem, tylko przez komitet miejski wspieranem być powinno“! Przeciw takiej kołowaciznie trudno było walczyć rozumem, pytaliśmy więc tylko generała: na co w komitecie może się przydać pan Armatys, pan Piątkowski, pan Bałutowski, lub pan Kaczkowski? i czy on jako żołnierz nie podzieli zdania, że podczas akcji ciury nie tylko nie są żadną pomocą, lecz owszem zawadą? Zauważyliśmy także, że chociaż jeden z komitetu miejskiego Rodakowski, zdolnościami swemi mógłby się przydać, to i jego przyrostek do komitetu naszego tylko by szkodliwym być mógł, z powodu nie szczególnej tegoż pana reputacyi.

Gdy ani te uwagi, ani odwołanie się do świeżo objawionej opinii kraju, która nam i tylko nam powierzyła kierownictwo czynności ku wspieraniu powstania dążących, nie wywierały najmniejszego skutku na generale, który zawsze swoje powtarzał: „wiem to, wiem, ale powstanie powinien wspierać tylko komitet miejski“, oświadczyliśmy mu nareszcie, że jak dotąd nie przeszkadzaliśmy ani Bratniej pomocy ani komitetowi miejskiemu w zbieraniu środków popierania powstania, tak i nadal przeszkadzać nie będziemy, a nasze czynności zwrócimy do uzbrojenia i wysłania uchwalonych oddziałów: Jeziorańskiego, Zapałowicza, podolskiego i wołyńskiego. Na to ostatnie słowo, Wysocki jakby po raz pierwszy usłyszał (o czem od kilku tygodni mówiono publicznie, jako o przyczynie rozbicia się komitetu), że zamierzamy wysłać także oddział na Wołyń zapytał: jakto? więc i na Wołyń wysyłacie oddział? a któż go poprowadzi? Gdyśmy mu powiedzieli, że pułkownik Jordan prawdopodobnie, którego dziś jutro spodziewamy się, oświadczył nam, że oddział wołyński sam poprowadzić zamysłą. Ktoś z nas uśmiechając się zagadnął go, jakże to będzie, gdy ten oddział nie komitet miejski wyprawia, tylko nasz, nazwany przez generała szlacheckim? Generał skrzywiwszy usta do słodkiego uśmiechu odrzekł: jakoś to bę-

dzie, tylko mi go dobrze uzbrojcie. I na tem skończyło się posiedzenie nasze z jenerałem.

Wkrótce przybył Jordan, lecz dowiedziawszy się, że Wysocki chce prowadzić oddział na Wołyń, oświadczył, że pod Wysockim służyć nie będzie, a życząc przyszłemu oddziałowi wołyńskiemu wszelkich powodzeń, odjechał do Krakowa.

Gdy oddział Zapałowicza, zwany oddziałem „Jasia“ składający się prawie wyłącznie z akademików, techników i dublanistów, gotów był do wymarszu, uzbrojenie też Jeziorańskiego było na ukończeniu, oddział podolski od dawna był już gotowy, a oddział wołyński od tygodnia mógł w pięćset ludzi, 120 kawaleryi, a reszta piechoty uzbrojonej w broń obwodową wyruszyć, donieśliśmy o tem Wysockiemu i Gołuchowskiemu, aby czas wymarszu skombinowali z Jeziorańskim, pod którego komendą miał iść także oddział Jasia. Jenerał Wysocki dowiedziawszy się o sile i uzbrojeniu oddziału wołyńskiego z oburzeniem zapytał nas, czy my chcemy, aby Wysocki chował się po lasach, że mu taki oddział przeznaczamy? Dziwnie nam brzmiało w uszach zapytanie takie wychodzące z ust dowódcy partyzanckiego, lecz jako nie wojskowi odrzekliśmy mu tylko, że więcej ludzi jak 500 nie zgłasza się, a innej broni jak ta, którą ofiarujemy, nie posiadamy. Na to jenerał oświadczył nam, że sobie ochotników zamówi z Krakowa, jeśli ich tu niema, broń zaś otrzyma z Anglii lada dzień; a gdyśmy mu przedstawili, że to się Bóg wie jak długo odwlecze, a tu w Lubelskiem powstanie całkiem upadło, więc koniecznie tam oddziały natychmiast wysłać trzeba, dla ich zaś zakrycia, ponieważ Moskale stoją koło Uściługu, wypada posłać oddział na Wołyń; a zresztą oddział podolski niecierpliwi się i niecierpliwi rząd, czas mu więc wychodzić, bez oddziału zaś wołyńskiego trudno go samopas puszczać. Wysłuchawszy tych naszych uwag jenerał odrzekł stanowczo, że teraz na Wołyń nie pójdzie i Gołuchowskiemu iść nie pozwoli, ponieważ z Rużyckim umówili się co do czasu wspólnej operacji (umowa ta między Wysockim, Rużyckim i Gołuchowskim miała miejsce bez naszej wiedzy i była przed nami tajona); co się tyczy Jeziorańskiego wolno mu iść w Lubelskie, kiedy mu się podoba, lecz oddział Zapałowicza nie pójdzie z nim, gdyż go przeznaczył do wołyńskiej wyprawy. (Zapałowicz chociaż zaangażowany z Jezio-

rańskim, dał słowo Wysockiemu, że z nim pójdzie, lecz trzymał to w tajemnicy!)

Niech żyje lojalność!

Po takiej odprawie nie pozostawało nic, jak wyprawić Jeziorańskiego, którego ludzie zaczęli już być napastowanymi przez organa rządowe obwodu przemyskiego. W tem zgłasza się do nas Leszek Wiszniowski z prośbą o 100 płaszczy dla swych ludzi i o wyrobienie u Wysockiego pozwolenia wyjścia na Wołyń z obwodu żółkiewskiego. Była to istotna dla nas niespodzianka. Leszek między niższymi warstwami czeladzi rzemieślniczej i między tak zwanymi baciarzami, uzbierał był sobie stokilkadziesiąt ludzi, chcących iść za nim, jak się wyrażał, do piekła; między mieszczaństwem nabierał trochę broni palnej, resztę miał uzbroić w kosy, które już był wysłał na granicę, amunicję zebrał biorąc od nas za wyrabianie ładunków pewny procent; szło o płaszcze i amunicję. Płaszczy sto kazaliśmy mu zaraz wydać z naszych magazynów, wymęczyliśmy także od Wysockiego nominację dla Leszka. Drogami, które sobie sam wyszukał, wysłał swych ludzi a broń trzema furami, które tu we Lwowie najał, posłał przez złoczowskie, we wszystkim tem kierując się własnym rozumem i nas o niczem nie zawiadamiając. Ludzie bez przewodników, podostawali się w znacznej części w ręce żandarmów i chłopów, którym pan Mensdorff zaczął już był oddawać policję na prowincyi; broń, którą Alfred Rubczyński, jeden z malkontentów, obowiązał się był przeprowadzić ze złoczowskiego w żółkiewskie, została przytrzymałą przez żandarmeryę, z czego Rubczyński robił wyrzuty organizacyi naszej, utrzymując, że opieszałość organizacyi w dawaniu mu pomocy przy transporcie była powodem, iż furmanie nie znający drogi, zbłądzili i dlatego przytrzymani zostali. Z wyrzutami tymi przyjechał wprost do mnie, a gdy mu tłumaczyłem, że organizacya, jeśli nie chce się stać dezorganizacyą, nie może służyć pierwszego lepszemu, że Leszek nas nie uwiadomił, iż broń wysłał i nie żądał pomocy organizacyi—że nie możemy zezwolić, aby organizacya służyła każdemu, co się nawinie, gdyż i pan Hammer mógłby jej usług zażądać—Rubczyński, który przed kilka jeszcze miesiącami przysięgał na mnie, jak przysięga Turek na swego proroka, nie tylko nie przyznał mi słuszności, czego mu zresztą

nie byłbym brał za złe, lecz głosił na zebraniu równych sobie malkontentów, jakoby ja powiedział: „bardzo dobrze się stało, iż Leszkowi broń zabrano“. Ten sam Rubczyński przecież mimo, że w pierwszej zaraz chwili powstania głośno oświadczył, że idzie do powstania i na ten cel dług nawet zaciągnął, nie tylko do powstania nie wszedł, do czego jako człowiek starszy i choro-  
wity, nawet nie był zdolny, ale pod pozorem że „organizacya nic nie robi“, ani ofiary nie składał, ani do spełnienia jakich-  
bądź poleceń ze strony organizacyi użyć się nie dał, a więc sam nic nie robił. Myle się, wieształ psy na komitet i całą organi-  
zacyę, aż dano mu nominacyę kwatermistrza oddziału Miniew-  
skiego — wtedy zaczął psy wieszać na powstanców i dygnitarzy  
wojskowych — a gdy nie przyprowadziwszy na czas powierzonych  
mu ludzi, przez powstałe z tego spóźnienia kompromitujące wy-  
wypadki dostał się do więzienia, wieształ psy na całe powstanie.  
Nie żyje on już nieborak, gorączkowe życie przez kilka mie-  
sięcy podczas powstania, potem więzienie, przyspieszyły słabość,  
która przedtem już zagnieździła się była w jego organizmie,  
umarł; może więc nie powinienem był pisać tej krytyki, idąc  
za przysłowiem: de mortuis nil nisi bene. Lecz mimo względu na  
to przysłowie i mimo przyjaźni, jaka mnie z nim łączyła, powo-  
duje mną w tej mierze silniejszy obowiązek, wykazania słabej  
strony naszej, która sprawie publicznej tyle szkodziła. Nie raz  
już przyszło mi wskazać tę słabą stronę, nazywa się ona: „urzę-  
domania;“ kto nie miał urzędu, ten był organizacyi niechętny,  
ten nic robić nie chciał; chcąc więc zyskać pracownika, trzeba  
było tworzyć urzędnika — i przyszło do tego, że później w tarno-  
polskim obwodzie naprzykład, prawie każdy szlachcic piastował  
jakiś urząd w organizacyi: byli poborcy, pomocnicy poborców,  
kontrolorowie, lustratorowie z pomocnikami, inspektorowie, kwa-  
termistrzowie, intendanci i Bóg wie, co więcej jeszcze.

Lecz wracam do biednego Leszka. Straciwszy broń palną,  
udał się do nas, czybyśmy go nie mogli zaopatrzyć w trochę  
karabinów? Było właśnie nadeszło 80 sztuk, te więc zamiast  
Jeziorańskiemu posłaliśmy Leszkowi, który przekroczywszy gra-  
nicę i powiesiwszy bezbronnego objeszczyka, pomknął się ku  
północy. Tymczasem przeprawił się Jeziorański w 450 ludzi koło  
Ulanowa w Lubelskie i pociągnął ku wschodowi wzdłuż granicy

galicyjskiej. Dlaczego wówczas Lelewel nie przekroczył granicy? wszak miał broń zakopaną na tamtej stronie, a ludzi niedaleko Cieszanowa w żółkiewskim ulokowanych! Zaraz pierwszej nocy po przekroczeniu granicy ubyłło Jeziorańskiemu ze sto ludzi, uciekli; byli to koroniarze, rozbitki oddziału Langiewicza, z których się w znacznej części oddział Jeziorańskiego składał. Drugiego czy trzeciego dnia przyszło pod Kobylanką do bitwy z Moskwą. Miała to być najsłabsza i najzaszczytniejsza dla naszych bitwa podczas całego powstania; oficerowie austriacy, którzy się jej z tej strony przypatrywali, nie mogli się nachwalić dzielności wodza i waleczności naszych żołnierzy. Było tam naszych podczas bitwy trzysta kilkadziesiąt ludzi; Moskale przeszło trzy tysiące — bitwa trwała do późnej nocy — nasi wypierali bagnietami szarańczę moskiewską, cisnącą się z trzech stron do lasu, w którym stali; do stu naszych padło, Moskale do 500, gdy noc nadeszła, Moskale się cofnęli, pozwolili nawet następnego dnia wypocząć naszym i dopiero w nocy napadli, wzmocnieni kilku rotami świeżo z Zamościa przybyłymi, na nasz obóz; lecz obóz już był próżny, Jeziorański wieczorem jeszcze opuścił miejsce walki i przez terytorium galicyjskie obszedłszy moczary Tanwy, znajdował się wówczas już na lewym brzegu tej rzeki. Podczas bitwy pod Kobylanką posłał Jeziorański kuryera do Wysockiego, czyniąc go odpowiedzialnym za skutki odmówienia mu Zapałowicza. To skruszyło Wysockiego; pozwolił iść Zapałowiczowi w lubelskie, niestety! było już za późno, chociaż Zapałowicza oddział w 3 dni po otrzymaniu tego pozwolenia przekroczył granicę pod Cywkowem. Z Jeziorańskim złączyć się już nie mógł, bo w tej chwili, kiedy Zapałowicz wkraczał do Kongresówki, oddział czyli raczej resztki oddziału Jeziorańskiego uciekały z Kongresówki w przemyskie; oddział ten straciwszy ze stu w zabitych i kilkadziesiąt rannych, zmniejszył się podczas odwrotu przez Galicyę znów blisko o sto ludzi, którzy umknęli, tak, że zostało mu sto kilkadziesiąt ludzi, bez wszelkiej amunicji; garstka ta, gdy Jeziorański z kilkunastu jeźdźcami wyjechał na rekonesans, przestraszona wieścią o ciągnących Moskalach, uciekła nie czekając nawet na powrót Jeziorańskiego i nie oparła się, aż na granicy galicyjskiej, gdzie broń wojsku oddała. Zapałowicz dowiedziawszy się, co się stało z Jeziorańskim, postanowił przerznąć się na Wołyń;

forsownymi marszami dążył ku Bugowi. Koło Tuczap połączył się z nim Wiszniewski i Czerwiński, szlachcic z lubelskiego, mający koło 400 powstańców, w znacznej części włościan. Tam ich przydybali Moskale. Wiszniewski przed bitwą oddzielił się i potem wrócił do Galicyi, wieszając psy na swych „djabłów“, którzy we Lwowie w piekło iść przyrzekali, a od Moskali jakoś stronili. Zapałowicz z Czerwińskim przyjęli bitwę i zostali rozprószeni. Zapałowicz utrzymuje, że wina cała na Czerwińskim, który podczas bitwy stanowisko swoje opuścił, nie uwiadomiwszy o tem Zapałowicza, który tym sposobem znalazł się z dwóch stron między Moskalami. Inni utrzymują, że Zapałowicz straciwszy kompletnie głowę i nie dawszy żadnych rozkazów, tak, że się bito plutonami na własną rękę, znikł gdzieś z placu boju. Bóg to wie, jak tam było dość, że śliczny oddział Jasja, kwiat młodzieży, na który tyle liczono i który, gdyby był pod komendą Jeziorańskiego, pewnie swą powinność byłby zrobił, wrócił do Galicyi, oddziałkami po kilkadziesiąt ludzi, zakopując broń, którą wszakże chłopci poodkopywali, tak, że wszystka przepadła. Zginął w tej wyprawie śmiercią bohaterską dr. Niewiadomski, zostawszy dla zaopatrywania rannych, chociaż mógł uciec, tak jak inni.

Nadmienić tu muszę, że Lelewel, któremu Zapałowicz dowództwo ofiarował, przyjąć go nie chciał, przeprowadził dobrze znanymi sobie drogami oddział przez granicę i wrócił do Galicyi, gdzie agent jego Niary dążących do Cywkowa ochotników z oddziału Zapałowicza, kiedy ten jeszcze nie był przekroczył granicy, zatrzymywał po drodze i bałamucił różnymi sposobami, byle w czas nie przybyli. — Spytać się ktoś może, dlaczego to robił? A czyż ja wiem! dość, że tak było...

Kto nie wie z jakimi trudnościami wpływały ofiary, z jaką mrożącą sprowadzała się broń i amunicya, jakiej pracy trzeba było i jakiego poświęcenia, by tę broń, amunicyę i przybory, które się prawie wszystkie we Lwowie wyrabiały, ukryć i dowieźć na miejsce przeznaczenia, by powstańców utrzymać w miejscu aż do czasu wymarszu, a potem ich na plac zboru dostawić, przez jakie męki trzeba było przechodzić nim się oddział uzbroiło i na miejscu zbornem skupiło, ten nie może mieć wyobrażenia o uczuciu jakiego się doznawało na wieść, że wszy-

stkie te mozoly, prace, zachody i męki skończyły się na rozbi-  
ciu oddziału i na zupełnem zaprzepaszczeniu tak skrętnie zgro-  
madzonego ryszpunku. Niech tam niechętni mówią co chcą,  
a łatwo krytykować, gdy się nie uda, trzeba było gorącej mi-  
łości ojczyzny, by po tych niespodziankach do dalszych przed-  
sięwzięciw przystępować. Rozbito oddział, wnet się zabierano do  
uzbrojenia nowego; rozbito ten, uzbrajano trzeci, i nie opuszczano  
rak, nie żałowano nowych trudów, nie oglądano się nawet na  
niebezpieczeństwo takiego postępowania, które teraz z poza  
groznej postawy rządu przezierać poczęło. Hrabia Mensdorff,  
który zaraz po wkroczeniu Langiewicza udał się do Wiednia  
i żądał tam zaprowadzenia stanu oblężenia i rządów wojsko-  
wych, ile, że jak twierdził, urzędnikom cywilnym ufać nie można,  
nie uzyskał wówczas czego żądał — teraz otrzymał po części:  
wprowadzono bowiem nowe pułki do Galicyi i nie ogłaszając  
tego bynajmniej, oddano wojsku policję w całym kraju, prze-  
znaczając do tej czynności drobne oddziały po całym kraju  
a szczególnie w granicznych obwodach rozsypane, które przy-  
trzymały lub aresztowały przejeżdżających, a nawet rewizye  
po domach odbywać zaczęły.

W owej to chwili, gdyśmy się zajęli byli uzbrojeniem no-  
wego oddziału dla Jeziorańskiego, który po bitwie pod Koby-  
lanką stał się bożyszczem młodzieży, zjechał do Lwowa Jan  
Majkowski, nowy pełnomocnik rządu narodowego, nastąpił był  
bowiem w Warszawie wywrót byłego rządu, przeprowadzony  
za wpływem pana Majkowskiego, fortencera za dobrych czasów,  
potem członka białej organizacyi, potem tak czerwonego, że mu  
nawet ówczesny rząd narodowy białym się wydawał. Dlaczego  
pan Majkowski, dopiąwszy celu nie został w Warszawie w rzą-  
dzie, lecz przyjechał do Galicyi? On sam utrzymywał, że nie  
miał ambicyi rządzenia, że chciał tylko zorganizować zaniędbaną  
Galicyę, a potem iść walczyć w szeregach. Inni utrzymują, że  
Warszawianie poznali się na farbowanym lisie i pozbyli go się,  
wołąc by eksperymentował w Galicyi, niż bruździł w Warszawie  
i męczył rząd swoim gadulstwem. Poprzedziła go fama i przed-  
stawiła jako pogromcę białych. Uradowali się nasi „Czerwoni“.  
Czerwoni! dlaczego się oni właściwie nazywali czerwonymi?  
czy jak lucus a non lucendo dlatego, iż wstręt mieli do krwi



choćby moskiewskiej? Lecz mniejsza o to, dość że się tak nazwali — a że się i pan Majkowski czerwonym nazwał, więc rzeczą bardzo naturalną, że się do nich udał, a gdy jako ex-for-tencer lubił fartuszki, więc zrobił zaraz znajomość z komitetem dam, tych pocziwych kobiecinek, jak ich nazywał, i na szczęście swoje, a nasze nieszczęście zakwaterował się u pani Żer-dzińskiej. Jak on się tam rozprawił z panem Wysockim, nie wiem, zdaje się wszakże, że musiał staremu generałowi djable zaimponować kartaczami słów i bombami szumnych frazesów, bo stał się bardzo uległym dla nowego tego prokonsula. Po kilku dniach myszkowania między damami i bratnikami alias czerwonymi i przygotowania filipiki, przed którą pierzchnąć miał komitet biały, stanął nareszcie ten straszny człowiek w pośró-d nas. Mówił długo, mówił pięknie o znaczeniu rządu narodowego i potrzebie wspólnego działania; dawał do zrozumienia, że lada dzień miliony z Warszawy mu przybędą, że więc pomocy naszej właściwie nie potrzebuje; przy tem miał uśmiech słodziutki na ustach, a jakąś głupkowaną powagę na twarzy. O tem, byśmy ustąpili, exordyum, od którego jego poprzednicy zaczynali, nie było nawet mowy, przeciwnie dawał do poznania, że miło mu będzie wspólnie z nami pracować. Gdy nas opuścił, zdania o nim podzieliły się: jedni utrzymywali, że to głupiec; inni że ogromnie kuty, wszyscy zaś byliśmy kontenci, że tym razem obeszło się bez komedyi: „rozpędzenia białego komitetu“.

Nazajutrz pan Majkowski, vulgo „pan Jan“, przyszedł na posiedzenie komitetu, zawiadomił nas, że celem zapobieżenia wszelkim nieporozumieniom między komitetem a Rządem narod. (właściwie komisarzami Rządu, gdyż komitet z Rządem nigdy nie miał sporów) pragnie, aby stosunek komitetu do Rządu był pisemnie określony i przez obie strony podpisany. Że przeciw propozycji tej nie mieliśmy nic do zarzucenia, samo przez się rozumię się; przystąpiliśmy więc do umówienia tego stosunku, biorąc za podstawę autonomię organizacyi, wypływającą z samej natury rzeczy i położenia Galicyi, jako kraju czysto posiłkującego. Na formę więc organizacyi, jej wewnętrzne urządzenie i kierownictwo, na sposób zbierania ofiar, czy to pieniężnych, czy w naturze, na szafunek pieniężny i cały zarząd ludźmi, bro-

nią i przyborami, aż do chwili objęcia na granicy dowództwa przez wyznaczać się mającego przez Rząd wodza, ani Rząd narod. ani komisarze jego wpływać nie mieli. Również dla zapobieżenia dziwaczny często wymaganiom panów dowódców, życzenia tychże pod względem liczby ochotników, rodzaju broni i przyborów, tudzież czasu i miejsca przejścia granicy, miał komitetowi przedkładać komisarz rządowy i być tym sposobem pośrednikiem między organizacją dostarczającą posiłki powstaniu, a dowódcami hufców powstańczych. Nareszcie żądaliśmy od pana Jana, by raz koniec kładąc rozstrzelaniu sił przez utworzenie rozmaitych komitetów, powstałemu, porozwijał wszystkie bezpośrednio od Rządu narodowego rewelujące komitety i nadał ani komitetów, ani nawet pojedynczych urzędników do czynności administracyjnych w kraju nie mianował.

Na wszystko to pan Jan przystawał a nawet zaproponował, by z Galicyi z ramienia komitetu wysłano kogo do Warszawy, aby stale zasiadając w Rządzie narodowym, tenże co do stanu Galicyi oświecał, a wrazie nadużyć jakichś ze strony komisarza rządu, służył komitetowi za gwarancję, że zażalenie jego na komisarza, dojdą do rąk Rządu narodowego. Myśli te pan Jan miał przez noc spisać i na najbliższem posiedzeniu komitetu, elaborat przedłożyć, w celu ostatecznego zredagowania pisemnej między nami i Rżadem narod. umowy. Nie posiadaliśmy się z radości gdy odszedł. Złoty pan Jan! poczciwy pan Jan! wołał to ten, to ów. Teraz przecież ustaną intrygi i kłótnie i będzie można unitis viribus wziąć się do wspierania powstania. Rozeszliśmy się późno w nocy i od czasu wybuchu powstania po raz pierwszy może smacznieśmy spali. Na najbliższe posiedzenie komitetu nie jawił się pan Jan, sądziliśmy, że nie gotów jeszcze i na następne posiedzenie nie przyszedł, natomiast przyniósł ktoś drukowany w tajnej drukarni świstek zaopatrzony pieczęcią, rodzaj proklamacyi, w której, po nie bardzo zaszczytnem dla nas wspomnieniu o dotychczasowych komitetu dążeniach reakcyjnych, zawiadomiono kraj, że komitet uznał nareszcie Rząd narodowy.

Doszła nas wkrótce także wiadomość, że w kawiarni Józia o niczem nie mówią, jak o poddaniu się komitetu Rządowi narodowemu. Otóż gdy nad tem debatujemy, czy to sztuczka policyjna, czy ostatni scytyjski strzał uciekających z placu bratni-

ków, wchodzi pan Jan i po ukłonach, które chciały być salonowymi, kładzie na stół papier, mający zawierać umówiony przed paru dniami stosunek komitetu do Rządu narodowego. Czytamy i oczom własnym nie wierzymy. Na czele dokumentu stoi: „Regulamin dla komitetu Galicyi wschodniej“ w treści zaś: komitet uznaje Rząd narodowy w Warszawie „za jedyny legalny rząd w Galicyi“, poddaje się „pod prezydencję komisarza rządowego“, członkowie komitetu czynią się zawisłymi „od nominacyi i pisemnego mandatu Rządu narod.“, „czuwanie nad prasą tak jawną jak tajną, kontrola nad podatkami narod.“, nareszcie „policya narod. w kraju“ oddaje się komisarzowi rząd. Ależ to wbrew przeciwne temu na cośmy się onegdaj zgodzili, odezwałem się, a zresztą dokoment ten, żądający uznania Rządu narodowego warszawskiego, sprzeciwia się wyraźnemu oświadczeniu Rządu narodowego, że Galicya nie ma powstawać, ile, że żądanie owo jest pośrednim rozkazem do powstania; skoro bowiem Galicya uzna Rząd narod. za jedyny legalny rząd, musi konsekwentnie postępując, wystąpić przeciw istniejącemu faktycznie rządowi austriackiemu. Pan Jan nie widział różnicy między tem cośmy onegdaj mówili, a tem co nam na piśmie przedłożył, w mojem zaś powstawaniu przeciw uznaniu Rządu narodowego za jedyny legalny rząd w Galicyi, widział ku wielkiemu swemu zmartwieniu potwierdzenie tego, czemu dotąd wierzyć nie chciał, „że komitet jest przeciwny Rządowi narodowemu“. Nie pomogły czynione z mej strony przedstawienia, że komitet od samego początku powstania starał się znieść z Rządem narod. i życzeniom jego zadosyć czynić; że oddając uzbrojone oddziały w ręce mianowanych przez Rząd narod. dowódców, tem samem uznawał Rząd narodowy, że go uzna nawet pisemnie, gdyby tego potrzeba było, za jedyny legalny Rząd narodowy, lecz w prowincjach pod zaborem ros. zostających i w powstaniu znajdujących się, nie zaś w Galicyi, która ma tylko posiłkować, do spełnienia którego zadania uznanie Rządu narod. za jedyny legalny rząd w Galicyi nie jest potrzebnem, a nawet mogłoby posiłkowanie samo zakwestyonować, gdyż uznanie owo byłoby zbrodnią zdrady głównej przeciw Austrii i musiałoby zniewolić Austrię do energicznego wystąpienia przeciw wspieraniu powsta-

nia. Pan Jan widział w tych wszystkich uwagach tylko „wybiegi prawnicze“ i „niewolnicze trzymanie się słów“. Trudno przekonać tego, kto nie chce być przekonany, nie dziwiło mię przeto, że pan Jan nie podzielał mego zapatrywania, lecz dziwiło mnie nie mało, że prócz Młockiego, który do zdania mego bez ogródek przystąpił, reszta kolegów bardzo miękko mię popierała i pomijając ten punkt, który przecież był najważniejszym, rozwodziła się nad innymi, mniej znaczącymi punktami, które przy obaleniu owego, musiały same przez się upaść. Stańło nareszcie na tem, że uwagi nasze przedłożymy na piśmie; wygotowanie pisma tego mnie poruczono. Pismo moje składało się z dwóch części: w pierwszej starałem się wykazać niewłaściwość, a nawet szkodliwość postanowień zawartych w regulaminie, w drugiej spisałem punkta zasadnicze, mające odtąd określać stosunek komitetu Galicyi wschodniej do Rządu narodowego, a to na podstawie poprzednio panu Janowi wyluszczonej. A gdy mu tak bardzo na tem zależało, by w dokumentach spisać się mających znajdowało się uznanie Rządu narod. przez Galicyę, tudzież by członkowie komitetu mieli nominacyę od Rządu narod., więc co do 1-o nadmienilem: że komitet Galicyi wschodniej uznaje Rząd narod. warszawski za jedyny legalny narodowy Rząd w częściach Polski, pod zaborem Rosyi znajdujących się, i jemu wszelkie posiłki, które dla powstania w ludziach, koniach, broni i przyborach zebrać tylko zdoła, do dyspozycyi oddawać będzie; co do 2-go zawarowawszy komitetowi prawo dobierania sobie członków, umieściłem postanowienie, że Rząd narod. o każdym nowo wybranym członku będzie zawiadomionym, a jak istniejącym członkom, tak też przyszlým, wyda ze swej strony uwierzytelnienia.

Pismo to, zmodyfikowane na wniosek Hubickiego w kilku miejscach pierwszej części, z których możnaby było wnosić, że dlatego na nominacyę członków komitetu przez Rząd narodowy nie zgadzamy się, ponieważ mu z powodu jego tajemniczości i ciągłego zmieniania się w swym składzie, ufać nie możemy, zostało jako wniosek komitetu panu Janowi wręczone, który nie chcąc sam sporu między nim, a nami co do zasad powstałego rozstrzygać, oświadczył, iż je Rządowi narodowemu przedłoży. Rozstrzygnięcia Rządu narodowego nie otrzymaliśmy nigdy, cho-

ciaż pan Jan zapewniał nas kilkakrotnie, że Rząd narodowy punkta przez nas podane zatwierdził. Później w więzieniu dowiedziałem się od Milowicza, który z kolei rozpedził Rząd narodowy, utworzony przez pana Jana, że w aktach Rządu narodowego nie znalazł nawet śladu jakiejś umowy między Rządem a komitetem, mającej regulować wzajemne stosunki. Czy pan Jan kłamał? a jeśli umowy tej Rządowi nie przedłożył, dlaczego nas oszukiwał? Czy też ktoś w Rządzie niechętny takiemu stanowisku Galicyi uprzętnął ten dokument? Zdaje się, że pan Jan kłamał, slyszalem bowiem jeszcze wówczas, gdy pan Jan z nami w najlepszej zostawał komitywie, że używa nas tylko tak długo, dopóki mu nie wyprawimy oddziału wołyńskiego, a potem nas „puści w trąby“, i zorganizuje Galicyę „jak należy“.

Zapomniałem wprzód nadmienić, że gdy przy drugiej naszej konferencji z panem Janem mowa była o konieczności porozumiewania tych rozmaitych komitetów, które komisarze byli utworzyli, pan Jan radził, aby kogo z mieszczan choćby dla parady przyjąć do komitetu. Zgodziliśmy się na to tem chętniej, że przy ciągłym zajęciu Gołuchowskiego na prowincyi, było nas tylko czterech właściwie w komitecie, a prócz tego przy napływających do Lwowa ochotnikach, których Wysocki z Krakowa zapisał, potrzeba zajęcia się kwaterunkiem tychże w mieście, stawała się coraz namacalniejszą. Zawezwaliśmy więc na rekomendację pana Jana tutejszego blacharza Bratkowskiego, na najbliższe posiedzenie komitetu, do czego tenże osobno wprost od komisarza rządowego zawezwanie otrzymał. Na posiedzeniu, poprzedzającym przedłożenie znanego Regulaminu, rozmawialiśmy z nim, chcąc go wtajemniczyć w sprawę, którą rozbiierać miano; o dotychczasowym stanowisku komitetu do Rządu, o niedogodnościach wynikających ztąd, że kilka egzystuje komitetów i o obowiązkach wynikających przysłych. Pan Bratkowski na wszystko potakiwał. Podczas posiedzenia, na którym regulamin nam przedłożono, pan Bratkowski ani półsłówkiem zdania swego nie objawił, dopiero gdy po rozejściu się, razem z nim szedłem do domu, dowiedziałem się od niego, „że ja ślicznie swego dowodził, ale i pan komisarz bardzo mądrze gadał“, dalej dał mi do poznania, że ma bardzo liczną rodzinę do utrzymania, że jeden z synów poszedł już do powstania i że z tego powodu stoi pod obserwacją policyi.

Nareszcie, gdyśmy się zbliżali ku rynkowi, pożegnał mię, „by nas razem nie widziano“ i tyleśmy widzieli pana Bratkowskiego.

W owym to czasie zaczęło się coraz więcej ludzi w stroju francuskim pokazywać, co we Lwowie tem więcej biło w oczy, ile że u nas wtedy prócz kilkunastu fircyków, wszyscy z polska się nosili. Byli to oficerowie przez Wysockiego z zagranicy ściągnięci, a liczba ich wkrótce wzrosła do siedmdziesięciu kilku w samym Lwowie, tudzież lekarze, sekretarze i inni urzędnicy przez jenerała pozamawiani, nareszcie ochotnicy pod jego chorągiew z Krakowa spieszący, których niebawem do 600 w naszych murach liczyliśmy. Wszyscy ci panowie dostawali umieszczenie u mieszczan, (czem się trudnił Piątkowski) majątniejsi mieszczanie dawali od siebie także wikt, biedniejsi dostawali z kasy naszego komitetu wynagrodzenie pieniężne za wikt dostarczany zakwaterowanym u nich powstańcom. Mimo to intendant główny jenerała, pan major Ruszczewski, płacił z kasy jenerała, tak oficerom, jako też szeregowym powstańcom dzienny żołd, było więc zaco dokazywać po kawiarniach i tracić po oberżach: sam widziałem rachunek jednego takiego oficera przez Georgea pokwitowany, za 27 dni wynoszący, nie licząc obiadów, 300 kilkanaście reńskich. Dobrze to były czasy; to też pan Jan kłął się potem na duszę, że oddział Wysockiego, który prócz 600 karabinów = 12000 złr. i 40 koni dla nadliczbowych oficerów = 8000, resztę wszystko otrzymał od organizacyi, kosztuje go 480.000 złp. Karabiny i konie kosztowały 20.000 złr. czyli 80.000 złp., przeto 400.000 złp. poszło na żołdy!!

Przepraszam! sprowadził był jenerał także drukarnię do drukowania proklamacyi, które miał na Wołyniu i Ukrainie wydawać, tudzież cztery furgony z blaszanemi budami. Drukarnia zagrzeżła gdzieś w samborskim i uznana została ostatecznie za niepotrzebną; furgony zaś wywieziono wprawdzie w nocy do Lwowa (onej nocy zdawało się mieszkańcom przedmieścia żółkiewskiego, że ogromnie grzmiało), lecz zostawiono zaraz w pierwszym dworze, gdyż na drogach prywatnych nie podobna je było dalej wieźć, tak lekką i zgrabną była ich konstrukcyja... Lecz dodawszy do tego owe sławne z Paryża umyślnie sprowadzone lunety, przez które potem ś. p. Kuczyński z biura swego, przechodniom się przypatrywał, dodawszy nawet te działa, na które

jenerał tak czekał, a których się doczekać nie mógł, zawsze na żołądy bardzo szanowna sumka przypadnie. Hej, hej! dobrze to się żyło; trzymało się u Georgea i Baracza koniki, na których się po wysokim zamku paradowało; siaka taka po setce za umizgi dostawała. A biedni powstańcy, których organizacya do oddziału wołyńskiego przeznaczyła i po dworach w złoczowskim i żółkiewskim poumieszczała, musieli siedzieć cicho, by ich żandarmerya nie pochwytała i kontentować się szlacheckim wiktem i dwugrajcarowymi cygarami. I nie mieliż słuszności, wymyślając na szlachtę i białą organizacyę?

Podczas gdy ludzie do oddziału wołyńskiego przeznaczeni, jedni się bawią we Lwowie, drudzy po wsiach nudzą, pocziwy pan Lelewel zebrawszy cichuteńko swoich, przedarł się szczęśliwie przez granicę i przez linię moskiewską i zaprowadził het, het, aż za Lublin, gdzie ludzi i broń oddawszy któremuś z dowódców, sam wrócił do Galicyi, by nowy zbierać oddziałek.

Zaczęła się także młodzież zbierać w przemyskim, sanockim, rzeszowskim do nowego oddziału Jeziorańskiego, któremu i broń nadchodzić zaczęła. Aż tu ni ztąd ni z owąd dochodzą nas wieści, że Jeziorańskiemu zabroniono dowodzić jakimkolwiek oddziałem. Przyjeżdża też i Jeziorański i pokazuje się, że pan Jan żądał od niego usprawiedliwienia, dlaczego wrócił do Galicyi? rachunku z powierzonej mu broni etc. Na pierwsze odpowiedział Jeziorański, że nie zastawszy oddziału swego, sam z kilku ludźmi nie mógł pozostać w Lubelskiem; co do drugiego odrzekł, że nie otrzymawszy od Rządu narodowego ani jednego karabina, ani ładunku, ani żadnej innej rzeczy do owej wyprawy, nie poczuwa się do obowiązku zdawania komisarzowi tegoż rządu jakowegoś rachunku. Obrażony tem pan Jan, napisał do Rządu narod. i otrzymał dymisyje Jeziorańskiego.

W tem zawiadamia nas pan Małuja, że zamówiona przez Wysockiego broń nadeszła na dworzec lwowski i prosi, byśmy ją wywieźli nad granicę w lasy Berlińskie koło Brodów, gdyż tam jenerał złożoną ją mieć sobie życzy. Posyłamy jednego z członków komisji expedycyjnej na dworzec i dowiadujemy się, że przyszło trzy kotły żelazne, każdy po 30 centnarów wagi. Zadanie nie lada! Jak tu takie maszyny wykraść z dworca, jak prywatnemi wieść drogami? jak w niedo-

stępne zatransportować lasy Berlińskie? Rozebrać kotły bądź na dworcu, bądź na gościńcu nie sposób, bo kotły tak sztucznie zamknięto, że do otworzenia jednego trzeba kilka godzin czasu, zresztą kotły te mieszczą 600 karabinów, ileż to bryczek trzeba nagromadzić, by wydobytą z nich broń natychmiast uprzatnąć! Przez cały tydzień zachodzimy w głowy, plany rodzą się i giną jako niewykonalne, nareszcie komisarz policyi, który dla naszej broni na dworcu był ujęty, tudzież również ujęty magazynier, żądają kategorycznie zabrania kotłów, gdyż z upływem ósmego dnia od czasu gdy nadeszły, będą z urzędu otworzone, jeśli się po nie nikt nie zgłosi. W tem krytycznem położeniu pocziwy prezes komisji ekspedycyjnej Seweryn Borkowski, ofiaruje swą gorzelnię w Ponikowie, stojącą tuż przy murowanym brodzkim gościńcu, na chwilowy schowek tych maszyn.

Chwytny się tego projektu, najmujemy trzech furmanów do Brodów i wyślemy te nieszczęsne kotły, a przodem polecenie do rządcy w Ponikwie, aby czatował na tych furmanów i zapłaciwszy fracht, kazał kotły złożyć w Ponikwi. Stało się jak rozporządziliśmy. Potem zamówiono na następną noc 40 bryczek, wyjęto przez dzień broń z kotłów i wyrąbawszy w stodole, gdzie były złożone, ścianę od pola, rozwieziono tamtędy wszystką broń do łopatyńskich i brodzkich lasów, zkąd je potem Godlewski, nadleśniczy brodzki, na wyszukane i od zacieczenia ochronione miejsce, niedaleko karczmy Berlin, pozwoził. Przy rozpakowywaniu w Ponikwie, wziął Hubicki pierwsze lepsze dwie sztuki na pokaz do Lwowa, by stosowne do kalibru przysposobić ładunki. Przyjechawszy do Lwowa, woła pułkownika Domagalskiego, by tę broń pokazać i zaraportować, że szczęśliwie dowiezioną została. Domagalski rozwija broń, przypatruje się, próbuje zamek, ladsztek, bagnet. Ba! najpierw kaliber nie jednaki, będzie więc z ładunkami ambaras, lecz mniejsza, można odznaczyć kolorowym papierem jeden kaliber od drugiego; ależ ladsztek tu nie wchodzi w rurkę, tam bagnet nie załazi na lufkę, tu kominek niedowiercony, tam zamek kapsli nawet nie zbija! Czyś pan umyślnie wybrał te dwie sztuki, by jenerała umartwić? pyta Domagalski. Bynajmniej, rzecze Hubicki, wziąłem pierwsze lepsze, które mi w ręce wpadły... Musiano więc potem odkopywać broń i posyłać nocami rusznikarzy, aby naciągali sprężyny



zarkowe, wśrubowywali inne kominki, opitowywali lufki lub ladsztoki, ~~większa bowiem część broni była nie do użycia~~ bez tej lub owej naprawy. I taką to broń „jenerał“ sprowadził! Lecz trzeba oddać sprawiedliwość komu należy. To była broń przez Milowicza kupiona.

Po nadejściu tej broni dano nam znać, że Gołuchowskiego ludzie ze wszystkich przydzielonych mu obwodów ruszają się ku granicy w czortkowskim. Ponieważ Gołuchowski stał pod rozkazami Wysockiego, a dzień i miejsce nie od nas lecz od dowódcy zależały, mogły się przeto owe ruchy odbywać bez naszej wiedzy, tem bardziej, że w owych pięciu obwodach, które wydzielono na rzecz oddziału podolskiego, Gołuchowski wszystkim się sam zajmował. Dziwiło nas wszakże, że Wysocki nie daje żadnego znaku do poruszenia oddziału wołyńskiego, co teraz, gdy broń nadeszła, stałoby się już mogło. Wysockiego nie było podówczas we Lwowie, pojechał on w Złoczowskie, by osobiście kierować ostatecznymi przygotowaniem do wyprawy, nie mogliśmy się więc od niego dowiedzieć co to się dzieje, lecz wnet nas objaśnił Gołuchowski, donosząc umyślnym kurjerem, że między nim a Rużyckim stanęła umowa, aby tego a tego dnia wkroczył na Podole, gdzie on, Rużycki, wyruszywszy ze swojemi z Ukrainy, z nim się połączy. Chwała Bogu! pomysleliśmy, nareszcie nasi Podolacy będą się mogli popisać, nareszcie w zabranym kraju krzykną nasi: hura ha, na wraha! Lecz ledwie kurjer z życzeniem naszym, by się oddziałowi jak najlepiej powodziło, odjechał, gdy przybył pan Małuja od Wysockiego, aby natychmiast wysłać do Gołuchowskiego rozkaz wstrzymania się z przekroczeniem granicy i odesłania ludzi na dawne leże. Spełniliśmy polecenie, spełnił i Gołuchowski otrzymany rozkaz, choć nie bez znacznej straty, bo wracających z miejsca zbornego ludzi żandarmerya i wojsko w znacznej wyłapały części, broń zaś, którą miał przewieźć za granicę i amunicya — została zabraną do szczytu.

Dowiedziawszy się o tem, kazaliśmy natychmiast 359 karabinów wysłać z Wiednia pod adresem kupców zaleszczyckich i brzeżańskich i wyprawiliśmy ją ze stacy jarosławskiej bocznemi drogami. Na nieszczęście komitet niewiast chcący panu Lelewlowi 25 karabinów ofiarować, a dowiedziawszy się jakimś spo-

sobem o adresach pod jakimi broń nasza idzie, każe te 25 karabinów podobnie adresować, lecz adres złą niemiecczyzną i wcale nie po kupiecku pisany, obudził już podejrzenie w Krakowie i dano o tem znać tutejszej policji, która czatuje na wskazaną paczkę, rozbija ją, gdy nadeszła i zamiast cukru, znajduje broń: skutkiem tego łapią nam koło Drohobycza sto kilkadziesiąt karabinów i tyleż w samych Zaleszczykach -- ledwie kilkadziesiąt sztuk ocalało. Kochane, poczciwe kobiecinki!! Lecz tego nikt nie karciał...

Wspomniałem, że Rząd narodowy za wpływem pana Jana dał Jeziorańskiemu dymisyę. Ludzi, którzy do jego oddziału wybierali się, postanowił Wysocki użyć na Wołyn i wkroczyć tam w trzy oddziały. Główny oddział pod jego dowództwem miał się składać z 1000 ludzi i przejść granicę koło karczmy brodzkiej „Bezodnia“ zwanej, na północ od Brodów, wśród lasów leżącej; drugi oddział z 300 piechoty i 50 jazdy pod dowództwem pułkownika Horodyńskiego miał przejść granicę w okolicy Podkamienia; trzeci z 300 piechoty i 50 jazdy pod wodzą młodego pułkownika Miniewskiego miał wkroczyć koło Baryłowa, na lewym brzegu Styru. Miniewski nie żądał tylko koni z uzbrojeniem, furgonów i amunicji z drobniejszymi przyborami, broń palną miał posiadać w Krakowie, a my mieliśmy mu tylko dostawić ją na miejsce zborne. Horodyński wszystkiego potrzebował. Wysocki żądał tylko kilkaset toporków dla swej piechoty i paręset kos, prócz butów, bielizny etc. dla nadliczbowych ochotników.

Zajęliśmy się natychmiast dostarczaniem tego, co było potrzeba, w tem jak grom z czystego nieba spada wiadomość, że Rużycki wkroczył w 300 koni do Galicyi. Szedł on na spotkanie Gołuchowskiego i spotkał się z nim w Galicyi! Ludzi jego po większej części zdołano poukrywać, konie poodkupowano za bezcen na licytacji, albo pouprawdzano, nim austr. wojsko nadeszło, bronii nie miał ten oddział żadnej, więc jej nie stracił; kilka pałaszy, kilkanaście rewolwerów, zresztą lance t. j. żerdzie z zębami od bronii miasto grotów, oto była broń zwycięzców pod Salichą. Coby ci ludzie mogli dokazać gdyby mieli broń! A może i nie byłiby się wcale bili; bo dziwnie to brzmi, ale jest prawdą, że najlepiej się biły te oddziały, które nie miały

broni. Ci sami ludzie, którzy pod Langiewiczem, Jeziorańskim nie mając broni, bili się dobrze i wśród zimy, bosy, nieodziani wytrzymywali strapace wojny, potem ubrani, zaopatrzeni we wszystko i uzbrojeni w dobrą broń, wracali do Galicyi przy pierwszym spotkaniu się z Moskalami, lub nie przekraczali granicy, kończąc wyprawę tem, że z wygodnych kwater przejechali się na plac zborny nad granicą. Czy pierwszymi powstańcami rozpacz kierowała? Czy nie uciekali, ponieważ nie mieli dokąd uciekać? Ależ pod Kobylanką widzieli Galicyę podczas całej bitwy, a bili się jak lwy? Czy w tem wina lub zasługa dowódców? Zdaje mi się, że wszystkie te okoliczności potrosze wypłynęły, a jeśli pierwiastkowe oddziały dłużej się trzymały w polu, to mogło się i to przyczynić, że z początku powstania właściwie nie było się z kim bić, gdyż Moskale koncentrowali się, unikając spotkania się z powstańcami.

Pałaszy, pistoletów i lanc można było Rużyckiemu dostawić do 14-tu dni, oświadczyliśmy się z gotowością naszą, będąc pewni, że zechce z Wysockim i Gołuchowskim razem wyruszyć. Podziękował nam oświadczając, że niczego nie potrzebuje dla swego oddziału, z Wysokim zaś nie pójdzie. Czy miał żal do niego, że nie dotrzymał umowy? Lecz jeśli przewinił Wysocki dlaczego miała cierpieć sprawa? Trzysta dzielnych jeźdźców, a takimi byli ludzie Rużyckiego, na 300 dzielnych koniach, a dzielne były konie jego oddziału, bo pochodziły po większej części ze stadnin Branickich i Sanguszkii, przy 200 przeszło koniach Wysockiego i 300 do 400 Gołuchowskiego, wszak to było by czem pohulać, choćby po stepach ukraińskich. Pan Rużycki ma być gorącym patryotą, Wołyńscy mówią o nim jak o półbożku, tem mniej więc pojmuje, jak mógł odmówić wspólnej z Wysockim i Gołuchowskim wyprawy na Moskali. Czy czekał aż Wysocki się pokpi, a on otrzyma główne dowództwo? To się da tłumaczyć ambicyą żołnierską, ale ujmę czyni patryocie. Zresztą pan Rużycki sam na siebie wyrok wydał, więc ja go sądzić nie potrzebuje.

Kiedy Horodyński był już we wszystko zaopatrzony, a Wysockiemu nawet bulionu nie brakowało, Miniewski mając na miejscu zbornem 40.000 ładunków i wszelkie drobne przybory, a w okolicy ulokowanych 60 koni, 50 pod wierzch, resztę pod

furgony, czekał i czekał na broń, po którą szef sztabu jego, Alfred Bogusz i na juki, po które adjutant jego hr. Czosnowski, do Krakowa pojechali. Nareszcie gdy Wysocki, rezykując nawet, że Miniewski nie zdąży na czas wyruszyć, wyznaczył termin do wymarszu na 29-go czerwca, przyjeżdża 20-go czerwca Bogusz z Krakowa z wiadomością, że broń dawno wysłał do starego Sioła w brzeżańskim. Nie wchodzimy w to, dlaczego ją posłał w przeciwną całkiem stronę. Posyłamy tam kuryera, i odbieramy wiadomość, że broń tę „ktoś” legitymujący się pieczęcią wywiózł, nie wiadomo dokąd. Nie było czasu zastanawiać się nad tym bajecznym wypadkiem. Pan Jan pisze do Wiednia do agenta broni rządowej, by przysłał tę broń rządową, która tam nadeszła; my zaś z broni dla Jeziorańskiego przeznaczonej, posyłamy do Baryłowa 70 sztuków. Pytamy jaka to broń, o którą napisał pan Jan i dowiadujemy się, że to broń angielska takiego samego jak rosyjska kalibru. Kaliber rosyjski jest bardzo duży, ładunki więc, które robione były na kaliber austriacki, taką bowiem broń Miniewski sprowadzić miał z Krakowa, okazały się niezdolnymi, zaczęto przeto lać kule dużego kalibru i robić czempredziej stosowne ładunki, które w miarę jak były gotowe, wywożono do Baryłowa, dokąd także broń rządowa z Wiednia nadchodzić zaczęła. 27-go czerwca wniósł na posiedzeniu komitetu pułkownik Horodyński, aby Sapieha jego oddział osobiście wyprawił; Sapieha chętnie propozycję przyjmował, ja oponowałem, że do wyprawiania oddziałów są komisarze wojenni i graniczni, lecz że Hubickiemu chciało się osobiście wyprawić Wysockiego, a Miniewski także prosił, by kto z panów komitetowych jego oddział wyprawił, uchwalono większością 3-ch przeciw mnie jednemu, że każdy z oddziałów będzie wyprawiony przez członka komitetu. Ponieważ nie podobna mi było narażać Młockiego na podobną expedycję, więc choć przeciwny takiemu awanturowaniu się członków komitetu, ofiarowałem się sam, lecz do oddziału Horodyńskiego, mając wstręt do Miniewskiego, a bardziej jeszcze do jego szefa sztabu Bogusza, wyuzdanego lamparta paryskiego. Miniewski jeszcze bez wąsów, exjunker rosyjski, nie wzbudzał we mnie wielkiego zaufania. Bogusz nigdy w wojsku nie służył, a efronterią i cynizmem odrażał — nic więc dziwnego, że

kiedy już miałem jechać do obozu, wolałem jechać do Horodyńskiego, niż między ludzi, którym dowodzić miał smarkacz i bezczelny efront. Lecz Horodyński tak prosił, by Sapięha do niego jechał, że nie pozostało mi jak przyjąć obowiązek wyprawienia Miniewskiego. 28-go czerwca więc Sapięha, Hubicki i ja, ruszyliśmy każdy w swe miejsce. Komisarzem wojennym przy oddziale Miniewskiego był Tadeusz Wasilewski, pojechałem tedy do niego, do Sieńkowa. Zastałem tam i w najbliższym dworze Sobinie, zgromadzonych około 70 powstańców; 200 miał przyprowadzić Rubczyński od Łopatyna, 100 miało przybyć ze Lwowa. Konie w najbliższej okolicy były już zgromadzone, co chwila przybywały bryczki z bronią i amunicją lub przyborami, które do lasu baryłowskiego na wybrane poprzednio przez samego Miniewskiego miejsce odsełano. Nazajutrz w południe przyjechał Miniewski ze sztabem, t. j. Alfredem Buguszem, szefem sztabu i jego bratem Zdzisławem, rotmistrzem jazdy, Czapskim dowódcą jazdy, Czosnowskim, sztabowym adjutantem i jakimś Jegomością, którego nazwiska już nie pamiętam, mającym pełnić urząd komisarza cywilnego przy oddziale Miniewskiego. Dwór sieńkowski obstawiony był wojskiem, które wszakże nikomu nie przeszkadzało wjazdu lub wyjazdu; żołnierze węgierscy przychodzili nawet do dworu, pomagali poić konie powstańskie, a pan kapral raczony w kredensie, cieszył się, że panowie Polacy idą bić Moskali. Z ruchu, jaki panował, łatwo mógł wnosić, że się coś nadzwyczajnego dzieje, a bryczki ciężko idące zdradzały swój pakunek, lecz kapral nie pytał z kąd te bryczki przychodzą i dokąd zaraz odchodzą, nie pytał kiedy panowie Polacy pójdą na Moskali, prosił tylko, by mu na pamiątkę zostawili z jeden ładunek.

Po obiedzie, wziął pan Miniewski mnie i Wasilewskiego na stronę i zwierzył się nam, że dopiero w nocy z 30-go czerwca na 1-go lipca wyruszyć ma, z czego byliśmy bardzo uradowani, brakowało bowiem jeszcze dużo broni spodziewanej i amunicji do niej. Lecz zdziwiło nas, gdy w dalszem zwierzeniu się powiedział nam, że ma od Wysockiego polecenie przejścia granicy koło Bezodni i połączenia się z nim 1-go lipca o 8-mej z rana pod Radziwiłłowem. Z Baryłowskich lasów, gdzie było wybrane miejsce zboru i gdzie się już znajdowały broń, amunicja i wszel-

kie przybory, do Bezodni jest sześć mil drogi, miejsce to leży na lewym brzegu Styru, a Bezodnia na prawym; trzeba więc przechodzić Styr, a przechód tej rzeki dla rozciągających się z obu stron bagien niemożliwy, tylko przez prom szczurowiecki, strzeżony przez wojsko, lub przez most w Stanisławczyku, także wojskiem obsadzony; zresztą Bezodnia leży w rejonie wolnym brodzkim, trzeba więc obrawszy którąkolwiek z tych dróg przechodzić nadto przez komorę celną. Posyłamy natychmiast Jaworskiego, by zbadał brzegi Styru, czy nie ma gdzie brodu; Trziński tymczasem poleciał do Leszniowa między przemytników, by od nich dostać języka. Tymczasem coraz nowe nadchodzą transporta broni i amunicji, którą nie wiedząc którądy właściwie oddział się uda, każemy zostawiać na bryczkach. Tak przeszła noc z 29-go na 30-go. Nad rankiem wrócił Jaworski, brodu nie znalazł, lecz dowiedział się, że w Stanisławczyku mało wojska, że to Węgry i że mu żyd pachciarz myta mostowego powierzył, iż za kilkadziesiąt reńskich, żołnierze oczy przymrużą, gdy trzeba coś zrobić, czego widzieć nie powinni. Ze swej strony Trziński zakumunikował, że niżej przewozu szczurowieckiego, w jego majątności Grzymałowce można przy pomocy kilkuset tarcic, a te się u niego znajdują, przejść w bród rzekę, lecz potem trzeba iść przez miasteczko Leszniów, gdzie jest niepokciwy komendant żandarmeryi, którego ująć nie podobna. Miniewski się nie decydował, na wszelki wypadek widocznem było, że ruszywszy w nocy z 30-go czerwca na 1-go lipca niepodobna było stanąć o 8-mej z rana pod Radziwiłowem, prędzej zaś wyruszyć było niepodobnem, gdyż na miejsce zborne w lesie baryłowskim, tak ludzi ze Lwowa spodziewanych jak i tych, których Rubczyński miał przyprowadzić, Miniewski jadąc do Sienkowa, na noc 30-go obstałował. Przez cały dzień 30-go zwożono do lasu z Sienkowa nagromadzoną tam przez noc broń i amunicję, tudzież przygotowaną dla ludzi i koni żywność. Pod wieczór wysłano do lasu Masłowskiego, jako biegłego w tych rzeczach człowieka, by wzięwszy do pomocy powstańców miejscowych, których w liczbie 70 także tam wysłano, poczynił przygotowania do przyjęcia spodziewanych ochotników i czuwał nad porządkiem przy rozdzielaniu broni, amunicji, przyborów i żywności, ani pan doradzca bowiem, ani żaden z jego sztabowców o tem

nie myśleli, zajęci oni byli cały ten dzień przezieraniem i przypasowaniem swych mundurów, ostrogów, pałaszy i czapek, naj-  
suciej ubrany był pan Zdzisław Bogusz, w granatowej ze srebrem  
ułance i takimże kasku, wyglądał jak mały Poniatowski. Gdy się  
zmierzchno, wyprowadzono do lasu konie wierzchowe i pocią-  
gowe, poczem około 11-tej wieczorem wyruszył dowódzca ze  
sztabem. Wszystkie konie, bryczki i wozy, jakie się tylko we  
dworze sienkowskim znajdowały, poszły do Baryłowa z resztą  
przyborów lub ze sztabem, żywej też duszy prócz mnie i go-  
spodarza domu nie zostało we dworze — furman, lokaj, kucharz,  
stajenni i gumieny wszystko to było w lesie. Zamówiliśmy  
jedną bryczkę, by odwiozłszy swój ładunek na miejsce, wróciła  
zaraz po nas. Lecz mijała godzina za godziną, a nikt po nas  
nie przyjeżdżał. Burza wyła z daleka, deszcz dużemi kroplami  
tłukł od czasu do czasu o okna, zdrzymaliśmy się w krzesłach  
i bylibyśmy się doczekali dnia białego, gdyby nie piorun, który  
uderzył gdzieś nieopodal. Zerwaliśmy się na równe nogi. Która  
godzina? pytam, druga po północy, odpowiada Wasilewski,  
spojrzawszy na zegarek. Druga po północy! o 10-tój wieczór  
mieli stanąć ludzie w obozie, po północy mieli wyruszyć, a my  
jeszcze w Sienkowie? Czy nikt z Baryłowa nie wrócił? wyszedł  
Wasilewski na dziedziniec, nie ma nikogo, idzie ku bramie, by  
się spytać stojącego tam na warcie żołnierza, lecz żołnierzy  
ściągnięto. Wraca więc do pokoju z doniesieniem, że nie ma ni-  
kogo i rzuca się śpiący na sofę. Ja zapalam cygaro i idę za jego  
przykładem. Mija tak godzina. Panie Wasilewski, wołam, już  
dnieć zaczyna, co to się znaczy? Alboż ja wiem, odpowiada.  
Czy nie moglibyśmy, pytam się dalej, dostać na wsi fury i po-  
jechać do Boryłowa, tam bowiem musiało się coś stać, że dotąd  
nie ma nikogo z powrotem. Tu sobie Wasilewski przypomniał,  
że jest w wozowni bryczka Trzcńskiego, którą tenże zostawił,  
ponieważ nie ufał osiom, czy pod ciężarem na leśnych wytrzy-  
mają drogach, tudzież że w stajni są konie Jaworskiego, które  
całodzienną drogą były tak zmęczone, że je zostawiono dla wyt-  
chnienia. Chwała Bogu! każde kochany panie Tadeuszu założyć  
konie Jaworskiego do bryczki Trzcńskiego i jedźmy. Poszedł  
Wasilewski wypełnić to zlecenie i znalazł jeszcze jakiś zapom-  
niany wóz z żywnościami i należące do niego konie z parobkiem

w stajni; znalazł także dwóch jakichś powstańców, którzy w nocy przybywszy zakwaterowali się, nie budząc gospodarza, w otwartym kredensie i tam smacznie chrapali obok lokaja, o którym sądziliśmy, że do lasu był pojechał, podczas gdy on się uraczał z żołnierzami.

Nareszcie zajechała bryczka, za nią wóz z żywnościami, lokaj wrzucił jeszcze jakieś dwa wory do bryczki, na którą wsiadłem ja z Wasilewskim; lokaj chcący koniecznie widzieć wyruszający obóz, wprosił się na kozioł; powstańcy umieścili się na wozie i tak ruszyliśmy. Był już dzień biały, lecz gęsta mgła mroczyła, czyniąc poranek nader ponurym. Przeprawiwszy się przez jakieś torfiaste bagno, stanęliśmy nareszcie na bitej drodze, która jak mi mówił Wasilewski prowadziła do Wygody, folwarku należącego do Baryłowa; na Wygodzie mieliśmy się zapytać o drogę prowadzącą na miejsce zborne, Wasilewski bowiem, jak się pokazało, nigdy na owym miejscu nie był, wyręczając się pomocnikiem swym Biłgorajskim, drogi więc nie znał; — furman, który nas wioził, należał do Jaworskiego, był więc obcym w okolicy, a parobek od wozu, chociaż rodem z Sienkowa, nie miał wyobrażenia o owym miejscu. Jedziemy więc do Wygody. W tem od prawej ręki drogą, którąśmy byli właśnie minęli, spostrzegamy kogoś jadącego, stajemy, wołamy na przejeżdżającego i poznajemy Komarnickiego, który przywiózłszy broń do Sienkowa, ztamtąd odwiózł ją do lasu, a wracając zbłądził i przebywszy w lesie nocną burzę, teraz wpadł na tę drożynę i wracał do domu. O tem, co się w obozie dzieje, nic nie wiedział naturalnie, opuścił go bowiem wczoraj wieczór jeszcze. Wskazawszy Komornickiemu, którędy ma jechać do Sienkowa, puszczaemy się dalej ku Wygodzie; raptem wychyla się ktoś z żyta. Był to jakiś powstaniec, który nas ostrzega, że na Wygodzie jest patrol wojskowy; dowiedziawszy się, że patrol ten składa się z 4 żołnierzy, postanowiliśmy jechać dalej; mając legitymacye a w najgorszym razie pieniądze, którymi jak to doświadczyliśmy w Sienkowie, żołnierzom oczy się zawiązuje i usta zamyka, nie obawialiśmy się niczego. Kazaliśmy tylko, aby powstańcy jadący na furze, zsiadli i zbożami okrążyli Wygodę, o furę samą, jako chłopską, byliśmy spokojni, że nie będzie zaczepioną, zwłaszcza gdy powie, że jedzie do dworu Baryłowa. Zresztą byliśmy pewni, że pan



Mierzyński, właściciel Baryłowa, którego syn miał wyjść z oddziałem Miniewskiego, rzeczy tak pokierował, iż wojsko przeskody robić nam żadnej nie będzie. Jedziemy więc dalej, zostawwszy wóz za sobą o kilkadziesiąt kroków; w tem przed kołowrotem wyskakuje z za zboża oficer i wymierzwszy ku nam rewolwer, woła halt! Zerwane przez furmana konie osadziły na miejscu, wtedy pan oficer pyta dokąd jedziemy: do Baryłowa, odpowiadamy. Czy macie panowie karty legitymacyjne? wydobywamy i okazujemy oficerowi, który przypatrzwszy się im, wraca nam je, żądając, by lokaj zsiadł z kozła jako podejrzany. Wasilewski pokazuje mu swą kartę legitymacyjną, na której wyrażono, że ważną jest także dla lokaja, lecz dopisek ten po polsku pisany, a pan oficer nie umie po polsku, zresztą pod tym dopiskiem nie ma podpisu urzędu, więc nie może go uwzględnić pan oficer i oświadcza, że lokaj zostanie pod strażą, my zaś mamy się udać na folwark Wygodę i tam czekać decyzji dalszej. Pod eskortą zajechaliśmy na folwark o kilkadziesiąt kroków od kołowrotu leżący. Tam zastaliśmy i starego i młodego Mierzyńskiego, obydwuch przestraszonych; nie można z nich było wydobyć, co się dzieje w lesie, od 11-tej bowiem w nocy patrol trzymał ich tu na folwarku i nikogo nie przepuszczał. Dowiedzieliśmy się tylko, że ludzie z Łopatyna nadciągnąć mający, nie przybyli jeszcze dotąd, musieliby bowiem koniecznie udając się do lasu, przechodzić przez Wygodę. O tem by ich przestrzedz, że na Wygodzie patrol (nie z czterech ludzi, jak nam ów powstaniec w zbożu powiedział, lecz z kilkadziesiąt ludzi pod dowództwem oficera) zatrzymuje przybywających, pan Mierzyński nawet nie pomyślał, wysłaliśmy więc zatyłkami parobka do figury, którą owi ludzie z Łopatyna przechodzić będą musieli, aby ich ostrzedz i polami do lasu skierować. Minęło tak z pół godziny, a gdy pan oficer, który się nazywał Tapaviza, nas zdawał się zapomnieć, więc wyszedłem z dziedzińca folwarcznego na drogę, tam stały przytrzymane bryczki Jankowskiego i Biłgorajskiego, wracające z lasu, a pod strażą wojska ekonom Wasilewskiego, leśniczy Jankowskiego, którzy z lasu wracali i kilkunastu powstańców, między nimi dwóch, którzy za nami jechali na wozie, połapanych przez żołnierzy w okolicy, nareszcie ów wóz, z którego żołnierze wyładowali żywności.

Przystąpiłem do oficera i zapytałem go jakim prawem mógł mnie aresztować, bo aresztowanymi jesteśmy, skoro nam nie pozwala dalej jechać. Gdy mi odpowiedział, że z czynności swoich nie jest obowiązany tłumaczyć się przedemną, przypomniałem mu kto jestem i że za wyrządzony mi gwałt żądać będę od namiestnika ukarania winnego, dla tego oświadczając to lojalnie, proszę go, by mi wymienił swe szanowne nazwisko. Panu nic do mego nazwiska, odparł pan oficer; wtedy wyjąwszy z pugilaresu kartę wizytową, wręczyłem mu ją dodając: spodziewam się, że jako człowiek dobrze wychowany dasz mi swoją kartę wizytową. Nie mam przy sobie, rzekł na to oficer, lecz możesz pan jechać, ja za półgodziny będę także w Baryłowie. Ukłoniłem się, wróciłem na folwark, gdzie powiedziawszy staremu Mierzyńskiemu — młody już był odjechał — że powiedzieliśmy, gdy nas zatrzymano, iż jedziemy do Baryłowa, że więc dla konsekwencji pojedziemy do niego, pożegnałem go i ruszyliśmy do Baryłowa. Po drodze spotkał nas młody Mierzyński z wiadomością, że Miniewski przysłał do dworu posłańca, donosząc, że w obozie wielki nieład, że spodziewani ze Lwowa i Łopatyna ludzie nie nadeszli; żaląc się, że mu Wasilewski żadnej pomocy nie daje, nareszcie pytając się, co ma robić? Odpisał mu na to Wasilewski, że przybyć nie mógł, ponieważ był przytrzymany, że i teraz jeszcze przybyć nie może, że dla utrzymania porządku ma z sobą w lesie cały sztab i kilku oficerów, nareszcie radzi, by zajął swych ludzi w obozie sortowaniem amunicji, przypasowaniem broni i przyborów i czekał na wszelki wypadek na przybycie ludzi z Łopatyna, gdyż w 70 ludzi wyruszyć nie może. Wysławszy z tą kartką młodego Mierzyńskiego do obozu, pojechaliśmy dalej ku Baryłowu. Przybywszy do dworu, zastaliśmy tylko starego sługę, po całogodzinnem czekaniu, nadjechał stary Mierzyński, a dowiedziawszy się od niego, że patrol z Wygody ściągnięty i już do Baryłowa przybył, wsiedliśmy na bryczkę i ruszyliśmy ku wsi do karczmy, gdzie oficer stał kwaterą. Gdyśmy nadjeżdżali stał w oknie pałac cygaro; kazaliśmy stanąć, a Wasilewski poszedł do niego, prosząc go, by mu lokaja wypuścił, aby go mógł z sobą zabrać do domu; oficer odmówił, mimo, że arendarz i wójt miejscowy świadczyli, że aresztowany służy istotnie u Wasilewskiego za lokaja. Tenże oficer zdał jenerainej komen-

dzie raport o mojem przytrzymaniu, motywując swój postępek tem, że jechałem w nocy wśród ulewy, drogą prowadzącą do obozu i wiozłem z sobą podejrzanego, młodego człowieka. Gdy po mojem uwięzieniu pan Sztencel, prowadząc śledztwo na miejscu, oficera tegoż pod przysięgą jako świadka przesłuchiwał, pan oficer nie tylko cały ten fałsz powtórzył, ale nadto pytany, czy to prawda, że ja z Wygody do Baryłowa pojechałem, wyznał pod przysięgą, że nie wie co się potem zemną stało, gdym Wygodę opuścił.

Nie mogąc wydobyć zabranego lokaja ruszyliśmy do Jankowskiego, by się dowiedzieć, czy nie wie co o ludziach z Łopatyna, gdyż droga przez Sobin prowadziła. Tam przybywszy około 11-ej dowiedzieliśmy się, że z rana byli w lesie sobińskim, żądali wody, którą im z folwarku wywieziono i poszli manowcami ku lasom baryłowskim. Wziąwszy tedy w Sabinie świeże konie, Wasilewski udał się na miejsce zborne, ja zaś pojechałem do Sieńkowa, aby ludziom, którzy tam ze Lwowa przybyć mogli, wskazać którędy się dalej obrócić mają. Zostałem tam już kilkunastu, inni potem przybywali, wskazawszy im drogę na bezpieczną już Wygodę, czekałem na wiadomość z obozu, nie domyślając się, że wówczas już i oddział Horodyńskiego i siła zbrojna Wysockiego, rozbite pod Radziwiłłowem, wracały w rozsypce do Galicyi. W nocy 30-go czerwca na 1-go lipca wyruszył Wysocki z obozu pod Berlinem w 900 przeszło ludzi, dobrze uzbrojonych i we wszystko tak hojnie zaopatrzonych, że 60 przeszło wozów chłopskich zabierało zostawione w obozie płaszcze, mundury, bieliznę, torby, żywność. Wyruszył też i Horodyński ze swoim oddziałem i mimo strasznej burzy, która przez noc trwała, stanął przed Radziwiłłowem około 8-ej z rana, a nie pytając co się dzieje z Wysockim, zaatakował Radziwiłłów, w którym wedle zeznań żydówki jakiejś było tylko 200 Moskali. Było ich wprawdzie 400, lecz i tym radę można było dać, bo Horodyński miał 450 ludzi, strudzonych wprawdzie uciążliwym przez noc marszem, ale dzielnych, w tym bowiem oddziale znajdowały się rozbitki dawniejszego oddziału Jasia. Horodyński tymczasem zamiast wprowadzić cały oddział w bój, posłał jedną kompanię 50 do 60 ludzi. Szli dziarsko do ataku pośród gradu kul moskiewskich, lecz gdy Horodyński, ugodzo-

ny kula poległ, a szef sztabu Sienkiewicz zniknął (schował się w szuwar i tam kilka godzin przesiedział) i nikt rozkazu nie wydawał, poszli wszyscy w rozsypkę, dając co tchu do granicy galicyjskiej. Wtedy dopiero nadszedł Wysocki, i postrzelawszy z daleka Radziwiłłów, dał rozkaz do marszu wzdłuż granicy galicyjskiej ku południowi i nie nagabywany przez Moskali wkroczył napowrót do Galicji, poniżej Brodów.

O tem wszystkim my nic nie wiedzieliśmy. — O 3-ciej godzinie popołudniu przyjechał Masłowski. Ludzie z Łopatyna, z którymi się połączyli także luźnie nadciągający ludzie ze Lwowa, przybyli na miejsce w południe w okropnym stanie i padając z nóg ze zmęczenia, pokładali się, by trochę wypocząć; w tem zaalarmowano obóz, że wojsko austr. nadchodzi — wnet sztab pozrzucał mundury i przebrawszy się po francusku, ruszył drogą do Oczacia, pierwszy lepszy, co dosiadł konia, w cwał za sztabem — zerwała się i piechota i rzucając broń na furgony lub na ziemię, wyruszyli wszyscy, prowadząc z sobą przeładowane furgony, (na wózki węgierskie pakowano po 60 karabinów, prócz innych rzeczy) które się wnet pogruchotały. Masłowski nie mogąc na to patrzeć, ani niczemu zaradzić, gdyż nikogo nie słuchano, a raczej nikogo nie było ktoby rozkazywał, opuścił nieszczęsny obóz. Ożarowski, Mierzyński, Wasilewski i dworscy jego ludzie, zbierali porozrzucaną amunicję i broń i ładowali na co mogli; kucharz Wasilewskiego zaś poszedł z oddziałem jako przewodnik. Mieli wypocząć w Oczaciu, przejść w nocy przez most w Stanisławczyku i stanąć dla wytchnięcia w lasach bołdurskich; o miejscu mieli zawiadomić przeora Bernardynów w Leszniowie. Tam też najawszy w Sienkowie chłopską furę, pospieszyłem a raczej powlokłem się, by przygotować żywności — te bowiem, które zwiezione były do lasu baryłowskiego, rozebrali chłopci, gdy powstańcy obóz opuścili. Zdążywszy ledwie na noc do Grzymałówki, majątku Trzczińskiego, o pół mili od Leszniowa oddalonego, przenocowałem tam dawszy polecenie, aby żywność dla ludzi i koni do konwentu w nocy wyprawiono, co też się stało. Na drugi dzień pojechałem do Leszniowa, gdzie zastałem Jaworskiego, który wracając z obozu baryłowskiego, tam był stanął dla wypoczynku. Z oddziału Miniewskiego nikt się nie zgłaszał do konwentu; wysłaliśmy ekonoma w strony Bołdur na zwiady,

wrócił koło południa bez wieści; również Załuski Ireneusz, którego zastałem był w Grzymałowce, a którego w przeciwną stronę byliśmy wysłali na zwiady, wrócił z niczem. Tymczasem żydki leszniowscy, wracający z Brodów, roznieśli wieść, że wojska polskie wczoraj maszerowały koło Brodów z armatami, że Radziwiłłów, gdzie wielka była strzelanina, pali się. Można sobie wyobrazić, co się z nami działo, a tu o Miniewskim ani słyhu. Nareszcie pod wieczór przyjeżdża posłaniec od Wasilewskiego ze Stanisławczyka. Oddział Miniewskiego przenocował w Oczaciu, w południe przeszedł przez Stanisławczyk, zanocuje gdzie w bułdarskich lasach, a nazajutrz, t. j. 3-go stanie rano na Bezodni, żeby więc tam zwieziono żywność i broń tudzież amunicję, którą rozchwycono w lesie baryłowskim. Przenocowawszy w konwencie, ruszyłem do Sienkowa, pytając po drodze, czy w którym dworze niema broni lub amunicyi i dając polecenie, by ją czempredziej wieziono do Bezodni. W Sienkowie zastałem już Wasilewskiego, który wyprawiał różnemi z okolicy spędzonemi bryczkami broń i amunicję porzuconą w baryłowskim lesie, lub po drodze do Oczacia; a było tego nie mało, bo z 65.000 ładunków zabrał z sobą oddział ledwo 15.000 (na 270 sztuk broni rządowej z dużem kalibrem 1500, a na 70 sztuk naszej broni z małym kalibrem reszta ładunków) broni wziął do 200 sztuk; sto sztuk broni i 50.000 ładunków trzeba było wieźć za oddziałem, przez okolicę zaalarmowaną jego przemarszem; pocziwe kobiety podjęły się tego zadania.

Ledwieśmy ostatnią wyprawili bryczkę, wpada kuryer z listem Wysockiego do Miniewskiego. List był opieczetowany, lecz kuryer znał treść zawartą i nam jej udzielił. Było to doniesienie, że oddziały Wysockiego i Horodyńskiego wróciły do Galicyi i polecenie, aby Miniewski ukrywszy broń, oddział do dalszego rozkazu rozpuścił. Ze świtem 4-o puściliśmy się do Bezodni, wioząc z sobą kuryera, któremuśmy polecili, by w obozie milczał o rozbiciu oddziałów Wysockiego i Horodyńskiego. W obozie pod Bezodnią, nad samą granicą, gwar wesoły rozlegał się naokoło, chłopców zebrało się do 460; część uzbrojona w karabiny ćwiczyła się w mustrze, inni czyścili broń; tam pojono konie, ówdzie kował na zaimprovizowanej kuźni przymocowywał grotty do drzewców, inni znów wypoczywali rozłożeni w cieniu

drzew, a inni pokrzepiali się mlekiem i chlebem przywiezionym na furze z Leszniowa. Przyprawiono nas do pana dowódcy, leżał rozebrany na dywanie, obok niego adjutant Czosnowski preparował w srebrnym łądliu limonadę, a Czapski czyścił paznokcie, chwalać Boga, że przecież mógł obmyć ręce. Oddaliśmy Miniewskiemu list i prosiliśmy, by kuryera między ludzi nie puszczał. List wziął i przeczytawszy, podał go najbliższemu ze sztabowców, my nie chcąc przeszkadzać ich naradzie, poszliśmy pomiędzy powstańców. Lecz ledwieśmy do drugiej doszli grupy, już w obozie gruchnęła wieść o rozbięciu oddziałów Wysockiego i Horodyńskiego; kuryer wyniosłszy się z głównej kwatery, opowiadał ją ze szczegółami każdemu, kto tylko był ciekawym. Gwar ucichł, szuki mustrujących połamały się, nawet kowal kuć przestał. Pytają nas, czy to prawda? mówimy, że nie wiemy, i by pozbyć się natrętnych pytań, idziemy do Miniewskiego, który właśnie dopijał swą limonadę. I cóż pułkownik robić zamysłasz? „Jeżeli mi do wieczora przywiozą resztę broni i amunicyi, to pójdę za granicę i będę się starał przerznąć w lasy wołyńskie.“ Niech cię Bóg błogosławi, panie pułkowniku, rzekłem; generał Wysocki wkroczywszy do Galicyi stracił dowództwo, wedle ogłoszonej niedawno uchwały Rządu narodowego, nie ma więc prawa dalej ci rozkazywać. Broń i amunicya wczoraj jeszcze wyprawiona nadejdzie przed wieczorem, w miejsce połamanych furgonów jest pięć nowych, dobrych wozów, koni pod wierzch masz 60, broni palnej 300, resztę ludzi uzbrój w kosy i siekiery, siekier jest 50, a kós przywiozą 100, skoro je naprostują, drzewce robią się o pół mili zład. Hura! zawołali chłopcy, którzy bliżej stojąc, słyszeli decyzję Miniewskiego i moją relacyę. Nie tracąc czasu pożegnaliśmy dowódcę i jego oddział i puściliśmy się dwiema drogami do Sieńkowa, Wasilewski przez Grzymałówkę, Szczurowice, ja zaś przez Bołdury, Łopatyn, aby idące temi drogami transporta do pośpiechu znaglić. Zachęcając tych, którzycheśmy na drodze spotkali, innych, którzycheśmy tu lub ówdzie spoczywających zastali, w dalszą wyprawiwszy drogę, przyjechaliśmy do Sieńkowa, obydwaj z otuchą w sercu, że zrobimy co tylko zrobić można było i przekonani, że jutro rano otrzymamy wiadomość o szczęśliwem przekroczeniu granicy przez Miniewskiego, Moskale bowiem z Radziwiłłowa pociągnęli za Wysockim, ku

południowi, tak, że naprzeciw Bezodni na parę mil wojska rosyjskiego nie było.

O 10-tej wieczór położyłem się spać, nazajutrz rano bowiem chciałem wrócić do Lwowa, lecz jeszcze północ nie minęła, gdy mnie zbudził Wasilewski. Posłaniec z Bołdur przyniósł wiadomość, że część oddziału Miniewskiego poddała się Austryakom, reszta rozpruszyła się na cztery wiatry rzucając broń, a nawet konie w lesie bołdurskim. Co mógł robić Miniewski w lesie bołdurskim, kiedy przed kilkunastu godzinami zostawiliśmy go pod Bezodnią, nad samą granicą rosyjską? To było pytanie, któreśmy sobie wzajemnie zadali, a na które żaden z nas odpowiedzieć nie mógł. Tymczasem list pochodził od człowieka pewnego i brzmiał kategorycznie. Trzeba więc było ruszyć niezwłocznie do Bołdur, by ratować konie i broń. Lecz już w Stanisławczyku zastaliśmy pana Miniewskiego i Zdzisława Bogusza. Cóż się stało? Ponieważ miejsce pod Bezodnią, gdzie obozowano, stało się znanem wszystkim żydom Leszniowa, dokąd powstańcy po rozmaite żywności przez cały dzień posełali, więc postanowiono cofnąć się do lasów bołdurskich, tam poczekać aż do nocy i dopiero w nocy napowrót ruszyć ku Bezodni i przez granicę. Idąc tedy z Bezodni ku lasom bołdurskim spotkano pół kompanii wojska, maszerującej z Brodów do Szczurowic i po długich targach oddano Austryakom dwie kompanie z bronią, podczas czego inni mogli uciec i uciekli, rzucając po drodze konie i broń.

Skończyło się więc, nie było co robić! Zostawiwszy Wasilewskiemu kilkaset reńskich na wykupno koni, któreby się w ręce chłopów lub żydów dostały i pożegnawszy pana Miniewskiego, ruszyłem ze Stanisławowczyka na Busk do Lwowa, gdzie 6-go lipca z rana stanąłem. Gdy Wasilewski odzyskaniem koni i broni zajmował się, panowie Miniewski i Zdzisław Bogusz rozmaitemi drogami zdążyli do Lwowa, dokąd ich już wyprzedzili byli Alfred Bogusz, Czapski i Czosnowski.

W tej to podróży Zdzisław Bogusz zrzuciwszy w Stanisławczyku piękny swój mundur, w niepokażnej jakiejś zwierchniej sukni, lecz na dziarskim koniu, przybywa do Zawidcza; wybiegają na przeciw niemu goszcząca tam pani Wandałowska (hrabina Adamowa Zamojska) i Bielińska, żona szefa Bielińskiego,

6/7 1863

a ta ostatnia rzuciwszy się na kolana przed Boguszem, który właśnie z konia zsiadał i całując jego kolana, woła: „zdradzono cię jenerale, Moskale przekupili białych, lecz nie lękaj się jeszcze są poczciwe Polki!“ Tak Zdzisio wyawansował w Zawidczu na jenerała, ja na przekupionego przez Moskali zdrajcę, a pani Bie-lińska z panią Wandałowską na poczciwe kobiety!

Po tak smutnem zakończeniu wyprawy Wysockiego, po której jeśli nie zdobycia Kijowa, to przecież ożywienia powstańczego w zabranym kraju spodziewano się, zaczęto coraz głośniejszy odzywać się, że tak dalej powstania prowadzić niepodobna; że nie godzi się dawać ostatni często grosz, zwozić z niebezpieczeństwem osobistem broń, amunicję i przybory wojenne; przechowywać i karmić powstańców; słowem rujnować się i narażać, li na to, aby się ten lub ów zabawił przez kilkanaście lub kilkadziesiąt godzin w dowódzcę, przeprowadził oddział za granicę i wrócił napowrót, straciwszy cały rynsztunek i zdenerwowawszy ludzi.

Ofiary dotychczasowe od 1-go lutego w ilości 25% rządowych podatków wybrane, były już przed wyjściem Wysockiego zupełnie wyczerpane, zwłaszcza, że pięć obwodów z dwunastu, któreśmy kierowali, składały swe ofiary na oddział Gołuchowski. Musieliśmy więc już z początkiem czerwca zaciągnąć pożyczkę 150.00 fl. u księcia Kaliksta Ponińskiego, asygnując go na przyszłe ofiary i dając mu pełną moc do egzekucji zaległości z owych pięciu obwodów, którą z wielką gorliwością przedsięwziawszy, 600 fl. na rachunek swej należitości odebrał. Na przyszłość miały już ofiary wpływać do ogólnej kasy, ile że Gołuchowski najgorzej administrację tych obwodów prowadził, tak że przy wspomnianych niżej marszach i kontrmarszach broń swą stracił, takową z naszych funduszków dostarczyć mu musieliśmy. Przy takim stanie finansów, gdy Wysocki zdecydował nie tylko swój oddział w dwójnasób powiększyć, ale prócz tego dwa pomocnicze oddziały pod Horodyńskim i Miniewskim utworzyć, oświadczyliśmy panu Janowi, że pieniędzy nie mamy.

Pan Jan, który ciągle prawił o milionach nadejść mających, zwłaszcza gdy nastąpiło zniknięcie kilku milionów z kasy rządowej w Warszawie, którego to przedsięwzięcia pomysł pan

25%

150.000



Jan sobie przypisywał, dał nam 10.000 fr. na zakupno koni dla tych utworzyć się mających oddziałów, tudzież na inne przybory, równocześnie oświadczył, że broni nie będziemy potrzebowali kupować, ponieważ do Wiednia nadeszła broń przez Rząd narodowy zamówiona, wskutek czego naszego ajenta broni Topolnickiego odwołaliśmy. Mówiąc o broni Rządu narodowego nie zawadzi nadmienić, że to była ta broń, którą Milowicz w Anglii zakupił i to tak zrećnie, że gdy na drugi dzień po zawarciu kupna do Paryża przyjechał, został tam natychmiast przez policję francuską przytrzymany, która zabrawszy jego papiery i dowiedziawszy się z nich kiedy, w jakim kształcie i dokąd broń ta miała być wysłaną, zawiadomiła o tem dotyczące rządu, tak że broń ta ani w Bodenbach, ani w Pasau, ani w Tryeście przepuszczoną nie została, aż nareszcie po kilkumiesięcznej wędrówce do Wiednia dostać się zdołała, zkąd w pierwszej próbce do Lwowa w znanych owych trzech kotłach nadeszła. Wspomniałem co to była za broń, którą z owych kotłów rozpakowano. Taka sama była i ta, którą Miniewski potem otrzymał; takąż sama i później z tego źródła nadchodząca. Była to prosta stara broń, którą Austriacy, zaprowadziwszy w swej armii lepsze karabiny, jako nieużyteczną sprzedali po wojnie włoskiej jakiemuś spekulantowi angielskiemu, gdy się zanosilo na wojnę w Ameryce, po 3 fl. sztukę, a którą tenże skróciwszy lufki i przerobiwszy na broń kapslową panu Milewiczowi po 100 złp. sztukę sprzedał. Broni tej przyszło do Wiednia 3000 sztuk, ale ekspedytor prócz wydanych dla Wysockiego 600, dla Miniewskiego 230 a 170 sztuk dla Krakowa, więcej wydawać nie chciał, jeśli mu nie będą zwrócone koszta transportu nadzwyczajne, opisanem właśnie krążeniem tej broni spowodowane i na 120.000 złp. obliczone. Pan Jan, któremu spodziewane miliony jakoś nie nadchodziły, mimo że się jego pomysł z kasą rządową w Warszawie udał, zażądał od nas pożyczki 30.000 fr., którą mu w połowie Młocki, a w połowie Stefan Zamojski udzielili.

Byliśmy więc goli, i komitet i komisarz rządowy. Dalsze ofiary zażądane od 1-go lipca, po 5<sup>0</sup>/<sub>10</sub> miesięcznie od podatków rządowych, bardzo leniwo wpływały, czas żniwa jest u nas zawsze czasem golizny, a zresztą skutek wyprawy Wysockiego i posiłkujących mu oddziałów nie mógł być bodźcem do dalszych

5%

ofiar. Chcąc tedy z jednej strony położyć koniec lekkomyślnemu podejmowaniu się dowództwa, a z drugiej strony z całą wystąpić energią w kraju, zażądaliśmy od pana Jana, aby Wysockiego i Miniewskiego oddał pod sąd wojenny, również aby rozwiązał stanowczo komitet miejski, a komitet niewiast, ograniczywszy na niesienie pomocy rannym, oddał pod zarząd komitetu Galicyi wschodniej. Pan Jan, który ze swego „nieporównanego“ Wysockiego nie bardzo teraz był zadowolony, a od komitetu miejskiego żadnego a żadnego wsparcia otrzymać nie mógł, zgodził się na jedno i drugie. „Pocziwe kobieciny“ protestowały wprawdzie; pani Wildowa nie chcąc się poddać „białemu komitetowi“ złożyła prezesostwo i wyjechała ze Lwowa, lecz jej zastępczyni przedłożyła komitetowi rachunki i poddała mu się. Trudniejsza była sprawa z komitetem miejskim; Kaczkowski i Piątkowski w żaden sposób ustąpić nie chcieli, chyba pod warunkiem, że dwóch członków tegoż komitetu przyjętymi zostaną do komitetu Galicyi wschodniej, na co my żadną miarą przystać nie chcieli, nie spodziewając się z tej strony pomocy w naszych czynnościach. Nareszcie przyrzekłszy panu Janowi, że zamianujemy z grona mieszczan naczelnika miasta i naczelnika jako takiego przyjmujemy do komitetu, skłoniliśmy go, że imieniem Rządu narodowego rozwiązał komitet miejski i zażądał rachunków, które podobno nigdy nie były złożone.

Obejmując tym sposobem organizację miasta Lwowa, zwróciliśmy uwagę naszą na przyszłego naczelnika. Rotlender, pocziwy, chętny i do więcej wykształconych mieszczan należący, przytem gorący patriota, zdawał nam się najbardziej zadaniu temu odpowiadać, zwłaszcza gdy u tak zwanego stronnictwa czerwonego, którego siedzibą właśnie był Lwów, dobrze był widziany. Uczyniłem mu w imieniu komitetu propozycję, którą on przyjął i zaraz tegoż dnia na posiedzenie przybył. Zdawano właśnie sprawę z zapasów broni i amunicyi i radzono nad dalszymi sposobami sprowadzenia z Wiednia rządowej broni i jej rozlokowania w kraju. Na drugi dzień rano pocziwy Rotlender przyszedł do mnie, prosząc byśmy go uwolnili z posady, którą wczoraj przyjął, gdyż wskutek wczorajszej sesyi doستاł ogromnej palpitacji serca... Oczywiście żeśmy go uwolnili. Na miejsce jego mianowaliśmy „tymczasowym“ naczeln-

nikami miasta księdza Ostrowskiego, aż do przybycia z zagranicy Armatusa, który będąc dotąd członkiem komitetu miejskiego, przy znanej nam swej ambicji, mógłby powróciwszy do domu intrygować przeciw organizacyi miasta, jeśliby ta z ominięciem jego osoby przyszła do skutku. Wydział miejski dodany naczelnikowi do pomocy, złożono: z ks. Ostrowskiego, Chylińskiego, Stokowskiego, Dąbrowskiego, Wnękwicza i polecono mu ułożenie listy ofiar, w którym celu otrzymał odemnie spis podatkujących, zajęcie się policją miasta, której przewodniczyć miał Stokowski, tudzież uorganizowania kwatermistrzostwa dla spisowania i umieszczenia powstańców, czem miał się zająć Dąbrowski; Chyliński miał się trudnić poborem ofiar, ku czemu miał sobie pomianować pomocników w każdej dzielnicy.

Poczyniwszy te kroki do zorganizowania miasta Lwowa, zawezwaliśmy Piotra Grossa, któregośmy przeznaczili byli na naszego rezydenta przy rządzie narodowym. Lecz pan Piotr skrewił tłumacząc się, że go żona puścić żadną miarą nie chce na tak niebezpieczną posadę. Rozpatrując się więc po kraju, kogoby na jego miejsce wybrać, jego samego zatrzymaliśmy w komitecie poleciwszy mu, by wypracował plan rozkładu dokładniejszego ofiar narodowych.

Gdy tak zajmujemy się pracami organizacyi, by z tym większym skutkiem mózdz popierać powstanie, wyprawiając oddział w Lubelskie pod wodzą Lelewela, z którym około 600 ochotników wyść zamierzało, tudzież nowe oddziały na Wołyn z rozbitków Wysockiego i Rużyckiego, którym zamianowany teraz przez Rząd narodowy wódz naczelny Rużycki miał dowodzić—uwieziono księcia Adama Sapiechę. Powodem uwiezienia była jego bytność przy oddziale Horodyńskiego, o której Mensdorffowi z Radziwiłłowa doniesiono z żądaniem skarcenia tych, którzy oddziały wysyłają; było to trzecie uwiezienie z grona organizacyi: Golejewski skutkiem własnego gadulstwa w chwili rozbitcia komitetu zwrócił na siebie uwagę i przy pierwszej lepszej sposobności, mianowicie gdy w księdze Bałutowskiego znaleziono zapisane: „od hr. Gol. tyle a tyle za płaszcze...” aresztowany został jeszcze w pierwszej połowie czerwca. Seweryn Borkowski wysyłając ze swego mieszkania furami, które po jego rzeczy przyszły, różne efekta Wysockiego i jego ofice-

1.

2.

3. rów, został zdenuncjonowany przez lokaja i wraz z efektami przyaresztowany w drugiej połowie czerwca. Sapieha był trzecim z kolei. Przy rewizji, która z wielką ostentacją przy obsadzeniu pałacu wojskiem odbyła się, nie znaleziono nic coby mogło skompromitować organizację; młoda księżna na drugi dzień wręczyła mi wszystkie rachunki i notatki, dotyczące się broni i prochu, czem głównie Sapieha się trudnił. Ponieważ wiedziałem, że w tem mu bardzo był pomocnym Stefan Zamojski, przeto chcąc mieć kogo w komitecie w tym względzie wprawionego, a przytem bacząc na tę część obywatelstwa, która w Sapieże przewodzącę swego widziała, zapropomowałem Zamojskiego w miejsce Sapiehy na członka komitetu. Zgodzono się na to i wnet przybył Zamojski, posadę ofiarowaną przyjął, lecz prosił, by mu do pomocy dodać Słoneckiego, który właśnie był powrócił z Multan, gdzie z polecenia komitetu założył był fabrykę ładunków. Gdy Słonecki, jako człowiek zdolny, młody, i gorliwy, przy rozszerzających się czynnościach organizacji mógł się komitetowi przydać, więc przywołaliśmy go do Lwowa. Tak więc po uwięzieniu Sapiehy komitet składał się: z Młockiego, Hubickiego, z naczelnika miasta, Zamojskiego, Słoneckiego, Gołuchowskiego, Grossa i zemnie.

Czynności były ogromne, uzbrajano równocześnie oddział Lelewela, z 600 piechoty i 40 koni składać się mający; cztery oddziały każdy po 360 piechoty i 40 koni głównemu oddziałowi Rużyckiego, a dowodzone przez Komorowskiego, Sjenkiewicza, Rochebruna i Aladara; nareszcie sam oddział Rużyckiego, który prócz Wołyniaków, miał się składać jeszcze z 400 piechoty i 100 koni; oddział podolski, który miał być podzielony na dwa oddziały, 400 jazdy i 400 piechoty, potrzebował także broni palnej dla piechoty, a pałaszy i pistoletów dla jazdy. Piędzy gdyby nam zabrakło, obiecał pan Jan dostarczyć i istotnie złożył w naszej kasie kilkadziesiąt tysięcy wekslami na domy wrocławskie i berlińskie. Roboty więc było co niemiara: kupowano konie, sprowadzano broń z Wiednia i lokowano ją wzdłuż granicy wołyńsko-podolskiej; Lelewelowi dostarczyliśmy jeszcze naszą broń, dla innych oddziałów szła broń rządowa; ładunki wyrabiały się tak we Lwowie, jakoteż po obwodowych fabrykach, którym żąd prochu dostarczano; mundury szyto

w całym mieście, bielizną zajęły się na prowincyi damy z organizacyi niewiast. Codzieli konferowaliśmy bądź z Rużyckim, bądź z jego zastępcą pułkownikiem Strusiem (Sawickim), aby wszystko po myśli dowódców było dokonaniem. Przygotowania te szły tak rażno, że w połowie sierpnia wszystkie te oddziały, liczące blisko 4000 ludzi, wyruszyć mogły. O Rużyckim Wołyniaki cuda opowiadali, byłto zresztą człowiek w sile wieku, wyższy oficer rosyjski, chwalony ze zdolności; za Komorowskim młodzież przepadała, znany był z bitwy pod Grochowiskami; Sienkiewicz wprawdzie nie bardzo się spisał pod Radziwiłłowem, ale ogólnie mówiono, że to bardzo zdolny oficer; Rochebrun był nam wprawdzie znany jako szuja, strwonił bowiem 100.000 złp., które wziął od komitetu krakowskiego na sprowadzenie podoficerów francuskich i dotąd rachunku był nie zdał, lecz dane dowody przytomności umysłu i świetnej brawury, tak pod Miechowem jak pod Grochowiskami, gdzie jego zuawom głównie zwycięstwo nad Moskwą przypisywano, wzbudzały zapał młodzieży. Kto był Aladar? tego właściwie nikt nie wiedział, lecz musiał go znać Rużycki, skoro go wodzem oddziału mianował, a to musiało wystarczyć komitetowi, który zresztą do nominacyi dowódców nie mięszał się.

W owym to czasie, gdy zdawało się, że wszelkie znikły stronnictwa i że wszyscy wspólnie pracują nad przygotowaniem do zamierzonych na Moskała wypraw — zjawia się u mnie Rogawski z jakimś jegomością trędowatym i zyzem patrzącym, którego mi jako nowego komisarza pełnomocnego w miejsce Majkowskiego przedstawia. Już dzień przedtem biegała wieść po mieście, że pan Jan odwołany, lecz pan Jan nic o tem nie wspomniał. Okoliczność tę można sobie wytłumaczyć, lecz pojąc nie mogłem, dlaczego nowego komisarza przedstawia Rogawski, a nie dotychczasowy komisarz. Pan Grabowski, tak się bowiem nazywał nowy komisarz, wylegitymowawszy się nieograniczonem pełnomocnictwem, opatrzonem pieczęcią Rządu narodowego, zaczął od tego, że ponieważ Komitet Galicyi wschodniej nie tylko żadnej Rządowi narodowemu nie przyniósł pomocy, ale tyle oddziałów zaprzepaścił, tyle broni zmarnowała i oczywiście do podkopania Rządu narod. i do zguby powstania dąży, postanowił rozwiązać ten komitet i utworzyć

inny z ludzi czynu i prawdziwie patriotycznych, mianowicie: ze mnie, z Pawlikowskiego, Dobrzańskiego, Szmitta i Kornela Ujejskiego. Ostupałem... i tży mi się w oczach zakrećili. Podziękowałem za dobre pana Grabowskiego o mnie mniemanie, a nie wchodząc w tłumaczenie się z zarzutów komitetowi robionych, zauważyłem tylko, że co do mojej osoby chętnie z komitetu ustąpię, jeśli na moje miejsce będzie zaproponowany człowiek, który lepiej, lub choćby tylko tak, jak ja sprawie służyć potrafi, że wszelako wybór członków komitetu należy, stosownie do niedawno zatwierdzonej przez Rząd narod. naszej z nim umowy, do komitetu, że komisarz rządu tegoż nie ma prawa wedle tej umowy, ani prawa rozwiązywania naszego komitetu, który powstał z zaufania kraju i o ile mi się zdaje zaufania tego dotąd nie stracił, ani prawa zawiązywania obok niego jakiejś innej władzy.

Pan Grabowski o żadnej umowie nic nie wiedział, wiedział tylko, że kiedy nawet komitet krakowski poddał się bezwarunkowo Rządowi narodowemu, komitet Galicyi wschodniej nie chce Rządu narodowego uznać i traktuje z nim, jak udzielny z rządem obcego państwa, co jest zdradą tem karygodniejszą, ile że tym sposobem nie tylko komitet wyrzeka się solidarności ze sprawą polską, ale wysyłając na oczywistą zagładę oddziały, odrywa powstaniu siły, któreby mu służyć z korzyścią mogły. Na zarzut z mej strony, że komitet nie dowodzi oddziałami i nie mianuje dowódców, że więc wina, jeśli tyle przez komitet uzbrojonych oddziałów zmarniało, nie może ciążyć na komitecie, pan Grabowski odpowiedział: wiem ja, jak się odbywały owe nominacye dowódców, i zapytał mię czy chcę wejść w nowy skład komitetu? Odrzekłem, że mi honor, który krajowi w zakład dałem na dezercyę nie pozwala, że zresztą, gdyby nawet tej przeszkody nie było, z wymienionemi osobami razem pracować nie chciałbym, gdyż ludzie ci zaufania nie mają, tu zaś tylko posiadając zaufanie cośkolwiek zdziałać można, a panowie ci od samego początku powstania tylko intrygami się bawili, dla sprawy zaś zgoła nic zdziałać nie potrafili. Wtedy pan Grabowski zaczął się przyznawać, że Schmitt na nim bardzo złe zrobił wrażenie, że o charakterze Dobrzańskiego nie najlepiej mówią, że Ujejski zdaje mu

się być zanadto poetą, lecz Pawlikowskiego powinniśmy koniecznie przyjąć do komitetu. Spostrzegłszy, że pan Grabowski rejteruje i że groźby jego były tylko strachy na Lachy, aby wprowadzić koniecznie Pawlikowskiego do komitetu galicyjskiego, oświadczyłem mu, że wprawdzie nie potrzeba komitetowi nowego członka, gdyż ma dostateczne siły, lecz by panu komisarzowi dać dowód, że nam nie idzie o władzę, lecz o pełnienie obowiązku, gdyż obowiązek ten nie bardzo łatwym, ja gotów jestem zrobić panu Pawlikowskiemu miejsce, rozumie się, jeśli komitet moją dymisyę przyjmie i w miejsce moje pana Pawlikowskiego obierze. Na tem skończyła się konferencya z panem Grabowskim, po której zaraz udałem się na posiedzenie komitetu. Nie wiem o czem tam rozprawiano gdym wszedł, lecz zobaczywszy pana Jana na posiedzeniu, prosiłem o głos w nagłej sprawie i zreferowawszy moje zajście z Grabowskim, zapytałem, czy pan Majkowski jest jeszcze komisarzem, czy też nim już nie jest? „No, proszę, rzekł na to pan Jan, to on już i u pana był, muszę ja go ztąd czem prędzej wykurzyć. Wszak on przysłany był do Krakowa w specjalnej misyi, a tu nie ma żadnych urzędowych czynności; widziałem się z nim gdy przyjechał i sądziłem, że przyjechał tylko, by Lwów zobaczyć; a to intrygant! przystawię ja mu stołka!“ Na drugi dzień opuścił istotnie Grabowski Lwów, a w parę miesięcy później, zeszedłszy się w więzieniu z Baumem, Benoem i Hallerem, dowiedziałem się, jaka to była specjalna misya pana Grabowskiego do Krakowa; wytłumaczyłem sobie także, dlaczego go eskortował pan Rogawski. Pan Rogawski, niekontent z urzędu jaki mu dała organizacya w obwodzie, przesiadywał zwykle w Krakowie, odgrywając rolę malkontenta. W lipcu wskutek skarg przez kogoś do Rządu narod. na komitet krakowski i tamtejszego komisarza rządowego wniesioną, przybył pan Grabowski, by zbadać stan rzeczy i złemu, jeśliby jakie znalazł, zarządzić. Tam trafił zaraz do Rogawskiego i na wniosek Rogawskiego zażądał bezwarunkowego poddania się komitetu pod władzę komisarską. Benoe, Baum i Haller sprzeciwiali się temu, ostatecznie przyjąwszy na żądanie Grabowskiego, do swego grona Zybliekiewicza (który odtąd stronił od komitetu, jak djabł od święconej wody), częściowo rzekli się dotychczasowej

autonomii. Wniosek ten Rogawskiego i relacje Grabowskiego, że Benoe, Baum i Haller sprzeciwiali się, dostał się razem z innymi papierami Elżanowskiego u Demidowicza zabranemi, w ręce sądu; Rogawski, Benoe, Baum i Haller obwinieni wskutek tego o zbrodnię zdrady głównej; Haller został skazany na lat pięć, Rogawski z braku dowodów puszczony. Prawda, że Rogawski zostawszy uwięzionym, napisał prośbę do prezydenta Izby poselskiej Rady Państwa, w której zaręcza za swą lojalność i przyznaje się, że ciągle do Boga zanosi modły za szczęście najjaśniejszego domu Habsburgów; prawda, że gdy na żądanie Rady Państwa na wolność został wypuszczony, przygotował jakiś list do Arcyksięcia Maksymiliana i tak rzecz zakierował, że gdy po zamknięciu kadencji Rady Państwa, policja przyszła aresztować go na nowo, list ów znaleziono i zabrano; ale zawsze musiał się Pan Rogawski w czepku urodzić, kiedy sąd wojskowy mając dowód, że Rogawski intrygował, by komitet poddał się rządowi narod., a Haller temu się sprzeciwiał, — właśnie Hallera skazał jako zbrodniarza stanu, a Rogawskiego puścił z braku dowodów.

Lecz wracam do opowiadania wypadków lipcowych. Policja dowiedziawszy się, że Rużycki jest wodzem naczelnym, zaczęła za nim szukać po Lwowie. Rużycki mieszkał wówczas w dworku Bochdanów u pani Szawłowskiej. Ostrzeżony, że policja za nim szuka, nie poszedł spać do swej kwatery. O tem pan Jan nie wiedział, a chcąc się z nim widzieć, poszedł do jego zwykłego mieszkania. Nie zastawszy go, zaczął konwersacyę z panią Szawłowską, bo pan Jan był wielkim płci pięknej wielbicielem; wkrótce po nim nadszedł Tadeusz Niewiadomski, który wyprosiwszy od nas, dla większej jak mówił powagi, pisemną nominacyę na komisarza wojennego połowy obwodu żółkiewskiego (nominacyi takich komitet zwykle nie wystawiał na piśmie) potem przyjąwszy bez wiedzy naszej nominacyę od Lelwela na pełnomocnika w ziemiach ruskich, przyniósł właśnie Rużyckiemu plan przez się wypracowany do zaprowadzenia w Galicyi organizacyi wojskowej i oddania takowej wszystkich dotychczasowych czynności naszej organizacyi, z wyjątkiem zbierania pieniędzy, te bowiem i nadal organizacya nasza miała zbierać, a zebrane oddawać władzy wojskowej. W trop za Niewiadom-



skim wpadła do pani Szawłowskiej policya i zabrała nietylko pana Jana, ale i Niewiadomskiego, razem z nominacyami i rze-  
czonym planem, który na nieszczęście pisany był własną ręką  
Niewiadomskiego, na własnym jego kontrakcie dzierżawnym. Mimo-  
chodem tu powiem, że papiery te nie ściągnęły na Nie-  
wiadomskiego żadnej kary, sąd wojenny bowiem więzienie śledcze  
policzył mu za karę i puścił go w czerwcu r. 1864 na wolność.

Pan Jan zapytany jak się nazywa, nazwał się Janem Sie-  
mińskim i jako taki do więzienia sądu karnego dostał się.  
Miejsce jego zastąpił dotychczasowy jego pomocnik Rey, o któ-  
rym dość powiedzieć, że go inaczej nie nazywano, jak Revem  
z Półgłowiec. Wtedy to Miniewski stawiony przed sąd wojenny  
(Wsockiego Rużycki nie pociągnął wcale do odpowiedzialności)  
wniósł na piśmie, że wyjść z oddziałem nie mógł, ponieważ ko-  
mitet nie dostarczył mu ani ludzi, ani broni, ani amunicyi. Sąd  
wojenny wiedząc, że rzecz inaczej się miała i chcąc Miniewskiego  
o fałszu przekonać, udzielił komitetowi odpisu owego tłumaczenia  
się Miniewskiego, z prośbą o wyjaśnienie tej sprawy. Wskutek  
tego zawezwano Tadeusza Wasilewskiego do Lwowa i polecono  
mu, aby opisał wyprawę Miniewskiego. — Wasilewski ułożywszy  
brulion żadanego sprawozdania, idzie na wieczerzę do hotelu  
Dreznera — tam spotyka się z jednym z oficerów oddziału Mi-  
niewskiego, znajomym mu z powodu jakiejś tam poprzedniej  
czynności. Oburzony na Miniewskiego z powodu nieuczciwego  
sposobu tłumaczenia się przed sądem wojennym, zaczyna mówić  
o tem z owym oficerem, który z hotelu odprowadza Wasile-  
wskiego do jego mieszkania, gdzie tenże czyta mu brulion spra-  
wozdania swego. Pan oficer potakuje Wasilewskiemu, sarka na  
Miniewskiego i odchodzi koło pół do 11-tej wieczorem. Naza-  
jutrz raniutko policya wpada do mieszkania Wasilewskiego i bierze  
go z sobą wraz z owym brulionem i pugilaresem, w którym  
spisani byli ci, od których on ofiary wybierał. Ujęty przez nas  
urzędnik policyjny doniósł tegoż dnia naszej policyi, że około  
11-tej w nocy, a więc wpół godziny po odejściu owego oficera  
od Wasilewskiego, nadesłano Hamerowi bezimienną denuncya-  
cye, jako u Wasilewskiego znajdują się bardzo ważne papiery.  
Denuncyacja ta spowodowała rewizye u Wasilewskiego i jego

uwięzienie. Miniewski przed sąd wojenny później nie stawiał się już, zemknąwszy ze Lwowa zaraz po uwięzieniu Wasilewskiego.

W pięć dni później uwięziono Zamojskiego i Engeströma, który niedawno był przybył do Lwowa i którego jako sekretarza komitetu użyć zamierzaliśmy. Powodem uwięzienia jego była teka, którą Sapieże dawniej był dał do schowania, a którą przy rewizji u Sapiehy wzięto. W tece tej były odpisy rozmaitych rozporządzeń rządu narod., tudzież korespondencyi z zagranicznymi komitetami rewolucyjnymi, mianowicie węgierskim. Zamojskiego zaś uwięziono, ponieważ go zastano u Engeströma i ponieważ przy nim znalezione zezwolenie ze strony komisarza rząd. na pobyt Engeströma w Galicyi, które to pozwolenie wyrobiliśmy byli dla niego u pana Jana, a które mu Zamojski miał teraz wręczyć. Po uwięzieniu Wasilewskiego dowiedziawszy się przez policję, że w raporcie Wasilewskiego była kilka razy wzmianka o mnie, byłem codziennie przygotowany na uwięzienie. Tymczasem minęło już sześć dni, a mnie nie nagabywano. Przyjechał też Armatys, którego wprowadziłem do komitetu, odebrawszy słowo honoru wobec reszty członków, że nie będzie należał do innej organizacji, nie wystąpiwszy wprzód wyraźnie z naszej. Armatys zdawał się być najlepszym ożywiony duchem i żadnego wstępu do „białego“ komitetu nie okazywał, owszem oświadczył, iż jako naczelnik miasta czuwać będzie, aby się tu żadna pokątna nie utworzyła organizacja. Tego dnia podobno uwięziono Wysokiego w złoczowskim i po kilku dniach pozwolono wyjechać do Lincu, na słowo, że stamtąd nie oddali się.

Na drugi dzień po wprowadzeniu Armatysa do komitetu, to jest 27-go lipca 1863, gdy wrócił był właśnie do domu z komitetowego posiedzenia, pojawiła się u mnie sądowa komisya złożona z radcy sądu obwod. Stenzla, zastępcy prokuratora Garbowskiiego, jakiegoś aktuaryusza i komisarza policji Langnera. Wręczono mi uchwałę sądu karnego nakazującą rewizję w mem mieszkaniu i uwięzienie moje. Przystąpiono do rewizji, która trwała ze dwie godzin, podczas gdy ja jadłem obiad; potem spisano protokół, jako nic podejrzanego u mnie nie znaleziono, i poproszono iść z sobą. Uściskałem zachodzącą się od płaczu żonę i udałem się z panem Stenzlem i Langnerem do sądu karnego, gdzie mię umieszczono pod nr. 44.

27/7 1863

To co się działo na świecie po mojem uwięzieniu, wiem już tylko z opowiadań współwięźni, których liczba ciągle się pomnażała. Dla całości obrazu wspomnę wszakże pokrótce i o tem.

W pierwszych dniach sierpnia ukonstytuował się za wpływem Milowicza, nowy rząd narodowy w Warszawie, wskutek czego do Lwowa nowy komisarz rządowy Jarmunt, z nowemi przybył instrukcyami. Duch tych instrukcyi był nieprzyjazny dla organizacji krajowej, którą pan Jarmunt rozwiązać postanowił. Zaczęto od komitetu (po mojem i Zamojskiego uwięzieniu przybrano na członka komitetu pana Zygmunta Rodakowskiego, co równało się przybraniu Zygmunta Kaczkowskiego, wiadomym bowiem był ścisły między tymi panami stosunek). Komitet stawił tylko słaby opór i pół na pół ustępując, znikał coraz bardziej ze sceny. Nowo utworzony komitet, w którym zasiadali Pawlikowski, Schmitt, Abancourt, Ujejski i Sylwery Skolimowski, czy też Ciszewski, pod prezydencją komisarza rządowego, bawił się w komitet, bo go nikt nie słuchał — właściwie rządził pan Edmund Rużycki; dawniejsza bowiem organizacja, a mianowicie komisya ekspedycyjna, nie wchodząc w spory komisarzkie i doktryny jakoweś, pracowały dla tych, którzy chcieli bić się z Moskalami. Wydział miejski poszedł pod kierownictwo komisarza, który przysłał tu z Warszawy jakichś organizatorów miasta.

Po Jarmuncie nastął Kopernicki, poczciwy człowieczysko, który ze wszystkimi chciał żyć w zgodzie. Pod jego to rządami rozpanoszyły się rządy wojskowe; prócz Lwowa, gdzie właściwie nikt nie rządził, wszędzie w kraju rządzili urzędnicy wojenni, spisywali ochotników, umieszczali ich to w tym, to w owym obwodzie, kazali broń i amunicyę z jednego w drugie przewozić miejsce; szlachta słuchała, lecz pieniędzy nikt nie dawał. Przyjechał nareszcie sam Milowicz, by zaprowadzić jakiś ład w Galicyi, lecz nie popasał tu długo — został uwięziony, a znalezione przy nim papiery, spowodowały aresztowanie Demidowicza, Bauma, Benoego, Hallera i Stanisława Tarnowskiego — oto cały skutek czynności Milowicza w Galicyi. Był to zresztą człowiek wykształcony i gładki, ale lekkoduch.

Po uwięzieniu Milowicza nastąpił przewrót w Warszawie; Chmieliński, demagog najczystszej wody, żyjący tylko po szyn-

300.000 rs

kowniach, organizator wszystkich wykonanych i niewykonanych zamachów, rozpedził rząd narodowy i złożył nowy, z podobnych sobie żywiołów; było to 17 września. Zaczynał ten rząd nie trwał wszelako długo. Pułkownik Traugutt, ta najszlachetniejsza w całym powstaniu dusza, który tu był przyjechał, by od Grabowskiego, tego samego, który nas chciał rozpedzić, odebrać powierzone mu dla Rządu narodowego od Kruka 300.000 rs., a gdy Grabowski z pieniędzmi temi czmychnął do pana Mierosławskiego do Brukselli, tam za nim podążył, dowiedziawszy się o zajściu w Warszawie, wyruszył tam z Brukselli nie odzyskawszy sprzeniewierzonych pieniędzy, rozpedził nowo utworzony przez Chmielińskiego rząd narodowy i pozostał odtąd aż do końca powstania duszą rządu. Mógł był uciec, tak jak inni przed nim i po nim uciekali, lecz nie chciał siebie oszczędzać i zginął szlachetnie, jak żył szlachetnie. O gdyby tacy, jak on ludzie, byli od początku trzymali ster rządu narodowego, powstanie byłoby inny przybrało charakter! Podług mnie ucieczka jest zawsze czemś upokarzającym. To cofanie się przed niebezpieczeństwem, szczególnie ludzi, którzy innych na toż niebezpieczeństwo narazili, powinno być wstrętliwym dla dusz przywykłych do prawdy i jasnych dróg. Trzeba więc chyba wyższej nad wszelkie inne pobudki, pobudki dobra publicznego, aby się prawy człowiek zdobył na odwagę do ucieczki. Uciec przed niebezpieczeństwem, by z zagranicy patrzeć z założonemi rękami jak towarzysze idą do więzienia lub giną na rusztowaniach, to niegodne poczciwego człowieka; żądać zaś od drugich poświęcenia, oszczędzając siebie, to haniebne. Dlatego nie mogę wierzyć w zacność i prawość tych, którzy uszli z placu boju, z kraju, gdzie im groziło niebezpieczeństwo, aby z bezpiecznego miejsca, z zagranicy, kierować ruchem w kraju. Traugutt nie uciekał, choć mógł — dlatego mam cześć dla jego cieniów...

Za czasów rządów Traugutta, przybył do Lwowa jako komisarz pan Szczęsny (Sokołowski), z poleceniem urzędu w Galicyi władzy wyszłej z wyborów obywatelstwa. Najwyższa władza, nazwana „Wydziałem rządu narodowego dla Galicyi“, miała się składać z trzech członków wybranych przez obwody. Kraj cały miał być podzielony na trzy okręgi: krakowski, lwowski i tarnopolski, każdy z okręgowym na czele, których miał

mianować wydział w porozumieniu z komisarzem; niższa organizacja zależała od okręgowych. Rozpoczęła się agitacja wyborcza, w której pewną rolę odegrał Kazimierz Drzewicki, dlatego o nim bliżej tu wspomnę. Drzewicki, ukończony technik, polecony mi przez Ludwika Łubińskiego, prosił mię w lipcu 1862 r. o rekomendację do Warszawy, dokąd chciał się udać celem umieszczenia się przy tamtejszej kolei żelaznej. Nie wiedząc wówczas, że Łubiński należy do szajki Czarnieckiego, chętnie dałem Drzewickiemu rekomendację do Nathansona i Jurgensa, prosząc ich, by mu byli pomocni przy umieszczeniu, którego szukał. Drzewicki przybywszy do Warszawy, wmówił w Jurgensa, że umieszczenie przy kolei żelaznej, ma oznaczać umieszczenie w organizacji narodowej. Jurgens polegając na mej rekomendacji, wysłał Drzewickiego w misji organizacyjnej do Kijowa, gdzie Drzewicki bawił (co robił? nie wiem), aż do czasu wyprawy Rużyckiego, z którym wkroczywszy do Galicyi, trudnił się tu kuryerką, rozmaitym zaś ludziom pokazywał pismo z pieczęcią Rużyckiego, mianujące go pełnomocnikiem tegoż. Przed wyprawą Wysockiego wicherzył przeciw Wysockiemu w złoczowskim i tam mnóstwo ochotników odstręczył od oddziału Wysockiego; gdy Leszek Wiszniewski po raz trzeci wybierał się na Wołyń, Drzewicki bawiący wówczas w żółkiewskim i tam o jakąś pannę starający się, wicherzył przeciw Wiszniewskiemu i bałamucił mu ludzi, tak, że Leszek żądał naszej pomocy, wskutek czego uzyskaliśmy od Strusia rozkaz, by Drzewicki wrócił do obwodu, w którym oddział jego (należał bowiem do oddziału wołyńskiego) był rozkwaterowany. Drzewicki opuścił wprawdzie żółkiewskie, lecz zamiast w tarnopolskie, gdzie leżał oddział wołyński, pojechał do Krakowa i stamtąd wrócił do Galicyi wschodniej, gdy się rozpoczęły wybory członków wydziału, przy których udając pełnomocnika rządu narodowego ad hoc, agitował za pewnymi osobami, jakoby rządowymi kandydatami. Gdy się oszustwo jego wykryło, wyjechał na Wołoszczyznę, zkąd ogłaszał jakieś proklamacye niby agent rządu narodowego przy księciu Kuzie — nareszcie znikł gdzieś jak kamfora.

Z wyborów, które się odbyły po wszystkich obwodach, weszli w skład „Wydziału rządu narodowego dla Galicyi“ panowie: Piotr Gross, ksiądz Skrzyński i Ludwik Wodzicki.

Okręgowym krakowskim zamianowano Majewskiego z Warszawy, okręgowym lwowskim Hubickiego, a tarnopolskim Golejewskiego. Panu Rużyckiemu zakazano mieszać się do czynności administracyjnych. Miasto Lwów dostało naczelnika z Warszawy, niejakiego Zienkowicza, gładkiego chłopca, który do kobiet się umizgał a z mieszczanami dobrze łykał i tak został popularnym, że za jego rządów od października do końca grudnia 1863, miasto Lwów wniosło ofiar 50.000 Złp., które do grosza spotrzebowala organizacya miejska. Byłaż bo to nie lada organizacya; prócz naczelnika miasta i rozmaitych naczelników częściowych, był naczelnik policyi niejaki Forczewski, właściwie Lutostański z Kijowa, dyrektor policyi Bogdanowicz i przeszło 200 agentów policyjnych, wszyscy prawie uczniowie gymnazyum, techniki lub akademii; był dalej komendant miasta Lwowa Oswald Wiedmann, z kilkudziesięciu pomocnikami, a wszystko to pobierało żołąd i szwendało się dzień i noc po mieście tak, że pani Żerdzińska za same fiakry przez komisarzy i innych dygnitarzów organizacyi użyte, podała rachunek przeszło 3000 złr. wynoszący.

W owym to podobno czasie odbył się sąd na Zygmunta Kaczkowskiego, o którym obszerniej mi pomówić wypada, ile że przeciwnicy komitetu Galicyi wschodniej przez długi czas głosili, jakoby Kaczkowski był członkiem tegoż komitetu. Że Kaczkowski był członkiem komitetu miejskiego, bezpośrednio od rządu narod. relewującego, już poprzednio nadmieniałem, również jak i to, że komitet ten zawsze nam był nieprzyjawnym. Kaczkowskiego używaliśmy przez jakiś czas w komisji ekspedycyjnej, tak samo jak używaliśmy przez jakiś czas Niewiadomskiego, a nawet Leszka Wiszniowskiego, to jest w celu przekonania malkontentów, że komitet naprawdę uzbraja i wyprawia oddziały. W komisji atoli ekspedycyjnej Kaczkowski nie mógł się nic dowiedzieć o organizacyi kraju, a tem mniej rządu narodowego, wiadomości tych mógł tylko nabyć ze ścisłych stosunków w jakich jako członek komitetu miejskiego zostawał z komisarzami rządowymi, a potem może od Rodakowskiego, gdy ten po mojem uwięzieniu został do komitetu Galicyi wschodniej wprowadzony. Zresztą „Wolny Głos“ redagowany przez znanego z niezawisłego republikanizmu Żabickiego, w jednym z wiosen-

nych 1865 r. numerów swych, donosząc o pismach czasowych na emigracji wychodzących, w składzie redakcyi „Wytrwałości“ wymienił pana Zygmunta Kaczkowskiego; trudno zaś przypuścić, by Kurzyna do współpracownika swego Monitora przypuścił ex-ajenta komitetu białego.

Bądź co bądź, zorganizowana policja narodowa doniosła dyrektorowi tejże policji Bogdanowiczowi, że Kaczkowski bardzo często wieczorami do policji chodzi. Bogdanowicz chcąc doniesienie to sprawdzić, nastawił nań niejakiego Matuszyńskiego, przedmieszczanina lwowskiego, znającego dobrze pana Kaczkowskiego, z różnych psami czy końmi handeków.

Na drugi czy trzeci dzień Matuszyński kręcący się wieczorem koło policji, spostrzegł wychodzącego ztamtąd Kaczkowskiego. Było już po 10-tej godzinie. Udając, że go nie widział, puścił się Matuszyński ku Krakowskiej ulicy, lecz wnet go dopędził Kaczkowski i sam zaczął o tem mówić, że wraca od Hamera, że mając z nim stosunki z czasów, gdy jeszcze „Głos“ redagował, odwiedza go czasami, by się czegoś dowiedzieć i tak n. p. teraz dowiedział się, że ma być rewizya na Chorążczyźnie za tajną drukarnią. W rzeczy samej drukarnia była na Chorążczyźnie, lecz właśnie policja narodowa dowiedziała się była o nakazanej rewizyi i przeniosła ją do Matuszyńskiego. Matuszyński nie zdradził się niczem, owszem potakiwał Kaczkowskiemu, że dobrze czyni i rozstawszy się z Kaczkowskim zdał sprawę Bogdanowiczowi. Wtedy kazano Kaczkowskiego pilnować ściśle. Gdy to się dzieje, Bernaczek, jeden z urzędników pocztowych, należący do policji narodowej, dowiedziawszy się z depeszy namiestnika do dyrekcji policji krakowskiej, w której Summer donosi, że tymi dniami przejeżdżać będzie przez Kraków jeden z członków organizacyi narodowej, którego nazwisko osobnem wymieni telegramem — polecając go jako człowieka, który krakowskiej policji będzie mógł ważne oddać usługi — doniósł o tem policji narodowej. Wiedziano, że Kaczkowski wybiera się do Wiednia, padło więc podejrzenie na niego, że to on może być ową przez Sumera poleconą osobą; dano przeto stosowne polecenie jednemu z urzędników biura telegraficznego, należącemu do policji narodowej i wnet otrzymano odpis telegramu do dyrektora policji w Krakowie wysłanego, a do owej depeszy odnoszącego

się; imię i nazwisko wszakże wymienionej osoby, było pisane cyframi, których ten urzędnik odczytać nie mógł. Tego dnia, gdy telegram ów wysłano do Krakowa, wyjechał był tamże Kaczkowski i Abancourt. Bogdanowicz doniósł o tem wszystkim natychmiast Szczęsnemu, który najbliższym pociągiem wysłał do Krakowa kuryera z depeszą do tamtejszego komisarza rządowego Majewskiego, donosząc o podejrzeniach ciężących na Kaczkowskim; tenże sam kuryer miał oddawszy depeszę Majewskiemu, pospieszyć do Wiednia, by tam kazać zdeszyfrować telegram przez urzednika głównego biura telegraficznego, którego jeszcze w lipcu za pośrednictwem Ignacego Kamińskiego datkiem 2000 fl. ujeliśmy byli. Gdy Majewski otrzymał depeszę Szczęsnego, był u niego właśnie Rodakowski, radzili nad następującą operacją finansową: w Wiedniu był jakiś agent londyńskiego towarzystwa fałszerzy rosyjskich bumażek i sprzedawał takowe za bezcen; chciano więc dać Kaczkowskiemu kilka tysięcy reńskich i wysłać go do Wiednia w celu zakupu fałszywych tych bumażek. Majewski odczytawszy depeszę, podał ją Rodakowskiemu, który po przeczytaniu wyrzekł te słowa: jeśli Kaczkowski zdrajcą, to i ja nim jestem, bo cokolwiek Kaczkowski wie, wie odemnie. Na te słowa Majewski podał depeszę, a Kaczkowskiego z pieniędzmi na kupno bumażek i jakimiś papierami, które miał oddać bawiącemu w Wiedniu agentowi rządu narodowego, wysłał do Wiednia. Rodakowski wrócił do Lwowa, Kaczkowski i Abancourt pojechali do Wiednia. Tam tymczasem odczytano szyfry telegramu, oznaczały one „Sigmund Kaczkowski“, i prócz tego otrzymano odpis telegramu Summera do Meczerego, ministra policyi, tej treści: „dem bewussten Überbringer des Memorandums über den polnischen Aufstand, kann man à conto auszahlen 2000 fl.“ (wiadomemu oddawcy memoriału o powstaniu polskim, wypłacić można na rachunek 2000 fl.) dowiedziano się także, że Kaczkowski był w ministerstwie policyi. — Takimi dowodami zaopatrzony wrócił kuryer Szczęsnego do Krakowa, do Majewskiego, który tym razem przekonany, wysłał swego agenta za Kaczkowskim, by od niego odebrał powierzone mu papiery i pieniądze. Czy papiery odebrano, nie wiem dokładnie, z pieniędzy zaś odebrano tylko część. Kaczkowski poskarżywszy się przed



Abancourtem (który z własnego popędu, jak utrzymuje, pojechał za nim, by go pilnować), że go jak szpiega śledzą, wyjechał raptem z Wiednia południową koleją i wnet się rozeszła we Lwowie wieść, że odjechał z Tryestu do Francji. Okoliczność ta dobiła go; złożono więc na niego sąd, który się składał z Heferna, Wiszniewskiego Tadeusza, Polanowskiego Stanisława i majora Żurabowskiego, a któremu Szczęśny przyzysłał. Tymczasem Kaczkowski wrócił do Lwowa, a wyrobiwszy sobie dla bezpieczeństwa swej osoby straż policyjną, zażądał pisemnie od Szczęsnego, by złożony nań sąd chciał go przesłuchać przed wydaniem wyroku. Sąd obawiając się, by Kaczkowski, jeśli przed sędziów stawionym będzie, nie wydał ich panu Hammerowi, odrzucił jego prośbę, a uważając przytoczone przeciw Kaczkowskiemu dowody za dostateczne, postanowił wydać nań wyrok zaoczny. Po zbadaniu tych dowodów przedłożył przyzyskujący sędziom pytanie: winien, czy nie winien. Hefern i Żurabowski wyrzekł winien. Polanowski wyrzekł: nie winien; a Wiśniewski pokręciwszy się jak djabeł w święconej wodzie, wyrzekł nareszcie: nie winien, Szczęśny rozstrzygnął przystępując do zdania Heferna i Żurabowskiego. Wydany tak wyrok, z obszernem umotywowaniem, posłano do Warszawy Rządowi narodowemu, który zatwierdził wyrok, -dyktując karę banicy z ziem polskich pod zagrożeniem śmierci, gdyby banicyę zламаł. Wyrok ten zakomunikowano Kaczkowskiemu, który tego samego dnia, zostawiając ojca na śmiertelnem łożu, do Paryża wyjechał.

Rozmaite o tem sądzie krążyły potem wieści, również jak i rozmaite zdania o przewinie Kaczkowskiego. Abancourt utrzymywał, jako w Wiedniu od jednego z posłów naszych, należącego do koteryi Adama Potockiego słyshał, że Kaczkowski przedłożył Meceremu memoriał o powstaniu polskim, ale uczynił to z wiedzą stronnictwa białego, które mu poleciło zabawić się vis-à-vis Austrii w Wallenroda; lecz jaką w całej tej sprawie grał rolę Abancourt? Bogdanowicz zapewniał mnie, że Abancourtowi nie dawał żadnego polecenia śledzenia Kaczkowskiego, skądże Abancourt wiedział, że Kaczkowskiego trzeba śledzić? Nieprzychylni komitetowi Galicyi wschodniej utrzymywali potem i pokazywali nawet list z Bruxelli (od Kurzyny niby), że Sapiaha po ucieczce swej z więzienia, postarał się z Paryża o ska-

sowanie przez Rząd narodowy owego wyroku, jako nieformalnie, bo bez przesłuchania obwinionego wydanego, co im służyło za dowód, że Kaczkowski był narzędziem arystokracji galicyjskiej. Tymczasem w przytoczonym wyżej numerze „Głosu Wolnego“ z r. 1865 wyczytać można, że „Wytrwałość“ zarzuca Sapieże, iż zostawszy w miejscu Czartoryskiego agentem dyplomatycznym Rządu narodowego, na Kaczkowskiego prośbę wniesioną do Rządu narod. o kasację wiadomego wyroku nie złożył sądu i sprawy tak ważnej nie załatwił, zostawiając Kaczkowskiego, lekkomyślnie przez szajkę „białych“ osławionego, pod tak strasznym zarzutem; również można w rzeczonym numerze „Głosu Wolnego“ wyczytać zrobiony przez ten dziennik naodwrot Kurzynie zarzut, że objąwszy po Sapieże nie tylko sprawowanie temuż dawniej powierzone, lecz sprawowanie władzy rządu narodowego i dzierżąc tę władzę przez kilka miesięcy, sprawy Kaczkowskiego także nie załatwił, gdyż wydanie Kaczkowskiemu pozwolenia powrotu do kraju, nie może być uważanem za załatwienie pytania, czy Kaczkowski był szpiegiem austriackim lub nie? i czy wyrok nań wydany, był słusznym lub nie?...

Pisząc o Kaczkowskim nadmienię tu zaraz i o morderstwie na Kuczyńskim popełnionem. Na początku października uszedł z więzienia Kurzyna, korzystając z przygotowań, które dla Miłowicza przez podpiłowanie parkanu od strony kowala Marka, były poczynione. Po ucieczce jego, Kuczyński, który już był wypuścił Golejewskiego, Borkowskiego, Marcelego hr. Krasickiego, a nawet Engeströma, mimo, że tenże okropnie był skompromitowany teką u Sapiehy zabraną, wypuścił z braku istoty czynu także wszystkich przez papiery Kurzyny, jako członków komitetu rewolucyjnego, skompromitowanych, współwinnych Czarneckiego, jako to: Sztarkla, Niedźwiedzkiego, Gromana, i wplątanego w tą sprawę Drohojewskiego z Kongresówki. I mój też i Sapiehy również jak i Zamojskiego i Ponińskiego proces miał się wedle wyraźnego oświadczenia Kuczyńskiego w podobny sposób za parę tygodni skończyć. Kuczyński, jak to wiadać było z poufnych z obżałowanymi pogadanek, wiedział o wszystkim co się działo, lecz i to jest widocznem z wydanych przezeń wyroków i zrobionych oświadczeń co do dalszych wyroków, że z osobistej swej wiedzy, jako sędzia użytku nie

robił i robić nie zamyślał i tylko na tem, co mu prokuratora przedkładała, sąd swój opierał i nadal opierać zamyślał. Dlaczego tak Kuczyński postępował? — Bóg to raczy wiedzieć; to pewnia, że nie był groźnym sędzią i że nie dybał na ukaranie tych, którzy się jemu w ręce dostali. Z tem wszystkim Kurzyna uszedłszy z więzienia i udawszy się do Warszawy, gdzie wówczas panował przez Chmielińskiego ustanowiony rząd, uzyskał na Kuczyńskiego wyrok śmierci, który przez wysłanego ad hoc sprawcę, przy końcu października, z zadziwiającą i godną zasłużeńszej ofiary zręcznością, wykonany został.

Po tem zбочeniu, wracam do czynności powstańczych.

Podczas gdy Galicyę, jak to wyżej wymieniłem, dezorganizowano i na nowo organizowano, wyszedł Leszek Wiszniewski z swoim oddziałkiem koło Lucyń w żółkiewskim obwodzie, na Wołyń. Obskoczony przez Moskali, wzięty został do niewoli i powieszony w Dubnie; oddział rozprószył się i wrócił po większej części do Galicyi, straciwszy, jak zwykle, cały rynsztunek.

Wkrótce po Leszku wyszedł Leleweł w 600 ludzi, uzbrojonych w belgijską broń, zaopatrzonych we wszystko należycie. Pod Batorzem przyszło do starcia; pocziwy Leleweł, który umiał z garstką powstańców wywinąć się Moskalom, nie miał najmniejszego wyobrażenia, jak prowadzić większy oddział, a tem mniej, jak zarządzić bitwą. Wpakował się w wąwóz, obsadzony z obydwóch stron przez Moskali, i zginał... oddział, nie próbując nawet przebić się przez Moskali, uciekł do Galicyi, rzucając po drodze broń, amunicyę, przybory, a nawet mundury, by tem łatwiej ująć pogoni Moskali i schwytaniu przez Austryaków.. O wymarszu oddziałów wołyńskich i podolskich nie było długi czas ani mowy. Pan Rużycki kasował przygotowane jeszcze za naszych czasów mundury, kazał szyć inne, stosownie do rozmaitej broni, potem zażądał rozmaitych czapek i kasków; potem gdy nadszedł czas chłodny, trzeba było szyć mundury ciepłe, tamte bowiem były letnie i sprawiać płaszcze. Nareszcie w listopadzie dano oddziałom Sienkiewicza, Aladara, Komorowskiego i Rochebruna rozkaz wkroczenia w Lubelskie! Przewóz broń amunicyę, przeprowadzaj ludzi i konie z brzeżańskiego, złoczowskiego i tarnopolskiego nad granicę Lubelskiego! Stało się

wszystko, jak było polecono, lecz pan Rużycki nie raczył udać się za granicę, więc gdy Kruk, naczelny wódz Lubelskiego, uwiadomiony, że na granicy stoi cztery oddziały przeznaczone w Lubelskie, zjechał na granicę, by objąć dowództwo nad tymi oddziałami, przyszło między nim a dowódcami tych oddziałów do tak nieprzyjemnych scysyi, że Kruk odjechał a oddziały rozpierchły się, nie chcąc słuchać nikogo.

Kilkaset dostało się w ręce Austryaków, kilkaset rozbiegło się po kraju, ośmset zebrało się pod Komorowskim „gotowych pójść z nim choćby w piekło“. Komorowski nie mogąc wkroczyć w zaalarmowane Lubelskie, ruszył ku Wschodowi i przeszedł granicę wołyńską naprzeciw Porycka. Moskale nie było, dotarli więc do Porycka i tam zabrawszy w zamku Czackiego co tylko powstańcom przydać się mogło, gdy dano znać, że Moskale nadchodzą, wrócono do Galicji, odawszy Austryakom broń i konie, z których część właśnie w Porycku była zabrana.

Cóż robił tymczasem pan Rużycki? Umizgał się do pani Czosnowskiej, a potem pojechał do Paryża zaczerpnąć natchnienia od Towiańskiego. Zima nadeszła na piękne. Powstaniu w Kongresówce brakowało broni, amunicyi, wszystkiego. Jeden dowódzca po drugim rozpuszczał swe oddziały, a sam chronił się do Galicji; tak uczynili Krysiński, Rucki, Kozłowski z Lubelskiego i inni. Pan Rużycki pisał a pisał z Paryża, by Sawa ruszał w Lubelskie, lecz Sawa jakoś tak nieszczęśliwie kierował wyprawami, że ile razy zarządził, by powstańcy stanęli nad granicą, to albo powstańcy z nim, albo on z powstańcami zejść się nie mogli, przybywało więc tylko więźni do więzień austryackich, lub do fortec morawskich i czeskich, w których powstańców, nie Austryaków, internowano. Kraj zaczął szemrać, bo powstańcy, których w okręgu lwowskim i tarnopolskim do 10.000 liczono, zostawieni od kilku miesięcy w bezczynności, nudzili się i zaczęli, szczególnie Wołyniaki uczęszczać do miast i miasteczek, gdzie dopuszczając się różnych ekscesów, wpadali w ręce Austryakom, lub wprowadzili ich na domy obywatelskie, w których stali kwaterami. By zapobiedz zupełnej demoralizacyi powstańców, postanowili niektórzy zacniejsi między nimi, wychodzić w Lubelskie drobnymi oddziałami, nie czekając rozkazów od władzy naczelnej. Tak sędziwy Poniński, mimo podeszłego wieku,

przeprowadził w grudniu 60 ludzi w Lubelskie i tam ich oddał któremuś z kręcących się dowódców. Władysław Wróblewski, szlachcic z czortkowskiego, zebrawszy z 80 zuchów, przeprowadził ich z bronią het, aż w podlaskie i tam ich oddał w ręce tamtejszego dowódcy. W tem rozeszła się głucha wieść, że w Galicyi ma być zaprowadzony stan obleżenia; wieść stawała się tem prawdopodobniejszą, ile, że rokowania dyplomatyczne w sprawie polskiej przez Francję, Anglię i Austryę prowadzone, spetzły na niczem, a o zbrojnej interwencji ze strony Francyi i Anglii nie było ani mowy, Austrya przeto przy słabnącem w Kongresówce powstaniu, mogła bez żenady przeciw temuż powstaniu wystąpić. Wołali wszyscy na Rużyckiego, aby kiedy jeszcze jest czas, wyruszył ze wszystkimi siłami przeciw Moskalom i upadającemu powstaniu dodał tym sposobem tyle przynajmniej siły, by mogło przetrwać zimę; z wiosną bowiem spodziewano się, że lud przygotowany przez rok cały przez organizację, nareszcie powstanie masami.

Lud!... niezaprzeczenie lud jest siłą narodu — bez udziału ludu nie dźwigniem się; w roku 1831 jedna część narodu, szlachta, walczyła z wrogiem ojczyzny i uległa mimo całego bohaterstwa. W roku 1863 porwała za broń klasa średnia, nie umiejąca po większej części ani dosiąść konia, ani robić bronią, ani nawet znosić trudów niezbędnie połączonych z wojną. Porwała się z zapalem, lecz zapal będąc dziełem chwili, nie trwa długo i jak szybko powstał, szybko mija. Znać czuli to przewodzcy ruchu, chociaż w postępowaniu swem nie dali wiele dowodów liczenia się z rzeczywistością i postanowili zaraz z rozpoczęciem ruchu wciągnąć weń lud. Lecz lud wtedy tylko słucha głosu wolności, gdy go rozumie; pojęcie wolności daje tylko oświecenie, oświecenie zaś jest dziełem czasu, jest późnym owocem. Jednym pociągiem pióra, jedną uchwałą, jedną proklamacyą choćby najgorętszą, nie podobna ciemnego ludu poruszyć, by porwał za broń, za swobody, których nawet nie pojmuje znaczenia. A lud nasz niestety ciemny, wiekową niewolą zdrętwiały, przez nas opuszczony a przez wrogie nam rządy bałamucony, stracił nawet poczucie polskości, Polskę jako źródło swych nieszczęść uważa! Jakże można było spodziewać się, że lud ten, nad którym ledwie zaczęto trochę pracować po śmierci Mikołaja, który jeszcze na-

wet nie uwłaszczony, nie poczuł się być obywatelem, zdobędzie się na tyle heroicznego poświęcenia za ideę, iż walczyć potrafi bez broni, bo nawet tej nie dostarczono mu. Gdy więc pan Jan w czerwcu 1863 zapowiadał ogólne powstanie ludu w Kongresówce, skoro się żniwo skończy, uważaliśmy to za błagę komisarską; minęło żniwo, a członek rządu Milewicz prawił, że lud powstanie po ukończeniu zasiewów ozimych; kiwaliśmy głowami; otóż i w obietnicę, że lud z wiosną 1864 ruszy się masami, nie wierzyliśmy; pragnęliśmy wszakże, by podtrzymać do wiosny powstanie, siłami u nas beczynnie leżącymi, ponieważ spodziewaliśmy się, że z wiosną miejscowe Kongresówki siły staną do boju, a bój przy korzystaniu z dotychczasowych doświadczeń pójdzie lepiej niż dotąd i wzmagając się samą swą długotrwałością spotężnieje i do rzeczywistych niż dotąd doprowadzi rezultatów... Inaczej zdaje się zapatrywał się na to wódz naczelny; dopuścił, że ogłoszono stan oblężenia, który wszelkie ruchy zrobił niemożliwymi. Wtedy pan wódz naczelny, z panami dowódcami podwładnymi i wszystkimi wojskowymi i cywilnymi dygnitarzami, wynieśli się za granicę, a wojsko z tysiącami obywatelami, którzy wojsko to utrzymywali, przechowywali, w broń zaopatrywali, dostało się do więzień austriackich... Czas jakiś trwało jeszcze powstanie w Kongresówce, nareszcie gdy lody zimowe prysnęły, zamiast gwaru wojny zaległy Kongresówkę jęki pędzonych na Sybir, westchnienia męczonych więźni, skrzypienie szubienic... Powstanie skończyło się, zaczęła się zemsta.

Gdy się co nie powiodło, łatwo krytykować. Lecz zarzuty, które tu poczyniłem, tak wysłannikom rządu narodowego, jako też mianowanym przezeń dowódcom, czyniłem i wówczas, gdy bój jeszcze trwał, czyniłem je od samego początku powstania. Mógłby mnie kto zapytać, a niektórzy z rodzajem ubolewania nad moją dolą pytają istotnie, dlaczego wspierałem powstanie, kiedy widziałem błędy tych, którzy powstaniem kierowali? Na to odpowiadam: Tradycje narodowe dowodzą w sposób niezbity, że ilekroć szło o sprawę publiczną, a hasło do czynu było przez byle kogo dane, musieli wszyscy wedle przyjętego zwyczaju stać, a niestawających odsądzano od czci jako wyrodných obywateli. Uczy przytem zdrowy rozsądek, a uczciwość nakazuje,

że gdy się kto wraz z innymi na wspólnej znajduje nawie, której ster słaba lub nieumiejętna kieruje dłoń, z założonemi nie wolno mu stać rękami, lecz wedle sił i wiedzy wspierać należy sternika. — Jak więc okoliczność, że powstanie nie było kierowane, tak jak się należało, nie mogła żadnego prawego Polaka uwolnić od niesienia powstaniu wszelkiej możliwej pomocy, tak z drugiej strony okoliczność, że ktoś powstanie wspiera, nie może mu odjąć wolności wydania sądu o tem powstaniu.

Jeżeli ze względu na wyjątkowość i okropność położenia naszego, przysługujące każdemu prawo wzięcia inicjatywy w dziele oswobodzenia ojczyzny, nie może być odmówione komitetowi centralnemu warszawskiemu, ani go wolno pociągać z tego powodu do odpowiedzialności wobec narodu i historii, to ma się rzecz zupełnie inaczej co do pytania, czyli wzięwszy inicjatywę tak stanowczą, umiał obrać stosowny czas, właściwą drogę i użyć odpowiednich środków do jej przeprowadzenia. Za każdą bowiem pomyłkę w tej mierze ciąży na nim najzupełniejsza odpowiedzialność. Otóż zdaje mi się, że zawinił komitet po owładnięciu steru tem głównie, że chcąc utrzymać ciągły zapał, rozgorączkowywał coraz bardziej umysły, czem je przywiódł do tego stopnia niesformności, że miasto być przewodnikiem podwładnej sobie organizacyi, składającej się po większej części z gorącej lecz niedoświadczonej młodzieży, stał się stopniowo wykonawcą jedynie jej gorączkowych pomysłów, słowem, że nie to robić kazał, co wynikało z każdorazowego rzeczy położenia, lecz to, czego chciała rozogniona nienawiścią ku Moskwie organizacya. Zamiast sterować, komitet centralny działał ciągle pod naciskiem organizacyi, w której znów rej wodzili najzapaleńsi, a tem samem niezdolni do rozważania czegokolwiek rozsądnie; dlatego nie mógł zapobiedz przedwczesnemu wybuchowi powstania, lecz uległ rozbijającej organizacyi, która nie rozumiała całej doniosłości zamierzonego kroku. Brak więc stanowczości w sprawowaniu władzy i powstała skutkiem bezkarności tak szkodliwa w przyszłości najzupełniejsza anarchia, należą do głównych zarzutów, jakie słusznie czynić można komitetowi centralnemu.

Dając wprost do powstania, powinien był komitet centralny przygotować środki wojenne w dostatecznej ilości i jakości, aby mu zapewnić, ile można, powodzenie. Trzeba było przecież mieć

czem uzbroić ludzi, których zamierzano w pierwszej chwili wybuchu rzucić na Moskali. Tego obowiązku koniecznego, niezbędnego a tak jasnego, komitet nie wypełnił—z czego wynikło, że gdy w skutek proskrybcyjnego poboru do wojska, wybuch przyspieszono, aby zapobiedz zbyt niemu własnych szeregów przedrzedzeniu, nie było ani broni, ani amunicyi dla tych, którzy mieli uderzyć na rozrzucone po kraju załogi rosyjskie. Bezbronnych prawie wysłano na wyćwiczone i dobrze uzbrojone wojsko; nie dziw więc, że mimo niewątpliwej waleczności tych garstek pierwszych powstańców, które na dane hasło ruszyły do walki, doznano wszędzie niepowodzenia, które, gdy w powstaniu wszystko od pierwszego wystąpienia zależy, stało się główną przyczyną wszystkich następnych klęsk, tak, jak samo wynikło z braku potrzebnych przygotowań.

Również słusznie spotyka komitet centralny zarzut, że w wyborze ludzi, których do rozmaitych czynności używał, nie był oglednym i powierzał najważniejsze misye często ludziom nie zasługującym na zaufanie, nie dającym ani przeszłością, ani charakterem dostatecznej gwarancyi, że poruczone sobie czynności załatwią z wyłącznym dobra publicznego uwzględnieniem, lub że najmniejszego nie dopuszczą się nadużycia. Taka lekkomyślność w wyborze ludzi nie da się niczem usprawiedliwić, gdyż należało pamiętać, że tam, gdzie kontrola z powodu tajemniczości działania jest niemożliwą, zastąpić ją można jedynie największą sumiennością w wybieraniu na ważne stanowiska takich tylko ludzi, których charakter wszelką daje rękojmię, że w niczem nie zбочą z drogi prawości. Ponieważ tego pravidła nie przestrzegano, a nawet dość głośno niebezpieczną objawiano zasadę, że prawość człowieka nie konieczną jest wymogą urzędnika narodowego, byle mu na zręczności nie zbywało, zdarzało się dość często, że ludzie najzyczliwsi sprawie i gotowi dla niej wszystko poświęcić, cofali się od wszelkiego współdziałania w pracy narodowej, widząc jakimi pomocnikami komitet centralny posługiwał się. Zły wybór tych pełnomocników oddziaływał tu najszkodliwiej na samą sprawę przez komitet podjętą—z przedstawicieli bowiem sprawy, jak to się w całym świecie dzieje, wnoszono o niej samej...



Komitet centralny zapomniał przytem, że sprawie tak świętej, jak ~~wy~~wyzwolenie ojczyzny służyć się winno li moralnymi środkami, do których nie można policzyć uchybienia prawdzie. Komitet wojował zbyt często nieprawdą, czem sprawie nie tylko nie wyrządził żadnej przysługi, ale przeciwnie szkodził jej ogromnie. Chcąc niby podtrzymać ducha, poświęcano prawdę, a ciągłe przechwałki połączone z lekceważeniem przeciwnika, były raczej dowodem niesłuchanej lekkomyślności, niż rzetelnej odwagi. Z nadania tak fałszywego kierunku wyobrażeniom wynikło późniejsze, niestety dość częste rozbieganie się płochliwe oddziałów, które zawiedzione w swem błędnem mniemaniu, że Moskale zaraz na ich widok uciekać będą, same pierzchały z przerażeniem i w nieładzie, skoro spostrzegły, że Moskale nie tylko stoją, ale nawet uderzać na nie śmieją.

Gdy po upadku dyktatury Langiewicza, nowa władza kierownicza pod nazwą Rządu narodowego, z żywiołów obu stronnictw powstała a Francya i Anglia niby to interweniować za nami zaczęły, Rząd narodowy za główną księcia Władysława Czartoryskiego przyczyną, uwodząc się złudną nadzieją, że mocarstwa te nie poprzestaną na prostych objawach sympatyi dla naszej sprawy, zamiast zająć się szczerze organizacją powstania samopas wojującego, zaczął się bawić w zawiązywanie stosunków dyplomatycznych, a wojnę zmienił w prostą demonstrację wojenną, nie wiodącą do żadnych stanowczych rezultatów, a rujnącą kraj moralnie i materyalnie. Zato rozwinięto organizację cywilną z całą hierarchią rządu do nieznanego przedtem stopnia doskonałości; stroną ujemną tego tajemniczo funkcjonującego organizmu rządowego było sądownictwo doraźne... działały się tu nadużycia i częste i wielkie, godne najostrzejszego potępienia... lecz były one niezbędnem następstwem tajemniczości rządu.

Od czasu połączenia się dyrekcyi białej z komitetem centralnym, co jak nadmienilem po upadku Langiewicza nastąpiło, przeważał w rządzie kolejno wpływ jednej lub drugiej organizacji. Dążenie wzajemne do tej przewagi wywołało dość często starcia wewnętrzne, nie spostrzegane z zewnątrz z powodu tajemnicy osłaniającej osoby wchodzące w skład Rządu narodowego; starcia te spowodowane z jednej strony przez nacisk organizacji miejscowej w Warszawie, a z drugiej znów przez

oddziaływanie organizacji na prowincyi, stały się przyczyną, że się nie mógł urobić stały system polityki, tak wewnątrz jak zewnątrz. Oko choć trochę wprawne mogło łatwo dostrzegać we wszystkim chwiejność i niepewność, a sam ton deklamatorski rozporządzeń i odezw jest tego świadectwem. Najboleśniejszym ciosem dla sprawy był zamach 17-go września, wykonany ze strony szalonych półgłówków, którzy wiedzeni niepohamowaną ambycją, a przytem zarozumiali, pochwycili na czas jakiś władzę. Musieli wprawdzie ustąpić ze sceny, gdzie prócz wydania najniedorzeczniejszej w świecie odezwy do narodu, nic nie zdziałali, lecz wstrząśnienie spowodowane tym zamachem zachwiało odtąd stanowczo ufność do Rządu narodowego. Odtąd zaczyna też wszystko coraz bardziej słabnąć i chylić się do upadku. Zmarowano jesień i zimę na niczem lub na przetwarzaniu organizacji, a pod wiosnę 1864 skończyło się wszystko zupełnym upadkiem. Wiele bardzo wiele przyczyn przyczyniło się do tego.

Bądź co bądź, parcie komitetu centralnego do powstania jest jednym z tych mnogich dowodów, że natura obdarzywszy nas zresztą niepospolitymi przymiotami głowy i serca, odmówiła nam zupełnie zmysłu politycznego.

W chwili gdy car czy to przez słabość, czy przez próżność „Reformatora liberalnego“ postawiwszy na czele rządów Królestwa Polaka, pozwolił w niem narodową urządzić administrację, szkołę, znosić poddaństwo, słowem kłaść podwaliny narodowej przyszłości. — w chwili takiej zamiast brać się z całą gorliwością do tej pracy, pchać naród do powstania, to jest już szczytem bezrozumu politycznego, zwłaszcza gdy się zważy, jaka była ówczesna polityczna sytuacja Europy. U nas każdy rozprawia o polityce, polityka najulubieńszem naszym zajęciem, a człowieka mającego choćby odrobinę rozumu politycznego, z latarnią nie znajdziesz. Widzieliśmy wszyscy jak Napoleon po zakończeniu wojny Krymskiej, nie kontent z Anglii, że nie chciała iść tak daleko, jak on zamierzał, niezadowolony z Austrii, iż ledwie na lichą zdobyła się demonstrację, zły na Prusy, że pozostały neutralnemi, zwrócił się z całą serdecznością ku Rosyi; nie było nam też tajem, że po raptownem, groźbą mobilizacyi ze strony Prus spowodowanem zawarciu pokoju w Willafranka, serdeczność ta jeszcze się wzmogła, a odrobina rozumu politycznego wystar-

czła, by pojąć, że Francya nie załatwiwszy sprawy włoskiej, upokorzywszy Austryę, wobec groźnej postaci Prus reorganizujących z gorączkowym pospiechem swą armię, przy dwuznacznem zachowaniu się Anglii, musi coüte-que-coüte zachować przyjazne stosunki z Rosyą. Czyliż w takiej sytuacji politycznej można się było spodziewać, że Francya dla nas zerwie przyjazne stosunki z Rosyą? Zresztą Francya znając nas lepiej zdaje się, niż my siebie samych znamy, ostrzegła nas w roku 1861 i 1862 najwyraźniej w obec całego świata, byśmy sobie nie robili nadziei, których ona wypełnić nie może. Lecz i to nie pomogło. Powstanie wybuchło, a we dwa tygodnie później Prusy narzuciły się Rosyi z konwencyą militarną i rozgłosiły ostentacyjne jej zawarcie.

Postępowanie to Prus, obliczone chytrze na podrażnienie Francyi, której przyjazne stosunki z Rosyą były im wcale nie na rękę z powodu planów z jakimi się wówczas nosiły, zmusiły Francję do ujęcia się za nami; i prysnęła przyjaźń tak gorąco przez Francję pożądana, z takim mozolem zbudowana! Lecz o gorzka losu ironio! wyszło to tylko na dobre jednemu z najsroźszych naszych wrogów, Prusom!... Ironia losu? Pytanie czy to los zrządził; pytanie czy w dziejach ludzkości wogóle los odgrywa jaką rolę i czy to, co nazywamy losem, nie jest raczej koniecznem następstwem nacych czynów?!... Party opinią publiczną we Francyi, podrażniony właśnie nadmienionem postępowaniem Prus, Napoleon przemówił przychylnie o naszym powstaniu, wyrażając się, że trwanie onego dowodzi, że jest narodowem. Podtrzymano więc dalej powstanie, by nie zadać kłamu słowom Napoleona, który nareszcie w listopadzie 1863 zdobył się na zaproponowanie kongresu. Z propozycyą tą zrobił fiasko najkompletniejsze, a Rosya w swej dumie obrażona, zerwała z Francyą. Nato tylko czekały Prusy. Już w r. 1848 miały Niemcy a właściwie „die Träger der deutschen Idee“ Prusy apetyt na Szleswik-Holsztyn. Wtedy im się nie udała zamierzona grabież; lecz apetyt pozostał i właśnie podczas przygotowań naszych do powstania, traktowano sprawę Holsztyńską we Frankfurcie, a jeżeli Prusy powstrzymywały swe zaborcze zapędy, to pochodziło to ztąd, że się lękały istniejącej między przyjaznemi Danią państwami, Francyą i Rosyą, serdeczności. Jakoż jeszcze w październiku 1863, gdy już Bundestag uchwalił egzekucyę

przeciw Danii, naczelnik ministerstwa pruskiego Bismark proponował nudyację angielską. Lecz skoro serdeczność między Francją i Rosją ustała, a Prusy życzliwość Rosji znaną konwencją uzyskały, przybyło Prusakom męstwa. Zaczęły pruć na egzekucyę, do której niedołączna Austria się przyłączyła, i wkrótce rozpoczęła się wojna z biedną, przez wszystkich opuszczoną Danią, aby ją rozszarpać, jak przed 90-ciu laty rozszarpano Polskę. Zajęto Holsztyn na mocy uchwały Bundestagu; lecz, że i w Schleswiku mieszkają Niemcy, chociaż nie pragnący należeć do Niemiec, zajęto i Schleswik z tytułu narodowości niemieckiej. Konferencya londyńska przyznała oba te Księstwa w maju 1864 r. księciu Augustenburg, lecz Rosya, która w konferencyi tej nie brała udziału, zcedowała tymczasem swe prawa do Holsztynu księciu Oldenburskiemu, a wnet i książę Helski wystąpił jako pretendent. Prusy więc zaczęły podawać w wątpliwość prawa Augustenburga i oddały tę sprawę do zaopiniowania prawnikom niemieckim, którzy orzekli, że żaden z tych pretendentów nie ma prawa, ponieważ król duński odstąpił księstwa Prusom i Austrii, których przeto są własnością. Prusy chwyciły się tego prawniczego pozoru, i zaproponowały z ubliżającą bezczelnością Austrii, by ta za pewną sumę odstąpiła im na własność swą część księstw. Austria się obraziła, lecz nie było rady, stanęła konwencya Gasteinska: Prusacy stali się właścicielami księstw „Schleswig-Holstein, meerumschlungen“. Rabunek silniejszego na słabszym został uświęcony! Prusacy przekonali się o wartości swej nowej organizacyi wojskowej i nowo zaprowadzonej broni, a co niebezpieczniejsze przekonali się, że w Europie prawo narodów, traktaty, nic nie znaczą, że silnemu i bezczelnemu wszystko wolno! Zrabowano biedną, pocziwą Danię; dałby Bóg, abym był fałszywym prorokiem — lecz zdaje mi się, że przyjdzie kolej na Austryę, która w głupocie swej pomagała Prusom w ich zbrodniczem przedsięwzięciu i pomogła im do tak znacznego wzmocnienia się — a kto wie czy i Francyi się co nie dostanie, gdyż nie tylko w Austrii ale i we Francyi są Niemcy, których Prusy anektować zechcą; l'appetit vient en mangeant!...

Obecnie naród ma do spełnienia dwa zadania, zadania ważne i wytrwałej pracy wymagające. Pierwszem z nich jest gojenie ran świeżo odniesionych, a drugim wytwarzanie równocześnie sił, do przyszłej skuteczniejszej walki o niepodległość. W obu tych kierunkach będą nam, jak dawniej, przeszkadzać wrogie rządy, dlatego trzeba nam koniecznie pracy zbiorowej, łącznej i solidarnej, aby przewalczyć przeszkody, które nas czekają. Łączność wymaga stawania przy sobie w pewnym kierunku i w umówionych warunkach, co właśnie jest istotą każdej organizacji. Zorganizowanie się przeto w myśl programu, wynikającego z potrzeb narodu, jest w naszym wyjątkowym położeniu niezbędną koniecznością. W tym programie znajdują się części, które można jawnie przeprowadzić, lecz będą w nim i takie, których wobec wrogich nam rządów, otwarcie urzeczywistniać nie podobna. Gdy zaś właśnie te części programu są najistotniejsze i najważniejsze, bo mieszczące w sobie cel główny, do którego tamte mają być tylko środkiem — przeto utworzenie tajemnej organizacji jest dziś równie koniecznym, jak było przed powstaniem, jak będzie w każdym innym czasie, aż do owej chwili, w której naród będzie mógł sam sobą niezależnie rządzić. Organizacja taka wszakże niepotrzebuje przybierać charakteru konspiracji, ponieważ wystarczy proste porozumienie się prawych obywateli między sobą nad temi trzema pytaniami: co robić? w jaki sposób? pod czyjem kierownictwem?

Co do pierwszego należy się tylko sumiennie rozpatrywać w obecnym położeniu, a okaże się natychmiast, czego nam dziś przedewszystkiem potrzeba. Oto trzeba zablizniać rany i odwracać zgubne następstwa doznanych niepowodzeń, krzepić zachwianego ducha i zaradzać zwątpieniu, wzmacniać solidarność wewnętrzną przez spotęgowane braterstwo i wyrugowanie manii tworzenia stronnictw quand même, rozszerzać podstawę narodową przez wpływanie na warstwy pracujące i krzewienie prawdziwej oświaty, utrzymywać w czystości honor, tradycje narodowe, wytwarzać siły moralne, intelektualne, jako też materialne do przyszłej walki o niepodległość.

Co do drugiego trzeba wyzyskiwać wszelkie okoliczności, jakie się tylko nastreczą, pracując, gdzie można na drogach legalnych, przez tworzenie spółek i stowarzyszeń dozwolonych, ile

że każda forma i droga uczciwa jest dobrą, byle nas zbliżała do zamierzonego celu. Piśmiennictwo narodowe należy do najsilniejszych w tej mierze dźwigni i dla tego powinniśmy je z obowiązku jak najmocniej wspierać i podtrzymywać. Również należy podnosić wszelkimi sposobami byt materialny kraju wspólnem wysileniem się we wszystkich kierunkach, a zawsze na podstawie narodowej i z uwzględnieniem ostatecznego celu tych wysiłeni. Aby zaś czynności te mogły się odbywać porządnie i ze świadomością celu, konieczna jest organizacja; forma da się znaleźć, gdy chęci nie braknie; byle z jednej strony nie drażnić bezczelnie naszych wrogów, a z drugiej nie bawić się w urzędowanie, pisma urzędowe, częste zjazdy i t. p. można skutecznie pracować bez narażenia się na przeszkodę ze strony rządu. Lecz za to organizacja ta powinna się wciskać we wszystkie korporacje, spółki, stowarzyszenia, towarzystwa, rady gminne, aby w nich i przez nie coraz większy wpływ wywierać na ogół mieszkańców.

Co do trzeciego, aby wszystkie te czynności w jednym duchu i kierunku się odbywały, trzeba z pierwszych zaraz związków organizacji wytworzyć kierownictwo naczelne z ludzi, którym kraj za pośrednictwem tej organizacji bezwarunkowo mógłby zaufać. I na to są sposoby tak proste, że bez narażenia kogokolwiek można skutecznie wybór kierowników i obmyśleć drogi ich znoszenia się z ogółem organizacji. Utworzenie jak najprędsze tej organizacji jest dziś niezbędnie potrzebne, nie tylko ze względu na przyszłość sprawy, ale oraz z tego powodu, że tym jedynie sposobem będzie można skuteczną tamę położyć owej bezrozumnej agitacji, którą dotąd ze szkodą kraju i sprawy podtrzymuje pewna koterya zagraniczna, nazywająca się bezczelnie rządem narodowym. Będzie to znów organizacja tajemna, lecz takie organizacje muszą u nas dotąd istnieć, dokąd nie odzyskamy wydartej nam niepodległości. Na to nie ma rady. Niech nam dozwolą pracować jawnie w sprawie narodowej, a nie będziemy pewnie ani spiskować, ani tajemnych tworzyć organizacji. Ponieważ narodowi odjęto pierwszy środek, musi się uciekać do drugiego, jeśli nie chce popełnić sam na sobie samobójstwa...

Warunkiem wszakże niezbędnym urzeczywistnienia tego programu narodowego jest wytworzenie rozsądnej opinii; roz-

sądna więc opinia narodowa jest pierwszym warunkiem zbawienia naszego.

Jak w świecie fizycznym głód, burze, zarazy morowe, zstępują na chłostę ludzi, tak równie fatalność jakaś dopuszcza plagi tem zgubniejsze i straszniejsze, że nadchodzą w czasach dla serca człowieka najświętszych, że następują w postaci cnoty, patriotyzmu i wolności. Historia, której tak mało umiemy się radzić, pełna jest żywych przykładów zgubnej ludzkiej ślepoty. Przed i podczas powstania opętanie to umysłów bez żadnego grasowało hamulca: opinia udawała romansowe jakieś teorie za kodeksa polityki, nieznajomość wszelkich stosunków za rozum, zbrodnie za środki zbawienia, waryatów od rzeczy prawiących za odkupicieli ojczyzny. Dziwny jakiś zamęt wyobrażeń i pojęć, dziwny rozbrat myśli zapanował między nami. Ja pójdę dalej niż wszyscy, mówił sobie niejeden i okryję się sławą, świat we mnie uczi postępowca *non plus ultra*; czy na tem zyska lub może straci sprawa narodowa?— nad tem się nigdy nie zastanawiał. Inny znowu: temu lub owemu nie sprostam w nauce lub talencie, ale będę ich deptał przesadą najjaskrawszej opinii i to mię odznaczy, mniejsza o to, że się obali podpore sprawy narodowej! Dalej znów cała czereda niedojrzałych geniuszków radaby zgasić wszystkie zasługi i powagi, aby siebie postawić na świeczniku i doktrynę niwelującej równości praktykuje gilotyną tępych wprawdzie, ale jadem nienawiści i potwarzy zaprawionych piór i języków... Wszędzie podłe współzawodnictwo własnej miłości, żeby się podobać gawiedzi, żeby nią zawładnąć choć na chwilkę. Kto nie miał, tak jak ja podczas dwuletniego mego więzienia, sposobności zetknięcia się z różnorodnymi żywiołami ostatniego ruchu narodowego, tenby temu wszystkiemu nie dał wiary; i ja byłbym pozostał niewiernym Tomaszem, gdybym palcem moim tej strasznej nie był dotknął rany... Jestto święta zasada, że w żadnym przypadku sprawiedliwość i prawda nie powinny używać na swą obronę złej i nielojalnej broni. Niestety! odstąpiliśmy od tej zasady, a pewne stronnictwo mniemało, że zwycięży wroga, nieprzebierając w środkach i pomocnikach, tak jak to wrogci nasze czynią. Lecz najczystsza sprawa brudzi się, jeśli ją wezmą w ręce nieczyści obrońcy. Pewnie, że prawda, chociażby nie wiem jak zbryzgana kałem, nie przestanie być prawdą

i ostatecznie wyjdzie na wierzch czystą i promienną, ale tymczasem ciemność i zamęt ogarniają społeczeństwo. Przypuściliśmy do winnicy narodowej pracowników bez cnoty, z narzędziami brudnymi, i zrodził się stan zamętu, w którym złęgo od dobrego, podłego od zacnego, plugawego od czystego, fałszywego od prawdziwego rozpoznać nie możemy. Co tylko w kraju było wytyczniejszego, czy to talentem, czy wzięciem, czy zasługą - wystawionem zostało ni ztąd, ni z owąd na natarczywą napaść, by zdyskredytować „powagi“. Gdziekolwiek było jakieś ognisko wspólnego narodowego działania, jakiś związek narodowej organizacji, starano się je rozbić lub ubezwładnić zjadliwą krytyką, podejrzewaniami, a jeśli to nie wystarczyło, nawet podłemi denuncjacjami, — byle tylko naród rozbić na atomy i przez to uczynić przystępniejszym i pochopniejszym do przyjęcia hasła wychodzącego z obozu owego stronnictwa... Ogarnęły nas namiętności ślepe, zabijamy się sami po omacku, zamiast ująć za dłonie i naprzód iść zgodnie. Smutna to rzecz nie mieć w sercu nic nad ten kamień, którym się rzuca na bliźniego! — Lecz jest-że słowo, coby tę chorobę uleczyło? Wszystko się rozłamało, rozdzieliło na oboziki i bojuje ze sobą, gdy tyle sił do walki z wspólnym wrogiem, ze światem, z samem życiem namby potrzeba, my zużywamy je przeciwko sobie samym. Czas byśmy się opamiętali, bo i dokądże my na tej zajdziemy drodze? Cnota stała się przesądem, który można jeszcze tolerować w życiu domowym, lecz nie powinien być cierpianym w polityce.

Honor jest niedorzecznością, a autor broszurki „Rząd narodowy i powstanie 1863“, cieszy się na seryo, że w narodzie naszym coraz mniej już słyhać o honorze. Obowiązek obywatelski jest mrzonką, a teroryzm jedynym bodźcem do służenia sprawie, zapewne, wywieszanie złych ludzi byłoby pożyteczną rzeczą, trzebaby tylko, aby Opatrzność zesłała na ziemię anioła sprawiedliwości, któryby w sercach czytał i karę wymierzał, — chociaż na to znów nasi apostołowie teroryzmu możeby się nie zgodzili — oniby chcieli, by gniew wieszał, a oni wedle swoich planów ofiary dyktowali: oto klucz ich teorii. I godzi się świętość sprawy naszej, nasz wzniosły patriotyzm, nasz serdeczny entuzjazm, bratać z taką teorią? Cóż powiedzieć o tych, „czystej wody“ patryotach, co to zajęcie się polepszeniem bytu ma-



teryalnego kraju uważają za odstępstwo od chorągwi narodowej, sancta simplicitas! Prawdziwy spirytualizm zależy przecież na oswobodzeniu swego ciała od jarzma potrzeb, nie zaś na poddaniu go pod brzemień nędzy. Ciało w warunkach fizycznych tego życia jest tak ściśle połączone z rozumem, że usunąć z drogi ludzkości zapory, które tamują rozwój prawych postępów materialnych, jest to wyzwolić zarazem życie moralne i ułatwić wydoskonalenie onego. A czemuż zresztą walczyć będziemy o naszą niepodległość, jeśli nie podniesiemy bytu materialnego narodu? „Człowiek nie żyje tylko chlebem, ale i duchem Bożym“. Otóż już z tych słów ewangelii wynika, że człowiek także i chleba do życia potrzebuje... Najboleśniej zaś jest, że ludzie, którzy się mianują obrońcami ojczyzny, biedną tę ojczyznę obrzucają błotem, a idąc w zawody z największymi jej wrogami, poniewierają najświętsze narodowe tradycje, nie znajdując w tej biednej Polsce nic a nic, coby warto było poszanowania. Tłumaczą ci się oni, że namiętne serca w przedmiocie swych zapałów widzą przód niedostatki i błędy, niż dobre przymioty -- że dlatego sarkają na swą ojczyznę, bo radziby widzieć ją doskonałą, aby przed Bogiem i ludźmi usprawiedliwić nieskończoną ich dla tej ojczyzny miłość. Ależ i matka kocha swe dzieci miłością nieskończoną, a przecież przed obcym napadem zapomina żalów i smutków z wad swego dziecięcia, a widzi jeno ucisk jego przez wroga; wobec wspólnego nieprzyjaciela brat bratu błędy przebacza, a syn w matki obronie wszystkie uczucia w zemstę przeciw wrogowi zestrzela...

I cóż na to opinia?

„Opinia, Bóg, przed którym wszyscy na twarz padać powinni! Śmiechu wart, kto liczy na swe sumienie, kto sądzi, że wewnętrzne zadowolenie, że pogoda prawego ducha, że błogość nieskałanego serca, jedynym probierzem czynów człowieka! Gawieź hołduje bałwanom, kto wbrew gawiednej ciemnocie poważa się Boga Prawdy na jaw wynosić, jest w szalonym obłądzeniu. Precz z prawdą i sumieniem! Niech zamęt kieruje nami raczej, niż jasna pochodnia wiedzy i przekonania. Opinia! dość wymówić to słowo, aby grobowym milczeniem zwały się usta własnego sądu, aby w poniewierkę poszły wola i samodzielność, aby człowiek, nim kur trzykroć zapieje, trzykroć pomiął własnem

zdaniem i wyparł się świętego Ducha Prawdy. — Mniejsza o to, czy w głosie opinii prawda czy fałsz tętni; przemówiła — i wnet z wolnego staje się niewolnik! Stworzeni do wznoszenia głowy, pełzamy odtąd po robaczemu; zamiast bratniej zgody wrze u nas nienawiść, zamiast miłości i wzajemnej pomocy tchniemy rozbojem; zdradzamy, przeniewierzamy, kłamiemy, a za każdym czynem, za każdą plagą, powtarzamy wszechwładne słowo: Opinia! Ha, gdyby jeden promyk światła padł na potworne kształty tego bożyszczka, od zgrozy włos słupem zjeżyłby się im na głowie. Oko jego ślepe na szlachetne czyny, ale niech jeno biała pokaże się szata, niech go blaskiem rozdrażni, niech jad zazdrości wystąpi mu na usta, wnet błotem obrzuci śnieżystą szatę, a wzrokiem zatrutym podejrzliwością, na słońcu plamę wynajdzie, a w niewowłęciu upatrzy zbrodniarza. Opinia! jak wszetecznicą do każdej wdzięczy się pomyślności i proch przed nią zamiata, chociażby w źródle jej było więcej podłości, niż piasku na brzegu morskim. Ale niechaj skromna zastuga, niech cichy trud, niech poświęcenie nieobębniowane po rynkach, do niej się odwoła, dalejże wykazywać nicość w zasłudze, bezskuteczną nieudolność w trudzie, rachubę w poświęceniu! Dwie u niej miary, dwie wagi! Na jednej zbrodnie szczęśliwców przeistacza w zřeczne przedsięwzięcia, tłumaczy niewinnym szalem namiętności, na drugiej błędy niewieńczonych przez los tłoczy pod pręgię, na rusztowanie, pod katowski miecz. Cała uwita z miłości własnej, z zawiści, z potwarzy... ktoby na niej chciał wznieść budowę, zawiódłby się mocno“. Trzeba więc utworzyć inną opinię, opartą na prawdzie, a nie na namiętnościach, bo prawda jedna jest siłą i bezpiecznym gruntem. Lecz jak utworzyć tę inną opinię kiedy tamta dotąd panuje? Potwór ów zwany opinią przestaje syczeć, gdy mu nogę postawisz na gardle, gdy nikiemnicą tą wzgardzisz i sromotę jej na biały dzień wywleczesz... trzeba tylko chcieć, ale chcieć jak mąż chce, a nie jak dziecko, lub kapryśna kobieta...

Przejdź kraj nasz wzdłuż i wszerz, ileż naliczysz ludzi zasad? — natomiast znajdziesz mnogość deklamatorów, a jeszcze więcej chorągiewek, przechylających się nieustannie z jednej ostateczności w drugą. Pochodzi to ztąd, że u nas bywają zdania tylko, a nie ma przekonań, których się tak łatwo nie odstępuje

i nie porzuca. Gdzie zaś nie ma przekonań, nie może się urobić cywilna odwaga, do obrony tychże, z czego znów wynika, że nas tak łatwo nastraszyć i zachuczyć, a następnie zmusić do bezwolnego stąpania w tym lub owym kierunku. To cośmy błędnie zwykli nazywać opinią publiczną, jest to po prostu usposobieniem chwili nader zmiennem i tak kapryśnem, jak wszelkiego rodzaju mody. Głośni nie dawno patryoci i głośniejsze jeszcze patryotki nie lubią zwykle po ustaniu tego, co dla nich modą tylko było, aby im przypominać jakieś tam obowiązki obywatelskie, od zmian mody nie zależne, a od których się tym bardziej uchylają, im głośniej i namiętniej się przed chwilą jeszcze swym ultrapatyotyzmem popisywali.

Gdyby było sumienne zajmowanie się sprawą publiczną, mielibyśmy dziś ludzi zasad i przekonań w dostatecznej liczbie, którzyby z jednej strony porywczym zapobiegli podskokom, marnującym bezowocnie siły i zasoby narodu, a z drugiej strony nie dopuszczali chwilowego nawet ustawiania w pracy narodowej wszechstronnego rozwoju, mielibyśmy opinię publiczną w prawdziwym słowa znaczeniu.

Zacznijmy więc od upowszechnienia między nami przekonania, że sprawie narodowej nie służy się deklamacyami, frazesami lub przechwałkami sprzecznymi najczęściej z rzeczywistością, lecz że jej służyć trzeba pracą i poświęceniem wytrwałem, że chcąc dom budować, należy wprzód potrzebne do tej budowy zgromadzić i przysposobić materiały. A ponieważ wejść mamy na drogę łącznego współdziałania, które bez wzajemnej ufności jest niemożliwem, więc niezbędnem zadaniem naszym jest usunąć źródło tak rozpowszechnionej między nami podejrzliwości i nieufności. Ufność tam jedynie jest możebną, gdzie rzetelność stała się cnotą powszechną, to zaś dotąd nie nastąpi, dokąd opinia puliczna nie zacznie piętnować cechą pogardy każdego, kto się nierzetelności dopuścił. Ustawy nie zawsze mogą pociągnąć takich ludzi do odpowiedzialności, lecz opinia publiczna może to zawsze uczynić. Dotąd u nas tego niestety nie ma. Wszyscy będą wskazywać niejako palcem człowieka, który czy to dopuścił się nierzetelności, czy też nieuczciwym sposobem dorobił się majątku, czy w końcu postępowaniem swoim nie zasługuje na cześć bynajmniej. — Lecz nikt nie ma odwagi oka-

//  
v /  
zać mu otwarcie wzgardy. Nigdzie prawie nie jest mu wstęp zabroniony i nikt prawie nie odepchnie ręki jego, gdy ją poda. To zaś co po za oczy o nim mówią, może mu być nawet obojętnem, skoro zbyt często u nas się trafia, że i najpoczcniejszych ludzi obmawiają. Jeżeli więc chcemy, aby rzetelność, prawość i nieskażona uczciwość powszechnemi stały się zaletami charakteru narodowego, trzeba karać zasłużoną wzgardą tych, którzy przeciw tym cnotom społecznym wykraczają. Dziś tego nie ma; ba, są nawet pewne nieuczciwości, które za takie nie są uważane, np. oszukanie przy sprzedaży koni, wykwitowanie wierzycieli zręcznym obrotem, używanie kruczków prawnych, skorzystanie z cudzego położenia, aby nabyć za bezcen majątności w procesie będących itp. Otóż jeśli chcemy, ażeby ufność wzajemna mogła się wyrobić u nas, trzeba koniecznie czcić prawość, a piętnować wzgardą nieuczciwość. Jeśli chcemy, by się wytworzyła opinia publiczna rozsądna, powinniśmy się starać o przekonanie i o od wagę cywilną, obstawaniem przy swoich przekonaniach.

Gdy to nastąpi, prace organiczne, celem odrodzenia naszego społeczeństwa pod względem moralnym i intelektualnym i wzmocnienia go pod względem materyalnym przedsięwzięte, pójdą raźnie, a przygotowawszy naród należycie do zmierzenia się z wrogami naszymi, doprowadzą nas do ostatecznego celu — Niepodległości Polski!...

*Pisałem w więzieniu w sierpniu 1865 r.*

PAMIĘTNIKI  
FLORYANA  
ZIEMIAŁKOWSKIEGO

CZEŚĆ CZWARTA  
ROK 1863.

KRAKÓW  
CZCIONKAMI DRUKARNI A. KOZIAŃSKIEGO  
1904



**Zapiski więzienne.**





**27 lipca 1863.** Jestem tedy w kozie. Kazienka, jak na austryacką kozę dość czysta, — siedm kroków wdłuż, pięć w szerz; okno nie wysoko, widok na Towarzystwo muzyczne i kamienicę Kulczyckiego. Co to za postęp od roku 1841, kiedy to po raz pierwszy zapoznałem się z tymi murami. Sądziłem, że jak wówczas, wstępując do więzienia karmelitów, będę rewidowany przy ciele; nie wziąłem więc nic z sobą, prócz pudełka zapalek i kilku cygar; tymczasem nie tylko mnie nie tknięto, ale nawet nie zapytano, czy nie mam czego przy sobie. Jakiś piszczyk zapytał mnie o nacyonale, powiedziałem mu imię i nazwisko. „To Wielmożny Pan Doktor Ziemiałkowski?“ pyta dalej zafrasowany. Tak jest, odrzekłem; „Poseł i radny, członek Wydziału“ pyta płaczącym głosem i nie czekając odpowiedzi, zapisawszy szumne te tytuły w rubryce „Charakter“ pyta i jakie zatrudnienie? odrzekłem, że jestem Syndykiem Zakładu kredytowego dla handlu i przemysłu. Zaczął pisać, lecz nie dokończywszy, rzucił pióro i otarłszy oczy brudnym rękawkiem, którym dziurawy rękaw chronił od większego uszkodzenia, obrucił się do mnie, ekuzując się, że musiał tę przykrą dla niego funkcję ze mną odbyć i zaręczając, że choć jest pisarzem w kancelaryi kerkermajstra, pocziwym Polakiem być nie przestał. W tem wszedł sam kerkermajster, jakiś bledy, grzeczny człowiek, nie umył się do p. Loosa z r. 1841 i poprosił bym poszedł za klucznikiem stojącym przy drzwiach, do przyznaczonego dla mnie więzienia. Poszedłem więc za klucznikiem, a choć lat parę tu przesiedziałem, nie mogłem się jakoś oriętować. Otworzyły się drzwi mego więzienia i ledwie próg przestąpił, zawarły się za mną; lecz jeszcze do okna nie do-

szedł, gdy klucz zgrzytnął w kłódce i wszedł do kaźni klucznik, przymknąwszy drzwi za sobą. Obróciłem się i stanąłem w pozycji człowieka, którego mają przetrząsać, byłem bowiem pewny, że teraz ceremonia ta się odbędzie, lecz klucznik zamiast przystąpienia do rewizji, chwycił mnie za rękę i przytuliwszy ją do ust, nim się spostrzegłem, pyta się: a co kanarek pański robi? Co za kanarek, zapytałem. A ten co to pan miał, gdy pan tu siedział pod 42-im numerem. Miałem w 1842 i 1843 istotnie kanareczka. Acha, którego gdy mi był uciekł, strażnik Myczkowski odszukał na mieście i przyniósł mi napowrót. Spojrzałem teraz lepiej na klucznika, 20 lat zmieniły Myczkowskiego, poznałem go wszakże w stojącym przedemną kluczniku. Poczciwy starowina ofiarował mi swe usługi, zwierzywszy się, że syn jego, drukarz z rządowej drukarni, poszedł do powstania.

Zmieniły się czasy! W r. 1841, strażnik więzienny zapytany czy deszcz pada? — nie odpowiedział więźniowi politycznemu; dziś klucznik ma syna w powstaniu, a więźnia politycznego w rękę łątuje... Daremne zabiegi wrogów naszych! — zamiast coby miało ubywać Polaków, to ich ciągle przybywa i to nawet w szeregach stróży i kluczników więziennych. Snadź pan Mensdorff dobrze kraj nasz poznał, kiedy żądając w marcu zaprowadzenia stanu oblężenia z powodu, że na urzędników liczyć nie można, gdyż wszyscy w duszy są Polakami, dodał: „a za lat 30-ci chłopci także będą Polakami“. Tak jest, mimo waszych machinacyi, mimo Summerów i Chomińskich, będą Polakami panie hrabio i nie trzeba na tó lat trzydziestu, jeszcze wy się tego doczekacie!

Gdy Myczkowski wychodził z kaźni, zapytałem go, jak się będę nazywał, to jest jaki numer ma więzienie moje, — dawniej bowiem więźniów politycznych nie nazywano po nazwisku, lecz podług numerów więzień. Nie zrozumiał Myczkowski mego pytania, musiałem mu wyraźnie powiedzieć, że się pytam o numer mej kaźni — „Numer 44“ — a więc imię moje będzie czterdzieści i cztery. Tu przypomniałem sobie, że w r. 1842 pod tym numerem powiesił się biedny Thürmann; powiesił się na drzwiach, obejrzałem je i przekonawszy się, że dla mnie są za niskie do powieszenia się, zacząłem zastanawiać się nad mojem położeniem.

Biedna Helcia była przygotowana na to, że mnie mogą uwięzić, skoro bowiem po uwięzieniu Tadeusza Wasilewskiego dowiedziałem się, że zabrano u niego jakiś raport o ekspedycji Miniewskiego, w którym moje także imię przychodzi, byłem pewny że mię uwiężą, choćby dla tego, by się pomścić, — udowodnić mi udziału w spieraniu powstania nie mogą, — nic bowiem nie pisałem coby mnie mogło skompromitować, zaś ani Sapieha, ani Zamojski, ani Golejewski, ani Borkowski, których przedemną uwięziono, zeznań nie poczynili żadnych, a Wasilewski nic takiego zeznać nie mógł, coby przeciw mnie dowód stanowić mogło. Skończy się więc na kilku tygodniach śledczego aresztu. Pan Strojnowski, jeszcze za mowę, którą rozpędziłem zgromadzony w sali redutowej urzędniczy komitet przedwyborczy, odgrażał się, że mnie dostanie w swoje łapki, wówczas już zapytywał telegrafem, czyby mnie nie wypadało jako burzyciela spokojności publicznej uwięzić, lecz to były miodowe miesiące konstytucyi, więc nie pozwolono. W kilka dni po wybuchu powstania, radzono na sesyi kryminalnej nad mojem uwięzieniem, lecz wniosek upadł, podobnież w kwietniu się stało. A i pan Mensdorff ząbki sobie na mnie ostrzył i parę razy dał się z tem słyszeć, że nie będzie spokoju, póki mnie i Sapiehy nie uwiężą, które to zdanie mówiąc to mimochodem, koleżka Krzeczunowicz najzupełniej podzielał. Czychano więc na lada cień podejrzenia, by mnie uwięzić, po uwięzieniu Sapiehy, p. Kuczyński wcale się nie taił z tem, że i mnie w rączki swe dostać pragnie. Mamy już, rzekł do jednego z swych znajomych, Antosia i Adasia, trzeba nam jeszcze tylko Florcia.

Wiedząc o tem wszystkim byłem przygotowany i Helenkę z myślą mego uwięzienia oswoiłem. Mimo to, jakże była przerażoną, gdy sądowo-policyjna komisya w celu zrewidowania mieszkania i uwięzienia mnie, pojawiła się, jak była błądą i prawie nieprzytomną gdy ją zegnałem, idąc do więzienia. Pocieszałem, że to pare tygodni tylko potrwa, pokręciła głową, na znak że nie wierzy, zachęcałem do mężności jako Polkę, — nic nie odpowiedziała, nowemi tylko zalała się łzami. — Biedny mój gołąbek! szczęście, że ojciec jest tu; gdy przejdzie pierwsza chwila przerażenia, przekona się, że to nie tak wielkie nieszczęście, — uspokoi się, — zresztą przecież pozwolą się nam widywać.

*Kapnicki*

Co to za podła istota ten Stenzel, który u mnie przewodniczył rewizji; każdy papierek dziesięć razy przewracał, by coś podejrzanego wysledzić; rachunki bieżące, wystawione przez filię zakładu kredyt. z ulokowanych tam moich kapitalików, chciał koniecznie jako korpus delicti zabrać, ledwie mu Garbowski, substytut prokuratora wyperswadował, że to zwykłe Conto corrente kupieckie. Znalazł gdzieś w szufladzie karykatury z czasów mego więzienia 1841—1845 i gwałtem je chciał zabrać, dla tego że tam jeden z naszych współwięźniów (X. Aleks. Lipiński, przewany przez nas papieżem) przedstawiony był jako papież jadący na oślicy. Ciekawa rzecz co to mogło mieć za styczność z powstaniem? Najgodniej zachował się podczas rewizji komisarz policyi Langner, niczego się nawet nie dotknął, widocznie wstydził się. Muszę i Garbowskiemu oddać słusność, przeglądał papiery, by je przegłądać; nie tak jak Stenzel, który przeglądał, by koniecznie coś kompromitującego znaleźć. Po dwu godzinnej przeszło rewizji, podczas której zjadłem obiad, — nie będę fanfaronował, nie smakował mi, — spisano protokół, jako nic nie znaleziono podejrzanego i jako mnie komisya arestuje. Przeczytawszy mi go, zapytał mnie Stenzel, czy się zgadzam? Rzekłem na to uśmiechając się, że się bynajmniej nie zgadzam. Jako, zapytał przestraszony Stenzel, przecież wszystko się w porządku i przyzwoicie odbyło. Zamiast odpowiedzi podpisałem protokół, a Langner uspokoił biednego Stenzla, że ja tylko żartuję, bo w protokołach na końcu stoi, że mnie komisya arestuje, z czem można się nie zgadzać. Cóż to za głupie zwierzę ten p. Stenzel i to jest Radca sądowy!

**28 lipca.** Razem ze śniadaniem dostał się do mnie Borowski, by mnie powitać i pożegnać, jutro bowiem spodziewa się wyjść z braku dowodów. Mieszka ze starym Lityńskim na małym kurytarzu koło kaplicy; tam stoją także Sapięha z Władysławem Niewiadomskim, Zamojski z Trompeterem, Poniński z Engeströmem, Golejewski z Grömanem; więzienia ich tylko przez noc zamknięte, odwiedzają się, grają w karty, razem chodzą na spacer, — wszystko to dzieje się per nefas, częścią za pieniądze, częścią że starsi patrzą przez palce, podobne to raczej do interny, niż do więzienia.

Około 11-tej wzięto mnie na spacer razem z dwiema kężniami powstańców, było ich kilkunastu. Po większej części rzemieślnicza czeladź, jeden leśniczy, jeden z wołoskiej emigracyi, zbieg z ross. wojska. Chodziliśmy po tak zwanej pasiece, tj. po ogródku przypierającym do realności kowala Marka, z którego mieszkania przez zakratowane okienko, przypatrywały się nam jakieś panienki, szczerzące ząbki do niektórych powstańców. Po drugim ogrodzie, do którego przez szpary parkanu zajrzeć można, przechadzali się mieszkańcy małego kurytarza, prócz tego wplątani w proces Kurzyny, Wasilewski, Tadeusz Niewiadomski i śmieszna jakaś figurka w szerokich szarawarach, krótkiej bluzce ze sznurami i burszowskim kaszkieciku; był to jak się dowiedziałem od moich towarzyszy, Hetman Piasecki, który pod pseudonimem de Valois, dowodził w Tomaszowskim podczas pamiętnej wyprawy Czarneckiego, tu zaś w więzieniu jest intendantem, zaopatrującym powstańców w wikt, bieliznę, suknie, tytoń itd. z funduszów częścią od komitetu dam wpływających, częścią przez majątniejszych więźniów składanych. Towarzysze moi jakoś nie najlepiej o nim mówią, zarzucając mu, że przywłaszczył sobie część kasy Hrubieszowskiej, tu zaś w orędownictwie funduszów składkowych jest parcyalnym, obsypując hojnie tych co mu schlebiają, a zaniedbując innych. Wogóle panowie powstańcy powstawali na „arystokracyę“, to jest tych, którzy po wielkim spacerują ogrodzie, podczas gdy biedni powstańcy muszą chodzić po deptaku na pasiece, lub kręcić się w kółko na budzie tj. na oparkanowanym dziedzińczyku obok kanału i jatek, przypierających do Pasternaka. Zdziwieni więc mocno byli, że ja z nimi chodzę, będąc posłem i członkiem Wydziału krajowego. Staralem się zneutralizować ich niechęć do „arystokracyi“ lecz nie udało mi się, wywołałem tylko większe jeszcze narzekanie: oni mówili, przegrywają w karty po sto reńskich, podczas gdy my kilka krajcarów na tytoń nie mamy, oni w ogrodzie codzień zjadają lody, spijają szampana, podczas gdy my nawet kieliszka wódki nie mamy na śniadanie, a kawałka chleba na kólacye, bo tylko raz jeden na dzień jeść dostajemy; panowie komisarze i inni dygnitarze palą cygara po 16 centów, a nam nawet krajcarowego tytoniu nie dają dostatkim. Opowiedziałem im, jakto my przed 20-tu laty będąc w więzieniu kaziennym, mu-

sieliśmy się kontentować .wiktem, bo nam nawet objadu nikt z miasta nie przysyłał, a tytoniu wcaleśmy nie palili, bo nie było wolno, że i między nami byli tacy, którzy mając pieniądze żyli wygodnie, lecz my biedniejsi wcaleśmy im tego za złe nie mieli a byliśmy przecież do czegoś lepszego przyzwyczajeni, bo ówczesny poczet więźniów składał się z doktorów praw, księży, urzędników, akademików. Jakoś to trafiło trochę do ich przekonania, a gdy najstarszemu z pomiędzy nich obiecałem złożyć piątkę na tytoń i śniadanie dla koleżków, udobruchali się zupełnie.

Po spacerze przyszedł do wizyterki Golejewski z raportem od Wasilewskiego, który będąc pod kluczem, nie mógł się bezpośrednio znieść ze mną. Dowiedziałem się tedy, że u Wasilewskiego zabrano 1-mo odpis raportu Miniewskiego do naczelnego Dowództwa, w którym winę dla czego nie przeszedł granicy, składa na organizację tutejszą, która mu niczego nie dostarczyła; w piśmie tem jest mimochodem wzmianka o „Wielmożnym Ziemiańkowskim“, 2-do znaleziono tłumaczenie się Wasilewskiego z owego zarzutu Miniewskiego wystosowane do komitetu, w którym to tłumaczeniu Wasilewski kilka razy przytacza „Ziemiańkowskiego“ lecz w sposób taki, jak gdyby się na niego jako świadka powoływał, że broń municyę etc. na miejsce zboru na czas powysyłał. U Wasilewskiego przy rewizyi nie zrobiono protokołu, była to bowiem rewizya czysto policyjna; Wasilewski więc nie tylko przeczy, że owo tłumaczenie pisał, ale zaprzecza nawet, że papiery pod 1 i 2 wymienione u niego zabrano. Przyznał zaś, że byłem u niego w Sieńkowie podczas wyprawy Miniewskiego i że jadących nas do Baryłowa, patrol wojskowa była przytrzymała. Zdawszy mi ten raport, radził mi bym się zgłosił do Pohlberga i żądał osobnego spaceru, to będę mógł chodzić razem z nimi na wielkim ogrodzie.

Propozycja była ponętna, zastanowiwszy się wszakże nad tem, co o tych osobnych spacerach od powstańców słyszałem i chcąc ich utrwalić w myśli, którą im wpoić starałem się, że to jest przypadkowy a nie umyślny podział, a zresztą niechcąc o nic prosić sądu, postanowiłem zostać z powstańcami. Podczas spaceru poobjednego przyszedł na pasiekę Engeström, proponując bym nie pytając się nikogo, przeszedł na ogród, gdyż tam Bor-

kowski wyprawia pożegnalny podwieczorek. Odmówiłem stanowczo, przytaczając jako powód, że nie chcę się narażać na to, że mnie lada pałkarz mógłby ztamtąd wyprosić, czego bym nie przeniósł, w rzeczy samej nie chciałem tam pójść właśnie dla tego, że tam miał być suty podwieczorek wyprawiony, pod oknami głodnych powstańców. Wzięto to za dziwactwo z mej strony, za pedantyczną legalność, ja się śmiałem w duchu, a bolałem w sercu nad zaślepieniem nawet takich ludzi, jak Engeström. Przy podwieczorku pamiętano o mnie; Piasecki, który jako intendant miał przystęp do wszystkich kaźni, przyniósł mi szklanicę szampana i kawał tortu, przy której sposobności mi się przedstawił. Ledwo wychylił szampana na zdrowie fundatora i za podobny dla nas wszystkich koniec więzienia, zawołano mnie do sądu, do biura Kuczyńskiego. Sądziłem że się rozpocznie śledztwo, tymczasem były to odwiedziny mojej drogiej Helki. Kuczyński po przywitaniu się ze mną, jak zawsze bardzo przyjacielskim, wyszedł z biura, zostawiając nas samych, byśmy się bez świadka uściskać mogli. Przyznam się, że nie spodziewałem się w nim tej delikatności. Biedna Helka od też się wstrzymać nie mogła, dopiero uwaga, że Kuczyński wróci i nie powinien jej też widzieć, osuszyła jej łzy. Po chwili wrócił Kuczyński i zasiadł do pisania, nie zważając na nas. Prosiłem Helki, by dla mnie złożyła trochę pieniędzy na drobne wydatki, nic bowiem z sobą nie byłem wziął, wręczyła więc Kuczyńskiemu 20 fl. które tenże z ukłonem mnie oddał; a przecież więźniowi nie wolno mieć pieniędzy. Co za grzeczność! — korzystając z tego usposobienia, szepnąłem Helci, by mi za najbliższym razem przyniosła papier, ołówek, scyzoryk i trochę drobnych pieniędzy dla powstańców i pałkarzy. Podczas wizyty weszła jakaś ładniutka, młoda dama, a powitawszy się dość poufale z Kuczyńskim, zapytała czy nie mogła by się widzieć z bratem? Kuczyński skłoniwszy się z przymileniem owej damie, wyszedł z biura, a wróciwszy za chwilę i wskazawszy damie krzesło tuż obok biurka, sam zasiadł do pisania. Po niejakiem czasie otworzyły się drzwi i wszedł p. Majkowski; udałem obojętnego, p. Majkowski też, czy mnie nie spōstrzegł, czy z namysłu, nie zważając na mnie pospieszył wprost do owej damy i po kilku bardzo, bardzo czułych uściśnieniach, ukłonił się Kuczyńskiemu

Helka

i usiadł na przeciw damy, tuląc jej rękę naprzemian do serca i ust, tak że to Helenkę rozśmieszyło i w dobry wprowadziło humor. Kto to są ci państwo? — pytała mnie; nie wiem, odrzekłem; co do damy mówiłem prawdę, co do Majkowskiego skłamałem nawet przed Helenką, zdaje mi się bowiem, że p. Kuczyński umyślnie nasze wizyty jednocześnie urządził lis, bo to szczwany! Po upływie kwadransu zawezwał Kuczyński czułą parę, by się rozstała. Gdy naprzód Majkowski, a potem owa dama opuściła biuro, zapytałem z nieudaną ciekawością, kto to ci państwo? To pan Siemiński i jego — siostra, odrzekł, na uwagę Helenki, że coś bardzo czule kocha się to rodzeństwo, ruszył ramionami; na co my pożegnawszy się umyślnie bardzo konwencyonalnie, po otrzymanem pozwoleniu widywania się trzy razy na tydzień, poszliśmy każde w swoją stronę; ja do więzienia, Helka do domu. Ona odeszła spokojniejsza, mnie zaś gdym wrócił do kaziarki, zrobiło się jakoś bardzo smutno, smutniej niż wczoraj; dziś dopiero czułem, że jestem więźniem. Poczciwa Helka przysłała mi od Rottendera jakieś łakocie, nie dotknąłem ich, mierząc kaźnię nierównymi krokami, jak zwierze w klatce zamknięte, przedumałem resztę dnia aż do zmroku... Dawne więzienia średniowieczne, owe lochy głębokie, w których przykuty więzień na pół gnił, na pół usychał w męczarniach, miały w sobie coś barbarzyńsko-poetycznego; nawet więzienie z lat 1841/1845 z siatką wewnątrz a koszem zewnątrz, z niezgrabnym tapczanem służącym za łóżko, stół i krzesło razem, z brudnym cebrzykiem i cuchnącym kibelem, miały coś, co więźnia utrzymywało w ciągłym gniewie i rozdrażnieniu, — dzisiejsze z łóżkiem, stolikiem, fotelem i zwierciadłem, podobne do niewygodnego mieszkania, — prozaiczne, zatechłe, przybrało fizjonomię ucywilizowaną; pozor wygodny, aby więzień konając w nim, nawet się poskarżyć nie mógł.

**29 lipca.** Dziś odbyło się ogólne ze mną śledztwo, p. Kuczyński, jako człowiek postępowy, potraktował mnie cygarem podczas śledztwa. Z ogólnikowych pytań nie podobna wnosić czego odemnie chcą właściwie. Pytał mnie bowiem, czy mi wiadomo co o istnieniu komitetu? — a ustnie dodał „tego, do którego należał, Sapięha, Smolka“ — reszta pytań odniosła się do mej bytności w Sieńkowie i do znajomości osób, które w ówczas w Sieńkowie były. Nadmienił także, że z aktów okazuje się, iż



w organizacyi piastowałem władzę cywilną. Co do składu komitetu mógł coś zasłyszeć od policyi, bo przecież Golejewski po wystąpieniu swem z komitetu głośno o jego byłym składzie rozprawiał w kasynie, a usłużny Bąkowski zraportował o tem pani Mensdorff. O mej bytności w Sieńkowie i o osobach tam bawiących, dowiedział się pewno z pisma Wasilewskiego; ale z jakich aktów mógł on wnosić, że ja piastowałem jakąś władzę cywilną w organizacyi? Jaką zaś piastowałem władzę, o tem zdaje się milczą jego akta, byłby bowiem tę władzę po imieniu nazwał. Pytałem się czy nastąpi dalszy ciąg śledztwa, odpowiedział że dopiero za parę tygodni, gdyż udała się na miejsce komisya śledcza, na której rezultat czekać musi. Mam więc przed sobą perspektywę kilkutygodniowego aresztu prowizorycznego, nie bardzo to miła perspektywa, trzeba będzie podać prośbę o wypuszczenie mnie na wolność za kaucyą.

**30 lipca.** Dzisiejsza wizyta odbyła się równocześnie z wizytą Ponińskiego. Dziwne to jakieś śledztwo; ja i Poniński jesteśmy współwinni, należymy, jak się w kancelaryi Kerkermajstra dowiedziałem do jednego procesu i niewolno nam w więzieniu mieszkać, razem chodzić na spacer, słowem znosić się z sobą, a pan referent daje nam u siebie rendez-vous i nie troszcząc się o nas, robi sobie jakieś wyciągi z aktów, wychodzi z kancelaryi, lub rozmawia z Topolnickim, który przyszedł odwiedzić Ponińskiego, podczas gdy ten siedzi na kanapie między mną a Helką. Pocziwy Topolnicki dał mi scyzoryk, tak zwany księcia Walii, mieszczący prócz nożyka, pióro i ołówek. — Helka widząc w jak dobrym humorze stary Poniński, zresztą usłyszawszy z ust samego Kuczyńskiego: „że to długo nie potrwa“ odeszła uspokojona i prawie wesoła... Daj Boże by się w swych nadziejach nie zawiodła. Wniosłem dziś prośbę o wypuszczenie za kaucyą, Kuczyński nie robi nadziei pomyślnego skutku, gdyż śledztwo na miejscu nie tylko nie skończone, ale nawet nie rozpoczęte jeszcze. Vederemo!

Helka

**31 lipca.** To istna komedia. Zawołano mnie do sądu, do biura Kuczyńskiego, wchodzę i zastaję — Borkowskiego, Sapiehę, Golejewskiego. Myślałem, że jaka konfrontacya, lecz gdzie tam! Borkowski przyszedł nas odwiedzić, a pan Kuczyński wszystkich trzech nas naraz sprowadził. Gdym się ze wszystkimi przywi-

tał, nie mogłem zataić mego zdziwienia i zapytałem Kuczyńskiego, co to ma znaczyć? Odpowiedział, uśmiechając się znacząco: „Chciałem komitetowi ułatwić zebranie się; jesteście w komplecie, możecie radzić, ja nie będę przeszkadzał“. Czy on drwi, czy o drogę pyta? Borkowski mi szepnął, bym się miał na ostrożności, gdyż na mnie bardzo są zawzięci, a szczególnie Mensdorff się odgraża.

**Sierpień.** Już dwa tygodnie upłynęły od mego uwięzienia... Jak długie wydają się dni w więzieniu, te dni nieprzeżyte, a przecież zebrane razem tworzą jakąś całość, która się dziwnie krótką wydaje. Szara ta tkanka, którą przędzie myśl więźnia, nie ma nici, któreby ją przedzielały; długość jej rozmierzyć pamięcią nie podobna, bo myśl nie ma się na czym zatrzymać... Śniadanie, spacer na pasiece, objad, spacer w budzie, podwieczorek, potem noc na pół przespana, na pół prze-marzona, — i znowu śniadanie itd.

Uzyskałem od p. Mukowicza, tak się nazywa kerkermajster, — pozwolenie trzeciego spaceru po dziedzincu, w chwili gdy nikt nie spaceruje. Towarzystwem moim jest jakiś pan Hillich, urzędnik pocztowy, będący pod oskarżeniem naruszenia pieniędzy pocztowych; lecz mniejsze o to, — zyskałem przez ten spacer to, że Helka co dzień może mnie widzieć z ganku kamieniczki Pasternaka. Jakaś poczciwa lokatorka tej kamienicy pozwalała jej nawet z swego pokoiku przypatrywać mi się wygodniej — stanowi to nową epokę w mojem życiu więziennym... Muszę jej opisać okno mego więzienia, może je widzieć z ganku kamienicy Kulczyckiego; mnie siedzącego za kratą nie będzie wprawdzie ztamtąd mogła widzieć, lecz będę mógł jej przesłać przez kratę pozdrowienie ręką, będę mógł ją widywać parę razy na dzień, to mię uspokoi... a jej da nowe zajęcie...

Wypuszczono Golejewskiego na wolność, z braku dowodów. Rozbił się więc plan przez niego uknuty, utworzenia w więzieniu na trójkę (on, ja i Sapięha) komitetu i kierowania złąd organizacją. Komitet bowiem, do którego jak się dowiedzieliśmy, po mojem uwięzieniu wszedł pan Zygmunt Rodakowski (!) istnieje tylko pro forma. Komisarz rządowy, przybyły

na miejsce Majkowskiego, kazał zwyczajem wszystkich poprzednich komisarzy, rozejść się komitetowi, a komitet niby słucha niby nie słucha tego rozkazu, a tymczasem nowy komitet ustanowiony przez komisarza z Pawlikowskiego, Szmitta, Ujejskiego, Skólimowskiego i Ciszewskiego, — doczekali się nareszcie, — tworzy nową organizację, która się zlepicić nie chce. Różycki ze swej strony dąży do dyktatury wojskowej i zaprowadza jakąś organizację wojskową. Istny chaos. Myśl więc urzędzenia się w kozie w komitet, nie była tylko oryginalna; komitet taki był się mógł na coś przydać. — Zobaczemy co Golejewski zrobi; czy potrafi wiaść w korby Bratników i Wołyniaków i zreorganizowawszy komitet wlać nowe życie w rozpadającą się organizację. — Wątpię, — Golejewski zdolny jest zrobić burdę, kozakeryę, lecz zaprowadzić ład w rozchwianą organizację, to nie jego rzecz. Zresztą zobaczymy.

Przypatrzyłem się dziś panu Kurzyni; przechadzał się podczas naszego spaceru na pasiece, ośobną ścieżką, pod osobną strażą. Niski, przysadkowaty, w ubraniu jak rusin, mówi „na wrzist“ podobniejszy do szewca, niż do dyplomaty, za jakiego w stronictwie Mierosławskiego uchodzi. Jasny blondyn, z wąsem rudawym, z twarzą bladą, nabrzęką, która przy braku brwi i białych prawie rzęsach, wcale nie imponuje; chód ciężki, niezgrabny; — cały czas był zamyślony i milczący, jak rabin jeśli uchodzi za bardzo mądrego. Obok niego, to za nim, dryptał jego towarzysz kazienny Bukasiewicz, chłopiec blacharski, uwięziony za to, że idąc obok policyi, zagapiwszy się, wypuścił z rąk pakiet, z którego wysypały się na bruk kule. Pocieszna figurka, małeńki, pękaty, kręcący się jak fryga. Od czasu gdy siedzi z Kurzyną, zmienił się, jak utrzymują dawniejsi jego znajomi, do niepoznania. Miał to być sobie chłopiec, jak tyśiąc innych chłopców terminujących; teraz rezoner rozprawiający o wszystkim z zarozumiałością, asystując pannie Podowskiej — (mamy tu bowiem także reprezentantkę płci pięknej, uwięzioną za lanie kul i wyrabianie nabożów) — palący regalia, (pan Kurzyna innych cygar nie pali, a traktuje nimi także swego towarzysza, również jak białym Bordeaux à 5 fl., którego butelkę co dzień wypróżnia) dowodzący, że matki pełnią tylko „psi“ swój obowiązek, jeśli synom jeść dają.

Jeden z moich towarzyszy spacerowych, czeladnik kamienniarz Kisielka, opowiadał mi z oburzeniem, jak on smarkacz, kiedyś o swej matce wyrażał się. Był na spacerze gdy mu doniesiono, że matka przysłała go odwiedzić, i zażądano by się udał do sądu. „Po co ta . . . . .  
. . . . .  
a teraz niech pełni psi obowiązek, kiedy mię na świat wydała, niech mi daje utrzymanie a nie łyzy, bo tych i pies by nie pił“. Piękną odebrał edukację w więzieniu, nie ma co mówić, trzeba Górskiego uprzedzić, by zawczasu stryzynek przygotował.

Już od dni kilku jakaś primadonna z Chorążczyzny, siedząca na dole w tem co ja skrzydle, popisuje się wieczorami tłustymi śpiewkami, ku ogólnemu zadowoleniu męskich sąsiadów, którzy ją nie tylko oklaskami, ale podobnemi ze swej strony śpiewkami zachęcają. Dowiaduję się, że owym żeńskim słowikiem jest panna Sobolewska, która panu Kaczkowskiemu, gdy tu siedział przed dwoma laty, ukradła zegarek, a odsiedziawszy karę, teraz na nowo dostała się do kozy. Oklaski zaś panna ta odbiera nie, jak sądziłem, od zbrodniarzy będących tu pod śledztwem i siedzących w dolnych więzieniach, lecz od panów powstańców, ulokowanych podemną na pierwszym piętrze. Piękne towarzystwo, nie ma co mówić! Rej wodzi między nimi, jak mówią, niejaki Listopad, kapitan saperów z oddziału Miniewskiego, nazywający się księciem Giedrojciem. Dziś produkowało się pierwsze piętro przed publicznością zebraną wieczorem u Pasternaka, Kulczyckiego i Zielińskiego. W koncercie brały udział zdaje się wszystkie kaźnie pierwszego piętra, chór bowiem był bardzo silnie obsadzony. Na żądanie panny Sobolewskiej powtarzano Contatę kilka razy, mogłem więc nareszcie dosłyszeć szczytne słowa, które godzi się zachować potomności. Niejaki Krawczyński, z profesji stolarskiej, snycerz, który dawniej już wycierał kąty kurdygardy i karmelitów, a teraz uwięziony za udział w powstaniu, pięknym tenorem śpiewał solo:

Widzieliśmy lisa, widzieliśmy ho,  
Widzieliśmy lisa, widzieliśmy ho,  
widzieliśmy ho, widzieliśmy

*tu wpadał chór (staccato)* ho w no!

*solo:* Widzieliśmy ho w nocy.

Zabiliśmy lisa, zabiliśmy ho,  
Zabiliśmy lisa, zabiliśmy ho,  
Zabiliśmy ho, zabiliśmy

Chór: (*staccato*) ho w no!

*solo*: Zabiliśmy ho w nocy.

Potem przychodzi: „spatryliśmy lisa“ itd., „upekliśmy lisa“ itd., nareszcie: „zjedliśmy lisa“ itd.

Brawa i oklaski odzywały się nie tylko z kaźni, ale nawet z podwórza Pasternaka, gdzie prawdopodobnie słów nie słyszano.

Potem Listopad z p. Stępkowskim warszawianinem, oficerem z oddziału Miniewskiego, uraczyli publikę duetem: „Gdzieś ty była Dorotko“, — entuzjazm słuchaczy był ogromny, wołano: „fora!“ lecz pan Listopad oświadczył, że nie ma czem gardła zwilżyć, gdyż mu „szelma szłof“ wysuszył butelczynę.

Bardzo to wesoło, ale czy godzi się tak postępować obrońcom świętej sprawy? Powie kto, że to młodzież; i w r. 1841 — 1845 siedziało w tych samych murach do stu młodzieży naszej, lecz scen takich niebywało nigdy. My szanowaliśmy siebie, aby wzbudzić u wrogów nawet poszanowanie dla sprawy, za którą cierpieliśmy. Tempora mutantur!

Czy u nas zaprowadzono już rządy wojenne, o które pan Mensdorff tak gorąco się upomina, że po raz drugi suplikować po nie pojechał do Wiednia? Czy to tylko antycypacja tych rządów spodziewanych przez wojsko? W kaźniach od ogrodu rozmawiali powstańcy przez okno ze spacerującymi po ogrodzie więźniami. Żołnierz stojący na warcie, może nie wiedząc, że tu prócz pospolitych więźniów znajdują się także więźnie polityczni a może i umyślnie, był to bowiem rusin z pułku dawniej Hartmana, zawezwał rozmawiających do milczenia w sposób dość dosadni, albowiem słowami: „Biedesz tam tycho złodiju“, — odpowiedziano mu z kaźni gradem obelg, — żołnierz poskarżył się kapralowi, kapral doniósł do komendy Placu, zkąd przybył pan porucznik placu Winkler i wypytawszy się żołnierza z którego to okna go lżono, zawołał Mukowicza i kazał się prowadzić do dotyczącej kaźni; wszedłszy zastał dwóch powstańców: Kropilnickiego rzeźnika tutejszego i jakiegoś stolarczyka, siedzących przy oknie, podczas gdy inni na łózkach leżeli. Nie pytając

czy z tej kaźni lżono żołnierza i kto go lżył, porwał Kropilnickiego za kark i uderzywszy go pięścią w twarz trącił go ku drzwiom, dając tą samą dyrekcją stolarczykowi, który tymczasem z okna był zlął, przez uderzenie w plecy rękojeścią pałasza. Poczem nagroziwszy: „ich werde euch lehren!“ oddał biednych delikwentów kerkermajstrowi z poleceniem, by ich kazał okuć. Kerkermajster sprowadził ich na dół do swej kancelaryi przypomniawszy sobie wszelako, że to inkwizytoryat cywilny a nie wojskowy, udał się do p. Pohlberga z raportem i z zapytaniem czy ma wykonać rozkaz pana Winklera. Pan Pohlberg nie tylko nie był zdziwiony tem wdzieraniem się wojskowości w sferę sądu cywilnego, ale rozkazał uczynić jak pan porucznik placu polecił. Okuto więc biedaków, a pan Pohlberg ze swej strony dodał obostrzezenie, by ich nie wypuszczać na spacer.

Hodie tibi, cras mihi; co dziś oberwał Kropilnicki, to może jutro spotkać Ziemiałkowskiego; a zresztą Kropilnicki chociaż czeladnik rzeźnicki, jest więźniem politycznym, jego policzek więc shańbił wszystkich tu bawiących więźni politycznych. Pan przełożony sądu nie ujął się za nami; trzeba więc szukać wyżej bezpieczeństwa dla osoby własnej. Napisałem list do pana ministra Sprawiedliwości Steina, czyniąc go uważnym, że jesteśmy tu po większej części „in provisorischer Verwahrung“ jesteśmy więc depozytem i mamy prawo żądać od sądu opieki, przeciw gwałtom zkađkolwiek pochodzącym, tym bardziej, że jako więźnie nie mogąc mieć broni, nie możemy sami dbać o bezpieczeństwo osób naszych. List ten posłałem przez sąd. Sapięha swoją drogą napisał do ministra.

I to jest sąd, sąd krajowy w stolicy! gdzie godność trybunału, która na takie pogwałcenie murów sądowych powinna by zawrzeć oburzeniem! Jeden poruczniczyna może bezkarnie kazać sobie otwierać więzienia, obrażać czynnie więźni i kazać ich wbrew wyraźnemu prawu okować w kajdany. Czegóż więźień może się spodziewać po sądzie do tego stopnia niktzemnego, że wypełnia rozkazy pierwszego lepszego, może nawet pijanego poruczniczyny? Czyliż sąd ten będzie miał odwagę sądzić wedle prawa, gdyby namiestnik lub wcale minister zażądał wyroku wbrew prawu? Biada nam jeśli kto z nas ma nieprzyjaciół w wyższej sferze biurokracyi!

Z powodu zajścia tego, zeszedłem się z niektórymi towarzyszami, z którymi dotąd jeszcze nie miałem sposobności mówienia. Między innymi z p. Majkowskim, tu za Siemińskiego uchodzącym, a przez pałkarzy panem hrabią tytułowanym. Plótt jak na mękach, a plótt prawie przez godzinę, bez wytchnienia. Pojmuję dlaczego Rząd narodowy starał go się pozbyć i wydalil z Warszawy, jako prokonsula do Galilei. Należałoby przez najbliższe 50 lat zabronić ludziom używać wszelkich przenośni, to by ich zmusiło do ściślejszego myślenia i czucia. Zdaje się że człowiek powinien wtedy tylko mówić, gdy ma co do powiedzenia. Pan Majkowski mówił przez godzinę i nic nie powiedział, a więc nie miał nic do powiedzenia. Dla czegoż mówił? a mówił niby w uniesieniu, a strasznie górnolotnie. I to ten wielki człowiek, który trząsł kongresówką? Biedna kongresówka, jeśli tam wartość człowieka mierzy się biegłością języka i ilością słów w pewnym przeciągu czasu z ust wyrzuconych!

Poznałem także Milowicza, tu pod nazwiskiem Radziejowskiego uwięzionego. Jest to ten sam, który zrobiwszy w Londynie układ o dostawę broni dla powstania, został, skoro tylko przybył do Paryża, aresztowany. Musiał przezornie postępować, skoro policja paryska wiedziała nawet w którym kuferku znajduje się kontrakt dotyczący broni. Wygląda zresztą na wiercipiętę; trudno zgadnąć kim jest, wygląda na żydka: czarne niespokojne oczy, charcząco wymawiane r, i zanadto wielka pewność siebie, przy zupełnem władaniu językiem niemieckim przemawiałyby za izraelskim pochodzeniem. Majkowski utrzymuje, że to obywatel z Hrubieszowskiego; ale właśnie że to Majkowski utrzymuje, nie można temu wierzyć. Zna Heferna, mieszkał u niego nawet czas jakiś, — bawi tu bowiem od niejakiego czasu, chociaż jest członkiem Rządu narod: przypatrywał się temu co tu się dzieje. — O panu Mierosławskim mówi nie najlepiej, — adoruje zaś Kurzynę i jest mocno przekonany, że Kurzyna dawno już porzucił Mierosławskiego, dla tego Mierosławskiemu tak się nie wie dzie. — Kurzyna bowiem był duszą stronnictwa Mierosławskiego. Aresztując Milowicza zabrano mu notatkę, zawierającą adres Demidowicza w Krakowie, jako tego, u którego deponowane są papiery galicyjskich komisarzy narodowych. Lęka się, by w skutek tego nie było aresztowań w Kra-

kwie; sam myśli pójść w ślad Bogdanowicza, uwięzionego u Sapiehy razem z Sapiehą, a uwolnionego temi dniami podczas spaceru na pasiece za pomocą kowala Marka, który podciął dwie deski w parkanie, wyjął takowe gdy Bogdanowicz spacerował, a gdy tenże się przez otwór wysunął, założył deski tak, że dopiero pod koniec spaceru pałkarz spostrzegł, że jednego ze spacerujących brakuje. — Jeśli tylko zechce, to uciec pofraci: uciekają bowiem co dzień prawie powstańcy, to z kurdygardy, to podczas drogi z cytadeli do Karmelitów, lub z Karmelitów do Szpitala u Brygidek. Berezowskiemu wczoraj dwóch uciekło, gdy ich wioził na cytadelę, a cała kara jaka go za to spotkała były słowa: „Du bist halt ein alter Esel“. Z powodu ucieczki Bogdanowicza robiono oględziny w parkanie i nic nie spostrzeżono; postawiono wszakże dla większego bezpieczeństwa pod tym parkanem osobny sztyldwach i budkę strażniczą. Pałkarz został tylko zestrofowany słowami. — Czy oni sami chcą byśmy uciekali? Zchwytano Wysockiego mimo, że sobie włosy i wąsy poczernił. Przyznał się, że jest Wysockim, a mimo, że za powstanie węgierskie zaocznie na śmierć był skazanym, pozwolono mu wyjechać do Linzu na słowo, że się ztamtąd nie wydał. Jeśli tak się obchodzą z naczelnym wodzem, pytam się dla czego tu po kilka miesięcy trzymają w więzieniu prostych powstańców? Szczególna! gdy Wysockiego kazano sądzić za wyprawę Radziwiłłowską, Rużycki nie chciał się tego podjąć, tłumacząc się nie bardzo przyjaznym poprzednim stosunkiem z Wysockim. Gdy wpadł w ręce Austryaków, i ci go sądzić nie chcą; czy także dla tego, że z nim dawniej zostawali w nienajlepszych stosunkach? Nie wiem w jakich on z Bogiem stosunkach, jeśli w złych, gotów go i Bóg nie chce sądzić, by nie ściągnąć na siebie podejrzenia stronniczości.

Udzielono mi najświeższy numer wychodzącego w tajnej drukarni, pół oficjalnego (rządu Pawlikowski-Schmidt) pisemka „Prawda“.

Prawda jest zdrową jak woń ziół i lasów, jak powietrze co płynęło po nad lodowce i spienione morza bałwany; kto tem powietrzem oddychał, ten nie może już żyć na nizinach obłudy i między bagnami kłamstwa.



Prawda przestrasza, jak światło przestrasza — złodzieja. Prawda jest nienawistną, gdy obudza zgryzoty sumienia, jest niebezpieczną dla tych co ją głoszą, jeśli mają serce niewolnika.

Prawda jest własnością wszystkich ludzi, jak powietrze, jak dzień. Chcieć zrobić z prawdy rzecz oficjalną, narzędzie rządu, monopol kościoła czy państwa, jest to chcieć przytłumić prawdę i przeszkadzać ludziom, nie żeby nie myśleli, lecz żeby nie mówili.

Panie redaktorze „Prawdy“, tyś chyba nigdy nie stał oko w oko z prawdą, skoro te brudy wyciągnięte z kałuży kłamstwa, nazwać się odważyłeś „Prawdą“. Ty niewolniczą masz duszę, jeśli głosząc „Prawdę“ kryjesz się w ciemności, noc nie jest królestwem uczciwych ludzi. A wy Panowie co stanąwszy niby u steru rządu, kalacie oficjalnie tych, którzy milczeć muszą, bo są w więzieniu, lub bronić się nie mogą, by się nie dostać do więzienia, czyliż sądzicie, że taką „Prawdą“ chwiejące się wasze utrwalicie rządy? Możecie na chwilę zaćmić prawdę, chmurą waszych kalumnii, lecz cóż jej to szkodzi? Zaćmienie jest próbą prawdy. Ponieważ zacność jest prawdą, przeto człowiek zacny ma prawo być prześladowanym. Lecz możeż mu to szkodzić co przemija? on był przedtem i będzie potem. Zaćmienie, moi Panowie, rzuca cień nie od strony słońca.

Czyliż nie wiecie że kalumnia, to stara przyjaciółka tyranów, stara towarzyszką zdrajców, stara pomocniczka faryzeuszów, stara pocieszycielka hebesów? I wy co chcecie prowadzić naród do odrodzenia, uciekacie się do kalumni, by pozbyć się tych, którzy waszej ambicyi stoją na przeszkodzie! Czyż sądzicie, że naród uwierzy w wasz rozum, w waszą cnotę, w wasze poświęcenie, jeśli rzucacie kalumnię na tych w których rozum, cnotę i poświęcenie naród wierzy?

Z tem wszystkiem kalumnia jest jak szkarlatyna: jeśli wyjdzie na wierszach, to się z niej przychodzi do zdrowia; jeśli się zaś skryje, to na nią umrzeć można.

Ogłaszacie wasze oszczerstwa w tajnem pisemku, by je sobie ludzie do ucha szeptali; jest to najpodlejszy środek czerwienia, ale najpewniejszy. Nie atakujecie w oczy bo się boicie, by broniący się was nie ranił, zabijacie skrytobójczo jak wszyscy tchórze. Ah trudno u nas, bardzo trudno żyć na widowni i nie

być obrzuconym błotem. Jeśli masz odwagę nie iść za owcami, które zręczni przewodzcy ciągną za sobą, jeśli śmiesz mieć własne zdanie i własną wolę, nazwą cię dumnym marzycielem i ambitnym fanatykiem. Jeśli mówisz prawdę twym współobywatelom, jeśli ich chcesz oświecić co do warunków wolności, ochronić przed niebezpieczeństwem anarchii, jesteś podłym arystokratą. Mów otwarcie, nazwij po imieniu nadużycia i tych co w nich korzystają: jesteś pochlebcą motłochu, demagogiem. Innemi słowy: otworzyć oczy ludowi, jest to zniszczyć zyskowy przemysł tym co ślepym przewodzą, a tego ci nie przebaczą... Lecz dosyć tego. Tureckie przysłowie mówi: kto się w drodze zatrzymuje, by rzucić kamień na każdego psa co szczeka, ten nie dojdzie do celu swej podróży.

Spełniły się obawy Milowicza. Odbyto rewizję w mieszkaniu Demidowicza, emerytowanego sędziego apelacyjnego w Krakowie, zabrano papiery złożone u niego przez Elżanowskiego, i uwięziono prócz Demidowicza, także bawiącą u niego panią Kujawską z Płockiego. Wskutek zaś zabranych tych papierów uwięziono Rogawskiego, Bauma, Benoëgo, Hallera i St. Tarnowskiego.

Demidowicza i panią Kujawską przywieziono do Lwowa, ponieważ tu wytoczono proces Milowiczowi. Znałem Demidowicza z opisu nieboszczyka Romanowskiego, był on bowiem jednym z członków ś. p. Rady galicyjskiej. Nie przesadził nieboszczyk, nawet za mało farby nałożył na portret. Ktoby chciał Fauna malować niech poprosi pana sędziego by mu siedział. Żarłoctwo, lubieżność napiętnowały twarz tę, która tem obrzydliwsze czyni wrażenie, ile że z ust jej płyną słowa namaszczone spirytyzmem, którego zapalonym jest wyznawcą.

Gdy się Sapięha dowiedział, że przywieziono Sędziego, zaprosił go do siebie na objad, jako człowieka, który całkiem obcy we Lwowie na razie nie wiedział, jak sobie poradzić. Sapięha mieszka od czasu uwolnienia Golejewskiego z Grońmanem, dostaje zaś objad z domu na trzy osoby, ponieważ także Zamojski u niego jada. Gdzie jest objad na trzech pożywi się i czwarty. Był więc pan sędzia kontent z książącego objadku, bo znalazła się i butelczyna wina in gratiam gościa, a po objedzie palono

przy czarnej kawie doskonałe cygara. Książę jadał objad, jak książę, między piątą a szóstą, po objedzie pan sędzia poszedł z „arystokracją“ na ogród, tam pojawiły się lody, a po lodach książę potraktował znowu dobrem cygarem. Po spacerze zaprosił książę pana sędziego nazajutrz na śniadanie — przypuszczał bowiem, że sędzia do jutra nie będzie mógł jeszcze postarać się o własne śniadanie. Śniadanie książęce składało się z herbaty, jaj na miękko, masła i bifstyka, śniadanie więc obfite, a że je dano o 11-tej bo to był zwyczaj u księcia, więc gdy nadeszła pora objadowa dla zwyczajnych śmiertelników, pan sędzia nie czując głodu, nie pomyślał o wystaraniu się dla siebie objadu, zato koło piątej godziny wynalazł jakiś interes do księcia i jakoś tak się stało, że był jeszcze u księcia, gdy aresztant zaczął do stołu nakrywać. „Pan z nami“ zapytał grzeczny gospodarz: „Książę jesteś nadto łaskaw“, była odpowiedź pana sędziego i został znów na objadku, a grzeczny książę kazał powiedzieć lokajowi, by nazajutrz śniadanie i objad na cztery osób przyniesiono. Tak pan sędzia, ów bicz straszliwy na arystokrację, owa chodząca opozycja przeciw szlacheckiemu komitetowi galicyjskiemu, ów ze wszystkimi do Lwowa jadącymi komisarzami rządowymi wiecznie przeciw Księżciu i Spółce konspiracyjacy Czerwony, został stałym stołownikiem „łaskawego księcia Pana“.

Wyznaczono mu spacer na dziedzincu, tam gdzie ja mam spacer i tużmy się poznali, traktował mię książęcem cygarem, widać że już nie tylko u księcia pali, ale i zapasy sobie robi, podziękowałem i zapałem dwucentowego śmierdziucha, czyniąc uwagę, że to demokratyczne cygaro. Bynajmniej się nie obraził, schował cygaro którym mnie traktował i opowiadał dalej awanturę, jaka się zdarzyła przy rewizji jego pomieszkania. Komisya miała polecenie przetrząść jego pomieszkanie i wzięła to była w znaczeniu jak najściślejszem, przerewidowawszy bowiem jego pokój i nic nie znalazłszy, chciała się już wynosić, gdy pan sędzia ruszył konceptem i otworzywszy drzwi do drugiego pokoju, zaprosił komisję, by i tu pokój przetrząsła. Naturalnie że komisya weszła. Pewny swego pan sędzia prowadzi ich do szafy od bielizny i otwiera drzwi, lecz o zgrozo! tuż na bieleźnie leży teka przez pana Elżanowskiego deponowana, z papierami komisarjatu galicyjskiego. Na widok tej teki pan sędzia struchlał,

lecz przytomniejsza córka chwyta ją z pod nosa komisarzowi policyi, wpada do trzeciego pokoju, w którym pani Kujawska leżała w łóżku i wsuwa swą zdobycz pod kołdrę pani Kujawskiej, nie zamknąwszy nawet drzwi za sobą. Wtrop więc za panną Teresą wpadł komisarz policyi do sypialni pani Kujawskiej i mimo oświadczenia tejże pani, że teka ta jest jej własnością, zabrał z sobą pod telegraf nie tylko tekę, ale i panią Kujawską. Działo to się rano. Gdy do południa nie wypuszczono pani Kujawskiej, owszem po zrewidowaniu teki i odkryciu w niej bardzo szacownych materyałów do wytoczenia zbrodni stanu, zawieziono ją na zamek. Pan sędzia ruszony sumieniem udaje się do sądu i oświadcza, że to jego teka. Zatrzymano więc pana sędziego, a gdy pani Kujawska powiedziawszy raz że to jej teka, wzięła za punkt honoru nie cofać słowa, więc i sędziego i panią Kujawską odstawiono do Lwowa.

Gdy skończył sędzia to opowiadanie, spostrzegł że na dziedzincu fetor i słońce dokucza i mimo przedstawień z mej strony, że demokracja koziarska bardzo to źle widzi, gdy kto wyrabia sobie spaceru na ogrodzie, którego ona nie mająca protekcji używać nie może, udał się do pana Mukowicza i wyprosił się na ogród, gdzie zastał wprawdzie szklanę lodów, ale już stopniałych! Odtąd sędzia już nigdy nie zaglądał na dziedziniec zwłaszcza w porze obiadowej, ale na arystokrację zawsze wygadywał, gdy nie było księcia, a powstańcy wyglądający z za krat głos jego słyszeć mogli. Słusznie stryj Franciszek mówi: krowa która wiele tego, mało tego tego.

Jakieś nieszczęście cięży na oddziałach galicyjskich, a może to i wina dowódców. Łatwiej podobno dowodzić kilkunastusięcym oddziałem wojska regularnego w wojnie regularnej, niżeli oddziałkiem ochotników w wojnie partyzanckiej. Tu dowódca musi być wszystkim! Poczciwy pan Lelewel był niezaprzeczenie zacnym człowiekiem, gorącym patriotą i póki był naczelnikiem kupki powstańców, związającej się po kraju znanym, lub starającej się przedrzeć przez granicę niespostrzeżona przez Moskali, wiodło mu się jako tako, lecz odkąd zostawszy pułkownikiem zapragnął dowodzić większym oddziałem i staczać walki

z Moskalami okazało się, że sam patryotyzm dla dowódcy nie wystarczy.

Otrzymał piękny oddział z sześciuset przeszło ludzi doskonałą bronią opatrzonych, z odpowiednią jazdą na dobrych koniach, przeszedł szczęśliwie granicę, dowiaduje się że ciągną nań Moskale; nie słuchając rad kilku wojskowych, których miał przy sobie, postanawia Moskale zwabić w zasadzkę i pakuje oddział swój w wąwóz, którym zdawało mu się Moskale nadciągną. Lecz Moskale mieli taki sam pomysł jak pan Marcin i zamiast iść wąwozem obsadzili wzgórze i złapali naszych jak w matni. Padł poczciwy Lelewel, a cały oddział, nie próbując nawet przedrzeć się, poszedł za przykładem p. Grzymały, dowódcy jazdy; uciekł do Galicyi, straciwszy jak zwykle bywa cały rynsztunek. W ucieczce tej padło kilkudziesięciu, między innymi Nyary, który po długiem wyczekiwaniu, bo od miesiąca marca, poszedł nareszcie z tym oddziałem i krwią swą zmasał różne nie bardzo zaszczytne podejrzenia, na nim ciężące. Dużo też młodzieży dostało się do niewoli moskiewkiej, a i Austriacy nie małą liczbę pochwytili. Cytadela tutejsza ma być przepelniona powstańcami; przywożą ich tutaj do śledztwa, a tutejszych tam wywożą. Przybywających trzeba odziewać od stóp do głowy; robimy co możemy, a biedny Hetman krząta się od rana do wieczora, wyrobił on sobie tu stanowisko na pół urzędowe; gdy powstańcy popiwszy się zaczynają za nadto hałasować, Mukowicz udaje się do Hetmana, by „robił porządek“ co mu się nie zawsze udaje, krnąbrnym grozi, że nie dostaną obiadu, czasem to skutkuje, lecz bywają przypadki, że p. Hetmana za drzwi wyrzucają. Najniesforniejsi są kongresowiaki, — łajdaki Galileusze, oto moneta którą nam płacą za to, że sami będąc więźniami, od ust sobie odbieramy, by ich ubrać, nakarmić i napoić. Damy bowiem przyselają tylko obiad. Nie jeden z tych paniczów w życiu swem takiego obiadu nie jadł jak tu dostaje, a przecież wymyślają, kiedyśtu przez wizyterkę, którą wytlukli, wyrzucono taki obiad na kurytarz, na biedną zaś „arystokrację“, która daje pieniądze na tytoń i śniadanie dla powstańców, rzucają ciż z okien paczkami tytoniu, który dostają; prawda, że to tytoń prosty, ale darowanemu koniowi nie zagląda się w zęby, a zresztą czy to żołnierz w obozie zwykł inny palić tytoń — a to przecież żołnierz.

500

Publikowano tymi dniami pierwsze wyroki za udział w powstaniu; po dwumiesięcznem śledztwie poskazywano powstańców na 3, 5 najwięcej ośm dni. I wartoż dla odgrywania w obec Rosyi tej komedyi, męczyć tyle ludzi tak długiem śledztwem? Nie byłoby prościej potrzymać parę dni złapanego powstańca w kozie i puścić go; skutek względem Rosyi byłby jednaki, bo tu widocznie Austrii o to tylko idzie, by Rosyi pokazać, że konwencya z 19-go Paźd. 1860 r. przestrzega się. Zdaje się, że to znęcanie się nad powstańcami pochodzi ex priwata diligentia pana Mensdorffa i Strojnowskiego, bo przecież rząd, który pisze noty dyplomatyczne za Polską, nie może znęcać się nad tymi, którzy występują przeciw Rosyi, w obronie tych samych świętych praw, których się Austriya dla Polski upomina od Rosyi. Lecz lichy ich tam zrozumie; albowż Austriya nigdy nie zdradzała tych, z którymi niby to trzymała?

Jak też nielitościwie kłamie ta Narodówka! Czy ci panowie myślą, że kłamstwem można służyć poczciwej sprawie? Czy mają oni w ogóle pojęcie o powołaniu, o obowiązkach dziennikarstwa?

Dobry dziennikarz powinien mieć twarz psa, węch psa, natarczywość psa, odwagę psa i wierność psa. Twarz psa, by przerażać łotrów, węch psa, by ich wszędzie wytropić, natarczywość psa, by szczekać na nich mimo odgrzań się z ich strony; odwagę psa, by ich brać za gardło, wierność psa, by na skinienie Prawdy ruszać, zatrzymywać się i wracać. Dziennik powinien mówić prawdę, tylko prawdę, lecz całą prawdę; prawda powinna być ciałem dziennika, jego istotą. Nasze dzienniki, chociaż przytoczą czasem prawdę, to ją obwleką mnóstwem kłamstw jakby krynoliną, tem ubraniem, którego twórcą jest fałsz i śmieszność.

A powiadają, nie można mówić prawdy, bo ostudziłoby się entuzjazm dla sprawy. Nędzny ten entuzjazm dla sprawy świętej, jeśli go ostudzić może wiadomość o doznanej klęsce! Dla człowieka prawda jest życiem, kłamstwo śmiercią. Dla tego dzienniki nawet te prawdy szerzyć powinny, które wstrząsają, przerażają społeczeństwo, nawet takie któreby mu groziły przewrotem, bo są takie prawdy! a właściwie każda prawda jest rewolucyjna; czyż

dla tego ma być tłumioną? Czyliż ewangelia nie była rewolucyjną? co za przewrót zdziałała, zdetronizowała Jowisza, wygnała Cezarów, wyrzuciła całą cywilizację. Jakież by to było szczęście, gdyby zaraz z początku była stłumioną ta prawda, która zabiła świat stary, a zrodziła nowy... Dla tego, że prawda mogłaby obalić rząd narodowy, więc staracie się ją stłumić? a cóż nam po rządzie, który rządzi niedołącznie? czyliż sprawa nasza jest dla szajki Warszawskiej zwiącej się rządem narodowym, czy rząd narodowy dla sprawy? Jeśli rząd narodowy źle służy sprawie narodowej, precz z rządem, by uratować sprawę!

Sprawie świętej jak nasza, tylko ludzi czysti, służyć powinni. Przełać swą krew w obronie ojczyzny, wolno i złodziejowi. Ale nigdy złodziej, w ogóle człowiek prywatnie skalany, nie powinien przewodzić sprawie publicznej. Czemż tu milczą gazety nasze? Czy dla tego, że tam jakiś mędrzec francuski powiedział; „la vie privée doit être murée“. Co za nonsens! Czyliż człowiek da się na dwoje rozszczępić? czyż można być łotrem w życiu prywatnym, a zacnym obywatelem w życiu publicznym? Cóż to jest życie prywatne? gdzie się zaczyna? gdzie się kończy? Honor życia prywatnego ręczy za cnotę publiczną, inaczej sprawa publiczna będzie komedią, gdzie każdy nosi maskę, odgrywa rolę i bawi się mówiąc o sumieniu, patriotyzmie, prawach, obowiązkach, a nie wierząc ani słowa z tego co mówi. Odpowiedzialność indywidualna stanowi siłę i życie wolnego narodu. Tam każdy winien mieć wypisane na czole: czem jest i co robił. Łącząc reputację i stanowisko z zacnością, infamię zaś i poniżenie z łotrowstwem, oto sekret moralności rządu. Zadania tego jeszcze żadne prawodawstwo nie rozwiązało, ale prasa może i powinna je rozwiązywać codzień. W kraju gdzie naród skazany na milczenie, lub prasa obowiązku swego nie wypełnia, złodzieje działają, a okradzeni milczą; tam zaś gdzie każdy obywatel ma prawo oskarżania w imieniu narodu, a prasa jest głosem narodu, tam złodzieje się kryją, bo okradzeni mogą krzywić i działać.

Przywieziono Bauma, Benoëgo i Hallera, jako zawikłanych w procesie Milowicza. Między papierami znalezionymi u Demidowicza znajdowała się karteczka tej treści: Wydział rządu

narod. w Krakowie: Ba., Be., Ha..., Sąd jest tego zdania, że to znaczy Baum, Benoë, Haller. Zaleziono także protokół obrad komitetu krakowskiego, z powodu wniesionej przez komisarza rządowego propozycyi Rogawskiego, by komitet zamienić w Wydział Rządu narod. podlegający bezwarunkowo Rządowi narod. i wykonujący rozkazy komisarza. Z protokołu tego okazuje się, że komitet krakowski odrzucił tę propozycyę. Sąd karny tu-tejszy, który kazał Rog. Ba. Ben. i Hal. aresztować, jako poszlakowanych o zbrodnię zaburzenia spokojności publicznej przez wspieranie powstania polskiego, zmienił raptem swoje zapatrywanie się na tę sprawę i postawił ich pod oskarżenie o zbrodnię stanu. Stanisława Tarnowskiego zostającego pod tem samem oskarżeniem, zostawiono jeszcze na Zamku w Krakowie, zdaje się z tego powodu, że u brata jego Jana, znaleziono listy Stanisława z zagranicy w r. 1861 i 1862 pisane, z których sąd wnioskuje, że zostawał w styczności z Rewolucjonistami europejskimi i przygotowywał powstanie w Polsce. Ma to być wedle zdania Bauma i Benoëgo perła młodzieży naszej: wykształcony, skromny i pracowity; był sekretarzem komitetu krakowskiego; obawiają się czy u niego nie zabrano jakich papierów, kompromitujących innych jeszcze ludzi, jemu bowiem oddawano wszystkie raporta nadsyłane od urzędników org. i inne korespondencye dotyczące powstania. — Rogawski podał prośbę do Prezydium Rady Państwa, by zażądano jego uwolnienia, jako członka tejże Rady, nie mogącego być aresztowanym bez pozwolenia Rady Państwa, którego sąd karny nie żądał, zostawiono go więc w Krakowie aż do decyzji Rady Państwa. Nie wiem czy to przyjaciele, czy nieprzyjaciele wydrukowali prośbę jego w Czasie; kończy się ona zapewnieniem ze strony pana Rogawskiego, ex sekretarza Dyktatora Tysowskiego, najczcwieńszego między Czerwonymi, że był zawsze lojalnym Jego Cesarskiej Mości poddanym i modli się gorąco za powodzenie najmiłościwiej nam panującej Dynastyi.

**Wrzesień.** Co raz więcej nas tu przybywa. Wskutek znanego raportu Wasilewskiego przywieziono tu wymienionych w tymże raporcie: Wolskiego Marcina z Radziechowa, Apolinarego Jaworskiego, Gruszeckiego z Oczacia i nadleśniczego brodczyzny, Godlewskiego. Za wskazówkę poszukiwań komisji kryminalnej



służy Gazeta Narodowa, która umieściła z polecenia Reya, pomocnika komisarza narod. artykuł, zwalający winę nieudania się wyprawy Miniewskiego na organizację, a oraz opisujący cały pochód oddziału tego, z lasu Baryłowskiego do Berodni — tak, że komisya idąc tem śladem, przy pomocy arendarzy, pastuchów, leśnych etc. tamtejszych, dowiedziała się o wszystkich, którzy przy tym pochodzie pomoc nieśli. — Doskonały jest kochany Wolski, — wygląda zupełnie jak sikorka złapana na samotrask. Co chwilę gdzieś się rozpędzi zapominając, że on w kozie. — Wypuszczono go na spacer na pasiekę — tam nie miał nikogo znajomego — patrzy przez szparę parkanu, że na ogrodzie się jacyś przechadzają, więc bez długiego namysłu, rusza przez dziedziniec i wchodzi na ogród; lecz wtrop za nim pałkarz i nuż go wypraszać. Dla czego, pyta ździwiony Wolski? Ah bo z tymi panami, panu nie wolno chodzić. Dla czego, pyta znów Wolski. Bo należą do jednego z panem procesu. Ale ja nie znam tych panów, protestuje Wolski; jakże się ci panowie nazywają? Haller, Siemiński. W imię Ojca — przeżegnał się Wolski, przyszedłszy podczas tej rozprawy na pasiekę; ja w jednym procesie z Hallerem, Siemińskim, ależ ja nie słyszałem nigdy o żadnym Hallerze, a Siemińskich, znam dwóch tylko Konstantego i Wilhelma, lecz ci inaczej wyglądają jak ów pan Siemiński. — Po niejakim czasie przywieziono Alfreda Bogusza przydybanego w Wiedniu; wszystkich, którzy nie należeli do procesu Kurzyny lub Milowicza, a byli posądzeni o udział w organizacyi, klasyfikowano do procesu Sapiehy, którego sąd ma za Naczelnika organizacyi narodowej w Galicyi. Do tego więc procesu należy i Wolski i Bogusz. Za nim zaś Kerkermeister uwiadomiony został o tem z kim Boguszowi nie wolno chodzić na spacer, (choć to także komedia, bo Sapieha chodzi z Zamojskim, Ponińskim, Engenströmem i innymi Sapieżyńcami, a Kurzyńscy prócz Kurzyny także razem chodzą) wyprawiono Wolskiego z Boguszem na przechadzkę. Ledwo się szlachcic rozgadał, wpada pałkarz i wyprasza Wolskiego do kaźni. Ależ mój kochany, ja dopiero wyszedłem. Taki jest befel, panu nie wolno z tym panem chodzić, pan pójdzie później na spacer. A dla czegoż mnie nie wolno z tym panem chodzić? Bo on należy do jednego z panem procesu. Tu wypadła fajka

z ust Wolskiemu, obstupui et vox in faucibus haesit... W kilka dni potem, gdym się z nim zeszedł per nefas, on bowiem chodził po pasiece, a ja po dziedzincu, a że znajomy był pałkarz, więc nie bronił, że Wolski do mnie przeszedł; nie mógł biedaczysko jeszcze przyjść do siebie. Opowiadając to, zdejmował co chwila czapkę i tął się po łysinie; ja tu oszaleję, ja tu oszaleję... Haller w jednym zemną procesie. Bogusz w jednym zemną procesie, niech mnie piorun, jeśliż znał przedtem jednego lub drugiego. Panie Komorniku (a po każdym sensie gasła mu fajka, a wiatr gasił zapałkę, którą chciał rozniecić znicza w fajce). Panie Komorniku, czy oni mnie chcą zmysłów pozbawić? ja do jednego procesu z Hallerem... z Boguszem. W imię Ojca... a niech mnie piorun, czy poszaleli... nie to łajdactwo jakieś!... mówię panu wierutne łajdactwo!

Ledwież zdołał uspokoić pocziwca, tłumacząc mu tutejszy spacerowy proceder i znaczenie należenia do jakiegoś procesu; uspakajając oraz, że co do Hallera była zapewne tylko myłka ze strony pałkarza. Ot, i w kozie można się ubawić.

Co dzień nowi przybywają więźniowie, — jednych wypuszczają po odsiedzeniu kilkudziejnej kary, lub odwożą na cytadelę po skończonem śledztwie, a innych przywożą z cytadeli lub świeżo schwytanych. Są tu wszystkie stany: Książę, hrabiowie, baron, szlachta, rządcy, ekonomowie, leśniczowie, rzemieślnicy wszelkiego rodzaju, lokaje, kucharz, eksurzędnicy, kilku furmanów; są tu Polacy, Węgry, Czechy, quasi Turcy, Żydzi, ale żydzi prawdziwi z pejsami — są ślepi i kulawi, są starcy o białych jak śnieg włosach i dzieci ze szkół normalnych.

Ah, ileżto nieobrachowanych produkcyjnych sił drzemie, jak iskra ukryta w krzemieniu, w niższych naszych, upośledzonych dotychczas warstwach narodu; trzeba się tylko umieć zbliżyć do tej naszej czeladzi rzemieślniczej, ośmielić ją by się rozgadała... Ślepy traf wydobywa z tych warstw od czasu do czasu, jaką jednostkę na wierzch i wydaje takich uczonych, jak Arago, takich wojowników jak Massena, takich poetów jak Beranger, — ale cała olbrzymia suma zdolności marnieje w masach, a fałszywe pojęcia o społecznym rozwoju spożytkować jej nie dają. Podać rękę tym wydziedziczonym masom ludzi i po-

dnieść je do godności człowieczej, przyznać im równe prawo do światła i szczęścia, rozpędzić otaczające je ciemności, nieodłączane od nich nędzę i poniżenie, rozbudzić wyższe poczucia, wznioślejsze i świętsze pragnienia, rozwinąć drzemiące w nich iskry, ukryte zdolności i talenta, i tym sposobem urzeczywistnić wielką ideę Braterstwa, jakażto zaszczytna praca, jakaż święta walka, jakie chlubne i czyste zwycięstwo!

Gdzieś czytałem, że wielki smutek budzi w ludziach iskrę poezyi; — byłem i ja nieraz w wielkim smutku, zdarzało się żem czasem zapłakał, lecz nigdy nie śpiewał ze smutku, ani rymował. A teraz z nudów zostałem poetą i to epicznym. Zamojski ma buldoga, któremu się oczywiście nudzi; z nudów zapoznał się z loszką Mukowicza, która sobie buja po dziedzincu. Jak dobrze wychowany pies, Box nie tylko nie czynił jej tych przykrości, jakie każdy pies, a szczególnie buldog zwykł wyrządzać bezrogim, ale żartobliwem nadszczekiwaniami i nadszkakiwaniami ośmielił tak loszkę, że się z nim bawiła, jak gdyby jej był równym. Lecz dobrze to mówią, wpuść świnie do sieni, ona ci wlezie do pokoju, loszka nawet zaczęła nadużywać grzeczności Boxa i nie raz ku wielkiemu powstańców zadowoleniu bodła go ryjem, a biedny Box ustępował z drogi, a nawet umykał, podczas gdy rozzechwalona loszka zakręciwszy na kształt trąbki pocztarskiej ogonek, gonila za nim wydając głos radośny. Szczególniej, gdy który więzień rzucił Boxowi z okna kawałek bułki, loszka mu go odbijała i zawstydzonego z dziedzinca wyganiała. Sprzykrzyło się to Boxowi i jednego pięknego poranku wyszedł sobie za bramę odpowiedniejszego szukać towarzystwa, i nie wrócił. Dopiero nazajutrz przyprowadzono Boxa na sznurku, a Zamojski za karę zamknął na cały dzień w kaźni. Otóż Boxa tego, zważywszy dawniejsze jeszcze jego koleje życia, obrałem na bohatera mego poematu, w którym tenże w siedmiu pieśniach opisał przygody swoje, a który dedykował Zamojskiemu w następujący sposób: Jaśnie Wielmożnemu Hrabi Zamojskiemu, — ten muzy swój plód, — w szacunku dowód — ofiaruje Box, więzień stanu. W skutek tej pracy Box został fotografowany!

Pan Trompeter nie złe robi interesa w kozie. Wygrał już jak słyszę, przeszło tysiąc reńskich od Zamojskiego; wprawdzie Zamojski odbił się na Semetkowskim na paręset reńskich, lecz Semetkowski gra na kredkę, a niemając tyle centów w swym majątku ile przegrał guldenów, prawdopodobnie nie zapłaci. Dziwi mnie tylko, że Sapieha nie tylko to toleruje, ale nawet grywa z nimi i chwali się tem, że sobie tu co dzień przynajmniej tyle wygrywa, ile na cygara potrzebuje. Wolno panu Zamojskiemu zresztą grać grę wysoką, jeśli dla swych pieniędzy nie widzi lepszej lokacyi, jak w pularesie Trompetra, — ale takiemu chudeuszowi, jak Semetkowski, wara od takiej zabawy, bo jeśli nie skończy gorzej, to pewnie na tem, że długu nie będzie mógł zapłacić; dług z kąd kolwiek pochodzi jest długiem, a kto długu nie płaci jest nieuczciwym, jeśli zaciągał dług nie mając funduszu na jego spłatę, również jak mając fundusz, nie chce płacić.

Wogóle pan Semetkowski, tak zachwalany przez Dobrzańskiego nie prowadzi się tak jakby należało. Chłop jak dąb, zamiast wziąć za karabin, bawił się w kurjera, dostawszy się za to do kozy, zgrywa się nie mając szeląga, a kiedyśtu tak się spił, że Jasińskiego nożem pokaleczył i trzeba było przywołać kerkermajstra dla zrobienia porządku. Cóż się dziwić prostym powstańcom, jeśli doktorand praw tak się sprawuje?

Radość w karmelitach, popłoch w sądzie. Kurzyną uciekł w biały dzień, przed nosem pałkarza. Pan Pohlberg chcąc zapobiedz ucieczce z pasieki, kazał pod parkanem od kowala, postawić budkę dla żołnierza; otóż ta budka ułatwiła Kurzynie ucieczkę. Niezgrabiarz nie mógł się wygramolić chociaż dwie deski wyjęto z parkanu, musiano go wyciągnąć z zewnątrz, a z wewnątrz wypychać; to zdradziło miejsce ucieczki. Biedny Milowicz! on to dla siebie przygotował tę ucieczkę, lecz Kurzyną naparł się uciekać, przyrzekając, że to tak zręcznie robi, iż Milowicz przez to samo miejsce będzie mógł zanim uciec. Przepadło! tędy już nikt nie ucieknie. U kowala komisya kryminalna; prawdopodobnie zamkną jego syna i może jeszcze kogo z czeladzi, bo dziewczka śpiewała... Niech Bóg pomaga panu Kurzynie, jeśli tego wart; mnie by się zdawało, że dla sprawy polskiej nie wielką było stratą, że Kurzyną w kozie siedział.

Wzdychał on już dawno do wolności, by wziąć lejce rządu narodowego w ręce i teraz podobno dlatego napał się uciekać, że nań przyjaciel jego pan Chmieliński, umyślnie tu po to z Warszawy przybyły, nalegał. Wkrótce więc usłyszymy może o nowym Rządzie...

Ucieczka Kurzyny wyszła na dobre spółnikom Czarneckiego, wypuszczono ich wszystkich z braku istoty czynu, został tylko sam prezes komitetu, wojewoda Czarnecki. Ot gdyby Wasilewski chciał drapnąć, możeby i nas puszczone.

Kuczyński miał otrzymać wyrok śmierci, przez organizację rządu narodowego nań wydany; jeśli to prawda, to zdaje się być sprawką Chmielińskiego. Czy ten wyrok wpłynął na wypuszczenie Mierosławczyków? czy też rząd umyślnie ich puszcza na świat, aby wichrząc utrudniali czynności organizacyi? Czy też sąd ma w ogóle polecenie nie brać tych procesów na seryo.

Kuczyński nie żyje. Około w pół do jedenastej w nocy, gdy już leżałem w łóżku, zapukał pałkarz do wizyterki, a gdy przystąpiwszy do drzwi zapytałem: czego by chciał o tak późnej porze, rzekł, widocznie uradowany: „Pana Kuczyńskiego zabito sztyletem na śmierć“ — i odszedł. Byłoby to spełnienie owego wyroku o którym mówiono? Ależ Kurzyna uciekła, a współnicy Czarneckiego właśnie wczoraj przez tegoż Kuczyńskiego na wolność puszczeni! Kuczyński wiedział wiele, ale nie robił użytku z tego, co prywatnie wiedział. Niedawno wypuścił z braku istoty czynu Engeströma, którego teka znaleziona u Sapiehy, podczas rewizyi u niego odbytej, wystarczała do skondemnowania dziesięciu Engeströmów. Wypuścił Marcelego hr. Krasińskiego, wypuścił Borkowskiego i Golejewskiego, wypuścił nareszcie Mierosławczyków, słowem nie wydał ani jednego skazującego wyroku, chociaż wiedział o wszystkim. Czy dlatego został sprząnięty, że tak dużo wiedział? A cóż zasłużył ten od którego się to Kuczyński po największej części podowiadwał? Jest to czyn na wszelki wypadek głupi; Kuczyński był narzędziem, odbywał śledztwa z tymi, których mu oddano; jeśli chciano rzucać popłoch między tych, którzy przeszkadzali organizacyi powstańczej, to trzeba było gdzieindziej ugodzić...

Helena  
Przed kilku dniami zaręczył Helence, że ja najdalej w połowie listopada wolnym będę. Tęż nastąpi zwłoka z powodu objęcia referatu przez innego radcę, nim się nowy referent zorientuje, to nowy rok nadzieje, a pytanie jak się będzie zapatrzył na tę sprawę. Ot, źle się stało!

Znowu rząd wyznaczył wsparcie na budowlę cerkwi unickiej w Galicyi, jakby ich nie dosyć było. O podobnej względem kościołów łacińskich hojności nigdy nie słyszałem. A przecież przy równej prawie liczbie łacińników i unitów w Galicyi (2.065.414 rz. k. 2.095.729 gr. k.) jest łacińskich probostw wliczywszy już ormiańskie 789 i 56 kapelanii, podczas gdy Unicy mają probostw 1418 i 422 kapelanii, a więc dwa razy tyle co łacińscy.

I nie na tem jednym polu daje się u nas spostrzedz rzadowa protekcya rusinów, rząd im pomaga do wybudowania „domu narodowego“, do rozpowszechnienia między ludem „Słowa“, tworzy na wydziale prawniczym dla kilku rusinów uczęszczających na Wszechnicę dwie katedry ruskie, podczas gdy paręset Polaków słuchających prawa nie mają ani jednej polskiej katedry... A dlaczego to rząd tak postępuje? Otóż widzi w nich podporę tronu i porządku! Smutna to rzecz jeśli tron i porządek publiczny potrzebują szukać innej podpory nad pomyślność ogólną i sprawiedliwość bezwarunkową. Gdzie władza istnieje dla narodu a nie naród dla władzy, tam jej potęga opiera się na wszystkich stanach i wyznaniach; gdzie zaś wspierać musi podstępnie jednych, aby niemi utrzymać w karności drugich, tam już jest niemoc w mechanizmie rządowym i rozprężenie w społeczeństwie...

Wrócił tedy nareszcie pan Stenzel z komisji śledczej; nie spieszył się, bo siedział siedm przeszło tygodni; lecz dlaczego miał się spieszyć, kiedy prócz pensyi pobiera podczas komisjowania dyety? Że kilkadziesiąt więźni siedzi tymczasem „provizorycznie“ w więzieniu, a cóż to szkodzi? „das wird Ihnen eingerechnet werden“, rzekł pan Pohlberg, gdym się żalił, że już czwarty miesiąc siedzę bez śledztwa. Jakto cingerechnet? więc jestem już z góry przeznaczony na skazanie, bo inaczej o „wrachoowaniu“ mowy być nie mogłoby...

Pan Stenzel ma objąć część referatu Kuczyńskiego, prócz tego podziela się tym referatem: Semkowicz z Sambora, Jorkasz ze Stanisławowa i Bechel exaudytor. Omnes meliores... Ci przynajmniej po polsku umieją, ale Stenzel i tej nie posiada własności: opowiadają o nim, że podczas jakiejś rozprawy ostatecznej w Samborze, gdy już się miało ku zakończeniu, zażądał aby jeszcze przesłuchano: den Harmider. Obżałowany odpowiadając na jakieś pytanie prezydującego rzekł: był harmider, więc nie słyszałem; otóż Pan Stenzel sądził, że przy tej awanturze był ktoś nazywający się Harmider i żądał by go przesłuchano jako świadka... Si non e vero, e ben trovato. Pocieszną też rzecz donoszono o Stenzlu Gruszeckiemu z okazji komisji śledczej, którą Stenzel w Oczaciu odbywał. Przesłuchiwał dziewczkę Gruszeckiego, pytał gdzie Gruszecki jeździł pewnego dnia i kiedy wrócił do domu. Dziewka odpowiedziała, że nie wie dokąd jeździł, lecz wrócił w nocy. Na to Stenzel zapytał ją dalej: A co pan robił z panią w nocy gdy wrócił? a dziewczka spuściwszy oczy odrzekła: ta deż ja tam znaju? wstydałybyście sia!

Zamierzamy excypować Stenzla, jako nie umiejącego po polsku; czy nam się to uda i czy dobrze na tem wyjdziemy jeśli się uda — to pytanie? Sapięha tę sprawę poruży przy pierwszej wizycie. Gruszecki napisał do domu, by mu szczegółowo doniesiono o komisji w jego domu odbytej; donoszono mu bowiem, że gdy furman zapytany: czy pan jego wiózł broń, odpowiedział stanowczo: „Nie“. Stenzel do protokołu napisał: „nie wiem“ i mimo protestacyi furmana, wyrazu tego nie zmienił, perswadując mu, że to „szycko jedno“.

Więzienia przepelnione; zagarnięto całą komisję ekspedycyjną i komendę miejską. Pan Mensdorff zaczyna brać rzeczy na seryo; czyli raczej pozwolono mu teraz iść za popędem serca.

Alians Zachodu z Austryą zrobił fiasco i Gorczaków nie złął się not dyplomatycznych przeciw Rosyi w sprawie polskiej aż trzema zawodami wyselanymi i odpowiedział jak rodowity Moskał po grubiańsku. Odpowiedź tę schowała Austrya prawdopodobnie z utajoną radością, Anglia powiedziała God damn! i pozwala Moskałom dalej palić i rabować Polskę. Cesarz francuzów zaś otwierając ciało prawodawcze zapowiedział kongres

monarchów dla uregulowania nie bardzo pocieszających stosunków Europy i na tem koniec. Ale co gorsza, powstanie upada widocznie. Na Litwie go już nie ma, zabrane kraje zerwały się i od czasu jak Różycki wpadł ze swymi „Mołojcami“ do Galicyi, nie ruszają się; w Kongresówce niknie jeden oddział za drugim a nasze wyprawy do których się pan Różycki od lipca przygotowywał, wypadły jak najhaniebniej: oddziały Rochbruna, Aladara, Sienkiewicza i Komorowskiego nareszcie wyprawione na granicę lubelską, wskutek zwady między Krukiem i Sienkiewiczem, rozprószyły się na samej granicy, a sformowany z resztek oddział, który pod wodzą Komorowskiego zamiast w Lubelskie poszedł na Wołyń, doszedłszy do Porycka wrócił do Galicyi, nie widziawszy nawet Moskali. Jedni składają winę na drugich: dowódcy na żołnierzy, a ci na dowódców. Mamy tu uciekinierów ze wszystkich tych oddziałów: najhardziejsi są z oddziału Aladara. „A w oddziale Aladara sama dzielna była wiara“, grzmi od rana do wieczora. Ze żołnierze trzymanii beczynninie po dworach przez kilka miesięcy musieli się zdemoralizować, to zdaje się być więcej niż pewną, ale i dowódcy nie są bez winy. Najprzód pan Różycki, jako wódz naczelny, mógłby pofatygować się na granicę, wysyłając tysiąc kilkuset ludzi przytomność jego byłaby przeszkodziła zajściu fatalnemu, które było powodem rozproszenia się tych oddziałów, również jak nieszczęsnej wyprawie Komorowskiego pod Poryck. Pan Różycki wolał zaś siedzieć w Horodyszczach przy ciepłej wdówe. A potem komuż to powierzył Różycki owe cztery oddziały, najpiękniejsze i najlepiej uzbrojone ze wszystkich, które Galicya wystawiła. Rochebrunowi, byłemu podoficerowi francuskiemu, który jako oficer dał wprawdzie pod Grochowiskami dowód niepospolitej brawury, lecz większe daleko potem złożył dowody lekkości charakteru, a nawet nieuczciwości. Otrzymałszy bowiem od komitetu krakowskiego 100.000 złp. na sprowadzenie ochotników a szczególnie podoficerów z Francyi, sprowadził natomiast kilkadziesiąt łokci wstążek, mających służyć do odznaczenia szarż; z reszty pieniędzy nie zdał rachunku. Dość zresztą było przeczytać warunki (przez Jasińskiego z Paryża, po rozbiciu Langiewicza nadesłane), pod którymi ofiarował się dowodzić oddziałem, by człowieka tego ocenić. Nie wiem czy śmiechu, czy gniewu



więcej było warte to pismo; żądał nie mniej nie więcej jak:  
1) funduszu pieniężnego 20 milionów, które jak twierdził we Francji pożyczyć było można; 2) 10.000 karabinów, które także z Francji sprowadzić wypadało; 3) magazynów zapaśnej broni, amunicji i przyborów, wzdłuż granicy; 4) pod swoje osobiste dowództwo korpus pięćtyśięczny... Głupi francuz, dodał jako 5) warunek utworzenie orderu wojskowego, którego rysunek załączył, tudzież funduszu emerytalnego dla kalek i wdów wojskowych. Otóż temu francuzowi poruczył pan Różycki jeden oddział, ponieważ pani Chwalibogowa widziała w Rochebrunie zbawcę Polski. Drugim oddziałem dowodzić miał Sienkiewicz, który będąc szefem sztabu Horodyńskiego, gdy tenże padł, nie miał nic pilniejszego do zrobienia, jak schować się w szuwar, w którym do wieczora przechował się. A pan Aladar, młody Węgier, który jako ochotnik był pod Wysockim pod Radziwiłłowem i miał się odznaczyć zimną krwią z jaką rejterował; za to pani Jazwińska zrobiła go dowódcą. Komorowski nareszcie pocziwy z gruntu, odważny, lecz słabiutka bardzo głowa, dobry na adjutanta przy dowodzącym, ale nie na dowódcę; co każdy kto znał go choć trochę, mógł snadno osądzić, tylko nie pan Różycki..

Po tej katastrofie opuścili wszyscy ręce, obywatelstwo usuwa się od organizacyi, która poszedłszy pod rozkazy „Wydziału rządu Narodowego dla Galicyi“, przybrała cechę zupełnie odmienną od dawniejszej, cechę czysto biurokratyczną; namnożyło się urzędników cywilnych i wojskowych, administracyjnych, sądowych, policyjnych, że prawie nie ma kogo posłać do boju, bo większa część ludzi zdolnych do broni piastuje urzędy; wpływa też coraz mniej pieniędzy, bo niemi szafują ludzie nieznanzi krajowi, a szafują przedewszystkiem na koszt administracyi. Czy w takim składzie rzeczy pan Różycki wyjdzie z oddziałami, którymi sam miał dowodzić? Zdaje się, że nie. Będą więc zimować w Galicyi, a na wiosnę, jeśli przez zimę utrzyma się powstanie w Kongresówce, nie wiele będzie pociechy z tych uciekinierów; zdemoralizują się do reszty na zimowych leżach, jeżeli ich nie wyłowią Austriacy.

Uciekł Milowicz, ale jak uciekł? W nocy z kaźni, za pomocą dozorczy, który stał na warcie, dorobionym kluczem otwo-

rzył kłódki, schował Mil. w tranzecie, a zostawszy zluzowanym, wyprowadził go przebranego także jak dozorca, za bramę. W sądzie rejmach, wszystkich dozorców, którzy przez noc stali na warcie, wzięto pod śledztwo. Najgorzej wyszedł poczciwy Myczkowski. Napił się i zapomniał oddać klucze więzienne kerkermajstrowi, jak to jest przepisaniem; nadto znaleziono te klucze rano na poduszce obok śpiącego Myczkowskiego, widocznie ukartował to winowajca, aby podejrzenie rzucić na Myczkowskiego, który istotnie jest niewinnym. Suspendowano go, biedny starowina miał jeszcze tylko jedynaście miesięcy służyć, by otrzymać emeryturę.

Czy tylko zdoła Milowicz wydobyć się za roгатki, jeśli jeszcze jest we Lwowie. Tym razem Pohlberg miał rzecz wziąć na seryo, bo tu idzie o sprawę Rogawskiego, która wytoczona przed Radę Państwa tyle hałasu narobiła. Między powstańcami wielka radość z powodu tej ucieczki, szewc jednooki, uciekinier zawołany i poeta, ten sam który ułożył pieśń na cześć Aladarrowego oddziału, skomponował kilka strof na cześć tej ucieczki, które powstańckie śpiewają cały dzień na tę samą nutę co pieśń o Aladarze, na nutę zwaną: Częstochowską, czyli dzia-dowską.

„Wenn es dem Esel gut geht, so geht er auf's Eis tanzen“  
Dawali nam tu więcej swobody, niż podług instrukcji więziennej nam się należało. Wpadliśmy więc na concept iluminowania Karmelitów na pamiątkę powstania Listopadowego. Oryginalna to niezawodnie myśl: powstańcy osadzeni w więzieniu, obchodzą rocznicę powstania Listopadowego iluminacją więzienia. Lecz na tem też koniec. Iluminacyi tej nikt nie widział prócz wart chodzących po pod okna; wrażenia więc na mieszkańców nie zrobiła, natomiast zrobiła wrażenie na pana Pohlberga. Chodził zaperzony od kaźni do kaźni i gasił światła, w kilku kaźniach podochoceni powstańcy nie chcieli usłuchać, przyszło do kłótni gorszących, kilku nawet poszturkano kolbami. Dziś wszyscy pod kluczem, nawet nas na spacer nie puszczają. A mówiliśmy że tak się skończy, lecz nie słuchano. Że młodzieży concept iluminacyi podobał się, to rzecz naturalna; ale byli i starsi, którym się w głowie paliło. Niewiadomski, gospo-

darz terazniejszy, po wzięciu dymisyi przez Hetmana, mógł był temu zapobiedz najłatwiej, nie kupując świec z kasy składkowej. Lecz on był najwścieklejszym propagatorem tej myśli, — dziś ze zgryzoty, że historia ta tak brzydko się skończyła, strąbił się i psy wiesz na tych, którzy nie iluminowali swych okien, przypisując tym winę całego zajścia. Piękna loika, nie ma co mówić, ależ po pijanemu trudno loicznemu rozprawiać. Trzeba koniecznie Niewiadomskiego złożyć z urzędu gospodarza, bo się rozpije. Uciekinierya narzekala na Hetmana, że ich źle traktował, Niewiadomski więc sam chodzi od kaźni do kaźni z butlem wódki i traktuje dobrze ich i siebie, nie ma dnia żeby nie był podchmielony.

Jeśli kto niezdatny na medyum duchowe, to sędzia. Tak ja sądzę, przypuszczając rozumie się, że istnieją medya, przez które duchy obcuja ze śmiertelnikami na tym padole płaczu mieszkającymi. Tymczasem rzecz się ma inaczej, duchy obrały sobie sędziego za medyum. Wasilewski opowiada tyle zabawnych o tem rzeczy, że gotów jestem zwabić to medyum do siebie, tylko że medyum to, t. j. sędzia daje się wabić tylko jadłem lub napitkiem, a zwabione raz, nabiera nałogu powracania ciągle. Wasilewskiemu osłabionemu więzieniem polecił lekarz, by jadał drugie śniadanie i to mięsne. Przeselała mu więc codzień przed obiadem bifstek. Razu jednego, znajdował się u niego sędzia, gdy przyniesiono to śniadanie, Wasilewski podzielił się niem z sędzią i odtąd sędzia jest codziennym gościem Wasilewskiego w porze bifstekowej. W takich to chwilach trzyma Wasilewskiemu i Zukrowi, z nim mieszkającemu, prelekcye o spirytyzmie, a mimo że Zuker drwi z niego niełitościwie, nie odstręcza go to ani od przychodzenia na śniadanie, ani od duchomanii. Otóż duchy były objawiły sędziemu, że 15. października będziemy wszyscy wolni i tak silnie o tem był przekonany, że pozakładał się o kilka sztuk regaliów. Październik minął, a nas nie wypuszczono, sędzia więc poprzegrywał zakłady, lecz nie płaci, tłumacząc się, że to duchy właściwie przegrały. Nie osłabiło to także wiary w jego spirytyzm, bo gdy znowu mu duchy objawiły, że pan Bonaparte do 1. Stycznia 1864 zginie, a na ziemi polskiej będzie istniało wojsko narodowe, regularne, pozakładał

się na nowo o regalia. Jeśli przegra, to znowu nas odeszle do duchów po cygara, dla tego Sapieha dał się słyszeć, że jeśli mu tym razem nie zapłaci zakładu, to mu przestanie dawać jeść. Otóż zdaje się, że jakiś duch doniósł o tem sędziemu, bo dziś Sapieha dostał pudełko regaliów od sędziego, które mu tenże był winien z zakładu październikowego... Wyciągano go kilka razy na próbe, by przy świadkach ducha jakiego wywołał; lecz odmawia, zarzucając niedowiarstwo, duchy bowiem obcuja tylko z tymi, którzy w spirytyzm wierzą... Stare to rzeczy, wszakże i cuda pokazują się tylko tym, którzy w cuda wierzą. Nie wiedziałem, że pocziwy Poniński należy także do sekty duchomanów, nie uważa się wszakże za medyum, jest prostym wierzącym. W domu jego bawi jakaś francuska, która obcuje z duchami, a Ponińskiemu udziela listownie objawień, które od duchów otrzymuje. Czytał mi ustęp z jednego takiego listu: są to elukubracye metafizyczne, do których napisania bynajmniej nie potrzeba pomocy duchów, u Hegla są tysiąc razy niezrozumialsze rzeczy.

Stenzel rozpoczął dzieło wypróżniania Karmelitów, puścił po krótkiem przesłuchaniu Jaworskiego, Gruszeckiego i Wolskiego na wolność, aż do dalszego śledztwa. Za nim w ślad poszedł Semkowicz i wypuścił Zamojskiego i Ponińskiego, Sapiehę obiecał puścić jeszcze przed wilią Bożego Narodzenia. Upomniałem się więc, by się do mnie wzięli. W skutek tego byłem dziś przy śledztwie u Stenzla. Śledztwo było ogólne i trwało bardzo krótko, pytał się bowiem tylko o to, czy byłem w Środopolcach i czy padał deszcz gdy mnie na Wygodzie przytrzymał Fapavizza, tudzież o której to się stało godzinie. Po podpisaniu protokołu pytałem go, czy mogę teraz mieć nadzieję, być puszczonym za kaucyą, kiedy moich współwinnych powypuszczano bez kaucyi, a śledztwo na miejscu już dawno ukończone. Odrzekł, że to od apelacyi będzie zależeć, że on nie jest złym człowiekiem, żebym więc podał prośbę o wypuszczenie za kaucyą, a przed końcem tego miesiąca, t. j. grudnia mogę być wolnym. Biedna Helenka, gdym jej to po obiedzie podczas wizyty oznajmił, aż się rozplakała z radości. Wierzę że jej przykro samej, tak całkiem samej, bo i dom Smolków gdzieby mogła być mieć jakąś rozrywkę, od czasu owego wypadku Smolki, nie może ją

pocieszyć, sam potrzebując pociechy, Smolka bowiem ciągle chory, o życie już nie ma obawy, lecz co się stanie z umysłem? Biedne dzieci!

Ah jakżeż gracko uciekł Bogusz! nie skompromitował nikogo prócz Pohlberga. Wkrótce po ucieczce Milowicza wyniósł się do Brygidek do szpitala, z przedsięwzięciem umknienia ztamtąd i dokonał swego, w sposób bardzo dowcipny. Zgłasza się do Jakubowicza, fizyka więziń, że chciałby wrócić do Karmelitów, mając się już lepiej. Fizyk oświadcza, że nie ma nic przeciw temu i robi relację do sądu; w parę godzin potem przyjeżdża dozorca więźni fiakrem, z pismem od Pohlberga do verwaltera Brygidek, by Bogusza przysłał do śledztwa. Verwalter zapytuje fizyka, czy Bogusza stan zdrowia pozwala na to, by jechał do Karmelitów, a otrzymawszy odpowiedź, że Bogusz jest zdrow i że właśnie pisze się relacja do sądu, by go sobie odebrał ze szpitala, wydaje Bogusza onemu dozorczy, który poniego fiakrem przyjechał. Koło południa fizyk posyła do sądu relację, że Bogusz jest zdrow i może być wzięty ze szpitala. Pohlberg posyła więc po Bogusza do Brygidek. Można sobie wyobrazić zdziwienie verwaltera, który nie dawno wydał Bogusza wskutek pisma Pohlberga, a teraz ma go powtórnie wydać. Nieprzypuszczając wszakże nic innego, jak tylko nieporozumienie, bierze do kieszeni pierwsze pismo Pohlberga i jedzie do sądu. Tu przyszła na Pohlberga kolej zdziwienia: on bowiem nie posyłał po Bogusza pierwszym razem, a przecież kartka była przez niego podpisana, co najgłówniejsze zaś, Bogusza nie przywieziono do Karmelitów. Nie tylko więc podpis Pohlberga był do niepoznania naśladowany, ale i ów dozorca fałszywy musiał swą rolę dobrze odegrać. Zamiast do Karmelitów, Bogusz pojechał za roгатkę, zostawiwszy gdzieś po drodze dozorcę więźni.

Nielada to gracz ten pan Bogusz, nie darmo zostawił swą schedę w Paryżu. Mały, niepokazny, w skutek dłuższego pobytu we Francji mówiący przez nos, gra wyśmienicie w karty, strzela wybornie i kapitalnie robi pałaszem, pewny siebie do tego stopnia, że nie bywszy nigdy wojskowym, podjął się być szefem sztabu przy Miniewskim, zresztą istny ulicznik paryzki. Jeszcze

przed wyprawą Miniewskiego, gdy w Krakowie bawił za kupnem broni, która przyszedłszy nie wiedzieć dla czego do Starego Sioła, znikła ztamtąd, nie wiedzieć jakim sposobem, — osadzono go tam pod Telegrafem. Tam obstalowuje sobie u krawca suknie i tak się zdarza, że gdy doń wszedł dozorca tego więzienia z kerkermajstrem więzień na Zamku, przybyłym by Bogusza na Zamek zabrać, przybył także krawiec z sukniemi. Bogusz prosi przytomnych kerkermajstrów, by mu pozwolili jeszcze tu spróbować suknie, na co ci przystają. Bogusz wdziawszy na się nowe suknie zaczyna wymyślać, przychodzi do kłótni z krawcem, którego Bogusz nazywa złodziejem, a gdy ten na to się oburza, bierze go za kark i wyrzuca go za drzwi tak silnie, że razem z nim wyleciał za drzwi, które, puściwszy krawca, zatrzasnął na klucz i wydarłszy krawcowi kapelusz poszedł sobie najspokojniej na ulicę, podczas gdy obydwaj kerkermajstry zamknięci, na próżno wołali na gwałt, gdyż okno więzienne wychodziło na przeciwny dziedziniec. Jaka rolę tu grał krawiec, mniejsza o to, pomysł i wykonanie ucieczki zostaną zawsze jenialne.

Gniewa to Sapiehę, że mam zawsze jednaki humor, podczas gdy on i inni koledzy, raz są weseli aż do rozpusty, drugi raz kwaśni, to znów źli, albo upadli na duchu. Mój ty paniczu, spokój duszy, panowanie nad sobą, nie idzie rodem, tak jak mała ręka i noga. Pierwsze jest wynikiem zadowolenia dobrego sumienia, drugie skutkiem wychowania woli w zapasach z życiem. Arystokracja rodowa wydaje dusze delikatne, rafinowane, choro-  
rowite; prawdziwym człowiekiem jest człowiek, który się wzniosł  
pracą i cnotą. Kto się nie pasował z życiem, ten nie wie co on może i co on wart, ten nie jest zdolnym panować nad sobą, a więc nie zdolnym panować nad innymi. Panowanie świata należy do perweniuszów, Mości książę!

---

## Rok 1864.

Pan Pohlberg winszując Helence, nowego roku, zapewnił ją, że za ośm dni będę w domu. Już dziesięć dni minęło, a ja jeszcze tutaj i zdaje się, że tak prędko nie wyjadę. Skwalifikowano mnie do śledztwa specjalnego; Stenzel „choć to nie wolno“ pozwolił mi przeczytać referat. Jestem obwiniony iż byłem „vorzüglich thätig“ przy — organizacyi oddziału Miniewskiego, że dawałem polecenie Jaworskiemu wyszukania brodu przez Styr, że w Środopolcach dałem rozkaz oficerom Miniewskiego udania się do obozu, że jechałem w nocy wśród nawałnicy do obozu, wioząc żywność dla powstańców; — wszystkie te okoliczności przyjęte jako pewniki, ponieważ zgadzają się z raportem Wasilewskiego; nota bene o raporcie Wasilewskiego dotąd mi nie wspomniano nic. Przy końcu referatu znajduje się argument, najcięższego kalibru: byłem już sądzony o zbrodnię stanu w 1841—1845, i według własnego (?) zeznania byłem „wegen Theilnahme an hochverrätherischen Umtrieben“ na wygnanie posłany, w r. 1849; ergo nie podlega wątpliwości, że wspierałem bardzo czynnie powstanie przeciw Rosyji. Nie pojmują tej loiki: dlatego, że przed dwudziestu kilku laty popełniłem zbrodnię stanu przeciw Austryi, więc nie podlega wątpliwości, że ją teraz popełniłem przeciw Rosyi, lecz nie pierwszy to raz zdarzyło mi się spostrzegać, że urzędnicy austr. mają zupełnie odrębną loikę. Nie spodziewałem się zaś, by w r. 1864, przy istnieniu jawności podczas ostatecznej rozprawy, sąd mógł sobie pozwolić pisać kłamstwa, które z aktów udowodnione być mogą. Zapytany przez Kuczyńskiego znającego moją biografią: dlaczego w r. 1849 byłem wywieziony do Tyrolu — odpowiedziałem, że tego dotąd nie wiem, ponieważ zostałem wywieziony bez wyroku, a nawet bez poprzedniego ze mną śledztwa, zaś ministerstwo sprawiedliwości na wystosowane doń z Meran

Helence

w sierpniu 1849 w tym względzie memorandum, dotąd mi dłużnym odpowiedzi. I to pan Stenzel, a z nim sąd, bo przecież sprawa moja była na sessyi, uważają za przyznanie z mej strony, iż byłem posłany na wygnanie „wegen Theilnahme an hochverrättherischen Umtrieben“. Zwróciłem na to uwagę p. Stenzla, również jak i na to, że w motywach uchwały kwalifikującej mnie do śledztwa specjalnego, a więc zamieniającej dotychczasowy prowizoryczny areszt na więzienie śledcze — przyjęto za rzecz pewną, co wcale nie jest pewnem. Stenzel składał się, że „to wszystko tylko tak“ i że przy śledztwie specjalnem, będę mógł się wytłumaczyć; teraz zaś radził wnieść rekurs od tej uchwały i równocześnie ponowić prośbę o wypuszczenie na wolną stopę, — co też uczyniłem.

Podłe to całe sądownictwo austryackie. To odwieczna zasada, quilibet censendus bonus, donec probatus malus — praktykuje się odwrotnie, a zadaniem sędziego nie jest wymiar sprawiedliwości dla obżałowanego, lecz skazanie go coüte que coüte; tu nie ścigają zbrodni, lecz człowieka; biada też jeśli się w ręce sądu dostanie, tak zwany polityczny zbrodniarz, zwłaszcza jeśli był już przedtem zapisany w czarnej księdze policyi. A i w ogólności jakaż u nas niegodna rola oskarżyciela sądowego!

Chrystus potępił tylko złe, ale złych ludzi lepszymi chciał uczynić. To też i sprawiedliwość ludzka czyli sądy, powinny ścigać zbrodnię, a nie człowieka, śledztwo karne nie powinno być karą, lecz poszukiwaniem prawdy.

Prokurator nie powinien mieć prawa dręczyć obżałowanego słowami, by tym sposobem wymódził skazanie jego, jak to się zwykle dzieje w Austrii. Nie powinno mu być wolno tłumaczyć postawę obżałowanego, jego gesta lub ton mowy, by ztąd wnosić o jego winie. Gdy bowiem wolno jest odnosić się do tych zwodniczych oznak, które namiętność może tłomaczyć, podług widzimisie swego, któż wtedy będzie bezpiecznym? Obżałowany milczy: to zgryzota go przygniata, — milczenie jest przyznaniem się do winy. Obżałowany zaprzecza spokojnie: to bezwstydnosc, a bezwstydnosc to nieodłączna towarzyszka zbrodni. Obżałowany uniósł się gniewem: to beczelność i zuchwalosc, obrażająca sąd, a obraża tylko ten, co się do winy po-



czuwa. Słabość, energia, pokora, duma, łzy, gniew, wszystko jest przyznaniem się dla uprzedzonego. A pytam się: czy umiejętność zgodziła się już na fizyczne oznaki cnoty lub występku? Jeśli umiejętność zrealizuje marzenia Lawatera, wtedy będzie wolno z miny skazywać ludzi; póki zaś to nie nastąpi, należy zwodniczą i niebezpieczną tę sztukę zostawić wróżkom. Sądownictwo nie powinno znać tylko faktu, rozpoznawać tylko faktu i tylko na podstawie faktów wyrokować. Na tem polega bezpieczeństwo i wolność obywateli.

Zasada, że prokurator wyobraża państwo, jest zgubną dla sprawiedliwości, a tem samem dla wolności. W sądzie niema miejsca dla państwa, tam powinna być tylko sprawiedliwość, wyobrażona przez nieparcyalność sędziego i rozsądek przysięgłych. Prokurator powinien być tylko adwokatem, tak samo, jak obrońca; ten broni obżałowanego, tamten poszkodowanego, któremu społeczeństwo daje obrońcę w osobie prokuratora; lecz ten nie powinien mieć innych praw, jak zwykły obrońca, ani żadnych przywilejów, inaczej szala sprawiedliwości została by skrzywioną; oskarżenie byłoby silniejsze, niż obrona. A cóż dopiero jeśli sędzia nie jest niepodległym, a prokuratorowi wolno znosić uchwały sądowe, jak to się u nas praktykuje. Względem Benoego i Bauma, zapadła uchwała, by ich wypuścić na wolną stopę; prokurator przemazał uchwałę, bo uchwała sądu podlega superrewizyi prokuratora! Któż tu jest właściwie sądem? Władza administracyjna, bo prokurator podlega ministrowi sprawiedliwości. — Sprawiedliwość (Justiz) jest pod inną nazwą Społeczeństwo, matka wszystkich obywateli; aż do chwili skazania powinna ona wierzyć w niewinność swych dzieci i nie opuszczać ich ani na chwilę. W Anglii, w Ameryce, śledztwo karne odbywa się tak szlachetnie, tak ludzko, że tam właściwie nie Jury skazuje, lecz sam złoczyńca siebie skazuje. Oskarżyciel nie tyka osobistości obżałowanego ani też żadnych jego czynności, które nie mają związku ze zbrodnią, o którą jest oskarżony, a prawo wyraźnie wymaga, by sędzia zapomniał o wszystkich może już poprzednio przez obżałowanego popełnionych występkach. W Austrii chociaż kodeks karny wyraźnie przepisuje, że zbrodniarzowi, który odbył swą karę, nie wolno z tego względu żadnego robić zarzutu, ten sam kodeks uważa popeł-

nione poprzednio występki, jako okoliczności głównie obciążające obżałowanego, a nawet jako poszlakę. Jest to zasada sprzeczna sama z sobą, a w następstwach najstraszniejsza. Jeśli miał nieszczęście popaść w ręce sądu za przestępstwo polityczne, a ktoś się takiego przestępstwa w Austrii ustrzedz może, nie wyrzekłszy się człowieczeństwa? pożegnaj się z bezpieczeństwem na całe życie: przy każdym zaburzeniu politycznym, przy każdej przez kogobądź popełnionej politycznej zbrodni, możesz być pociągnięty do odpowiedzialności, bo popełniona przez ciebie kiedyś tam zbrodnia polityczna, choćbyś za nią był już karany, stanowi przeciw tobie poszlakę, każdej następnie popełnionej zbrodni politycznej, chociażby zupełnie innej, chociażby sprzecznej nawet była natury.

Natura ludzka wzdryga się na myśl przepisu żądającego, by obżałowany sam przeciw sobie świadczył. Nie wymaga też tego austriackie prawodawstwo karne, lecz wymaga natomiast, by obżałowany na każde pytanie sędziego dał odpowiedź; nie wolno mu jak gdzieindziej w państwach cywilizowanych, dać odpowiedzi: „na to pytanie nie odpowiem“. Zmuszony więc jest albo powiedzieć prawdę i stać się własnym — oprawcą, albo też kłamać, co poniża godność człowieka?...

W Anglii, w Ameryce li nagie fakta oskarżają obwinionego i przyznać trzeba, że musi to na złoçynicę robić większe wrażenie, niż wszelkie szykany austriackiego prokuratora, dybiącego na skazanie onegoż. Przeciw szykanom takim musi się każdy bronić; w największym zbrodniarzu rodzi się pewna duma, na widok takiej podłości. Tam złoçynca stoi w obec sędziego, który go proteguje w obec przysięgłych, którzy spokojnie słuchają nagich faktów oskarżyciela; widzi on się tam, że tak powiem sam na sam ze swą zbrodnią i dlatego najczęściej skruszony, kończy wyznaniem dobrowolnem swej winy... Zarzucają mi w motywach „die offenbare Absicht“ udania się z żywnościami do obozu powstańców; zdarzyło się też już kilka razy, że poskazywano chłopów za to, „że chcieli udać się do powstania“. Prawo może tylko zbrodnię karać, nie zaś już intencję. Gdyby chciano karać za intencję samą, któryż choćby najuczciwszy człowiek nie zasługiwałby być powieszonym z dziesięć razy w życiu swoim? Jak zresztą można udowodnić intencję? jak naprzykład Po-

dlewskiemu, którego w zwykłym ubraniu za rogatką jadącego wierzchem, przytrzymano, można dowieść, że on chciał się udać do powstania, które w Kongresówce istnieje? Jeśli pozwolimy sędziom czytać w duszy obżałowanego, czemże się stanie sprawiedliwość ludzka, jeśli nie obłudną samowolą? Wtedy nie karygodny czyn stanowić będzie zbrodnię, lecz kaprys lub uprzedzenie sędziego. Themis jest ślepa, chceszli by działała, to połóż corpus delicti na wążkę; połóż coś materialnego, ważkiego, coś coby szale poruszyło. Przypuszczenia, zamiary, niekorzystne z dawniejszego życia obżałowanego wspomnienia, to wszystko tylko słowa, które nie wazą.

Skazują też tutejsze sądy poddanych rosyjskich za udział w powstaniu przeciw Rosyi i to nie wedle słów konwencji z 19. paźdz. 1860, gdyż tam to powiedzianem nie jest, lecz wedle ducha onej. Prawo nie ma ducha, tylko słowa. Jeśli sędziemu wolno prawo tłumaczyć inaczej jak wedle brzmienia tekstu, natenczas sędzia staje się prawodawcą, a honor, wolność i wszelkie prawa obywateli tracąc wszelką gwarancję, przechodzą na łaskę sędziego.

Teraz dopiero zapadła na mnie uchwała na właściwe śledztwo, a ja już pół roku pozbawiony jestem wolności; któż mi to wróci com przez ten czas stracił, jeśli się okaże że jestem niewinnym? Gdzie indziej nawet wymierzając karę oszczędzają o ile możliwości wolność, w Austryi pozbawiają cię jej na samo podejrzenie popełnionej zbrodni... Prawodawstwo karne, powinnyby tu postępować z największą oględnością, bo wolność to najwyższe dobro człowieka; nawet przy wymiarze kary, wyjąwszy zbrodnie zuchwałe i dzikością napiętnowane, powinno by prawo brać się do kieszeni, a nie do osoby winnego, zważywszy, jak ludzie są drażliwi na kieszeń, kara będzie skuteczną, osiągnie się więc nawet prędzej cel kary, niż przez pozbawienie winnych wolności. Aby zaś ubogiemu nie dać przywileju bezkarności, przeto jeśli złoczyńca nie ma nic, wyjątkowo powinno się nań wyznaczać karę więzienia podług starego przysłowia: „Kto nie może zapłacić kieszenia, niech płaci skórą”. Na zarzut, jakiby mi wyznawcy bezwzględnej równości uczynić mogli, że sprawiedliwość (Justiz) to tylko inna nazwa równości, że przeto za ten sam występek, ta sama spotkać powinna kara, odpowiem że niema głupszych

a oraz niebezpieczniejszych dla wolności ludzi nad doktrynerów; im obojętną jest, że zabijają wolność, jeśli tylko prostą linią i juxta regulam to się dzieje. Kiedy w Rosyi knutują zarówno dzikich burłaków i wykształcone kobiety, nie prawdaż że to piękne zwycięstwo zasady równości! Jest dwojaka równość: materialna, brutalna — ta nie jest dla społeczeństwa! bo zastosowana bez względu na wiek, płeć i wykształcenie, byłaby największą niesprawiedliwością. Druga jest stosunkowa, zastosowana do czynu i do osoby, a ta nie obraża ani sprawiedliwości, ani wolności...

Gdym przeczytał uchwałę, orzekającą przeciw mnie śledztwo specjalne, zapytałem Stenzla, jakim sumieniem on mógł taką uchwałę podpisać, on, co komisyonując na miejscu, mógł się przekonać o bezzasadności czynionych mi nie wiem przez kogo zarzutów? Sciągnął ramionami i powtórzył dwa razy: „to bilo na sesyi!“ — Kolegialność sądów karnych osłabia odpowiedzialność sędziego, dzieląc ją między kilku. Gdy jeden sędzia wydaje wyrok, to na nim ciąży cała odpowiedzialność za niesprawiedliwy wyrok; gdy go wydaje kolegium, to odpowiedzialność rozkłada się na części, a tem samem przestaje być odpowiedzialnością. Dlatego w krajach prawdziwie wolnych, nawet sąd przysięgłych ściśle biorąc, nie jest wyjątkiem powyższej zasady, żąda się bowiem przy wyroku potępiającym jednogłośnie, takim sposobem każdy z przysięgłych całą dźwiga odpowiedzialność, która w takim składzie rzeczy, nie tylko nie została podzieloną między przysięgłych, lecz wzmocnioną: zamiast jednego, odpowiada kilkunastu.

Biedny Pohlberg wyłysieje do reszty; uciekł mu znowu Ciechiński, recte Zienkowicz, naczelnik miasta Lwowa. Zgłosił się po coś do sądu, a wracając umknął oknem schodowem prowadzącym na dziedziniec Towarzystwa muzycznego, za pomocą linewki, którą w tym celu miał przy sobie. W dziedzińcu czekał na niego powóz i nim dozorczy tam dobiegli, Ciechiński już był Bóg wie gdzie. Mochnacki przypisuje te ciągłe ucieczki niedołęstwu Pohlberga, sam objął kierownictwo sądu karnego i otworzył sobie biuro w sądzie karnym. Odtąd dodają więźniom politycznym idącym do sądu, lub wracającym z tamtąd, jako straż bezpieczeństwa po dwóch żołnierzy z karabinami. Tak mnie dziś prowadzono na wizyte, a Stenzel obawiając się zapewne bym

mu nie uciekł z biura, przywołał jednego żołnierza z korytarza do biura, a gdy tenże wyprostowawszy się stanął przy drzwiach z karabinem na ramieniu, pan Stenzel własnoręcznie podał mu krzesło i zaprosił go by obok nas usiadł. Biedny rumun do podobnych grzeczności nieprzyzwyczajony, a zresztą nie będąc pewnym, czy pełniąc służbę wolno siadać, — zawahał się z początku, lecz zachęcony uprzejmym Stenzla gestem usiadł obok nas. Helenka się rozplakała, bo po raz pierwszy nieboga znajdowała się w takim towarzystwie. Tyś żoną demokracji, szepnąłem jej, i to skrajnego, nie dajże po sobie poznać temu szwabowi, że cię obraża towarzystwo szeregowca; zresztą patrz, on siedzi biedaczysko, jak na torturach. Nie wiem, czy dziki ten człowiek zrozumiał lzy Helenki, czy niewygodnie mu było siedzieć w opiętych spodniach, — wstał po chwili i oddalił się od nas ku drzwiom. Nie przypuszczam, by Stenzel wpadł na koncept posadzenia obok nas tego rumuna w chęci ublżenia nam, chociaż jest dość podły, by na taki wpaść koncept; on jest jeszcze więcej tchórzem niż podły, zrobił więc to z bojaźni.

*Helenka*

Lecz słów jeszcze parę o Ciechińskim. Był on jak nadmienilem naczelnikiem miasta Lwowa, przysłany na ten urząd z Warszawy, ponieważ tam będąc mocno ściganym, dłużej pozostać bezpiecznie nie mógł. Taki był powód zwykle, gdy nam przysyłano komisarzy. Że komisarz powinien był także znać kraj i stosunki tutejsze, chcąc powołaniu swemu zadość uczynić, to jasne jak słońce; doznaliśmy też skutków tej nieznajomości naszych stosunków ze strony panów komisarzy, która to nieznajomość dochodziła często granic niemożliwych; dość przytoczyć, że niejaki Mianowski, przysłany tu niedawno na komisarza i już osadzony w Karmelitach, zadał mi tymi dniami takie pytanie: proszę pana, czy tu Rusini mieszkają odrębnie, czy pomieszani z Galicyanami? Ciekaw jestem, w jakiej etnografii pan komisarz o tym narodzie wyczytał. Lecz komisarz rządu narodowego pełniąc więcej dyplomatyczne niż administracyjne funkcje, mógł się od biedy obejść bez wiadomości stosunków tutejszych. Ależ naczelnik miasta Lwowa? wszak ten powinien był znać każdego niemal z tutejszych mieszkańców — i to pod względem prywatnym i publicznym, — moralnym i majątkowym. Pan Ciechiński o tym wszystkim najmniejszego nie miał wyobrażenia, a prze-

cież był naczelnikiem miasta i jak Piątkowski utrzymuje doskonałym, a przez mieszczan niezmiernie lubionym. Poznałem pana Ciechińskiego; ładny chłopiec, pomadujący codziennie włosy, że aż kapał olej makasarowy, woskujący wąsiki, ciągnący kapitalnie czy to wódeczkę, czy piwko, czy miodek, czy winosza; zresztą człowiek dosyć ograniczony. Nie pojmuję więc, czem on właściwie mieszczaństwu tutejszemu zaimponował — a zaimponował niezawodnie: nasełają mu bowiem jadła wszelakiego i najwykwintniejszych napojów i odwiedzają, jak ukochane dziecko. Razu jednego Armatys przez jakąś protekcyę dostał się aż do więzienia, zaproszono i mnie na kieliszek winosza, zastałem panów u Piątkowskiego dość podochoconych, a Armatys był tak rozrzewniony, że wobec wszystkich tam przytomnych, całując mnie po rękach, przeproszał za wszystkie przykrości, jakie mi wyrządził, począwszy od chwili, gdy w Strzelnicy wystąpił jako kandydat na posła: przyznał, iż się przekonał, że w sprawach publicznych nie mam prywaty na względzie, kiedy jego, nieprzyjaciela otwartego, powołałem do komitetu; nareszcie przyznał, że jestem wyższą od niego inteligencyą i obiecał mi odtąd przyjaźń i protekcyę swoją. Wasilewski, który obecny był tej scenie, a jako piersiowy, najtrzeźwiejszy był między nami, utrzymywał potem, że słuchając tych expektoracyi, miałem głupszą minę niż Armatys i dlatego nie chcę dać wiary, że jestem wyższą od niego inteligencyą. — Ale dlaczego mieszczenie tutejsi tak się rozmiłowali w Ciechińskim i tak mu byli podlegli, gdy był naczelnikiem, — oni którzy nawet za równych sobie nie chcieli uważać tych, którzy nie są obywatelami t. j. bürgerami lwowskimi, chociażby nie wiem, czem zresztą byli. Nie mogę sobie tego czem innym wytłumaczyć, jak tem u nas bardzo powszechnem zjawiskiem, że szlachcic patrzący z góry na rodaka doktora lub adwokata, obcuje jak z równym sobie z pierwszym lepszym tancmistrzem francuzem. U nas by być poważanym, trzebaby być obcym, albo jeśli się jest rodakiem, być figurą tajemniczą!

Z powodu rozpraw w Izbie francuskiej o wychowaniu publicznem, toczą się i w naszym gronie gorące w tym względzie walki. Najwięcej rozprawiają ci, którzy najmniej o tem wiedzą; że pan Majkowski należy do rozprawiających, to się przez się

rozumie; sędzia przysłuchuje się, dając słusność raz temu, drugi raz innemu z szermierzy, chociaż zdania tego i tamtego były wręcz sobie przeciwne, w końcu dodaje, jaki drugi Cato: „ego autem censeo“, że wychowanie publiczne musi być przymusowe, co jest dowodem radykalnej jego wolnomysłności. Wolność nądewszystko, zwykł on powtarzać i ma słusność, lecz jakże z tym pogodzić przymus posyłania dzieci do szkół publicznych? Oto się pan sędzia nie troszczy.

Mnie się zdaje, że najgłówniejszą tu rzeczą jest bezpłatność. Wychowanie publiczne powinno być bezpłatne i to w całym słowa znaczeniu tak, aby się nikt nie mógł tłumaczyć niemożnością ponoszenia kosztów wychowania swych dzieci. Koszta te niech ponosi gmina; lud wolny pewnie ich oszczędzić nie będzie; w kraju bowiem, gdzie lud sobą rządzi, gdzie jest wszechwładnym, trzeba zwalczyć ciemnotę, inaczej ona zabije społeczeństwo. Mamy przykład na sobie. Nie Moskale, nie Niemcy zabili Polskę, lecz ciemnota, która zakorzeniwszy się pod Wazami, doprowadziła nas pod Sasami do ostatecznego upadku, z którego ocknienie się pod Stanisławem Augustem już nas uratować nie mogło. By wychować naród, któryby kochał prawdę i wierzył w nią, jedynym środkiem jest oświecić go, zrobić z najniższego nawet obywatela człowieka dość ukształconego, by się nie dał oszukać i dość mądrego, by sobą samym mógł rządzić; a jeśli gmina da bezpłatnie nie tylko nauczyciela lecz także książki szkolne, papier, pióro itd. tak, że posyłanie dziecka do szkoły nic nie będzie kosztować rodziców, pytam się, gdzieby się znalazł ojciec tyle głupi, lub tyle zły, żeby nie dał korzystać dziecku z tej hojności gminy?

Przymusu wszakże szkolnego być nie powinno, — przede wszystkim wolność i wszędzie wolność. Zresztą areszt lub grzywna za nieposyłanie dziecka do szkoły musiałaby obrzydzić szkołę rodzicom, a takie usposobienie rodziców musiałoby wpłynąć także na dzieci. Zresztą wychowanie w szkołach ludowych powinno być tego rodzaju, by nie odstręczając ubogiego, bogate dziecko mogło przysposobić do wyższych nauk. Pisanie, czytanie, arytmetyka, geometrya, rysunki, trochę geografii i historii, fizyki i chemii, etyka, a nawet i trochę polityki, wszak to przyszli obywatele, którzy mają kiedyś rządzić krajem, dlaczego się lękać za-

znajamiać ich za młodu z zasadami, któremi się rządzą narody? Do takich szkół będą uczęszczać wszystkie dzieci; ubogim wystarczą one do dalszego życia, — bogatym będą służyć jako szkoły przygotowawcze do wyższych zakładów; tym sposobem dzieci nauczą się równości i miłości ojczyzny; tej ostatniej, uczucia patriotyzmu, nie zaszkodzi poforsować nawet w dzieciach. Jest to najlepszy sposób zapobieżenia, by z wiekiem nie wziął górę egoizm. Lecz na szkołach nie koniec: dla tych, co wyszli ze szkół ludowych, powinny istnieć odczyty, przystępne pisma, rozgąłżone po kraju dzienniki, słowem należy wszędzie rozlać tyle światła, by chyba ten, co jest podwójnie ślepy, mógł zostać ignorantem. Nauka religii powinnaby być całkiem wykluczoną ze szkół. Czyliż nie widzimy skutków tego w naszym kraju? Skąd się bierze u dzieci nienawiść narodowościowa w naszym kraju, jeśli nie ztąd, że jednych uczą religii „ruskiej“, a drugich „polskiej“? Dlatego też kościół nie powinien mieć żadnego wpływu. Konsystorz ruski zrobił u nas ze szkół ludowych arenę walk narodowościowych; rekomendacją na nauczyciela wiejskiego jest „rewność“ ruska, czy zresztą posiada własności nauczycielskie, o to się konsystorz nie pyta. Wychowanie nie powinno być ani katolickie, ani unickie, ani protestanckie, — niech będzie chrześcijańskie! Szkoła daje dzieciom środek szukania prawdy, uzbraja je przeciw ciemnocie, temu prawdziwemu szatanowi na ziemi, przygotowuje je do pocziwej walki życia; co się tyczy dogmatów religijnych, tych niech się dziecko uczy od swoich kapłanów w kościele. „Ne misceantur sacra profanis“. Tym sposobem wychowa się ludzi i zaszczepi już w dzieciństwie tolerancję religijną, bez której nie da się nawet pomyśleć społeczeństwo wolne. Nad szkołami więc nie powinien czuwać konsystorz, lecz rada edukacyjna, wybrana przez gminę, a nad takimi radami, wyższa rada edukacyjna krajowa, mianowana przez reprezentację krajową z pomiędzy ludzi w zawodzie naukowym odznaczających się, a z obywatelskości znanych. Co się zaś tyczy zarzutu, że w szkole już przez wzgląd na religię państwa, takowa uczoną być winna, odpowiadam, że „religia państwa“ jest rzeczą potworną. „Państwo“ nie mając duszy, nie może mieć religii. Zresztą, cóż to jest państwo? W monarchiach absolutnych, państwem jest panujący; l'état c'est moi, rzekł Lu-



dwik XIV. Przypuśćmy więc, że panujący nad kilkudziesięciu milionami Chrześcian jest Turkiem, więc owe miliony Chrześcian będą mieli religię mahometańską? W rzeczypospolitej, gdzie władza obieralna zmienia się co kilka lat, musiałaby się także religia zmieniać, gdyby przychodzili do władzy odmiennych wyznań religijnych. Lecz powie mi kto, że pod państwem rozumie się społeczeństwo polityczne — i cóż się na tym zyska? Większość będzie decydowała o wierze, będziemy mieli religię parlamentarną, zmieniającą się za zmianą większości w parlamencie!... Nie potrzeba się też obawiać ateizmu i bezbożności, jeśli nie będzie uznania „religii państwa“. Państwo jest abstrakcją, jest to sposób oznaczania całości władz publicznych. Lecz społeczeństwo jest rzeczą żyjącą, zbiorem wszystkich obywateli żyjących w tej samej ojczyźnie. Jeśli ci obywatele są chrześcianami, jeśli ich moralność jest chrześcijańska, nie podobna, aby sankcya, którą ci ludzie dadzą moralności publicznej, czyli mówiąc innemi słowy, aby prawo było ateiczne, bezbożne. Zresztą każda religia wychowuje na swój wzór człowieka i obywatela. Kościół wolny zrodzi społeczeństwo wolne; jak długo zaś istnieją tak zwane „religie państwa“, kościół wolnym być nie może. Jeszcze jedną uwagę nastęrcza mi młodzież nasza; krępowanie wszelkiej swobody w dziecięciu, wszelkiej woli, rzekłbym — tresurę dziecka, uważają u nas za edukację.

I jakąż tresura ta wydała młodzież? Oh, pozwólmy dzieciom rozwijać się swobodnie! Nie uczmy ich na miły Bóg tej okrutnej mądrości dzisiejszego społeczeństwa, która wszystko redukuje do interesu; niech marzą, chociażby miały cierpieć za to. Na tym świecie nie są ci najniezwyklejszymi, którzy płaczą... Jest to wielkie nieszczęście, że wychowując młodzież, nie dajemy jej woli. W duszy, której nie zajmuje wola, zagnieżdżają się namiętności. Dlatego starać się trzeba, by młodzieniec nabrał przekonania wyrozumowanych i tęgości charakteru, bo przez to tylko stanie się mężem. — Powinniśmy również dążyć do tego, aby młodzież wybierała sobie stan niezawisty; niech się nie spodziewa niczego od szczęścia, wszystkiego od siebie samej. Niech nie gnie głowy przed nikim, niech się stara, by nigdy nie potrzebowała się rumienić przed Bogiem, — a o przyszłość niech będzie spokojną.

Interpelowano pana Schmerlinga, co się dzieje z prawem o asocjacyach; jak zwykle zbył interpelanta niczem.

Despotyzm stara się mieć obok siebie same osobniki, bo dusząc z łatwością każdego osobnika, dusić może naród cały; dlatego rządy despotyczne są nieprzyjaciółmi wszelkich stowarzyszeń, choćby w celach najniewinniejszych zawiązane być miały. W kraju wolnym zaś, między państwem a osobnikiem, między siłą a egoizmem, staje asocjacja t. j. miłość bliźniego, miłosierdzie, prawdziwy węzeł serc, — prawdziwa spójnia społeczeństwa. By szerzyć słowo Boże, by oświecać dusze, wspierać nędzę, pocieszać cierpiących, podnosić tych co upadli, — ku temu wszystkiemu służą asocjacje i służą najlepiej, bo naród chrześcijański powinien czynić dobrze z wolnej woli, przez wolny współdziałal obywateli i nie zlewać na nikogo obowiązku, który sam pełnić powinien. By zaś tego rodzaju asocjacje były możliwemi, koniecznem jest, by kościół był wolnym i absolutnym panem w swej sferze. Na to zaś ministerjum Schmerling-Lasser, nigdy nie zezwoli, mimo wrzasków na konkordat. Rządy despotyczne zrobiły z kościoła parobka, który im doskonale pomaga w jarzmieniu ludów; ministerjum Schmerling-Lasser zaś, chociaż liberalne, jak utrzymują dzienniki niemieckie, nie myśli o odprawieniu tego parobka... Cóż to dopiero spodziewać się pod względem innego rodzaju asocjacji? A przecież ciągle prawią o wolności... Wolność nie daje się dzielić, albo jest wszędzie, albo niema jej nigdzie. Tam, gdzie jest wolność osobista, tam jest także wolność społeczna, czyli stowarzyszeń, — a gdzie tej niema, tam o wolności osobistej nie może być mowy. Wiara, nauka i miłosierdzie, czyli innemi słowy: kościół, szkoła i wszelkiego rodzaju zakłady dobroczynne powinny być wolne; wolność zresztą jest jak słońce, ona przyświeca całemu światu i wszystkim ludziom; wszędzie więc, wszystkim i we wszystkich godziwych celach asocjacja powinna być dozwoloną, bo ona jest jedyną możliwą formą wolności.

**18 lutego.** Jeśli Mochnacki nie zachoruje, to ma silną konstytucję. Za staraniem się marszałka, pozwolono Sapięze, cierpiącemu na piersi, odbywać dalszy śledczy areszt w kamienicy marszałka, przy ulicy Sykstuskiej, niedaleko św. Magdaleny położonej, pod warunkiem, że kamienica ta kosztem marszałka urządzoną zostanie na areszt. Sapięha przed kilku dniami zwie-

rzył mi się, że chce uciec z więzienia; nie odradzałem, chociaż jestem pewny, że gdy on ucieknie, na mnie się skrupi. Dziś na spacerze szepnął mi, że się zdecydował i dziś ucieczkę uskuteczni. Po spacerze poszedłem do niego na cygaro, — był przebrany w strój francuski, który kazał sobie przedtem sprowadzić. Gadaliśmy to to, to owo, gdy po szóstej godzinie zawołano Sapię do sądu. Odchodząc ścisnął mnie silniej za rękę, nic nie mówiąc. Domyślając się, że już nie wróci, poszedłem do siebie i nie omyliłem się, bo oto w pół do ósmej wpada komisya sądowa do kaźni Sapiężyńskiej, pyta Bauma o Sapię, a gdy ten odpowiedział, że Sapięha poszedł do sądu, oświadczają mu, że Sapięha umknął; robiąc rewizyę jego rzeczy, część zabierają, na resztę kładą areszt. Uciekł więc i to od Mochnackiego. Księżna matka przyszła po godzinie szóstej do biura Mochnackiego, by się z nim rozmówić względem urządzenia owej kamienicy, w której Sapięha miał siedzieć w areszcie, — po konferencji zapytała, czy nie mogłaby widzieć syna, a grzeczny pan Mochnacki, chociaż to była pora, w której już więźni na odwiedziny prowadzić nie było wolno, posłał po Sapię, który po krótkiem widzeniu się z matką, poczekawszy w biurze po jej odejściu, — jak to każe przepis, — pożegnał pana Mochnackiego i zamiast pójść w kurytarz prowadzący do Karmelitów, poszedł na prawo ku drzwiom registratury, czemu się pałkarz nie sprzeciwiał sądząc, że Sapięha ma tam jaki interes. W pierwszym pokoju registratury było już otwarte okno, prowadzące na dziedziniec i dostawszy się do bramy, przed którą stała karetka, wsiadł i ruszył z Panem Bogiem. Pałkarz czekający na księcia przed drzwiami registratury, nie mogąc się go doczekać wszedł wreszcie do registratury i nie znalazł tam już księcia. Dopiero wtedy powstał rajwach w sądzie. Sapięha musiał już być z ćwierć mili za rogatką, gdy się ocknęli.

U księżnej matki była rewizya zaraz po ucieczce Sapięhy, nie znaleziono go. Przesłuchiowano służących i aresztowano furmana i lokaja, z którymi wczoraj księżna była w sądzie. Widziałem lokaja przez kratę, nie stracił fantazyi. Na wieczere przysłano mu herbatę i sardynki; gdy mu to pałkarz wręczył, miał się ofuknąć, — cóż to księżna nie wie, że ja nie lubię sardy-

nek? Ten nie potrzebuje się obawiać, że będzie cierpiał niedostatek w kozie...

*Helenka*  
Obostrzenia ogromne; wszelkie odwiedziny zabronione; zamiast odwiedzin Helenki, dostałem tylko parę słów, skreślonych ołówkiem, że nie pozwolili jej widzieć się ze mną. To ja temu winien, że Sapieha uciekł; jeśli kto winien, to Mochnacki; sam przewinił, a my mamy pokutować.

Pohlberg udaje rozgniewanego, ale tylko udaje, wewnątrz bowiem musi być rad, że to się Mochnackiemu zdarzyło. Miał opowiadać, tak przynajmniej twierdzi Tomaszewski, nadzorca więzień, — że Sapieha byłby i tak za dwa dni wyszedł na wolną nogę, że był już rozkaz dotyczący w apelacyi i tam tylko przez niedbałość zaległ. Ot lżą! Zdaje się, że ucieczkę Sapiehy zdecydowała wiadomość, która się dziś rozeszła po mieście, a którą Sapieha już onegdaj mógł być otrzymać, że ma być zaprowadzony stan oblężenia, a my oddani pod sądy wojenne. Dlaczegoż nie? Pan Mensdorff od dawna się o to starał; ale Sapieha, jako aresztowany przed stanem oblężenia, nie potrzebował się obawiać sądów wojennych, bo do jurysdykcji tychże, będą należąc uwiezieni, dopiero po ogłoszeniu stanu oblężenia. Zresztą fantazyja książęca! kto wie, czy będąc na jego miejscu, nie uciekałbym także, mimo, że tego rodzaju uwolnienie się od odpowiedzialności, jest mi wstrętne. *geschnitten!*

Dziwne to teraz gusta: im co niezrozumialsze i zawilsze, tem bardziej młodzieży naszej się podoba. Nie lubią rzeczy pojedynczych, bo odwykli od prawdy.

Uformowała się tu osobna klika wołyńska. Tadeusz Tarnowski jest wielkim jej koftą. Do tej kliki należy także Ukrainiec Czekoński (nota bene rodem z Czortkowskiego) i Wołyńiec Dorko Dzieduszycki. Wołyńiec chyba dlatego, że w Stryjskim, gdzie się urodził i wychował, wiele wołów hodują. Typem Wołyńca jest Łoziński: straszny zuch, nie mówi inaczej, tylko ze ściśniętymi pięściami, a klnie się na Jenerała Różyckiego, którego jest chrzestnym imiennikiem, dano mu bowiem na chrzcie imię Edmund, tak, jak Jenerałowi. — Wołyńcy, którzy po objęciu Dyktatury wojskowej przez Różyckiego, rozgospodarowali

się tu, jak szare gęsi, mówią oczywiście najgorzej o nas wszystkich. Najciekawszym zaś Wołyńcem jest Twerdoj, chłopoman, chodzący z chłopska i upijający się codziennie po chłopsku. Jest to szlachcic wołyński, Jastrzębski, który przeputawszy mająteczek, został chłopomanem. Wszystko co surdut nosi, nie warte psu na jadło. Pan Twerdoj nie należy do kliky wołyńskiej, jest on słońcem osobnego świata planetarnego: kilku byłych uczniów szkoły w Cuneo, kilku Turków—kozaków i kilku powstańców podejranej powstańczości, są satelitami tego słońca. Prócz nich niema nic pocziwego w Karmelitach, szczególniejszą niechęć ściągnęli na siebie ci z pomiędzy więźniów, którzy nie chcieli przystać, na podany przez pana Twerdego projekt, żywienia się wiktem szpitalnym, a dotychczasowe kosza karmienia się, wkładając do wspólnej kasy. Powstał ten projekt niestety wskutek innego projektu, który my podaliśmy.

Od lipca do końca grudnia złożyliśmy na rzecz uboższych więźniów, przeszło tysiąc reńskich. Gdy majątniejsi pouciekali lub powychodzili na wolną nogę, zapomoga ta ustała, a gdy powstańcy skarżyli się, że nie mają ani śniadania, ani podwieczorku, ani tytoniu, ile że komitet dam przysyłał tylko obiad, zaprojektowaliśmy, aby od Pohlberga zażądali wikt szpitalnego, a komitet dam będzie to, co go kosztuje teraz obiad, dawał powstańcom w gotówce, za co i śniadanie i podwieczorek i tytoń mieć mogą. Propozycję tę podchwycił Twerdoj i ułożył proklamację do wszystkich więźni, aby dla miłości braterskiej poszli na wikt szpitalny, a kosza dotychczasowe wikt, oddali do wspólnej kasy, dla polepszenia utrzymania ogólnego. Proklamację tę noszono po kaźniach i wzywano do podpisu. Że ci, którzy się utrzymywali sami, nie przystali na to, zdaje się rzeczą naturalną, szczególnie u tych, których familie tu mieszkają. Pan Twerdoj widział w tem Targowicę i odtąd wypowiedział on i jego klika wojnę Targowiczanom. Śpiewano za nami piosnkę: część wam inagnaty, psubraty, redagowano jakąś gazetkę pełną sarkazmów na panów, co spijają herbatę, podczas gdy wiara niema nawet kieliszka gorzałki, co sypiają na miękkich materacach i chodzą w bobrach i sobolach, — posełano nam pamflety po kaźniach i znęcano, jakby się Moskale nie byli znęcali nad nami, gdybyśmy się byli dostali w ich ręce.

Ciężko, oj bardzo ciężko służyć ci biedna Polsko — i obcy i swoi znęcają się, dręczą, mordują tych, którzy cię kochają, którzy wszystko dla ciebie poświęcili.

Dobry obywatel wszakże nie powinien się zrażać, ani krzykami, ani groźbami. Powinien pełnić swój obowiązek, nie oglądając się na to, co go czeka, lub co o nim mówią, bronić prawdy świętej z wytrwałością nieprzewycięzoną, wskazywać skałę grożącą rozbiciem, walczyć, wołać, aż go fale pochłoną. Czasem ocali on lud wbrew jego woli i niczego się odeń nie spodziewa. Wdzięczność jest cnotą potomności... Sokrates, Dant, Milton wariaty i wichrzyciele za życia, stali się mędrkami i patriotami po śmierci. Za życia ludzie nimi gardzili, wypędzali ich, więzili, zabijali. Teraz im świat stawia ołtarze, — ofiarom, które pozabijał. Historia ludzkości jest historią męczenników.

**Marzec.** Zapowiedziany różnemi wieściami, a zaprzeczany przez urzędowe gazety, stan oblężenia został tedy zaprowadzony, w Królestwie Galicyi i Lodomeryi, wraz z W. Ks. Krakowskiem. Hrabia Mensdorff jest panem życia i śmierci pięciu milionów obywateli konstytucyjnych; — prawo bezpieczeństwa osoby i mieszkania zawieszono, a wszelkie zbrodnie, przestępstwa i przekroczenia polityczne, przekazane sądom wojennym i to bez względu na odwieczną zasadę, że prawo nie działa wstecz.

Akt ten z pojęciem konstytucyi sprzeczny, a nawet za czasów Metternichowskich nie praktykowany, był widać już dawno uchwalony; czekano tylko zalimitowania kadencji Rady Państwa by go ogłosić.

Czwartego tego miesiąca oddawała nas, jak inwentarz, kaźniami, władza cywilna, władzy wojskowej. Władza cywilna, jakby wstydząc się, była reprezentowana tylko przez nadzorcę więzień Tomaszewskiego, natomiast ze strony wojskowej fungował kapitan Beer, terażniejszy nadzorca więzień, — jakiś oficer od komendy placu, sztabowy profos i profos Blaschke, terażniejszy nas kerkermajster. Pan stabsprofos był zdziwiony, że mieszkam tylko sam; Tomaszewski wytłomaczył mu, że to się działo z polecenia lekarskiego, przytem polecił mnie jako spokojnego człowieka, mam więc nadzieję, że zostanę sam jeden i nadal.

Pan Sawicki, klucznik na naszym piętrze, feldwebel z pułku Martani, który mnie przez pierwsze dwa dni trzymał ciągle pod

kluczem, wdał się trzeciego dnia ze mną w rozmowę; utrzymuje, że mnie zna z pływalni, gdzie był nauczycielem pływania. Nie przypominam sobie tej zapitej fizyonomii, lecz udawszy, że go sobie przypominam, dałem mu piątkę, którą bardzo gładko wziął. Odchodząc, nie zamknął kaźni. Korzystając z tego, wysunąłem się na korytarz, znalazłszy się tu bec à bec z podklucznikiem, kapralem z jakiegoś pułku, wsunąłem mu w rękę rynia i poszedłem dalej ku poprzecznemu korytarzowi, na którym mieszkają Beöe, Baum, Haller, Łaczyński, Kęplicz, Lewakowski; — tu spotykałem się z freitrem pomocnikiem podklucznika, który mnie z wiedeńska zapytał, czego sobie życzę; wyjąłem znów rynia i wpakowawszy mu go w łapę, pokazałem na kaźnię Bauma. Otwarta, rzekł mi, możesz pan pójść. Panowie koledzy byli już od wczoraj uwolnieni od klucza; nie ma to przecież praktyczniejszych ludzi jak szlagony, co to ciągle mają do czynienia z kancelistami, amtsdienerami i podobnemi figurami. Kęplicz zaraz pierwszego dnia dał Sawickiemu piątkę, drugiego polecił tę receptę Baumowi i Łaczyńskiemu, a trzeciego już pan Sawicki widząc, że w dwóch dniach zebrał więcej za niewierność, niż mū N. Pan miesięcznie płaci za wierność, puścił się z wizytami po kaźniach, w których łapowe przewąchiwał. Jesteśmy więc pod tym względem tak swobodni jak dawniej; na spacerze zaś mamy daleko więcej swobody. Pan podklucznik i jego pomocnik nie bardzo biegli w czytaniu, nie mogą sobie dać rady ze spisem spacerowym, który im został udzielony ex concluso sądu; puszczają więc raz wszystkich tych, którzy się opłacili i pozwalają razem chodzić, dopóki tamci, którzy się nie opłacili, nie zaczną się o spacer upominać; wtedy wypuszczają znów tych; — po obiedzie odbywa się ta sama kolej.

Z odwiedzinami tylko fatalnie, szczególnie dla naszych kobiet. Trzeba bowiem na każdy raz osobne mieć pozwolenie od generała Reicharta, który jest Gerichtsherrem tutejszego sądu wojennego. Z takim pozwoleniem idzie się dopiero do referenta, który wyznacza dzień i godzinę wizyty. Przy pierwszej takiej wizycie rozpląkała się Helenka na piękne. Nim sobie biedaczka wyrobiła pozwolenie u generała, spląkała się: ona nie umie po niemiecku, a Reichart ani po polsku, ani po francusku, szczęściem, że major Mehlem był w pierwszym pokoju, a usłyszawszy moje

*Helenka*

nazwisko, które Helenka kilkakrotnie wymówiła, pomógł jej do wytłumaczenia czego żąda i do uzyskania pozwolenia odwiedzenia mnie. Dopieroż w sądzie! odprowadzanie od jednego ordynansa do drugiego, od jednego biura do drugiego, aż nareszcie nieboga trafiła do majora-audytora Ottenburga, prezesa sądu i mego referenta. Przyjął ją szorstko i wskazawszy na krzesło, oddał kartkę, którą Helenka otrzymała od jenerała, ordynansowi. Gdy mnie wprowadzono do pana Ottenburga, który zajmuje ten sam pokój, w którym niedawno jeszcze pan prezes Mochnacki urzędował, przedstawiłem mu się kto jestem, a on wskazawszy mi Helenkę, odwrócił się do pulpitu, przy którym coś pisał i tak został odwrócony do nas tyłem, przez cały czas naszego widzenia się; gdy pół godziny minęło, wyjął zegarek z kieszeni i trzymając go w rękę, zwrócił się ku nam i lekkim ukłonem i jeszcze lżejszym ruchem drugiej ręki w kierunku, gdzie były drzwi, dał nam znak, że wizyta skończona. Zrozumieliśmy i nie usłyszawszy nawet głosu pana Ottenburga, wynieśliśmy się czempredzej, kontenci oboje, żeśmy wyszli z atmosfery oddechem tego majora-oprawcy zatrutej. Mimo rysów przystojnych ma pan Ottenburg wyraz tak odrażający, że trudno sobie wytłumaczyć, skąd ten wyraz pochodzi: czy z cery czarno-żółtej, znamionującej śledziennika, czy z oczu, co się przesuwają jak ślepie grzechotnika, czy z układu ust, zdradzającego zęby ściśnięte? Pan Ottenburg miał przed kilku laty jakiś brzydki proces, który go omiał nie przeprowadzić o utratę stopnia; odtąd położył tyle zasług, że został majorem, a musi być wysoce cenionym, kiedy go mianowano prezesem sądu wojennego w stolicy. Prócz niego jest jeszcze trzech referentów: kapitan-audytor Kraus od żandarmeryi, sędziutki Czech, którego znam z dawniejszych lat. Rotmistrz-audytor Telesch od kirasyerów i porucznik-audytor Schneider. Każdy z tych panów ma sobie dodanych urzędników sądowych cywilnych; pomocnikami Ottenburga są radca Bechel, bawiący się w Kuczyńskiego i aktuaryusz Hołyński.

Sąd wojenny nie próżnuje; aresztuje masami; na cytadeli jest przeszło 200, tu w Karmelitach tak pełno, że po małych kaźniach, przeznaczonych na dwóch, polokowano po trzech, — w większych kaźniach jest po siedmiu, dziesięciu, nawet dwunastu więźni. Mamy już kilkanaście kobiet: prócz pani Na-



nowskiej, którą jeszcze sąd cywilny jakoś krótko przed zaprowadzeniem stanu oblężenia był uwięził, siedzą tu panie Wildowa, Hillichowa, Stadnikiewiczowa, Kunaszewska, Żerdzińska; panna Wasilewska, Gostyńskie, Zabielskie, Paparowne i jeszcze kilka nieznanymi.

Zaczęli zaś śledztwo od tych, których sami poaresztowali, bo sąd cywilny guzdrze się z oddaniem aktów dotyczących tych więźni, którzy już przedtem byli osądzeni. Śledztwo idzie piorunem. Przywieziono Bieleńskiego i aptekarza ze Starego Miasta Fajrycna, przed pięciu dniami, — dziś obydwom odczytano wyroki: pierwszy na dwa, drugi na cztery lata do fortecy skazani; znaleziono przy pierwszym nominację na naczelnika powiatowego, przy drugim na naczelnika miasta. Wyroki smaczne, niema co mówić, — ale przynajmniej prędko wydane. Może to i lepiej, że zaprowadzono te sądy wojenne: mamy wisieć, to nas przynajmniej prędko powieszają, — bez wielu ceremonii.

Dziś 15-go marca dostałem i ja towarzysza, szczęściem, że miłego: jest to pocziwy Henryk Janko; przywieźli go na prostym chłopskim wozie, — człowieka wiekowego, właściciela dóbr; łajdaki umyślnie to zrobili, by go jego włościanie widzieli siedzącego na forszpanie, jak zwykłego zbrodniarza. Przywieziono także Piotra Grosa i Jana Leszczyńskiego, tego ostatniego w kajdanach!

Pocziwy Henryk nie traci fantazyi, — chociaż, gdy mówił o działkach, które zostawił, głos drżał mu, mimo nadrabiania miną. Nie zaznał pocziwiec nigdy biedy i w kozie nigdy nie siedział; taki nie poradny w tych rzeczach, których załatwienie należy do kogo innego, niż do pana. Poczekajno bratku! nauczysz ty się nietylko kawę robić, szklanki wycierać, cukier rąbać, ale i guziki przyszywać. Oswoisz się z temi miłemi czynnościami tak, że ci będą potem służyć za rozrywkę. A niecierpliwy stary paliwoda! — to nie łan w Hoszanach, na którym gonieś zające; to kazienka mająca pięć kroków wszere, a siedm wzdłuż; nie rozpędzaj się tak przyjacielu, bo przewrócisz krzesło, lub nosem o piec zawadzisz! ha hou, ha hou! dziki tabunie, ukoskają cię tu nie długo.

Opowiadał mi Henryk, że gdzieś tam w jego sąsiedztwie chcą wywłaszczyć właścicielowi kawał gruntu na cerkiew, coby

mu wielką sprawiło niedogodność. Jest to prosta szykana, bo nowa cerkiew mogłaby stać tam, gdzie stała stara. Prawo wywłaszczenia na cele publiczne, powinno jak najściślej oznaczyć wypadki, w których wywłaszczenie jest dopuszczalnem, n. p. droga, ulica, kanał, kolej żelazna, obrona granic. Ponieważ zaś własność jest rzeczą świętą, bez której poszanowania nie masz społeczeństwa, więc i w tych z góry oznaczonych wypadkach wywłaszczania, prawodawstwo krajowe w każdym danym wypadku interweniować powinno, mianowicie wyznaczyć trasę, wywłaszczenia i wynagrodzenia. Kościoły, szkoły, szpitale itp. są właściwie rzeczą pojedynczych stowarzyszeń, — co n. p. obchodzi cerkiew łacinnika? nie mogą więc sobie rościć prawa rugowania dla swych celów pojedynczego obywatela z jego własności.

„Wiara, wiara!“ powtarza ciągle pan sędzia. „Wytrwajmy w wierze, a będziemy zbawieni“. Oj panie sędzio, wytrwanie nie w samej wierze leży, lecz w dążeniu do celu, w czynności nieustającej, niezmordowanej. Im żmudniejsze położenie, im odleglejsze, im niepewniejsze rozwinienie przyszłości wydać się może, tem silniej należy poruszać własne siły i zdolności, aby lampa posłannictwa nie zgasła, a nie gnuśnieć w jakichś gusłach stolikowych i nieczynnej wierze. Czemu państwo i narody upadają, jeśli nie zgnuśnialością, która je z sił żywotnych, wyzuwa i życia pozbawia. Tem upadają mocarstwa, jeśli despotyzm otrętwi ruch, wycieńczy zacne uczucia, aż na ostatek znajduje swą maszynę zmartwiałą. Tem upadają narody wolne, gdy niema obywateli ni do rady, ni do korda; gdy zobojętnieni zostawiają próznemu echu sale obrad, a popłochowi i pierzchliwości pobojobowiska. Prawimy o sprężystości działań, o energii, podnosimy republikańskie cnoty, wszechwładztwo ludu; przepisujemy sobie pewne sposoby postępowania, uchwalamy między sobą pewne urządzenia, — a jakże to wykonywamy? co własne nasze prawo nakazuje załatwić w ciągu tygodnia, to się wlecze nieskończonym ogonem miesiące lub wcale się nie załatwia. O strzeżmy się tej gnuśności, opóźnienia, — nieczynność w czasie obowiązany i oznaczony zostawia próżnie dorywczym, niecierpliwszych osób działaniom, nadużyciom, wdzieraniu się sprawniejszych, uzurpacyom; otwiera pole nieprzyjaznym żywiołom do podno-

szenia głowy i roznoszenia spustoszenia w sprawie publicznej. Pocóż szukać daleko przykładów na dowód tych twierdzeń? Gdyby w Kongresówce obywatelstwo wpływowo było wzięło sprężyscie w swe ręce wywołany tam ruch, zamiast przypatrywać mu się gnuśnie, czy byliby mogli opanować ruch ludzie bez doświadczenia, a później nawet bez cnoty?

Nasi młodzi literaci, młodzi w całym słowa znaczeniu, bo ledwo gimnazjum pokończyli, zamierzają tu pisać dzieła ludowe; dla piszących będzie to na wszelki wypadek z korzyścią, bo zabije przynajmniej nudy więzienne, lecz wątpię, by z dzieł przez nich napisanych lud mógł korzystać. Tylko mistrzom i wielkim duszom dane jest wyrazić popularnie wielkie myśli. Tu nawet sztuka nie wystarczy, bo sztuka jest tylko naśladowaniem, — tu prócz gruntownego i wszechstronnego pojęcia przedmiotu, trzeba jeszcze tej magicznej siły, która przeczuwa usposobienie ludu, do przyjęcia tej lub owej prawdy i odgaduje w jakiej postaci ta prawda przystęp tam znajdzie. Gdyby to tak łatwo było pisać popularnie, mielibyśmy już dotąd pisarzy ludowych. Prędzej jeszcze znajdziesz mowcę ludowego, mowcę, który go zagrzeje, przekona, porwie, — lecz dokazać tego pismem jest nader trudno: bo słowa stygną na papierze i stają się zwiędłymi kwiatami, które straciły woń i barwę; a lud właśnie tego potrzebuje: wykształcony kontentuje się dowodami, choćby oschłymi; do niewykształconego rozumu ludu można trafić tylko przez zmysły i serce.

Rozprawiano dziś o ambicyi, a rozprawiano, jak zwykle Polonia rozprawia; mówili wszyscy prawie razem i co chwilę odchodzili od przedmiotu. Właściwą tezą było: czy obranie kariery publicznej jest ambicyą? Rozprawa jak zwykle u nas bywa, nie doprowadziła do żadnego rezultatu; mnie się zdaje, że obrac w wolnym kraju karierę publiczną, nie jest ambicyą, lecz obowiązkiem. Obywatel, który na tej drodze idzie najdalej, służy krajowi najlepiej. Czyliż amerykańskie zarzucają Lincolnowi ambicyę dlatego, że będąc kowalem, porzucił ten zawód, obrał sobie karierę publiczną i doszedł do prezydentury? Bynajmniej! wszyscy uważają go za pierwszego obywatela kraju.

Liczba uwięzionych zwiększa się codzień. Na kontyngens ten składają się wszystkie stany i wszystkie warstwy społeczeństwa. Dziad, który aresztującemu go żandarmowi stawiał opór, idzie pod sąd wojenny. Ulicznica, która policyanta przezwiała „pajakiem“, staje się więźniem politycznym. Chłop, który nie usłuchał warty, ustawionej od zarazy bydła, siedzi obok księdza, który miał podburzające kazanie; za obrazę majestatu, obrazę wart i sług urzędowych, siedzi mnóstwo osób i to najniższych warstw; z tymi robi sąd wojenny, jak mówią Niemcy „kurzen Process“, mężczyźni dostają po kilkanaście kijów, kobiety po kilkanaście różg i rzecz skończona; w beczkach stojących na ogrodzie pod rynnami, moczą się nieustannie różgi i kije. Niech żyje cywilizacja austriacka! Gospodarzy skazują na areszt lub pieniądze. Jakiś włościanin skazany za obrazę żandarma na 8 dni aresztu u profossa, lub zapłacenie dwudziestu reńskich, skłonił się, gdy mu kazano wybierać i zapytał: proszę oświeconego sądu, czy tam siedzą złodzieje, czy ludzie? bo jeśli ludzie, to jabył poszedł do aresztu. Za obrazę majestatu wymierza sąd karę wedle stanu: włościanie otrzymują parę tygodni więzienia, wykształceńsi po kilka miesięcy. Snadź zdziwiła ich ta ilość obrazicieli majestatu między ludem wiejskim, nie chcą więc surowością kary wykorzeńić w nim do reszty miłości dla monarchy.

Przybywa wszakże i grubszej zwierzyny: siedzi znów Gołejewski, osadzono Steffego Oczosalskiego, przywieziono Stanisława Tarnowskiego, posła Drohojowskiego, Fortunata Stadnickiego, nareszcie nieocenionego Rajchsrata-Rogawskiego.

Rajchsrat okropnie zakłopotany tem, że gdy go więziono w Wiedniu po zalimitowaniu Rady państwa, zabrano mu prócz innych papierów, także list, który był wygotował do arcyksięcia Maksymiliana i nawet już zaadresował i zapieczętował; w liście tym było coś podobnego, jak ofiarowanie korony polskiej jednemu z arcyksiążąt. Otóż Rogawski nie wie, czy mu ten list nie zaszkodzi, i radzi się wszystkich z kolei: czy ma się do autorstwa tego listu przyznać? Ne zdurysz, — my nie kwiczoły, aby nas można w tak niezgrabne brać sidła; w Sadeckim możeby ci uwierzyli, ale tu stajesz się tylko śmiesznym! Spodziejając się, że go przyjdą aresztować, przygotował umyślnie list, z któregooby policyja i sąd mogły się przekonać o jego przywiązaniu do dynastji austr. —

to przecież tak jasne, że trzeba być mazurem z pod ciemnej gwiazdy, by sądzić, że ludzie tego nie zobaczą.

Kochany Stefi pierwszego dnia wyglądał tak, jak pies złapany przez oprawcę, gdy się znajdzie w skrzyni. Nie pił, nie jadł, nawet nie dowcipkował, siedział skulony w kaźni, do której go wpuszczono i tak potulny, jak gdyby dwóch zliczyć nie umiał. Lecz na drugi dzień był już jak w domu. Kapelusze na bakier, ręka w kieszeni, nos naprzód jak u wyźła, gdy coś wietrzy w powietrzu, na ustach zaś piosnka, (którą już w kozie nauczył) „Cześć wam magnaty... psubraty“ etc., którą ile razy jaki powstaniec pokazał się w oknie, odśpiewywał jak można tylko najfałszywiej. Tak go zastałem na spacerze. Co słyszeć nowego na świecie? Co się dzieje z tym, z owym? Zasypujemy go pytaniami, — zapytał też ktoś, co się stało z pułkownikiem Strusiem (Sawickim), któremu Różycki, odjechawszy do Paryża, zostawił był zastępstwo swoje. Strluś odleciał, rzekł Stefi; ale à propos Strlusia powiem panom anegdotekę, zaręczam, że prławdziwa. Zaczął tedy opowiadać, że pułkownik Struś mieszkał przez niejakiś czas u państwa Peplowskich przy ulicy Piekarskiej, potem wyprowadził się, wskutek czego pani Peplowska wypędziła z domu pana Peplowskiego. Po niejakiem czasie dano pani Peplowskiej na kwatere jakiśos z dystyngowańszych powstańców. Pani Peplowska podróżowała dużo, a będąc miłośniczką muszel i tym podobnych gracików, posiada dość spory zbiór podobnych rzeczy, między którymi znajduje się także strusie jajo. Powstaniec oglądając ten zbiór, pytał to o to, to o owo, a grzeczna gosposia tłumaczyła; nareszcie wskazując na strusie jajo, pyta: a to co, proszę pani? To, rzekła gosposia, jajo strusia. Puł... pułkownika! wykrzyknął pytający, załamując ręce.

Gdy śmiech homeryczny, którym przyjęto ten koncept, ustał, zaczęto mówić o ogólnym stanie kraju, o wrażeniu, jakie zrobił stan obłączenia. Stefi zapytał: a wiecie, kto jest właściwie przyczyną zaprowadzenia stanu obłączenia? No, któż taki? zapytano. „Morski“. Co za Morski? Morski, zaczął opowiadać Stefi, jest to zbankrutowany szlachcic z rzeszowskiego czy tarnowskiego; nazywa się hrabią... Razu jednego chciał pewnej damie mającej wpływ między obywatelstwem, zrobić wizytę i prosić ją, by mu była wpływem swym pomocną do wyratowania wioski

żoninej, którą zaszargał, każe się anonsować jako hrabia Morski. Kamerdyner więc anonsuje owej damie hrabiego Morskiego. Hrabia Morski, rzecz dziwna: widziałam psa morskiego, świnkę morską, ale hrabiego morskiego jeszcze nie widziałam: a podaj go asan tu... Otóż ten hrabia Morski udał się także do posła Rogalińskiego po radę, czyliby nie można uzyskać od rządu zezwolenia, puszczenia tej wioski na loteryę i wyratować tym sposobem nietylko majątek żony, ale zebrać przytem w dodatku trochę grosiwa, jak to się zwykle działo przy takich loteryach. Rogaliński odpowiada, że to rzecz trudna, ponieważ rząd nie daje teraz podobnych koncesyi, chyba w razie położonych szczególniejszych zasług. Zadumał się hrabia Morski, zadumał się i poseł Rogaliński; po chwili wszakże rozjaśniło się oblicze pana posła. Pan Rogaliński był najprzeciwniejszym wszelkiemu wspieraniu powstania, które uważał od samego początku za klęskę nie tylko dla Kongresówki ale i dla Galicyi, a chcąc od tej ostatniej przynajmniej odwrócić gniew cesarski, nosił się już od dawna z myślą wystosowania do Najjaśniejszego Pana adresu lojalności, odpychającego od obywatelstwa wszelkie współnictwo z powstaniem. Zwierza się więc Morskiemu, którego za zesłanego sobie od Boga uważać zaczyna i radzi mu, aby zebrał podpisy na taki adres i adres ten przedłożył cesarzowi: zbawi tem kraj i położy taką zasługę, że mu pewno nie odmówią koncesyi na loteryę wsi żoninej. Dictum, factum. Ułożono adres lojalności, a hrabia Morski dobrawszy sobie hrabiego Reja, znaleźli obywatele, którzy adres ten podpisali, a między tymi figuruje księżę Władysław Sanguszko (!) i wręczyli go cesarzowi, co zdecydowało ministeryum do zaprowadzenia stanu oblężenia. Za autentyczność ręczy Stefi. Tak więc dokonał hrabia Morski, czego niemógł dokonać hrabia Ponilly!

Kazienka nasza tak szczupła, że między łóżkiem a łóżkiem zostało tylko okno i drzwi; na tej tedy przestrzeni, na której wiatr przeciąga nieustannie, a gdy kto drzwi otworzy, zmienia się w burzę, zdmuchującą ze stolika papiery i książki, trzeba przepędzać cały czas, jeśli się nie jest na spacerze. Nabawiłem się reumatyzmu, który łamiąc prawe ramię, zagaszczają czasem do głowy. Lekarz wojskowy zapisał mi morfinę, lecz jest zdania, że

mi tylko kąpiel parowa pomódz może. Musiał coś wspomnieć o tem generałowi, bo odwiedził mnie dzisiaj, pytając o zdrowie. Co za grzeczność! Prosiłem go o pozwolenie chodzenia pod wartą do łaźni, nie odmówił, owszem polecił Beerowi, aby wybrał z pomiędzy kluczników „einen verlässlichen u. bescheidenen Korporal“, który by mię eskortował; żądał wszakże, bym chodząc do łaźni, do żadnego nie wstępował domu. Po odejściu generała Beer zawiadomił mnie, że mi wyznaczył na eskortę feldwebla Buzana, poczciwego człowieka i szepnął mi, że mogę sobie przechodząc Majerowską ulicą, wstępować czasem do domu, byle „ohne Aufsehen“. Dobrze to i chorować czasem, pomyślałem sobie; radość moja wszelako nie trwała długo, bo już w południe zakomunikował mi Beer, że z tego nic nie będzie, ponieważ Ottenburg sprzeciwia się temu stanowczo. Któż jest Gerichtsherrem? Reichart czy Ottenburg? Świat się przewrócił do góry nogami, czy słyszał kto przed tem, by w armii austr. major śmiał się sprzeciwiać generałowi i kasować jego postanowienia?

Trzeba więc podać o wypuszczenie za kaucyą, chociaż wstręt mam do tego nie przyzwyczajony, bo o to prosić trzeba pana Mensdorffa, obaczę zresztą czy Benöemu się uda wydobyć, którego żona przyjechała w tym celu do Lwowa i była już u Mensdorffa.

Ce n'est que le premier pas qui coûte: pan Mieczysław Pawlikowski wykierował się na apostoła zasad proudhonowskich; kiedyś tu dowodził, że wkrótce przyjdzie czas, że ludzie obchodzić się będą bez pieniędzy; dziś zaś dowodził zasadę: la propriété c'est le vol. Książd Bukowski był anszantowany.

Nie ma nic niestrawniejszego, jak niedogotowana ryba i niedowarzony mędrak.

Że Proudhon jest człowiekiem jenialnym, o tym nikt nie wątpi; że bezwzględna anatomią stosunków społecznych oddał wielką usługę ekonomice, to także rzeczą pewną. Lecz sam Proudhon nie ma pretensyi do budowania czegoś, — jest on chodzącą krytyką wykazującą wady, — a dopiero tym, którzy po nim pisać będą w zawodzie ekonomii społecznej, posłużą dzieła Proudhona jako wskazówki czego unikać potrzeba. Brać twierdzenia Proudhona jako prawdy dodatnie, jest to nie mieć najmniejszego wyobrażenia o ekonomice. Czy przedstawicielem

wartości przy wymianie jest kawał kruszcu opatrzony stemplem, czy bilet banku ludowego, to na jedno wyjdzie, zawsze musi być przy wymianie przedstawiciel jakiś wartości, to znaczy pieniądz, inaczej wymiana między ludźmi cywilizowanymi będzie niepodobna; tylko ludzie dzicy, którzy sami się zaopatrują we wszystkie swe potrzeby, lub niektóre tylko nieliczne wymieniają przedmioty, mogą się obejść bez pieniędzy. Coby na przykład począł u nas autor, który drogą prostej wymiany swego manuskryptu, chciałby się zaopatrzyć w mieszkanie, opał, światło, suknie, bieliznę, obuwie, jadło, materyały do pisania książki? Czy ofiarowałby za te różnorodne potrzeby po jednej, lub po kilka kartek swego manuskryptu?

Nie podobna też wczytawszy się w Proudhona, brać gołosłownie axyomatu jego, że „własność, to kradzież“ — jest to także tylko krytyka stosunku obecnie między kapitałem a pracą zachodzącego. Jeśli zaś chcemy już cytować ślepo czyjeś zdania, dla czegoż cytować raczej Proudhona, wielbiela moskiewskiego despotyzmu, przekręcającego ów axiomat na inny: „kradzież, to własność“, niżeli Buske'go, obrońcy wolności, który napisał słowa „property is liberty“. — Tak jest: własność, to wolność. Człowiek, który nic nie ma, nie może być wolnym, dla tego i naród: chcący być wolnym, musi o swym byciu materialnym pamiętać. Powinniby nad tem zastanowić się nasi „ludzie czynu“, którzy wszelkie dążenia do polepszenia bytu materialnego w kraju naszym, uważają za zdradę sprawy. Bo jakże, wołają, w społeczeństwie, które zajęte materialnymi interesami, utrzymać idee szlachetne, poszanowanie prawa, zamiłowanie w cnocie, patriotyzm i gotowość do ofiar? Jak? a od czegoż prasa? Dziennikarstwo jest echem społeczeństwa, echem straszmem, roznoszącem każdą wieść po całym kraju, budzącem najzatwardzialsze sumienie. Złe i dobre służy mu zarówno, dobre by rozradować serce i do współubiegania się zachęcić, złe, by rozbudzić wstręt i gniew. Nie lękajcie się więc aby zmaterializował się naród, który ma dziennikarstwo, lecz bądźcie przekonani, że naród ubogi nie wybije się na wolność a jeśli ją ma, to ją wkrótce straci.

Co się zaś tyczy apoteozy interesu ogólnego, którą znajdujemy wszędzie w Proudhonie, to nas zastosowanie tej zasady, że interes ogólny czyli państwowy, stoi nadewszystkiem, że tak



zwane *raison d'état* jest „najwyższem prawem“ — do najdespotyczniejszych rządowych przedsięwzięć i kroków prowadzi, opamiętać powinno. Im bardziej uznajemy się demokratami, tem silniejszym powinno być indywiduum, tem świętszą własność. Wszystko co osłabia indywiduum, prowadzi do demagogii. W narodzie wolnym każdy obywatel jest panem swego sumienia, swej osoby i swego mienia. W chwili gdy złączą prawicę o interesie ogólnym, zamiast mówić o prawach indywiduów, naród staje się tłumem i dostaje pana. W chwili gdy interes ogólny stanie tak wysoko, że wobec niego zmaleje wszystko, że wszystko staje się godziwym, czego wymaga interes ogólny, naród tracąc moralność przestaje być społecznością i staje się zgrają, której przewodzą złoczyńcy.

Publikowano cały szereg wyroków: Łączyński, Kęplicz, Eminowicz, Golejewski, Oczosalski, Gros, wypuszczeni z braku dowodów, czyli podług terminologii „*dér hochnoth peinlichen Halsgerichtsordnung*“ podług której nas sądzą, „*losgesprochen ab instantia*“. Czekoński, Mianowski i Szemerowicz, doktor sztabowy Różyckiego, wypuszczeni *commisionaliter*, to jest z braku poszlak, kazano im tylko kraj opuścić. Kochany doktorek, nie posiada się z radości, śmieszna to figurka: głowa, barki, ręce, nogi uformowane na olbrzyma, cóż kiedy brak tułuba, bo wysokość doktorka nie wynosi nad dwa łokcie. Gdy się wybierał do wyprawy Różyckiego, przypasano mu jakiś kordelas, który mu sięgał od bioder do pięty i wsadzono na kucyka. W bitwie pod Salichą zsiadł z konia, by opatrzyć rannego, lecz potem nie sposób dostać rumaka, a tu Wołyńcy już daleko. Hola, zaczął wołać eskulap, pomóżcie mi wsiąść na tego smoka! — i znalazła się jakaś litościwa dusza, co go wysadziła na grzbiet kucyka-smoka, bez tego nie bylibyśmy prawdopodobnie zrobili znajomości z zacnym eskulapem.

Nie tak szczęśliwymi jak poprzedni koledzy, byli Łoziński, Janko, Pawlikowski, Leszczyński. Łoziński chociaż tyle winien co Czekoński, został skazany na rok, zdaje się, że li tylko za swą butę wobec sądu, chwalił się bowiem, że protestował przeciw kompetencji i że im wyrznął kapitułę. I owszem, jeśli to zrobił, nie powinien teraz lamentować na wyrok, bo przecież wiedział,

że nie będzie sądzonym przez sędziów, lecz przez zbirów. Biedny Janko skazany został na trzy lata, jedyną przeciw niemu poszlaką był znaleziony u Leszczyńskiego cyrkularz wystosowany do naczelnika powiatu Turka, zaopatrzony pieczęcią z napisem „Naczelnik obwodu Samborskiego“, dotyczący zachowania się wobec zaprowadzonego stanu oblężenia, a pisany ręką widocznie kobiecą; pod pieczęcią znajdował się dopisek, jak biegli w sztuce zeznali, ręką Janki pisany: „podatki odwozić do kasy obwodowej“. Perswadował mu Ottenburg, by prosił o łaskę: Janko, oświadczając że jest niewinnym, łaski żądać nie chciał; chciał założyć rekurs do wyższej instancji, powiedziano mu, że od wyroku sądu wojennego nie ma rekursu; wtedy Janko wskazując ręką do góry, rzekł: „so appellire ich an Den, der uns einst alle richten wird“ i opuścił salę. Chwał starowina. Leszczyński dostał wyrok na dwa lata, a chociaż przedtem odgrażał się, że nie będzie prosił o łaskę, podał wszakże po odczytaniu wyroku prośbę o zmniejszenie lub przynajmniej o zmniejszenie kary, w drodze łaski generał Reichart opuścił mu cały rok. Pawlikowski skazany na dwa lata i to nie za zbrodnię zdrady głównej, o którą mu proces wytoczono, lecz o zaburzenie spokoju publicznej przez wspieranie powstania. Ten może mówić o szczęściu. Zależono u niego tak kompromitujące papiery, że mu ogólnie wrócono lat piętnaście więzienia. On naczelnik policji narodowej i biedny szlagun Leszczyński, u którego znaleziono wspomniany cyrkularz, który się mógł nawet nie tyczyć jego, skazani na jednakołą karę, to troszkę rażąco. Musiała mamunia dobrze chodzić koło interesu. Żona jego, którą on przez swą niedarowaną lekomyślność naraził na rewizję i zabranie papierów komitetu damskiego, przez co wszystkie te damy dostały się do kozy, — uciekła za granicę; piękna szlachetność wpakować do więzienia kilkanaście osób biednych, które nie mogły dla tego uciec, że są biedne, a samej wynieść się!

Pawlikowski leżąc w łóżku, rozprawiał coś ze swymi adjutantami Sztarklem i jeszcze kimś, gdy wszedł do jego pokoju sypialnego komisarz policji; Pawlikowski biorąc go za kogoś znajomego, a nie chcąc by mu przeszkadzano w rozporządzeniach, które prawdopodobnie swym adjutantom wydawał, wskazał mu drzwi prowadzące do drugiego pokoju, prosząc by tymczasem poszedł do żony. Pan

komisarz, który nie miał polecenia robienia rewizyi u pani, lecz u samego tylko pana Pawlikowskiego, pojął natychmiast, że tu może się da złapać dwie muchy odrazu, skłonił się więc i nie rzekłszy ani słowa, otworzył wskazane mu drzwi i znalazł się za plecami pani Pawlikowskiej, siedzącej przy biurku nad rozłożonymi papierami rachunkowymi komitetu niewiast polskich, trudniącego się, by tu mimochodem powiedzieć, także policją między innymi. Chciałbym był widzieć ówczesny wyraz twarzy pana Bleima! Nim się spostrzegła pani Pawlikowska, już ręka prawa Bleima była na papierach: „za pozwoleniem, kładę arest na te papiery, jestem komisarzem policji i mam polecenie zrobienia tu rewizyi“. Gdy to się dzieje w pokoju pani Pawlikowskiej, dwóch fertrauterów policyjnych, którzy razem z Bleimem przybyli, obsadziwszy policyjantami wychody mieszkania i zabezpieczywszy się tym sposobem, że nikt nie ucieknie, przyszedli do pokoju Pawlikowskiego i zdumionemu ich zapytaniem: gdzie jest pan komisarz policji? wytłomaczyli dopiero, że owym panem, którego on posłał do żony, jest komisarz policji, przybyły tu na rewizję. Jaki wyraz twarzy Pawlikowski wtedy mieć musiał, łatwo pojąć... Rewizya trwała długo, zabrano korespondencyę z rządem narodowym, oryginalne instrukcyje tegoż rządu co do prowadzenia policji narodowej, odpisy tajnych poleceń namiestnictwa do władz tutejszych policją trudniących się; zabrano też zaraz pana Pawlikowskiego, pani dano spokój, bo względem niej nie było rozkazu. Pani też nie namyślała się długo, lecz zaraz drapnęła. Mimo tak niespodziewanie łagodnego wyroku, chciał Pawlikowski rekurować, Ottenburg wściekał się i słusznie zdaje mi się perswadował Pawlikowskiemu, „dass er sich zufrieden stelle“ przy wyższem odwołaniu się bowiem, musiałby surowszy wypaść wyrok, a przytem pana Ottenburga sprawiedliwość fatalnie mogłaby być skompromitowaną. Pawlikowski zaś zaciął się i domagał się, by mu pozwolono poradzić się ze swym adwokatem. Ottenburg pozwolił nareszcie na widzenie się z Madajskim; nastąpiły nowe perswazyje, skończyło się nareszcie na tem, że Pawlikowski podał rodzaj przedstawienia do Reicharta, tej treści, że dwuletnie więzienie przy jego słabem zdrowiu przepawiło by go o śmierć, a on przecież na śmierć skazanym nie został. Nie jest to więc prośba o ulaskawienie, ale zawsze pismo

podane tą drogą, którą się udaje po łaskę. Jance i Pawlikowskiemu powiedział poufnie Beer, że będą wywiezieni na fortecę, wszystkich, którzy na więcej jak rok skazani zostali wywiozą, czekają tylko na wskazanie przez ministerjum wojny miejsca, do którego mają być wywiezieni.

Chwała Bogu, że powypuszczano kobiety na wolność aż do dalszego śledztwa: czy to z ludzkości zrobiono, czy dlatego, że nie mieliby miejsca na umieszczenie ważniejszych troszkę więźniów?

*Helka*  
Benoë puszczonej za kaucję 3000 zlr., podała więc i Helka o moje wypuszczenie, — do Mensdorffa zaś poszła stryjenka Julianowa, która przyjechała, by synalka swego, którego także uwłężono, ratować. Gdy Mensdorffowi przedkładała, że jestem tak mocno cierpiącym — zauważył, że kto prowadzi wojnę, ten powinien być przygotowanym, że mu przynajmniej trochę krwi upuszczą. Pan Mensdorff widać dowcipkuje sobie. Oświadczył nareszcie, że postępowanie karne wojskowe nie zna uwolnienia za kaucję i że to nie zależy od niego. A od kogoż, pytam za-  
leżeć może, jeśli nie od tego, któremu cesarz powierzył prawo życia i śmierci. A dlaczegoż Benoëgo uwolnił? czyliż dlatego, że ja się nie znam z pułkownikiem Stenzlem, jak Benoë, ani a z żadnym innym pułkownikiem, mam już zostać kaleką w więzieniu?

Jasunia Dylewskiego puszczonego na wolność do dalszego śledztwa; stryj wdziawszy mundur i przypasawszy pałasz, poszedł do Mensdorffa, wspomniał, że ma starszego syna w Holsztynie i że został dekorowany za waleczność, to skutkowało. — Nie mając wojskowej protekcji, poleciłem aby się udano do żydków i próbowano mnie wydobyć za pomocą pieniędzy; to przecież pewna, że Ottenburg wziął od Pawlikowskiego, całą sztukę w tem, by się dowiedzieć przez kogo bierze. Pawlikowski nie chce teraz wyjawić drogi prowadzącej do sumienia pana prezesa sądu wojennego: obiecał że ją wskaże, gdy będzie wyjeżdżał ztąd, Bóg wie kiedy to nastąpi, a tu „romatysty łupią“, jak zwykł mówić Gucienko.

Wywieźli Jankę i Pawlikowskiego do Ołomuńca, a z jankami przezornościami, czy ci głupcy sądzą, że ich tu kto od-

bijać będzie? Zaraz po obiedzie powiedział Beer Jance, że nazajutrz rano koleją żelazną odjedzie, żądał wszakże słowa honoru, że zachowa tajemnicę, dopokąd nie zostanie urzędownie zawiadomionym. Korzystając z tej wskazówki zażądał Janko pozwolenia widzenia się z siostrzenicą swoją panią Szydłowską i zapatrzał się tym sposobem w pieniądze na drogę i na pierwsze potrzeby w Ołomuńcu. Skazańcy miewają wizyty już nie u rezydentów, lecz u Beera; trzeba wprawdzie i tu każdym razem pozwolenia od generała, lecz Beer jest wyrozumiałym człowiekiem i pozwala czasem widywać się bez pozwolenia, — tak ja widziałem się ze stryjenką i styjem Julianem, tak samo widział się przed wyjazdem Janko z p. Szydłowską. Po spacerach gdy nas już na noc zamykano, przyszedł Blaschke i zawiadomił Janka, że ma się spakować i rzeczy dziś jeszcze oddać, by mogły być urzędownie uwierzytelnione jako własność więźnia. Janko już za dnia drobniejsze rzeczy był spakował, nie potrzebował się więc spieszyć, wypiliśmy herbatę, — kto wie czy już kiedy razem pić będziemy! Pocciwy Henryk trzyma się siłą duszy, ale fizycznie jest bardzo stary, przytem lat 58 na grzbiecie, cierpi on też moralnie choć tego nie okazuje; nie raz w nocy obudziwszy się słyszałem jak boleśnie stękał. — Pomogłem mu resztę rzeczy spakować jak było można najlepiej, potem oddawszy wszystko prócz pościeli, którą nazajutrz miał wziąć z sobą w osobnym tłumoku, położyliśmy się spać. Janko zasnął zaraz, ja nie mogłem zasnąć, — po godzinie lub dwóch przebudził się Janko i już nie mógł zasnąć, nie mówiliśmy wszakże nic do siebie, by się jeszcze bardziej ze snu nie wybić! Nad ranem usnąłem, czy on usnął, nie wiem. O czwartej z rana zbudził nas Blaschke, Janko wziął się do pakowania pościeli, ja mu zrobiłem kawę, o piątej przyszli po niego, uścisnęliśmy się nie wymówiwszy słowa, pocciwemu Buzakowi łyżę się w oczach zakręciły, szkoda, rzekł zamykając drzwi za Janką, pocciwe panisko.

Wywiezienie to zwarzyło nas wszystkich, na spacerze nie było ni figłów zwykłych, ni śpiewów. Koło południa była rewizya u Nizienieckiego. Pawlikowski, którego okno wychodziło na ogród przytykający do realności Nizienieckiego, dał wieczorem komuś od Nizienieckiego znać, że nazajutrz rano ma być wywieziony. Mimo więc tajemniczości z jaką sąd wyjazd ten osło-

nić się starał, było na dworcu kolei mnóstwo kobiet. Zaczęto dochodzić ktoby mógł zdradzić tajemnicę i okazało się, że rozmawiano z kaźni z kimś będącym na strychu u Nizienieckiego. Wpadła tam więc rewizya, przypadkiem była tam wówczas pani Schmittowa, na strychu bowiem Nizienieckiego pełno zawsze było bab, chcących podczas spaceru więźni pomówić ze znajomymi; pan jenerał rozgniewany zdarł jej welon, który była spuściła, by ująć niepoznaną i w ogólności podczas tej rewizyi postępował z brutalstwem godnem soldata austryackiego. Wartom na ogrodzie, które potrojono, — stoi teraz 14 żołnierzy podczas gdy dawniej bywało najwięcej pięciu, dano najsurowszy rozkaz, aby nie pozwalano więźniom rozmawiać z osobami, któreby ze strychu szopy Nizienieckiego wyglądały; dostało się też niektórym paniom, które mimo przestrogi z naszej strony, że nie wolno rozmawiać, wdawały się w konwersacye z powstańcami, najpiękniejsze komplementa, na jakie się tylko Węgier zdobyć może; sypały się w węgierskim i polskim języku jak grad ku szparom, przez które owe biedaczki nam się przypatrywały. Ciekawe czasem były te rozmowy przez szpary: „Mój drogi Jasiu“, szeptała raz żoneczka pana Czarneckiego, „idź już do kaźni, chłodno a tyś nie zdrów a do tego lekko ubrany“. Drogi Jaś, gdy czuła ta prośba została powtórzona, posłuchał i wyszedł z ogrodu, — ledwo się drzwi z ogrodu za nim zamknęły, czuła żoneczka zaczęła wabić „panie Romanie, panie Romanie“ i przybliżył się smukły powstaniec na ten, snadź mu znany głosik i padła mu pod nogi paczka dobrych cygarów, „Adieu“ „dziękuję, do widzenia“.

Poznałem męża tak zwanej siostry Majkowskiego; młody i bardzo przystojny człowiek, pan Jan nie wart mu rozwiązać rzemienia u trzewika, a przecież... Bóg tam raczy wiedzieć jaka tego przyczyna.

Narzekamy, że społeczeństwo, coraz bardziej rozprzega się i psuje. Chcąc mieć dobre społeczeństwo, trzeba dbać o dobre małżeństwa, małżeństwa zaś nigdy nie będą dobrymi, jeśli się będą zawierać dla konweniencyi. Niech sobie panna sama wybiera męża a nie zważa przytem ani na pozycyę, ani na majątek, jeno na serce; — ono jest prawdziwem bogactwem, które się nie lęka ani czasu, ani trafu. Niech zaś przedewszystkiem wybierze

meża, którego poważa i który tak myśli jak ona. Miłość ulatuje z czasem, szacunek i zaufanie zostaje w domu i starzejąc się staje się czemś świętszem niż miłość. Żona powinna być dumną z meża, matka z ojca dzieci swoich.

Już Arystoteles skonstatował, że kobiety stanowią połowę rodu ludzkiego. Ludzkość wszakże nie bardzo korzystała z tego odkrycia, bo dotąd nie bardzo się niemi zajmuje na drodze postępu swego, kto wie czy to nie jest przyczyną tak uderzającej powolności tego postępu? Jeśli kobiety nie podzielają naszych nadziei, naszych obaw, to zrobią, że my będziemy podzielać ich słabości i kaprysy. Nam trzeba żon, córek, matek, które kochają namiętnie wolność, aby ich mężowie, ojcowie i synowie nie ostygli nigdy w tej świętej miłości...

Uważano, że kobiety z natury są ambitne. Mąż młody i przystojny, który niczem nie jest, nie potrafi podobać się długo żonie, podczas gdy mąż starszy otrzyma najśladniejszy uśmiech, jeśli skronie jego sława wieńczy. Niechże do tej wrodzonej ambicyi przyłączy się miłość, natenczas żona staje się naszą połowicą w najpiękniejszym tego słowa znaczeniu, natenczas żyje się, myśli się, marzy się we dwoje, używa się najdoskonalszego szczęścia na ziemi.

Dziwią się, że Austria tak bogata, upada dla braku finansów. A iakżeż dotąd Austria była rządzoną. Despotyzm nie jest siłą; spojrzycie na północne Stany Zjednoczone: milionowa armia, tysiacczne miljonowe wydatki i nie ma narzekania, nie ma buntów przeciw rządowi. Im naród jest wolniejszy, tem posłuszniejszy i pochopniejszy do ofiar, — a więc tem silniejszy.

Obrzydzenie bierze czytając w dziennikach liberalnych ciągle i ciągle powtarzany frazes: „wolność i porządek publiczny“. Czy zastanawiali się ci ludzie, którzy się mieniają być przyjaciółmi wolności, nad znaczeniem tego frazesu, tego nowożytnego: Mane, Tekel, Phares, — tej zagadki, którą Sfinx rewolucyi daje ludom do rozwiązania co kilkanaście lat, zawsze gotów pożreć Oedyppa, który jej nie rozwiąże.

„Wolność“ i „porządek publiczny“, to jakby dwa śmiertelne wrogi, naprzemian zwycięzcy i zwyciężeni, wiodący z so-

bą nieustanną walkę, której koszta ludy ponoszą. Raz zwycięża „Wolność”: w niebo biją okrzyki radości i nadziei — a to pod maską tego jasnego bóstwa, tryumfuje anarchya, wiedząca za sobą wojnę domową, grożąca wszystkim prawom, podkopująca wszystkie interesa, przerażająca zgrozą narody. — Nazajutrz ustala się „Porządek publiczny“, z mieczem w ręku, przynoszący pokój, nakazujący milczenie, wkrótce przełamujący wszelkie szranki i własnym ciężarem zsuwający się w przepaść, w którą wpada każda władza niemająca ani doradcy, ani wędzidła.

Precz więc z takim porządkiem publicznym! Wolność zagwarantowana co do pełnego wykonywania prawa, karana przy nadużyciu prawem: oto jedyny porządek publiczny, który nie znosi wolności, a zapobiega jej nadużyciom. Porządek publiczny, to nie administracya, która rozporządza wszystkim, przewiduje wszystko i wszystko porządkuje; porządek publiczny nie jest niczem innym, jak tylko wolnością, a wolność porządkiem publicznym. Skoro porządek publiczny oddzielimy od wolności, skoro go uosobimy, otoczmy działami, siłą zbrojną, hierarchią administracyjną, policją prewencyjną, urzędnikami nienaruszalnymi, sądami uprzywilejowanymi, — już zdusiliśmy wolność i stworzyli despotyzm. Lecz utworzmy wszechwładzę prawa, zróbmy obywatela panem swych czynności i za nie odpowiedzialnym, poddajmy urzędnika pod prawo pospolite, uczynimy administracyę odpowiedzialną przed zwykłym sądem, zróbmy sędziego li tłumaczem prawa, — a będziemy mieli porządek publiczny razem z wolnością. — Prawo i Sąd, — oto cały system dobrego rządu.

Cywilizacya! każdy ma ten wyraz na pogotowiu, gdy przyjdzie coś wytłumaczyć, czego wytłumaczyć nie umie, lub gdy trzeba coś upowodować, do czego brakuje argumentu... Cóż to jest cywilizacya? Jest to wyraz nader zawily, zawiera bowiem tyle rozmaitych pierwiastków, że każdy niemal naród, mógłby sobie pod względem cywilizacyi rościć prawo do pierwszorzędności. Bo cóż stanowi cywilizacyę? Religia czy polityka, obyczaje, industria, umiejętność, literatura, sztuka? Czy jedna z tych rzeczy, czy wszystkie razem? Odpowiedź nie łatwa. Naprzykład sztuka, którą świat pogański nazywał kwiatem cywilizacyi, zakwita



jak uczy doświadczenie, na zbutwiałej lodydze: Francya ma pod tym względem, więcej uzdatnienia niż Anglia, lecz Włochy nie-równie wyżej stoją od Francyi, czyliż stąd idzie, że Włochy są wyżej wycywilizowane niż Francya i Anglia. W industrii każdy wolny naród, równy drugiemu. — Umiejętność znów nie zna ojczyzny. Co się zaś tyczy literatury; każdy naród ma w swej literaturze wyraz swej myśli i dziwactwem byłoby dochodzić, kto wyżej stoi Dant czy Szekspir, Schiller czy Mickiewicz? Lecz religia, obyczaje i polityka narodu, tworząc związek niewidzialny, stanowią jego cywilizację, rdzeń narodowy w terażniejszości i na przyszłość.

Rozpoczęto ze mną nareszcie śledztwo. Prowadzi je Ho-łyński bez wszelkiej wystawy, jak przy innych śledztwach, któ-rem asystuje cała komisya wojenna, złożona notabene z samych oficerów, jeśli inkwizyt szlachcic,<sup>2</sup> jeśli zaś nie szlachcic<sup>2</sup> z oficerów i szeregowców. Śledztwo rozpoczęło się ab owo, pyta mię o to, o co już byłem pytany, bądź przez Kuczyńskiego, bądź przez Stenzlę. O komitecie wzmianki niema; idzie tylko o wyprawę Miniewskiego. Zaprodukowano mi papiery u Wasilewskiego zabrane. Jest to najpierw prosta kopia, bez podpisu żadnego, tłumaczenia się Miniewskiego przed sądem wojennym z chybionej wyprawy. Miniewski zwała całą winę na organiza-cyę, że o niczem nie myślała, niczego nie przygotowała. Nazwisko moje przychodzi tu raz jeden, w następującym okresie. „Zawiadomiłem pana komisarza Wasilewskiego i Wielmożnego Ziemiałkowskiego, że mam rozkaz przekroczyć granicę koło Berodni w nocy z 30-go na 1-go“. To jeszcze nic nie dowodzi; wszak tu nie idzie o zbrodnię zdrady głównej, gdzie już sama wiedza o popełnić się mającej zbrodni, stanowi zbrodnię. Zawiadomił prócz Wasilewskiego jako komisarza, także Ziemiałkowskiego, bo był właśnie wówczas u Wasilewskiego; zresztą Ziemiałkowski, to jeszcze nie koniecznie ja. — Na kopii tej dopisano inną ręką wezwanie do komitetu, o nadesłanie uwag nad tem tłumaczeniem. Dopisek ten stanowi więz między tem pismem a relacją Wasilewskiego, która zaczyna się od słów: Stosownie do polecenia przedkładam komitetowi wyjaśnienia, co do wyprawy Miniewskiego. Nazwisko Ziemiałkowskiego przychodzi tu kilka razy

*oficer albo szeregowiec*

wymienione; i tak, przyjechał do Sieńkowa... uprosił Masłowskiego, by się udał do obozu i zrobił tam porządek... zagnął razem z Niewiadomskim bawiących w Środopolcach oficerów, do udania się na miejsce zborne... nie mogłem przybyć do obozu, ponieważ jadąc w nocy z Ziemiańkowskim, przez patrol zostaliśmy przytrzymani i do Baryłowa odprowadzeni. Lecz i ten tak zwany raport Wasilewskiego nic nie dowodzi przeciw mnie. Wasilewski bowiem nie jest na nim podpisany, jest to tylko brulion nieczytelny i niedokończony, przychodzi w nim także nazwisko Załuski, Żerdziński, a w jednym egzemplarzu stoją litery początkowe Z. w miejscach, w których w drugim egzemplarzu wypisane nazwisko moje. Wasilewski przeczy, że to jego pismo, a nawet, że u niego było zabrane. Z tego wszystkiego prawdą jest tylko, że byłem w Sienkowie i że jadąc z Wasilewskim byłem przytrzymany. Reszta jest fałszem. Że jechałem w dzień powołuje się na lokaja i furmana, którzy z nami jechali, że nie byłem w Środopolcach poświadczy Ślucki i jego żona, których znam dobrze, więc gdybym był w Środopolcach, byłbym niezawodnie zajechał do nich do dworu; że Masłowskiego nie posyłałem do obozu, wynika stąd, że śledztwo nie wykazało iż tam jakiś Masłowski był wówczas, a tłumaczenie się Miniewskiego wyraźnie mówi, że w obozie nie było nikogo z Organizacji. To, że okoliczności te przytoczone w tak zwanym raporcie Wasilewskiego, nic nie dowodzi. Wasilewski, czy kto tam pisał ten raport, mógł pisać i nieprawdę, jakoż udowodniono raportem oficera Fapawizy nieprawdą jest, że patrol mnie i Wasilewskiego odstawiła do Baryłowa, — pozwolono nam bowiem jechać z Wygody dokąd zechcemy. Otóż jeśli w raporcie znajduje się jeden fałsz, może ich być i dwa i więcej.

Przytaczał mi Hołyński na dowód, że jechałem w nocy i podczas ulewy, a więc nie do Mierzyńskiego, jak twierdziłem przy pierwszym protokole, lecz oczywiście do obozu: zaprzysiężone zeznania Fapawizy i jakiegoś chłopca, oraz zeznania parobka na Wygodzie, że na naszej bryczce był wór z chlebem a drugi z wędliną, oczywiście dla powstańców przeznaczone. Przeciw zeznaniom co do okoliczności, że jechałem w nocy i podczas ulewy, są świadkowie nie podejrzani, lokaj i furman Wasilewskiego, zresztą Fapawiza mówi, że było między 3-cią a 4-tą rano;

30 czerwca zaś między 3-cią a 4-tą rano świeci już słońce, pan Fapawiza też mógł doskonale czytać bez latarni nasze karty legitymacyjne. Zeznanie chłopca jest zupełnie bez znaczenia: mówi on, że przyjechała w nocy jakaś bryczka od Sabina, na której siedziało dwóch starszych panów z tyłu, a na przodzie dwóch młodych, których patrol zabrała. Otóż my jechaliśmy nie z Sabina lecz z Sienkowa; z tyłu siedziałem ja i Wasilewski, którego nie można policzyć do starszych ludzi, liczy bowiem 28 lat, z kozła zaś patrol nie wziął dwóch ludzi, lecz jednego tylko tj. lokaja, furmana zostawił, bo przecież powiózł nas dalej, zresztą jeśli to była ciemna noc, jak chłop ten mógł widzieć, że na przodzie siedziało dwóch młodszych ludzi. Świadczenie parobka co do chleba i wędliny, jest także bez znaczenia, słuchany w pięć miesięcy po owym wypadku, podczas którego kilka bryczek przytrzymano na Wygodzie, mógł się łatwo omylić, a potem czyliż patrol byłaby nam pozwoliła jechać dalej z tymi wozami, gdyby się były znajdowały na bryczce? nareszcie była to bryczka Wasilewskiego a nie moja, więc jeśli się istotnie wory te znajdowały na bryczce, to należały do Wasilewskiego a nie do mnie, bo i skądże ja, gość w tamtych stronach, mogłbym być wziąć tyle chleba i wędliny.

Przeciw twierdzeniu memu, że jechałem do Mierzyńskiego do Baryłowa i że tam z Wygody istotnie pojechałem, przytacza Hołyński zeznanie Fapawizy jako nie wie dokąd my się udali z Wygody, tudzież zeznanie Mierzyńskiego, że u niego w Baryłowie nie byłem i że się mej wizyty nie spodziewał. Co do Fapawizy, poświadczy arendarz, że jadąc ze dworu Boryłowskiego stanęliśmy przed kwaterą Fapawizy, a Wasilewski poszedł do niego i prosił go by wydał lokaja. Że Mierzyński nie wiedział, iż mu mam oddać wizytę, nic nie stanowi, bo wizyta się nie zapowiada, wiedział wszakże syn jego, którego w Sieńkowie poznałem, że go odwiedzę, że zaś w Baryłowie byłem a nawet z Mierzyńskim ojcem w jego domu rozmawiałem, poświadczy jego lokaj, który nas pytał czy będziemy pić kawę.

Zarzut dla czego jechałem tak wcześnie, jeśli chciałemjechać z wizytą, tłumaczę że wiedziałem od młodego Mierzyńskiego, że matki jego nie ma w domu, że w czerwcu na wsi o godz. 6-tej, a tak spodziewaliśmy się przybyć do Baryłowa,

mężczyźni już nie śpią, że chciałem oglądnąć Baryłów w chęci kupienia dla Głowackiego, do czego ranna pora najdogodniejsza, nareszcie że tego dnia jeszcze miałem wracać do Lwowa, co poświadczą moi ludzie, którym zostawiłem strawne tylko na trzy dni.

Na ostatek zarzucił mi Hołyński, że byłem już karany, za zbrodnię zdrady głównej w r. 1845 a w r. 1854 wskutek reskryptu cesarskiego zaniechane zostało przeciw mnie śledztwo o podobną zbrodnię, że przeto przypuścić należy że popełniłem zarzuconą mi zbrodnię, zakłucenia spokojności publicznej przez wspieranie powstania polskiego. Co do śledztwa zamierzonego w r. 1854 pierwszy raz o tem słyszę, a ztąd, że śledztwo dopiero zamierzonym było, nie wynika koniecznie, że byłem winnym. Wogóle kodeks karny nakazuje, że z powodu zbrodni za które ktoś został ukarany, a amnestya równa się przeciw odbytej karze, tem bardziej gdy przez nią nawet wszelkie następstwa zniesione zostały, nie wolno mu robić żadnego zarzutu: zresztą między zbrodnią zdrady głównej popełnioną przeciw Austrii, a popieraniem (tak się bowiem sąd wyraża) powstania przeciw Rosyi niema żadnej analogii, przeto z jednej na drugą wnosić nie można.

Na tem skończyło śledztwo. Powinien bym być spokojny, zwłaszcza że obydwaj Mierzyńscy (teraz uwięzieni) potwierdzili zeznanie moje co do Baryłowa. A przecież spokojnym nie jestem. Bechel przed miesiącem, gdy mając raz wizytę w jego biurze, zaliłem się, że tak długo siedzę bez śledztwa, pocieszał mnie, że to mi będzie policzone za karę. A więc przed śledztwem postanowił był już sąd skazać mnie. Piękne sądownictwo! prawda że sąd wojenny sądzi: „nach der moralischen Überzeugung“ i nie potrzebuje dowodów, ale z drugiej strony w obwieszczeniu stanu obłączenia powiedziano, że sądy wojenne, wyjąwszy pewne wypadki, do których sprawa moja nie może być policzoną, zastosowywać mają przepisy kodeksu karnego cywilnego. Zobaczymy, w najgorszym razie mogą mnie skazać na rok, a policzywszy areszt śledczy, jeśli jak mówią koło 20-go czerwca wyroki „w procesie Wasilewskiego“ zapaść mają, zostanie mi do odsiedzenia jeszcze miesiąc, wzmą wprowadzie dyabli posadę w Wydziale krajowym, a prawdopodobnie także w Credit mobilier,

to znaczy wzma dyabli 5000 fl. rocznego dochodu, lecz cóż robić? Żyłem ja jakoś nie mając owych posad, będę żył i bez nich, byle tylko puścili na wolność nim stracę siły do pracy.

Góra z górą się nie zejdzie, a człowiek z człowiekiem się zejdzie. Gdziebym ja mógł być przypuścić, że się zejdem z panią Aloizą, a wcale, że ona mnie będzie odwiedzać w więzieniu. Zmieniła się znacznie, bo też to lat 14 upłynęło gdyśmy się raz ostatni widzieli. Serce jej wszakże pozostało poczciwem, skoro nie lękała się odwiedzić mnie, więźnia politycznego, co samo w Rosyi stanowi już zbrodnię. Mimo, że po zaprowadzeniu stanu obłężenia w Galicyi, przeważnie większa część Monarchi austr. rządzona jest absolutnie i z wyraźnem pogwałceniem konstytucyi Lutowej, są jeszcze, jak to widać z dzienników, ludzie, którzy w konstytucyę tę wierzą. Zkądże to pochodzi, że przy tak znacznej liczbie ludzi w Austrii wierzących w system pana Schmerlinga, system ten nie tylko się nie wzmacnia, ale co się zaprzeczyc nie da, coraz bardziej się chwieje? Zdaje się, że liczba tych, którzy wierzą w istniejący porządek, nie pomnaża bynajmniej wiary w niego, lecz że przeciwnie liczba tych, którzy o nim wątpiewają, w miarę jak się wzмага, umniejsza takową.

Już od dni kilku trwają dysputy ekonomiczne między hreczkosiejami i niedoskrobanymi naszymi nowatorami. Idzie zaś o to, że nowatorowie utrzymują, że właściciele więksi powinni koniecznie pokawałkować swą ziemię i porozsprzedawać chłopom, inaczej nigdy nie będzie dobrze w Polsce, — podczas gdy hreczkosieje są tego zdania, że albo się da wszędzie przeprowadzić, albo na dobre nie wyszłoby. Z argumentów nowatorów widać, że im nie tyle idzie o cele ekonomiczne, których zresztą nawet nie rozumieją, jak o przeprowadzenie teoryi równości.

Daremne te marzenia. Jak w świecie fizycznym, ciała większe przyciągają do siebie mniejsze i wtłaczają je w własny organizm, tak w świecie ludzkim, który koniec końcem podobnym jak tamten podlega prawom, wszystko co się wzbije nad poziom życia powszedniego, przygłusza życie otaczających je istot i wciąż narasta kosztem stłumionych. Ta prawda rozciąga się w życiu społecznem także do mienia materyalnego, jest najlepszem zbi-

ciem teorii materialnej równości, równego podziału ziemi. Uciekali się doń niepojmujący jeszcze organizmu społecznego Egipcyanie, Żydzi i Grecy, usiłowano go wznowić także w starożytnym Rzymie. Czyliż apostołowie obecni równości, którzy równy podział ziemi przedstawiają łatwowiernym a chciwym, jako szczyt słuszności ziemskiej i boskiej, którzy zakłócili tem już nie raz społeczność zachodnią za dni naszych i rzucili niejedno ziarno zatrute na nasze ciche przedtem rodzinne życie, czyliż, pytam się, panowie ci wcale nie czytają historii? W Sparcie po jej urzędzeniu podług ustaw Likurga, było 9000 posiadłości rycerskich, czyli mówiąc po naszymu szlacheckich, a 30.000 ludowych czyli chłopskich; gdy zaś Rzym podbił Grecyę, wszystkie te ziemie razem wzięte, tworzyły dziewięćdziesiąt kilka majątności, których właściciele stanowili o losach ojczyzny! W Rzymie, przed upadkiem rzeczypospolitej pozniwały już były zupełnie posiadłości ludu, za Cezarów nikły stopniowo nawet majątności rycerskie, cała Galia przeszła na własność kilkudziesięciu rodzin senatorskich, a ogromna Afryka rzymska, należała ostatecznie do sześciu panów, których Nero kazał pomordować, aby ich majątki zabrać dla siebie. We Włoszech podbitych przez plemiona barbarzyńskie północne, lud wiejski był właścicielem ziemi którą uprawiał, stopniowo panowie zaczęli zagartywać te ziemie włościańskie, a od kilku wieków już lud tamtejszy nie ma żadnej własności ziemskiej i uprawia ziemię wydzierżawioną, oddając połowę plonów właścicielom terażniejszym. W Anglii drobne posiadłości znikwały coraz szybciej od początku bieżącego stulecia; tak zwanych Yomanów nie ma dziś już wcale, majoraty wykupiły wszystko bez trudności, bo niezamożni właściciele drobnych posiadłości, nie mogli sprostać współubieganiu olbrzymich przedsiębiorstw rolniczych, wielkich właścicieli. Anglia też nie ma ani posiadłości drobnych, ani nawet miernych, czyli po naszymu mówiąc, nie ma ani chłopów, ani szlachty; w Anglii są tylko lordowie, właściciele całej powierzchni ziemi i drobni dzierżawcy, którym służą wyrobnicy płatni dziennie, a mieszkający zwykle w koszarach chlebobawców. Smutna to zapewne społeczność, gdzie prócz rodzin uprzywilejowanych nikt dojść nie może do posiadania ziemi na własność. Czy społeczność taka trwać może? w to mi

tu nie wchodzić; ja chcę tylko wykazać, że zasada niwelacyjna w świecie ludzkim nie da się urzeczywistnić.

Francya znów obaliwszy majoraty, zostawiła bieg przyrodzony sprawom ludzkim: własność nieograniczoną i podzielność nieograniczoną, które skupiając i dzieląc nieustannie posiadłości ziemiańskie wszelkiego rozmiaru, utrzymują równowagę sił narodowych, czynią wszystkich francuzów równymi kraju obywatelami, a Francję najpotężniejszym narodem w Europie.

Z tego wynika taka konkluzya: Gdzie prawodawstwo nie krępuje samoistnego ruchu posiadłości, tam one same układają się do równowagi, tj. dzielą się lub wzrastają podług sił, potrzeb i stosunków społecznych, zmieniając rozmiary swoje, ile razy te siły i potrzeby i te stosunki poruszyły się z miejsca, lub odmienny przybrały kierunek; one przełamują nawet ustawy, skoro dawny stan rzeczy nowemu życiu narodu odpowiadać przestaje. Otóż zamiast apostołować równość, wzmacniajmy wolność, a ta nas doprowadzi do równości zgodnej z pojęciem ludzkim, to jest do równości w wolności.

Że komasacya gruntów jest niezbędnie potrzebna, jeśli ma się u nas rolnictwo dźwignąć i sprostać rolnictwu zagranicznemu, o tem nikt nie wątpi. Pytam czy przy komasacyi osiedlać włościan pojedynczo na wydzielić im się mających gruntach, czy zachować dzisiejsze siedziby, chociażby przez to dla tego lub owego wynikła niedogodność z powodu oddalenia gruntu? Nie idzie to o sam koszt zabudowań nowych ale i o stronę moralną ludu naszego. Tacyt powiada: „Germanowie nie przywiązują się ani do ziemi rodzinnej, ani do wspólnego pożycia; opuszczają oni bez tęsknoty dawne siedziby, a ich domy po wsiach nie łączą się pomiędzy sobą jak u nas, lecz stoją o podal od siebie“.

Uspodobienie to starych Germanów przetrwało wieki. Ludy słowiańskie nie lubią samotności, są one towarzyskiego usposobienia, które szanować należy. Gwałt zadany naturze ludzkiej krzyżuje przyrodzony rozwój organizmu społecznego.

**15 czerwca.** Jeszcze przyjść nie mogę do siebie. Nie sądziłem, że jestem tak słabym. Nie jedną ja już wieść straszną w życiu słuchać musiałem i słuchałem ich mężnie... prawda, że

zawsze dotąd nieszczęścia jakie mnie spotykały, dotykały tylko mnie, nieszczęście o którym wczoraj przypadkiem dowiedziałem się, dotyka i jej, więc zabrakło mi serca. — Już leżałem w łóżku i drzemałem, gdy wołanie Manasterskiego w kaźni obok mnie siedzącego obudziło mnie. Wołał on na Szaszewskiego, który naprzeciw w kamienicy Kulczyckiego mieszka i wieczorami czasem z Manasterskim rozmawia. Otworzyłem okno by lepiej rozumieć ich rozmowę. Szaszewski opowiadał, że już zapadły wyroki w procesie Wasilewskiego: Niewiadomski 5 lat, Majkowski i ja 3 lat, Wasilewski 2 lat, reszta po kilka miesięcy więzienia. Ożarowski, Wodzicki, Jaworski, Godlewski, Biłgorajski i pani Janowska uwolnieni z braku dowodów. Wiadomość tę ma Szaszewski od Holyńskiego i ręczy za prawdziwość.

A więc wyroki wydano, zanim się sąd zebrał! Tak jest, sądy te wojenne, to istna komedia, — oficerowie i szeregowi przeznaczani do tego przez komendę jeneralną przychodzą, przywołują więźnia, audytor odczytuje, jakby pytował, protokół śledczy, potem odprowadzają więźnia do kaźni i za kilkanaście minut przywołują go, by mu przeczytać wyrok, który pan audytor podyktował, a który sędziowie maryonety aprobują, kiwając głowami. W procesie Tarnowskiego Tadeusza, w którym audytor proponował na Tarnowskiego, Tażewskiego, Wędrychowskiego, Dobieckiego po sześć lat więzienia, zaś dla Garczyńskiego i Bogusławskiego uwolnienie z braku dowodów, ujęci przed tem oficerowie głosowali także za uwolnieniem Tarnowskiego i Tarnowski, chociaż najwięcej ze wszystkich skompromitowany, bo znaleziono list w którym go nazywają „zastępcą komisarza R. N<sup>o</sup>”, bo u niego odbywała się sesja, przy której na gorącym uczynku wzięto współ-winy, bo u niego nareszcie aresztowano Ciechlińskiego przy owej sesji przytomnego, przy którym znaleziono papiery tutejszej organizacyi wiejskiej. Tarnowski, mówię został uwolniony dla braku dowodów; oficerów zaś tych, którzy przeciw wnioskowi audytora głosowali, usunięto na zawsze od zasiadania w sądach wojennych przy sprawach politycznych.

Wydaje więc wyroki właściwie audytor. Jeśli więc pan Ottenburg wydał na mnie wyrok 3 letniego więzienia, to można to uważać za wyrok ostateczny. Trzy lata! to więcej niż tysiąc dni... trzy lata w Ołomuńcu... przebyłem ja półczwarta roku



w sroższem więzieniu, nie robił bym więc sobie nic, ani z tych trzech lat, ani z Ołomuńca, gdyby nie ona. Cóż ona biedaczka robić będzie przez te trzy lata? Mieszkać we Lwowie, sama jedna i oczem zresztą? U ojca? — ba gdyby to był ojciec, nie ścisłałoby mi się tak serce. Odkąd mnie uwieźli, przestał jej nawet płacić procent od przyrzeczonej sumy posagowej. Biedna moja gołąbka; o pocóżem ja los mój burzliwy z twoim połączył losem? Dla czegoż upojony szczęściem miłości twojej, zapomniałem, że mnie Bóg do samych przeznaczył nieszczęść, że mi nie wolno narażać szczęścia drugiej istoty, łącząc jej dołę z moją niedolą! Trzy lata! jeszcze gdyby tutaj, mogłaby mnie widywać i nie byłaby tak osamotnioną, ale o sto mil stąd, z kim ona będzie jeździć, gdyby mnie czasem obaczyć zechciała — i czy będzie za co jeździć.

Nigdy nie doświadczałem podobnego uczucia jak wczoraj, gdy wyrazy te „trzy lata“ doleciały do uszu moich: serce mi bić przestało w prawdziwym słowa znaczeniu i sądziłem, że bić już na zawsze przestało, a przecież gdy mi w r. 1845 wyrok śmierci odczytano, nie drgnąłem; a gdy w październiku 1848 pod murami arsenału wśród gradu kul czterech moich towarzyszy padło, nie zbladłem i nie przyspieszyłem kroku, by niebezpieczne to opuścić miejsce. Ah, bo wtedy byłem panem mego życia, — dziś nim nie jestem; dziś obowiązki względem niej, których nie będę mógł wypełnić, stoją jak widma, pytając: a z nią co się stanie? Tyś jej winien opiekę; kto ją teraz opuszczonej udzieli? Tyś jej winien utrzymanie, jak jej takowe dostarczysz zostawszy skazanym na tak długie więzienie? Oka nie zmrużyłem przez resztę nocy, mam gorączkę, jestem bardzo biedny.

Obiegają rozmaite wieści o przeznaczonych dla nas wyrokach. Tarnowski, puszczony na wolność za kaucyą, kazał mi donieść, że mi przeznaczono półtora roku. Benoe donosił, że tylko rok. Prawdziwszem zdaje się być doniesienie Szaszewskiego, bo i Helence tak doniesiono. Była u mnie biedaczka — oczy miała czerwone, lecz podczas odwiedzin łzy nie uroniła, — zdawała się pełną rezygnacyi, chociaż głos jej się łamał, ile razy mnie pocieszała: że będzie grzeczną, oszczędną, że będzie się uczyć rozmaitych rzeczy, aby jej czas mijał w samotności. Serce mi się krajało, gdy tak szczebiotała, udawałem że nie wierzę w te

Helence

!!

Helence

!!

wieści, zapewniałem, że niepodobna, że jestem skazanym; kręciła tylko główką, nic nie odpowiadając. Wróciłem mężniejszym z odwiedzin, przecież jej tu nie dadzą zginąć, mam tylu życzliwych przyjaciół, jakoś to będzie, jeśli tylko ją nie opuści mężtwo.

„Wyrok nań wyda wróg krzywoprzysięzny“.

**21 czerwca.** Wczoraj stanęliśmy przed sądem: podczytywano tylko nasze protokoła wobec zgromadzonego sądu, a że nas dwudziestu kilku do tego procesu należy, więc publikację wyroku odłożono na dzisiaj. Pierwszy wszedł na salę Wasilewski, my wszyscy reszta w przedpokoju czekaliśmy. Przeczytano mu coś, czegośmy nie słyszeli, potem zaczął hałasować Ottenburg, nareszcie otworzył drzwi zawołał: „Profoss! den Herrn einzeln absperren“ — i wyszedł Wasilewski błądy jak chusta w towarzystwie profosa. Potem dowiedziałem się, że Wasilewski skazany na dwa lata z wliczeniem 11 miesięcy śledztwa, a więc jeszcze na 13 miesięcy, chciał zakładać rekurs i to Ottenburga do takiej wściekłości doprowadziło. Po odejściu Wasilewskiego przywołano mię do sali. Ottenburg odczytawszy głosem donośnym wyrok na lat 3 do fortecy z wliczeniem 10 miesięcy śledczego aresztu, zapytał, czy wyrok przyjmuję. Oświadczyłem mu, że zapowiadam rekurs.

Jak najspokojniej w świecie zaczął mnie od tej myśli odprowadzać, przytaczając że akta śledcze są bardzo spore i zawile, że przeto potrwa z pół roku nim rozstrzygnięcie w Wiedniu nastąpi, że sprawa moja połączona ze sprawą Sapiehy, na co tu względu sąd nie brał, lecz co w Wiedniu sprawę moją znacznie pogorszyć może; żebym nareszcie miał wzgląd na biedną żonę moją. Odpowiedziałem mu, że tracąc prócz wolności 5000 fl. rocznego dochodu, mogę rezykować pół roku więzienia dla ratowania mego i mojej żony utrzymania, że więc właśnie względem na żonę, która będąc niewinną, wyrokiem tym jest także skazaną, traci bowiem pensję wdowią, którą miała sobie zapewnić jako żonę urzędnika zakładu kredytowego, wkłada na mnie obowiązek, starania się o zmianę tego wyroku, — co się zaś tyczy Sapiehy, nie lękam się niczego, bo w moich aktach śledczych nawet nazwisko to nie przychodzi. Ruszył ramieniem i rzekł tylko: „wie Sie wollen, ich habe meine Pflicht gethan“

i podyktował mój wniosek do protokołu, którego podpisywaniu z mej strony przypatrywał się, czy mi będzie ręka drżała, — nie drżała! Jestem już zupełnym panem siebie. Podpisawszy protokół, zapytałem czy mi wolno sprowadzić doradcę do ułożenia rekursu? Na co panu doradcy? odrzekł, pan jesteś prawnikiem i tak biegłym, że nikt nie potrafi lepiej od pana napisać rekursu. Dziękuję, rzekłem, za komplement, lecz nie dowierzam moim wiadomościom prawniczem, od czasu gdym usłyszał mój wyrok; byłem bowiem pewnym, że nie mogę być skazanym; stało się inaczej, widać żem złym prawnikiem i chciałbym się z kim drugim poradzić. To panu wolno, rzekł pan Ottenburg kłaniając się, zechciej pan tylko profosowi powiedzieć kogo pan chcesz poradzić się. Ukłoniłem się i ja z mej strony panu Ottenburgowi i szanownemu sądowi i opuściłem salę, — w przedpokoju wziął mię profos w opiekę i odprowadził na korytarz oddawszy żołnierzowi do zaprowadzenia do więzienia, w którym mnie klucznik wbrew zwyczajowi zamknął. Po kwadransie wszakże otworzył kłódkę i wtedy to dowiedziałem się o powodach hałasowania przy odczycie wyroku Wasilewskiego, zdumiawszy się nie po mału, że przy zapowiedzeniu rekursu z mej strony, pan Ottenburg był tak spokojnym. Prawda że wyrok Wasilewskiego w porównaniu z moim jest cukierkiem, mógł więc istotnie pan Ottenburg gniewać się, że Wasilewski nie kontent z tego cukierka. Poszedłem do wizytyrki w kaźni, w której Wasilewski był zamknięty; pytał mnie co ma robić, zamknięto go bowiem aż się namyśli; radziłem mu jako przyjaciel, by rekursu nie podawał, gdyż zważywszy stan jego sprawy, wyrok drugiej instancyi mógłby wypaść niekorzystniej. Przywołał więc klucznika i kazał się zaprowadzić do Ottenburga, któremu oświadczył, że odstępuje od rekursu; nie pożałował tego, bo zaraz mu Reichart darował miesiąc, aby nie był wywożony do fortecy, ci bowiem, których kara nie przekracza roku, odsiadywać będą karę tu we Lwowie w Karmelitach.

Co do reszty towarzyszy tego procesu, sprawdziły się słowa Szaszewskiego, wyjąwszy Niewiadomskiego, któremu śledczy areszt policzono za karę i puszczono do domu! Da steht der Verstand still! Mieli jego nominację na komisarza wojennego Żółkiewskiego, jego nominację na jeneralnego pełnomocnika

Lelewela w Galicyi, jego plan organizacyi wojskowej w Galicyi do którego się nawet przyznał, bo był pisany jego ręką na własnym kontrakcie dzierżawnym, a za którą to organizację innym wytaczano proces o zbrodnię zdrady głównej i mimo tych zarzutów i dowodów poszedł na wolność. Die Welt steht nicht mehr lang! panie Floryanie nie urodziłeś się w czepku, a co gorsza nazwisko twoje ma trzynaście głosek: Z i e m i a ł k o w s k i, jak tu nie być zababonnym? Pocziwie to nazwisko, cóż mi z tego jeśli dla tego tylko, że je noszę, cierpieć muszę tyle prześladowań. Ileż to razy, gdy czy to podając o adwokaturę, czy o sekretaryat przy izbie handlowej, czy o syndykat przy kolei żelaznej galicyjskiej, — otrzymałem odmowę, mówiono mi: „bo się pan nazywasz Ziemiałkowski“ — i teraz więźniowie nie mogąc wyjść z podziwienia, że zostałem skazany i tak surowo skazany, powtarzają chórem, został skazany, bo Ziemiałkowski.

**22 czerwca.** Otrzymawszy odpis powodów wyroku mego, dowiedziałem się, że byłem komisarzem wojennym przy wyprawie Miniewskiego! To za nadto gorzka ironia. Nie musieli sami w to wierzyć, bo mi podczas śledztwa nie robiono nawet tego niedorzecznego zarzutu. Skazany zostałem ze zbiegu okoliczności, opartych na podejrzaniach (Verdachtsgründe) jako to, znajomość z Wasilewskim, bytność na miejscu zbrodni (?) wzmiankowanie mego nazwiska w tłumaczeniu się Miniewskiego i raporcie Wasilewskiego, przytrzymaniu przez patrol w nocy, w deszcz, niedaleko miejsca zbornego oddziału Miniewskiego, wiezienie żywności, namawianie oficerów Miniewskiego w Środopolcach do udania się do obozu, nareszcie poprzedniem mojem karaniem za zbrodnię stanu. Napisałem na prędce punkta do rekursu i zaprosiłem Kabatha, którego prosiłem, by mi rekurs na podstawie tych punktów i aktów śledczył ułożył. Kabat otrzymawszy wezwanie moje, udał się do Ottenburga, by mu się przedstawić jako wezwany przezemnie doradca i przy tej sposobności wspominał o przejrzeniu aktów, co mu stanowczo zostało odmówionem. Musi się więc kontentować mojami uwagami, które mu w tym względzie zrobię, skoro przeczytawszy ułożone przezemnie punkta odczyta. Gdym z Kabathem rozmawiał, wszedł Smolka. Nie widziałem go od czasu uwięzienia

mego. Wygląda doskonale, przyszedł do mnie, by mi zaproponować interes pieniężny. Mam w depozycie filii kredytu ruchomego do 15 tysięcy reńskich, częścią w listach zastawnych, częścią w gotówce; Smolka winien filii znaczną sumę, którą wzięł na zastaw swoich i synowca swego akcji kolei, zapropo-  
nował mi więc bym mu pożyczył owe 15 tysięcy, któremi on spłaci część swego długu, a zamiast co by miał filii płacić 8%, będzie je mnie płacił. Przyjąłem propozycję, chociaż mnie zdzi-  
wiło, że Smolka nie odwiedziwszy mnie ani razu w więzieniu, zdobył się na to nazajutrz po wyroku dla zrobienia interesu pie-  
niężnego, podziękowałem mu wszakże szczerze, gdyż był to i dla mnie dobry interes, na wszelkie wypadki miała Helecza tym  
sposobem zapewniony większy dochód. Gdy mi napisał asygnację do filii na owe 15 tysięcy, rzekł mi Smolka: kochany Florku, słyszałem że chcesz rekurować, to nic nie pomoże, ale za to za dwa lat oddam ci zdublowany kapitalik, który mi po-  
życzasz. Nadszedł właśnie Mehlern, zaczął się witać ze Smolką i ze mną, Kabath miał także jeszcze coś do mówienia ze mną, nie było więc możliwości zapytania Smolki dla czego nie spodziewa się skutku rekursa i jakim cudem zdoła w przeciągu dwóch lat z 15 tysięcy zrobić 30? — wróciwszy do kaźni, gdy scenę tę przywiódł na pamięć, zacząłem żalować, że mu po-  
wierzył całą niemal fortunę moją, — miałże by ten człowiek mieć bzika?

15.000 r.

1200 r

4. ...

Febra wyrokowa minęła, jestem spokojny jak dawniej i jak dawniej życie więzienne przepędzam. Chodzę na spacer, czytam, odwiedzam koleżków, jem i śpię. Tymczasem febra przeniosła się do innych kaźni. Tarnowski skazany na 12 lat, Stadnicki, Drohojewski i Haller po 8 lat, Demidowicz na 2 lat, Benoe, Baum i Rogawski uwolnieni dla braku dowodów, czyli podług terminalogii wojskowej: ab instantia. Rogawski uwolniony dla braku dowodów, a Haller skazany na 8 lat. Nie, tu trzeba zwaryować! Przecież Rogawski proponował by uznać bezwarunkowo R. N. a Haller temu się sprzeciwiał i na to sąd ma dowody: Ottenburg podczas śledztwa mówił Hallerowi pokazując na stos aktów: „wir haben hier die Beweise, dass Sie dagegen waren, aber das Gericht ist nicht dazu da, um Sie zu verthei-

digen — gestehen Sie und es wird Ihnen natürlich nichts geschehen“. Wyroki opiewają za zbrodnię zdrady głównej. Wszyscy zgłosili się do rekursu, prócz puszczonych z braku dowodów; ci, a mianowicie Baum i Rogawski, bo Benoe już dawno na wolnej stopie, podają o wypuszczenie na wolność za kaucją, aż do powrotu aktów z Wiednia, dokąd z urzędu muszą być posłane. Najbardziej znać zmartwienie na Hallerze, twarz się zapadła i głos zmienił, prawda że był niezdrów od niejakiego czasu. Staś już dziś grał z nami wiseczka i wcale nie gorzej jak zwykle; to jest bardzo źle, jak zwykle.

Helka

Odwiedziny miewam już teraz u Beera, — jest to ulga dla Helki, Beer nie żąda każdym razem biletu zezwalającego od jenerała, nie potrzebuje więc tam wycierać kątów. Biedne te nasze kobiety! Poznałem Hallerową, piękna to musiała być kobieta, a jak ona musi męża kochać! wszystkie jej ruchy tak gorączkowe, łyzy płynęły po licach, a ona śmiała się jak szalona, by mąż nie spostrzegł, że ona płacze...

Baum i Rogawski wypuszczeni za kaucją na wolność. Haller chory na prawdę, osłabł że ledwie chodzić może, stracił apetyt, nocy trawi bezsenne wśród gorączki i dreszczów na przemian. Żona zamyśla podać prośbę, by go wypuszczono za kaucją. Reichart utrzymuje, że to nie od niego zależy; Mensdorff wyjechał do Karlsbadu, — na jego miejsce sprawuje namiestnictwo jenerał Bamberg, komenderujący krakowski, jest to zięć pani Emingerowej, siostry pani Zaleskiej, spodziewa się więc Hallerowa wpłynąć na Bamberga; jeśli jej się uda, to i ja podam o wypuszczenie za kaucją.

Kaucja  
by...

Sąd zdaje się odpoczywać, po skończeniu takich procesów jak Tadeusza Tarnowskiego, Wasilewskiego i Krakowskiego. Krążyły wieści, że sąd otrzymał rozkaz pokończenia wszystkich procesów do końca czerwca, z czego wnoszono, że może będzie zniesiony stan oblężenia w dzień urodzin cesarskich. Kopnął się też był sąd, bo przez czerwiec dziennie po kilkanaście wydawał wyroków, lecz zakończywszy sprawę krakowską 28 czerwca, odtąd pauzuje, a tu już koniec lipca, a jeszcze kilka ważnych procesów prawie nie rozpoczętych, jak Bogdanowicza, Torczewskiego (Lutostańskiego) nie licząc kilkudziesiąt drobnych proce-

sów. Zdaje się tedy, że nie myślą o zalimitowaniu stanu obłą-  
żenia. Pan Kraus pojechał sobie nawet gdzieś na polowanie.

**3 sierpnia.** Pocziwy Hallerzysko poszedł więc na wol-  
ność, żądano od niego kaucyi 10.000 złr., chociaż mają jego  
10.000 rs., które mu zabrali gdy go uwięzili, jako corpus delicti.  
Ruble corpus delicti u Hallera, który ma hotel saski w Krako-  
wie, do którego zajeżdża tyle Kongresowiaków płacących rublami,  
który ma prócz tego majątek ziemski w Kongresówce. A u księ-  
dza Kuziemskiego, Malinowskiego i innych dostojników słowiań-  
skiego obrządku ruble nie są corpus delicti! Lecz bierz tam  
dyabli wszystkich tych dostojników; chwała Bogu, że Hallera  
puścili, mam więc nadzieję, że i mnie puszcza, był już u mnie  
doktór wojskowy, by poświadczył, że jestem chory. Nie ma  
Mensdorffa, to może się uda.

**11 sierpnia** przy ulicy Majerowskiej. Jestem w domu —  
pocziwa Helena, pocziwy Robert wydobyli mnie. Jakże to  
dobrze być wolnym! Czy długo to potrwa? do powrotu aktów  
rekursowych z Wiednia; trzeba więc Boga prosić, by to trwało  
jak najdłużej. Lecz nie! to być nie może, by wyrok ten został  
potwierdzony. Kabath, Hefern, Madejski, Knebenbauer wszyscy  
są zdania, że wyrok musi być zniesiony, jeden Smolka był zda-  
nia, że to próżne zachody, lecz co Smolka teraz wie. Ach, jakże  
to dobrze być wolnym, daj Boże na zawsze. Amen.

*He fern*

## 5. października 1864.

Witaj kazienko! gdy cię przed ośmiu tygodniami opuszczą-  
łem, wychodząc na wolność za kaucją, miałem nadzieję, że już  
nie wrócę; i nie była to nadzieja nieuzasadniona; przyjaciele,  
których rady zasięgałem pisząc rekurs, byli pewni, że wyrok bę-  
dzie skasowany. Sam Hołyński, który śledztwo ze mną przepro-  
wadzał, był zdania, że wyrok się nie utrzyma; Smolka tylko był  
zdania, że to wszystko nic nie pomoże. Niestety, nie można o nim  
powiedzieć, że nie był „propheta in patria sua”. Przed kilku  
dniami jeszcze spotkałem się z Rodakowskim i Białoskórskim, — no  
i cóż, pyta mię ten ostatni, czy pan wiesz, że przyszedł w pro-  
cesie pańskim rozkaz słuchania świadków przez pana powoła-  
nych? Dlatego, gdy mi rano wręczono cytacyę sądu karnego  
z wyrażeniem „do przesłuchania“, byłem pewny, że wyrok zo-  
stał w Wiedniu skasowany i nowe rozpocznie się śledztwo.  
Mimo ostrzeżenia więc, które mi Papara przysłał wczoraj wie-  
czór, jako wyrok został w Wiedniu potwierdzony, uspokoiłem  
Helenkę, udając się do sądu.

W biurze pana kapitana-audytora Krausa, dzierżącego pre-  
zydium sądu wojennego po odjeździe Ottenburga, zastałem zgro-  
madzony sąd wojenny od majora aż do szeregowych. Kraus po  
serdecznem przywitaniu prosił, bym się w przedpokoju zatrzymał.  
Czekałem przeszło pół godziny, będąc pewnym, że przed tym  
sądem śledztwo się ze mną rozpocznie. Nareszcie profos przypro-  
wadził Majkowskiego, a skoro ten wszedł do biura, zostałem i ja  
tam zaproszony i usłyszałem potwierdzenie wyroku. Pocóż ta  
komedia? poco to kłamstwo sądowe, że mam się stawić do prze-  
słuchania? Czy sądzili, że ucieknę, gdy mnie zacytują do wysłu-  
chania wyroku?



Biedna Helka nie mogąc się doczekać mego powrotu, poszła koło południa do sądu i tu się dowiedziała, że zamknięty na 26 miesięcy, nieodliczono mi bowiem nie tylko tych ośmiu tygodni, które bawiłem na wolnej stopie, ale nawet owych dwóch miesięcy, które po wyroku przebyłem w więzieniu.

Widziałem się z Tarnowskim i Hallerem, którzy już przed dwoma tygodniami wrócili do więzienia. Zakuci obydwoj, czekają na wyznaczenie fortecy, do której ich wywieść mają. I mnie to czeka. Biedna Helka! jak ona te 26 miesięcy wytrzyma sama, a do tego od jakiegoś czasu chora. Myśl nie słucha, ucieka gdzieś jak niesforna maroderka, -- trzeba dać spokój tej bazgraninie.

Haller, Tarnowski, Romanowicz, Drahojewski, Stadnicki, Czarnecki, wszystko to kajdanami wybijają takt na spacerze; aż mnie wstyd, że ja nie mam tej dekoracji. Tarnowski może wysunąć rękę z obrączki, korzysta też z tego w kaźni; innym, którzy nie otrzymali od natury tak arystokratycznej ręki, zawadzają trochę łańcuszki, lecz nie robią sobie wiele z tego; na noc profos wszystkim zdejmują łańcuszki z ręki i z nogi, mogą więc przynajmniej spać wygodnie.

Helcia dość spokojna; telegrafowała do Czerniowiec, wzywając stryjenkę, by przyjechała. Chce jechać do Wiednia i wystarać się tam, by mi pozwolono we Lwowie karę odsiedzieć, poradził jej to Melern. Nie sprzeciwiam się, — jeśli nie dopnie do celu, to się przynajmniej rozerwie jazdą i pobylem kilkudniowym w Wiedniu.

Wraca tu powoli swoboda, którą powściągnięto po ucieczce Wędrychowskiego. Pana kapitana Beera niema; panem naszym nieograniczonym jest teraz pan Blaschke, profos, — a to człowiek wyrozumiął... gramy więc wiseczka u Tarnowskiego i spacerujemy gromadnie jak dawniej.

Co to za nieznośna figura ten pan Menkes; prawda, że to były oficer austriacki, były kapitan powstańczy i były wyznawca religii mojżeszowej; to za wiele dobrych przymiotów na jednego człowieka. Niechby sobie fanfaronował swoją odwagą i heroicznymi czynami, dokonanymi pod Radziwiłłowem, ale jako przechrzta niechby się nie popisywał libertynizmem religijnym. Zachowując

Helka,

Helka,

Helcia

religie, w której się człowiek urodził, można w niej być wolnym, t. j. myślą wychodzić poza jej dogmata. Lecz jeśli kto uznał nową religię, natenczas niema prawa być w niej wolnym, bo obowiązkiem jest człowieka uczciwego, wyznawać to, co uznaje... Nie wiedzieć zresztą, jakiej on jest narodowości; do powstania bowiem wedle tego co mówi, widocznie poszedł tylko w celu zrobienia kariery, inaczej nie narzekałby, że nic nie zyskał na tem; ztąd więc, że był w powstaniu nie można wnosić, że jest Polakiem, a innych na to poszlak trudno się dopatrzeć. Człowiek bez narodowości, to jak gałązka uschła, odpadła od pnia drzewa ojczyztego, nie przydatna ani swoim, ani obcym; dobrą chyba na ogień ku spaleniu...

Byłem na mszy w kaplicy tutejszej; nic się nie zmieniło; te same pyzate anioły na suficie, te same zwiędłe kwiaty w ołtarzu, tylko ksiądz kapelan tłuściejszy i bardziej jeszcze rumiany niż przedtem. Występki ludzkie nie są snadź tak złymi, jak ludzie sami. Występki dają się karcić, maltretować i znoszą to w milczeniu. Nasz ksiądz kapelan, co ma przy spowiedziach, kazaniach i naukach tyle do czynienia z występkami, jak on czerstwo wygląda i jak długo on żyć będzie! Każdej niedzieli i każdego święta smaga on występki na grzbiecie powierzonych mu owieczek, co mu nie przeszkadza śniadać potem spokojnie i jeść smacznie obiad. Lecz miej ty do czynienia z tymi wilkami w uniformach, z tymi lisami w okularach, z temi małpami w krynolinach, z temi gęśmi we frakach, — słowem, z temi dwuznacznymi stworzeniami, które się mają za ludzi dlatego, że na dwóch łapach chodzą — a umrzesz na pęknięcie serca, jeśli rzecz wieźmiesz na seryo.

Szczęśliwy, kto ma dowcip, zawsze ma jakieś głupstwo do powiedzenia.

Kłóć się, sprzecząją — ot jak Polonia; a każdy uważa się za nieomylnego, a inni, kto zapalczywiej mówi, tem więcej przekonywa. Zapał ma to do siebie, że najloicniejsze argumenta zwycięża, bo zapał jest już zarodem czynu, gdy rozumowanie zawsze jest słowem. Z tym wszystkim ani nie stanie się jak

chce pan Jan, ani tak, jak pragnie pan sędzia. Życie społeczne jest prądem dziejowym, którego żadna wola pojedynczych ludzi, a nawet całych pokoleń powstrzymać nie zdoła i nie powstrzymuje,... przyczyny wyższe i potęgi sięgające głęboko, stanowią ostatecznie o przemianach, jakim uledeć musi wewnętrzny każdego narodu organizm, ile razy naród ten przerabia swoją naturę, zatem rozwija w łonie swoim siły nowe, lub utracą stopniowo dawne. Że każde wielkie przejście w życiu społecznym jest bolesnym, to nie podlega wątpieniu; trzdzi ono i w zwątpienie wprowadza współczesne pokolenia, które zwykle błogich jego następstw do- czekać się nie mogą. Te pokolenia cierpiące są niekiedy woj- skiem ginącym za naród nieśmiertelny, giną za tych, co ich prze- żyją i za tych, co po nich przyjdą. My podobno jesteśmy takim nieszczęśliwym pokoleniem...

Nie troszczmy się też tak bardzo przyszołością wychodźtwa naszego, jeśli wyszli z miłością ojczyzny w sercu, to nie zmar- nieją. Miłość ojczyzny jest najlepszą tarczą przeciw wszystkiem świata niebezpieczeństwom, ona zmusza do starania się o wszyst- kie cnoty, do wyrzeczenia się wszelkiej płochości, bo najmniejsza plamka na szacie obrońcy kraju, odbiłaby się na grobowym ca- łunie Matki i na tryumfalnej szacie jej zmartwychwstania.

Moja nieboga już w Wiedniu; mieszka w hotelu: „Die goldene Lamm“ ma to znaczyć zum goldenen Lamm, widać, że nie dawno uczyła się kilka lat po niemiecku. Do pana Franka, ministra wojny, nie mogła się jeszcze dostać; pocziwa stryjenka szuka za jakimś znajomym jej lekarzem wojskowym, który ma im ułatwić wstęp do pana ministra... Nudzi się biedaczka, lecz co gorsza — choruje... Jeszcze tego nieszczęścia mi brakowało... ciężka to i nudna ta droga obowiązku — dla tego tak mało przez ludzi uczęszczaną bywa.

| Helena

Biedny Bogdanowicz nie może jakoś przyjść do równo- wagi. Raz potępia wszystko co się tu robiło od czasu ustano- wienia policyi narodowej, innym razem tłumaczy to lub owo po- stępowanie teje policyi, do której notabene wcisnął się sam, a wcisnąwszy się, gospodarował jak szara gęś. Te tylko czyn- ności zasługują na nazwę dobrych, które nie wymagają ani wy-

jaśnienia, ani tłumaczenia się. Zresztą kto się tłumaczy, chociaż mu nie robią zarzutu, ten się pewnie poczuwa do winy. Złej woli u Bogdanowicza nie przypuszczam, ale był to zawsze lekki człowiek, mógł więc i na posadzie zastępcy naczelnika policyi niejedną lekkomyślność popełnić; na kim większa za to odpowiedzialność ciąży, czy na nim, że sam się do tych czynności nastęrczał, czy na tych, którzy mu tak niestosownie powierzyli czynności, nie chcę rozstrzygać; zawsze jednak zostanie rzeczą zastanowienia godną, dla czego ludzie najmniej mający uzdolnienia do pewnych czynności, najbardziej się do nich nastęrczają, weźmy tylko Rogawskiego, Pawlikowskiego, Ujejskiego, Abancourta, co za kandydaci na członków Rządu! — a jak oni się do tego rwali!

Sędzia stracił na humorze; nawet pan Jan już go nie bawi, ale pan Jan próżnować nie może, to jest, gęba jego nie może milczeć, przyczepił się więc do drugiego Jana Czarneckiego i godzinami kłapie mu nad uszami. Dziś perorował coś o ustalenie się rządu Maksymiliana w Meksyku, potem wpadł na temat, czy dynastia pana Bonapartego, jak sędzia nazywa cesarza Napoleona, ustali się we Francyi lub nie?

Mnie się zdaje, że rząd dopiero wówczas jest silnie ustalony, kiedy stanowi w oczach ludu w terażniejszości, a szczególnie w przyszłości, narzędzie postępu wyższego niż wszelka inna kombinacja: otóż chcąc coś mówić o możliwości lub niemożliwości ustalenia się rządów Maksymiliana w Meksyku, trzeba by pomacać puls społeczności meksykańskiej, by zrozumieć jaki jest stan owej społeczności i czego jej brakuje, a potem poznawszy system rządu Maksymiliana, można dopiero wnioskować, czy rząd ten może Meksykańczyków zaspokoić w terażniejszości i posłużyć im na przyszłość jako odpowiedniejsze narzędzie postępu niżeli Rzeczpospolita. Bez tego, wszelka dysputa będzie tylko de lana caprina. Pan Jan tego rodzaju dyspyty najlepiej lubi, bo przy takich rozprawach obydwie strony mogą ostatecznie zatrzymać słusność.

Co się zaś tyczy dynastyi pana Bonapartego, należałoby przedewszystkiem zastanowić się nad tem, co ona reprezentuje? Bo, aby nowa dynastia w czasach terażniejszych mogła być

utworzoną i mogła mieć zapewnione sobie trwanie na przyszłość, trzeba koniecznie, ażeby reprezentowała i uosobiała w sobie wielki jakiś interes narodu, wielką jakąś ideę, nad której urzeczywistnieniem pracować. muszą następne pokolenia. W takim razie dynastia staje się wyrazem dążeń i pragnień narodu, sztandarem, koło którego naród skupia wszystkie usiłowania; wtedy dynastia jednoczy się z narodem i staje mu się niezbędną, jako przedstawicielka idei narodowej.

Taki wielki interes narodu, taka wielka idea może się odnosić do wewnętrznych stosunków kraju, albo też do stosunków jego politycznych z innymi narodami i całą ludzkością.

Zasada narodowości i wola narodu za podstawę władzy przyjęte, sprawiedliwość w stosunki międzynarodowe wprowadzona, oto naprzykład myśli mogące służyć za ideał stosunków na zewnątrz. Na wewnątrz zaś: zaprowadzenie systematu narodowej edukacji dla rozwinięcia w masach inteligencji patriotyzmu i produkcyjnych zdolności, przy uszlachetnieniu pojęcia pracy, a zarazem i jednocześnie system kredytu dla wszystkich warstw narodu, któryby dla tych rozbudzonych, produkcyjnych zdolności otworzył pole działania i dozwolił zużytkować je z dobrem ich własnem i całego kraju.

Nie podlega bowiem wątpieniu, że społeczność francuska ma się ku zupełnemu przetworzeniu. Praca, na której religia położyła piętno hańby, albowiem Bóg do Adama, oznajmiając mu wyrok za popełnione przewinienie, rzekł: „Będziesz pracował“. — Praca, która była udziałem niewolników, potem poddanych, potem nieszlachetnego spóółstwa, upomina się o należące jej w społeczeństwie stanowisko, nie podrzędne, lecz najwyższe, — jeśli Napoleon reprezentuje to dążenie tak, jak reprezentuje zasadę narodowości i władzy z woli narodu, to dynastia jego może mieć przyszłość, chociażby sędzia nie wiem jak protestował; w przeciwnym razie upadnie, nie mając racji bytu.

Jest nadzieja, że zostaną tutaj, cieszę się tem, jak gdyby mi opuszczono karę, a przecież to to samo, siedzieć tu, czy tam. Tak dla mnie, ale dla mojej biednej kobieciny, jest to wielka różnica; będzie mnie częściej widywała, a mając mnie

*Helena*

wie Lwowie, chociaż w więzieniu, nie będzie się czuła tak osamotnioną.

*Helena*

Wywieziono Hallera, Romanowicza, Stadnickiego, Drohojewskiego, Czarneckiego, Majkowskiego, Kalickiego do Ołomuńca. Tarnowskiego zostawiono. Coby to miało znaczyć? Brat jego podał prośbę do cesarza o ulaskawienie, lecz i Hallerowa i Drohojewska i Czarnecka podobnież się udały o łaskę. Przykro nam pozostałym! coraz puściej robi się w Karmelitach. Ja mam być przeniesionym do Brygidek i tam odsiadywać karę. Helena wyprosiła u generała, że mnie tu jeszcze zostawią przez czas jakiś. Skoro wyjdzie Lewakowski, sprowadzę się do Tarnowskiego, do tak zwanej Sapieżyńskiej kaźni, uczynię to dla poczciwego Stasia, który się boi, by mu kogo niemilego nie dali na towarzysza...

Przez czas wspólnego z Tarnowskim mieszkania, nie miałem nawet czasu zajrzeć do moich zapisków; nic się też nie wydarzyło szczególnego. Tarnowskiemu zdjęto kajdany na mocy rozporządzenia z r. 1849, którego nasze kochane sądy nie wykonywały. Dopiero, gdy Białoskórski będąc w Wiedniu, w interesie swej adwokatury, wspomniał coś o kajdanach, które więźniom politycznym skazanym na ciężkie więzienie powkładano, pan minister przypomniawszy sobie, że istnieje rozporządzenie wedle którego więźnie polityczni nie mają nosić kajdan i mogą mieć swój ubiór, swoją pościel, a nawet rekwizyta do pisania, kazał republikować to rozporządzenie. Dowiedzieliśmy się, że i w Ołomuńcu więźniom naszym zdjęto żelaza. Zawsze im tam wszakże gorzej, niż tu nam. Poczciwy Staś omal się nie rozbeczał przy rozstaniu, a i mnie łzy w oczach stanęły. Cóż bo to za poczciwy młodzieniec! jaka delikatność, jaka skromność, przy takim stanowisku i wykształceniu. Dał mi w depozyt swój testament, sporządzony przed zapadnięciem wyroku...

Wróciłem znów do mej kaziemki pod nr. 44. Zabrudzili mi ją przez tych kilka tygodni, poobłupywali mur, że wygląda jak jaskinia. Że też u nas nawet między wykształconszymi brak taki zmysłu porządku i czystości, przecież to jest niezbędnym warunkiem egzystencji człowieka cywilizowanego.

Już nas tu tylko kilkunastu, dla mnie właściwie jeden tylko Wasilewski istnieje, z resztą albo się nie znam, albo się znać nie chcę; coś mi też Blaschke wspomniał, że dla mnie już w Brygidkach wy-  
porządkują kaźnię. Teraz mniejsza już o to; prosiłem więc He-  
lenki, by o dalszą prolongatę mego pozostawienia w Karmelitach  
nie starała się. Im nas mniej, tem więcej komerażów — trzeba  
się wynosić między złodziei.

Przyniósł mi Wasilewski nowy dziennik „Praca“, wyszły na  
okaz. Redaktorowie Henryk Jasiński i Gromán. Chęci dobre,  
ale czy ci panowie podolają tej pracy? Okaz bardzo słaby.  
Zawsze: „Szczęść Boże!“

Przeznaczeniem naszym na ziemi nie jest bawić się. Praca  
to porządek boski, wędzidło namiętności, sława i szczęście życia.  
Majątek bez pracy, to szczęście bez honoru. Dobrze więc że  
powstał dziennik, który pracę przyjął za swe godło, który do  
pracy chce zachęcać i pracy nadać stanowisko należące jej  
w społeczeństwie.

Będzie to trzeci dziennik niezawisły w Łwowie. Trzeci  
dziennik! takie miasto jak Lwów powinny ich mieć przy-  
najmniej dziesięć! Policz dzienniki narodu, a poznasz jego sto-  
pień oświaty; jest to termometr, który nigdy nie myli. Żle więc  
z naszą oświatą! Prawda, że rząd monopolizując opinię publiczną  
przez rządowe i subwencyonowane dzienniki, a drakonicznem  
prawem prasowem ciężąc na dziennikarstwie niezależnem, nie  
daje się rozwinąć oświacie. Ale, że też mężowie, którzy kierują  
Austryą, nie wiedzą, jak przez to szkodzą Austrii.

Wraz z innymi darami, które w rękę ludzkim stały się  
złem, wyszła z puszki Pandory także prawda. Szukać prawdy jest  
zadaniem wszystkich; posiąść ją nie jest niczym udziałem. Rząd,  
ministrowie, urzędnicy, których chcą robić orędownikami prawdy,  
czemże oni są jeśli nie ludźmi? od chwili, w której rzeczpospolita  
przestaje być rzeczą obywateli, tracą ciż co jest najszlachetniejszym,  
najpiękniejszym, największem w życiu: miłość ojczyzny, zamiło-  
wanie wolności.

Usuń wolność mówienia i pisania, wolność trybuny i prasy,  
a społeczeństwo stanie się wodą stojącą, z której powstaje zgni-  
lizna i śmierć. Prasa powinna być wolną; każdemu powinno być

wolno drukować co chce, pod jedyną gwarancją prawa i sprawiedliwości. Czasopisma powinny być uważane jako dobrodziejstwo społeczeństwa, przeto faworyzowane, mnożone... ani kaucyi, ani stempla, nic coby przeszkadzało rozpowszechnieniu się światła, coby krępowało wolność. Jeśli prawdziwym jest zdanie Montecuculiego, że do prowadzenia wojny trzeba pieniędzy, pieniędzy i jeszcze pieniędzy, to nierównie prawdziwszem jest, że do uszczęśliwienia ludzkości trzeba światła i wolności, i jeszcze światła i wolności. Żli to więc statyści, którzy krępują prasę; zamykają przed ludzkością światło, które do jej rozwoju życia i szczęścia jest niezbędnem, lecz i bytu materyalnego, tego jedyne go bodźca motłochu, nie zapewniają mu przez to; niech się tylko rozpatrzą po świecie; — bogactwo jest owocem wolności. Bez wolności prasy niema bezpieczeństwa finansów, przemysłu i handlu. Niech zdejmą z oczu okulary przesądu, a obaczą, że te tylko kraje są szczęśliwe, oświecone, ludzkie, uczciwe, bogate, w których każdy ma prawo powiedzieć prawdę bez względu na osoby, bez względu na przesady; obaczą również, że te kraje są ciemne, zepsute i nędzne, gdzie pod wszelkimi formami panuje kłamstwo oficjalne... Chcecie by narody milczały, a zapominacie, że milczenie jest tryumfem głupców! Zarzucacie, że ustałoby uszanowanie kościoła, sądownictwa, magistratury, gdyby za najmniejsze uchybienie wolno było dziennikarstwu karcieć księdza, sędziego, urzędnika. Ja sądzę przeciwnie. Nie temu kościołowi hańba, który odzuca niegodnego księdza, lecz temu, który zaślubia sprawę winnego, chroniąc go przed zasłużoną naganą. Sądy zaś są dla obżałowanego, a nie obżałowany dla sądów; urzędnicy są sługami narodu i jego kontroli podlegać powinni. Wolność ostatniego z nędzarzy jest wolnością wszystkich. Skoro formy prawa pogwałcone, skoro choćby jeden obywatel był niesłusznie dotknięty, wszyscy są zagrożeni, dlatego wszyscy mają prawo powstawać przeciw takim naruszeniom. Lecz powiadacie, że dziennikarstwo nadużywa często wolności druku, dlatego musi być trzymane na wędzidle. Prawda, ale to nadużywanie zabezpiecza wolność używania. Są kobiety, które nadużywają wolności chodzenia po ulicy; czyliż dlatego mamy wszystkie kobiety pozamykać w ha-remach? Są ludzie, co się zabijają obżarstwem i opilstwem; czyliż dlatego mają być wszyscy skazani na dyetę. Czyż z bojaźni przed



podpaleniem mamy zakazać używania zapalek i krzesideł? Czyliż w bojaźni przed skrytobójstwem, ma być wszystkim zakazane posiadanie broni? Wszelka wolność mieści w sobie możliwość nadużycia; tak samo ma się z wszelką siłą i wszelkiem narzędziem. Znieść wolność, by zapobiedz nadużyciu, przeszkodzić dobremu, by usunąć możliwość złego — jest to samo, co wytoczyć Bogu proces i chcieć mu dowieść, że nie miał wyobrażenia o tworzeniu świata... Prasa również jak trybuna, jak szkoła, jest narzędziem szerzenia prawdy; a pytam, czem są wszystkie wasze polityczne systemata i kombinacye form rządu wobec tych żyjących instytucji wolnych narodów? Błędną chimera, niczem! A dlaczego? Bo prawda jest prawem, które rządzi światem moralnym. Jak między rzeczami, tak między ludźmi są naturalne związki i stosunki; poznać, szanować te związki i stosunki, jest to poznać i szanować prawdę, czyli, by się lepiej wyrazić: Boga samego, obecnego w świecie przez swą wolę wszechmocną! Cóż się stało z konstytucją Pillersdorfską? co ze Stadionowską? co z systemem Bachowskim? runęły przed pierwszym podmuchem nadchodzącej burzy; czemu są sztuczne kombinacye Szmerlingowskie? martwą literą na papierze; podczas, gdy instytucje wolne Zjednoczonych Stanów trwają wobec tak strasznej walki wewnętrznej i przetrwają ją, bo są prawdą, bo na wolności zbudowane.

Spędziliśmy razem wilię Bożego Narodzenia. Wasilewski poprosił kapitana Wajdę, by na to zezwolił, — żądał, by mu przedłożono spis tych, którzy razem chcą ten wieczór przepędzić. Wasilewski od siebie podał mnie, Tomickiego, Zagórskiego, Gaszynskiego i Bogdanowicza, więcej bowiem nad szczęściem nie mogło się razem znajdować, nie chciał też zezwolić, by inkwizyci zesłali się ze skazańcami, mimo to Wasilewski nadrobił z Blaschkim, że pozwolił przyjść także Tarczewskiemu i Załęskiemu. Używszy to pozwolenie, Wasilewski uwiadomił o tem Karola Widmana, który po Piątkowskim objął via facta urząd gospodarza. Widman nie zapytawszy kto z kim chce ten wieczór przepędzić, przedłożył Wajdzie przez Blaschkiego spis więźni wedle karni w których siedzieli sporządzony, i stosownie do tego spisu przyszło od jenerała pozwolenie do przepędzenia wspólnego wili, pozwolenie oczywiście nic nie znaczące, bo więźnie siedzący

w jednej kaźni i bez takiego pozwolenia mogli przepędzać razem wilię. Powstańcy nie wiedząc o tem, a dowiedziawszy się, że my w próżnej jednej kaźni przyrządzamy wspólną wieczerzę, zaczęli się także skupiać wedle tego, jak kto z kim chciał wilię przepędzić. Ponieważ na to nie było pozwolenia, więc Blaschke zabronił. Ztąd krzyki na nas, na protekcję „arystokratów“ i tem podobne wymyślania. Pan Dulemba zaś nie chcąc poprzestać na zakazie Blaschkiego, udał się do samego Wajdy, gdy tenże do kancelaryi z powodu jakichś odwiedzin przyszedł i reklamował dla siebie i przyjaciół, z którymi chciał wilię przepędzić, te same prawa, które nam przyznano. Tłumaczył się Wajda, że to od jenerała zależy, że teraz już za późno zmieniać porządek, który tenże ustanowił na podstawie przełożonych mu przez samychże więźni spisów. Duleba twierdził, że im nikt nic nie powiedział, i że oni żadnych spisów nie przedkładali. Nareszcie Wajda, by skończyć dyskusję, zauważył, że jenerał wyraźnie powiedział, by się więcej więźni nad sześciu razem nie znajdowało, ich zaś jest już sześciu. Na to Duleba wskazał na „kompanię“ Wasilewskiego, w której ośmiu się znajduje. Wajda obrócił się pytająco do Blaschkiego, a ten wyjąwszy nasz spis z pularesu, przeczytał nasze nazwiska, kończąc naturalną konkluzją: że tylko sześciu panów będzie razem pod nr. 54. Duleba wszakże obstawał, że wie z pewnością, iż będzie nas ośmiu. Po tej scenie, która świadczy jak nisko nasza młodzież upadła, kiedy młodzieniec taki jak Duleba, słuchacz praw, syn tak zacnego ojca, nie wzdygał się zostać denuncyantem kolegów więziennych przed zbirami wspólnymi, Blaschke zawahał się względem Torczewskiego i Załęskiego, lecz butelka wina i tort posłany jego żonie naprawiły tę rzecz. O 6-tej zeszedliśmy się pod nr. 54 i zjadłszy opłatka, usiedliśmy do wieczerzy. Wszyscyśmy milczeli, bo nam przykro było, że inni nie mogli się zejść wedle ich życzeń, tak jak my, bo nas nie cieszyła ta wspólna wieczerza, której nam koledzy zazdrościli do tego stopnia, że nas aż denuncywali... W tem wszedł Gaszyński, którego napróżno po całym szukaliśmy w więzieniu, podczas gdy on asystował paniom, które dla biedniejszych więźni przynosiły wieczerzę. Wszedł z butelką próżną; wychylił ją mimochodem za zdrowie owych pań — a przeprosiwszy, że się spóźnił, siadł do wieczerzy. Był już spity jak biała, lecz stojącemu przed nim

kieliszkiowi nie podarował; już nie wiem z jakiego powodu, prawdopodobnie z powodu winogradowego soku wpadł na Noego, i plótł tak kolosalne niedorzeczności, żeśmy się nie mogli wstrzymać od śmiechu. Dzięki więc Gaszyńskiemu, rozpromieniły się wszystkim twarze, każdy starał się przyczynić do ogólnej wesołości, która zastąpiła miejsce posępności, z jaką rozpoczęliśmy wieczerzę. Gaszyński był niezrównanym; pił jak rosyjski praporszczyk, ~~łgał jak żołdat~~ ~~schwytańy~~ na kradzieży. Gdy tak w najlepsze śmiejemy się, otwiera się kłódka i wchodzi pan Wajda; snadź chciał się naocznie przekonać, czy to prawda, że nas ośmiu razem wieczerza. Było nas w rzeczy samej ośmiu, lecz wstawszy od stołu, zaczęliśmy się tak wszyscy kręcić, by kapitana powitać, by go potraktować, że trudno nas było odrazu policzyć; kochany nareszcie Gaszyńcio z kieliszkiem i butelką stanąwszy przed kapitanem, nie pozwolił mu przejść na drugą stronę stołu, skąd byłby mógł zobaczyć stojącego za piecem Zaleskiego. Nareszcie wyszedł kapitan; czy widział, że nas ośmiu było, czy nie, mniejsza o to. Blaschke nie żalił się, więc zdaje się nie otrzymał bury. Wkrótce po wyjściu kapitana skończyła się wieczerza — podano herbatę, którą Gaszyński jako praworny praporszczyk zmienił na tęgi czaj. Po kilku haustach oprzytomniał o tyle, że to co mówił miało sens; mówił zaś ciekawe rzeczy: opowiadał swoje przejażdżki po prowincjach polskich, które z polecenia Mierosławskiego odbywał, jak tu udawał czerwonego, tam zaś białego, byle wydobyć trochę grosiwa do kasy generała; jak w jednym miejscu wynosił Mierosławskiego pod niebiosa, a w drugim czystej nitki na nim nie zostawił; jak przed tym wydawał się za ajenta Mierosławskiego, przed owym za wysłannika Wysockiego, aż go nareszcie ten „szelma Mierosławski“ ogłosił za szpiega, jego, co mu służył z takim poświęceniem i z taką zręcznością; ale dobrze to mówią: „służ panu wiernie, on ci za to p....., tak też pan generał odpłacił się; siedzę tu już rok i gdyby nie jakieś pocziwe babiny, co przysyłają jeść i od czasu do czasu parę ryniów, toby człek zdechł“. Podczas tych expektoracji Gaszyńskiego, otworzyły się drzwi i wszedł młody Widmann z Dzierzkowskim. Czy przyszli w imieniu „Demokracji“, aby jak duch Banka stanąć przed bankietującą „Arystokracją“, która nawet w więzieniu szuka przywilejów? Nie sądzę; Dzierzkowski mimo wszystkich

swych wad i mimo, że na nim niejedyn ślad został z kału, w którym się nieraz tarzał, zatrzymał resztę dumy, która się brzydzi tego rodzaju podłostkami; zresztą Dzierzkowskiemu wszystko można odmówić, lecz rozumu nie podobna; było zaś głupstwem ze strony panów kolegów, że nam brali za złe, iż osiągnęliśmy, co im nie byłoby zostało odmówionem, gdyby byli należycie postąpili. Dzierzkowskiemu nigdy nie zapomnę tego, że w r. 1847 kiedy z głodu prawie ginął, nie przyjął ofiarowanej mu przez Stadioną redakcyi „Gazety Lwowskiej“, z pensją roczną 3000 fl., dlatego uściskałem szczerze podaną mi rękę i zdziwionym trochę tem przybyciem towarzyszom biesiady, którzy go nie znali, przedstawiłem jako seniora naszych powieściopisarzy. Tomicki, który pełnił podczas wieczerzy urząd gospodarza, nalał szklanek wina i podał ją Dzierzkowskiemu, — „ja nie jestem postańcem“ rzekł tenże; będę pił, ale nie sam; ponalewał więc Tomicki i innym kieliszki, a Dzierzkowski wniósł zdrowie Floryana! bo jutro jego urodziny.

*urodziny  
Floryana*

Rozmowa, która była ucichła przy nadejściu tych panów, znów się ożywiła i tak bałakaliśmy jeszcze godzinę, aż Blaschke przyszedłszy po Dzierzkowskiego i Widmana, spowodował i nas do rozejścia się, aby nie wyglądało, że istotnie jakieś mamy przywileje.

Boże Narodzenie. Czyż dlatego Chryste na świat przyszedłeś i dałeś się umęczyć, aby wyznawcy Twoi jedni drugich dręczyli, męczyli, mordowali? Czyliż Ty nie odkupiłeś krwią Twą biednej Polski?...

Panie! rzekłeś: „Przywiodę lud ten do takiego utrapienia, że ktokolwiek o nim posłysz, uderzony będzie jak gdyby piorunem“.

Panie! spojrzysz na kraj polski! jakże on pusty, smutny, strapiiony! pozbawiony wszelkiego prawa, wyzuty ze czci, złupiony z majątku!... Kościoły jego pozamykane, miasta w perzynie, dwory spustoszone!... dolina mordu, gdzie się bieleją kości, rumieni krew jej obrońców...

Panie! spojrzysz na ucisk ludu polskiego, na łzy niewinnych niemających nikogo, co by ich pocieszył; nie mogących oprzeć się gwałtownie, bo nikt im nie śmie dopomódz: dzieci, wyrostki,

dojrzeni, starcy zamknięci w ciemnych lochach, w niedostępnych wieżach, w wilgotnych kazamatach, lub tułający się w obczyźnie...

Ich sumienie zgwałcone, zmuszeni wyprzeć się swej wiary, swych ojców, swej narodowości. Cały naród okuty w kajdany, przenoszony masami w kraje dzikie; córki pędzone jak bydło na gospodynie osadnikom; dzieci wyrywane z łona matek, żeby z nich nie urosli Polacy...

Wszyscy nasi prześladowcy nasrożyli się na nas; nieprzyjaciele nasi wytepiają nas mieczem, ogniem i głodem; a ci, co nas kochali, zapomnieli o nas!...

Panie! jeśli podnoszę głos przeciw Tobie, i to w dzień pamiętki przyjścia na świat najukochańszego Syna Twego, aby się za nas dał umęczyć, nie dlatego to czynię, iżbym nie wiedział, że jesteś sprawiedliwym. Lecz są chwile w życiu narodu mego, w których zwątpić można o Twej sprawiedliwości lub Twej wszechmocy. Pozwól mi więc narzekać, jak to pozwoliłeś niegdyś prorokowi Twemu. Dlaczego źli i bezbożni tak pomyślnie postępują drogą swoją? Dlaczego ci, którzy gwałcą zakon Twój i niesprawiedliwie czynią, są tak szczęśliwymi? A lud, który był zawsze wierny Twemu zakonowi, który matkę syna Twego swoją obrał królową, jak zasłużył na to, żeś go tak srodze nawiedził, żeś go opuścił, żeś go wydał na tak ciężkie ukaranie?...

Lecz narzekam niesłusznie. Ty Panie próbujesz wiernego sługę, ale upaść mu nie dasz. Ten lud obalony, jak drzewo z pnia ścięte, bez bytu... ma jednak byt silny, byt pełen życia. Wszyscy mówią o nim; nawet niechętni mu, ciągle się nim zajmują; jego ciemiecy w ustawicznej są obawie; najpotężniejsze mocarstwa są przeciw niemu uzbrojone. „Wszak Polski już nie ma“, mówią — a każdy szczęk żelaza ze snu ich budzi: może to Lachy znowu za broń chwycili?

Upadli z bronią w rękę... Car im na pierś nogę położył, a jego sprzymierzeńcy wiążą ręce i nogi ofiarze... „Już nie ma Polski“, czemuż się nie radujecie? dlaczego się zasępiły czoła wasze? Bo nie wiecie co począć z tą ofiarą. Najzuchwalszy między wami Moskał, otwarcie to już wyznał: „Zostawić Polskę to wieczny bój; wcielić ją do Rosyi, to nieśmiertelny rak“...

Ufaj więc Polsko! natchniona wiarą niezachwianą, a ożywiona nadzieją, badaj usposobienie wszystkich twych ludności,

polegaj na własnych siłach, a dzień sprawiedliwości Bożej nadejdzie. Dąb twój ze swego pnia starego, głębokie rozpuścił korzenie; silne, niepodobne do wykorzenia, — korzenie, które daleko się rozciągają i dostarczają soków żywotnych, całemu swemu szczepowi, wydadzą konary, co bujnością swoją zagłuszą nieprzyjaciół.

Kwasy, które wywołała nasza wilia, odstraszyły nas od wspólnego przepędzenia wieczora sylwestrowego. Wieczór dzisiejszy w świecie całym przepędzają znajomi, przyjaciele, krewni, ciesząc się, że — przeżyli rok do końca. Ah, trudno żyć teraz na świecie — i jest-że się z czego cieszyć, że się znów przedbiedowało 365 dni? Nie są ci szczęśliwsi, którzy niedoczekali sylwestrowego dnia?... A przecież jak ludzie wolni wesoło ten wieczór zwykli przepędzać... ba! ludzie wolni mogą się cieszyć, bo oni są panami swego przeznaczenia. Wolni? a gdzie są ludzie wolni? Wolni nie tylko wewnątrz siłą ducha, ale i zewnątrz niekępowani żadną przeszkodą? Jakże to musi być szczęście, być tak wolnym!...

Wyobrażam sobie kraj wolny: co to za życie silne! serce, myśl, wszystko w działaniu; żadnej, żadnej tamy! człowiek trzyma w swem ręku swe szczęście, swą cnotę. Tu nie ma kłamstwa oficjalnego, lecz panuje prawda; żadnych przesądów, żadnych zawad; wszędzie się odzywa głos ludu upojonego nadzieją. Naprzód, naprzód! ku światowi, w którym ustanie nędza, siła brutalna będzie zwalczoną, a duch na tronie zasiądzie. Czy jutrenka dnia takiego zejdzie dla mej ojczyzny za życia mego?... Lecz mniejsza o to, jeśli tylko raz zejść musi... Wszystko będzie zmienione, znikną ostatnie szczątki poganizmu; zapanuje osobnik, poważany od wszystkich i wszystkich poważający, — panem swych czynności i sam odpowiedzialny za swe życie; kościół odzyska niepodległość ewangeliczną, zerwawszy węzły wszeteczne, którymi się związał z władzą świecką, a wróciwszy do swego boskiego oblubieńca, stanie się wędzidłem, pocięgą i nadzieją wszystkich dusz.

Ewangelią będzie kartą wolności. Wychowanie hojnemi orędowne rękami, otworzy pole temu instynktowi zjednoczenia, tej potrzebie wspólnego działania, które stanowią wielkość społeczeństwa. Prowincje od wspólnej poodrywane ojczyzny, odzy-

skają swą dawną siłę, a miłość tej ściślejszej ojczyzny, podwoi w mieszkańcach miłość wspólnej, wielkiej ojczyzny. Gmina zerwie więzy które ją krępowały, a żyjąc, działając, przywoła do siebie swe dzieci i jak kwoka piskłeta, pod swe matczyne tulić będzie skrzydła. Prasa będzie wolną i każdy będzie mówił co myśli i myślał co mówi. Państwo cofnięte w swe granice będzie już tylko dobrodziejstwem: na zewnątrz mieczem, wewnątrz prawem, niczem mniej i niczem więcej. Prawda, sprawiedliwość, wolność, zajaśnieją na tym nowym horyzoncie jako gwiazdy pokoju, przed którymi zgasną dotychczasowe plagi społeczeństwa: samowola, intryga, kłamstwo.

Jak to słodko będzie żyć natenczas. Tymczasem trzeba iść spać, bo atramentu już nie staje i lampa dogorywa. Bądź zdrow stary roku; bodajbyś w minionej nigdy nie powrócił postaci.

## 1865.

Nowy rok, są więc powinszowania; znalazłem po powrocie ze spaceru rannego aż dwa powinszowania na stoliku. Jedno z podpisem „Josef Malicki, kominiarz“, jest to słowak, któremu raz czy dwa jakąś wyrządziłem grzeczność, „słyszał on dziś w nocy, jak anioł lecąc po nad miasto, nucił, a on to wszystko radośnie wykrzykuje, winszując fortuny, dostatków, miłej radości. A po zgonie życia wiecznej szczęśliwości...“ Powinszowanie wierszem na różowym papierze. Drugie także wierszem, lecz bez podpisu. Pan Anonym nie tyle łaskaw co — kominiarz; „życzy mi stryczką, na który, jako arystokrata, żyjący potem, a tuczący się krwią ludu, dawno już zasłużyłem. Podczas gdy zacna wiara przelewała krew za ojczyznę, ja bankietowałem za pieniądze narodowe, a nawet tu w więzieniu, kiedy owa zacna wiara głód cierpi i wszelki niedostatek, ja z równymi sobie, kupując u wrogów przywileje za pieniądze powstaniu skradzione, zajadałem marcypany i spijam szampana. Na pohybel więc na ten nowy rok“. Takie same powinszowanie w ciągu dnia dostaliśmy wszyscy, którzyśmy z Wasilewskim jedli wilię, nie wyjmując nawet Torczewskiego, byłego dyrektora policji z ramienia Rządu Narodowego. Była to widocznie koleżańska zemsta

za ową nieszczęśliwą wilię. Słyszeliśmy parę razy od owego czasu, że obrażeni (czem) myślą o jakiejś przeciw nam demonstracji. Chwała Bogu, że się na innego rodzaju zemstę nie zdobyli. Bolesne zawsze, że do tego przyszło, a jeszcze boleśniejsze, że pan Widman temu nie przeszkodził. Jedno słowo z ust jego byłoby wyświeciło błąd, w którym się powstańcy znajdowali; tego słowa wszakże Widman nie wyrzekł z obawy, by przeciw niemu jako winnemu gniew nie obrócił się... Nie pierwszy to raz pan Karol grzeszy w podobny sposób. Gdy Piątkowski, który chciał Jasińskiego na sekretarza głównego stowarzyszenia rzemieślniczego, pytał mię o jego curriculum vitae, potem to, co odemnie usłyszał, rozpał w więzieniu, a Jasiński dowiedziawszy się o tem, zapytał mię bawiącego wówczas na wolnej stopie, co w tej gadaninie jest prawdziwego, odpisałem Jasińskiemu jak się rzecz miała, nazwawszy postępek Piątkowskiego babuszeryą, niegodną człowieka, który ma pretensye do zajmowania jakiegoś stanowiska w narodzie. List ten Jasiński pokazał Piątkowskiemu, od którego otrzymałem znów ja list grubiański, co się zowie. Grubiaństwa były podobne do Piątkowskiego, lecz ani styl, ani ortografia, ani pismo nie były jego, widocznie pochodziły one od kogoś, który i dłużej się uczył pisać niż pan Piątkowski i posiadał nie tylko gramatyczną, ale i stylistyczną wprawę. Do-stawszy się napowrót do więzienia, dowiedziałem się od Zimy, a Zima nie umie robić plotek i z Widmanem nigdy nie miał żadnych zatargów, że list ów pisał Piątkowskiemu pan Karol Widmann. Nie dość na tem, gdy byłem razem z Baumem, Rogawskim, Tarnowskim, Czarneckim i Drohojewskim na wolnej stopie, Stadnicki starał się także wydobyć, chodzilo tylko o kaucyę, której nie mógł dostać. Pan Rogawski, który nawiasem powie-dziawszy, w dzień urodzin N. Pana w kontuszu znajdował się w katedrze na oficjalnej mszy i to przed wielkim ołtarzem, ażeby przekonać, że istotnie modli się za pomyślność N. Pana, jak to zaręczał w piśmie do prezydenta Rady państwa pisanem, — pan Rogawski starający się między innymi o kaucyę dla Stadnickiego, doniósł mu nareszcie, że „pewien“ obywatel chciał dać kaucyę i wysłał „pewnego“ adwokata z Przemyśla do Lwowa, by się przekonać, czy może dać kaucyę za Stadnickiego, lecz „pewien“ prawnik, który wyszedł nie dawno na wolność odra-



dził mu to; przeto z kaucyi nic nie będzie. Gdy Stadnicki w więzieniu o tem smutnem doniesieniu opowiadał, pan Karol Widman skombinowawszy rzeczy: że tylko ja jeden prawnik wyszedłem był wówczas na wolność, że jak wyczytał z gazet był to Wajgurt, adwokat z Przemyśla, a ja się z Wajgurtem znam, zakonkludował: że to ja odradziłem złożenia kaucyi za Stadnickiego. Konkluzya ta miałaby coś za sobą, gdyby twierdzenie Rogawskiego było udowodnioną prawdą, gdy zaś pan Widman dowodu tego nie miał, nie godziło się dalszych wyprowadzać wniosków ze szkoda uczciwości, a nawet rozumu człowieka, całej tej sprawie obcego; bo dłaczegóż, pytam, mógłbym ja być odradzać złożenie kaucyi, gdyby przypuścmy mnie się o to kto był pytał? Przeciw Stadnickiemu nigdy nic nie miałem, szanuję go i poważam, i przez cały czas wspólnego z nim więzienia żyliśmy z sobą jak najlepiej; mściwość więc nie mogła mną powodować? Stadnicki, człowiek wiekowy, schorzały, mający tu żonę, gospodarstwo, a przytem znany z uczciwości, nie byłby pewnie chciał uciekać w ogólności, a tem mniej z narażeniem człowieka, chcącego mu pomódz, na utratę kilku tysięcy reńskich; z obawy więc, że Stadnicki może uciec, nie mógłbym być także odradzać; nareszcie jako prawnik wiem, że kaucya taka odpowiada tylko za ucieczkę, a leżąc, jeśli ją kto inny składa na imię składającego, ani długami tego, za którego jest złożoną obciążona, ani w inny sposób zaprzepaszczona być nie może; musiałbym więc być obranym z rozumu, gdybym był odradzał złożenia tej kaucyi. Stadnickiemu, skoro o tem komerażu dowiedziałem się, dałem słowo honoru, że to wszystko, o ile się mej osoby tyczy, jest bajką, i spodziewam się, że Stadnicki nie podejrzewa mnie więcej. Pan Karol W. zaś przekonał mnie, że przysłowie: zyz, tys, ryz — a jest i tysem i ryzym i zyzym — nie jest bez wszelkiej podstawy.

Ot, trzeba się czempredzej wynosić między złodziejów do Brygidek. Goły rozboju się nie boi; nie okradną, nie zrabują mnie tam, podczas gdy tu szarpią pocziwą moją sławę, że aż paździerze lecą.

**5. Stycznia w Brygidkach.** Nie taki dyabeł czarny, jak go malują. Wyobrażałem sobie daleko gorzej Brygidki. Na korytarzach czystość, którą zarząd więzień karmelickich mógłby so-

bie wzięść za wzór, kaźnia zaś moja w porównaniu z karmelicką wygląda jak salon. Dość duża, wysoka, widna i czyściutka. Nie mogę się nacieszyć. Przedzieliłem ją parawanem na dwie części; pierwsza od drzwi stanowi przedpokój z kredensem, druga jest sypialnią. Mój Spot rajszuluje i szczeka z radości, że ma dostateczną do wybiegania przestrzeń.

Pan Regensburg kerkermajster, bardzo grzeczny człowiek, sam mi przybił koc nad drzwiami i przydał mi na usługi aresztanta, któremu dobrze z oczu patrzy i za którego pan Regensburg ręczy. Fedko był w jego kompanii i wzorowo się zachowywał, dostał się do Brygidek za to, że podpity, pokłóciwszy się w karczmie z jakimś sąsiadem, prima furia podpalił mu szopę. Od tego czasu zarzekł się wódki i od trzech lat już jej nie miał w ustach.

Nie zamykają mnie, tylko na noc; przechadzać się mogę kiedy chcę i ile mi się spodoba, to też korzystam z tego. Porobiłem znajomości, lub poodnawiałem dawne. Pan Deputowicz, przed którym mię Verwalter ostrzegł na samym wstępie, oddał mi dziś wizytę. Pan Deputowicz robi tu takie same burdy jak w Karmelitach, a oprócz tego bawi się pewną spekulacją, wcale dowcipną. Aresztantom nie wolno mieć pieniędzy; każdy niemal ma wszakże trochę grosza, rozmaitymi sposobami uzbieranego: to przez usługiwanie więźniom politycznym, to przez sprzedaż różnych wyrobów z kości, z drzewa lub dektury, to przez wyżebranie, bądź to tu u więźni politycznych, bądź na mieście podczas roboty. Otóż pan Deputowicz pożyczka u nich pieniądze i — nie oddaje, a robić to może bezkarnie, bo skarżyć się nie mogą. U kolegów powstańców zaś pożyczka suknie — na wizytę, by przyzwoicie się w kancelaryi pokazać; po wizycie zaś, a nawet często przed wizytą sprzedaje te suknie, lub zastawia u pałkarzy. Wiedząc o tych sprawkach od Verwaltera, miałem się na baczności i dobrze na tem wyszedłem. Powodem wizyty Deputowicza było złożenie uszanowania; nie wiem skąd raptem taka względność, u Karmelitów przez kilka miesięcy spotykaliśmy się z sobą na spacerze i nie kłanialiśmy się nawet. Nie długo wszakże byłem w błędzie; wyszło sztydło z miecha. Panu Deputowiczowi umarła matka, namiestnik pozwolił mu udać się na

pogrzeb, lecz nie ma w co się ubrać, przyszedł więc prosić o pozyczenie sukien. Odmówiłem, a nazajutrz dowiedziałem się podczas wizyty, że mu wprawdzie matka umarła, lecz pozwolenia udania się na pogrzeb nie miał. Piękny mi pan dowódzca powstania!

Zeszedłem się także z Żalplachtą. Co się z tym człowiekiem stało! Co drugie słowo to „stronnictwo czynu“, „szkoła rewolucyjna“. Nabili mu tu głowę, że ma talent na rewolucjonistę, lecz powinien przejść za granicą szkołę rewolucyjną; a on biedaczysko myśli, że ta szkoła, to coś podobnego jak nasze gimnazya lub techniki... Wyobrażałem sobie nie równie lepiej pana „Zapałowicza“, tymczasem jest to bardzo słaba głowa; człowiek poczciwy, ale bez żadnego własnego zdania, papuga powtarzająca słowa, których ją nauczano. Nie może się dość nachwalić Morawskiego i żałuje, że nie przybyłem tu, nim go wzięto do szpitala wojskowego. Jest to wedle słów Żalplachty „Czerwony najczystszej wody“ „skończony rewolucjonista“; „a kto by wątpił o szlachetnych zamiarach Mierosławskiego, niech pozna Morawskiego, tego świętego apostoła ewangelii czynu, a za jeden dzień nawróconym zostanie“. Chwała Bogu, że nie przybyłem tu za bytności Morawskiego, gotówby mnie był także nawrócić, tak jak Żalplachtę i Jasińskiego, ten ostatni ma być jeszcze czerwieńszy od Morawskiego... Co ci ludzie pod „czynem“ pod „czerwonością“ rozumieją? Morawski jest to jakich w Kongresówce nie mało, zbankrutowany na majątku i zdrowiu hrabia (?) Lasocki, który przehulawszy z Moskalami majątek w płockim położony i zrujnowawszy zdrowie do tego stopnia, że jak Łazarz żywcem gnije w najprawdziwszem słowa znaczeniu, rzucił się ostatnimi czasy w wir ruchu i wymową swoją, którą ma istotnie posiadać w wysokim stopniu, starał się między niedoświadczoną młodzieżą stworzyć sobie stanowisko, które gdzieś utracił. Był wszakże ostrożnym, nie narażał swej osoby, a gdy w Kongresówce coraz ciasniej robiło się, uszedł do Galicji, i tu z powodu ucieczki Kurzyny skompromitowany, dostał się do więzienia... I to jest „apostół czynu“, „radikalny rewolucjonista?“ Credat Indaus Apello! Dziwne to też ludzie ci mają wyobrażenia: rozeszła się tu pogłoska, że Pietsch zbankrutował; „chwała Bogu“ rzekł na to Jasiński, „przybędzie nowy rewolu-

cyonista“. Więć u nich by być rewolucyonistą, to jest reformatorem, trzeba się wprzód zrujnować, albo zhańbić. Któż z uczciwych rewolucyonistów zechce się teraz przyznać do tego miana? Rządy despotyczne dotąd osławiały rewolucyę i rewolucyonistów; teraz to czynią tak zwani „Czerwoni“.

Odchodząc do Karmelitów, polecił mi Żalplachta „swego przyjaciela“ Cięciewicza, obywatela ze stryjskiego. Pan Cięciewicz, którego w ubraniu areztanckim widywałem kręcącego się o każdej porze dnia po dziedzińcach i przechadzającego się z Żalplachtą, jest prostym zbrodniarzem, lecz tu z pewnymi względami traktowanym. Był on właścicielem Hossowa, Geryni i Witwicy, których własność nabył zfałszowawszy podpis żony swej, właścicielki owych dóbr — i za to fałszerstwo skazano go na pięć lat więzienia, które mu się w czerwcu tego roku kończą. Zważywszy, że żona jego, wielkie nic potem, mając czworo dorastających dzieci, trwoniła majątek na rozpustę, Cięciewicz może przed Bogiem nie popełnił zbrodni, fałszując podpis żony i ratując tym sposobem resztki mienia dla dzieci, lecz wobec prawa i ludzi jest zawsze fałszerzem, człowiekiem w społeczeństwie zgubionym. Dlatego też pan Morawski przyjął go na adepta swej ewangelii; zrobił z niego czerwonego rewolucyonistę. Ztąd przyjaźń i zażyłość z więźniami politycznymi, a w szczególności z Jaśińskim, Lubińskim i Żalplachtą.

— Przyznam się, że rekomendacya Żalplachty zaambarasowała mnie, lecz uczyniona była w przytomności Cięciewicza, niepodobna więc unikać go na spacerze, chyba nie wychodząc cały dzień z kaźni, Cięciewicz bowiem przez cały dzień spaceruje po dziedzińcach. Cóż robić! trzymam pana Cięciewicza zdaleka, lecz zabronić mu nie mogę, by ze mną nie chodził na spacerze, bez wyrażeniu mu niegrzeczności, a do tego nie dał mi dotąd powodu. Jest skromnym i czuje swoje położenie. Przytem jest to chodząca kronika Brygidek; zna każdego areztanta i jego historię, znał wszystkich więźni politycznych, którzy tu siedzieli, zaczawszy od Kaczkowskiego, z którym razem nawet mieszkał. Pozwalam mu więc gadać i często dowiaduję się rzeczy dość ciekawych. Jest też ciekawym, chciwym wiedzy; pyta się o wszystko a bez natręctwa i z pewną naiwnością przyznając się, że wyrosł i po-

starzał się, jak zwykle u nas dzieci szlacheckie rosną — nie ucząc się nic. Czasem mi robi zarzuty, lecz zawsze dodając, że ten lub ów, a najczęściej Morawski, inaczej na rzeczy te zapatrywali się.

Przyczepił się do naszego towarzystwa niejaki Kot, który trzymany w kurdygardzie z powodu, że nie może udowodnić tożsamości swej osoby, dostał się tu do szpitala. Jest to dziecko warszawskie, podobno jeden z czynnych, wieszających żandar mów; bez wykształcenia, lecz bardzo pojętny, dowcipny i kuty na wszystkie cztery. Pan Kot jest oczywiście bardzo „czerwony“, czerwony w terażniejszym znaczeniu. Zauważyłem wszakże, że Cięciewicz nie tylko mu nie sekunduje, ale wprost go zbija argumentami odemnie poprzednio słyszanyimi. Pan Kot doniósł snadź o tem na miasto, bo Cięciewicz pokazywał mi list od Jasińskiego, w którym mu tenże robi wyrzuty, że się dał przezemnie „przekabacić“ na feudalistę... Czy to komedia? Czy też w Cięciewiczu odezwał się zdrowy rozsądek i pokazał mu gdzie prawda? Strzeżonego Pan Bóg strzeże!

Pokazał mi Cięciewicz pakiet spory opieczętowany, w którym jak twierdzi, zawierają się akta tutejszych rewolucjonistów, oddane jemu w zachowanie, aż dopóki Zalplachta nie wyjdzie z więzienia. Mają tam być biografie szczegółowe wszystkich wytyczniejszych ludzi, wiadomości o ich życiu prywatnem, o ich stosunkach familijnych. Są tam i o mnie rozmaite wzmianki i o Helence i o wszystkich, którzy u mnie bywali lub bywają. Słowem jest to archiwum policyjne. Pytał mnie czy chce przeczytać? pakiet opieczętowany jest przez niego, może go więc rozpieczętować. Podziękowałem tłumacząc mu, że pakiet ten, chociażby nie był opieczętowany, nie powinien z jego wiernych rąk wychodzić. „Panie, rzekł mi wtedy, ja widzę, że byłem „szelmą“, bo oni tymi papierami mogą narobić nieszczęścia, ale on (Morawski) mówił tak przekonywająco, że m każdemu jego słowu wierzył jak ewangelii. A teraz widzę, że to przecież nie wszystko tak jak oni mówili. Jaka to szkoda, że pan się tu nie zeszedłeś z Morawskim, pan byłbyś go przekonał, bo on nie jest szelmą, on tylko w błędzie, on wierzy w to co mówi.“

*Helence*

Po takich ekspektoracjach, zapytał mnie jeszcze raz, czy każe, aby rozpieczętował pakiet; a gdym stanowczo odmówił, rzekł do mnie: dajże pan przynajmniej znać Sapięze, że oni uknuli na niego spisek; że Groman jest ich agentem, żeby mu nie wierzył, żeby się strzegł, bo oni go chcą uwikłać w jakąś sprawę nieczystą; oni postanowili rzucić się na kwestyę ruską, ale trzeba im imienia, chcą więc złapać Sapięę na wabika, a potem gdy im nie będzie już potrzebny, puścić w duraki! Nawet na starą księżnę, o której ambycyi i wpływie na syna wiedzą, chcą tam kogoś nastawić. Morawski chce uciec i ucieknie, bo ta wściekła baba Domaradzka zaślepiała się w nim i wszystko zrobi by go wydobyć. Skoro Morawski będzie wolny, rozpocznie się polowanie na Sapięę. Panie! niech pan nad tem pomyśli; może to także szelmstwo, że ja panu to wszystko mówię, lecz ja będę teraz miał spokojniejsze sumienie.

Już co to, to nie komedia; przecież on pchał mi ten pakiet dwa razy do rąk, ryzykował więc zanadto.

To nasi czerwoni; zamiast walczyć z wrogami ojczyzny, zajmują się zgubą ludzi, którzy służą ojczyźnie! Dawno już to utrzymywałem, że to sekiarze, którzy siebie i swe cele wyżej kładą niż Polskę... A kochany Gromanek, jak on był biały, gdy mieszkał z Sapięą! lecz przestrzegałem Sapięę! Toć i „Praca“ wzięła tylko „pracę“ za płaszczyk; teraz się nie dziwię temu duchowi, który z niej wieje.

Wpadł mi w ręce „Kęś chleba“ Syrokomli. Cóż to za śliczny obrazek; rzecz niezmiernie prosta, ale poczuła głęboko, a wylana w śpiewie z całą siłą żalu, tęsknoty i miłości, wierszem natchnionym i niezrównanie pięknym. Ten kęś chleba czarnego, łzami oblany, od serca dla nas odjęty przez Syrokomlę, to droga perełka, to może najpiękniejsza „pieśń“ ze wszystkich Syrokomli. Pokażcie mi jedną taką w poezjach Wincentego Pola. Wogóle nie pojmuję skąd u nas to uwielbienie Pola? rozumiem zresztą to uczucie u karmazynów, ale jak mu może hołd składać nasza demokracja? — jedyna na to chyba odpowiedź, że nasi demokraci nie pojmują co to jest demokracja. Niech porównają gawędy Syrokomli z gawędami Pola!

Syrokomla nie stworzył może gawędy, w której celował, ale je odtworzył inaczej po swojemu tak, że się stała jego własnością, że jej nie wziął od nikogo.

Mickiewicz w „Panu Tadeuszu” z polotem jenuśza i na rozmiar skrzydeł swoich, dał wzór niedościgniony poematu tak scharakteryzowanego właśnie, jak na mniejszą skalę są gawędy. Gawęda jest poślubieniem rzeczywistości z ideałem, które stanowi w literaturze epokę. Oddziaływanie przeciwko mglistym ideałom literatury klasycznej, która żyła w urojonym świecie konwencyonalnym, zrodzić musiało w istocie, najprzód zbytnie zakochanie się w realizmie, potem tę jego mieszaninę z ideałem, którą jest właśnie gawęda, próba upoetyzowania życia, bez wydarcia mu barw właściwych. W gawędzie mieści się wszystko, co stanowi wątek żywota, jego barwy prawdziwe i światło niebieskie. Stosunek do siebie tych pierwiastków, przewaga ideału lub rzeczywistości, pogląd ulubiony na jaśniejszą lub ciemniejszą stronę, czynią gawędę poematem lub powieścią, pieśnią lub opowiadaniem. Jest to przytem forma nadzwyczaj giętka, szeroka i pozwalająca mieścić w sobie wszystko, czem serce uderzy, co myśl przyniesie, co oko nastęzca.

Pol i Syrokomla, oba oni odetchnęli atmosferą pana Tadeusza, oba patrzyli na ten wizerunek cudny, jako na wzór. Pola gawęda jest przecież inną i wiele różną od Syrokomli; są to dwie siostry, ale nic do siebie niepodobne, charakter ich wcale inny, rodzinne rysy pozornie je tylko zbliżają. Syrokomla nie zapożyczył się u Pola, wziął swą gawędę z potrzeby ducha czasu, odgadł, że była dla poezji koniecznością tego momentu; to też kiedy Pol cofnął się nieco jeszcze w przeszłość, bo w terażniejszości nic dla serca nie znalazł, a może i dla swej maniery artystycznej, Syrokomla powołał lud na scenę, bo z nim najmocniej sympatyzował. Pola gawęda chce być bardziej polską, a nade wszystko jest szlachecką, — Syrokomli ludową i ludzką. Tam gdzie małuje dzień dzisiejszy, Syrokomla jest bardziej uczniem Mickiewicza, niżeli nim był kiedykolwiek Pol i mniej się obawia śmielszych rysów, które Pol ogólnikami zaciera, lub na swój sposób idealizuje. Pol zawsze nastrojony jednym uczuciem społeczności szlacheckiej, zakochany w swym świecie w gruzy rozpadłym, święci człowieka i to, co leży poza krańcami jego widnokregu;

Syrokomla czuje ze wszystkimi, nic mu obcego w życiu, a przedewszystkiem zna boleści różne, zna lzy wielkie, czuje cokolwiek czuł kiedy, a wszelkie znękanie świata wywołuje mu łzę na źrenicę. Pol w gawędzie jest zamaszysty, szlachecki, katolicki, zachowawca, na chłopą pogląda z wysoka i przyjmuje go tylko jako ideał wiernego służki; Syrokomla przedewszystkiem kocha lud, szlachcica lubi, ale ubogiego i jaknajbardziej zbliżonego do ludu, woli jednak wieśniaka i czuć, że wierzy w przetworzenie się społeczności, w zespolenie się wszystkich jej pierwiastków.

Forma Pola w gawędzie niekiedy jest piękną i artystyczną, zawsze wypracowaną wykwintnie, jak na wystąpienie w salonie przystoi; u Syrokomli, pracy jest mniej, ale forma daleko wdzięczniejsza od razu, rzutniejsza, a serce mówi przez nią szczerzej; czujesz, że kołaczę; jest on instynktowo artystą, ale nie szuka jak Pol w prawidłach sztucznych recepty na estetyczne utwory; prawo surowe kunsztu, które każe szukać kontrastów, różnaitości, każe ograniczać się, obcinać, okradać, aby w jak najdoskonalszej formie stanąć przed czytelnikiem, nie obchodzi go wiele; śpiewa z poczuciem, że pieśń jego bez obmysłu będzie piękną, bo ją jak naczynie alabastrowe wewnątrz płonący ogień zmieni w urocze zjawisko.

To uczucie gorące jest jego tajemnicą, jest treścią wszystkiego co pisał, jest rdzeniem każdego jego utworu. Pol nie umie być ironicznym bez gniewu, pierś mu się unosi oburzeniem, gdy szydzi; w gawędzie Syrokomli jest mieszanina lekkiej ironii i wielkiej czułości, ciągle się w niej spleta ten półśmiejch gorzki, który ciągnie za sobą płacz, i łza nie mogąca spaść z powieki, której towarzyszy osładzający ją uśmiejch; nawet gdy wybucha gwałtownością, czujesz, że lada słówko rzuciłby się na piersi. Pol zawsze pamięta dobrze co czyni: pozuje, myśli o tem jak się wyda, co powiedzą; Syrokomla jest sobie jak go Bóg stworzył, gotów popełnić wiersz nieszczególny, ale fałszu nie napisze ci dla efektu. Wiersz Syrokomli jest prześliczny, łatwy, płynący ze źródła, nie robiony, ale stworzony; gdy ma natchnienie, złoto z ust jego płynie. W utworach Pola znajdziesz dużo pięknych wierszy, może często szczęśliwszych, ale to są wiersze robione, dzieło przemysłu zręcznego fabrykanta, który zna rzemiosło, a nie ma ducha. Syrokomla jest poetą z bożego natchnienia, nie sztuk-



mistrzem, który się bieli, różuje, fryzuje i zalotnie postawić umie, aby go kupiono. Przytem w Syrokomli przebija się wszędzie człowiek przez poetę, człowiek, którego nie można nie ukochać. Nie pozuje na patryotę, lecz serce jego było pełne miłości dla kraju, dla braci, dla wszystkiego co nasze, co szlachetne, co piękne, co pocziwe, co wzniosłe; nie szermierze katolicyzmem, lecz posiadał miłość prawdziwie chrześcijańską, której żaden przesąd i żaden wzgląd na konwencyonalizm nie ograniczał. Dawał całe serce, a nigdzie nie znalazł w zamian równego uczucia i śmiech ironii przelazwiony bolem, wychodził z ust jego drżących. Może przyszłość lepiej go od nas oceni!

Byli przed powstaniem i są dziś jeszcze tacy, którzy nie chcą ufać tylko w rewolucye, a wszelkie inne środki odrodzenia naszego w pogardzie mają i radziby je nawet przytłumić. Ci panowie nie spodziewają się, a nawet nie życzą, aby Polska powstała, chyba wtenczas tylko, gdy ich teorye socyalne w rzeczywistość zamienić się potrafią. Czy tym szczególnie, którzy nawet nie życzą, aby inna Polska powstała, można przypuścić serce polskie, nie wiem; to pewna, że nie dowodzi rozumu, czekać tylko na rewolucyę, a zaniedbywać inne środki, które jeśli nie nam, to wnukom naszym przywrócić mogą ojczyznę i przywrócić muszą. Nie idzie zatem, abyśmy mieli całkiem odrzucać ów środek odbudowania Polski; zajdzie w Europie stanowcza rewolucya, to porzucim wszelkie inne środki i chwycim się tego — a i w takim razie przyda nam się wszystko, cośmy innymi środkami, a mianowicie pracami organicznymi przygotowali. Dlatego nie puszczajmy się li na rewolucyę, lecz pracujmy ku odbudowaniu Polski bez względu na możliwe rewolucyę, inaczej jak nas opuściła już niejedna europejska rewolucya, opuścićby mogła z rachunku i przyszła. Opierać nadzieje nasze jedynie na zajęć mogących rewolucyach jest to ścieśniać nasze środki i poniżać niejako świętą sprawę naszą, która ma tyle elementów i tyle praw do podźwignienia się na zwyczajnej drodze wypadków. Takich to zasad był „apostoł czynu“, który pozarażał Żalplachtę, Jasińskiego etc.

Do rozpoczęcia lub przyjęcia procesu trzeba sześciu rzeczy:

1. słusznej sprawy, 2. dobrego adwokata, 3. dobrej rady, 4. dobrych

dowodów, 5. dobrego sędziego, 6. szczęścia. Nie wiem kto to powiedział; lecz wiem, że do zrobienia „karyery“ tyłu rzeczy nie potrzeba.

Madry patryota wstępuje do urzędu. Służba publiczna nie jest to wprawdzie pozycja pyszna, ale bezpieczna. Jest się spokojnym i nie fatyguje się zanadto, a ożeniwszy się z jakim takim posażkiem, można żyć spokojnie i bez troski o przyszłość, boć przecież na starość jest emerytura, którą można spożywać w jakim miasteczku na prowincyi.

Prawda, że to życie ostrygi, ale ostryga jest szczęśliwą, a to główna. Bądźno przedsiębiorcą, kupcem, spekulantem, jednego pięknego poranku wybuchu rewolucya i jesteś zrujnowany, nazajutrz rząd już górą i ani się troszczy o ciebie; dodaj do tego podatki ciągle rosnące, konkurencyę, kryzys handlowe i przemysłowe: wszystko się przysięga przeciw człowiekowi, który pracuje. Głupi kto się na takie szanse naraża, kiedy służąc państwu, można żyć spokojnie i być honorowanym. Niech sobie tam szczerkają radykały, mój mądry patryota woli być między tymi, którzy jedzą, niż między tymi, których jedzą.

Mój patryota chcąc dostać się do urzędu, kłaniał się na prawo i na lewo, podchlebiał, czołgał się, może się nawet podlił, lecz zyskał miejsce, a to główna. Nie przestał wszakże być patryotą, należy nawet do opozycyi; opinii swych bynajmniej nie zmienił, tylko gdy idzie o opozycyę, to on chowa opinie swe do kieszeni, bo one w takim razie na nic się nie przydadzą.

Ale niechno przyjdą jakie ruchy, to mój patryota znajduje swoje opinie i wyciąga je z kieszeni — i bardzo naturalnie. On służy rządowi, a za rząd się nie ginie. Wywroty polityczne, to żniwo dla urzędników: głowa administracyi upada, lecz administracya zostaje, młodzi posuwają się, a kto szczęśliwy, robi terno. Z tem wszystkiem ma pewne zasady o rządzie; on chce rządu silnego i patryotycznego, któryby słuchał poczciwych ludzi, a pozatykał gęby adwokatom i żurnalistom. Chce imponującej armii, by rząd był respektowany wewnątrz i zewnątrz, chce kolei żelaznych jak najwięcej, detto kanałów etc., chce, aby rząd dał robotnikom pracy i chleba, a przytem chce małego budżetu i niskich podatków, bo on nie chce, by się państwo karmiło łzami i tuczyło potem ludu!

Co do wyobrażeń o wolności, mój patryota nie należy do motłochu, co to krzyczy: wolności, wolności! a nie przeczuwa że to tylko łapka, którą ludowi zastawia fanatyzm i arystokracja. On nie chce tej fałszywej wolności, która jest tylko przywilejem przesądu i bogactwa. Będąc patryotą i przyjacielem światła, nie chce wolności religijnej, z którejby tylko popi korzystali, popom trzeba nałożyć kaganiec, by lud był wolny. On nie chce także wolności stowarzyszeń, bo ta służyłaby tylko jezuitom. Nie chce, aby pod pozorem dobroczynności psuto ubogich jałmużnami publicznymi. On nie chce wolności wychowania, któraby tylko oddała młodzież w ręce księży. Nie chce autonomii prowincjonalnej, bo taby przywróciła feudalizm; nie chce wolności gminy, bo taby wznieciła despotyzm dziedzica i zrobiłaby z włościan znowu podłych poddanych. Niech wszyskiem zajmuje się rząd, inaczej powstałaby anarchia, z której korzystaliby tylko czerwoni, arystokraci i jezuita; oto jego zasada: on jest zwolennikiem równości i trzyma z ludem.

Słusznie Jasiński nazwał Cięciewicza feudalistą; mimo radykalizmu, który weń wpajano, jest to szlachcic z pojęciami przedpotopowemi co do stosunków społecznych; bo też radykalizm owych panów profesorów, u których Cięciewicz chodził do szkoły, zaczyna się i kończy się na tem: wyróżnić tych, którzy nie są z wami. To bardzo wiele dla tych, którzy mają być wyróżnieni, ale bardzo mało dla odrodzenia społeczności naszej. Zgadało się coś o gospodarstwie wiejskiem; Cięciewicz kończył zawsze zwrotką: złodziej ekonom, złodziej leśniczy.

Nasłuchałem ja się do sytu uzaleń na prywatnych oficyalistów, gdym się zajmował towarzystwem wzajemnej pomocy, którą oficyaliści obwodu tarnopolskiego zawiązać zamierzali. Użalania te są często uzasadnione, lecz nieraz są tylko na przypuszczeniach oparte i na przyzwyczajeniu naszej szlachty zwalania własnej winy na kark oficyalistów. Mielizby ludzie nasi być z natury gorszymi od innych? Pewnie nie, lud nasz we wszystkich społecznych warstwach przewyższa o wiele inne wrodzonymi serca usposobieniami; jeśli więc jest zepsucie między naszymi prywatnymi oficyalistami, trzeba przyczyny tego szukać gdzieindziej.

Oficyaliści prywatni są przedewszystkiem ludźmi, są dalej ojcam i rodzin, które chcieliby wybawić ze stanowiska na jakie ich samych rzuciły, albo los nieprzyjazny, albo marnotrawstwo ojców, albo może poświęcenie narodowe, bo oni nie przestali być synami wspólnej nam ojczyzny, oni ją kochają, często więcej nawet niż ich chlebobdawcy, czego złożyli dowody podczas ostatniego powstania. Pokażcie mi prywatnego oficyalistę, który odmówił usługi narodowej żądanej od niego? Ja zaś mógłbym wymienić niejednego z synów ojczyzny przednich szeregów, co wymawiał służbę oficyaliście za wspieranie powstania, co wyprzedzał z folwarku żonę i dzieci oficyalisty swego, gdy tenże za wspieranie powstania poszedł do więzienia.

Jeśli chcecie by ludzie ci, którzy służą wam z konieczności, służyli wam wiernie, jeśli chcecie by młodzież wykształcenijsza, a tem samem z pojęciami wznioślejszemi i z poczuciem godności garnęła się do domów waszych, zmieńcież postępowanie wasze względem oficyalistów, a potraciwszy cnoty patryarchalne przodków waszych, zarzućcie także złe ich nałogi. Popatrzcie się na Francję, do której was tak ciągnie: tam oficyaliści prywatni, są przyjaciółmi swoich panów; jeśli więc chcecie by u was było także tak, to nie mówcie po francusku, ale postępujcie po francusku. Chcąc aby wam oficyaliści wasi z serca sprzyjali, powinniście pierwsi im okazać życzliwość waszą; chcąc aby sumienie kierowało ich postępowaniem, powinniście być sumiennymi względem nich, a sumiennymi bardziej niż oni, bo wy jesteście wykształcenijszymi; chcąc aby was poważali z przekonania, zasłużcie na to u tych, którzy na was pracują i okazujcie im wzajemne poważanie; chcąc żeby byli względem was szczerymi, musicie się zbliżać do nich; żądając aby w was uznawali ludzi wyższych, musicie podnieść waszą wartość osobistą, nie majątkową, podnieść ją przez naukę, moralność, pracowitość i uprzejmość; chcąc aby się wam nie sprzeniewierzali, powinniście ich postawić w możności nie tylko zaspokojenia swoich i swojej rodziny potrzeb, ale i ubezpieczenia się na starość, w której ich zwykle czeka niedostatek i nędza. — Nikt mi nie zaprzeczy, że szlachta nasza stokroć jest demokratyczniejszą od niemieckiej, a nawet i od francuskiej; otrząsa się ona powoli z wad nabytych pod wpływem nieszczęsnych stosunków. Mamy też już

dwory, gdzie właściciele uważają swych oficjalistów jako przyjaciół, jako towarzyszy wspólnej pracy; zacny Włodz. Dzieduszycki, jak w wielu innych pięknych rzeczach, tak i w tem chwalebny daje przykład. Lecz większa część dziedziców zdaje się jakby rozmyślnie i systymatycznie usiłowała poniżyć tych pomocników, tych wyręczycieli swoich. I jakże ich mają oficjaliści kochać, poważać, jak im służyć gorliwie? Oficjalistami są często biedacy, których potrzeba wyuczyla obłudy; ludzie wyżsi nie idą za oficjalistów prywatnych i nie pójdą póki wy Panowie, naśladowując tak z ręcznie obcych we wszystkim, co dogadza waszym słabostkom, nie zaczniecie raczej naśladować ich rozumu i ich rzeczystej godności.

Mam przed sobą „Czerwoną parę“ przez Bolesławitę (Kraśzewskiego) „Ko nie oddychał, pisze on, więziennem powietrzem, komu nieprzeżyte godziny tęsknoty nie śpiewały zabijającej pieśni milczenia, kogo niewola nie ścisnęła torturą powolną a sroższą nad wszelkie inne, ten o sobie wyrzec nie może, że siebie zna do głębi. W długiej tylko samotności wypróbowuje się umysł ludzki i serce. Naówczas sił na życie nie czerpiemy z zewnętrznego świata, musimy je brać z samych siebie i wąty człowiek zaumiera wkrótce; ale mocen w sobie potężnieje. Na wszystkich co długie przecierpeli więzienie, wielka ta próba położyła piętno niezmazane. Jak owi strażnicy na wysokich wieżach, którym się świat z góry maluczkiem wydaje, tak oni pustelnicy, nawet wypuszczeni na wolność, wszystko już widzą drobnem i małym. Lecz aby więzienie było lekarstwem i tym czarodziejskim filtrem co duszę odmładza, trzeba doń wejść z sumieniem czystem, z myślą niesplamioną. Zgryzota w samotności jest jak rdza wśród wilgoci: rośnie ona i pożera. Dla tego zbrodniarz nie wytrzyma samotnego więzienia, podczas gdy takowe politycznego więźnia podnosi.”

He tu prawdy! zdaje się, że tego także nie mógł nikt napisać, kto nie oddychał więziennem powietrzem...

Pan Kot popisywał się ze swoim poglądem na nasze dzieje; potępia je bezwarunkowo. Jemu się nie dziwię, bo ich nie zna, lecz słyszałem ja nieraz młodzież wykształconą, wydającą wyrok

bezwzględne potępienie na starodawną Polskę. Ma to niby oznaczać, że się jest radykalnie liberalnym. A przecież owa Polska, wymazana z karty Europy, potępiona przez własne dzieci, żyje życiem narodów. Ciemńcy jej pastwią się nad nią żarzcie, wszystkimi siłami starając się wytepić jej narodowość; gabinety i parlamenty rozprawiają o niej, jak o każdym istniejącem państwie; społeczeństwa i ludy zwrócone na nią mają oczy, jakby od niej własnego wyglądały zbawienia. Czyliż moralna ta potęga, której naród polski używa na całej kuli ziemskiej, jest naszym dziełem? Wątpię, bo my w sobie rozdarci, poróżnieni, zubożali materyalnie, sparaliżowani moralnie, Bogiem a prawdą nie zasługujemy na takie względy. Owa potęga moralna jest więc owocem i spadkiem dziesięciu wieków... Schylmy korne czoło przed naszymi przodkami! Prace ich musiały być wielkie, kiedy nam przekazali dzieło, którego mimo nasze terazniejsze niedołęstwo, połączone potęgi trzech zmownych nieprzyjaciół zatracić nie zdołały.

Położyli oni, wiekami niespożyte posady olbrzymiego gmachu, zostawili zasobne materyały do jego naprawy i wspaniałego rozprzestrzenia. I cóż my nowego wymyśleli o czemby oni już nie wiedzieli? W spuściźnie po nich wzięliśmy szeroką narodowość, miłość ojczyzny, Polskę, wolność i nieskażone ludu wszechwładctwo, równość obywatelską w najczystszej słowa tego znaczeniu i braterstwo tak między sobą, jak między narodami. Rozprzestrzeniajmy tylko te zasady, wprowadzajmy je w życie społeczności naszej, a nie będziemy potrzebowali pożyczać od obcych najmniejszej nawet cegielki do zbudowania wspaniałego gmachu społeczności polskiej.

Człowiek nigdy czynem nie jest wyższym nad naród; wychodzi z usposobienia narodowego, jest tylko pierwszą literą jego wielkości lub jego słabości i przesądów. Tell, Cromwel, Washington, malują usposobienie swego narodu i czasu. Za rzeczypospolitej francuskiej wielu było ludzi, co krajowi zbiorowo zapewniali samodzielność, nikt jej nie mógł utrzymać w r. 1815. Ani Bolesław Wielki, ani Łokietek, nie spoiłoby rozerwanych części, gdyby się te do siebie nie przyciągały nawzajem, albo nie czuły znużenia samotności, wynikających ztąd wojen domowych.

i groźby zobopólnych nieprzyjaciół zewnętrznych. Czarneckiemu, nieznanemu, z niskiego szlacheckiego rodu, łatwiej było ocalić naród od zagłady, kiedy niebezpieczeństwo było okropne, a stan rycerski nie zupełnie jeszcze skażony; lecz nie mógł tego dokazać, wśród rozpasanej arystokracji rzecznik Puławski. Cóż ztąd wynika, gdy się to zastosuje do ostatniego naszego powstania? Nie było wielkiego człowieka, bo nie było wielkiego nastrojenia ducha w narodzie.

Nikt Polski sam zbawić nie może, na przekorę ogólnemu usposobieniu, tak jak Salamon z próżnego naczynia nie należy. Suma działań wszystkich Polaków czujących, ludzi ruchu, ludzi środków materialnych i moralnych, wyprowadzić tylko może na wierzch garstkę kierowników, którzy się staną treścią potrzeby i mocy narodowej. Kierownicy ostatniego powstania tem zgrzeszyli, że chcieli sami zbawić Polskę. Niech atoli nikt nie sądzi, że jego gorliwe współdziałanie w sprawie takiego ogromu nic nie znaczy, częstokroć porażkę albo zwycięstwo sprowadza jednego żołnierza tchórzostwo, lub natchniona waleczność. Zapoznaniem tej prawdy grzeszyli w ostatnim powstaniu ci, którzy się ociągali z pomocą jakiej od nich żądano.

Jeśli nie będziemy sami tworzyć wypadków, staniemy się materiałem dla innych twórców, obcych, przeciwnych naszej narodowości. Nie chcieliśmy uwłaszczyć włościan, co na podstawie społeczeństwa polskiego zdziałać mogliśmy, uwłaszczyli ich Niemcy i Moskale w sposób narodowości polskiej przeciwny. Lecz to niech nas nie zraża. Trudno było wielką ojczyznę budować, zniszczyć najłatwiej, a najtrudniej odbudować. Niech tylko każdy Polak na swoim miejscu działa co tylko może; „Ziarnko do ziarnka a będzie miarka“, z sumy działań powstanie olbrzymia sprawa. Niech się nadewszystko każdy uczy, jak ma działać, a to: poznając żywioty, stan i potrzeby obecne. Kto szuka zwierzyny na łące, a kwiatów w puszczy, marnie czas traci. Szukajmy tego wszystkiego, czego dziś Polska potrzebuje do zbawienia, tam gdzie się te jędrne żywioty zwyczajnie rodzą i umiejmy je spożytkować!

„Cóż znaczy marne imię.“ zawołał niegdyś Szekspir, ten poeta, filozof, historyk serc i dusz ludzkich. W istocie, kiedy

zbudowana z czaszek ludzkich. Przypatrzcie się tym czaszkom! to słowiańskie czaszki. Są tam czaszki strzelców posiekanych ręką cara; czaszki mieszkańców świętego miasta Kijowa, zburzonego przez bezbożnych kniaziów moskiewskich; czaszki republikanów Nowogrodu Wielkiego pomordowanych, potopionych przez cara w liczbie 60.000, przy samej podstawie leży czaszka wiernego kanclerza Wiskowatego; na każdym piętze są rozłożone czaszki krewnych, przyjaciół, synów, córek, zięciów carskich; na samym wierzchołku nie opadłe jeszcze z ciała czaszki nieprzeliczone Polaków". Oj, bijcie czołem przed tym Bałwanem, Słowianie, jeśli chcecie aby do tego pomnika i wasze czaszki kiedyś dołożone były.

„Jakież to jęk odbija się boleśnie o uszy nasze? skąd pochodzi? Z więzień. — Gdzie są te więzienia? na całej przestrzeni półkuli, gdzie panuje porządek. Kto w nich jęczy? Polacy. Za co tam siedzą? Za to, że są Polakami! Żaden naród nie liczy więcej więźniów i potępionych jak nasz; dla żadnego nie nbudowano na całej kuli ziemskiej tyle więzień, ile dla naszego; żaden nie zatrudnia tylu sędziów, tylu katów co nasz. Narodzie występny i odrzucony przez panujący porządek! Policz łzy wylane od Odry do Dniepra, policz twe wdowy, którym zabrano mężów, twe matki, którym wydarto dzieci; policz te więzienia, w których synowie twoi są zamknięci, od Kamczatki do Nerczyńska, od Magdeburga do Kufszteinu; policz te niezliczone katusze wycieńczające przez długie lata siły żywotne więźniów, okutych w kajdany, zamkniętych w klasztornych izdebkach, zuchthauzach, fortecznych kazamatach i wilgotnych pieczarach; policz szubienice, na których wieszano, rowy nad którymi rozstrzeliwano najszlachetniejsze twe dzieci; policz twe niewiasty shańbione, twe siola i miasta poburzone, twe kościoły, twe groby zbeszczeczone. Tam na wierzchołku skał niedostępnych, same tylko wiatry unoszą z sobą jęki twych potępionych dzieci; tu szum morza, którego fale oblewają mury więzienia i okrywają pleśnią ciała więźniów zagłusza ich skargi. Gdzieindziej padają głowy pod toporami, wiszą ciała na szubienicach, grzęzną kule w piersiach; giną różnemi rodzajami śmierci męczennicy, tyle razy liczeni, ale niepoliczeni. Narodzie występny, buntowniczy, wiarołomny, nagroma-



dziłeś wszystkie zbrodnie — kochając ojczyznę; przebrałeś miarę nieprawości, bo przeciw wszystkim trzem tyranom powstajesz! /

Znowu uciekł z więzienia jeden ze sławionych bohaterów powstania ostatniego, jeden z tych bohaterów co to opuścili własną zagrodę, gdzie krew płynęła, by zostać Prokonsulami w bezpiecznej Galicyi. Dla mnie ucieczka jest zawsze czemś upokarzającym; to cofanie się przed niebezpieczeństwem, powinno być wstrętliwem dla dusz przywykłych do prawdy i jasnych dróg. Trzeba więc silniejszej nad inne pobudki dobra publicznego, aby się prawy człowiek zdobył na odwagę do ucieczki. — Uciec z więzienia lub przed więzieniem, aby gdzieś z zagranicy patrzeć z założonemi rękami na to, co się tutaj dzieje, to niegodne; pociągać zaś do poświęceń drugich, oszczędzając siebie, to haniebne! Dla tego nie mogę wierzyć w zacność tych, którzy uszli z placu niebezpieczeństwa, aby z zagranicy kierować ruchem w kraju. — Traugutt nie uciekł, choć mógł! Ale uciekł Kurzyna, piękny Zienkiewicz, — uciekł Morawski ad Lasocki, który mógł być wrócić nawet bezpiecznie do domu!

Uważano to od dawna, że w twarzy i obyczajach człowiek się zawsze najmocniej stara pokazać tem, czem w istocie nie jest. Zbytnią łagodność tak często kryje zimne okrucieństwo, jak pozorna surowość bywa maską zbytej dobroci. Owo przysłowie: że „Cicha woda brzegi rwie“, zbudowane jest na wiekowem doświadczeniu. Nie lubię tych bardzo słodkich ludzi; zawsze bezpieczniejszy jest człowiek trochę szorstki, niż zbytecznie wygładzony. !!!

Śniło mi się, że byłem na bożych grobach u Bernadynów i widziałem tam Chrystusa rozciągniętego w grobie, misternej roboty: widać było w nim umęczone Bóstwo przez ludzką złość i namiętność: trup to leżał, ale czuć było, że życie jeszcze jest w trupie, że On powstanie do nowego żywota, skruszy kajdany śmierci i wznijdzie z chorągwią tryumfu, a żołnierstwo rzymskie co go strzegło zabitego, padnie na twarz przed zmartwychwstałym. — Tak polska nasza śpi dziś w grobie, ale odżyje, kamień odwali i wstanie na nieśmiertelne istnienie. Miejmy nadzieję, wierźmy, a stanie się tak, jako serca nasze pragną.

Że też są jeszcze ludzie rozsądni, co się troszcza o religie swych bliźnich. Wyznawana przez nas religia jest przypadkowym następstwem urodzenia i wychowania. Gdybyśmy byli przyszli na świat w kraju mahometańskim, bylibyśmy takimi gorliwymi wyznawcami Mahometa, jakimi dziś jesteśmy chrześcianami. Ztąd wynika, że niedorzecznem jest troszczenie się o różnice wiary, skoro różnica ta jest wynikiem okoliczności, które nie zależą od władzy ludzkiej. Zresztą każda religia ogłasza się za jedynie prawdziwą, a wszystkie zarówno uzasadniają się na nadnaturalnych uroszczeniach, jako to: na misteryach, cudach, prorocत्वach i tem podobnych rzeczach. Dlatego, że ludzie o tem zapominają, stają się oni niewolnikami tej ślepej pewności, która jest wielką przeszkodą prawdziwej wiedzy, a której pozbyć się można dopiero wzniosłszy się na stanowisko rozleglejszego ogólnego poglądu, który nam okaże, że wszystkie narody z równą gorliwością trzymają się tych przekonań, w których się wychowały. Ojcowie nasi nie troszcząc się w rzeczach publicznych o wiarę i przypuszczając do praw obywatelskich zarówno katolików jak arianów i innych różnowierców, zarówno chrześcian jak mahometanów, — dowiedli wysokiego rozumu stanu i wyższej nad owe czasy cywilizacji.

„Jeśli się zastanowimy głębiej nad systemami religijnymi, spostrzeżemy, że każdy wielki system religijny zbudowany jest na tym, który go poprzedził. I tak religia żydowska powstała z religii Egipcyan; chrześcijaństwo jest wpływem judaizmu, a z tych obu wynikł w naturalnym porządku mahometanizm. Zauważymy dalej, że nowa religia nie potępia nigdy całkowicie religii, na której powstaje, co jest rzeczą naturalną, gdyż inaczej nie mogłaby się przyjąć; zarzuca jej więc tylko brak doskonałości, lub utrzymuje, że jej czas już minął i tak tłumacząc i poprawiając ją, podkopuje ją, wzbogacając się zdobyczami na niej poczynionemi. Przeciwnie stare religie potępiają bezwarunkowo te, które na nich powstały i odrzucają je całkowicie. Jakże wobec tych prawd błahemi są uroszczenia sekt religijnych i czy nie należy wzniesć się po nad nie i nie dając się odstraszać ani obawą przyszłych kar, ani uwodzić nadziejami przyszłej szczęśliwości, poprzestać na tej praktycznej religii, która zależy na ścisłym wykonywaniu powinności i nie

zważając na te lub owe dogmata sekt pojedynczych, usiłować wejść w siebie i skutkiem własnego rozpamiętywania uwielbiać wielkość istot, ostatnią najwyższą przyczynę wszechstworzenia“?

**31. Stycznia 1865.** Odebrałem dziś list od Helenki, list pełen rozpacz, który mnie dotknął do żywego, jak mnie dotąd nie dotknęło ani nieszczęście, ani żadne z cierpień, któremi mnie los i ludzie tak hojnie darzą. Bóg świadkiem, że życie moje nie było usłane różami; szedłem po cierniach, szedłem przebojem, nie zniechęcały mnie ani trudności, ani zawady i rozczarowania. Jeślim błdził, kara nigdy mnie nie minęła, nie należałem do rzędu uprzywilejowanych przez los szczęśliwców, którym wszystko bezkarnie uchodzi, którym nawet grzechy poczytują za cnoty. Są ludzie co mają rozum; tych społeczeństwo zwykle zabija, bo się ich boi; inni mają serce, z tych szydzą, bo ich nie rozumują. Ja miałem serce, a ludzie utrzymują, że i rozum miałem. Ileż pocisków musiałem wytrzymać? pocisków zatrutych jadem oszczerstwa, zazdrości, naigrywania się i szyderstwa! W ostatnich zaś dwóch latach, wzięto wszystkie me uczucia pod skalpel, anatomizowano je, jak się anatomizuje trupa. Ile wskutek tego wycierpiałem, Bogu tylko wiadomo, a cierpiałem tem mocniej, że najdroższe mi uczucia krajały ręce przyjaciół, osób ukochanych. Przeboleiałem to wszystko i dziś chciałbym, jak mówią, przyjść do równowagi serca i rozumu, to jest nie mieć ani rozumu, ani serca.

Nie raz zastanawiałem się nad tem, dlaczego niektórym ludziom mówią tylko rzeczy, które im są przyjemne, podczas gdy inni muszą słuchać ciągle rzeczy zgryźliwych? długo nie mogłem znaleźć klucza do rozwiązania tej zagadki. Trzeba było aż więzienia do wyjaśnienia tej kwestyi. Waryatom mówi się to, co oni sobie myślą, ludziom zaś poważnym, to co drudzy o nich myślą.

Proszą bym co pisał. Myśli cisną się tłumnie i goreją jak owe płomyki nocne w obłęd ciągnące podróżnych, alegdy przyjdzie ująć je, oblec myśl ciałem, świat, boleść, tęsknota, zniechęcenie odciągają.

Napróżno postanawiam ludzi brać takimi jak są, zawsze jeszcze chce się mieć w nich swe ideały, a serce ściska się od bólu ile razy anioły zmieniają się w kościotrupy. Szyderstwo wybiega na ścięte usta, a lzy mimo to cisną się do oczu.

Są ludzie, którzy umieją powiedzieć sobie, że ziemia jest ziemią, nie odbłaskiem nieba i jego siostrzycą, że ludzie wykształconymi zwierzętami, w których iskierka duchowna walczy przeciw potężnej bryle materii, — że trzeba przyjąć dolę choćby nie miała anielskiego oblicza, skrzydeł, ani uśmiechu anioła. Ale są biedne dusze, które sen jakiś od przyjścia na świat owładnął dla nich świat jest ideałem, jeśli nie cały, to gdzieś w oddalach, one i w ludziach widzą braci aniołów, jeśli nie we wszystkich, to w wybranych, one tak potrzebują nieba, że gdy go nie znajdują na ziemi, konają, jak Arab w pustyni bez wody.

Kaza mi pisać historje ostatniego powstania. Nie tak to łatwe zadanie. Tu w jednych szeregach, w jednej organizacji, stali ludzie z krzyżem na piersi i ludzie z sztyletem w zanadru, pobożni i niedowiarki, rewolucyoniści i feudałiści, katolicy i żydzi, prawosławni i ultramontanie, demokraci i arystokraci. Dopóki gorączka trwała, łączyły się wszystkie dłonie, wszystkie serca w wspólnej miłości ojczyzny. Gdy gorączka ustała, a rzeczywistość przed oczy stanęła, zaczęły się kłótnie, w których jedni drugim winę złego prowadzenia się przypisywali, kłótnie tem smutniejsze, że niezadzając złemu, które się stało, powaśniły tylko pojedyncze części społeczności, a nawet pojedyncze prowincje polskie. Czy godzi się to wykryć przed światem?

W chwili wybuchu kraj mimo głoszonych przygotowań był bez środków do walki. Najłatwiej może jeszcze było o pieniądze, chociaż i tych organizacja początkowa nie miała, główną zaś trudnością była broń. Austria i Prusy jeszcze się nie były ośmieliły do surowszego czynu ścigania powstańców, pierwsza szczególnie zdawała się patrzeć prawie przychylnem okiem na nasze wysyłki. Czy świat uwierzy, że Rząd N. nakazał powstanie nie mając broni?

Gdy w Kongresówce oddziały powstańcze już były w lasach, dopiero rozsądniejsi ludzie polecieli w świat szukać oręża dla tej młodzieży. Broń trzeba było przekraść przez poznańskie lub Galicyę, tu więc skupiały się czynności ważne, bo mające dostarczyć powstaniu życiodawczy oręż, a oraz trudne, bo wymagające największej ostrożności. Łatwiej błąd popełnić, niż go naprawić; organizacja warszawska wywołała powstanie bez przy-

gotowania, Galicya miała błąd ten naprawić przez dostarczenie  
broni, a że nie potrafiła tego uczynić tak, jak wymagano, więc  
Galicyā anathema sst!

Prasa wiedeńska z uwielbieniem prawie wyraża się o wydziale finansowym Izby deputowanych, który zamyśla sobie przywłaszczyć prawo załatwienia kwestyi budżetowej, wspólnie z ministrem po za plecami Izby. Czy to jest ślepotą i niewiedomością, czy złą wiarą? Prawo uchwalania i odrzucania podatków i kredytu, prawo oznaczania wysokości rozchodów, samo jedno daje udział w rządzie kontrybuentom, lub wybranym przez nich zastępcom. Szanowanie lub lekceważenie tego prawa, rzeczywiste lub pozorne jego używanie jest miarą rękojmi udziału rządzonych w rządzie. Wszystkie inne atrybucye zgromadzeń prawodawczych w drugim dopiero stoją rzędzie i są wpływem prawa uchwalania budżetu. Dopóki prawo to nie będzie uznanem w całej rozciągłości, dopóty władza wykonawcza może się mniej lub więcej nie troszczyć o uchwały Izb. Wszystkich oczy zwracają się zawsze na Anglię, jako na wzór ładu, regularności i dokładności mechanizmu rządowego; ale ani ministrowie, ani Izby stałego ładu nie baczą na to, że aby prawo miało siłę musi być szanowane przede wszystkim przez wykonawców swoich; kiedyż widziano w Anglii przykład rządów bezbudżetowych? kiedyż wykonano projekta odrzucone przez parlament? kiedyż pozostało przy sterze rządu ministerium, które nie znalazło większości jeśli nie w obu izbach, to przynajmniej w izbie gmin? Nie było też znanych w Anglii stronnictw takich jakie widzujemy w izbach prawodawczych stałego ładu: że to z nich, które pragnie obalenia konstytucyi, zowie się konserwatywnem, a to, które chce wykonania onejże, zowie się postępowem, to zaś, które chce jej rozszerzenia, dostaje nazwę rewolucyjnego!

Myślałem, że przenosząc się do więzienia Brygidek, pozbędę się męczarni jakiej doznawałem nieraz w Karmelitach, spotykając się z teoryami, zasadami i postępkami sprawców tegoż powstania i obrońców świętej sprawy naszej. Lecz zawiodłem się, znalazłem i tu kilku zapomnianych narodowców (Szyma, Mokrański). Boże, czyliż karząc nas tak srogo, ukarałeś i zupeł-

nym wyobrażeń zamętem. Zapewne trudno jest wymagać od wszystkich jednostajności w sposobie zapatrywania się i oceniania biegu rzeczy, udzielania sposobów mianych za zbawienne, poruszenie tych lub owych żywiołów, trudno jest wymagać zakonnej reguły, tam gdzie każdy przynosi swoją niezawisłość lub zarozumienie, często i dobrą wiarę, gdzie wreszcie współzawodnictwo bodźcem bywa do najjaskrawszych wystąpień, usiłujących przez to zwrócić na siebie uwagę publiczną.

Ależ, chociaż rycerstwo znikło już oddawna w indywiduach, cnoty jego: duch poświęcenia się, szlachetna duma, wierność słowa, prawość i lojalność, nie zstąpiły były do grobu z zakonem rycerstwa, tylko się przeniosły na to zbiorowe indywiduum, które się zowie narodem. Dziś darmobyś szukał tych cnót w obrońcach sprawy narodowej. Ja pójdę dalej niż wszyscy, -- mówi sobie nie jeden -- i okryję się sławą, świat uczci we mnie postępowca, non plus ultra. Czy na tem zyska lub może straci sprawa narodowa? nad tem się nigdy nie zastanawiał. Inny znowu: temu lub owemu nie sprostam w nauce lub talencie, ale będę ich deptał ekstrawagancją najjaskrawszej opinii i to mnie odznaczy. Mniejsza o to, że się obali podporę sprawy narodowej. Dalej znowu cała czereda niedojrzałych jeniuzzków, radaby zgasić wszystkie zasługi i powagi, aby siebie postawić na świeczniku, i doktrynę niwellującej równości praktykuje, gilotyńę tępych wprawdzie, ale jadem nienawiści i potwarzy zaprawnych piór i języków.

I tak w owej falandze, mającej stać na straży świętości narodowych, panuje kompletny zamęt pojęć, rozbrat myśli i podłe współzawodnictwo miłości własnej, żeby się podobać gminowi i zawładnąć nim choć chwilkę. Gdzie ucho nastawisz, wszędzie jedna piosnka: wojna frakcyi lub frakcyi wydana całemu społeczeństwu, wojna młodych przeciw starszym, wojna podwładnych przeciw zwierzchnikom, ubogiego przeciw bogatemu, niedouczonego przeciw uczonemu, obłudy przeciw prawości, kłamstwa przeciw prawdzie, a wszystko to pod uroczym i zawsze świętym sztandarem, który na nasze nieszczęście zwyczaj mamy wywieszać apropos najblachszej nawet rzeczy; w czem powiedziawszy nawiasem mniej okazujemy taktu i znajomości serca ludzkiego niż Turcy, którzy tylko w nadzwyczajnych okolicznościach wy-

nosić zwykli chorągiew Mahometa, nie żeby nią teroryzować, lecz żeby skupiać pod nią serca i głowy.

Jest to święta zasada, że w żadnym przypadku sprawiedliwość i prawda nie powinny używać na swą obronę złej i nie-  
lojalnej broni. Niestety! od zasady tej odstąpiło pewne stron-  
nictwo emigracyi naszej; mniemało, że zwycięży nie przebijając  
w pomocnikach i środkach i wojując similia similibus, to jest  
wrogów naszych środkami jakich oni używają. Dobra to może  
maksyma w homeopatyj, ale w praktyce politycznych poruszeń  
przynosi najzłubniejsze skutki i to nie dla przeciwnika. Najczyst-  
sza sprawa zabrudzi się, jeśli ją wezmą w ręce nieczysti obrońcy.  
Pewnie, że prawda, chociażby niewiem jakim obryzgana kałem,  
nie przestanie być prawdą i ostatecznie okaże się czystą i pro-  
mienną, ale tymczasem ciemności i zamęt ogarniają społeczeń-  
stwo. My jesteśmy teraz w tym stanie zamętu wyobrażeń, w którym  
dobrego od złego, podłego od zacnego, plugawego od czystego,  
prawdziwego od fałszywego rozpoznać nie możemy, przyszedłszy  
do tego niezaprzeczenie wskutek przypuszczenia do winnicy na-  
rodowej także pracowników bez cnoty i narzędzi brudnych.

Wszak patrzeliśmy na te harce piór prowadzone w ostatnich  
latach z pewnym systemem. Co tylko było w kraju wytyczniej-  
szego, czy to talentem, czy zasługą, czy wzięciem, to wystawione  
zostało ni zład ni z owąd na natarczywą napaść, trzeba było  
zdyskredytować powagi. Gdziekolwiek było jakieś ognisko współ-  
nego działania, jakiś zawiazek organizacji domorodnej, starano  
się je rozbić, lub ubezwładnić, sarkaniem, podejrzewaniem, a jeśli  
to nie pomogło denuncyacyami, jak tego mieliśmy przykład  
w „Baczności“, gdzie członkowie komitetu warszawskiego na-  
zwani są Jurgensistami; trzeba było rozbić naród na atomy, by  
go tem łatwiej ować.

Wszak rozmawialiśmy z tymi Emisaryuszami, którzy do kraju  
podwójne przywozili instrukcyje, jedne od generała Józefa i ge-  
nerała Ludwika, a drugie tylko od generała Ludwika, tamtym  
przeciwnie i podwójne odwozili odpowiedzi: jedne przeznaczone  
dla obydwóch panów generałów, a drugie tylko dla drugiego.  
Wszak rozmawialiśmy z wysłannikami generała Ludwika, którzy  
jednej czystej nici przed nami na nim nie zostawili, a potem za  
to żeśmy im wtórowali, wyroki śmierci nam przysyłałi. Wszak

przyjmowaliśmy emisaryuszy, którzy się legitymowali nieograniczonem pełnomocnictwem generała Ludwika, a co parę dni przez innego pełnomocnika tegoż generała byli ogłaszani za szpiegów, jak się potem pokazało dla zbałamucenia rządów a tymczasem bałamuciło się naród.

Zaiste był to wichur miejący kurzem i piaskiem, jaki zwykle poprzedza burzę z piorunami i gradem. Trzeba było zasypać oczy, żeby naród nie widział na co się zanosilo, a przedewszystkiem podkopać powagę, jeśli się gdzie ustaliła, roznamiętnić rozbity na atomy naród; mieć tym sposobem przygotowaną rolę do przyjęcia hasła wychodzącego z owego obozu.

Ci, którzyby mogli i chcieli podnieść głos karcący, musieli zamilknąć, i w cichości połykać gorycz na widok niemocy słowa tkniętego paraliżem; żadne przewidywanie smutnych następstw, choćby najwymowniej i najpraktyczniej wyłożone nie miało wartości, owszem uważane było, jako karygodny plód reakcyi wymierzony na zepsucie ducha i nie chroniły przed tym zarzutem, ani udowodnienia, gotowość służenia sprawie ojczyściej, ani wypróbowany patryotyzm, ani żadna dla kraju położona zasługa.

Nasiona tak skrętnie zasiewane zeszyły bujnie podczas wypadków 1863 r., a niepowodzenia dodały jadu rozkrzewionem roślinom. Takie chwile bywają rozpaczliwe, czujesz potrzebę prawdy, ale twoja prawda nie jest zdawkową monetą lichego stempla, która ma kurs, do której ludzie przywykli, więc jej nikt nie bierze. Co zostaje? chyba pociecha w przysłowiu: „Kiedy Bóg chce zrobić co własnymi rękami, skazuje wszystkich na niemoc i rozpacz, i dopiero działa“.

Niech mi kto powie, co ma znaczyć w naszych dziennikach sarkanie na szlachtę.

To co nazywamy polityczną władzą pewnego stanu, jest tylko objawem i wyrazem jego rzeczywistej społecznej władzy, bezskuteczne więc jest uderzać na pierwszą, jeśli nie można osłabić zarazem drugiej; również jak dziecinne byłoby obawiać się pierwszej, jeśli nie istnieje druga. Nasza szlachta już nie ma społecznej władzy, przestańmyż raz straszyć się upiorem szlacheckiej władzy politycznej.



Czy ma społeczeństwo prawo zabrać dobra kościelne? Wattel, jedna z najpierwszych powag politycznych, tak argumentuje w tym względzie. Dobra kościelne są poświęcone Bogu ponieważ Bóg niczego nie potrzebuje, przeto poświęcić mu dobra, znaczy przeznaczyć je na cele Bogu przyjemne. Nie może zaś Bogu być nic przyjemniejszym, jak ochronić naród od zguby, On bowiem jest ojcem wszystkich tych co naród składają, a więc właśnie dlatego, że dobra kościelne są poświęcone Bogu, powinny być przed innymi używane dla ratowania narodu. Zresztą *, ale* dobra kościelne są także przeznaczone dla ubogich; otóż gdy naród jest w potrzebie, jest ubogim i zasługuje przed innymi na wsparcie, będąc przedstawicielem wszystkich, którzy go składają.

Każdy, kto śledził historię, musiał to zauważyć, że kościół niedoznający opieki rządu, zwykle większą rozwija energię i silniejszą żywotność, niżeli kościół, który zostaje pod opieką rządu. W postępie społeczeństwa, duch teologiczny zaczyna naprzód upadać w klasach najoświecieńszych i wówczas może rząd wmięszać się w sprawy kościelne, owoładnąć duchowieństwo i uczynić kościół służebnym państwu, osłabiając w ten sposób żywioł kościelny wpływem interesów świeckich.

Jeśli wszakże państwo tego uczynić nie chce, wówczas wódcze władzy wymykające się z rąk klas wyższych porywają księcia, a kościół tolerowany tylko, może nawet zaniedbany przez rząd, musi się tem ściślej łączyć z ludem, w którym jedynie leży źródło jego siły i musi ciągle czuwać, by nie stracił tej jedynej podpory. Przeciwnie gdy kościół, który doznaje opieki i sownego uposażenia od rządu, węzeł między duchowieństwem, a niższymi klasami narodu stanie się mniej ścisłym, duchowieństwo będzie się skłaniać zarówno ku rządowi jak ku narodowi, a wpływ widoków politycznych, wzgląd na korzyści światowe i jeśli można tak się wyrazić bez ubliżenia należytemu uszanowaniu, nadzieję wywyższenia się, wnet ducha kościelnego uczynią światowym.

Najcięższą przeszkodą, z którą ma do walczenia postęp cywilizacji jest duch opiekuńczy, tak ściśle połączony z zamiłowaniem centralizacji. Duch ten zastosowany w polityce

tworzy rządy tak zwane ojcowskie gdzie najwyższa władza spoczywa w ręku monarszem lub w małym kółku klas uprzywilejowanych. On to powoduje rząd wtrącać się w naturalny stosunek zachodzący między producentem a konsumentem; zaprowadzać gwałtem rękodzielnie, któreby nigdy inaczej się nie pojawiły i które już dla tego samego, że nie są potrzebne nie mają odbytu; przeszkadzać naturalnemu rozwojowi przemysłu i pod pozorem użyczenia opieki robotnikom, krajowcom zmniejszać owoce pracy, odwracając ją od tych dróg zyskowych, na które ją zawsze własny instynkt popchać musi. Ta to zasada zastosowana do teologii stwarza potężny kościół i wielką liczbę duchowieństwa, które uchodzi za konieczną straż religii, a wszelka przeciw niemu opozycja, uważana jest za obrazę moralności publicznej.

W pierwszych wiekach po rozbiciu państwa rzymskiego, w wiekach nazwanych słusznie wiekami ciemnoty, opiekowało się społeczeństwem duchowieństwo, jako jedyna klasa, która umiała przynajmniej czytać i pisać, a mianowicie dlatego, że była orędowniczką tajemnic wiary. W X. stuleciu rozum ludzki zdobył się na tyle, że utworzywszy na podstawie feodalizmu społeczeństwo świeckie, zniósł opiekę duchowną, a zaprowadził opiekę szlachecką. W parę wieków później, gdy szlachta zaczęła się stawać groźną monarchom, ci starali poukracać znaczenie szlachty i zaprowadzili opiekę rządową, z której powstała owa dążność do centralizacji, która coraz dalej sięgając stała się dżumą wszystkich społeczeństw europejskich z wyjątkiem Anglii.

Te to rządy ojcowskie, ta dążność do centralizacji przeciągnęły feodalne pojęcia zwierzchnictwa i poddaństwa długo poza ów wiek barbarzyński, którego były płodem, a nawet nowej im nadały siły odzwyczajając ludy od wszelkiej samodzielności. W takim państwie wszystko odnosi się do jednego środkowego ogniska, pochłaniającego wszystkie czynności życia społecznego. Wszystkie ważniejsze ulepszenia, wszystkie projekta dążące do podniesienia materialnego nawet bytu ludności, wymagają niezbędnie zatwierdzenia rządowego. Miejscowe władze są tam uważane za niedorośle do tak wielkich zadań. Ażeby niższe urzędy nie nadużywały swej władzy, nie pozostawiono im żadnej władzy. Wykonywanie niezawisłe sądownictwa jest tam nieznanne. Wszystko co się dzieje, musi się dziać z głównej kwa-

tery. Rząd musi wiedzieć o wszystkim, widzieć wszystko i o wszystko się troszczyć. Żadna gmina nie tylko nie może uchwalić własnych swych wydatków bez zezwolenia rządu, ale nie może nawet wystawić żadnego budynku i przeznaczyć nań funduszu, bez zatwierdzenia poprzednio planu budowy przez biuro robót publicznych, żadna gmina nie może upomnieć się o swą własność bez zezwolenia rządu, bo nie może bez takiego przyzwolenia nawet darowizny sobie uczonionej przyjąć. Słowem niema miasta, miasteczka, wsi, folwarku, fabryki, szpitalu, klasztoru, lub zakładu dobroczynnego, któremu by wolno było mieć swoją wolę, wszystko to zostaje pod opieką rządu.

Aby zaś ten potworny system wprowadzić, wynaleziono maszyneryę godną swego celu. Każdy kraj rządzony po ojcowski powleczonej jest niezmierną siecią urzędników, którzy porządkiem swej hierachii w rozmaitych stopniach przedstawiają podziwienia godny wyraz nowożytnej zasady feudalnej, nie przywiązanej, jak dawniej do ziemi, lecz do osób. Cały kierunek spraw publicznych prowadzony jest w tem przypuszczeniu, że nikt nie zna swego interesu, ani jest w stanie dbać sam o siebie.

I tak ojcowskimi uczuciami przejęte są rządy, tak troskliwe o dobro swych poddanych, że podciągają pod moc swoją, najrzadsze równie jak najzwyczajniejsze czynności życia. Ażebyśmy nie robili nierozważnych testamentów, ograniczono prawo rozporządzania naszym majątkiem na wypadek śmierci. Ażeby policya czuwała nad bezpieczeństwem podróźnych, nakazano, aby nikt nie ważył się podróżować bez paszportu, podróźny więc zdobyje się na każdym kroku z tym duchem opiekuńczym, który pod pozorem czuwania nad jego bezpieczeństwem, ogranicza wszelką jego wolność osobistą. Tak wielka jest jego troskliwość w ubezpieczeniu społeczeństwa przeciw zbrodniarzom, że gdy oskarżony o zbrodnię stanie przed sądem, zasiada urzędnik, który ma być sędzią obłażowanego i zaczyna w celu przekonania się o zarzuconej temuż winie, badać go i przebadywać i zadawać mu podstępne pytania w taki sposób, że zamiast sędzią staje się prześladowcą i oskarżycielem nieszczęśliwego, przeciw któremu używa całej powagi sędziowskiego swego stanowiska, wszystkich sztuczek swego zawodu, całego doświadczenia i zręczności

wprawnego swemu rozumowi. Dzieje się to niby z dbałości o bezpieczeństwo społeczeństwa, a tymczasem dostarcza gotowego przyrządu do podtrzymywania władzy despotycznej, pozbawia władzę sądowniczą należnego jej poszanowania łącząc z nią pojęcie niesłuszności i nie pozwala sędziemu zachować owego spokoju i bezstronności, które są niepodobieństwem przy systemie czyniącym urzędnika oskarżycielem, a sędziego stroną. Z sposobem używanym do wyśledzenia zbrodniarzy, łączy się podobny sposób zapobieżenia zbrodni. W tym celu jest cała ludność, nawet w codziennych swych zajęciach ciągle najstaranniej nadzorowaną i mentorowaną. Ażeby jeden drugiemu niespodzianie nie wyrządził czego złego, przedsięwzięte są takie same ostrożności, jakimi każdy ojciec otacza swe dzieci. Na targu, w teatrze, na koncertach, na każdym miejscu publicznej zabawy, pilnują ludzi żołnierze, posłani tam dla przestrzegania, aby nic się złego nie stało, aby nie było niepotrzebnego tłoku, aby nikt nie krzychał i nie kłócił się z swoim sąsiadem. I nie poprzestaje jeszcze na tem czujność rządu ojcowskiego. Nawet wychowanie dzieci oddane jest pod opiekę rządową, zamiast coby miało być urządzone wedle woli rodziców i nauczycieli.

Gdy w dalszem następstwie nie da się rozumnie przypuścić, ażeby ludzie wychowani pod tak ciągłą opieką mogli należycie osądzić własną swą, dla nich przeznaczoną żywność, rząd i temu zapobiegł. Bystre jego oko wciska się za rzeźnikiem do rzeźni, za piekarzem do dzieży i pieca. Ojcowska troskliwość rządu bada pokarmy, aby nie były złe, odważa chleby, aby nie były za lekkie. Słowem aby nie mnożyć przykładów, rządy ojcowskie zaprowadziły monopol najgorszego rodzaju, monopol sięgający do zajęć domowych, do głębi duszy ludzi, tropiący za nimi w ich codziennem zatrudnieniu, dręczy ich drobiazgowością i wstrętnością swoją, a co gorsza od tego wszystkiego, zmniejszający odpowiedzialność ciążącą na nich za ich własne postępowanie i pozbawiający ich tym sposobem tego, co stanowi jedynie rzetelną istotę prawdziwego wychowania, t. j. ciągłej konieczności starania się samemu o zaspokojenie swych potrzeb i zwyczajania się do zapasów z trudnościami życia. Wynikiem tego wszystkiego jest, że narody stałego ładu Europy chociaż wzbogaciły się w wiedzę, chociaż niektóre są pełne odwagi

i wielkiego ducha, okazują się nieudolnymi, ile razy nadarza się sposobność do dzierżenia władzy. Brakowało im zawsze jednego z tych dwu żywiołów: albo mieli wolny rząd, ale nie trwały, albo mieli trwałe rządy, a nie mieli wolności. Próbowali zaprowadzać u siebie instytucje autonomiczne, lecz bez skutku, bo przy naśladownictwie form wolności, brakło im tego śmiałego i wytrwałego ducha, w którym jedynie wolność prawdziwie znajduje swe zabezpieczenie. Posiedli wprawdzie jej wizerunek i napis, brakło im wszakże świętego ognia, aby wizerunek ten rozgrzać i natchnąć życiem. Wszystko zresztą mieli u siebie. Konstytucje gwarantujące autonomię pojedynczym prowincjom, statuta nadające autonomię gminom miejskim i wiejskim, nawet wprowadzające sądy przysięgłych. Wszystko jednak na próżno. Gdyż nie pergaminem i pieczęcią zapewnia się i utrwała wolność narodów. Są to tylko powierzchowne, czcze oznaki; nadają wolności wdzięku, są one jej suknią i wianem, strojem świątecznym w dniach pokoju i wczasu. Ale kiedy nastąpią dnie złowrogie, gdy despotyzm zacznie podnosić głowę, wówczas utrzymają swą wolność nie ci którzy okażą najstarsze pergaminy i najgrubsze pliki konstytucji i statutów, ale ci którzy się najbardziej wzyli w obyczaj niezależny, którzy najbardziej przyzwyczaili się myśleć i działać sami za siebie i najmniej oglądali się na tę wstrętną opiekę, którą najpierw duchowieństwo, potem wyższe klasy, a ostatecznie rządy ojcowskie zawsze z taką udzielały im gotowością, iż w wielu krajach nie pozostało w końcu nic, czemby się warto było opiekować.

Jak zaś długowieczna opieka taka robi ostatecznie naród nawet niezdolnym do pojęcia prawdziwej wolności, tego najlepszym jest dowodem Rada państwa austriacka, gdzie ci członkowie uważają się za najliberalniejszych, którzy wbrew nadanej konstytucji pozwalającej odrobinę autonomii prowincjom, starają się wszelkimi siłami utrzymać dotychczasową centralizację i nawet rozciągnąć takową na kraje węgierskie, w których zdawien dawna istniały instytucje autonomiczne! I nie dziw; ludzie bowiem nie mogą być nigdy wolnymi, jeśli nie są wychowani do wolności. A wychowanie takie nie czerpie się z książek, ale leży ono w poleganiu na samym sobie i w samorządzie. Są to rzeczy, które w północnej Ameryce i w Anglii dziedziczą

się z pokolenia na pokolenie i które stały się obyczajem przekazanym tradycją, którym każdy tam nasiąka z młodu i kieruje się całe życie. Na słabym łądzie Europy zdawna wkorzone wyobrażenia w innym rozwijają się kierunku. Tu przy najmniejszej trudności każdy zwraca się o pomoc do rządu. Co tam jest przedmiotem konkurencyi obywateli, tu jest monopolem rządu. Co tam dokonają przez stowarzyszenia prywatne, tu dzieje się drogą rządową; tu nie wykopią kanału, nie zbudują drogi żelaznej, nie zregulują rzeki, bez odwołania się wprzód do rządu o pomoc. Tu naród podnosi oczy ku rządowi, tam rząd ogląda się na naród. Tu władza wykonawcza jest ogniskiem nadającym ruch całemu społeczeństwu; tam społeczeństwo jest czynnikiem działającym, a władza wykonawcza jej narzędziem.

Z całego tedy toku rzeczy wynikło, że narody stałego łądu Europy, z którymi zawsze postępowano jak z dziećmi, w rzeczach polityki pozostali też dziećmi dotąd. Nie usposobiwszy się do władzy politycznej długim wykonaniem praw obywatelskich, gdy do niej przychodzą nie przynoszą doń ani rozwagi, ani siły, która przystoi ludziom oddawna obznajomionym z temi rzeczami i nie mogą z nią nic dokonać, ile że pierwszym w tych rzeczach warunkiem powodzenia jest przyzwyczajenie polegania na własnej swej sile, równie jak i to, ażeby nim spróbując zdolności swej w walkach politycznych, siły ich wzmocnione już były poprzednio owym hartem, który się nabywa w zapasach z trudnościami życia społecznego.

Powątpiewanie jest matką prawdy; powątpiewanie bowiem rodzi badanie, które jest koniecznym poprzednikiem wszelkiego prawdziwego udoskonalenia. Sam duch zaś powątpiewania winien oczywiście swe pochodzenie najwięcej myślącym i wykształconym warstwom społeczeństwa i ma naturalnych swych przeciwników w najwyższych i najniższych warstwach, jako to: w arystokracji, ponieważ niebezpieczny jest jej interesom, i w nieoświeconych, ponieważ uderza na ich przesady. Jest to jedna z przyczyn, dla czego ani najwyższe, ani najniższe warstwy społeczne nie są zdolne do rządzenia krajem cywilizowanym, gdyż obie wyjąwszy pojedyncze wypadki, są wogóle niechętne tem reformom, których wymaga nieustannie postęp narodowy.

Najzdatniejsi nawet mężowie stanu, jeśli chcą według przestarzałych zasad z nowymi postępować objawami, stają się nieporadnymi. Między wolnością a wiedzą, między wzrostem cywilizacji a demokracją bowiem zachodzi związek jak najściślejszy, dla narodu więc postępowego trzeba polityki postępowej; dla tego w obrębie pewnych granic jest wprowadzenie nowości jedyną podstawą bezpieczeństwa, bo żadna instytucja nie zdoła się oprzeć prądowi i postępowi społeczeństwa, jeśli nie tylko nieulepsza jego budowy, ale i nie roztwiera zarazem coraz szerzej wrót temuż postępowi, a nawet z materialnego biorąc rzeczy stanowiska, żaden kraj nie może długo doznawać ani powodzenia, ani bezpieczeństwa, gdzie władza ludu nie wzrasta stopniowo, gdzie prawa jego nie rozszerzają się coraz bardziej, słowem gdzie lud, że tak rzeknę, nie wciela się coraz bardziej w organizm życia politycznego. Ztąd wynika, że nasi mężowie stanu zdają się nie pojmować, że gdy w polityce nie odkryto dotąd jeszcze pewnych stałych zasad, pierwszymi warunkami pomyślnego skutku są to pojedynawczość, porozumienie się obopólne, użyteczność dla ogółu, ustępstwa dla postępu.

Blacharz, który przed kilku jeszcze miesiącami utrzymywał jak najmocniej, że dla tego we Lwowie mięso drogie, ponieważ je wolno każdemu sprzedawać, a dlatego niema pieniędzy w kraju, ponieważ żydzi wysoką pobierają lichwę, drukuje w „Gazecie narodowej“ rozprawy o ekonomii narodowej. Literat tak wyrobionych zasad politycznych, iż za jednym zamachem z „Kółka rodzinnego“ przeszedł do „Głosu“ zamtąd do „Gazety narodowej Wiśniowskiego“, a przeleciawszy się z „Gońcem“ do „Dziennika Narodowego“ Rapackiego odbiera inspiracye od „Duchów“ za pomocą ekierki, ogłasza broszurę, w której reprezentantom narodu przepisuje normę postępowania w dzisiejszem trudnem położeniu.

Szlachcic Wołyński przechulawszy młode lata w społeczeństwie praporszczyków i baryń rosyjskich, uczy naród zasad społecznych i chrześcijańskich. Nareszcie poeta, co niegdyś śpiewał po winie i miodzie, a teraz śpiewa w „Powodzie“ nie wiedząc co to jest „ton“ w muzyce, miewa odczyty o muzyce kościelnej polskiej, na których żydowscy szkolnicy odśpiewują swe pieśni.

Boże! ileż to podobnych geniuszów pod pozorem oświecania powszechności, usiłują torować sobie drogę do nieśmiertelności. Prawda, że na ramionach tłumu wjechał tam nie jeden, ale żeby tego rumaka ovladnąć, żeby się wdrzeć na umysłową górę, innej siły potrzeba, niż siła moralna tych publicystów, przewodzców, mędrków i estetyków, którzy się teraz admiirować każą, a których zapewne przewidywał Słowacki kreśląc ów wiersz rozpaczy:

„Żeby też jedna pierś była zrobiona  
„Nie podług miary krawca, lecz Fidyasza!  
„Żeby też jedna pierś, jak pierś Memnona  
„Żeby też jedna! — Ha to mnie przestrasza.“

Czem szlachta jest w życiu politycznym, tem są księża w rzeczach religii. Oba stany odwołując się nieustannie do głośu starożytności, polegają całkowicie na tradycyi i wiele budują na tem, aby utrzymać przyjęty zdawna obyczaj. Oba przyjmują za rzecz uznaną, że wszystko co stare, lepsze jest od tego co nowe, podobieństwo zaś dążności obu rzeczonych stanów pochodzi z podobieństwa zasad: oba są w wysokim stopniu opiekuńcze i zastale, czyli jak ich czasem nazywają, zachowawcze. W mniemaniu powszechnem arystokracja zasłania państwo przed rewolucją, a duchowieństwo zachowuje kościół od błędu. Związek uczuć arystokracji z uczuciami ożywiającemi duchowieństwo jest nawet widoczny w życiu politycznym; nasza arystokracja afektuje uszanowanie dla księży, a zachowanie zewnętrznych form religii należy do dobrego tonu.

Mylą się ci, którzy zarzucają szlachcie jej dumę, jak gdyby takowa była wyłącznem tego stanu znamieniem. Właśnie przeciwnie, gdyby raz prawdziwa zakorzeniła się w szlachcie duma, wnetby ona sama istnieć przestała. Już w samym wyrażeniu duma rodowa leży sprzeczność. Duma polega na poczuciu własnego zadowolenia; próżność żywi się cudzym oklaskiem. Duma jest zamkniętem w sobie, wzniosłem uczuciem, pogardzającym owemi powierzchownemi odznaczeniami, za któremi chciwie ugania się próżność. Człowiek dumny widzi w głębi własnego ducha, źródło własnej godności, o której wie dobrze, że nie może być ani podwyższoną, ani zniżoną niczem innym, jak



tylko jego własnymi czynami. Człowiek próżny, wiecznie nie-  
spokojny, nienasycony, wiecznie spragniony podziwu i uwiel-  
bienia współczesnych musi oczywiście wielkie przywiązywać zna-  
czenie do tych powierzchownych oznak, tych widocznych znamion,  
które czy to są ordery, czy tytuły, działają wprost na zmysły,  
i zachwycają gmin dlatego, że są widoczne, dostępne jego po-  
jęciom. Dla tej to wielkiej różnicy, że duma patrzy wewnątrz,  
a próżność na zewnątrz, jeżeli kto ceni się dla zaszczytów, które  
odziedziczył przypadkiem, bez własnych usiłowań i zasług, jest to  
dowodem nie jego dumy, lecz próżności i to próżności najpo-  
dlegszego rzędu. Jest to dowodem, że człowiek taki niema poczucia  
prawdziwej godności, niema pojęcia w czym jedynie leży wiel-  
kość prawdziwa. Cóż dziwnego, że w oczach ludzi podobnego  
rodzaju nic nie znaczące drobiazgi wydają się przedmiotami naj-  
wyższej wagi? Cóż dziwnego jeżeli takie próżne głowy zajmują  
się wstążeczkami, gwiazdami, krzyżkami, jeśli jeden ubiega się  
za noszeniem laski, inny za szambelańskim kluczem, podczas gdy  
inny całe swe szczęście w tem zakłada, aby córkę swą oddać  
do fraucymeru królowej, lub widzieć żonę swą podniesioną do  
godności damy honorowej? Powiedzcie: czy może tak postępo-  
wać człowiek dumny?

„Na tej smutnej ziemi, podczas tego pośepnego życia,  
które jest krótkim tylko przejściem do czegoś innego, jest to  
dobrodziejstwem jeśli siła ma pana, prawo, — jeśli postęp ma  
przewódzcę, odwagę, — jeśli rozum ma władzę, honor, jeśli su-  
mienie ma despotę, obowiązek, — jeśli cywilizacya ma królowę,  
wolność, ciemnota ma sługę, światło“.

Prometeusz rozciągnięty na Kaukazie, co za olbrzymia myśl!  
I jakaż jego zbrodnia? Prawo! Nazwać prawo zbrodnią, a dą-  
żenie do prawa, buntem, oto odwieczny zwyczaj tyranów. Pro-  
meteusz przewinił to samo na Olympie, co Ewa w Raju; wziął  
kęs wiedzy. Jowisz i pod innymi względami podobny do Jehowy,  
karze tę śmiałość Prometeusza. Jowisz zły syn niepocziwego  
ojca Saturna, który także zbuntował się w coelus jest parweniu-  
szem. Titany to linia starsza, Prometeusz to prawo zwyciężone.  
Jowisz zapieczętował, jak to się zwykło dziać, przywłaszczenie

władzy, ukaraniem prawa, Olymp wybiera Kaukaz i przykuwa doń rozciągniętego Prometeusza. Merkury przyjaciel całego świata, odwiedza go nazajutrz po zamachu stanu, by mu udzielić rad przyjacielskich. Merkury to podłość inteligencji; -- Merkury jest to zbiór wszystkich możliwych występków, pełen rozumu; Merkury, Bóg-występek, służy Jowiszowi, Bogu-zbrodni. To służalstwo i dziś się znamionuje uczuciem podziwu, jakie ma oszust dla skrytobójcy. Tą samą zasadą tłumaczy się służbistość dyplomaty idącego za stopą zdobywcy. — Prometeusz dotąd żyje. Teraz on jest Polską rozciągniętą na przestrzeni 14,000 mil kw. od Bałtyku do Czarnego morza, od Odry do Dniepru i Dźwiny, i zkalpowaną na 20 milionach członków, szarpaną pięcioma dziobami trzech czarnych sępów. Merkury przemawia, Prometeusz ledwie go słucha. Ofiara amnestyi spełzła na niczem, gdyż to właściwie męczennikowi służyłoby prawo ulaskawienia. Prometeusz powalony, pogardza Merkurym stojącym nad nim, pogardza Jowiszem stojącym nad Merkurym, pogardza Przeznaczeniem stojącym nad Jowiszem. Prometeusz urąga sępowi, który szarpie wnętrzności jego i rusza tylko ramionami, o ile mu to więzy pozwalają. Co on sobie robi z Jowisza? na co mu się przyda Merkury? Na tego dumnego męczennika nie ma rady. Ból, który mu sprawia rana od uderzenia pioruna, przypomina mu bez ustanku jego hardość. Tymczasem płaczą na około niego. Ziemia w rozpacz, oceanidy, te kobiety - mgły, przychodzą by mu hołd oddać, słysząc płacz lasów, jęk dzikiego zwierza, wycie wiatrów, szlochanie fal, lament żywiołów. Świat cierpi w osobie Prometeusza, jego łańcuch krępuje ogólne życie, cała natura zdaje się podzielać jego cierpienia; a do tego cierpienia miesza się niepokój o przyszłość: Cóż teraz począć? jak się ruszyć? coż się stanie z wszechstworzeniem, z ludźmi, zwierzętami, roślinami, skałami, kiedy w więzach oswobodziciel?

*Wiktor Hugo.*

Niepodobna ocenić dziejowego charakteru, któregokolwiek okresu inaczej, jak śledząc cały jego rozwój, czyli innemi mówiąc słowy, niezmierny obszar jego wiedzy. Dlatego też chcieć pisać dzieje kraju, nie bacząc na rozwój jego umysłowości, jest to tak, jak gdyby astronom chciał kreślić system pla-

netamy, nie bacząc na słońce, za którego promieni pośrednictwem jedynie planety są widzialne i którego siła przyciągająca utrzymuje je w obiegu i zmusza krążyć w wytkniętych im kolejach. Wielki ów bowiem świecznik, lubo zawieszony na niebie, nie jest wspanialszym i potężniejszym, niżeli duch ludzki na ziemskim padole. Jemu to tylko i niczemu innemu winien kraj każdy swą wiedzę. A cóż innego, jeśli nie postęp i wzrost wiedzy dał nam nasze sztuki, nasze umiejętności, nasze rękodzielnie, nasze prawa, nasze przekonania, nasze obyczaje, wygody, cywilizację, słowem wszystko, co nas podnosi nad dzikich ludzi, którzy przez swą ciemnotę stoją na równi ze zwierzętami, z którymi pospołu żyją w puszczy? Przyszedł zaiste czas, ażeby ci którzy przedsięwzięli pisać dzieje wielkiego narodu, zajęli się tymi przedmiotami, które same jedne kierują losami ludzkości, a porzucili zajmowanie się owymi drobnymi, nic nieznaczącymi szczegółami, którymi zanadto już nas męczono, szczegółami o życiu królów, intrygach ministrów, występkach i plotkach dworskich.

**5. lutego 1865.** Myśl jest władzą, a wszelka władza jest obowiązkiem; każdy więc myśliciel winien pracować dla ludzkości.

Despotyzm znajduje swe tłumaczenie w głupocie ludów. Być ludem, być siłą, i patrzeć na okrucieństwa despoty, to jest uznawać je za dobre. Być świadkiem zbrodni nie przeszkadzając jej, chociaż się ma siłę po temu, to znaczy być współwinnym zbrodni.

Źli ludzie powstają ze złych rzeczy. Poprawmy przeto rzeczy, a poprawimy ludzi.

Ludzkość nie ma być nadal posiadana, lecz ztąd nie wynika, że nie ma być prowadzona.

Idea demokratyczna, ten nowy most cywilizacji, odbywa obecnie straszną próbę obciążenia. To pewne, że każda inna idea pękłaby pod ciężarami, które każą dźwigać idei demokra-

tycznej. Że się idea ta niezachwiała pod ciężarem głupstw i niedorzeczności, które na nią nawalono, to dowodzi jej siły. W tej chwili każą jej dźwigać despotyzm, jak to widzimy w Polsce, gdzie w imię demokracji grasuje najwyuzdańszy absolutyzm.

Oni chcą postępu! a czyliż możliwy postęp bez wolności? Niewola, to dusza ociemniała. Możnaż sobie wyobrazić ciemnego z dobrej woli? Niestety, są niewolnicy z dobrej woli! Czyliż jest co obrzydliwszego nad uśmiech uszczęśliwienia w kajdanach. Kto nie jest wolnym, ten nie jest człowiekiem; kto nie jest wolnym, ten nie widzi, nie wie, nie rozumie, nie rozpoznawa, nie rośnie, nie chce, nie wierzy, nie kocha, nie ma żony, nie ma dzieci — ma tylko samicę i pisklęta, — kto nie jest wolnym, ten nie jest. Wolność jest źrenicą. Wolność jest zmysłem widzenia postępu.

Chcieć postępu bez wolności, dlatego, że z nią połączone są pewne niedogodności a nawet niebezpieczeństwa, jest to samo co chcieć uprawy roli bez słońca, które także nie jest bez ale.

W imię demokracji szerzą także pewne teorie społeczne, zaprowadzające klasztorne lub koszarowe urządzenie, zniesienie własności, zniesienie osobnika. Lecz dać złemu nowy tylko kształt, to nie warto zachodu. Rozpocząć na nowo tylko w inny sposób dawną niewolę, to poprostu głupstwo.

Niech się narody strzegą despotyzmu odnowionego, do którego odnowy sameby znosiły materyał. Despotyzm zbudowany na cemencie specjalnej filozofii, mógłby potrwać wieki. Dlatego miejmy się na baczności przed tymi apostołami socyalnej demokracji, którzy pod pozorem skupienia rozproszonych sił, czynności i energii, zamyślają zaprowadzić w społeczeństwie absolutną centralizację. Teoria ich ostatecznie zachodzi na to: byle człowiek miał jeść i pić, a poza tą szczęśliwością, kryje się despotyzm, jakiego Europa jeszcze nie znała — despotyzm, który ci wymierza twoją porcję jadła, odbiera ci twoją indywidualność, twoje ja. Nazywać to postępem, znaczyłoby pojmovać postęp tak, jak ten poczciwiec, który obaczywszy nową szubienicę z kamienia zbudowaną zawołał: „Otóż to mi postęp; dotąd nie mieliśmy tylko drewniane szubienice, ta zaś może służyć nie tylko

dla nas i dla naszych dzieci, ale nawet dla naszych wnuków i prawnuków“.

Być żołądkiem napełnionym, brzuchem zadowolonym, jest to coś bez wątpienia, jest to bowiem być zwierzęciem. Lecz ambicya może i wyżej sięgać. Pewnie, że dobra pensya, jest rzeczą dobrą. Pewnie, że mieć pod nogami stały grunt, jest rzeczą przyjemną. Mądry lubi żeby mu na niczem nie zbywało. Zabezpieczyć swoje stanowisko, jest dowodem rozsądku. Fotel dający kilka tysięcy dochodu jest siedzeniem wygodnem i przyjemnem; wielkie zyski dają dobre zdrowie i cerę czerstwą, a dogodne synekury dają długie lata; finasy są bardzo przyjemnem miejscem mieszkania a wziętość u Dworu zapewnia byt familii i pomnaża fortunę.

Z tem wszystkim jest jeszcze coś poza tymi celami zwierzęcymi; żerowanie nie jest ostatecznem przeznaczeniem ludzkości; ludzkość potrzebuje do strawy choć trochę pozłoty moralnej; życie narodów, jak życie osobników, ma chwile upadku, — te chwile mijają, lecz trzeba się starać, aby ślad nie został. W obecnej chwili człowiek ma dążność ku żołądkowi; trzeba go więc zaprowadzić do mózgu, do serca; zwrócić go ku stronie godności człowieczej, oto zadanie filozofii społecznej. Wskazać człowiekowi cel człowieka, oświecić jego rozum, uszlachetnić serce, oto jest obowiązek bezpośredni i pilny pisarzy.

Czy ludzkość w wieku naszym tak już postąpiła, iż ludzie myślący mogą założyć ręce, zamknąć oczy i udać się na spoczynek? Czy im nic już do czynienia nie pozostało? Och my nie jesteśmy jeszcze u celu. Jeszcze daleko do zgody brzemiennej szczęśliwością, daleko do harmonii wieńczącej cywilizację; braterstwo jeszcze ciągle marzeniem, a ludy, te sieroty szukające matki, jeszcze nie uchwyciły rękami szaty Pokoju.

Jeszcze dość jest naokoło nas niewoli, hypokryzyi, wojny i śmierci, aby duch cywilizacji nie opuszczał żadnej z sił swoich. Jeszcze prawo z łaski boskiej nie uleciało z tego padołu; toczem był Ferdynand VII w Hiszpanii, — Ferdynand II w Neapolu, Mikołaj w Rosyi, jeszcze straszy tu i owdzie, a Pomazańcy nawiedzani przez te upiory, złowrogo dumają. Jeszcze cywilizacja nie wypędziła wszystkich nadawców oktrojowanych konsty-

tucyi, właściciele ludów i prawowitych obłąkańców, którzy się mają za nietykalnych z bożej łaski i sądzą, że są dziedzicznymi panami rodu ludzkiego. Należy im trochę przeszkadzać, należy okazać trochę nieukontentowania z tych ludzi, z tych zasad i tych upartych mrzonek.

Rozum, myśl, umiejętność, sztuka, filozofia, powinny czuwać i wystrzegać się nieporozumień. Wszak mamy na horyzoncie Polskę mordowaną w imię takich zasad.

Powtarzajmy, jak najgłośniej tylko możemy lekcję o sprawiedliwości i niesprawiedliwości, o prawie i przywłaszczeniu, o krzywoprzysięstwie, o dobrem i złem. Zestawmy to co jest, z tem co być powinno. Rzućmy światło we wszystkie rzeczy — a wy co światło posiadacie, przynóście je. Przeciwwstawmy zasadę zasadzie, dogmat dogmatowi, energię uporowi, prawdę oszustwu, marzenie marzeniu, marzenie przyszłości marzeniu przeszłości, wolność despozytowi. Jeśli majestat króla będzie miał te same rozmiary jak wolność człowieka, wtenczas wolno nam będzie usiąść lub rozciągnąć się i wciągnąć w siebie rozkoszną woń poetycznych fantazyi. Aż dotąd, baczność! porozstawiajcie warty ze wszęch stron. Nie zasypiajcie. Nie czekajcie, aż wam królowie wasi dadzą wolność, uwolnijcie się sami i wszystkich, którym więzy ruszyć się nie pozwalają.

Żyjemy w czasach, w których ludzie postępowi chwalą wielkoduszność białych niedźwiedzi i unoszą się nad czułością pantery. Amnestya, łaskawość, wspaniałomyślność, era szczęśliwości otwiera się; monarcha postępuje po ojcowsku, patrzcie ile już uczynił; nie sądźcie żeby nie postępował z duchem wieku ramiona monarsze są otwarte, złączcie się z Rossyą. Moskwa jest poczciwa, patrzcie jak ona swych muzyków uszczęśliwia; odtąd tam będą strumienie płynąć mlekiem i wolnością; wasi zwycięzcy płaczą tak jak wy nad tem co się stało, oni są zacni; chodźcie, nie bójcie się. Tak wołają Girardiny. Ja przyznam się, nie wierzę łom krokodyla; jak nie wierzę w liberalizm Girardin et Cie.

W obec panujących tych publicznych monstrialności, obowiązkiem jest myśliciela, filozofa, poety, więcej niż kiedykolwiek pokazywać ludziom ideał, to zwierciadło w którym jest oblicze Boga.

Zdrowy zmysł, czyli jak go nazywamy, chłopski rozum, nie jest właściwie ani mądrością ani rozumem, lecz ma potrosze z jednego i z drugiego, z małą przymieszką sobkostwa. Zdrowy zmysł nie jest cnotą, jest on żrenicą interesu. Leonidas nie miał zdrowego zmusłu i Regulus go nie miał i żaden męczennik za świętą sprawę nie miał go. Lecz w obec rządów egoistycznych i dzikich, które wysysają pot ludów, pędzą je na jatki przy okrzyku: sława wojenna, honor wojskowy, posłuszeństwo prawowitemu monarsze etc., w obec takiego stanu rzeczy zdrowy zmysł jest doskonałą osobą, jeśli się raptem pojawi i zawoła do ludu: „myśl o twojej skórze!“

Ne pas donner prise est une perfection negative. Il est beau d'etre ettaquable. (Victor Hugo).

Żadne wielkie przeobrażenia społeczne nie dokonywa się inaczej, jak tylko skutkiem długiego szeregu poprzednich wypadków, w których jedynie należy szukać przyczyny tego, co powierzchownie rzeczy biorącemu, oko wydaje się dziełem pojedynczych osób. Rzeczpospolitą francuską obalił nie Napoleon, ale obalił ją ów stan rzeczy, który umożebnił powodzenie zamiarów Napoleona. Ztąd wynika w historii konieczność, podporządkowania szczegółowego wpływu, najznakomitszych nawet mężów pod wpływ ogólny otaczającego społeczeństwa. Ileż to głupiej zarozumiałości mieści się w słowach tych co to wykrzykują: „My znieśli poddaństwo w Polsce!“

Wielkie rzeczy, najlepiej milczeniem się mówią. Na wielką boleść słów niema.

Nie masz doskonalenia bez porównania, gdyż tylko przez porównanie, jednego stanu z innym możemy sprostować dawniejsze błędy i uniknąć przyszłych. Z tego okazuje się jak ważną jest pod względem postępu cywilizacyjnego umiejętnie pisana historia. Jestem też głęboko przekonany, że zbliża się chwila, w której dzieje ludzkości na właściwem postawione będą stanowisku, kiedy uznane zostaną za najwznioślejsze, a zarazem za najtrudniejsze z wszystkich nauk i kiedy jasno będzie pojętem, że do pomyślnej onych uprawy,

potrzeba wielkiego i bystrym wzrokiem opatrzonego umysłu, wzbogaconego wiadomościami z najwyższych dziedzin wiedzy ludzkiej. Gdy prawda ta powszechnie uznaną zostanie, historię pisać będą tylko ludzie powołani uzdolnieniem swoim do tego zadania. Wówczas historia raz przecie uratowaną z rąk kopiatorów starych kronik, którzy ośmielają się wchodzić w sferę o tyle wyższą ponad właściwe im pole, mniemając, że są w stanie rzucić tym sposobem jakowe światło na sprawy ludzkości. Że taki Sch. śmie pisać historię, jest to jednym więcej z wielu dowodów, jak mało jeszcze postąpiła wiedza nasza i jak niedokładnie znane nam są jej granice.

Są więc i u nas wykłady publiczne! Chwała Bogu, niech ich będzie jak najwięcej. W sali wykładowej pierwszym przedmiotem uwagi jest profesor. Jest tam tylko jedna różnica, a to pomiędzy tym, który uczy i tymi, co się uczą. Wyższość stanów ustępuje wyższości wiedzy. Drobnostkowe mniemanie wyróżnienia etykiety ustępują owym wielkiem, rzeczywistym wyróżnieniom, które jedynie dzielą ludzi od ludzi: wyższość umysłu, wyższość nauki. Postęp umiejętności wskazuje nowe przedmioty czci; zachwiewa się dawniejsza cześć, niektórym oddawana stanom, a zabobonni jej wyznawcy uczą się zginać kolana przed nieznaną im dotąd bóstw świątynią. Przybytek umiejętności jest świątynią demokratycznego ducha. Ci co przychodzą się uczyć, wyznają swoją niewiadomość, zrzekają się poniekąd własnej wyższości i poczynają pojmować, że wielkość człowieka nie zależy od tytułów lub urodzenia, że nie ma żadnego bynajmniej związku z herbami, tarczami, piórami i pałkami, z rodowodem przodków, z czerwonymi, błękitnymi, białymi polami i z wszystkimi temi błazeństwami heraldycznymi, lecz zawisła jedynie w podniosłości ducha, siły rozumu i zasobu wiedzy.

Zawsze i wszędzie nędza ludu i poniżenie kraju były następstwem upadku umysłowości narodu. Tu zaś upadek był prawie zawsze i wszędzie wynikiem ducha opieki, tego złowrogiego ducha, który osłabia wszystko czego się dotknie. Cały długi tok dziejów przekonuje jasno, że gdzie tylko rząd przedsięwzięcie opiekować się, czy to handlem czy przemysłem, zawsze



doprowadza do upadku handlu i zwichnięcia przemysłu. Jeszcze widoczniejsze są nieszczęsne skutki takiej opieki, gdy się takowa odnosi do prac umysłowych. I nie można temu się dziwić.

Czyż mogą znać się królowie i ministrowie na tych rozlicznych niezmiernych gałęziach wiedzy, na których zgłębienie częstokroć całego potrzeba życia? Jakżeż mogą oni, oddani nieustannie zajęciom wysokiego swego zawodu, mieć dosyć czasu do poświęcenia tym podrzędnym przedmiotom? Możnaż przypuszczać, aby tego rodzaju wiadomości posiadali mężowie stanu, zajęci nieustannie tak ważnemi sprawami, jak pisaniem depeszy, układaniem mów, organizowaniem stronnictw parlamentarnych, lub udaremnieniem intryg gabinetowych, albo co jeszcze ważniejsza, rozmyślaniem nad kształtem czapki żołnierskiej lub liczbą guzików przy mundurze. A jeśliby zaś sam monarcha raczył według własnego zdania udzielać swej opieki, możnaż przypuścić ażeby mógł być biegły w filozofii, chemii lub innych umiejętnościach, który z tych wielkich i potężnych panujących, co mają osobne nauki, którym się wyłącznie i gorliwie poświęcają, co muszą zgłębiać i znać wszystkie tajniki heraldyki, różnice i wysokość rozmaitych godności, stosunkową wartość różnych orderów, dekoracyi i tytułów, prawa pierwszorzędności, przwileje szlacheznego urodzenia, rozmaite sposoby zlewania zaszczytów i nadawania urzędów, urządzenie ceremoniałów, wymyślne odcienia etykiety i wszystkie tym podobne przeróżne wiadomości, potrzebne do sprawowania wysokiego ich urzędu.

Samo wyliczanie takowych zadań dowodzi niedorzeczności zasady opieki rządowej nad pracami umysłowemi. Jeśli bowiem nie przypuścimy, że królowie są równie wszechwiedzący, jak nieomylni, to jużcićz przyznać musimy, że nie mogą kierować się czem innym w rozdawaniu nagród za prace umysłowe, jak tylko albo osobistą dowolnością, lub zdaniem właściwych sędziów? A że nikt w rzeczach umiejętności nie jest właściwym sędzią jak tylko ten, który się sam umiejętnościom oddaje, wynika ztąd ten potworny stosunek, iż albo rozdawanie nagród za prace umysłowe dzieje się bez należytej znajomości rzeczy, lub też za wyrokiem tych samych, którzy je otrzymują. W pierwszym razie ludzie mierni wynagrodzeni będą bogactwem rolnictwa lub przemysłu, albo oddani na stracenie próżniactwu. W drugim razie

M ludzie prawdziwego geniuszu, owi wielcy, świetni myśliciele, będący władcami i nauczycielami rodzaju ludzkiego, otrzymują w nagrodę szych próżnych tytułów, a ubiegając się w nędznym współzawodnictwie o poniżające łaski dworu, pozostają w końcu żebrakami na jałmużnie skarbu państwa, o którą nie tylko, że się tłoczą i ubiegają, ale sami nawet rozporządzają w jakim ją stosunku między siebie podzielić.

W takim składzie rzeczy koniecznym wynikiem jest najprzód zubożenie i upodlenie talentów, następnie upadek wiedzy, a w końcu upadek kraju. Trzykrotnie już w dziejach świata przedsiębrano podobne doświadczenia. W wieku Augusta, Leona X. i Ludwika XIV. tenże sam przyjęto sposób postępowania i też same wynikły następstwa. W każdym z tych trzech wieków było wiele pozornej świetności, po której wnet raptowna nastąpiła ruina. W każdym z tych przypadków świetność przeżyła niepodległość i w każdym z nich duch narodowy upadł pod naciskiem zgubnego sujuszu pomiędzy sądem a piśmiennictwem, w skutek którego stany dzierżące władzę stały się ogromnie potężne, a stany umysłowe bardzo słabe, po prostu dlatego, że ci którzy rozdają łaski, pragną oczywiście odbierać hołdy; a więc gdzie z jednej strony rząd zawsze jest gotowy wspierać piśmiennictwo, tam z drugiej strony piśmiennictwo zawsze będzie gotowe ukorzyć się przed rządem.

Jest to błędne, a aczkolwiek wielce upowszechnione zdanie, że łaska monarchów przyczynia się do wzrostu literatury narodowej. Do rozszerzenia tego złudzenia sami literaci pierwsi się przyczynili. Ze sposobu mówienia, którego wielu z nich zwykło używać zdawałoby się, że jest jakaś czarodziejska potęga w uśmiechu królewskim, pobudzająca umysłowe siły tych szczęśliwych, którym wolno się jego uradować widokiem. Przesądu tego nie można liczyć do rzędu innych nieszkodliwych, otaczających do dzisiaj jeszcze osobę królewską. Nietylko, że zasada on się na pojęciu prawdziwej istoty rzeczy, ale w praktycznych następstwach swoich bardzo jest szkodliwy. Szkodzi on niepodległemu duchowi, który każdą powinien ożywiać literaturę, i szkodliwy jest samymże panującym, gdyż umacnia w nich oną próżność, której i tak zwykle ogromnie wiele posiadają. Zaprawdę

zważywszy stanowisko, jakie obecnie zajmują oni w najbardziej ucywilizowanych krajach, obaczy się odrazu całą niedorzeczność zdania, którego w obecnym stanie wiedzy żaden oświecony nie podzieli człowiek.

Od chwili, w której ostatecznie odrzucono teologiczny wy-  
myśl o prawie z Bożej łaski, koniecznem następstwem rzeczy  
zmniejszyła się także odpowiednio cześć, przedtem koronowanem  
głowom oddawana. Pochwalamy ich czynność o ile przyczyniają  
się do uszczęśliwienia narodu, nad którym panują; lecz nie za-  
pominaamy, że z powodu wychowania jakie zwykle pobierają  
i dziecinnych owych hołdów, którymi zawsze bywają otoczeni,  
wykształcenie ich bardzo niedostateczne, a przesady ich bardzo  
liczne być muszą. Dlatego zamiast oczekiwać po nich ażeby byli  
światłymi opiekunami piśmiennictwa i pod jakimkolwiek wzglę-  
dem kierownikami swojego wieku, powinniśmy raczej poprzestać  
na tem, jeśli nie sprzeciwiają się opornie duchowi czasu i nie  
usiłują powstrzymać postępu społeczeństwa. Jeśli bowiem panu-  
jący, wbrew wszelkim umysłowym niekorzyściom swego położenia,  
nie jest mężem wielkiego ducha, to w zwykłym biegu rzeczy  
zawsze będzie on obsypywał łaskami swemi nie najzdolniejszych,  
ale najuniżeńszych, a odmawiając takowych głębokim niepodle-  
głego ducha myślicielom, obdarzać niemi będzie pisarzy, schle-  
biających dawnym przesądom i broniących dawne nadużycia.  
Tak więc zwyczaj, rozdawania uczonej godności lub nagród  
pieniężnych przyjemny zapewne tym, którzy nagrody takowe od-  
bierają, w skutkach swoich pociągnie za sobą koniecznie osła-  
bienie śmiałości i samodzielności ich ducha, a zatem i zmniej-  
szenie wartości ich dzieł.

Możnaby to udowodnić ogłoszeniem listy pensyi literackich,  
pobieranych z łaski różnych monarchów europejskich. Z takiego  
spisu dopiero przekonałby się można jasno, jak wiele złego wy-  
rządzają podobne nagrody. Po starannem zgłębieniu dziejów  
literatury, można rzec śmiało, że na jeden wypadek, gdzie panu-  
jący wynagrodził kogoś takiego, co szedł na czele swojego czasu,  
liczy się najmniej dwadzieścia wypadków, gdzie nagrodzeni zo-  
stali ci, którzy pozostali wstecz za nim. Skutkiem tego wszędzie  
tam, gdzie opieka monarsza długo trwała i na cały kraj się  
rozciągała, duch piśmiennictwa zamiast być postępowym, stał się

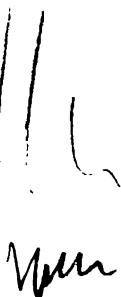
wstecznym. ? Zawarte zostają przymierza, pomiędzy tymi co dają i tymi co biorą. System łaskawości stwarza stycznie chciwą i potrzebującą klasę ludzi, którzy ubiegając się za pensjami, urzędami i tytułami, chęć zysku więcej mają na oku, niżeli dochodzenie prawdy, i zapełniają pisma swe przesadami dworów, których się czepiają. Ztąd poszło, że łaski monarsze stały się oznaką słuźalstwa. Ztąd poszło, iż nabywanie wiedzy, zamiast być uważanem za najszlachetniejsze z wszystkich zatrudnień, za zatrudnienie więcej, niż wszystkie inne podnoszące godność człowieka, poniżone zostanie na równię każdego innego prostego rzemiosła, których powodzenie oblicza się miarą nagród i zysków i dla których największym zaszczytem jest dar z rąk tego, co przypadkowo jest właśnie ministrem lub panującym.

Dążność takowa jest sama już w sobie najlepszem odparciem zdania tych, którzy życzyliby sobie, ażeby władza wykonawcza była uposażona środkami wynagradzania zasług uczonych ludzi. Jest wszakże i drugi niemal ważniejszy jeszcze zarzut przeciw takowemu widzeniu rzeczy. Każdy naród, który ma sobie pozostawioną drogę wolną postępowania, z łatwością uczyni zadosyć umysłowem swem potrzebom i wyda literaturę taką, jaka będzie najlepiej odpowiadać istotnemu jego położeniu. Widocznie zaś leży w interesie klas wszystkich, ażeby ilość wyrobu, nie przewyższała potrzeby, ażeby dowóz nie był większy niżeli popyt. Koniecznem jest nadto dla dobrego bytu społeczeństwa, ażeby zachowany był należyty stosunek pomiędzy klasami umysłowemi, a czynnemi. Potrzeba, aby zachowany był pewien stosunek pomiędzy tymi, którzy zajmują się więcej myśleniem, a tymi którzy skłonniejsi są do działania. Gdybyśmy wszyscy byli pisarzami, ucierpiałaby nasze sprawy materyalne; gdybyśmy wszyscy oddali się interesom materyalnym, ucierpiałaby na tem nasza strona umysłowa. W pierwszym razie bylibyśmy umierającymi z głodu filozofami, w drugim bogatymi głupcami.

Widoczną jest rzeczą, że według najprostszych zasad działania ludzkiego, stosunek liczbowy obu tych stanów, wyrówna się należycie bez trudności naturalnym, czyli jak nazywamy samodzielnym rozwojem społeczeństwa, jeżeli wszelako rząd, który przedsięwzięmie opłacać ludzi uczonych, nie przeszkadza temu rozwojowi i nie psuje naturalnego porządku rzeczy. Jest to nieunikniony

wynik owego ducha wstrętnego, czyli jak go nazywają ducha opieki, który każdemu krajowi wielkie zadawał kłęski. Jeżeliby n. p. przeznaczony był ze strony rządu fundusz na wynagrodzenie rzeźników i krawców, nie ulega wątpliwości, że liczba tych użytecznych ludzi, wzrosłaby nad potrzebę. Jeżeli tedy przeznaczony będzie taki fundusz na nagrody dla ludzi uczonych, pewną jest rzeczą, że liczba ich wzrastać będzie spieszniej niżeli tego wymagać będą potrzeby kraju. W obu razach stuczna pobudka zrodzi chorobliwy stan rzeczy. Żywność i odzież są niezaprzeczenie tak potrzebne dla ciała, jak literatura dla umysłu. Dlaczegoż mielibyśmy zatem żądać od rządu, ażeby wspierał więcej tych, którzy piszą dla nas książki, niżeli tych, którzy dla nas rzną barany, lub szyją suknie? Umysłowy rozwój społeczeństwa jest w tym względzie zupełnie odpowiedni rozwojowi jego fizycznemu. W pewnych razach przymusowy dowóz może zaiste stuczna utworzyć potrzebę. Jest to wszelako stan rzeczy stucznie wywołany, będący wynikiem chorobliwego działania. W stanie zdrowym nie dowóz rodzi potrzebę, ale potrzeba sprowadza dowóz. Twierdzić zatem, że wzrost liczby pisarzy, sprowadzi za sobą w koniecznym następstwie większe rozszerzenie się wiedzy, byłoby to samo co mniemać, że wzrost liczby rzeźników musi sprowadzić większą sprzedaż mięsa. Nie taki jest naturalny porządek rzeczy. Potrzeba: wprzód uczuć głód, nim się zechce jeść, wprzód mieć pieniądze nim można coś kupić; ludzie muszą wprzód zapragnąć wiedzy, nim zaczną czytać.

Wielkie dwa czynniki poruszające światem są: miłość, bogactwa i miłość wiedzy. Ich przedstawicielami i dźwigniami w społeczeństwie są te dwie najgłówniejsze warstwy, na które każde ucywilizowane dzieli się społeczeństwo. Co rząd daje jednej z tych klas, to musi wziąć wprzód od drugiej. Co daje piśmiennictwu, musi odjąć bogactwu. Nie można tego nigdy uczynić na większy nieco rozmiar bez sprowadzenia najgubniejszych następstw. Gdy bowiem nadwreżone będą stosunki naturalne społeczeństwa, samoż społeczeństwo popadnie w chaos. Gdy ludzie uczeni obsypani będą łaskami, ludzie przemysłu będą doznawać ucisku. Niższe warstwy społeczne nie mogą ważyć wiele w oczach tych, u których piśmiennictwo w pierwszym jest względzie. Wolność narodu nie dozna żadnej zachęty, lud pozostanie



stanie uciśniony, a praca jego opodatkowana. Sztuki potrzebne do utrzymania życia popadną w pogardę, a natomiast doznają wsparcia tylko te, które służą do jego upiększenia. Na korzyść małej liczby obdarzonych łaskami, popadną wszyscy w ruinę, podczas gdy u szczytu wszystko będzie toczyć zgnilizna. Piękne malowidło, wspaniałe pałace, poruszające do głębi serc dramata, będą się pojawiać jakiś czas w wielkiej liczbie, lecz ze szkodą uczuć i sił narodu. Nawet taż sama klasa, dla której uczyniono tyle poświęceń, wnet pochyli się do upadku. Poeci będą śpiewać pochwały panującego, który ich sobie złotem okupił. Pewną jest wszelako rzeczą, że ludzie, którzy raz stracili swą niepodległość, kończą utratą wszelkiej samodzielności. Duch ich musiałby być niezmiernie silny, gdyby nie miał zwiędnąć w chorobliwej powietrzni dworu. Zwracając całą swą bacność na swego pana, przyjmują nieznacznie odpowiednie temu stanowisku nawyknięcie służalstwa; a przy coraz bardziej ograniczającym się kółku współczucia, tracą zwolna siłę i wprawę swych zdolności.

Uniżoność staje się ich zwyczajem, a służalstwo rozkoszą. W rękę ich piśmiennictwo wnet traci śmiałość, odwołuje się do tradycji jako do zasadniczej prawdy, a duch badawczy wygasa. Wówczas to nadchodzi jedna z owych chwil niebezpiecznych, gdzie, ponieważ opinii publicznej żadnego nie pozostawiono wyroku, wszystkie niechęci, nie mogą znaleźć jawnego głosu, przemieniają się w jad zabójczej nienawiści, namiętności wzbierają skrycie, aż wreszcie postradawszy wszelką cierpliwość, wybuchają owemi strasznymi rewolucjami, co upokarzają dumę panujących i niosą krwawy odwet wewnątrz nawet królewskich pałaców. Że obraz ten jest prawdziwy, dowodzą dzieje panowania Ludwika XIV i ich związek z rewolucją francuską. Monarcha ten w ciągu długiego swego panowania, przyjął szkodliwy zwyczaj wynagradzania ludzi uczonych wielkimi sumami pieniędzy i licznymi oznakami łask osobistych. Monarsze temu należy niezaprzeczenie przyznać zasługę uorganizowania wykończonego systemu opieki nad literaturą. Że to wywarło najszkodliwsze skutki na ogólne interesa wiedzy, każdy przyzna, kto zgłębił dzieje jego panowania, każdy też musi przyznać, że i na samychże pisarzy system ten wpływał najniekorzystniej. Nigdy nie obdarzano uczonych tak szczodrobliwie jak to czynił Ludwik XIV w ciągu

swego panowania, a nigdy też nie byli oni tak małodusznyimi, tak służalczyimi, tak niezdolnymi do spełnienia wielkiego swego powołania, jako apostołowie wiedzy i misjonarze prawdy. Dzieje najślawniejszych pisarzy ówczesnych dowodzą, że pomimo swych wiadomości i siły swego talentu nie zdołali się oprzeć otaczającemu ich zepsuciu. Ażeby pozyskać łaskę królewską, poświęcali niepodległość ducha, która powinnaby im była być droższą nad życie.

Sprzedawali oni dziedzictwo geniuszu, oddawali prawo starszeństwa za garnek strawy. Co się stało wówczas, powtórzyłoby się i dzisiaj w podobnych okolicznościach. Mało najznakomitszych myślicieli byłoby w stanie czas jakiś oprzeć się naciskowi wieku. Wszelako patrząc na ludzkość w ogóle, widzimy, że społeczeństwo nie ma innej drogi zapewnić się któregośkolwiek stanu, jak przez własny tegoż interes. Dlatego też każdy naród baczyć powinien, żeby interes ludzi uczonych przechylał się zawsze na jego stronę, a nie na stronę panujących. *Me*  
Literatura bowiem jest przedstawicielką umysłowości, która jest postępową, — rząd zaś jest przedstawicielem porządku, który jest nieruchomy. Jak długo wielkie te dwie potęgi są w rozłączeniu, oddziaływiają one na siebie, poprawiają się wzajemnie i równoważą się tym sposobem w narodzie. Jeżeli wszakże siły te połączą się, jeżeli rząd owładnie umysłowość, a umysłowość spłaszczy się przed rządem, wówczas koniecznym tego skutkiem musi być despotyzm w polityce, a służalstwo w literaturze. To stało się we Francji, za panowania Ludwika XIV i można być pewnym, że powtórzy się w dziejach każdego narodu, który ulegnie pokusie i pójdzie za tym pociągającym, lecz zgubnym przykładem.

Jeremiady, płacze, narzekania, są znamionami niedołęstwa. Przejdźmy się po wsi, a przekonawszy się, że ten gospodarz co tylko narzeka i płacze, jest pewnie niedołęgą albo leniuchem; gospodarz pracowity, zapobiegliwy gdy przyjdzie bieda, nie traci czasu na narzekanie, lecz szuka sposobu, by biedę wypędzić. A w mieście, którzyż to rzemieślnicy najwięcej narzekają na biedę, na złe czasy? leniuchy, nieroby, niedołęgi. Toż samo pomiędzy większymi właścicielami ziemskimi, ci najwięcej narzekają, którzy

!!!  
/

najmniej chodzą koło polepszenia swego gospodarstwa. Opiekowano się nami tak długo, że niema się czemu dziwić jeśliśmy zniedołężnieli, jeśliśmy odwykli od radzenia sobie samym i przyzwyczaili się do płakania i narzekania, tak jak te dzieci, które nie umieją użyć swych sił, płaczą za mamką ile razy im czego zabraknie.

Narzekania stały się naszym nałogiem, naszą drugą naturą, jest to smutnem, bo znamionuje niedołośćwo nasze, ale jak rzekłem jest to do wytłumaczenia. Lecz żeby dziennik, który się nazwał „Pracą“, który założył sobie, jak się zdawać powinno po tej nazwie, wskazać narodowi drogę do postępu przez pracę, a więc wydobyć się z upadku, do którego go doprowadziła opieka z góry, żeby taki dziennik od czasu jak wychodzi, nie zdobył się na co innego, jak na jeremiady, płacze i narzekanie, to zaiste nie jest do wytłumaczenia, ani do darowania. Redaktor „Pracy“ może jest zwolennikiem homeopatyi i sądzi, że *similia similibus* wyleczy. Może to dobre w chorobach ciała ludzkiego, na tem się nie znam, lecz z pewnością nie stosowne w chorobach społeczeństwa. Czy redaktor „Pracy“ sądzi, iż społeczeństwo nasze, które opuściwszy ręce narzeka na lichwiarzy, na obcych spekulantów i żydowskich przekupniów, zamiast coby się miało wziąć do pracy, do handlu, do przemysłu, czy redaktor mówię sądzi, że społeczeństwo to popchnie do pracy, jeśli razem z nimi będzie narzekał na lichwiarzy, na obcych spekulantów i żydowskich przekupniów w szubach i cylindrach? Wszak gdyby narzekanie pomagało na biedę w jakiej się znajdujemy, to już dawno z tej biedy bylibyśmy wyleźli, bo przecież narzekamy wszystkimi tonami i od lat kilkudziesięciu. Nie, mój panie redaktorze „Pracy“, chcąc rodaków uwolnić z rąk lichwiarzy, nie dość jest pisać jeremiady, nie dość narzekać, że to lichwa pożera co człek zapracuje, że to lichwiarze bogacą się potem tych co pracują. Trzeba wskazać tym co pracują, jak sobie mają postąpić, aby ich trąd lichwy nie toczył. Przecież sposoby po temu są i praktykują się gdzieindziej z niemałym powodzeniem; tylko trzeba poznać te sposoby, czyli innemi słowy, trzeba panie redaktorze „Pracy“ samemu zacząć pracować, czyli uczyć się. W Niemczech jest kilkaset stowarzyszeń tak między rzemieślnikami jako też rolnikami, dążących do kształcenia się, do wspie-



rania się wzajemnego, do nabywania wspólnym kosztem potrzebnych materiałów, do sprzedawania wspólnego wyrobów i t. p. Zamiast więc narzekać na lichwę, lepiej byłoby przeczytać statuta tych rozmaitych stowarzyszeń i podawać je do wiadomości naszej pracującej publiczności, o ile się one do naszych stosunków licują. Również zamiast wymyślać na Credit-mobilier, że kupił w kraju do miliona korcy zboża nie podniósłszy cen, należałoby raczej wyłożyć naszym producentom tę zasadę ekonomiczną, że nie wysokość ceny produktu, ale jak największy odbyt onegoż jest celem, do którego dążyć należy. Dlatego, że nasz producent nie rozumie tego, iż gdyby kraj mógł co rok nie milion, ale dziesięć milionów korcy zboża sprzedąć, po cztery guldeny, lepiejby nierównie na tem wyszedł, niż gdy rocznie tysiąc albo dziesięć tysięcy korcy po dwadzieścia guldenów sprzeda; jeśli mówię tego, a. b. c. ekonomii narodowej producent nasz nie rozumie, czy godzi się, aby redaktor „Pracy“ zamiast go nauczyć, utwierdzał go jeszcze w jego nieświadomości. Jeśli pan redaktor „Pracy“ sądzi, że do szczęścia kraju potrzeba, aby się cena ziemiopłodów podniosła, to się bardzo myli; dla czegoż pytam, narzeka, że przeszłego roku mimo tak znacznego eksportu zboża, ceny się nie podniosły? Nie lepiejżeby było, gdyby zamiast pisać owe jeremiady, które producentom odbytu nie sprowadzą, a nawet podwyższeniem cen, biednych konsumentów nie uszczęśliwią, zasiadł sam do pracy i nauczył się przynajmniej pierwszych zasad ekonomii narodowej? Cóż nareszcie pomoże dowcipna klasyfikacja przekupniów: na wałęsających się po kraju, na chodzących w szubie i na noszących cylinder? Szkoda pracy, panie redaktorze „Pracy“ na takie „studya gospodarskie“. Nasz gospodarz wiejski zna się aż nadto z tymi ptaszkami; cóż mu to pomoże, że z twej „Pracy“ się dowie, iż i ty także wiesz o ich egzystencji?

Czy mu to ułatwi sprzedaż produktów bez pośrednictwa tych ptaszków? wątplie. Nie lepiejżeby było zamiast pisanía tych „studyów“, zasiąść do studyum nad jaką pocziwą ekonomią narodową, z którejby się pan redaktor dowiedział, że najlepszym środkiem przeciw oszustwom przekupniów, jest giełda zbożowa, a dowiedziawszy się o tem, napisał artykułek, że od lat kilku leży w tutejszym magistracie plan gotowy i przez rząd podobno

już zaaprobowany takiej giełdy zbożowej i że dla tego tylko nie może być wykonany, ponieważ kraj nasz nie chce dać 2000 guldenów, czy nawet mniej podobno, których prócz złożonych już ofiar (przez miasto Lwów, Instytut Kredytowy, Credit mobilier i Kasę oszczędności) potrzeba jeszcze do założenia tej giełdy.

Krótko mówiąc, panie redaktorze, przestań narzekać, bo my to lepiej od ciebie umiemy, a naucz nas czegoś pożyteczniejszego, abyśmy sobie nie zadawali daremnej pracy czytając twoją „Pracę“. Że zaś ten kto drugich ma uczyć, sam naprzód uczyć się powinien, więc zacznij sam od pracy; bo i Salomon z próżnego nie należy wiadra.

Każdy dział wiedzy, po wyprowadzeniu praw ogólnych, zawiera lub sam w sobie, lub w zastosowaniu, trzy wydatne gałęzie, mianowicie: wynalazki, odkrycia i metodę. Pierwsze należy do sztuki, drugie do umiejętności, trzecie do filozofii. W skali tej, wynalazki stoją na najniższym stopniu, a wielkie umysły, rzadko się nimi zajmują. Po nich idą odkrycia, i tutaj to zaczyna się prawdziwa dziedzina umysłowości; tutaj bowiem rozpoczynają się pierwsze usiłowania poszukiwania prawdy dla niej samej, z pominięciem owych względów użyteczności, będącej celem ostatecznym wszystkich wynalazków. To jest już umiejętność w właściwym słowa znaczeniu, a jak trudno wznieść się na ten stopień, okazuje się ztąd, że wszystkie w połowie ucywilizowane narody porobiły wiele wielkich wynalazków, ale ani jednego wielkiego odkrycia. Najwyższym wszakże z tych trzech stopni, jest filozoficzna metoda, zostająca w tym samym stosunku do umiejętności, co umiejętność do sztuki. O jej niezmiernej, najwyższej wadze dostarczają roczniki wiedzy mnogich dowodów i z jej to braku niektórzy wielcy ludzie nic a nic nie zdziałali, zmarnowawszy cały żywot swój w bezowocnych poszukiwaniach, nie dlatego, ażeby nie byli gorliwi w pracy, ale dlatego, że się trzymali metody jałowej.

Postęp każdej umiejętności więcej zależy od metody jej uprawy, niżeli od rzeczywistego talentu tych co ją uprawiają. Jeżeli podróżujący po obcym kraju marnują swe siły na walenie się po błędnych drogach, to nie dojadą do miejsca do którego dążą, lecz omdleją i ustaną po drodze. W tej długiej

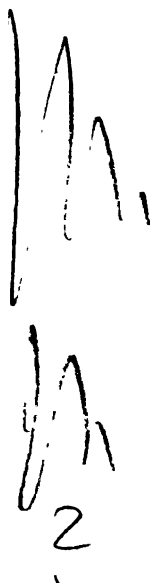
i trudnej podróży, którą umysł ludzki w poszukiwaniu prawdy ma jeszcze przed sobą, a której cel ostateczny obecnemu pokoleniu tylko z niepewnej oddali przeblýskuje, powodzenie zależeć będzie niewątpliwie nie od pospiechu, z jakim ludzie rzucić się będą na drogę badań, lecz raczej od trafności w wyborze dla nich tejże drogi przez wielkich a głębokich myślicieli, będących prawodawcami i twórcami wiedzy; oni bowiem uzupełniają jej niedostatki, nie zgłębianiem szczegółów trudności, ale wprowadzeniem nowych rozległych poglądów, otwierających nowe tory myśli i stwarzających nowe źródła, które zgłębić i użytkować zadaniem jest potomności.

Instytucje wolne nie są przyczyną, lecz wynikiem wolności.

W pismach Napoleona III. znajdujemy następujące ustępy o szlachectwie: „Jak długo jeszcze będą się uganiać ludzie za odblaskiem minionej rzeczy? Jest to zadanie filozoficzne, której rozbiór godzien zajęcia. Astronomi uczą nas, że są gwiazdy tak odległe od ziemi naszej, iż gdyby nagle w niwecz obrócone zostały, jeszczebyśmy widzieli je przez lat dwadzieścia. Podobnie rzecz się ma ze szlachtą, — widzimy jeszcze światłość jej, chociaż w rzeczy samej znikła ona od dawna. Od roku 1789 nie masz już księstw, hrabstw, baronostw i margrabstw, a przecież mamy jeszcze książąt, hrabiów i baronów.

Zarówno wydaje mi się być brakiem loiczności tworzyć książąt bez księstw, jak mianować pułkowników bez pułków. Jeżeli bowiem szlachta mająca przywileje, sprzeczną jest z naszymi pojęciami, to bez przywilejów staje się ona śmieszna. Pisarze 14 wieku mówiąc o wodzach starożytności, używali nazwy: Książę Hanibal, książę Scipio i słusznie, bo tytuł książęcy nie tylko był godnością, ale i stopniem. Wyjąwszy rodzin królewskich, tytuły te nić dzisiaj nie przedstawiają.

A jednak jak dziwnym jest charakter ludzki. Gdyby rząd zamianował pana Pasquier generałem in partibus, tenże wzbraniałby się i twierdziłby, że chcą go podać w śmieszność, dając mu tytuł, będący godłem władzy, której on spełnić nie może. Ale zamianować go księciem, a będzie zadowolonym.



My te tylko pojmujemy systemata polityczne, które są jasne i wyraźne. Jeżeli rząd chce podźwignąć na nowo budynek, nad którego obaleniem królowie i lud przez 500 lat pracowali, to niechaj użyje środków najspodobniejszych do uskutecznienia tego, niechaj jej nada rozległe ziemie, gdyż bez bogactwa nie masz szlachty. Niechaj wszystkim szlachcie użyczy chrztu sławy, gdyż bez świetności nie masz szlachty. Niechaj przywróci także prawo pierworodztwa, a syn pierworodny niech sam jeden dziedziczy tytuł, jak w Anglii, gdyż bez ustawy wyłączającej głowę rodziny, a braci jej z resztą ludu mieszającej pospołu, wpływ się rozdrabnia, a szlachta od plebejuszów się nie rozłącza. Jeżeli rząd tego wszystkiego dokona, będziemy walczyć przeciw niemu, ale niemniej przyznamy, że postępuje sobie loicznie i uznamy, że budynek, który wznieść pragnie, ma ciało i głowę. Ale pokątnie zrobić kilka książątek, kilka hrabiątek, co nie znajdują ani wpływu, ani świetności, byłoby to bez celu i pożytku drażnić demokratyczne uczucia większości francuzów, byłoby to kazać starcom bawić się lalkami.

Co do nas pragnęlibyśmy, aby rząd zamiast kreować kilku szlachty, powziął wielką myśl uszlachcenia tysięcy i milionów. Pragnęlibyśmy, aby sobie postawił za zadanie wynieść 35 milionów francuzów do stanu szlacheckiego, dając im naukę, godność moralną i dobry byt, co było dotąd tylko udziałem małej liczby, a powinnyby się dostać wszystkim“.

Tak pisał Napoleon III. nim został cesarzem.

Kto nie jest zdolny zdrady, ani podłości, ten nie przypuszczając jej w drugich, będzie ufał i zostanie oszukanym. Jest to smutne, ale tak niestety jest. Im mniej się ufa, tem mniej się traci.

Nieprzyjaciele nasi nigdy nas tak okrutnie nie zdradzali jak swoi; „on n'est trahi que par les siens“, mówi przysłowie francuskie.

Dziwna się u nas wyrobiła zasada walczenia z przeciwnikami politycznymi: zabić, albo przynajmniej spotwarzać, — co znaczy zabić moralnie. Zabić wszakże człowieka, czy to fizycznie

czy moralnie, jest złym sposobem walczenia przeciw zasadzie. Tylko ideą można tryumfować nad ideą; śmierć zadana człowiekowi wyznawającemu jakąś ideę, nie zabija tej idei.

Śmieszny to fanatyzm pokoju, który ogarnął terazniejszych mężów stanu. Byle tylko zabezpieczyć spokój, poświęcają honor narodu, interesa nawet materialne jego, a to wszystko nie skutkuje, ledwie zażegnali jedną chmurę, która groziła zakłóceniem spokoju, nadciągnęła inna i tak w nieskończoność. Pokój, moi panowie, to jak kredyt; nie kontentuje się hypotezą, lecz wymaga hypoteki, dajcie mu ją, a pokój będzie zabezpieczony; hypoteką zaś spokoju jest wolność i sprawiedliwość.

Nasi patryoci, (tak zwani przez siebie samych) czystej wody. boją się postępu bytu materialnego, jak dyabeł święconej wody, Powstają też z wrzaskiem przeciw wszystkiemu, co dąży do postępu materialnego w kraju utrzymując, że polepszenie bytu materialnego osłabiłoby ducha patryotycznego. Sancta simplicitas! Prawdziwy spiritualizm zależy na oswobodzeniu swego ciała od jarzma jego potrzeb, nie zaś na poddanie go pod brzemię nędzy; dostarczać ludziom sposobu mienia chleba, jest to dawać im możność myślenia i dziękowania Bogu.

Ciało w warunkach fizycznych tego życia jest tak ściśle połączone z rozumem, że usunąć z drogi ludzkości zapory, które tamują rozwój prawych postępów materialnych, jest to wyzwolić zarazem życie moralne i ułatwić wydoskonalenie onego. Prawda, że człowiek nie żyje tylko chlebem ale i duchem, lecz już z tych słów Chrystusowych wynika, że także i chleba potrzebuje do życia; powstawać więc przeciw postępowi materialnemu dla tego, aby ludzkość nie zapomniała o duchu Bożym, jest to jak Niemiec mówi: „das Kind mit dem Bade ausgiessen“.

**Marzec 1865.** Jednym, z dowodów, jak źle dotąd uprawiano umiejętność dziejów, jest to, że się znajdują ludzie wykształceni, którzy z śmieszną zarozumiałością twierdzą: „to my zrobili rewolucję“. Rewolucye są następującemi po sobie objawami sprawiedliwości w ludzkości, a każda rewolucya mając swój punkt wyjścia w poprzedzającej rewolucyi jest skutkiem

onejże, a nie dziełem pojedynczych ludzi. Właściwie więc nie można mówić o rewolucjach; rewolucja bowiem istnieje w historii nieustannie i jest tylko jedną nieustającą rewolucją, która postępek swój w ludzkości znaczy od czasu do czasu znaczniejszymi objawami, jakby drogowskazami na gościńcu, którym postępuje ludzkość.

Rewolucja więc, a postępek, to jedno i to samo; a gdy ludzkość tylko przez postępek zachowuje się, wynika ztąd, że rewolucja jest zachowawcza w prawdziwym słowa tego pojęciu. A przecież nikt się bardziej nie lęka rewolucyi jak konserwatyści, czyli ludzie zachowawczy. Nowy dowód, że nie mamy pojęcia o umiejętności dziejów.

11) 11) Rewolucja przed ośmnastu wiekami nazywała się Ewangelią. Jej dogmatem fundamentalnym była jedyność Boga, a hasłem równość wszystkich ludzi wobec Boga. W imię tego dogmatu i tego hasła, zniesiono od razu i bałwochwalstwo i niewolę. Pierwsi chrześcijanie byli rewolucjonistami, którzy słowem i męczeństwem podkopywali ówczesne prawa, ówczesne społeczeństwo. Czy dzisiaj może kto zaprzeczyć, że byli to ludzie postępu? Nie, a zastanowiwszy się trochę głębiej przyznać nawet musimy, że byli to ludzie zachowawczy. Politeizm ucywilizowawszy dzikich ludzi, zaprowadziwszy ich z lasów do miast, stał się przez swą zmysłowość pierwiastkiem zgnilizny i spodlenia. Ludzkość byłaby zginęła gdyby nie Chrystus, ten Zbawiciel i Odkupiciel świata. Tak więc owa wielka rewolucja, którą nazwałem Ewangelią, przeistoczyła, odnowiła ludzkość, a odnawiając zachowała ją.

11) 11) Lecz mimo, że rewolucja ta była nadnaturalną i duchową, przecież wyrażała ona tylko materialną stronę sprawiedliwości, uwolnienie ciała, zniesienie niewoli. Gruntując się bowiem na wierze, zostawiła ducha w niewoli; nie wystarczała więc do wyzwobodzenia człowieka składającego się z ciała i ducha i wymagała nowej rewolucyi. Jakoż tysiąc lat po przyjściu Chrystusa wszczął się w łonie religii, którą on ufundował, jakiś ruch niepojęty. Szkołarstwo opierając się na powadze kościoła i pisma, przygotowywało prawie bezwiednie drogę powadze rozumu. Około XVI wieku wybuchła rewolucja, która się nazwała filozofią; jej dogmatem była „wolność rozumu“, jej godłem zaś jako konieczne następstwo owej wolności „równość wszystkich“

wobec rozumu". Tym sposobem człowiek stał się wolnym w obydwóch swych pierwiastkach, w duszy i ciele. Któż zaprzeczy, że to był postęp? A że był zachowawczym dla ludzkości, łatwo pojąć. Gdy człowiek poznał Boga sercem, wiarą, musiał nadejść dlań czas poznania Boga rozumem, jeśli nie miał znikczemnieć w idiotyzmie, który jest koniecznym następstwem ślepej wiary. Tak więc Galileusz, Karteziusz, Luter i wszyscy ci myśliciele XV, XVI i XVII wieku, którzy przez reprezentantów Chrystusa uważani byli za rewolucjonistów, prowadząc dalej ruch przez Chrystusa rozpoczęty i jak on prześladowani i męczeni, byli rewolucjonistami, ale i zachowawcami ludzkości.

Takim był drugi wielki objaw sprawiedliwości w ludzkości. On także odmłodził, a więc zbawił ludzkość. Lecz i filozofia dodając swą zdobycz do zdobyczy Ewangelii nie wypełniła jeszcze programu wiecznej sprawiedliwości. Wolność wywołana przez Chrystusa z łona Bożego, była tylko indywidualną; trzeba ją było wyprowadzić na zewnątrz i z samowiedzą wprowadzić w prawodawstwo. Jakoż w środku ostatniego stulecia poczyniła się objaw trzeciej rewolucji, która była polityczną, gdy pierwsza była religijną, druga filozoficzną. Nazywała się ona „Umową społeczną“ (contract social). Dogmatem jej było wszechwładztwo ludu, (la souverainete du peuple) jako uzupełnienie dogmatu religijnego „jedności Boga“; godłem zaś rewolucji tej była równość wobec prawa, jako następstwo zapisanych już na chorągwi postępu ludzkości godłem: równość wobec Boga i równość wobec rozumu. Tym sposobem przy każdej z tych rewolucji wolność objawia się jako narzędzie sprawiedliwości, a równość jako znamie. Trzecim wyrazem jest braterstwo, ten cel sprawiedliwości do którego zdążała, do którego się ciągle zbliża. A zastanowienia godnym jest porządek tego rozwoju rewolucyjnego, jak gdyby sprawiedliwość mówiła do nas: „Ludzie! bądźcie wolni; obywatele! bądźcie równi; bracia! uściśnijcie się“. I jest że kto, coby śmiało zaprzeczyć, że ta wielka rewolucja francuska była postęphem? Pytam dalej: czy nie była zachowawczą? Społeczność na łasce wyuzdanego despotyzmu, ze szlachtą spodloną, z duchowieństwem zepsutem, z ludem w łachmanach czy mogła trwać dalej? Wątpię; rewolucja więc z roku 1789 była zbawieniem ludzkości, a tem samem zachowaniem onejże.

Lecz jeśli rewolucja z 1789 r. uczyniła dużo dla wolności i równości, to przyznać trzeba, że aczkolwiek w roku owym sprawiedliwość nie wyrzekła ostatniego słowa, droga do braterstwa już wybitnie wytkniętą została. Mimo wspomnianych tu zdobyczy owych trzech rewolucyi, zdobyczy w dziedzinie religii, filozofii i prawodawstwa, społeczeństwo znalazło się w zepsuciu i nędzy gorszej, niż za czasów feudalnych, — w ucisku cięższym, niż za czasów najstraszniejszego barbarzyństwa. Mimo religii, filozofii i konstytucyi, człowiek czuł się jakby wydziedziczonym przez naturę, jakby wygnańcem społeczeństwa ludzkiego; przy wszystkich owych zdobyczach mógł zginąć z głodu, bo nie miał prawa do pracy swej. I wybiła godzina rewolucyi z roku 1848, która się nazywa: „Prawo pracy“; jej chorągwią jest stowarzyszenie; jej godłem równość wobec mienia; droga zaś jej prowadzi do braterstwa. Tak więc rewolucja ta ostatnia jest ekonomiczną, uzupełniającą poprzednie.

4 Pod panowaniem Politeizmu powstała i zakorzeniła się niewola, na podstawie religii. Przyszedł Chrystus i obalił niewolę religią.

Chrześcianizm swoją drogą podbił rozum pod wiarę. Filozofia przywróciła ten porządek i podrządkowała wiarę rozumowi.

Feodalność w imię polityki zagarnęła wszystkich w poddaństwo, poddając wyrobnika mieszczaninowi, mieszczanina szlachcicowi, szlachcica królowi, króla kapłanowi, kapłana martwej literze. Również w imię polityki rok 1789 poddał wszystkich prawu, nie uznając między ludźmi tylko obywateli.

Dzisiaj praca jest na łasce kapitału. Rewolucja z 1848 zamierzyła wyrzucić ten porządek i podporządkować kapitał pod pracę, ile że słuszną jest, aby narzędzie służyło pracującemu, a nie pracujący narzędziu.

Że w tem wyłonieniu się zasad jest pewna prawidłowość, jest postęp, trudno zaprzeczyć. Nie ma nic przypadkowego, przeciwnie najściślejsza panuje loiczność. A gdy pod panowaniem kapitału człowiek musiałby stać się służalczem narzędziem i utracić znamię człowieczeństwa, wynika że wyswobodzenie pracy z pod kapitału jest zbawieniem, zachowaniem ludzkości.



Rozbitki szukamy przystani, łamiemy sobie głowę nad sposobami dostania się do portu zbawienia, — cóż więc dziwnego, że czasem fałszywą wybieramy drogę, nie właściwych chwytamy się środków? Taką fałszywą drogą dojścia do Polski, takim niewłaściwym środkiem odbudowania ojczyzny naszej, jest Słowiańszczyzna. Polska potrzebuje wyłącznej i zazdrosnej miłości, — potrzebuje całej energii umysłowej, całej jasności rozumu w synach swoich, dla ocalenia swego. Nie wypuszczajmy jej ani na chwilę z myśli i serc naszych, aby chwycić złudzenia. Złudzeniem zaś jest ten filozoficzny kamień Słowiańszczyzny, który niektóre umysły polskie zaprzętnął. Wołamy o narodowość, skarżym się na cudzoziemszczyznę, wyrzucamy sobie złudzenia dyplomatyczne, a cudzoziemszczyzną i dyplomacją Słowiańską chcielibyśmy się łątać!

Gdy w roku 1848 po wydanym przez sobór słowiański w Pradze, na który i Polacy wezwani byli, madjarożerczym manifeste, jeden z Madiarów nam przychylnych robił mi wyrzuty, że się na tym soborze Polacy sprzyniewierzyli odwiecznej przyjazni Madiarów, wykazałem mu, że manifest ów, wydany był przed przybyciem Polaków na sobór, i że po przyjeździe tychże i za ich wpływem nowy drukuje się manifest, wzywający także Madiarów na sobór, celem przyjacielskiego porozumienia się co do wspólnych potrzeb narodów Austryę składających. Uradowany tem madiar zaczął mnie ścisnąć, powtarzając: „Hab ich doch immer gesagt: Pole ist kein Slawe!“ Tak jest, my już nie jesteśmy Słowianami, jesteśmy tylko Polakami i jesteśmy ludźmi. Ze Słowiańszczyzną rozstaliśmy się, skorośmy się z niej wyłoniłi, w jedno osobne państwo wcielili i z innymi Słowianami wojować poczęli. Lud Polski nie rozumie już tego wyrazu: Słowianin. I historia i świat znają nas tylko pod nazwiskiem Polaków. Gdyśmy po nieszczęśliwych walkach czy to w roku 1831, czy 1863, szukali w Europie przytułku, otworem dla nas stawały obce kraje i serca obcych ludzi, dlatego: żeśmy przybywali z wysoko bijącym sercem polskim, bo zasługi Polski, były zasługą ludzkości. Nie nazywaliśmy się Słowianami: Mazur, Litwin, Ukraińiec, szedł przez Europę z wyniosłem czołem, znajdował spólczucie i przytułek w imię tego znanego, historycznego, czarownego imienia: Polak.

Upadliśmy. - Sami przyznajem się do win naszych. Do odrodzenia się potrzebujem oświecać się i poprawiać. Zaczęliśmy już tą wielką robotę jeszcze przed upadkiem życia politycznego. Droga ta i teraz nam otwarta. Oświecenie umysłu, podniesienie ducha, uzacnienie serca, to nasze powołanie; w niem nasze zbawienie. Co w tej duchowej, żywotnej sprawie Słowiańczyzna nam pomoże? Nie! Bez chętności można przyznać sobie, że oświeceniem, rycerstwem, literaturą, patryotyzmem, historią a zatem Duchem, wszystkie inne pobratymcze plemiona przechodzim, więc u Słowiańczyzny żebrać natchnienia nie potrzebujem. Słowiańczyzna wtenczas tylko ma jasne i osobne znaczenie, gdy przez nią będziemy rozumieć starożytności słowiańskie. Zaczny to przedmiot dla erudycyi, ale dla polityki żaden. Szacowna to zaiste rodowa mumia, ale nie źródło życia, bo niepodobna spodziewać się tchnienia u trupa.

Jeśli jak utrzymują, nie każda prawda może być powiedziana, pytam się: dlaczego każde kłamstwo może być powtarzanem?

To co nazywamy śmiercią narodu, nie rozstrzyga się na polu bitew. Śmierć narodu zachodzi, gdy się rozprzegają moralne węzły, którymi wyobrażenia indywidualne w jedną całość, w jedną się myśl kojarzą na utrzymanie postaci, na ogrzewanie ducha i życia społeczności. Obojętność na sprawę publiczną, egoizm interesu i egoizm opinii, zatarasowanie się w domu lub budowanie wieży babilońskiej, rezygnacya na wstyd i hańbę, — oto są symptomata śmierci narodów. Nie na polach to Filipijskich, nie pod Cheroneą, rozwiązały się losy Grecyi i Rzymu. Duch Grecyi i Rzymu już tam nie był. Geniusz Demostenesa nie rozognił strawionych i ostygłych demokracji greckich; a cnoty republikańskie Brutusa w jego tylko jednym sercu gorzały. Upadłe te sprawy nopróżno chciano odżywić morderstwem. Na opuszczonych ołtarzach minionych i rozprzężonych wyobrażeń, ani krew Cesara, ani Filipa nie odżywiły wiary. Mieliśmy i my na polach Maciejowic, wyroczny plac boju. Ale geniusz Kościuszki nie występował tam samotny. Pękły tam nasze ówczesne siły; ale cały naród został w odwodzie; został w całej sile odrodzo-

nego życia. Kiedy prowincye po prowincyach gwałt zabierał, kiedy nie było czasu ni sposobu ratowania ziemi, naród polski ratował i uratował duszę... A po tem:

<i>...Freedom's battle once begun</i>	Walka o wolność się rozpoczyna
<i>Bequeath'd by bleeding sive to son,</i>	Z ojca krwią spada dziedzictwem na syna;
<i>Though beffled oft is ever won.</i>	Sto razy wrogów zachwiana potęgą
<i>Byron.</i>	Skończy zwycięstwem.

Pewne stronnictwo, powiedziałbym pewna sekta, nie może darować Galicyi, że dążyła podczas ostatniego powstania, do utworzenia mocnego i widocznego rządu narodowego, a bezmyślni jak to u nas zawsze się dzieje, powtarzają pacierz za panią matką. A przecież tu szło o prowadzenie wojny, nikt zaś nie zaprzeczy, że pomyślność wojny od dobrego i mocnego rządu zależy; od niego jedność ducha, od niego jędrność komendy, od niego nawet utrzymanie entuzjazmu zawisło. A można się było tego wszystkiego spodziewać od rządu niewidomego, a co chwila zmieniającego się w swym składzie. Zresztą sprawa nasza wzbudzała sympatyę narodów; lecz narody przez rządy tylko swoje wchodzą w związki wzajemne i działają; rządy zaś tylko z tym kto ma siłę i trwałość rade obcuja.

U nas, jak niegdyś u Greków, — zaprowadzono ostracyzm na wszystkich, którzy się czy to cnotą, czy zdolnościami nad gmin wynoszą. Chwalić zasługi, cnoty lub zdolności współobywatela, uważanem jest za brak patriotyzmu, obrzucanie zaś błotem wszystkiego co zajaśniało, ściąganie w kałużę wszystkiego, co się nad poziom wydobyło, to uchodzi za dowód radykalizmu liberalnego. I cóż nastąpiło u Greków? Oto nikt nie chciał być cnotliwym, a naród znikczemniawszy poszedł w poddaństwo rzymskie... Wielbić cnoty obywatela, jest to podnosić ducha, zachęcać innych do naśladowania, bać się głośno je wyznawać jest krzywdą publicznej rzeczy, która utrzymuje się cnotami szczególnych osób.

Między przewodzcami ostatniego ruchu można było zauważyć pewną wyłączność, pewien że tak rzeknę egoizm opinii,

który do tego posuwał się stopnia, iż nie tylko nie używano do żadnych czynności osób choćby najzdolniejszych, jeśli osoby te nie wchodziły w pierwiastkowy skład organizacyi tego ruchu, ale nawet zabraniano takim osobom służyć sprawie w ogólności, a co więcej grożono, że organizacya nie przyjmie nawet broni lub innych przyborów wojennych, jeśli będą dostarczane przez kogo innego, niż ustanowione przez tę organizację organa. Kilkakrotnie komisarze pełnomocni przez Rząd Narodowy do Galicyi wysłani, zabraniali obywatelom tutejszym, trudniącym się zbieraniem pieniędzy i przysposobieniem przyborów wojennych, aby się nie ważyli tego robić, gdyż Rząd Narod. swoich do tego ludzi powyznaczał, a gdy przedkładano, że wyznaczeni ci przez rząd ludzie, nie będąc znani w kraju, lub nie posiadając zaufania współobywateli, nie potrafią skutecznie działać, odezwał się p. Sokołowski kom. pełn. R. N., iż rząd woli nie mieć żadnej pomocy z Galicyi, niż ją mieć od osób, które przezeń nie były ad hoc mianowane. Inny znów komisarz p. Majkowski, gdy przy podobnej rozprawie zauważono, że przecież każdemu Polakowi wolno służyć sprawie narodowej i że p. komisarz nie może zabronić, by owi obywatele, jako ludzie prywatni zbierali broń i inne przybory i takowe do obozów dostawiali, odrzekł stanowczo i bez namysłu, że wyda rozkaz do dowódców oddziałów, aby nie ważyli się ani broni, ani koni, ani przyborów wojennych od owych obywateli przyjmować. Dowódczy byli lepszymi patriotami i przyjmowali od owych obywateli i broń i inne przybory, zwłaszcza że prócz tych obywateli nikt im niczego nie dostawiał; ale zawsze ów egoizm opinii komisarzy Rządu Narodowego paraliżował nie jeden krok owych obywateli i zatykał nie jedno źródło, z którego mogła być czerpaną pomoc dla sprawy narod., albowiem mniej chętni zawezwani przez owych obywateli zastawiali się zakazem komisarza rządowego.

Krzywdy nam zadane przez naszych ciemiężców są tak zuchwalem pogwałceniem wszelkich boskich i ludzkich praw, że każdy dla nas oręż świętym być powinien, który skruszyć ich potęgę jest zdolnym. Byłby ten prawdziwym zdrajcą ojczyzny, któryby nie chciał i przeszkadzał, aby ręka mu niemiła zdejmowała z niej kajdany. Cóż powiedzieć o kierownikach powstania, którzy nie chcą przyjąć broni do skruszenia tych kajdan, od sy-

nów tejże ojczyzny, tylko dla tego, że nie należeli do tajemnej organizacyi, która przygotowywała powstanie, lub nie potrafili ślepem dla komisarzy posłuszeństwem zasłużyć sobie u nich na przydomek: „to nasz“?

Celem naszym niepodległość Polski. Szkodzi temu celowi i zdradza sprawę, kto jeden tylko jakiś ulubiony środek, z po-  
tępieniem innych obiera do tego.

Naszą wskazówką w postępowaniu ma być nie namiętność partyi zagranicznych, lecz interes Polski. Lepiej cierpieć czas jakiś, niż niecierpliwością sprawę szkodzić.

Przyszłej formie politycznej dajmy teraz spokój. Ożyjmy pierwszej, a życie dobierze sobie do miary formę.

Fanfaronada u bezsilnych, śmieszny; ciągłe jeremiady znu-  
dzą, zarozumiałość tym, którym się nie udało, nie przystoi. Bę-  
dąc powaleni, lecz z nadzieją w sercu, powinniśmy przemawiać  
nie głosem grobowym, lecz głosem zmartwychwstania.

Nieszczęście nasze jest ciężkie; lecz na tej głębokiej nocy  
iskrzą się niezgasłe ognie świt rokujące. Nadzieja niepotłumiona,  
świętość praw naszych, niecierpliwość mężka, śmiałość i siła  
prawdy, gotowa na ofiary i ufność w siebie samych. Te cnoty  
mogą nas zbawić, pielęgnujmyż je wszystkimi sposobami.

Siła obudzona zewnętrzną przyczyną, martwa jest i ślepa;  
wtenczas tylko działa ciągle i skutecznie, gdy ją ożywia wew-  
nętrzne natchnienie, wyobrażenie potrzeby i celu.

Lud jest siłą narodu. Ludy ciemne, równie służą wszelkiem  
władzom, tak wolności jak despotyzmu. Popęd ich działania jest  
zewnątrz ich, — nie wiedzą co czynią — idą, gdzie im każą.  
Lud oświecony inaczej słucha nakazu Pana, inaczej głosu wol-  
ności. Siła ludowa wtenczas jedynie staje się bezpieczną twierdzą  
swobód, gdy będąc siłą, jest razem siłą, która myśli, sądzi  
i chce.

Zapał przewycięża największe przeszkody; lecz zapał może  
zawieść i do zguby, a będąc dziełem chwili, nie trwa długo,  
lecz jak szybko powstał, szybko mija. Oświecenie jest dziełem  
czasu, jest późnym owocem; lecz źródło jego raz otwarte, bić  
nie przestaje, a nawet zatamowane wyprze zapory.

Włościanie nasi opóźnieni są w oświeceniu, a rządy teraźniejsze obce nie skoro biorą się do uprawy pola, które odłogiem zapuściły rządy swojskie. Lecz do oświecenia ludu liczne są i rozmaite drogi, najczęściej bezpośredniego wpływu rządu niepotrzebujące. Wolność druku, wolność opinii, ożywiona i w ruch wszystko puszczająca, szerząc się po narodzie, przejdzie niedojrzanymi kanałami, przesiąknie i ożywi najgrubsze warstwy. Pleban sam oświeceński i czujniejszy, inaczej zacznie nauczać; większy właściciel, sam swobodniejszy, stanie się troskliwszym o oświatę tych, którzy niegdyś jego byli poddanymi. Jednym z głównych środków szerzenia oświaty między ludem, byłoby wydawanie gazety dla ludu. Książki pisane dla ludu, chwalebna są rzeczą i pożyteczną, ale książka potrzebuje najprzód, żeby ją umieć czytać; potrzebuje zachodu, czasu, a przytem wszystkim nie zawsze trafia do celu, boć to nie tak łatwo napisać książkę dla ludu. Tymczasem świstek gazety, przynoszący nowiny, — pociągnie ku sobie i nieumiejących czytać, — czytelnik znajdzie się w każdej wiosce, — krótkość zaś nie zmęczy uwagi. Rzecz słyszana, stanie się powodem rozpraw słuchaczy; jakieś ziarno rozmysłu, jakiś zaród ducha obywatelskiego ukazywać się zacznie. Niech zniknie, ukaże się za nowym świstkiem gazety — i kamień nie zostanie bez znaku od czystej kropli. Lud czeski gazetami się oświecił i stanął dziś pod wielu względami wyżej niż którykolwiek lud w Austrii. Wyobrażenia ojczyzny, narodowości, cnót domowych i obywatelskich, — uszanowanie religii prawa, własności, powinny ożywiać i przenikać ducha tej gazety; wskazówki zaś tego, co się w kraju dzieje i do pojęcia ludu trafiające wiadomości ekonomiczne, przemysłowe i handlowe, powinny pociągać do siebie ciekawość ludu. Gazeta taka wychodząca raz na tydzień, pisana sposobem najprostszym, tak co do stylu, jak co do wykładu, pod kierownictwem człowieka dokładnie obeznanego z życiem ludu naszego i z gospodarstwem wiejskim, nie kosztowałaby wiele, a przyniosłaby więcej korzyści niż daleko kosztowniejsze i trudniejsze wydawnictwo książek ludowych.

Dlaczego się rząd musi rachować z Madiarami, a o nas, chociaż równi niemal liczbą, a oświatą może wyżsi jesteśmy, nie

dba? Oto dlatego, że szlachta, nie umiejąca być ani polityczną, ani liberalną, została obcą rządowi i ludowi. Lud więc pozbawiony poparcia ze strony szlachty na drodze do wolności, rzucił się w objęcie rządu, by tę wolność uzyskać. Rząd zaś nie mogąc się oprzeć o szlachtę, pochwyił skrzętnie za alians z ludem, i wsparty nim jest absolutnym, a przecież popularnym.

Ze wszystkich mądrości potrzebnych ludom wolnym, najtrudniejszą jest umieć znosić to, co się nie podoba, by zachować dobro, które się posiada i osiągnąć to, czego się pragnie.

Wyjąwszy pod despotyzmem skazującym wszystkich na milczenie i pozbawiającym człowieka wszelkiej samodzielności, spiskowanie nie da się usprawiedliwić. Bo czy jest coś mniej liberalnego jak towarzystwa tajemne? jak zasady, które zwykle zaszczeplają? jak sposoby działania, które na swych członków wkładają? Wolność żyje światłem, otwartością, — dyskusją. Wolność wymaga, by systemy, zamiary i stronnictwa sobie przeciwne objawiały się i walczyły otwarcie, pod okiem publiczności, która tym sposobem poznaje je i sądzi. Przeciwnie towarzystwa tajemne skazują swych członków na odosobnienie, milczenie, postępowanie skryte, ukrywanie namiętności, ślepe posłuszeństwo. Publiczność ich nie zna, oni nie znają swych przeciwników, ledwie się znają między sobą. Wszystkie zwyczaje, wszystkie praktyki wolności są im obce; są to dobrowolni niewolnicy zostający w służbie koterijnej. Położenie tem bardziej godne pożałowania, że nie zbywa mu na pociągu: ludzie kochają się w tajemniczości, w planach ukrytych, nieokreślonych niebezpieczeństwach, a nadewszystko w tej ważności, jaką się zwykle ludzą spiskowi. Że towarzystwa takie tworzą się pod rządem despotycznym, tyrańskim, da się to, jak powiedziałem, pojąć, a nawet wytlómaczyć, lecz co ma znaczyć spisek pod rządem, który zezwala na wolność druku i wolność słowa, pod którym wszyscy obywatele z niewielkiem wysileniem i niewielkiem ryzykiem mogą celem poparcia swej sprawy działać i mówić w biały dzień? Spisek w takim składzie rzeczy jest albo dziecinny nonsensem, albo robotą namiętności, do których spiskujący nie chcą się przyznać, psującą sąd i charakter adeptów i niepokojącą społeczność, której spiskujący mo-

gliby służyć, gdyby otwarcie używali wolności, jaką się cieszy społeczność.

W takich stosunkach, wszelkiego rodzaju konspiracje, spiski, organizacje tajemne są rakiem, który rozciąga na pruchno społeczność i sprowadza jej zgniliznę. — Za nim się więc wyda wyrok potępienia na nasze spiski i tajemne organizacje, należy zastanowić się nad stosunkami, w jakie wszedł naród nasz z rządami, które go rozszarpały i nad położeniem naszym, które było prostem tylko następstwem politycznej zagłady Polski jako państwa.

Podział Polski, dokonany podstępem i gwałtem, postawił jej mieszkańców w stosunku nieprzyjnym do każdego z rządów rozbiorowych. Gdyby Polska była takim państwem, jak Austria lub Prusy, wypełniającem jedynie sobą pewną przestrzeń ziemi, bez spójności narodowej mieszkańców, którzy z nią i w niej się nie wykształcili na podstawie samoistnie rozwijanych zasad społecznych w organiczną całość, — rozszarpanie jej dzierżaw byłoby niewątpliwie sprowadziło zupełną jej zagładę, ile, że części jej rozerwane, nie mających wewnętrznych z sobą łączników, byłyby się zrosły z nowymi organizmami, w które je wcielono. Lecz Polska była Rzeczpospolitą narodową, a zatem organizmem jednolitym, w którego każdym członku, w każdej części tętniło to samo życie, które się w całości jego od wieków samoistnie wyrobiło. Rozszarpanie więc mechaniczne takiego organizmu nie mogło żadną miarą zniszczyć łączników, które duchowo pojedyncze części jego sprzęgały z całością, ani też zatamować owego życia, które w każdej tkwiło części i w niej się w taki sam objawiało sposób, jak w całym organizmie, które rzeczby można, tkwiło w każdej z osobna piersi, tętniło w każdym indywiduum tej społeczności, w której indywidualizm miał wielkie prawne, a nawet społeczne znaczenie, tak, że każdemu obywatelowi marzyło się w głowie: „Polska, to ja“. Rozkawałkowana, a żyjąca w swych częściach społeczność znalazła się nagle w najokropniejszym położeniu. Nie mogła żyć życiem organizmów państwowych, w które jej części mechanicznie wcielono, gdyż miała swe własne odrębno indywidualne życie, a życiu temu odrębnemu funkcjonować nie dozwalały państwa rozbiorcze, używając owszem najgwałtowniejszych środków, aby ją do wejścia w wa-



runki ich własnego życia zniewolić. Tym sposobem zmuszono polską społeczność do najrozpaczliwszych wysiłków, aby wyjść z położenia, które tamując jej życie, odejmowało wszelką możliwość wkroczenia na drogę dalszego rozwoju i postępu. Wywiązała się ztąd walka, która dotąd trwać będzie, dokąd albo Polska nie pozbędzie się najezdników, albo złamana zupełnie na duchu nie zleje się z nimi w jedno ciało społeczne. Pierwsze nie udało się wprawdzie dotąd, lecz ciągłe ponawianie się wysiłków w tym kierunku jest właśnie rękojmnią, że drugie nigdy nie nastąpi.

Postawiona w takich warunkach Polska, musiała skupić całą swą siłę żywotną w wewnętrznej pracy odrodzenia. Lecz w chwili utraty niepodległości upadliśmy byli niestety bardzo nisko tak moralnie, jak i intelektualnie. Część społeczeństwa zgangrenowana zepsuciem, posuwała każdą niecnotę do bezwstydного cynizmu. Ogół szlachty kochał wprawdzie ojczyznę, lecz ciemny i pograżony w przesądach kastowych nie chciał wierzyć, że instytucja szlachecka zużyła się już najzupełniej. Miasta nie wytworzyły jeszcze były żywiołu, któryby inteligencją swą mógł zaważyć na szali spraw publicznych. Lud zaś poniżony poddaństwem był pograżony w strasznej nędzy umysłowej i materialnej, z której go ustawa 3 Maja 1791 i rozporządzenie Kościuski z r. 1794 zaledwie wydzwignąć usiłowały. Niestety tak wielkie jakim jest utrata niepodległości, zatrzęsało całym narodem i ocknęło w nim od razu wszystkie dobre instynkta. Rozbierając przyczyny swego upadku, poznał swe wady, uprzedzenia i przesady, poznał że trzeba się garnąć do pracy, by spotężniawszy wewnątrz, odzyskać wydartą sobie niepodległość. Zaczęto tedy chcąc urzeczywistnić myśl Czackiego, który zamierzał światłem i nauką polską zwyciężyć Moskwę, zakładać w kraju towarzystwo przyjaciół nauk, tworzyć szkoły, skupiać się około wszechnicy wileńskiej i akademii krzemienieckiej, wzięto się, że tak rzeknę, do pracy organicznej, mającej przygotować materiał do odbudowania Polski. Tymczasem drudzy niecierpliwi, obrali sobie drogę czynów, a nie mogąc w braku sił rozpocząć walki wprost z wrogami swej ojczyzny, stanęli pod sztandarem Francji, która z tymi właśnie wrogami kolejno krwawe zwodziła zapasy.

Tak więc w pierwszych zaraz chwilach po ustaniu niepodległości naszej, widzimy usiłowania narodu w dwu głównych zadaniach zestrzelone, t. j. nie dać się spożyć przez wynarodowienie, a przytem wytważać siły do zrzucenia obcego jarzma. Doznane zawody nie zbijały narodu ani na chwilę z tego toru, a im mniej można było jawnie dla sprawy narodowej pracować, tem więcej wysilano się tajemnie. Życie narodu stało się nieustannem konspirowaniem przeciw trzem rządóm, które Polskę rozszarpały, gdy bowiem wszystkie wysilenia narodu miały za cel ostateczny: niepodległość Polski, — więc i przy takich nawet pracach, które ustawy rządów zaborczych dozwalały, cel ich ostateczny tajonym być musiał.

Wśród tych usiłowań potężniał coraz bardziej duch narodowy, czem przerażone rządy rozbiorcze zaczęły coraz sroższych używać środków represyjnych, by ducha tego zwątlić i stłumić. Szczególnie po upadku powstania z r. 1831 doprowadzono ów system represyjny do najwyższego stopnia: każdy środek najohydniejszy, jak rozmyślnie demoralizowanie młodzieży, jątrzenie ludu wiejskiego przeciw dworóm zapomocą zaszczipionych teorii komunistycznych — był im dobry, byle wiódł do celu jaki sobie założyli. W tych to czasach, tak niebezpiecznych dla sprawy narodowej, zaczęły się wytważać konspiracye w ścisłem słowa tego znaczeniu, czyli tak zwane spiski i towarzystwa tajemne.

Był to tylko objaw żywotności narodu, który zagrożony w swem jestestwie, a przytem instyktowo czujący, że jednostkami nie potrafi odeprzeć natarczywości wroga, zaczął się skupiać w większe grupy, przedstawiające w zbiorowości swej siłę trudniejszą do złamania. I teraz spostrzegamy, jak dawniej dwojaki niejako charakter w działających: konserwatywno-odporny i postępowo — zaczepny.

Konserwatyzm wszakże i postępowość u nas ma inne niż na zachodzie znaczenie i dowodzi niedowarzonego żakostwa, kto papląc pacierz za panią matką naszą emigracją, zachodniemi ideami przesiątkłą, rzuca kamieniem na wszystko, co u nas trąci konserwatyzmem, lub kosmopolityczno-socyalistyczne teorye chrzci nazwą postępowości. Nasz bowiem konserwatyzm jest wysileniem się, by odpierać wszelkie zachcianki wrogie wynarodowienia nas; wysileniem, by przechować ideę naszej narodo-

wości z zasadami społecznymi jakie wydała, w zastosowaniu do dzisiejszych potrzeb i wymagań ducha czasu, — czem przechodzi w postępowość, która w znaczeniu narodowym jest zastosowaniem wynikłych z naszej idei narodowej zasad społecznych do wszystkich bez wyjątku mieszkańców, aby przez współdziałanie ogółu mieszkańców wywalczyć niepodległość narodową. Oba te odcienia występowały zawsze współcześnie, lecz uwydatniły się najwybitniej podczas ostatnich wypadków w stronnictwie pracy organicznej i w stronnictwie ruchu, z których pierwsze złożone z ludzi wytrawniejszych, chciało na drodze spokojnego a stopniowego rozwoju we wszystkich kierunkach, przysposobić społeczność do niepodległości, podczas gdy drugie składające się z młodych a niecierpliwych elementów, chciało ją odrodzić przez bezwzględne wywalczenie niepodległości.

Były wprawdzie spiski, nawet w ścisłej sfera znaczeniu, zaraz niemal po utracie niepodległości, a w epoce królestwa kongresowego wzmagaly się nawet do wielkiej rozciągłości lecz miały one charakter czysto polityczny, i dopiero po upadku powstania 1831 przybrały charakter zarazem społeczny, ponieważ dążyły nie do samego tylko odbudowania ojczyzny niepodległej, ale równocześnie i do jej odrodzenia społecznego, dlatego te ostatnie nie równie wyższe mają narodowe znaczenie niż tamte. Na zwrot ten wpłynęły dwie głównie okoliczności.

Pierwszą z nich było przekonanie wysnute z świeżego upadku powstania r. 1831, że siłami jednego stanu, jednej klasy uprzywilejowanej niepodobna odbudować ojczyzny, że zatem trzeba przez zniesienie różnic stanowych i równouprawnienie obywatelskie zainteresować wszystkich mieszkańców Polski, do wspólnego udziału w sprawie jej wyswobodzenia. Druga wynikała ze środków represyjnych i demoralizacyjnych, jakich wrogi rząd używały, a przeciw którym chciano oddziaływać podnoszeniem ducha i moralności w całej społeczności narodowej. Główna inicjatywa w tym kierunku wyszła od emigracji, środki zaś, których używać postanowiono było następujące: zamierzono upowszechnić miłość ojczyzny, uczucia narodowe, przytem oświatę między wszystkimi warstwami społecznymi; chciano przez wprowadzenie w życie równouprawnienia obywatelskiego rozszerzać podstawę narodową; zamysłano wdrażać wolność su-

mienia, zniesienie przywilejów kastowych, przywrócenie ludowi wiejskiemu praw obywatelskich, uznanie wyższości zasługi osobistej nad rodowością i t. p., czyli jednym słowem postanowiono przez odrodzenie społeczne dążyć do niepodległości. Stosownie do założenia tego, obowiązki spiskowych dzieliły się na prywatne i publiczne, czyli właściwie spiskowe.

Co do pierwszych winien był każdy spiskowy przestrzegać czystości obyczajów, zachowywać się w każdym względzie uczciwie, pracować szczerze i sumiennie nad własnym ukształceniem, unikać wszystkiego co cześć i dobre imię plami, winien był przytem ograniczać się w swych potrzebach, strzedz się zbytków i wszelkiej rozpusty, pełnić uczciwie i sumiennie obowiązki swego stanu i powołania, wytepiać w sobie szkodliwe nałogi i namiętności, być dobrym ojcem, mężem, synem a wogóle wzorowym członkiem rodziny, jednym słowem: doskonalić się ile możności pod względem moralnym i intelektualnym. Obowiązki spiskowe wymagały od niego pracy ciągłej wedle programu związku: winien był wpływać na podniesienie moralności i szlachetności drugich, upowszechniać miłość ojczyzny i poczucie narodowe wraz z zasadami społecznymi postawionymi w programie związkowym; był obowiązany do posłuszeństwa bezwarunkowego względem władzy związkowej, do oświecenia jej we wszystkim co sprawy dotyczy, a oraz wywiadywania się i donoszenia o grożących związkowi niebezpieczeństwach; miał święcie przestrzegać tajemnicy, czy to ogólnej związku, czy też szczególnie mu powierzonej, a obowiązany moralnie i materyalnie wspierać wszelkie usiłowania związku, miał być w ciągłej gotowości poświęcenia mienia, krwi i życia na rzecz sprawy narodowej, gdy zaś nadeszła tego potrzeba, nie wolno mu było cofnąć się przed żadnym niebezpieczeństwem osobistym. Z tego wynika, że do związku przyjmowano tylko ludzi poprzednio wypróbowanych, tylko takich, na których nie ciążył żaden brud prywatny lub publiczny, a którzy w swej prawości i gorącej miłości ojczyzny dawali wszelką rękojmię, że nie zawiodą zaufania współpracowników wybierano więc to wszystko, co było najpocziwszego, najszlachetniejszego, a przytem najgorętszego w narodzie.

Związki owe były to więc bractwa pracujące na polu sprawy narodowej; a gdy ich hasłem było bezwarunkowe poświęcenie

się dla ojczyzny, dla dobra powszechnego, bez wszelkich osobistych widoków, wpłynęły one silnie na podniesienie moralności i miłości ojczyzny. Spiski te jako takie, nie były wolne od zarzutów, jakie się zwykle czyni konspiracyom, wszelako zaprzeczyć się nie da, że program o ile możności starał się zapobiedz szkodliwem następstwom wynikającym z wyjątkowości położenia naszego. Wiem z doświadczenia własnego, bo od 1835 roku należałem do „Stowarzyszenia ludu polskiego“, że młodzież należąca do spisku celowała w naukach, że prace związkowe nie odrywały ją od pełnienia obowiązków prywatnych, że nie grzeszyła ani zarozumiałością, ani niesfornością, ani lekceważeniem starszych, jak tego mielibyśmy niestety przykłady na spiskowcach „z organizacji ruchu“ warszawskiej. Pewną jest nie mniej, że wszyscy niemal ludzie w Polsce, którzy własną pracą i zasługą wzniesli się nad poziom i czy to w piśmiennictwie narodowem, czy w społeczeństwie, znakomite zajęli stanowisko, wyszli właśnie z owych związków; a co więcej, że ludzie z nich wyszli zachowali prawie bezwyjątkowo nieskalane niczem imię i charakter.

Konspiracya ta wytworzywszy ze skupionych jednostek, z których każda osobno wzięta, choćby najdoskonalsza, była bezsilną przeciw godzącym na wiadomość naszą wrogom, — potęgą zbiorową stanęła silnym zastępem do walki z wrogimi rządami, w obronie wszystkiego, co przez wrogów było zagrożonem. Targając nieustannie sumieniem publicznem, nie dozwalała mu spocząć w objęciu nieprzyjaciół sprawy narodowej; wydobywając z minionej przeszłości wielkie i świetne postacie, stawiała je jako rzeczy do naśladowania w miłości ojczyzny i gotowości poświęcenia; ona to zmuszając członków swych do czystości obyczajów, uchroniła naród od zgnilizny moralnej; ona to wyrobiła powoli ową opinię publiczną, która z czasem do tak wielkiej doszła potęgi; nareszcie sięgając swem rozgałęzieniem we wszelkie zakątki kraju i pomiędzy wszystkie warstwy społeczne, obudziła wszędzie ducha obywatelskiego i nie dała zagać tradycyjnej miłości ojczyzny.

Tak więc konspiracya owa przechowując, utrzymując i rozwijając tradycye narodowe, spowodowała naród do wkroczenia na drogę pracy, jest więc matką tak zwanych prac organicznych, a co więcej sprowadziła naród na drogę postępu. Mimo działalności poprzedniej uniwersytetów wileńskiego, warszawskiego,

od 1835 roku  
związki

tudzież liceum krzemienieckiego, mimo spisków między r. 1815 a 1830 istniejących, byliśmy aż do r. 1831 zawsze jeszcze narodem szlacheckim; wartość i zasługa osobista były nader mało uwzględniane, a w ocenianiu człowieka zawsze prawie stało na pierwszym miejscu: kto go rodzi? Na ludność miejską jako oddającą się przemysłowi, patrzano z lekceważeniem; żyd istniał na to, aby nim gardzić; chłop zaś żył na to, aby było komu odrabiać pańszczyznę i brać baty. Otóż przeciw temu wszystkiemu oświadczyła się konspiracja narodowa po r. 1831. Ona pierwsza postawiła u nas na programie prawa człowieka w społeczeństwie, zaczęła rozpowszechniać przekonanie, że każdy człowiek bez względu na różnicę wiary, stanu i zatrudnienia jest obywatelem kraju, ona oświadczyła się za usamowolnieniem ludu wiejskiego, słowem ona wdrażała u nas zasady prawdziwego demokratyzmu.

Przeprowadziła też niejedno, a śmiało można twierdzić, że wszystko niemal co się w tej mierze stało, jej jest dziełem, bo ona działając nieustannie w tym duchu i kierunku, wytworzyła powoli opinią publiczną i przywiodła następnie społeczność naszą do jednego z sobą mianownika.

Wszystkie urządzenia, kształty i objawy życia, które społeczność w pewnych położeniach wytwarza, funkcjonują do czasu, a skoro dokonały swego, w ich miejsce powstają inne, nowemu położeniu odpowiedniejsze. Taką instytucją przechodową były owe spiski. Mając naturę fermentu pobudzającego naród do życia, straciły punkt oparcia, a nawet warunki bytu, gdy to życie już o tyle wzmogło się na siłach, że dalej samo przez się rozwijać się mogło. Nie dla tego więc ustały u nas spiski po r. 1848, jakoby społeczność po klęsce r. 1846 i zawodach r. 1848 odetchnąć chciała, lecz dla tego, że niektóre cele spisku zostały osiągnięte, a wogóle w narodzie tyle zanieciło się życia, iż było wstanie bez używania ciągłego fermentu rozwijać się dalej. Nastąpiła więc cisza, jakby chwila rozmyśłu: jakie obrać teraz środki, jaką iść drogą? Nie była to wszakże apatya, nie był brak żywotności, chociaż nawet wojna krymska nie zdołała rozbudzić nas do żywszego ruchu; było to zasklepienie się, że tak powiem ducha narodowego przejściowe, z którego wkrótce miał wyjść na jaw w całej potędze i różnaitości życia, ogarniającego cały prawie ogół mieszkańców.

Pierwszy niejako popęd do ocknienia się narodu daje wstąpienie na tron Aleksandra II., a ocknienie to charakteryzują dwa objawy: wstręt do spiskowania w ścisłym znaczeniu tego wyrazu, a obok tego żądze rozwijania się na podstawie narodowej. Objawy te były wynikiem poczucia w sobie siły i zmęczenia, które nie potrzebowały już pomocniczej instytucji spisków, ale mogły bez nich stanąć do walki z obczyzną na wszystkich stanowiskach społeczno-narodowych, do walki nie orężnej, lecz duchowej zdobywającej narodowi samoistność we wszystkich kierunkach dzisiejszych dążeń cywilizacyjnych. Tem się tłumaczy ów prąd nieprzeparty, ogarniający wszystko i splątający jednostki w większe i mniejsze grona na polu najrozmaitszych prac organicznych. Naród zaprzął się do pracy zbiorowej usiłując w warunkach najniekorzystniejszych przeprowadzić dokonanie odrodzenia swego, nie tylko na podstawie narodowości własnej, ale oraz w myśl dzisiejszego ducha czasu, postępu i cywilizacji. Od r. 1856 zaczyna się w Kongresówce pojawiać silne i różnokierunkowe krzątanie się na tak zwanem polu legalnem, lecz w celach wybitnie narodowych; widać zaraz w początkach stanowczą wolę korzystania z każdej sposobności, aby podnosząc materyalny dobrobyt kraju, postawić go ile możności w warunkach kraju cywilizowanego, a oraz przysposobić materyały, których wymagało przyszłe odbudowanie ojczyzny. Że zaczęto od starania o podniesienie dobrobytu materyalnego, nie może nikogo dziwić, kto się choć trochę zastanowił nad tem, jak dalece środki materyalne oddziałują na narodowość i jak niezbędnem do upomnienia się o prawo do bytu niezależnego jest spotężnienie materyalne narodu.

W kraju przeważnie rolniczym musiano rozpocząć robotę od podniesienia rolnictwa. Towarzystwo kredytowe zamierzyło więc działalność swą rozciągnąć na mniejszych właścicieli ziemskich, następnie na miasto, a w końcu na włościan, o ileby stopniowe uwłaszczenie mogło dawać hypoteczne zapewnienie. Równie sprężycie rozwija swe czynności Towarzystwo rolnicze, a to nie tylko w kierunku podniesienia wszystkich gałęzi rolnictwa krajowego, ale oraz podźwignienia pod każdym względem ludu wiejskiego, jego uobyczenia i oświaty, do czego miało prowadzić popieranie przez Tow. rol. usamowolnienie włościan.

Ustalone przekonanie, że w zbiorowości jedynie jest siła, obudziło w społeczności ducha asocjacyi i tak powstały znane spółki handlowe i komisowe, które pierwotnie czysto ziemiańskie i w celach specjalnych zakładane, przybrały później znaczenie daleko donioślejsze i stały się tem, czem u nas każda narodowa instytucja stać się musi: środkiem popierającym sprawę narodową; z samej bowiem natury rzeczy musiały one zbliżyć ziemian do mieszczan i żydów, a tem samem uścielić drogę do zdemokratyzowania w praktyce społeczeństwa naszego i do skonstatowania czynem wolności sumienia. Obok spółek komisowo-handlowych, tworzą się spółki przemysłowe, kasy oszczędności, banki pożyczkowe, spółki rękodzielników, stowarzyszenia wzajemnej pomocy prywatnych urzędników, podczas gdy cierpiącymi i biednymi zajmują się różne towarzystwa dobroczynności, które równie jak wszystkie poprzednie spełniają w swym rozwoju cele narodowe. Równą gorliwość widzimy w krzewieniu oświaty. Towarzystwo kred. ofiaruje swój gmach na uniwersytet, byle tylko rząd pozwolił go założyć ze środków krajowych, mnoгие pojawiają się oświadczenia na zakładanie szkół specjalnych i powiatowych i przytem zadziwiająca gotowość do wyznaczenia stypendyów dla ubogiej szkolnej młodzieży. Zaczęto też zakładać wszędzie ochronki i szkółki wiejskie, spowodowano wydanie taniich książek dla ludu, tworzone czytelnie i wszelkich innych używano środków, byle tylko zanieść pierwsze początki oświaty między włościanami.

To samo co się działo w Kongresówce, objawiało się mniej więcej i w innych częściach Polski, chociaż stosownie do miejscowych warunków, odmienny nieco w działaniu przedstawia się charakter; jakiś prąd nieprzparty wiódł całą społeczność na drogę rozwoju we wszystkich kierunkach.

Lecz obok tych dążeń narodowych spostrzegamy współcześnie starania rządów mieszania się we wszystko, tamowania wszystkiego, uniemożliwienia każdej donioślejszej czynności. Mimo więc drogi legajnej, na której przedsiębrano prace organiczne, nie można było działać całkiem jawnie i otwarcie, tak że postępując niby legalnie, trzeba było konspirować, ponieważ musiano się tać przed obcą władzą, z prawdziwymi zamiarami swymi, a wynajdywać na ich zamaskowanie, inne pozorne.



Weźmy tylko na przykład nasze lwowskie Towarzystwo gospo-  
darckie. Po dość długim śnie ocknęło się ono w r. 1860 i zaczęło  
się nagle żywiej poruszać: ilość jego członków podwoiła się w r.  
1860 i 1861, wkładki wpływały regularniej, na posiedzenia zje-  
żdżało się po kilkuset członków, zaczęto zajmować się dolą wło-  
ścian, a mianowicie potrzebą podniesienia ich moralności przez  
oświatę, w którym to celu wysadzono osobną komisję do wy-  
dawania dzieł dla ludu i opatrzone ją w potrzebny fundusz. Po-  
ruczono korespondentom towarzystwa zbieranie dat statystycznych,  
co do stanu szkół ludowych i warunków w jakich dałyby się  
ulepszyć, aby mózż Sejmowi przedłożyć projekt urządzenia tych  
szkół z pożytkiem dla oświaty ludowej. Wzięto pod rozbiór  
kwestję emerytury urzędników prywatnych i czeladzi dworskiej,  
przedłożono rządowi projekt tworzenia filii po obwodach, aby  
i włościanie mogli do towarzystwa wstępować i jako współin-  
teresowani w sprawach rolnictwa wspólnie pracować. Słowem  
zaczęto się krzątać bardzo czynnie w zakresie tych prac orga-  
nicznych, które Towarzystwa rolnicze wszędzie przedsiębrać winny,  
jeśli chcą działać z pożytkiem dla kraju. I cóż z tego wynikło?  
Oto zawieszenie wszystkich czynności towarzystwa ze strony  
rządu pod pozorem, że przekroczyła statuta, zajmując się wy-  
dawnictwem książek ludowych i organizując korespondentów.

Te i podobne wypadki dowodzą najwyraźniej, że w wa-  
runkach podobnych wszelki rozwój na drodze postępu w kie-  
runku narodowym jest niemożliwy. Położenie to paraliżuje  
każdą niemal czynność naszą, a utrzymując nas w stanie ciągłego  
rozdrażnienia, nie dozwala przystąpić do jakiegokolwiek pracy orga-  
nicznej, skoro nigdy nie możemy mieć pewności, że osiągniemy  
skutek zamierzony. Położenie to stawia nas przeto w okropnym  
dylemacie: albo wyrzeczenia się raz na zawsze prawa do bytu  
niepodległego, albo chwytnie się środków ostatecznych, aby się  
wydobyć z jarzma obcej przemocy, która nas nie zabija całko-  
wicie, ale utrzymuje w okropniejszym od śmierci stanie, bo  
w stanie nieustannego konania. Że pierwsze nie mogło nastą-  
pić i nie nastąpi, musi więc drugie być na porządku dziennym,  
z czego też wynika jako konieczność nieustające konspirowanie,  
tak w obszerniejszem, jak w ściślejszem słowa tego wyrazu.  
Część narodu rozważniejsza, wytrawniejsza obiera pierwszy,

część gorętsza drugi rodzaj konspiracji osobliwie w chwilach, gdy usiłowanie tamtej kończą się zawodem. Jest to prosta konsekwencya loiczna, a dopóki przyczyna główna w pierwszy lub drugi sposób nie usunie się, próżne będą po krwawych wypadkach, zakończonych klęskami i zwiększoną jeśli to być może niedolą, narzekania na konspiracyę; narzekania takie po czynie, ani ran odniesionych zabiżnić, ani przyszłym podobnym wysileniom zaradzić nie potrafią, będą się one peryodycznie dotąd powtarzać, dopóki położenie nasze nienaturalne całkowicie ją nie zmieni.

Naród jak to nadmienilem, starał się rozwijać w zakresie legalnym, a przekonanie, że tylko drogą pracy wewnętrznej wyrobi się nie tylko dojrzałość polityczna, ale i oraz siła potrzebna do odzyskania bytu niepodległego, stawało się coraz powszechniejszem nawet między najgorętszymi. Ponieważ emigracya w niecierpliwości swej, a przytem nie obeznana z każdochwilowem położeniem i usposobieniem kraju, mogłaby krzyżować prace przez naród podejmowane, więc wyrzeczono stanowczo, że kraj nadal nie myśli uznawać jej uroszczeń do przewodnictwa w sprawie narodowej, ale sam chce nią zawiadywać. Rozpoczęto więc prace innej całkiem natury, niż dawne związkowe; w miejsce propagandy zasad, nastąpiło wprowadzenie tych zasad w czyn, a nie chcąc zmarnować ani cząstki sił gotowych, rozpoczęto te prace na drodze ile możności legalnej, — hasłem zaś wszystkich tych prac było przez odrodzenie do niepodległości.

Lecz wrogowie przeniknęli myśl prawdziwą tej pracy i stawiali narodowi w każdym kroku nieprzebyte zapory; kierownicy tych prac powstrzymywali długi czas niecierpliwiące się tym oporem gorętsze żywioły, — nareszcie przyszło do wybuchu wbrew woli, że tak rzeknę, narodu. — Stało się.

Teraz zadaniem naszym jest zgoić rany przez ów gwałtowny wybuch krajowi zadane i wziąć się równocześnie do przerwanych owym wybuchu prac organicznych. Bez pewnego rodzaju konspiracji znowu się nie obejdzie, bo te prace są tylko środkiem do celu, którego wrogom naszym wyjawić nie możemy. Lecz nauczeni doświadczeniem, konspirujmy tak, aby wrogowie narodu, kierującej pracami myśli nie odgadli, lub przynajmniej przeszkód stawiać nie mogli.

*Mrzonka!*

Od r. 1831, niczego prawie nie nauczyliśmy się. Powodem tego było, żeśmy z dnia na dzień wyglądali jakiegoś wstrząśnienia wulkanicznego Europy, przed któremby runąć musiała potęga Rosyi, — żeśmy ufność odbudowania ojczyzny wyłącznie pokładali tylko w jakiejś, gdzieś i kiedyś wybuchnąć mającej wojnie, której z założonemi oczekiwaliśmy rękami, puszczając wszystko odłogiem, w tem mniemaniu, iż nie warto cokolwiek rozpoczynać, skoro lada dzień chwycić przyjdzie za oręż.

To wyłączne zapatrywanie się na oręż, to przekonanie prawie powszechne, że powinność nasza obywatelska na nim się tylko ogranicza, sprawiły w znacznej części, iż dotąd nie otrzymaliśmy z zaburzeń europejskich i wojen, które w tych czasach prowadzono z naszymi ciemieczkami, stosownego skutku; w tem zapewne była także przyczyna, iż w chwilach rozejmu, po nieudaniu się naszych podrywów, ustawały funkcyje nasze patryotyczne w przekonaniu, iż za pokoju i pod jarzmem, nic dla ojczyzny zrobić nie można; z tego nakoniec poszło, iż główny pierwiastek życia narodowego, że edukacja polityczna, że wszelkie ku temu usposobienia, że kierunek opinii narodowej, zostawały na łasce przypadku, wiatru zagranicznego i primi occupantis. W r. 1848 stanęli u nas na czele ruchu Dzierzkowski i Dobrzański; wiemy też kto podczas ostatniego powstania w Kongresówce rej prowadził.

Powiedzmy to sobie otwarcie i pomnijmy raz na zawsze, iż siła moralna, iż opinia narodu, w której najwierniejsze nam nadzieje nasze pokładamy, potrzebuje troskliwej centralizacyi, potrzebuje śmiałej, nieustannej, energicznej dyrekcyi, a to tak w chwilach spoczynku, jak w chwilach działania. Jeżeli ci, którzy pomiędzy nami celują położeniem, zasługami, doświadczonym charakterem i narodową wziętością, nie przystąpią odważnie do dzieła, nie staną u steru dla zbawienia rzeczy publicznej, — znajdują się inni ochotnicy, którzy pospieszą do zajęcia opuszczonego stanowiska. Płochłość, namiętność, chęć figurowania, wreszcie ciemieży nasi dostarczą kandydatów, ale zapewne nie dla dobra naszego. Klepiem teraz przekleństwa przeciw komitetom Mierosławskiego i jego agentom, upatrując w nich przyczynę niewczesnego wybuchu powstania, wicherzeń po obozach powstańczych, anarchii i ostatecznego upadku powstania. Chlubim się znowu

wielu mężami znakomitymi, talentem, nauką, odwagą, którzy z całym poświęceniem służyli sprawie powstania narodowego. Ale pytajmy ich, niech sami powiedzą, czy dopełnili powinności swojej, czy byli nawet przygotowani do niej, gdy zbrodnicza lekkomyślność ze zgubą sprawy pochwyliła i nakoniec przywłaszczyła kierunek powstania? Czy w tem jednym zaspaniu powinności nie jest cała teoria przeszłych błędów i cała nauka na przyszłość? Czy dziś nawet czujność polityczna nie staje się najsilniejszym nakazem patriotyzmu? Czy dlatego, że pisma i zabiegi polityczne dostawały się w ręce ludzi nierozsądnych, podejrzanych, brudnych, — mamy umywać swoje ręce od wszelkiej w tym zawodzie służby dla ojczyzny? Czy dlatego, że usta mataczów i niedołęgów politycznych fałsze rozsiewają, nienawiść rozdmuchują, zarazę umysłową zaszczepiają, płaszcz arlekiński na sprawę naszą rzucają, czy już dlatego każdy dobry Polak musi nie tylko milczeć, prawdy nie mówić, lekarstwa nie podawać, ale nawet na wszelkie nasze kwestye polityczne zupełną obojętność okazywać i dziś wszelkie usiłowania, wszelką myśl dla dobra sprawy naszej za marność uważać? Jeśli są między nami tak przekonani, a podobno jest ich nie mało, przekonanie ich jest błędem; obojętność egoizmem, grzechem. Pójdą oni i może pierwszy przed innymi, za danem hasłem, z orężem na nieprzyjaciela, poświęcą dla ojczyzny majątek i życie, będą wierzyć nie tylko w Pana Boga, ale i w fałszywych proroków, w dniach uroczystych będą patriotami, — dziś nie są.

Otwórzmy historję upadku naszego, uczynimy przezor sposobów, którymi sprzymierzeni przyszli do opanowania Polski, ujrzym tam zadziwieni, że nie na polu bitew, lecz w dziedzinach polityki i obrad narodowych zwycięstwo sobie zapewniali. Służyliśmy im, a sami przeciw sobie, opieszałością, niezgodą, złym liberalizmem. Czy w tych jasnych, bijących w historji naszej przykładach, nie powinniśmy czerpać przestroż, wskazówek i nauk?

Na ziemi polskiej panują dziś dwie przeciwne siły: miecz najeźdców i duch mieszkańców. Każda siła ma pewne przyczyny i sposoby swego ożywienia, natężenia i działania. Wojska najeźdców mają swoje rewie, swój szyk, swoją komendę. Lecz i duch, lecz i umysł zdolny jest ćwiczyć się, oświecać, natężyć ku jednemu i tem jędrniej zdążać, a to bez tamy, bez wiedzy

nawet groźnych strażników. Wiem jaki ucisk, jaki postrach panuje na niektórych częściach ziemi naszej; ale straż czuwająca na naszej ziemi, u drzwi każdego Polaka, nie sięga przybytku myśli, a póki myśl jest polską, póki ten początek święty wszechrzeczy na tym świecie zostaje w całości, w zdrowiu, póty rozpaczać nie będziem, póty jeszcze Polska nie zginęła! Niech więc naród polski nie usypia w pielęgnowaniu i straży tej arki przymierza. Błądził po manowcach politycznych, niechaj zacznie się poprawić, gdy pokutę już od tak dawna odbywa. Bagnety najezdców nie przeszkodzą temu. Pod ich błyskiem może i powinna uformować się na gruncie polskim, jeśli wolno tak rzec, gwardya narodowa rozsądku, obyczajów i sumienia publicznego. Opatrzność, która w sercach polskich przechowuje duchowny pierwiastek bytu, a odzyskania ojczyzny dotąd nie dopuszcza, nie czyni tego zaiste dla daremnej męczarni naszej, a kto wie, czy nie dlatego, że w duchu, do odrodzenia się, nie byliśmy gotowi.

*Carry*

„Tylko przez lud Polska odbudowaną być może; precz więc z organizacją szlachecką!” — wołali pełnomocni i niepełnomocni komisarze R. N. w Galicyi. Przedkładano im, że w Galicyi lud wiejski o Polsce nie myśli i Polski nie chce, a lud miejski ledwo zaczyna się budzić z letargu, — że szlachta jest prawie jedynym tu żywiołem, który powstanie wspierać chce i może, że zresztą w Galicyi od lat kilkunastu szlachty jako stanu nie ma, a nawet własność ziemska w znacznej bardzo części w nieszlacheckich znajduje się rękach.

Wszystkie te uwagi były daremne, bo ci panowie przyjeżdżali z gotowemi formułkami, a zastosowanie tych formułek do naszego społeczeństwa, bez względu, czy doń licują czy nie, było głównem ich zadaniem i bardziej im leżało na sercu, niż skuteczne popieranie powstania. Na to hasło gawiedź chciwa figurować, urażona że ją pominięto w organizacyi, szukająca nareszcie łatwego zarobku przy tajnym szafunku grosza narodowego, z niesłychaną energią próżności, a imaginacyą płocności, z niepospolitym talentem skrzywionej głowy lub złego serca, wzbila wrzawę, w której wyobrażenie tego co jest najdroższem, — Ojczyzny, — mieszało się z tem wszystkim, co jest najpodlejszem w oczach po-

czciwego człowieka. Ustąpił tak zwany szlachecki komitet, chociaż w nim większa część członków nie należała do stanu szlacheckiego, natomiast ustawiono wydział kierujący, który się składał z samej szlachty, pomianowano naczelników obwodowych i powiatowych, po większej części tych samych, którzy już przedtem te funkcje spełniali, przydano im poborców i kontrolorów, wszystkich z pomiędzy szlachty wybranych, nareszcie poustanawiano urzędników wojskowych, po większej części Wołyńców, a więc szlachtę.

Była więc jak przedtem organizacja szlachecka, bo inaczej być nie mogło; zachodziła wszakże ta różnica, że dawniejsza organizacja jako samowolna, składająca się z ludzi mających w kraju, w obwodzie lub powiecie zaufanie, mogła działać skuteczniej, niż nowa, krajowi narzucona. Zaczęło się więc wszystko rwać; ofiary przestały wpływać, rozkazy wykonywano albo opieszale, albo źle, bo funkcjonaryusze albo nie mieli zaufania, albo potrzebnej sprężystości, albo nakoniec niezbędnej w takich działaniach znajomości kraju i ludzi. To wywołało nowe krzyki na szlachtę i zamiast złe właściwej przypisać przyczynie, zaczęto rozdmuchiwać nieufność, złość i nienawiść jednych przeciw drugim; a ci co zawinili, teraz gdy powstanie upadło i sroższy niż kiedykolwiek los spotkał ojczyznę, najgłośniej wykrzykują, że szlachtę w pień wyciąć trzeba, bo inaczej Polska nie zmartwychwstanie. Posłuchajcie Morawskiego i jego adeptów, jeśli nie wierzycie!

Największym szkopułem dla opinii, dla polityki naszej narodowej było i jest naśladownictwo bezmyślne obcego liberalizmu. Niebaczni, bierzem zasady, plany, cele, taktykę, nawet sofizmata opozycji liberalnej w państwach niepodległych, za czyste i pożywne źródło nauki społecznej. Zapominamy, albo raczej nie widzimy, że to są tylko plany, cele, taktyka pewnych stronnictw lub indywidualów dążących do władzy, że co jest gimnastyką polityczną dla narodów ukonstytuowanych, wolnych, niepodległych, co jest zbytkiem swobodnego życia, to dla narodu ujarzmionego za machinę wydobycia się z niewoli służyć nie może. Przymuszając nawet najczyściejsze zamiary takim targom opozycyjnym, o cóż tam idzie? Oto o ukrócenie władzy rządowej, o rozszerzenie swobód indywidualnych, o podniesienie bytu ma-

teryalnego. Czyż nam jeśliśmy przy zmysłach, o to szło gdyśmy za broń chwycili? Czy nam, jeśliśmy Polacy, w ogólności o to głównie idzie? My do bytu wzdychamy przedewszystkiem, my dla osiągnięcia tego celu poświęcamy majątek i życie!

Czujem to i radzi powtarzamy, że zbawienie nasze jest w nas samych, a nie może być, tylko tak w ręku naszym, jak w głowach naszych. Nie zapominajmy też o tem, że siła martwa, że pierwsze skruszenie jarzma przyjść nam może i zewnątrz, przyjść może niespodziewanie; czyn zuchwały, płochy nawet, którego nikt rozumieć, nakazać, nikt cofnąć nie potrafi, może zapalić wojnę nową, a nawet wojnę szczęśliwą; lecz rozumu politycznego, siły organicznej, rękjmi życia, jeśli sami w sobie nie znajdziem, nie ustalim, nie rozkorzenim, nikt nam jej obcy nie da; ani też nie zbudują uchwały dorywcze, dekreta naprędce redagowane, jeśli gruntu przygotowawczego nie będzie.

Na ów tedy żywotny pierwiastek istnienia społecznego zwracajmy z całą usilnością, z całą wytrwałością nasze umysły. Kto bezpieczny na obcej ziemi, z niewielkim kosztem papieru, pióra i osobistej imaginacji, ośmiela się zakładać rząd, zwoływać obrady, miotać dekreta, rozdawać urzędy i swobody indywidualne in partibus infidelium w imieniu Narodu polskiego, ten czy jego imię Kurzyna, czy Hauke, jeśli nie co gorszego, dowodzi dziecinnej lub zgrzybiałej myśli, ten podobny do owych cieniów elizejskich, bawiących się cieniem tego, do czego za życia wzdychały. My uderzmy hasło pospolitego ruszenia nie przeciw Moskwie naprzód, lecz przeciw kryjomym, a najlepszym jej sprzymierzeńcom: przeciw gnuśności umysłowej, przeciw zwątpieniu w dniach niewoli, przeciw egoizmowi, przeciw ślepemu naśladownictwu i przeciw płodzącym się pod ich opieką fałszywym maxymom, które na polu naszej opinii bujają, jak chwasty na nieuprawnej i niezasianej niwie. Myślmy prawdziwie po polsku, a o co wołamy, tego z siebie odważmy się dać przykład. O co nam w życzeniach, w pismach, w czynach idzie? O wyswobodzenie Polski. Co do tego potrzebne? Siła. Gdzie znajdziem pierwiastki tej siły? W Polsce samej. Jakim sposobem? Przez skupienie, ożywienie pierwiastków siły narodowej i przez powstanie narodowe.

Taina słowa!

Co to jest skupienie siły narodowej? Władza rządowa. Na pierwiastkach siły nigdy nie brakowało w Polsce; słabością władzy grzeszyliśmy zawsze. Oto cała treść naszej polityki. Kto więc wręcz lub kryjomo fałszuje te jasne całemu narodowi pojęcia, kto prawi o Polsce, jako o pewnej społeczności w imaginacji swojej wygnieźdzonej, ten klnie temu i depce po tem, gdzie dziś jest realna siła polska, — kto sieje w umysłach zarody nieprzyjazne wszelkiej centralizacji sił narodowych, kto waśni te siły między sobą, jedną popycha na drugą, — ten może mieć naukę, talent, bystrość, ten może ich używać na rzecz swojej płochości, na rzecz swych namiętności, ale na szkodę Polski.

Zbawienie Polski jest w samej Polsce. Myśląc więc, mówiąc i pisząc o wyswobodzeniu Polski, nie powinniśmy brać za podstawę, za pierwszy punkt oparcia się — tylko Polskę, — a więc taką jaka jest dziś rzeczywiście z całym swem złem urządzeniem społecznem, z całym ciężarem najazdu i obcej niewoli. Tak Polska dzisiejsza, rzeczywista, jest jedynym gruntem, na którym w rozwiązaniu naszego zadania praktycznie opierać się możemy, na którym rozwijać się i ustalić może wszelka organizacja moralna, na którym znajdują się wszelkie potrzebne siły, na którym zbawieni być możemy i będziemy. Po za tym gruntem jest tylko obłęd lub zbrodnia. Pytam się coby powiedziano o budowniczym, któremu ktoś polecił wystawić dom mieszkalny w okolicy obfitującej w drzewo budowlane, a nie posiadającej kamienia, a który nabiwszy sobie głowę planem domu z kamienia, zaczyna od spalenia drzewa budowlanego? U nas lud nie poczuwa się jeszcze do narodowości polskiej, narodo wość polska spoczywa w tej części społeczeństwa, którą słusznie czy niesłusznie nazywają szlachtą. Cóż powiedzieć o takim polityku, który chcąc odbudować Polskę, zaczyna od niszczenia żywiołu jedynie polskiego w kraju? Tych co zdrożności tej upierają się nie widzieć, nie uznawać, możnaby zapytać, niech powiedzą, dla Boga! co u nich ojczyzna? U nas ojczyzna jest to wszystko, widome i niewidome, cośmy wzięli po ojcach naszych; wszystko cośmy wzięli w dziedzictwie, złe i dobre, wszystko co mamy. Ojczyzna jest tajemnicą, którą nie dla korzyści kochamy, której dla szkód nienawidzić nie możemy. Świat patrzy i Bóg sądzi, co na szali losów naszych przemagało, gdy dziś ojczyzna dla każdego Polaka odkąd czuć



i myśleć poczyna, zwiastuje się w ciągu utrapień, ofiar i niebezpieczeństw! „Wartaż ta dzika ziemia kropli krwi ludzkiej“, wołali Francuzi wkraczając w r. 1812 do Polski, a przecież tyle krwi polskiej lało się dla niej i jeszcze lać się będzie, przecież kochamy tę nieszczęśliwą ojczyznę naszą i kochamy rzewniej zapewne, niż wszelki inny lud kocha swoją szczęśliwą i nikt z nas nie narzekał, że się urodził Polakiem. Kiedy w naszych walkach o niepodległość rozum nasz ćmił się i błędził, kiedy dłoń omdlała oręż ronila, miłość ojczyzny sama wyszła z walki niezaćmiona. Nie tykajmy tej tajemnicy, nie przerabiamy jej na zimny rozum, żaden filozof na świecie formułkami wytłumaczyć jej nie potrafi, ani liczbami korzyści wyrachować nie zdoła. Polska trzymała w poniżeniu tę warstwę społeczeństwa z której wyszedłem; Polska nie dała rodowi mojemu ani fortuny, ani zaszczytów, a przecież nie z książek obcych, nie z gazet, lecz od ojca mego, od matki nauczyłem się kochać Polskę. Mnie samemu Polska nie dała, prócz więzień i prześladowania, a przecież z dumą miennie się być Polakiem. Nie znam więc bezpieczniejszego i silniejszego uczucia dla wydobycia siły naszej, nad miłość ojczyzny, — jeśli jej tu nie znajdź, nie znajdź nigdzie. Ojczyzną naszą jest taka Polska jaka dziś jest, bo innej nie ma.

Zakładać pewne warunki miłości ojczyzny i pewne kondycje odrodzenia się, w organizacyi społecznej narodu, który dziś jest w szponach despotyzmu i najazdu, w organizacyi społecznej, która nie może być tylko skutkiem swobodnego życia, w imię i na rzecz tych warunków i kondycyi miotać na całą przeszłość naszą przekleństwa, na teraźniejszość ochydą, — powlekać chmurą jedyną gwiazdę naszego zbawienia, miłość ojczyzny, — organizować nienawiść, sadowić u progu nowego powstania narodowego ślepe jakieś i bezserdeczne mary socjalistyczne, chować je i karmić jak zagraniczne szczenięta, aby niemi szcuć braci na braci i dziś już psować i mitrzyć kielkujące zarody serdecznego popędu narodowego do zbratania się; — nie, nie — nie jest to służyć Polsce, nie jest to kochać Polskę! jest to służyć płatnie lub bezpłatnie Austrii, Prusom, Rosyi, a kto temu wierzyć nie chce, niech spojrzy, czy najezdcy nasi nie mówią, nie piszą, nie postępują tak samo.

Coi pas  
Hali na  
na do c.

Weźmy więc za podstawę całego naszego działania politycznego, Polskę taką jaka jest, i na tym gruncie budujmy; słowa i czyny tyle tylko mają mocy, ile mają prawdy; naznaczymy sobie te granice postępowania, odszańcujęm się jakby twierdzą od rozlicznych błahości, urojeń i bredni, które naplamiły już tyle kart Polskich. Z tej twierdzy śmieiej i szczęśliwiej wystąpię na pole powstania — i da Bóg do ostatniego w historyi naszej.

Czy Rusini są narodem? U nas naród nie oznacza tego, co ród albo lud. W logicznym polskim języku, naród ma polityczne znaczenie i często a sprawiedliwie, za państwo się bierze. I tak w konstytucyi 3-go Maja czytamy:

„Konstytucya narodu, religia narodowa, król głową narodu. Naród winien wojsku nagrodę“; — wszędzie tu naród znaczy państwo. Polska z różnych rodów w jeden naród złożona, zasada wszechwładztwa Narodu rządzona, innej zaiste była natury jak np. Austria, gdzie są różne plemiona lecz Narodu niema, ponieważ plemiona te państwowym węzłem związane, żadną ideą któreby je w Naród zlać mogła, nie są zapłodnione; innej też natury była Polska jak Niemcy, gdzie znów widzisz Naród a państwa nie obaczysz. Rusini tworzyli różne państewka, lub byli częścią innego państwa, Rusini jako tacy nigdy nie byli państwem ruskim, dlatego w naszym pojęciu tego wyrazu nie są Narodem. Tak też pojmuje narodowość, nauka stanu. (Patrz traktat Wiedeński).

Opatrzność, która stworzyła człowieka istotą moralną, osadziwszy go w wielkich gronach plemiennych, z pieluch zaraz rodzicielskich podnosi serce jego do owej miłości wzniosłej, czystej, uzacniającej ludzkość, zwiastującej nam co piękne i wielkie na ziemi, a która się zowie miłością ojczyzny. Miłość tedy ojczyzny jest niezbędną praktyką serca ludzkiego.

Komu raz opatrzność naznaczyła ojczyznę, kogo nauczyła mówić swoim narodowym językiem, kto zasłyszał pieśń rodzinną, tradycję naddziadów, komu zaś opowiadanie wielkich czynów lub wielkich nieszczęść ojczystych, łzę świętą dumy lub boleści wycisnęło, — ten już nigdy obcej niewoli spokojnie nie zniesie, ten nigdy przynigdy obcej ojczyzny za swoją nie weźmie. Ten tylko nie ma ojczyzny, kto nie ma serca ludzkiego, kto zaciera na swoim czole znamię dostojności człowieka.

Ten ścigany przekleństwem wyrodka, w ziemię patrzy, ziemię tylko miłuje i w ziemi całkiem znika. Dlatego ile razy sły-  
szałem kształcąca się na uniwersytetach młodzież niemiecką,  
powtarzającą chórem: „Ubi bene, ubi patria“! dreszcz mnie prze-  
chodził.

Życie i losy ojczyzny są dziełem zbiorowem jej synów. Każdy  
wedle swego stanu, osobistemu zawodowi oddany, im gorliwiej  
pracą, przemysłem, nauką, osobisty swój los upewnia, tem mo-  
cniej i energiczniej przyczynia się do ogólnego dobra. Rolnik  
u pługą, rzemieślnik przy warsztacie, żołnierz w boju, poseł  
w radzie, wszyscy są zarówno wyrobnikami wielkiego dzieła  
narodowego. Wszystkie zacne miłości, wszystkie zdolności,  
wszystkie osobiste zasługi serca i głowy, obracają się na karb  
potęgi sławy ojczystej. Ten tylko jej nieprzydatny, kto dla siebie  
samego pomocy potrzebuje, kto żadnej zdolności w sobie wy-  
robić nie potrafił. Nie wszystkie imiona przechowuje historia, ale  
opowiadając wszelkie pomyślności, wszelkie chwalebne wysiłki  
narodu, opowiada chwałę wszystkich, bo chwałę narodu.

Nauka historii narodowej jest nauką obywatelstwa. Im  
więcej się rozpowszechnia, im więcej serc rozwija, głów oświeca,  
tem więcej siła moralna narodu wzmaga się. Przez nią życie  
Ojczyzny naszej wciela się w życie nasze osobiste. Ona nas  
oprowadza po szerokiej ziemi przodków naszych. Wskazuje mo-  
rza, rzeki, starożytne grody, świątynie, przybytki obrad, pola bi-  
tew, relikwie grobów i całą dziedzinę przodków naszych oddaje  
nam w dziedzictwo. Miliony, które ją zamieszkują, stają się brać-  
mi naszymi. Z nimi razem kochamy ród swój, swoje wiekowe  
przygody, swoich dzielnych mężów, którzy odblaskiem chwały  
swojej imię nasze opromienili. Z nimi razem bolejem na kłęski  
poniesione, na gwałty niepomszczone, na zdrady tryumfujące,  
i poczuwamy w sobie święte popędy i siłę do twardych usiło-  
wań, do poświęcenia się dla tego co jest najdroższem dla serca  
człowieka.

Jeżeli kiedy, to teraz po zawiedzionej nadziei wyłamania się  
z jarzma niewoli, pośród kłesk nieobliczonych, sprowadzonych

na ojczyznę powstaniem naszym, potrzebne jest nam męstwo w znoszeniu niedoli, wytrwałość w zamiarach naszych. Świat od wieków nic tak nie uwielbia, nie pamięta, nie kocha, jak męstwo w nieszczęściu i niepohamowaną walkę o niepodległość. Sprawa nasza jest świętą, Bóg sprawiedliwy, losy mocarstw przemienne. Polska silna ziemią i ludźmi. Przyszłość Polski jest w naszym ręku. Żyjmy więc, wychowujmy się, doskonalmy się, pracujmy, cierpmy, walczmy dla niej. Przed nami chmura i jarzmo poddaństwa, — a za niem w dali widzenia nadziei naszych, niemylnie nagrody naszej wartości, naszych cnót, naszej wytrwałości: — niepodległa Polska, błogosławieństwo swobody, ziemia nasza kwitająca bujnie wszelakim bogactwem wolnych narodów.

Choroba, która przyspieszyła upadek powstania listopadowego, a potem zaraziła życie emigracyjne: — zaślepienie i zażartość partyi, — przyniesioną została przez emigrację do kraju podczas ostatniego powstania i toczy teraz życie społeczeństwa w sposób niewidziany dotąd w naszym kraju. Było to może rzeczą nieuchronną, ale jest niezawodnie bardzo nieszczęśliwa, a nadto poniżającą wobec ciemieńców naszych.

Nie zna ten ani ludzi, ani siebie, ani historii, kto naiwnie wyrzeka na partyę. Wszystkie partye polityczne opierają się na pewnych, specjalnych i niezawodnych prawdach, wszystkie miały w historii swoją misję, swoje epoki tryumfów i wszystkie używały się przesadą i wyłączością swoją bezwzględną.

Spółeczność ludzka, równie jak dusza ludzka, ma rozmaite popędy. Nieustanna gra i nieustanny ruch elementów jest życiem społeczności, a ich harmonia zdrowiem.

Szanujmy i propagujmy przekonania nasze, ale cierpmy i przekonania przeciwników naszych. Zaślepienia miarkujmy pobłażaniem i jedni u drugich wywołujmy wzajemność. W tem spoczywa tajemnica harmonii społecznej. Walczmy bronią rycerską, ale jedni drugich nie zabijajmy oszczerstwem, jedni w drugich nie gaśmy ducha.

Inaczej postępowała sobie stara emigracya. Rzuciła się z namiętnością do formowania odrębnych ciał emigracyjnych, obwołując za jedynie prawych synów ojczyzny te lub owe wyłącznie elementa społeczności, wyklinając inne, równie w niej potrzebne

i konieczne. W rojeniach bliskiego powrotu do Ojczyzny rozogniała się otucha wrócenia do niej w tyumfie wyrozumowanych, lub na oślep ulubionych teorii, podczas gdy adepti w kraju wierząc ślepo apostołom emigracyjnym, z założenymi rękami tryumfu tego oczekiwali.

Próba wypadków, podchlebiających raz jednym, to znowu drugim przekonaniom, pokazała nicość tych rojeń. Pryncypia tryumfujące w oczach naszych miały nie troszcząc się nami. My poświęcając dla tych przepisów jedność, wzajemne porozumienie się, jątrząc owszem podejrzenia, a nawet nienawiść, nic dla Ojczyzny nie zyskailiśmy, a na nasze zabiegi ściągnęliśmy pozór dzieciństwa i lichoty. Rządy zaborcze zaczęły wytykać palcem ułomności nasze, litując się i szydząc, wystawiając nas jako zgraję niesforną, drgającą ostatkami gasnącego patryotyzmu.

Po długim doświadczeniu my w kraju przejrzeliśmy, że pomimo najzacieńszych chęci, organizowaliśmy rozdwojenie, zwątpienie i osłabienie w ciele narodowym, a przyszedłszy do poznania, że tylko w jednoczeniu sił leży możność dźwignienia Ojczyzny, doszliśmy byli nareszcie do połączenia stronnictw arystokratycznego z demokratycznym, nim jeszcze powstanie wybuchło; chorągwią, pod którą stronnictwa te były się połączyły, była miłość Ojczyzny. Dziś węzeł ten znów zerwany, potargała go ślepa i namiętna wyłączność emigracyi, która zalała kraj podczas powstania; co gorsza powstał taki zamęt wyobrażeń, że nikt nie wie, kto do jakiego obozu należy. Dziś i arystokracja i demokracja ma inne znaczenie, niż miała przed powstaniem; jakie zaś znaczenie? -- tego nikt nie wie. Powstała nowa partya, partya ruchu, prawdopodobnie tak się nazywająca, że energicznie gębą rusza. Partya ta niewiedzieć jakie ma zasady, bo należą do niej ludzie wprost przeciwne wyznawający pryncypia; ci ludzie chrzczą jednych przydomkiem demokraty, drugiego arystokraty; dla czego? — nikt nic nie wie, bo właśnie tamten wyznaje zasady arystokratyczne, a ten demokratyczne, rozumie się w znaczeniu jakie dotąd i u nas i w całym świecie było przyjętem; ludzie ci pozornie zostali w obozie, do którego dawniej należeli, pozornie też wyznają dawniejsze zasady i dowiadując się tym sposobem co się dzieje w jednym i drugim obozie, paraliżując nie zawsze godziwemi, zawsze jednak podziemnymi dro-

gami, wszystko cokolwiek w jednym lub drugim obozie przedsięwzięto, przedewszystkiem zaś starają się indywidualia wytyczne, czy to w jednym czy w drugim stronnictwie intrygami, często prostemi oszczerstwami podkopywać i depopularyzować. Do dopięcia tego celu służy mu wybornie istniejący stan obłączenia. Brak wszelkich zgromadzeń publicznych czyni, że wytyczniejsi ludzie nie mogą stanąć przed publicznością, nie mogą okazać iż są tymi samymi co dawniej, a tymczasem do tej publiczności dochodzą różne przeciw onym niekorzystne szepty, bezimienne donosy, tak że publiczność jeśli nie uwierzy, to przynajmniej wątpić zacznie. Tym sposobem rozbito społeczność na atomy; nikt już nie wie komu ufać, podejrzujemy jedni drugich, jedni drugich szpiegujemy, jak gdybyśmy byli zgrają złoczyńców, spędzonych z różnych stron w jedno miejsce, gdzie jeden o drugim tyle tylko wie, iż jest złoczyńcą.

A na miłość Boga! gdzież my tą drogą zajdziemy? My dzieci jednej matki, ofiary jednego gwałtu, poszukiwacze jednego celu, żołnierze jednej Polskiej chorągwi, zamiast bratnie połączyć dłonie, zamiast przeciw wspólnemu działając wrogowi, zamiast pod jedną chorągwią do wspólnego zdążać celu, którym jest niepodległość Polski, my jedni na drugich bratobójczą dłoń podnosim, jedni przeciw drugim walcym i zapomniawszy o wspólnym celu, każdy pod swą chorągiewką bez napisu, zdąża do jakiegoś celu, który zataja przed drugim.

Precz więc ze wszystkimi powodami, tak osobistymi jako i politycznymi, które nas różnić mogą; jest jeden powód, przeważny, który nas zjednoczyć może jeśliśmy Polakami, a tem powodem jest owa święta i potężna syntesa polityczna, która się zwie „Miłość Ojczyzny“. Weźmy tylko za hasło, za podstawę partyi, — nie to co nas różni od drugich, nie to co każdy z nas mądrze lub niemądrze wyrozumował w sobie i w czem siebie tylko kochamy, ale to co nas instynktowo jednoczy z sobą samymi, z krajem, z przeszłością i przyszłością Polski; — miłość tej przez nas kochanej Polski, która nie inaczej żyć i wskrzesić się może, tylko miłością swych synów, — a powstanie w kraju stronnictwo, które łącząc wszystkich synów ojczyzny, chyba dla tego będzie się nazywać stronnictwem, że będzie stało przeciw najeźdcom ojczyzny.

Żaden naród nawet najrzędniejszy, najszcześniejszy nie objawia nigdy we wnętrzu swoim jednostajności przekonań politycznych. Ta walka opinii jest tętmem życia; wyrażać się może niekiedy w rewolucyę i wojny domowe, ale w krytycznych chwilach zagrożonej ojczyzny, póki sumienie narodu żywotne, Francuz przedewszystkiem jest Francuzem, Anglik, Anglikiem. Naśladujmyż ich w tem, kiedy ich najdziwaczniejsze naśladowem teorye; ojczyzna nasza w więzach, idzie o jej oswobodzenie, bądźmy przedewszystkiem Polakami. Kościuszkę, wychowaniec demokracji amerykańskiej walczył w obronie monarchicznej konstytucyi Polskiej; Książę Józef Poniatowski, synowiec królewski, pospieszył jako ochotnik pod sztandary rewolucyi w nadziei służenia Polsce. Naśladujmy tych ukochanych bohaterów narodowych. Oni szli za popędem tej tajemniczej siły, którą opatrność złożyła w sumieniu społeczności ludzkich, jako bezpieczną przewodniczkę wśród nocy i zaburzeń. Snujmy, wykładajmy nawet nasze pojęcia społeczne, ale pókiśmy w obcych więzach, nie bierzmy ich za hasło narodowe, a przedewszystkiem zaniechajmy brać ich za podżogę nienawiści wzajemnej, za chorągwie walki domowej. Niepodległość Polski jest głównem wszystkich nas życzeniem. Nie ma co do tego między nami różnicy. Tylko przywłaszczając sobie w zarozumiałości fatalnej, nieomyślność w utorowaniu drogi do tego celu, wpadliśmy znów w rozdwojenie i w zamęt waśni, z którego zaledwo byliśmy się wydobyli, a który zasłania nam cel, do którego wspólnie dążymy. Prześtańmy więc już raz wrzeć między sobą wojnę domową w imie systematów politycznych, przestańmy urządzać rząd i społeczność Polski przyszej, a natomiast urządzajmy między sobą to, co się praktycznie urządzić da: przestańmy dla rozmaitych w tym względzie przekonań nienawidzić się jak wrogów, my co bracią i bracią nieszczęśliwą jesteśmy. Ani rozbiór Polski, ani dokonane gwałty na podbitym kraju, ani zawiedzione nadzieje w ludziach i rzeczach, nie odebrały życia narodowi, nie uwolniły nas od obowiązków dla ojczyzny. Dowodów na to nie potrzeba. Dość przyłożyć rękę do serca każdego Polaka, a poczem, że silnie bije i że bicie jego wzmacnia się nawet zawodami. To więc uczucie miłości ojczyzny, weźmy za kit co ma nas połączyć, niepodległość zaś Polski za cel do którego mamy dążyć, a ustana

waśnie tak zgubne, nienawście tak niewczesne, — natomiast powstanie stronnictwo narodowe, silne bo zgodne, poważane przez swoich i nawet przez wrogów, bo świadome celu i kierowane nie prywatnymi egoistycznymi pobudkami, lecz dobrem ogólnem.

Kogoż nie zastanawiał w przysyłanych nam z Warszawy komisarzach, naczelnikach i organizatorach, zupełny brak znajomości kraju naszego i jego stosunków? a co gorzej brak w nich tego uczucia względem nas, które między synami jednej matki między dziećmi jednej Ojczyzny zdaje się być niezbędnem?

Warszawa może jedynem jest z większych miast polskich, które szczególną losu koleją od wszelkiego wpływu i życia polskiego usuniętem było za najświętniejszych czasów Piastowych i Jagiellońskich, żyjąc osobnem, oderwanem, mazowieckiem życiem. Tych wpływów mazowieckich bogdaj czy i dziś jeszcze nie pozostały ślady w Warszawie i jej najbliższych okolicach; i ztąd to podobno owo lekceważenie innych części Polski i owa obojętność na zwyczaje i stosunki mieszkańców innych prowincyi polskich.

Złowrogim instyktem królowa Bona szczególniej upodobała Warszawę, lękając się surowości i cnót narodu polskiego, rozwiniętych w Krakowie, Wilnie i innych głównych miastach. W nowej, mniej znanej i ustronnej Warszawie, kryła się ze skarbami i z życiem zbyt wolnem. Nowej tej stolicy zabrakło jakby namaszczenia Bożego; nie jednokrotnie w Warszawie losy kraju smutnie się rozstrzygały, niepomyślnie się kończyły. Kraków od początków do końca, od mogiły Wandy, aż do Kościuszki zawsze miłował i kochał, zawsze był świętym niemal Krakowem. Książęta Jagiellonowie tęskniąc za Litwą, szukali bliższego jej punktu na swoje siedziby, a ojcowskiem swem uczuciem wybierali miasta, któreby jednoczyły wszystkie trzy narody, polski litewski i ruski; tym sposobem najprzód Horodło, potem szczególniej podniósł się Lublin. Królowie szwedcy, łącząc cele dziedzicznego swego państwa nieszczęśliwie z sprawami kraju naszego, oznaczyli Warszawę stolicą państwa. Tym wyborem Ruś jakby od trójstej unii usunięta i zapomniana została. W Warszawie to odbyły się owe srogie na dowódcach kozackich kary, z których bogdaj czy nie poszły wojny kozackie. Już się nadal

wyć rękami  
z rękami



nic pomysłnego dla Polski wywiązać nie mogło. Za Augusta II po raz pierwszy słyszymy o konfederacji Warszawskiej — była ona niesfety ze Szwedami, z nieprzyjaciołmi kraju. Polska poraz pierwszy w Warszawie trwożyła inne narody i dziwną losu koleją w Warszawie zwyciężoną została.

Miłość Ojczyzny jest tem dla narodu, czem miłość rodziny dla prywatnego człowieka. Człowiek zacny kocha rodzinę, matkę, dzieci i poświęca się dla nich; i nie jest to namiętnością, ale zacnem, prawem i powinnem uczuciem. Uczucie to nie jest ani nowością, ani modą, ale wypływa z duszy człowieka, z praw boskich. Miłość ojczyzny jest honorem narodu. Nie jest hańbą być pokonanym, aleby było hańbą nie mieć miłości i poświęcenia się dla ojczyzny. Miłość ta jest to miłość nie tylko ziemi w której żyjemy i ludzi jednego z nami plemienia, jednym mówiących językiem, ale nadto i ducha, którym żyje społeczność i którego rozwijanie się dalsze jest powinnością i celem żyjących pokoleń.

Jeżeli społeczność utratą politycznego bytu jest ukarana, a żyje w niej wiara odzyskania go, to i naród jeszcze żyje. Ta wiara jest całego narodu pragnieniem, jest silnym węzłem, który go najpotężniej jednoczy, stanowi narodowy dogmat, i nie masz społeczności, któraby utraciwszy dogmat ten, miała jakąkolwiek choćby najlichszą umysłową albo moralną egzystencyę. Ludzie narodu tego choćby jeszcze i mówili swym własnym językiem, lecz żyli bez nadziei i wiary odbudowania bytu, nie byłiby już społecznością, lecz lichymi jakimiś rozbitkami, szczątkami towarzystwa. Naród, który jeszcze szczerze i rzeczywiście żyje, który w swych indywiduach ma zapasy myśli, czucia i czynów, tego dogmatu nie da sobie wydrzeć nikomu, owszem przywodzi go do czynu, a dzieje jego są ciągiem usiłowaniem zrealizowania tej wiary.

**Wrzesień 1865.** Filozofia ciągle szuka, podczas gdy katolicyzm już wszystko znalazł. Głupcem byłby ten, kto znalazłszy już wszystko, jeszczeby szukał; dlatego katolik chcący być filozofem jest głupcem, również jak nonsensem jest filozof-katolik.

Chociaż powstanie nasze ostatnie nieszczęśliwy koniec wzięło, nie można mu wszakże odmówić wszelkich korzystnych wpły-

wów na sprawę naszą. Odjęto nam wprawdzie swobody, nie małą materyalną siłę i wiele cierpień pojedynczych zrodziło, ale przekonało rządy i Ludy europejskie, że Polska żyje, że żyje w dawnych swoich granicach i ma odwagę mierzyć się z największym świata mocarstwem; co zaś najważniejsza, przekonało nas samych, że powstać możemy bez wojska i obcej pomocy; nakoniec zmusiło rząd rosyjski do zniesienia poddaństwa w zaborach polskich, w narodzie zaś przez samo nieszczęście rozjątrzyło umysły i do nowych zapaliło wysileń. Sam nierozum i błędy w któreśmy popadli byli, stać się mogą nadal zbawienną przestrogą; bogdaj byśmy tylko korzystać z nich umieli!

!!  
Główną przyczyną niepowodzeń i upadku ostatniego powstania był nierozum. Rozpoczęto powstanie bez najmniejszego do prowadzenia wojny przygotowania. Ci co wyznaczili dzień wybuchu, chcąc się zasłonić przed tym zarzutem, składali winę wybuchu na rozpisaną rekrutację. Lecz to jest fałszem; powstanie nakazanem było z zagranicy, przez komitet rewolucyjny londyński, w celu ułatwienia Mazziniemu zamierzonej przezeń we Włoszech roboty; dlatego, by móżdż nakazać wybuch powstania, trzeba było wprzód rozbić centralny komitet Warszawski i zastąpić go żywiołami Mierosławskiemu uległymi. Młodzież zagrożana rozmaitemi demonstracjami przez agentów Mierosławskiego urządzanemi, z niecierpliwością czekała dnia rozpoczęcia walki otwartej; wierzyła ona, że na miejscach zbornych znajdzie broń i dowódców i stawiała się ochoczo w dzień oznaczony, — lecz nic nie znalazła. To był pierwszy zaród upadku powstania, zaród śmierci w dniu przyścia na świat; powstanie bowiem, które nie imponuje w chwili wybuchu, nie może się utrzymać. Moskale też w pierwszej chwili tak przerażeni, że ustępowali przed bezbronnymi garstkami powstańców, a więc przy jakim takim uzbrojeniu tychże i jakiej takiej organizacji mogli być na początku z łatwością pokonani, — spostrzegłszy, że powstańcy wcale nie mają broni, zaczęli na nich postępować z tem większą śmiałością; z drugiej strony lud, który w pierwszej chwili także się jawił na miejscach zbornych, odsunął się, skoro zamiast uzbrojonych i uorganizowanych hufców, zastał w obozie zbieraninę ludzi bezbronnych i niesfornych; bo nawet

inteligencja widząc się zawiedzioną w oczekiwaniach, ostygła w swym zapale.

Po pierwszych tych krokach, gdy nikt nie widział jasno, jak w nagłym przebudzeniu się w ciemnościach, — dobry Geniusz Polski, — patriotyzm i gotowość do ofiar, postawił rzeczy na drodze, na której możliwem było zbawienie. Wtedy komitet centralny w Warszawie nie zrzucając z siebie zasłony, która była potrzebną podczas przygotowawczej konspiracji, lecz z rozpoczęciem otwartej walki ustać była powinna, — zaczął się bawić w Rząd, nie będąc nikomu znanym, chciał być wszystkim, prowadzić wszystko; wydawał drobiazgowo rozporządzenia, stworzył armię biurokracyi, zalał prowincje komisarzami, nawet te, gdzie nie mógł być ślepo słuchanym, bo sam wzbraniał powstanie, a zmieniając się co chwila w swym składzie, uchwałami swemi po większej części sprzecznymi, rodził zamęt i paraliżował usiłowania pojedynczych ludzi i prowincyi, tem bardziej, że następstwo konieczne rządu bezimiennego i niewidomego, nadużycie pieczęci rządowej, coraz częstszem się stawało; zresztą karząc wszelkie partje, zaszczerpił w szeregach powstańczych facyjną insurbordynację, podnoszącą sztandar buntu bezkarnie w każdej niemal wyprawie i potyczce, w narodzie zaś otworzył wrota popisowywania się wszelkich możliwych stronnictw. Zdolności indywidualne, w któreśmy niezmiernie byli ubodzy, zamiast kupienia się i wzmacniania około stałego środka, którym się mógł stać Rząd jawny, zaczęły się agregować w ekscentryczne kupy i tworzyć rozliczne partje, a wszystkie dla dodania sobie większej wagi, na pozór rządowe, zatem tem bardziej rozspręgające i osłabiające siły moralne i materialne narodu. Możliwość istnienia takich partji tłumaczy się tajemniczością rządu, a więc niepodobieństwem wykazania, które stronnictwo właściwie było rządowem; powstały one zaś tym sposobem, że każdy nowy komisarz rządowy, — a byli to po większej części albo dziecienni naśladowcy politycznych fanfaronad, albo próżni i nierozsądni studenci, chcący eksploatować patriotyzm prowincyj na własne wyniesienie się, — formował sobie nowe stronnictwo. Przy zamieszaniu, jakie ztąd w organizacyi tak pomocniczej, jak powstańczyj powstać musiało, nie trudno już było przewidzieć smutny postania koniec. Bo kiedy powstaniu w Kongresówce i na Li-

twie brakowało broni i amunicji, a nawet ludzi, pełnomocni rządu narodowego trzymali w nieczynności w Galicyi do 10.000 powstańców z mnóstwem broni i przyborów wojennych, póki Austria wszystko to nie zagarnęła i nie położyła tym sposobem końca powstaniu.

Są tacy, którzy innem przyczynom przypisują upadek powstania naszego, szukając ich w urojeniach, na usprawiedliwienie swych błędów i na dalsze obalamucenie umysłów. Podług nich upadło powstanie dlatego, że 1, nie dość teroryzowano, 2, że nie poruszono mas. — Ze wstrętem tylko można się wzięść do zbijania tych twierdzeń, które przebiegłość wymyśliła na swoją korzyść, a którą poczciwa, lecz niedouczona młodzież powtarza dobrodusznie, rada, że tak łatwo i krótko zgłębić można filozofię naszej polityki.

Najpierw nie tak łatwo teroryzować Polaków, bo nietylko nie brak nam odwagi, by się nie złąknąć groźby, ale nadto mamy żyłkę robienia na przekór, tak, że teroryzowanie u nas wywarłoby wręcz przeciwnie skutki tym, któreby teroryści zamierzali. A potem teroryzowanie, jeśli nie ma stać się śmiesznem, musi być popierane czynem; groźba bez egzekucji na nic się nie przyda, do egzekucji zaś trzeba siły, tej zaś rząd narodowy nie miał nawet tam, gdzie istniało powstanie, dla ukarania nieposłusznych wodzów, cóż dopiero mówić o prowincjach, w których nie było powstania, gdzie wspierano powstanie, nie dlatego że jakiś rząd to nakazał, lecz z poczucia obywatelskiego. Przypuśćmy wszakże, że można było wykonywać groźby. Wywieszenie złych ludzi byłoby zapewne pożyteczną rzeczą, trzeba by tylko, aby Opatrzność zesłała na ziemię anioła sprawiedliwości, któryby w sercach czytał i karę wymierzał, — chociaż na to znów nasi apostołowie teroryzmu możeby się nie zgodzili. Oni by chcieli, by Gniew wieszał, a oni wedle swoich planów ofiary dyktowali. To jest klucz ich teorii. Zabito Kuczyńskiego i czyn ten pochwalają, bo ofiarę wskazał pan Kurzyna; sąd z obywateli zacnych złożony, uznał Kaczkowskiego winnym i Rząd narodowy potwierdził wyrok, Kurzyna kazał znieść ten wyrok, choć nie na śmierć, lecz tylko na banicję opiewający, ponieważ Kaczkowski jest zwolennikiem Kurzyny i współredaktorem „Wytrwałości”. I któż tak z rozumu i czucia obrany, aby świętość sprawy na-

popierane  
czynem

szej, nasz wzniosły patryotyzm, nasz serdeczny entuzjazm odsyłać chciał po wsparcie do takich trybunałów i do najhaniebniejszej zbrodni?

Co do poruszenia mas, myliłby się, ktoby twierdził, że Rząd narodowy tego uczynić nie chciał. Komisarz rz. Majkowski w czerwcu 1863 r. zapowiadał ogólne powstanie ludu w Kongrėsówce, skoro się żniwo skończy, a w jesieni tegoż samego roku członek rządu Milowicz zapewniał, że wszystko przygotowano do podniesienia się mas, po ukończeniu zasiewów ozimych nastąpić mającego. Rząd więc chciał, ale lud nie powstał. Że siła narodu jest w ludzie, o tem nikt nie wątpi; a któżby nie pragnął, by ten lud miał uczucie patryotyczne do powstania niezbędnie potrzebne? Lecz niestety, lud nasz nieoświecony, wiekowa niewola zdrewniały, przez nas opuszczony, a przez wrogów ojczyzny bałamucony, nie wie nawet, że jest Polakiem, a co gorsza, Polskę jako źródło swych nieszczęść uważa. Czyż sądzić, że jednym pociągnięciem pióra, jedną uchwałą, jedną szumną proklamacją zdołacie lud ocucić i porwać go za obiecane swobody, których on nie rozumie, do tego fanatycznego patryotyzmu, który bez broni nawet walczyć potrafi? Wy mu obiecujecie dary z ziemi, którą uprawia: lecz dary w chwili trwogi skutku nie robią, bo lud jest podejrzliwy; czyliż rok 1846 wyszedł wam już z pamięci? a zresztą na cóż się może przydać patryotyzm kupiony? Patryotyzm to cnota, powiedziałbym największa z cnót, bo zaparciem się siebie samego, dla dobra ogółu; cnota zaś każda tylko przez długie nabywa się ćwiczenie. Powstańców nam nie brakowało, użyć ich nie umiano; jakoż niezaprzeczoną jest rzeczą, iż podczas powstania sto razy trudniej było o karabin, niż o żołnierza. Cóżbyśmy byli dali ludowi w ręce, gdyby się był podniósł? Czyż w początku powstania nie garnęli się włościanie? dlaczego potem odstąpili? Bo nie znaleźli broni, ani ładu w obozach.

Uderzmy się więc w piersi i wyznajmy: powstanie upadło przez nasz nierozum. Wywołaliśmy powstanie bez najmniejszego przygotowania, bo nie przysposobiwszy jednego naboju, nie-sprowadziwszy jednego karabina; po wybuchu zaś powstania zamiast naprawić ten błąd, co przy serdecznem współdziałaniu możeby się dało skutecznici, zaczęliśmy się bawić w Rząd i za-

miast się zając bronią, zajmowaliśmy się organizacją biurokracji cywilnej, sądowej, dyplomatycznej, wojskowej i finansowej, policyjnej i Bóg wie jakiej, która pochłaniała składane na ołtarz ojczyzny ofiary i marnowała tysiące sił młodzińskich, przeznaczonych do walki z wrogiem, a nie do pisania po biurach, karyerowania i szpiegowania się wzajemnego.

Mąż silnej woli może się pomylić, lecz nigdy nie żałuje.

Łatwiej iść naprzeciw śmierci, niż czekać na śmierć.

Bez wspólnego oderwania się od własnej osobistości, nie masz prawdziwego szczęścia; dla tego samolub nie może być szczęśliwym.

Lubimy rozprawiać o uczuciu, a przecież na próżnobyś go szukał między nami. Bo też mowa najwięcej się toczy o nieobecnych.

Do zawarcia związku małżeńskiego potrzeba z obopólnego poświęcenia. Każda strona winna złożyć najszlachetniejszą część duszy, winna okupić szczęście wyrzeczeniem się, zaparciem się czegoś; jest to niezbędny warunek prawa równowagi, oddziaływania, rządzącego wszystkim na świecie.

Do redaktorów „Pracy”.

Nie mogę, jak to panu ustnie oświadczyłem, ułożyć Programatu, ponieważ od dwóch lat nie macałem pulsu społeczeństwa naszego. Lecz są pewne zasady ogólne, z których każdy nieuprzedzony, a szczerze i z zamiłowaniem sprawą narodową zajęty, ułożyć sobie może, odpowiedni danym politycznym i społecznym program.

1. Żaden naród, nawet najrządniejszy i najszczęśliwszy, nie poszczyci się jednostajnością przekonań politycznych; walka opinii jest tętmem życia, ale w krytycznych chwilach ojczyzny, póki sumienie narodu żywotne, Francuz przedewszystkiem jest Francuzem, Anglik, Anglikiem. Kościuszko wychowaniec demokracji amerykańskiej walczył za Polskę pod sztandarem

konstytucyi monarchicznej 3-go Maja. Snujmy więc, wykładajmy nasze pojęcia polityczne i społeczne, ale pókiśmy w obcych więzach, nie bierzmy ich za hasło narodowe, mianowicie zaś nie bierzmy ich za podżogę nienawiści wzajemnej, za chorągiew walki domowej. **Niepodległość Polski** jest głównem, wszystkich nas życzeniem; co do tego nie ma między nami różnicy; tylko przywłaszczając sobie w fatalnej zarozumiałości nieomylność w utorowaniu drogi do tego celu, wpadliśmy w rozdzielenie i zamęt waśni, który nam zasłania cel, do którego wspólnie dążymy. Przestańmy więc dla rozmaitych w tym podrzędnym względzie przekonań nienawidzić się jak wrogi, my co bracią, i bracią nieszczęśliwą jesteśmy. Ani klęski jakieśmy ponieśli, ani zawód w ludziach i rzeczach nie odebrały życia narodowi naszemu; dość położyć rękę na serce każdego Polaka, a poczujem że silnie bije na myśl o ojczyźnie. To więc uczucie, miłości ojczyzny, weźmy za kit, który nas ma połączyć, niepodległość zaś Polski za cel do którego mamy dążyć — i dalej w imię Boże w drogę.

2. Lecz by dojść do zamierzonego celu, trzeba siły; gdzież szukać pierwiastków tej siły? **w Polsce samej**, a to tak w rękę naszemu, jak w głowy naszych; tak w ludzie, jak w inteligencji, słowem we wszystkich czynnikach narodu. Kto zamiast zużytkować wszystkie siły narodu ku wspólnemu celowi, jednych tylko używa, lub wcale siły te waśni między sobą i jedną popycha na drugą, ten w pierwszym wypadku oczywiście nie chce dojść do celu, w drugim wypadku używa tych sił na rzecz swej płochości lub namiętności, a na szkodę Polski.

Być może, że pierwsze skruszenie kajdan przyjdzie nam z zewnątrz; lecz siły organicznej i rozumu politycznego, tych rękoi życia, nikt nam nie da, jeśli sami w sobie ich nie znajdziemy, nie rozkorzenimy i nie ustalimy. Na te więc żywotne pierwiastki istnienia społecznego zwracamy umysły nasze, z całą usilnością, z całą wytrwałością. Czyniąc zaś to, nie powinniśmy brać za podstawę, za pierwszy punkt oparcia, Polski jakiej sobie życzymy, społeczeństwa jakie sobie ktoś wymarzył, formę rządu jaką sobie ten lub ów — wykombinował, lecz taką Polskę jak dziś jest rzeczywiście, z całym swem złem urządzeniem, z całym ciężarem obcej niewoli, inaczej postępowanie nasze będzie

błędem, lub zbrodnią. Tylko Polska dzisiejsza, rzeczywista, jest gruntem na którym w rozwiązaniu naszego zadania, praktycznie, a więc skutecznie opierać się możemy, na którym rozwinąć się i ustalić może organizacja narodowa, na którym znajdują się wszelkie potrzebne siły, na którym zbawieni być możemy i będziemy.

Jest to nader ważny uwagi punkt, ponieważ tu najczęściej grzeszymy. Nie wiem czyli dość zrozumiałe wytłumaczyłem się, więc dla uniknięcia dłuższego wyjaśnienia mej myśli przytoczę przykład.

Ktoś chce dwadzieścia korcy żyta zawieźć do młyna, a wiedząc, że para koni uciągnie 20 korcy, pakuje je na wóz i zaprzęga parę koni, ale takich, z których jeden znedźniały ledwo trzyma się na nogach, a drugi zdrów wprowadzie, ale nie chodził jeszcze nigdy w zaprzęgu. Pytam czy dojedzie do młyna? Nie! chorego konia dobieje, dziokiego znarowi, wóz połamie i jeszcze dobrze wyjdzie jeśli zboża nie uroni. A dla czego? Bo nie wziął za punkt wyjścia rzeczywistych swych koni.

3. Celem więc naszym jest Niepodległość Polski, siła ku temu w Polsce, w Polsce rzeczywistej. Pytanie jakim sposobem siłę tę wydobyć? Przez obudzenie gdzie uspiona, przez wzmocnienie gdzie słaba jest świadomość polskości, przez **skupienie świadomych pierwiastków siły** i przez wlanie w tę skupioną siłę organicznego życia, za pomocą centralizacji władzy.

Pod tym ostatnim względem powiedzmy sobie raz otwarcie:

a) Kto wyszedł z kraju, uchodząc przed niebezpieczeństwem prześladowania, ten jak żołnierz co opuścił chorągiew przed nieprzyjacielem, dowództwa nie godzien, chyba wróci do chorągwi.

b) Społeczeństwo jest rzeczą żyjącą, a więc co chwila zmieniającą się; z zagranicy więc, nie patrząc się ciągle na to społeczeństwo, nie można mu przewodniczyć, ani nawet radzić skutecznie.

c) Co jest może dobrym, dla społeczeństwa niepodległego, ku postępowi na drodze rozwoju, — niekoniecznie jest skutecznym środkiem, dla społeczeństwa zostającego pod obcym jarzmem, ku wydobyciu się z jarzma. Nie zapominajmy nigdy o tej różnicy, a ustrzeżemy się szerszenia niejednej teorii głośnej w pań-



stwach niepodległych, w których one służą albo do rozszerzenia sobie swobód, albo do ukrócenia władzy rządu, albo często jako środek stronnictwa dojścia do władzy, — dla narodu zaś ujarzmionego za machinę wydobycia się z niewoli żadną miarą służyć nie mogą, przez nas zaś nawykłych do naśladownictwa obcego liberalizmu, czy to politycznego, czy społecznego, czy religijnego, bezmyślnie bywają zalecane.

4) Na nic się zaś nam nie przyda ani świadomość celu, ani źródła siły do tego, ani sposobu wydobycia onejże, jeśli nie będziemy się kierować w postępowaniach naszych rozumem politycznym.

Upadliśmy, bośmy nie mieli rozumu politycznego. Arystokracja, jezuci, dyplomacja zgubiły nas o tyle, o ile człowieka zabija kula; kula nie zabiłaby, gdyby ktoś nie był strzelił, tak też arystokracja nie zgubiłyby były Polski, gdyby Polacy byli mieli rozum polityczny.

Ponieśliśmy ofiar tyle, krwi przelaliśmy tyle od czasu upadku ojczyzny, że wystarczyłoby na podbicie Europy, — a my nic nie zyskaliśmy; bo nie kierował naszymi krokami rozum polityczny.

Uczmyż go się, bo bez niego do celu nie dojdziem, a za nim go nabędziem, używajmy tej taktyki.

a) Nie czynimy tego co nasz wróg chętnie widzi, lub sam czyni, — a róbnmy to, czego by sobie nie życzył, by było zrobionem. My przeciwnie postępujemy i tak: ciemńcy nasi prześladowają i wyplenają szlachtę, bo w niej największa świadomość polskości, a my jakby ich sprzemierzeńcy, hejże! na szlachtę. Ciemńcy nasi, skoro się między nami wytyczy jakaś osobistość i zaczną nabierać wływu między ziomkami, wszelkimi sposobami starają się ją zabić, my w zawody z nimi wołamy precz z firmami! Jeśli się jakaś narodowa instytucja pojawi w kraju, rządy stawiają jej tysiąc trudności i zawad; my jakby najęci nie mamy nic lepszego do czynienia, jak obrzucać błotem każdą naszą instytucję, wykrywać wszystkie jej wady nie pomnąc często, że wady te są skutkiem niewoli. b) Uzyskawszy jaką taką korzyść od rządu, znośmy to co się w tej korzyści nie podoba, aby zachować choć odbrobinę dobrego, które w sobie mieści i osiągnąć potem to, czego się pragnie, c) nie tykajmy żadnego

rodzinnego urzędzenia, choćby wadliwego, jak długo nam może służyć jako machina do wydobycia się z jarzma, potem sobie zmienimy (religia, klasztory itp.). *d)* Pamiętajmy, że nikt Polski sam zbawić nie może na przekorę ogólnemu usposobieniu, dla tego nadśluchujmy bacznie i nie żądajmy od narodu niczego nie w porę, ani nad jego siły, *e)* porzućmy już raz przezywać się arystokratami, demokratami, białymi, czerwonymi, co wszystko już nawet nie ma znaczenia, nas zaś jątrzy, a broń podaje przeciw nam jeśli nie do czego gorszego, to przynajmniej do czerwienia nas; i tak gdy moskał wybije szlachtę i nieszlachtę, białych i czerwonych bez różnicy, skoro są Polakami. Inni albo nam zarzucają żeśmy czerwoni, to jest krwią i pozorem wojujący rewolucyoniści, — lub też żeśmy feudalną szlachtą niewartą istnienia.

*f)* Trzymajmy się świętej zasady, że sprawiedliwość i prawda nie powinny używać na swą obronę złej i niełojalnej broni, broń taka zawsze się obróci w końcu przeciw temu, który ją używał. Lubimy przesadzać w naszych mowach i pismach, dlatego nam nie wierzą nawet wówczas, gdy szczerą prawdę mówimy.

*g)* Mamy do walczenia z wielu złymi ludźmi, źli ludzie pozostają ze złych rzeczy; poprawmy przeto rzeczy, a poprawimy ludzi.

*h)* Przyszłej formie politycznej Polski dajmy teraz spokój, odstęczyć moglibyśmy od współdziałania tych, co chcą także Polski, ale z inną niż my formą polityczną. Ożyjmy pierwej, a życie dobierze sobie do miary formę.

*i)* Zarozumiałość nie przystoi tym, którym się nie udało, wygląda to na fanfaronadę, która u bezsilnych śmieszny. Strzeżmy się tego w naszym postępowaniu; lecz unikajmy także jeremiad, bo te i poniżają i nudzą.

*k)* Chciejmy raz poznać, że zapał przewycięża wprawdzie największe przeszkody, lecz może poprowadzić i tam gdzieśmy zająć nie chcieli; miejmy go przeto zawsze na wodzy; zresztą zapał nie trwa długo, lecz jak szybko powstał, szybko mija, dlatego nie posługujmy się nim tam, gdzie trzeba dłuższej i wytrwałej pracy.

*l)* Życie i losy ojczyzny są dziełem zbiorowem jej synów. Każdy w swym zawodzie im gorliwiej pracuje, tem mocniej i energiczniej przyczynia się do ogólnego dobra. Wszystkie zdol-

ności, wszystkie osobiste zasługi serca i głowy, obracają się na karb potęgi i sławy ojczyzny, dlatego zachęcajmy do pracy, nie lękajmy się zarzutu, że propagujemy materializm; chcąc ducha wyswobodzić, trzeba oswobodzić ciało od jarzma potrzeb, nie zaś poddawać je pod brzemie nędzy — nędzarz jest największym niewolnikiem.

*m)* Krzywdy nam zadane przez naszych ciemieńców, są tak zuchwałymi pogwałceniami wszelkich praw boskich i ludzkich, że nam każdy oręż świętym być powinien, który jest zdolny skruszyć ich potęgę. Zdradzilibyśmy więc ojczyznę, gdybyśmy przeszkadzali aby ręka nam niemiła, zdejmowała z niej kajdany.

*n)* Wpływajmy, aby naród kształcił wolę i nabierał zdań wyrozumowanych a nie narzucanych przez opinię, bo tylko na takich ludzi liczyć można.

*o)* Głupcom nigdy nie dowierzajmy, a kobietami w polityce nie posługujmy się.

**17 kwietnia 1865.** Z pomiędzy wielu darów przyciągania ludzi, pojętne ucho na cudze słowa, należy bezwątpienia do najdzielniejszych. Człowiek przywiązuje się do roli wdzięcznej za ziarno jego trudu, toż samo dzieje się w świecie moralnym. Silny umysł spotkawszy drugi sobie podobny, w którym nasienie prawdy, niemal w chwili siejby przyjmuje się, kiełkuje, rozrasta i barwistem kwieciem wyblęska — kocha własne swoje pojęcie, na niwie obcej wyrosłe i wchłania zarazem w pierś cały odblask uczuć istoty, na którą wpływ wywarł.

Pan X. dokładnie obznajomiony z historią świata, pamiętał ile klęsk spadło na ludzkość, ile stoczono krwawych wojen, ile przegrano stanowczych bitew, ile potracono koron, lub zgubiono znakomitych rodzin — jedynie dla źle strawionych pokarmów w monarszych lub wielmożnych żołądkach. Swoboda myśli, bystrość pojęcia, żywość uczuć zależały od regularnego ruchu organów mózgowych; mózg nawzajem czerpał wszystkie siły z żołądka, ten zaś ostatni za najlżejszą obrazę, nielitościwie mścił się nad głową i wprawiał ją w bezwładność. Żołądek ergo był głównem kołem człowieczej maszyny, kołem którego doskonałość i smarowidło nie mogły przezornemu umysłowi nastęczyć dość uwag.

Próżno ojczyzna jęczy w niewoli, próżno niemiec i żyd grabią w drapieżne dłonie ostatki krajowej chudoby, próżno chmury trzema berłami pędzone, ciemnością zalegają narodowy widnokrąg, próżno bezrząd gryzie zatrutym zębem spokój domowy — bawmy się! Dalejże na skroń, co najbarwniejsze kwiaty, na pierś najpiękniejsze jedwabie, klejnoty na wypieszczone ręce, uśmiech na rozwałęsanę rozkoszą oblicze, a w usta: upajające melodye o miłości, o poświęceniu, o ciężkiej niedoli kraju, o twardem jarzmie wrogów, w usta: wieczną gotowość do potwarzy, zgryźliwe krzyki zawiści, zajadłe na cudze wady rozścieklenie. Bawmy się!

Uschło nam serce, to źródło gorzkich cierpień i odczarowań. Liche ostatki zabitego organu tego parują do głowy, dają złudzenia, uczucia miłości, przyjaźni, poświęcenia — pozwalają we łzach tonąć nad każdą nędzą, promień zapałem na wzmiankę o szlachetnym czynie, płonąć grozą przeciw uciskom, drżyć gotowością ofiary — na włos atoli nie zaprzec samego siebie, gdy idzie o wykonanie; dla urzeczywistnienia tych wzniosłych uczuć w niczem dźbła sobie nie ująć — pomimo to jednak uważać się za istotę wyższą od gminu, za istotę wybraną, czasami nawet świętą!

Kto sam był młodym (bo nie każdy miał młodość), komu się zdawało, że ma za wielkie serce dla małych w około ludzi, komu myśl gorąca oskrzydłona fantazyą wyrwała się z głowy i jak szalona to na włosku wieszala go nad przepaścią, to lekko składając na jedwabnym węzłowie, chłodziła mu skronie wieńcami z róż i narcyzów, podawała puhar czarodziejskich upojeń, rzucała w jego objęcie stworzenia, jakich później nie spotkał nigdzie — w kim życie tak kipiało, że pierś mu schła od pragnienia kogoś pokochać, za kogoś się poświęcić, z boleści lub ze szczęścia za kimś się rozplakać — słowem, jeżeli w pierwszych latach życia lekarz biorąc go za puls rzekł do jego matki; „nerwowe dziecko, kąpać go w zimnej wodzie“ — temu nie potrzeba tłumaczyć dla czego oczy nie widzą, choć patrzą, dla czego wzrok ściga błędne pogonie chmur po stepach lazuru, dlaczego chwieje się wraz z kroplami rosy roziskrzanej po liściach i kwiatach, dlaczego drży z każdym zmarszczkiem rozbłyskota-

nej na wodzie fali, dlaczego mruga z każdą gwiazdą, przepada za każdym światłem.

Błogosławione to chwile — drogie powiernice najskrytszych wyznań, najdziwaczniejszych nadziei, najszańszych zamiarów, najsrońszych bólów, najtwardszych zgryzot, najmilszych wspomnień, słodkich rozkoszy! Czarowne bańki mydlane, pękające za pierwszym blaskiem salonowej lampy, za pierwszym słowem gościa lub gospodyni, gospodarza lub domownika, przyjaciela lub kochanki!

A przecież wracamy się chętnie do tych błogich chwil, wracamy tam, gdzie nam bez wstydu lub śmiechu wolno zamarzyć o mądrości starców, o dzielności młodzieży, o przyszłej godności i o szczęściu dorastających pokoleń. Tam snują się w fantastycznych kształtach szczerzy przyjaciele, przywiązani krewni, pełni zaparcia samych siebie politycy, kochający więcej wolność niż siebie apostołowie ludu, zapaleni ewangeliczną miłością duchowni, nie wypasłe na ludzkiej nędzy filantropy, goniący za ideałem artyści, wrogi kłamstwa, obłudy, niezgody, samolubstwa i potwarzy. Tam jeszcze mamidła wyobraźni potrafią wywołać wszystko — nawet kobietę anielską od prostoty, od prawdy, od miłości — chociaż zrodzoną w bogatej kolebce.

Niech skąpiec, gracz lub spekulant, samotnie puszczają się w pogoń za złotem, niech rozpustnik i samolub pędzą sami jedni z rozkoszą; niech opętani chęcią zaszczytów lub władzy pełzają w odosobnieniu przed tronem lub opinią gawiedzi — człowiek, który w sercu nosi ludzkie zamiary, który życie wydaje dla zwycięstwa sprawy światła, swobody, godności — raczej niż samotnym manowcem ruszy wedwójną, szeroką drogą, wsparty potęgą siostrzanego ducha, koniecznem dopełnieniem ludzkiej jednostki.

W naszym kraju kobieta stoi na straży arki ojczyznej nieśmiertelności; ona pchnie męża do czynu i dzieci wyśle na pole bitwy i nad poległymi zapłaczę i więźniom przez kraty błysnie promieniem nadziei.

Jakby niedość było stronnictw w biednym naszym społeczeństwie, utworzyło się po wybuchu powstania, stronnictwo

czynu. Sądziłby kto, że to stronnictwo składa się z ludzi działających, a więc walczących z Moskałem; lecz gdzie tam! Nazwa tego stronnictwa pochodzi od nieczynienia, jak „lucus a non lucendo“, bo już ciż za czyn nikt nie uzna kawiarnianego hałasowania, krzykliwego rozumowania, szkalowania i jątżenia. Z tych nasion rodzi się tylko zwątpienie, nienawiść, zabójstwo ducha, zabójstwo miłości, które sama zapładnia. Ludzie tego stronnictwa ani przed powstaniem, ani podczas powstania, ani teraz po powstaniu nie pochlubią się czynem, chyba czynem w znaczeniu rosyjskim, bo też im chodziło głównie o złapanie jakiego urzędu w organizacyi powstańczej, chyba więc w tem znaczeniu są stronnikami czynu.

*Est bieu fon du cerveau  
Qui prétend contenter tout le monde  
et son père.*

*La Fontaine.*

Szczególny to typ ta młodzież warszawska, z którą w czasie powstania, a bardziej jeszcze w więzieniu stykałem się. Z twarzą okwitłą, zwiędła za wczasu, zmęczona. W oczach płonie reszta ognia niedojrzałego w piersi. Z czoła nie patrzą sny młodzieńcze, z ust nie uśmiecha się nadzieja, w mowie i obejściu nie ma tej szczerości, jaka znamionuje młodość, a szczególnie młodość Polaka. Na sfałdowanym zmarszczkami czole ucisk napisał zemstę, despotyzm wyrzył wyrok śmierci, niewola nagięła do skrytości i niedowierzania. Jest tam bohaterstwo, ale niespokojne, namiętne, dopraszające się oręża, walki i — zgonu. Gdy się do ciebie zbliżali, czułeś, że wieje od nich chłód konania i bucha gorączka męczeństwa. Jest tam egzaltacya, ale zemsty. Męczarnie zagłuszyły w nich poczucie prawdy — są szaleni boleścią. Płomienia tam dość, ale tylko płomienia, rzuć nań garść słomy, buchnie ogień wielki i spłonie. Żelazny despotyzm zламаł całe pokolenia, a trucizna jego powolnie w żyły wsiąkła. Jest więc gorączka, nie ma hartu; jest płochosć i zarozumiałość olbrzymia; są talenta ale w pieluchach, bo ich nie rozwinęło wychowanie, bo je zdusiła ciemnota; pół oskrobani, niedouczeni, samouki, gorączkę biorą za energię, szaloną chęć zemsty za patriotyzm.

Do ołtarza ofiary trzeba iść ludziom czystym, świętym, obleczonym w szaty białe i obmytym w wodzie życiodawczej zaparca się; do ofiarnictwa za ojczyznę potrzeba kapłanów — oni co najwięcej chłopcami do trybularza byli. Szał jest doskonały do roboty trwającej 24 godzin, ale gdzie się na dłuższą zanosi, tam trzeba czegoś więcej — rozumu.

Na polskiej płonce wychowanie Muchanowa zaszczepiło moskiewską latorośl rewolucyjną. Młodzież z Warszawy jest moskiewską, nie wiedząc o tem. Mówią i czynią przez nią Herzeny i Bakuniny. Ucisk wywołał oburzenie, a tchórzliwe wychowanie zrodziło ślepotę. Dzieci żałoby, potomkowie ucisku i grzechu przeznaczeni byli na zgon — bo rozjątrzeni, ślepi i bez rozumu.

Człowiek o tyle wart, o ile umie zwyciężyć siebie, w sobie i na zewnątrz.

Opinia u nas nie z czynów, lecz krzyków powstaje; a krzyczą najgłośniej ci, którzy najwięcej obawiają się głosu publicznego. Ha! życie jest walką; kto sam nie chce zginąć, musi drugich gubić.

Nie ma przeznaczeń, to prawda — ale są w kolebce już na męczeństwo naturą swą wysadzone istoty, które nie unikną nigdy walki i boleści. Dla innych świat staje się ciepłą gospodą, w której im na końcu bardzo dobrze i wygodnie — dla nich jest on zawsze miejscem wygnania i doliną płaczu. Będziemyż tych nieszczęśliwych potępiać, że im świat nie starczył, że ich mętne jego nie napoiły wody, że się nie pogodzili z ludźmi i wzdychali do niebios, nie mogąc ich znaleźć na ziemi?

W ludziach tych dwie górują władze: serce poczciwe, anielskie i rozbujana fantazyja, którą także serdeczną nazwać można. Rodzą się oni, jakby wstawali ze snu rozkosznego, który w nich rajskich widzeń zostawił pamiątkę; przynoszą na świat pojęcie człowieka, społeczeństwa, obowiązków, a nadewszystko serca i miłości — przesadzone, niemożliwe, dziwne — z których się nigdy uleczyć nie potrafią. Ztąd wszystkie życia omyłki, zawody

i niezatamowanych łez zdroje. W każdym widzą oni i witają jednego z tych aniołów białoskrzydłych, które im się uśmiechały w marzeniu, a omyleni na stu bardzo pospolitych ludziach, co do skrzydeł nigdy nie mieli pretensyi, w drugim setku zawodów nie są ani doświadczeńsi, ani oględniejsi, niż byli z początku.

Świat dzisiejszy poważny a surowy, nie bez przyczyny wymaga i od swych poetów, jak od reszty swych dzieci, zupełnej sił równowagi; nie dozwala bujać zanadto, ani sercu, ani fantazyi, mianowicie zaś snów na jawie i sercowych obłądów nigdy nie uniewinnia, prędzej ułomności cielesne, czysto bydlęce, daruje i przebaczy.

Opinia! sakramentalny wyraz, Bóg, przed którym wszystko na twarz padać powinno! Śmiechu wart kto liczy na swe sumienie, kto sądzi, że wewnętrzne zadowolenie, że pogoda prawego ducha, że błogość nieskalanego serca, jedynym probierzem czynów człowieka. Gawiedź hołduje bałwanom, kto wbrew gawiednej ciemnocie poważa się Boga prawdy na jaw wynosić, jest w obłądzie, w szalonym obłądzie. Precz z prawdą i sumieniem! Niech zgiełk kieruje nami raczej, niż jasna pochodnia wiedzy i przekonania. Opinia?... dość wymówić to słowo, aby grobowem milczeniem zwarły się usta własnego sądu, aby w poniewierkę poszły wola i samodzielność, aby człowiek nim kur trzykroć zapieje, trzykroć pomiótl własnem zdaniem i wyparł się św. ducha prawdy.

Mniejsza o to czy w głosie opinii prawda, czy fałsz tętni; przemówiła i wnet z wolnego, staje się służalec. Stworzony na wznoszenie głowy, ród ludzki, pełza odtąd po robaczemu; zamiast braterskiej zgody, wre nienawiścią i wojną, zamiast miłości i wzajemnej pomocy, tchnie rozbojem i kradzieżą; zdradza, sprzeniewierza, kłamie, zabija, ginie, a za każdym czynem, za każdą plagą powtarza wszechwładne słowo Opinia! Ha, gdyby jeden promyk światła padł na potworne kształty tego ich bożyszcz! od zgrozy włos słupem zajeżyłby się im na głowie. — Skąd powstaje to bożyszczce, z czego się składa jego potęga? Oko jego ślepe na szlachetne czyny, ale niech jeno gdzie biała pokaże się



szata, niech go blaskiem rozdrażni, niech jad zawiści wystąpi mu na usta i zakorci do orzucenia błotem śnieżystej szaty — wnet przez szkła podejrzenia i wzrokiem zatrutej wyobraźni, na słońcu plamy wynajdzie, w niemowlęciu upatrzy zbrodniarza.

Opinia? wszetecznicza nad wszetecznicami! wdzięczy się do każdej pomyślności, proch zamiata przed każdym przesądem, przywilejem, bogactwem, chociażby w źródle ich było więcej podłości, niż piasku na brzegu morskim. Ale niechaj skromna zasługa, niech cichy trud, niech poświęcenie nieobębnione po rynkach, do niej się odwoła, hejże na wydziedziczoną w społeczeństwie sierotę: dalejże wykazywać nicość w zasłudze, bezskuteczną nieudolność w trudzie, rachubę w poświęceniu! Dwie u niej miary, dwie wagi. Na jednej zbrodnie światowych szczęśliwców przeistacza w zręczne przedsięwzięcia, tłumaczy niewinnym szalem namiętności, na drugiej, błędy niewieńczonych od urodzenia losem, stoczy pod pręgierz, na rusztowanie, pod katowski miecz. Cała można z miłości własnej, z zawiści, z potwarzy, wtedy przestaje syczyć i schlebiać nawet zaczyna, gdy nogę postawisz jej na gardle, gdy nikiemnicę powalisz w rodzinne jej bagnisko, gdy z kolei wzgardzisz nią i sromotę jej na biały dzień wywleczesz.

Daremniebyś chciał odgadnąć rzeczywiste kształty tego potworu. To połowa onegóż, która wlecze się za ulubiećcami fortuny, kłuje cię w oczy: druga, która jak młotem, druzgocze samotnych bojowników przeciw przesądom i ciemnocie, mający ci przed wzrokiem, zatracając w zabójczych wyziewach rzeczywiste zarysy. Gdy głosi dytyramb pochwalny na cześć biesiadników społecznej uczy, zwą ją po imieniu; napróżno szuka jej nie-szczęśliwy, obalony niewidzialnym jej ciosem; zdrajczynie uciekła w mgły bezimiennosci. Ztamtąd zaraża powietrze otaczające ofiarę, tak że męczennik igłami oddycha; ztamtąd uzbraja przeciw niemu rodzinę, przyjaciół, znajomych, rodaków, świat cały. Daremnie pokaleczony patrzy po wzrokach, próżno chwytą ruchy ust, podstępny szmer dwuznacznych słów; mara znikła za wyciągnięciem ręki, ale w odwrocie jeszcze tem niebezpieczniejszym raziła pociskiem.

Kto nie poczuwa w sobie dość silnych zamiarów, temu cudzy sąd natrętnem brzęczeniem owadu. O radę zwykle pytamy tych, o których tożsamości zdania zawczasu jesteśmy przekonani; najlepszy dowód jaką wagę przywiązujemy do cudzego sądu.

Ci z pomiędzy nas, co to z taką zaciętością powstają na wady narodu, iż zdawałoby się, że są największymi jej wrogami, mówią na obronę: że namiętne serca w przedmiocie swoich za-pałów wprzód widzą niedostatki niż przymioty; że troskliwa matka za umartwieniem z błędów, często nie spostrzega pociechy z zalet swych dzieci, radaby je widzieć doskonałemi, aby przed Bogiem i ludźmi usprawiedliwić nieskończoną swą miłość; że zaciętość tę ku wadom krajowem i błędom narodu, czują tylko umysły głęboko rozdrażnione jego nieszczęściem, poświęcone do ostatnich sił walce i pracy za jego przyszłość. — Święta ta prawda, brak tylko względu na jedną okoliczność. Przed obcym napadem, matka zapomina żalów i smutków z wad swych dzieci, a widzi jeno ucisk ich przez wroga; w obec wspólnego nieprzyjaciela, brat bratu błędy przebacza, syn w ojca obronie wszystkim uczucia w zemstę przeciw wrogowi zestrzela. -- Pytam, czy my zwalczyli już wspólnego wroga?... Nie wierzę więc, ani w namiętą owych krytyków miłość ojczyzny, ani w ich poświęcenie dla dobra narodu; kierują ich krokami względy osobiste; kto zaś w takich okolicznościach w jakich ojczyzna nasza się znajduje, może o sobie pamiętać, o tem wszyscy powinni zapomnieć.

Dla obojętnych, dla zawistnych, wystrojonych w barwy zdradliwych uczuć, - wyrzekać się własnego przekonania, rzucać im sumienie w zamian za kłamany pieniądz powszednich wynurzeń, ci tylko potrafią, których towar tejże samej wartości. Łatwo i z przyjemnością płynie się z nurtem; kierunek ten nawet w ostatnich czasach podniesiono do potęgi ogólnej zasady; trudniej samotną pierś wystawić przeciw prądowi rozhukanych łał. W takich atoli przebojach są zadowolenia, są rozkosze, o jakich nie śniło się żeglarzom o wiecznie pomyślnym wietrze.

Przy pieniądzach, głupstwo jest oryginalnością, płaski do-wcip głębokim rozumem, zuchwalstwo rycerską odwagą, szu-

mowiny miątkich wiadomości wytrawną nauką, powszednie zdanie nieodwołanym salonowym sądem, karczemna rubasznosc wdziękiem, szpetnosc krasa, występki wesołem roztargnieniem, chytrosc zręcznoscia, bład ciężki lekką pomyłką, wada zaleta, zaleta geniuszem. Pieniądz wszystko opromienia, wyszlachetnia do nieskończonej potęgi podnosi, uniewinnia; pieniądz nie błaga ale rozkazuje, nie przekonywa, ale narzuca.

Biada wydziedziczonym! Uczynki ich podejrzane; słowa nieszczerze, myśli zdradliwe, milczenie obłuda, cnota rachuba, praca niechętnie i zawsze niedokładnie spełnionym obowiązkiem, światło ich ciemnoscia, prawda fałszem, dobro złem, skromnosc przekonaniem o własnej głupocie, zaleta niczem, słabostka haniebną wada, wada występkiem, występki zbrodnia, zbrodnia źródłem nieubłaganej pomsty choćby na całe pokolenia. Biada, po trzykroć biada wydziedziczonym!

Jeżeli kiedy sam siebie tak dalece znieawidzisz, że u piekła poprosisz zemsty nad sobą, sprzedaj wszystko co masz, a pieniądze wyrzuc za okno. Lepszej rady nie da ci sam Lucyfer.

Śmiech na twarzy a w sercu płomienna nienawisc; przyjazne słowa w ustach a w myśli kryjaca się zdrada; dobroc w mowie, oszustwo i walka na zabój w czynie; religia w teorii a w praktyce bluźnianie jadem na bliźnich: oto dowody rozumu naszego społeczeństwa; po zręcznem dopełnianiu tych warunków świat rozeznaje mądrego od obłąkańca.

Pomimo dróg żelaznych, zapalek chemicznych, telegrafów elektrycznych i paszportów, pomimo kayeny i Nuka-Hiwy wynalezionych w opoce republikańskiego braterstwa we Francyi, pomimo Spielbergu w Austryi, Sybiru w Rosyi i galar Ojca świętego; pomimo wszystkich wyduszanych i odkradanych konstytucyi, pomimo konstytucyjnych stanów oblężania i literackich płodów cesarza z woli narodu — cywilizacja jest dopiero u kolebki.

Opinia i ciągle opinia! Opinia w dzisiejszym stanie stonków jest wypadkiem namiętnosci, samolubstwa i ciemnoty,

niesformnym gwarem, gdzie szalonemu chyba szukać sprawiedliwości prawdy.

Wolność jeno i ścisły rozum mogą domagać się o głos, o posłuchanie, o uwagę na wydany wyrok. Gdzie u nas są ci wolni ludzie? Kto u nas w życiu powoduje się samodzielnością człowieczego ducha? U nas większość dotąd jest przekonana, że grzesznik po śmierci wpada w kocioł gorącej smoły i roztopionej siarki, że wpływ jakiejś poświętej szmatki lub kości może przełamać odwieczne prawa natury i t. d. Jakąż wagę można sądom ludzi takich o pojedynczym człowieku, o jakimkolwiek czynie przypisać. Nie opinia więc, lecz własny samego siebie szacunek jest trybunałem i jedyną nagrodą za szlachetne usiłowania i czyny. Najwyższym dobrem człowieka, ostatecznym jego celem, rzeczywistą wartością, zasadniczym prawem, warunkiem postępu jest wolność. Wolność zaś nieograniczona jak myśl ludzka, jedną ma tylko kierownicę a raczej rękojmię: własną odpowiedzialność. Wolność i własna odpowiedzialność są nierozłączne, żyją przez siebie i dopełniają się nawzajem. Skoro życie człowieka na tych dwóch osiach się zatoczy, wóz musi biedz prostą drogą — a wówczas jeśli się podoba, można mimojazdem pochylić się i podnieść leżącą gdzie u koła przychylną opinię gawiedzi.

Kto zna historyczną konieczność, a badał symptomata terazniejszego stanu zdrowia Europy, ten musi przyjść do przekonania, że szparkimi kroki zbliża się epoka przewrotu dotychczasowych politycznych, narodowych i społecznych stosunków. Ani w nieomylność Papieża, ani w świętość pomazanych królów, ani w doskonałości konstytucyjnych teorii nikt już dziś nie wierzy. Każdy to już widzi, że dzisiejszy porządek wspiera się na materialnej przemocy, bynajmniej zaś na zasadach sprawiedliwości, zakorzenionych w sumieniu. Sprawa obecnego szyku i ładu tak upornie podtrzymywana przez ś. Przymierze jest już ostatecznie przegraną w pojęciach i w umyśle ogółu. Historia wykona wyrok, ale porę ku temu wybierze nie gwoli niecierpliwości ludzkim, jeno stosownie do nieugiętych praw swoich.

Tak jest: nadchodzi chwila wzajemnego obrachunku, ogólnej likwidacji. Wartości zużyte, porządki strupieszale, państwa świecące pruchnem -- naprzód legną. Żywioły drgające potęgą

żywotnych sił, pierwsze zabłysną na jaw rzeczywistego, samodzielnego bytu. Powiadam więc, że obrachunek nastąpi i wielka księga nowego żywota rozpoczętą zostanie.

Każdy zaś bilans składa się z dwóch kolumn: z biernej i czynnej. Pierwsza obejmuje wydatki, straty, fałszywe zapatrzienia, zwichnięte przedsięwzięcia, zmarnowane siły, wyszczególnienie zarodów rozkładu i przyczyn upadku. Druga przedstawia zyskane skarby, oszczędzone zapasy, spis żywołów do samoistnego bytu i do energicznych dzieł na przyszłość.

Na Boga! nasza bierna kolumna bardzo długa; starajmy się póki jeszcze czas dodawać potęg czynnych, aby przy nastąpić mającym obrachunku bilans wypadł na naszą korzyść.

U nas wiedza, wyobraźnia i natchnienie, nieszczęsnym jakimś zanurtowały korytem. Dla piersi spragnionej powietrza nadziei — przeświadczenia o nieśmiertelności narodu, nie ma czem odetchnąć. Z boleścią wyznać trzeba, że w objawach narodowego ducha na polu prac umysłowych brakuje życia, rzeczywistości.

Pisarze poważni, głębocy badacze, jeden tylko cel założyli swoim trudom: przyszłość. Lekka kohorta fantazyi w gawędach, powieściach, ulotnych utworach, upornie stawała plecami do przyszłości, jak gdyby samowolnie rzekała się wszelkich do niej praw. Piśmienictwo polskie przedstawia bolesny widok publicznej sprzedaży upadłości ś. p. Ojczyzny. Na kwestye rdzennie żywotne, głęboko narodowe, na kwestye wyłącznie dające nadzieję i rekojmię zmartwychwstania i nieśmiertelności prawie nikt nie zwraca uwagi.

Jeszcze do r. 1848 i kronikarstwo i starożytnictwo i brzuchate gawędy i opite hajdamactwo, znachodziły jakiegokolwiek usprawiedliwienie, bo postępowego nurtu chyba w naradach tajemnych stowarzyszeń doszukiwać się trzeba było. Ale wybuch 24 lutego wyjaśnił widokrąg, rozpedził chmury mistycyzmu, utopii mglistych społecznych teoryi, romantycznego kronikarstwa, jaki w grubych całunach wisiały nad pojęciami badaczy. Historia przerzuciła się od razu w peroyd organiczny. Kwestye żywotne dla losów społeczeństwa, konieczne do rozwiązania, głośno powoływały do wszelkiego nad niemi rodzaju pracy.

U nas wypadki roku 1848 obudziły więcej ciekawości, niż żądy współczesnictwa w powszechnym umysłowym ruchu — powtarzam w umysłowym ruchu, gdyż co się tyczy gotowości do bójki za swobodę, nie ma wątpienia, że w razie pomyślnego obrotu rewolucyjnych dążeń na zachodzie, wszystkie części dawnej Polski byłyby godnie zawtórowały chórowi wojennych okrzyków. Na nieszczęście samo rozwinięcie powstańczej chorągwi, jak niegdyś nie wystarczało, tak i dziś nie wystarczy. Nie tylko oręż domaga się hartu, ale i myśl. Galicja jednym czynem natchnionym: zniesieniem poddaństwa, dała znak, że zrozumiała o co idzie, lecz na tem się skończyło. Piśmienictwo nie poszło tym szlakiem.

Wprawdzie rzec można na obronę, że w większej części Polski łamy niewoli szczerze hamowały w łożysku wolność słowa żywego i pisanego, ale niepodobna zaprzeczyć, że wszelki ruch rzeczywisty, prawdziwy, głęboki ma swoje niepogwałcalne prawa do bytu i taką konieczność jakiegokolwiek objawu, że choćby mu narzucono nie wiem jakie kajdany, jeszcze niemi potrząśnie i szczękiem da o sobie świadectwo.

Epoka uciemnienia narodu naciąga zwykle struny poezyi na ton wysokiego liryzmu. W chwili nawet zaciętej walki, w chwilach tryumfu, swobody, nigdy tyle gwałownych a różnorodnych uczuć od razu za pierś nie chwyta. Rozpacz, nienawiść, zemsta, boleść, nadzieja, fanatyzm, ubóstwienie dla męczenników, spiekle pragnienie krwi wrogów, kolejno lub pospołu unoszą serce wezbrane natchnieniem, płomień i zarzewie sypią na wyobraźnię i w niemożebności stanowczego czynu, gwałtem dopominają się o pieśń.

W pierwszych latach po wypadkach 1831 r. na brak pieśni nie mogliśmy się żalić, a nie ubliżając skromności wyznać nam wolno, że dzięki Mickiewiczowi, Słowackiemu, Zalewskiemu, Goszczyńskiemu i Z. Krasieńskiemu, polscy poeci świecili, jak słońce pośród reszty wierszopisów ludzkości. W owej epoce Polska jedna miała poezję.

Nagle wszystko ucichło, dźwięk narodowego bardonu przerywał ciszę, w rzadkich za ledwie kiedyniekiedy odstępach. Ogół twierdził, że Towiańszczyzna wytrąciła z rąk pióro przewodcom polskich piewców, a nie zapytał się: jakim sposobem najpotę-

źniejsze umysły w emigracji, pierwsi w narodzie poeci i inni ludzie gorącego i czystego serca, dali się owładnąć, porwać, mistycznym frazesom nieznanego przedtem człowieka. Towiańszczyzna bezwątpienia była symptomem chorobliwym, ale nieodzownym umysłów skołatanych, tęsknotą wygnania, przekonanych o ważności Polski w przyszłych losach Europy, zbolałych i oburzonych widokiem materyalizmu, jaki rozpasywał się w Anglii i Francji. Towiańszczyzna zaprotestowała przeciw temu fałszowi, zaprotestowała gorąco, boleśnie, ale protestacya ta zużyła sam kwiat najdzielniejszych sił. Czynem poetycznym zamykano upusty złotemu strumieniowi poezji. Odtąd źródł tryskał jeszcze kiedy niekiedy kaskadą natchnienia, ale przeźroczyść jej była zmącona napływem mętnego mistycyzmu.

Skutki tego kierunku ducha niebawem uwieczniły się nie tylko w poezji i do pewnego stopnia w filozofii, ale co gorsza w powszechnem przekonaniu narodu. Roznamiętniono umysły i serca szczególniejszą teorią, która dowodziła, że Polska między ludami jest Chrystusem, że dała się ukrzyżować i cierpi męki za światło, za swobodę i szczęście całego społeczeństwa. Objawienie to niosło w sobie tyle pochlebstwa i pociechy, że nikt nie odważył się otwarcie przeciw niemu wystąpić.

Nie widziano lub nie chciano widzieć, że Chrystus dopełniwszy żywota promiennego cnotą i mądrością, z własnej woli wyzwał śmierć i męczarnie do boju, że chciał poświęcić się, cierpieć i umrzeć za równość, wolność i braterstwo ludzi na ziemi. Polska tymczasem wstąpiła do grobu, nie z własnej woli, lecz z jej winy; nie poświęciła się za ludzkość, lecz ukrzyżowano w niej dumę i przენiewierstwo możnowładztwa, rozpustę saskich obyczajów, brak zjednoczenia kast i przekonań, a wzięta na mękę, nie poddała się dobrowolnie katom, lecz krwią, czynem, poświęceniem odpierała i odpiera ucisk, walczyła i walczy o byt i swobodę. Nic więc porównania tego nie usprawiedliwia. Polska jest narodem znakomitym w przeszłości, nieśmiertelnym na przyszłość, bo jest koniecznym warunkiem wyprostowania krętych ścieżek nieprawości;—ale Polska nie była i nie jest Chrystusem. Dość tych dymów z poetycznej kadzielnicy, które upajając naród zarozumiałością, w bierny, bezczynny pograżały go letarg. Czas nakoniec z bliska się przypatrzeć; rozpędzenie czarownej ułudy

nie podoba się kobietom, którem do smaku przypadało posągowanie się w zapłakane pod krzyżem Magdaleny, ale naród może tylko zyskać na rozbracie z tym niewieścim sentymentalizmem. Tylko jasna a rozważna rzeczywistość potrafi tchnąć energię w suchotniczo rozwzdychane piersi, tylko prawda zaczerpnięta w istotnym poglądzie na byt jest w stanie przepłoszyć te expiralne cnoty i tryby życia, które zagościwszy się pod nazwą rezygnacyi, męczeństwa etc. wiodą do znikczemnienia umysły i charaktery.

Teraźniejszość, a bardziej jeszcze przyszłość usilnie domagająca się zaczynu czyli fermentu, któryby wzwał bezwładną masę pojęć i na posilny dla umysłów przetworzył pokarm. Mniejsza o to, że ubędzie poetycznych utworów, byle w zamian przybyło ksiąg rytych wzorową, a pożyteczną prozą. Kto pragnie życia ten winien pracować na terażniejszej niwie, ten z terażniejszością winien brać się w zapasy. Nam się marzy, że samo hasło niepodległości Polski kryje w sobie niewyczerpany skarb wszelakiego rodzaju urządzeń. Pora jednak dalej myśl badawczą zapuścić. Peryod organiczny wynikły w następstwie ostatecznej walki, mocno zasługuje na zastanowienie, zwłaszcza w kraju gdzie wiele części gmachu całkiem z nowego wznieść wypadnie. Prace organiczne ledwie rozpoczęte przerwało ostatnie powstanie, nie dość nam było na nabytych już dawniej doświadczeniach, że samo rozwinięcie chorągwi powstania nie wystarcza do odbudowania upadłego gmachu ojczyzny; nie chcieliśmy wierzyć, że do tego trzeba także przysposobić materiały budowli — powstanie upadło, a gmach ojczyzny w większą jeszcze rozsypał się rudę, opamiętajmyż się na Boga! i weźmy się rączo do prac organicznych.

Nowa Targowica przyjechawszy za rosyjskim paszportem do Paryża i pochulawszy tam należycie, piorunuje potem na ohydny despotyzm we Francyi. Panowie ci, zepsute dzieci wolności błogosławionymi rządami carskimi, ciekawi w swych skargach na brak wolności we Francyi, wykonywują obrót. Złożenia przeciw Francyi mają na celu usprawiedliwienie systematu, na mocy którego synowie zamożnych rodzin polskich dla patriotycznych ma się rozumieć pobudek, tłumnie garnie się do



rosyjskiego wojska, dosługując się tam rang nie tylko prapor-szczyków, ale nawet kapitanów i pułkowników. Snac panowie ci poczytują sobie tę służbę za zasługę, w ostatniem bowiem powstaniu, rościli sobie prawo do przewodniczenia narodowi; czy sądzą, że służba moskiewska daje patent na patriotyzm polski, świadectwo na wolnomyślność? czy może uważają służbę rosyjską za drogę do zbawienia ojczyzny? Historia już raz zapisała nazwisko tych, co w połączeniu z Moskałem szukali zbawienia Polski. Z tymi panami nie tyle należy dyskutować, jak raczej w stósownej porze przystąpić do ścisłego obrachunku.

Stosunki społeczne jak w innych krajach, tak i u nas przedstawiają zagadkę ważną do rozwiązania konieczną. Niektóre przeto umysły badawcze, szukając pod tym względem rękoi dla spokoju sumienia, wynalazły sobie w tak zwanej słowiańskiej gminie środek do rozplątania gordyjskiego węzła. Pokuszono się nawet dowieść, że północne szczepy, dzięki opatrzonemu przechowaniu tego zarodka organizmu społecznego, miały nieporównaną wyższość nad ludami zachodu i cel wspólnych trudów daleko bliższy i łatwiejszy do osiągnięcia. Nie wchodzę ile na ten sposób zapatrywania się wpłynęły doktryny Touviera, St. Simona i Cabeta, to zaś pewne, że w gminie słowiańskiej upatrzono fenomen wysoko posuniętej organizacji społecznej, podczas gdy historia i logika wskazują w niej oznakę społeczeństwa barbarzyńskiego, wynik pierwotnej organizacji zawiązującej się zwykle u kolebki wstających ludów. Niezapuszczając się daleko w ubiegłe wieki, gdzie w pierwotnych społeczeństwach wszędzie spotykamy pa-tryarchaty, a po rozmnożeniu się pokolenia gminy takie same jakie dziś widzimy w głębi Rosyi, dość przejść się po niemowlęcych i w niemowlęctwie zgrzybiałych krajach, aby za każdym krokiem nastąpić na ludzkie rojowiska skupione pod hasłem pochłaniających wszelką indywidualność urzędów gminnych. W Indiach organizm ten rozwinął się do tego stopnia, że gmina nie tylko dzieli ziemię, nie tylko wyznacza pracę i zarobek, ale nawet wspólnym kosztem utrzymuje balwierza, muzykanta i t. d. a w skutku tej organizacji gminnej samodzielność zatarła się w mieszkańcach nad Gangesowych do tego stopnia, że jeden

żołnierz angielski poskramia liczną osadę i pod trwogą trzyma całą gromadę.

Spółczeństwo jest sumą pojedynczych ludzkich jednostek; im te jednostki więcej znaczą, im same przez się i o własnych siłach objawiają więcej energii i samodzielności, tem całość jest potężniejszą, znakomitszą, bliższą oświaty, sprawiedliwości, prawdy. Despotyzm koniecznie wlecze za sobą przytarcie pojedynczych osobistości, sprowadzenie ich do nizkiego mianownika, do niewoli. Przyjmijmy tylko gminę jako wszechwładną normę społecznego porządku, a wnet logicznem następstwem dojdziemy do komunizmu, czyli do barbarzyństwa i despotyzmu. Zasada wszędzie jest ta sama, dziedziczny czy wybieralny autokrata, osobnik czy osoba zbiorowa, zawsze to będzie car z knutem w jednej dłoni, z pękiem kajdan w drugiej. Takiego cara ciemiężcę ludzkości, spotkamy niechybnie ile razy wywodząc na widownię sprawę postępu, zechcemy szukać środka na rozwiązanie zagadki w formach, w teoryach, w zarysach zbiorowych organizmów. Nie ma systemu któryby sam w sobie niósł wszystkie rękojmie sprawiedliwości i porządku. Dziś, nie brak już nam na doświadczeniu okupionem własnymi kosztami. Znamy aż nadto wartość monarszego namaszczenia, prawdę konstytucyjnych zaręczeń, niedołężność, samolubstwo i w potrzebie złą wiarę republikańskich Izb. — Śpiew przyszłości każe szukać odpowiedzi w zwróceniu głównej uwagi na człowieczą jednostkę. Przy najpomysłniejszym obrocie naszych zamiarów, naza jutrz po zwycięstwie, jeden tylko warunek położyłbym sternikom przyszłego ruchu: „Zareczcie nam osobistą niepogwałcalność, osobistą wolność, osobistą swobodę myśli, słowa i sumiennego czynu, a kwituję z reszty! Reszta sama się znajdzie; z zabezpieczenia pojedynczych bytów wyniknie ład powszechny, przyrodzoną siłą konieczności.

„Habeas corpus“ oto godło, które silniej dziś przemawia do zdrowych przekonań, aniżeli wszystkie czcze ogólniki, dla których ludzkość szafowała dotąd krwią i życiem. Zasada wolności osobistej jedynym jest kluczem na wszelkie zagadki polityczne, narodowe, społeczne, obyczajowe i rodzinne. Rozkute z więzów charakteru, osobistości i energie unikną marnotrawstwa sił na walki z chimerą i gorzkich zawsze odczarowań,

a spotęgowane swobodą i prawdą otworzą upusty życiu o jakim terazniejsze senne społeczeństwo zaledwo ma pojęcie.

**Maj 1865.** Mówią mi, że gdybym dziś wyszedłszy z więzienia pokazał się na ulicy, w polskim mem ubraniu, ulicznicy biegliby za mną jak za rarogiem. Mój Boże! a jakże to dawno, że biegano jak za rarogami za ludźmi ubranymi w cylindry? Nie wobec to tego jednego faktu, ale i tysiąca innych, przychodzi zapłakać nad gorącością z jaką rzucamy się do wszystkiego, nad lekkością z jaką rzucamy wszystko, cośmy przed chwilą cisnęli do serca. Dziś ubóstwiają, wynoszą pod niebiosą, przygniatają pochwałami i przyjacielskimi oświadczeniami: jutro nie ma dość słów na zozydzenie twojej osoby, dość błota na obrzucenie niem twego charakteru. Umierasz, więczą ci skroń, cisną tłumnie za pogrzebem, rozgrzanemi uczuciem rękami sypią mogiłę i lżą skrapiają; wkrótce na tej mogile tak serdecznie usypanej porośnie chwast i ciche zapomnienie, i chyba jaskółki przylecą skrzydłem zaszumieć i gardziółkiem zaśpiewać ci piosnkę wspomnienia.

Moja ty droga Heleczko! śmiejesz się, podczas gdy do ócz lża ci się ciśnie. Tyś jak te dnie w górach, które razem słońce ozłaca i deszcz skrapia — na niebie chmurki ze złota i szafiru i promienie brylantowe — natura płacze i drży z radości...

Rzuc stare sny, oszczędzaj lży  
Bo ich na jutro trzeba!

*Syrokomla.*

Są chwile, w których i słabotka jest grzechem, ale nigdy dla chwili słabości nie godzi się zapominać zastług długiego zacnego żywota, ani odpychać człowieka dla tego, że myśli inaczej niż my, że w danym momencie nie stał na wysokości swych obowiązków, lub je różnie od nas pojmował. Ten brak, nie po-błażania, ale sprawiedliwości, codzien, a teraz mocniej niż kiedykolwiek czuć się daje; ogarnęły nas namiętności ślepe i burzliwe, zabijamy się sami po omacku, zamiast ująć za dłonie i naprzód iść zgodnie. Smutna to rzecz nie mieć w sercu nic nad ten kamień, którym się rzuca na bliźniego. Lecz jestże słowo, coby tę

*Heleczko!*

chorobę uleczyło? Czas i cierpienie chyba. Z polityki, stronnictwa ze swymi nieubłaganymi sądami przeszły do życia prywatnego, wszystko się rozłamało, rozdzieliło na obozy i bojuje ze sobą i gdy tyle sił do walki z wspólnymi wrogami, ze światem, z samem życiemby nam potrzeba, my zużywamy je przeciwko sobie samym.

Jeszcze jednego poznałem Warszawianina. Gdzieś już w tych notatkach wspomniałem, że Warszawianie niemiłe na mnie zrobili wrażenie. Przypomniałem sobie teraz co gdzieś J. Kraszewski o Warszawie pisał: „Nie ujmując nikomu, każdy tu jest wielkim mężem, czy że wiele napisać pragnął, czy że byłby zdziałał coś ogromnego, gdyby nie okoliczności, czy dla tego, że miał być geniuszem, że nim być mógł, chciał, że jest stryjecznym poety, lub cioteczno rodzonym jakiegoś autora, że do czegoś przylepia okładki lub w czemś, kiedyś, coś nie swojego umieścił. Wszyscy tu tak wielcy, potężni, sławni, uczeni, pełni zasług i niespożytej chwały, że koniec końcem biednej mrówce pracowitej, maluczkiej, w której bije serce i kołata sumienie, pomieścić się wśród tego gwiazdowego firmamentu nieznanymi wielkości niezmiernie ciężko. Miłości własne rozboleła jak rany, dumy wzrosły w tuszę, głowy upromienione, czoła ulaurowane; jak się tym wszystkim Diis ignotis klaniać przyjdzie, kark zboli nareszcie, a nie chcesz się klaniać, to cię zakłują zgryźliwymi cichemi, przyjaźnią i grzecznością pozłaczanemi nienawiściami, spilkującemi z satysfakcją dziecka, które na pal wbija chrząszcza“.

Znowu imieniny moje! Mija dzień po dniu i tak sobie życie ubiega, a z każdym przybyłym dniem jakoś słodko pomyśleć, że bliżej do grobowego łóżeczka, w którym otoż się wyspię po trudach i znojach życia!... 4<sup>go</sup> maja 1865.

Po co nam w życiu towarzysz powszedni?  
Gdy mamy cierpieć, cierpmy sami jedni.

Wierzyłem w ludzi, po tylu doświadczeniach rozum mi każe nie wierzyć więcej; a przecież nie mogę się oswoić z tem słowem wyrozumowanej niewiary, która ma mi zastąpić moją przeszłą wiarę.

Kongres dyplomacyi nie przyszedł do skutku, ale kongres pracy przyjdzie. Robotnicy angielscy zawezwali francuskich i niemieckich do połączenia się w jedno międzynarodowe towarzystwo, któreby co roku porozumiewało się na kongresie robotników w Brukseli. „Przyszłość do was należy“ — powiedział Cobden przymawiając raz ostatni do angielskich wyrobników. — „jeżeli zwiążecie się w jedno ciało solidarne, wszyscy, ilu was jest na wyspach brytańskich i na stałym lądzie i jeśli sami wspólnie o sobie radzić, pomagać sobie i opatrywać się będziecie. Wtedy przyszłość wasza i świat wasz, wtedy wybije ostatnia godzina cierpień waszych materyalnych, co doskwierają jak trąd — stowarzyszenie wyzwoli pracę“. Otóż zaledwie mąż, co te słowa jakoby ostatnią swą wolę wypowiedział, Bogu ducha oddał, ci co go słuchali wzięli się niezwłocznie do obleczenia w ciało jego myśli. — Szczęść Boże!

Jeśli chcesz być lubionym, doczekać się późnych lat i krągłego brzuszka na starość, — pozbądź się rozumu jeśli go masz, i serca jeśli w tobie kołacze, przedewszystkiem zaś nie wychylaj głowy, po nad strych zwyczajnych ludzi. Jeśli bowiem odznaczać się będziesz rozumem, będziesz miał wrogów we wszystkich głupcach; jeśli będziesz miał serce, to zatrują ei życie wszyscy ci, którym dobrze robisz, a jeśli się wzniesiesz po nad mierność, to cię świat ukamieniuje, bo światem mierność rządzi.

„Głos wolny“ organ emigracyjny w Londynie wychodzący, zastanawiając się nad tem, jak dalece rząd tajny zdolny jest przewodniczyć czynnościom powstania i kierować nimi, powiada: „Fikcją, złudzeniem, nie można prowadzić jawnego, wielkiego wystąpienia. Powstanie, które się nie zdobędzie na rząd jawny, które naczelnikom i radcom swoim nie wywalczy ani przestrzeni, ani swobody do działania, zginąć musi w periodzie niemowlęctwa. Historia przedstawia wiele przykładów wielkich konspiracji przygotowujących w tajemnicy idee i środki do zbrojnej walki, ale nie znamy ani rewolucyi ani powstania, posiadających warunki zwycięstwa pod kierunkiem tajnego rządu“... „Stronnictwo czerwonych, które chciało powstania, nie miało nawet pojęcia o potrzebach powstania, stronnictwo zaś szarych i białych od-

pychało wszelką myśl powstania i w intrygach przeciw czerwonym marnowało wszelkie zasoby“... „Rząd tylko rosyjski skorzystał z tej zarozumiałości czerwonych i zmusił ich do powstania, aby raz przecież skończyć z niebezpieczną agitacją i to jest jeden z powodów dla czego powstanie z 1863 r. zdobyło się na tajny rząd tylko, na rząd fikcyjny, pieczętkowy, nieujęty ani w dobrem ani w złem, czyli nieodpowiedzialny, chyba przed szubienicą“...

Historja uczy, że najbardziej niesprawiedliwym jest lud, począwszy od greckiego, który swych bohaterów karał ostracyzmem, a kończąc na naszym, który swych obrońców błotem obrzuca. Lecz gdyby lud był sprawiedliwym, to nie byłoby cnotą służyć mu!

Weszło to u nas w zwyczaj narzekać na nieszczęsny nasz pociąg do naśladownictwa. Narzekamy i słusznie, lecz nie poprawiamy się, a to bardzo źle. Czy zamiast narzekać bezowocnie, nie lepiejby więc było zastanowić się nad przyczyną naszego naśladownictwa. Nie chcę tu mówić o naśladowaniu innych narodów w ubiorach, rozmowach, zaprzęgach — ci którzy tem naśladownictwem grzeszą, zgubiwszy po drodze wszystko co po przodkach odziedziczyć powinni byli, a stojąc zbyt nisko w życiu duchowem, by sobie własne, nowe urobić mogli istnienie, uznają przez to samo — że innego rozumu prócz naśladownictwa nie pojmują — własną nicość; o nicości zaś nie warto mówić. Miałem tu na myśli naśladownictwo poważne, jak n. p. zaprowadzenie ocieków podziemnych, stowarzyszeń spożywaczy i t. p. Naśladownictwo takie w zasadzie jest chwalebne, chociaż zawsze dowodzi braku w narodzie rozpowszechnienia prawd społecznych i przyrodzonych. Ażeby pojąć zdrowo i ocenić stanowisko na jakim stoją w danej chwili sprawy, stosunki i potrzeby krajowe i ażeby rozwijającym się siłom społecznym nadać kierunek i rozmiary odpowiadające naturze i rozciągłości tych potrzeb i tych stosunków, niezbędną jest rzeczą, rozumowania swoje i swój tryb postępowania usadowić na udowodnionych prawdach gospodarstwa społecznego, wspartych naukami przyrodniczymi. Gdzie te prawdy nie rozparły się dość szeroko, by na nich mógł

się urobić sąd własny narodu, tam próżnię naukową wypełnia się naśladownictwem t. j. wprowadzaniem w życie, wplataniem w stosunki domowe usiłowań pojawiających się gdzieindziej, dlatego tylko, że te przyjęły się gdzieindziej.

Jak każdy naród ma właściwe sobie poczucia i odziedziczone plemienne usposobienia, tak każdy kraj ze względu swego klimatu i położenia, ma oddzielne, prawami przyrodzonymi oznaczone wymagania. Poddanie się tem niepokonanym prawom przyrodzonym i rozwijanie spraw swoich w kierunku nakreślonym przez nie, jest znamieniem rzetelnego wykształcenia. Zwyczaje i obyczaje narodu, tryb jego życia i kierunek jego gospodarstwa, rozwinęły się przeważnie na miejscowych potrzebach; uszlachetniać te miejscowe potrzeby i rozwijać środki ich zaspokojenia na drodze wytkniętej przez prawa przyrodzone i dziejowe usposobienia, oto zadanie ludzi stojących u steru ruchów społecznych, oto sposób pozbycia się nieszczęsnej wady naśladownictwa.

Są prawdy ogólne, zebrane gdzieindziej, które w każdym stanie społeczności powtórzyć się muszą, bo prawda wszędzie jest prawdą. Do takich prawd oczywiście nie odnosi się co tu powiedziałem o ślepiem naśladownictwie, prawda bowiem powinna być wszędzie uznana, bez względu gdzie się pojawiła; do uznania zaś prawdy trzeba wykształcenia, a tego nam brakuje i ztąd pochodzi, że często w najlepszej chęci zaprowadzenia ulepszeń gdzieindziej się pojawiających, stajemy się ślepyimi naśladowcami i zamiast korzyści zbieramy tylko straty i stajemy się często nawet powodem zwichnięcia sił narodowych. I tak n. p. nie zgłębiwszy prawdy na zachodzie rozpowszechnionej, że stowarzyszenia te tylko zakwitnąć mogą, które na tożsamości interesów oparte, jak najwięcej stałych współuczestników liczą, zaprowadzamy u siebie stowarzyszenia pożywaczy dlatego, że Cobden uwiecznił się zawianiem takich stowarzyszeń w Anglii. Ależ Anglia składa się w  $\frac{3}{4}$  ludności z wyrobników fabrycznych, którzy po kilkanaście, kilkadziesiąt, nawet kilkakroćtysięcy po miastach skupieni, po większej części własnego gospodarstwa nie prowadzący, a te same potrzeby życia mający, mieszczą w sobie wszystkie warunki potrzebne do zakładania po owych miastach fabrycznych stowarzyszeń pożywaczy, podczas gdy u nas nawet

we Lwowie nie masz żywiółów do takich stowarzyszeń; nasza bowiem czeladź rzemieślnicza stołuje się u swych majstrów, stróże kamieczni prawie wszyscy są żonaci i prowadzą własne gospodarstwa, drwale, drągarze i t. p. wyrobnicy mają albo swoje domki po przedmieściach, albo posilają się w pierwszej lepszej garkuchni; pozostają więc biedniejsi akademicy i urzędnicy, lecz tych jest za mało, by z korzyścią mogli stowarzyszenie zawiązać. bo to tylko wielką liczbą spożywaczy stać może, zresztą zanadto są rozprószeni i sposób ich życia zanadto się różni, by z dobrodziejstwa takiego stowarzyszenia korzystać mogli. W narodzie naszym najpierw weszła była w życie zasada braterstwa; braterstwo, wzajemna pomoc, to plemienne nasze poczucie; z tego narodowego usposobienia powstało u nas Towarzystwo wzajemnych ubezpieczeń od ognia i Bogu dzięki kwitnie, z tego usposobienia odziedziczonego, skoro nam trochę rozwiązano ręce, powstawały pomysły stowarzyszeń bratniej pomocy między akademikami, technikami, czeladnikami, ofycjalistami prywatnymi, statuta tych stowarzyszeń były już wypracowane, nawet rządowi do zatwierdzenia poprzedkądane. Wypadki roku 1862 i 1863 zwichnęły te zamysły, lecz dziś urzeczywistnieniu ich nic nie stoi na przeszkodzie; a urzeczywistniając je więcej się korzyści narodowi zaskarbi, niż przez zaprowadzenie stowarzyszenia spożywaczy, które u nas niema potrzebnych żywiółów, a więc chromać musi.

Również prawdą niezaprzeczoną jest, że społeczność każda wzięta zbiorowo, wzmaga się przez wzmaganie kapitału czyli zasobu społecznego, tak pojedyncze gałęzie życia zbiorowego, pojedyncze usiłowania i przedsięwzięcia rozwijać się mogą o tyle tylko, o ile obok nich rozwijają się i kwitną inne żądające od nich posługi i które im niosą posługę wzajemną. Chociaż w tym stosunku stoją wszystkie wyrobnictwa, nigdzie przecież ta wspólność nie pojawia się tak widocznie, jak między rolnictwem, a przemysłem rękodzielny. Cechą urobionej społeczności jest rozdział pracy; następstwem zaś tego rozdziału jest wzajemna usługa przez wymianę.

Gdzie jak u nas, wszyscy robią jedno i to samo, tam wymiana jest niemożliwą, wzajemna usługa nie potrzebną; tam jest jednostronność, ale nie wspólność usiłowań. Chcieć więc



u nas podnieść rolnictwo dla rolnictwa i przez rolnictwo, jest to podejmować usiłowanie jednostronne, które rozwinąć się nie może, bo po przeciwległej jego stronie nic się nie pojawia, coby mu wzajemną, lecz innej natury usługą odplacić się mogło. U nas rolnictwo oczekuje jedynie, rychło nieurodzaj lub głód za granicą, pomocy jego wezwą, innej podniety nie ma. Zaczem żeby wyświadczyć rzetelne i trwałe usługi rolnictwu naszemu, trzeba równocześnie i równolegle podać silną rękę innemu gałęziom pracy narodowej, których usiłowaniem stać się powinno, dostarczyć rolnictwu to, czego ono potrzebuje, a samo sobie utworzyć nie może; których usiłowaniem stać się też musi nabywać od rolnictwa to, czego one znów same utworzyć nie mogą, a bez czego obejść się nie zdołają.

Podziwiamy stan kwitnący rolnictwa angielskiego, lecz zastanowiliśmy się kiedy nad przyczyną tego? Rolnictwo angielskie nie doszło do tego szczytu doskonałości przez rolnictwo i dla rolnictwa; ono go osiągnęło przez przemysł fabryczny i dla przemysłu fabrycznego, który postępując kroki olbrzymimi ciągnie gwałtem za sobą rolnictwo, dostarczające tamtemu wyżywienia. W Anglii więc wszelki nakład na rolnictwo, choćby najbajeczniejszy, znajduje usprawiedliwienie w teorii, wynagrodzenie w praktyce, bo ludność fabryczna wymaga odeń bajecznych usług i bajecznie się odplaca. Ale u nas, zaprowadzenie kosztownych wydoskonaleń, nowe nakłady, uporczywe uprawianie ziem gorszych, kiedy dotychczasowa uprawa roli, a nadewszystko kiedy ziemie lepsze i korzystniej położone wystarczają na potrzeby krajowe, dowodzą jedynie braku wiadomości w rzeczach społecznych, gospodarskich i rachunkowych.

Naród, który szanuje próżniaków, nieuków i marnotrawców, jest narodem niedojrzałym lub zepsutym.

Zbiorowe życie narodu rozwija się tylko życiem ludzi pojedynczych; wolność musi być jedną, ażeby naród był jednym.

Opieka nieproszona, to niewola. Centralizacja to opieka w rzeczach najdrobniejszych, opieka wbrew woli narodu, to niewola.

Gdzie prawda niema przystępu, tam siłą rozumowania są urojenia i fałsze; gdzie nie przygotowano możliwości przekonania, tam moralnym czynnikiem musi być obałamucenie; nic łatwiejszego jak nas obałamucić, a dla czego? bośmy ciemni.

Praca! praca! wołają zewsząd; zgoda, ale dodajmy: „i wiedza“. Praca kierowana wiedzą, wiedza nabyta pracą, oto dwie siły stanowiące jedną i nierozdzieloną potęgę, duszę i zasób ludzkiego społeczeństwa, zarzewie nowożytnego dziejów rozwoju.

Dlaczego zwykle nie ten przechowuje zawziętość co doznał pokrzywdzenia, lecz ten co pokrzywdził? Bo go sumienie wciąż dręczy.

Lud nie zacznie być godnym poważania, dopokąd poważanym być nie zacznie. Kto pogardza ludem niepojmując lub lekceważąc tę niezaprzeczoną prawdę, że poniewieranie czyni coraz gorszym człowieka, — ten nie ma prawdziwego przywiązania do ojczyzny, ten nie kocha swego kraju; bez ludu bowiem nie ma narodu, a czyż naród może mieć przyszłość, którego pień jest nędzny i poniewierany.

Rząd ma obowiązek czuwania nad bezpieczeństwem obywateli i wymierzania im sprawiedliwości; o łasce jakiejś mowy tu nawet być nie może. Gdzie więc rząd wypełnienie swych obowiązków uważa za łaskę, tam naród jest niewolnikiem, bo łaska to niewola.

Pomyślność i powodzenie pojedynczych obywateli, to pomyślność i potęga narodu; cnota więc obywatelska i rozum polityczny to nauka gospodarstwa społecznego. Ona powiada ostatecznie, gdzie wszystkiego jest wiele, a wszystko jest naszym, tam my jesteśmy wszystkim.

Państwa się zrastają i rozsypują; lud nie wpleciony w życie narodowe przechodzi w pokarm każdego człowieka; naród tylko jest wiecznie jeden i ten sam, on jest nieśmiertelnym, niespożytym i niepokonanym. Wplata się zaś lud w życie narodowe, z ludu biernego staje się narodem czynnym, przez Gminę.

Równość! hasło to nowoczesne przypada do smaku bardziej niż inne. Racyonalnem zaś pojęciem jest tylko równość w wolności, wszelka inna równość jest chimera; czy apostołowie równości pamiętają zawsze o tem? Niestety prawie nigdy!

Przywileje nadawane pojedynczym osobom, rodzinom, stanom lub narodowościom, nie są nadaniem wolności tym odłomom społecznym, bo ona jest przyrodzoną własnością ludzi, bo tej nikt nikomu nadać nie może, czemże są owe przywileje? Odjęciem wolności wszystkim innym. A nasze radykały zamierzają brać udział w obchodzie pamiętki nadania „przywileju“ towarzystwu strzeleckiemu krakowskiemu!

**Czerwiec 1865.** Jeśli gdzie, to w Polsce posiadanie ziemi było wielkiej wagi: ziemianin a obywatel to, znaczyło jedno i to samo; dziś jeszcze kiedy do posiadania ziemi żadne już nie są przywiązane przywileje, widzimy w narodzie dążenie do posiadania ziemi: kupiec, rzemieślnik, przedsiębiorca, zebrawszy pieniądze, kupuje majątek ziemski, chociaż nie tyle przynoszący zysku co handel, rzemiosło lub przedsiębiorstwo, ale dający w opinii powszechnej pewne poważanie. Trwałość jaką przedstawia własność ziemiańska, ułatwione więcej niż przy każdym innym zawodzie środki wystawności i wygody, pewna niezależność zewnętrzna i wewnętrzna, panowanie, wreszcie to mimowolne poczucie, którego często nie dostrzegamy sami, poczucie rzetelnie ludzkiej potęgi, która kierując wyższemi od siebie przyrodzonymi potęgami, wyprowadza z wnętrza ziemi, zboża, kwiaty i owoce, rozplądza zwierzęta i zawiaduje rozległym Boga tworem, okoliczności te połączone razem, niekiedy ożywione obrazem rodzinnych lub narodowych wspomnień i zabytków, rozniecają w nas ów pociąg do własności ziemiańskiej, pociąg wzniosły i godziwy, skutkiem którego, nabywając ziemię płacimy w niej, prócz jej ekonomicznej wartości, jej przywileje przyrodzone i towarzyskie.

Rzecz dziwna: każdy widzi, że fabrykant lub rękodzielnik, który wynalazłszy środek oszczędzania czasu, siły lub materyi, trzyma się mimo to cen ustalonych poprzednio i ciągnie z przedsiębiorstwa swego dochód wyższy od tego jaki otrzymują jego

współzawodnicy — każdy widzi, że fabrykant, rękodzielnik lub kupiec, jeśli się do niego cisną uczestnicy, podnosi ceny swych towarów w miarę cisnących się do niego żądań; każdy widzi, że lada muzyk, lada skoczek, których wrodzonym usposobieniem inni sprostać nie mogą, odnoszą korzyści niesłychanie wyższe od tych, jakie w słusznym rozkładzie nagród społecznych przypaść by im musiały; — a przecież ludzie ci nie wzbudzają zazdrości i nienawiści; ludzie ci wszakże ciągną rentę rzeczywistą, dochód dodatkowy, uprzewilejowany, którego nikt nie może nie dostrzedz, a którego mimo to nikt im nie odmawia. Dlaczego sama tylko renta gruntowa poruszyła założycieli i wyznawców nauki komunistycznej? Nauki, która w jednych krajach doprowadziła do przepisywania samowładnie cen targowych, w innych do zbierania przemocą płodów ziemiańskich; w innych nareszcie nasunęła urojone prawa do lasów i pastwisk, będących własnością rodzin pojedynczych. Dlaczego? oto dlatego, że podczas gdy korzyści ludzi wymienionych wyżej, przedstawiają się jako nagrody ich osobistej zasługi — dochody ziemiańskie płyną już ze współdziałania pracy ludzkiej i przyrodzonych potęg, potęg istniejących bez nas i mimo nas, istniejących darmo w przyrodzie całej. Tej części przyrodzonego istnienia i przyrodzonego działania nie rozwijają dotąd w sposób zadawalający ani nauki społeczne, ani przyrodnicze; a nauka religii, sięgająca gdzie już rozum nie sięgnie, chcąc w nas obudzić podziwienie i wdzięczność dla Stwórcy, przypomina nam nieustannie jego dary, okrażając (czego oddzielić nie można) wyjaśnienie dróg, po których dary te przechodzą do rąk wszystkich, dróg nakreślonych także palcem Przedwiecznego, bo ujętych w przyrodzony organizm społeczny.

Nauka religii pomija ten rzetelnie cudowny węzeł łączący myśl tworu z potęgą ducha ludzkiego, a pomija go przez to, że ci co nam tłumaczą rzeczy pośmiertne, nie pojmują naszych spraw ziemskich i stanowiska człowieka na ziemi. Zamiast uczyć alumnów przez lat cztery pisma świętego i liturgii, na co i dwa lat wystarczyłoby, korzystniejby było dla społeczeństwa, gdyby przyszłych nauczycieli religii obeznano z naukami przyrodniczymi i gospodarstwem społecznym, by się mogli stać także nauczycielami ludu.

Że lud u nas ciemny, leniwy niedbały — o tem wiemy wszyscy, również jak i to nam nie tajno, że długoletnie poddaństwo i połączona z niem pańszczyzna są tego przyczyną. Pracy przymusowej dla kogo innego, musi towarzyszyć niedbałość, zniechęcenie; te nałogi przesiąkają jestestwo poddanych, oni je przynoszą do własnego gospodarstwa, w łono rodzin swoich. — Lecz nie uwierzonoby gdyby kto powiedział, że poddaństwo i pańszczyzna są przyczyną braku oświaty, pracowitości i ładu u szlachty; a przecież tak jest. Bowiem robota przymusowa zewszierająca najliczniejszą klasę narodu, oddziaływać musi także na stan tych, którzy z niej korzystają. Gdzie lud stoi na tem samym zawsze stanowisku, tam panowie naprzód posuwać się nie mogą; harap w ręku ekonoma uwalnia od chemii, mechaniki i ekonomii politycznej, a дума majątkowa cechująca ludzi bez wartości osobistej, przechodzi wraz z pańszczyzną z ojców na synów. Dzieci wyrastają w głupocie, bo im nauka niepotrzebna; one wyrastają patrząc na gwałty i zepsucie, one tracą od kolebki wrodzone pojęcia praw ludzkich, bo przed nimi, wprzód nim się same ludźmi stały, wymuszona pokora zdejmuje czapkę z osiwiąlej głowy wieśniaka. Pańszczyzna ustała Bogu dzięki i przy nowoczesnem pojęciu praw i potrzeb już nie wróci; jeśli właściciele większych posiadłości chcą odznaczenia w przeobrażającym się społeczeństwie, niechże wstąpią na jedyną drogę do tego wiodącą; niech się staną w narodzie wzorem nauki i pracowitości, obroną ludu przeciw nadużyciom władzy, nauczycielami i doradcami tych, których dawniej byli tylko panami.

Jednym z najdzielniejszych środków, obudzenia w ludzie poczucia obywatelstwa, rozwinięcia w nim pojęć o organizmie społecznym i oswojenia go z mechanizmem państwa, jest Gmina działająca jako ciało zbiorowe. Wychowanie młodzieży nie jest jeszcze wychowaniem narodu; szkoła wychowuje i przyspasabia młodzież, by się stała w przyszłości użyteczną sobie i towarzystwu; naród, aby się urobił i dojrzał do spraw powszechnych, musi przejść szkołę życia społecznego, musi się także do nich wychować, a szkołą rozpoczynającą to wielkie narodu wychowanie, jest Gmina stanowiąca niezawisłe o sprawach gminnych, i wykonywająca sama, co sama postanowiła.

Gmina jest pierwszym węzłem społecznym po za domową strzechą; ona jest początkiem państwa, wątkiem wielkiego stowarzyszenia narodu, ostatnim ogniwem rzeczy miejscowych chwytającym za łańcuch spraw ojczystych. Gmina jest szkołą życia i pierwszą próbą wartości człowieka; przez nią się sączą i czyszczą siły moralne ludu; w niej mieszkaniec kraju zaczyna być obywatelem narodu, albo nim nigdy nie będzie; ona też i tylko ona lud martwy przeistacza w naród żyjący. W Gminie odbywają się na mały rozmiar wszystkie ruchy organizmu i mechanizmu społecznego: wymiana rzeczy, pracy, myśli i uczucia, administracja, sądownictwo, finanse, oświata. Kto się tu wdroży w życie zbiorowe, kto zrozumie i oceni na drobnym rozmiarze te organiczno-społeczne ruchy i te gałęzie mechanizmu rządowego, ten nie wyszedłszy poza kopiec graniczny wioski swojej zrozumie, oceni i pokocha rozległe i głębokie sprawy ojczyste. Potrzeby oddzielnych rodzin stykają się po raz pierwszy w Gminie; państwo jest gmin zbiorem i stowarzyszeniem; zarazem też rzeczywistym społeczeństwem, państwem jedynie trwałem jest naród, stojący na gminach samodzielnych.

Podniesienie ludu w oświacie, w bycie materyalnym i w za-  
cności, które jednocześnie tylko rozwijać się mogą, a następnie  
i już przez to samo, zbliżenie jednych stanów ku drugim, obu-  
dzenie w nich wzajemnej życzliwości i zużytecznienie jednych  
dla drugich; oto wielkie zadania, które nas teraz zając powinny;  
oto węzły społeczne, które się stały warunkiem nowożytnego  
życia narodów; nie zapominajmy o tym warunku, jeśli żyć  
chcemy. Lecz pamiętajmy także, że jeżeli narody zajmujące po-  
teżne stanowiska w rządzie państw europejskich, mogą bez na-  
rażenia przyszłości swojej, nie krępować się podaniami dziejów  
swoich, mogą owszem od nich odchodzić stopniowo, przeista-  
czać swoją naturę i swoją zewnętrzną postać przekształcać, to  
narody, które straciły, choćby chwilowo tylko istnienie polity-  
czne i których wątłe siły gną się pod zewnętrznym naciskiem  
świata ludzkiego, powinny religijną czcią otaczać wszystko, co  
jest spuścizną po ich ojcach, co je podobnemi czyni do ich  
dziejowej przeszłości i ich niepewne obecne życie zahacza o po-  
tegę życia dawnego. Każda okruszyna tej przeszłości musi być

relikwią ich narodowej wiary; gdzie tego nie ma, tam stopniowo usypiają siły rodzime, tam tętnice życia wolnieją, a naród niegdys samoistny, rozplywa się w łonie żywotniejszych narodów. Kto mówi obcym językiem, powiada Śniadecki, — ten myśli i czuje po obcemu, kto lekceważy narodowe obyczaje, naucza Benjamin Constant, — ten przestał być człowiekiem narodu; zaparcie się narodowego zwyczaju, jest zdradą narodowości, — twierdzi Heeren. Ubiór polski nie stanowi Polaka, utrzymuje Leszek Borowski i inni, u których uczucie narodowe ustępuje miejsca względom ubocznym lub osobistym próżnostkom. Ależ negacya nie jest dowodem; pod negacyę można podciągnąć wszystko, nawet Bóstwo. Ubiór jako oznaka zewnętrzna uderza zmysły, a co uderza zmysły, obudza myśl w człowieku, bo każda zewnętrzna postać ma wewnętrzne istnienie. W ostatnich chwilach Polski, poświęcenie i sprzedajność to wąs i peruka; Bar i Targowica, to kapota i frak. Często najmniejsza zmiana w stroju narodowym, — mówi Chateaubriand, wystarcza do wynarodowienia narodu. Ludzie na pół narodowi są szkodliwsi od jawnych odstępców, bo w nich pierwszych usypia życie narodowe i przez nich głównie płowieje urok relikwi narodowych.

Ponad mrowiskiem ludu naszego, w którym uczucie narodowości nie rozbudziło się jeszcze, stoją w zwierzchnich pokładach społecznych, ludzie wbrew przeciwnych pojęć, uczuć i dążeń. Gdy serce jednych lodowacieje niekiedy w chwilach najgorętszych, drudzy płoną ogniem namiętności wtenczas nawet gdy tylko zimna rozważa dopatrzeć może drogę prawdy i zbawienia. Wzajemna nienawiść i wzajemna pogarda, pogarda niesprawiedliwiona, a nienawiść osobista, prą coraz dalej w strony przeciwne dwie wielkie narodowe potęgi, mienie i wiedzę; one szarpia ciało jednolite i rozgniatając nieliczny żywioł, dążący do odrodzenia narodu przez organiczne prace, czynią niemożliwemi zajęcia rzetelnie narodowe. Dwa te stronnictwa mianują się arystokracją i demokracją, lubo żadne z nich nie jest ani jednym, ani drugim.

Nienawidzić pewnych ludzi dla tego, że ich krew jest gorętszą od naszej, że oni czują dotąd, co my już czuć przestaliśmy, lekceważyć nauki, z którymi się nie zgadza życie próżnu-

N jące, życie pańskie; mierzyć innych majątkiem lub stanowiskiem, które los ślepy przynosi i odbiera, nie poczuwając się do ciężarów, jakie wkładają w życiu społecznym majątek, imię i stanowisko; to nie arystokracya! I nawzajem poniewierać ludzi, których los ślepy usadowił wygodniej niż nas, nienawidzić ich dlatego, że ich zagłuszyć nie możemy; ścigać ich za to, że przesady ludu otaczają ich cześcią, której nam przyznać nie chcą; stawać się sędzią między nimi a sobą, sędzią nieomylnym, a potępiającym ich z góry, zawsze i wszędzie, przemilczać o dobrem, złe wyszukiwać, pytać o osoby, a nie, o ich czyny; nakazywać milczenie widzeniom odmiennym — to nie jest demokracja. Wspólną cechą tych dwóch skrajnych stronnictw i wspólną słabością obu, jest dopominanie się o prawa przechodzące w przywilej, a zapominanie o wzajemnych obowiązkach.

Cnota wedle nauki Arystotelesa leży pomiędzy dwoma występkami, z których jeden jest zanadto, a drugi za mało. I tak: odwaga leży między tchórzostwem a zuchwalstwem; sprawiedliwość między słabością a srogością; religia między bezbożnością i bigoteryą; wolność między despotyzmem i anarchią; oszczędność między rozrzutnością i sknerstwem; itp. Ludzie przeto skrajni, to ludzie występni, to duma ukryta, to istny despotyzm. Pseudo-arystokraci, gdy utracą swoje dawne stanowisko, przechodzą w zagorzałych demokratów — ci, gdy im się uda stanąć wysoko, depcą swoich dawnych towarzyszków — na żywych przykładach nie zbywa nam. Zresztą uczy historia, iż w każdym narodzie sprzedajność i zdrada wychodzą z szeregów skrajnych. Arystokracya prawdziwa, to wzniosła praca około dobra powszechnego; niestety niewielu arystokratów umie dotrzymać stanowiska swego. Demokracja prawdziwa, to miłość i pobłażanie, to braterstwo — a wieluż między nami demokratów, którzyby tyle czuli i okazywali w zetknięciu codziennem braterstwa dla niższych, dla ludu, ile miotają żółci, gdy im przychodzi wyrokować o tych, którzy od nich wyższymi się sądzą?!

Jeżeli namiętne a przeto ślepe porywy tego ostatniego stronnictwa sprowadzają w danych razach ruchy niewczesne, a nawet niebezpieczne dla narodu wstrząśnienia i nieobliczone klęski — pytam: czy mniej winni są ci, co na przeciwległym



usadowiwszy się biegunie, usuwają się od poświęceń, posług i ciężarów narodowych, ile razy te ciężary nie rokują osobistego wyniesienia, a uwolnienie się od nich nie grozi niebezpieczeństwem i niesławą? Gdy po nadejściu wiadomości o wybuchu powstania ostatniego, kilku z naszych panów naradzało się, czy mają wspierać to powstanie, powiedziałem im: „Koniec każdego przedsięwzięcia ludzkiego leży w ręku Boga; jeżeli się odsuniecie od ofiar, jakie wybuchłe powstanie od was wymaga, a powstanie celu swego dopnie, to was naród odepchnie, jako plewę nieużyteczną, nie potrzebną do jego istnienia; jeśli zaś powstanie chybi celu, natenczas was naznaczą piętnem wyrodków, w których nie ma już nic swojskiego, których rodzime życie przestało być życiem ich przodków.“ Ta drobna cząstka ludności krajowej, co się arystokracją krajową mieni, a być nią nie umie, zapomina lub nie pojmuje, że ziemia której posiadanie społeczność uznaje, szanuje i ubezpiecza, jest przedewszystkiem ziemią narodową, nieśmiertelną narodu własnością; że przeto jak z jednej strony nie wolno jest pojedynczym kraju obywatelom odrywać jej części i to w obce niekiedy wrogie przenosić ręce, tak z drugiej strony na tych, w których posiadanie ona przechodzi z pokolenia w pokolenie, cięży święty, bo dziejowy obowiązek brania udziału w posługach i poświęceniach, ciężących na ludziach, a przywiązanych do ziemi, która jest wieczystą hipoteką tych świętych a nieśmiertelnych obowiązków. Własność ziemiańska, powiada Ludwik Wołowski, w której się schodzą główne wszelkiego mienia korzyści, przyjemność, pewność, niezawisłość i znaczenie, powinna się poczuwać do głównych obowiązków życia społecznego; ona powinna iść naprzód w ciężarach publicznych, być pierwszą w poświęceniach, najczynniejszą w wielkich wypadkach, przodkującą we wszystkim co jest wzniosłe, moralne, narodowe, piękne i użyteczne; postępując inaczej, obudza ona niechęć i złorzeczenie, zamiast poszanowania i wdzięczności.

Dziś już nikt nie wątpi o tem, że wolność jest matką nie tylko moralności, ale i bogactwa narodowego. Pod jej bowiem skrzydłami jedynie rozwinąć się może oświata, która rodzi wynalazki i przemysł; ba nawet zajęcie najwięcej jednostajne, naj-

mniej na pozór wymagające twórczej potęgi ducha — rolnictwo, tylko tam do wysokiego dojść może udoskonalenia, gdzie niem kieruje myśl wolna, gdzie ręka wolna przewraca skiby rodzinne; a ktoby temu wiary dać nie chciał, niech odczyta zdania naj-sławniejszych mężów stanu i ekonomów politycznych. „Rolnictwo rozmaitych krajów, twierdzi Montesquieu, rozwija się nie podług stopnia urodzajności ich ziemi, ale w stosunku do panującej w nich wolności osobistej.“ „Bezprawia i samowładność przemieniają żyzne łąny w pustynie, zaś wolność bagna i stepy w ogrody przestacza.“ „Rolnictwo, — są słowa Lavergna, — potrzebuje przede wszystkim wolności i bezpieczeństwa; pomiędzy klęskami jakie je sięgnąć mogą, najstraszniejszą klęską jest zły rząd: wojny i zaburzenia pozostawiają chwile wytchnienia, zły rząd nie daje ich wcale.“ — Porównajmy Anglię, Holandję, Flandryę z Galicyą — a wątpić przestaniemy.

Samorząd, który z Anglii zrobił pierwsze mocarstwo Europy a Stany Zjednoczone Ameryki podniósł do potęgi, przed którą drży nawet Anglia — samorząd toczy obecnie zaciętą walkę z centralizacją wszędzie, gdzie naród przyszedł do poczucia swej godności. Starożytny ideał „państwa“ i średniowieczna hierarchia rodów, przeminęły bezpowrotnie w dziejach świata. Wszakże pewna spólność pojęć i działań łączy stykające się dziejów okresy: nic w nich nie znika i nic nie nastaje od razu; poprzednie przygotowują ulepszenia następnym; w następnych odzywają się błędy lub nadużycia wieków poprzednich. Dawna sztuka a późniejsza żądza panowania tej części społeczeństwa, która w nowożytnych stosunkach ujęła ster ruchów mechanicznych w społecznym organizmie, czyli ster rządu, przybrała skromną i pełną ludzkości nazwę „opieki.“ Opieka ta krępuje w nowy sposób przyrodzony rozwój jednostek, wywołuje nowe trudności i zawikłania, a jej głównym dziełem, jej koniecznym następstwem jest małość powszechna narodów. Pod skrzydłami tej nieustającej opieki, człowiek staje się obywatelem kraju, przez to właśnie, że przechodzi w stan małeletni, a ciało zbiorowe, czyli państwo, sądząc się samo tylko dojrzałem, rzeczywiście dojrzenia tego osiągnąć nie może, składając się z pojedynczych małeletnich, niedojrzałych i dojrzeć nie mogących

jednostek. Ta pełna kłopotów i rosnących ciągle trudności troskliwość, odbiera narodowi pojęcie ruchów i węzłów społecznych, tudzież sąd o tem co jest możliwem, a co niem nie jest. Ludy wdrożone w drobnostkową opiekę instytucji krajowych, niedołączają i wkrótce bez niej obejść się nie śmieją, nie ufając sobie i rozumowi ludzkiemu, lękają się wszystkiego, co ich nie dojdzie gotowem. Bo jeśli rząd bierze na się rolę opatrności, to naturalnem jest, jak to słusznie mówi Tocqueville, że każdy odwołuje się doń we wszystkich swych potrzebach. Trudności powstające w tym składzie rzeczy, rosnąć muszą z dniem każdym przy coraz szybciej rozwijających się pojęciach ludów. Ludy te czują coraz więcej złe niewidome, zwalają własną nawet nieudolność na urządzenia krajowe, czyniąc je odpowiedzialnemi za wszystko co się dzieje, aż w końcu jednym wstrząśnieniem zerwą wszystkie węzły, na których stała dotąd całość zbiorowa. Od kataklizmów takich wolne są tylko państwa, gdzie naród sam czuwa nad sobą, sam się rządzi. Że rządy nie pojmują tego, da to się wytłumaczyć rządzą panowania, ale że reprezentanci ludu i to tacy, którzy roszczą sobie pretensye do inteligencyi i liberalizmu, mogą dążyć do centralizacyi, to zaiste trudno zrozumieć. Bo przecież już w ogólnej zasadzie, jak pojedynczy nie może woli swojej narzucać ogółowi w sprawach tyjących się ogółu, tak ogół nie ma prawa ani potrzeby kierowania jednostką w rzeczach przywiązanych do jej pojedynczego istnienia, a na tej znowu zasadzie wyrastającej z przyrodzonego prawa indywidualności, a rozwijającej się jednocześnie ku dołowi i ku górze, opiera się wszelka autonomia, to jest wolność osobista, samoistność gmin i samorząd czyli działalność w granicach spraw własnych, powiatów, ziem, prowincyi.

Główną przyczyną nieszczęść i niepowodzeń w sprawach narodów, powiada Giuzot, jest wkraczanie polityki w dziedzinę sprawiedliwości, jest poświęcenie słuszności potrzebie. Dla utrzymania powagi pewnych urzędów, lub dla pewnych z góry wytkniętych widoków, podciągamy pod pojęcia sprawiedliwości szczegóły, które z nią żadnego nie mają związku, które nawet sprzeciwiają się niekiedy jej zdrowem pojęciom, lub co

gorsza, karzemy jako występki to, co w rzetelnym znaczeniu nie jest nim wcale. Jednym z warunków dobroci ustawodawstwa, twierdzi ten sam mąż stanu, jest odróżnienie stanowcze zbrodni prawdziwych, od tego co się stało zbrodnią jedynie skutkiem przyjętej zasady: zatem, tego co jest zbrodnią w przyrodzonym rzeczy porządku, od tego co jest zbrodnią umówioną, konwencyonalną. Podciąganie pod te same ustawy ogólne i pod te same sądy równie morderstwa i kradzież, jak cła i opinii politycznej, stosowanie tych samych kar do zbrodni rzeczywistych i konwencyonalnych, zamykanie w tych samych a nawet w takich samych więzieniach za jedno i za drugie, posyłać do Zuchthausu mordercę, truciciela, podpalacza razem z patriotą, niosącym pomoc swym braciom w walce przeciw najezdniczemu despotyzmowi, — krzyżują, bałamuca i wikłają zdrowy sąd narodu, parzą pojęcia zbrodni i słuszności, prawdy i fałszu, krzywdy i usługi, one wlewają w naród smutne przekonanie, że nie zawsze sprawiedliwość ustaw jest w zgodzie ze sprawiedliwością odwieczną, ażeby osiągnąć tę ostatnią, trzeba niekiedy okrzyć tamtę; one ścierają w prawdziwym zbrodniarzu wstyd, tę tarczę przeciw zbrodni i wpajają weń zarozumiałość, która go stawia na równi z najzacniejszymi ludźmi a nawet nad nimi. Kto temu ostatniemu twierdzeniu nie chciał by dać wiary, niech pójdzie do więzienia zwanego „Brygitki“, gdzie obok wszelkiego rodzaju pospolitych zbrodniarzy, siedzą tak zwani zbrodniarze polityczni i ocierając się o tamtych, na jednym przechadzać się muszą dziedzińcu, jeśli nie chcą zapomnieć chodzić i ruszać się. Tam nie tylko usłyszysz zdanie między owymi złoczyńcami rozpowszechnione, że oni są tak dobrzy, jak polityczni zbrodniarze, ale usłyszysz nawet zdanie, że ponieważ za zbrodnię stanu jest kara śmierci, a na kradzież tylko kara więzienia naznaczona, złodziej jest czemś lepszym, niż tak zwany zbrodniarz polityczny i lepiej niż ten ostatni traktowanym być powinien!

Byłoby dobrze gdyby ci co układają ustawy karne, przedtem czas jakiś przepędzili w więzieniu. Ustawa karna o tyle tylko zgadza się ze sprawiedliwością odwieczną i z wyrozumowaniem pojęciem słuszności ludzkiej, o ile społeczność karząca złe czyny, uczyniła co mogła, by odwieść od złych czynów; im gdzie mniej działoś na tej drodze, tym większym gwałtem są kary.

Są nawet na świecie kary stokroć występniejsze od występku, za który karają. Szkoły i więzienia, to dwa przeciwległe bieguny wielkiego koła poruszającego mechanizm społeczny; gęste szkoły to rzadkie więzienia; szkoły zaludnione to więzienia na pół próżne; koszta podjęte na szkoły, to oszczędność otrzymana na więzieniach, szkoły to naród, więzienia to państwo. Kto wie, że w Austrii więcej wydają na stadniny rządowe, niż na wychowanie trzydziesto milionowej ludności, tego nie zadziwią liczne zastępy zbrodniarzy po więzieniach powiatowych, obwodowych, prowincyalnych i głównych, po sztokhausach, cytadelach i fortecach. Kto zaś choć powierzchownie zbadał stan umysłowy tych więźni, ten nie będzie się długo namyślał, by wydać zdanie, że względem przeważającej ich części kara jest niesprawiedliwością, niesprawiedliwością tem większą, że ukaranego moralnie do reszty zabija. Niestety, ustawy karne nie mają nigdzie jeszcze humanitarnej dążności i podstawy, ich zadaniem nie jest poprawiać ludzi zepsutych, lub ubezwładnić niepoprawnych, ale raczej karcić za czyny dokonane, mścić się za przerwany pokój i cierpieniem zadaniem pochwyconemu, odstraszyć tych, którzy liczą na to, że pochwyconymi nie zostaną. Przepisy finansowe, wywołane wyłącznie potrzebą państwa, często sprzeczną z potrzebami ludów i narodów, odsunęły się jeszcze dalej od sprawiedliwości odwiecznej; to co one karzą, utrudnia ruchy mechanizmu społecznego, ale nie jest zbrodnią moralną krzyżującą wielkie przeznaczenia człowieka. A cóż dopiero powiedzieć o ustawach dotyczących tak zwanych zbrodni i przestępstw politycznych? Jedna i ta sama generacya widzi nieraz jak jeden i ten sam czyn raz stanowi zbrodnię i podlega najsurowszej karze, drugi raz uważany jest za zasługę obywatelską i prowadzi do najwyższych zaszczytów, do władzy rządowej! — Wady te mniej więcej wspólne wszystkiemu ustawodawstwu, są w części następstwem niedoskonałości rzeczy ludzkich, w części dziełem egoizmu, zarozumiałości i zuchwalstwa na jakich one opierają się tam, gdzie naród nie ma w nich udziału. Ale czyż lud nasz pojmuje te nieuniknione po części trudności i czyż raczej nie kładzie na karb złej woli osób rządzących, tego co się nie zgadza z jego wrodzonym poczuciem sprawiedliwości odwiecznej, a co przecież Sprawiedliwością ludzką nazywać mu każą. Kar-

cimy lud za błahe nawet przestąpienia urzędzeń, nie przekonawszy go, ani o potrzebie tych urzędzeń, ani o potrzebie karcenia tych, co im poddać się nie chcą; — karzemy go często srodze za zbrodnie istotne, nie uprzedziwszy go, co czeka tych, którzy się dopuszczą zbrodni, bo jużci przepis kodeksowy, że nikt nieświadomością prawa tłumaczyć się nie może, jest raczej ironią niż przestrożą, skoro się wie, że lud czytać tego kodeksu nie umie; karzemy go surowo za przekroczenie przepisów finansowych, nie wytłumaczywszy mu różnicy moralnej między złym czynem a dochodem państwa; pastwimy się za przestępstwa polityczne, nie wyjaśniwszy mu znaczenia tych przestępstw; doręczamy mu obszerny wyroki o wręby i pastwiska, nie wykazawszy mu nigdy różnicy między własnością a prawem używania. Odmienne sędzimy i odmiennie wymierzamy kary za te same występki, na ludność zwykłą, na żołnierzy i na duchownych, nie rozwinąwszy w myśli ludu przyczyn zmagających do tego odróżnienia, zdieramy odzież żołnierzowi i duchownemu, gdy ich prowadzimy na rusztowanie, by ich postawić na równi z obywatelstwem krajowem, jak gdyby ta reszta narodu była stekiem ludzi pogardy godnych; podsuwamy pod ustawy karne religię, przekonania, ubiory, rzeczy opinii, sumienia i upodobania, słowem rządzimy państwem dla państwa, pomijając prawa narodu, a chcemy by lud pojął porządek ziemski, szanował nasz rozum i wierzył w sprawiedliwość doczesną. — Nie zawsze zgadza się z widokami naszymi wyjaśniać i usprawiedliwiać te, często nieuniknione sprzeczności, bo ślepe posłuszeństwo rozwiązuje najłatwiej społeczne zadanie, a obowiązku tłumaczenia ludowi tyłu szczegółów pozbywamy się ogólnem twierdzeniem, że pojęcie przyczyn wywołujących ten stan rzeczy, jest dla niego za wysokiem zadaniem! Nie zaiste — te szczegóły, wysokie na pozór, przystępniejszymi są rozumowi nieurobionemu, niż teoria budowy języka, niż tabliczka dzielenia, niż pośmiertne dogmata, a przecież tego wszystkiego uczymy ludu w szkółkach. Lud nasz przenikliwy z natury, nieoświecony o owych szczegółach, tworzy sobie o nich własne teorye, nie raz głębokie i uzasadnione, często dziwaczne i niebezpieczne. Spokojny i jednostajny ruch zegaru wskazującego długie lata ciszy i bierności ludu wdrożonego w ten mechanizm społeczny,

mami nas i niedopuszcza przypuszczania chwil, w których już rozumować, przekonywać trzeba będzie, a jakże trudnem przekonywać tam gdzie nie przygotowano możliwości przekonania, gdzie prawda nie miała nigdy przystępu, gdzie nie pojmują przyczyn i skutków tego co się dzieje i tego co się stać może, gdzie siłą rozumowania są fałszy i urojenia, gdzie obałamucenie jest jedynym moralnym czynnikiem! Lecz nie sięgając już tych chwil wielkich, które rozstrzygają o losach narodów, ileż trudności przedstawiają powszednie nawet wypadki wychodzące z karbów życia rodzinnego: gdy chcemy zwabić robotnika, skłonić gminę do jakiego dzieła; gdy głód szerzy już choroby i śmiertelność, lub gdy zepsucie moralne zaczyna toczyć podwaliny towarzyskie, wówczas zaczynamy jedni moralizować, drudzy karać, ale i jedno i drugie jest już zapóźnem. Należy zapobiegać złemu; a zapobieżę się złemu, tłumacząc wcześniej ludowi przeznaczenie człowieka na ziemi, zatem naturę społeczności; wyjaśniając mu czem jest praca, wolność, ustawa, podatek, sprawiedliwość — bo żaden przymus i żadne kary nie zastąpią własnego przeświadczenia.

Niemal wszyscy publicyści przyjęli trzy główne rodzaje rządów: republikę, monarchię i samowładztwo czyli despotyzm; a gdy zupełnie różna natura tych trzech rodzajów władzy, na odmiennych oprzeć się musi podstawach, więc twierdzą zwykle: że podstawą republiki jest cnota, monarchii konstytucyjnej honor, samowładztwa, bojaźń. Niepodobna wszakże twierdzenia tego brać dosłownie, bo żaden kształt rządu oprzeć by się nie mógł na jednym tylko z tych trzech czynników w każdy z nich wchodzi wszystkie, a o kształcie rządu stanowią; ich stopniowanie, ich wzajemny stosunek i przewaga jednych nad drugimi.

Bojaźń, honor, cnota, te trzy oderwane pojęcia moralne, jakże ściśle są spowinowaczone z trzema czynnikami społecznymi, które wedle ekonomistów utrzymują w świecie powszechnym odrębny świat ludzki! Najprzód praca żyjąca, a właściwie robota, zatem siła fizyczna spokrewniająca świat ludzki ze światem powszechnym, z którego łona wysnuł się tamten i po za którym umieścić się nie mógł; praca żyjąca to lud, to

najlichniesza a najmniej urobiona część narodu, przez którą też w świecie ludzkim przebija się najsilniej świat pierwotny, świat powszechny; lud niewykształcony to „bojaźń“, bo twoga niewyrozumowana to ciemnota, a ciemnota to podpora „despotyzmu“. Dalej wiedza żyjąca, zatem potęga ducha właściwa człowiekowi samemu, na której też oparła się odrębność świata ludzkiego; wiedza żyjąca, to wykształcenie naukowe, to cywilizacya w rzetelnem słowa znaczeniu, to „cnota“: bo cnota to prawda, a prawda to rozum. Wreszcie stopienie tych dwóch potęg żyjących w jedną, niemającą już własnego życia potęgę, a łączącą przeszłość z przyszłością, pokolenia znikłe z nadchodzącymi, potęgą tą jest wiedza nagromadzona pracą pokoleń i praca zaoszczędzona przez wiedzę, stanowiące łącznie i nierozdzielnie zasób społeczny, ujęty w materję, bez której zbieranie jego wykonaćby się nie dało; zasób zaś społeczny to mienie, to dzieła wiedzy i pracy, majątki, to zaszczyty, „honory“, bo majątek to siła, a siła to stanowisko, podpora monarchii konstytucyjnej.

Wszakże już przez to, że bojaźń jest następstwem niedostatku wiedzy, z której się wysnuł świat ludzki, despotyzm stojący na trwodze i ciemnocie, sprzeciwia się naturze świata ludzkiego. Czynniki świata ludzkiego są: praca wolna, wiedza i zasób: a jak bez tych trzech czynników nie mógłby istnieć świat ludzki, tak żaden z nich, rozwijając się oddzielnie i samopas nie może utrzymać ludzkiego świata. Nauki, sztuki i umiejętności odłączone od dwóch drugich czynników społecznych, będą błyszczeć bez wpływu na losy narodu, a nawet są złowieszczą życia jego gromnicą--to jaskrawe lecz mdłe wieki Periklesa, Augusta Poniatowskiego, poprzedzające skonanie lub śmiertelne przesilenie. Majątki, którymi nie rządzi nauka i które się nie kojarzą z żyjącą siłą narodu, przechodzą stopniowo w rozkład fizyczny świata powszechnego — to rozpróżniczona obfitość, uspiona dewocją, umierająca z głodu pośród złota i pacierzy Hiszpania Filipa II. — Lud bez nauki i bez zasobów może krwią zalać ziemię, zniszczyć wiekowe dzieła cywilizacyi, ale świata ludzkiego nie opanuje; jego nawet zwycięstwo chwilowe rzuci go na bezdroża, w obłąkanie i niewolę, przez którą utonie w świecie powszechnym. Zwierzęca siła ramienia bez



wiedzy i zasobów, to trzoda dwunożnych zwierząt, to Hunny i Tatarzy, to jakby pomory, zalewy i pożary lub inne siły pierwotnego świata niszczące ludzi i siebie.

Gdyby te trzy wielkie, a jedyne świata ludzkiego potęgi: praca żyjąca, wiedza żyjąca i zasób społeczny, rozdzielały się w równi między wszystkich mieszkańców kraju, świat ludzki stanąłby na równi z tworem Boga, byłby powtórzeniem harmonii panującej w świecie powszechnym, a społeczność ludzka byłaby wykończoną doskonałością; byłaby zrównoważeniem wszystkich ludzi, ku czemu też dąży ludzkość nowoczesna. Lecz równość pełna wykończona pozostanie wiecznie ideałem, bo różnaitość jest jednem z praw zasadniczych tworów.

Różnaitość stopień i różnaitość rozmiar sił, wiedzy i zasobu pomiędzy ludźmi poczuwającymi się zkadinał do tych samych praw przyrodzonych, a więcej jeszcze różnaitość kierunku usiłowań odpowiadających stopniom i rozmiarom sił, wiedzy i zasobów, sprawiają, że nietylko pragnienia i dążności rozwijające się w łonie narodu, nie postępują nigdy wszystkie po tej samej drodze, lecz nadto, ta ich różnorodność wywołuje bolesne niekiedy starcia, a nawet zupełne przeobrażenia społeczne.

Jak zaś do wykończonego istnienia narodu i świata ludzkiego niezbędnem jest ciągle współdziałanie wszystkich trzech powyższych czynników społecznych, tak do przeobrażenia istniejącego stanu rzeczy w narodzie, potrzeba ich przemagającej części, to jest potrzeba połączenia dwóch przeciw trzeciemu. Zaczem istniejącego stanu rzeczy, w żadnem narodzie i w żadnem państwie, nie obalą i nie przemienią, ani głupcy próżnujący w dostatkach, jakiegokolwiek byłyby ich dostatki i wpływy, ani ludzie wiedzy uprawiający nauki dla nauk, jakiegokolwiek byłoby ich stanowisko w narodzie, ani lud oszołomiony, jakakolwiek byłaby jego fizyczna siła i liczba. Ponieważ zaś potęgą naczelną i przodującą w świecie ludzkim jest duch, myśl, uczucie, wiedza, bez której ani mienie pozostać, ani siła fizyczna rozwijać się nie może, przeto, aby przebudować mechanizm społeczny w narodzie lub państwie, potrzeba skojarzenia majątków z nauką lub nauki z ludem! Z czego wynika, że budowę i stosunki społeczne przeobrazić mogą jedynie warstwy społeczeństwa trzymające w swoich rękach albo większą część mienia narodo-

wego, jeżeli posiadają rzetelne wykształcenie, albo też ogół narodu, lud wzięty zbiorowo, jeżeli sięgnął pewnego urobienia w uczuciach, pojęciach i sądzie. Zaczem idzie dalej, że ludzie żyjący w naukach i z nauk, mogą tylko pośrednio wznosić wielkie społeczne dzieła, a to bądź wciągając stany możniejsze w dziedzinę oświaty rzetelnej, bądź szerząc oświatę między ludem. Na tej niezaprzeczonej prawdzie opierają się usiłowania odwrotne wrogów narodu, niszczących rodziny przedstawiające mienie i oświatę narodu, a utrzymujących ogół ludu w ciemnocie; w tamtych naród umiera, w tych ożyć nie może.

Ktoś zapytany, jaki też właściwie jest cel Państwa, odpowiedział po niejakiem namyśle: „Pobierać podatki“. Jeżeli gdzie, to w Austrii odpowiedź ta byłaby trafną. Bezpieczeństwo, które wedle niektórych jest celem państwa, nie jest nim niezawodnie w Austrii, bo tu i wolność i honor i mienie jest na łasce opatrności; nie jest tym celem także umoralnienie, jak utrzymują inni, bo w Austrii niemoralność wszelkiego rodzaju toczy wszystkie warstwy społeczeństwa, ani też uszczęśliwienie, jak inni twierdzą, bo poddany austriacki zaczyna mieć wyobrażenie szczęśliwości dopiero wtedy, gdy do słupów granicznych tyłem jest wrócony. Ale zato podatki tu jedne prześcigają drugie, pokąd nie osiągną każdego z przedmiotów, które wchodzi do ust, które okrywają ciało, lub na które człowiek nogą stąpa; podatki na wszystko co jest miłem w patrzeniu, słyszeniu, powonieniu i jedzeniu; podatki na ciepło, na światło, na poruszenie się z miejsca na miejsce, podatki na wszystko co jest na ziemi i na wodzie, pod ziemią i pod wodą; na wszystko co przychodzi z zagranicy i na wszystko co powstaje w kraju, podatek na płody surowe i na każde dalsze przerobienie w drodze przemysłu; podatek na rzecz, która ci czyni dochód i na dochód, który z niej pobierasz, podatek na wynagrodzenie, które pobierasz za odebraną ci własność i na kupony, które ci to wynagrodzenie przynosi; podatek na leki przywracające zdrowie choremu i na wszystko co sprawia przyjemność, podatek na kosztowne mundury przystrojające znakomitości rządowe i na powróż, na którym wieszają złoczyńcę; na sól biedaka i na kosztowne korzenie i pachnidła bogacza, na świeczki do trumny zmarłego i na weselne wstęgi narzeczonej;

w łóżku i przy stole, kładąc się i wstając, płacimy ciągle i przy wszystkim.

Chłopczyk pogania pod sobą opodatkowanego konika z drzewa, młodzieniec karcii żywego pod sobą konia opodatkowanym biczem, na opodatkowanym gościńcu, prowadząc opodatkowanymi wodzami. Umierający poddany Austrii nalewa lekarstwo opodatkowane do opodatkowanej łyżki, kładzie napowrót głowę na opodatkowaną poduszkę, pisze testament na opodatkowanym papierze i umiera w objęciu lekarza, który płaci podatek upoważniający go dopomagać do przedszego skónania. Żalędwie cierpiący skończył życie, mienie jego podpada podatkowi spadkowemu; prócz kosztów sądowych składa on jeszcze opłatę za zaszczyt, by go pogrzebano na cmentarzu, po drodze dzwonią mu opodatkowane dzwony, świecą opodatkowane świece, śpiewają opłaceni za to dziady i księża, nareszcie cnoty jego przekazuje potomności opodatkowany marmur, rzeźbiony opodatkowanym dłutem i ręką zato podatek płacącą, on sam ucieka do swoich przodków, by uniknąć dalszego opodatkowania.

We wstępie, który poprzedza zbiór korespondencji X. Czartoryskiego z Aleksandrem I. mówi pan de Mazade między innymi: „Cesarz Aleksander I. miał kiedy niekiedy wracające zachcianki, coś coby nazwać można fantazyami sprawiedliwości zbliżającemi go do Europy, do cywilizacji zachodniej“. Dzisiejsza polityka rosyjska rzuciła się na oślep w barbarzyńskie napady, zrywa ona z duchem Europy i tym się przechwala. Dziś pod panowaniem synowca Aleksandra I. idea rosyjska rozwinęła się nareszcie w pełni i nie uznaje nad sobą, ani zobowiązań moralnych, ani więzów dyplomatycznych — idzie zuchwale do celu, nie kryjąc śmiałych zamysłów przed Europą, która patrzy i już się nawet nie dziwi. Wedle tego dzikiego prawa nowego, Rosya rozbiierając Polskę, była przy swem prawie, brała tylko swą własność. Dziś idzie tylko o wcielenie, asymilację prowincyi buntowniczych, o zniwelowanie całego społeczeństwa, wytępiając, wywożąc masami mieszkańców, niszcząc język, podkopując wychowanie narodowe i wiarę, burząc wszystkie warunki bytu ekonomicznego i rozbudzając namietność ludu. Polityka dzisiejsza rosyjska przerosła wszystko co dokonał cesarz Mikołaj, który przecie pierwszy

zapał się zobowiązań własnych i brata swego Aleksandra I.; gromadzi ona zarody nowych nieszczęść i excesów, których ostatni cesarz nie wymyślił jeszcze choć go niedawno autokratą zwano. Lecz polityce tej nie uda się lepiej niż jemu, bo ma do czynienia z jedną z tych potęg, które siła napróżno kusi się złamać, a której nigdy nie zwycięża — z sumieniem narodowym.

Wychowanie przymusowe! Sprzeciwia się pojęciu wolności; przymuszać ojca, by posyłał dziecko swe do szkoły publicznej, jak długo więc pod wychowaniem rozumie się przymus szkolny (Schulzwang) tak długo pisać się nie mogę na tę zasadę. Nie idzie wszakże za tem, bym potępiał zasadę wedle której społeczeństwo ma prawo przymusić ojca, by dziecko swe wychował. Zapewne nic nie ma świętszego jak prawo ojca rodziny i wolność z jaką takowe wykonywać powinien; nie przeszkadza to przecież, aby prawo karało ojca, który nadużywa swego prawa, aby zmuszało ojca do dostarczenia dziecku potrzebnego pożywienia. Pokarm duchowy, ten przynajmniej, który stawia człowieka w możności komunikowania się z drugimi, czyż mniej jest niezbędnym jak pokarm cielesny? Gdy prawo cywilne obowiązuje ojca wychować swe dzieci, trudno obowiązek ten ścieśnić do pojęcia wyżywienia; zostawiając więc wolność ojcu, by dziecko swe uczył jak chce i gdzie chce, byle tylko uczył; nie będzie ścieśnienia wolności prawdziwej, a przecież będzie obowiązek czyli przymus ojca do uczenia dziecka. W tem tylko znaczeniu pojmuję przymusowe wychowanie i w tem znaczeniu jestem za przymusem, bo wychowanie umysłowe wzmacnia pierwszy i najsilniejszy element produkcji człowieka, bo brak oświaty jest największem niebezpieczeństwem społecznym, zaludniającem wciąż szeregi żebraków, włóczęgów i złoczyńców, społeczeństwo więc ma prawo żądania od swych członków, aby dzieciom swoim, mającym z kolei zostać członkami społeczeństwa, dawały wychowanie potrzebne do zapewnienia sobie życia i wypełnienia obowiązków względem społeczeństwa.

Nic śmieszniejszego, jak człowiek niepoważny starający się nadać sobie powagę. Z powagą, to tak jak z odwagą, kto jej

nie ma, ten jej nie uda, a starając się udawać ją, staje się komicznym.

Nie wiem czy dożyję zdrowego sądu o „Odzie do młodości“ Mickiewicza, wątpię nawet patrząc na olbrzymią zarozumiałość naszej młodzieży, która do tej zarozumiałości z owej Ody ciągnąc pokarm, straciła zmysł zdrowego sądu. W Listopadowem powstaniu sam tylko wybuch był dziełem młodzieży — cały dalszy kierunek poruczyli starszym i temu przypisywali niepowodzenie. W powstaniu Styczniowym młodzież tak inicjatywę, jak i kierunek zatrzymała przy sobie i dowiodłszy prawdziwości biblijnego ostrzeżenia: „Kiedy zechcę karać narody i skążę je na zagładę, w ręce młodzieniaszków oddam władzę“, dziś przypisuje smutny koniec wywołanego ruchu temu, że starsi jej pomagać nie chcieli! Gorączka krwi wywołana ciąglem podrażnieniem fantazyi przez czytanie naszych mistyczno-proroczych poetów, któremu się młodzież prawie wyłącznie oddaje, mąci jej rozum nie podsycany żadną wytrawniejszą nauką i nie dozwala prawdzie przystępu.

**Lipiec 1865.** Jest to stara jak świat prawda, że panowanie nie przypada w dziale ani najcnotliwyszemu, ani najrozumniejszemu, lecz najzręczniejszemu. Człowiek zręczny nie garnie się wyłącznie do nikogo, ale ile możliwości żyje dobrze ze wszystkimi, czeka, patrzy i zachowuje się dla wypadków, aby one go nie zgniotły. Każde stronnictwo wymaga ofiar — zręczny nie powinien paść ofiarą. Trudno jest zgadnąć kto wygra, zręczny stara się być zawsze gotowym stanąć przy tych, co się utrzymują. Cała mądrość zręcznego, grać rolę obojętną, niewyraźną, dać się pożądać wszędzie, pokazać czasem, że się ma siłę, ale jej nie poświęcać, chyba z przeświadczeniem, gdy się wyrachuje, jakby się z niej największy wyciągnęło pożytek. Zręczny więc jest chłodnym, wyrachowanym, grzecznym, miłym, pełnym słodyczy i wyrozumiałości dla bliźnich, którym nigdy nawet najjawniejszych grzechów nie ma za złe, ani się nimi odstręcza, jest wogóle ze wszystkimi dobrze i wszystkim nawet postępowaniom skromnie przyklaskuje, rysy tylko ich zbyt wybitne zawsze się stara ścierać i łagodzić; najradykałniejsze teorie przechodząc przez

jego usta, nabierają charakteru oklepanek rozcedzonych w drodze różanej, nikomu nieszkodliwych. My jeszcze jesteśmy za surowi, za mało ucywilizowani, lubimy kolory jaskrawe, wybitne — dlatego nasi Rayscy i Rodakowscy ciągle jeszcze w drugim stoją planie, lecz przyjdzie czas i na nich, bo i my się cywilizujemy i my — jak się wyraża autor broszury: Rząd i organizacja narodowa w Polsce — „Bogu dzięki już coraz mniej mówimy o honorze“! a cnotę zaczynamy uważać za połączony przymiot człowieka publicznego.

Na tym świecie wszystko jest snem, który przemija z przebudzeniem: jedno tylko cierpienie jest rzeczywistością.

! ) Dziwna to, że chcąc nabrać wartości u ludzi, trzeba się z nimi obchodzić trochę z góry. Kto przez skromność staje ostatni w szeregu, ten i z tego pośledniego stanowiska w końcu spędzonym bywa.

Salus reipublicae, suprema lex esto! mogło to być dobre w Rzymie i wogóle za czasów pogaństwa, kiedy człowiek jako taki nic nie znaczył i o tyle tylko miał prawa, o ile był członkiem jakiegoś Państwa. Lecz w dzisiejszych, chrześcijańskich, na poszanowaniu prawa opartych społeczeństwach, zasada owa jest fałszywą i zbrodniczą zarazem. Zasada bowiem ta uświęcając coś wyższego nad prawo, nadwierała tem samym znaczenie i powagę prawa; zasada ta uświęca ze strony rządów wszelkie targanie się nie tylko na kodeksa pisane, ale na zasadnicze i odwieczne prawa, które wiążą i utrzymują społeczność; z drugiej zaś strony upoważnia narody do użycia w walce przeciw rządowi wszelkich godziwych i niegodziwych środków; cierpi zaś na tem ludzkość cała, pozbywając się moralności, bo poczucia prawa. Tylko wysoko postawioną ideą prawa, czczonego aż do bałwochwalstwa, broni się Anglia od wszelakiego wybuchu, który tam przy największym rozpasaniu namiętności politycznych jest niemożliwym.

Jeden z przyjaciół Adama Mickiewicza opowiadał, że rozgadawszy się raz z nim o naszej przyszłości i o środkach zbu-

dowania sobie takowej, zapytał Mickiewicza, coby począł, gdyby nagle stał się bardzo bogatym? Ja, rzekł Mickiewicz, wykupiłbym wszystkie a wszystkie egzemplarze Konrada Wallenroda, i do jednegobym je spalił.

Czuł więc sam Mickiewicz, jak wiele złego sprawie narodowej uczyniła idea Wallenrodowska, apoteoza fałszu i zemsty, przyznanie się do słabości i upadku. W wielkich zapasach ludzkości dobijającej się swych przeznaczeń, Wallenrody są trupami, nad którymi płakać potrzeba, ale się ich naśladować nie godzi. Potrzeba było tak zroźpacznego jak nasze położenie, aby pokolenie całe dopatrzyło w Wallenrodzie wzoru i zapragnęło pójść w jego ślady.

Od chwili gdy Wallenrod ukazał się, aż po dzień dzisiejszy, żyliśmy niestety nieustannym Wallenrodyzmem, a ile powagi, ile blasku odjęliśmy przez to sprawie narodowej, kłamiąc, milcząc, spiskując, gdy należało w obronie jej występować otwarcie i wytrwale? Ileśmy ludzi stracili, co kryjąc się pod płaszczem Wallenrodów zeszedli na prawdziwych Krzyżaków; ile takich co nawykłszy do fałszu, do udawania, we własnym nawet kłamieniu obozie, bo kłamstwo i fałsz stało im się drugą naturą, ileż krwi i łez opłaciliśmy ten poemat... wyliczyć niepodobna?!

Dałby Bóg, by epoka Wallenrodów się skończyła, by się zamknęła najnowszymi naszymi męczeństwami i już nie powracała! Straciliśmy wiele, nie śmiejąc wyznać prawdy, a spiskując dla niej, urządziliśmy ujmę charakterowi naszemu, zachwialiśmy samo znaczenie tej prawdy ukrywając się z nią, zaszczipiając nieufność jednego ku drugiemu, uniemożliwiliśmy wspólne działania.

Czytając artykuły wstępne „Pracy“, a od niejakiego czasu i „Przeglądu“, wpadasz mimowolnie na zdanie owego hreczkosieja, co to lat temu kilka, ku niemałej słuchaczy pociesze dowodził, że dziennikarze mają inną niż reszta ludzi organizację mózgu. Odczytaj tylko proszę artykuły wstępne „Pracy“, o sejmach i sejmikowaniu, o naszych konserwatystach, o utracie mandatów poselskich, lub też w „Przeglądzie“ o teraźniejszej kryzysie ministeryalnej, w którym to gromi naszych delegatów, że nie potrafili żadnego Polaka wyforytować na ministra, — a jeżeli ci

się nie przewrócą książki wewnątrz, jak zwykły mawiać książę Józef, Nie-Poniatowski, to masz żołądek strawniejszy od ptaka austriackiego, co to srebrne łyżki przetrawiał na papierki. Podśluchałem też niedawno dysputę między jednym prawnikiem, a słynnym u nas i za wielkiego człowieka mającym się publicystą, którą mutato objecto podają jako specimem wysokiej loiki tegoż publicysty:

Jurysta: Więc Paweł ukradł? (Paweł aresztant usługujący dziennikarza).

Publicysta: Brix jest złodziejem. (Brix aresztant, totum-facki w Brygidkach).

— J. A to dlaczego?

— P. Przecież kto ukradł, ten jest złodziejem, a ponieważ Paweł ukradł, więc Brix jest złodziejem.

— J. Za pozwoleniem, przecież Brix nie jest Pawłem.

— P. O to mi zarzut! Przecież nie zaprzeczysz, że Brix może się nazywać Pawłem, a więc może być złodziejem.

— J. Ależ tu nie idzie o to, czy jakiś Brix może nazywać się Pawłem i być złodziejem, tylko o to czy ten Brix, który się tu znajduje i któremu na imię jest Adolf, jest złodziejem.

— P. Kiedy ja nie mówiłem, że Paweł Brix lub Adolf Brix jest złodziejem, tylko twierdziłem w ogólności, że Brix jest złodziejem.

— J. Dajże spokój, my nie mówiliśmy o jakimś Brixie na księżycu, tylko o tutejszym Brixie, a zresztą ty nawet nie udowodniłeś, że Brix w ogólności jest złodziejem.

— P. A to dobre, jakto nie udowodniłem?

— J. Przecież w konkluzji nie może podług zasad loiki znajdować się, czego nie ma w założeniu, a w twojem założeniu o Brixie nie ma wzmianki.

— P. Jakto nie ma? — przecież wyraźnie powiedziałem, że Brix jest złodziejem; z tobą widzę nie można dysputować, bo nie pamiętasz co powiedziano przed chwilą, albo umyślnie zaprzeczasz co było powiedzianem.

— J. Pamiętam i nie przeczę żeś powiedział, iż Brix jest złodziejem, lecz to była właśnie konkluzja; założenie zaś było: kto ukradł ten jest złodziejem, a Paweł ukradł, w założeniu więc jak widzisz nie ma wzmianki o Brixie.



— P. To ja już nie wiem czego ty chcesz; przecież i ja uczyłem się loiki i wiem co sylogizm; ale mniejsza o to, nie chcąc się na próżno z tobą sprzeczać, boś się uparł i chcesz koniecznie postawić na swoim; więc ci twojem sposobem dowiodę, że ja mam słuszność.

— J. Bardzo proszę — słucham.

— P. Paweł ukradł — czy zgoda?

— J. Zgoda!

— P. Brix jest człowiekiem — czy tak?

— J. A tak!

— P. A człowiek, który ukradł jest złodziejem?

— J. Bez wątpienia!

— P. A więc: człowiek ukradł, a ponieważ Brix jest człowiekiem, więc Brix jest złodziejem.

— J. Ależ mój drogi wpadłeś w ten sam błąd, co pierwej; w założeniu bowiem nie ma twierdzenia, że Brix ukradł.

— P. Ale jest twierdzenie, że człowiek ukradł, a sam przyznałeś, że Brix jest człowiekiem; czy może zechcesz mi to w żywe oczy zaprzeczyć?

— J. Wszystko to prawda, lecz ztąd nie wynika, że twoja konkluzya loiczna, bo założenie twoje mówi, że jakiś człowiek w ogólności ukradł, człowiekiem zaś jesteś także ty, nietylko sam jeden Brix, więc podług twego sposobu argumentowania można także konkludować, że ty jesteś złodziejem.

— P. Mój panie, proszę mię nie obrażać, pan jak widzę nie umiesz nawet przyzwoicie dysputować. Ja mówię o człowieku, a Brix jest człowiekiem — to jasne jak słońce; a pan z tego wyciągasz konkluzyę, że ja jestem złodziejem. Pojmiesz pan, że z panem nie mogę dłużej dysputować. Ja obstaę przy swoim, że Brix jest złodziejem, boś pan tego nie zbil, nie twierdę wszakże, że twoje zdanie jest mylne, obstaę tylko przy mojem i jestem teraz pewniejszy swego niż przedtem“.

Ukłonił się sztywnie publicysta i dumny z odniesionego nad prawnikiem zwycięstwa, odszedł do swej kaźni, medytując pewnie nad jakimś artykułem do „Przeglądu“, dowodzącym, że jurysterya prowadzi do kołowacizny, przeto prawnicy od służby publicznej wykluczeni być powinni.

Jak dzieci piłkę, tak my prawdę jeden odrzuca drugiemu, nie biorąc jej dla siebie. Jakiś dziwny zamęt pojęć panuje między nami; nikt niczego dokładnie nie pojmuje, a o wszystkim stanowczo decyduje i nie ma sposobu zaradzenia złemu, jakie stąd powstaje, bo zarozumiałość broni przystępu prawdzie, któraby ten zamęt, jak światło mgłę, rozprószyć mogło. Ten utrzymuje, że zarząd sądownictwa należy do sejmu, tamten dowodzi, że poseł, który utracił mandat poselski, powinien wyraźnie oświadczyć, że mandat składa; ten chce utworzyć stronnictwo słowiańskie, ów skrajno-opozycyjne, opierające się na Dyplomie Październikowym, który jak wiadomo jest programem nowo tworzącego się ministerium. Uosobieniem zaś tego zamętu pojęć, jest Henryk Jasiński, doktor praw, były współredaktor „Pracy“, teraźniejszy właściwy redaktor „Przeglądu“. Rewolucya, reakcja, konserwatyzm, demokracja, arystokracja, wolność, absolutyzm, konstytucjonalizm, legalizm — to wszystko miesza mu się w głowie w bigos prawdziwie hultajski. Przytem czytał gdzieś, iż stronnictwa tak są potrzebne, że gdzieby ich nie było, tam je trzeba stworzyć. Chodzi więc ciężarny myślami niezliczonych stronictw, któremi nas uszczęśliwić zamierza; że zaś przed dwoma miesiącami jako współredaktor „Pracy“ zasypywał kraj projektami stowarzyszeń, więc jakoś mu się pokiełbaśiło w głowie i to co wprzód było stowarzyszeniem, dziś jako stronnictwo mu się przedstawia; zamierza tedy pan doktor utworzyć silne stronnictwo z szeroko rozwiniętym sztandarem, celem przeprowadzenia dobrych wyborów do sejmu, rad miejskich i powiatowych — a ponieważ od chłopców, którzy byli w szkole Cunco, zaraził się bałwochwalstwem dla Garibaldegó, a ten jest naczelnikiem stronnictwa czynu, więc zamierza i u nas utworzyć stronnictwo czynu, ku przedsięwzięciu prac około handlu, rękodzielnictwa i przemysłu!!

„Gazeta narodowa“ skandalizuje się tym zamętem pojęć „Przeglądu“ i rznie mu prawdę; „Przegląd“ zamiast ją przyjąć odrzuca ją „Gazecie narodowej“ i to w taki sposób, iż jej nabił guza; „Gazeta narodowa“, którejby trochę prawdy także nie szkodziło, odrzuca ją razem z guzem „Haślu“, które Bogu duszę winno. — Można prawdy nie lubić, ale nie przystoi kierownikom opinii publicznej zdania swe pięścią popierać, lub za-

miast argumentu, rzucić przeciwnikowi w twarz obelgę. Jak dyament poleruje się tylko pyłem dyamentu, tak myśl, myślą tylko zwyciężoną być może — nigdy siłą pięści ani obelgą, które zamykają usta, ale nie przekonywują.

Świętojurskie „Słowo“ użala się, że „Matycia ruska“ jakoś ani na krok naprzód nie postępuje, że wydawnictwo tej instytucji naukowej (?) ogranicza się na bukwały i inne drobniejsze książeczki, napisane językiem coraz bardziej odstępującym od tego, który się kształci przez ogół ruskich pisarzy, że stąd coraz silniejsza przeciw „Matyce“ opozycja, a coraz skąpsze przychody. Żali się dalej „Słowo“ że i teraz jeszcze po 17 latach odmłodnienia ruskiego narodowego życia, zdolniejsi Rusini tyrają swoje siły na polemice o język i gramatykę, a co więcej, że dzieła napisane językiem jednego stronnictwa bywają nieprzypuszczone do druku przez literatów drugiego stronnictwa. — A więc po 17 latach odmłodzenia ruskiego życia i fanatycznych zabiegów około wzmocnienia onegoż, Rusini galicyjscy nie wiedzą jeszcze, jak wygląda język ruski, który przecież jest jedną z głównych podstaw narodowości.

Wyrzuca następnie „Słowo“ literatom ruskim ich dotychczasową dwuznaczność: „przed rządem i innymi austr. Słowianami, mówi „Słowo“, występowali w duchu — małoruskim, wyrzekając się jak najmocniej wielkorusczyzny (moskiewszczyzny), podczas, gdy ich dzieła zdają się zmierzać do zadania panruskiego (wszechrosyjskiego)“, co wedle „Słowa“ zrobiło Rusinom bez potrzeby bardzo wiele wrogów. „Rząd bowiem i Słowianie austriacy widząc, że literaci ruscy mówią w duchu małoruskim, a w pismach swoich nastawiają się kude inde, podejrzewają i u całego narodu jeszcze więcej ukrytych myśli i podsuwają Rusinom wrogie sobie zamiary polityczne. Reprezentanci ruscy, czyto sejmowi czy inni, okazywali się wszędzie tak hyperlojalnie, jak może żadni inni, a przecież z powodu tej dwójstej roli niektórych (?) Rusinów, nie zdołali się dorobić rzeczywistego zaufania: „Den Russen (Rusinom) traue ich nicht“ miał powiedzieć hr. Mensdorff. Nie więcej i inni Słowianie austriacy mają do Rusinów zaufania“. Nareszcie skonstatowawszy, że młodzieży ruskiej ani mów o przyjęciu wielkorusczyzny, a i mnogie

głosy z „rosyjskiej Małorusi“ ciągną przemagająco za utrzymaniem swego „rodzimego słowa“, wzywa Matycę by „objaśniając“ swe statuta ogłosiła, że pod językiem ruskim rozumie język małoruski i kończy przestrogą, że zaprzepaszczenie mowy ruskiej w mowie wielkorossyjskiej rozdzieli Słowian na długo — może na wieki.

Wyznania te są tem ważniejsze, ile że „Słowo“, które je umieszcza, przyczyniło się głównie do popchnięcia ruchu literackiego ruskiego na tory moskiewskie. Czy wyznania te połączone są ze skrucą i czy można spodziewać się poprawy szczerzej, to inne pytanie. Świętojurcy, jak organ ich sam przyznaje, chodzili ciągle krzywemi drogami, co innego myśleli, co innego mówili, a co innego pisali. Po upadku pana Schmerlinga zaczyna wiać dla nich z Wiednia wiatr nie bardzo pomyślny; kto wie czy ekspektoracye owe nie są obrachowane na zamydlenie oczu mężom stanu, którzy mają po p. Schmerlingu objąć ster rządu.

Jak mało teraz ludzi grzecznych! a przecież grzeczność nic nie kosztuje; jest to tania moneta, której nie należy skąpić. Niezawodnie rozrzutność jak w ogóle, tak i co do tej monety jest nagany godną; nie bądźmy więc rozrzutnymi co do grzeczności, nie wyrzucajmy jej przez okno, ale nie wpadajmy w drugą ostateczność, nie bądźmy sknerami.

Każdy człowiek jedno tylko ma serce, u każdego więc jedno tylko serce poruszyć można, ale każde poruszenie tworzy inny związek uczuć, który jakby nowy obrót kaleidoskopu, pokazuje nowe barwy i nowe postacie. Nieżonaty ma w tem wielką przewagę — bo choćbyś miał najczulsze pojęcia, gdy raz w zatoce małżeństwa staniesz, pozostaje mało chęci wyruszyć pod każdym miłym wietrzykiem uczuć. Po ślubie uczucie staje się zwyczajem, wprawdzie świętym zwyczajem, ale zawsze tylko zwyczajem, osłabiającym majestat wszechwładnej miłości, wprawiającym duszę poetyczną w jednostajność wrażeń, ogołoconą z owej bystrej jak iskra natychmiastowości i różnorodności popędów, jaką tylko ci posiadać mogą, co nie są związani żadnym sakramentalnym węzłem, ani zaciągniętymi zobowiązaniami.

Jeśli dziecko choć na moment zwątpi o miłości i troskliwości rodziców, to w tej chwili utracą główny przytułek dla najserdeczniejszych uczuć swoich i jest na cierniowej drodze do gorzkiej i przykłej przyszłości. Serce jego powleka się żelazną pokrywą i chociaż w późniejszych stosunkach ze światem nieraz sypnie iskrami żądz i namiętności — nigdy, nigdy już się nie zmiękczy!

To dziwna, że wtenczas właśnie kiedy najmniej mamy mocy wojować ze światem, najwięcej posiadamy ufności w nasze siły. Mało osób na świecie posiada w tak wysokim stopniu przekonanie o własnych swoich siłach, jak młodzieniec, który właśnie co zdał egzamin dojrzałości. Wierzy on jak w ewangelię, że posiada klucz do rozwiązania najtrudniejszych kwestyi nie tylko naukowych, ale nawet politycznych i społecznych, że posiada broń do zwalczania wszelkich trudności życia, że posiada rozum do rządzenia światem. Nie przypuszcza, żeby mógł się mylić, nie przypuszcza, żeby mu się mogło nie udać cały świat zdobyć szturmem, dziwią go nawet ludzie spokojni, którzy się nie lękają jego obecności. Szczęśliwy kraj, gdzie młodzież ta ma pole do wychasania się, do nabicia sobie guzów bez narażenia społeczności na guzy i do nabycia nakoniec przekonania, że do wojowania ze światem trzeba czegoś więcej aniżeli zarozumiałości.

Nie ma chwili w naszym życiu, w której mniej się zdajemy zasługiwać na miłość drugich i na własne nasze poszanowanie, jak kiedy odbieramy dowody przywiązania, któregośmy nie warci i kiedy ze szczerością objawiają się nam tajemnice serc, a my zanadto jesteśmy obojętni, ażeby nawzajem być otwartymi... Wspomnienia miłości i poświęcenia rodziców, zgody i przywiązania rodzeństwa o wiele wyrównują i rozjaśniają ciernistą i ciemną drogę życia, dużo nam ulatwiają ciężaru, fałszu i niewdzięczności ludzkiej, och dużo ułatwiają w pozyskaniu wiary, w istnienie prawdy i dobra... Niestety, życie męzczyzny w naszym pospiesznym świecie, zanadto się mierzy troskliwie zapomnieniem owych miłych węzłów, które przywiązują serce do siedliska pierwszych jego uczuć. Gasimy ów ogień, który sama przyroda w nas wzniciła, żeby nim zanadto nie zapłonęły

nasze serca i nie rozpały się płomieniem słabości. Nie umiemy kierować tym ogniem tak, żeby się stał uwieńczeniem naszych zamiarów. To też gdy srogie doświadczenie nas rozczaruje i chcemy jak ptaki ranione w rodzinnem gnieździe szukać przytułku, serdeczne przyjęcie jakie od matki, siostry nas spytyka, zamiast przynieść pociechę, ukoić rany, przygniata nas zawstyżeniem, bo czujem, że tę serdeczność, równą odwdziżyć serdecznością jesteśmy niezdolni.

Nigdzie tyle nie prawią o poświęceniu co u nas — a nigdzie mniej poświęcenia jak u nas. Umiemy poświęcić majątek, byt, życie nawet, ale nie jesteśmy w stanie złożyć na ołtarzu Ojczyzny choćby najdrobniejszej części próżności naszej... Ten dopiero prawdziwie poświęca się i ten dopiero prawdziwie mocnym się staje, kto ma moc wyrzec się samego siebie. Dusza czująca w sobie władzę zwalczania własnych swoich namiętności, obdarzona jest siłą, przed którą wszystko uleść musi. Poświęćmy ojczyźnie naszą zarozumiałość, próżność, nasze namiętności, a nabędziemy siły do zwalczania nieprzyjaciół naszych i zwalczymy ich.

Ze też ludzie próżni, a w ogóle pleć piękna, tak wielką wagę przykładają do strojów. Prawdziwym dyamentom nie potrzeba oprawy, aby jaśniały blaskiem swych promieni.

Jeśli pochyliwszy się nad przepaścią, ujrzysz pod tobą głęboką otchłań ciemnych mas wód, rozjaśnionych tylko bałwanami piany, a huczących jak podziemna burza — lub kiedy idąc wąską doliną, spostrzeżesz nad głową piętrzącą się w niebo olbrzymią skałę — gdybyś miał głowę zaprzętą nie wiem jak dumnymi myślami, zmalejesz i spokojniejsz natychmiast i nigdy w takim miejscu nie przyjdzie ci do głowy myśl podła lub słaba, nigdy serca twego nie poruszy żądza niegodziwa; och bo człowiek nigdy nie jest lepszym, jak wtenczas, gdy ma najpokorniejsze o sobie wyobrażenie; nigdy nie jest więcej niepodobnym do złego ducha, jak wówczas, gdy duma jego zniszczona.

Aż do obrzydzenia naczytaliśmy się pochwałek niemieckich pyszałków o cywilizatorskiem Germanów na wschód posłannictwie,

przeplatanych systematycznym wyrzekaniem na dzikość i barbarzyństwo polskiej szlachty, znęcającej się nad chłopami. W zeszłym roku wydał w Berlinie Fryderyk Kapp dzieło pod napisem: „Der Soldatenhandel deutscher Fürsten nach Amerika 1775 — 1783“, oparte na dokumentach archiwum angielskiego i drukowanych rozpraw parlamentu angielskiego, a wykazując jak książęta kaselski, waldecki, brunświcki, anhalt-zerbstski, bajreutski i inni, poddanych swych porywając, kradnąc, rabując, sprzedawali Anglikom na rzeź w wojnie amerykańskiej, biorąc prócz umówionej za każdą głowę sumy, osobną kwotę za każdego zabitego i kradnąc bijącym się w Ameryce poddanym swym jeszcze żołd, który Anglia tym Janiczarom na ręce książąt płaciła. Przeciw tej hańbie ludzkości odzywały się głosy w samym parlamencie angielskim, a lord Campden nazywa układy rządu swego z książętami niemieckimi o najęcie żołnierza, „prostem szachrajstwem o sprzedaż krwi ludzkiej“. — Z tą książką w rękę zapytać się możem śmiało: jakim czołem Niemcy śmia nam Polakom wyrzucać barbarzyństwo, a szlachtę polską oskarżać o okrucieństwo względem poddanych? W dziejach naszego narodu, nawet w tych okropnych czasach, o których traktuje dzieło Kappa, a był to dla Polski czas największego upadku, napróżno szukalibyśmy okropności, jakich podług Kappa dopuszczali się niemieccy książęta na swoich poddanych. Jednakże wielmożom polskim, gdyby pomyśleć byli mogli o podobnych sprawach, nie zbywało na sile do wykonania, bo czemże potęga takiego margrabi Bajreuthu, Anhaltu, Waldeku, a nawet Kosselu w porównaniu z siłami Potockich, Radziwiłłów itp.? I czyż nie dawał dobrego przykładu ów przez Niemców „Wielkim“ nazwany Fryderyk II, który gdy od południowego Wschodu Tatarzy zaprzestali napadać na polskie ziemie i grabić ludność w jasyr, zapuszczał swe haniebne zagony na północnym zachodzie, porywając silnych mężczyzn do swych grenadyerów i łowiąc dziewczęta, by je przymusem żenić z dzikimi swymi Brandenburczykami? To, co pisze Kapp, to tylko jedna cząstka obrazu Niemiec w zeszłym wieku. Co robiły te setki takich landgrafów, margrabiów, książąt, których zdmuchnęła ze świata rewolucya francuska, z ludem, mieszczaństwem, z uczonymi, z ich mieniem, sławą, życiem, ze czcią ich żon i córek? Do dziejów Niemiec, do dziejów z czasów, kiedy nasza szlachta

zaczynała radzić nad konstytucją 3 Maja — niech się zwróca owi podli krzykacze germańscy co to „Germanom“ misję cywilizatorską między polskimi barbarzyńcami przypisują; do dziejów Niemiec odesłać należy i tych obłąkanych półgłówków, co powtarzając pacierz za wynarodowioną szajką Mierosławskiego, bezmyślnie kalają własne gniazdo, ohydząc w czambuł szlachtę polską; do dziejów Niemiec niech zajrzą owi zaślepieni zeloci rusczy, co kracząc na nutę zaprzędanych Moskwie Świętojurow, na szlachtę polską zwalają wszystkie popełnione i niepopełnione zbrodnie. Popełniła ona wielką zbrodnię, ale nie na ludzie bezpośrednio — krzywdziła ona i lud, ale najbardziej wówczas, gdy już nie miała prawa koronować królów. Zaprzędał i u nas szlachcic całe wsie Tatarom, lecz ten szlachcic zwał się Chmielnickim! Niech nieprzyjaciele nasi wezmą w jedną rękę dzieło Kappa opisując czyny niemieckich grafów, margrabiów i książąt pod koniec XVIII wieku, a w drugą dzieło Leona Wegnera opisujące dzieje dnia 3 i 5 maja 1791 r., — niech je porównują i niech się wazą rzucać kałem na starą Polskę i jej szlachtę.

Aide-toi et Dieu t'aidera; Bóg tylko tym pomaga, którzy pomódz usiłują sami sobie. Od kilku lat mnożą się w świecie cywilizowanym stowarzyszenia wzajemnej pomocy pomiędzy wszystkimi klasami społeczeństwa. Propaganda ta rośnie olbrzymio i rozszerza stowarzyszenia coraz więcej. Jest to rodzaj ewangelii życia, która przekształca dotychczasowe, jeszcze zanadto żywołem pogańskim przesiąkłe stosunki społeczne. Jest to prawdziwe i istotnie ludzkie zbratanie, nabierające siły zbiorowej zjednoczeniem pojedynczych sił; z datków drobnych od pojedynczych członków tworzy się pomoc potężna i niezawodna dla wszystkich. I u nas, gdzie idea braterstwa przez wieki była już ciałem, bo każdy obywatel Polski nosił miano „brata“, — zbratanie za pomocą wyż wspomnianych stowarzyszeń w coraz szersze koła wprowadzić zamierzano, jak to świadczą przedkładane rządowi statuta dla stowarzyszeń bratniej pomocy między akademikami, między technikami, wzajemnej pomocy między oficyalistami prywatnymi, między czeladzią rzemieślniczą. Rząd austr., który we wszystkim co Polacy zespolonemi siłami zdziałać zamierzają, bądź to na niwie moralnej, bądź materyalnej,



widzi wrogię dla siebie dążności i może się w tem nie myli, gdyż każde wzmocnienie sił naszych czy to moralnych, czy materyalnych, zagraża ostatecznie przyjętemu przezeń względem nas systemowi exterminacyjnemu — rząd mówię, nie pozwolił na żadne z owych stowarzyszeń; a przecież nie ma szlachetniejszych instytucji na świecie, jak towarzystwa wzajemnej pomocy.

Obok tych wszakże usiłowań wspaniałych, a nawet wyprzedzając je, powinna stać zawsze wysoko zasada, „Pomóż sam sobie.“ Gdy wpadasz w kłopoty, bracia przyjdą ci w pomoc ale przedewszystkiem wszelkich sił użyć powinieneś, abyś sam sobie pomógł. Życie ludzkie nie jest zabawą, jest ono ważnem zadaniem, które rozwiązać, przeprowadzić, wykonać trzeba dla własnego naszego honoru. Bezmyślność jest lenistwem mózgu; lenistwo jest głupotą ciała. Nie godzi się przeto ani chwili zaniedbywać pracy, ani dać się ować lenistwu ciała, duszy i woli, lub samolubstwu, pokusie, słabościom własnem. Opierając się im mężnie, przewyciężając siebie samego, stajesz się zdolnym do zwyciężenia świata i to jest znaczenie słów: „Pomóż sobie samemu.“ Jeżeli gdzie, to u nas, którym rząd stawia ciągle przeszkody do utworzenia zbiorowej pomocy, pomoc własna jest niezbędnym warunkiem istnienia. Godziłoby się więc, aby się znalazł tłumacz dzieła angielskiego „moralisty“ Samuela Smiles pod tytułem „Self-Help“ i obznajmił tym sposobem, szerszą naszą publiczność z użytecznością i koniecznością „Pomocy własnej.“

I jesień ma swe przerażające burze — jak lato. I mąż choćby okryty pancerzem doświadczeń i nauki, nie jest przecież wolny od cierpień. Są one ogólnem dziedzictwem nas wszystkich; jeśli nas nie napadają w wiosnie albo w dniach gorącego lata, z pewnością nas nie miną w jesieni. Jest to kara, którą płacić winna ludzkość za przyjemności swoje. Bo przyroda z równowagi nigdy nie występuje. Za wiatrem wschodnim następuje wiatr zachodni i każdy uśmiech musi mieć swoją równowartość łez...

Wielkie myśli tylko temu się jedynie i prawdziwie należą, którego umysł zatrzymać je zdołał. Na tem nie zależy, kto je

najpierw przedstawił słowami — jeśli się tylko do duszy dostaną i duszę napełnią, do niej już należą — czy przybyły za pomocą czyjegokolwiek głosu, czy na skrzydłach milczenia.

Mężczyzna przeciw sile działań i zamiarów, sam siłę stawić może, przeciw mocnej woli i jego wola się wzmacnia, duma wznieca dumę — ale łagodności prawdziwie kobiecego charakteru, ulega z wynurzeniem czułości. Mężczyzna nigdy się nie da zwyciężyć na własnym swem polu działań i energii, ale niechaj go zwabia na pole na którym włada czułość i miłość kobiecej przyrody — energia jego upada, silna determinacja słabieje — i dumnym będzie ze swej uległości. — Ze też kobiety prawdy tej nie znają!...

*Znaj, ale nie wyszła.*

W chwili gdy mieszkańcy miasta Hull biednych wygnańców polskich, świstem i kamieniami od brzegów Anglii pędzą, którzy się na tę sławioną ziemię wolności przed więzieniem o głodzie i torturach zimna i wilgoci, przed męczarniami katorżni, przed śmiercią, schronić ~~chcieli~~ — margrabia Townsend zakłada w Londynie szpital dla... psów, a kilka dam podejmuje się dozoru sal... Niech żyje Cywilizacja!

Ostatnich lat kilka rozdzieliły nas bardziej, niżby się zdawało od wszelkich tradycji, to też naturalnym rzeczy trybem jaskrawiej niż przed tem, zdradza się u niektórych chęć powrotu do przeszłości. Kochajmy ją całym sercem i duszą, lecz nie zapominajmy — że nic nie powraca! Dużo lepiej bywało u nas niż dzisiaj, nie godzi się wszakże szukać lekarstw niemożliwych, i ze strachu przed terażniejszością zakopywać się w mogile. Pomódlmy się na niej, aby znaleźć drogę, którą dziś iść trzeba. Tęsknica za przeszłością jest piękną w poezyi, ale nic nie daje i nie przynosi z sobą. Wrócić — nie można, powtórzmy to sobie; świat jedną formą żywota dla żadnego narodu się nie zamyka, idzie o to, aby z naturą zgodnie wyrobić przyszłości życie nowe, coby tamtego było prawem dziecięciem.

**Sierpień 1865.** Wszystkie kwestye rozstrzygają się teraz interesami nie zasadami, a że interesa co chwila zmieniać się

muszą, na podstawie tej nic trwałego zbudować się nie da. W prawa międzynarodowe muszą wniknąć pewniki, które wiek nasz stanowi jako postulata przyszłości i na nich tylko będzie mógł oprzeć się bezpiecznie upragniony nowy porządek. Dopóki nie dojdziemy do tej chwili uznania prawd zasadniczych i zmiany ich na prawa, dopóty Europa musi pozostać czem jest, placem jeśli nie krwawego boju, to nieustannie wrzącej głuchej walki, która więcej sił wyczerpuje niż otwarta wojna... Tylko wysoko podniesiona chorągiew, na której wiek zapisze prawo, miasto siły, zbawić może wszystkich. Jakkolwiek pragnienie to mrzonką wydawać się może, które jeśli nie dla mnie, to dla młodszego pokolenia zaświta.

Żal głęboki ma to do siebie, że milczy, bo wielkość straty nie daje się zmierzyć żadnym znakiem zewnętrznym.

Niedola bywa niekiedy dziesiątą Muzą, tem cudowniejszą, jeśli natrafi na strunę od urodzenia nawiązaną na sercu — i targając nią bez litości, wydobędzie najlepsze tony, jakichby nie wydobyło zadowolenie z płytkiej pomyślności dni podobnych do siebie...

Zarzucają Dyrekcyi białej czyli organizacyi prac organicznych, że nie stanęła na czele ruchu, że go nie ośwładnęła i nie przeszkodziła powstaniu. — Zawiniła Dyrekcyja tem, że prace organiczne uważała za cel ostateczny, a nie za środek do dopięcia celu ostatecznego, celu do którego Polacy nie przestaną dążyć aż go osiągną, albo zginą z powierzchni ziemi. Ludzie gorętsi, ludzie miłujący Polskę, nie mogli poprzestać na tych pracach organicznych, skoro w nich nie widzieli nic innego jak prace organiczne, musieli nawet przeciw pracom tym stanąć w opozycyi, lękając się, by przez nie nie odprowadzono narodu od dążenia do właściwego celu, skoro zaś tajne działania Komitetu centralnego, który się jako opozycya Dyrekcyi białej związał, poszły za pewnym prądem, spokojnemu odrodzeniu się społeczeństwa naszego przeciwnym, katastrofa była nieuniknioną, chociaż umysły dalej widzące i rozważne wszystko robiły, żeby powstrzymać ostateczność lub ją odwrócić; w takich bowiem razach wpływ rozsądku okazuje się zawsze bezsilnym.

Prawda nie potrzebuje się posługiwać teroryzmem i krwią, bo sama przez się jest niezłomnie zwycięską. Charakterem owej najświetniejszej epoki ludzkości, w której nauka nowa dokonała najhardziejże zadanie, obalając starą pogańską społeczność — był nie orężny bój, ale ofiara — nie krew nieprzyjaciół, ale poświęcona własna — nie spisek tajemny ale jawne ogłoszenie przekonań — nie przemoc, ale cierpliwość wiary głębokiej pewnej swego zwycięstwa, a przedewszystkiem praca nad udoskonaleniem jednostek, z której się składa społeczeństwo.

Najgłówniejszym grzechem rewolucyi francuskiej było uznanie siły zwierzęcej, uświęcenie jej i potwierdzenie użycia przemocy, wszelkich gwałtów, dokonywanych przed nią i po niej dokonywać się mających. Gwałt zadany społeczeństwu pod pozorem reformowania go, uniósł ze sobą najnietykalniejsze zasady żywotne jego bytu; wolność sumienia, bezpieczeństwo osób i własności, wszystko aż do tego braterstwa, które zapisane wielkimi głoskami na chorągwi, istotnie tylko pod gilotyną istniało. Rewolucya ta ostrzyła i przygotowała broń dla przyszłych despotyzmów wszelkiego rodzaju, ustalała ten zgubny axiomat, że w obronie państwa, dla idei politycznych, wszystko jest dozwolone, że teroryzm jest środkiem koniecznym i prawowitym. Widzimy też dziś, że z zasadami temi rewolucyi i jej środkami, despotyzm najłatwiej się pojednywa i godzi, a ktoby tego nie chciał przyznać, niech się popatrzy na to, co się dzieje w Polsce i Litwie pod rządami Milutyna i Murawiewa. — Dawniej zasady te i środki były wyłącznie obrzydłego despotyzmu zasadami i środkami, dlatego się niemi brzydono; dziś gdy je za godło postępującej ludzkości przyjęto, zdjęto z nich kłatwę i podniesiono tem samem siły despotyzmu, który używając tych środków w imię demokracji i równości staje się tem niebezpieczniejszym. Dawniej między despotyzmem a sprawą ludzkości leżała różnica w moralności tej ostatniej; dziś kiedy z jednej strony absolutyzm woła: dla ocalenia państwa wszystko wolno — a z drugiej strony naród uciemniony odpowiada mu tym samym okrzykiem w celu ocalenia swej narodowości, dziś kiedy z obu stron, byle zwyciężyć w środkach się nie przebiera — znikła owa różnica, która dawniej nawet zwyciężoną sprawę ludzkości otaczała aureolą świętości — dziś siła zwierzęca jest naj-

wyższym sędzią, między świętą sprawą ludzkości a ohydny despotyzmem, dziś zwyciężony choćby miał słusność, stracił ją skoro został powalony! Dlatego opanowuje narody po ich obaleniu przez siłę zwierzęcą jakiś niesmak żywota, jakaś otrętwiałość apatyczna, bo im już brak wiary w ostateczną zwyciężkość prawdy, choćby chwilowo przez siłę brutalną powalona była...

U nas jakoś wszystko inaczej, niż gdzieindziej: patryotyzm najwyższa w innych krajach cnota, u nas szarlatanerya; obowiązek obywatelski, gdzieindziej wynik przekonania, u nas moda; poświęcenie u innych narodów czci zakładem, u nas źródłem oszczerstwa; tam opinia publiczna władzą, tu wszeteczną; krytyka tam pochodnią przyświecającą postępowi, tu bodiakiem czepiającym się sukni przechodnia, z którego chyba przez rękawiczki oczyszczać się trzeba; zasługa gdzieindziej rodzi pomniki, u nas kamień — do ukamienowania zasłużonego.

Jakżeż słusnie do naszych Janów, Henryków i im podobnych krytyków zastosować się da wierszyk Kaj. Koźmiana napisany z okazji, gdy Maciejowski odsądził od czci i zasług Koczanowskiego.

Jakież to obłąkały rozsądek mamidła?  
Czyliż gad, że ma żądło, już ma przeto skrzydła?  
Wprawdzie mól tak szczególną odebrał naturę,  
Iż z butwiałych szpargałów czasem wzleci w górę;  
Wiem, że robak co toczy podwaliny skrycie,  
Kiedy szczyt na dół runie, czołga się po szczycie;  
Wiem, że złowrogie ptactwo, wśród zamierzchłej doby  
Porze skrzydłem powietrze, nim padnie na groby;  
Lecz czy ztąd wniosek idzie i wiary nabierze,  
Że gdzie nie sięgną orły, sięgną nietoperze?

Słyszę że pan Schmits, przedsiębiorca teatru niemieckiego, ogłosiwszy upadłość, uwięziony został z powodu poszlak rozmyślnej krydy. Opiekunowie nasi, nieoszczędzając funduszków dla starców, sierot i kalek przeznaczonych, podtrzymywali pana Schmitsa znacznymi z owych funduszków subwencyami i podobno znaczną kwotę — jako daną z góry zaliczkę, w krydzie tej utopili. Pan Schmits mimo to zbankrutował i nic dziwnego, bo

aktorowie niemieccy, w polskiem mieście, zawsze przed pustemi będą grać ławkami. Lecz i nasz polski teatr chyli się ku upadkowi. Czy wina w tem publiczności, czy dyrekcyi? Bądź jak bądź grzechem nie do darowania, jeśli ludzie z pretensją do kierowania opinią kraju, instytucję teatru naszego poniewierają i w publiczność wpajają obojętność ku tej instytucyi. Kiedy filozof naucza, mała tylko liczba i to naukowo usposobionych, wie- wa przystęp do niego. Dramatyk przeciwnie, każdego zaprasza, wszystko mu jedno, kto go słucha, czy erudyt, czy prostak, czy pan, czy chudeusz... Nie dziw więc, że w służbie cywilizacyi teatr jest taką ogromną potęgą: propaganda jego najszersza, bez granic; ponieważ podchwytuje każdego bez wyjątku, wdzierając się do serca przebojem.

Platon rozprawia z kilkoma uczniami: Eschylos masami włada... Instytucya teatru prowadzona rozumnie, mogłaby daleko prędzej zrobić edukację narodu, niż instytucye szkolne; nawzajem prowadzona lekkomyślnie, może mu zepsuć charakter i obyczaje. U nas ma instytucya ta jeszcze szersze znaczenie: bo w chwilach ciężkich upadków ratuje język, ożywia historyczne tradycye...

Gdy za panowania Stanisława Augusta rozgościły się w Warszawie paszkwile, w których cynizmem odznaczał się Węgierski, napisał przeciw temu Trembecki „Antidotum“ w którym nieszczemność tę, tak obcą charakterowi polskiemu temi napiętnował słowy:

Cóż za brudne spostrzegam i nieznane chmury?  
Jak grad lecą paskwile, zwłószaly Mazury:  
Z czasem ci pisarkowie do tej dojdą mety  
Żeby w plecach braterskich topili sztylety.

Smutna wieszczba, a raczej najprostsza konsekwencya umysłowej swawoli. Kto pamfletem strzela z ukrycia, ten może i sztyletować, jest to bowiem jedno i to samo rzemiosło, tylko różniące się stopniem występku. Wszak ci sami ludzie, którzy mi w r. 1861 nasylali bezimiennie paszkwile, wydali na mnie w roku 1862 wyrok śmierci. — W roku 1863 rząd nam wrogi uwieził mnie za to, za co mnie ziomkowie moi hańbili, a w roku 1864

skazał na fortecę za to, za co mnie ziomkowie zabić chcieli!  
Bądźże mądry z tego.

Ucisk, niewola, są to czyścowe próby; znosić je z godnością, więcej waży na szali poświęceń się, niż samolubnie oddychać powietrzem obcej swobody. Brak poczucia tej prawdy, który jest oraz brakiem prawdziwej miłości ojczyzny, wydał wszystkie nasze emigracje. Nie ten się poświęca dla ojczyzny, kto przed prześladowaniem wroga ojczyzny do wolnych wynosi się krajów, lecz ten, kto z narażeniem się na te prześladowania w biednej zostaje ojczyźnie: nie ten kocha ojczyznę, kto ją opuszcza, gdy wróg nad nią się znęca, lecz ten, co razem z nią krzyż dźwiga i męczarnie znosi...

Nigdy gołe prawdy, ściśle praktyczne i rozumne, nie trafiają tak do umysłów pospółstwa, jak tajemniczość wprowadzająca w grę wyobraźnię: umiejętność prawdziwa, jasne postawione rzeczy nie pociąga tyle, co fałsz ustrojony w piórka nauki lub intryga przyodziana w mistyczną szatę. W średnich wiekach astrologowie, chiromanci, czarnoksiężnicy, działali z pewną wiarą w swoje sekreta, formuły i zaklęcia; w ósmnastym odegrzano tylko stare formuły i użyto je do interesownych celów, a niekiedy zastosowywano do filozoficznych przewrotów społeczeństwa. W naszym wieku mamy stoły pukające i wirujące, a nasi spirici jedni działają w dobrej wierze, drudzy oszukują łatwo-wiernych. Vulgus vult decipi ergo decipiatur — widać stare to łacińskie zdanie trafności swej dotąd nie utraciło.

Pokazano mi chłopaka 16-to letniego skazanego na więzienie, za ciężkie skaleczenie matki. Do charakterystyki jego należy, że będąc dzieckiem lubił się bawić pastwieniem się nad kurczętami, kociętami i szczeniętami. Matka, która to przed sądem opowiadała, dodała naiwnie, że nie broniła dziecku tej zabawki. Ileż to matek nie biorą za złe, że dzieci ich „bawią“ się wyrwijając skrzydła muszkom, pastwiąc się nad ptaszyną, nad małym pieskiem! Matki nieprzezorne! przekonacie się z czasem, żeście wykształciły serca z kamienia, kiedy stare i słabe, opuszczone od świata, doświadczycie na sobie gburowatości dzieci waszych.

Mój Boże! — ileż to barbarzyństwa jeszcze na tym świecie. Człowiek, ten pan świata na podobieństwo Twoje stworzony, brzęczy kajdanami, jak dziki zwierz za kratą zamknięty, a inny człowiek, tamtemu podobny i brat tamtemu, strzeże go u drzwi z bronią morderczą... A na tak zwanej wolności syn Twój, o Boże! — przebywa dnie ciężkiej niewoli, jęczy pod jarzmem ciemności, głodu, śmierci i trwogi... Lecz mniejsza ze śmiercią, dusza nasza ma dosyć wiary, by życie to uważać jako wrota do lepszego bytu. Ale boleści, czyż były niezbędnie potrzebne, że je o Boże, tak hojną rozsiałeś dłonią? Boleść dokoła, boleść w każdym ziemi zakątku, boleść w mej duszy gruchocąca całą jej działalność.

A jednak i boleść na coś się przydać może, ona zmusza duszę do skupienia się samej w sobie. Szczęście ma własność siły odśrodkowej, zwykle się na zewnątrz wylewa, rozprasza nas i rozrywa i zdaje się, że skorobyśmy się bezwarunkowo oddali jego użyciu, musielibyśmy stracić naszą samoistność. Boleść przeciwnie, skupia wewnątrz nas wszystkie sił zapasy, ześrodkowuje je ku spotęgowaniu naszej osobistości, ona wykształca, modeluje nas nieubłaganem dżudem konieczności, ona usuwa nadmiar życia, aby to co zostaje rozwinęło się w potężniejszej, udatniejszej formie...

Napróżno jednak budzę w sobie myśli te pocieszające, napróżno krzepić chce serce zbolełe... och, to serce moje rozdziera Jej boleść, a Jej boleść moje nie ukoją myśli... By burzę przetrwać trzeba być dębem, a ona słabem, wątłem tylko kwieciem, któremu słońce szczęścia do życia niezbędnem. By znieść cierpienia trzeba hartu duszy i w walce życia nabytej dzielności, a Ona żyła dotąd tylko uczuciem i ssała z życia tylko słodczyce.

*"czeka"*

I tę istotę słodką i czułą i do szczęścia jedynie stworzoną, ja z moim skojarzyłem losem i uczestniczką zrobiłem burz mego życia. Póki też mnie się uśmiechało szczęście, kwitła przy moim uśmiechniętu boku, lecz skoro nas pierwsza rozdzieliła burza, ona jak powój od swego oderwany dębu, podnieść się nie zdoła i bez podpory usycha.

Krewbym ma oddał do ostatniej kropli, by jej przywrócić dawną swobodę, życie oddałbym, by Jej zapewnić szczęście na przyszłość i jeszcze drugie gdybym miał życie oddałbym chętnie,



by z drogi Jej życia wszelkie uprzętać ciernie i przykrości. Lecz próżna moja byłaby ofiara, boś Ty o Boże tak stworzył człowieka, że który w sobie nie znajdzie pociechy, tego nikt inny pocieszyć nie zdoła i że sam tylko sobie tworzy szczęście, jak sam swojego jest twórcą nieszczęścia.

Mówię, że miłość ma potęgę przekształcenia na podobieństwo swoje istoty, którą się kocha. I ja w to wierzyłem — lecz śnać nie dość silnie kochałem, chociaż z miłości ku niej każdy czyn mój płynął, bo jeśli pracowałem to z miłości ku niej, jeśli pragnąłem sławy, to dla niej jedynie i jeśli cierpię to tylko dlatego, że ją kochałem tyle. A może zato każesz mnie o Boże, że ją kochałem zanadto, że ją tak spodobał sobie i że w niej kładłem większą nadzieję niż w Tobie, że dla niej w sercu ołtarz budowałem, jakby tam już Ciebie nie było w niebie...

Nieraz ja śniłem, że uskrzydłony bujam w powietrznych przestworzach, że wolny bez względu na wieży co mnie do ziemi siłą ciężenia przykuły, pływam na falach powietrza i kąpiąc się w słońca promieniach, doznaję szczęścia bez miary, jakiego musi orzeł doznawać, gdy unoszony na barkach wiatru, szybuje w stręfach, kędy tylko obłoki mogą iść z nim w zawody. Czarowne rojenia senne! Ledwie dzień się zbliżał, a z nim gwar pracy ludzkiego mrówiska, spadałem z wyżyn, topniały skrzydła, a ja złamany brałem się do pracy, by w krwawym pocie czoła zdobywać prawo do życia. Marzyłem o szczęściu najwyższym, o szczęściu, które się rodzi z uszczęśliwienia drogiej istoty, gdzie każdy jej uśmiech twych trudów osłoda, a zadowolenie niebiańską rozkoszą. O czemuż się zbudziłem, czemuż zimna rzeczywistość przed przerażone stanęła mi oczy? Pierwsza przygoda, która mnie spotka rozwiała owo wrażenie. Ona nieszczęśliwa. Wracaj nędzniku na padoł ziemi, z wyżyn świetnych urojeń!

Rząd rosyjski i płatne przezeń dziennikarstwo utrzymują, że naród rosyjski domaga się zagłady Polski. Jest to w swoim rodzaju nikkzemność, na jaką tylko taki rząd mógł się zdobyć jak rosyjski, którego uosobieniem jest Murawiew. Rząd ten czując ohydę postępowania swego względem Polski, rzucił ją na ogół, na naród, któremu pod pozorem patriotyzmu narzucono krwawe okrucieństwa rządu, tak że dziś prześladowcą Polski nie

jest car, ale rosyjski naród, lud, wszyscy... Lecz w świecie nic się nie dzieje bezkarnie; kto sieje fałsz, zbiera zbrodnię — tępiąc w narodzie uczucia ludzkie, rząd przysposabia w nim narzędzie zemsty Bożej, przeciwko sobie samemu.

Zkąd do nas przy płynęła rewolucya gwałtu, zamiast rewolucyi męczeństwa i ofiary, której instynkt tak silnie objawiał się w narodzie w roku 1861? Nie jest to urojeniem, bo znam genezę rewolucyi ostatniej i patrzałem się na to, jak wszczepiła się w umysłach młodzieży i wzrastając, tępiła w niej uczucia polskie i wszelkie zasady, mające służyć do pokierowania się w życiu politycznem. Tak zwane „stronnictwo czynne“ stworzyli u nas wychowani na rosyjskich uniwersytetach i w rosyjskich szeregach Polacy. Nic bo nie posługuje lepiej rewolucyi nad despotyzm, on ją krzewi, pielęgnuje, hoduje. Najdziwsze teorye przewrotów społecznych rosna w zrodzonych przez despotyzm ciemnościach; wszystko się zdaje dozwołaniem przeciw temu brzemieniu nieznośnemu, a że rozumować, przekonywać, zbijać i nauczać nie wolno; potwory potajemnie lęgną się na gnojowiskach despotyzmu. Młodzież obalamucona dla odzyskania praw człowiekowi należnych, wszystko sądzi uprawnionem, chwyta ten sam oręż, którym z nią walczone i nim wojuje; gwałt chce odpiierać gwałtem, przeciw wymuszonym przysięgom sławi idee dozwołonego krzywoprzysięstwa, przeciw łupieży sławi zdzierstwo, przeciw skrytym sądom sztylety. — Naród polski, postanowił był iść przeciw potędze carów i ich siłom, tak jak szli pierwsi chrześcijanie przeciw pogańskiemu despotyzmowi, walcząc nie mieczem i dzidą, w której to walce byłiby niechybnie zostali zwalczonymi, lecz gotowością męczeńską, odwagą cywilną; postanowił zrobić „rewolucyę duchową“, jak ją szydząc Moskale z początku nazywali. Wychowawcy rosyjscy nie uznając tylko siłę, przesiąkli zasadami despotyzmu, nie pojmując potęgi ducha, śmiali się z tego rodzaju rewolucyi, a gdy młodzież warszawska zarażona zgnilizną moskiewską, łatwo do ich teoryi przyłgnęła, więc wkrótce ją, a z nią ruch cały opanowali. Wedle nich, rewolucyi wszystko wolno; ona nie odpowiada za nic, obala, wyraca, niszczy, siecze, zabija, zawiesza prawa, stawia w miejsce ich dyktaturę, daje

moc wszystkim swym sługom zarządzania bezgranicznego życiem, mieniem, sławą ludzi, co jej stoją na drodze; gdy jej potrzeba podpala, fałszuje monetę, szpieguje, zdradza, kłamie — jednym słowem: mówi i działa jak despotyzm. — Że nie przesadzam, każdy mi przyzna, kto miał sposobność pomówienia z „czerwonymi“ Kongresowiakami; a na dziesięciu takich, dziewięciu kształciło się w rosyjskich zakładach naukowych, lub służyło w rosyjskiem wojsku.

Oprócz tego rodzaju rewolucjonistów, którym zresztą nikt nie odmówi najgorętszej miłości ojczyzny i nieustraszonego bohaterstwa, którego tyle dali dowodów ginąc na placu boju lub na rusztowaniach, nie podobna, by się do ruchów naszych nie byli wmięszali ludzie, co to w nic nie wierząc, szukają gwałtownych wzruszeń, pchają drugich do ostateczności, a sami stanawszy z boku, napawają się widokiem ekscesów, które w nich chorobliwe podniecają życie; jest bowiem rzeczą niezaprzeczoną, że we wszystkich rewolucyjnych robotach, nie same tylko zapalone głowy, nie sama szlachetnemi żądzami porwana młodzież, ale i brudne szumowiny wchodzić muszą. Żywiły takie krzyżują szlachetny z początku robót tych kierunek, ale spiskowanie żywi się czem może, nie przebiera w narzędziach, szuka sprzymierzeńców wszędzie i posługuje się często lada jakimi. Zwykle poczciwa, święta i czysta młodzież rozpoczyna pracę, ale niema dość siły, by się przy kierowaniu nią utrzymać; dowództwo chwytają ludzie zepsuci, którym niewiara daje potęgę, bo ich żadna granica zasad nie wstrzyma, a w rewolucyi, jak w miłości ten wygrywa, kto się z największem zuchwalstwem posuwa. Dla nich owa praca jest brudną robotą, do której z zasmolonemi przystępują rękami; a serce ich nauczywszy się pogardzać człowiekiem i jego życiem, patrząc na cel — nie pyta o środki.

Despotyzm austriacki ma to do siebie, że gniecie i zabija na duchu, moskiewski drażni i rozbudza, jest niecierpliw i namiętny, rzuca się gwałtownie, ale mając dużo do czynienia o wielu rzeczach zapomina. Rakuski jest powolny, wytrzymały, zimno-bezlitośny i jak prasa hydrauliczna, gdy co podeń wpadnie, wydusi sok do ostatniej kropelki. Moskiewski despotyzm jest barbarzyński, ale nie tak uczony, nie tak mądry jak austriacki.

cki. Nad kodeksem ciemństwa austriackiego pracowali snadź nie tylko Metternichy i Kriegi, ale wielcy psychologowie i uczeni filozofowie. Wyważono doskonale co człowieka najprędzej może zepsuć, złamać, wysuszyć. Natura moskiewskiego despotyzmu jest wcale od innych odrębna. Niema on tak nieubłaganych praw pedanckich jak austriacki, tu nie odwołują się do cara gdy więzień prosi o perukę (pamiętniki Maroncellego), lub prosi o pozwolenie trzymania w kaźni kanarka — lada żołdat bije i zabija więźnia, ale też lada urzędnik co ma serce może ulżyć jego losowi. Moskal drze, szarpie, wścieka się, ale w tem olbrzymiem gospodarstwie jest tyle do robienia, że się rychło o jednym skazanym zapomni, a poczciwi ludzie są wszędzie, nawet w Rosyi, w Syberyi może ich więcej niż gdzieindziej.

Samą gwałtownością swoją despotyzm ten cięży niezmiernie, ale działa często jak zimna spadowa kąpiel, co ożywia człowieka; gdyby pod nią stać przyszło 24 godzin, niktby nie wytrzymał, ale 10 minut może nawet czasem przywrócić zdrowie. Konwulsyjne despotyzmu tego działanie wyradza też konwulsye w ludziach, którzy najwięcej i najdłużej do czynienia z nim mieli. Żadna młodzież nie jest gwałtowniej rewolucyjna nad tę, którą dusiły moskiewskie zakłady wychowania. Pod tem jarzmem albo człowiek życie traci, albo wpada w szal, któryby Montagnardów francuskiej rewolucyi mógł przerazić, łatwo więc przepowiedzieć można, że kiedyś rewolucya moskiewska przerazi gwałtownością bezprzykładną.

Śmiało powiedzieć można, że od czasu wojny Greków z Turkami, nie widział świat podobnego obejścia się z narodem wojującym, jakie Moskwa od czasów ostatniego powstania w Polsce systematycznie zaprowadziła. Wszystkie prawa ludzkie zostały zdeptane i znieważone. Nie wolno było ratować rannych, spowiadać ich nawet. Za litościwe przechowanie w domu rannego powstańca karano spustoszeniem, więzieniem, Sybirem, śmiercią. Tych, co się dobrowolnie poddawali, najczęściej wydawano na łup żołdactwu, które bezbronych, klęczących, modlących się mordowało z dziko wyrachowanym barbarzyństwem, rannych zaś dobijano bez miłosierdzia. Za te bezprzykładne okrucieństwa nie tyle winić należy pijanych i podżeganych żołnierzy, ile chło-

dno i rozważnie rozkazującą nimi starszyzną; w żołnierzu była to zwierzęca namiętność rozpasanego barbarzyńcy, a jak wszelka namiętność jest ona łatwiej przebaczoną, niżeli obrachowane, systematyczne, rozmyślnie, morderstwo ludzi, co bez nienawiści pastwi się dla wymarzonego programu. Narzucony im był z góry — chciano sfanatyzować żołnierzy, rozbudzić nienawiść tam, gdzie się obawiano współczucia. Z tej krwi niewinnej wysmażono sztuczny patryotyzm rosyjski, który w narodzie spętanym długą niewolą, przybrawszy pewne formy swobody, stał się niepohamowanym szałem...

W każdym innym narodzie, przy największym posłuszeństwie despotyzmowi, byłoby się jakimiś czyni szlachetnymi objawiło oburzenie przeciw nieludzkim rozkazom. Tu w ciągu całorocznej wojny, wśród okrucieństw tysiącznych, prawie nie ma przykładu, żeby Moskał przypomniał sobie, iż był człowiekiem. Car kazał być okrutnym i nikt nie śmiał mieć serca!

Jak angielski porter i bifstyk oddziałują na charakter i fizyonomię mieszkańców Albionu, jak wino roztrzpiotowują Francuzów chwilowo, tak piwo flegmatyzuje Niemców. Jedząc zawsze wygotowane mięso, niewinne kartofle i poważnie zapijając piwo, nie mogą mieć ani energii Anglików, ani lekkości Francuzów, zaledwie na upór zdobyć się są w stanie. Ale dzięki prozaicznemu piwu są w doskonałej zgodzie ze swoim światem, kontenci ze swojego życia i tak im dobrze przy kuflu piwa, jak musze, która się w tym trunku utopiła. Nawet więzienie staje się znośniejszem, gdy więzień zacznie pić piwo, jak to na sobie doświadczam, odkąd zarzuciłem drażniącą herbatę, a natomiast nasze lekkie popijam piwko... Zapatrując się na błogosławione skutki antyrewolucyjne słodowego wywaru, powinnyby rządy wszędzie się zająć rozpowszechnieniem piwa. Słyszałem, że po zaprowadzeniu stanu oblężenia, mieszczaństwo lwowskie chcąc pohamować w sobie rewolucyjny zapał, rzuciło się z całą energią do picia kleinowskiego piwa i dotąd trwa w tem statecznie, spostrzegłszy błogie na sobie skutki... Gdy Bóg da, że napój ten przyjęty będzie na całym świecie, rewolucye staną się niemożliwemi... Zastąpią je fabelcugi i kurkowe strzelania. Zamiast cyfałel i fortec, należałoby więc zakłacać olbrzymie browary...

Gdy za ministerstwa Schmerlinga nalegano z różnych stron na pana Steina, aby wniósł jako minister sprawiedliwości amnestyę dla skazańców za udział w powstaniu polskim, pan Stein przyznając, że z powodu pospiechu z jakim sądy wojenne postępowały, znajdują się między skazańcami tacy, którzy niewinnie zostali skazani lub zanadto surowo sądzeni, odrzekł: że ogólnej amnestyi cesarzowi doradzać nie może, ponieważżby w takim razie otrzymali ją nawet tacy, którzy jej nie chcą chociaż są winni, że wszelako pojedyncze podania o ułaskawienie z największą liberalnością popierać będzie. Wskutek tych słów byłego ministra sprawiedliwości i zachęcań ze strony władz samych, podano kilka próśb o opuszczenie reszty kary ze strony skazańców, którzy albo całkiem niesłusznie, albo zbyt srogo zostali skazani. Sąd wyższy, nie uważając się widać za sąd, lecz za narzędzie pana ministra, zapytał go jak ma sobie postąpić z temi prośbami, a otrzymawszy pewną wskazówkę, odrzucił je, nie przedłożywszy nawet cesarzowi! Ministryum Schmerlinga upadło i rozeszła się równocześnie wieść o nastąpić mającej ogólnej amnestyi dla politycznych skazańców, głoszona nawet przez wysokich tutejszych urzędników i w rzeczy samej nadeszła 31 lipca amnestya, lecz tylko za przestępstwa prasowe, chociaż przestępstwa te wprost przeciw rządowi austr. wymierzone, ściśle rzecz biorąc nie tyle zasługiwały na amnestyę, ile udział w powstaniu polkiem skierowaniem nie przeciw Austrii, lecz przeciw Rosyi. Czuły to same władze, dla tego nie traciły nadziei, że amnestya w dzień urodzin cesarza tj. 18. sierpnia nastąpi, a kraj tak był tego pewny, że rodziny więźni tu mieszkające w dzień ów czyniły przygotowania na ich przyjęcie. Tymczasem minął dzień urodzin cesarskich bez amnestyi, natomiast dzienniki paryskie umieściły udzieloną sobie przez agencję Havasa korespondencję z Wiednia, wedle której minister Belcredi miał się wyrazić, iż amnestya za udział w powstaniu polkiem, ze względu na Rosyę nie może być udzieloną. Journal de Débats nie chce dać wiary podobnej odpowiedzi austriackiego ministra stanu, nie dla tego, iżby wahanie się w akcie lojalności i sprawiedliwości ze względu na gabinet potersburski u austriackich mężów stanu uważał za niemożliwe, lecz dla tego, iż żaden z ministrów nie przyznałby się do podobnej pobudki. Wskutek tej korespondencji gazety

wiedeńskie półurzędowe i urzędowe zaprzeczyły jakoby udzieleniu amnestyi względy na Rosyę stały na przeszkodzie. Pominąwszy, że jeśli nie pan Belcredi, o czem niewiem, to z pewnością pan Maylath do owej pobudki przyznał się, zachodzi pytanie: jakaż może być przyczyna, dla której amnestya udzieloną być nie może? Jeśli ją udzielono za cięższe nierównie i wprost przeciw Austrii wymierzone przestępstwa prasowe, jeśli polecono zaniechać śledztwa dalszego przeciw stu kilkudziesięciu więźniom będącym pod oskarżeniem o zbrodnię zdrady głównej przez zbrojne powstanie w Udinie — dlaczegoż nie może być dana tym, którzy nie wykroczywszy bynajmniej przeciw Austrii, nieśli swą krew w obronie świętej sprawy przez Moskwę zdeptanej, sprawy za którą się nawet rząd austriacki ujmował. Odpowiedź na to da chyba wypadek z byłym posłem Zahorajko. Wściekły ten komunista i świętojurzec miał proces o kradzież i otrzymał wyrok, „z braku dowodów“. Wyrok przyszedł był wszystkie instancje, był więc już prawomocny i jako taki zawierał w sobie utratę poselskiego mandatu, o czem już i Wydział krajowy urzędownie był zawiadomiony. Tymczasem najwyższy sąd pod dniem 6. sierpnia, a więc pod nowem już ministerstwem, uwolnił Zahorajka w drodze nadzwyczajnej (im ausserordentlichen Wege) od wyroku i prawnych skutków!!... Kradnij, rozbijaj, fałszuj — jeśli należysz do stronnictwa podkopującego społeczność polską, będzie ci przebaczone. Lecz biada ci, jeśli się ujmiesz za sprawą polską, choćby w sposób nie obrażający rządu austr. — będziesz karany, a jeśliś niesłusznie nawet został osądzony, nie tylko nie uzyskasz sprawiedliwości, ale nawet w drodze „łaski“ cesarskiej nie uwolnisz się od kary, którą cię wbrew istniejącym prawom, i z podeptaniem odwiecznych pojęć prawniczych obłożono... Niechże sobie wierzy kto chce w zapewnienia, że Austria nie jest satrapią moskiewską!

Już od roku niszczą straszne pożary miasta rosyjskie, tudzież krajów zabranych i samejże Kongresówki, a od wiosny plaga ta straszliwa przeniosła się do naszej z Rosyą sympatyzującej Rusi. Że w tem nie sam panuje przypadek, widać już z tego, że palą się tylko miasta, miasteczka i dworskie zagrody a w takiej ilości, jak nie pamiętają ani ludzie, ani podaje hi-

storia, zresztą pożary te bywają zwykle zapowiadane, a ludność bynajmniej nie wątpi, że są podkładane przez jakieś stowarzyszenia, szeroko w kraju rozgałęzione. Dzienniki rosyjskie a nawet władze tamtejsze głoszą, że pożary podkładane bywają przez polskich rewolucyjnych podpalaczy. Jakto! więc Polacy mieliby sami niszczyć polskie miasta, tych stróżów narodowości polskiej wśród moskwiącej się ludności ruskiej? — mieliby sami niszczyć dwory szlacheckie, te przybytki polskości pośród nieświadomej swej narodowości ludności wiejskiej? Stary to jak świat axiomat prawniczy w poszukiwaniu winowajcy: *Is fecit cui prodest*. Wszakże Moskale urzędownie zapowiadają potrzebę wyniszczenia żywiołu polskiego. Po roku 1831 Mikołaj przejeżdżając raz przez jakieś miasteczko na Rusi, uderzony był jego fizyonomią europejską: rezydencją wspaniałą biskupa, kilku kościołami katolickimi, starodawnym zamkiem i t. p. wsiadając do powozu po przeprzeżu koni, odezwał się głośno do adjutanta: „miasteczka tego cierpieć nie mogę“. Wkrótce potem zaczęły się okropne pożary, po kilkakroć szybko następujące po sobie, które zniszczyły miasto niemal do szczętu. Ludność podupała, z popalonych kościołów porobiono magazyny wojskowe i cerkwie. Pałiły się po r. 1831 i inne polskie miasteczka i żadne się po pożarach nie podniosło... I u nas ktoś puszcza między ludność wiejską i żydów wieści, że to „Polacy“ podpalają; a wypadki przy pożarze w Tarnopolu i świeża napaść w Chorostkowie na przejeżdżających obywatelach, przez żydostwo i chłopstwo dokonane, dowodzą, że podszepty owe zaczynają się przyjmować. Dlaczegoż rząd nie przedsięwzięje żadnych środków zaradczych, on co dla zabezpieczenia ludności od natręctwa powstańców zaprowadził był aż stan oblężenia w całym kraju?

**Wrzesień 1865.** Badając dzieje nasze i przypatrując się społeczeństwu naszemu, spotykamy się często z ludźmi, którzy gdzieindziej byłiby porośli w olbrzymów, gdy u nas nie przerastali zwykłej miary. Naród polski nigdy nie zrozumiał swych ludzi, nigdy przez swoje poparcie nie zrobił ich rzeczywiście wielkimi. Myśl narodowa nietylko nie przewidziała, ale nawet kiedy z rzymskich wspomnień wykwitli ludzie cnót prawdziwie rzymskich, opierała się iść za nimi. Stoją oni samotnie w historii naszej. Słynni Polacy są to w księdze dziejowej piękne ana-



chronizmy, próbki charakterów starożytnych... Naród tak dalece nie dotrzymywał kroku tym Anacharsysom z pielgrzymki w starożytności wróconym, że chociaż szabla była mu zabawką i chlubą, przecież swym wodzom ledwie dozwalał zaszczytu bezowocnych wygranych, nie doczekawszy nigdy celu założonego wyprawie. Jakaś mierność znamienne, jakiś wstręt do hazardowych kolei, po których właśnie do wyższych rzeczy się goni, sprawiały, że każdy wielki czyn głuchnął w czczości — nie zostawiał potomstwa... Społeczeństwo rozsądkowe, rubaszno - jowialne, niebutne w chęciach, snuło sobie jednakowy żywot, niewylatujący poza granicę powiatu... Było to bardzo uczciwe i zacne, ludzko-serdeczne, ale nie umiało odegrać żadnej większej roli na wielkiej scenie świata. Od czasu do czasu zerwał się jaki duch orli i wskazał drogę do słońca, ale ogół nie poszedł za nim; ciepły kominek wystarczał za słońce! — Tu jeśli nasz charakter tłómaczy historię, nawzajem ona świadczy o charakterze — jest między nimi loiczny stosunek skutku do przyczyny... A dziś czyż się zmienił ten charakter narodu? Bynajmniej, rozwinął się tylko dalej jeszcze. Dawniej naród nie rozumiał swych wielkich ludzi, nie dawał im narodowego poparcia; dziś — prześladuje każdego, który się wzniesie nad poziom mierności — jest to także loiczny wynik owego charakteru.

Światła, światła dla ludu! wołają ze wszecch stron i słusznie, bo tylko przez oświatę ludu może być zapełniona przepaść, jaką po części wrogowie nasi między wyższą warstwą społeczną a ludem wykopali. Nie dorywcze i nagłe, chwilowe wpływianie na lud, jak n. p. w chwili wyborów, na które tenże z niedowierzaniem spoglądać musi; nie to zbliżanie się sztuczne, które gdy minęła chwila, zaraz ustaje; lecz wytrwałe, rozumne i godziwe postępowanie z nim doprowadzić może z czasem do istotnego zbliżenia się między warstwą niższą i wyższą, pomimo wszelkich zabiegów wrogich, czy to ze strony Sumerów, czy ze strony Dydyckich. Tą drogą zajdziemy do podniesienia się u nas szkółek jako zakładów oświecających lud prawdziwie; a tylko kształcenie w szkółkach człowieka i chrześcijanina, tylko prawdziwe oświecenie, a nie propaganda polityczna w jakimkolwiek kierunku między ludem, może wydać dla kraju błogie na przy-

szość skutki. W tym celu powinniśmy na seryo pomyśleć o uprawie niwy piśmiennictwa ludowego, dotąd prawie odłogiem u nas leżącej, gdyż ani dla szkółek odpowiednich nie mamy książek, ani dla dorosłej części ludu. Byłoby to ogromną zasługą ludzi prawdziwie i gruntownie wykształconych i pisarzy pierwszego rzędu, gdyby sił swoich na tem polu spróbowali; bo to rzeczą pewną, że dla ludu, tak jak dla dzieci powinny pisać pióra jak najwytrawniejsze, a nie pisarze początkujący lub tandetni. Tylko ten co zgłębił jakiś dział nauki, kto ją zupełnie przetrawił, ma ją w swej mocy — będzie umiał wycisnąć z niej i tę esencję, której ludowi potrzeba, a sądzę nawet, że takiemu także łatwiej będzie o formę odpowiednią, bo kto z pewnej wysokości rozpatrzył się po rozpościerającej się przed nim dolinie, ujrzy przedej wszystkie do niej prowadzące drogi i ścieżki, niż ten kto stojąc na dolinie samej, widzi może przystęp jeden. Duchowni ruscy, a nie mało jest zacnych i świątłych między nimi, oddaliby w tym względzie także nie małą usługę, gdyby się wzięli do dzieła i wsparli pracami w duchu chrześcijańskim napisanemi te teraz błakające się jednostronne zawiścią tchnące pisma, jak „Hatka“ itp., które w braku innych dostaje do ręki młodzieży szkół ruskich i zatruwa sobie umysł i serce.

Niemcy, którzy lubią wszystko gruntownie badać, obliczyli że cesarz austriacki sprzedał królowi pruskiemu konwencją w Gastaju zawartą, swoich Lauenburczyków po 56 (wyraźnie pięćdziesiąt sześć Złr. w. a.) Widać, że dusza niemiecka nie wiele warta; u nas koń chłopski więcej kosztuje — i to psiarstwo chce nas cywilizować.

Niektórym ludziom toczy się życie jak wóz po gładkiej drodze; nie doświadczają oni ani wielkich przykrości, ani wielkich powodzeń; nieznani ani ze szczęścia, ani z nieszczęścia, dochodzą w późnym zwykle wieku do kresu swego żywota i giną spokojnie, jak spokojnie żyli. Inni, w czepku urodzeni, jak mówią — ulubieńcy szczęścia, za każdym krokiem czy dobrze, czy fałszywie postawionym znajdują powodzenie, o którym nawet nie marzyli; sami nie wiedząc jak, przychodzą do zaszczytów, mienia i wzięcia u ludzi, a nawet postęпки, któreby innych

zabiły, służą im tylko do większego jeszcze wzniesienia się, a że ludziom nic tak nie imponuje jak powodzenie, więc stają się wyrocznią dla współczesnych, a po śmierci przedmiotem uwielbienia. — Innym znów nic się nie wiedzie; mimo pracy, zdolności i uczciwości, żadnego dobić się nie mogą stanowiska; wszystko im idzie na wspak, a jak niemieckie niesie przysłowie: „potykają się na trawie, a upadłszy na grzbiet — nos sobie łamią“; zdaje się jakoby nieszczęście do ich przykute było stóp; uciec odeń nie mogą, ani go zwalczyć nie zdołają; żyją nędzni, od nikogo nieznanymi i przez nikogo nie żałowanymi schodzą ze świata tego. Jeszcze inni szybkim pochodem stają u szczytu tego, co ludzie zwą szczęściem i nie zagrzawszy miejsca, jeszcze szybciej spadają na dół, z kądem znów wydobywają się na wierzch i znowu spadają na dół; istne igrzyska losu, syzyfy skazane, by przez całe życie toczyć kamień pod górę, który skoro się dotknie szczytu, wnet na dół się stacza; życie ich krótkie, bo raptowne losu zmiany najżywotniejszy złamią organizm, a gdy narzecie po burzliwym życiu w zimnym spoczną grobie, ludzie powiadają, że szanować szczęścia nie umieli.

Grecy, Rzymianie, wierzyli w przeznaczenie — fatum — i tem wszystkie owe zjawiska tłumaczyli. My Chryścianie wierzym w Opatrzność, lecz wiara ta nic nam nie tłumaczy, bo opatrzność chrześcijańska to Bóg, a Bóg nasz jest sprawiedliwy, nie może więc tak, jak ślepe pogańskie fatum obdarzyć ludzi szczęściem lub nieszczęściem na oślep. — Może nam odpowie na to filozofia? Człowiek ma wolną wolę, jest panem swych czynów, a że w świecie ludzkim tak samo jak w świecie fizycznym, między skutkiem a przyczyną jak najściślejszy zachodzi stosunek i wszystko co jest, jest skutkiem pewnej przyczyny, przeto człowiek, jako istota wolna a przytem obdarzoną rozumem, a więc mogąca przewidzieć skutki swych czynów, których jest panem, sam jest twórcą swego szczęścia lub nieszczęścia: quisque fortunae suae faber est. — Jakto? oto Piotr i Paweł, obydwa wolni i rozumni, puszczają się na połów ryb; powstaje burza; obydwa silni, przytomni i w rzemiośle swem biegli walczą z nieprzyjawnymi żywiołami; Piotr tymczasem ginie w falach morskich, podczas gdy te same fale Pawła wyrzucają na ocalający go ład. Gdzie tu wina Piotra? — gdzie zasługa Pawła? Co tu

2.  
2-2

wolna wola, co razem mają do czynienia ze śmiercią jednego, z ocaleniem drugiego? Okoliczności, których sprzyjaniu, lub niesprzyjaniu zwykliśmy przypisywać powodzenia jednych a niepowodzenia drugich, także tu nic nie rozstrzygają, bo okoliczności były te same, tak dla Piotra, jak dla Pawła; a zresztą jeśli okolicznością, a więc wpływem od nas niezawisłym przyznamy jakąkolwiek zasługę w tym względzie, oddalimy się od zasad filozofii i wrócimy albo do opatrności, która jak wiemy nic nie tłumaczy, albo do pogańskiego fatum, które robiąc nas igrzyskiem jakiejś niepojętej, kapryśnej siły, pozbawia najulubieńszych mrzonek o wolności człowieczej.

Weźmy na przykład Smolkę. Do dwudziestego roku życia swego nie umiemy nawet dobrze po polsku i nie troszczący się o Polskę — bo kiedy rówieśnicy jego nawet czystej krwi niemieckiej szli za nią walczyć w 30 i 31 roku, on wybijał hołupce po salonach ciemnących nas urzędników niemieckich — staje we trzy lata później na czele stowarzyszenia młodzieży polskiej, dążącej do odbudowania Polski — jako bożyszcz, jako wyrocznia tej młodzieży.

Próżnobyś pytał dlaczego, bo byli od niego i zdolniejsi między młodzieżą i zasłużeni. Hefern Robert, przyjaciel Smolki najdawniejszy i najwypróbowawszy, zapytany raz przezemnie o powód ówczesnej wziętości Smolki, odpowiedział bez namysłu: „bo miał między nami największe wąsy“. — W roku 1848 gdy po wypadkach marcowych patryoci polscy spieszyli do Wiednia, by tam cesarzowi przedłożyć żądania kraju, Smolka wstąpił do tak zwanego Bayrathu, który sobie utworzył Stadion dążący do sparaliżowania zabiegów patryotów polskich w Wiedniu. Z Bayrathu tego wyszła też druga deputacja, która osobny cesarzowi przedłożyła adres i zamierzonego przez Stadionu celu dopięła, bo cesarz otrzymawszy z kraju dwa odrębne adresy, odesłał kraj z życzeniami swemi do Stadionu, wroga naszego. Uczuli to mieszkańcy Lwowa, tak że przy wyborze posłów na Sejm wiedeński, Smolka mimo aureoli, jaka go dawniej otaczała, nie znalazł we Lwowie głosu za sobą. Przecież w Lubaczowie, gdzie na wybór posła, zjechało się jedynastu wyborców, a między nimi kilku osobistych przyjaciół Smolki, został tenże wybrany posłem do Wiednia, gdzie wkrótce przez ogromne

swe wasy stał się znacznym. Pierwszem, jak wiadomo prawem uchwalonem przez Sejm wiedeński, było zniesienie poddaństwa i pańszczyzny; gdy głosowano nad kwestyą, czy zniesienie to ma nastąpić za wynagrodzeniem lub bez wynagrodzenia, a głosowano imiennie, Smolka nie mógł się zdobyć na cywilną odwagę wypowiedzenia swego zdania, wotum jego opiewało: „ich stimme nicht“, (nie głosuję). I coż sądzicie spotkało go za owo przystąpienie do wrogiego krajowi Bayrathu, za ów brak cywilnej odwagi przy głosowaniu nad najżywniejszą naszą sprawą? Wybór na wice-marszałka Sejmu a potem na marszałka — i to nie wbrew woli naszej, ale za najusilnijszem naszym staraniem. — Jestże tu loiczny związek między przyczyną a skutkiem? Czyliż kto inny za podobne postęпки nie byłby stracił wszelki u ziomków szacunek? Jako marszałek Sejmu wiedeńskiego podczas rozruchów październikowych, Smolka niezaprzeczenie „zasłużył się jaknajlepiej Austrii“; — czyliż tego rodzaju zasługa powinna mu być, gdy po rozbiu Sejmu wrócił do kraju, zgotować u ziomków, u Polaków, owe uwielbienie jakim go otaczano? Zdaje się że nie, a przecież tak było. Smolka stał się najpopularniejszym człowiekiem w Galicyi, dlatego — że uratował Austryę? — W parę lat po rozwiązaniu Sejmu wiedeńskiego, Smolka miał już wioskę i kilkadziesiąt tysięcy złr. pretensyi na innym majątku. Zapewne pracował i przy sprzyjających okolicznościach dorobił się fortunki! Bynajmniej, — Smolka mniej pracował niż którykolwiek z adwokatów; wioskę kupił za 3000. zł. r, która nie była warta nawet grosza, gdyż długi tabularne przewyższały wartość; kupił ją zaś z fantazyi dlatego, że gdy przedtem na jakiejś licytacji kupił był torbę myśliwską, zapytany przez synka: na co mu torby, kiedy nie ma gdzie polować, odrzekł: nie turbuj się synu, skoro jest torba, będzie i las. I kupił wioskę, by synowi dowieść, że miał słuszność. Rozpatrując się zaś w tabuli jakiś czas po kupnie, spostrzegł, że podpis dawniejszego właściciela na dokumentach, na mocy których długi weszły na ową wieś, jest podrobiony; pozwał więc wierzycieli hipotecznych i jako wielką mający popularność doprowadził do tego, że wierzyciele za bagatelkę ustąpili mu się z tabuli; — przyszedł więc do wioski, sam nie wiedząc jak; wyrzucił dla fantazyi 3000 fl. a spadła mu

wioska wartująca 25,000 fl. — Również dziwnym sposobem przyszedł do trzydziestu kilku tysięcy na Szwałkowcach. Łotr pierwszego rzędu Spędowski był tabularnym właścicielem; stara panna, dziwaczka, Puzynianka, ciotka Spędowskiego, miała 30,000 fl. na majątku swego zanego siostrzeńca, ponieważ zaś majątek był na długi czas z pobranym naprzód czynszem wydzierżawiony, a siostrzeniec o płaceniu ciotuni procentu nie myślał — więc oboje z głodu gineli; Smolka, do którego jako do człowieka tak sławnego Puzynianka się udała, popłacił drobne jej długi, za które jej aresztem grożono, dawał potem po pareset reńskich babinie i siostrzeńcowi na utrzymanie, pogodziwszy ich z sobą poprzednio — aż nareszcie obliczywszy się z Puzynianką spostrzegł, że ma 30,000 fl. na Szwałkowcach.

Mimo że od r. 1849 spoczywając na wawrzynach, Smolka sprawami publicznymi nie wiele, albo raczej wcale nie zajmował się, postawiono go w r. 1861 na kandydata poselskiego we Lwowie i wybrano go do Sejmu krajowego, a stąd do Wiednia. Świetne wystąpienie jego za Węgrami, zrodziło mu horyzonty w Węgrzech, w Czechach i w kraju, jakich żaden z żyjących ziomków naszych nie doznał. Zamiast korzystać z tego dla sprawy polskiej, Smolka nie odezwałszy się ani razu za własnym krajem, wraca do domu i zagrzebuje się na wsi, oddając się kopaniu rowów i drenowaniu z taką zaciekłością, że gdy przy nadchodzącej burzy 1863 r. patryoci wszystkich prowincyi polskich postanowili zjechać się we Wiedniu i naradzić się nad losami ojczyzny, on na zjazd ten zaproszony nie przybył, wymówiwszy się drenowaniem pól swych. Pobyt jego całoroczny w Wiedniu i zakopanie się na wsi po powrocie z Wiednia, wprowadziły w nieład interesa jego adwokackie; klienci milczeli jak długo w Wiedniu bawił dla spraw publicznych, lecz gdy teraz, ani do Wiednia nie jechał, ani kancelaryi swej adwokackiej nie pilnował, zaczęli się powoli od niego wyznosić. Nadszedł r. 1863. Smolka z początku z całą bezwzględnością przeciw powstaniu występuje; wkrótce sam do Langiewicza wybiera się, a po klęsce Langiewicza odsuwa się zupełnie od wspierania powstania.

Klientów już prawie nie ma, w kasie pustka, wieś nic nie czyni, Szwałkowce zlicytowane wprawdzie, lecz rozprawa z wierzycielami wlecze się bez końca, tak że prędkiego odebrania sum

szwajkowskich nie ma nadziei, a tu Spędowski występuje z groźbą oskarżenia Smolki publicznie o nadużycie zaufania starej, schorzałej Puzynianki i wyzucie jej i samego Spędowskiego z majątku; z drugiej strony p. Brzozowska, klientka dawniejsza Smolki i czcicielka jego, wytacza mu proces, iż nadużywając pełnomocnictwa, pozbawił ją Byszek i Potoku sprzedając, a raczej darowując te włości swemu przyjacielowi Zawadzkiemu. — Smolka opuszcza ręce, całymi dniami przesiaduje w ogródku Heferna, kryjąc się przed oczyma ludźmi i pożyczając na życie u tegoż Heferna; nareszcie w październiku 1863 podryza sobie gardło w tranzecie. Nie było prawie nadziei wyratowania go, a najbliżsi jego nie życzyli mu życia, bo i jakież mogło być życie, po tym dowodzie małoduszności. Silna natura jego zadała wszakże kłam przepowiedniom Tekarzy, którzy na wypadek ocalenia życia wróżyli mu niedołęstwo umysłowe. Po kilku miesiącach ciężkiej choroby, wstał z łoża odmłodniały na ciele i umyśle. Tymczasem pocziwy Hefern z zaniedbaniem własnych interesów, zaprowadził ład w jego kancelaryi, wydobył sumy szwajkowieckie i inne wierzycelności, do których odebrania głównie to nieszczęście Smolki przyczyniło się. Tak więc na wiosnę 1864 r. Smolka znalazł się zdrowym i w posiadaniu kilkudziesięciu tysięcy reńskich, a podczas gdy jego towarzysze komitetowi błądzili jako wygnańcy po obcych krajach, lub jęczeli w więzieniach, on chociaż sądy wojskowe miały przeciw niemu dowody, nie nagabywany przez nikogo, pojechał na wieś, gdzie sąsiad jego Żardecki oddał mu swą wieś Dołkę wartującą 45.000 fl. na własność, nie żądając jak 2000 fl. renty dożywotniej, a liczy siedmdziesiąt kilka lat, i wypłaty 20.000 fl. po swojej śmierci.

W owym czasie zaczęły akcje kolei galicyjskiej szalenie iść w górę; Smolka angażuje w nie cały swój kapitał szwajkowski, kupując akcje po wysokich cenach, aż do ilości 2000 sztuk, chociaż mu ludzie w tych rzeczach biegli odradzają. Akcje idą ciągle w górę, bo przypadek zdarzył, że zaczęto je kupować w Berlinie i dochodzą do 260 t. j. 50 fl. nad wartość imienną. Przyjaciele radzą Smolce sprzedać swe akcje, on się opiera, lecz nareszcie na usilne naleganie Hefnera, zezwala na sprzedaż, gdy zaczęły trochę spadać i zyskuje przy tej operacji sześćdziesiąt

kilka tysięcy — jeszcze trochę zwłoki, a byłby nie tylko nic nie zyskał, ale cały kapitał wkładowy stracił. Że to się nie stało, czy to jego zasługa, czy Heferna? Że się nie dostał do więzienia i mógł ową operację akcyjną zrobić, czy to jego zasługa? Że w ogólności miał fundusz szwajkowski, a więc możliwość zrobienia owej operacji, czy może to jego zasługa? Wcale nie, a przecież nie tylko wszystko to mu się udało, ale co więcej, odzyskał popularność, którą pod koniec r. 1863 był zupełnie stracił. Co to za bystrość widzenia u tego Smolki, że zaraz z początku przewidział, iż z powstania nic nie będzie, — mówią jedni, nie wiedząc, że Smolka sam wybierał się do oddziału Langiewicza. Co za przezorność, że się niczem nie skompromitował; mówią ci, którzy wiedzą, że do komitetu należał. Co za rozum, że dwudziestu tysiącami w przeciągu kilku miesięcy zyskał sześćdziesiąt tysięcy, mówią znów inni. Z popularnością przybywa i klientów, kancelarya Smolki przed rokiem pusta, teraz znów słynie — kapitałiści, którzy z powodu gróźb Spędowskiego i narzekań Brzozowskiej, odsunęli się byli od niego z niedowierzaniem, znów mu powierzają swe pieniądze — biedą lub niesmakiem gnieneni właściciele dóbr proszą się, by sobie ich dobra kupił za cenę jaką zaofiaruje, nie żądając nawet całkowitej wypłaty i tak kupuje Kruszelnice wartającą 45 do 47.000 zlr., Korczyn wartający do 60.000 zlr. co — dodawszy Morszyn i Dołkę, tudzież Majdan, który nabył od kamery — stanowi majątek dwukroć stotysięczny, do którego Smolka doszedł w przeciągu kilkunastu miesięcy od katastrofy tranzetowej i śmiało rzecz można, tylko wskutek tej katastrofy doszedł.

Niechże mi to wytłumaczy filozofia z swoją nauką o związku między przyczyną a skutkiem i doktryną o wolnej woli i odpowiedzialności człowieka za swe szczęście lub nieszczęście! Gdyby sobie Smolka nie był poderzwał gardła, byłby najprawdopodobniej dostał się do więzienia i o owem pomnożeniu majątku nie byłoby mowy; lecz nawet gdyby się nie był dostał do więzienia, to przy apatyi, która go opanowała, nie byłby wywindykował funduszków szwajkowieckich, nie byłby kupował akcji, nie byłby na nich zarobił, nie byłby miał ani Dołki, ani Kruszelnicy, ani Korczyna, ani Majdanu. Prawdopodobnie nie byłby się mógł nawet utrzymać przy Morszynie. — Kto się w czepku rodził,



temu nawet podejrzenie gardła na dobre wychodzi — oto rezultat badań filozoficznych.

Zkąd to pochodzi, że niektórzy ludzie, choć bardzo hojnie umysłowo uposażeni przez naturę, ledwo dawszy znak swej umysłowej wyższości gasną — podczas gdy inni do późnego wieku zatrzymują żywość uczuć i bystrość umysłu, nie dając się złamać ani przeciwnościami, ani niepowodzeniami? Dziś już nikt nie wątpi, że ludzie nie umierają jedynie, że tak powiem, śmiercią, ale także własną winą. Czyż ten kto pożera życie oddając się bez hamulca namiętnościom, lub kto zużywa życie oddając się zbyt ciężkiej pracy, nie zabija się przed czasem? podczas gdy ludzie porządni, rachujący się z swemi siłami, panujący nad swemi namiętnościami, przysparzają sobie lat do późnego wieku? Otóż zdaje mi się, że jest także pewien rodzaj higieny umysłowej, która może do późna zachować duszy zdrowie, energię i młodzieńczość, a higiena ta polega na wzmacnianiu w sobie wiary. Życie umysłowe, to wierzyć. Wiara w postęp, wiara w wolność, wiara w ludzkość, wiara w umiejętność... dają duszy siłę i sprężystość, uzdrawiają ją i wzmacniają i to w stosunku do siły wiary, jaką człowiek w sobie wyrobił. Najniebezpieczniejszą chorobą duszy jest zwątpienie, sceptycyzm, dążność do negacji, podczas gdy silna wiara popychając duszę do urzeczywistnienia swych nadziei jest eliksyrem długiego życia...

Much noise about nothing. Przed paru tygodniami doniosła Gazeta Narodowa, że minister Belcredi zawezwał Smolkę uprzemmem bardzo pismem do Wiednia na naradę co do przyszłej organizacji Galicyi i że Smolka do Wiednia w tym celu pojechał. W parę dni sprostowała Narodówka to doniesienie o tyle, że Smolka nie pojechał wprawdzie do Wiednia i nie został tamże zawezwany, lecz że Belcredi prosił go tylko o udzielenie zdania co do organizacji Galicyi i o popieranie swym wpływem nowego rządu. Wieść tę powtórzyły gazety zagraniczne, aż nareszcie Opinion Nationale ogłosiła wedle doniesienia telegraficznego biura Havasa ośm punktów, które Smolkę wskutek owego wezwania Belcredego, temuż jako postulaty krajowe przed-

łożył, co znowu powtórzyły gazety wiedeńskie, czeskie i nasze krajowe, ze strony Rusinów zaś wywołało manifestację ich postulatów, mianowicie wedle „Słowa“, podziału Galicyi na polską i ruską, osobnego sejmku ruskiego, trzeciej instancyi ruskiej, kanclerza ruskiego.

Gdy hałas ten dziennikarski trwa od trzech już przeszło tygodni, a Smolka ani doniesieniom Narodówki, ani francuskiej Opinion Nationale nie zaprzeczył, byłem pewny że to wszystko prawda; dziwiło mnie tylko, a nawet przyznam się bolało trochę, że Smolka będąc we Lwowie w tym czasie, gdy pogłoski o jego powołaniu do Wiednia zaczęły po gazetach kursować, nie odwiedził mnie i nie pomówił zemną o tak ważnem dla kraju zdarzeniu, kiedy go udzielił Dobrzańskiemu, a list Belcredego, jak to słyszałem z ust wiarogodnych, pokazywał Hönigsmanom i tym podobnym, a więc tajemnicy z tego nie robił.

Otóż dziś się dowiaduję, że cały ten hałas był „about nothing“. Smolka wyczytawszy nominację Belcredego na ministra stanu, napisał do niego, jako do kolegi z Rady Państwa, list gratulacyjny i zwyczajem swoim — bo i tu we Lwowie wszystkie listy sam odnosi na pocztę — list ten własnoręcznie oddał na pocztę w Skolem. Wiedział więc poczmistrz, że Smolka pisał do Belcredego. W kilka dni gdy Smolka przyjechał znów do Skolego z jakimś listem, poczmistrz wręczył mu list w dużej kopercie, jakich my zwykli śmiertelnicy nie używamy, zapieczętowany dużą pieczęcią, nadeszły z Wiednia. „Coś to niezwykłego“ zagadnął poczmistrz, wręczając Smolce ten list. Smolka rozpieczętował go i popatrzawszy na podpis rzekł: „To od ministra Belcredego“ i schowawszy list do kieszeni odjechał do domu, gdzie podówczas prócz córki, znajdowały się cztery jej przyjaciółki, przybyłe na świeże powietrze do nowej rezydencji. „Proszę mieć teraz dla mnie respekt, rzekł paniom, bo oto pan Belcredi pisze do mnie, prosząc bym wpływem moim wspierał młode ministerium“.

Poczmistrz i pięć kobiet to nie szpetny aparat do roztrąbienia ciekawej wieści, wnet więc wiedział cały stryjski obwód o tem ważnem zdarzeniu, że Belcredi pisał do Smolki, dostało się zaś coś i obwodom sąsiednim, mianowicie zaś Lwów, aż czterema drogami o tem zawiadomiony został, a każdą drogą

z jakimś odmiennym dodatczkiem. Nieszczęście chciało, że Smolka, który wyjechawszy raz na wieś na ferye, nie zwykł się we Lwowie przed jesienią pokazywać, zjawił się we Lwowie, zawezwany przez dyrekcję filii kredytu ruchomego do uregulowania interesu akcyjnego. Lwów już wiedział, że Smolka otrzymał list od Belcredego, zobaczywszy w niezwykłym czasie Smolkę w swych murach, nie wątpił już, że Smolka jedzie do Wiednia. Śmielsi zaczęli się samego Smolki pytać czy to prawda, że Belcredi do niego pisał, że go wezwał do Wiednia etc. Smolka pokazując podpis Belcredego znajdujący się na liście, który otrzymał, zbywał wszystkich komunałem: „Proszę teraz mieć dla mnie respekt“, tym sposobem każdy kto tylko chciał, mógł się naocznie przekonać, że Belcredi pisał do Smolki, ale co pisał, to sobie każdy podług swej fantazy wyobrażał. U Dobrzańskiego był Smolka także i zdaje się, że owo sprostowanie w Narodowce, o którym wspomniałem, było skutkiem widzenia się Smolki z Dobrzańskim, również jak i to, że treści listu Belcredego Dobrzański nie czytał, treść bowiem tego listu jest bardzo niewinna i nieusprawiedliwia hałasu, którego stał się przyczyną, opiewa on mniej więcej: dziękuje Panu za przyjacielską pamięć i za życzenia z powodu powołania mnie do ministerstwa, co wyrażając w nadziei, że pan zechcesz me zamiary wspierać w kraju swym wpływem, jaki tam posiadasz, zostaje z szacunkiem Belcredi. Smolka pisze do Belcredego z gratulacją; wypełniając zwykłą względem kolegi grzeczność, odpisuje z podziękowaniem? Smolka gratuluje Belcredemu, że został ministrem Stanu, musi więc cieszyć się z tego, bo inaczej nie gratulowałby. Cóż loiczniejszego, że Belcredi wyraża nadzieję, że Smolka jego zamiary wspierać będzie?

To wszystko prawda, lecz żeby tak tłumaczyć list Belcredego, trzeba go przeczytać i wiedzieć, że został wywołany gratulacją ze strony Smolki. Ot i cała historia, której sensu moralnego nie napiszę... bo lampa gaśnie.

Natura, jak wszystkim wiadomo, obdarza jednych tą lub ową własnością, bądź to duszy bądź ciała, podczas gdy ją drugim odmawia. To samo spostrzegamy u całych narodów; są narody muzykalne, dowcipne, odważne, praktyczne itd. Niemcom

dała natura dar zapuszczania się w głąb rzeczy, lecz zdaje się odmówiła im daru widzenia równocześnie rzeczy obok siebie bieżących. I tak przypatrzmy się tylko najbliższemu wypadkom. Sprawa polska i schleswicko-holsztyńska toczyły się prawie równocześnie. Jak Polsce, tak księstwom zaelbiańskiem zawarowano traktatami, wedle istniejącego prawa międzynarodowego moc obowiązującą mającymi, instytucje narodowe i pewne swobody. Jak król duński względem księstw zaelbiańskich, tak car rosyjski względem Polski, warunków traktatu nie dotrzymali, z tą tylko różnicą, że król duński dając księstwom konstytucję demokratyczną i wolnomyślnie instytucje chybił co do formy, podczas gdy car względem Polski nie tylko o żadne formy się nie troszczył, ale najświętsze prawa boskie i ludzkie brutalnymi deptał nogami. Zdawałoby się, że nikt nie będzie mógł wątpić o podobieństwie sytuacji, o najzupełniejszej tych spraw analogii. A przecież Niemcy uznając, że król duński stracił prawa do księstw i że ludność księstw, jako niemiecka na podstawie prawa narodowości ma być z Niemcami połączoną, równocześnie utrzymują, że traktaty wiedeńskie Polakom żadnych praw nie dają i tylko do panujących nad Polakami się odnoszą, że sprawa między carem a Polską jest sprawą wewnętrzną, do której obce mocarstwa, które traktaty podpisały, mieszać się nie mogą, że tu o utracie praw Moskwy do Polski mowy być nie może, a odwołanie się do spraw narodowości jest dążeniem rewolucyjnym, które przytłumić należy.

Co więcej, podczas gdy Austria i Prusy wydają wojnę królowi duńskiemu i siłą oręża odbierają mu nie tylko księstwa zaelbiańskie, ale nawet księstwo lauenburskie, li dlatego, że zamieszkałe jest przez Niemców, chociaż doń traktaty londyńskie nie ściągają się, równocześnie karzą jako zbrodniarzy tych, którzy w obronie traktatów przeciw Moskwie powstawali, i to nie tylko swych poddanych, ale nawet poddanych rosyjskich, skoro ich w swe ręce dostaną! Lecz to rządy niemieckie tak postępują, a nie naród, mógłby kto zarzucić. Najpierw rządy te obydwą są konstytucyjne, nie mogłyby więc tak postępować, gdyby naród nie był tego samego zdania, a potem wada ta, którą tu właśnie wykazałem, zdaje się spozstrzegać u najwytyczniejszych, najliberalniejszych, najwykształceńszych Niemców, u przewodców opinii

publicznej, również jak u statystów niemieckich. W parlamencie frankfurckim zasiadali najpierwsi uczeni niemieccy i najsyntniejszy liberały Niemiec i każdy z nich przyznawał, że Rosya i Austya powinny oddać łupy swe polskie; o tem zaś, by Prusy oddały Poznańskie, ani słyszeć nie chcieli, a przecież Prusy takim samym nieprawym tytułem trzymają Poznańskie, jak Austya Galicyę, a Rosya Polskę, Litwę i Zabrane kraje! Proszę zresztą przeczytać najliberalniejszy wiedeński dziennik „Neue freie Presse“ z 7 września t. r. Dziennik ten wyrzuca z całą gwałtownością Madziarom, że licząc tylko pięć milionów, chcą przewodzić dziewięciu milionom innoplemieńców należących do korony ś. Szczepana i woła na nich: „Setz dir Perücken auf von Millionen Locken, du bist und bleibst doch immer was du bist“. Madziary stanowią trzecią część ludności korony ś. Szczepana i freie Presse grzmi przeciw nim, że chcą dowodzić dwa razy liczniejszej ludności nie miadziarskiej. Tymczasem ta sama Presse nie widzi nie tylko nic zdrożnego w tem, że 6 milionów Niemców austryackich chce przewodzić 29-ciu milionom nie Niemców do monarchii austryackiej należących, ale uważa to za rzecz całkiem naturalną, że Niemcy szóstą część stanowiący ludności austryackiej, przewodzą pięciu szóstym częściom ludności innoplemiennej.

Czyliż trzeba innego jeszcze dowodu na twierdzenie moje, że Niemcy pozbawieni są zupełnie zmysłu analogii, że się tak wyrażę... a może to brak uczciwości?

Rozwijając przyniesione mi cygara z jakiejś starej gazety, uderzyło mnie nazwisko pana Mensdorffa. Zacząłem więc czytać. Był to kawałek gazety praskiej, która jest w Pradze tem, czem u nas Lembergerka, w Krakowie Krakauerka - gazetą urzędową. Artykuł, w którym spostrzegłem nazwisko Mensdorffa odnosił się do czasu, gdy tenże objął ministerstwo spraw zagranicznych i kreślił jego politykę w następujący sposób; „Mit festen Grundsätzen gewappnet, ohne Voreingenommenheit nach rechts oder nach links, für die Interessen Österreichs einzutreten entschlossen, hier zuwartend und beobachtend, dort Initiative ergreifend und handelnd, überall Achtung fordernd und gebiethend, nirgendwo verletzend und provozierend die Freunde fester bindend, die Feinde zur Anerkennung zwingend, den Frieden vor sich hertragend

aber zum Kampfe gerüstet, keine Verständigung ausweichend, aber hochhaltend mit starker Hand die Fahne des europäischen Rechtes“. — Autor tego artykułu zasługuje na order, nikt bowiem dotąd zawilej polityki austriackiej, misterniejszą nie wygłosił zawilnością frazesów; gdy czytasz szumią słowa jak woda na kole młyńskim, und es wird dir dumm, als gienge ein Mühlrad im Kopfe herum, nic nie rozumiesz nic nie pojmujesz, czego chce ta polityka, a przecież gdyby tam nawet nie stało nazwisko Mensdorffa, odgadłbyś, że tu mowa o polityce austriackiej. Jakiś dowcipniś powiedział, że inne państwa mają ministrów des affaires étrangères, a Austria ma un ministre étranger aux affaires; a ja mówię: nie dowierzaj nigdy głupcom!

Ktoby się teraz jeszcze nie poznał na liberalizmie wiedeńskim, o tem śmiało można powiedzieć: An dem ist Hopfen u. Malz verloren. Umysł jak ciało, nie żywi się słowami, lecz potrzebuje istoty rzeczy. Rząd pana Schmerlinga przyznawał wszystkie swobody „im Grundsatz“, a tych którzy pragnęli urzeczywistnienia tych swobód, pakował do kozy. Jego poplecznicy gardłowali za wolnością z trybuny i za pomocą prasy, a teraz gdy wolność ta ma się stać ciałem, przynajmniej w jednej części monarchii, wołają: Zdrada!

Pan Schmerling wprowadził wolność do konstytucyi, a zachował despotyzm w administracyi i znalazł poparcie w stronnictwie liberalnem niemieckiem. Teraźniejsze ministeryum chce złamać biurokracyę i zaprowadzić samorząd w administracyi. Liberały wiedeńskie obwiniają go z tego powodu o wsteczność, chociaż każdy rozsądny przyzna, że wprowadzić wolność do konstytucyi a zostawić despotyzm w administracyi, jestto chcieć iść związawszy sobie nogi, że przeto zaprowadzenie samorządu w administracyi, nie jest wstecznością, lecz prawdziwem umozębnieniem postępu.

Pan Schmerling ścięsnął wolność Madiarów, nadając ją pełną garścią na pół dzikim Rumunom, bo mu nie szło o wolność, lecz o zdeptanie wolności za pomocą mas ciemnych, służących mu ślepo. Szacunek siebie samego i drugich, poczucie prawa, miłości, sprawiedliwości, te niezbędne warunki wolności, nie tworzą się paragrafami, nie dekretują się, ani oktrojują. To

są cnoty, których nabywa się cierpliwością i doświadczeniem. Słusznie też terazniejsze ministeryum cofnęło Rumunów w granice ich wykształcenia właściwe, wracając Madiarom dawniejsze, wiekowem doświadczeniem nabyte stanowisko polityczne. To nazywają liberały wiedeńscy złamaniem konstytucyi, i stają jak jeden mąż w obronie Rumunów niepomni, że dać wolność narodowi niewolniczemu to tyle, co powierzyć dziecku broń nabitą; niepomni, że wolność jak tylko nie żyje w duszach obywateli, jest czczem tylko brzmieniem, podczas gdy wsiąkła i wnikła w życie, ani postępem, ani przemocą wydrzeć się nie da. Cóż za użytek zrobili Rumuni z wolności, którą ich Schmerling tak hojnie obdarzył, że przygłuszyła wolność Madiarom należną? Oto wspierali ślepo rząd przeciw ludom. A Madiary czyliż dali sobie wyłudzić chytrą schmerlingowską wolność, z którą się zżyli? Bynajmniej! Dla czegoż liberały wiedeńscy występują przeciw tej żywotnej wolności Madiarów, a stoją w obronie problematycznej wolności Rumunów? Odpowiedź łatwa: bo oni nie chcą rzeczy; im idzie tylko o słowa.

Gazety donoszą, że Pereire przyrzekł Napoleonowi, iż poratuje Hiszpanię pożyczką 150 milionową. Widać więc, że bankierzy nie ustają w gotowości podtrzymywania państw. Tak jest: podtrzymują je, ale jak stryczek wisielca — dusząc.

Ciągle jeszcze gazety, szczególnie zagraniczne, zajmują się konwencyą gastajnską. Czy Francya i Anglia protestowały, czy nie — to na jedno wyjdzie, tak samo jak owocu nie wydadzą pojawiające się tu i owdzie w gazetach francuskich groźby przeciw naruszeniu równowagi państw i praw ludu holztyńskoszeswickiego. Od iluż to lat szukają statyści i politycy równowagi państw na zewnątrz, a wewnątrz równowagi stanów! Napróżno szukać będą jednej i drugiej, póki ich wagi nie umiarkuje miłość rodzinna w narodzie, a miłość ludzkości w narodach. Niech się tylko te zasady ustalą, a obojętnem będzie pod względem równowagi państw, do kogo Lauenburg należy, jak z drugiej strony niemożliwem rozrządzenie ludźmi, jak trzodą.

Nigdy może tyle nie rozprawiano o centralizacji i decentralizacji, jak obecnie. Gazety francuskie i szwajcarskie, austriackie jedne za drugimi, występują przeciw. We Francji orleaniści i stronnictwo klerykalne jest za decentralizacją administracyjną, stronnictwo liberalne, czyli raczej rewolucyjne, za centralizacją. Z kongresu międzynarodowego w Szwajcaryi odjeżdżają republikanie francuscy, dlatego, że książe Chartres wystąpił z mową za decentralizacją; w Austrii liberały wiedeńscy krzyczą w niebogłosy z powodu zamierzonej przez obecne ministerium decentralizacji i zapominają się do tego stopnia, że stają w obronie znieprawionej tu biurokracji; tymczasem Madiary, Czechy i Polacy witają radośnie tę zapowiedź decentralizacji jako zorzę, zwiastującą samorząd...

Najlepszy rząd jest ten, który rządzi jak najmniej, a obywatelom zostawia jak najwięcej wolności rządzenia siebie samych. Jest to prawda przez najznakomitszych statystów uznana; centraliści wiedeńscy wszakże nie pojmują jej, albo raczej uznać jej nie chcą. Dzięki też administracji, która góruje nad wszystkim, nie dano nam dotąd wolności, chociaż nie ma narodu, któryby był stworzony do niewoli, bo nawet murzyni, o których długi czas twierdzono, że ich już natura przeznaczyła na niewolników, jakoś dają sobie radę z wolnością. Dają nam prawo głosowania, które nam do niczego nie służy, a odmawiają prawa sprawowania naszych własnych interesów. Wszczęwładztwo ludu nie jest jeszcze wolnością; przez wszechwładztwo lud często zyskuje tylko prawo zabicia się; wolnością zaś lud żyje, działa, wzmagą się, trzyma w swem ręku swój honor i szczęście swoje.

Rządy lękając się rewolucji odmawiają ludom autonomii, a pan Mensdorff tak jest pewnym, że zaprowadzenie rad powiatowych w Galicyi doprowadziłoby do rewolucji, że zrobił jak słyhać z tego kwestyę ministeryalną. Co za nieuctwo! Właśnie kto lud przekona, że centralizacja nas robi niewolnikami i tylko samorząd może nas z niewoli wybawić, ten zniszczy na zawsze zaród rewolucji i zaszczepli drzewo wolności, które nigdy nie uschnie — ten, jednym uderzeniem odkryje dwa skarby cenniejsze niż srebro i złoto: wolność i pokój...



W waszej zachwalonej konstytucyi lutowej jest mowa o państwie i jego prawach, o osobniku i jego prawach; lecz o społeczności ani słowa. A przecież społeczność t. j. stowarzyszenie pod wszelkimi formami, wolne działanie zjednoczonych osobników, powinno mieć także miejsce w życiu politycznym narodu. Gmina, kościół, dom, ochrony, szpital, umiejętność, literatura – powinny tworzyć zwiększone jakoby familie, które wznosząc się stopniami jedna na drugą tworzą tyleż przystani dla osobnika wchodzącego w skład państwa. Państwo z takimi autonomicznymi stowarzyszeniami będzie związkiem wielkich poniekąd familii, które same sprawują swe interesa, przez co stanie się zbędną administracya państwowa, ten polip sturamienny, który się wszystkiego czepia i wszystko dusi.

Kraj pozbawiony samorządu jest podobnym do człowieka, któremu ręce i nogi związane. Jak ten niechętnie słucha swego oprawcy i przy każdej sposobności stara się zerwać więzy, tak tamten uważa władzę ze wszystkimi środkami i środawkami krępującej wszystko centralizacyi za więzy, których się pozbyć trzeba. Słucha on tej władzy, lecz tylko z przymusu. Stąd ciągle starcia z władzą, ciągle rewolucye. Raz osłabia się władzę i doprowadza się ją do bezwładności – a gdy lud sądzi, że doszedł do wolności, przyszedł tylko do anarchii. Innym razem rzuca się lud w przeciwną ostateczność; wzmacnia własne pęta sądząc że służy porządkowi, dochodzi do samowoli. Straszne to widowisko patrzeć na lud, który podnosi się z przepaści na to tylko, by w nową wlecieć przepaść.

Centraliści wiedeńscy, powstający tak namiętnie przeciw autonomii, powinni by w konsekwencyi zaprowadzić centralizacyę i kierownictwo rządowe w swych zakładach fabrycznych, w swem rękodzielnictwie etc. Lecz na to odpowiadają oni, że to byłoby komunizmem, który niszczy sprężystość indywidualną, interes prywatny, wolną konkurencyę etc. Alboż sprężystość indywidualna, interes prywatny, wolna konkurencyja etc. nie są również dźwigniami dobrobytu gmin, zakładów dobroczynności etc. Weźmy naprzykład tylko tę ostatnią; jeśli państwo bierze na siebie pieczę o biednych i uwalnia mnie od tej pierwszej cnoty chrześcijańskiej miłosierdzia, tedy zapłacę, krzywiąc się, nałożony podatek i rzecz skończona – dalej nie jestem już do niczego

obowiązany. Inaczej rzecz się ma, jeśli biednych zostawicie na mojej opiece, jeśli mi zostawicie przyjemność i zasługę jałmużny; wtedy dam chętnie ostatni grosz. Co mnie obchodzi szpital przez rząd zawiadywany? lecz w moim szpitalu, chorzy, starzy, dzieci do mnie należą; takim szpitalem będę się zajmował jak swoją własnością. Lepiej więc wyjdą biedni, jeśli administracya nie będzie się mięszać do miłosierdzia, która stając między wolą a czynem, wszystko lodem ścina; a zresztą czyliż ludzie są paralitykami, żeby im nie pozwolono nic samym działać... Zostawcie im przynajmniej wolność sprawowania własnych interesów, wolność czynienia dobrze!.. Państwo nie traci na tem jeśli uzna obywateli za uprawnionych do radzenia sobie samym, naród zaś zyska wszystko, bo zyska wolność.

Neue Freie Presse uważa zwołanie sejmu siedmiogrodzkiego na podstawie prawa wyborczego z r. 1848, za zamach na jedność państwa. Jedność moi panowie, nie jest jednostajnością. Przypatrzcie się tylko przyrodzie: co za cudowna jednostajność, a przecież nie ma drzewa, krzewa, kwiatka, trawki nawet listka, któryby był podobny do drugiego. Jeśli tak zwane niwelacyjne teorye w społeczeństwie są grzechem przeciw naturze, to jakże nazwać waszą teoryę, wedle której wszystkie do Austrii należące ludy, mimo całej różnaitości mowy, zwyczajów i potrzeb, mają być wtłoczone w modłę przez was ulepioną?

Doprawdy, trudno sobie wytłumaczyć te krzyki niby liberalnej prasy wiedeńskiej, bez pomocy historii naturalnej, która wytłumaczyć może nie jedno zjawisko społeczne, boć ludzie to także zwierzęta. Zdaje się tedy, że są dwie rasy ludzi: rasa indywidualistów i rasa centralistów. Tamci stworzeni, by jak orły samotnie unosić się w przestworzu — ci aby żyć gromadnie jak owce, i być strzyżonymi, jak owce.

Gdyby nie świeże doświadczenie w sprawie polskiej, jak mało znaczą słowa dyplomacyi angielskiej — okólnik Russela z powodu umowy gajszteńskiej mógłby zatrwodzić Austryę i Prusy. Mówi tam Russel, że gdy z umowy, traktat z r. 1865 zupełnie został wykluczony, oczekiwano słusznie, że jeśli traktaty w ten sposób będą niweczone, to przynajmniej życzenia ludu w Niem-

czech i księstwach, zdanie większości Związku niemieckiego będą uznane. Tymczasem wszystkie prawa dawne i nowe oparte na uroczystej kontroli monarchów, na jasnej i niewątpliwej woli ludu, zostały zdeptane, a tylko radzono się siły i jej tylko przewagę uznano, a przemoc i zdobycz za jedyne poczytano podstawy. Lord Russel ubolewa mocno nad takim objawem pogardy zasad prawa publicznego i uprawnionych życzeń ludu. I na tem ubolewaniu wszystko się skończy. W obec coraz groźniejszej postawy tajnego stowarzyszenia republikańskiego w Irlandyi, zwanego fenickiem, podtrzymywanego przez Stany Zjednoczone, wobec zaborów rosyjskich coraz bardziej zagrażających Wschodnim Indyom, wobec przyjaźni coraz czulszej między Stanami Zjednoczonymi a Rosyą — Anglia mogąca być zaczepioną już nie tylko w Kanadzie lub Indyach wschodnich, ale we własnym domu nie odważy się na jakiegokolwiek czynne wystąpienie. Nie chciała korzystać z wojny domowej w Zjednoczonych Stanach i powstania polskiego, by osłabić na długie lata, może na zawsze Rosyę i pozbawić Zjednoczone Stany sprzymierzeńca — teraz musi się lękać, by jej nie podpalono własnego dachu. — Poseł rosyjski w Washingtonie w najlepszych z Juarezem zostaje stosunkach; celem tego zatrudnienie jak najdłuższe Francyi w Meksyku... Republikanizm amerykański i despotyzm moskiewski knuje jakiś spisek przeciw starej Europie. Napoleon na wyspie Św. Heleny przepowiedział, że do 50-ciu lat Europa będzie republikańską lub kozacką; gotowa się spełnić przepowiednia o tyle, że będzie republikańsko-kozacką.

Jest nareszcie we Lwowie polskie kasyno mieszczańskie — jest już kilka stowarzyszeń rzemieślniczych; istnieje stowarzyszenie stenografów, a wkrótce ma przyjść do skutku stowarzyszenie spożywaczy. Pan Piątkowski i pan Jasiński rosną jak na drożdżach, a gawiedź trąbi ich sławę jako apostołów idei stowarzyszeń. Czyliż to już tak dawno, jak wychodził tu „Dziennik polski“?

Świat jest teatrem, na którym figurują trzy rodzaje osób: widzowie, aktorowie i autorowie. Widzami są wszyscy ci poczciwi ludzie bez cnoty i bez występku, żyjący pod cieniem strzechy domowej. — Aktorowie są jak wszyscy aktorowie, trupą

teatralną, próżną a zazdrosną. Ambitny, trefniś, skąpiec, tyran, tchórz, służalec odgrywają swe role z wielkiem zadowoleniem publiczności, która czasem gwizdze, częściej klaszcze, a zawsze płaci. Matadorom tym trzeba pięknych sukni, pałaców i złota, och, wiele złota. Znają się oni na kaprysie ludu i nadużywają go. — Co się tyczy autorów: wieszczka, który stworzył słowo, co się stało hasłem pokolenia — muzyka co wysnuł z siebie nutę, która się stała modą — myślicielu co wśród nocnego czuwania znalazł klucz do rozwiązania społecznej zagadki — im rzuca się kawał chleba i zapomina się o nich.

Idea! — czemże jest idea dla zręcznych? kokardą — a cała sztuka leży w tem, by ją à propos przypiąć. Krzyż przez dwadzieścia lat, że wolność jest zbawieniem ludów, będziesz tylko echem, nienawistnem dla panujących, naprzykrzliwym dla służących. Niechże przyjdzie dzień, w którym lud sprzykrzywszy sobie jarzmo co go gniecie, zabiera się do jego zrzucenia, a pierwszy lepszy śmiałek co napisze na chorągwi słowa, któreś ty powtarzał przez lat dwadzieścia, stanie się wybrańcem ludu; honor, bogactwo, władza — wszystko dostanie mu się w dziale. Jedna godzina zdziała szczęście aktora, dlatego nie będzie mógł znaleźć dosyć pogardy dla autora, który przez dwadzieścia lat cierpień, niebezpieczeństw przygotował mu ten tryumf, a może w tej nawet chwili tryumfu aktora jęczy w więzieniu, za to przygotowanie tryumfu. A lud co na to? Lud będzie tak samo sądził, jak aktor!...

Żądają odemnie zdania o projekcie M. Trettera, wymagania od rządu tytułu królestwa polskiego dla Galicyi, tudzież o stosunku w jakim mamy stanąć do Czechów.

W chwili takiej jak dzisiejsza, kiedy można od rządu coś uzyskać, naród powinien, zdaniem mojem, zachować całą swą trzeźwość umysłu i nie gonić za fantazmagoryami, aby żądając rzeczy niemożliwych, nie utracił sposobności osiągnięcia rzeczy możliwych. Do fantazmagoryi zaś zaliczam tytuł królestwa polskiego dla Galicyi, raz, że już jest na mapie królestwo polskie, chcąc więc utworzyć drugie, trzebaby je nazwać chyba królestwem polskiem II, tak jak jest Murawiew II; powtóre, że na samą taką propozycję Rusini nasi podnieśli by hałas i krzyk

w niebogłoso, a jeśli kiedy, to teraz unikać należy wszelkiego ich drażnienia; nareszcie niepodobna przypuścić, aby Austria odmawiająca ze strachu przed Rosją amnestyi kilkudziesięciu skazańcom, których sama za niewinnych uważa, odważyła się przywłaszczyć sobie tytuł, który wedle traktatów należy się carowi.

Jak zgubną była kiedyś wiara niektórych naszych statystów, że Polskę Rosya odbuduje, tak zgubną byłaby polityka budująca na Austrii. Polskę możemy odbudować tylko my, odrodziwszy się przez cnotę, pracę i oświatę; a jeśli obecne pokolenie nie może podolać temu, to mu w żaden sposób nie wolno przesądzać przyszłemu, byłoby to zaś przesądzać przyszłemu pokoleniu, gdybyśmy ofiarowali cesarzowi austr. tytuł króla polskiego. Naszem zadaniem jest zdobywać na rządzie austriackim środki do naszego odrodzenia.

Zresztą do słów pana Trettera nie należy przywiązywać zbyt wielkiej wagi. Pan T. może być zdolnym do wszystkiego, lecz zbywa mu własności potrzebnych dla agenta politycznego, a do tego w Węgrzech. Trzeba znać Węgrów, każdy z nich jest arystokratą i z pierwszym lepszym nie wdaje się w tak ściśle stosunki, jakich wymagają zwierzania się. Węgier każdy ma przy tem tyle taktu politycznego, że nie mówi na seryo z nikim o polityce, nie zapytawszy się poprzednio, co on znaczy w kraju? Węgry to starowiercy, oni trzymają się jeszcze „powag“, a jeśli kto, to oni znają przysłowie: „Gadać darmo, boli gardło“.

Co do Tonnera, jest to jeden z najszlachetniejszych Czechów i gdyby większość Czechów z takich składała się ludzi, możnaby się Czechom powierzyć z zawiązanymi oczami. Lecz Tonnerów niestety bardzo mało na ziemi czeskiej, a polityka Tonnera nie jest już polityką czeską! Polityka czeska dąży do owładnięcia wszystkich szczepów słowiańskich w Austrii, do supremacyi nad nimi i do przekształcenia Austrii niemieckiej na Austryę czeską. Czy my na tem wielebyśmy zyskali, nie wiem. Że zaś to co tu piszę o polityce czeskiej jest prawdą, każdy przyzna, kto się Czechom bliżej przypatrzył. Czesi są zawziętymi nieprzyjaciółmi każdej wybitnej narodowości w Austrii, Polaków równie nie cierpią jak Niemców i Madiarów, bo nimi nie mogą kierować. Natomiast kochają namiętnie wszystkie małe narodowości i narodowostki jak to: Rusinów, Słowaków, Serbów,

Kroatów i Wendów — i narzucają się im na piastunów i opiekunów. Czesi pragną silnej Austrii, a jeśli przeciw rządowi występują, to tylko wtedy, gdy system rządowy zagraża ich dążności do supremacji w Austrii. Gdyby im szło szczerze o federację i nic więcej, czyliż występowałiby tak namiętnie przeciw Madyarom, tym najsilniejszym w Austrii reprezentantom federacji, ile razy ciż zabierają się do zerwania więzów, którymi je spętała centralizacja niemiecka?

Zdaje się mi przeto, że łączyć się bezwarunkowo z Czechami nie możemy, choćby już dlatego, że nam najmniej przystoi występować przeciw Madyarom. Łączmy się z Czechami de casu ad casum, ale zawsze cum grano salis i o tyle, o ile jesteśmy federalistami. Nie zapominajmy zaś nigdy, dass die Böhmen es faustdick hinter den Ohren haben. Jeśli Czesi domagają się czegoś dla siebie, to i my tego żądamy; oto nasza polityka czeska, dalej nie zapuszczajmy się z nimi, bo nasza droga gdzieindziej prowadzi. Poznaliśmy dostatecznie kim są Regiery, Pallacy, a oni, nie Tonnerzy, rej wodzą między Czechami. Panczechizm to rodzoniuteńki synalek Panslawizmu.

Wszystko na tym świecie starzeje się i przeżywa, a to tak w świecie materyalnym, jak ludzkim. Przeżyły się też i zasady moralności, któremi ludzie od wieków rządzili się, a ich miejsce zastępować zaczynają nowe zasady. Konserwatyści moralni, a i ja do nich należę, walczą sił swych ostatkiem, a szeregi ich coraz stają się rzadszymi, jedni giną, drudzy do nowej przechodzą chorągwi i nie dziw, bo nowe te zasady wiele mają powabu. Oto najgłówniejsze:

- 1) Nie wierz nikomu, a sobie każ wszystko zawierzać. Tak posiędziesz najsilniejszą broń przeciw ludziom. Tajemnice maluczkich zdradzaj ile ci się podoba, tajemnice zaś możnych zachowuj święcie — jak długo ciż stoją nad tobą i wpływy mają.
- 2) Nie poświęcaj się za nic i za nikogo, chyba że ci to sowing korzyść przeniesie.
- 3) Długo się zastanawiaj nim prawdę powiesz; kłamiąc nie potrzebujesz brać rzeczy tak ściśle.
- 4) Nie występuj nigdy przeciw ułomnościom moralnem, przywarom lub namiętnościom innych ludzi; przeciwnie staraj

się, by sądzili, że jesteś za nimi, a pozyskasz sobie wszystkich.

5) Wierz tylko w czyny, w słowa nigdy.

6) Własne namiętności ukrywaj starannie, popisuj się jednakże przybranemi, szczególnie jeśli są w modzie.

7) Przedewszystkiem stłum w sobie wszelkie delikatne uczucie, twoją szlachetność i prawość. Jeśli tego uczynić nie możesz daj je do jakiego domu zastawniczego, a jeśli ci, co jest prawdopodobnem, na ten fant nie chciano nic pożyczyć, włóż je między bibułę do zielnika, tam się przechowają, lecz broń Boże, nie pożyczaj ich nikomu, boby ci je sterał lub uszkodził.

8) Naucz się płakać gdy inni się śmieją i odwrotnie.

9) Nie obrażaj nigdy księdza, poety lub dziennikarza.

10) Nie stawaj nigdy w obronie pokrzywdzonego, bo narazisz sobie zawsze krzywdziciela, a jeśliś obronił pokrzywdzonego, przybędzie ci w nim wróg nieubłagany.

11) Nie pytaj się skąd pochodzą pieniądze, które ci dają, nie dbaj o to czy ci takowe chętnie dają lub niechętnie: bierz i staraj się ciągle brać.

12) Gwiazda na piersi więcej warta, niż wszystkie gwiazdy na niebie.

13) Nie potrzeba byś miał serce; staraj się mieć tylko miejsce na serce, abyś je tam mógł umieścić, gdyby przypadkiem kiedy trzeba było mieć serce.

Kończę tymczasem, bo trzynastka to pocziwa, jak mówią, liczba.

Jest tych przykazań jeszcze więcej szczególnie dla płci pięknej. Jeśli będę kiedyś w dobrym humorze, to nastąpi ciąg dalszy.

Kto Galicyę uważniej przyjechał od Krakowa do Czernowic, ten nie może nie widzieć znacznej różnicy, jaka pod względem cywilizacji panuje między zachodnią a wschodnią tego kraju częścią. Mazury przypisują to swojej wyższości umysłowej nad Rusinami; mnie się zaś zdaje, że inna tego zjawiska musi być przyczyna, Rusina bowiem natura bynajmniej nie upośledziła umysłowo, a jeśli nie stoi pod tym względem wyżej niż Mazur, to mu przynajmniej nie ustępuje. Prędszego postępu Ma-

zurów na drodze cywilizacyjnej przyczyną jest prócz większego zbliżenia do zachodu, bardziej zgęszczona ludność i przemagająca nad latifundjami drobna posiadłość ziemska. Gdzie przemagają drobne posiadłości, a przynajmniej drobne gospodarstwa dzierżawne, tam na tej samej przestrzeni ziemi osiada i krzewi się mnogość rodzin, które nie mogłyby znaleźć pomieszczenia tam, gdzie ziemię zagarnęły duże a niepodzielne folwarki. Ta zgęszczona ludność wiejska ma liczne i różnorodne, lubo skromne potrzeby, a potrzeby ludowe, czy osobiste, czy gospodarskie, stokroć korzystniejsze dla narodu od wykwintnych, które obsługują niewielką liczbę majątnych, dużych posiadaczy. Ludność wiejska doszedłszy raz do porządku i pracowitości, do których każdy lud wolny i właściciel ziemski dojść raz musi, daje rozległe a stałe utrzymanie licznym rodzinom przemysłowem, które zaspokajając jej potrzeby, otwierają nawzajem odbyty płodom i wyrobom rolniczym, a zachęcając ją przez to do coraz większej produkcji, pomnażają jej dobrobyt, pierwszy i niezbędny warunek cywilizacji. Jednym z głównych czynników potęgi narodowej jest ludność zgęszczona, porównajmy tylko Rosyę z Francją!

Czytając tymi dniami jakiś stary szpargał w r. 1830 w lipcu drukowany pod tytułem: „Hahn und Henne“, natrafiłem na taki ustęp. „Man hat den Ärzten oft nachgesagt, sie stünden mit Freund Hein in gutem Einvernehmen, hätten eine Allianz mit ihm geschlossen, arbeiteten ihm in die Hände.“ Co to może znaczyć ten „przyjaciół Hein“, pomyślałem sobie. Czy to jaki aptekarz tak się nazywał, z którym lekarze postępowali podług przysłowia: ręka rękę, noga nogę. — Czytałem więc dalej, bo mię intrygowało nazwisko Heina, szanownego ministra sprawiedliwości. „Will dieser in das Quartier des Lebens einrücken, so stellen sie sich vor die Thüre, wehren ihn entweder mit gewaffneter Hand ab, oder unterhandeln mit ihm, oder wo er sich nicht beruhigen und vertreiben lassen will, geben sie gutwillig die Verteidigung auf, und ihm den Quartier preis. Manhmal wenn sie die ersten besten Schatten für Freund Hein halten, rufen sie ihn dadurch selbst herbei und indem sie ihre Haut salvieren, liefern sie ihm die Schutzempfohlenen in die Hände. Nie ma więc wątpliwości, że Niemcy nazywają śmierć



pieszczotliwie przyjacielem Heinem. Nomen et omen. Pan minister sprawiedliwości był śmiercią dla sprawiedliwości w Austrii. Pod najabsolutniejszymi rządami w Austrii zachowywano nawet w procesach politycznych przepisane ustawą karną formy: dręczono oskarżonego po kilka lat w śledztwie, bo na to zezwalała procedura karna, lecz nie skazywano nikogo, komu zbrodni udowodnić nie można było. Dopiero pan Hein, minister konstytucyjny, zaprowadzając w miejsce sądów zwykłych, sądy kaprałskie, a w miejsce postępowania zwykłego karnego, procedurę, wedle której do skazania obżałowanego nie potrzeba dowodu, lecz wystarcza moralne przekonanie odkomenderowanych na sędziów żołnierzy, podciął nogi austriackiej Temidzie, a znosząc odwieczną zasadę: „że prawo wstecz nie działa“, i podciągając pod ową procedurę dawniejsze nawet czyny, zadał cios ostateczny sprawiedliwości w Austrii. Cesarz Ferdynand przyjął za swe godło: *justitia regnorum fundamentum*, i godło to, lanemi ze spizu głoskami, na bramie zamkowej w Wiedniu, wypisać kazał. Granaty, któremi w październiku r. 1848. wierne wojsko odpowiadało wiernym wiedeńczykom na ich wolnomyślne zachcianki, uszkodziły ten napis, szczególnie ostatnie jego słowo: „*fundamentum*“. Siła brutalna użyta przeciw ludowi, zdruzgotała w części fundament państwa -- „przyjaciół Hein w postaci ministra sprawiedliwości zburzył go do szczętu“. „Smerty, smerty“ może teraz powiedzieć ruski kaznodzieja, ne darmo tebe Niemci nazywajut Heinom“...

**Październik 1865.** Zabobon... co to jest zabobon i gdzie jego źródło? Zabobon jest przypisywanie rzeczom lub zjawiskom nadprzyrodzonych własności lub sił, których nie posiadają — przywiązania do nich znaczenia, którego nie mają. Źródłem zaś zabobonu jest ciemnota. Lecz czy sama tylko ciemnota? Napoleon Wielki był zabobonnym! My dotąd nie wiemy, co to jest człowiek, nie zdołaliśmy zgłębić natury jego jestestwa, ani związku jaki panuje między człowiekiem a przyrodą i wszechświatem; jesteśmy sami sobie zagadką, spostrzegamy dużo zjawisk na sobie i w sobie, których wytłumaczyć nie jesteśmy w stanie, ztąd skłonność do przypisywania ich wpływom — nadnaturalnym, czyli innemi słowy do zabobonu.

2  
Któż między nami pochwali się, że jest wolnym od skłonności do zabobonu? że mając sen jakiś nadzwyczajny, nie starał się choćby tylko przez kilka minut, znaleźć w nim jakąś przepowiednię — że przypatrując się w noc księżycową przeciągającym chmurom, nie szukał kształtów, które widzieć pragnął, znaków do wytłumaczenia przyszłości? Kto pewnym jakiegobądź nazwiska zdarzeniom, które się w życiu jego powtarzały, nie podsuwał choćby na krótki czas, jakiegoś pewnego wpływu na losy swoje? Jest to niewinna zabawka serca z fantazyą, której rozum z tronu swęgo uśmiechając się przypatruje, która wszakże w potworność wyrodzić się może, jak każda dziecinna zabawka, jeśli jej nie nadzoruje ochmistrzyni...

Sny, w których nam się śni, że bliscy osiągnięcia czegoś, wyteżamy siły by cel osiągnąć i nie wiedzieć dla czego, osiągnąć go nie możemy, i w skutek tego sił natężenia budzimy się nie osiągnawszy celu — należą do snów nieprzyjemnych i do rzędu tych, które nam tkwią w pamięci, właśnie dla tego, że się budzimy jakby szamotaniem zmęczeni. Zdarzyło się mi, że po takim śnie spotkała mnie nieprzyjemność, oczywiście, że przypisywałem jej marzeniu o wemu sennemu; lecz gdy po podobnym śnie znowu nastąpiła jakaś nieprzyjemność: wrodzona nam wszystkim skłonność do nadnaturalności, związała tę nieprzyjemność ze snem, dla tego, że już przedtem raz, po podobnym śnie spotkała mnie była nieprzyjemność; odtąd mimo woli, ile razy mam taki sen, przychodzi mi na myśl, że mnie czeka jakaś nieprzyjemność, a gdy mnie istotnie spotka nieprzyjemność, a któż od tego jest wolnym, mimowolnie odnoszę ją do snu. Rozum śmieje się z tego i ja śmieję się z siebie, mimo to ów popęd do zabobonności nie ustaje we mnie. Tak samo zdarzyło się, że po śnie, w którym marzony jaki zachód uwieczniony był skutkiem, ziszczały się moje nadzieje, moje zabiegi. Ztąd inny znów w tym kierunku popęd do zabobonności.

Przypominam sobie, że parę dni przed mojem uwięzieniem w r. 1863 jednej nocy śniło się mi, że kładąc się do łóżka znalazłem w niem leżącego lokaja, którego byłem odprawił i nie mogłem go wyrzucić. Drugiej nocy śniło się mi, że byłem w jakimś pięknym ogrodzie z Maryanem, Hubickim, Ostrowskim i jeszcze kilku osobami, Maryan zdawał się mnie nie znać, inni

porozchodzili się różnemi ścieżkami, ja zaś, Hubicki i Ostrowski znaleźliśmy się raptem przed otaczającym ten ogród wysokim, miejscami w gruzach leżącym murem, przez który z ogrodu wydobywać się zaczęliśmy. Ks. Ostrowski przebył tę przeprawę w okamgnieniu, Hubicki był już jedną nogą za murem, ja zaś szamocąc się, nie wiedzieć dla czego, muru przebyć nie mogłem. Nota bene, ja, Hubicki i Ostrowski, byliśmy członkami komitetu. Księża Ostrowskiego wcale nie nagabywano, Hubicki wisiał, jak to mówią, jakiś czas jedną nogą; mnie zaś przycupili. Przed wyrokiem znów śniło mi się, że szedłem przez jakiś plac z Helenką, w tem nadjechało wojsko i zajęło ulicę prowadzącą z tego placu; Helenka weszła w tę uliczkę, ja zaś mimo wszelkich zabiegów i wyteżeń nie mogłem się za nią przedrzeć przez zawalające tę uliczkę wojsko... Przyznam się, że każdym razem miałem napad tego co nazywamy przecucie, odpędzałem je rozumem, lecz wracało, a dziś po roku, dwóch latach nawet, śmiejąc się z tej słabości siadłem do stolika, by zanotować podobneż dzieciństwo — sen, który wywołał przecucie czegoś dobrego. Śniło mi się, że czekając na audyencyę u cara wraz z innymi słyszę gniewny głos cara: „paszō! won sukin syn!“ wyleciał jakiś przestraszony człowieczek przez drzwi, które prowadziły do cara, a przez które ja wszedłszy, stanąłem przed carem. Głosem przytłumionym, lecz gniewnym, sypał na mnie car gradem słów, grzytając od czasu do czasu zębami — mówił po rosyjsku; z tego co mówił słowa nie rozumiałem i oparłszy obie ręce na laskowym kij, na którym także czapka moja spoczywała, wpatrywałem się z ciekawością w tę twarz gniewem zezwierzęconą. Raptem twarz się uspokoiła; zaczął mówić po polsku — co — nie wiem, lecz mówił po polsku i mówił spokojnie, z rodzajem przychylności, ja zaś mojej postawy nie zmieniałem, zagapiwszy się, jak to mówią. W tem drzwi się rozwarły i weszło kilka osób, co ja biorąc za wskazówkę, że audyencya się skończyła, skłoniłem się carowi nisko, ale tak nisko, że na jawie, nawet gdybym chciał, nie potrafiłbym; z czołobitnego tego ukłonu, car podnosząc mnie, ucałował mnie w prawe ramię, czem tak byłem zawstydzony, że się obudził — i natychmiast szepnęło mi coś: car sprzeciwiał się uwolnieniu naszemu; pocałował mnie w ramię to znaczy, że się udobruchał i pozwoli teraz na udzielenie nam

*Helenka*

amnestyi. A nuż się ten sen sprawdzi, być może, lecz jeśli amnestya nastąpi, to pewnie nie wskutek tego snu; z tem wszystkim, cóż mi to szkodzi bawić się; alboż ja w kozie mam co lepszego do czynienia?

Dom karny, Brygidki to świat w miniaturze, prawdziwy Mikrokosmos. Tu masz wszystkie stany, rzemiosła i zatrudnienia, tu znajdziesz te same ambicje i intrygi co za bramą więzienną, te same hypokryzje, tę samą zazdrość, te same iluzje i te same rozczarowania.

Znajdziesz tu reprezentantów posiadłości większych i mniejszych; dzierżawców i wszelkiego rodzaju oficyalistów prywatnych i sług; mieszczan i przedmieszczan, rzemieślników jakich zapragniesz, kupców hurtownych i drobnych, teologów, doktorów medecyny, chirurgów i golarzy, nauczycieli, diaków i organistów; tu znajdziesz reprezentowaną siłę zbrojną wszelkich gałęzi niewykluczając nawet żandarmeryi i policyi, począwszy od oficerów aż do szeregowych, a reprezentowaną jak na więzienie państwa militarnego przystoi, bardzo licznie, bo na 1200 znajdujących się tu więźni, połowę policzyć można na wysłużonych żołnierzy; masz tu także nie mały kontyngent urzędników publicznych, mianowicie takich, którzy mieli do czynienia z pieniędzmi; żeby zaś zakładowi temu nie brakowało na niczem, łaskawy rząd osadził tu także kilku więźni politycznych, między temi posła krajowego, dziennikarza, akademika, cukrowara i urzędnika kasy oszczędności, tego ostatniego prawdopodobnie dlatego, by dobroczynną instytucyę, której jest sługą, zaprowadził w Brygidkach!

Że z tych rozmaitych, nagromadzonych tu talentów, wiadomości, zręczności, zarząd więzienia korzysta, to się przez się rozumie. Murarskie roboty a potrzeba ich jest wielka, bo budynki więzienne jak wszystkie przez rząd wyprowadzone, ciągle się psują — skuteczniają murarze.

Tapczany więzienne wyrabiają cieśle, żeby im zaś nie brakło zatrudnienia, zarząd ciągle nowe zaprowadza fasony: z tapczanów-olbrzymów, na których leży pokotem po 20 więźni, wyrabiają się potem podwójne, z podwójnych pojedyncze, a te znów wiąże się na piątrowe jeśli więźni przybywa. Stolarze robią okna, drzwi, łóżka dla chorych i szafki do tych łóżek. Bednarze

trudnią się wyrobem konewek, cebrzyków i szlachetnych kiblów, tych ozdób więzień tutejszych. Kołodzieje dłubią nad taczkami i wózkami, do których zaprzęgają się rolnicy (konie, bo nic innego nie umieją), wywożąc śmiecie więzienne za miasto; konie te są tu, jak wszędzie zwierzęta, najszcześniejszymi, to też gdy dadzą hasło do wywożenia śmieci, biegną radośnie do swych zaprzęgów, jak dzieci, gdy ich bakałarz ze szkoły wypuści; oni jedni tu pełnią swą robotę z ochotą i nie masz nad nich tu bardziej zadowolonych, wyjąwszy chyba tak zwanych furmanów, t. j. tych, którzy z łopatą w rękę idą za wózkiem popychając go z tyłu, jeśli im się podoba, zwykle zaś cały ciężar zostawiając „koniom“ nad którymi się znęcają, zwykle jak furmani nad końmi, to też przy każdym uszykowaniu się wózków śmieciowych, odbywa się batalia o łopaty, te ostatnie dostają się zwykle Mazurom, jako zwinniejszym, pochopniejszym do uderzenia od naszych Rusińów, a zresztą jak wiadomo, są to zawołani fornale. Gospodarze poważniejsi przeistaczają się tu w „pośmiecuchów“, to jest zamiataczy śmieci i wszelkich innych nieporządków, ku czemu uzbrojeni są wielkimi miotłami, z którymi jak bociany po łąkach, przechadzają się po dziedzińcach więziennych, czychając na najmniejszy nieporządek, by go natychmiast uprzętać, nie potrzebują go wszakże połykać jak bociany, mając na to umyślnie do tego przeznaczone cebrzyki, które na drążku noszą z sobą na plecach.

Szewcy wyrabiają trzewiki dla więźni, że zaś mała liczba więźni i to uprzywilejowanych nosi trzewiki — (ogół chodzi w drewnianych sabotach), szewców zaś jest przeszło dwustu, więc szyją trzewiki dla wojska. Krawcy zatrudnieni są szyciem bielizny i ubrania tak letniego, jak zimowego dla więźni, a ponieważ robota ta nie daje im dostatecznego zajęcia, więc pod dozorem krawca wojskowego szyją mundury dla wojska. Bla-charze wyrabiają menażki na płyn, zwany zupą, który rozdają więźniom zdaje się na to, by poplukując nim gardło, przelknąć mogli „sałamache“. Kucharze zatrudnieni są przyrządzaniem tej sałamaczy i owego płynu. Malarze przyozdabiają tutejszy dom Boży rozmaitemi malaturami al fresco, biorąc oczywiście tutejsze fizionomie za wzory do twarzy męczenników i świętych pańskich. Lakiernicy pokostują ramy od okien, łóżka i drzwi

szpitalne; sabotieri zaś wystrugują z drzewa topolowego zwykłe więźni obuwie; praczkarze piorą bieliznę więźniów: prządkarze przedą na kołowrotkach węgę lub przedziwo, podczas gdy tkacze wyrabiają płótna do użytku więziennego, jako to worowinę na „sztruzaki“, płótno grube na odzież letnią i trochę cieńsze na koszule, poszewki, prześcieradła i ręczniki dla więźni; nareszcie sukiennicy wyrabiają sukna na odzież zimową więźni, koce i sukna posadzkowe na sprzedaż. Krawcy, szewcy, sabotieri, praczkarze, prządkarze, pracze, sukiennicy i blacharze pracują wspólnie w tak zwanych „Labatarniach“ z których jedna t. j. szewców pracujących dla wojska, ma napis: Militär-Schufsterei; przekreślenie litery f jest bardzo delikatne, lecz bije w oczy, tem bardziej, że nie wiedzieć dlaczego zamiast zwykłego s, użyto niezwykłego w łańskim piśmie f jest to widoczny koncept tutejszego artysty-lakiernika, którym dokuczyć chciał biednym szewcom, poniewieranym tak tu, jak na świecie... Prócz wymienionych tu rzemieślników i artystów, są jeszcze inni, których wszakże zarząd nie zatrudnia, ci zaś szukają sobie zatrudnienia prywatnie czyli pokryjomu. I tak pan złotnik rzeźbi z kości zwykłe albo patryotyczne krzyżyki — (notabene nie wierzy w Chrystusa, jako żyd) a dla odmiany, wylewa z cyny szóstaki, które „konie“ wywożą na miasto, razem ze śmieciem. Pan introligator lepi pudełka i szkatułki, a czasem od niechcienia robi szóstaczka albo jednoreńskówkę, które poczciwe konie na świat wywożą. Rzeźbiarz wyrabia ramki do fotografii, a gdy nie stanie drzewa, wyrzyna nagniotki z równą jak ramki zręcznością. — Golarze golą i strzygą, gdzie mogą.

Inteligencya tutejsza ma tu także swe godziwe i niegodziwe t. j. niesankcyonowane przez zarząd zajęcia. Nauczyciel i organista uczą w tutejszej „szkole“ dzieci (bo jest tu kilkunastu chłopców piętnastoletnich) pisać, czytać, rachować i śpiewać; a jak na wielkim świecie austryackim, tak i tu dzieci nic nie korzystają wyjąwszy „Mnohaja lita“ na cześć najjaśniejszego Pana, którą to kantatą rozpoczynają i kończą godzinę szkolną. Nauczyciel i organista w kościele tutejszym mają miejsce na chórze, kierując śpiewem: na organach gra braciszek S. J. duszpasterstwo bowiem nad owieczkami obrządku łańskiego powierzone jest Ojcu Mikołce S. J. ku wielkiemu pożytkowi duchowemu więźni; ma bo też szczególniejszy sposób X. Mikołka

nie ma  
czyli

przemawiania do swoich owieczek; inni nauczyciele Ewangelii przemawiają zwykle: kochani bracia w Chrystusie i t. p. to też nauki ich, jak to niestety widzimy, nie skutkują; X. Mikołka porzucił tę sentymentalną hypokryzję i nazywa ludzi i rzeczy po imieniu: „wy łajdaki, huncwoty, złodzieje, rozbójniki — wy nawet na zęby czarta za źli jesteście, wy draby przekłete, wy wagabundy, was nawet piekło, gdy się tam dostaniecie wyżyga” i t. p. i skutkują te mowy doskonale; podczas gdy X. Mikołka grzmi z ambony, owieczki jego gną się ku ziemi pod ciężarem skruchy i albo grają w kości na podłodze kościoła, albo pokrzepiają się wódką, którą zakrystyan umie jakoś zawsze dostarczyć w porę, to jest: gdy skrucha do tego dochodzi stopnia, że biedne owieczki wytrzymały już nie mogły. Jest bo to bardzo świętobliwy człowieczek ten zakrystyan, a przez X. Mikołkę bardzo protegowany, podpalacz, rewertent, młodzieniec smagły dwułokciowy, z dużą, zawsze na dół spuszczoną głową, z oczyma tak głęboko osadzonemi, że gdy niemi czasami łypnie, to ci się zdaje, że próchno zabłysło przez oczne jamy trupiej głowy; mój Spot, który ze wszystkimi aresztantami w największej jest przyjaźni, co o moralnem jego usposobieniu nie wielkie daje wyobrażenie, jednego zakrystyana znieść nie może; skoro go zoczy, a raczej zwietrzy, zaczyna szczekać i przyczypwszy się raz do jego pięty, szczeka nie zważając na moje gwizdanie i nawoływanie, dopóki biedny zakrystyan nie opuści podwórza. Aresztanci utrzymują, (lecz niekoniecznie to może i prawda), że Jakóbek jest szpiegiem ks. Mikołki i nie wyperswadujesz im, że jest najgorszym człowiekiem w całym tutejszym zakładzie: „nie darmo proszę pana, Spodek (tak nazywają mego Spota) na niego tak ujada, pies, proszę pana, przeczuje wilka i złego człowieka“. Może to i prawda. Słowiański ksiądz kapelan, jakiś maleńki i cichutki człowieczek, pełni swe funkcje, jak za pańszczyznę, nie ma tu tej żarliwości kapłańskiej, jaką się odznacza ksiądz Jezuita; natomiast pałamarz z diakiem gorliwie dbają o światło przed St. Mikołajem i od czasu do czasu chodzą po kaźniach z tacą kościelną, prosząc o „grosz więźnia“ na święte światło. W tym jednym punkcie inaczej się dzieje w tutejszym mikroskopijnym świecie, niżeli na wielkim świecie: tu ksiądz łaciński i świaszczenyk w jednym i tysamem domu Bożym odprawiają nabo-

zeństwo, przy większych uroczystościach celebrują razem, a pałamarz nie gardzi groszem polskiego więźnia, a nawet oń prosi po polsku. Snadź ksiądz kapelan nie jest „rewnym“ Rusinem; a może też trzeba „aż ciężkich“ na nas kajdan, aby nastąpiło zbratanie między Lachami i Rusinami. Lecz nawet kajdany nie zmieniają zupełnie natury Rusina na punkcie złodziejstwa, — i nie dziw, bo ich znamieniem złodziei napiętnował Chrystus, gdy go idącego na Golgotę Rusini wykrąść chcieli. Przeszłego roku ktoś wlazał się z kościoła na strych, leżącego obok kościoła pomieszkania kontrolora tutejszego i zabrał schnącą tam bieliznę tegoż, w wartości dość znacznej; podejrzenie padło na pałamarza, który po wieczornem nabożeństwie, został się był w kościele dla zgaszania świec i prawdopodobnie dał się tam zamknąć. Można temu dać wiarę, bo pałamarz Rusin, a więc wor niepoprawny; lecz trudno dać wiarę, że bielizny nie znaleziono w Brygidkach, chociaż zaraz nazajutrz rano kradzież spostrzeżono, a pan kontrolor za swą bielizną pewnie dobrze szukać kazał. Haraszoj mołodiec! Wracając do traktamentów w kościele, dodać tu należy, że mamy w zakładzie naszym także gorzelnika, który jako obeznany z parą (a jedzenie gotuje się w głównej kuchni parą) obsługuje kotły parowe; wchodzi też do kuchni mąka i kasza, a gdy potrzeba jest matką wynalazków, więc naprowadziła naszego maszynistę na wynalazek robienia w kuchni wódki, ponieważ zaś w kaźniach bywają rewizye, a kościół od nich jest wolny, więc znowu z potrzeby zrobiono z kościoła magazyn wódki; ponieważ dalej ludek tutejszy chodzi tylko na nabożeństwo do kościoła, więc koniecznem następstwem wyszynk wódki owej, może odbywać się tylko w kościele i podczas nabożeństwa.

Największą część inteligencji należy do cechu pisarzy, a cech to dość liczny, bo w zakładzie tutejszym, jako cesarsko-królewskim, pisać trzeba dużo; ktokolwiek zaś z przełożonych lub podprzełożonych ma co do pisania, trzyma sobie do pomocy pisarza-aresztanta. I tak jest ich dwóch w kancelaryi zarządu, czyli tak zwanej „Folwarteryi“; ci, aczkolwiek przy wielkim, jak to mówią, ołtarzu, są najbiedniejsi z cechu; pisać muszą cały dzień, a innej nie mają ztąd korzyści, jak tę, że noszą skórzane trzewiki zamiast drewnianych, że mają czysty i cały „mundur“ aresztancki i nie potrzebują przez dzień oddychać



powietrzem więziennem. -- Dalej ma szpital pisarza i pomocnika; pisarz szpitalny jest tu ważną figurą, nie tylko co do chorych, lecz i pod innym względem: jest tu zwyczaj, że prowadzi się protokół dzienny, ordynowanych lekarstw i potraw dla chorych, który to protokół podpisany przez p. fizyka służy jako kontrola na aptekarza i liweranta szpitalnego. Ażeby zaś wiedziano co któremu choremu dać, wisi nad każdym łóżkiem czarna tabliczka, na której się zapisuje ordynację lekarską. Otóż pisarz szpitalny z recept pana fizyka prowadzi ów protokół i przenosi ordynacje na rzeczony czarne tabliczki, wymaga się więc od niego, by umiał czytać recepty, a na czarnych tabliczkach pisać co innego niż w protokóle, rozumie się tak, aby to choremu nie szkodziło, aptekarzowi zaś i liwerantowi pomogło. Pomocnik pisarza jest przy zadawaniu chorym lekarstw i t. p., on też, albo sam pisarz asystują chirurgowi więziennemu przy operacjach i sekcyach; operacyi i sekcyi nie mało tu się odbywa; pan chirurg prócz stancyi etc. w Brygidkach ma 400 złr. rocznej pensyi, za każdą zaś amputację otrzymuje osobno 50 złr.: nie dziw więc, że tu mnóstwo aresztantów bez rąk i nóg! A i śmierć tu dość często zagłada; na kilkunastu chorych wyniesiono w jednym miesiącu (a nie było żadnej epidemii) dwadzieścia dziewięć nieboszczyków do trupiarni. Z tego można wnosić, że lada kto nie potrafi być pisarzem szpitalnym; to też pan Pochotnicki jest niepoślednią inteligencją, a przede wszystkim ścisłym loikiem: „Zbrodnia stanu i spokrewniona z nią zbrodnia buntu, lub zaburzenia spokojności publicznej, są największymi zbrodniami; my więc złodzieje, fałszerze, osuśty etc. jesteśmy lepsi od zbrodniarzy politycznych“. Tak razu jednego argumentował pan Pochotnicki i przyznać trzeba, że miał słuszość, skoro prawodawstwo karne zmieszało zbrodniarzy politycznych z pospolitymi zbrodniarzami. — Że pan pisarz szpitalny i jego pomocnik nie źle się mają, o tem nie potrzebuje nadmieniac. Prócz nich jest jeszcze w szpitalu pisarz kaprała szpitalowego i przełożony łaźni szpitalnej. Kapral szpitalowy jest komendantem szpitalu i jako taki musi dziennie przedkładać raport o stanie szpitalu; w tej pracy wyręcza się pisarzem, który ten tylko ma z tego zysk, że będąc zdrowym może być w szpitalu, a więc dostawać wikt szpitalny, zamiast sala-

machy; może też, co jest przywilejem wszystkich aresztantów-dygnitarzy, nosić trzewiki skórzane. Przełożony łaźniak jest obecnie bardzo znakomity człowiek, pan Czartoryski; prócz obowiązkowych kąpiei, ordynowanych przez pana fizyka, które się dają gratis, mogą aresztanci używać kąpiei, jeśli pan Czartoryski pozwoli; z czego wynika, że mu tam czasem coś kapnie, zwłaszcza, że tu jest nieco majątniejszych żydów, a ci lubią plukać swe cielska. Kiedy już jestem przy szpitalu, należy coś wspomnieć o trupiarni i o losie składanych tam nieboszczyków. W trupiarni, przymurowanej do szpitala, składają się więźnienieboszczyki na 48 godzin i każdy z nich dostaje w łapę sznurek przymocowany do dzwonka wiszącego zewnątrz; przed trupiarnią chodzi sztyldwach dniem i nocą, zdaje się na to, żeby jaki nieboszczyk nie uciekł, bo że nie jest on tam na to, aby na wypadek, gdyby nieboszczyk jaki obudziwszy się, dał znak dzwonkiem — nieść pomoc, przekonał mnie następujący wypadek; przechadzając się raz jednego wzdłuż szpitalu, to jest, po wyznaczonem dla nas chorych na przechadzkę miejscu, usłyszałem dziwne jakieś zadzwonienie; nie był to głos dzwonka szpitalnego, ani innego ze znajdujących się tu dzwonek; był to głos dzwonka wcale mi nieznanego, a że pochodził od strony trupiarni, wpadło mi na myśl, czy to nie dzwonek trupiarni. Biegnę tam i zastałem sztyldwacha gapiącego się na dzwonek, którego serce widocznie drgało. Czy to ten dzwonek dzwonił — pytam; a ten prosi pana; a to dajcież znać kapralowi, musiał się obudzić jakiś nieboszczyk. Ech, gdziebytam, prosi pana, nieboszczyk się obudził — a potem ja nie mogę zejść z warty przed obluźowaniem. — Biegnę więc do kaprała, opowiadam co się stało i wracam z nim i z pisarzem szpitalnym do trupiarni. Otwieramy drzwi, nieboszczyk leży skulony, przykryty prześcieradłem, jak go wczoraj położono, zimniuteńki; a obok ręki wisi sznurek od dzwonka. Widzicie panowie, wypuścił sznurek z ręki, nie ma wątpliwości, że dzwonił. To jeszcze nic, że sznurek wisi, rzekł na to pan pisarz znacząco, mógł nie być przywiązany, ale — tu pociągnął za sznurek, dzwonek ani drgnął; biorę więc ja za sznurek i szarpnię całą siłą — dzwonek milczy jak zakłęty. Masz pan słuszość panie Pochotnicki, to nie dzwonił nieboszczyk — zapewne jaskółka, lecąc za muszką, uciął

skrzydłem o dzwonek... Pokazuje się, że w waszej trupiarni na to jest dzwonek, aby nim ockniony nie mógł zadzwonić. — Po 48 godzinach, trupów wywożą aresztanci-grabarze w trumnie więziennej, brązowo malowanej, wózkiem tak samo malowanym na cmentarz gródecki i tam wyrzucają go nagiego do wykopanego dołu. Jeżeli rodzina areштanta chce by był pochowany w trumnie, to wolno jej kupić takową, byle nie była wystawna, lecz tak zwaną „prostą trumną“. Wózek, na którym wywożą nieboszczyków na wieczny odpoczynek i robactwu na karm, służy także do przywożenia areштantom jedynej dobrej karmy, jaką tu dostają, to jest chleba — wówczas tylko zamiast trumny, kładzie się na wózek duża na klucz zamykana skrzynia i nie ciągną go grabarze, lecz wozi-chleby. Niektórych nieboszczyków pan Tangel sekcyonuje na korzyść umiejętności, „zdrowych“ zaś, jak mi opowiadał mój Fedko, wożą w nocy do akademii, tam ich gotują, żeby kości pobiełały, a potem te kości na drutach ustawiają „w Oranżeryi“. Co ty pleciesz człowiecze, zawołałem, gdy mi to opowiadał. Dalibóg Jegomość że to prawda, ja sam raz woziłem trupa do akademii i widziałem to; zresztą niech Jegomość uważają, jak tu się złodzieje przeklinają: „Bodaj tebe Nimci waryły“!

Mają również pisarzy: wachmistrz do pisania raportów, dotyczących straży więziennej; hausmeister do spisywania mioteł, kiblów, konewek i innych rekwizytów; nakoniec kerkermeister do raportów o stanie więźni, odzieży ich, bielizny i kajdan. Pisarz kerkermeistra, aczkolwiek najniższy prawie w hierarchii pisarzy, jest wszelako bogdaj czy nie najważniejszą figurą, on bowiem prowadzi listę konduity więźni, on klasyfikuje ich uzdolnienie, on układa raport „marudów“, t. j. tych, którzy aspirują do szpitala. Z tego wnosić można o ważności tej posady i jej intratności.

Dobrze sprawującym się więźniom zdejmują kajdany z jednej nogi, dają ich na „krumfatorów“ do szpitala, lub wyznaczają do innych posług, albo promowują wcale na „starszych“ nad innymi więźniami. Źle sprawujący się nietylko żadnych tych ulg, z którymi często i korzyści materyalne są połączone, nie otrzymują, lecz po skończonej karze mogą się dostać jeszcze do domu poprawy, na czas nieoznaczony, często dłuższy, niż czas

kary. Nie źle to czasem dostać się do szpitala, zwłaszcza gdy człek istotnie chory; by zaś dostać się do szpitala, trzeba koniecznie być umieszczonym na raporcie „marudów“, inaczej fizyk nie dowie się żeś chory. Czasem ktoś jest szewcem, krawcem lub innym rzemieślnikiem, a nie chce mu się pracować zadarmo „w Labatorni“; pan pisarz wtedy może pomódz, nie umieścić na spisie rzemieślników; inny znów chce się czegoś nauczyć, pragnie więc dostać się do jakiejś „Labatorni“ — temu znowu pan pisarz zaradzić może, przeznaczając go do tej lub owej pracowni. Jednem słowem pisarz kerkermeistra jest wielką figurą; piastuje ten urząd obecnie pan Brix, były oficer, który o sobie powiada: ich bin ein Schuft, aber ich habe Ehre im Leibe. Że się panu Brixowi dobrze dzieje łatwo pojąć; opowiadają tu, że raz na jeden wieczór przegrał w karty 200 złr. i wierzyć temu można z łatwością: jemu bowiem wszyscy tu opłacać się muszą, a korzystając z jego protekcyi nawet opłacić mogą. Weźmy np. krumfatrów, ci nietylko mają trzewiki skórzane i kajdany z jednej nogi zdjęte, co samo już coś warte, ale kręcąc się koło kuchni szpitalnej, mogą najeść się kosztem chorych, a swoją porcyę sprzedawać kologom zaszpitalnym, mającym podwójny apetyt, a jest tu takich nie mało. Usługacze czyli lokaje nie źle sobie stoją; jest ich najpierw dwóch u kontrolora, jeden froteruje, zamiata, myje naczynie etc. i wodzi pieski pani kontrolorowej na spacer; jest nim były lokaj, drugi pełni funkcję stróża, kuchcika, doziera kur, gęsi i kaczek pani kontrolorowej, a wieczorem, gdy pan Tangel pójdzie na piwo, a dozorcę ogrodu (o których później wspomnę) znajdują się pod kluczem, pasie sarnę pani kontrolorowej w ogródku szpitalnym. Że ci dwaj nietylko swoje porcyę salamachy i chleba, ale jeszcze coś ze stołu pana kontrolora sprzedawać mogą, to nie podlega wątpieniu. Ma dalej dom p. Tangla do usług swych aresztanta, a gdy tenże wygląda jak pączek, zdaje się że mu tam nie źle się dzieje. Nareszcie każdy więzień polityczny ma na usługi aresztanta, który i pożywi się trochę przy swym Jegomościu i dostaje pensyę. Że wszyscy lokaje noszą trzewiki skórzane i całe ubranie, to się przez się rozumie, a i to coś znaczy; zresztą jest to rodzajem dystyngcyi tak dalece, że jeden siedzący tu dzierżawca ubiegał się bardzo gorliwie o posadę lokaja u niź podpisanego, tylko że niżej pod-

pisany, wyżej ceni zbrodniarza niecywilizowanego, niż cywilizowanego i dlatego wołał chłopą Fedką, niż byłego dziedzica a terazniejszego dzierżawcę, herbu Slepówron. — Pójdźmy teraz do rozmaitych zatrudnień: konie śmieciowe z furmanami, wozi-chleby i grabarze wychodzą za bramę, na świat! tam da się czasem zrobić jakiś interesik, sprzedać jakiś gracik tu przez którego z kolegów wyrobiony i okpić go; kupić zapalek, jabłek, rzodkwi i odsprzedać tu kolegom amatorom z zarobkiem 100 lub 200 procent; zresztą zwędzić coś albo wyżebrać.

Praczkarze mają także swój zarobek, więzień dostaje co tydzień koszulę; bluzę i niewymowne nosi póki się nie zedną; kto lubi ochędństwo, każe je sobie prac— a są i tacy, którzy per nefas własną mają bieliznę, — praczkarze zaś zadarmo nie pierą. Szewcy, krawcy, tkacze, mają także swoje zyski. Zwykle więzień, jeśli nie jest ostatnim łajdakiem lub głupcem, oszczędzi sobie tu tyle, że wychodząc może mieć buty na pasach z wysokimi po kolana cholewami, parę koszul nowych, kamizelczynę i przynajmniej płócienne pludry. Szewcy w wolnych godzinach robią owe buty, tkacze umieją dostarczyć kilka łokci płótna, a krawce szyją z tego koszule, pluderki, a z kupionych od pałkarzy starych mundurów, wyrabiają kamizelki, kurtki i sukmanki. Że to wszystko dzieje się z zarobkiem, o tem nie trzeba mówić, bo tutejsza społeczność składa się z ludzi praktycznych. — Starsi nareszcie nad śmieciarzami, pośmieciuchami, wozi-chlebami etc. mają prócz przyjemności, że nic nie robią, także satysfakcję rozkazywania; a dziwnym trafem, jak na świecie największe łajdaki najwyższe, zwykle zajmują dostojności, tak i tu starszymi tymi są najwięksi zbrodniarze, i tak n. p. starszym pośmieciuchą jest rozbójnik ze stryjskiego, Mikoła, chłop sążnisty, już szpakowaty, z wąsem à la Hajnau, służył bowiem w wojsku, z czapką na bakier, z miotłą o sążnistym drągu na lewem ramieniu, przechadza się majestatycznie z jednego „Hofu“ na drugi (Hof jest to brygicka nazwa dziedzica) zrzedząc na podrzędnych, ale i sam rąk swych nie oszczędzając; jako ex-wojskowy lubi mączkę, to jest niedopałki tytoniowe, które żołnierze zwykli trzymać w ustach wówczas gdy palić nie mogą; zauważawszy, że Mikoła czatuje na niedopałki naszych cygar, rzucam mu ile razy się z nim spotkam resztę cygara, które trzymam w ustach; czy-

nię to dlatego, bo Mikoła za dumny, aby zebrał o maczkę jak to inni aresztanci czynią; powtórę dlatego, że, że... Mikoła jakoś straszno wygląda; lecz Mikoła hat Ehr im Leib, jakby powiedział pan Brix; pozdrowi mnie zawsze przechodząc koło mnie, chociaż nie mam cygara w ustach; Spot lubi biegać na piewśzy „Hof“ z kąd łatwo może się dostać na świat, bo z tego Hofu prowadzi główna brama na ulicę,—pilnują go więc i ile razy tam pobiegnie, nawołują: Mikoła spostrzegłszy to, wypędza go ztamtąd, chociaż go o to nie obligowałem. Pan Tangel a raczej Tangłeta mają ogromnego legawca, najgorzej w świecie t. j. narówni z Tangłetami wychowanego; 'otóż pies ten przychodzi często z Tangłetami na dziedzińiec szpitalny, gdzie mój pies ze mną lub i bezemnie myszkuje i parę razy Spota poturbował. Mikoła tak go za to sprawił (notabene nieproszony) że byle krzyknąć: a Mikoła! legawy zmyka jak ukropem polany. Po tych dowodach szlachetności, zacząłem się przypatrywać lepiej panie Mikole i znalazłem, że po świecie chodzi dużo ludzi z gorszymi fizionomiami. — Lecz idźmy dalej: Starszym wozi-chlebem jest chłop, który będąc skazany za zabójstwo, tu w Brygidkach zabił aresztanta wyprówszy mu jednym nożem pchnięciem wnętrzości skazany za to nowe zabójstwo, po kilku miesiącach więzienia został starszym, zdjęto mu kajdany z jednej nogi i puszczają go na miasto co drugi dzień, gdy jadą po chleb! Starszym krumfotrem jest niejaki Waniek, były wojskowy, rewertent już niewiem poraz który, hurtem siedzi już 35 lat w więzieniu, popełniał najrozmaitsze zbrodnie, nigdy zaś dwa razy tej samej; teraz siedzi za publiczne znieważanie obrazu Matki Boskiej. Jeszcze ma trzy lata do odsiadania, a już przemyśliwa jaką by tu zbrodnię popełnić, żeby nie zostać powieszonym, lecz być skazanym na całe życie „es ist so ennuyant herauszugehen und hereinzukommen“. Teraz dla rozrywki oskarżył ks. Mikołkę o współudział w szkaradnej zbrodni.

Reszta inteligencji nie pomieszczona w cechu pisarskim, siedzi po kaźniach razem z innym motłochem, jeśli się nie aplikuje komu należy, albo też znajduje się w szpitalu w liczbie niby to chorych. W rzędzie tamtych zasługuje na wzmiankę przed innymi pan Tyszkiewicz, syn obywatelski z czortkowskiego i posiadający sam trzydzieści kilka tysięcy reńskich, w depozy-

cie lokowanych. Oddany do wojska jako kadet, tak pięknie się sprawował, że go napędzono; gdy wracał z Węgier do domu z transportem urlopowanych i wysłużonych, okradł mimochodem kąpiącego się w rzece jakiegoś jegomościa; od tego czasu nie opuszcza więzienia, chyba drogą ucieczki i to na to tylko, aby się upić i dać zaraz złapać; zbrodnie, przedłużające pierwszostkowe jego więzienie, popełnia tutaj, ma obecnie prócz kary, którą teraz odsiaduje, już dwa wyroki za inne zbrodnie: ostatnią było złośliwe poszkodowanie skarbu; obok kaźni, w której siedział, był magazyn sukien, koców i innych tutejszych wyrobów wełnianych; zrobił wyłom w ścianie, włożył do magazynu i pokrajał nożem kilka postawów sukna i kilkadziesiąt koców — na złość kontrolorowi za to, że został ukarany kijami (co mu się to często trafia) ponieważ z największą w świecie efronterią utrzymywał, że znalezioną u niego wódkę dostarczyła mu pani kontrolorowa. — Do tych należy także jakiś *elegant* z bródką z sandeckiego, właściciel jakiejś tam części jakiejś wioski górskiej; nie umie nic, więc go nawet pisarzem zrobić nie mogą — a buntna bestya jak Sanoczanin, nosi bródkę hiszpańską, chociaż to niewolno, i stacza o to ciągłą wojnę z zarządem. Jest tam także jakiś kasyer i jakiś kontrolor; tych paniczów trzymają ostro, ponieważ podejrzewają ich, że zachciało im się rachować i kontrolować więzienną kasę i spostrzeżenia swe krytymi jakimiś drogami anonimowemi podawać do wiadomości namiestnictwa. Jakiś znów *ex-czynownik* moskiewski, złapany w naszym kraju na jakiejś skrobaninie, lubi patrzeć na palce panów kaprali, hausmajstrów etc. i donosić o tem tym, którzy nie lubią takich moskiewskich donosów, więc i jego nie lubią i starają się go trzymać tak, aby nie stykał się z nikim, komu czasem coś do palców przylepić się może. Jest między nimi nareszcie szanowny pan *Krukowicz*, przed którego inteligencją mają tu zanadto wielki respekt, by go do czegoś odpowiedniego jego zdolnościom użyć. Wagabunduje więc pan Krukowicz i marnuje swoje talenta; lecz przepraszam, nie marnuje. Jest tu jedno indywiduum, które trudno sklasyfikować nie będąc Lineuszem. Niby rzemieślnik, bo umie krawiectwo, lecz nie pracuje; niby inteligencja, bo nie nosi ani wody, ani kiblów; jest sobie wagabundą: ubrany tak niby z pańska, jak

tu czasem per nefas inteligencja zwykła się ubierać: własne buty, mundur areztancki — robiony widać do miary i z pewną pretensjonalnością do niemunduru, wreszcie chustka na szyi, kamizelka latem letnia, zimą zimowa, a i czapka choć krojem areztanckim, lecz nie z areztanckiej zrobiona materji, nawet dąszkiem opatrzona. Jegomość ten chodzi sobie po „Hofie“ o każdej porze dnia, nie bywa nawet wypędzany z ogródka, który przeznaczony jest tylko dla chorych i dygnitarzy. Życiorys tego panicza, mogącego mieć najwięcej 30 lat, jest następujący: urodzony w Brygidkach, oddany na mamki magistrackie, gdy podrósł, poszedł terminować do krawca, lecz ledwie doszedł lat distinctionis criminis, t. j. czternastego roku życia, dostał się do Brygidek, które od czasu do czasu porzuca, by znów wracać do swej ojcowizny. Względ na ten jego stosunek do Brygidek i na te czułe dowody nieostygającego przywiązania do miejsca urodzenia, ma być powodem tego łagodnego z nim obchodzenia się; Waniek zaś twierdzi, lecz Waniek ma zły język, że gdy przedostatni raz tu się znajdował, był posługaczem w domu jednego z żonatych tutejszych urzędników; że usługując tam, styrał młode swe siły, których dotąd odzyskać nie może i że to względy dawnej jego pani sprawiają mu ulgę w jego — terazniejszym więzieniu. Lecz mniejsza o to, która wersja jest prawdziwą; dość, że temu jegomości pan Krukowicz udziela lekcji francuskiego języka.

Przystępuje teraz do inteligencji znajdującej się na etacie chorych w szpitalu. Że do dostania się na ten etat potrzebną jest protekcja fizyka, to się przez się rozumie, dlatego nie każdemu to się udaje. Jest ich tu też nie wielu. A najprzód p. Dulęba, ów p. Dulęba co to bywał u wszystkich wód krajowych i zagranicznych, ów miły towarzysz, co tańczył, gdy tańczono, grał grę najwyższą, jeśli się tak zdarzyło, lecz również mile grał najtańszego preferansika — a jaki miły był gracz! Nikt wprawdzie nie wiedział z czego p. Dulęba żyje, i żyje dość wystawnie, ani też za co podróżuje a podróżuje co rok, często nawet za granicę; lecz któżby na taką bagatelkę uważał. P. Dulęba dobrze ułożony, miły gracz i towarzysz, bywał w najzacniejszych towarzystwach. Raptem pokazało się, że ten miły towarzysz zwykł był dzielić się kasą przyjaciół swych, u których gościł i to bez



wiedzy tych przyjaciół. Osadzono go więc w Brygidkach na lat 5, a że biedny musi chodzić o dwóch kulach, tak raptem na nogi podupał, więc siedzi w szpitalu. — P. Henisch, obywatel miasta Krakowa, właściciel kamienic, które nabywał niezawsze czystymi sposobami, złapany na podobnej nieczystości, dostał się tu, zaniemógł także na nogi, lecz przybyło mu brzuszka, czemu pewno nie szpitalny winien wikt. P. Ofinowski, burmistrz z Przeworska, doił kasę miejską, mimo że wydawał władzy powstańców, teraz kozę doi; widać że mu to nie w smak, bo pożółkł jak cytryna: a każdemu z koleżków wszystkiego zazdrości, zarówno fajeczki, jak szklaneczki i wszelkich extraordynaryów; nie lubią go też, a kapral szpitalny boi się jak ognia. — P. Dworski, oficyał pocztowy, lubiał zanadto karteczki i dziewczeczki, hołdując tym boginiom, nie miał czasu obliczać ściśle pieniędzy pocztowych i zabrakło mu ich; kilkanaście tysięcy; protekcya p. Pohlberga, którego jest kuzynem, osadziła go tu na dyecie szpitalnej: obdarł się przez czas śledczego aresztu, wynędzniał, stracił zdrowie, posadę, mająteczek odziedziczony po ojcu, reputacyę, lecz została talia kart, którą jak szkaplerz nosi na piersiach: cóż kiedy już niema głupich powstańców, którychby można zgrywać. — P. Wszelaczyński, magister chirurgii i doktorand medycyny, wykapany braciszek p. Leona, tylko mniejszy i nie czupurny jak p. Leon, lecz wstydem przygarbiony, a więcej jeszcze może nędzą; żadnej bowiem niema tu w szpitalu ulgi, p. Leon nawet nigdy o niego się nie zapytał, on sam zaś nic niema, a tu zadarmo ulgi nie otrzymasz. Znajduje się on też w szpitalu, nie przez protekcyę, lecz istotnie jako chory, ma niemiecki żołądek, jak dr. Ziembicki mówi, ledwo włóczy nożętami, a jeszcze się nim wysługują. Obok szpitalu jest mały ogródek, w którym prócz kilkunastu kasztanów i akacyi są także i rośliny apteczne przez p. Tangla zasadzone, lub zasiane; Wszelaczyński pełni więc w tym ogródku funkcyę dyrektora ogrodu botanicznego: struże deszczuleczki, maluje na czarno, a wyżebranym u lakierników białym pokostem wypisuje nazwy botaniczne i polskie znajdujących się w tym ogródku skarbów, nie opuszczając nawet wierzby, która z wbitego tam kołu wybujała.

Na laboratorium służy mu altanka ogrodowa, w której cały boży dzień przesiaduje nad powyższą robotą lub nad szukaniem po książkach botanicznych, stosownych nazw polskich. Jest to zresztą cichutkie, nikomu niezawadzające stworzenie — chodzi jak cień pomiędzy drzewa i krzewy, obcina, przywiązuje, ogartuje, podpira powierzonych mu pupilów — teraz zbiera nasiona z traw i chwastów, kopertuje je i zaopatruje napisami, trzęsie się nad nimi jak sknera nad rulonami złota i zdaje się byłby tu szczęśliwy, tylko że mu głód dokucza: szpitalną porcyą którą okrawuje liwerant, kucharze i krumfotry, trudno się najeść; cóż dopiero pół porcyą, a biedny botanik jako chory na żołądek, zostaje na pół porcyi. Do pomocy w zarządzie tego ogrodu botanicznego, mianowicie utrzymywania ścieżek, zamiatania takowych, podlewania i zaopatrywania wodą basenu, bo jest tu i basen dla roślin wodnych, wkopany w ziemię stary cebrzyk, służy Wszelaczyńskiemu stary stawniczy z Czerlan; zastrzelił nieboraczysko na stawie jakiegoś korsarza, zamknęli go za to do Brygidek, a p. Tangel przy sposobności jakiegoś czyraka obciął mu rękę; szczęście, że lewą, inaczej nie mógłby był pełnić terazniejszej swej funkcji. Dlaczego zaś właśnie stawniczego zrobiono pomocnikiem ogrodniczym, czy dla tego, że w ogródku jest staw w cebrzyku?

Należałoby, opisawszy tutejsze społeczeństwo, wspomnieć i o rządzie, to jest zarządzie; lecz o Ryczywole zamilczeć wolę. Rząd wszędzie rządem.

**5. Października.** Właśnie temu rok, to jest dwanaście miesięcy, czyli pięćdziesiąt dwa tygodnie, czyli trzysta sześćdziesiąt pięć dni, gdy mi p. Kraus czytał wyrok sądu wojskowego wyższego, potwierdzający wyrok pierwszej instancji. Trzysta sześćdziesiąt pięć dni! to łatwo napisać, ale przeżyć w więzieniu! Och, ciężki to był dla mnie rok i pod innym względem, to też poświatałem mocno, a zmartwienia choć tłumione, dość czytelnymi na twarzy odbiły się hyroglifami. Lecz mniejsza o to: przeboleło! — ale jak dziwnie zobojętniałem: zdaje mi się, że gdyby mi dziś oznajmiono, że wolny, nie uderzyłoby szybciej tętno, nie zakolałoby serce mocniej: Czytam w gazecie, że Tarnowski, Haller, Demidowicz, Bystrzanowski, Stadnicki, Dro-

hojowski, Fajrich i Bielański uwolnieni—i czytam to tak spokojnie, jak gdyby to było jakieś doniesienie o Szleswiku lub Holstynie, a przecież serdecznie kocham Tarnowskiego i Hallera, a przecież w ogólności cieszyć się powinienem z uwolnienia biednych kolegów! Mówią, że szczęście robi człowieka nieczułym na cierpienia drugich; miałyżby cierpienia robić go nieczułym i obojętnym na szczęście drugich?

Ciężkie to brzemie każdy zaszczyt: a przecież ludzie tak się oń dobijają. Niechżeby sobie ci dźwigali ciężar, którzy się o to dobijali; ale ja tu nie pragnąłem żadnego zaszczytu, a dźwigać muszę ciężar. Czapkują przedemną pałkarze, jak przed konsyliarzem i tak mnie tytułują. Czy ich o to prosiłem? Bynajmniej! A złodzieje ile ich tu jest kłaniają się, jak gdybym był conajmniej Folwartrem. I o to nie prosiłem. Tymczasem ten pałkarz ma proces, ów sukcesę, tamten chce awansu, inny znów lęka się kary, a wszystkim ja muszę radzić, pisać prośby, rekursa i supliki, w dodatku nawet dawać sformale i marki pocztowe... Złodzieje zaś wszyscy są niewinni, wszyscy wyrokiem skrzywdzeni, męczą mnie opowiadaniem swych procesów i prośbami czy nie ma ratunku.

Tak dziś złapał mnie jakiś żyd marmorejny, gdym na nie-szczęście moje poszedł na główny dziedziniec przypatrzeć się płótnom, które tam blichują. Chciał się poradzić, czy nie mógłby żądać odnowienia procesu; jest jak twierdzi niewinnym, chociaż przysiągł fałszywie i za to został skazany. Przysiągł fałszywie dla trzystu reńskich, a jest to żyd mający krociowy majątek; był znakomitą personą w swej okolicy, ma żonę i dzieci, które jak mówi bardzo kocha, nareszcie człowiek, którego o owe 300 fl. skrzywdzić zamierzał, był jego przyjacielem — więc reputację, honor, miłość, przyjaźń, wszystko poświęcił dla 300 fl. Może mu tych 300 fl. potrzeba było, by zaokrąglić mająteczek do stu tysięcy... A czemu jest miłość, przyjaźń, cnota, honor, życie, nieśmiertelność w porównaniu ze stu tysiącami reńskich? Niczem, zupełnie niczem. Nad sto tysięcy niema już nic wyższego, chyba drugie sto tysięcy i tak dalej. Mając sto tysięcy, zaczyna się dopiero być człowiekiem, przedtem życie, świat, cel duchowych dążeń — słowem wszystko jest pustem, próżnym, jałowem.

Mój krzywoprzysięzca trudnił się, jak wnoszę z jego opowiadania głównie lichwą. Lichwa, to sposób pomnażania, a pomnażanie jest prawem natury; zwierzęta i rośliny mnożą się, monarchowie nazywają się mnożycielami państwa (Mehrer des Reiches), uczeni nawet pomnażają wiedzę; najszlachetniejszym zaś rodzajem pomnażania, jest pomnażanie pieniędzy! Pieniądz dopiero przez pomnażanie, dostaje swe wielkie, szczytne znaczenie, a lichwa jest kwiatem wszelkich pomnażania pieniędzy rodzajów!

Jeśli na ludziach spostrzegamy właściwości niektórych zwierząt, jeżeli n. p. u księży czuć się daje coś z wilczej natury, jeżeli dyplomaci podobni do lisów, a doktorowie medycyny i redaktorowie z ovcami zdają się być spokrewnieni, jeśli profesorowie mają coś oślego, a porucznicy koguciego, to w duszy lichwiarza coś z natury pijawki, pajaka i wampira.

Lichwiarz zapatruje się na ludzi w odrębny całkiem sposób; ludzie to u niego cytryny, które uważnie ogląda rozważając, ile z tej lub z owej wydusiłby się dało. Lichwiarz wyszedłszy na ulicę i przypatrując się ludziom, poznaje z ich fizjonomii ile procentów który wart. Marnotrawcy mają twarz wesołą, jeśli są młodzi to warci 100 procent. Jeśli paniczek umizga się do śpiewaczki, to da 150%; jeśli stary ma łysinę a zerka do łoża baletniczki, to można od niego wydoić 200 a nawet więcej procentów; geniusze zaś jeszcze więcej dadzą, bo ci karmią się „wielkimi“ ideami i niedbają o „głupi“ pieniądz.

Do grzechów dziedzicznych cywilizowanej ludzkości należy „ambaras pieniężny“ i „robienie długów“. Potrzeby ludzi ucywilizowanych są bardzo rzadko w zgodzie z obliczeniem czasu i z finansowym ich przyływem i odpływem. Jeśli więc ich studnia wyschnie, biedaki te muszą brać z kądinąd wodę, by potrzeby swe zaspokoić; a kąd je wezmą, jeśli nie od tych, których studnia skutkiem dobrze obliczonej oszczędności zawsze jest pełną. Ci więc wypożyczają tamtym swą wodę, a chcąc się zabezpieczyć, że ją odbiorą napowrót, że nawet wtedy nie poniosą straty, gdyby jeden lub drugi z pożyczających nie oddał, muszą naturalnie odbierać od tych, którzy oddają, w dwójnasób, w trójnasób nawet jeśli można. Otóż tę mądrą oszczędność, tę zabiegliwość o zabezpieczenie siebie od możliwych strat, tę dbałość o zachowanie siebie samego, co jest przecież obowiązkiem —

nazywa świat pogardliwie lichwą! A cóżby ci głupcy, którzy nie umieją szanować pieniędzy, robili, gdyby nie było lichwiarzy? Ludzie ci zapomocą lichwiarzy zaspakajają swe prawdziwe lub urojone potrzeby; lichwiarze więc są ich dobrodziejami. Wyświadczają oni im prócz tego dobrodziejstwo, odbierając im zbytek, jeśli się tenże u nich czasem pokaże; lichwiarze robią ich więc ubogimi i ochraniają ich tym sposobem od niejednego głupstwa, któreby splełali będąc zamożnymi, słowem doprowadzają ich z czasem do porządku, rozsądku i oszczędności, umoralniają ich. Z czego wynika, że lichwiarze są ludźmi nie tylko rozsądnymi, ale i religijnymi. Że są zdziercami ludzi, to nie prawda, albo i tyle prawda, o ile wszyscy ludzie są zdziercami drugich; możni pędzą swych poddanych na wojnę, nędzę i śmierć — ksieże swe owieczki do piekła, adwokaci swych klientów do procesów, oficerowie swych żołnierzy pod różgi i pałki, profesorowie swych uczniów pod brzemie uczonej gmatwaniny, — pleć piękna mężczyzn do czyśca małżeńskiego, krótko mówiąc życie jest jednym żdzierstwem, jedną katownią, a w niej lichwiarze postępują jeszcze najszlachetniej. Lichwiarz nikogo nie zmusza, by do niego przyszedł; ludzie przychodzą do niego dobrowolnie i dobrowolnie dają się zdzierać, że potem żałując swe dzieciństwa, próżnostki lub szaleństwa, plotą coś o sumieniu, ludzkości, litości i tem podobnych nedorzecznościach, na to człowiek rozsądny zważać nie może, bo te nedorzeczności nie przysparzają majątku, cnota ma przecież być także bogactwem, czemuż się ludzie nie kontentują nią, lecz pragną także pieniędzy? Zasady, które się stosują do cnoty, do cnoty po prostu mówiąc, nie mogą być żadną miarą stosowane do cnoty pieniężnej, dlatego takie graty jak sumienie, ludzkość i litość, muszą przy sposobie w jaki się lichwiarz na życie zapatruje, uważane być za niestosowne, niepraktyczne, śmieszne.

Coby się n. p. stało z dukatami lichwiarza, gdyby się chciał wdawać z litością i tem podobnem? Za całą litość kuli ziemskiej nie dostaniesz jednego dukata, za dukaty dostaniesz wszystkiego! A więc niech żyje lichwa! Ona błogosławi skrzętności ludzkiej, jak Bóg błogosławi skrzętności pszczoły. Pszczołka zbiera miodek z niejednego kwiatka; lichwiarz wydusza pieniądz od niejednego niepokażnego biédaka, jak pszczoła miód, tak on

pieniądze składa do komórek, aby w nich się wyrabiał i po-  
tężniał; a jak pszczoła pracowita, pewnem pszczołom, które się  
trutniami nazywają, pożyczając ze swego zapasu, bierze w zastaw  
ich życie, tak lichwiarz postępuje z tymi ludźmi, którzy z jego  
zapasów pieniężnych czerpią.

Pieniądz w rękę słabych jest rzeczą bardzo niebezpieczną;  
on ułatwi namietnościom zaspokojenie swych chuci, podkopuje  
umiarkowanie i zdrowie, przemienia cnotliwego w występnego.  
Tylko roztropna ręka lichwiarza umie zarządzać pieniędzmi mą-  
drze i dobroczynnie, tak jak na to zasługuje ten najpiękniejszy  
dar Boży. Dlatego lichwiarze, chociaż na nich nie jeden wymyśla,  
są właściwie dobroczyncami ludzkości, jeśli są głuchymi na skargi  
i westchnienia tych, których grabią, jeśli się nie dają wzruszyć ani  
łzami żon, ani kwileniem dzieci — to dzieje się to tylko dla do-  
bra ludzkości. Człowiek osadzony w więzieniu za długi, może  
się tam zastanowić, czynić uwagi nad podprzednim życiem,  
robić przedsięwzięcia na przyszłość i z czasem jeśli odzyska wol-  
ność, stać się porządnym człowiekiem...

Lichwa jest szczytnym wynikiem prawideł natury ludzkiej,  
zdolności obrachowywania i użytkowania, którą człowiek przez  
naturę obdarzonym został. Ludzka dążność do produkowania  
i konsumowania musi się kontentować w pewnych indywiduach  
dla dobra innych. Lichwiarze zbierają i przez swą skrętność są  
w stanie dawać tym, którzy nie umieją lub nie chcą zbierać;  
lichwiarze, jak rzekłem, są pszczołami, a pszczoły muszą istnieć,  
tak chce porządek przyrody; lecz cóżby się stało z tym porząd-  
kiem, gdyby wszystkie owady chciały być pszczołami? Zostałby  
zwichniętym i wszystkoby runęło; tak też w świecie ludzkim  
muszą być ludzie, którzy zbierają i tacy, którzy nie zbierając  
muszą szukać u tamtych pomocy i wsparcia.

Bóg sam zresztą ustanowił lichwę na ziemi. Już w starym  
testamencie pobożni patryarchowie i święci mężowie nią się tru-  
dнили, w ich ślady poszli potem królowie i ojcowie święci, po-  
bożni kapłani kościoła, uświęcali nawet to szlachetne zatrudnienie.

Wszystkie te myśli nastęrczyła mi rozmowa z moim lichwia-  
rzem; bo też mój lichwiarz zdaje się być niepospolitym człowie-  
kiem! Jakże bogatem jest życie ludzkie w piękne i wzniosłe rysy,  
do jak wielostronnego zdolne jest zapatrywania się, jak ono wskrós

miłością i dobrotliwością jest przepelnione, jak świetnie w niem tryumfuje zacność człowieka, jak głęboko prawa jego święte w każdej wyryte są piersi i w jak różnorodny sposób człowiek wzniosłe swe wypełnić może posłannictwo! Och, zaiste można z dumą uderzyć się w piersi i radować się, że się jest człowiekiem! Jest coś dziwnie uszczęśliwiającego w samopoznaniu człowieka, w jego poczuciu człowieczeństwa, w tem wspaniałem przeświadczeniu, że się jest na podobieństwo boskie stworzonym, że wszystkich ludzi spokrewnione z boskimi przejmują uczucia, że wszystkimi powoduje miłość braterska... Jeżeliś nie podziwiał dotąd majestatu natury ludzkiej, zrób znajomość z lichwiarzem, a zostaniesz przejęty takim ubóstwieniem natury człowieka, że gotowyś przestać chwalić Stwórcę i upaść na kolana przed stworzeniem...

Jest to stara jak świat prawda, że jak z jednej strony charakter i zwyczaje narodu odzwierciadlają się w jego urzędnikach, tak z drugiej strony urządzenia państwowe, chociażby narzucone, jeśli dłużej trwają, wpływają na zwyczaje narodu, niemi rządzonego. Polska nie miała biurokracyi, a dziś po stu niespełna latach obcych biurokratycznych rządów, jesteśmy tak przesiąknięci biurokratyzmem, że możemy pod tym względem iść w zawody z Niemcami i Moskalami. Że tak jest, mimo narzekań z naszej strony na biurokratyzm, mimo sarkazmów jakie z tego względu nieustannie miotamy na rządy niemieckie i moskiewskie przekonać się można z czynności naszych administracyjnych podczas ostatniego powstania.

Czy wyższe wykształcenie polityczne wskutek dozwolonych nam w roku 1848 jakich takich swobód, czy też okoliczności, że od czasu Dyplomu październikowego, słowo „Autonomia“ stało się hasłem ogólnem w kraju naszym, dość że i podczas powstania żądaliśmy dla kraju naszego autonomii, i aż do końca lipca 1863 mimo krzyku przeciwników, mimo tysiącznych przeszkód z ich strony, zachowaliśmy Galicyi autonomię w obec rządu narodowego warszawskiego, pod względem wewnętrznej kraju organizacyi, zgromadzenia zasiłków i szafunku temi.

Organizacya nasza była czysto obywatelską, polegającą na zaufaniu publicznem, urzędnicy organizacyi nie byli wprawdzie

12  
11

wybierani w ścisłym słowa znaczeniu przez współobywale, to bowiem było niepodobnem, lecz gdy urzędnikami mianowano albo takich ludzi, którzy już poprzednio do jakiejś publicznej czynności przez współobywale wybrani byli, a więc zaufanie ich oczywiście posiadali, albo z ogólnego wzięcia znani, po zamianowaniu milcząco uznawani byli, przeto śmiało rzecz można, iż byli to urzędnicy obywatelscy. Nikt też za swe czynności nie pobierał płacy, dlatego każdy grosz obracano na broń, amunicyę i przybory wojenne. Nie było także żadnej pisaniny, bo przy ogólnem zaufaniu, kontrola była zbyteczną. Być może, że przy takim obywatelskiem traktowaniu rzeczy, machina nie szła jak zegarek, ale szła i szła cichutko, być może, że oddziały pomocnicze, które organizacya wysłała, nie miały powierzchowności wedle sztuki wojennej przepisanej, nie mundurowano bowiem oddziałów, dawano odzienie tylko tym, którzy nie mieli swej odzieży, każdy też szedł w czapce jaką miał; ale koniec końców oddziały te wychodziły rażnie jeden po drugim, jak na oddziały partyzanckie wyglądały dość dobrze, a biły się jak mogły. I to prawda, że pieniędzy nie wpływało tylę ile organizacya pragnęła, lecz zawsze wpływały.

W sierpniu 1863 r. po uwięzieniu tych członków komitetu, którzy rozumieli dla czego obstają przy autonomii organizacyi krajowej i mieli odwagę stawać w jej obronie, zwyciężyli centraliści. Centralistami byli ludzie, którzy przed powstaniem krzyżeli na centralizacyę i dziś po upadku powstania przeciw niej występują. Jest to nowy dowód, że mimo wiedzy naszej, przejęliśmy się zasadami rządowemi najeźdców naszych. Że zaś centralizacya bez biurokratyzmu przeprowadzić się nie da, więc stało się i podczas powstania, że kraj nasz pod rządem centralistów zalany został biurokrcyą i to tak misternie zorganizowaną, że zasłużyliśmy sobie na świadectwo dojrzałości od Niemców i Moskali.

I tak rządził Galicyą rząd narodowy z Warszawy przez swych komisarzy z Kongresówki lub z zabranych krajów nasyłanych, nie ufając tutejszo-krajowcom, a może i dlatego, że rządy moskiewskie i niemieckie zwykły nam nasyłać obcych namiestników. Komisarz odbierał od rządu centralnego instrukcyę w najdrobniejsze szczegóły wchodzące, częstokroć do naszego



kraju zastosować się nie dające, tak samo jak namiestnicy niemieccy i moskiewscy otrzymują swe instrukcyje z Wiednia i Petersburga. Komisarze ci aczkolwiek „pełnomocni“ nie mogli nic na swą rękę przedsiębrać, co w instrukcyjach nie było przewidzianem, lecz musieli zasięgać upoważnienia z Warszawy, dokąd w ogólności o wszystkim musieli zdawać raporta, kubek w kubek jak namiestnicy rządów najezdycznych, lecz prócz szkodliwości jaka wogóle towarzyszy takiemu postępowaniu, u nas przyczyniało się i to złe jeszcze, że raporta komisarzy powierzone czasem rękom niedyskretnym lub lekkomyślnym dostały się tam gdzie nie były przeznaczone, skąd wyjaśnienie wszystkich naszych tajnych czynności i zamiarów przed wrogami.

Pod rozkazami komisarza rządowego i pod jego prezydencją stał „Wydział rządu narodowego dla Galicyi“ wyszły wprawdzie z wyborów, lecz pod wpływem komisarza i jego agentów. Wydział był to rodzaj Bajrathu p. komisarza, nic też o jego czynnościach nie było słyhać przez cały czas istnienia jego. Pod tym niby to Wydziałem, a właściwie pod komisarzem, stali okregowi, których było trzech na Galicyę; dwóch przysłał Rząd narodowy z Warszawy, aby zorganizowali okręgi swe podług mody jak zorganizowane były województwa w Kongresówce; ci mianowali naczelników obwodowych i powiatowych, skarbników czyli poborców podatku narodowego, kontrolorów i egzekutorów. Każdy z tych urzędników miał pisemną instrukcyę i pisemne musiał składać raporta, miał swą pieczęć, a Rząd narodowy, przepisał był nawet pewne dla urzędników organizacyi narodowej uniformy i rysunki takowych przysłał już był do kraju! Było więc wszystko po formie: pieczęcie, registry, buchalterye, miały nawet być uniformy; jednej rzeczy tylko nie było — pieniędzy. Płacono, jak długo ufano; jak przestano ufać przestano płacić. Nie ufano zaś częścią, niektórym narzuconym urzędnikom, częścią głównemu zarządowi, składającemu się z ludzi zupełnie krajowi nieznanym — nareszcie obawiano się owych raportów, które każdego płacącego zaprowadzić mogły do kozy.

Miasto Lwów jako stolica otrzymała swoją odrębną organizacyę, na wzór Warszawy. Przysłano tu organizatora z Warszawy, Ciechińskiego recte Zieńkowicza, który ustanowił naczelnika miasta (Armatys) dodał mu pomocnika (Wiedman Karol)

i sekretarza (Błotnicki), miasto podzielił na pięć sekcji i nad każdą sekcją postanowił wydział składający się z naczelnika i sekcyjnych, naczelnik każdy miał swego zastępcę i sekretarza: n. p. Wodyński, Kalicki, Wędrychowski.

Naczelnicy sekcyjni musieli odnosić się we wszystkim do naczelnika miasta, a temu rozkazywał organizator, który znowu odbierał polecenia od komisarza rządowego. Urzędnicy miejsy byli prawie wszyscy płatni, tak n. p. Wiedman pobierał 100 złr. miesięcznie, organizator oczywiście miał dyety, bo wszyscy urzędnicy Rządu narodowego, pobierali takowe. Po uwięzieniu Ciechińskiego, chociaż miasto było już od dawna zorganizowane, przysłano z Warszawy innego organizatora w osobie Mianowskiego, który miał tak doskonałe wyobrażenie o naszym kraju, że dostawszy się potem do więzienia pytał mnie: „czy tu mieszkają Rusini odrębnie, czy też pomieszani z Galicyanami?“ Zwolennicy centralizacyi utrzymują, że miasto było doskonale zorganizowane, że wszystko szło jak w zegarku. Wierzę! ale i to pewna, że z 50 tysięcy złotych, które miasto Lwów złożyło od czasu uwięzienia Ciechińskiego t. j. grudnia 1863 r., na rzecz powstania nie poszła ani jedna złotówka: wszystko poszło na organizację! To coś także tak, jak się zwykło dzieć pod rządem austryackim i moskiewskim, naród płaci podatki na utrzymanie biurokracyi...

Prócz tej organizacyi miejskiej, istniała we Lwowie zorganizowana policya. Dyrektorem policyi miasta Lwowa został mianowany Torczewski, akademik kijowski — po jego uwięzieniu Pawlikowski, pomocnikiem do szczególnych poruczeń był Bogdanowicz, byli prócz tego komisarze sekcyjni i kilkaset ajentów, po większej części młodzież szkolna, która wstępując tym sposobem w „służbę cywilną“ uwalniała się od obowiązku służenia w oddziałach. Wszyscy urzędnicy policyjni byli płatni, a prócz Bogdanowicza, którego zadaniem było dowiadywać się co się dzieje w namiestnictwie, w prokuratoryi i policyi austryackiej — wszyscy inni szpiegowali swoich. O wszystkim zdawano oczywiście raporta, które dostając się do rąk władz austryackich, pokompromitowały tysiące ludzi, a mianowicie dużo ces. urzędników, o których politycznej opinii „dobre“ znajdowało się w owych raportach poświadczenie. Naczelnik policyi czyli dyrektor, zo-

stawał pod bezpośrednimi rozkazami komisarza rządowego i jemu znów zdawał raporta, które tenże od czasu do czasu posyłał do Warszawy, tak że czego nie złapała policya austryacka, to łapała moskiewska — ale za to „policya narodowa“ była porządnie zorganizowana.

Obok tych rozmaitych biurokratycznych cywilnych maszyn, utworzono organizację wojskową. Galicya miała dwóch „Organizatorów“ jednego w Krakowie, drugiego we Lwowie; lwowskim organizatorem w ostatnich czasach był Sawa. Że organizator miał swoją kancelaryę, to się przez się rozumie; po prowincyi miał swych komisarzy broni, intendantów, komendantów placu po większych miastach, swych kuryerów i żandarmów. Wszystko to pisało raporta, jeździło po kraju i brało pieniądze. Organizator stał pod rozkazami Rządu narodowego, a pośrednio komisarza, jeśli mu się tak podobało.

We Lwowie istniały dwa urzędy wojskowe: Wydział uzbrojenia (dawna komisya exped.) i Komenda placu.

Pierwszy był poniekąd urzędem mieszanym, wojskowo-cywilnym — zostawał się pod rozkazami i organizatora i okręgowego — musiał więc wysyłać raporty i tu i tam, nastawiać się i wojskowem i cywilnem władzom, to też cały, jak był od najwyższego do najniższego urzędnika, dostał się do kozy; ale porządnie był zorganizowany.

Komendantem placu we Lwowie był Wjedmann Oswald, miał pomocnika i sekretarza i 180 żandarmów, którzy pełnili policję wojskową we Lwowie. Stał pod rozkazami organizatora, a gdy miał nieustające stosunki tak z organizacją miasta, jak też policją cywilną do czynienia, więc papier i pióro było w robocie: wszystko się bowiem odbywało porządnie: był protokół podawczy, protokół expedycji, etc. z naczelnikiem miasta lub dyrektorem policji znoszono się pisemnie, a organizatorowi zdawało się jak najregularniej pisemne raporta. Instytucya ta była płatną; chcąc bowiem, by urzędnik pełnił „porządnie“ swój obowiązek, trzeba go płacić: taka była maxyma rządzących Galicyą. I może mieli słusność, bo obywatel służący sprawie li z przekonania a nie za pieniądze, nie będzie utrzymywał protokołów etc. i pisywał raportów, dlatego tylko, że to „porządnie“. Było więc wszystko bardzo porządnie; cóż kiedy mimo mundurów z wy-

łogami, czapek z wypustkami, mimo intendantów i komend placu, nie wysłano jednego oddziału, wyjąwszy Komorowskiego pod Poryck, bo przecież nie można powiedzieć, że oddziały Sienkiewicza, Aladara i Rochbruna były wysłane za granicę; cóż z tego porządku, kiedy większa część tych pospółsywanych, ponumerowanych, a przez 7 miesięcy porządnie rozlokowanych ochotników doczekała się spokojnie stanu oblężenia, a potem jeśli się nie dostała do więzienia austr. to poszła za granicę w emigrację! A było tych ochotników w samej wschodniej Galicyi blisko 8000, a dla wszystkich była broń, były mundurki i czapeczki... robiono wszystko „porządnie“, posortowana broń i te „porządnie“ poszyte mundury dostały się w ręce Austryaków, a z nimi pod śledztwo wszyscy obywatele, którzy broń tę i mundury wozili, przechowywali, powstańców karmili, słowem sprawie narodowej za darmo służyli. Panowie komisarze, organizatorowie i okręgowi jako obcy, wynieśli się.

Niema zdaje się dokuczliwszej choroby nad połkniętą przyprawę, albo udławi, albo nabawi takiego pragnienia, że wygadać się gdzieś koniecznie potrzeba, inaczej rak miłości własnej, nigdy się nie zagoi...

Francuscy pacyenci pojechali tedy do Szwajcaryi na kurację, na kongres berneński i doznali wielkiej ulgi, naskarżywszy się przed cudzoziemcami na niedolę swojego kraju. W liczbie tych pacjentów był także znany przedstawiciel ludu Jules Simon, lecz lud nie kontent tym razem ze swego przedstawiciela: „Ujmij się u siebie, a nie za granicą; tu gadaj, tu działaj, tu poprawiaj, jeżeli wiesz jak poprawić; ale przed obcymi wara odkrywać słabe strony Francyi! Przed obcymi twardo stój i Francyi broń, chociażby jej słusznie co zarzucano“. Tak lud francuski odpowiada temu, kto za granicą brudy domowe pierze. Czemuż tak wszyscy patryotyzmu nie rozumieją! Gdybyśmy naśladowali Francuzów, Anglików w tym względzie, nie rozkładalibyśmy, jak to emigracya nasza niestety czyni, brudów naszych przed zagranicą, która nam dała przytułek, lecz jak jeden mąż stawalibyśmy w obronie honoru narodowego i zamiast politowania, a w najlepszym razie wytartego frazesu, zwietrzałego współczucia, zdobywalibyśmy sobie szacunek...

Powiedziałem gdzieś, że niema niewdzięczniejszej istoty nad lud. Jakże z tem zdaniem pogodzić uchwałę tutejszej Rady miejskiej z 5 t. m. Nie cofam zdania; bliżej bowiem przypatrzysz się tej sprawie, pokazuje się, że bodźcem tej uchwały była próżność, chęć zaprodukowania się patryotyzmem. Gębarzewski wnioskodawca deputacy za mojem uwolnieniem i rehabilitowaniem, był u mnie tegoż samego dnia w południe; gadaliśmy o różnych rzeczach, bo od czasu uwięzienia po raz pierwszy widziałem się z tym kolegą szkolnym, ze szkół jeszcze normalnych. O wniosku owym mowy nie było. Nazajutrz po obiedzie Verwalter wezwał mnie do kancelaryi i pokazał mi sprawozdanie „Gazety Narodowej“ o wniosku Gębarzewskiego i jednomyślnej uchwale Rady miejskiej wysłania deputacy do N. Pana z prośbą o darowanie mi reszty kary i rehabilitowanie, abym mógł przy nadchodzącej kadencji Sejmu zasiąść w nim napowrót jako poseł miasta Lwowa. Wiedząc, że Rodakowski wszelkimi siłami stara się zostać posłem na mojem miejscu, wiedząc że Armatys i Piątkowski także do tej aspirują godności, nie mogłem pojąć tej uchwały. W sobotę t. j. 7-go kazano mnie przez Helenkę zająć, kogo sobie życzę mieć w tej deputacyi, mianowicie z inteligencyi, Rodakowskiego czy Rayskiego? Inter duo mala mimus eligendum, oświadczyłem się więc za Rayskim, nie chcąc względem Rodakowskiego żadnych zaciągać zobowiązań się.

*Helenka*

Odwiędził mnie też zaraz w poniedziałek Rayski, niby dla zapytania się, czy sobie życzę, aby on mając względy u księcia Marszałka, napisał do niego, prosząc go, by wyjednał w Wiedniu pozwolenie na przyjazd tej deputacyi, gdyż zdają się zachodzić pewne w tym względzie trudności. Niechcąc i u księcia Marszałka zaciągać zobowiązań, a bacząc przytem na stosunki zachodzące między nim, a Rodakowskim ubiegającym się o poselstwo na mojem miejscu, prosiłem Rayskiego, by tego nie czynił, a zauważywszy z mowy jego, że Rada miejska już teraz w kłopotcie i zdaje się żałować szlachetnego za mną wystąpienia, powiedziałem mu wyraźnie, że ani bezpośrednio, ani pośrednio nie wpływałem na ów wniosek, ani na postanowienie Rady i że nie chciałem, by dla mnie reprezentacya miasta w jakikolwiek sposób skompromitowała się. Rayski wynurzywszy żal, że sprawę tę podniósł Gębarzewski, a nie kto inny poważniejszy, zrobiwszy

mi przytem przyjacielską wymówkę za to, że się dostałem do kozy i przyznawszy w końcu, gdym mu przedstawił, że w tem nie moja wina, iż do uwięzienia mego przyczyniali się na wyścigi i swoi i wrog, pożegnał mnie po serdecznem uściśnieniu. Tegoż samego dnia po południu odwiedziło mnie trzech tutejszych obywateli, dobrych mych przyjaciół. Mówiliśmy naturalnie o posiedzeniu Rady miejskiej z 5. t. m. i o tem co ztąd za korzyść dla mnie wyniknie i dowiedziałem się jaka była genesis owej uchwały i jakie wogóle zrobiła wrażenie. Przyjaciele Armatysa i Piątkowskiego uradzili zrobić na ich korzyść demonstracyę i uprosili Gębarzewskiego, by zrobił wniosek wysłania do N. Pana deputacyi z prośbą, aby przy zbliżających się wyborach do Rady miejskiej przywrócił prawa polityczne byłym radnym Armatysowi, Bałutowskiemu i Piątkowskiemu. Gdy nad tem radzą, jak to przeprowadzić, zbliżył się radny Miłurzewski i dowiedziawszy się o co rzecz idzie, odezwał się, że to bardzo piękny plan, lecz że miasto ma swego posła w więzieniu, że poseł ważniejszy niż radny, że panowie radni, o których mowa, są wolni, podczas gdy poseł miejski siedzi w więzieniu.

Myśl ta trafiła natychmiast do przekonania Gębarzewskiego, a że nikt nie oponował, chociaż może jeden i drugi nie zgadzał się, (bo gdzież u nas znajdziesz tyle cywilnej odwagi) więc pękła bomba i wszyscy za wnioskiem powstali, chociaż poczciwy Kroebel chciał go usunąć, by nie dostać bury od p. Summera. Wstali mówię wszyscy za wnioskiem i nie mogło być inaczej, skoro posiedzenie jest jawnem, na tajnem prawdopodobnie byłby inny wypadek rezultat, ale skoro rzecz mogła się dostać do dzienników, niepodobna było narazić się na zarzut braku patriotyzmu; och! bo nasi mężowie stanu bardzo są dbali o opinię publiczną i dlatego nie zwykli zdobywać się na odwagę wypowiedzenia swego przekonania jeśli się obawiają, że opinia mogłaby ich za to potępić. Że mam pod tym względem słuszność, dowodzi następujący fakt; gdy posiedzenie miało się ku końcowi, przysiadł się Rodałowski do Rayskiego i mieli z sobą jakieś rozhowory; po skończeniu zaś posiedzenia Rayski, kochany Rayski, przystąpił do Kroebela z wyrzutem: „A jak pan mógł dopuścić taką uchwałę!“ Panie — odrzekł mu Kroebel, ja zrobiłem co było mojem obowiązkiem, zarzucając, że wniosek nie podany na

piśmie, jak to przepisuje regulamin i żądając by był odesłany do sekcji, czemuż pan mnie nie poparł, czemuś pan nie zabrał głosu? Wszak pan równie jak wszyscy inni wstałeś za wnioskiem, a teraz mnie robisz wyrzuty“. Ręczę że takich Rayskich było więcej między tymi, którzy wniosek poparli.

Podli tchórze! „Hasło“ dwa razy przedtem ujęło się za mną w artykułach wstępnych, wspominając o mnie zaszczytnie, czuli więc, że chociaż Ziemiałkowski za kratami więzienia, są jeszcze serca co mu są życzliwe i ludzie, którzy mają odwagę uczcić publicznie pamięć jego publicznego zawodu, dlatego nie wystąpili jawnie przeciw mnie, aby ich nie napiętnowało owo pismo, które się za mną ująć odważyło; lecz że krytymi drogami starają się zneutralizować uchwałę Rady, jestem tego jak najpewniejszym. Rodakowski, któremu moja rehabilitacya, a nawet moje uwolnienie przed zebraniem się Sejmu nie może być na rękę, bo wie że jeśli w r. 1861 i 1862 byłem przeciwny jego kandydaturze na posła, to tem silniej teraz po zajęciu z Kaczkowskim przeciw niej wystąpiłbym. Rodakowski więc, który nie może chcieć, aby uchwała Rady skutek odniosła i Rayski, który burmistrzowi robił wyrzuty, że uchwałę tę dopuścił, bo chce zostać posłem lwowskim, jak się dowiedziałem, kompetują o przewodniczenie wysłać się mającej deputacyi, a Marszałek, który oddawna stara się o umieszczenie Rodakowskiego na krzesło poselskiem, ma wyrobić posłuchanie dla deputacyi mającej się udać w takim celu, któryby uniemożliwił wybór Rodakowskiego, gdyby osiągnięty został! Nie źle ułożono, nasi gabinetowi politycy mają spryt jak widać. Poradzili nawet Helenie, by telegrafowała do Stańkiewicza z zapytaniem co się stało z jej prośbą na jego ręce posłaną, to może skompromitować Stańkiewicza i pozbawić skutku nawet prośbę Helenki, niema co mówić: „Nie źli ludzie!“! Ja zostanę w kozie, oni zajmą miejsca moje na świecie, zyskają nową kreskę na dyplom patriotyizmu i będą jeszcze wymagać odemnie wdzięczności za zachód, jaki mieli około wydobycia mnie na wolność...

*Helenki*

Świętojurcy utrzymują, że Polacy gwałtem i przemocą polonizowali Rusinów. Jest to fałsz historyczny; lecz że historię nie wszyscy znają, a cudzoziemcy zwłaszcza z naszą nie są obe-

znani historią, więc krzyki Świętojurtów znajdują wiarę. Niechby tylko w terażniejsze, dla nas tak niekorzystne, wglądnać chcieli stosunki, a ręczę, że inne o przyczynach polonizowania się Rusinów powzieliby wyobrażenie. Polacy bezwiednie takie mają uszanowanie dla narodowości, że ją wykonują z ujmą nawet własnej narodowości; my w własnym naszym kraju pozwalaliśmy Niemcom urządzać się po niemiecku, żydom nawet pozwoliliśmy zostać żydami; dziś nawet, a sami nie wiemy dlaczego to robimy, mówimy do Niemca po niemiecku, do Rusina po rusku, do żyda po żydowsku, Rusin, żyd, zrozumieliby nas, gdybyśmy do nich przemówili po polsku. Zkądże poszło, że Rusini się spolonizowali? Oto Polskość ma nad Ruskością jakąś tajemniczą przewagę do tego stopnia, że Rusin zetknąwszy się z Polakiem przez to samo polonizuje się. Nie chcę tu jako przykład przytaczać, że parobek, lub dziewczka na Rusi, skoro pójdzie na służbę do dworu, w parę niedziel łamie polszczyznę, bo można by to zjawisko przypisać wpływowi dziedzica na służbę, chociaż faktem jest, że dziedzice na Rusi z ludem po rusku rozmawiają. Ale pytam się dlaczego w pułku, który rekrutuje się z Polaków i Rusinów, wszyscy mówią po polsku; pytam się dlaczego w więzieniu brygickiem, gdzie większość jest ruską, wszyscy aresztanci mówią po polsku, dlaczego Rusini, nie tylko między sobą, mówią po polsku, ale i do więźniów bez różnicy czy ci są Polakami, czy Rusinami, polskim przemawiają językiem? Że tak jest, miałem sposobność przekonania się. Hausmajster więzienia, Rusin co się zowie, p. Zazulewicz, ma magazyn swój w piwnicy pod mojem oknem, słyszę go więc od rana do wieczora dającego rozkazy, łającego i radującego się; a nigdy ruskiego słowa z ust jego nie słyszałem. Aresztanci, czy to kiblują, czy koce trzepią, czy drzewo rzną, lub wodę toczą — zawsze po polsku między sobą gwarzą.

Między dozorcami jednego tylko poznałem, który mówi po rusku i tylko po rusku, inaczej nie umie. Stary Zacharko, złotym dekorowany medalem i złote mający serce. Ledwie się sprowadził do Brygidek, gdym usłyszał głos jego: pały dobre, mówił do aresztanta usługującego mnie, bo to dobry pan. Później zagadnął mnie na spacerze: „Jegomoścuniu, ta my znajemo szczo wy newynne terpyte, wyście chotiły dobra dla naridu,



to cały narid płacze za wamy i prosyt Hospoda Bohą, szczybyśty chutko na wilno piszły". Tak mówił niespolszczony Rusin, ale Rusin stary, nie zarążony jadem Świętojurskich apostołów. Inny pałkarz, także Rusin, ale mówiący po polsku, stary Wojtowicz, zaczepił mnie dziś na przechadzce: Hej, hej Jegomościu! cosieście się skulili; czyście wy nie słabi? Nie mój p. Wojtowicz, ale siedzę 26 miesięcy w więzieniu, to mnie skuliło. Tak to świat płaci, rzecze na to Wojtowicz. Bo to proszę Jegomości, to się nazywa bajką, to uczą dzieci w elementarzu, ale to także prawda. To ja-bym to Jegomości powiedział. Mówią ale i to tylko tak, że raz człowiek szedł z lasu z drzewem na plecach i słyszy jęk z pod kamienia. Rzuca więc z siebie drzewo i podnosi kamień, a tu z pod kamienia wyskakuje żmija i nuż dusić człowieka! Człowiek zaczyna się bronić, nie może jej podolać; zaczyna się więc prosić: ja ciebie od śmierci wybawił, którą byłabyś znalazła pod owym kamieniem, który cię gniótł, a który ja podniosł, nie duś więc mnie. A żmija na to: „Tak świat płaci“ — i nuż dalej dusić chłopą. Ha rzecze chłop, kiedy tu idzie o zapłatę, to niech nas kto rozsądzi. Dobrze, rzekła na to żmija, przestała dusić chłopą, lecz nie zeskakując z niego, pozostała mu na szyi. Idzie więc chłop niosąc żmiję na sobie i spotyka konia na ubocznem jakimś pastwisku. Niech nas ten koń rozsądzi, rzecze do żmiji; dobrze mówi ta; i nuż chłop opowiadać koniowi, jak to on wyratował żmiję od niechybnej śmierci a ona go teraz zadusić chce. Mój kochany, odpowie na to koń, ja służyłem memu gospodarzowi lat dwanaście: orałem, włóczyłem, woziłem zboże z pola i na targ, zwoziłem drzewo z lasu na chałupę i paliwo, służyłem dniem i nocą, latem i zimą, a teraz gdym się postarzał, gdy już ciągnąć nie mogę, wypędzono mnie na te chude pastwisko, gdzie ani czem się pożywić, ani przed deszczem schronić się: „Tak świat płaci!“ — A widzisz rzecze żmija i nuż chłopą dusić. Zaczekaj zawołał ten, koń ten musiał u jakiegoś złego służyć gospodarza, szukajmy kogo innego, aby nas osądził. Dobrze, odpowie żmija. Idzie więc chłop dalej i spotyka psa goniącego za myszami na ugorze. Stój, zawołał chłop i dalej mu opowiadać swą historię ze żmija. Mój kochany, rzecze wysłuchawszy pies, ja służyłem przez lat ośm memu panu, w dzień tropiłem zwierza dla niego, w nocy strzegłem jego obejścia przed złymi lu-

dźmi — a gdym się zestarzał, gdym stracił węż do tropienia i kły do kłania, wypędzono mnie z domu, tu na te puste pola gdzie nawet myszy ułoić nie mogę: „Tak świat płaci!” A widzisz, zawołała żmija z tryumfem, że mam słuszność i nuż chłopca dusić. Poczekaj, zaczął tenże krzycheć, wszak w Trójcy prawda, pójdźmy jeszcze do trzeciego sądu. Niech i tak będzie, rzekła żmija, pewna swego. I poszedł chłop dalej i szedł długo nie spotykając nikogo, nareszcie spuszczać się w jakiś wandół, stanął oko w oko z lisem, a pokłoniwszy mu się nisko i pochwalwszy mądrość jego, jął mu opowiadać swe zajście ze żmiją. Gdy chłop skończył, lis ujęty pochlebstwem chłopca, a może mając jakąś zawziętość na żmiję, która zjadając jaja po gniazdach, psuła lisowi polowanie, zresztą któż tam wie, może i z wrodzonej sobie mądrości rzecze: chcąc wydać sąd słuszny, zbadać trzeba wszystkie okoliczności; poprowadź no ty mnie przyjacielu na miejsce, gdzie się ów kamień znajduje. Wraca więc chłop na owo miejsce, a lis nic nie mówiąc, kroczy za nim. Gdy nareszcie stanęli przy owym kamieniu, rzecze lis: a no podnieś to ten kamień; bo może ty mówisz nieprawdę, gdziebyś ty tam był wstanie podnieść taki duży kamień! A gdy chłop zdobywszy sił ostatek, dźwignął kamień, lis zajrzawszy poden, rzecze znowu: to i to nie może być, żeby pod tym kamieniem żmija mogła była leżeć — a połów no się moja przyjaciółko, niech ja zobaczę jak to było; a gdy żmija zeskoczywszy chłopcu z szyi w kłębek się uwiła na miejscu, na którym przedtem leżała, rzecze lis do chłopca: a no nakryj że ją teraz kamieniem, bo ja muszę widzieć jak to było; a gdy chłop kamieniem żmiję przytoczył, rzecze lis: widzę, że wszystko jest jak powiedziałeś, bądź zdrowa przyjaciółko żmijo. Teraz dopiero chłop pojął, do czego to wszystko zdążyło i nuż lisowi dziękować za sąd sprawiedliwy i za wybawienie od śmierci; żądaj co chcesz; rzecze mu, jam dość za-  
możny, nagrodzę sowicie. Nagroda mi się właściwie nie należy, odpowie lis, bo uczyniłem co uczciwość kazała, ale kiedy się sam ofiarujesz z nagrodą, to dawaj mi co dzień po jednej kure, bom ojcem rodziny, żona mi chora, a dzieci drobne, więc jednemu za ciężko całą karmić rodzinę. Ach, jak najchętniej, rzecze chłop, a kiedyż przyjdiesz po kurę? O zmierzchu, odpowie lis, będę przychodził na zagumienko, tam mi co wieczór kurę

uwiązcie do płota. Skłonił się chłop nisko, spiesznie pobiegł do domu, by jeszcze tego wieczora obdarzyć kurę zbawcę swojego. Przyszedł do domu i nuż przed żoną opowiadać niebezpieczeństwo jakie go spotkało, nuż chwalić lisa, który go od śmierci zbawił i nic za to nie żąda jak codziennie kurę! Co — zawołała żona, co dzień kurę, a wiesz ty ile to kur na rok wypadnie? a wiesz, że każda kura półzłotka kosztuje! — Zaczął się chłop skrobać w głowę i jakoś żal mu się zrobiło tych trzystu sześćdziesięciu półzłotków; lecz słowo się rzekło, dotrzymać trzeba, przecież życie, które mu lis wyratował więcej warte niż trzysta sześćdziesiąt kur. Ech, co tam, rzeknie na to żona; byłeś głupi żeś przyrzekł, a dwa razy głupim byłbyś, gdybyś dotrzymał coś przyrzekł w uniesieniu, a więc bez namysłu. Ot wiesz co, straciłeś i tak dzień cały, bo nawet drzewa do domu nie przyniosłeś; mamyć tu żelaza na lisy, przywiążmy kurę w miejscu, w które twój lis przyjsć ma i zastawiwszy tam żelaza ocaleją nasze kury, a za dzień stracony i strach przebyty, będzie skóra lisia. Jak baba rzekła, tak się stało — lis ufny w wdzięczność chłopca, szedł po kurę bez zwykłej ostrożności i wpadł w żelaza, a gdy zaczajony chłop przypadł z kijem by go dobić: zawołał lis żałośnie: „Tak świat płaci!”...

Otóż Jegomość, to tak sobie, jak to mówią tylko bajka, ale to także prawda. Jegomość chcieliście dobrze dla narodu, taj Jegomoście tu zamknęli. Oj tak świat płaci! — Dobranoc Jegomości, niech Bóg miłosierny wyprowadzi was ztąd jak najprędzej... Amen! dodałem.

**Dnia 10-go Października.** Jestem smutny śmiertelnie, znękany, płakać mi się chce i nie mogę, bo łza wysycha nim oko zwilżyć zdołała. Żle to, że łez stworzyć nie można, gdy ich nam potrzeba; przychodzą niewołane, a wtedy świat się z nas śmieje. I na dworze smutno jak w mojej duszy, szare ołowiane chmury wiszą nad ziemią, zima przed drzwiami, trzecia zima, która mam przepędzić w więzieniu! Mówią, że zima ma swe przyjemności, swe piękności, być może, lecz zawsze to pora śmierci, a szczęśliwy kto umiera, gdy ziemia w zieleni i światłem słońca ozłocona... Lecz po zimie nadejdzie wiosna! Nędzna to pociecha. Wszak i nowe stulecie przyjdzie, ale mnie w niem nie

będzie, nawet zmarli znowu przyjdą, lecz ja nie chcę być między tymi co powrócą, bo świat zawsze będzie nędznym, a człowiek co go zamieszkuje nieszczęśliwym.

Cierpienie jednego żywota, wystarczą na jednego człowieka. Wiosna znów przyjdzie. Tak, ale po jutrzni porannej przychodzi noc, po narodzeniu się śmierć, jak ze zgnilizny nowe powstaje życie... Żyjesz, pracujesz, biedzisz się i giniesz, a z prochu twego wyjdzie nowe życie czyje, nie wiesz, lecz nie pragniesz byś ty sam znowu odżył. I wartoż żyć na tym świecie? Szczęśliwsze od nas stokroć zwierzęta, bo one nad tem wszystkim nie zastanawiają się.

Było u nas niedawno jeszcze modą uważać każdego emigranta za wyrocznie, a rozkazy emigracyi za kodeks polityczny i niema się czemu dziwić, że tak było. Po upadku bowiem powstania 31-go roku poszedł w emigracyę kwiat narodu: Rząd, Sejm i czoło wojska, wyszł z kraju jako żywy protest skrzywdzonego narodu polskiego, a stanąwszy na wolnej ziemi zachodu odezwaniami swemi elektryzowali jęczący pod tyranią trzech rozbiorów naród, pismami budzili nadzieję lepszej przyszłości, nawet kłótniami swemi służyli poniekąd krajowi tworząc w nim przez odbicie pewny rodzaj życia politycznego, do którego naród lgnął tem chętniej, ile że prawdziwego życia politycznego zupełnie był pozbawiony.

Wypadki r. 1846 działy, że Galicya zaczęła się trochę lepiej przypatrywać czynnościom emigracyi i brać pod ściślejszy rozbiór to co od emigracyi pochodziło. Nareszcie w roku 1848 stanęła Galicya oko w oko z emigracyą: mnóstwo emigrantów przybyło do kraju, z drugiej strony ułatwienia paszportowe działy, że mnóstwo krajowców odwiedziło Francję i zetknęło się tam z emigracyą. Zetknięcie to rozczarowało kraj i pozbawiło emigracyę uroku, jaki dotąd posiadała. Przekonałiśmy się bowiem, że emigranci nie zdołali z właściwości oświeconego zachodu korzystać, nie uniknęli oni wad jego, a nie przywłaszczyli sobie zalet, wszystko co obce, czy złe czy dobre, zdawało się im lepsze niż polskie, dlatego nie troszcząc się bynajmniej o to co w kraju się działo od czasu, gdy go opuścili, o stanie jego, zasobach fizycznych i moralnych, o usposobieniu

narodu najmniejszego nie mieli wyobrażenia, nawykli do wygórowanych potrzeb wysokiej cywilizacji Zachodu, a nie zdobywszy sobie pracą i nauką środków zaspokojenia onychże, byli po największej części ciężarem Zachodu, ci zaś którzy wracali do kraju, stawali się jego plagą, z powodu bowiem swego pobytu „na missyi“ w pośród ucywilizowanego świata przywłaszczyli sobie rolę mistrzów, o wszystkim decydujących, wszystkiemu chcących przewodniczyć i odmawiających krajowi prawa, nie mówię już stanowienia o sobie, ale nawet wyjawienia zdania, jeśli takowe sprzeciwiało się zdaniu a priori przez emigrację powziętemu choćby najniepraktyczniejszemu.

Od roku też 1848 zaczął u nas coraz bardziej zmniejszać się wpływ emigracji, aż nareszcie wyrobiło się zdanie ogólne, że kraj nie potrzebuje kurateli emigracji, znając lepiej od niej swoje potrzeby. Pojedyncze osobniki, które bądź to z długoletniej nawyczki, bądź z próżności, bądź z chęci przyjścia łatwym sposobem do jakiegoś niby znaczenia, uznawały jeszcze kierownictwo emigracji, nie zasługują nawet na wzmiankę, tem mniej że to byli ludzie po największej części w kraju zdeskretyowani, lub wcale nieznanymi. Tem silniej za to skoncentrował się wpływ emigracji, a mianowicie stronnictwa Mierosławskiego na Litwie i w zabranych krajach. Ztamtąd to w ostatnich czasach emigracja czerpała swe fundusze, ztamtąd werbowała nowych zwolenników i tam, aż do upadku ostatniego powstania, rządziła absolutnie. W Kongresówce miała za sobą Warszawę, mianowicie niższe warstwy jej ludności.

Po upadku ostatniego powstania zasiliły emigrację tysiące uciekających przed rusztowaniem, lub Sybirem i tysiące, którzy uciekli, by nie pełnić obowiązków w kraju, bądź to podczas walki, bądź po jej ustaniu. Podczas procesu Polaków w Berlinie powiedział podobno Gneist, czy któryś inny z obrońców, że emigracja nasza nie jest ani reprezentacją, ani przewodząca, ani szkoła, ani missya, ani armią, lecz nieszczęściem Polski. Czy emigracja słyszała te słowa? Słyszała bez wątpienia, lecz nie usłuchała. Bo czyliż nie chciała się nawet po upadku powstania uważać się za reprezentację narodu, za przewodzącą jego, tworząc w swem łonie „Rząd narodowy“ i przemawiając w sposób w jaki niedawno na obchodzie pamiątkowym Kościuszki

przemawiał Mierosławski przez usta swego wysłannika Skórzewskiego? Zdaje się, że w ostatnich czasach naród dość jasno wypowiedział, że w emigracyi nie widzi swej reprezentacyi, ani swego przewodcy, jest to więc przywłaszczeniem z jej strony karygodne m, jeśli się narodowi za przewodcę narzuca, jeśli w imieniu „Narodu“ przemawia.

Protestem naszym, jak po upadku powstania z 1831 roku emigracya także nie jest; przynajmniej naród nie chce ją za to uważać, cel taki emigracyi wobec coraz większej obojętności, niechęci, a nawet prześladowania jakiego emigracya prawie wszędzie doznaje, zakrawałby więcej na krwawą ironię, niż na myśl poważną; przeciwnie nic bardziej nie depopularyzuje sprawy polskiej jak emigracya, która nie przynosząc Zachodowi żadnej korzyści, wymaga przytułku sprawiającego niedogodności jego stosunkom dyplomatycznym i szuka zarobku niestającego już miejscowej ludności, lub co gorsza żąda wsparcia materyalnego, do którego wzmagająca się ciągle ilość ubóstwa krajowego pierwsze ma prawo.

Mówić zaś o jakiejś misyi wpośród Zachodu jest poprostu śmiesznością; zaiste szczególne to przedsięwzięcie, żeby kraj ubogi w inteligencyę wysłał kilkanaście tysięcy światlejszych swych ludzi do krajów najoświeceńszych w świecie, w celu oświecenia tychże ich kosztem, mimo ich woli, o ich własnych interesach i potrzebach. Każdy naród zna swe interesa najlepiej, a jeżeli kto od kogo, to my raczej od Zachodu czegoś się nauczyć powinni, choćby tylko tej prawdy, że się nigdy od niego żadnej pomocy spodziewać nie możemy. Jak rzeczy dziś stoją, przywrócenie Polski nie leży w interesie żadnego z państw zachodnich, propagowanie więc interwencyi Zachodu przez emigracyę byłoby co najmniej daremne.

Ależ, wołano zawsze i dziś jeszcze wołają: emigracya to szkoła wojskowa, to armia gotowa na każde zawołanie do walki za ojczyznę. Doświadczyliśmy skutków takiego zapatrywania się na emigracyę: dla samej chęci działania prowokowała wybuchy choćby w niestosownej chwili i na niekorzyść kraju, gdy zaś przyszło do wybuchu nie dała nam niestety kadrów jakich się po nich spodziewano, a koszt sprowadzenia był na wszelki wy-

padek większy, niż jej użyteczność, nie mówiąc już nic o niesforności jaką się w szeregach ze szkodą sprawy odznaczała.

Z tego wszystkiego wypływa, że emigracya jest li nieszczęściem Polski, bo nawet ci, którzy oddali się pracy za granicą — a liczba ich nie wielka — straceni dla kraju, osiadają bowiem tam stale i nabytych wiadomości krajowi nie udzielają, albo jeśli wrócą do kraju, to tylko po to, by nawydziewawszy się, odjechać napowrót z biednej i ich wybrednem nawyczkom nieodpowiadającej Polski, której nie mogą przebaczyć, że przez czas, który wystarczył, by z nich zrobić Francuzów lub Anglików, nie stała się Francją lub Anglią.

Czasby już był, by emigracya nasza także uznała, iż jest ona nieszczęściem Polski i że zadaniem jej jedynem jest jąć się za granicą jak najusiłniej pracy, aby jeśli już niema z niej korzystać Ojczyzna, przynajmniej sławę narodu zasłoniła przed zarzutem próżniactwa, natręctwa, żebractwa i śmieszności. Emigracya w Szwajcaryi poszła tym torem, aby tylko wytrwała! O znajdującej się we Francyi emigracyi nie można tego niestety powiedzieć. Świeży list jednego z młodej emigracyi, Botwiny, przekonywa, że młoda emigracya idzie torem starej, chce krajem rządzić, a pracować nie chce. Biedny chłopczysko tak jest przerażony tym stanem swych kolegów, że bez ogródek pisze: „przepadliśmy dla Polski, Ojczyzna z nas żadnej już nie będzie miała korzyści; zły staje się tu jeszcze gorszym, a co było lepszego, to się psuje skutkiem złego przykładu. Sam sobie już nie ufam, dlatego nie będę do Ciebie (do Dulęby) pisywał, bym mimo woli w duszy twej nie zaszczerpił jakiej trucizny, bo nie jestem pewnym czy sam nią nie przesiąknę“...

Tak pisze chłopak poczciwy... i możnaż jeszcze wątpić, że emigracya jest nieszczęściem Polski, kiedy zetknięcie się z nią rodzi w duszy poczciwego powątpiewanie o własnej uczciwości?

**Listopad 1865.** Zdaje się tedy, że wkrótce wybije godzina mego uwolnienia. Pan Mensdorff dotrzymał słowa, podanie Helenki opatrzone sygnaturą N. Pana nadeszło do sądu w celu zdania sprawy. Lekarze więzienni zawezwani przez sąd karny, aby się oświadczyli co do stanu zdrowia mego, potwierdzili, że jestem chory i że w więzieniu ze skutkiem leczonym być nie

*Helenka*

mogę. Zarząd więzienia zapytany o me prowadzenie się, dał mi najprzychylniejsze jak tylko może być świadectwo. Mimo to sąd karny odradzał opuszczenie mi reszty kary.

Referent na miejscu Rechla, który bawi właśnie w Wiedniu, do tej sprawy wyznaczony, aczkolwiek znany z polakożerstwa, oświadczył się za mną, lecz p. Pohlberg przekreślił referat i dał następującej treści zdanie: „Nie zasługuje na łaskę Monarchy, jako zatwardziały wróg porządku i dynastji cesarskiej, po którym się wdzięczności spodziewać nie można i który tem jest niebezpieczniejszym, ile przy niepospolitych zdolnościach, ogromniej używa popularności, tak że jako głowa przyszłego powstania uważany być może“.

Gdybym nie miał tej wiadomości od osoby ze wszech miar wiarogodnej, nie wierzyłbym temu; w zdaniu tem sądu mieści się tyle nieludzkości i tyle głupoty, że tylko sąd galicyjski na coś podobnego zdobyć się może. Dając powyższe zdanie sąd karny wystąpił nie jako sąd, lecz jako policya, jako sąd bowiem powinien tylko na podstawie aktów śledczych orzekać, z aktów zaś śledczych nie mógł wywnioskować o mej nieprzyjaźni do dynastji, bo w całym procesie nie chodziło o dynastję, ani rząd austriacki, lecz o wspieranie powstania przeciw Moskwie wymierzonego. Zdanie owe jest przytem głupie, bo skąd sąd może wiedzieć czy ja będę wdzięcznym lub nie? Zresztą jakie tu może mieć wogóle znaczenie wdzięczność?

Jakim sposobem człowiek prywatny Monarsze może być wdzięczny? Nareszcie orzeczenie to sądu jest w wysokim stopniu barbarzyńskim i okrutnem. Lekarze konstatują, że zginę, jeśli nie będę z więzienia wypuszczonym, sąd zaś odradza cesarzowi uwolnienie moje, jest więc za tem bym zginął, a to dlatego, że jestem zdolnym i popularnym, a nawet prawdopodobną głową przyszłego powstania! Nie pytam się już z kąd sąd wie, że będzie powstanie, z czego wnosi, że będę głową powstania tego problematycznego, ale nie jest to zastanowienia godnem, że w Galicyi uważają sądy, tego za niebezpiecznego, kto ma zdolności i poważanie u współobywateli i że śmia Monarsze doradzać, aby przyczynił się do zabicia człowieka, dlatego tylko, że jako zdolny i przez naród lubiony, mógłby stać się naczelnikiem możliwego jakiegoś buntu?



W roku 1861 slyszalem, że ministerstwo żądało kwalifikacyi posłów i że namiestnictwo zasięgnąwszy rady policyi posłało do Wiednia straszliwą wszystkich niezawisłych posłów klasyfikacyę, w której między innymi poczywy Hölzel był tak kwalifikowany: „Polak, konserwatysta, tem niebezpieczniejszy, bo ma wysokie wykształcenie“. Jeżeli konserwatysta był uznany za niebezpiecznego z powodu swego wykształcenia, można się domyśleć, jak ja tam byłem opisanym. Otóż zdaje się, że p. Pohlberg należał do owej komisji kwalifikacyjnej posłów i że po świeżej porażce jaką wtedy biurokracya otrzymała przez moje wystąpienie w sali redutowej przeciw komitetowi urzędniczemu, do którego i p. Pohlberg należał, musiał mnie nacechować jako nieprzyjaciela dynastyi, indentyfikując oczywiście biurokracyę z dynastją, i że wierny swemu zdaniu opisał mię teraz w ten sam sposób jak wówczas. Ktoby się był spodziewał tego po p. Baronie, tak uprzejmym, tak ludzkim podczas mego śledztwa, że ja sam zacząłem posądzać go o posiadanie serca? Czy p. Baron chciał zarobić owe 5000 zlr., które mu ofiarowano przez Libana, czy też bał się losu nieboszczyka Kuczyńskiego?

W sądzie wyższym cały senat był za mojem ulaskawieniem — tylko nadprokurator Aufenberg w podobny jak Pohlberg sposób się wyrażał, co spowodowało sędziego apelacyjnego Scholza do powiedzenia mu, że to by była zemsta a nie kara, gdyby człowieka, który dla swej słabości i ze względów śledczych zasługuje na uwolnienie, trzymano w więzieniu, dlatego tylko, że występował kiedyś tam przeciw rządowi. Aufenberg nie cofnął swego zdania, uchwałą wszakże stanęła jednogłośnie, by mnie do łaski przedstawić. Łaskawość sądu wyższego pochodzi prawdopodobnie ztąd, że właśnie z Wiednia nadeszło znów zapytanie, czy nie należałoby dać ogólnej amnestyi dla Galicyi i to podobno w sposób łaski, iż mądra głowa odgadnąć zdoła, że w Wiedniu życzą sobie tym razem aby zdanie apelacyi było za amnestją. Podłe komedjanty; lecz mniejsza o to, mnie prztem upiekła się gratyjska.

Nazajutrz p. nadprokurator przy okazji odbierania zarządu domu karnego był i w mojej kaźni i stereotypowym sposobem zapytał, czy nie mam czego do żądania? Nie wiedząc, że sprawa moja już była zreferowana, prosiłem go, by teraz względem

*Aufenberg!*

mego uwolnienia łaskawiej się oświadczył, niż na podanie wiosenne. A — rzecze na to, podanie pańskie było trochę za suche. Nie rozumiem, odpowiedziałem. Pan co tak władasz piórem, mogłeś to podanie przecież inaczej napisać. Ależ panie, rzekłem, ja zanadto szanuję Monarchę, bym mógł sądzić, że go szumnymi skaptuję frazesami; napisałem że jestem chory, że mi grozi niebezpieczeństwo postradania zdolności dalszego zarobkowania, jedyne źródła utrzymania siebie i biednej mej żony i prosiłem z uszanowaniem o opuszczenie reszty kary. Tak i pan nie masz nic Monarsze do powiedzenia jak tylko, że pan jesteś chory? Jestem przekonany o dobrym sercu Monarchy, a dla człowieka z sercem powód ciężkiej choroby jest dostatecznym zdaje się mi powodem; inne powody znajdują się w aktach, tych nie chciałem przytaczać, będąc przekonanym, że je sąd przytoczy, wiedząc iż skazany zostałem za samo podejrzenie i że gdyby nie sprowadzono wyjątkowych sądów, nigdy nie byłbym skazanym. Ale ja, rzecze zniecierpliwiony nadprokurator, nie to miałem na myśli; czemu pan swego sposobu myślenia, Ihre Gesinnungen, nie wynurzył Monarsze? Panie nadprokuratorze! ja sądziłem, że myśli nie wchodzą w zakres postępowania karnego; zresztą jest to wspólnem ludzi nieszczęściem, że innych sądzą podług siebie; ja zawsze odmawiam jałmużny temu, który o nią prosi z ubliżeniem swej godności. — A ja panu moje zdanie powiedziałem — i rzekłszy to, wyszedł p. nadprokurator. Szkoda że już nie istnieje święta Inkwizycya; tamby się przydał p. Aufenberg na oskarżyciela. I my powtarzamy ciągle, że żyjemy pod rządem konstytucyjnym? A czyż taki potwór nadprokurator, który nie lęka się w obec świadków głosić zasadę: że kara lub uwolnienie od kary, zależy od sposobu myślenia, mógłby pozostać jedną godzinę na swej posiadzie, gdyby Austria była państwem konstytucyjnym, to jest państwem rządzącem się prawem? Nie! Austria ciągle jest państwem policyjnym: Namiestnictwo jest policyą, żandarmerya jest policyą, sąd karny jest policyą, sąd wyższy policyą, prokuratorya policyą. — Pytam się na co jeszcze tu osobnej dyrekcyi policyi? Belcredi ma słusność, że znosi dyrekcyę policyi. Sześć urzędów policyjnych to zaiste za wiele!

Nie ma nic nowego pod słońcem! Prześladowania jakich się Rosya względem nas dopuszcza, systematyczne pustoszenie Polski, wytepienie narodu polskiego, nazywamy niepraktykowaniem dotąd barbarzyństwem, nieznanemi w historii okrucieństwami... Mylimy się, bo nie znamy historii; Rosya czyta skrętnie dzieje świata cywilizowanego, a chociaż w barbarzyńskiej swej dumie szydzi z cywilizacyi, naśladuje ją przecież, chociaż niestety w samych tylko okropnościach. I tak postępowanie jej z Polską, nie jest wymysłem moskiewskim; półtrzecia wieku temu określił je ambasador najcywilizowańszego ówczas państwa względem innego narodu; Rosya wykonywa to względem Polski, co w roku 1626 poseł hiszpański Ognate radził cesarzowi Ferdynandowi II względem Madiarów. Oto co pisze Mailath w historii swej Węgier. T. 5. str. 161. „W pałacu ministra Eggenberg w Wiedniu zastanawiano się pod prezydencyą cesarza Ferdynanda II nad sposobem stłumienia reformacyi w Węgrzech, wtedy to hrabia Ognate zabrał głos i tak przemówił: Aby przekłeta ta nauka w Węgrzech wykorzenioną została, ofiaruje mój monarcha 40.000 doborowego żołnierza przez 40 lat na ten cel dostarczać; wojsko to przy pomocy kozaków potrafi ten wiarołomny naród, który tyle razy stał się winnym zbrodni majestatu wytepić i uwolnić od niego Austryę na zawsze. Mówią mi, że Madiary są wojowniczym, walecznym narodem, nic to nie ma do rzeczy, trzeba tylko z nimi tak postępować, jak postępuje w podobnych wypadkach rząd hiszpański: trzeba tym buntownikom posyłać obcych namiestników, którzyby krajowi narzucali nowe i czysto dowolne prawa, przeciw któremby Madiarzy nie mogli znaleźć nigdzie sprawiedliwości. Trzeba uciemniać Madiarów na każdym kroku i w każdej drobnostce, a gdy się będą skarżyć w Wiedniu, trzeba im odpowiedzieć, że Monarcha o tem nie wie i że go oburzają do najwyższego stopnia owe uciemnienia; rozporządzenia zaś namiestników, mają być swoją drogą przeprowadzone z całą surowością, z taką srogością, by Madiarów doprowadzić do szaleństwa; a ponieważ oni nie przywykli dźwigać tak ciężkie jarzmo, przytem zaś są narodem dumnym, więc zbuntują się i porwią za broń. Wtedy to będzie sposobność przystąpić do ich wytepienia; ich bunt będzie służył za pretekst do wymordowania najznakomitszych ludzi bez wy-

roków i form prawnych, do zabrania najmożniejszym ich majątków, do spustoszenia kraju ogniem i mieczem, a gdyby mimo to trwali w zatwardziałości, do wytopienia całej madiarskiej ludności nad 12 lat wieku mającej; potem posłać do Węgier osadników spokojnych a przychylnych i będzie spokój Bogu miły.“ — Plan ten pisze Mailath, został przyjęty z największą radością, a oświadczenie hrabiego Ognate wpisano do protokołu, który przez wszystkich obecnych został podpisany... Zbliżał się czas wielkiego jarmarku w Sintau nad Waagiem — postanowiono więc wywołać jaki nieporządek, poczem stojące w pogotowiu wojsko pod dowództwem neapolitańskiego awanturника Caraffa miało otoczyć lud i wszystko co nad 12 lat wyciąć w pień — ztamtąd ruszyć dalej i pałac dwory i zagrody z których ludność mogła być na owym jarmarku, a więc winna popełnionego tam nieporządku, postępować tak długo dopóki wszyscy majątniejsi ludzie, wszyscy domniemani przywódcy powstania nie będą wymordowani, z kraju wygnani, uwięzieni, odarci z majątku, zniechęceni...

Wobec takiej recepty nie potrzebowali sobie Moskale uszyć głowy nad wynalazkiem gwoli zgnębienia Polski; potrzebowali tylko wykonać przepis; że zaś wykonali dobrze, to tylko dowodzi, że twierdzenie naturalistów, jako plemiona chińsko-mongolskie odznaczają się w wysokim stopniu zmysłem naśladowania — jest zupełnie uzasadnionem. Dziwiłby się chyba można, że postępowanie to Rosyi, tak potworne, tak sprzeczne z odwieczną loiką postępu ludzkości, udaje się jej i ma powodzenie; lecz jak już gdzieś w tych zapiskach przy innej sposobności powiedziałem, nie należy sądzić ani o człowieku, ani o czynach wedle powodzenia. Nie jedno, co nam Grecy i Rzymianie podali i my uznali za szczyt rozsądku, było tylko szczęśliwą zuchwałością. Sa ludzie, których życie jest pełne cudów, chociaż nie byli świętymi i nawet nimi być nie chcieli; niebo błogosławiło wszystkie ich głupstwa, wieńczyło wszystkie ich niedorzeczności. Niejeden sławny człowiek powinien był właściwie przy pierwszym swem wystąpieniu, przy tem lub owem przedsięwzięciu upaść, zginąć, gdyż sądząc go i jego postępowanie podług rozumu, zasady których się trzymał powinny go były doprowadzić do zguby. Tymczasem stało się inaczej: jego słabości, namiętności, zbrodnie zamiast go zgubić,

wyniosły go; przychodzi nieraz wątpić o moralności, o konieczności loiki odwiecznych praw, które rządzą światem, tak dobrze materyalnym, jak ludzkim... Wielkie dramata, które odgrywa ludzkość na ziemi, pisane są w niebie -- aktorami w nich są nieraz ludzie, niegodni tej roli którą grają, jak to się także często dzieje z naszymi aktorami... Milutyn, Czerkaski, Katków, Murawiew i im podobni gnani są przeznaczeniem do spełnienia okrucieństw, których rozum nie może pojąć, na które się serce wzdryga, a które jak wszystko co się w świecie dzieje, mają swoją, choć nam nieznaną przyczynę i prowadzi do celów dla nas ukrytych, lecz w postępie ludzkości koniecznych...

Dziwnie się plecie na tym Bożym świecie. Rodakowski oddaje hołd moim zdolnościom i zasługom, wnosi okrzyk na cześć uwieszonego posła miasta Lwowa. Smolka wzywa do zaufania rządowi austriackiemu...

Jest to zwyczajem w świecie cywilizowanym, że gdy w miejsce zmarłego posła — a ja politycznie umarłem — przystępują do wyboru nowego posła, posiedzenie przedwyborcze zagaja się nekrologiem zmarłego; byłem więc pewnym że i u nas tak się stanie, że przewodniczący zgromadzeniom przedwyborczym wspomni o mnie, choćby tylko o tyle, by wyborcom powiedzieć, że mają wybrać posła na moje miejsce. Pan Rayski nie uczynił tego: czy nie wiedział, że należy się tak postępować, czy też nie uczynił o mnie wzmianki z namysłu? Bądź co bądź źle na tem wyszedł: Rodakowski zręczniejszy od niego oddał mi cześć przy zamknięciu zgromadzeń przedwyborczych, i prócz hucznych oklasków, które za to otrzymał, zyskał sobie nowy tytuł do uznania w nim zręczności i dobrego wychowania. Nie ręczę, że Rayski tryumfu tego swego przeciwnika nie odchoruje; lecz dobrze mu tak. Nastreczyłem mu sposobność dania się poznać krajowi... — na moją bowiem propozycję obrany został przewodniczącym — nie umiał z tego korzystać, — zawiść przemogła nawet względy na przyzwoitość, które p. Rayski zwykł zawsze zachowywać, to też w żadnym okręgu wyborczym nie został wybrany, chociaż go wszędzie na kandydata stawiano.

A Smolka? Smolka od czasu wypadku z r. 1863, który w Wiedniu przypisywano zmartwieniu, że go naród nie usłu-

chał, jest w sferach urzędniczych zanadto dobrze widziany, by wzmianką przychylną o więźniu politycznym chciał się narażić na posądzenie, że pochwała poniekąd czynności rewolucyjne. Chcąc nawet opinię o swej lojalności wzmocnić, wystąpił przeciw mowie Leszka, który bardzo słusznie utrzymywał, że Austria zmienia formy, lecz systemu polityki swej nigdy nie zmienia; Smolka każe nam ufać w dobre chęci rządu. Pan Franciszek jak wiemy nie bardzo mocny w historii. Kto zna historię Austrii, ten przyzna, że polityka austr. przez Ferdynanda II. ustalona dotąd nieprzerwanie. . . . .

Czytałem dziś przemówienie Smolki, miane na sobotniem zgromadzeniu wyborców — i musze odwołać co o niem powiedziałem na podstawie streszczenia tejże mowy, podanego przez niedzielne dzienniki. Nie zachęca on tam, jak z owego streszczenia wnioskować wypadało, do zaufania rządowi; oświadcza tylko, że sam wspierać będzie ministra teraźniejszego i zaleca trzymać się zasady solidarności. Przyznam się atoli, że w przemówieniu jego znalazłem coś gorszego, niż to co mi się w streszczeniu było nie podobało. Smolka potępia trzymanie się zasad, wyjąwszy w sądownictwie — jakto! więc zasady moralności są tylko doktryneryzmem, więc zasada sprawiedliwości nie potrzebuje być przestrzegana w polityce? I to głosi publicznie Smolka? Podług niego największą zaletą prawdziwego męża stanu jest zmysł, który rozpoznaje czyli zasada kiedy i o ile może lub powinna być zastosowana, by zamierzony skutek osiągnęła. Podług niego więc Metternichy, Stadyony, Bachy, Bismarki, Murawiewy, i Kattkowsy są prawdziwymi mężami stanu, godnymi naśladowania. Komuż bowiem nie wiadomo, jak ci mężowie stanu np. zasadę narodowości lub demokracji, kiedy i o ile zastosowywali i zastosowują, by zamierzone cele osiągnąć. Na poparcie zdania swego przytacza Smolka upadłe ministerstwo: upadło, bo trzymało się bezwzględnie zasady centralizacji, bo nie miało zmysłu przewidzieć (co on przewidział, więc jest prawdziwym mężem stanu, to bardzo skromnie z jego strony), że centralizacja nieda się przeprowadzić. Ależ na Boga zdziecinniałeś panie Franciszku! Co innego zasada, a co innego środek. Kłątwą społeczeństwa jest, że polityka dotychczasowa nie trzyma się żadnych

zasad, że jedną i tę zasadę raz proteguje, drugi raz potępia, że nawet równocześnie tę samą zasadę w jednym miejscu prześladuje, a w drugim broni orężem jak n. p. zasadę narodowości w Polsce i Księstwach nadelbiańskich; to też dążeniem wszystkich uczciwych ludzi jest sprowadzić także politykę do pewnych zasad, a jeśli komu to nam Polakom, to Smolce najmniej przystoi występować w obronie tego bezwstydnego braku zasad w polityce. Prawdziwy mąż stanu nie potrzebuje, by nim być, przedstawiać być człowiekiem poczciwym, to jest człowiekiem zasad; prawdziwy mąż stanu powinien tylko mieć zmysł, który trafnie rozpoznaje czyli który środek, kiedy i o ile może lub powinien być użyty do osiągnięcia zamierzonego celu, lecz środek ten zawsze powinien być godziwy; zasady więc sprawiedliwości nie wolno mężowi stanu naginać do swych celów, tak jak mu nie wolno innych zasad etyki lub umiejętności ignorować w swym zawodzie. Centralizacya to tylko środek do dopięcia pewnych celów państwowych — a upadłemu ministerstwu słusznie można zarzucić brak rozumu politycznego, ponieważ wybrało niewłaściwy środek do wyratowania z toni państwa austr. Centralizacya to system rządzenia, a nie zasada; lecz gdyby nawet była zasada, to jest złą zasada, bo sprzeciwiającą się etyce wedle której tak członkowi, jak zasadom przysługuje prawo samodzielnosci, czyli samorządu. Smerling więc upadł nie dlatego, że się trzymał bezwzględnie zasady, lecz że się trzymał złej zasady. Inaczej rzecz się ma z zasadą demokracji. Zasada ta jest prawdziwą, opartą na odwiecznym prawie człowieka do równości — tej zasady polityka nie może gwałcić dla jakiejś utylitarności, tak samo jak zasady „Nie kradnij“, nie wolno puszczać mimo, dla względów użyteczności. Hönigsmanowi zarzucającemu, że miasto wybierając Gołuchowskiego zrzekłoby się zasady demokratycznej, można było i trzeba było inaczej odpowiedzieć. „Poseł, to środek do dopięcia pewnych celów, my prócz zasady demokratycznej mamy do strzeżenia także zasadę narodowości, dla nas równie drogą jak tamta; dla urzeczywistnienia tej to zasady obieramy Gołuchowskiego jako środek najlepszy, nie zrzekając się przytem zasady demokratycznej, którą zastępuje trzech innych posłów. Tym sposobem byłoby się wyborowi Gołuchowskiego nadało prawdziwe znaczenie, a miastu byłoby się

dało świadectwo rozumu politycznego, t. j. zmysłu wybierania właściwych środków do osiągnięcia zamierzonych celów.

Człowiek nie jest obowiązany mówić prawdę; lecz nie wolno mu kłamać. Kto niema odwagi mówić prawdy, powinien milczeć. Kłamstwo jest bezwstydną służebnicą wszelkich zbrodni, która albo je poprzedza, by im przygotować drogę, albo postępuje za nimi, by je ochraniać.

Wspomnienia przeszłości należą do sił poruszających te-  
razniejszość. Podobne do duchów zemsty lub aniołów stróżów,  
unoszą się one nad ludami, kierują ich zdaniami, uspakajają  
ich serce i przygotowują wypadki przyszłości. Dobre czyny Na-  
rodu lub rządu przynoszą mu korzyść przez długie czasy, podczas  
gdy popełnione zbrodnie wciąż na nich ciężą, sieją zawady na  
wszystkich ich drogach, a często przygotowują im upadek. Kto  
by z nas w to nie wierzył, niech się przypatrzy kwestyi ruskiej.  
Cienie ofiar fanatyzmu religijnego z naszej strony prześladują  
nas dotąd, przeklinają nas nawet w naszym upadku i poruszają  
przeciw nam niebo i piekło...

Co Gołuchowski jako poseł może zrobić dla Polaków?  
Nic! Postanowiliśmy go wybrać posłem, by zrobić demonstra-  
cyę na rzecz Dyplomu Październikowego, z którego dla kraju,  
a więc tak dobrze dla Polaków jak dla Rusinów, nieco więcej  
wydedukować można korzyści niż z Patentu Lutowego. I cóż  
robią Rusini? Łączą się z żydami, których bardziej nienawidzą  
niż czarta, byle tylko stanąć zaporą w drodze Polakom. Że żydzi  
głosowali za Rodakowskim, było z ich strony niepolitycznem,  
pokazali bowiem, że im nie wiele chodzi o narodowość polską,  
której gwarancya była motorem kandydatury Gołuchowskiego  
lecz są do wytłumaczenia o tyle, o ile egoizm wytłomaczyć się  
da. Rodakowski przemawiał za nimi, przeciw Gołuchowskiemu  
mają z dawnych czasów uprzedzenie, głosowali więc za Roda-  
kowskim, że i jako Polak gorliwy i jako kandydat liberalny im  
się przedstawiał. Ale Rusini, cóż u nich za Rodakowskim prze-  
mawiało? Czy jego polskość, czy liberalizm — ani jedno, ani drugie,  
kierowała nimi li nienawiść ku Polakom... Niektórzy z pomię-



dzy nas marza o bliskiej zgodzie z Rusinami, krok ich podczas wyborów powinienby nam wykazać, że daleko jeszcze do tej zgody, której tak gorąco pragniemy. Łatwo błąd popełnić, ale nie tak łatwo naprawić, trzeba nam ciężko i długo pokutować za przewinę ojców naszych, a po części i własne nasze błędy.

Jeżeli zważymy, jak drogo przepłacać muszą ludzie szlachetne swe popędy i dobroczynne postęпки, jak im trudno przychodzi zaprowadzić i krzewić to co jest dobrem, moglibyśmy mniemać, że człowiek przychodzi na świat by źle czynić. A przecież tak nie jest. Człowiek nie przychodzi na świat ani na to, by dobrze czynił, ani na to, by źle czynił. Przychodzi na świat, bo taki jest odwieczny porządek, który rządzi przyrodą. Do dobrego lub złego popycha go własna jego wola, że zaś czyniąc dobrze musi walczyć z trudnościami, z prześladowaniem nawet, to po prostu ztąd pochodzi, że źle czynić jest łatwo, a dobrze czynić trudno, że z natury naszej skłonni do lenistwa, wolimy to co łatwe, niż to co wymaga trudu, a będąc z natury równie próżnymi, jak leniwymi, nie nawidzimy tych, którzy są lepszymi od nas i dla tego im przeszkadzamy, a gdy mimo to, przeszkodzić nie możemy, by dobrze czynili, mścimy się prześladowaniem. Człowiek jest bardzo nędznym stworzeniem i trzeba było całej ludzkiej próżności, by się człowiek ogłosił królem stworzenia, a co więcej podobizną Boga. Gdybyśmy byli skromniejszymi, byliwśmy lepszymi, lecz by nabrać skromności, trzeba spróbować sił swoich, a przeto przekonać się o niedostateczności takowych. Im kto większym próżniakiem, tem więcej ma zarozumiałości, pokrewieństwo między próżniactwem a próżnością uwydatniła loika naszej mowy, dając obydwu pojęciu ten sam źródłosłów.

Dnia 19 listopada o 9<sup>1/2</sup> w nocy Jego Ekscelencya p. Stojanowski, prezes sądu wyższego i p. nadprokurator Aufenberg wypuścili mnie na wolność. Abym już nigdy jej nie stracił!

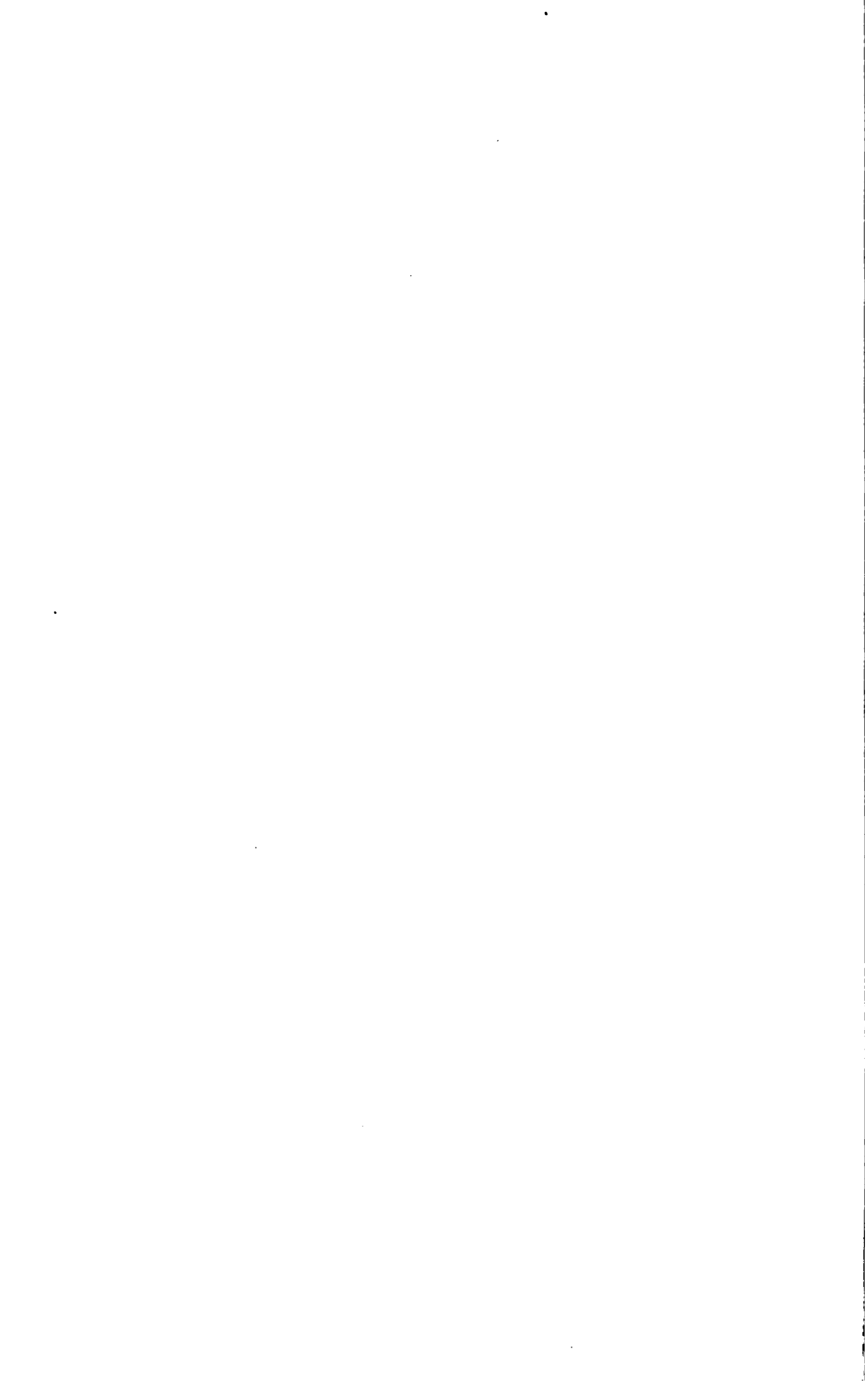
**Miesiąc po wyjściu z więzienia.** Jakoś czas szybciej płynie, niż między murami więzienia, lecz pod wielu względami było tam lepiej. Tam zdawało się mi, że coś posiadam, teraz

widzę, że przyjaciel, któremu powierzyłem cały mój krwawo zapracowany mająteczek, wykierował mnie podczas mego uwięzienia na żebraka. Tam jeśli kto mi okazał współczucie, to mogłem być pewnym, że to współczucie szczere; tu pośród wynurzania radości, nieraz wybucha niezadowolenie, że wyszedłem żywy z więzienia, lub obawa, że mogę znowu stanąć na przeszkodzie temu lub owemu przedsięwzięciu, lub nareszcie wyrzut, że mogłem być tak nieostrożnym (myślą sobie zaś „głupim“)...

Kto pełni obowiązek, tego zdaje mi się nie powinnyby za to spotykać wyrzuty, tem mniej jeśli obowiązek ten pełnił z polecenia ziomeków. Lecz mniejsza o to, pojąć tylko nie mogę, jak ludzie zresztą rozsądni mogą mi za przykład przezorności przytaczać tych ludzi, którzy robili to samo co ja, a przecież do kozy się nie dostali. Nie wiedzą oni, że w oczach rządu my wszyscy jesteśmy zarówno winni, tak ci którzy się nie dostali do kozy, jak ci, których wybrano na kozłów ofiarnych nienawistnego narodu? Zresztą pojmując tak krwawe polityczne zbrodnie, jakże mało potrzeba, by właśnie temu, a nie komu innemu przypadła rola zbrodniarza! Atom jeden mniej lub więcej wystarcza w rzeczach chemicznych, by ciała składające się z tych samych żywiołów, inną przyjęły powierzchowność. Gdyby każda chuć, każda wola, każdy powzięty zamiar był znanym, któżby policzył zbrodniarzy? Jedna okoliczność drobna, przypadkowa, robi z nas zbrodniarzy; codzień tysiącom nędzników przeszkadza szczęśliwy jakiś przypadek popełnienia zamierzonych zbrodni; codzień tysiące rąk umieją popełnione zbrodnie zręcznie ukryć, a tysiące przebiegłych głów nadać im formę nie ulegającą kompetencji sądu; podczas gdy kilku nieszczęśliwych, którym nie przyszedł w pomoc szczęśliwy przypadek, lub którzy nie byli dość sprytnymi, by czyn swój karygodny pokryć lub zamaskować, wędrują do więzienia... Nie są oni zaiste lepszymi od drugich, ale też nie gorszymi...

K O N I E C.









This book should be returned to  
the Library on or before the last date  
stamped below.

A fine is incurred by retaining it  
beyond the specified time.

Please return promptly.

